



FIODOR DOSTOJEWSKI

IDIOTA



WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

FIODOR DOSTOJEWSKI

IDIOTA

(przełożył: Jerzy Jędrzejewicz)

CZEŚĆ PIERWSZA

I

W końcu listopada, w odwilż, około dziewiątej rano, pociąg petersbursko - warszawskiej kolei żelaznej całą parą podjeżdżał do Petersburga. Było tak wilgotno i mglisto, że ledwie rozedniało; o dziesięć kroków od toru, na prawo i na lewo, trudno było cokolwiek dojrzeć z okien wagonu. Między pasażerami było też kilku takich, którzy wracali z zagranicy; ale największy ścisk panował w przedziałach trzeciej klasy, gdzie pełno było ludzi pospoliczych, jadących za swoimi interesami nie bardzo z daleka. Wszyscy, jak zwykle w podróży, czuli się zmęczeni, wszystkim przez noc ociężyły oczy, wszyscy porządnie zziębli, wszyscy mieli twarze bladożółte, koloru mgły.

W jednym z wagonów trzeciej klasy od samego świtu znaleźli się naprzeciwko siebie tuż przy oknie dwaj pasażerowie - obaj młodzi, prawie bez bagażu i niezbyt strojnie przyodziani, obaj o dosyć ciekawych fizjonomiach i obaj pragnący wreszcie nawiązać rozmowę. Gdyby obaj wiedzieli nawzajem o sobie, co ich w tej chwili szczególnie czyni godnymi uwagi, zdziwiliby się oczywiście, że przypadek tak dziwnie zrządził, sadzając ich razem w wagonie trzeciej klasy petersbursko - warszawskiego pociągu. Jeden z nich był mężczyzną niewielkiego wzrostu, może dwudziestosiedmioletnim, kędzierzawym, niemal brunetem, o szarych, małych, ale ognistych oczach. Nos miał szeroki i nieco spłaszczony, kości policzkowe wydatne; cienkie usta bez przerwy układały mu się w jakiś bezczelny, ironiczny, a nawet złośliwy uśmiech; jednak wysokie i nader foremne czoło upiększało twarz, której dolna część była tak nieszlachetnie rozwinięta. W twarzy tej szczególnie uderzała śmiertelna bladość, nadająca fizjonomii młodzieńca pozór wycieńczenia mimo jego solidnej budowy, a zarazem jakiś rys namiętności, wielkiej, niemal bolesnej, nie harmonizującej z aroganckim, ordynarnym uśmiechem i ostrym, pyszałkowatym wzrokiem. Młodzieniec był ubrany ciepło, w szeroki barani kożuch kryty czarnym suknem, więc w ciągu nocy nie zmarzł, podczas gdy jego sąsiad musiał na swoich ścierpłych od zimna plecach przenieść wszystkie rozkosze nocnej listopadowej słoty rosyjskiej, do której widocznie był nieprzygotowany. Miał na sobie dość luźną i grubą opończę bez rękawów, z ogromnym kapiszonem, kubek w kubek taką, jaką zazwyczaj noszą wędrowcy w zimie gdzieś daleko za granicą, w Szwajcarii albo na przykład w północnych Włoszech, nie licząc, ma się rozumieć, przy tym na takie odcinki drogi, jak od Ejkunów[1] do Petersburga. Co jednak było użyteczne i całkiem zadowalało we Włoszech, to się okazało niezupełnie przydatne w Rosji. Posiadaczem opończy z kapiszonem był młody człowiek, też dwudziestosześcioletni albo dwudziestosiedmioletni, wzrostu trochę więcej niż średniego, o bardzo jasnych i gęstych włosach, o zapadniętych policzkach i ze spiczastą, nieznaczną, prawie całkiem białą bródką. Oczy miał duże, niebieskie i badawcze; w spojrzeniu ich taił się jakby spokój, ale był też i jakiś ciężar, jakiś dziwny wyraz, po którym pewni ludzie natychmiast odgadują, że ktoś cierpi na epilepsję. Twarz młodzieńca była zresztą przyjemna, subtelna, wychudła, ale bezbarwna, a teraz nawet zsiniała od chłodu. Pasażer ów trzymał w rękach skromny tłumoczek ze starego wypłowiałego fularu, zawierający, zdaje się, cały jego podróżny dobytek. Na nogach miał trzewiki o grubych podszewkach i getry - też nie po rosyjsku. Czarnowłosy sąsiad w kożuchu wszystko to dostrzegł, po części z nudów, i w końcu spytał z owym niedelikatnym uśmieszkiem, w którym tak bezceremonialnie i po chamsku wyraża się ludzka satysfakcja z kłopotów bliźniego:

- Zimno, co?

I wzruszył ramionami.

- Bardzo - odpowiedział sąsiad z nadzwyczajną gotowością - i niech pan weźmie pod uwagę, że to w dodatku odwilż. - A co, gdyby wypadł mróz? Nawet nie przypuszczałem, że u nas jest tak zimno. Odwykłem.

- Pan z zagranicy?

- Tak, ze Szwajcarii.

- Fiuu! To nieźle!...

Brunet z lekka gwizdnął i parsknął śmiechem.

Zacząła się rozmowa. Gotowość, z jaką młodzieniec w szwajcarskiej opończy odpowiadał na wszystkie pytania swego czarniawego sąsiada, była zadziwiająca i pozbawiona wszelkiego podejrzenia, mimo że niektóre pytania były bardzo lekceważące, najzupełniej niewłaściwe i niepoważne. Odpowiadając wyjaśnił między innymi, że istotnie długo nie był w Rosji, przeszło cztery lata, że wysłano go za granicę z powodu choroby, jakiejś dziwnej choroby nerwów w rodzaju padaczki albo płasawicy, jakichś drzączek i konwulsji. Brunet, słuchając go, kilka razy się uśmiechnął; a szczególnie głośno roześmiał się, kiedy na pytanie: „No i co, wyleczyli pana?” - blondyn odparł: „Nie, nie wyleczyli.”

- Ha! Pieniądzy pewnie sporo pan napłacił po próznicy, bo my tutaj to im wierzymy - zauważył zjadliwie brunet.

- Święta prawda! - wtrącił się do rozmowy siedzący obok i lichy przyodziany jegomość, na wygląd zaskorupiały w kancelaryjnej pracy urzędnik, w wieku lat czterdziestu, korpulentny, z czerwonym nosem i wągrowatą twarzą - święta prawda, proszę łaskawego pana, niepotrzebnie tylko wyciskają z Rosjan tyle forsy!

- O, jakże się panowie mylą w moim przypadku! - zawołał szwajcarski pacjent cichym i łagodzącym głosem - oczywiście nie mogę się spierać, bo wszystkiego nie wiem, ale mój doktor dał mi ze swoich ostatnich pieniędzy na drogę tutaj, a prawie dwa lata trzymał mnie tam na swój rachunek.

- Nie miał kto za pana płacić czy co ? - spytał brunet.

- Tak, pan Pawliszczew, któryłożył na mnie, umarł dwa lata temu; pisałem potem do generałowej Jepanczyn, mojej dalekiej krewnej, ale nie dostałem odpowiedzi. Więc przyjechałem.

- Dokądże pan przyjechał?

- To znaczy, gdzie się zatrzymam?... Nie wiem jeszcze, doprawdy... w ogóle...

- Jeszcze się pan nie zdecydował?

I obaj słuchacze znowu parsknęli śmiechem.

- A w tym tłumoczku pewnie się mieści cały pański majątek? - spytał brunet.

- Gotów jestem pójść o zakład, że tak - podchwycił z nad wyraz zadowoloną miną czerwono nosy urzędnik - i że innych poza tym pakunków w wagonie bagażowym nie ma, chociaż jak się to mówi, bieda nie hańbi.

Okazało się, że tak właśnie było: jasnowłosy młodzieniec bezzwłocznie i z niezwykłym pośpiechem przyznał się do tego.

- Tłumoczek pański ma jednak pewne znaczenie - ciągnął dalej urzędnik, kiedy naśmiano się do syta (a warto zaznaczyć, że i sam właściciel tłumoczka zaczął wreszcie, patrząc na nich, śmiać się, co jeszcze zwiększyło ich wesołość) - i chociaż można się założyć, że nie są w nim zapakowane złote zagraniczne rulony napoleondorów i friedrichsdorów ani też dukatów holenderskich, co łatwo wywnioskować chociażby z getrów opinających pańskie cudzoziemskie trzewiki, ale... jeśli do pańskiego tłumoczka wziąć na dokładkę taką niby krewną, jak na przykład generałowa Jepanczyn, to i tłumoczek nabierze innej zupełnie wagi, ma się rozumieć, tylko o tyle, o ile generałowa Jepanczyn jest rzeczywiście pańską krewną i pan się co do tego nie myli skutkiem roztargnienia... w które bardzo a bardzo łatwo człowiekowi wpaść, chociażby... z nadmiaru fantazji.

- Ach, zgadł pan znowu - podchwycił jasnowłosy młodzieniec - przecież istotnie prawie się myślę, przecież to jest prawie nie krewna; tak dalece, że doprawdy wcale a wcale się nie zdziwiłem, kiedy mi nie odpowiedziano. Spodziewałem się tego.

- Niepotrzebnie się pan wykosztował na ofrankowanie listu. Hm!... Przynajmniej jest pan dobroduszny i szczerzy, a to się chwali! Hm!... Generała zaś Jepanczyna znamy właściwie dlatego, że to człowiek powszechnie znany; nieboszczyka pana Pawliszczewa znaliśmy także, jeśli tylko był to Mikołaj Andriejewicz Pawliszczew, bo jest również stryjeczny brat jego, co mieszka dotychczas na Krymie; a nieboszczyk Mikołaj Andriejewicz był człowiekiem szanowanym i ustosunkowanym i posiadał w swoim czasie, proszę łaskawego pana, cztery tysiące dusz...

- Tak, nazywał się Mikołaj Andriejewicz Pawliszczew.

Udzieliwszy tej odpowiedzi młody człowiek badawczo i z zaciekawieniem przyjrzał się wszystkowiedzącemu jegomościowi.

Takich wszystkowiedzących jegomościów spotkać można czasami, nawet dosyć często, w pewnej warstwie społecznej. Wszystko wiedzą, cała niespokojna ciekawość ich umysłu, ich zdolności zwracają się niepohamowanie w jedną stronę, oczywiście z braku poważniejszych życiowych zainteresowań i poglądów, jak by to określił współczesny myśliciel. Słowa „wszystko wiedzą” należy zresztą rozumieć bardzo ciasno: gdzie ten a ten pracuje, z kim się zna, ile ma pieniędzy, gdzie był gubernatorem, z kim jest żonaty, ile wziął w posagu, kto jest jego stryjecznym bratem, a kto ciotecznym itd., itd., i wszystko w tym rodzaju. Owi wszechwiedzący przeważnie chodzą z dziurami na łokciach i dostają siedemnaście rubli miesięcznej pensji. Ludziom, o których wiedzą wszystko, nawet najskrytsze ich tajemnice, oczywiście nawet by nie przyszło do głowy, jakie

nimi kierują pobudki, a tymczasem dla wielu z nich ta wiedza, równająca się całej nauce, stanowi istotną pociechę, dzięki niej sami nabierają szacunku dla siebie, a nawet osiągają wyższe rozkosze duchowe. No i nauka ta jest bardzo pociągająca. Widziałem uczonych, literatów, poetów, działaczy politycznych, którzy w tej nauce szukali i znaleźli ukojenie i cel swoich dążeń, a nawet wręcz porobili kariery tylko dzięki temu. W ciągu całej tej rozmowy czarniawy młodzieniec ziewał, patrzył bez celu w okno i niecierpliwie czekał na koniec podróży. Był roztargniony, może nawet za bardzo roztargniony, prawie wylękły; robił się chwilami jakiś dziwny: słuchał i nie słuchał, patrzył i nie patrzył, śmiał się, sam niekiedy nie wiedząc i nie rozumiejąc, z czego się śmieje.

- A, za pozwoleniem, z kimże mam honor?... - zwrócił się nagle wągrowaty jegomość do młodego blondyna z tłumoczkiem.

- Jestem ksiązę Lew Nikołajewicz Myszkim - odrzekł tamten z zupełną i niezwłoczną gotowością.

- Książę Myszkim? Lew Nikołajewicz? Nie znam, proszę łaskawego pana. Nawet nie słyszałem o takim - odpowiedział w zamyśleniu urzędnik - to znaczy nie mówię o nazwisku, bo nazwisko historyczne, można i powinno się je znaleźć w historii Karamzina[2], ale mówię o osobie; nigdzie się jakoś nie spotyka książąt Myszkimów; nawet słuch o nich zaginął.

- Ba! - odparł natychmiast książę - książąt Myszkimów już nie ma teraz wcale oprócz mnie; jestem bodajże ostatni. A co się tyczy ojców i dziadów, to wielu z nich było jednodworcami[3]. Ojciec mój był zresztą podporucznikiem armii, awansowanym z junkra. Ale doprawdy nie wiem, w jaki sposób generałowa Jepanczyn okazała się też jedną z księżnych, i też w swoim rodzaju ostatnią...

- Hę, hę, hę! Ostatnia w swoim rodzaju! Hę, hę! Jak pan to dowcipnie wyraził.

Uśmiechnął się również brunet. Blondyn trochę się zdziwił, że mu się udało powiedzieć, dość kiepski zresztą, kalambur.

- Proszę sobie wyobrazić, że powiedziałem najzupełniej bezwiednie - wyjaśnił wreszcie, zdziwiony.

- Ależ rozumiemy, rozumiemy, proszę łaskawego pana - przytaknął wesoło urzędnik.

- A czy książę uczył się tam, u tego profesora?

- Owszem... uczyłem się.

- A ja się nigdy niczego nie uczyłem.

- Przecież i ja tak tylko coś niecoś - dodał książę nieomal tonem usprawiedliwienia. - Z powodu choroby nie uważano za możliwe kształcić mię systematycznie.

- Zna pan Rogożynów? - spytał szybko brunet.

- Nie, nie znam. Przecież w Rosji mało kogo znam. Czy to pan jest właśnie Rogożyn?

- Tak, ja. Parfien Rogożyn.

- Parfien? A czy przypadkiem nie z tych Rogożynów... - zaczął ze zdwojoną powagą urzędnik.

- Tak, tak, właśnie z tych - przerwał mu szybko i z niegrzeczną niecierpliwością brunet, który wcale zresztą ani razu nie zwracał się do wągrowatego urzędnika, lecz od samego początku rozmawiał tylko z księciem.

- Więc... jakże to? - spytał osłupiały urzędnik i oczy nieomal wylazły mu na wierzch, a twarz jego zaczęła od razu przybierać wyraz jakiejś nabożnej czci i graniczącej ze strachem przy pochlewności. - Więc syn tego Siemiona Parfienowicza Rogożyna, dziedzicznego obywatela honorowego[4], który z miesiąc temu umarł zostawiając dwa i pół miliona rubli w żywej gotówce?

- A skądęś się dowiedział; że akurat dwa i pół miliona rubli w żywej gotówce? - przerwał brunet, nie racząc i tym razem spojrzeć na urzędnika. - Patrz pan! - mrugnął porozumiewawczo do księcia - co im z tego przyjdzie, że się będą zaraz tak podlizywać? To prawda, że mój rodzic zmarł, a ja ze Pskowa w miesiąc później jadę do domu prawie bez butów. Ani brat, podlec, ani matka, ani pieniędzy, ani zawiadomienia - nic nie przysłali! Jak psu! W gorączce przeleżałem w Pskowie cały miesiąc!

- A teraz wypada wziąć milionik z czymś albo i dwa, o Boże! - załamał ręce urzędnik.

- Czego on chce, niech mi pan powie z łaski swojej! - skinął na niego znowu Rogożyn ze złością i rozdrażnieniem - przecież ja ci nie dam ani kopiejki, żebyś tutaj nawet chodził przede mną do góry nogami.

- I będę, będę chodzić.

- Widzicie go! A nie dam, nie dam, żebyś nawet cały tydzień skakał!

- To nie dawaj! Dobrze mi i tak, nie dawaj! A ja będę skakać. Rzucę żonę, drobne dziatki, a przed tobą będę skakać. Powiedz tylko słówko!

- A niechże cię, tfu! - splunął czarniawy młodzieniec. - Pięć tygodni temu - zwrócił się do księcia - z jednym zawiniątkiem uciekłem od ojca do Pskowa, do ciotki; tam mnie gorączka z nóg zwała, a on zmarł beze mnie. Krew go zalała. Niech mu ziemia lekką będzie, ale o mało mnie wtedy nie zabił! Czy księżę da wiarę? Dalibóg! Żeby wtedy nie uciekł, zabiłby, i kwita.

- Pan go czymś rozgniewał? - rzekł księżę, z pewnym szczególnym zaciekawieniem przypatrując się milionerowi w kozuchu. Ale chociaż i sam milion, i otrzymanie go w spadku mogło budzić pewnego rodzaju zainteresowanie, księcia zdziwiło i zainteresowało jeszcze coś innego; a i sam Rogożyn dlaczegoś nader chętnie nawiązał rozmowę z księciem, chociaż potrzeba rozmawiania, jaką odczuwał, była, zdaje się, raczej mechaniczna niż moralna; wypływała raczej z roztargnienia niż z dobroduszości; z niepokoju, ze zdenerwowania; żeby tylko patrzeć na kogokolwiek i o czymkolwiek mleć językiem. Wydawało się, że dotąd ma gorączkę, a co najmniej dreszcze. Co zaś się tyczy urzędnika, to ten jakby zawisnął nad Rogożynem; nie śmiał odetchnąć, łowił i ważył każdziutkie

słowo, jakby szukając brylantu.

- Rozgniewał się, to rozgniewał, a może i miał czego - odrzekł Rogożyn - ale mnie najwięcej dopiekl brat. O matce nie mówię; kobieta stara, czyta Minieję[5], siedzi ze staruchami, a co Sieńka postanowi, to musi tak być, i koniec. Ale dlaczegoż on mię nie zawiadomił w swoim czasie? Znamy się na tym, proszę pana! Prawda, że leżałem wtedy bez przytomności. Telegram był ponoć wysłany. No i telegram ten przyszedł do ciotki. A ona już trzydzieści lat jest wdową i od rana do wieczora siedzi z bożymi głupcami[6]. Mniszka nie mniszka, ale jeszcze coś gorszego. Przestraszyła się telegramu, zniosła go do cyrkułu i telegram spoczywa w cyrkułe do dziś dnia. Dopiero Koniew, Wasilij Wasilicz, znalazł się jak przyjaciel, o wszystkim mi doniósł. Brat w nocy obciął z całunu lamowego na trumnie ojca złotolite frędzle: „Ile one, powiada, kosztują pieniędzy!” A przecież za to jedno tylko może pójść na Sybir, jeśli ja zechcę, bo to jest świętokradztwo. Ej ty, strachu na wróble! - zwrócił się do urzędnika. - Jak wedle prawa: świętokradztwo?

- Świętokradztwo! Świętokradztwo! - przytaknął natychmiast urzędnik.

- Idzie się za to na Sybir?

- Na Sybir, na Sybir! Z punktu na Sybir!

- Oni wciąż jeszcze myślą, że chory - ciągnął dalej Rogożyn zwracając się do księcia - a ja nie mówiąc ani słowa, po cichutku, nie wyzdrowiawszy jeszcze całkiem, wsiadłem do wagonu i jadę - otwieraj wrota, Siemionie Siemionowiczu! Brat na mnie gadał ojcu nieboszczykowi, to znana sprawa. A że ja wtedy rzeczywiście rozdrażnił ojca przez Nastasję Filipownę, to też prawda. To tylko sam zawiniłem. Grzech mi odjął rozum.

- Przez Nastasję Filipownę? - odezwał się służalczym tonem urzędnik, jakby coś rozważając.

- Przecie nic nie wiesz! - krzyknął na niego zniecierpliwiony Rogożyn.

- Właśnie że wiem! - odparł triumfująco urzędnik.

- A jużci! Jedna jest na świecie Nastasja Filipowna? Ale z ciebie namolne, ci powiem, bydlę! Z góry wiedziałem, że jakieś takie bydlę zaraz się przyczepi! - mówił dalej do księcia.

- A może i wiem, proszę łaskawego pana! - upierał się urzędnik. - Lebediew wie! Wasza wielmożność raczy mi robić zarzuty, a co będzie, jeśli dowiodę? Właśnie to jest ta sama Nastasja Filipowna, z powodu której pański rodzic chciał pana upomnieć kalinową pałką; nazywa się Nastasja Filipowna Baraszkow; można powiedzieć nawet wielka pani, i też w swoim rodzaju księżna, a zna się z niejakim Tockim, Afanasijem Iwanowiczem, z jednym tylko właścicielem ziemskim i bogaczem, członkiem kompanii i towarzystw, i oboje są na to konto w wielkiej przyjaźni z generałem Jępanczynem...

- Ehe, toś ty taki! - zdziwił się w końcu naprawdę Rogożyn - tfu, do diabła, rzeczywiście wie.

- Wszystko wie! Lebediew wszystko wie! Ja, wasza wielmożność, jeździłem tak samo dwa miesiące z Aleksaszką Lichaczowem, też po śmierci ojca, i wszystko, to znaczy wszystkie kąty i

zakątki znam; doszło do tego, że bez Lebediewa - nigdzie ani kroku. Obecnie urzęduję w areszcie dla dłużników, więc i Armance, i Koralię, i księżnę Packą, i Nastasję Filipownę miałem możliwość poznać; zresztą poznałem wiele innych osób.

- Nastasję Filipownę? A czyż ona z Lichaczowem... - Rogożyn popatrzył na niego ze złością, aż mu wargi przybladły i zadrżały.

- Nnie! Nnnie! Absolutnie! - połapawszy się odpowiedział czym prędzej urzędnik. - Z żadnymi, to znaczy, pieniędzmi, Lichaczow nie mógł nic zrobić! Nie, to nie Armance! Tu tylko jeden Tocki. A wieczorem w Teatrze Wielkim albo we Francuskim siedzi sobie we własnej łoży. Oficerowie mówią w swoim kółku, co im ślina na język przyniesie, ale nic nie mogą udowodnić: „O, powiadają, to jest właśnie owa Nastasja Filipowna” - i tyle; a o czymś więcej - nic! Bo i nic nie ma.

- Tak też to wszystko się przedstawia - potwierdził Rogożyn, posępnie zmarszczywszy brwi. - Tak samo wtedy mówił Zalożew. Przebiegałem wtedy w starej ojcowskiej bekieszy, proszę księcia, przez Newski Prospekt, a ona wychodzi ze sklepu i wsiada do karety. Od razu jakbym w ogniu stanął. Spotykam Zalożewa; gdzież mi się z nim równać; chodzi ubrany jak subiekt od fryzjera, szkiełko w oku; a ja u ojca paradowałem w dziegciem smarowanych butach i żarłem chudy kapuśniak. To, powiada, kąsek nie dla ciebie, to, powiada, księżna, która ma na imię Nastasja, po ojcu Filipowna, a nazwisko Baraszkow; żyje z Tockim, a Tocki nie wie teraz, jak się od niej odczepić, bo to niby doszedł do solidnego wieku, ma lat pięćdziesiąt pięć, i chce się żenić z największą, jaka jest, pięknnością w całym Petersburgu. No i tu mi podsunął myśl, że zaraz dzisiaj mogę zobaczyć Nastasję Filipownę w Teatrze Wielkim na balecie; będzie siedziała w swojej łoży na parterze. U nas, u mojego ojca, niechby kto spróbował iść na balet - krótka sprawa - i koniec; zabiłby! Ja jednak cichcem pobiegłem na godzinkę i znowu zobaczyłem Nastasję Filipownę; później całą noc nie spałem. Rano nieboszczyk daje mi dwie pięcioprocentowe obligacje po pięć tysięcy każda, i mówi: „Idź, sprzedaj, siedem tysięcy pięćset zanieś do kantoru Andriejewów, zapłać, a całą resztę z dziesięciu, nie wstępując nigdzie, oddasz mnie; będę na ciebie czekał.” Sprzedałem obligacje, wziąłem pieniądze, a do kantoru Andriejewów nie wstąpiłem, tylko pobiegłem, nie oglądając się, do angielskiego magazynu i za wszystkie pieniądze wybrałem parę kolczyków z dwoma brylancikami wielkości, nie przymierzając, orzecha: zostałem dłużny czterysta rubli, powiedziałem nazwisko, zaufali. Z kolczykami buch do Zalożewa: tak i tak, idziemy, bracie, do Nastasji Filipowny. Poszliśmy. Co miałem wtedy pod nogami, co przed sobą, co po bokach - nic nie wiem i nie pamiętam. Weszliśmy prosto do salonu; sama wyszła do nas. Nie wyjawiałem wtedy, kim jestem. A Zalożew powiada: „Od Parfiena, mówi, Rogożyna, raczy pani przyjąć na pamiątkę wczorajszego spotkania.” Otworzyła pudełko, spojrzała, uśmiechnęła się: „Proszę podziękować, mówi, pańskiemu przyjacielowi panu Rogożynowi za łaskawe względy.” Skinęła głową i odeszła. Dlaczego zaraz na miejscu nie umarłem! Bo jeśli nawet poszedłem tam, to dlatego, że myślałem: „I tak żywy nie wrócę!” Najgorzej ubodło mnie to, że ten bestia Zalożew wykorzystał wszystko dla siebie. Ja jestem i niski, i ubrany jak cham, i stoję, milczę, wytrzeszczam na nią oczy, więc wstyd mi; a on elegant jak się patrzy, wypomadowany, ufryzowany, rumiany, w kraciastym halsztuku - sypie komplementy jak z rękawa, kłania się i nóżką szasta; więc ani chybi wzięła go za mnie! „No - mówię, jakeśmy wyszli - żebyś mi się teraz nie ośmielił nawet pomyśleć, rozumiesz?” Śmieje się: „A jak ty się wyliczysz przed ojcem?” Chciałem, co prawda, rzucić się od razu do wody, nie wstępując nigdzie, ale myślę: „I tak już wszystko jedno”, i niby potępieniec wróciłem do domu.

- Ach jej! - krzywił się urzędnik i nawet dreszcze go przechodziły. - Przecie nieboszczyk nawet nie za dziesięć tysięcy, ba, za dziesięć rubli potrafił wyprawić człowieka na tamten świat - rzekł do księcia.

Księżę z zaciekawieniem przyglądał się Rogożynowi, który w tej chwili był jakby jeszcze bledszy.

- Na tamten świat! - powtórzył Rogożyn. - Co ty tam wiesz? Od razu - mówił dalej do księcia - dowiedział się o wszystkim, bo i Zalozew paplał każdemu, kogo tylko spotkał. Wziął mnie ojciec do siebie na górę, drzwi zamknął i pouczał całą godzinę. „To ja cię, powiada, tylko tak przygotowuję, a przyjdę jeszcze powiedzieć ci dobranoc.” No i co pan myśli? Pojechał stary do Nastasji Filipowny, bił jej pokłony do ziemi, błagał i płakał; wyniosła mu nareszcie pudełko, cisnęła: „Masz, powiada, stary brodaczu, swoje kolczyki; są mi teraz dziesięć razy droższe, kiedy wiem, spod jakiej grozy musiał je Parfien wydostać. Kłaniaj się, powiada, i podziękuj synowi.” No, a ja tymczasem za radą matki pożyczyłem u Sieriożki Protuszyna dwadzieścia rubli i jazda pociągiem do Pskowa. Dojechałem z febrą. Staruchy zaczęły mnie tam leczyć modlitwami, a ja siedzę pijany; potem za ostatnie grosze chodziłem od szynku do szynku i przeleżałem całą noc w rynsztoku, bez przytomności. Rano już miałem gorączkę; a w nocy oprócz tego psy mnie pogryzły. Ledwom przyszedł do siebie.

- No, no, proszę łaskawego pana, inaczej nam teraz zaśpiewa Nastasja Filipowna! - chichotał urzędnik zacierając ręce - teraz, panie dobrodzieju, furda kolczyki! Teraz takie kolczyki spravimy...

- Jeśli raz jeszcze powiesz choć słówko o Nastasji Filipownie, Bóg świadkiem, spuszczę ci baty, mimo że jeździłeś z Lichaczowem! - zawołał Rogożyn chwyciwszy go mocno za rękę.

- Spuścisz baty, więc nie odepchniesz! Wal! Jak spuścisz baty, to tak jakbyś przypieczętował... No, przyjechaliśmy!

Rzeczywiście pociąg wjeżdżał na stację. Chociaż Rogożyn mówił, że wyjechał po kryjomu, już na niego czekało kilkunastu ludzi. Krzyczeli i machali do niego czapkami.

- Patrzcie no, jest i Zalozew - wybąkał Rogożyn patrząc na nich z triumfującym i nawet jakby złośliwym uśmiechem; potem nagle odwrócił się do księcia. - Nie wiem, księżę, za co cię polubiłem. Może dlatego że cię spotkałem w takiej chwili, ale przecie jego też spotkałem (wskazał na Lebediewa), a nie polubiłem. Przyjdź do mnie, księżę. Zdejmiemy z ciebie te getrzymiska, ubiorę cię w najlepsze futro z kuny, w białą kamizelkę albo jaką zechcesz, napcham ci pełne kieszenie pieniędzy i... pójdziemy do Nastasji Filipowny! Przyjdziesz?

- Niech księżę uważa! - podchwycił tonem sugestywnym i uroczystym Lebediew. - Oj, niech pan nie przepuszcza okazji! Oj, niech pan nie przepuszcza okazji!...

Księżę Myszkina wstał, grzecznie podał Rogożynowi rękę i rzekł do niego uprzejmie:

- Z największą przyjemnością przyjdę i bardzo panu dziękuję za to, że mię pan polubił. Może jeszcze dzisiaj wpadnę, jeśli zdążę. Bo, powiem panu otwarcie, i pan bardzo mi się spodobał, zwłaszcza kiedy pan opowiadał o brylantowych kolczykach. Nawet już przed tym opowiadaniem

poczułem do pana sympatię, chociaż ma pan ponurą twarz. Dziękuję panu również za obiecane mi ubrania i futro, bo rzeczywiście ubranie i futro przydadzą mi się wkrótce. Co zaś do pieniędzy, to w obecnej chwili nie mam prawie ani grosza.

- Pieniądze będą, do wieczora będą, przychodź!

- Będę, będę - podchwycił urzędnik - będę wieczorem, jeszcze przed zachodem słońca!

- A czy płęć piękną księżę bardzo lubi? Proszę mi zawczasu powiedzieć.

- Ależ nie! Ja przecież... Pan może nie wie... ja przecież wskutek mojej wrodzonej choroby wcale nawet nie znam kobiet.

- Jeśli tak - zawołał Rogożyn - to znaczy, że księżę jest całkiem jak ten głupiec boży, a takich Pan Bóg lubi.

- Takich Pan Bóg wszechmogący lubi - podchwycił urzędnik.

- A ty, gryzipiórku, chodź ze mną - powiedział Rogożyn do Lebediewa i wszyscy wyszli z wagonu.

Lebediew na koniec dopiął zamierzonego celu. Niebawem hałaśliwa gromada ruszyła w stronę Wozniesieńskiego Prospektu. Księżę musiał zawrócić w stronę Litiejnej. Było zimno i mokro. Księżę rozpytywał przechodniów - okazało się, że miał przed sobą jeszcze jakie trzy wiorsty, więc zdecydował się wziąć dorożkę.

II

Generał Jepanczyn mieszkał we własnym domu, trochę w bok do Litiejnej, w stronę cerkwi Przemienienia. Oprócz tego (wspaniałego) domu, którego pięć szóstych było oddawane w najem, generał Jepanczyn miał jeszcze olbrzymi dom na Sadowej, przynoszący również nadzwyczajny dochód. Oprócz tych dwóch domów posiadał jeszcze pod samym Petersburgiem nader intratny i spory majątek, a w powiecie petersburskim jakąś fabryczkę. W dawnych czasach generał Jepanczyn, jak o tym wszyscy wiedzieli, miał do czynienia z dzierżawą dochodów państwowych. Obecnie brał udział - mając tam bardzo poważny głos - w kilku solidnych towarzystwach akcyjnych. Uchodził za człowieka posiadającego duże pieniądze, duże stanowisko i duże znajomości. W niektórych miejscach zdołał się stać po prostu niezastąpionym, między innymi w swoim urzędzie. A tymczasem wszyscy również dobrze wiedzieli, że Iwan Fiodorowicz Jepanczyn jest człowiekiem bez wykształcenia i pochodzi ze zwykłej żołnierskiej rodziny; ostatnia okoliczność mogła mu niewątpliwie przynieść tylko zaszczyt, jednak generał, człowiek wprawdzie mądry, nie pozbawiony był też małych, całkiem wybaczalnych słabostek i nie lubił niektórych aluzji. Ale mądrym i sprytnym człowiekiem był bezsprzecznie. Trzymał się na przykład metody, żeby się nie wysuwać na czoło tam, gdzie trzeba raczej pozostawać w cieniu, i wielu ceniło go właśnie za tę prostotę, właśnie za to, że zawsze był na swoim miejscu. A tymczasem gdybyż tylko ci ludzie wiedzieli, co się nieraz działo w duszy Iwana Fiodorowicza, który tak dobrze zawsze potrafił się znaleźć! Aczkolwiek rzeczywiście miał i praktykę, i doświadczenie w sprawach życiowych, i pewne niepospolite zdolności, wolał jednak uchościć raczej za wykonawcę cudzych pomysłów niż za człowieka z głową, wolał być uznawany za „oddanego bez czołobitności[7]”, i - zgodnie z duchem czasu - za Rosjanina i człowieka z sercem. Pod tym ostatnim względem przydarzyło mu się nawet kilka zabawnych historyjek; ale generał nigdy nie tracił animuszu nawet w najkłopotliwszych sytuacjach; przy tym szczęście mu dopisywało nawet w kartach, a grał na bardzo wysokie stawki i nawet, jakby z rozmysłem, nie tylko nie chciał skrywać tej swojej małej rzekomo słabostki do karciąt, tak istotnie i w wielu wypadkach przydającej mu się, ale nawet się nią popisywał. Obracał się w towarzystwach mieszanych, w każdym razie, rzecz prosta, wśród grubych ryb. Ale wszystko było w sferze przyszłości, na wszystko był jeszcze czas i wszystko musiało z czasem i swoją kolejną przyjść. Bo i pod względem wieku generał Jepanczyn był, jak się to mówi, w pełnym rozkwicie, miał lat pięćdziesiąt sześć, nie więcej, a to bądź co bądź stanowi piękny wiek, wiek, od którego dopiero zaczyna się prawdziwe życie. Zdrowie, cera, mocne, chociaż czarne zęby, przysadzista, krzepka budowa ciała, poważny wyraz twarzy rano na służbie, wesoły zaś pod wieczór przy kartach albo u księcia - wszystko to przyczyniało się do obecnych i przyszłych sukcesów i wyściełało różami drogę życia jego ekscelencji.

Rodzina generała też kwitła. Co prawda, nie były tam same róże, ale było dużo czegoś takiego, na czym od dawna zaczęły się poważnie i serdecznie skupiać największe nadzieje i plany dygnitarza. Bo istotnie jakież cel w życiu jest ważniejszy i świętszy od celów, jakie może mieć ojciec? W czym szukać oparcia, jeśli nie w rodzinie? Rodzina ekscelencji składała się z małżonki i trzech dorosłych córek. Generał ożenił się dość wcześnie, jeszcze będąc podporucznikiem, z panną prawie tego samego co i on wieku, nie posiadającą ani urody, ani wykształcenia, za którą wziął zaledwie pięćdziesiąt dusz - chociaż one właśnie stały się podstawą jego późniejszej fortuny. Jednak nigdy

potem nie żałował swego wczesnego ożenku, nigdy go nie uważał za poryw niešťczesnej młodości, a małżonkę swoją tak dalece považał i tak się jej bał czasami, że nawet ją kochał. Generałowa pochodziła z książęcej rodziny Myszkiców, rodziny wprawdzie nie nazbyt świętej, ale bardzo starożytnej, i była z tego wielce dumna. Jedna z ówczesnych wpływowych osobistości, jeden z tych protektorów, co udzielają protekcji, kiedy ich to nic nie kosztuje, zgodził się zająć małżeństwem młodej księżniczki. Otworzył furtkę młodemu oficerowi i popchnął go do wyjścia; a jemu niepotrzebne było żadne popychanie, wystarczyło wskazać oczyma - i tak by sobie dał radę! Z nielicznymi wyjątkami małżonkowie zgodnie przeżyli długi szmat czasu aż do srebrnego wesela. Jeszcze w bardzo młodym wieku generałowa umiała sobie znaleźć, jako księżniczka z pochodzenia i ostatnia w rodzie, a może też dzięki osobistym zaletom, pewne wysoko postawione protektorki. Później, w miarę wzrastania zamożności i służbowych awansów męża, zaczęła się po trosze w tych wyższych sferach aklimatyzować.

W ciągu ostatnich lat podrosły i dojrzały wszystkie trzy generalskie córki - Aleksandra, Adelajda i Agłaja. Co prawda, wszystkie trzy nosiły tylko nazwisko Jępanczyn, ale po matce były z rodu książęcego, miały dość znaczny posag tudzież ojca mogącego w przyszłości zająć bardzo wysokie stanowisko i - co również jest dość ważne - wszystkie trzy jaśniały niezwykłą urodą, nie wyłączając najstarszej Aleksandry, która już skończyła dwadzieścia pięć lat. Średnia miała dwadzieścia trzy lata, a najmłodsza Agłaja właśnie rozpoczęła dwudziesty pierwszy rok. Ta najmłodsza była nawet skończoną pięknością i w towarzystwie zwracała już na siebie powszechną uwagę. Ale i na tym jeszcze nie koniec: wszystkie trzy odznaczały się wykształceniem, rozumem i zdolnościami. Było rzeczą ogólnie wiadomą, że siostry nadzwyczaj się kochały i nawzajem popierały. Mówiono nawet o jakichś poświęceniach ze strony dwóch starszych sióstr na rzecz domowego bóstwa - najmłodszej. W towarzystwie nie tylko nie lubiły brylować, ale nawet były zbyt skromne. Nikt im nie mógł zarzucić pychy i wyniosłości, a tymczasem wiedziano, że są dumne i znają swoją wartość. Najstarsza była muzykalna, średnia doskonale rysowała; przez długie lata jednak prawie nikt o tym nie wiedział i wyszło to na jaw dopiero ostatnio, i to przypadkiem. Słowem, mówiono o nich wiele pochlebnych rzeczy. Byli jednak i nieżyczliwi. Ze zgrozą opowiadano, ile one przeczytały książek. Siostry nie śpieszyły się z zamążpójściem; bywanie w pewnej sferze towarzyskiej ceniły, ale nie za bardzo. Było to tym dziwniejsze, że wszyscy przecie znali kierunek myśli, charakter, cele i dążenia ich ojca.

Było już koło jedenastej, kiedy książę zadzwonił do mieszkania generała. Generał mieszkał na drugim piętrze i zajmował lokal możliwie skromny, chociaż odpowiedni do jego stanowiska. Otworzył księciu lokaj w liberii i książę długo musiał tłumaczyć się przed tym sługusem, który od pierwszej chwili patrzył podejrzliwie na niego i na jego tobolek. Wreszcie po wielokrotnym i solennym zapewnieniu, że jest naprawdę księciem Myszkicem i że musi koniecznie widzieć się z generałem w nader ważnej sprawie, osiągnął tyle, że sługa, wciąż zdziwiony, zaprowadził go obok, do małego przedpokoju, przed samą poczekalnią koło gabinetu, i oddał w ręce drugiego sługi, który dyżurował co rano w tym przedpokoju i meldował generałowi interesantów. Ten drugi sługa był we fraku, miał ponad czterdzieści lat i zatroskaną fizjonomię; był to specjalny kamerdyner przy gabinecie eksceleńcji i poniekąd jego prawa ręka, więc znał swoją wartość.

- Niech pan się zatrzyma w poczekalni, a tłumoczek proszę zostawić tutaj - rzekł sadowiac się bez pośpiechu i z godnością w fotelu i patrząc z surowym zdziwieniem na księcia, który usiadł obok

niego na krzesło z tobołkiem w ręku.

- Jeśli pan pozwoli - powiedział ksiązę - wolałbym zaczekać tutaj z panem, bo jakżeż tam samemu?...

- W przedpokoju panu nie wypada, bo jest pan interesantem, czyli gościem. Pan do samego generała?

Lokaj widocznie nie mógł się pogodzić z myślą wpuszczenia takiego interesanta i postanowił jeszcze raz go wybadać.

- Tak, mam sprawę... - zaczął ksiązę.

- Nie pytam, jaką mianowicie sprawę; moim obowiązkiem jest tylko pana zaanonsować. A bez sekretarza, jak powiedziałem, anonsować nie pójdę.

Wydawało się, że podejrzliwość kamerdynera z minuty na minutę rosła; bo też ksiązę całkiem się nie mieścił w kategorii zwykłych interesantów i chociaż generał dosyć często, niemal codziennie o pewnej porze, musiał przyjmować najrozmaitszych gości, zwłaszcza takich, co mieli sprawy, jednak mimo praktyki i instrukcji, nader obszernej, kamerdyner był w dużym kłopotcie; pośrednictwo sekretarza w zameldowaniu było niezbędne.

- Pan rzeczywiście... z zagranicy? - spytał w końcu jakby nieumyślnie i stropił się; chciał może spytać: „Czy pan jest rzeczywiście ksiązę Myszkim?”

- Tak, wprost z pociągu. Zdaje mi się, że pan chciał spytać, czy jestem naprawdę księciem Myszkimem, ale nie spytał pan przez grzeczność.

- Hm... - mruknął zaskoczony lokaj.

- Upewniam pana, że nie skłamałem, i z mojego powodu nie będzie pan miał przykrości. A że tak wyglądam i przyszedłem z tobołkiem, nie ma się co dziwić; jestem obecnie w trudnych warunkach.

- Hm! Nie tego się obawiam, widzi pan. Zameldować muszę i wyjdzie do pana sekretarz, chyba że pan... Właśnie w tym sęk, że... Czy pan nie z powodu ubóstwa idzie do generała, pozwolę sobie zapytać, jeśli można?

- O nie, co do tego może pan być zupełnie spokojny. Mam inną sprawę.

- Proszę mi wybaczyć, ja tak, patrząc na pana, zapytałem. Niech pan zaczeka na sekretarza; generał teraz jest zajęty z pułkownikiem; potem przyjdzie sekretarz... bardzo przyjemny człowiek.

- Skoro więc trzeba czekać, mam do pana prośbę: czy nie można by tu gdzieś popalić? Zabrałem z sobą tytoń i fajkę.

- Po - pa - lić? - z pogardliwym zdumieniem podniósł na niego oczy kamerdyner, jakby wciąż

jeszcze nie wierząc uszom - popalić? Nie, tu nie wolno palić, a poza tym wstydziłby się pan nawet myśleć o tym... He... dziwię się panu!

- O, przecież ja nie prosiłem, żeby w tym pokoju; przecież wiem; wyszedłbym gdzieś, tam gdzie by mi pan wskazał, ponieważ mam to przyzwyczajenie, a już trzy godziny nie paliłem. Zresztą jak pan sobie życzy; zna pan przysłowie: kiedy wpadłeś między wrony...

- No, jakże ja zamelduję takiego jak pan? - wymamrotał prawie mimo woli kamerdyner. - Po pierwsze, pan nawet nie powinien znajdować się tutaj, tylko w poczekalni, pan jest w charakterze interesanta, czyli gościa, i ja będę odpowiadał... A pan co niby, zamierza u nas mieszkać czy jak? - dodał jeszcze raz popatrzywszy z ukosa na tobolek księcia, najwidoczniej nie dający mu spokoju.

- Nie, nie zamierzam. Nawet gdyby mię zaproszono, nie zostałbym. Przyjechałem po prostu, żeby się zaznajomić, i nic więcej.

- Jak? Zaznajomić się? - spytał kamerdyner ze zdziwieniem i potrójną nieufnością. - A dlaczegóż mówił pan przedtem, że pan ma jakąś sprawę?

- O, to właściwie nie jest żadna sprawa! Ściśle biorąc, jeśli pan chce, mam taką sprawę: chcę się tylko poradzić, ale głównie chodzi mi o to, żeby się przedstawić, gdyż jestem księciem Myszkinem, a generałowa Jepanczyn też jest księżną Myszkini i też ostatnią, bo oprócz niej i mnie żadnych więcej Myszkiniów nie ma.

- Więc pan jest w dodatku krewniakiem? - zawołał, już prawie całkiem wystraszony, lokaj.

- Prawie że nie. Zresztą, jeśli wziąć z naciąganiem, oczywiście jestem spokrewniony, ale to pokrewieństwo jest tak dalekie, że nie można go poważnie brać w rachubę. Zwracałem się raz do generałowej listownie z zagranicy, jednak mi nie odpowiedziała. Mimo to uważałem za konieczne nawiązać stosunki po powrocie. Panu zaś tłumaczę teraz to wszystko, żeby pan nie miał wątpliwości, gdyż widzę, że pan się wciąż niepokoi: proszę zameldować, że przyszedł książę Myszkini, i już z samego zameldowania wynikać będzie cel mojej wizyty. Przyjmą - dobrze, a nie przyjmą - może nawet bardzo dobrze. Chociaż nie przyjmą, zdaje się, nie mogą; generałowa z pewnością zechce zobaczyć najstarszego i jedyne go przedstawiciela swojego rodu, a ona rasę swoją wysoko ceni, jak o tym słyszałem z nader miarodajnych ust.

Zdawało się, że to, co książę mówił, było zupełnie proste; ale im było prostsze, tym się stawało w danym wypadku niedorzeczniejsze, i doświadczony kamerdyner nie mógł nie odczuć czegoś, co najzupełniej przystoi człowiekowi względem człowieka i najzupełniej nie przystoi gościowi względem „człowieka”. A ponieważ taki „człowiek” zawsze jest o wiele mądrzejszy, niż sobie o nim wyobrażają jego władcy, przeto i kamerdynerowi zaświtało w głowie, że mogą tu zachodzić dwa przypadki: albo książę jest jakimś wycirusem i z pewnością przyszedł prosić o wsparcie, albo jest zwyczajnym głupcem, bez ambicji, ponieważ mądry książę, mający ambicję, nie siedziałby w przedpokoju i nie rozmawiałby z lokajem o swoich sprawach; czy więc i w jednym, i w drugim wypadku nie trzeba będzie za niego odpowiadać?

- Powinien się pan jednak udać do poczekalni - zauważył tonem jak najbardziej nalegającym.

- Ba, gdybym tam siedział, to bym panu wszystkiego nie objaśnił - roześmiał się wesoło książę - i pan wobec tego wciąż jeszcze niepokoiłby się patrząc na mój płaszcz i tobołek. A teraz może pan nawet nie będzie czekał na sekretarza i pójdzie zameldować sam.

- Gościa takiego jak pan nie mogę zameldować bez sekretarza, a przy tym jego ekscelencja niedawno specjalnie nakazał, żeby mu nie przeszkadzać, kiedy tam jest pan pułkownik, a Gawriła Ardalionowicz wchodzi bez meldowania.

- Urzędnik?

- Gawriła Ardalionowicz? Nie. Pracuje sam dla siebie w Kompanii. Tobołek niechże pan chociaż tam postawi.

- Już o tym myślałem, jeśli pan pozwoli. I, wie pan, zdejmę chyba płaszcz?

- Naturalnie, przecież w płaszczu pan nie wejdzie.

Książę wstał, pośpiesznie zdjął opończę i został w dosyć przyzwoitej i zgrabnie skrojonej, aczkolwiek już znoszonej marynarce. Na kamizelce wisiał stalowy łańcuszek, a do łańcuszka, jak się okazało, przyczepiony był srebrny genewski zegarek.

Chociaż książę był przygłupi - lokaj doszedł już do tego wniosku - jednak kamerdyner generała pomyślał w końcu, że nie wypada mu prowadzić dalej rozmowy z gościem, mimo iż książę dla czegoś spodobał mu się, oczywiście pod niektórymi względami. Z innego wszakże punktu widzenia budził w nim zdecydowaną i ordynarną niechęć.

- A generałowa kiedy przyjmuje? - spytał książę siadając znowu na poprzednim miejscu.

- To już nie moja sprawa. Przyjmuje rozmaicie, zależnie od osoby. Krawcową przyjmie i o jedenastej. Gawriłę Ardalionowicza też przyjmuje wcześniej niż innych, dopuszcza nawet do pierwszego śniadania.

- Tu u was w pokojach zimą cieplej niż za granicą - zauważył książę - ale tam za to na ulicach cieplej, a w mieszkaniach zimową porą trudno wytrzymać Rosjaninowi, który się nie zdążył przyzwyczaić.

- Nie palą?

- Tak. I domy urządzone są inaczej, to jest piece i okna.

- Hm! A czy długo pan podróżował?

- Aż cztery lata. Zresztą cały czas prawie siedziałem na jednym miejscu na wsi.

- Odzwyczaił się pan od wszystkiego, co nasze?

- I to prawda. Niech mi pan wierzy, sam sobie się dziwię, że nie zapomniałem mówić po

rosyjsku. Rozmawiam, ot, teraz z panem, a sam myślę: „Jak to jednak ja dobrze mówię.” Może dlatego jestem taki rozmowny. Doprawdy, od wczoraj wciąż mam ochotę mówić po rosyjsku.

- Hm! He! A czy pan przedtem zamieszkiwał w Petersburgu? (Pomimo wszelkich wysiłków lokaj nie mógł nie podtrzymać tak uprzejmej i grzecznej rozmowy.)

- W Petersburgu? Prawie że nie, tak tylko, przejazdem. I przedtem nic tu nie znałem, a teraz podobno tyle nowego że, jak powiadają, nawet ten, kto cokolwiek znał, musi się uczyć poznawać od początku. Mówią tu obecnie dużo o sądach[8].

- Hm!... O sądach. Niby prawda, że mówią. A jak tam, sądy sprawiedliwsze są niż u nas ?

- Nie wiem. O naszych słyszałem dużo dobrego. U nas na przykład nie ma kary śmierci.[9]

- A tam jest kara śmierci?

- Jest. Widziałem egzekucję we Francji, w Lyonie. Zabrał mnie tam z sobą Schneider.

- Wieszają?

- Nie, we Francji nadal ścinają głowy.

- No i co, krzyczy?

- Gdzie tam! To się dzieje w okamgnieniu. Człowieka kładą i w maszynie, co się nazywa gilotyną, spada taki szeroki nóż, ciężko, mocno... Głowa odskakuje tak szybko, że się nawet nie zdąży mrugnąć. Przygotowania są nieprzyjemne. Kiedy ogłaszają wyrok, ubierają, krępują sznurami, prowadzą na szafot, to wszystko jest okropne! Ludzie się zbiegają, nawet kobiety, chociaż tam nie lubią, żeby kobiety patrzyły.

- Nie ich rzecz.

- Oczywiście! Oczywiście! Patrzeć na taką mękę!... Skazaniec był człowiekiem mądrym, nieustraszoną, silnym, niemłodą. Nazywał się Legros. I mówię panu, niech pan wierzy albo nie wierzy: jak wchodził na szafot - płakał, blady był jak ściana. Czy to jest możliwe? Czy to nie straszne? No bo któż płacze ze strachu? Nie przypuszczałem, że może płakać ze strachu nie jakieś tam dziecko, ale mężczyzna, który nigdy nie płakał, mężczyzna czterdziestopięcioletni. Cóż się w takich momentach dzieje z duszą ludzką, do jakich spazmów się ją doprowadza? Znęcanie się nad duszą, i nic więcej! Powiedzione jest: „Nie zabijaj”, więc dlatego że zabił, jego się zabija? Nie, tak nie wolno. Widziałem to już miesiąc temu, a dotychczas mam przed oczyma. Pięć razy mi się śniło.

Książę nawet ożywił się mówiąc, lekki rumieniec wystąpił na jego białej twarzy, aczkolwiek słowa były tak jak przedtem ciche. Kamerdyner obserwował go z życzliwym zainteresowaniem i najwidoczniej nie chciało mu się przerywać tej rozmowy; może sam był człowiekiem nie pozbawionym wyobraźni i usiłującym myśleć.

- Dobrze jeszcze, że to krótka męczarnia, kiedy głowa odlatuje - zauważył.

- Wie pan co? - podchwycił gorąco książkę. - Pan to zauważył i wszyscy to tak samo widzą jak pan, i po to wymyślono gilotynę. A mnie zaraz wtedy przyszła do głowy taka myśl: czy to nie jest jeszcze gorzej? Pana to może śmieszy, panu się to wydaje nieprawdopodobne, ale przy pewnej wyobraźni nawet taka myśl do głowy wskoczy. Niech pan pomyśli: weźmy na przykład tortury; są przy tym cierpienia i rany, męka cielesna, i to wszystko odrywa od męki duchowej, toteż człowiek męczy się tylko z powodu ran tak długo, dopóki nie umrze. A przecie najsilniejszy ból pochodzi może nie od ran, ale od świadomości, że za godzinę, potem za dziesięć minut, potem za pół minuty, potem za chwilę, zaraz - dusza wyleci z ciała i że już nie będzie się człowiekiem; a najważniejsze to, że na pewno. Właśnie kiedy człowiek położy głowę pod sam nóż i usłyszy, jak on z szelestem zaczyna spadać - ta ćwierć sekundy jest najstraszliwsza. Wie pan, że to nie tylko moja fantazja, że wielu tak mówiło? I ja tak w to wierzę, iż powiem panu wprost, co o tym sędzę. Zabić za morderstwo to kara niewspółmiernie duża w stosunku do samej zbrodni. Zabójstwo na mocy wyroku jest bez porównania okropniejsze niż zabójstwo dokonane przez bandytę. Ten, kogo bandyci zabijają, mordują w nocy, w lesie, albo jakoś tam, niewątpliwie ma jeszcze nadzieję wyratowania się, ma ją do ostatniego momentu. Bywały wypadki, że komuś już poderżnięto gardło, a on jeszcze łudził się nadzieją, próbował uciekać albo błagał o litość. A tu całą tę ostatnią nadzieję, z którą umierać jest dziesięć razy złej, odbierają człowiekowi na pewno; tu jest wyrok, i w tym, że na pewno się nie uniknie jego skutków, tkwi cała ta okropna męka, od której nie ma nic na świecie silniejszego. Niech pan przyprowadzi i postawi żołnierza naprzeciwko armaty w bitwie, i niech pan do niego strzela: wciąż będzie miał nadzieję. Ale niech pan temu samemu żołnierzowi przeczyta taki wyrok, a na pewno zwariuje albo się rozplacze. Kto powiedział, że natura ludzka zdolna jest znieść to bez obłąkania? Po co ten gwałt ohydny, niepotrzebny, bezcelowy? Może istnieje taki człowiek, któremu przeczytano wyrok, dano się pomęczyć, a potem oznajmiono: „Idź, zostałeś ulaskawiony.” Tylko taki człowiek mógłby coś niecoś opowiedzieć[10]. Chrystus też mówił o tej męce i o tym strachu. Nie, z człowiekiem nie wolno tak postępować!

Kamerdyner, chociaż nie umiałby tak wyrazić wszystkiego jak książkę, zawsze jednak, wprawdzie nie wszystko, ale co ważniejsze zrozumiał. Widać to było nawet z jego rozczulonej twarzy.

- Jeżeli już pan tak bardzo chce - powiedział - zapalić, to ostatecznie można, byle prędyutko. Bo nagle wezwie, a pana nie ma. O tu, pod schodami, widzi pan, są drzwi. Wejdzie pan w te drzwi; na prawo jest komórka; tam można, tylko lufcik pan otworzy, bo to przecie nieporządek...

Książkę jednak nie zdążył pójść zapalić. Do przedpokoju wszedł znieca młody człowiek niosąc jakieś papiery. Kamerdyner jął z niego zdejmować futro. Młody człowiek spojrzał z ukosa na księcia.

- Ten pan, Gawriło Ardalionowiczu - zaczął konfidencjonalnie i prawie poufale kamerdyner - melduje się, że jest księciem Myszkimem i krewnym pani generałowej, przyjechał pociągiem z zagranicy, z tłumoczkiem w rękę, ale...

Dalszego ciągu książkę nie usłyszał, gdyż kamerdyner zaczął mówić szeptem. Gawriła Ardalionowicz słuchał uważnie i spoglądał na księcia z wielkim zaciekawieniem, wreszcie przestał słuchać i niecierpliwie podszedł do niego.

- Pan jest księżę Myszkim? - zapytał nadzwyczaj uprzejmie i grzecznie. Był to bardzo przystojny i młody mężczyzna, też lat dwudziestu ośmiu, wysmukły blondyn, wzrostu średnio wysokiego, z małą hiszpańską bródką, o twarzy rozumnej i pięknej. Tylko uśmiech jego, aczkolwiek bardzo uprzejmy, wyglądał jakoś zanadto subtelnie, odsłaniał zęby, jakoś za bardzo perłowe i równe; spojrzenie mimo całej wesołości i niewątpliwej prostoduszności też było jakoś zanadto przenikliwe i badawcze.

„Kiedy jest sam, z pewnością tak nie patrzy, i może nawet nigdy się nie śmieje” - raczej wyczuł, niż pomyślał księżę. Objął wszystko, co mógł naprędce, prawie to samo, co już przedtem objaśniał kamerdynerowi, a jeszcze przedtem Rogożynowi. Gawriła Ardalionowicz tymczasem jakby coś sobie przypomniał.

- Czy to przypadkiem nie pan - zapytał - z rok temu albo nawet mniej, był łaskaw przysłać list, bodajże ze Szwajcarii, do Jelizawiey Prokofiewny?

- Tak jest.

- Więc pana tu znają i na pewno pamiętają. Pan do jego ekscelencji? Zaraz zamelduję... Zaraz będzie wolny. Tylko niechże pan... powinien pan na razie wejść do poczekalni... Dlaczego trzymasz pana tutaj? - zwrócił się surowo do kamerdynera.

- Przecie mówię, że pan sam nie chciał...

W tej chwili nagle otworzyły się drzwi gabinetu i jakiś wojskowy z teczką w ręku wyszedł stamtąd kłaniając się i głośno mówiąc.

- Jesteś tu, Gania? - zawołał głos z gabinetu - chodź no, proszę!

Gawriła Ardalionowicz kiwnął księciu głową i pośpiesznie wszedł do gabinetu.

Po jakichś dwóch minutach drzwi otworzyły się znowu i rozległ się dźwięczny i przyjazny głos Gawriły Ardalionowicza:

- Niech księżę pozwoli!

III

Generał Iwan Fiodorowicz Jepanczyn stał pośrodku swojego gabinetu i z nadzwyczajnym zaciekawieniem patrzył na wchodzącego księcia, a nawet postąpił ku niemu dwa kroki. Książę podszedł i przedstawił się.

- Tak, proszę pana - odrzekł generał - czymże mogę służyć?

- Żadnego pilnego interesu nie mam, chciałem po prostu poznać pana. Nie chciałbym przeszkadzać, a nie znam pańskiego porządku dnia i pańskich zarządzeń... Ale jestem tu wprost z pociągu... przyjechałem ze Szwajcarii.

Generał z lekka się uśmiechnął, jednak pomyślał i dał spokój; potem jeszcze pomyślał, przymrużył oczy, jeszcze raz obejrzał swojego gościa od stóp do głowy, następnie szybko wskazał mu krzesło, sam usiadł cokolwiek z boku i w niecierpliwym oczekiwaniu zwrócił się do księcia. Gania stał w kącie gabinetu, przy biurku, i przeglądał papiery.

- Na sprawy towarzyskie mało mam w ogóle czasu - oświadczył generał - ale ponieważ pan oczywiście przyszedł tu w określonym celu...

- Tak właśnie czułem - przerwał książę - iż pan dopatry się w mojej wizycie jakiegoś specjalnego zamiaru. Jednak, daję słowo, prócz przyjemności zaznajomienia się nie kieruje mną żaden szczególny cel.

- Przyjemność oczywiście i dla mnie nadzwyczajna, ale życie składa się nie tylko z rozrywek, są też interesy... Przy tym ani rusz nie mogę dotąd stwierdzić, co nas właściwie łączy... jaki jest, że się tak wyrażę, powód...

- Powodu naturalnie nie ma i wspólnego, rzecz prosta, między nami mało... gdyż skoro nawet jestem księciem Myszkinem i pańska małżonka pochodzi z naszej rodziny, nie daje to jeszcze żadnego powodu... Bardzo dobrze to rozumiem. A jednak powód moich odwiedzin polega tylko na tym. Nie byłem w Rosji cztery lata z okładem; no i w jakim stanie wyjechałem: prawie bez piątej klepki. I wtedy o niczym nie miałem pojęcia, a teraz tym bardziej. Potrzebni mi są dobrzy ludzie; mam nawet pewien interes, a nie wiem, gdzie się z nim zwrócić. Pomyślałem jeszcze w Berlinie: „To są niemal krewni, zacznę od nich; może się sobie przydamy na coś, oni mnie, a ja im - jeżeli są dobrzy.” A słyszałem, że tak jest w istocie.

- Bardzo dziękuję łaskawemu panu - zdziwił się generał. - A czy mogę wiedzieć, gdzie się pan zatrzymał?

- Nigdzie się jeszcze nie zatrzymałem.

- To znaczy - wprost z pociągu do mnie? I... z bagażem?

- Ależ całego bagażu mam jeden mały tłumoczek z bielizną, i nic więcej; noszę go zazwyczaj w

ręku. Numer w hotelu zdążę wynająć nawet wieczorem.

- Więc pan trwa w zamiarze wynajęcia numeru?

- O tak, naturalnie.

- Sądząc z pańskich słów pomyślałem sobie, że pan po prostu zajechał do mnie.

- Mogło się tak zdarzyć, ale nie inaczej niż na skutek pańskiego zaproszenia. Wyznam jednak, że nie zostałem, nawet będąc zaproszony; nie z jakiegoś określonego powodu, tylko... taki już mam charakter.

- A zatem dobrze się stało, że pana nie zaprosiłem i nie zapraszam. Pozwoli pan, że od razu wyjaśnimy: ponieważ właśnie dogadaliśmy się, że o pokrewieństwie między nami mowy być nie może, chociaż mnie oczywiście bardzo by to pochlebiało, więc...

- Więc trzeba zabrać się i iść? - książę wstał i nawet jakoś wesoło się roześmiał mimo widoczną kłopotliwość swojej sytuacji. - I dalibóg, panie generale, mimo iż właściwie nie znam tutejszych obyczajów ani w ogóle nie wiem, jak tu ludzie żyją, od razu przypuszczałem, że tak to wszystko między nami się ułoży, jak teraz się ułożyło. Ano, może tak być powinno. Przecie wtedy również nie dostałem odpowiedzi na swój list... No, do widzenia i przepraszam za najście.

Spojrzenie księcia w tej chwili było tak dobrotliwe, a uśmiech jego tak nie zdradzał jakichkolwiek utajonych nieprzyjaznych uczuć, że generał raptem zatrzymał się i jakby innym okiem spojrzał na swojego gościa; cała ta zmiana spojrzenia odbyła się błyskawicznie.

- A wie pan co - powiedział prawie zupełnie innym głosem - przecież ja pana właściwie nie znam, no i może Jelizawieta Prokofiewna zechce zobaczyć krewniaka noszącego to samo nazwisko, co i ona, nazwisko... Niech pan zaczeka, jeśli łaska, jeśli panu czas pozwala.

- O, czas mi pozwala, mój czas należy tylko do mnie (i książę natychmiast położył swój miękki, z okrągłym rondem kapelusz na stole). Przyznam się, iż liczyłem na to, że Jelizawieta Prokofiewna przypomni sobie list, który do niej pisałem. Nie tak dawno sługa pański, kiedy czekałem na przyjęcie, podejrzewał, że będąc biedny przychodzę prosić o wsparcie; zauważyłem to, a zapewne wydał pan co do tego ściśle instrukcje; jednak ja naprawdę nie po to, tylko żeby poznać się z ludźmi. Myślę jednak, że panu przeszkodziłem w pracy, i to mię niepokoi.

- Proszę pana - rzekł generał z wesołym uśmiechem - jeśli pan istotnie jest taki, jakim się wydaje, to na pewno przyjemnie będzie się z nim poznać; tylko, widzi pan, ja osobiście jestem wciąż zajęty i zaraz siądę znowu, żeby coś niecoś przejrzeć i podpisać, a później udam się do jego książęcej mości, następnie zaś do biura, no i w rezultacie, chociaż mile widzę ludzi... dobrych, ale... jednak... Zresztą tak jestem przekonany o pańskich dobrych manierach, że... A ile pan ma lat?

- Dwadzieścia sześć.

- Uf! Sądziłem, że o wiele mniej.

- Tak, podobno młodo wyglądam. A nie przeszkadzać panu nauczę się i prędko to zrozumieć, ponieważ sam bardzo nie lubię przeszkadzać... I wreszcie zdaje mi się, że jesteśmy ludźmi różnego pokroju... z wielu względów; że między nami chyba nie może być wiele punktów wspólnych, chociaż, wie pan, w to właśnie nie bardzo wierzę, gdyż często tak się tylko zdaje, że ich nie ma, a one są, i jeszcze jakie... To lenistwo ludzkie sprawia, że ludzie tak się na oko sortują i nic nie mogą znaleźć... Zresztą może to pana nudzi? Pan jak gdyby...

- Dwa słowa, proszę pana: czy ma pan jakikolwiek majątek? Albo może ma pan w projekcie jakieś zajęcia? Przepraszam, że tak...

- Ależ co znowu, dobrze rozumiem i oceniam pańskie pytanie. Żadnego majątku na razie nie mam i żadnych zajęć też, a przydałyby mi się bardzo. Obecnie korzystałem z cudzych pieniędzy, dał mi je na drogę pan Schneider, mój profesor, u którego leczyłem się i studiowałem w Szwajcarii, dał dokładnie tyle, żeby wystarczyło, tak że teraz na przykład zostało mi wszystkiego kilka kopiejek. Mam, co prawda, napięty jeden interes i potrzebuję rady, ale...

- Niechże pan powie, z czego pan chce tymczasem żyć i jakie pan ma zamiary? - przerwał generał.

- Chcę pracować.

- O, to z pana filozof; zresztą... czy pan posiada jakieś talenty lub zdolności chociażby przeciętne, takie, które dają kawałek chleba powszedniego? Niech mi pan znów wybaczy...

- O, niech się pan nie usprawiedliwia. Nie, proszę pana, sędzę, że nie mam talentów ani specjalnych zdolności; nawet przeciwnie, gdyż jestem człowiekiem chorym i regularnych studiów nie odbywałem. Co zaś tyczy się chleba, to zdaje mi się...

Generał znów przerwał i znów zaczął wypytywać. Księżę znów opowiedział wszystko, o czym już mówił przedtem. Okazało się, że generał słyszał o nieboszczyku Pawliszczewie i nawet znał go osobiście. Z jakiej racji Pawliszczew interesował się jego wychowaniem, księżę nie umiał wytłumaczyć - może zresztą było to po prostu wynikiem starej przyjaźni z nieboszczykiem ojcem jego. Gdy rodzice umarli, księżę był jeszcze małym dzieckiem; potem przez długie lata mieszkał i wychowywał się po wsiach, przede wszystkim ze względu na zdrowie, które wymagało wiejskiego powietrza. Pawliszczew powierzył go pewnym starym obywatelkom ziemskim, swoim krewnym; zgodzono do dziecka najpierw guwernantkę, później guwernera. Księżę wyznał zresztą, że aczkolwiek wszystko pamięta, niewiele może objaśnić w sposób zadowalający, gdyż z wielu rzeczy nie zdawał sobie sprawy. Częste ataki choroby uczyniły z niego prawie idiotę (księżę tak się wyraził: idiotę). Opowiedział w końcu, że Pawliszczew spotkał się raz w Berlinie z profesorem Schneiderem, Szwajcarem, który jest specjalistą właśnie od tych chorób, ma sanatorium w Szwajcarii, w kantonie Le Valais, kuruje swoim systemem - zimną wodą i gimnastyką, leczy zarówno idiotyzm, jak i schizofrenię, przy tym udziela lekcji i w ogóle dba o rozwój umysłowy pacjenta; że Pawliszczew wysłał go tam do Szwajcarii mniej więcej przed pięciu laty, a sam dwa lata temu nagle zmarł, nie wydawszy stosownych zarządzeń; że Schneider utrzymywał go i prowadził dalej kurację jeszcze ze dwa lata; że go nie wyleczył, ale bardzo mu pomógł i że wreszcie na jego własne żądanie i wskutek pewnej okoliczności, która niedawno wynikła, odesłał go teraz do Rosji. Generał bardzo się zdziwił.

- I pan w Rosji nie ma nikogo, absolutnie nikogo? - spytał.

- Teraz nikogo... ale mam nadzieję... przy tym dostałem list...

- Dobrze chociaż - przerwał generał nie dosłyszawszy o liście - że pan się czegoś uczył, a pańska choroba zapewne nie przeszkodzi panu zająć jakieś na przykład nie wymagające zbytniego natężenia umysłu stanowisko w którymś z urzędów?

- O, na pewno nie przeszkodzi. A co się tyczy posady, bardzo bym nawet pragnął, dlatego że sam chcę zobaczyć, do czego jestem zdolny. Uczyłem się całe cztery lata bez przerwy, jednak niezbyt prawidłowo, tylko tak jakoś, według jego własnej metody, a przy tym udało mi się przeczytać dużo rosyjskich książek.

- Rosyjskich książek? A więc umie pan czytać i może pan pisać bez błędu?

- O, w zupełności mogę.

- Doskonale; a charakter pisma?

- Charakter pisma mam bardzo ładny. W tym jest chyba mój jedyny talent; można mię nazwać kaligrafem. Niech pan pozwoli, zaraz napiszę panu coś na próbę - rzekł z zapalem książkę.

- Pan będzie łaskaw. To nawet jest konieczne... I podoba mi się ta pańska gotowość, doprawdy, jest pan bardzo sympatyczny.

- Pan ma takie wspaniałe przybory piśmienne, tyle ołówków, tyle piór, taki gruby, znakomity papier... I taki wspaniały gabinet! Ten pejzaż znam, to widok ze Szwajcarii. Jestem pewny, że artysta malował z natury, i jestem pewny, że widziałem tę miejscowość: to w kantonie Uri...

- Bardzo możliwe, chociaż kupiłem to tutaj. Gania, papieru dla księcia! Proszę, pióro i papier, niech pan usiądzie przy tym stoliku. Cóż to takiego? - zwrócił się generał do Gani, który tymczasem wyjął ze swojej teczki i podał mu fotografię dużego formatu. - Ba! Nastasja Filipowna! A co, sama, sama ci przysłała, sama? - wypytywał Ganię z ożywieniem i wielką ciekawością.

- Teraz mi dała, kiedy byłem wieszować. A prosiłem już dawno. Nie wiem, czy to czasem nie przymówka z jej strony, że sam przyjechałem z pustymi rękami, bez prezentu, w taki dzień - dodał Gania z nieprzyjemnym uśmiechem.

- No nie! - przerwał tonem pewności generał - i doprawdy dziwnie rozumujesz! Miałaby się przymawiać... Kiedy wcale nie jest interesowna. A poza tym cóż byś jej podarował: przecie tu potrzeba tysięcy! Może fotografię? Czy przypadkiem nie prosiła cię już o nią?

- Nie, jeszcze nie prosiła; i może nigdy nie poprosi. Pan, panie generale, pamięta niewątpliwie o dzisiejszym przyjęciu wieczornym? Pan jest jednym ze specjalnie zaproszonych gości.

- Pamiętam, pamiętam, oczywiście będę. No, bo jakże: urodziny, dwadzieścia pięć lat! Hm!... Wiesz, Gania, było nie było, coś ci wyznam. Posłuchaj. Afanasij Iwanowicz i ja dostaliśmy od niej

obietnicę, że dziś wieczorem u siebie powie ostatnie słowo: tak albo nie! Więc żebyś wiedział, uważaj!

Gania zmieszał się nagle do tego stopnia, że aż trochę przybladł.

- Na pewno to powiedziała? - spytał i głos jego jakby zadrżał.

- Onegdaj przyrzekła. Tak nalegaliśmy obaj, że wymogliśmy. Prosiła tylko, żeby tobie na razie o tym nie wspominać.

Generał badawczo przyglądał się Gani; jego skonfundowana mina widocznie mu się nie podobała.

- Niech pan sobie przypomni, generale - powiedział Gania lękliwie i niepewnie - że przecież dała mi zupełną swobodę decyzji do chwili, kiedy sama nie rozstrzygnie sprawy, a i wówczas jeszcze ostatnie słowo należy do mnie...

- Czyżby... czyżbyś ty... - przestraszył się nagle generał.

- Ja nic.

- Daj spokój, co chcesz z nami zrobić?

- Przecie nie odmawiam. Może nie tak się wyraziłem...

- Tego by tylko brakowało! Ty byś odmówił! - rzekł ze złością generał, nie pragnąc nawet jej ukrywać. - Tu, mój kochany, nie o to już chodzi, że ty nie odmawiasz, ale chodzi o twoją gotowość, zadowolenie, radość, z jaką przyjmiesz jej słowa... Co się tam dzieje u ciebie w domu?

- W domu? W domu wszystko tak tańczy, jak ja zagram, tylko ojciec, według zwyczaju, swawoli; zrobił się z niego zupełny szkaradnik; nawet z nim już nie rozmawiam, ale jednak trzymam go w ryzach; gdyby nie matka, doprawdy wskazałbym mu drzwi. Matka oczywiście bez ustanku płacze, siostra złości się, a ja im na koniec powiedziałem prosto w oczy, że jestem panem swego losu i chcę, żeby mnie w domu... słuchano. Przynajmniej siostrze wyrąbałem to wszystko w obecności matki.

- A ja, mój drogi, wciąż nie mogę tego pojąć - odezwał się zamyślony generał, wzruszywszy lekko ramionami i nieco rozkładając ręce. - Nina Aleksandrowna też przed paroma dniami - wtedy, kiedy tu była, pamiętasz? - jęczała i wzdychała. „Co pani jest?” - pytam. Okazuje się, że one w tym widzą hańbę. Jakaż tu hańba, za pozwoleniem? Któż może Nastasji Filipownie cokolwiek zarzucić albo coś złego jej wytknąć? Że była z Tockim? Ależ to wierutna bzdura, zwłaszcza wobec wiadomych okoliczności! „Pan - mówi - nie dopuściłby jej do swoich córek!” Patrzcie no! Ach, ta Nina Aleksandrowna! Jak można tego nie rozumieć, jak można nie rozumieć...

- Swojej sytuacji? - odpowiedział Gania zakłopotanemu generałowi. - Ona wszystko rozumie, niech się pan na nią nie gniewa. Ja zresztą od razu zmyłem jej głowę, żeby nie wtrącała się do cudzych spraw. Jednak dotąd wszystko się u nas w domu trzyma tylko dlatego, że jeszcze nie padło

ostatnie słowo; ale burza wybuchnie. Jeżeli dzisiaj będzie powiedziane ostatnie słowo, no to będzie powiedziane wszystko.

Księżę słyszał całą tę rozmowę siedząc w kącie nad swoją próbą kaligrafii. Skończył, podszedł do stołu i podał arkusik papieru.

- Więc to jest Nastasja Filipowna? - powiedział z ciekawością, uważnie obejrzawszy fotografię - zadziwiająco piękna! - dodał natychmiast z zapałem. Fotografia przedstawiała kobietę rzeczywiście niezwyklej urody. Kobieta owa była w czarnej jedwabnej sukni, nadzwyczaj prostego i wykwintnego kroju; włosy, prawdopodobnie ciemnoblond, miała uczesane zwyczajnie, po domowemu; oczy - ciemne, głębokie; czoło zamyślane; wyraz twarzy namiętny i jakby wyniosły. Twarz jej była nieco mizerna i zapewne blada... Gania i generał ze zdumieniem spojrzeli na księcia...

- Jak to - Nastasja Filipowna! Więc pan już zna i Nastasję Filipownę? - spytał generał.

- Tak, jestem w Rosji dopiero dobie, a już znam taką niezwykłą piękność - odrzekł księżę i zaraz opowiedział o swoim spotkaniu z Rogożynem tudzież o wszystkim, co mu tamten zakomunikował.

- Masz ci los! - zaniepokoił się znów generał, z nadzwyczajną uwagą wysłuchawszy relacji księcia, i spojrzął badawczo na Ganię.

- Skandal, nic więcej - wymamrotał też trochę zmieszany Gania - kupiecki synek się bawi. Coś niecoś o nim już słyszałem.

- Ja też słyszałem, bratku - podchwycił generał. - Od razu po tej hecy z kolczykami Nastasja Filipowna opowiedziała nam wszystko szczegółowo. Ale teraz jest całkiem inna sprawa. Może tkwi w tym rzeczywiście milion i... namiętność; powiedzmy, obrzydliwa namiętność; zawsze jednak pachnie mi to namiętnością, a przecie wiadomo, do czego ci panowie zdolni są pod wpływem alkoholu!... Hm!... Żeby tylko nie wynikła jakaś historia! - zakończył w zamyśleniu generał.

- Pan się obawia miliona? - Gania rozchylił wargi w szerokim uśmiechu.

- A ty się oczywiście nie obawiasz?

- Jakie księżę odniósł wrażenie? - zwrócił się nagle do niego Gania. - Czy to jakiś poważny człowiek, czy tylko zwykły sobie wartogłów? Co pan o nim sądzi?

Z Ganią działo się coś osobliwego w chwili, gdy wymawiał te słowa. Niby nowy jakiś i szczególnie pomysł zapalił się w jego mózgu i niecierpliwie zabłysnął w oczach. Generał zaś, który niepokoił się prostodusznie i bez obsłonek, też spojrzął na księcia z ukosa, jakby nie spodziewając się wiele po jego odpowiedzi.

- Nie wiem, co panu rzec - odparł księżę - ale wydawało mi się, że jest w nim dużo namiętności, nawet jakiejś chorobliwej namiętności. Zresztą sam on jeszcze wygląda na chorego. Bardzo możliwe, że od razu po powrocie do Petersburga znów się położy, zwłaszcza jeśli zacznie pić.

- Tak? Tak się panu wydało? - uczepił się tej myśli generał.

- Tak mi się wydało.

- A swoją drogą takie historie mogą się zdarzyć nawet nie za kilka dni; może jeszcze dzisiaj przed wieczorem coś się okaże - uśmiechnął się do generała Gania.

- Hm!... Oczywiście... Bardzo możliwe. A wtedy wszystko będzie zależało od tego, co jej wpadnie na myśl - odrzekł generał.

- Wie pan przecie, jaka ona czasem bywa!

- To znaczy jaka? - obruszył się generał, rozdrażniony do najwyższego stopnia. Słuchaj, Gania, tylko się tam bardzo dziś z nią nie kłóć, postaraj się być... no, że tak powiem... miły... Hm!... I czego się krzywisz? Słuchaj, Gawriło Ardalionowiczu, przy sposobności, i to przy takiej sposobności jak obecna, warto będzie ustalić, jaki jest cel naszych zabiegów. Rozumiesz, że co się tyczy mojego interesu, który tu mam na względzie, dawno się już zabezpieczyłem; tak czy inaczej, rozstrzygnę sprawę na swoją korzyść. Tocki powziął decyzję niewzruszoną, a więc i ja jestem zupełnie spokojny. Dlatego też jeśli czegoś obecnie pragnę, to tylko i wyłącznie twojej korzyści. Osądź sam; nie dowierzasz mi czy co? Przy tym jesteś człowiekiem... człowiekiem... krótko mówiąc, mądrym; zbudowałem na tobie pewne nadzieje... a w danym wypadku to... to...

- Rzecz najważniejsza - dokończył Gania, znów pomagając zakłopotanemu generałowi, i złożył usta do najbardziej jadowitego uśmiechu, którego już nie chciał ukrywać. Patrzył rozplómiennionym wzrokiem prosto w oczy generałowi, jakby nawet pragnąc, żeby tamten wyczytał w jego wzroku całą jego myśl. Generał zaczerwienił się i wybuchnął.

- No tak, rozum jest najważniejszy! - stwierdził patrząc ostro na Ganię. - Ale z ciebie śmieszny człowiek, Gawriło Ardalionowiczu!... Wyglądasz, widzę, jakbyś był rad, że ten kupczyk niejako wybawił cię z kłopotu. Toż tu właśnie rozumem trzeba było dojść od samego początku: tu właśnie trzeba zrozumieć i... postąpić z obydwóch stron uczciwie i otwarcie albo... uprzedzić z góry, żeby nie kompromitować innych, tym bardziej że i czasu na to było dosyć, i nawet jeszcze teraz mamy go aż nadto dużo (generał podniósł znacząco brwi), chociaż w istocie tylko parę godzin... Zrozumiałeś? Zrozumiałeś? Czy ty naprawdę chcesz, czy nie chcesz? Jeśli nie - to powiedz i... wolna droga. Nikt cię nie trzyma, nikt gwałtem nie pcha w zasadzkę, jeśli rzecz prosta widzisz tu jakąś zasadzkę.

- Chcę - półgłosem, ale stanowczo wymówił Gania, spuścił oczy i ponuro zamilkł.

Generałowi wystarczyło to w zupełności. Generał uniósł się, ale już najwidoczniej żałował, że za daleko zaszedł. Zwrócił się raptem do księcia i po twarzy jego jak gdyby przemknęła niepokojąca myśl, że przecież książę był tutaj i wszystko słyszał. Ale natychmiast się uspokoił: dość było raz tylko spojrzeć na księcia, aby się całkiem uspokoić.

- Oho! - zawołał generał patrząc na próbkę pisma, podaną mu przez księcia. - Toż to dukt dopiero! I to rzadki dukt! Popatrz no, Gania, co za talent.

Na arkuszu grubego welinowego papieru książkę napisał średniowiecznymi literami rosyjskimi zdanie:

„pokorny igumen Pafnutij rękę przyłożył.”

- To - wyjaśnił książkę z nadzwyczajną radością i ożywieniem - własnoręczny podpis igumena Pafnutija[11] według odbitki z czternastego wieku. Wszyscy nasi dawni igumeni i metropolici pysznie się podpisywali; i z jakim nieraz wykwintem, z jaką starannością! Czy nie ma pan chociażby pogodinowskiego wydania[12], generale? Potem napisałem tutaj innymi literami : jest to duże, okrągłe pismo francuskie z ubiegłego stulecia (niektóre litery nawet inaczej stawiano), pismo zwyczajne, pismo ulicznych przepisywaczy, zapożyczone z ich wzorów (miałem jeden) - przyzna pan, że nie jest ono bez zalet. Niech pan rzuci okiem na te okrągłe „d”, „a”. Nadałem francuski charakter pisma rosyjskim literom, co jest bardzo trudne, a wyszło nieźle. I jeszcze jedno piękne i oryginalne pismo, te słowa: „Gorliwością można wszystko przezwyciężyć.” To pismo rosyjskich pisarzy albo, jeśli pan woli, wojskowych pisarzy. Tak pisze się urzędowy papier do ważnej osobistości; pismo też okrągłe, znakomite czarne pismo; litery grubo pisane, ale z nadzwyczajnym smakiem. Kaligraf nie pozwoliłby sobie na te zakrętasy albo, ściślej mówiąc, próby zakrętasów, o, tych niedokończonych ogonków - widzi pan - ale w ogólności, niech pan spojrzy, to doprawdy ma charakter, wyziera stąd cała dusza pisarza wojskowego: i rozmachnąć by się chciało, i talent się domaga uzewnętrznienia, ale wojskowy kołnierz ciasno zapięty na haftkę, więc dyscyplina odbija się na kształcie liter; śliczna rzecz! Niedawno właśnie uderzył mnie taki jeden wzorek, znalazłem go przypadkiem, i to gdzie? - w Szwajcarii! A to znów proste, zwyczajne, najczystsze pismo angielskie: dalej już wykwint iść nie może, wszystko tu jest urocze, każda literka to istny paciorek, perła; wszystko idealnie wykończone. A tu ma pan odmianę znowu francuską; zapożyczyłem ją od pewnego francuskiego komiwojażera: to samo angielskie pismo, ale czarna linia odrobinę czarniejsza i grubsza niż w angielskim, no i - proporcja światła naruszona. Niech się pan przyjrzy: owal zmieniony, troszkę okrągłojszy, i w dodatku - pełno zakrętasów, a zakrętasy to najniebezpieczniejsza rzecz! Zakrętasy wymagają niezwykłego smaku; jeśli jednak uda się, jeśli nie naruszono proporcji, to pismo takie jest czymś niezrównanym, tak dalece, że można się w nim zakochać.

- Oho! w jakie subtelności pan wnika - śmiał się generał - ależ kochany pan jest artystą, nie zaś zwyczajnym kaligrafem! Co, Gania?

- Dziwna zdolność - powiedział Gania. - I nawet jakby świadoma swojego posłannictwa - dodał śmiejąc się drwiąco.

- Śmieć się, śmieć się, a przecie na tym można zrobić karierę - rzekł generał. - Wie pan, drogi książę, do kogo panu teraz mamy pisać listy? Ależ panu od razu, na początek, można zaofiarować trzydzieści pięć rubli miesięcznie. O, już pół do pierwszej - stwierdził spojrzawszy na zegarek - więc do rzeczy, książę, bo mi spieszno, a dzisiaj może się nie zobaczymy! Niech pan spocznie chwilkę; wytłumaczyłem się już, że przyjmować pana często nie mogę; mam jednak szczerą chęć, aby panu troszkę dopomóc; troszkę oczywiście, to znaczy tyle, ile koniecznie potrzeba; potem będzie pan sobie radził, jak sam zechce. Znajdę panu małą posadkę w kancelarii, niezbyt uciążliwą, ale musi pan pracować starannie. Teraz co do innych spraw: w domu, czyli w rodzinie Gawriły Ardalionowicza Iwołgina, tego oto mojego młodszego przyjaciela, z którym proszę się poznać, jego mama i siostrzyczka wydzieliły z mieszkania dwa czy trzy umeblowane pokoje i odnajmują je dobrze

rekomendowanym lokatorom z życiem i usługą. Jestem pewny, że Nina Aleksandrowna przyjmie moją rekomendację. Dla pana zaś, drogi książę, to więcej niż skarb, po pierwsze, dlatego że będzie pan nie sam, lecz, że tak powiem, na łonie rodziny, a, według mnie, pan nie powinien od pierwszej chwili znaleźć się osamotniony w takiej stolicy jak Petersburg. Nina Aleksandrowna, mama, i Warwara Ardalionowna, siostrzyczka Gawriły Adralionowicza - to panie, dla których żywię niezmierny szacunek. Nina Aleksandrowna jest małżonką Ardaliona Aleksandrowicza, dymisjonowanego generała, mojego byłego kolegi z początków mojej służby, z którym jednakowoż na skutek pewnych okoliczności przerwałem stosunki, co mi zresztą nie przeszkadza považać go w pewnym sensie. Wszystko to panu tłumaczę, aby pan zrozumiał, że ja, że tak powiem, osobiście pana rekomenduję, czyli tym samym ręczę za pana. Cena wcale niewysoka; pensja pańska, mam nadzieję, wkrótce na to zupełnie wystarczy. Co prawda, człowiekowi potrzebne są jeszcze drobne pieniądze, chociażby niewielkie, ale pan się nie pogniewa, jeśli doradzę, żeby pan unikał noszenia pieniędzy przy sobie i w ogóle pieniędzy w kieszeni. Mówię tak zgodnie z moim zapatrywaniem co do pana osoby. Ponieważ portmonetka pańska jednak jest teraz całkiem pusta, więc na początek pozwoli pan zaoferować sobie dwadzieścia pięć rubli. Policzymy się oczywiście i jeżeli jest pan takim szczerym i prostodusznym człowiekiem, na jakiego wygląda pan ze swoich słów, to żadne nieporozumienia między nami nie zajdą. Jeżeli zaś tak się panem interesuję, to dlatego, że mam co do pana pewne zamiary; dowie się pan o nich później. Mówię z panem, jak pan widzi, zupełnie otwarcie. Sądzę, Gania, że nic nie masz przeciwko umieszczeniu księcia w waszym domu?

- O, przeciwnie! I mama będzie bardzo rada... - uprzedzająco grzecznie potwierdził Gania.

- Państwo przecie wynajęli dopiero jeden pokój. Ten, jakże się nazywa, Ferd... Fer...

- Ferdyszczenko.

- No tak; nie podoba mi się ten wasz Ferdyszczenko: jakiś ordynarny błazen. I nie rozumiem, dlaczego Nastasja Filipowna tak go popiera? Czy to rzeczywiście jej krewny?

- O nie, to tylko żarty! Nie ma między nimi nawet cienia pokrewieństwa.

- A niech go diabli! Więc jak, mój drogi książę, zadowolony pan czy nie?

- Dziękuję panu, panie generale, postąpił pan ze mną jak niezwykle dobry człowiek, tym bardziej że nawet o nic nie prosiłem; nie mówię tego z pychy; naprawdę nie wiedziałem, dokąd się udać. Wprawdzie niedawno zaprosił mię Rogożyn.

- Rogożyn? No, nie; radziłbym panu po ojcowsku albo, jeśli pan woli, po przyjacielsku zapomnieć o panu Rogożynie. I w ogóle radziłbym panu trzymać się rodziny, u której pan zamieszka.

- Jeżeli pan już tak łaskaw - zaczął książę - to mam jeszcze jedną sprawę. Dostałem zawiadomienie...

- Bardzo przepraszam - przerwał generał - nie mam już więcej ani chwili czasu. Zaraz powiem o panu Jelizawiecie Prokofiewnie: jeżeli zechce przyjąć pana już teraz (będę się starał odpowiednio go przedstawić), radzę wykorzystać okazję i zrobić dobre wrażenie, gdyż Jelizawieta Prokofiewna

może się panu bardzo przydać, jesteście przecież z jednej rodziny. Jeżeli zaś nie zechce, to niech pan nie ma żalu; załatwi się to innym razem. A ty, Gania, przejrzyj tymczasem te rachunki; dopiero co męczyliśmy się z Fiedisiejewem. Trzeba pamiętać, by włączyć je...

Generał wyszedł i książę nie zdążył opowiedzieć o swojej sprawie, o której zaczynał mówić chyba ze cztery razy. Gania zapalił papierosa i poczęstował księcia; książę wziął, lecz wcale się nie odzywał, nie chcąc przeszkadzać, i zaczął oglądać gabinet. Gania jednak ledwo rzucił okiem na zapisany cyframi arkusz papieru wskazany przez generała. Był roztargniony; uśmiech, spojrzenie, zaduma Gani stały się, jak to czuł książę, jeszcze bardziej ciężkie, gdy zostali sam na sam. Nagle podszedł do księcia, który właśnie stał znowu nad fotografią Nastasji Filipowny i przyglądał się.

- Więc podoba się panu ta kobieta ? - spytał znieczeka i przenikliwie spojrział na księcia z taką miną, jakby powziął jakiś nadzwyczajny zamiar.

- Niezwykle rysy! - odpowiedział książę. - Jestem pewny, że losy jej są niezwykle. Twarz wesółą, a przecież ona cierpiała okropnie, prawda? Mówią o tym oczy, o, te dwie kosteczki, dwa punkty pod oczami, tu gdzie się zaczynają policzki. Ta twarz jest dumna, straszliwie dumna, ale doprawdy nie wiem, czy ona jest dobra. Ach, gdyby była dobra! Wszystko byłoby uratowane!

- A czy pan ożeniłby się z taką kobietą? - ciągnął dalej Gania wpatrując się w księcia rozgorączkowanym wzrokiem.

- Nie mogę się z nikim ożenić, ponieważ jestem niezdrów - powiedział książę.

- A Rogożyn ożeniłby się? Jak pan myśli?

- Myślę, że ożenić by się mógł, bodaj nawet jutro; ożeniłby się, a po tygodniu, kto wie, czyby jej nie zamordował.

Ledwo książę wymówił te słowa, Gania tak raptownie drgnął, że książę o mało nie krzyknął.

- Co panu jest? - zapytał chwytając go za rękę.

- Wasza książęca mość! Jego ekscelencja prosi pana do jaśnie wielmożnej pani - oznajmił lokaj ukazując się w drzwiach. Książę poszedł za lokajem.

IV

Wszystkie trzy panny Jepanczyn były postawne, o kwitnącym zdrowiu, wspaniałych ramionach, bujnych piersiach, mocnych prawie jak u mężczyzn rękach, no i oczywiście, mając tyle energii i zdrowia, lubiły czasem dobrze zjeść, czego bynajmniej nie pragnęły ukrywać. Ich mateczka, generałowa Jelizawieta Prokofiewna, krzywo nieraz patrzyła na ten bezceremonialny apetyt, ponieważ jednak inne jej poglądy mimo cały zewnętrzny szacunek, z jakim przyjmowane były przez córki, w istocie dawno już utraciły dla nich pierwotną i bezsporną wagę do tego nawet stopnia, że zgodnie działające konklawe trzech panien zaczynało brać górę, więc generałowa dla podtrzymania własnej godności uznała za stosowne nie spierać się i ustępować. Wprawdzie charakter jej aż nadto często był nieposłuszny i nie poddawał się decyzjom rozsądku. Jelizawieta Prokofiewna z każdym rokiem stawiała się coraz kapryśniejsza i niecierpliwsza, zrobiła się z niej nawet jakaś dziwaczka; ponieważ pod ręką był zawsze uległy i wytresowany mąż, cały więc nadmiar dąsów i kwasów spadał zazwyczaj na jego głowę, potem zaś wspólnymi siłami przywracano harmonię w rodzinie i wszystko szło jak najlepiej.

Zresztą sama generałowa też nie traciła apetytu i zwykle o wpół do pierwszej zasiadała razem z córkami do śniadania prawie tak obfitego jak obiad. Panny wypijały po filiżance kawy jeszcze przedtem, punktualnie o dziesiątej, w łóżkach, zaraz po przebudzeniu. Ten system bardzo im się spodobał i ustanowiły go raz na zawsze. O wpół do pierwszej zaś nakrywano do stołu w niewielkiej jadalni, blisko pokojów mamy, i na tym rodzinnym, intymnym śniadaniu zjawiał się niekiedy sam generał, jeśli tylko miał czas. Oprócz herbaty, kawy, sera, miodu, masła, specjalnych oładków, ulubionych przez generałową, kotletów i in. podawano również gorący, treściwy bulion. Tego ranka, od którego zaczęło się nasze opowiadanie, cała rodzina zebrała się w jadalni, czekając na generała, który obiecał przyjść o wpół do pierwszej. Gdyby się spóźnił chociaż minutę, natychmiast posłano by po niego; ale przyszedł punktualnie. Podchodząc do małżonki, by się przywitać i ucałować rączkę, zauważył na jej twarzy tym razem coś zbyt osobliwego. I chociaż jeszcze w przeddzień spodziewał się, że dzisiaj tak właśnie będzie z powodu pewnej „historyjki” (jak się, swoim zwyczajem, wyrażał), i już wczoraj zasypiając niepokoił się tym, teraz jednak znowu się przeląkł. Córki podeszły, żeby go ucałować; i one też, choć nie gniewały się na niego, miały jakieś niewyraźne miny. Wprawdzie generał na skutek pewnych okoliczności stał się zanadto podejrzliwy, ponieważ jednak był ojcem i małżonkiem nie tylko doświadczonym, ale i sprytnym, więc od razu przedsięwziął odpowiednie środki.

Może nie zaszkodzimy zbyt głównemu nurtowi powieści, jeżeli zatrzymamy się tutaj i uciekniemy do pewnych wyjaśnień celem bezpośredniego i bardziej dokładnego przedstawienia tych stosunków i okoliczności, w jakich znajdujemy rodzinę generała Jepanczyna na początku naszego opowiadania. Powiedzieliśmy już właśnie, że generał, chociaż był człowiekiem niezbyt wykształconym, a nawet, jak sam o sobie mówił, „samoucznym”, był jednak doświadczonym mężem i sprytnym ojcem. Między innymi przyjął zasadę, żeby nie naglić swoich córek do zamążpójścia, to znaczy „nie stać nad nimi jak diabeł nad dobrą duszą” i nie dręczyć ich zbyt napadami rodzicielskiej troski o ich szczęście, jak to się mimo woli i naturalnie dzieje często - gęsto w najrozumniejszych rodzinach, w których jest dużo dorosłych córek. Osiągnął nawet to, że nakłonił

Jelizawietę Prokofiewnę do respektowania swojej zasady, choć nie przyszło mu to łatwo. Sprawa była tym trudniejsza, że jakby przeciwna naturze; jednak argumenty generała były niezwykle poważne, oparte na oczywistych faktach. No i panny, pozostawione całkiem swojej własnej woli i swoim decyzjom, będą musiały, rzecz prosta, sięgnąć same po rozum do głowy i wtedy sprawa ruszy z miejsca, gdyż wezmą się do niej z ochotą, odkładając na bok kaprysy i zbyteczne wybredzanie; rodzicom pozostawałoby wtedy tylko jak najgorliwiej i jak najdyskretniej obserwować, żeby nie nastąpił jakiś dziwny wybór albo nienaturalne odchylenie, a potem, wybrawszy odpowiedni moment, od razu pomóc wszelkimi siłami i pokierować sprawą przy użyciu wszystkich wpływów. Wreszcie miało tu znaczenie już choćby i to, że z każdym rokiem na przykład rosły w geometrycznym postępie ich majątek i położenie towarzyskie: a więc, w miarę jak czas schodził, córki zyskiwały na tym, nawet będąc zaledwie narzeczonymi. Ale wśród tych wszystkich nieodparty faktów nastąpił jeszcze jeden fakt: najstarsza córka, Aleksandra, nagle i prawie całkiem niespodziewanie (jak to zwykle bywa) skończyła dwadzieścia pięć lat. Niemal jednocześnie Afanasij Iwanowicz Tocki, człowiek z wyższej sfery, wysoko ustosunkowany i niezmiernie bogaty, znów objawił swoją dawniejszą chęć ożenku. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu pięciu, wytworny i mający nader subtelne gusta. Chciał się ożenić dobrze; znawcą urody był nadzwyczajnym. Ponieważ od pewnego czasu był z generałem Jepanczynem w wielkiej przyjaźni, wzmocnionej zwłaszcza obopólnym udziałem w pewnych przedsięwzięciach finansowych, przeto zwierzył mu się, prosząc niejako o przyjacielską radę i wskazówki: czy jest możliwy do urzeczywistnienia jego projekt małżeństwa z jedną z jego córek. W spokojnym i harmonijnym nurcie rodzinnego życia generała Jepanczyna zaznaczał się widoczny przełom.

Bezsporną pięknnością w rodzinie, jak już wspomniano, była najmłodsza, Agłaja. Ale nawet sam Tocki, niezwykle egoista, zrozumiał, że nie ma tu czego szukać i że Agłaja jest nie dla niego. Możliwe, iż nieco ślepa miłość i nazbyt gorąca przyjaźń sióstr ujmowały sprawę przesadnie, jednak los Agłai był przez nie z góry i jak najszczerzej przesądzony: miał to być nie jakiś zwykły los, tylko idealny raj na ziemi. Przyszły mąż Agłai musiał być wzorem wszelakich doskonałości i sukcesów, no i oczywiście posiadaczem wielkiej fortuny. Siostry nawet uzgodniły między sobą, i to bez jakichś zbytecznych uroczystych słów, że w razie potrzeby złożą ofiarę na rzecz Agłai: posag dla Agłai przeznaczono wyjątkowo duży, po prostu kolosalny. Rodzice wiedzieli o tej umowie dwóch starszych córek, więc kiedy Tocki poprosił o radę, nie mieli prawie żadnych wątpliwości, iż jedna ze starszych sióstr na pewno zgodzi się uwieńczyć ich pragnienie, tym bardziej że Afanasij Iwanowicz nie musiał się liczyć z kwestią posagu. Propozycję zaś Tockiego sam generał ocenił natychmiast z właściwą sobie znajomością życia bardzo wysoko. Ponieważ Tocki tak samo zachowywał na razie dla pewnych szczególnych względów nadzwyczajną ostrożność w swoich poczynaniach i właściwie dopiero sondował sprawę, więc i rodzice przedstawili córkom na pozór jak najbardziej ogólnikowe przypuszczenia. W odpowiedzi na to otrzymali od nich, też co prawda niezupełnie określone, ale przynajmniej uspokajające oświadczenie, że najstarsza, Aleksandra, zapewne nie odmówi. Była to dziewczyna o twardym charakterze, ale dobra, rozumna i nadzwyczaj zgodna; mogła, nawet chętnie, wyjść za Tockiego i gdyby dała słowo, dotrzymałaby go uczciwie. Przepychu nie lubiła i nie tylko nie groziła kłopotami czy raptowną zmianą, ale zdolna byłaby nawet uprzyjemnić życie. Urodą odznaczała się wybitną, chociaż nie tak efektowną. Czy mógł Tocki znaleźć lepszą żonę?

Z tym wszystkim cała sprawa nadal szła jakby po omacku. Afanasij Iwanowicz i generał ustalili między sobą po przyjacielsku, że do czasu będą unikać oficjalnego i ostatecznego kroku. Nawet

rodzice wciąż jeszcze nie zaczęli z córkami zupełnie otwartej rozmowy; powstawał też jakby dysonans: generałowa Jepanczyn, matka rodziny, stała się dla czegoś niezadowolona, a to było bardzo ważne. Wszystkiemu przeszkadzała pewna okoliczność, pewien zawikłany i kłopotliwy przypadek, z powodu którego cała sprawa mogła się bezpowrotnie popsuć.

Ten zawikłany i kłopotliwy „przypadek” (jak go nazywał sam Tocki) zaczął się jeszcze bardzo dawno, mniej więcej przed osiemnastu laty. W sąsiedztwie jednego z większych majątków Afanasija Iwanowicza, w jednej z centralnych guberni, wegetował na małym skrawku ziemi bardzo biedny obywatel ziemski. Był to człowiek niezwykle ze względu na swoje bezustanne i wprost anegdotyczne niepowodzenia, dymisjonowany oficer z drobnej szlacheckiej rodziny, mający nawet czystszy rodowód niż Afanasij Iwanowicz - niejaki Filip Aleksandrowicz Baraszkow. Robiąc długi na prawo i na lewo, zastawiając, co się tylko dało, doszedł nareszcie dzięki katorżniczej, niemal chłopskiej pracy do tego, że urządził jako tako swoje małe gospodarstwo. Najmniejszy sukces dodawał mu wiele otuchy. W dobrym humorze, pełen różowych nadziei, wyjechał na kilka dni do powiatowego miasteczka, żeby się zobaczyć i, o ile to będzie możliwe, ułożyć ostatecznie z jednym z najgłówniejszych swoich wierzycieli. Na trzeci dzień po jego przybyciu do miasta zjawił się u niego sołtys z jego wsi, wierzchem, z poparzonym policzkiem i opaloną brodą, i oznajmił mu, że „ojcowizna zgorzała” wczoraj w samo południe, a przy tym „raczyła się spalić małżonka, a dzieci ocalały”. Tej niespodzianki nawet Baraszkow, przyzwyczajony do „guzów”, nie mógł znieść; zwariował i po miesiącu umarł w gorączce. Spaloną posiadłość z chłopami, którzy rozleźli się na żebraninę, sprzedano za długi; a dwie zaś małe dziewczynki, sześć - i siedmioletnią, dzieci Baraszkowa, wziął wspaniałomyślnie na utrzymanie i wychowanie Afanasij Iwanowicz Tocki. Wychowywały się razem z dziećmi rządcy Afanasija Iwanowicza, dymisjonowanego urzędnika, obciążonego liczną rodziną i w dodatku Niemca.

Wkrótce została tylko jedna dziewczynka, Nastia; druga umarła na koklusz; Tocki zaś niebawem doszczętnie zapomniał o nich obydwóch, mieszkając za granicą. Jakoś w pięć lat potem Afanasij Iwanowicz przejeżdżał obok swego majątku i zachciało mu się tam zajrzeć. W drewnianym dworku, w rodzinie swojego Niemca, zauważył nagle prześliczne dziecko, dwunastoletnią dziewczynkę, żywą, miłą, rezolutną i zapowiadającą się na niezwykle piękną; Afanasij Iwanowicz był pod względem znawcą nieomylnym. Tym razem spędził majątku za ledwie kilka dni, ale zdążył wydać odpowiednie zarządzenia. W wychowaniu dziewczynki nastąpiła wielka zmiana: przyjęto starszą, poważną guwernantkę, znającą się na wyższej edukacji pań, Szwajcarce, wykształconą i wykładającą poza francuskim językiem różne inne umiejętności, guwernantka zamieszkała w wiejskiej rezydencji i wychowanie małej Nastasji przybrało niezwykle rozmiary. Po czterech latach wychowanie to skończyło się; guwernantka wyjechała, po Nastię przybyła pewna pani, również jakaś obywatelka ziemska i sąsiadka Tockiego, ale już z innej, odległej guberni, wzięła Nastię z sobą w wyniku instrukcji i upoważnienia, które otrzymała od Afanasija Iwanowicza. W tym niedużym mająteczku był, wprawdzie też niewielki, świeżo zbudowany drewniany dom, bardzo wykwinicie wewnątrz urządzony; a wieś przy nim, jakby umyślnie, nazywała się Rozkosz. Obywatelka ziemska przywiozła Nastię wprost do tego zacisznego domku, a ponieważ sama była bezdzietną wdową i mieszkała za ledwie o wiorstę, więc przeniosła się do Nastii. Zjawiła się służba: staruszka - klucznica i młoda, doświadczona pokojówka. Znalazły się w domu instrumenty muzyczne, wytworna panińska biblioteczka, obrazy, sztychy, ołówki, pędzle, farby, wspaniała charciczka, a po dwóch tygodniach zawitał sam Afanasij Iwanowicz... Odtąd jakoś szczególnie polubił tę swoją zapadłą stepową

wioskę, przyjeżdżał tu co lato, bawił po dwa, a nawet trzy miesiące. Tak upłynęło sporo czasu, całe cztery lata, w spokoju i szczęśliwości, wykwintnie i ze smakiem.

Pewnego razu zdarzyło się, że jakoś na początku zimy, w cztery miesiące po jednym z letnich przyjazdów Afanasija Iwanowicza do Rozkoszy, mającego bawić tym razem zaledwie parę tygodni, rozeszła się pogłoska albo, ściślej mówiąc, doszła do Nastasji Filipowny pogłoska, że Afanasij Iwanowicz żeni się w Petersburgu z panną piękną, bogatą, ze znakomitej rodziny - słowem, robi korzystną i świetną partię. Pogłoska ta okazała się potem nie we wszystkich szczegółach prawdziwa: małżeństwo było wtedy jeszcze w projekcie i wszystko było bardzo mgliste, jednak w losach Nastasji Filipowny mimo to nastąpił od tej chwili zasadniczy zwrot. Wykazała nagle niezwykłą stanowczość i ujawniła takie cechy charakteru, jakich najmniej można się było po niej spodziewać. Niewiele myśląc porzuciła swój wiejski domek i zjawiała się nagle w Petersburgu u Tockiego, samiuteńka jedna. Ten zdziwił się, zaczął coś mówić; ale raptem okazało się, niemal przy pierwszych słowach, że trzeba zupełnie zmienić ton głosu, dawne tematy przyjemnych i wytwornych rozmów używane dotychczas z takim powodzeniem, logikę - wszystko, wszystko, wszystko! Przed nim siedziała zupełnie inna kobieta, w niczym niepodobna do tej, którą znał dotychczas i którą zostawił nie dalej jak pod koniec lipca we wsi Rozkosz.

Ta nowa kobieta, jak się okazało, po pierwsze, niezwykle dużo wiedziała i rozumiała - tak dużo, iż trzeba było głęboko dziwić się, skąd mogła zdobyć takie wiadomości i wypracować sobie takie dokładne pojęcia. (Czyżby ze swojej panińskiej biblioteki?) Nie dość na tym; orientowała się również doskonale w zagadnieniach prawnych i miała dużo praktycznej wiedzy jeśli nie o świecie, to przynajmniej o tym, jak się toczą niektóre sprawy tego świata; po drugie, był to zupełnie inny charakter niż przedtem, to znaczy, nie coś nieśmiałego, pensjonarsko nieokreślonego, niekiedy czarującego swoją oryginalną żywością i naiwnością, a niekiedy smutnego i zamyślonego, pełnego zdziwienia i nieufności, płaczącego i niespokojnego.

Nie: tu śmiała się przed nim i kłuła go najbardziej jadowitymi sarkazmami niezwykła i nieoczekiwana istota, mówiąca mu wprost, że nigdy w swym sercu nie miała dla niego nic prócz najgłębszej pogardy, mdlącej pogardy, która obudziła się w niej zaraz po pierwszym zdziwieniu. Ta nowa kobieta oświadczała, że nie sprawiłoby jej to absolutnie jakiegokolwiek różnicy, gdyby on się zaraz z kimkolwiek ożenił, ale że przyjechała, by mu nie pozwolić na to małżeństwo, nie pozwolić ze złości, jedynie dlatego, że jej się tak podoba i że zatem tak musi być - „choćby po to, żebym się z ciebie mogła pośmiać do woli, bo teraz i ja nareszcie mam chęć się śmiać”.

Tak przynajmniej na głos twierdziła; wszystkiego, co miała na celu, może nie powiedziała. Ale gdy nowa Nastasja Filipowna śmiała się i wszystko to wykladała, Afanasij Iwanowicz rozważał tę rzecz w duchu i usiłował w miarę możliwości uporządkować trochę swoje rozpierchłe myśli. To rozważanie ciągnęło się dość długo; zastanawiał się i szukał ostatecznej decyzji prawie dwa tygodnie; ale po dwóch tygodniach wreszcie ją powziął. Trzeba pamiętać, że Afanasij Iwanowicz miał już wtedy około pięćdziesięciu lat i był człowiekiem ze wszech miar solidnym i statecznym. Jego pozycja społeczna i towarzyska dawno już oparła się na jak najtrwalszych podstawach. Siebie, swój spokój i komfort cenił więcej niż wszystko na świecie, tak jak przystało wysoce porządnemu człowiekowi. Najmniejszym odchyleniom, najmniejszym wahaniom nie mogło ulegać to, co w ciągu całego życia zostało ustanowione i przybrało tak piękną formę. Z drugiej strony doświadczenie i

głęboki pogląd na rzeczy podszeptały Tockiemu bardzo prędko i nad wyraz trafnie, że ma teraz do czynienia z istotą zgoła niepospolitą, że to jest właśnie taka istota, która nie tylko grozi, ale i niechybnie spełni każdą groźbę i, co najważniejsze, przed niczym na pewno się nie cofnie, tym bardziej iż właściwie do niczego na świecie nie przywiązuje wagi, więc nawet nie można jej przekupić. Tu najwidoczniej zachodziło coś innego, trzeba się było domyślać jakichś fermentów duchowych i sercowych - czegoś w rodzaju niby romantycznego oburzenia Bóg wie na kogo i za co, jakiegoś nienasyconego uczucia pogardy, wykraczającego poza wszelkie granice - słowem, czegoś w najwyższym stopniu śmiesznego i niedozwolonego w przyzwoitym towarzystwie, z czym mieć do czynienia jest prawdziwą karą boską dla każdego porządnego człowieka. Oczywiście przy majątku i stosunkach Tockiego można było od razu popełnić jakieś małe, całkiem niewinne świństwo, ażeby uwolnić się od nieprzyjemności. Z drugiej strony było jasne, że i sama Nastasja Filipowna nie może właściwie zrobić nic szkodliwego w sensie chociażby na przykład prawnym; nie mogłaby nawet wywołać jakiegoś większego skandalu, ponieważ bardzo łatwo można by ją było w każdym wypadku unieszkodliwić. Ale to wszystko tylko wówczas, kiedy Nastasja Filipowna zdecydowałaby się działać tak jak wszyscy i jak w ogóle działa się w podobnych wypadkach, nie przekraczając w sposób zbyt ekscentryczny przyjętych w takich ramach granic. I tu właśnie przydała się Tockiemu jego zdolność trafnego oceniania ludzi: potrafił odgadnąć, że Nastasja Filipowna sama doskonale rozumie, jak dalece jest nieszkodliwa w znaczeniu prawnym, że ma jednak inne plany w głowie i... coś innego zdradzają jej błyszczące oczy. Nie dbając o nic na świecie, a najmniej o siebie (trzeba było dużo rozumu i przenikliwości, żeby się domyślić w tej chwili, że już od dawna przestała dbać o siebie, i żeby on, sceptyk i cyniczny światowiec, uwierzył w powagę tego uczucia), Nastasja Filipowna gotowa była sama siebie zgubić bezpowrotnie i bezsensownie, narazić się na Sybir i katorgę, żeby tylko dokuczyć człowiekowi, do którego czuła taki nieludzki wstręt. Afanasij Iwanowicz nigdy nie ukrywał tego, że był trochę tchórzliwy albo, inaczej mówiąc, w wysokim stopniu konserwatywny. Gdyby na przykład wiedział, że go zabiją przed ołtarzem albo też, że stanie się coś w tym rodzaju, coś bardzo nieprzyzwoitego, śmiesznego i nieprzyjętego w towarzystwie, to oczywiście przestraszyłby się, jednak nie tego, iż go zabiją i pokaleczą do krwi albo naplują publicznie w twarz itp., itp., tylko że mu się to przytrafi w takiej nienaturalnej i niestosownej formie. A przecież Nastasja Filipowna to właśnie zapowiadała, chociaż nic o tym jeszcze nie mówiła. Wiedział, że ona dokładnie go poznała i pojmowała, a zatem wiedziała, czym go uderzyć. A ponieważ małżeństwo było rzeczywiście dopiero w projekcie, Afanasij Iwanowicz ukorzył się i ustąpił Nastasji Filipownie.

Do tego postanowienia pomogła mu jeszcze jedna okoliczność: trudno było sobie wyobrazić, jak dalece ta nowa Nastasja Filipowna nie była podobna z twarzy do poprzedniej. Przedtem była to tylko ładna dziewczeczka, a teraz... Tocki długo nie mógł sobie darować, że cztery lata patrzył i nie dojrzał. Co prawda, wiele znaczy i to, kiedy obydwie strony przechodzą raptownie wewnętrzne przemiany. Przypomniawszy sobie zresztą, że i dawniej zdarzały się chwile, kiedy dziwne myśli przychodziły mu do głowy przy wpatrywaniu się na przykład w te oczy: wyczuwało się w nich jakby jakiś głęboki i tajemniczy mrok. Te oczy spoglądały - jakby zadając zagadkę. W ciągu ostatnich dwóch lat często się dziwił zmianom, które widoczne były na twarzy Nastasji Filipowny. Stawała się okropnie blada i - dziwna rzecz - nawet ładniała od tego. Tocki, który jak wszyscy dżentelmeni, co już użyli życia, z pogardą myślał na początku o tym, że tak tanio zdobył tę duszę nie znającą świata, w ostatnich czasach zwątpił w swój pogląd. W każdym razie jeszcze na wiosnę postanowił, by nie zwlekając, dobrze i bogato wydać Nastasję Filipownę za mąż za jakiegoś rozsądnego i przyzwoitego pana,

mającego posadę w sąsiedniej guberni. (O, jak okropnie i złośliwie wyśmiewała to teraz Nastasja Filipowna!) Ale teraz Afanasij Iwanowicz, olśniony nowością, pomyślał sobie, że mógłby znowu eksploatować tę kobietę. Postanowił osiedlić Nastasję Filipownę w Petersburgu i otoczyć ją bajecznym komfortem. A jeśli nie to, w takim razie co innego: Nastasja Filipowną można się było pochwalić, a nawet pochełpić w pewnym kółku. Afanasij Iwanowicz zaś tak cenił swoją sławę pod tym względem!

Minęło już pięć lat pobytu w Petersburgu i oczywiście w tak długim czasie wiele rzeczy się wyjaśniło. Położenie Afanasija Iwanowicza było niezbyt pocieszające; najgorsze było to, że raz stchórzywszy, nigdy już potem nie mógł się uspokoić. Lękał się - i nawet sam nie wiedział czego... Po prostu bał się Nastasji Filipowny. Przez pewien czas w ciągu pierwszych dwóch lat podejrzewał nawet, że Nastasja Filipowna sama chce się za niego wydać, ale nic nie mówi wskutek niezwyklej próżności i uporczywie czeka na jego oświadczenia. Byłaby to dziwna zachcianka; Afanasij Iwanowicz marszczył brwi i mocno się zamyślał. Ku wielkiemu i (takie jest serce człowieka!) trochę nieprzyjemnemu zdziwieniu przekonał się nagle przy pewnej okoliczności, że gdyby się nawet oświadczył, nie zostałby przyjęty. Przez długi czas nie mógł tego zrozumieć. Wydawało mu się możliwe tylko jedno objaśnienie, że duma „obrażonej kobiety o bujnej wyobraźni” dochodzi już do takiego szaleństwa, iż jest raczej przyjemnie okazać raz swą pogardę odmawiając, niż na zawsze ustalić swoją pozycję i osiągnąć nieporównaną świetność. Najgorsze było to, że Nastasja Filipowna zdobyła okropną przewagę. Na korzyści materialne też się nie dała skusić, nawet na bardzo duże, i choć przyjęła ofiarowany jej dostatek, żyła jednak bardzo skromnie i w ciągu tych pięciu lat prawie nic nie zaoszczędziła. Afanasij Iwanowicz odważył się na bardzo sprytny sposób, żeby rozkuć swoje kajdany: zaczął ją nieznacznie i umiejętnie nęcić, podsuwając jej zręcznie różne najidealniejsze pokusy, jednak wszystkie te uosobione ideały - książęta, huzarzy, sekretarze poselstw, poeci, powieściopisarze, nawet socjaliści, nie sprawiły żadnego wrażenia na Nastasji Filipownie, jakby zamiast serca miała kamień, a uczucia jej wyschły i umarły na zawsze. Żyła przeważnie w samotności; czytała, nawet uczyła się, lubiła muzykę. Znajomości miała mało; utrzymywała stosunki z jakimiś biednymi i śmiesznymi żonami urzędników, znała jakieś dwie aktorki, jakieś staruszki; bardzo lubiła liczną rodzinę pewnego poważnego nauczyciela i w tej rodzinie również ją bardzo lubiano i chętnie goszczono. Dostyc często zbierało się u niej wieczorami pięć lub sześć osób, nie więcej. Tocki zjawiał się bardzo często i regularnie. Ostatnio nie bez trudu poznał się z Nastasją Filipowną generał Jepanczyn. W tym samym czasie całkiem łatwo i bez żadnego trudu poznał się z nią również pewien młody urzędnik, nazwiskiem Ferdyszczenko, bardzo nieprzyzwoity i wulgarny błazen, pozujący na wesołka pijaczyna. Znała też młodego i dziwnego człowieka nazwiskiem Pticyń; był to skromny, akuratny i wymuskany młodzian, pochodzący z ubogiej rodziny i zajmujący się lichwiarstwem. Poznał się z nią wreszcie i Gawriła Ardalionowicz... Skończyło się na tym, że Nastasją Filipowna zyskała sobie dziwną opinię: o urodzie jej wiedzieli wszyscy, ale nic ponadto; nikt nie mógł się niczym pochwalić, nikt nie mógł nic opowiedzieć. Podobna reputacja, jej wykształcenie, doskonałe maniery, dowcip - wszystko to ostatecznie utwierdziło Afanasija Iwanowicza w pewnym planie. Tu właśnie zaczyna się moment, od którego wziął w tej historii taki czynny i nadzwyczajny udział sam generał Jepanczyn.

Tocki, tak uprzejmie zwracając się do niego o przyjacielską radę co do jednej z jego córek, natychmiast w najszlachetniejszy sposób złożył mu całkowite i szczere wyznanie. Oświadczył, że jest zdecydowany nie cofać się przed żadnymi środkami, żeby odzyskać wolność; że nie uspokoiłby się,

gdyby Nastasją Filipowna sama nawet oznajmiła mu, iż na przyszłość zostawi go w zupełnym spokoju; że nie wystarczą mu słowa, że potrzebuje bezwarunkowych gwarancji. Porozumieli się i postanowili działać wspólnie. Z początku miano spróbować środków najłagodniejszych i poruszyć, jak się to mówi, tylko „szlachetne struny serca”. Pojechali we dwóch do Nastasji Filipowny i Tocki prosto z mostu zaczął od tego, że powiedział jej o swoim nieznośnie ciężkim i strasznym położeniu; we wszystkim uznał swoją wyłączną winę; wyznał otwarcie, iż nie jest zdolny żałować pierwotnego z nią postępowania, należy bowiem do zatwardziałyh rozpustników i nie panuje nad sobą, ale że teraz chce się ożenić i że losy tej w najwyższym stopniu przyzwoitej i arystokratycznej partii spoczywają w jej rękach; że, słowem, zdaje się we wszystkim na jej szlachetne serce. Następnie zabrał głos, jako ojciec, generał Jepanczyn. Mówił rozsądnie, unikał rzeczy wzruszających, wspominał tylko, że najzupełniej respektuje jej prawo decydowania o losie Afanasija Iwanowicza, zrećźnie pochwalił się własną pokorą, wskazując na to, że los jego córki, a może i dwóch pozostałych, zależy teraz od jej decyzji. Na pytanie Nastasji Filipowny, czego właściwie od niej chcą - Tocki z poprzednią, niczym nie maskowaną otwartością przyznał się, że tak go nastraszyła przed pięciu laty, iż dotąd nie mógł się uspokoić i nie uspokoi się, dopóki Nastasja Filipowna sama nie wyjdzie za kogoś za mąż. I natychmiast dodał, że prośba ta byłaby oczywiście z jego strony bezsensowna, gdyby nie miał w tym względzie jakichś podstaw. Dokładnie zaobserwował i na pewno wie, że młody człowiek z bardzo dobrej rodziny, zamieszkujący przy najzaciejszej rodzinie, a mianowicie Gawriła Ardalionowicz Iwołgin, którego ona zna i przyjmuje u siebie, od dawna ją kocha całą siłą namiętności i oczywiście oddałby pół życia za samą tylko nadzieję pozyskania jej sympatii. Wyznanie takie on, Afanasij Iwanowicz, otrzymał od samego Gawriły Ardalionowicza, z którym od dawna pozostaje na przyjacielskiej stopie, a Gawriła Ardalionowicz wypowiedział to wszystko ze swego młodego i czystego serca. I o tym wszystkim wie również Iwan Fiodorowicz, opiekujący się młodym człowiekiem. Wreszcie, o ile tylko on, Afanasij Iwanowicz, nie myli się, Nastasja Filipowna już dawno sama wie o miłości tego młodzieńca i bodaj że patrzy na to dość łaskawym okiem. Oczywiście, jemu trudniej niż innym mówić na ten temat. Gdyby jednak Nastasja Filipowna zechciała uznać, że on, Tocki, prócz egoizmu i chęci wygodnego urzędnika sobie życia ma również trochę przychylności i dla niej, zrozumiałaby, że i on z przykrością i zdumieniem patrzy na jej samotność: że to tylko jakiś nieokreślony mrok, całkowita niewiara w odnowę życia, które tak pięknie mogłoby odrodzić się w miłości i w rodzinie i zyskać w ten sposób nowy cel; że to marnowanie zdolności, kto wie, czy nie wspaniałych; dobrowolne lubowanie się swoją melancholią; słowem, pewien nawet romantyzm, niegodny ani zdrowego rozsądku, ani szlachetnego serca Nastasji Filipowny. Powtórzywszy raz jeszcze, że jemu trudniej o tym mówić niż komu innemu, zakończył w ten sposób, iż nie może się wyrzec nadziei, że Nastasja Filipowna nie odpowie mu pogardą, jeśli on wyrazi swoją szczerą wolę zabezpieczenia jej przyszłego losu i ofiaruje jej siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli. Wyjaśnił też zaraz, że suma ta i tak jest dla niej przeznaczona w jego testamencie; że, słowem, nie jest to jakieś odszkodowanie... że w końcu dlaczegoż nie uznać i nie wybaczyć mu zwyczajnej ludzkiej chęci, aby trochę bodaj zmniejszyć ciężar gniołący jego sumienie itd., itd., wszystko to, co się mówi w podobnych wypadkach na ten temat Afanasij Iwanowicz prawił długo i wymownie, dodając jakby mimochodem bardzo ciekawy szczegół: że o tych siedemdziesięciu pięciu tysiącach wygadał się dopiero teraz i że nie wiedział o tym nawet sam Iwan Fiodorowicz, który tu właśnie siedzi - słowem, nie wie nikt.

Odpowiedź Nastasji Filipowny zdumiała obydwóch przyjaciół.

Nie tylko nie dostrzegało się w niej chociażby najmniejszego przejawu dawnej złośliwości, dawnej nieprzyjaźni i nienawiści, dawnego śmiechu, od którego, na samo wspomnienie, dotychczas dreszcz jeszcze przebiegał po plecach Afanasija Iwanowicza, ale przeciwnie, jak gdyby ucieszyła się, że nareszcie ma okazję porozmawiać z kimś otwarcie i po przyjacielsku. Wyznała, że sama już dawno pragnęła zasięgnąć przyjacielskiej rady, że na przeszkodzie stała tylko duma, ale że teraz, kiedy lody pękły, nie mogło być nic lepszego. Początkowo ze smutnym uśmiechem, a potem wesoło i swawolnie roześmiawszy się, stwierdziła, że o poprzedniej burzy nie ma co nawet mówić; że dawno już zmieniła po części swój pogląd na rzeczy i chociaż nie zmieniła się w głębi duszy, jednak zmuszona była pogodzić się z wieloma dokonanymi faktami; co się stało, to się stało, co przeszło, to przeszło, więc nawet dziwno jej, że Afanasij Iwanowicz wciąż jeszcze jest taki wystraszony. W tym miejscu zwróciła się do Iwana Fiodorowicza i z wyrazem najgłębszego szacunku oznajmiła, że dawno już słyszała wiele o jego córkach i dawno już przywykła szczerze i głęboko je poważać. Sama myśl o tym, że mogłaby być im w czymkolwiek użyteczna, byłaby, zdaje się, dla niej szczęściem i dumą. To prawda, że jej teraz ciężko i smutno, bardzo smutno; Afanasij Iwanowicz odgadł jej marzenia; chciałaby odżyć, jeśli nie w miłości, to w rodzinie, uświadomiwszy sobie nowy cel w życiu; jednak o Gawriłe Ardalionowiczu nic prawie powiedzieć nie może. Może i prawda, że ją kocha; czuje, że i ona mogłaby go pokochać, gdyby uwierzyła w stałość jego uczucia; ale on jest bardzo młody, jeśli nawet szczerzy; decyzja tu jest trudna. Najbardziej zresztą podoba się jej to, że on pracuje i pomaga sam całej rodzinie. Słyszała, że jest człowiekiem energicznym, ambitnym, chce się wybić, chce kariery. Słyszała też, że Nina Aleksandrowna Iwołgin, matka Gawriły Ardalionowicza, jest kobietą godną uznania i najwyższego szacunku; że siostra jego, Warwara Ardalionowna, jest wyjątkowo dzielną i energiczną panną; wiele słyszała o niej od Pticyna. Słyszała, że mężnie znoszą swoje nieszczęścia; bardzo by chciała poznać się z nimi, ale to jeszcze pytanie, czy one ją życzliwie przyjmą do rodziny? W ogóle nie wypowiada się przeciwko możliwości tego małżeństwa, ale o tym trzeba jeszcze pomyśleć; pragnie, żeby jej nie naglono. Co zaś się tyczy siedemdziesięciu pięciu tysięcy - to Afanasij Iwanowicz niepotrzebnie wahał się, czy jej o tym powiedzieć. Zna wartość pieniędzy i oczywiście weźmie tę sumę. Wdzięczna jest, że Afanasij Iwanowicz okazał tyle subtelności i nie wspominał o tym nawet generałowi, pomijając już Gawriłę Ardalionowicza, jednak dlaczego i on nie miałby o tym wiedzieć zawczasu? Przecie ona nie potrzebuje wstydić się tych pieniędzy, wchodząc do jego rodziny. W każdym razie nikogo nie zamierza prosić o przebaczenie za cokolwiek i chce, żeby o tym wiadano. Nie wyjdzie za Gawriłę Ardalionowicza, dopóki się nie przekona, że ani on, ani jego rodzina nie mają w stosunku do niej żadnych utajonych myśli. W każdym razie nie poczuwa się do żadnej winy i sądzi, że byłoby lepiej, gdyby Gawriła Ardalionowicz dowiedział się, w jakim charakterze mieszkała przez te pięć lat w Petersburgu, co ją łączyło z Afanasijem Iwanowiczem i czy duży zebrała majątek. Wreszcie jeżeli teraz przyjmuje pieniądze, to wcale nie jako zapłatę za swoją hańbę, której nie jest winna, ale po prostu jako odszkodowanie za zwichnięty los.

Pod koniec tak się nawet przejęła i rozdrażniła, wykładając to wszystko (co zresztą było tak naturalne), że generał Jepanczyn był bardzo zadowolony i uważał sprawę za załatwioną; ale Tocki, który się raz wystraszył, obecnie też nie dowierzał i długo jeszcze trwał w obawie, czy i tu spod kwiatów nie wyjdzie żmija. Pertraktacje jednak zaczęły się punkt, na którym był oparty cały manewr obydwóch przyjaciół, a mianowicie taka ewentualność, że Nastasja Filipowna zainteresuje się Ganią, zaczął się powoli wyjaśniać i sprawdzać; nawet Tocki niekiedy wierzył w możliwość powodzenia. Tymczasem Nastasja Filipowna rozmówiła się z Ganią; była niezwykle lakoniczna,

jakby przy tej rozmowie cierpiała jej cnota. Zgadzała się jednak i pozwalała mu na jego miłość, ale stanowczo oświadczyła, że niczym nie chce się wiązać; że aż do ślubu (jeżeli ślub się odbędzie) rezerwuje sobie prawo powiedzenia „nie”, chociażby w ostatniej chwili; takie samo prawo przyznaje Gani. Wkrótce Gania uzyskał pewną wiadomość dzięki usłużnemu przypadkowi, że niechęć całej jego rodziny do sprawy małżeństwa i do Nastasji Filipowny osobiście, niechęć, która przejawiała się w scenach domowych, znana już jest Nastasji Filipownie we wszystkich szczegółach: sama z nim nigdy o tym nie mówiła, chociaż codziennie się tego spodziewał. Dużo zresztą można by opowiedzieć jeszcze rozmaitych rzeczy, które wyszły na jaw dzięki tym konkurom i pertraktacjom; ale i tak za bardzo wybiegliśmy naprzód, tym bardziej iż pewne okoliczności miały jeszcze formę nazbyt niesprecyzowanych słuchów. Na przykład, że się Tocki skądś dowiedział o jakichś bliżej nieokreślonych i potajemnych stosunkach, które Nastasja Filipowna nawiązała z pannami Jepanczyn - słuch aż nadto nieprawdopodobny. Za to innej pogłosce mimo woli wierzył i bał się jej strasznie jak koszar: słyszał z dość pewnych ust, iż Nastasja Filipowna całkiem dokładnie orientuje się, że Gania chce zawrzeć związek małżeński tylko dla pieniędzy, że ma duszę czarną, żądną, niecierpliwą, zawistną i niepomiernie, nieproporcjonalnie wprost samolubną, że chociaż przedtem rzeczywiście namiętnie pragnął zwycięstwa nad Nastasją Filipowną, to jednak wówczas, kiedy obaj przyjaciele umyślili sobie wyzyskać tę namiętność, powstającą z obydwu stron, wyzyskać na swoją korzyść i kupić Ganię, sprzedając mu Nastasję Filipownę, znenawidził ją jak zmorę. W jego duszy jakoby dziwnie się powiązała namiętność z nienawiścią i chociaż dał na koniec po męczących wahaniach zgodę na ożenek ze „wstrętną kobietą”, jednak poprzysiął sobie w duszy wziąć na niej ciężki odwet za to i „dopiec” jej potem, jak się sam wyraził. O wszystkim tym Nastasja Filipowna jakoby wiedziała i coś knuła w tajemnicy. Tocki był tak dalece nastraszone, że nawet Jepanczynowi przestał mówić o swoich obawach. Bywały jednak chwile, kiedy i on, jak każdy człowiek słaby, znowu nabierał otuchy i odzyskiwał ducha: odczuł na przykład szczególny przypływ otuchy, kiedy Nastasja Filipowna dała wreszcie słowo obydwóm przyjaciołom, że wieczorem w dniu swoich urodzin powie ostatnie słowo. Natomiast najdziwniejsza i najbardziej niewiarygodna pogłoska, dotycząca osoby czcigodnego Iwana Fiodorowicza, stawała się niestety coraz bliższa prawdy. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się tutaj całkiem absurdalne. Trudno bało uwierzyć, żeby Iwan Fiodorowicz na schyłku swych dostojnych lat, przy swoim wybitnym umyśle i gruntownej znajomości życia itp., itp., sam się zadurzył w Nastasji Filipownie - i to podobno tak, do takiego ponoć stopnia, że kaprys ten wyglądał prawie na namiętne uczucie. Na co w tym wypadku liczył - trudno sobie wyobrazić; może nawet na pomoc ze strony samego Gani. Tocki podejrzewał przynajmniej coś w tym rodzaju, podejrzewał istnienie jakiejś prawie milczącej umowy, opartej na wzajemnym zrozumieniu, pomiędzy generałem a Ganią. Zresztą wiadoma rzecz, iż człowiek zbyt pochłonięty przez namiętność, zwłaszcza kiedy jest w podeszłym wieku, całkiem ślepie i gotów jest żywić nadzieję tam, gdzie wcale nie ma do niej podstaw; nie dość na tym, traci rozsądek i postępuje jak naiwne dziecko, chociażby był mądrym jak sam król Salomon. Wszyscy wiedzieli, że generał przygotował na urodziny Nastasji Filipowny jako prezent od siebie wspaniałą perłę olbrzymiej wartości i wielce się tym prezentem przejmował, chociaż znał bezinteresowność Nastasji Filipowny. W przeddzień urodzin był jak w gorączce, chociaż zrećźnie się maskował. O tej właśnie perle dowiedziała się generałowa. Co prawda, Lizawieta Prokofiewna dawno już zaczęła dostrzegać lekkomyślność swojego męża, nawet po części przywykła do niej; ale przecież trudno było zbagatelizować taki wypadek: wieść o perle bardzo ją obeszała. Generał w porę to wyśledził: już poprzedniego dnia padły pewne słówka. Przeczuwał poważną rozmowę na ten temat i bał się jej. Toteż strasznie nie chciał tego rana, od którego zaczęliśmy opowieść, zasiadać do stołu w towarzystwie całej rodziny.

Jeszcze przed wizytą księcia powziął zamiar, aby wymówić się interesami i umknąć. Umknąć znaczyło czasem dla generała po prostu uciec. Pragnął chociaż ten jeden dzień, a przede wszystkim dzisiejszy wieczór spędzić bez nieprzyjemności. I nagle tak stosownie zjawił się książę. „Jakby go Pan Bóg zesłał!” - pomyślał generał wchodząc do swojej małżonki.

Generałowa była bardzo czuła na punkcie swojego pochodzenia. Toteż niemało dla niej znaczyło usłyszeć wprost i bez przygotowania, że ten ostatni z rodu książę Myszkina, o którym już coś niecoś wiedziała, jest niczym więcej, jak tylko pożałowania godnym idiotą, prawie nędzarzem, i przyjmuje jałmużnę. Generał właśnie starał się o taki efekt, żeby od razu zainteresować i jakoś odwrócić uwagę, skierować ją gdzie indziej.

W niezwykłych przypadkach generałowa zazwyczaj okropnie wybałuszała oczy i przechyliwszy się nieco w tył, patrzyła bez wyrazu przed siebie, nie mówiąc nic. Była to kobieta postawna, w równym wieku z mężem, chuda, o ciemnych, mocno już siwiejących, ale gęstych jeszcze włosach, nieco garbatym nosie, żółtych, zapadniętych policzkach i cienkich, stulonych wargach. Czoło miała wysokie, lecz wąskie: szare, dość duże oczy przybierały chwilami całkiem nieoczekiwany wyraz. Kiedyś przez prostą słabostkę uwierzyła, że jej spojrzenie jest nader fascynujące; przekonanie to nigdy się w niej nie zatarło.

- Przyjąć? Mówisz, żeby go przyjąć teraz, zaraz? - Generałowa, jak tylko mogła, wytrzeszczała swoje oczy na kręcące się przed nią Iwana Fiodorowicza.

- O, w tym wypadku można bez żadnej ceremonii, jeśli ci się tylko, moja duszko, podoba go widzieć - pośpieszył wyjaśnić generał. - To zupełny dzieciak, i nawet godny litości; miewa jakieś chorobliwe paroksyzmy; przyjechał ze Szwajcarii, przyszedł wprost z pociągu; ubrany dziwacznie, jakoś z niemiecka i w dodatku dosłownie bez grosza przy duszy; mało nie płacze. Dałem mu dwadzieścia pięć rubli i chcę mu zrobić u nas jakąś posadę w kancelarii. A was, *mesdames*^{*}, proszę, żebyście go ugościły, bo zdaje się, że jest głodny...

- Zdumiewasz mnie - ciągnęła dalej tym samym tonem generałowa - głodny i miewa paroksyzmy! Jakie paroksyzmy?

- O, nie powtarzają się tak często, a przy tym on jest prawie jak dziecko; zresztą ma wykształcenie. Chciałem was, nawet, *mesdames* - zwrócił się ponownie do córek - chciałem was prosić o przeegzaminowanie go; dobrze by się było jednak dowiedzieć, co on umie, moje panie.

- Prze - egza - mi - no - wanie? - wymówiła przeciągle generałowa i w najgłębszym zdumieniu zaczęła znowu wodzić oczami, spoglądając kolejno to na męża, to na córki.

- Ach, moja droga, nie bierz tego tak dosłownie... zresztą jak ci się podoba; chciałem go przyciągnąć i wprowadzić do nas, gdyż byłby to prawie dobry uczynek.

- Wprowadzić do nas? Ze Szwajcarii?

- Szwajcaria nic tu nie przeszkodzi; a zresztą powtarzam: jak sobie życzysz. Ja przecież tylko dlatego, że to, po pierwsze, nasz imiennik i może nawet krewny, a po drugie, nie wie, gdzie głowę

skłonić. Pomyślałem nawet, że się nim trochę zainteresujesz, gdyż bądź co bądź pochodzi z naszej rodziny.

- Naturalnie, *maman*, jeśli można z nim bez ceremonii; przy tym on z podróży, głodny, dlaczegóż go nie nakarmić, jeśli nie wie, gdzie się podziać? - rzekła najstarsza Aleksandra.

- I w dodatku zupełne dziecko; można się z nim jeszcze bawić w ciuciubabkę.

- Bawić się w ciuciubabkę? Co to ma znaczyć?

- Ach, *maman*, proszę z łaski swojej nie udawać - przerwała gniewnie Agłaja.

Średnia Adelajda, wielka śmieszka, nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Niech go papa poprosi, *maman* pozwala - zdecydowała Agłaja.

Generał zadzwonił i kazał wezwać księcia.

- Ale pod tym warunkiem, że mu się zawiąże serwetkę na szyi, kiedy siądzie do stołu - oświadczyła generałowa. - Trzeba zawołać Fiodora albo nawet Maura... żeby stał za nim i uważał, gdy będzie jadł. Czy jest chociaż spokojny podczas paroksyzmów? Nie robi jakich gestów?

- Przeciwnie, bardzo nawet dobrze wychowany i doskonale ułożony. Czasem trochę nazbyt głupkowaty... A otóż i on we własnej osobie! Proszę, przedstawiam paniom ostatniego z rodu księcia Myszkina, noszącego to samo nazwisko, a może nawet krewnego, przyjmijcie go życzliwie i uprzejmie. Zaraz siadamy do stołu, więc niechże księżę będzie łaskaw również... A ja przepraszam, spóźniłem się, śpieszę...

- Wiadomo, dokąd się śpieszysz - odezwała się z powagą generałowa.

- Śpieszę, śpieszę, moja droga, już jestem spóźniony! A dajcież mu wasze albumy, mesdames, niech coś w nich napisze, taki kaligraf to rzadka okazja! Prawdziwy talent! Napisał u mnie starodawnym pismem: „Igumen Pafnutij rękę przyłożył”... No, do widzenia!

- Pafnutij? Igumen? Zaraz, zaraz, poczekaj, dokąd lecisz i co to za Pafnutij? - nalegająco, z gniewem i nieomal w strachu wołała generałowa za uciekającym mężem.

- Tak, tak, moja droga, był w dawnych czasach taki igumen... a ja idę do hrabiego, który czeka dawno, i co najważniejsze, sam wyznaczył godzinę... Do widzenia, księżę!

Generał szybkim krokiem odszedł.

- Wiem, do jakiego mu pilno hrabiego! - odezwała się ostro Jelizawieta Prokofiewna i z widocznym rozdrażnieniem spojrzała na księcia. - Co tam znowu? - zaczęła przypominając sobie ze wstrętem i gniewem - no, cóż tam! Ach, tak: no, co to za igumen?

- *Maman* - zaczęła mówić Aleksandra.

Aglaja zaś nawet tupnęła nóżką.

- Proszę mi łaskawie nie przeszkadzać - dobitnie powiedziała do Aleksandry generałowa - i ja też chcę wiedzieć. Niech książę tu usiądzie, tu, w tym fotelu, naprzeciwko, nie, tu, do słońca, bliżej do światła niech się pan przysunie, żebym mogła widzieć. No i cóż to za igumen?

- Igumen Pafnutij - odpowiedział książę z szacunkiem i poważnie.

- Pafnutij? To ciekawe. Cóż to za jeden?

Generałowa wypytywała niecierpliwie, szybko, ostro, nie spuszczać oczu z księcia, a kiedy książę odpowiadał, kiwała głową przy każdym jego słowie.

- Igumen Pafnutij z czternastego wieku - zaczął książę - zarządzał pustelnią nad brzegiem Wołgi, w dzisiejszej naszej guberni kostromskiej. Znany był ze świątobliwego życia, jeździł do Ordy, pomagał załatwiać różne ówczesne sprawy i podpisał się pod jednym pismem urzędowym, a ja widziałem kopię tego podpisu. Podobał mi się ten podpis, więc się go nauczyłem. Kiedy dziś rano generał zechciał zobaczyć, jak piszę, żeby sprawdzić moje kwalifikacje, napisałem kilka zdań różnymi pismami, a między innymi zdanie: „Igumen Pafnutij rękę przyłożył” - takim charakterem pisma, jaki miał igumen. Generałowi bardzo to przypadło do gustu i teraz o tym wspomniał.

- Agłaja - rzekła generałowa - zapamiętaj: „Pafnutij”; albo lepiej zapisz, bo ja zawsze zapominam. Zresztą myślałam, że to będzie coś ciekawszego. Gdzież jest ten podpis?

- Zdaje się, że został w gabinecie generała na stole.

- Zaraz posłać i przynieść.

- Napiszę po raz drugi, jeśli pani sobie życzy.

- Oczywiście, *maman* - powiedziała Aleksandra - a teraz lepiej zabrać się do śniadania; chce nam się jeść.

- Słusznie - zdecydowała generałowa. - Chodźmy, książę; bardzo pan głodny?

- Tak, teraz bardzo mi się zachciało jeść i bardzo pani jestem wdzięczny.

- To bardzo dobrze, że pan jest grzeczny; widzę też, że z pana wcale nie jest taki... dziwak, za jakiego pana przedstawiono. Chodźmy! Niech pan usiądzie tutaj, naprzeciwko mnie - zapraszała troskliwie księcia, kiedy weszli do jadalni - chcę na pana patrzeć. Aleksandro, Adelajdo, częstujcie księcia. Prawda, że wcale nie jest taki... chory? Może nawet serwetki nie potrzeba... Czy panu przy jedzeniu zawiązywano serwetkę?

- Dawniej, kiedy miałem siedem lat, zdaje się, że zawiązywano, a teraz, kiedy jem, kładę sobie zwykle serwetkę na kolanach.

- Tak być powinno. A paroksyzmy?

- Paroksyzmy ? - zdziwił się trochę książę. - Paroksyzmy miewam teraz dosyć rzadko. Zresztą nie wiem; powiadają, że tutejszy klimat będzie dla mnie szkodliwy.

- Dobrze mówi - zauważyła generałowa zwracając się do córek i kiwając w dalszym ciągu głową po każdym słowie księcia - nawet nie przypuszczałam. Widocznie to jakaś błahostka i, jak zwykle, nieprawda. Niech książę je i opowiada, gdzie się urodził, gdzie wychowywał. Chcę wszystko wiedzieć; pan mię niezwykle interesuje.

Książę podziękował i zjadając z wielkim apetytem, zaczął znów opowiadać wszystko, o czym już nieraz wypadło mu mówić tego ranka. Generałowa była coraz bardziej zadowolona. Panny też dosyć uważnie słuchały. Wyliczono wszystkich krewnych; okazało się, że książę znał dosyć dobrze swój rodowód; ale mimo wszelkich wyliczeń nie zdołano ustalić żadnego pokrewieństwa między księciem i generałową. Dziadkowie i babki mogli być jeszcze uznani za dalekich krewnych. Ten suchy przedmiot rozmowy szczególnie przypadł do gustu generałowej, która mimo najszczerzych chęci rzadko miała okazję mówić o swoich antenatach. Toteż wstała od stołu bardzo ożywiona, a nawet podniecona.

- Chodźmy wszyscy do naszego wspólnego pokoju - powiedziała - tam nam przyniosą kawę. Mamy taki wspólny pokój - zwróciła się do księcia prowadząc go - po prostu mój mały salonik, w którym zbieramy się, kiedy jesteśmy same, i każda zajmuje się swoją robotą: Aleksandra, o, ta, najstarsza moja córka, gra na fortepianie albo czyta, albo szyje; Adelajda - maluje portrety i pejzaże (i nic nie może skończyć), a Agłaja siedzi i nic nie robi. Mnie także wszystko z rąk wypada; nic mi się nie udaje. No, jesteśmy na miejscu; niech książę usiądzie tu przy kominku i opowiada. Chcę wiedzieć, jak pan to robi. Chcę się dokładnie przekonać i kiedy się zobaczę ze starą księżną Biełokońską, wszystko jej o panu opowiem. Chcę, żeby oni wszyscy też się panem zainteresowali. No, niechże pan mówi.

- *Maman*, przecież to bardzo dziwnie tak opowiadać - zauważyła Adelajda, która tymczasem poprawiła swoje sztalugi, wzięła pędzle, paletę i zabrała się do kopiowania z ryciny dawno już zaczętego pejzażu. Aleksandra i Agłaja usiadły razem na malej kanapce i złożwszy ręce, przygotowały się do słuchania rozmowy. Książę spostrzegł, że jest przedmiotem uwagi wszystkich zebranych.

- Ja bym nic nie opowiedziała, gdyby mi tak kazano - oświadczyła Agłaja.

- Dlaczego? Czy to takie dziwne? Czemuż ma nie opowiadać? Języka mu nie brakuje. Chcę wiedzieć, jak mówi. O czymkolwiek. Niech pan opowie, jak się panu spodobała Szwajcaria, pierwsze wrażenie. Zobaczycie, że zaraz zacznie i doskonale zacznie.

- Wrażenie było silne... - zaczął książę.

- No, proszę - podchwyciła niecierpliwie Jelizawieta Prokofiewna - jednak zaczął.

- Niechże mu *maman* przynajmniej pozwoli mówić - powstrzymała ją Aleksandra. - Ten książę to może wielki oszust, ale nie idiota - szepnęła do Agłai.

- Na pewno tak, od dawna już to widzę – odrzekła Algaja. - I bardzo podle postępuje, że gra komedię. Czyżby chciał na tym coś skorzystać?

- Pierwsze wrażenie było bardzo silne - powtórzył książę. - Kiedy mię wieziono z Rosji przez różne niemieckie miasta, patrzyłem tylko w milczeniu i pamiętam, że nawet o nic nie pytałem. Było to po wielu ostrych i męczących atakach mojej choroby, a ja zawsze, kiedy choroba potęgowała się i ataki następowały kilkakrotnie jeden po drugim, wpadałem w zupełne otępienie, traciłem do szczętu pamięć; umysł wprawdzie działał, ale logiczny tok moich myśli jakby się urywał.... Więcej niż dwóch albo trzech myśli nie mogłem konsekwentnie związać. Tak mi się zdaje. Kiedy zaś paroksyzmy przechodziły, znów się stawałem zdrowy i mocny tak jak teraz. Pamiętam, przygniatał mię nieznośny smutek; chciało mi się nawet płakać; wszystko mię dziwiło i niepokoilo. Okropnie odczuwałem to, że wszystko dokoła mnie jest obce. Z tego zdawałem sobie sprawę. Obcość mię zabijała. Zbudziłem się zupełnie z tego mroku, pamiętam, wieczorem w Bazylei, przy wyjeździe do Szwajcarii; zbudził mię krzyk osła na rynku miejskim. Osioł okropnie mię zadziwił i dla czegoś niezwykle mi się spodobał, a jednocześnie w głowie mojej wszystko się jakby rozjaśniło.

- Osioł? To dziwne - zauważyła generałowa. - A zresztą nie ma nic dziwnego, niejedna z nas zakocha się jeszcze w osle - dodała spojrzawszy z gniewem na śmiejące się panny. - To było jeszcze w mitologii. Niech książę dalej opowiada.

- Od tego czasu strasznie lubię osły. Mam do nich nawet dziwną sympatię. Zacząłem o nie wypytywać, gdyż przedtem ich nie widywałem, i natychmiast powziąłem przekonanie, że to niebywale pożyteczne zwierzę, pracowite, silne, cierpliwe, tanie, wytrzymałe i dzięki temu osłu cała Szwajcaria zaczęła mi się nagle podobać, tak iż zupełnie przeszedł dotychczasowy smutek.

- Wszystko to jest bardzo dziwne, ale historyjkę z osłem można opuścić; przejdźmy do innego tematu. Czego ty się ciągle śmiejesz, Agłaja? A ty, Adelajdo? Książę bardzo dobrze opowiedział o osle. Widział go na własne oczy, a ty co widziałas? Nie byłaś za granicą.

- Widziałam osła, *maman* - odparła Adelajda.

- A ja nawet słyszałam - podchwyciła Agłaja.

Wszystkie trzy znów się roześmiały. Książę roześmiał się wraz z nimi.

- To bardzo brzydko z waszej strony - zauważyła generałowa. - Niech im książę wybaczy, bo są poczciwe. Wiecznie się z nimi kłócę, ale je kocham. Trzpiotowate, lekkomyślne wariatki.

- Dlaczego? - śmiał się książę. - I ja bym na ich miejscu nie opuścił okazji. Jednak osła gotów jestem bronić: osioł to dobry i pożyteczny człowiek.[14]

- A pan jest dobry? Pytam przez ciekawość - rzekła generałowa.

Znów się wszyscy roześmiali.

- I znów mi się nawinał ten przeklęty osioł; wcale o nim nie myślałam! - wykrzyknęła generałowa. - Niech mi książę wierzy, ja to bez najmniejszej...

- Aluzji? O, wierzę, bez wątpienia!

I książę śmiał się bez ustanku.

- To bardzo ładnie, że pan się śmieje. Widzę, że pan jest z kośćiami dobry - powiedziała generałowa.

- Bywam czasami niedobry - odparł książę.

- A ja jestem dobra - wtrąciła całkiem niespodzianie generałowa - i jeśli chce pan wiedzieć, zawsze jestem dobra. To moja jedyna wada, gdyż nie trzeba być zawsze dobrą. Złoszczę się bardzo często na córki albo na męża, ale robię to niedobrze, bo w złości jestem właśnie najlepsza. Niedawno, przed pana przyjściem, rozgniewałam się i udawałam, że nic nie rozumiem i zrozumieć nie mogę. Bywa tak ze mną; zupełnie jak z dzieckiem. Agłaja dała mi nauczkę; dziękuję ci, Agłajo. Zresztą wszystko to są głupstwa. Nie jestem jeszcze taka głupia, na jaką wyglądam i jak córeczki mnie chcą przedstawić. Mam charakter i nie jestem wstydliva. Mówię to zresztą bez złości. Chodź tu, Agłajo, pocałuj mię, no... dosyć tych czułości - zauważyła, gdy Agłaja pocałowała ją gorąco w usta i w rękę. - Proszę, niech książę mówi dalej. Może pan przypomni sobie coś ciekawszego niż osioł.

- A ja znowu nie rozumiem, jak to można tak po prostu opowiadać - zauważyła znów Adelajda - ja bym nie potrafiła.

- A książę potrafi, bo jest niezwykle mądry i mądrzejszy od ciebie co najmniej dziesięć, a może i dwanaście razy. Mam nadzieję, że się o tym przekonasz. Niech im to książę udowodni; proszę mówić dalej. Osła można istotnie opuścić. No więc cóż pan oprócz osła widział za granicą?

- Ależ i opowiadanie o osle było całkiem mądre - rzekła Aleksandra - książę mówił bardzo interesująco o swojej chorobie i o tym, jak wszystko mu się podobało dzięki jednemu zewnętrznemu impulsowi. Zawsze mię to ciekawiło, jak ludzie dostają pomieszania zmysłów. Zwłaszcza jeśli to się stanie nagle.

- Prawda? Prawda? - ożywiła się generałowa. - Widzę, że i ty czasem umiesz być mądra; no, dosyć tych żartów! Zdaje się, że książę zatrzymał się na szwajcarskiej przyrodzie; no i co dalej?

- Przyjechaliśmy do Lucerny i wzięto mnie na przejażdżkę po jeziorze. Odczuwałem, jakie jest piękne, ale było mi przy tym bardzo ciężko - powiedział książę.

- Dlaczego? - spytała Aleksandra.

- Bo nie rozumiem. Zawsze mi ciężko patrzeć na taką przyrodę po raz pierwszy, zawsze przy tym czuję niepokój; dobrze mi, ale jestem wytrącony z równowagi; zresztą wszystko to zdarzało się jeszcze w czasie choroby.

- A ja bardzo bym chciała popatrzeć - wyrzekła Adelajda. - Doprawdy nie rozumiem, dlaczego my się nie wybierzemy za granicę. Od dwóch lat nie mogę znaleźć tematu do mojego malarstwa.

Południe, Wschód już opisane...[15]

Niech mi książkę znajdzie temat do obrazu.

- Nic się na tym nie znam. Zdaje mi się, że wystarczy spojrzeć i malować.

- Spojrzeć nie potrafię.

- Cóż wy tak zagadkowo mówicie? Nic nie rozumiem! - przerwała generałowa. - Cóż to znaczy: spojrzeć nie potrafię? Masz oczy, więc patrz. Jeśli tu nie umiesz patrzeć, to się nie nauczysz i za granicą. Lepiej niech książkę opowie, jak sam patrzył.

- O tak, to będzie lepiej - potwierdziła Adelajda. - Książkę przecież nauczył się za granicą patrzeć.

- Nie wiem; nabrałem tam tylko zdrowia; ale nie wiem, czy się nauczyłem patrzeć. Zresztą prawie cały czas byłem bardzo szczęśliwy.

- Szczęśliwy! Umie pan być szczęśliwy? - niemal krzyknęła Agłaja. - Więc jak pan może mówić, że się pan nie nauczył patrzeć! Jeszcze nas pan naucz.

- Niech pan naucz, prosimy - śmiała się Adelajda.

- Niczego nie mogę nauczyć - śmiał się też książę. - Prawie cały czas za granicą spędziłem w tej szwajcarskiej wsi; rzadko gdzieś wyjeżdżałem, i to niedaleko; czegoż panie nauczę? Z początku było mi tylko nienudno; zacząłem szybko wracać do zdrowia; potem każdy dzień stawał się dla mnie drogi, a im dalej, tym droższy, tak że zacząłem to dostrzegać. Kładłem się spać zadowolony, a wstawałem jeszcze bardziej szczęśliwy. Ale dlaczego tak było - dosyć trudno powiedzieć.

- Tak że nigdzie się panu nie chciało ruszyć, nigdzie pana nie ciągnęło? - spytała Aleksandra.

- Z początku, z samego początku, owszem, ciągnęło; i wpadłem w wielkie zdenerwowanie. Wciąż myślałem, jak mi się życie ułoży; chciałem wybadać swoje losy; zwłaszcza w pewnych chwilach bywałem niespokojny. Wiedzą panie: zdarzają się takie chwile, zwłaszcza w odosobnieniu od ludzi. Był tam nieduży wodospad, który spadał z wysokiej góry, taką cienką nitką, prawie prostopadle - biały, szumny, pienisty; spadał z wysoka, a zdawało się, że z dosyć niska; był o pół wiorsty, a zdawało się, że jest do niego pięćdziesiąt kroków. Lubiłem po nocach słuchać jego szumu. I właśnie w takich chwilach dochodziłem niekiedy do wielkiego zdenerwowania. Czasami też w południe, kiedy znalazłem się gdzieś w górach i stanąłem samotnie na wierzchołku góry - a dokoła sosny wiekowe, duże, pachnące żywicą, na szczycie skały stary średniowieczny zamek, ruiny, a nasza wioska daleko w dole, tak że ledwo ją widać, słońce jaskrawe, niebo błękitne, cisza okropna - wtedy właśnie ciągnęło mnie dokąds nieprzeparcie i takie wciąż miałem wrażenie, że jeśli pójdę wprost przed siebie i będę iść długo, długo, to znajdę za tę linię, za tę właśnie linię, gdzie niebo styka się z ziemią, i tam nastąpi rozwiązanie całej zagadki: od razu ujrzę nowe życie, tysiąc razy huczniejsze i potężniejsze niż nasze. Wciąż mi się śniło miasto duże jak Neapol, a w nim tyle pałaców, gwaru, huk, ruchu... Tak; co mi się tam nie śniło! A potem doszedłem do przekonania, że i w więzieniu

można znaleźć ogromne życie.

- Tę myśl chwalebna wyczytałam już w mojej „Chrestomatii”, kiedy miałam dwanaście lat - powiedziała Agłaja.

- To wszystko filozofia - zauważyła Adelajda - pan jest filozofem i przyjechał nas pouczać.

- Może panie mają rację - uśmiechnął się książę - kto wie, czy rzeczywiście nie jestem filozofem i nie zamierzam istotnie nauczać... To możliwe, doprawdy możliwe.

- Pańska filozofia jest całkiem podobna do filozofii Eulampii Nikołajewny - podchwyciła znowu Agłaja. - To pewna wdowa po urzędniku, która tu ciągle do nas chodzi, jakby rezydentka. Jedno ją tylko w życiu interesuje - taniłość; żeby tylko jak najtaniej się utrzymać; mówi tylko o pieniądzach, a trzeba wiedzieć, że pieniądze ma; to szachrajka. Tak samo całkiem jest podobne pańskie życie w więzieniu, a może nawet i pańskie czteroletnie szczęście na wsi, za które sprzedał pan swój Neapol, i to bodaj z zyskiem, chociaż za grosze.

- Co do życia w więzieniu można by się zgodzić - powiedział książę - słyszałem opowiadanie człowieka, który przesiedział w więzieniu dwanaście lat; był to jeden z pacjentów mojego profesora, leczył się u niego. Miewał ataki, był czasem poddenerwowany, płakał, a raz nawet usiłował popełnić samobójstwo. Życie jego w więzieniu było bardzo smutne, zaręczam paniom, ale z pewnością warte więcej niż grosz. Wszystkie jego znajomości ograniczały się do pająka i do drzewa, co wyrosło pod oknem... Lepiej jednak opowiem paniom o innym moim spotkaniu zeszłego roku z pewnym człowiekiem. Zafrapowała mnie tam jedna bardzo dziwna okoliczność - dziwna właściwie dlatego, że taki wypadek rzadko się zdarza. Człowiek ten był raz prowadzony razem z innymi na szafot i przeczytano mu wyrok śmierci przez rozstrzelanie za przestępstwo polityczne. Po dwudziestu minutach przeczytano ulaskawienie i wyznaczono inny stopień kary; jednak w okresie pomiędzy dwoma wyrokami, dwadzieścia minut albo co najmniej kwadrans skazaniec przeżył święcie przekonany, że za kilka minut nagle umrze. Straszna miałem ochotę słuchać, gdy sobie czasem przypominał swoje ówczesne wrażenia, i kilka razy zaczynałem go na nowo wypytywać. Pamiętał wszystko z niezwykłą dokładnością i mówił, że nigdy nic z tych chwil nie zapomni. O jakieś dwadzieścia kroków od szafotu, wokół którego stał tłum ludzi i wojsko, wbite były trzy słupy, ponieważ przestępców było kilkunastu. Trzech pierwszych poprowadzono do słupów, przywiązano, włożono na nich śmiertelną odzież (białe długie kapoty), a na oczy nasunięto im białe kołpaki, żeby nie widzieli karabinów; potem naprzeciwko każdego słupa stanął w szeregu oddział złożony z kilkunastu żołnierzy. Mój znajomy był ósmy z kolei, więc wypadało mu iść do słupa z trzecią dopiero partią. Duchowny obszedł wszystkich z krzyżem. Pozostawało jeszcze pięć minut życia, nie więcej. Mówił, że te pięć minut wydały mu się nieskończenie długim terminem, olbrzymim bogactwem; miał wrażenie, iż przez te pięć minut przeżyje tyle żywotów, że teraz nie musi jeszcze myśleć o ostatniej chwili, więc nawet ułożył sobie jeszcze pewien plan: wyliczył czas na pożegnanie się z towarzyszami, przeznaczając na to dwie minuty, potem przeznaczył jeszcze dwie minuty, żeby pomyśleć ostatni raz o sobie, a następnie żeby po raz ostatni spojrzeć dokoła siebie. Bardzo dobrze pamiętał, że te trzy rzeczy właśnie uplanował i właśnie tak obliczył. Umierał, mając lat dwadzieścia siedem, w pełni sił i zdrowia; pamiętał, iż żegnając się z towarzyszami zadał jednemu z nich dosyć obojętne pytanie i nawet bardzo był ciekawy odpowiedzi. Potem kiedy się pożegnał z towarzyszami, nadeszły owe dwie minuty, które przeznaczył na rozmyślanie o sobie; wiedział zawczasu, o czym

będzie myśleć: chciał wyobrazić sobie jak najszybciej i jak najdokładniej, jak to być może: - teraz jest i żyje, a za trzy minuty będzie już czymś zupełnie innym - czymś czy kimś - więc kim właściwie? I gdzie? Sądził, że rozstrzygnie to w ciągu tych dwóch minut! Nie opodał stał kościół i szczyt katedry z połączonym dachem błyszczał w jasnym słońcu. Pamiętał, że ze straszliwą uporczywością wpatrywał się w dach i odbijające się od dachu promienie; oczu nie mógł oderwać od tych promieni: wydawało mu się, że te promienie są jakąś nową jego naturą, że po trzech minutach jakoś złączy się z nimi... Nieświadomość i wstręt do tego czegoś nowego, które nadejdzie i ziści się zaraz, były okropne; ale mówił, że nic dla niego nie było wtedy cięższe nad nieustanną myśl: „A gdyby tak nie umrzeć! Gdyby tak przywrócić sobie życie - co za nieskończoność! I wszystko to byłoby moje! Zamieniłbym wtedy każdą minutę na całe stulecie, nic bym nie utracił, każdą chwilę bym liczył i odliczał, każdą bym należycie wykorzystał!” Mówił, że ta myśl w końcu przerodziła się w nim w taką złość, iż pragnął, aby go jak najprędzej zastrzelono.

Książę nagle umilkł; wszyscy spodziewali się, że będzie mówił dalej i wyciągnie jakieś wnioski.

- Pan skończył? - spytała Agłaja.

- Co? Tak, skończyłem - powiedział książę budząc się z chwilowej zadumy.

- Więc po cóż pan o tym opowiadał ?

- Tak... przypomniało mi się... w toku rozmowy...

- Pan bardzo lubi urywać - zauważyła Aleksandra. - Książę chciał zapewne udowodnić, że ani jednej chwili nie trzeba oceniać na gorsze i że czasem pięć minut jest droższe od największego skarbu. Wszystko to się chwali, jednak za pozwoleniem pańskim, jakże ten przyjaciel, który panu opowiadał takie straszne rzeczy... przecie zmieniono mu karę, więc darowano mu to „nieskończone życie”... Cóż on potem zrobił z tym bogactwem? Czy istotnie „liczył i odliczał” każdą chwilę ?

- O nie, sam mi mówił... pytałem go już o to... wcale nie tak żył i stracił dużo, bardzo dużo chwil.

- Czyli ma pan próbę; najwidoczniej nie można żyć „licząc i odliczając minuty”. Jest jakiś powód, że nie można.

- Tak, jest jakiś powód, że nie można - powtórzył książę - mnie samemu tak się zdawało... A jednak nie chce się jakoś wierzyć...

- Słowem, przypuszcza pan, że mądrzej niż wszyscy spędzi pan życie? - spytała Agłaja.

- Tak, nieraz to myślałem.

- I myśli pan?

- I... myślę - odpowiedział książę patrząc na Agłaję tak jak poprzednio, z łagodnym, a nawet nieśmiałym uśmiechem; ale natychmiast roześmiał się znowu i popatrzył na nią wesoło.

- Co za skromność! - powiedziała Agłaja prawie z rozdrażnieniem.

- Panie są jednak bardzo odważne, śmieją się panie, a na mnie to wszystko w jego opowiadaniu zrobiło takie wrażenie, że później śniło mi się, właśnie te pięć minut mi się śniło...

Badawczo i poważnie jeszcze raz obrzucił spojrzeniem swoje słuchaczki.

- Czy się panie za coś na mnie nie gniewają? – spytał nagle, jakby zmieszany, patrząc jednak wszystkim prosto w oczy.

- Za co? - krzyknęły wszystkie trzy panny ze zdziwieniem.

- Ano, że tak jakbym ciągle pouczał...

Panny roześmiały się.

- Jeśli się panie gniewają, to proszę się nie gniewać - powiedział - sam przecie wiem, że mniej od innych żyłem i mniej od wszystkich rozumiem życie. Może czasami mówię bardzo dziwnie...

Zmieszał się do reszty.

- Skoro pan twierdzi, że był szczęśliwy, to musiał pan żyć nie mniej, lecz więcej; po cóż więc pan mówi tak nieszczerze i tłumaczy się? - zaczęła surowo i zaczepnie Agłaja. - Niech się pan nie boi, że nas pan poucza, i niech pan nie uważa tego za swój triumf. Z pańskim kwietyzmem można by nawet sto lat życia wypełnić szczęściem. Czy pokazać panu karę śmierci, czy paluszek - to wszystko jedno, pan z jednego i z drugiego wyciągnie tak samo chwalebne wnioski i będzie zadowolony. W ten sposób można łatwo pędzić życie.

- O co ty się tak ciągle złościysz, nie rozumiem - podchwyciła generałowa, od dawna już obserwując twarze mówiących - i o czym rozmawiacie, też nie mogę pojąć. Jakiś paluszek, cóż to znów za bzdura? Księżę mówi przepięknie, tylko trochę smutno. Czemu go onieśmielasz? Kiedy zaczynał mówić, śmiał się, a teraz siedzi całkiem osowiały.

- To nic, *maman*. A szkoda, że księżę nie widział egzekucji, zapytałabym go o jedną rzecz.

- Widziałem egzekucję - odparł księżę.

- Widział pan? - zawołała Agłaja. - Powinam się była tego domyślić! To już doprawdy szczyt wszystkiego. Jeśli pan widział, jak pan może mówić, że pan był cały czas szczęśliwy? No co, czy nie powiedziałam panu prawdy?

- A czyż w pańskiej wsi odbywają się egzekucje? - spytała Adelajda.

- Widziałem to w Lyonie, we Francji; jeździłem tam ze Schneiderem, wziął mnie wtedy z sobą. Gdy przyjechałem, akurat trafiłem.

- No i co, bardzo się panu spodobało? Bardzo pouczające? Pożyteczne? - pytała.

- Wcale mi się to nie spodobało, i nawet byłem potem chory, ale przyznam się, że patrzyłem jak przykuty, oczu nie mogłem oderwać.

- Ja bym też nie mogła oderwać oczu - powiedziała Agłaja.

- Tam bardzo nie lubią, kiedy kobiety chodzą patrzeć, nawet w dziennikach potem piszą o tych kobietach.

- Skoro więc uważają, że to nie kobieca sprawa, chcą chyba przez to samo powiedzieć (a zatem i usprawiedliwić), że to jest sprawa męska. Winszuję logiki. I pan oczywiście sądzi tak samo.

- Niech pan opowie o egzekucji - przerwała Adelajda.

- Bardzo bym nie chciał teraz... - odrzekł, zmieszany i jakby zachmurzony, książę.

- Pewno pan jest zdania, że nam nie warto opowiadać - ukłuli go Agłaja.

- Nie, po prostu dlatego, że już o tej egzekucji niedawno opowiadałem.

- Komu pan opowiadał?

- Kamerdynerowi państwa, czekając...

- Jakiemu kamerdynerowi ? - rozległo się ze wszystkich stron.

- Ano temu, co siedzi w przedpokoju, taki siwawy, z czerwoną twarzą; czekałem w przedpokoju, żeby się dostać do Iwana Fiodorowicza.

- To dziwne - zauważyła generałowa.

- Książę jest demokratą - ucięła Agłaja. - No, ale skoro pan opowiadał Aleksemu, to nam pan nie może odmówić.

- Chcę koniecznie usłyszeć - powtórzyła Adelajda.

- Przed chwilą rzeczywiście - zwrócił się do niej książę, znowu się trochę ożywiając (ożywiał się, rzec można, bardzo szybko i ufnie) - rzeczywiście myślałem o tym, kiedy mnie pani pytała o temat do obrazu, aby dać pani taki temat: twarz skazańca na chwilę przed ciosem gilotyny, kiedy jeszcze stoi na szafocie, zanim się położył na desce.

- Jak to twarz? Samą twarz? - spytała Adelajda. - Dziwny to będzie temat i co za obraz?

- Nie wiem, dlaczego niby? - nalegał gorąco książę. - Niedawno w Bazylei widziałem taki obraz[16]. Chciałbym bardzo pani opowiedzieć... Kiedyś opowiem... Zrobił na mnie duże wrażenie.

- O obrazie w Bazylei musi pan opowiedzieć, ale później - powiedziała Adelajda - teraz zaś niech mi pan wytłumaczy obraz przedstawiający tego straceńca. Może mi pan wyjaśni, jak pan to

sobie wyobraża. Jakże tę twarz wymalować? Po prostu samą twarz? Jak ta twarz ma wyglądać ?

- To jest dokładnie na chwilę przed śmiercią - zaczął z całą gotowością książkę, poddając się wspomnieniom i najwidoczniej zapominając natychmiast o wszystkim innym - w tym właśnie momencie, kiedy skazaniec wszedł po schodach i dopiero co postawił nogę na szafocie. Spojrzał wtedy w moją stronę; popatrzyłem na jego twarz i wszystko zrozumiałem.. Zresztą jakże to opowiedzieć! Strasznie, strasznie bym chciał, żeby pani albo ktokolwiek bądź to namalował! Lepiej jednak, żeby to pani zrobiła! Od razu wtedy pomyślałem, że taki obraz będzie pożyteczny. Wie pani, trzeba tam przedstawić wszystko, co było przedtem, wszystko, wszystko. Skazaniec przebywał w więzieniu i spodziewał się wykonania wyroku dopiero za jakiś tydzień; liczył na zwykłą formalistykę, że papier musi jeszcze dokądś pójść i wróci po upływie tygodnia. A tymczasem z jakiegoś tam powodu sprawę przyśpieszono. O piątej rano spał. Było to pod koniec października; o piątej jest jeszcze ciemno i zimno. Wszedł inspektor więzienia, po cichu, ze strażnikami, i ostrożnie dotknął jego ręki; skazaniec podniósł się, oparł się na łokciu - widzi światło: „Co to takiego?” „O dziesiątej egzekucja.” Świeżo zbudzony ze snu, nie uwierzył, zaczął dowodzić, że papier nadejdzie dopiero za tydzień, ale gdy się całkiem ocknął, przestał się spierać i umilkł - tak opowiadano - a później powiedział: „Jednak to ciężko tak nagle...” - i znowu umilkł, i już nic nie chciał mówić. Następne trzy, cztery godziny upływają na wiadomych sprawach: książka, śniadanie, do którego dają mu wódkę, kawę i pieczeń wołową (no, czy to nie kpiny? Przecie zastanowić się tylko, jakie to okrutne, a z drugiej strony, dalibóg, ci poczciwi ludzie robią tak z dobrego serca i są przekonani, że to jest humanitarne), potem toaleta (czy panie wiedzą, na czym polega toaleta przestępcy?), wreszcie wiozą go przez miasto na miejsce egzekucji... Przypuszczam, że skazańcowi i tu się wydaje, iż ma przed sobą jeszcze długie życie, dopóki go wiozą. Mam wrażenie, że on na pewno tak myślał w drodze. „Jeszcze długo, jeszcze przez trzy ulice będę żył; tę przejadę, potem będzie jeszcze ta, przy której jest po prawej stronie piekarnia... a zanim dojedziemy do piekarni, upłynie sporo czasu!” Dokoła tłum ludzi, krzyk, hałas, dziesięć tysięcy osób, dziesięć tysięcy par oczu - wszystko to trzeba znieść, a przede wszystkim tę myśl: „Ich jest dziesięć tysięcy, jednak żadnego nie stracą, tylko mnie stracą!” No, ale to wszystko - to dopiero wstęp. Na szafot prowadzą schodki: przed samymi schodkami skazaniec nagle zaczął płakać, a był to człowiek silny i odważny, podobno wielki złoczyńca. Przez cały czas był przy nim kapłan, nie odstępował go ani na krok, i na wózku z nim jechał, i wciąż mówił - wątpliwe jednak, czy tamten słyszał: zaczyna słuchać, a trzeciego słowa już nie rozumie. Tak musi być. Nareszcie zaczął wchodzić na schodki; nogi ma związane, więc idzie małymi kroczkami. Duchowny, człowiek zapewne mądry, przestał mówić, tylko mu dawał krzyż do całowania. Wstępując na schodki był bardzo blady, a kiedy już stanął na szafocie, zrobił się nagle biały jak papier, całkiem jak biały papier do pisania. Nogi mu zapewne słabły i kostniały, i mdło mu się robiło - jakby go coś dusiło w gardle i zarazem łaskotało - czy panie odczuwały to kiedykolwiek w chwili przerażenia albo w jakichś strasznych okolicznościach, kiedy rozsądek nie opuszcza człowieka, ale nie ma już żadnej władzy? Zdaje mi się, że jeśli człowiek stoi na przykład wobec nieuniknionej zagłady, dom się na niego wali, to ma wtedy okropną ochotę usiąść, zamknąć oczy i czekać - niech się, co chce, dzieje!... Otóż w danym wypadku, kiedy skazaniec zaczynał słabnąć, duchowny czym prędzej, takim szybkim ruchem i bez jednego słowa, podsuwał mu od razu krzyż do samych ust, taki maleńki krzyżyk, srebrny, czteroramienny - podsuwał często, co chwilę. I gdy tylko krzyż dotykał ust, skazaniec otwierał oczy i znów na parę sekund jakby się ożywił, i nogi szły. Całował krzyż z chciwością, śpieszył się z całowaniem, tak jakby się śpieszył nie zapomnieć o czymś, co mu jest potrzebne na zapas, na wszelki wypadek; wątpię jednak, czy w owej chwili

odczuwał coś religijnego. I tak było aż do samej deski... Dziwna rzecz, że w tych ostatnich sekundach ludzie rzadko kiedy tracą przytomność! Przeciwnie, głowa niesamowicie żyje, umysł pracuje, i to pewnie tak mocno, mocno jak maszyna puszczona w ruch; wyobrażam sobie, jak wtedy stukoczą różne myśli, wszystkie niedokończone, a może nawet śmieszne, takie obojętne myśli: „Ten, co tam patrzy - ma na czole brodawkę, dolny guzik przy ubraniu kata jest zardzewiały...”, a tymczasem wciąż się wie i wciąż się pamięta; jest taki jeden punkt, o którym absolutnie zapomnieć nie można i zemdleć nie można, i wszystko wokół niego, wokół tego punktu, porusza się i obraca. I pomyśleć tylko, że to tak do ostatniego ułamka sekundy, kiedy już głowa leży na pniu i czeka... i wie, i nagle usłyszy nad sobą, jak zgrzytnęło żelazo! To się na pewno usłyszy! Ja, gdybym leżał, umyślnie bym słuchał, i usłyszał! Może to trwać najwyżej jedną dziesiątą sekundy, ale na pewno się słyszy! I proszę wziąć pod uwagę, że ludzie dotychczas się spierają, czy głowa, kiedy już opadnie, wie może jeszcze przez sekundę o tym, że odpadła - jakaż to okropna możliwość! A jeżeli to trwa pięć sekund!... Niech pani namaluje szafot w ten sposób, żeby widać było wyraźnie i z bliska jeden tylko, ostatni stopień; zbrodniarz stanął na nim: głowa, twarz blada jak płótno, duchowny podaje krzyż, tamten chciwie wysuwa swoje zsiniałe usta i patrzy, i - wciąż wie. Krzyż i głowa - oto zasadniczy temat obrazu; twarz duchownego, kata, jego dwóch pomocników oraz kilka głów i oczu poniżej - to wszystko można namalować jakby na trzecim planie, zamglone, jako akcesorium.. Taki powinien być obraz.

Książę umilkł i popatrzył na wszystkich.

- To stanowczo nie wygląda na kwietyzm - odezwała się jakby do siebie Aleksandra.

- A teraz niech pan opowie, jak pan był zakochany - powiedziała Adelajda.

Książę spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Niech pan posłucha - mówiła, jakby śpiesząc się, Adelajda - należy nam się od pana opowiadanie o tym obrazie, który pan widział w Bazylei, teraz jednak chcę posłuchać o tym, jak pan był zakochany; niech się pan nie wypiera, był pan. A zauważyłam, że pan, gdy tylko zacznie opowiadać, przestaje być filozofem.

- Pan, gdy tylko skończy opowiadanie, zaraz się wstydzi tego, co opowiedział - stwierdziła nagle Agłaja. - Dlaczego tak?

- Jakież to doprawdy głupie - ucięła generałowa, patrząc z oburzeniem na Agłaję.

- Niemądre - powiedziała Aleksandra.

- Niech książę jej nie wierzy - zwróciła się do niego generałowa - ona to robi naumyślnie, przez jakąś dziwną złośliwość; ona nie jest wcale, tak źle wychowana; niech pan nie weźmie za złe, że one się do pana tak przyczepiają. Z pewnością coś uknuły, ale już pana lubią. Znam ich twarze.

- I ja znam ich twarze - powiedział książę z jakimś szczególnym naciskiem.

- Mianowicie? - spytała zaciekawiona Adelajda.

- Co pan wie o naszych twarzach? - zaciekawiły się również pozostałe siostry.

Ale książę milczał, zachowując poważną minę: wszyscy czekali na jego odpowiedź.

- Powiem paniom później - oświadczył cicho i poważnie.

- Stanowczo chce nas pan zaintrygować - zawołała Aglaja - cóż to za uroczysty ton!

- No dobrze - pośpieszyła się znów Adelajda - skoro z pana taki znawca twarzy, to z pewnością był pan też zakochany; chyba zgadłam. Niechże pan opowie.

- Nie byłem zakochany - odparł książę tak samo cicho i poważnie - byłem... inaczej szczęśliwy.

- Jak to, w jaki sposób?

- Dobrze, opowiem paniom - rzekł książę jakby w głębokiej zadumie.

VI

- Panie - zaczął książkę - patrzą na mnie teraz z taką ciekawością, że gdybym jej nie zaspokoił, chyba by się na mnie obraziły. Nie, to tylko żarty - dodał czym prędzej z uśmiechem. - Tam... tam były same dzieci i ja przez cały czas byłem z dziećmi, z samymi dziećmi. Były to dzieci z tej wsi, cała gromada, która uczyła się w szkole. Ja ich właściwie nie uczyłem; o nie, był tam od tego nauczyciel, Jules Thibault; uczyłem je też, co prawda, ale raczej po prostu przebywałem z nimi, i zeszyły mi tak całe cztery lata. I nic więcej nie było mi potrzeba. Mówiłem im wszystko, nic przed nimi nie ukrywałem. Ich rodzice i krewni - wszyscy się na mnie pogniewali, gdyż dzieci w końcu nie mogły się beze mnie obejść i wciąż cisnęły się do mnie, a nauczyciel stał się w końcu moim największym wrogiem. Dużo sobie tam narobiłem wrogów, i to wszystko z powodu dzieci. Nawet Schneider czynił mi wyrzuty. I czego oni się tak bali? Dziecku można wszystko mówić, wszystko; uderzało mię zawsze to, jak dorośli mało znają dzieci, nawet ojcowie i matki swoje własne dzieci. Przed dziećmi nic nie trzeba ukrywać, dlatego że są małe i że za wcześnie, aby wiedziały. Cóż to za żaloszny i nieszczęśliwy pomysł! I jak dobrze same dzieci dostrzegają, że ojcowie uważają je za nazbyt małe i nic nie rozumiejące, a tymczasem one wszystko rozumieją. Dorośli nie wiedzą, że dziecko nawet w najtrudniejszej sprawie może udzielić bardzo ważnej rady. O Boże! kiedy na człowieka patrzy taka milutka ptaszyna, szczęśliwa i ufna, powinno być mu wstyd ją oszukać! Nazywamy dzieci ptaszkami, gdyż nie ma na świecie nic miłszego od ptasząt. Zresztą wszyscy we wsi pogniewali się na mnie najwięcej z jednego powodu... a Thibault po prostu zazdrościł; z początku wciąż kręcił głową i dziwił się, że dzieci przy mnie wszystko rozumieją, a przy nim prawie nic; potem zaczął się ze mnie wyśmiewać, kiedy mu powiedziałem, że my obaj niczego ich nie nauczymy, tylko one jeszcze nas uczą. I jak on mógł mi zazdrościć i obmawiać mię, kiedy sam ciągle przestawał z dziećmi! Dzieci wpływają uzdrawiająco na duszę... W zakładzie Schneidera był pewien chory, pewien bardzo nieszczęśliwy człowiek. Było to tak straszne nieszczęście, że chyba nie może być nic równie straszego. Miał się leczyć na pomieszenie zmysłów; według mnie jednak nie był to wariat, tylko człowiek straszliwie cierpiący - na tym polegała jego choroba. I żeby panie wiedziały, czym dla niego w końcu były nasze dzieci!... Ale o tym chorym lepiej później paniom opowiem; teraz opowiem, jak się to wszystko zaczęło. Dzieci mię z początku nie lubiły. Byłem taki duży, wyglądałem zawsze niedźwiedziowato; wiem też, że jestem brzydki... wreszcie i to, że byłem cudzoziemcem. Dzieci z początku śmiały się ze mnie, a potem zaczęły we mnie rzucać kamieniami, kiedy podpatrzyły, że pocałowałem Marię. A ja pocałowałem ją tylko jeden jedyny raz... Nie, proszę się nie śmiać - szybko powstrzymał książkę uśmiechy swoich słuchaczek - tu nie było mowy o miłości. Gdyby panie wiedziały, jakie to było nieszczęśliwe stworzenie, toby i paniom zrobiło się jej żal, tak jak mnie. Pochodziła z naszej wsi. Jej matka była sędziwą staruszką i w ich malutkim, całkiem rozpadającym się domku o dwóch oknach, jedno było za zgodą wiejskiej władzy odgrrodzone; w tym okienku pozwolono jej handlować sznurkami, nićmi, tytoniem, mydłem, za najniższe grosze; z tego się utrzymywała. Była chora, nogi jej ciągle puchły, tak że musiała siedzieć na miejscu. Maria była jej córką, dwudziestoletnią słabą i chudą dziewczyną, od dawna chorą na suchoty; chodziła jednak bez przerwy po domach, wynajmując się do ciężkiej pracy na dniówki - myła podłogi, prała bieliznę, zamiatała podwórka, oporządzała bydło. Pewien przejezdny francuski komiwojażer uwiódł ją i zabrał ze sobą, ale po tygodniu rzucił samą na drodze i po kryjomu wyjechał. Przyszła do domu, przekradając się, cała uwalana, w łachmanach, w zdartych trzewikach; szła na piechotę przez cały

tydzień, nocowała w polu i bardzo się przeziębila; nogi miała pokryte ranami, ręce popuchnięte i popękane. Zresztą i przedtem nie odznaczała się urodą; oczy jej tylko były zawsze łagodne, dobre, niewinne. I strasznie mało mówiła. Pewnego razu, dawniej jeszcze, zaczęła nagle śpiewać podczas pracy i pamiętam, że wszyscy zdziwili się i wybuchnęli śmiechem: „Maria śpiewa! Co? Maria śpiewa!” Dziewczyna okropnie się zawstydzila i już potem zamilkła na dobre. Wtedy jeszcze odnoszono się do niej życzliwie, ale kiedy wróciła chora, goniąc resztkami sił, nikt już dla niej nie miał żadnego współczucia! Jacyż okrutni są ludzie w takich wypadkach! Jakież to jest dla nich trudne do wyrozumienia! Matka pierwsza przyjęła ją ze złością i ze wzgardą: „Zniesławiałaś mnie!” Pierwsza też wydała ją na pohańbienie: gdy się we wsi dowiedziano, że Maria wróciła, wszyscy pobiegli ją oglądać, prawie cała wieś zleciała się przed chatę staruszki - starcy, dzieci, kobiety, dziewczęta - wszyscy; każdy się śpieszył, by nasycić swoją ciekawość. Maria leżała na podłodze u nóg staruszki, głodna, obdarta i płakała. Kiedy nadbiegli ludzie, przykryła się swoimi rozpuszczonymi włosami i tak leżała dalej twarzą do ziemi. Wszyscy dokoła patrzyli na nią jak na gadzinę; starzy potępiali ją na głos i wymyślali jej, młodzi nawet się śmieli, kobiety złorzeczyły jej, urągały, spoglądały z takim obrzydzeniem, jak na jakiegoś pająka. Matka na to wszystko pozwoliła, sama przy tym siedziała, kiwała głową i przytakiwała. Matka była już wtedy bardzo chora i prawie umierająca; rzeczywiście potem umarła; wiedziała, że umiera, a jednak do samej śmierci nawet nie pomyślała, żeby się pogodzić z córką, nawet z nią nie chciała rozmawiać, wypędzała spać do sieni, prawie nic jeść nie dawała. Musiała często moczyć swoje chore nogi w ciepłej wodzie; Maria codziennie myła jej nogi i chodziła koło niej; a ona przyjmowała wszystkie usługi córki w milczeniu i nawet jej nie rzekła ani jednego dobrego słowa. Maria wszystko znosiła, a ja potem, kiedy się z nią poznałem, zauważyłem, że ona z tym wszystkim godzi się i sama uważa się za jakieś najostatniejsze stworzenie. Kiedy staruszka na dobre już się położyła, przyszły ją doglądać kolejno, wedle zwyczaju, wiejskie baby. Marii przestano wtedy dawać cokolwiek do jedzenia; a we wsi wszyscy ją przepędzali i nawet nikt nie chciał jej wziąć do roboty tak jak przedtem. Wszyscy jakby na nią pluli, a mężczyźni przestali ją uważać za kobietę i wciąż mówili jej różne sprośności. Czasem, bardzo rzadko, kiedy pijacy w niedzielę dobrze sobie podpiłi, rzucali jej dla żartu parę groszy, ot tak, wprost na ziemię; Maria podnosiła je w milczeniu. Już wtedy zaczęła kaszleć i pluć krwią. W końcu jej łachmany zdarły się do reszty, tak że wstyd było pokazywać się we wsi; boso zaś chodziła od samego powrotu. Wówczas właśnie dzieci całą gromadą - a było ich ze czterdzieścioro, tych, co chodziły do szkoły - zaczęły się z nią drażnić, nawet obrzucały ją błotem. Prosiła pastucha, żeby jej pozwolił paść krowy, ale pastuch ją przepędził. Wtedy zaczęła sama, bez pytania, wychodzić za bydłem z domu na cały dzień. Ponieważ przynosiła pastuchowi dużo pożytku i on to zauważył, więc już jej nie przepędzał i czasem nawet dawał jej resztki ze swego obiadu, kawałek sera czy chleba. Uważał to za wielkie miłosierdzie ze swojej strony. Kiedy zaś matka umarła, pastor nie powstydział się zniesławić Marii publicznie w kościele. Maria stała przy trumnie, tak jak była, w swoich łachmanach, i płakała. Zeszło się dużo ludzi, aby popatrzeć, jak ona będzie płakała i jak będzie szła za trumną; wtedy pastor - był to jeszcze młody człowiek, ambitny, pragnął stać się wielkim kaznodzieją - zwrócił się do wszystkich i wskazał na Marię. „Oto kto był powodem śmierci tej czcigodnej kobiety” (a nieprawda, ponieważ była chora już od dwóch lat), „oto stoi przed wami i nie śmie oczu podnieść, albowiem tknął ją palec Boży; jest bosa i w łachmanach - przykład dla tych, którzy tracą cnotę! Co to za jedna? To jej córka!” - i tak dalej w tym guście. No i proszę sobie wyobrazić, że ta podłość prawie wszystkim się spodobała, ale... zdarzyła się wtedy dziwna historia; wtrąciły się dzieci, gdyż wtedy wszystkie były już po mojej stronie i zaczęły lubić Marię. A doszło do tego w następujący sposób. Chciałem coś zrobić dla Marii; trzeba jej było koniecznie dać

pieniędzy, nie miałem tam jednak nigdy ani grosza. Miałem natomiast małą brylantową szpilkę i sprzedałem ją jednemu przekupniowi, który jeździł po wsiach i handlował starą odzieżą. Dał mi osiem franków, chociaż szpilka na pewno warta była ze czterdzieści. Długo starałem się spotkać Marię samą; w końcu spotkaliśmy się za wsią przy płocie, na bocznej ścieżynce prowadzącej na górę, za drzewem. Zaraz jej dałem osiem franków i powiedziałem, żeby nimi oszczędnie gospodarowała, bo więcej już mieć nie będę; potem ucałowałem ją i powiedziałem, żeby nie myślała, iż mam jakieś złe zamiary, a całuję ją nie z miłości, ale dlatego, że mi jej bardzo żal i że od samego początku wcale jej nie uważałem za winną, tylko za nieszczęśliwą. Miałem wielką ochotę i pocieszyć ją, i zarazem przekonać, że nie powinna tak siebie przed wszystkimi poniżać, ale ona tego, zdaje się, nie zrozumiała. Od razu to zauważyłem, chociaż prawie cały czas milczała i stała ze spuszczonej oczyma, okropnie zawstydzona. Kiedy skończyłem mówić, pocałowała mnie w rękę, a ja natychmiast wziąłem jej rękę i chciałem również pocałować, jednak czym prędzej ją wyrwała. I wtedy nagle podpatrzyły nas dzieci, całą gromadą; dowiedziałem się potem, że od dawna już mnie śledziły. Zaczęły gwizdać, klaskać w dłonie i śmiać się, a Maria uciekła. Chciałem do nich przemówić, ale one zaczęły we mnie rzucać kamieniami. Tego samego dnia dowiedzieli się wszyscy, cała wieś; wszystko znów skrupiło się na Marii: ludzie jeszcze bardziej ją znienawidzili. Słyszałem nawet, że miano ją skazać na jakąś karę, ale dzięki Bogu jakoś to przeszło; natomiast dzieci nie dawały jej przejść spokojnie, drażniły się z nią jeszcze okrutniej, rzucały w nią błotem; gonią ją nieraz, ona ucieka, swoimi słabymi płucami tchu nie może złapać, one pędzą za nią, krzyczą, wymyślają. Raz nawet chciałem bić się z nimi. Potem zacząłem do nich mówić, mówiłem codziennie, kiedy tylko mogłem. Czasami zatrzymywały się i słuchały, chociaż wciąż jeszcze złorzeczyły. Opowiedziałem im, jaka Maria jest nieszczęśliwa; wkrótce przestały wymyślać i odchodziły w milczeniu. Powoli, pomалу zaczęliśmy rozmawiać, nic przed nimi nie ukrywałem; wszystko im opowiedziałem. Słuchały z wielką ciekawością i niebawem zaczęły się litować nad Marią. Niektóre z nich, spotykając Marię, grzecznie ją witały: jest tam zwyczaj przy spotkaniu - czy to z osobą znajomą, czy z nieznaną - kłaniać się i mówić „dzień dobry”. Wyobrażam sobie, jak się Maria dziwiła. Pewnego razu dwie dziewczynki dostały coś do zjedzenia i zaniósły jej, oddały, przyszły i powiedziały mi o tym. Mówiły, że Maria się rozplakała i że one teraz bardzo ją lubią. Po pewnym czasie wszystkie dzieci ją polubiły, a jednocześnie i mnie nagle polubiły. Często przychodziły do mnie i wciąż prosiły, żebym im opowiadał; zdaje mi się, że dobrze opowiadałem, gdyż chętnie mię słuchały. Później uczyłem się sam i czytałem wszystko jedynie po to, żeby im opowiadać, i przez całe trzy lata im opowiadałem. Kiedy potem wszyscy mię oskarżali - Schneider też - że z dziećmi rozmawiam jak z dorosłymi i nic przed nimi nie ukrywam, odpowiedziałem, że to wstyd dzieciom kłamać, że one i tak wszystko wiedzą, chociażby się nie wiem jak przed nimi ukrywało, i dowiedzą się z pewnością w formie obrzydliwej, a ja im to powiem oględnie. Niech tylko każdy sobie przypomni, jak sam był dzieckiem. Nie przyznali mi racji... Pocałowałem Marię jeszcze na dwa tygodnie przed śmiercią jej matki; kiedy zaś pastor wygłaszał kazanie, wszystkie dzieci były już po mojej stronie. Od razu im powiedziałem i wytłumaczyłem postępowanie pastora; wszystkie się na niego rozgniewały, a niektóre tak dalece, że mu powybijały kamieniami szyby w oknach. Uspokoilem je, bo to już było brzydkie, ale we wsi od razu wszyscy się dowiedzieli i oskarżyli mię, że psuję dzieci. Później dowiedzieli się też, że dzieci lubią Marię, i okropnie się wystraszyli; ale Maria już była szczęśliwa. Zabronili nawet dzieciom, by się z nią widywały, ale one biegały do niej cichaczem do stada, daleko, prawie pół wiorsty za wieś; nosiły jej podarunki, a niektóre przybiegały tylko po to, żeby ją uściskać, pocałować, powiedzieć: *Je vous aime, Marie!** - i potem czym prędzej biec z powrotem. Maria o mało nie dostała pomieszania zmysłów wobec takiego niespodziewanego

szczęścia; nawet nigdy o tym nie marzyła; wstydziła się i była uradowana; a co najważniejsze, dzieci, zwłaszcza dziewczynki, lubiły do niej biegać po to, aby jej powiedzieć, że ja ją kocham i bardzo im dużo o niej mówię. Powiedziały jej, że to ja sam we wszystko je wtajemniczyłem i że one teraz ją bardzo lubią i współczują jej, i zawsze takie dla niej będą. Potem przybiegały do mnie i z takimi radosnymi, zaferowanymi buziami komunikowały, że dopiero co widziały Marię i że Maria przesyła mi ukłony. Wieczorem chodziłem do wodospadu; było tam jedno miejsce zupełnie niewidoczne od strony wsi; dokoła rosły topole; tutaj właśnie dzieci zbiegały się do mnie niemal co wieczór, niektóre nawet po kryjomu. Zdaje mi się, że dla nich wielką radością była moja miłość do Marii, i w tej jednej rzeczy, za cały czas mojego tam pobytu, oszukałem je. Nie wyprowadziłem ich z błędu, że wcale nie kocham Marii, czyli nie jestem w niej zakochany, że mi jej tylko bardzo żal; widziałem ze wszystkiego, że one wołały, żeby było tak, jak same sobie uroiły i ułożyły między sobą; toteż milczałem i udawałem, że odgadły moją tajemnicę. I tak były delikatne i czułe te małe serduszka: między innymi wydało się im niemożliwe, żeby ich poczciwy Leon tak kochał Marię, a ona była tak źle ubrana i bez trzewików. Proszę sobie wyobrazić, wystarczyły się dla niej o trzewiki, pończochy i bieliznę, a nawet jakąś suknię; jak tego dokonały - nie mogę pojąć; działały całą gromadą. Kiedy je wypytywałem, śmiały się tylko wesoło, a dziewczynki klaskały w rączki i całowały mnie. Czasami chodziłem też ukradkiem widywać się z Marią. Była już coraz bardziej chora i ledwo chodziła; w końcu przestała zupełnie służyć u pastucha, ale zawsze co rano wychodziła z bydłem. Siadała z boku; tam pod jedną stromą, prawie prostopadłą skałą był występ; siadała na kamieniu w kącie zasłoniętym od wszystkich i spoczywała tak bez ruchu cały dzień, od rana aż do chwili, kiedy stado odchodziło. Była już taka słaba wskutek suchot, że przeważnie siedziała z zamkniętymi oczyma, oparłszy głowę o skałę, i drzemała, ciężko oddychając; twarz jej wychudła jak u kościotrupa, pot występował na czole i na skroniach. Tak ją zawsze zastawałem. Przychodziłem na chwilę; również nie chciałem, żeby mnie widziano. Gdy tylko się ukazywałem, Maria w tej chwili ocykała się, otwierała oczy i rzucała się całować moje ręce. Nie broniłem się już przed tym, bo dla niej było to szczęściem; przez cały czas, kiedy siedziałem, drżała i płakała; co prawda, kilka razy zaczynała nawet coś mówić, trudno ją było jednak zrozumieć. Zachowywała się jak szalona, wpadała bądź w zachwyty, bądź też w okropne zdenerwowanie. Czasami przychodziły ze mną dzieci. Stawały wtedy zazwyczaj w pobliżu i pilnowały nas przed czymś czy przed kimś, i to sprawiało im niezwykłą przyjemność. Kiedyśmy odchodzili, Maria znów zostawała sama i siedziała tak jak przedtem, bez ruchu, z zamkniętymi oczyma i z głową opartą o skałę; może śniła o czymś. Pewnego razu z rana już nie mogła wyjść do stada i została u siebie, w swoim pustym domu. Dzieci natychmiast się o tym dowiedziały i prawie wszystkie odwiedziły ją tego dnia; leżała sama samiuteńka. Przez dwa dni opiekowały się nią tylko dzieci, zabiegając do niej kolejno, ale potem, kiedy po wsi rozeszła się wieść, że Maria rzeczywiście umiera, zaczęły się do niej schodzić stare baby; siedziały i dyżurowały. We wsi, zdaje się, zaczęto się litować nad Marią; przynajmniej nie powstrzymywano dzieci i nie krzyczano na nie tak jak przedtem. Maria wciąż była pogrążona w półśnie; sen miała niespokojny: okropnie kaszłała. Staruchy odpędzały dzieci, ale one przybiegały do okna, czasem tylko na jedną chwilę, żeby powiedzieć: *Bonjour, notre bonne Marie* *. A ona, gdy tylko je zobaczyła albo usłyszała, od razu się ożywiła i, nie zwracając uwagi na baby, usiłowała podnieść się na łokciu, kiwała im głową, dziękowała. Dzieci po dawnemu przynosiły jej podarunki, ale prawie nic nie jadła. Ręczę paniom, że dzięki tym małym serduszkom umarła szczęśliwa. Dzięki nim zapomniała o swojej strasznej nędzy, jak gdyby one udzieliły jej przebaczenia, ponieważ do samego końca uważała się za wielką zbrodniarkę. Dzieci jak ptaszki uderzały skrzydełkami w jej okna i krzyczały co rano: *Nous t'aimons, Marie* **. Wkrótce umarła. Myślałem, że pożyje o wiele dłużej. W przeddzień jej śmierci zaszedłem do niej o zachodzie

słońca; zdaje się, że mnie poznała; po raz ostatni uściśnąłem jej rękę; jakże chuda była ta ręka! A tu nagle rano przychodzą do mnie ludzie i mówią, że Maria umarła. Wtedy już dzieci nie można było utrzymać: przystroiliły całą jej trumnę kwiatami i włożyły jej wianek na głowę. Pastor w kościele już nie pomstował na zmarłą, a na pogrzebie było bardzo mało osób, tak tylko, z ciekawości przyszli niektórzy; kiedy jednak trzeba było nieść trumnę, dzieci rzuciły się wszystkie razem, żeby ją nieść. Ponieważ same nie mogły udźwignąć, więc pomagały, wszystkie biegły za trumną i wszystkie płakały. Od tego czasu mogiłka Marii stała się przedmiotem nieustannej troski dzieci: rokrocznie zdobią ją kwiatami, zasadziły dokoła niej róże. Ale od dnia pogrzebu zaczęła się też nagonka całej wsi na mnie z powodu dzieci. Głównymi podżegaczami byli pastor i nauczyciel. Dzieciom stanowczo zabroniono nawet widywać się ze mną, a Schneider podjął się tego dopilnować. Widywaliśmy się jednak i porozumiewaliśmy się na migi. Dzieci przysyłały mi maleńkie kartki. Później to wszystko jakoś się ułożyło, ale wtedy było bardzo dobrze: nawet się jeszcze bardziej zbliżyłem z dziećmi wskutek tej nagonki. W ostatnim roku prawie się pogodziłem z nauczycielem i z pastorem. Ale Schneider długo się rozwodził i spierał ze mną o mój szkodliwy „system” postępowania z dziećmi. Jaki tam znów mój system! W końcu Schneider wyrzekł pewną bardzo dziwną myśl - było to już przed samym moim odjazdem - powiedział mi, że się całkiem przekonał, iż jestem kompletnym dzieckiem, to znaczy dzieckiem, i nic więcej, że tylko ze wzrostu i z twarzy wyglądam na dorosłego, ale mój poziom umysłowy, dusza, charakter, a może nawet i rozum, nie pozwalają mnie zaliczyć do ludzi dorosłych i takim pozostanę, chociażbym nawet żył sześćdziesiąt lat. Ogromnie się uśmiełem: oczywista, że nie miał racji, bo jakież tam ze mnie dziecko! Ale to prawda, że istotnie z dorosłymi, z dużymi ludźmi przestawać nie lubię - dawno to już zauważyłem - nie lubię, bo nie umiem. Żeby nie wiem jak rozmawiali ze mną, żeby nie wiem jak byli dla mnie dobrzy, zawsze mi z nimi czemuś dziwnie ciężko i jestem strasznie rad, gdy mogę jak najprędzej uciec do moich towarzyszy, a towarzyszami moimi zawsze były dzieci, ale nie dlatego, że ja sam byłem dzieckiem, tylko dlatego, że mnie po prostu ciągnęło do dzieci. Kiedy jeszcze z samego początku mojego pobytu na wsi - wtedy właśnie, kiedy chodziłem w góry sam, by się oddawać smutnym rozmyśleniom - włączając się samotnie, spotykałem niekiedy, zwłaszcza w południe hałaśliwą gromadę dzieci, dopiero co wypuszczonych ze szkoły, biegnących ze swoimi woreczkami i tabliczkami, z krzykiem i śmiechem, w podskokach, to cała dusza moja zaczynała nagle rwać się ku nim. Nie wiem dlaczego, ale zacząłem doznawać silnych i radosnych wrażeń przy każdym spotkaniu z nimi. Przystawałem i śmiałem się ze szczęścia, patrząc na ich malutkie, migające i wiecznie ruchliwe nóżki, na chłopaczków i dziewczynki podążających razem, na śmiech i łzy (gdyż wiele z nich już zdążyło się poczuć, rozplakać, znów się pogodzić i pobawić, zanim ze szkoły dobiegły do domu), i zapomniałem wówczas o swoim smutku. Później zaś, przez całe te trzy lata, nie mogłem nawet zrozumieć, jak i dlaczego ludzie się smuć. Oddałem dzieciom całe swoje życie. Nigdy nawet nie pomyślałem o tym, żeby opuścić wieś, do głowy mi nie przychodziło, że kiedyś pojedę do Rosji. Wydawało mi się, iż ciągle będę tam, ale w końcu zorientowałem się, że Schneider nie może mię utrzymywać, a przy tym zaszła sprawa na tyle, zdaje się, ważna, że Schneider sam mnie przynaglił do wyjazdu i za mnie dał tutaj odpowiedź. Zobaczę teraz, co to jest takiego, i muszę się kogoś poradzić. Może mój los zupełnie się odmieni, ale nie o to chodzi, nie to jest rzeczą główną. Najważniejsze jest to, że już się odmieniło całe moje życie. Dużo tam zostawiłem, aż nazbyt dużo. I wszystko znikło. Siedziałem w pociągu i myślałem: „Idę teraz do ludzi; może nic nie wiem, ale zaczęło się nowe życie”. Postanowiłem załatwić swoją sprawę uczciwie i stanowczo. Może mi będzie z ludźmi nudno i ciężko. Na początek umyśliłem sobie być ze wszystkimi grzeczny i szczerzy; przecie nikt ode mnie więcej nie będzie wymagał. Może itutaj uważać mnie będą za dziecko - no to niech uważają! Mnie wszyscy uważają

nie wiadomo dlaczego za idiotę; rzeczywiście byłem kiedyś tak chory, że robiłem wrażenie idioty, ale teraz cóż ze mnie za idiota, kiedy sam zdaję sobie sprawę, że ludzie o mnie tak są - sądzą? Wchodzę i myślę: „Jestem w ich oczach idiotą, a jednak mam rozum, a oni nawet się tego nie domyślają...” Często mi do głowy przychodzą takie myśli. Kiedy w Berlinie otrzymałem stamtąd kilka liścików, które dzieci zdążyły do mnie napisać... dopiero wtedy pojąłem, jak je kochałem. Bardzo ciężko otrzymać pierwszy list! Jak one się smuciły odprowadzając mnie! Już miesiąc przedtem zaczęły mnie żegnać: *Leon s'en va pour toujours!** Co wieczór zbieraliśmy się jak dawniej przy wodospadzie i mówiliśmy o tym, jak się rozstaniemy. Czasami bywało równie wesoło jak przedtem; tylko kiedy rozstawaliśmy się na noc, zaczęły mocno i gorąco mnie ścisnąć, czego dotychczas nie robiły. Niektóre przybiegały do mnie do domu w tajemnicy przed wszystkimi, pojedynczo, po to tylko, żeby mię uściskać i pocałować na osobności, nie przy wszystkich. Kiedy już udawałem się na kolej, wszystkie, całą gromadą, odprowadziły mię do stacji. Stacja kolei żelaznej odległa była od naszej wsi mniej więcej o wiorstę. Dzieci wstrzymywały się od płaczu, ale niektóre nie mogły i płakały głośno, zwłaszcza dziewczynki. Szliśmy szybko, żeby się nie spóźnić, ale coraz to któreś dziecko rzucało się ku mnie, pośrodku drogi, obejmowało swoimi małymi rączkami i całowało, zatrzymując tylko po to całą gromadę; a my, chociaż śpieszyliśmy się, przystawaliśmy i czekali, aż się pożegna. Gdy wsiadłem do wagonu i pociąg ruszył, wszystkie dzieci krzyknęły „hura!” i długo stały na miejscu, dopóki pociąg nie zniknął im z oczu. I ja też patrzyłem... Proszę posłuchać: kiedy niedawno tu wszedłem i spojrzałem na miłe twarzyczki pań - bardzo się teraz przypatruję twarzom - i usłyszałem pierwsze ich słowa, to po raz pierwszy od owych czasów zrobiło mi się lekko na sercu. I już sobie wtedy pomyślałem, że chyba rzeczywiście należę do ludzi szczęśliwych: przecie wiem, że się nieczęsto spotyka ludzi, których można od razu polubić, a ja, gdy tylko wyszedłem z wagonu, od razu panie spotkałem. Wiem bardzo dobrze, że wszyscy wstydzą się mówić o swoich uczuciach, a ja paniom mówię i wcale się nie wstydzę. Jestem nietowarzyski i może długo do państwa nie przyjdę. Proszę tylko nie zrozumieć tego źle: nie dlatego tak powiedziałem, że nie cenię znajomości z państwem, i nie dlatego, że się o coś obraziłem; niechże panie tak nie myślą. Pytały mię panie o swoje twarze, co mianowicie w nich dostrzegłem. Powiem z największą przyjemnością. Pani, Adelajdo Iwanowno, ma twarz bardzo szczęśliwą, ze wszystkich trzech twarzy najsympatyczniejszą. A ponadto pani jest bardzo ładna; patrząc na panią człowiek musi sobie powiedzieć: „Ona ma twarz dobrej siostry.” Pani odnosi się do każdego wesoło i po prostu, ale umie pani również poznać się na sercu. To myślę o twarzy pani. Natomiast pani, Aleksandro Iwanowno, ma twarz tak samo ładną i bardzo miłą, jednak nosi pani chyba w sobie jakiś tajemny smutek, serce ma pani bez wątpienia dobre, ale nie jest pani wesoła. Twarz pani posiada jakiś szczególny odcień, podobnie jak Madonna Holbeina w Dreźnie[21]. Tyle co do pani; czy odgadłem. Same panie przecież uważają, że jestem dobrym odgadywaczem. Co się jednak tyczy pani twarzy, Lizawieto Prokofiewno - zwrócił się nagle do generałowej - to już mi się nawet nie zdaje, ale mam wprost pewność, że pani jest zupełne dziecko, i to we wszystkim, we wszystkim, w dobrym i złym, mimo swoich podeszłych lat. Pani się chyba na mnie nie gniewa, że tak mówię? Pani przecież wie, co ja sądzą o dzieciach. I niechże panie aby nie pomyślą, że ja z głupoty tak szczerze wszystko to mówiłem o ich twarzach; o nie, bynajmniej ! Może uczyniłem to z jakąś specjalną myślą.

VII

Kiedy księżę umilkł, wszystkie panie spoglądały na niego wesoło, nawet i Agłaja, zwłaszcza jednak Lizawieta Prokofiewna.

- Toście go dopiero przeegzaminowały! - zawołała. - No cóż, szanowne dobrodziejki, myślałyście, że będziecie go protegować jak jakiegoś biedaka, a on was sam ledwo raczył uznać, i to jeszcze z zastrzeżeniem, że przychodzić będzie dosyć rzadko. Niezbyt mądrze teraz wyglądamy, ale ja się z tego cieszę; a najgorzej wyszedł Iwan Fiodorowicz. Brawo, księżę, kazano nam niedawno pana przeegzaminować. A to, co pan powiedział o mojej twarzy, to wszystko zupełna prawda: jestem dzieckiem i wiem o tym. Wiedziałam jeszcze przed panem; pan właśnie wyraził moją myśl w jednym słowie. Uważam, że pan ma taki sam charakter jak ja, i bardzo się z tego cieszę; jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Tylko pan jest mężczyzną, a ja kobietą i nie byłam w Szwajcarii; to cała różnica.

- Proszę się nie śpieszyć, *maman* - zawołała Agłaja - księżę zaznacza, że wszystko mówił z jakąś specjalną myślą, nie tak ot, po prostu.

- Tak, tak - śmiały się inne.

- Nie kpijcie sobie, moje drogie, jeszcze się może okazać, że on jest sprytniejszy od was wszystkich razem. Zobaczycie. Ale czemuż to księżę nic nie powiedział o Agłaji? Agłaja czeka i ja czekam.

- Nic nie mogę teraz powiedzieć; powiem później.

- Dlaczego? Zdaje się, że jestem godna uwagi.

- O tak, godna uwagi; pani jest niezwykle piękna, Agłajo Iwanowno. Pani jest tak piękna, że strach na panią patrzeć.

- Tylko tyle? A cechy charakteru? - nalegała generałowa.

- Trudno jest sądzić o piękniej nie czuję się jeszcze przygotowany. Piękno to zagadka.

- To znaczy, że pan dał Agłaji do rozwiązania zagadkę - powiedziała Adelajda - zgadnijże, Agłajo. Ale piękna jest Agłaja, prawda, że piękna?

- Nad wszelki wyraz! - odpowiedział księżę z zapalem, spojrzawszy zachwyconym wzrokiem na Agłaję. - Prawie jak Nastasja Filipowna, choć twarz ma zupełnie inną!...

Wszystkie panie spojrzały po sobie ze zdumieniem.

- Jak ktooo ? - zawołała przeciągle generałowa. - Jak Nastasja Filipowna? Gdzie pan widział Nastasję Filipownę? Co za Nastasja Filipowna?

- Właśnie Gawriła Ardalionowicz przyniósł jej fotografię i pokazywał w rozmowie ze mną i z Iwanem Fiodorowiczem.

- Jak to - przyniósł fotografię?

- Tak. Żeby pokazać. Dostał dzisiaj tę fotografię w prezencie od Nastasji Filipowny i dał nam do obejrzenia.

- Chcę ją zobaczyć! - poderwała się generałowa. - Gdzie ta fotografia? Jeśli ją dostał, to na pewno ma, a sam powinien być jeszcze w gabinecie. W środy zawsze przychodzi pracować i nigdy wcześniej niż o czwartej nie wychodzi. Zawołajcie tu zaraz Gawriłę Ardalionowicza! Albo nie, jakoś nie umieram z pragnienia, żeby go widzieć. Niech książę będzie tak łaskaw pójść do niego do gabinetu, wziąć fotografię i przynieść ją tutaj. Niech pan powie, że tylko do obejrzenia. Bardzo proszę.

- Sympatyczny, ale zanadto jakiś głupawy - powiedziała Adelajda, kiedy książę wyszedł.

- Tak, coś zanadto - potwierdziła Aleksandra - więc nawet trochę śmieszny.

I jedna, i druga jak gdyby nie wypowiadały całej swojej myśli.

- Zresztą, jeśli chodzi o nasze twarze, nieźle się wykręcił - powiedziała Agłaja - wszystkim pochlebił, nawet *maman*.

- Proszę cię, nie dowcipkuj! - krzyknęła generałowa. - Nie on pochlebił, tylko ja się czuję pochlebiona.

- Myślisz, że się wykręcał? - spytała Adelajda.

- Zdaje mi się, że wcale nie jest taki głupawy.

- Już obgadują! - rozgniewała się generałowa. - A podług mnie, jesteście jeszcze śmieszniejsze od niego. Niby on niezbyt mądry, ale swój rozum ma; w najbardziej szlachetnym, rzecz prosta, znaczeniu. Całkiem tak samo jak ja.

„Oczywiście źle się stało, że się wygadałem o fotografii - rozmyślał książę wchodząc do gabinetu i czując pewne wyrzuty sumienia. - Ale... może też i dobrze zrobiłem, że się wygadałem...” - Zaczynała mu w głowie świtać jedna dziwna myśl, zresztą niezupełnie jeszcze jasna.

Gawriła Ardalionowicz siedział jeszcze w gabinecie, pogrążony w swoich papierach. Widać rzeczywiście nie brał darmo pensji od towarzystwa akcyjnego. Strasznie się zmieszał, kiedy książę poprosił o fotografię i opowiedział, w jaki sposób w domu generałowa dowiedziała się o fotografii.

- Eeech! I trzebaż panu było paplać! - krzyknął ze złością. - Nic pan nie wie... Idiota! - mruknął do siebie.

- Przepraszam, zupełnie się nie zastanowiłem; tak mi się jakoś wymknęło z ust. Powiedziałem,

że Agłaja jest prawie tak samo ładna jak Nastasja Filipowna.

Gania poprosił o wszystkie szczegóły rozmowy; ksiązę opowiedział; Gania znów popatrzył na niego szyderczo.

- Ależ panu zajechała do głowy Nastasja Filipowna... - wymruczał, ale nie dokończył i zamyślił się.

Widać było, że targał nim niepokój. Ksiązę przypomniał o fotografii.

- Niech pan posłucha - powiedział nagle Gania do księcia, jakby go olśniła jakaś niespodziewana myśl - mam do pana wielką prośbę... Ale doprawdy nie wiem...

Zmieszał się i nie dokończył zdania; na coś się decydował i jak gdyby walczył sam z sobą. Ksiązę czekał w milczeniu. Gania obrzucił go jeszcze raz badawczym przenikliwym spojrzeniem.

- Proszę pana - zaczął znowu - tam na mnie teraz... wskutek pewnej całkiem dziwnej okoliczności... bardzo śmiesznej, której nie zawiniłem... no, słowem, to zbyt duże - tam na mnie, zdaje się, patrzą trochę krzywo, więc przez jakiś czas nie chcę tam chodzić nieproszony. Muszę koniecznie porozmawiać z Agłają Iwanowną. Na wszelki wypadek skreśliłem kilka słów (w rękach jego znalazła się mała, złożona kartka) - i otóż nie wiem, jak jej to doręczyć. Czy nie podjąłby się pan teraz oddać tej kartki Agłai Iwanownie, ale jak najprędzej i do rąk własnych, to znaczy tak, żeby nikt nie widział, rozumie pan? To nie jest żadna Bóg wie jaka tajemnica, tu nie ma nic takiego... ale... Zrobi to pan?

- Nie bardzo mi jest przyjemnie - odpowiedział ksiązę.

- Ach, ksiązę, tak mi na tym zależy! - zaczął prosić Gania. - Może ona mi odpowie... Niech mi pan wierzy, że zwracam się do pana tylko w ostateczności, nie mając absolutnie żadnego innego wyjścia... Przez kogóż mam podać?... To jest bardzo ważne... Dla mnie niezwykle ważne...

Gania bał się okropnie, że ksiązę odmówi, i z lękliwą prośbą zaglądał mu w oczy.

- Może zresztą oddam.

- Ale tak, żeby nikt nie widział - błagał dalej uradowany Gania - no i chyba mogę liczyć, ksiązę, na pańskie słowo honoru, co?

- Nie pokażę nikomu - powiedział ksiązę.

- Kartka nie jest zaklejona, ale... - wyrwało się zanadto już przejętemu Gani, więc umilkł zmieszany.

- O, nie przeczytam - z zupełną prostotą odpowiedział ksiązę, wziął fotografię i wyszedł z gabinetu. Gania, zostawszy sam, złapał się za głowę.

- Jedno jej słowo i... i naprawdę może zerwę!...

Był tak wzburzony, że już nie mógł zasiać z powrotem do papierów i, pełen oczekiwania, zaczął chodzić po gabinecie z kąta w kąt.

Książę szedł zamyślony; nieprzyjemnie zaskoczyło go zlecenie, uderzyła go w przykry sposób myśl o bileciku Gani do Agłai. Ale zanim przeszedł ostatnie dwa pokoje dzielące go od salonu, zatrzymał się nagle, jakby coś sobie przypomniał, obejrzał się dokoła, podszedł do okna, bliżej światła, i jął się wpatrywać w fotografię Nastasji Filipowny.

Chciał jak gdyby odgadnąć coś, co było ukryte w tej twarzy i nie tak dawno przykuło jego uwagę. Ustawicznie nurtowało go to dawniejsze wrażenie i teraz gorączkowo jakby chciał znów je sprawdzić. Ta twarz o niezwyklej piękności przykuła teraz bardziej niż poprzednio jego uwagę. Była w tej twarzy jakaś ogromna duma i pogarda, prawie nienawiść, a zarazem jakaś ufność, jakaś niezwykła dobroć; gdy się patrzyło na jej rysy, ów kontrast budził nawet jakby litość. Ta oślepiająca uroda była nie do zniesienia; uroda bladej twarzy, z lekka zapadniętych policzków i płomiennych oczu; dziwna uroda!

Książę patrzył przez chwilę, potem nagle opamiętał się, rozejrzał dokoła, szybko podniósł fotografię do ust i pocałował. Kiedy po chwili wchodził do salonu, twarz jego była zupełnie spokojna.

Zaledwie jednak wszedł do jadalni (oddzielał ją od salonu jeszcze jeden pokój), natknął się w drzwiach na wychodzącą stamtąd Agłaję. Była sama.

- Gawriła Ardalionowicz prosił mnie, żeby to pani doręczyć - powiedział książę oddając jej kartkę.

Agłaja zatrzymała się, wzięła kartkę i jakoś dziwnie spojrzała na księcia. W jej oczach nie było najmniejszego zmieszania, może tylko na chwilę pojawiło się pewne zdziwienie, i to bodaj tyżące się tylko księcia. Agłaja swoim spojrzeniem jakby żądała od niego odpowiedzi - w jaki sposób znalazł się w tej sprawie razem z Ganią? - żądała spokojnie i wyniośle. Stali tak naprzeciwko siebie dwie albo trzy sekundy; wreszcie coś szydrczego odmalowało się na jej twarzy; uśmiechnęła się z lekka i odeszła.

Generałowa przyglądała się jakiś czas w milczeniu i z pewnym odcieniem lekceważenia podobnie Nastasji Filipowny, trzymając portret w wyciągniętej ręce, nadmiernie i demonstracyjnie odsunawszy go od oczu.

- Owszem, ładna - powiedziała w końcu - nawet bardzo ładna. Widziałam ją dwa razy, ale z daleka. Więc pan taką urodę ceni? - zwróciła się nagle do księcia.

- Tak... taką... - odpowiedział książę z pewnym wysiłkiem.

- Właśnie taką?

- Właśnie taką.

- Dlaczego?

- W tej twarzy... jest dużo cierpienia... - wyrzekł księżę jakby mimo woli, jakby mówiąc do siebie, a nie odpowiadając na pytanie.

- Może pan po prostu ma gorączkę - zdecydowała i dumnym gestem rzuciła fotografię na stół.

Aleksandra wzięła zdjęcie; podeszła do niej Adelajda i zaczęły oglądać. W tej chwili Agłaja wróciła do salonu.

- Co za potęga! - zawołała nagle Adelajda, chciwie wpatrując się w fotografię zza ramienia siostry.

- Gdzie? Jaka potęga? - spytała ostro Lizawieta Prokofiewna.

- Taka uroda to potęga - powiedziała gorąco Adelajda. - Mając taką urodę można świat wywrócić!

W zamyśleniu odeszła do swoich sztalug. Agłaja spojrzała na fotografię tylko przelotnie, zmrużyła oczy, wysunęła dolną wargę, odeszła i usiadła z boku ze złożonymi rękami.

Generałowa zadzwoniła.

- Zawołać tutaj Gawriłę Ardalionowicza, jest w gabinecie - wydała polecenie służącemu.

- *Maman!* - krzyknęła znacząco Aleksandra.

- Chcę mu powiedzieć parę słów... Dostyc już - ucięła szybko generałowa powstrzymując wszelkie sprzeciwy. Była najwidoczniej rozdrażniona. - W naszym domu, widzi księżę, są teraz ciągle jakieś sekrety. Same sekrety! I traktuje się to głupio, jako rzecz etykietalną. W dodatku tam, gdzie jest potrzebna największa szczerłość, jasność, uczciwość. Projektuje się jakieś związki małżeńskie; mnie się te związki nie podobają...

- Po co *maman* to mówi? - usiłowała ją znów powstrzymać Aleksandra.

- Czego chcesz, moja córko? A czy tobie się podobają? A że księżę słucha? Wszak jesteśmy przyjaciółmi. Przynajmniej ja i on. Bóg szuka ludzi; dobrych, ma się rozumieć, a złych i kapryśnych nie potrzebuje; zwłaszcza kapryśnych, którzy dzisiaj decydują się na jedno, jutro zaś gonią za czymś innym. Rozumie pani, Aleksandro Iwanowno? Widzi księżę, one mówią, że ja jestem dziwaczka, a ja umiem rozróżniać. Bo najważniejsze jest serce, reszta to głupstwo. Rozum też potrzebny, oczywiście... może nawet rozum właśnie jest najważniejszy. Nie uśmiechaj się, Agłajo, nie ma w tym żadnej sprzeczności: głupiec z sercem i bez rozumu jest tak samo nieszczęśliwy, jak głupiec z rozumem i bez serca. Stara prawda. Ja na przykład jestem głupia z sercem bez rozumu, a tyś głupia z rozumem bez serca; obie jesteśmy nieszczęśliwe, obie cierpimy.

- Dlaczegoż *maman* uważa się za taką nieszczęśliwą? - nie wytrzymała Adelajda, która jedna bodaj z całego towarzystwa nie straciła dobrego humoru.

- Przede wszystkim dlatego, że mam uczone córki - odcięła się generałowa - ponieważ zaś to jedno może już wystarczyć, więc nad innymi rzeczami nie ma się co rozwodzić. Dość było gadaniny. Zobaczymy, jak to wy obie - Agłai nie liczę - z waszym rozumem i elokwencją dacie sobie radę i czy pani, szanowna Aleksandro Iwanowno, będzie szczęśliwa ze swoim szanownym panem i władcą... A!... - krzyknęła na widok wchodzącego Gani - oto idzie jeszcze jeden kandydat do stanu małżeńskiego. Dzień dobry! - odpowiedziała na ukłon Gani, nie prosząc go, aby usiadł. - Wstępuje pan w związek małżeński?

- W związek małżeński?... Jak to?... W jaki związek małżeński?... - bełkotał oszołomiony Gawriła Ardalionowicz. Okropnie był zmieszany.

- Czy pan się żeni, pytam, jeśli pan woli takie wyrażenie?

- Nnie... ja... nnie - skłamał Gawriła Ardalionowicz i rumieniec wstydu oblał jego twarz. Rzucił przelotnie wzrokiem na siedzącą z boku Agłaję i natychmiast odwrócił oczy. Agłaja patrzyła na niego zimno, badawczo, spokojnie, nie spuszczając oczu, i obserwowała jego zmieszanie.

- Nie? Powiedział pan „nie” ? - badała dalej uporczywie nieubłagana Lizawieta Prokofiewna - Dobrze, będę pamiętała, że pan dzisiaj, w środę rano, na moje pytanie odpowiedział „nie”. Co dzisiaj jest, środa?

- Zdaje się, że środa - odrzekła Aleksandra.

- Nigdy nie wiedzą, jaki dzień. A który to dziś ?

- Dwudziesty siódmy - odpowiedział Gania.

- Dwudziesty siódmy? To z pewnych względów dobrze. Do widzenia panu, pan jest, zdaje się, bardzo zajęty, a ja muszę już się ubierać i jechać; niech pan zabierze swoją fotografię. Proszę się kłaniać biednej Ninie Aleksandrownie. Żegnam pana, drogi książę! Niech pan nas częściej odwiedza; pojedę umyślnie do starej Biełokońskiej, żeby jej o panu powiedzieć. I niechże pan posłucha, mój kochany: wierzę, że to Bóg właśnie sprowadził pana dla mnie do Petersburga ze Szwajcarii. Może pan będzie miał też inne sprawy, ale przede wszystkim jest pan tu dla mnie. Bóg właśnie tak ułożył. Do widzenia, moje drogie! Aleksandro, przyjdź do mnie, moja złota.

Generałowa wyszła. Gania, upokorzony, zmieszany, wściekły wziął ze stołu fotografię i ze sztucznym uśmiechem zwrócił się do księcia:

- Idę teraz do domu. Jeżeli pan nie zmienił zamiaru zamieszkania u nas, to zaprowadzę pana, bo pan przecież nie zna adresu.

- Chwileczkę, książę - powiedziała Agłaja podnosząc się nagle ze swojego fotela - pan mi jeszcze napisze coś w albumie. Papa nas poinformował, że pan jest kaligrafem. Zaraz panu przyniosę.

I wyszła.

- Do widzenia, książę, ja też odchodzę - rzekła Adelajda. Mocno uścisnęła księciu rękę, mile i

przyjaźnie uśmiechnęła się do niego i wyszła. Na Ganię nawet nie spojrzała.

- To pan - powiedział zgrzytając zębami Gania i nacierając raptem na księcia, ledwo tylko wszyscy wyszli - to pan im naplotkował, że ja się żenię! - bełkotał prędko, na pół szeptem, ze wściekłą twarzą i gniewnie błyszczącymi oczami. - Bezwstydy plotkarz!

- Upewniam pana, że pan się myli - odpowiedział książę grzecznie i spokojnie - nawet nie wiedziałem, że pan się żeni.

- Słyszał pan dopiero co, jak Iwan Fiodorowicz mówił, że dziś wieczorem wszystko się rozstrzygnie u Nastasji Filipowny, i zaraz pan to powtórzył! Kłamie pan! Skąd one mogły się dowiedzieć? Któż, u diabła, mógł im donieść, jeśli nie pan? Czyż stara nie robiła aluzji?

- Pan powinien lepiej wiedzieć, kto doniósł, jeśli tylko robiono panu jakieś aluzje, jak się panu zdaje; ja nie mówiłem o tym ani słowa.

- Oddał pan kartkę!... A gdzie odpowiedź? - przerwał mu Gania ostro i niecierpliwie. Ale w tej samej chwili wróciła Agłaja i książę nie zdążył nic odpowiedzieć.

- Proszę - powiedziała Agłaja kładąc na stole swój album - niech pan wybierze stronicę i napisze mi cośkolwiek. Jest pióro, i to jeszcze nie używane. Nie szkodzi, że stalowe? Kaligrafowie, jak słyszałam, nie piszą stalowymi.

Rozmawiała z księciem, jak gdyby nie dostrzegając, że Gania stoi tuż obok. Ale podczas gdy książę poprawiał pióro, wybierał stronę i przygotowywał się do swojej czynności, Gania podszedł do kominka, przy którym Agłaja stała, tuż przy księciu z prawej strony, i drżącym, urywanym głosem powiedział jej prawie do ucha:

- Jedno słowo, tylko jedno pani słowo - a będę ocalony.

Książę szybko się odwrócił i spojrział na oboje. Na twarzy Gani malowała się rozpacz; zdawało się, że wymówił te słowa z jakąś determinacją, jakby skoczył w przepaść. Agłaja patrzyła na niego przez chwilę z zupełnie takim samym spokojnym zdziwieniem, z jakim niedawno patrzyła na księcia, i to jej spokojne zdziwienie, wynikające jakby z całkowitego niezrozumienia tego, co do niej mówią, było w tym momencie, rzecz można, straszniejsze dla Gani od najsilniejszej pogardy.

- Cóż mam napisać? - zapytał książę.

- Zaraz panu podyktuję - powiedziała Agłaja odwracając się do niego - czy pan już gotów? Niech pan napisze: „W żadne targi się nie wdaję.” Teraz niech pan postawi datę. Proszę mi pokazać.

Książę podał jej album.

- Doskonale! Pięknie pan to napisał; cudowny pan ma charakter pisma! Dziękuję panu. Do widzenia, książę... Niech pan zaczeka - dodała jakby sobie nagle o czymś przypomniawszy - chodźmy, chcę panu coś dać na pamiątkę.

Książę poszedł za nią; ale w jadalni Agłaja się zatrzymała.

- Proszę to przeczytać - rzekła podając mu kartkę od Gani.

Książę wziął kartkę i ze zdziwieniem spojrzał na Agłaję.

- Przecież wiem, że pan jej nie czytał i nie może pan być powiernikiem tego człowieka. Niech pan przeczyta, chcę, żeby pan przeczytał.

Kartka była widocznie skreślona w pośpiechu:

„Dziś zdecydują się moje losy; wie pani, w jaki sposób. Dziś powinienem dać swoje słowo nieodwołalnie. Nie mam żadnego prawa do pani współczucia, nie śmiem żywić żadnych nadziei; ale kiedyś wypowiedziała pani jedno słowo, tylko jedno słowo, i to słowo rozjaśniło czarną noc mojego życia, stało się dla mnie światłem przewodnim. Niech pani powie teraz jeszcze jedno takie słowo - a uratuje mnie pani od zguby! Niech pani powie tylko: zerwij wszystko, a zerwę wszystko od razu dzisiaj. O, cóż by pani szkodziło to powiedzieć! W tym słowie dopatrywałbym się tylko objawu pani współczucia i litości dla mnie - i niczego więcej, niczego więcej! Niczego! Nie śmiem nawet myśleć o jakiegokolwiek nadziei, ponieważ nie czuję się jej godzien. Ale po pani słowie przyjmę znów swoje ubóstwo i radośnie znosić będę moją rozpaczliwą sytuację. Powitam z radością walkę, będę się nią cieszył i zmartwychwstanę w niej z nowymi siłami! Niechże mi pani przyśle to słowo współczucia (tylko współczucia, przysięgam!). I proszę się nie gniewać za zuchwalstwo zrozczonego, tonącego, za to, że ośmielił się zrobić ostatni wysiłek, aby uratować się od zguby.

- Ten człowiek zapewnia - powiedziała ostro Agłaja, kiedy książę skończył czytać - że słowa: „zerwij wszystko” nie skompromitują mnie i do niczego nie zobowiążą, i sam daje mi na to, jak pan widzi, pisemną gwarancję tym właśnie listem. Niech pan zwróci uwagę, jak naiwnie starał się podkreślić niektóre słówka i jak brutalnie odsłonił swój ukryty cel. Wie zresztą, że gdyby zerwał wszystko, ale sam, wyłącznie sam, nie czekając na moje ostatnie słowo i nawet nie mówiąc mi o tym, nie mając żadnej co do mnie nadziei, wtedy zmieniałabym moje uczucia dla niego i może stałabym się jego przyjacielem. Wie o tym na pewno! Ale ma brudną duszę: wie i nie decyduje się; wie, a jednak żąda gwarancji. Nie jest zdolny zdecydować się na wiarę. Chce, żebym mu w zamian za sto tysięcy dała nadzieję co do siebie. A jeśli chodzi o poprzednie słowo, o którym mówi w liście i które jakoby rozjaśniło jego życie, to bezczelnie kłamie. Po prostu litowałam się kiedyś nad nim. Ale on jest zuchwały i bezwstydnym: od razu wtedy błysnęła mu w głowie możliwość jakiejś nadziei; zrozumiałam to natychmiast. Od tej pory zaczął na mnie zastawiać sidła; zastawia i teraz. Dość tego jednak; proszę wziąć i oddać mu z powrotem jego kartkę; nie zaraz oczywiście, tylko jak pan z nim stąd wyjdzie, nie wcześniej.

- A jakąż mu dać odpowiedź?

- Żadnej, ma się rozumieć. To najlepsza odpowiedź. Więc pan chce mieszkać u niego?

- Właśnie Iwan Fiodorowicz sam mi to polecił - rzekł książę.

- No to niech się pan ma na baczności, uprzedzam pana; nie daruje panu teraz, gdy pan mu

zwróci jego kartkę.

Agłaja z lekka uścisnęła mu rękę i wyszła. Twarz miała poważną i nachmurzoną; nie uśmiechnęła się nawet, gdy kiwnęła księżu głową na pożegnanie.

- W tej chwileczce, wezmę tylko moje zawiniątko - powiedział księżę do Gania - i zaraz wyjdziemy.

Gania tupnął nogą niecierpliwie. Twarz jego aż poczerwieniała z wściekłości. Wreszcie obaj wyszli na ulicę, księżę ze swoim zawiniątkiem w ręku.

- Odpowiedź! Odpowiedź! - rzucił się na niego Gania. - Co panu powiedziała? Czy pan doręczył list?

Księżę w milczeniu podał mu kartkę. Gania osłupiał.

- Co? Moja kartka? - krzyknął. - Wcale jej nie doręczył! O, powinienem się być domyślić! O przekl... Teraz już wiem, dlaczego nic nie zrozumiała! Jak pan mógł, jak pan mógł jej nie doręczyć! O przekl...

- Przepraszam pana, wprost przeciwnie, udało mi się oddać pańską kartkę natychmiast, prawie w tej samej chwili, kiedy pan mi ją dał, i dokładnie tak, jak pan prosił. Znalazła się w moich rękach ponownie, dlatego że Agłaja Iwanowna od razu ją zwróciła.

- Kiedy? Kiedy?

- Gdy tylko skończyłem pisać w albumie i gdy mnie poprosiła, żebym za nią poszedł. Słyszał pan. Weszliśmy do jadalni, podała mi kartkę, kazała mi ją przeczytać i zwrócić panu.

- Prze - czy - tać! - krzyknął Gania prawie na całe gardło - przeczytać! Czytał pan?

I znów stanął w osłupieniu na środku chodnika, tak bardzo zdumiony, że aż otworzył usta.

- Tak, czytałem, zaraz wtedy.

- I ona sama, sama dała panu do przeczytania? Sama?

- Sama i niech pan mi wierzy, że nie przeczytałbym bez propozycji z jej strony.

Gania milczał przez chwilę i zastanawiał się z jakimś męczącym wysiłkiem, nagle jednak wykrzyknął:

- To niemożliwe! Nie mogła kazać panu przeczytać. Pan kłamie! Pan samowolnie czytał!

- Mówię prawdę - odpowiedział księżę tym samym spokojnym głosem - i niech mi pan wierzy: bardzo mi przykro, że to na panu sprawia takie nieprzyjemne wrażenie.

- Ależ, u licha, musiała panu przy tym coś powiedzieć? Coś chyba powiedziała?

- Tak, oczywiście.

- Więc niechże pan mówi, do diabła!...

I Gania dwa razy tupnął prawą nogą obutą w kalosz.

- Gdy tylko przeczytałem, powiedziała mi, że pan na nią zastawia sidła; że pan chciałby ją skompromitować tak, by uzyskać od niej pewną nadzieję, w tym celu, aby opierając się na tej nadziei zerwać bez straty dla siebie z inną nadzieją - zdobycia stu tysięcy. Że jeśli pan to zrobił nie prowadząc z nią targów, jeśli pan zerwał sam, nie prosząc jej o żadne gwarancje, to, być może, traktowałaby pana po przyjacielsku. Zdaje się, że to wszystko. Ach, jeszcze jedno: kiedy spytałem, już po wzięciu od niej listu, jakaż będzie odpowiedź, wtedy powiedziała, że brak odpowiedzi stanowić będzie najlepszą odpowiedź - zdaje się, że tak się wyraziła; przepraszam, jeśli nie powtórzyłem jej słów dokładnie, tylko tak, jak zrozumiałem.

Ogromna złość ogarnęła Ganię, a jego wściekły gniew pozrywał wszelkie hamulce.

- A! Więc to tak! - Zgrzytał zębami. - Więc moje kartki wyrzuca się za okno! Ha! Ona się nie wdaje w targi - no to ja się wdam! I zobaczymy! Jeszcze nie koniec zabawy... zobaczymy!... Potrafię przytrzeć jej rogów...

Wykrzywił się, bladł, unosił się, groził pięścią. Szli tak parę kroków. Obecnością księcia wcale się nie krępował, jakby był sam w swoim pokoju; uważał go za absolutne zero. Nagle jednak coś mu przyszło na myśl i zreflektował się.

- Ale jakimże cudem - zwrócił się nagle do księcia - jakimże cudem pan (idiota! - dodał po cichu) znalazł się nagle w sytuacji człowieka tak zaufanego w dwie godziny po poznaniu Agłai Iwanowny? Jakże to możliwe?...

Do wszystkich jego męczarni brakowało jeszcze zazdrości. I oto raptem ukąsiła go nagle w samo serce.

- Tego już panu objaśnić nie potrafię - odpowiedział książę.

Gania spojrzał na niego ze złością.

- Czy też czasem nie po to zawołała pana do jadalni, żeby panu ofiarować swoje zaufanie? Przecież chciała panu coś dać.

- Inaczej tego sam nie pojmuję, tylko właśnie tak.

- Ale za co, do stu diabłów! Cóż pan takiego zrobił? Co się jej w panu spodobało? Niech pan posłucha - gorączkował się Gania (wszystko w nim teraz było rozdygotane i kotłowało się bez ładu i składu, tak że nawet nie mógł zebrać myśli) - niech pan posłucha, czy nie zdołałby pan jakoś przypomnieć sobie, o czym państwo mianowicie tam rozmawiali, zestawić po porządku wszystkie

słowa, od pierwszego do ostatniego? Nie zauważył pan czegoś, nie pamięta pan?

- O naturalnie, mogę to zrobić - odpowiedział książę - na samym wstępie, kiedy wszedłem i przedstawiłem się, zaczęliśmy mówić o Szwajcarii.

- A, do diabła ze Szwajcarią!

- Potem o karze śmierci....

- O karze śmierci?

- Tak; z powodu jednego wydarzenia... Później opowiadałem im o tym, jak tam spędziłem trzy lata, i o pewnej biednej wieśniaczce...

- Do diabła z biedną wieśniaczką! Dalej! - niecierpliwił się Gania.

- Następnie mówiłem o tym, jaką Schneider wydał opinię o moim charakterze i jak skłonił mię...

- Do diabła ze Schneiderem, w nosie mam jego opinię! Dalej!

- Dalej tak się złożyło, że zacząłem mówić o twarzach, a właściwie o wyrazach twarzy, i powiedziałem, że Agłaja Iwanowna jest prawie tak samo piękna jak Nastasja Filipowna. I wtedy właśnie wygadałem się o fotografii...

- Ale chyba pan nie powtórzył tego, przecie pan nie powtórzył tego, co pan niedawno słyszał w gabinecie? Prawda? Co?

- Oświadczam jeszcze raz, że nie.

- Więc skądże, do licha... Ba! Czy aby Agłaja nie pokazała starej tej kartki?

- Jeśli o to chodzi, mogę zaręczyć, że nie pokazała. Byłem tam cały czas; nie miała sposobności.

- Ale może pan czegoś nie zauważył... O! prze - klę - ty idiota - zawołał już zupełnie nad sobą nie panując - nawet opowiedzieć nic nie umie!

Gania, raz zacząwszy kłąć i nie napotykając na opór, powoli tracił resztki powściągliwości, jak to zawsze bywa z niektórymi ludźmi. Jeszcze trochę, a może zacząłby pluć, tak dalece był rozwścieczony. Ale właśnie ta wściekłość go zaślepiła; w przeciwnym razie dawno by już zwrócił uwagę na to, że ten „idiota”, którego tak lekceważy, jakoś nazbyt prędko i subtelnie potrafi czasem wszystko zrozumieć i nadzwyczaj dokładnie opowiedzieć. Wtem jednak zaszło coś nieoczekiwanego.

- Muszę panu powiedzieć, drogi panie - odezwał się nagle książę - że kiedyś byłem istotnie tak chory, iż doprawdy zasługiwałem na miano idioty; ale teraz już od dawna jestem zdrowy i trochę mi nieprzyjemnie, gdy mię ktoś w oczy nazywa idiotą. Jakkolwiek można pana po części usprawiedliwić ze względu na pańskie kłopoty, fakt faktem jednak, że w swoim rozdrażnieniu dwa razy mi pan nawet naurągał. To mi się bardzo nie podoba, zwłaszcza tak, ni stąd, ni zowąd, jak pan to zrobił, przy tak

krótkiej znajomości; a ponieważ teraz stoimy na skrzyżowaniu ulic, czy nie byłoby lepiej, żebyśmy się rozeszli? Pan pójdzie na prawo do siebie, a ja na lewo. Mam jeszcze dwadzieścia pięć rubli i na pewno znajdę sobie jakiś *hotel-garni*.*

Gania zmieszał się strasznie i nawet zaczerwienił ze wstydu.

- Proszę mi wybaczyć, książę - powiedział z przejęciem, zmieniając nagle swój ordynarny ton na niezwykłą grzeczność - na miłość boską, proszę mi wybaczyć. Widzi pan przecież, w jakich jestem tarapatach! Pan jeszcze prawie nic nie wie, ale gdyby pan wszystko wiedział, na pewno by mię pan chociaż trochę usprawiedliwił; na zupełne usprawiedliwienie, rzecz prosta, nie zasługuję...

- O, ja bynajmniej nie wymagam takich przeprosin - pośpieszył z odpowiedzią książę. - Rozumiem przecież, że panu jest bardzo nieprzyjemnie, i dlatego pan złorzeczy. Więc chodźmy do pana. Pójdę z całą przyjemnością...

„Nie, tak go teraz puścić nie mogę - myślał Gania, nienawistnie spoglądając po drodze na księcia - ten filut wyciągnął ze mnie wszystko, a potem nagle zdjął maskę... W tym coś jest. Ano, zobaczymy! Wszystko się rozstrzygnie, wszystko, wszystko! I to jeszcze dziś!”

Stali już przed samym domem.

VIII

Mieszkanie Gani znajdowało się na drugim piętrze, klatka schodowa była czysta, jasna i przestronna, a sam lokal składał się z sześciu czy siedmiu pokoi i pokoików, zresztą nader pospolicich, w każdym jednak razie nie odpowiadających kieszeni urzędnika z rodziną, chociażby zarabiał nawet dwa tysiące rubli rocznie. Mieszkanie było jednak obliczone po części na sublokatorów z całodziennym utrzymaniem i usługą, wynajęte zaś zostało przez Ganię i jego rodzinę nie dalej niż dwa miesiące temu, ku wielkiemu niezadowoleniu samego Gani, a na skutek próśb i nalegań Niny Aleksandrowny oraz Warwary Ardalionowny, które też chciały coś zrobić dla rodziny i przynajmniej trochę zwiększyć jej dochody. Gania był niezadowolony i nazywał utrzymywanie sublokatorów nieprzyzwoitością; jakoś wstydził się tego w towarzystwie, gdzie przywykł występować jako młodzieniec z pewnym polosem i przyszłością. Wszystkie te ustępstwa wobec losu i cała ta uciążliwa ciasnota - wszystko to głęboko raniło jego duszę. Od pewnego czasu zaczęły go niezmiernie denerwować różne błahie rzeczy i jeśli jeszcze zgadzał się na chwilowe kompromisy i znosił je cierpliwie, to tylko dlatego, że wszystko postanowił zmienić i przerobić w najbliższej przyszłości. Tymczasem jednak sama ta zmiana, sposób jej dokonania, na którym się zatrzymał, były poważnym przedsięwzięciem - takim przedsięwzięciem, którego urzeczywistnienie mogło się okazać bardziej kłopotliwe i męczące niż wszystko, co dotychczas przeżył.

Mieszkanie dzielił na dwie części korytarz, wychodzący wprost z przedpokoju. Z jednej strony korytarza znajdowały się trzy pokoje przeznaczone do wynajęcia, dla lokatorów „specjalnie rekomendowanych”; prócz tego z tej samej strony korytarza, w samym końcu koło kuchni, znajdował się czwarty pokój, mniejszy od wszystkich pozostałych, w którym mieszkał sam dymisjowany generał Iwołgin, głowa rodziny; sypiał na szerokiej kanapie, a wchodzić i wychodzić z mieszkania musiał przez kuchnię i kuchenną klatkę schodową. W tym samym pokoju gnieździł się również trzynastoletni braciszek Gawriły Ardalionowicza, gimnazjalista Kola; tu było jego miejsce do nauki i do spania na drugiej, bardzo starej, wąskiej i krótkiej kanapie, na dziurawym prześcieradle, a do jego obowiązków należało przede wszystkim opiekowanie się i doglądanie ojca, który coraz większej potrzebował pomocy. Dla księcia przeznaczono środkowy z trzech pokoi; w pierwszym na prawo mieszkał Ferdyszczenko, a trzeci, po lewej stronie, stał jeszcze pusty. Gania przede wszystkim zaprowadził księcia do części mieszkania zajmowanej przez rodzinę. Ta część składała się z salonu, zamienianego w razie potrzeby na jadalnię, z bawialni, która była zresztą bawialnią tylko rano, a wieczorem służyła Gani jako gabinet i sypialnia, wreszcie z trzeciego pokoju, ciasnego i zawsze zamkniętego: była to sypialnia Niny Aleksandrowny i Warwary Ardalionowny. Słowem, w całym mieszkaniu był tłok i ścisk; Gania tylko po cichu zgrzytał zębami; chociaż chciał okazywać i okazywał matce należyty szacunek, od razu jednak można było, patrząc na nich, zauważyć, że jest w domu wielkim despotą.

Nina Aleksandrowna nie była w buduarze sama, siedziała razem z nią Warwara Ardalionowna; obie robiły coś szydełkiem i rozmawiały z gościem, Iwanem Pietrowiczem Pticyńm. Nina Aleksandrowna wyglądała na lat pięćdziesiąt; miała chudą, mizerną twarz i sińce pod oczami. Robiła wrażenie osoby chorej i pogrążonej w smutku, ale rysy jej i spojrzenie były dosyć przyjemne; już po pierwszych słowach można było stwierdzić, że jest poważna i pełna prawdziwej godności. Mimo

smutnego wyrazu twarzy wyczuwało się w niej hart, a nawet stanowczość. Ubrana była nadzwyczaj skromnie, w jakąś ciemną suknię, odpowiednią raczej dla staruszki, ale zachowanie się jej, rozmowa i ułożenie zdradzały kobietę znającą też lepsze towarzystwo.

Warwara Ardalionowna była panną lat około dwudziestu trzech, średniego wzrostu, dość szczupłą, o twarzy nie bardzo może pięknej, ale kryjącej w sobie jakąś tajemnicę podobania się i coś, co mogło pociągać aż do szaleństwa. Była bardzo podobna do matki, nawet ubrana prawie tak samo jak ona; widać po niej było, że wcale nie lubi się stroić. Spojrzenie jej szarych oczu mogłoby być niekiedy bardzo wesołe i miłe, gdyby nie bywało najczęściej poważne i zamyślane, czasem nawet zanadto, zwłaszcza w ostatnich czasach. Hart i stanowczość odbijały się też na jej twarzy, ale czuło się, że ta stanowczość mogła wystąpić nawet energiczniej i konsekwentniej niż u matki. Warwara Ardalionowna była bardzo popędliwa i braciszek czasami nawet się lękał tej popędliwości. Obawiał się jej również siedzący u nich teraz gość, Iwan Pietrowicz Pticyn. Był to jeszcze człowiek dosyć młody, najwyżej trzydziestoletni, skromnie, ale wytwornie ubrany, o miłym, ale jakoś już nazbyt solidnym zachowaniu. Ciemnoruda bródka świadczyła o tym, że Pticyn nie należy do ludzi będących na urzędzie. Umiał rozmawiać mądrze i ciekawie, przeważnie jednak milczał. W ogóle sprawiał wrażenie raczej przyjemne. Najwidoczniej nie był obojętny względem Warwary Ardalionowny i nie ukrywał swoich uczuć. Warwara Ardalionowna odnosiła się do niego po przyjacielsku, ale zwlekała z odpowiedzią na pewne jego pytania, nawet ich nie lubiła; Pticyn zresztą bynajmniej się tym nie zrażał. Nina Aleksandrowna traktowała go życzliwie, a w ostatnich czasach zaczęła mu nawet okazywać dużo zaufania. Wiadomo było zresztą, że Pticyn zajmuje się specjalnie wypożyczaniem pieniędzy pod mniej lub więcej pewny zastaw, na wysokie procenty i krótki termin, i że w ten sposób szybko się bogaci. Z Ganią był bardzo zaprzyjaźniony.

Po szczegółowej, ale zwięzłej rekomendacji Gani (który bardzo oschle przywitał się z matką, wcale się nie przywitał z siostrą i zaraz gdzieś wyprowadził Pticyna), Nina Aleksandrowna powiedziała księciu parę uprzejmych słów i kazała Koli, który właśnie zajrzał przez drzwi, zaprowadzić sublokatora do środkowego pokoju. Kola był to chłopiec o wesołej i dość miłej twarzy, z obejściem szczerym i prostym.

- Gdzie są pańskie rzeczy? - spytał, wprowadzając księcia do pokoju.

- Mam tylko jedno zawiniątko; zostawiłem je w przedpokoju.

- Zaraz panu przyniosę. Cała nasza służba to kucharka i Matriona, wobec tego i ja muszę pomagać. Waria ma nadzór nad wszystkim i gniewa się. Gania mówił, że pan dzisiaj prosto ze Szwajcarii.

- Tak.

- Czy ładnie jest w Szwajcarii?

- Bardzo ładnie.

- Góry?

- Tak.

- Zaraz panu przydźwigam pańskie toboły.

Weszła Warwara Ardalionowna.

- Matriona zaraz panu pościeli łożko. Ma pan walizę ?

- Nie, zawiniątko. Brat pani poszedł po nie do przedpokoju.

- Nie ma tam żadnego toboła, jest tylko to zawiniątko; gdzie pan położył resztę? - spytał Kola wracając do pokoju.

- Bo nic więcej nie mam prócz tego zawiniątka - oznajmił książę odbierając swój pakunek.

- Aha! A ja myślałem, że może Ferdyszczenko ściągnął.

- Nie pleć głupstw - powiedziała surowo Warwara, która z księciem też rozmawiała dość oschle i zaledwie grzecznie.

- *Chere Babette**, ze mną możesz się obchodzić trochę delikatniej, przecież nie jestem Pticyn.

- Taki jesteś jeszcze głupi, Kola, że można by ci baty wsypać. Po wszystko, czego pan będzie potrzebował, niech się pan zwraca do Matriony; obiad o wpół do piątej. Może pan jadać razem z nami, a może pan też w swoim pokoju, jak pan woli. Chodźmy, Kola, nie przeszkadzajmy panu.

- Chodźmy, żelazny charakterze!

Wychodząc natknęli się na Ganię.

- Ojciec w domu? - spytał Gania i na twierdzącą odpowiedź Koli poszeptał mu coś do ucha.

Kola kiwnął głową i wyszedł za Warwarą Ardalionowną.

- Dwa słowa, książę; zapomniałem panu powiedzieć, taki byłem zaaferowany... Mam pewną prośbę: niech pan będzie łaskaw - jeśli tylko nie sprawi to panu wielkiej różnicy - nie gadać ani tu o moich sprawach z Agłają, ani tam o tym, co pan tutaj zaobserwuje; bo i tu jest również dosyć szkaradziejstwa. A zresztą pal diabli... Niech się pan przynajmniej dzisiaj powstrzyma.

- Zapewniam pana, że gadałem o wiele mniej, niż pan myśli - powiedział książę z pewnym rozdrażnieniem wobec wymówek Gani.

Stosunki między nimi wyraźnie się pogarszały.

- No, już dzisiaj dosyć przez pana użyłem. Wiec bardzo pana proszę.

- Proszę też wziąć pod uwagę, że przedtem niczym nie byłem związany, dlatego więc nie

miałem wspomnieć o fotografii? Przecież pan mię nie uprzedzał.

- Fe, jaki okropny pokój - zauważył Gania rozglądając się z pogardą - ciemno i okna wychodzą na podwórze. Pod każdym względem wpadł pan tu nie w porę... No, ale to nie moja rzecz; nie ja utrzymuję mieszkanie.

Zajrzał Pticyń i wywołał Ganię. Gania natychmiast opuścił księcia i wyszedł, mimo iż chciał coś jeszcze powiedzieć, chociaż wyraźnie wahał się i jakby wstydził się zacząć; a wszystko, co powiedział o pokoju, też wynikało z zakłopotania.

Ledwo księżę umył się i zdążył jako tako doprowadzić do porządku swoją toaletę, otworzyły się znów drzwi i ukazała się nowa postać.

Był to mężczyzna lat trzydziestu, dość wysoki, barczysty, z ogromną kędzierzawą, z lekka rudą głową. Twarz miał pełną i rumianą, wargi grube, nos szeroki spłaszczony, oczy małe, podpuchnięte i szydercze, ciągle jakby mrugające porozumiewawczo. W sumie wszystko to wyglądało dość arogancko. Ubrany był brudnawo.

Najpierw otworzył drzwi tylko na tyle, żeby wsunąć głowę. Wsunęta głowa przez jakieś pięć sekund oglądała pokój, potem drzwi zaczęły się powoli otwierać, cała postać zarysowała się na progu, ale gość jeszcze nie wchodził, tylko z progu w dalszym ciągu, zmrużywszy oczy, przypatrywał się księciu. W końcu zamknął za sobą drzwi, podszedł, usiadł na krześle, mocno wziął księcia za rękę i posadził na kanapie na ukos od siebie.

- Ferdyszczenko - powiedział, uważnie i badawczo patrząc księciu w oczy.

- No to co? - odparł księżę, niemal rozśmieszony.

- Lokator - rzekł znowu Ferdyszczenko patrząc na księcia tak jak przedtem.

- Chce pan zawrzeć znajomość ?

- Eech! - westchnął gość, nastroszył ręką włosy i zaczął patrzeć w przeciwny kąt. - Ma pan pieniądze ? - spytał nagle, zwracając się do księcia.

- Niedużo.

- Ile mianowicie?

- Dwadzieścia pięć rubli.

- Niech no pan pokaże.

Księżę wyjął dwudziestopięciorublowy banknot z kieszeni kamizelki i podał Ferdyszczence. Ferdyszczenko rozłożył papierek, obejrzał, potem przewrócił na drugą stronę, wreszcie wziął pod światło.

- To dosyć dziwne - powiedział jakby w zamyśleniu - dlaczego one robią się takie brunatne? Te dwudziestopięciorublowe banknoty czasami nabierają okropnie brunatnej barwy, a inne przeciwnie, całkiem płowieją. Niech pan weźmie.

Książę wziął swój banknot z powrotem. Ferdyszczenko wstał z krzesła.

- Przyszedłem pana uprzedzić: po pierwsze, niech mi pan nie pożyczasz pieniędzy, gdyż na pewno będę o nie prosił.

- Dobrze.

- Ma pan zamiar tutaj płacić?

- Mam zamiar.

- A ja nie mam zamiaru; dziękuję. Mieszkam tu obok pana, pierwsze drzwi na prawo, widział pan? Niech się pan stara często mnie nie odwiedzać: ja sam do pana przyjdę, może pan być spokojny. Generała pan widział?

- Nie.

- I nie słyszał go pan?

- Oczywiście, że nie.

- No to pan zobaczy i usłyszysz; a przy tym on nawet ode mnie pożyczasz pieniądze! *Avis au lecteur**. Do widzenia! Czy można żyć z nazwiskiem Ferdyszczenko? Co?

- Dlaczegoż by nie?

- Do widzenia!

I poszedł ku drzwiom. Książę dowiedział się potem, że ten jegomość uważał niejako za swój obowiązek zdumiewać wszystkich oryginalnością i wesołością, ale jakoś nigdy mu się to nie udawało. Na niektórych ludziach wywierał nawet przykre wrażenie, nad czym szczerze bolał, ale w dziele swoim nie ustawał. W drzwiach ledwo zdołał uniknąć zderzenia z nowym, wchodzącym do pokoju gościem; przepuściwszy nowo przybyłego, którego książę nie znał, kilka razy ostrzegawczo mrugnął do gospodarza zza pleców przybysza i dzięki temu jednak wyszedł nie bez pewnego aplombu.

Nowy gość był wysokiego wzrostu, w wieku lat pięćdziesięciu pięciu albo i więcej, dosyć otyły, o twarzy purpurowoczerwonej, nalanej, z obwisłymi policzkami obramowanej gęstymi, siwymi bokobrodami, wąsaty, z dużymi, dość wylupiastymi oczyma. Postać ta prezentowałaby się nawet okazale, gdyby nie było w niej czegoś zaniedbanego, podniszczonego, a nawet brudnego. Ubrany był w stary surducik, niemal z dziurami na łokciach; bieliznę miał też zabrudzoną - po domowemu. Z bliska zalatywało od niego wódką; ale efektowny sposób zachowania się był nieco wyuczony i zdradzał usilną chęć imponowania swoją godnością. Podeszedł do księcia wolno, z przyjaznym

uśmiechem, w milczeniu ujął jego rękę i zatrzymując ją w swojej, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jego twarz, jak gdyby rozpoznawał znajome rysy.

- To on! - powiedział głosem cichym, ale uroczystym. - Jak żywy! Słyszę, że ludzie powtarzają tak dobrze znane, drogie mi nazwisko, i przypomniałem sobie bezpowrotnie minioną przeszłość... Księżę Myszkina?

- Tak jest.

- Generał Iwołgin, dymisjonowany i nieszczęśliwy. Pańskie imię, jeśli wolno spytać?

- Lew Nikołajewicz.

- Tak, tak! Syn mojego przyjaciela, że tak powiem, towarzysza z lat dziecińczych, Mikołaja Pietrowicza?

- Mój ojciec nazywał się Mikołaj Lwowicz.

- Lwowicz - poprawił się generał, ale bez pośpiechu i z całkowitą pewnością siebie, jakby wcale nie zapomniał, tylko tak jakoś przypadkiem się pomylił. Usiadł i wzięwszy księcia za rękę posadził również koło siebie. - Nosiłem pana na rękach.

- Doprawdy? - spytał księżę. - Mój ojciec umarł już dwadzieścia lat temu.

- Tak; dwadzieścia lat; dwadzieścia lat i trzy miesiące. Razem chodziliśmy do szkoły; ja od razu potem - do wojska.

- Ojciec też był w wojsku, jako podporucznik, w pułku wasilkowskim.

- W bielomirskim. Przeniesienie do bielomirskiego nastąpiło prawie w przeddzień śmierci. Stałem przy nim i błogosławiłem go na drogę wieczności. Pańska matczka...

Generał urwał jakby pod wpływem smutnych wspomnień.

- Moja matka też umarła w pół roku później z przeziębienia - powiedział księżę.

- Nie z przeziębienia. Niech pan uwierzy staremu: nie z przeziębienia. Byłem przy tym i ją też pochowałem. Z żalu po swoim księciu, a nie z przeziębienia. Tak, proszę łaskawego pana, pamiętam księżnę! Młodość! Właśnie z powodu księżnej ja i pański ojciec, przyjaciele z lat dziecińczych, o małośmy się nawzajem nie pozabijali.

Księżę zaczął słuchać z pewnym niedowierzaniem.

- Strasznie się kochałem w pańskiej rodzicielce, jeszcze kiedy była panną - narzeczoną mego przyjaciela. Księżę to zauważył i był tym niemile zaskoczony. Przychodzi do mnie rano, o siódmej, budzi mnie. Ubieram się zdumiony; obaj milczymy; zrozumiałem wszystko. Wyjmuje z kieszeni dwa pistolety. Przez chustkę do nosa. Bez świadków. Po co świadkowie, kiedy za pięć minut jeden

drugiego wysła na łono Abrahama? Nabiliśmy, rozpostarliśmy chustkę, stanęliśmy, przyłożyliśmy jeden drugiemu pistolety do serca i patrzymy na siebie, oko w oko. Nagle obydwóm łzy trysnęły z oczu, ręce zadrżały. I jemu, i mnie, jednocześnie! No, wtedy naturalnie uściski i wzajemny wyścig szlachetności. Księżę krzyczy: twoja! Ja krzyczę: twoja! Słowem... słowem... pan będzie u nas mieszkać... mieszkać?

- Tak, może jakiś czas - rzekł księżę jakby jękając się trochę.

- Proszę pana, mama prosi pana do siebie - krzyknął zaglądając przez drzwi Kola.

Księżę już się podniósł, żeby iść, ale generał położył prawą dłoń na jego ramieniu i kordialnie przygiął go znów do kanapy.

- Jako serdeczny przyjaciel pańskiego ojca, chcę pana uprzedzić - rzekł generał. - Ja, jak pan sam widzi, ucierpiałem po tragicznej katastrofie; ale bez sądu! Bez sądu! Nina Aleksandrowna jest kobietą zgoła wyjątkową. Warwara Ardalionowna, moja córka, jest wyjątkową córką! Wskutek różnych okoliczności wynajmujemy pokoje umeblowane - upadek niesłychany!... Ja, co miałem zostać gubernatorem!... Ale panu zawsze będziemy radzi. A tymczasem w domu moim rozgrywa się tragedia!

Księżę patrzył na generała pytająco i z wielkim zaciekawieniem.

- Przygotowuje się małżeństwo, nader osobliwe małżeństwo. Małżeństwo dwuznacznej kobiety i młodego człowieka, który mógłby być kamerjunkerem. Wprowadzi się tę kobietę do domu, gdzie jest moja córka i gdzie jest moja żona! Ach póki tchu w mych piersiach - ona tu nie wejdzie! Położę się na progu i niech przestąpi przeze mnie!... Z Ganią teraz prawie nie rozmawiam, nawet go wprost unikam. Uprzedzam pana umyślnie; skoro pan ma u nas mieszkać, to i tak pan będzie... Jednak mam nadzieję, że, jako syn mojego przyjaciela...

- Księżę, niech pan będzie łaskaw wejść do mnie do bawialni - poprosiła Nina Aleksandrowna, która sama już zjawiała się w drzwiach.

- Wyobraź sobie, moja duszko - zawołał generał - okazuje się, że ja niańczyłem księcia!

Nina Aleksandrowna spojrzała z wyrzutem na generała i badawczo na księcia, ale nie rzekła ani słowa. Księżę udał się za nią; zaledwie jednak przyszli do bawialni i usiedli, a Nina Aleksandrowna zaczęła bardzo pośpiesznie i półgłosem mówić o czymś księciu, do bawialni nagle wkroczył sam generał. Nina Aleksandrowna natychmiast umilkła i z widocznym niezadowoleniem pochyliła się nad swoją robótką. Generał może nawet zauważył to niezadowolenie, jednak w dalszym ciągu był w jak najlepszym humorze.

- Syn mojego przyjaciela! - zawołał zwracając się do Niny Aleksandrowny. - Taka niespodzianka! Dawno już nawet przestałem o nim myśleć. Ale czy ty, duszko, naprawdę nie pamiętasz nieboszczyka Mikołaja Lwowicza? Jeszcze go zastałaś... w Twerze?

- Nie pamiętam Mikołaja Lwowicza. To pański ojciec? - spytała księcia.

- Ojciec; ale zdaje mi się, że umarł nie w Twerze, tylko w Jelizawietgradzie - zwrócił książę nieśmiało uwagę generałowi. - Słyszałem od Pawliszczewa...

- W Twerze - powtórzył generał. - Przed samą jego śmiercią przeniesiono go do Tweru; nawet jeszcze przed rozwinięciem się choroby. Pan był jeszcze zbyt mały i nie mógł pan zapamiętać ani przeniesienia, ani choroby; Pawliszczew zaś mógł się omylić, chociaż to najzacniejszy człowiek.

- Znał pan i Pawliszczewa?

- Wyjątkowej zacności człowiek; ale ja byłem naocznym świadkiem. Żegnałem go na łożu śmierci...

- Ale ojciec mój umarł podczas rozprawy sądowej - zauważył znowu książę - chociaż nigdy nie mogłem się dowiedzieć, za co go sądzono; umarł w szpitalu.

- O, to chodziło o sprawę szeregowca Kołpakowa; książę bez wątpienia zostałby uniewinniony.

- Tak? Pan to wie na pewno? - spytał książę ze szczególnym zaciekawieniem.

- Ależ oczywiście! - zawołał generał. - Sędziowie rozeszli się nie wydając żadnego orzeczenia. Sprawa niemożliwa do rozstrzygnięcia! Sprawa nawet, rzecz można, tajemnicza: umiera sztabskapitan Łarionow, dowódca kompanii; książę zostaje czasowo mianowany pełniącym obowiązki; dobrze. Szeregowiec Kołpakow popełnia kradzież - zabiera koledze skórę na buty i przepija; dobrze. Książę - niech pan łaskawie zwróci uwagę, że to się działo w obecności feldfebla i kaprała - beszta Kołpakowa i grozi mu różgami. Bardzo dobrze. Kołpakow idzie do koszar, kładzie się na pryczy i po piętnastu minutach umiera. Pięknie; ale wypadek niezwykły, prawie fantastyczny. Tak czy owak Kołpakowa grzebią; książę składa raport, a następnie Kołpakow zostaje skreślony z listy. Zdawałoby się, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku. Ale w pół roku później podczas przeglądu brygady okazuje się, że szeregowiec Kołpakow służy jakby nigdy nic w trzeciej kompanii drugiego batalionu nowoziemiańskiego pułku piechoty[25], tej samej brygady i tej samej dywizji.

- Jak to ? - zawołał książę, zdziwiony w najwyższym stopniu.

- To nie tak było, to pomyłka! - odezwała się nagle Nina Aleksandrowna, prawie ze smutkiem patrząc na niego. - *Mon mari se trompe* *.

- Nie, moja duszko, łatwo ci powiedzieć: *se trompe*, ale spróbuj no sama rozstrzygnąć podobny przypadek! Wszyscy byli zaskoczeni. Pierwszy bym powiedział *qu'on se trompe* **. Ale na szczęście byłem świadkiem i brałem udział w komisji. Wszelkie konfrontacje wykazały, że to jest ten właśnie szeregowiec Kołpakow, który pół roku temu został pochowany ze zwykłym ceremoniałem i przy biciu w bębny. Wypadek rzeczywiście zgoła wyjątkowy, prawie fantastyczny, przyznaję, ale...

- Papo, obiad na stole - oznajmiła Warwara Ardalionowna wchodząc do pokoju.

- A to pięknie, to świetnie! Przeglodziłem się... Jednak ten wypadek, można powiedzieć, psychologiczny...

- Zupa znów wystygnie - powiedziała niecierpliwie Waria.

- Zaraz, zaraz - mamrotał generał wychodząc z pokoju; „i mimo wszelkich poświadczeń” słyhać było jeszcze na korytarzu.

- Będzie pan musiał wiele darować mojemu mężowi, jeśli pan u nas zostanie - powiedziała do księcia Nina Aleksandrowna - chociaż mam nadzieję, że się panu zbytnio nie naprzykrzy; obiady jada sam. Przyzna pan, że każdy ma swoje wady i swoje... szczególne właściwości, inni może jeszcze bardziej niż ci, na których przywykliśmy wskazywać palcami. O jedno będę pana bardzo prosiła: jeśli mój mąż w jakiegokolwiek formie zwróci się do pana o należność za pokój, niech pan powie, że pan już mnie zapłacił. Oczywiście wszystko, cokolwiek pan by mu dał, zostanie policzone i uznane, proszę jednak wyłącznie dla porządku... Co tam Waria?

Waria wróciła do pokoju i w milczeniu podała matce fotografię Nastasji Filipowny. Nina Aleksandrowna drgnęła i z początku jakby ze strachem, a potem z ciężkim przygnębieniem wpatrywała się pewien czas w tę fotografię. Wreszcie spojrzała pytająco na Warię.

- Dostał to dzisiaj od niej w podarunku - powiedziała Waria. - Wieczorem mają o wszystkim zdecydować.

- Dzisiaj wieczorem! - powtórzyła półgłosem, jakby w rozpacz, Nina Aleksandrowna. - No cóż! Teraz nie ma wątpliwości; i nadziei też nie ma żadnych: fotografią wszystko wyjawiała... Czy on ci sam pokazał? - dodała ze zdziwieniem.

- Mama wie, że my już cały miesiąc z sobą nie rozmawiamy. Poinformował mnie o wszystkim Pticyn, a fotografia leżała tam pod stołem na podłodze; więc ją podniosłam.

- Księżę - zwróciła się raptem do niego Nina Aleksandrowna - chciałam pana spytać (po to właściwie poprosiłam pana tutaj), czy pan już dawno zna mojego syna? Wspominał, zdaje się, że pan dopiero dzisiaj skądś przyjechał?

Księżę opowiedział o sobie pokrótce, opuściwszy więcej niż połowę. Nina Aleksandrowna i Waria wysłuchały.

- Wypytyjąc pana, nie chcę wcale wyciągać od pana czegoś o Gawrile Ardalionowiczu, niech pan tak bynajmniej nie przypuszcza - zauważyła Nina Aleksandrowna. - Jeżeli jest coś, o czym on sam nie chce mi powiedzieć, o tym ja poza jego plecami też się nie chcę dowiadywać. Nawiązuję właściwie do tego, że niedawno Gania przy panu i później, kiedy pan wyszedł, na moje pytanie o pana odrzekł mi: „On wszystko wie; można się nim nie krępować!” Co to znaczy? To jest, chciałabym wiedzieć, w jakim stopniu...

Nagle weszli Gania i Pticyn; Nina Aleksandrowna od razu umilkła. Księżę siedział w dalszym ciągu przy niej na krześle, a Waria odeszła na bok; fotografia Nastasji Filipowny leżała na najbardziej widocznym miejscu na stoliczku do robót Niny Aleksandrowny, wprost przed nią. Ujrzawszy fotografię, Gania zmarszczył brwi, wziął ją gniewnym ruchem ze stołu i rzucił na swoje biurko, stojące w drugim końcu pokoju.

- Dzisiaj, mój drogi? - zapytała nagle Nina Aleksandrowna.

- Co dzisiaj! - zadrzał Gania i raptownie wybuchnął zwracając się do księcia: - A, rozumiem, już pan i tutaj zdążył swoje zrobić!... Cóż to na koniec, jakaś choroba czy co, do licha? Nie może się pan powstrzymać! Niechże pan wreszcie zrozumie, wasza książęca mość...

- Tu nikt inny, Gania, tylko ja zawiniłem - przerwał mu Pticyn.

Gania spojrzał na niego pytająco.

- Przecież tak lepiej, tym bardziej że z jednej strony sprawa jest załatwiona - mruknął Pticyn i odszedłszy na bok usiadł przy stole, wyjął z kieszeni jakąś kartkę zapisaną ołówkiem i zaczął ją uważnie oglądać. Gania stał zachmurzony i z niepokojem oczekiwał sceny rodzinnej. O tym, żeby przeprosić księcia, nawet nie pomyślał.

- Jeżeli wszystko jest załatwione, to Iwan Pietrowicz ma oczywiście rację - powiedziała Nina Aleksandrowna - nie złość się, Gania, i nie denerwuj, bardzo cię proszę; nie będę pytała o nic, czego sam nie zechcesz mi powiedzieć, i zapewniam cię, że się zupełnie poddałam; więc uspokójże się, zrób to dla mnie.

Wypowiedziała to, nie odrywając się od roboty, i wydawało się, że naprawdę jest spokojna. Gania był zdziwiony, ale przezornie milczał i patrzył na matkę, czekając, aż się wypowie jaśniej. Sceny domowe nazbyt wiele go kosztowały. Nina Aleksandrowna zauważyła tę przezorność i dodała z gorzkim uśmiechem:

- Wciąż jeszcze wątpisz i nie wierzysz mi; nie bój się, nie będzie łez ani próśb tak jak kiedyś, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Jedyńm moim pragnieniem jest to, żebyś był szczęśliwy, i ty o tym wiesz; poddałam się losowi, ale sercem będę zawsze z tobą, czy zostaniemy razem, czy się rozejdziemy. Oczywiście ręczę tylko za siebie; nie możesz tego samego żądać od siostry...

- Ach, znów ona! - krzyknął Gania, szyderczo i z nienawiścią patrząc na siostrę. - Mamo! przysięgam ci powtórnie, bo raz już dałem słowo: nikt nigdy nie ośmieli się mamie uchybić, dopóki ja tu jestem, dopóki ja żyję. Od każdej osoby, która przestąpi nasz próg, kimkolwiek byłaby ta osoba, będę wymagał najgłębszego dla mamy szacunku...

Gania wpadł w taki zapał, że prawie pojednawczo, prawie czule patrzył na matkę.

- Ja się wcale o siebie nie bałam, mój drogi, wiesz o tym; nie o siebie byłam niespokojna i dręczyłam się przez ten cały czas. Podobno dzisiaj o wszystkim macie zdecydować? O czym zdecydujecie?

- Dziś wieczorem obiecała mi dać u siebie odpowiedź: czy zgadza się, czy nie - odrzekł Gania.

- Prawie całe trzy tygodnie unikaliśmy rozmowy o tym i tak było lepiej. Teraz, kiedy wszystko już jest skończone, pozwolę sobie zadać tylko jedno pytanie: jak ona mogła wyrazić zgodę i nawet dać ci swoją fotografię, kiedy ty jej nie kochasz? Czyżbyś ty ją taką... taką...

- Doświadczoną, prawda?

- Nie tak się chciałam wyrazić. Czy ty do tego stopnia mogłeś się zmylić?

Niezwykle rozdrażnienie dało się nagle odczuć w tych słowach. Gania powstał, pomyślał chwilę i nie ukrywając szyderstwa powiedział:

- Mama się uniosła i znów nie wytrzymała; zawsze się u nas wszystko tak zaczynało i rozpalało. Powiedziała mama: nie będzie żadnych wypytywań ani wymówek, a już się zaczęły! Dajmy temu spokój; doprawdy, lepiej zrobimy, dając spokój; przecież mama wysunęła taką propozycję... Ja mamy nigdy i za nic nie opuszczę; inny na moim miejscu uciekłby od takiej siostry - o, jak to patrzy na mnie teraz! Dajmy spokój! A ja już tak się ucieszyłem... I na podstawie czego mama sądzi, że oszukuję Nastasję Filipownę? A co do Wari, to jak się jej podoba i - koniec. Teraz już całkiem koniec!

Gania coraz bardziej się gorączkował i bez celu chodził po pokoju. Takie rozmowy pomiędzy członkami rodziny doprowadzały zawsze do bolesnych zadrażeń.

- Powiedziałam, że jeśli ona tu wejdzie, ja stąd wyjdę, i też dotrzymam słowa - oświadczyła Waria.

- Przez upór! - zawołał Gania. - I tak samo przez upór nie wychodzisz za mąż! Czego się na mnie dąsas? Gwiżdżę na to, Warwaro Ardalionowno! Jeśli chcesz, możesz zaraz spełnić swój zamiar. Obrzydłaś mi już z kretesem. Ha! Książę zdecydował się nareszcie zostawić nas samych - zawołał do księcia widząc, że ten wstaje z miejsca.

W głosie Gani wyczuwało się już ten stopień rozdrażnienia, kiedy człowiek prawie rad jest z niego, oddaje mu się bez żadnej powściągliwości i nieomal ze wzrastającą rozkoszą, nie licząc się z żadnymi ewentualnymi skutkami. Książę przystanął w drzwiach, żeby coś odrzec, zobaczywszy jednak chorobliwie wykrzywioną twarz człowieka, który go obraził, i zorientowawszy się, że tu brakuje tylko tej jednej kropli, która przepełni naczynie, odwrócił się i wyszedł w milczeniu. Po kilku minutach wynioskował z odgłosów, jakie dochodziły z bawialni, że rozmowa po jego wyjściu stała się jeszcze hałaśliwsza i wylewniejsza.

Przeszedł przez salon do przedpokoju, żeby wyjść na korytarz, a stamtąd do swojego pokoju. Mijając drzwi prowadzące na klatkę schodową odniósł wrażenie, że za drzwiami ktoś stoi i usiłuje zadzwonić; dzwonek jednak musiał być zepsuty: ledwo - ledwo drgał, a dźwięku nie wydawał. Książę zdjął rygiel, otworzył drzwi i cofnął się, zdumiony, nawet się zatrząsł cały: przed nim stała Nastasja Filipowna. Od razu ją poznał. W oczach jej błysnęły iskierki gniewu; szybko weszła do przedpokoju, zepchnąwszy go z drogi ramieniem, i powiedziała szorstko, zrzucając futro:

- Jeśli ci się nie chce naprawić dzwonka, to przynajmniej siedziałbyś w przedpokoju i otwierał, kiedy ktoś puka. Masz tobie, teraz znów futro upuścił, gamoń!

Futro rzeczywiście leżało na podłodze; Nastasja Filipowna nie doczekawszy się, aż je książę z niej zdejmie, rzuciła mu je sama na ręce, nie patrząc, z tyłu, ale książę nie zdążył go pochwycić.

- Zaslugujesz na wypędzenie. Idź, zamelduj!

Książę chciał coś powiedzieć, ale tak dalece zbity był z tropu, że nic nie powiedział, i z futrem, które podniósł z podłogi, poszedł do bawialni.

- Proszę! Teraz idzie z futrem! Po co niesiesz futro ? Cha, cha, cha! Zwariowałeś?

Książę wrócił i patrzył na nią jak skamieniały; kiedy się roześmiała - uśmiechnął się i on, ale językiem wciąż jeszcze nie mógł poruszyć. W pierwszej chwili, kiedy jej otworzył drzwi, był blady; teraz nagle rumieniec zalał mu twarz.

- Cóż to za idiota! - krzyknęła oburzona Nastasja Filipowna i tupnęła na niego nogą. - No i gdzie ty idziesz? Kogo będziesz meldować?

- Nastasję Filipownę - wyjąkał książę.

- Skąd mię znasz? - spytała szybko. - Ja cię nigdy nie widziałam! Idź, zamelduj... Co tam za krzyki?

- Kłóć się - odpowiedział książę i poszedł do bawialni.

Wszedł w dosyć decydującej chwili: Nina Aleksandrowna gotowa była całkiem już zapomnieć, że się „wszystkiemu poddała”; zresztą broniła Wari. Obok Wari stał Pticyn, który porzucił wreszcie swoją karteczkę zapisaną ołówkiem. Waria też sama nie traciła kontenansu, nie należała bowiem do lękliwych panien; ale impertynencje brata stawały się z każdym słowem coraz gwałtowniejsze i coraz bardziej trudne do zniesienia. W takich razach zazwyczaj przestawała mówić i tylko w milczeniu szyderczo patrzyła na brata, nie spuszczać z niego oczu. Dobrze wiedziała, że ten manewr wystarczał, żeby go do reszty wyprowadzić z równowagi. W tej właśnie chwili książę wkroczył do pokoju i obwieścił:

- Nastasja Filipowna.

IX

Zapanowało ogólne milczenie; wszyscy patrzyli na księcia, jakby go nie rozumiejąc i - nie chcąc zrozumieć. Gania zdrętwiał ze strachu.

Przyjazd Nastasji Filipowny, zwłaszcza w danym momencie, był dla wszystkich nad wyraz dziwną i kłopotliwą niespodzianką. Już to choćby, że Nastasja Filipowna zawitała tu po raz pierwszy; dotychczas zachowywała się względem nich z taką wyniosłą rezerwą, że w rozmowach z Ganią nawet nie wyrażała chęci poznania jego rodziny, a ostatnio zupełnie o nich nie wspominała, jakby w ogóle nie istnieli. Gania, chociaż po części rad był, że tak się wciąż odracza przykra dla niego rozmowa, jednak w pamięci zakarbował sobie tę jej dumę. W każdym razie spodziewał się od niej raczej szyderstwa i przycinków pod adresem swojej rodziny niż wizyty; wiedział na pewno, że jest dokładnie poinformowana o wszystkim, co się dzieje u nich w domu z powodu jego konkurów i jakim okiem patrzą na nią jego najbliżsi krewni. Wizyta jej obecnie, po ofiarowaniu fotografii i w dniu jej urodzin, w którym obiecała zdecydować o jego losach, oznaczała niemal samą decyzję.

Oslupienie, z jakim wszyscy patrzyli na księcia, nie trwało długo: Nastasja Filipowna zjawiała się w drzwiach bawialni sama i znowu, wchodząc do pokoju, z lekka odepchnęła księcia.

- Nareszcie udało mi się wejść... Dlaczego pan przywiązał dzwonek? - rzekła wesoło, podając rękę Gani, który podbiegł ku niej błyskawicznie. - Cóż to pan ma taką niewyraźną minę? Niechże pan będzie łaskaw mnie przedstawić!...

Gania, zmieszany do ostateczności, przedstawił ją nasamprzód Wari i obie kobiety, zanim podały sobie ręce, wymieniły dziwne spojrzenia. Nastasja Filipowna śmiała się i udawała wesołość, ale Waria wcale nie chciała udawać, patrzyła ponuro i uważnie; nawet cień uśmiechu, dyktowanego przez zwykłą grzeczność, nie ukazał się na jej twarzy. Gania zamarł na miejscu; na perswazje nie miał czasu ani możliwości, rzucił więc tylko na Warię takie groźne spojrzenie, że zrozumiała z jego siły, ile znaczy ta chwila dla jej brata. Wtedy postanowiła, zdaje się, ustąpić mu i uśmiechnęła się lekko do Nastasji Filipowny. (Wszyscy członkowie tej rodziny zanadto się jeszcze kochali.) Sytuację podratowała nieco Nina Aleksandrowna, którą Gania, do reszty zbity z pantałyku, przedstawił po siostrze i nawet podprowadził pierwszą do Nastasji Filipowny. Ledwo jednak Nina Aleksandrowna zdążyła zacząć, że ogromnie jej miło, Nastasja Filipowna, nie dosłuchawszy jej do końca, odwróciła się szybko do Gani i siadając (jeszcze nie zaproszona) na małej kanapce w kącie pod oknem, zawołała:

- Gdzież jest pański gabinet? A... a gdzie lokatorzy? Przecież państwo trzymacie lokatorów?

Gania okropnie się zaczerwienił i zaczął coś bąkać w odpowiedzi, ale Nastasja Filipowna zaraz dodała:

- Gdzież tu trzymać lokatorów? Pan nie ma nawet gabinetu. A czy to się opłaca? - zwróciła się nagle do Niny Aleksandrowny.

- Dużo z tym kłopotów - odpowiedziała tamta – ale oczywiście powinien być zysk. Myśmy zresztą dopiero niedawno...

Ale Nastasja Filipowna znów już nie słuchała: patrzyła na Ganię, śmiała się i wołała:

- Jaką pan ma minę! Boże drogi, jaką pan ma w tej chwili minę...

Minęło parę sekund tego śmiechu i twarz Gani rzeczywiście zmieniła wyraz: jego osłupienie, jego zabawne tchórzliwe zmieszanie nagle odeszło od niego; tylko strasznie zbladł, usta wykrzywiły mu się kurczowo; w milczeniu, uważnie i złowrogo, nie odrywając ani na chwilę oczu patrzył na swego gościa. A Nastasja Filipowna nie przestawała się śmiać.

Był tu jeszcze jeden obserwator, który też prawie oniemiał na widok Nastasji Filipowny i jeszcze nie ochłonął całkiem z wrażenia; chociaż jednak nadal stał jak słup na swoim dotychczasowym miejscu w drzwiach bawialni, zdołał zauważyć bladość i złowrogą zmianę w wyrazie twarzy Gawriły Ardalionowicza. Obserwatorem tym był książę. Niemal wystraszony, postąpił nagle i odruchowo parę kroków naprzód.

- Niech się pan napije wody - szepnął do Gani. - I niech pan tak nie patrzy...

Widoczne było, że powiedział to bez żadnego wyrachowania, bez żadnej szczególnej myśli, tak po prostu, wiedziony jakimś wewnętrznym impulsem; ale słowa jego wywołały nadzwyczajne poruszenie. Zdawało się, że cała złość Gani zwróciła się raptem przeciw księciu: chwycił go za ramię i patrzył na niego w milczeniu, mściwie i nienawistnie, jak gdyby nie był zdolny wyrzec ani słowa. Wszyscy się okropnie zdenerwowali: Nina Aleksandrowna krzyknęła nawet z lekka, zaniepokojony Pticyn zrobił krok naprzód, Kola i Ferdyszczenko, którzy zjawili się w drzwiach, stanęli jak wryci, tylko Waria, tak jak i przedtem, patrzyła z ukosa, uważnie się wszystkiemu przyglądając. Nie siadała, tylko stała z boku, przy matce, skrzyżowawszy ręce na piersi.

Gania jednak natychmiast się połapał w sytuacji i wybuchnął nerwowym śmiechem. Wróciła mu przytomność umysłu.

- Cóż to, książę bawi się w doktora czy co? - zawołał siląc się na wesołość i dobroduszość. - Aż mnie pan przestraszył. Nastasjo Filipowno, pozwoli pani, że jej przedstawię tę oto szlachetną osobę, chociaż sam się z nią poznałem dopiero dzisiaj rano.

Nastasja Filipowna ze zdumieniem patrzyła na księcia.

- To jest książę? Ten pan jest księciem? Proszę sobie wyobrazić, że ja dopiero co w przedpokoju wzięłam go za lokaja i posłałam tu, żeby mi zameldował. Cha, cha, cha!

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi! - podchwycił Ferdyszczenko, spiesznie podchodząc, ucieszony, że nareszcie zaczęto się śmiać - nic nie szkodzi: *serum e vero...**

- I o mało księcia nie zbeształam. Niechże mi pan daruje, proszę. A pan, panie Ferdyszczenko, co tu robi o tej godzinie? Sądziłam, że przynajmniej pan będzie nieobecny. Kto? jaki książę?

Myszkin? - zapytała Gani, który tymczasem, trzymając księcia za ramię, zdążył go przedstawić.

- Nasz sublokator - powtórzył Gania.

Księcia najwidoczniej przedstawiono jako osobliwość (która bardzo się teraz wszystkim przydała jako wyjście z fałszywej sytuacji), nieomal podsuwano go Nastasji Filipownie; księżę usłyszał nawet wyraźnie słowo „idiota”, które za nim z tyłu ktoś wyszeptał, zdaje się, że Ferdyszczenko, w formie wyjaśnienia dla Nastasji Filipowny.

- Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego mię pan wcześniej nie wyprowadził z błędu, kiedy się tak okropnie co do pana... omyliłam - ciągnęła dalej Nastasja Filipowna oglądając księcia od stóp do głowy w sposób najzupełniej bezceremonialny; czekała niecierpliwie na odpowiedź, jakby najmocniej przekonana, że odpowiedź będzie niezawodnie taka głupia, iż trudno się będzie nie roześmiać.

- Zdziwiłem się, gdy zobaczyłem panią tak nagle... - wybąkał księżę.

- A jak pan poznał, że to ja? Gdzie pan mię widział przedtem? Cóż to, doprawdy, tak jakbym go gdzieś widziała? Pozwoli pan, że spytam, czemu pan przed chwilą tak osłupiał i stał jak wryty? Cóż ja mam w sobie takiego oszałamiającego?

- Nuże, mów pan! - stroił dalej żarty Ferdyszczenko - no, prędzej! O Boże, ile ja bym rzeczy odpowiedział na takie pytanie! No, gadajże pan!... Fajtlapa jesteś, mości księżę, jak z tego wynika!

- Ja też bym na pana miejscu dużo naopowiadał - odrzekł ze śmiechem księżę Ferdyszczence. - Nie tak dawno wielkie wrażenie zrobiła na mnie pani fotografia - ciągnął dalej, zwracając się do Nastasji Filipowny - potem wiele o pani rozmawiałem u państwa Jepanczyn, a dziś rano, jeszcze nim przyjechałem do Petersburga, w pociągu, sporo opowiadał mi o pani Parfien Rogożyn... I w chwili kiedy otworzyłem pani drzwi, myślałem także o pani, a tu nagle - pani we własnej osobie.

- A jak pan poznał, że to ja?

- Z fotografii, a poza tym...

- Z czego jeszcze?

- Z tego, że tak sobie panią właśnie wyobrażałem... Ja panią też jakbym gdzieś widział.

- Ale gdzie? Gdzie?

- Tak jakbym gdzieś widział pani oczy... chociaż to przecież niemożliwe! Ja tak tylko... Nigdy tu nawet nie byłem... Może we śnie...

- A to się księciu udało! - zawołał Ferdyszczenko. - Nie, cofam swoje serum e vero - anuluję. Zresztą... zresztą przecież on to wszystko mówi z naiwności! - dodał współczująco.

Księżę wypowiedział te kilka zdań głosem niespokojnym, często przerywając i nabierając tchu.

Wszystko świadczyło, że jest ogromnie wzruszony. Nastasja Filipowna patrzyła na niego z ciekawością, ale już się nie śmiała. W tej samej chwili nowy, donośny głos rozległ się spoza gromadki osób cisnących się dokoła księcia i Nastasji Filipowny; głos ten, rzec można, rozsunął obecnych i podzielił ich na dwie części. Przed Nastasją Filipowną stał sam ojciec rodziny, generał Iwołgin. Był we fraku i miał na sobie czysty półkoszulek; wąsy jego błyszcząły od fiksaturu...

Tego już Gania nie mógł znieść.

Ambitny i chorobliwie próżny, aż do hipochondrii, szukał przez te dwa ostatnie miesiące jakiegoś punktu, na którym mógłby się oprzeć względnie przyzwoicie i pokazać w jak najlepszym świetle; czuł, że jest jeszcze nowicjuszem na obranej drodze i że chyba na niej nie wytrzyma; z rozpaczy zdecydował się wreszcie w swym własnym domu, gdzie był despota, na krańcowe zuchwalstwo, ale nie śmiał sobie na to pozwolić wobec Nastasji Filipowny, która go zawsze, aż do ostatniej chwili, zbijała z tropu i bezlitośnie okazywała mu swoją wyższość. „Niecierpliwym żebrak”, jak go nazwała sama Nastasja Filipowna, o czym już mu doniesiono, który przysiągł sobie na wszystkie świętości, że później odplaci jej to wszystko z nawiązką, a jednocześnie marzył jak dziecko o tym, żeby związać koniec z końcem i pogodzić wszystkie sprzeczności - musiał teraz wychylić jeszcze tę okropną czarę, i co najważniejsze, w takiej właśnie chwili! Jeszcze jedna niespodziewana i najstraszliwsza tortura dla pełnego ambitnych rojeń człowieka - męczarnia wstydu za swoją rodzinę, we własnym domu - i to również przypadło mu w udziale. „Czy tego warte w końcu samo wynagrodzenie?” - przemknęło mu w tej chwili przez myśl.

Obecnie działo się na jawie to, co śniło mu się przez te dwa miesiące tylko po nocach, co dusiło go jak zmora, przejmowało strachem ścinającym krew w żyłach, paliło wstydem: w tej chwili odbywało się familijne spotkanie jego ojca z Nastasją Filipowną. Gania czasem, drażniąc i irytując sam siebie, usiłował wyobrazić sobie generała podczas ceremonii ślubnej, nigdy wszakże nie zdołał dokończyć męczącego obrazu i porzucał go. Może nadmiernie wyolbrzymiał tragizm sytuacji; ale tak zawsze bywa z ludźmi próżnymi. Przez te dwa miesiące zdążył się namyślić i zdecydować i dał sobie słowo, że za wszelką cenę unieszkodliwi jakoś swojego rodzica chociaż na pewien czas i wypchnie go, jeśli to tylko okaże się możliwe, nawet z Petersburga, nie oglądając się na zgodę matki. Przed dziesięcioma minutami, kiedy wchodziła Nastasja Filipowna, był tak zaskoczony, tak oszołomiony, że do szczętu zapomniał o możliwości zjawienia się na scenie Ardaliona Aleksandrowicza, nie wydał więc żadnych zarządzeń. I oto generał jest, wobec wszystkich, i w dodatku występuje z pompą, najwidoczniej przygotowany, we fraku, i właśnie wówczas, kiedy Nastasja Filipowna „szuka tylko okazji, żeby obsypać jego i jego rodzinę drwinkami”. (O tym Gania był przekonany). Bo w gruncie rzeczy, cóż może znaczyć jej dzisiejsza wizyta, jeśli nie to? Czy przyjechała, żeby się zbliżyć z jego matką i siostrą, czy też dokuczyć im w jego własnym domu? Widząc, jak się rozlokowały obie strony, trudno było mieć jakieś wątpliwości: jego matka i siostra siedziały z boku jak oplute, a Nastasja Filipowna tak jakby nawet zapomniała, że są w tym samym, co i ona, pokoju... Jeżeli więc w ten sposób się zachowuje, to widocznie ma w tym jakiś cel!

Ferdyszczenko pochwycił generała za ramię i podprowadził go bliżej.

- Ardalion Aleksandrowicz Iwołgin - rzekł generał z uśmiechem i godnością, schylając się w ukłonie - stary, nieszczęśliwy żołnierz i ojciec rodziny, szczęśliwej w nadziei przyjęcia do swego grona tak czarującej...

Nie dokończył; Ferdyszczenko spiesznie podstawił mu z tyłu krzeselko i generał, zaraz po obiedzie trochę słaby w nogach, klapnął albo raczej upadł na nie, co go jednak wcale nie zmieszało. Usiadł akurat naprzeciwko Nastasji Filipowny i z wdzięczną miną, wolno, efektownie podniósł jej paluszki do swoich ust. W ogóle generała trudno było zdetonować. Jego powierzchowność poza pewnym zaniedbaniem była jeszcze dosyć przyzwoita, z czego sam doskonale zdawał sobie sprawę. W dawniejszych czasach obracał się również w bardzo dobrym towarzystwie, z którego został usunięty w ostatnich dwóch czy trzech latach. Odtąd zaczął ponad wszelką miarę ulegać pewnym swoim słabostkom; ale zręczny i przyjemny sposób bycia zachował nadal. Nastasja Filipowna była, jak się zdaje, bardzo rada, zobaczywszy Ardaliona Aleksandrowicza, o którym oczywiście słyszała.

- Podobno syn mój... - zaczął Ardalion Aleksandrowicz.

- Tak, syn pański! Ale z pana też dobry ojczulek! Dlaczego pan nigdy do mnie nie zawita? Czy pan się sam kryje, czy syn pana ukrywa? Przecie pan to już może do mnie przyjechać, nikogo nie kompromitując.

- Dzieci dziewiętnastego wieku i ich rodzice... - zaczął znów generał.

- Nastasjo Filipowno! Niech pani z łaski swojej pozwoli mojemu mężowi odejść na chwilę, ktoś go prosi - powiedziała głośno Nina Aleksandrowna.

- Odejść! Ależ doprawdy, tyle się nasłuchałam, tak dawno chciałam poznać generała! Cóż to mogą być za pilne sprawy? Przecie generał jest dymisjonowany? Pan mię nie opuści, generale, nie odejdzie pan?

- Daję pani słowo, że przyjdzie do pani sam, ale teraz musi iść odpocząć.

- Ardalionie Aleksandrowiczu, podobno musi pan iść odpocząć! - zawołała Nastasja Filipowna z miną nadąsaną i kapryśną niczym pusta i naiwna dziewczyneczka, której zabierają zabawkę. Generał w tym momencie wysilił się, jak tylko mógł, aby zrobić z siebie jeszcze większego głupca.

- Ależ moja duszko! Moja duszko! - powiedział tonem wyrzutu, zwracając się uroczyście do żony i kładąc rękę na sercu.

- Czy mama stąd nie wyjdzie? - spytała głośno Waria.

- Nie, zostanę tu do końca.

Nastasja Filipowna nie mogła nie słyszeć pytania i odpowiedzi, ale wesołość jej wskutek tego jakby jeszcze bardziej wzrosła. Natychmiast zasypała Ardaliona Aleksandrowicza nowymi pytaniami i po pięciu minutach generał był w jak najbardziej podniosłym nastroju i perorował ku wielkiej uciesze obecnych.

Kola pociągnął księcia za połą.

- Może pan go jakoś stąd wyciągnie! Proszę spróbować! Niech pan będzie łaskaw! - W oczach biednego chłopca błyszczały łzy oburzenia. - O, przeklęty Ganka! - dodał po cichu.

- Z Iwanem Fiodorowiczem Jepanczynem rzeczywiście przyjaźniłem się bardzo - odpowiadał wylewnie generał na pytania Nastasji Filipowny. - Ja, on i nieboszczyk książę Lew Nikołajewicz Myszkina, którego syna uściskałem dzisiaj po dwudziestoletnim niewidzeniu, tworzyliśmy we trzech nierozłączną, że tak powiem, kawalkadę, niczym Atos, Portos i Aramis. Niestety, jeden w grobie, ugodzony oszczerstwem i kulą, drugi, tu obecny, jeszcze stara się przemóc oszczerstwa i kule...

- I kule! - zawołała Nastasja Filipowna.

- Są tutaj, w mojej piersi, a dostałem je pod Karsem[29] i odczuwam je przy złej pogodzie. Pod każdym innym względem żyję jak filozof, chodzę, spaceruję, gram w szachy w mojej kawiarni jak *bourgeois*^{*}, który wycofał się z interesów, i czytam „Independance”. Ale z naszym Portosem, Jepanczynem, po zaprzęsłorocznej awanturze w pociągu z powodu bonończyka zerwałem raz na zawsze.

- Bonończyka? Cóż to takiego? - zapytała ze szczególnym zaciekawieniem Nastasja Filipowna. - Z powodu bonończyka? Zaraz, zaraz, w pociągu!... - jakby coś sobie przypomiwała.

- O, to głupia sprawa, nie warto nawet powtarzać: poszło o guwernantkę księżnej Biełokońskiej, Mrs Smith, ale... nie warto nawet wspominać.

- Nie, doprawdy, musi pan opowiedzieć! - wesoło zaproponowała Nastasja Filipowna.

- I ja tego jeszcze nie słyszałem! - zauważył Ferdyszczenko - *c'est du nouveau*^{**}.

- Ardalionie! - rozległ się znów błagalny głos Niny Aleksandrowny.

- Papo, wołają papę! - krzyknął Kola.

- Głupia historia i w dwóch słowach tak się przedstawia - zaczął generał z zadowoleniem. - Dwa lata temu, tak! bez mała, zaraz po uruchomieniu nowej ...skiej kolei żelaznej (chodziłem już wtedy w cywilnym płaszczu), zajęty nadzwyczaj ważnymi dla mnie sprawami w związku z przekazywaniem służby, kupiłem bilet pierwszej klasy, wszedłem, siedzę, palę. Ściśle biorąc, palę w dalszym ciągu, gdyż zapaliłem już wcześniej. Jestem sam w przedziale. Palenie nie jest zabronione ani też nie jest dozwolone: jest tak na pół tolerowane, jak to zwykle bywa, zależnie od osoby. Okno otwarte. Nagle przed samym gwizdkiem pakują się dwie damy z bonończykiem i zajmują miejsca naprzeciwko mnie. Spóźniły się. Jedna wspaniale wystrojona, w jasnoblękitnej sukni; druga skromniej, na czarno, w jedwabiu, z pelerynką. Niebrzydkie, patrzą wzniośle, mówią po angielsku. Ja oczywiście nie palę. Właściwie zastanawiałem się nad tym, jednak dalej palę, ponieważ okno jest otwarte; dym puszczam przez okno. Bonończyk spoczywa na kolanach u jasnoblękitnej pani; malutki, nie większy od mojej pięści, czarny, łapki białe, rzadki okaz. Obróżka srebrna, z napisem. Ja - nic. Widzę tylko, że damy się gniewają; naturalnie o cygaro. Jedna uporczywie wpatruje się we mnie przez szylkretowe lorgnon. A ja ciągle jak gdyby nic: bo przecież nic nie mówią! Gdyby chociaż coś powiedziały, uprzedziły, poprosiły, przecież można jakoś po ludzku!... A one milczą... i nagle - a przy tym bez najmniejszego, powiadam państwu, uprzedzenia, dosłownie bez najmniejszego w świecie, w taki zupełnie sposób, jakby była wariatką - jasnoblękitna wrywa mi z ręki cygaro i za okno. Pociąg pędzi, patrzę jak ogłupiały. Dzika kobieta; doprawdy, istna dzikuska; a zresztą korpulentna, pełna na

twarży, wysoka, blondynka, rumiana (aż nadto), oczy roziskrzzone gniewem. Nie mówiąc ani słowa, z niezwykłą uprzejmością, z najdoskonalszą uprzejmością, z wyrafinowaną, że tak powiem, uprzejmością, wysuwam dwa palce do bonończyka, biorę go delikatnie za kark i buch przez okno w ślad za cygarem! Ledwo zdążył pisnąć. Pociąg pędzi dalej...

- Pan jest potwór! - krzyknęła Nastasja Filipowna śmiejąc się i klaszcząc w dłonie jak mała dziewczynka.

- Brawo! brawo! - krzyczał Ferdyszczenko. Uśmiechnął się również Pticyn, dla którego pojawienie się generała też było bardzo przykre; nawet Kola roześmiał się i zawołał: „Brawo!”

- I miałem rację, miałem rację, po trzykroć miałem rację! - ciągnął dalej z zapalem triumfujący generał. - Bo jeżeli w wagonach nie wolno palić, to tym bardziej nie wolno przewozić psów.

- Brawo, papciu! - zawołał z zachwytem Kola - Świetnie ! Ja bym na pewno, na pewno zrobił to samo!

- No, a cóż ta pani? - wypytywała niecierpliwie Nastasja Filipowna.

- Ta pani! Ano właśnie, tu dopiero wynikła cała przykrość - ciągnął dalej nachmurzony generał. - Ta pani, nie mówiąc ani słowa i bez jakiegokolwiek uprzedzenia, wycięła mi policzek. Dzika kobieta, zupełna dzikuska!

- A pan?

Generał spuścił oczy, podniósł brwi, wzruszył ramionami, zacisnął usta, rozłożył ręce, pomilczał chwilę i nagle rzekł:

- Zapomniałem się!

- Czy bardzo? Bardzo?

- Dalibóg, nie bardzo! Zrobił się skandal nie wiadomo z czego. Raz tylko machnąłem rękę, wyłącznie po to, żeby się odczepić. Ale tu się sam diabeł wmieszał: okazało się, że jasno - błękitna pani była Angielką, guwernantką czy nawet jakąś kompanionką księżnej Biełokońskiej, a ta w czarnej sukni - najstarszą z księżniczek Biełokońskich, starą panną w wieku lat trzydziestu pięciu. A wiadomo, jakie stosunki łączą generałową Jepanczyn z domem Biełokońskich. Wszystkie księżniczki mdleją, łzy, żałoba po ukochanym bonończyku, pisk sześciu księżniczek, pisk Angielki - koniec świata! Musiałem oczywiście, i to nieraz, jeździć, wyrażać skruchę, prosić o przebaczenie; napisałem list; nie przyjęli jednak ani mnie, ani listu; a z Jepanczynem rozszedłem się na dobre, zostałem usunięty, wygnany!

- Ale przepraszam, jak to ? - spytała nagle Nastasja Filipowna. - Pięć czy sześć dni temu czytałam w „Independance” - bo ja stale czytuję „Independance” - dokładnie taką samą historię! Najdokładniej taką samą! Zdarzyło się to na jednej z nadreńskich kolei żelaznych, w wagonie, z jednym Francuzem i Angielką: tak samo ona wyrwała mu cygaro, a on wyrzucił jej pieska przez okno, i skończyło się tak samo jak u pana. Nawet suknia też była jasnobłękitna!

Generał strasznie się zaczerwienił. Kola również się zaczerwienił i ścisnął sobie głowę rękami; Pticyn szybko się odwrócił. Tylko jeden Ferdyszczenko śmiał się tak jak przedtem. O Gani nawet nie ma co mówić: stał cały czas, cierpiąc niewysłowioną, trudną do zniesienia mękę.

- Mogę zapewnić - wymamrotał generał - że i mnie się przydarzyło zupełnie to samo...

- Papa miał rzeczywiście jakąś przykrość z guwernantką Biełokońskich, panną Smith - zawołał Kola - pamiętam!

- Jak to ? Kubek w kubek ? Jedna i ta sama historia na dwóch krańcach Europy i tak doprawdy identyczna we wszystkich szczegółach aż do jasnobłękitnej sukni! - nalegała bezlitośnie Nastasja Filipowna. - Przyślę panu „Independance Belge”[32]!

- Niech pani jednak weźmie pod uwagę - wciąż jeszcze obstawał przy swoim generał - że ze mną to się zdarzyło dwa lata wcześniej.

- Ano, chyba że tak!

Nastasja Filipowna śmiała się jak w napadzie hysterii.

- Papo, proszę, niech papa wyjdzie na chwilkę, na dwa słówka - powiedział Gania drżącym i zmęczonym głosem, chwyciwszy machinalnie ojca za ramię. W jego oczach kipiała bezgraniczna nienawiść.

W tej samej chwili rozległ się w przedpokoju niezwykle donośny odgłos dzwonka. Tak dzwoniąc można było zerwać dzwonek. Zapowiadała się nie lada wizyta. Kola pobiegł otworzyć drzwi.

W przedpokoju zrobiło się nagle niezwykle gwarno i ludno; z bawialni wydawało się, że do mieszkania weszło kilkanaście osób i że wchodzi ich coraz więcej. Kilkanaście głosów mówiło i krzyczało jednocześnie; mówiono i krzyczano również na schodach, dokąd drzwi z przedpokoju, jak było słyhać, nie zamykały się ani na chwilę. Wizyta była nadzwyczaj dziwna. Wszyscy spojrzeli po sobie. Gania pobiegł do salonu, ale i tam weszło już kilku ludzi.

- O, jest ten Judasz! - krzyknął znany księciu głos. - Jak się masz, Ganka, ty podlecule!

- Tak, to on, to on! - przytaknął drugi głos.

Księżę nie miał już żadnych wątpliwości: jeden głos był Rogożyna, a drugi Lebiediewa.

Gania stał, doszczętnie ogłupiały, w drzwiach bawialni i patrzył w milczeniu, nie zatrzymując nikogo, jak do salonu, jeden po drugim, weszło za Parfieniem Rogożynem dziesięciu czy dwunastu ludzi. Kompania ta była nadzwyczaj różnorodna i odznaczała się nie tylko różnorodnością, ale i szkaradnością. Niektórzy wchodzili, tak jak byli na ulicy, w paltach i w futrach. Całkiem pijanych zresztą nie było; wszyscy za to wydawali się mocno podchmieleni. Wszyscy, jak się zdawało, potrzebowali wzajemnej pomocy, żeby wejść; żaden z nich osobno nie miałby tyle odwagi, musieli

się więc nawzajem jakby popychać. Nawet Rogożyn stąpał ostrożnie na czele tłumu, ale miał jakiś uplanowany zamiar, bo był posępny, rozdrażniony i zaafierowany. Reszta tworzyła tylko chór albo, ściślej mówiąc - bandę do pomocy. Oprócz Lebediewa znajdował się tu również elegancko ufryzowany Zalóżew, który zrzucił futro w przedpokoju i wszedł swobodnie jak fircyk; towarzyszyli mu podobni do niego dwaj czy trzej panowie, najwidoczniej jacyś młodzi kupcy. Był jakiś osobnik w na pół wojskowym płaszczu; jakiś mały i nadzwyczaj gruby człowieczek, śmiejący się bez ustanku; jakiś znowu olbrzymi jegomość, wysoki chyba na dwanaście werszków, również niezwykle gruby, niezwykle ponury i małomówny i zapewne bardzo liczący na swoje pięści. Był pewien student medycyny; był jeden wielce ruchliwy Polaczek. Z klatki schodowej zaglądały niepewnie do przedpokoju jakieś dwie panie; Kola zatrzasnął im drzwi przed nosem i zamknął na haczyk.

- Dzień dobry, Ganka, ty podlecu! Nie spodziewałaś się Parfiena Rogożyna? - powtórzył Rogożyn, doszedłszy do bawialni i stając w drzwiach naprzeciwko Gani. Jednak w tej samej chwili spostrzegł nagle w pokoju, akurat naprzeciwko siebie, Nastasję Filipownę. Niewątpliwie nawet przez myśl mu nie przeszło, że ją tutaj spotka, gdyż widok jej wywarł na nim ogromne wrażenie; zbladł tak, że nawet wargi mu zsiniały. - A więc to prawda! - powiedział cicho, jakby sam do siebie, tonem zupełnej desperacji. - Skończona sprawa!... No... Zapłacisz mi za to teraz! - rzucił raptem przez zęby, wściekle patrząc na Ganię. - Ach... czekaj!...

Aż tracił oddech, aż się krztusił. Machinalnie postępował naprzód krok po kroku, ale przeszedłszy przez próg bawialni zobaczył nagle Ninę Aleksandrownę i Warię i stanął, nieco zmieszany mimo całego swojego wzburzenia. Za nim wszedł nieodłączny jak cień i dobrze już pijany Lebediew, potem student, jegomość z pięściami oraz kłaniający się na prawo i na lewo Zalóżew; na samym końcu precyzyjnie przesunął się mały tłusciuch. Obecność pań wszystkich ich nieco krępowała i niewątpliwie bardzo im przeszkadzała, ma się rozumieć, tylko do chwili rozpoczęcia, do pierwszej sposobności, żeby krzyknąć i zacząć... Wtedy by już żadne panie nie przeszkodziły.

- Jak to! I księżę tutaj? - rzekł w roztargnieniu Rogożyn, trochę zdziwiony tym spotkaniem. - I ciągle jeszcze w tych kamaszkach? Eech! - westchnął, zapomniawszy już o księciu, przenosząc wzrok na Nastasję Filipowną i posuwając się ku niej, przyciągany jak przez magnes.

Nastasja Filipowną patrzyła na gości również z niepokojem i ciekawością.

Gania wreszcie oprzytomniał.

- Za pozwoleniem, cóż to ma w końcu znaczyć? - powiedział głośno, spojrzawszy surowo na wchodzących i zwracając się głównie do Rogożyna. - Zdaje się, że panowie nie do stajni weszli, tu jest moja matka i moja siostra...

- Widzimy, że matka i siostra - wycedził przez zęby Rogożyn.

- Bardzo dobrze widzimy, że matka i siostra - przytaknął Lebediew dla utrzymania kontenansu.

Jegomość z pięściami, przypuszczając zapewne, że już nadeszła odpowiednia chwila, zaczął coś mruzczyć.

- Jednakże - nagle, jakoś ponad miarę wybuchowo, podniósł głos Gania - po pierwsze, proszę, żeby wszyscy wyszli stąd do salonu, a następnie chciałbym się dowiedzieć...

- Patrzcie no, nie poznaje! - uśmiechnął się zjadliwie Rogożyn nie ruszając się z miejsca. - Rogożyna nie poznałeś?

- Bodajże gdzie się z panem spotykałem, ale...

- Patrzcie no, gdzie się spotykał! A nie dalej jak trzy miesiące temu przegrałem do ciebie dwieście ojcowskich rubli i stary umarł, nie dowiedziawszy się o tym; tyś mnie wciągnął do gry, a Knif podsuwał fałszywe karty. Nie poznajesz? Ptcyn jest świadkiem! A niechbym ci pokazał trzyrublówkę, niechbym ją tylko wyjął z kieszeni, to byś za nią polazł na czworakach choćby na Wyspę Wasiliewską - taki ty jesteś! Taka w tobie siedzi dusza! A i teraz przyjechałem, żeby cię kupić całego za pieniądze; nie patrz, że wszedłem w takich butach; mam, bracie, tyle pieniędzy, że mogę kupić ciebie z całą twoją rodziną... wszystkich was kupię, jak zechcę! Wszystko kupię! - rozpalał się Rogożyn i jakby coraz bardziej stawał się pijany. - Eech! - krzyknął - Nastasjo Filipowno! Niech mnie pani nie przepędza, niech pani rzeknie słówko: wychodzi pani za niego czy nie?

Rogożyn zadał swoje pytanie jak desperat, jakby przemawiał do jakiegoś bóstwa, ale ze śmiałością człowieka skazanego na śmierć, który już nic nie ma do stracenia. W śmiertelnym niepokoju czekał na odpowiedź.

Nastasja Filipowna zmierzyła go szyderczym i wyniosłym wzrokiem, ale spojrzawszy na Warię i Ninę Aleksandrownę, popatrzywszy na Ganię, raptem zmieniła ton.

- Ależ bynajmniej, co też pan mówi? I z jakiej racji pyta pan mnie o to? - odparła cicho, poważnie i jakby z pewnym zdziwieniem.

- Nie? Nie!! - krzyknął Rogożyn, ogarnięty niemal szałem radości. - Więc nie?! A oni mi mówili... Ach! No!... Nastasjo Filipowno! Oni mówią, że pani zaręczyła się z Ganką! Z nim! Z nim! Czy to podobna? (Wszystkim to mówię!) Ależ ja go całego kupię za sto rubli, a jak mu dam tysiąc, no, niechby nawet trzy tysiące, żeby cofnął słowo, to w przeddzień ślubu ucieknie, a narzeczoną mnie zostawi. Mam rację, Ganka, ty podlec! Wziąłbyś trzy tysiące, prawda? Więc ci daję, masz! Po to przyjechałem, żeby wziąć od ciebie takie pokwitowanie; powiedziałem, że kupię, więc kupuję!

- Wynoś się stąd, jesteś pijany! - krzyknął Gania, to rumieniąc się, to na przemian blednąc.

Zaraz po jego słowach wybuchła raptowna wrzawa; darło się naraz kilkanaście głosów; cała banda Rogożyna czekała tylko na pierwsze wyzwanie. Lebidiew z nadzwyczajną gorliwością szeptał coś do ucha Rogożynowi.

- Prawda, ty gryziopiórku! - odpowiedział Rogożyn. - Prawda, pijacka duszo! E, co tam, Nastasjo Filipowno! - zawołał patrząc na nią jak obłąkany, to tracąc pewność siebie, to znowu stając się odważnym aż do zuchwalstwa - tu jest osiemnaście tysięcy! - I rzucił przed nią na stolik paczkę zawiniętą w biały papier i przewiązaną sznurkiem na krzyż. - Proszę!... I... i będzie jeszcze więcej!

Nie miał śmiałości odpowiedzieć, o co mu szło.

- Ni - ni - ni! - zaczął mu znowu szeptać do ucha Lebediew z okropnie wystraszoną miną, można było odgadnąć, że się przeląkł wysokości sumy i proponował zacząć pertraktacje od znacznie mniejszej.

- Nie, bracie, już jeśli idzie o to, jesteś głupi i sam nie wiesz, na co sobie pozwalasz... chociaż widać i ja przy tobie zgłupiałem! - spostrzegł się Rogożyn i zadrżał nagle pod roziskrzonym wzrokiem Nastasji Filipowny. - Eech! Niepotrzebnie nagadałem słuchając ciebie - dodał z głęboką skruchą.

Nastasja Filipowna, spojrzawszy na zrozpaczoną minę Rogożyna, wybuchła śmiechem.

- Osiemnaście tysięcy? Dla mnie? Zaraz widać prostaka! - dodała nagle z bezczelną poufałością i na pół wstała z kanapy, jakby zamierzała odjechać.

Gania obserwował całą tę scenę i czuł, że serce w nim zamiera.

- Ależ czterdzieści tysięcy, a nie osiemnaście - zawołał Rogożyn. - Wańka Pticyn i Biskup obiecali dostarczyć na siódmą czterdzieści tysięcy. Czterdzieści tysięcy! Żywą gotówką.

Scena stawała się coraz obrzydliwsza, ale Nastasja Filipowna w dalszym ciągu śmiała się i nie wychodziła, jakby celowo ją przedłużając. Nina Aleksandrowna i Waria też wstały ze swoich miejsc i z lękiem, w milczeniu, czekały, do czego to dojdzie; oczy Warii sypały iskrami gniewu, ale na Ninę Aleksandrownę wszystko to podziałało jak najfatalniej; drżała i wydawało się, że zaraz zemdleje.

- A więc jeśli tak - daję sto! Dziś jeszcze dostarczę sto tysięcy! Pticyn, pożycz, dobrze zarobisz!

- Zwariowałeś! - szepnął nagle Pticyn, podchodząc szybko do niego i chwytając go za rękę. - Pijany jesteś; mogą posłać po stójkowych. Czy wiesz, gdzie jesteś ?

- Plecie bzdury po pijanemu - odezwała się Nastasja Filipowna, jakby chciała się z nim drażnić.

- Wcale nie plotę bzdur: pieniądze będą! Będą wieczorem. Pticyn, pożycz, lichwiarska duszo! Bierz, ile chcesz, tylko dostarcz przed wieczorem sto tysięcy; przekonam wszystkich, że nie kłamię! - zapłonął nagłym entuzjazmem Rogożyn.

- Ale cóż tu się dzieje? - krzyknął groźnie i zniecacka rozgniewany Ardalion Aleksandrowicz podchodząc do Rogożyna. Ten nagły wyskok milczącego aż dotąd starca sprawił dosyć komiczne wrażenie. Rozległ się śmiech.

- A to co znowu? - roześmiał się Rogożyn. - Chodź, stary, popijesz sobie!

- To już podłość! - zawołał Kola płacząc ze wstydu i złości.

- Czyż nikt się tu nie znajdzie, żeby wyprowadzić stąd tę bezwstydnicę ? - krzyknęła nagle Waria trzęsąc się z gniewu.

- To mnie się nazywa bezwstydnicą! - odparowała ten sztych Nastasja Filipowna z pełnym lekceważenia humorem. - A ja, jak głupia, przyjechałam, żeby ich prosić do siebie na wieczór! I to tak mną pomiata pańska siostrunia, Gawriło Ardalionowiczu!

Gania po tych słowach siostry stał przez chwilę jakby rażony piorunem; widząc jednak, że Nastasja Filipowna tym razem naprawdę wychodzi, rzucił się jak furiat na Warię i z wściekłością chwycił ją za rękę.

- Coś ty zrobiła?! - krzyknął patrząc na nią, jakby chciał ją spalić wzrokiem. Całkiem stracił głowę i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje.

- Co zrobiłam? Dokąd mnie ciagniesz? Może mam ją prosić o przebaczenie za to, że obraziła twoją matkę i przyjechała, żeby pohańbić twój dom, ty nikczemniku! - krzyknęła znowu Waria, z triumfem i wyzywająco patrząc na brata.

Kilka sekund stali tak jedno naprzeciwko drugiego, oko w oko. Gania wciąż jeszcze trzymał jej dłoń w swojej ręce. Waria szarpnęła raz i drugi ze wszystkich sił i nagle, nie panując nad sobą, plunęła bratu w twarz.

- Co za słodkie dziewczę! - zawołała Nastasja Filipowna. - Brawo, panie Pticyn, winszuję panu!

Gani pociemniało w oczach, i tracąc resztki przytomności, z całej siły zamachnął się na siostrę. Uderzenie trafiłoby na pewno w twarz. Wtem inna ręka powstrzymała rękę Gani.

Między nim a siostrą stał książę.

- Dość już tej kłótni, doprawdy! - rzekł z naciskiem, ale też trzęsąc się cały, jak pod nadzwyczaj silnym wrażeniem.

- Cóż to, u licha, wiecznie mi będziesz wlaził w paradę! - wrzasnął Gania puściwszy rękę Wari i wolną już teraz ręką, doprowadzony do ostatniej pasji, z całym rozmachem wymierzył księciu policzek.

- Ach! - załamał rękę Kola. - Ach, mój Boże!

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki. Książę zbladł. Dziwnym i pełnym wyrzutu wzrokiem popatrzył Gani prosto w oczy; usta jego drżały i usiłowały coś powiedzieć; krzywił je jakiś osobliwy i całkiem niestosowny uśmiech.

- No to niech już mnie... ale jej... nie pozwolę!... - powiedział w końcu cicho; nagle jednak nie wytrzymał, zostawił Ganię, zakrył twarz rękami, odszedł w kąt pokoju, odwrócił się do ściany i powiedział urywanym głosem:

- O, jak pan się będzie tego wstydził!

Gania stał rzeczywiście zdruzgotany. Kola podbiegł do księcia, zaczął go ścisnąć i całować;

dokoła nich skupili się Rogożyn, Waria, Pticyn, Nina Aleksandrowna, wszyscy, nawet stary Ardalion Aleksandrowicz.

- To nic, to nic! - powtarzał ksiązę na wszystkie strony, uśmiechając się wciąż tym samym niestosownym uśmiechem.

- I będzie żałował! - krzyknął Rogożyn. - Będiesz się wstydził, Ganka, że taką... owcę (nie mógł znaleźć innego słowa) skrzywdziłeś! Ksiązę, druhu mój serdeczny, zostaw ich, pluń na nich, pojedziemy razem! Przekonasz się, jak umie kochać Rogożyn!

Nastasja Filipowna była też bardzo zaskoczona zarówno postępkami Gani, jak i odpowiedzią księcia. Błada zazwyczaj, zamyślona jej twarz, tak nie harmonizująca z jej niedawnym, jakby wymuszonym uśmiechem, była wyraźnie zmieniona pod wpływem nowego uczucia; a jednak, jak gdyby nie chcąc się z tym uczuciem zdradzić, starała się utrzymać nadal wyraz drwiący.

- Doprawdy, gdzieś musiałam widzieć jego twarz! - odezwała się nagle, tonem już poważnym, zniechęca przypomniawszy sobie swoje pytanie, które niemal dopiero co zadała księciu.

- A pani wcale nie wstyd! Czy pani jest taka, za jaką chciała pani uchodzić? Czy to w ogóle możliwe! - zawołał nagle ksiązę z głębokim, serdecznym wyrzutem.

Nastasja Filipowna zdziwiła się, uśmiechnęła, ale jakby coś ukrywając pod swoim uśmiechem, z pewnym zmieszaniem spojrzała na Ganię i wyszła z bawialni. Nie doszedłszy jeszcze do przedpokoju, nagle zawróciła, szybko podeszła do Niny Aleksandrowny, wzięła jej rękę i podniosła do ust.

- Rzeczywiście, nie jestem taka, zgadł - szepnęła z pośpiechem, żarliwie, zarumieniła się nagle, zapłoniła i odwróciwszy się wyszła tym razem tak prędko, że nikt się nie zdążył zorientować, w jakim celu wracała. Zauważono tylko, że coś szepnęła Ninie Aleksandrownie i, zdaje się, pocałowała ją w rękę. Ale Waria widziała i słyszała wszystko i ze zdziwieniem patrzyła na odchodzącą.

Gania spostrzegł się i pobiegł, by odprowadzić Nastasję Filipownę, ale ona już wyszła. Dogonił ją na schodach.

- Proszę mnie nie odprowadzać! - krzyknęła. - Do widzenia, do wieczora! Koniecznie, słyszy pan?

Wrócił skonfundowany, zamyślony; trudna do rozwiązania zagadka ciążyła mu jeszcze bardziej niż przedtem.

Przychodził mu też na myśl ksiązę... Tak był tym wszystkim pochłonięty, że ledwie zauważył, jak cała banda Rogożyna waliła obok niego i nawet wepchnęła go w kąt za drzwiami, szybko wychodząc z mieszkania za Rogożynem. Wszyscy głośno, na całe gardło, rozprawiali o czymś. Rogożyn szedł z Pticynem i uporczywie, wciąż powtarzając, zlecał mu coś ważnego i najwidoczniej nie cierpiącego zwłoki.

- Przegrałeś, Ganka! - krzyknął przechodząc obok niego.

Gania trwożliwie popatrzył za nimi.

XI

Książę wyszedł z bawialni i zamknął się w swoim pokoju. W chwilę później przybiegł Kola, żeby go pocieszyć. Biedny chłopiec, jak się wydawało, nie mógł już teraz odzepić się od księcia.

- To dobrze, że pan wyszedł - powiedział - tam się teraz robi jeszcze gorsze zamieszanie, niż było; u nas tak jest dzień w dzień, a wszystko się zakotłowało przez tę Nastasję Filipownę.

- Dużo tu macie różnych nieporozumień i bolączek - zauważył książę.

- Tak, dużo. O nas szkoda nawet mówić. Sami jesteśmy wszystkiemu winni. Ale mam jednego serdecznego przyjaciela, który jest jeszcze nieszczęśliwszy. Chce pan, to pana z nim poznam?

- Bardzo chcę. To pański kolega?

- Tak, prawie że kolega. Wszystko panu potem wyjaśnię. Ale Nastasja Filipowna jest ładna, jak pan myśli? Nigdy jej dotychczas nie widziałem, a miałem straszną ochotę. Po prostu mnie oślepiła. Gańce wszystko bym przebaczył, gdyby on to robił z miłości; ale po co bierze pieniądze, w tym całe nieszczęście!

- Tak, pański brat nie bardzo mi się podoba.

- No przecie! Ja panu kiedyś później... A wie pan, nie mogę znieść tych różnych opinii. Jakiś wariat albo głupiec, albo niegodziwiec w wariackim podnieceniu uderzy w twarz, i już człowiek na całe życie jest zhańbiony, i zmyć tej hańby nie może inaczej jak tylko krwią albo też trzeba, żeby go na kolanach prosili o przebaczenie. Według mnie to idiotyzm i despotyzm. Na tym osnuł Lermontow swój dramat *Maskarada* - strasznie głupie, moim zdaniem. A raczej, chciałem powiedzieć, nienaturalne. Ale przecie on pisał ten dramat, kiedy był jeszcze młodziutki.

- Pańska siostra bardzo mi się spodobała.

- Jak ona plunęła Gańce w gębę! Zuch Waria! Ale pan nie plunął i jestem pewny, że nie z braku odwagi. O, właśnie i ona we własnej osobie, o wilku mowa, a wilk tuż. Wiedziałem, że przyjdzie: ona jest szlachetna, chociaż ma pewne wady.

- Nie masz tu nic do roboty - skarciła go Waria. - Idź do ojca. Naprzykrza się tu panu, prawda?

- Bynajmniej, wprost przeciwnie.

- Już siostrunia język rozpuściła. To jest właśnie jej brzydka cecha. Ale, ale: myślałem, że ojciec pojedzie z Rogożynem. Kaja się teraz zapewne. Trzeba by zobaczyć, co się z nim dzieje - dodał Kola wychodząc.

- Chwała Bogu, zaprowadziłam mamę do pokoju i położyłam do łóżka, czuje się lepiej. Gania jest zmieszany i bardzo zamyślony. Ano, ma o czym myśleć. Niezłą dostał nauczkę!... Przyszłam panu

jeszcze raz podziękować i zapytać: czy pan dotychczas nie znał Nastasji Filipowny?

- Nie, nie znałem.

- Na jakiej więc podstawie oświadczył jej pan prosto w oczy, że ona „nie jest taka”? I zdaje się, że pan zgadł. Istotnie, okazało się, że może nie jest taka. Zresztą nie mogę jej zrozumieć. Oczywiście chciała nas obrazić, to jasne. Przedtem też dużo dziwnych rzeczy o niej słyszałam. Skoro jednak przyjechała, żeby nas zaprosić, to dlaczego zaraz na wstępie obeszła się tak z mamą? Płycyn ją doskonale zna, a też powiada, że nie mógł dzisiaj zrozumieć jej postępowania. A z Rogożynem? Nie wolno tak rozmawiać, jeśli się ma jakąś godność osobistą, w domu swojego... Mama również się o pana bardzo niepokoi.

- Ależ nic!... - powiedział książę i machnął ręką.

- Jak ona pana usłuchała...

- Usłuchała? Pod jakim względem?

- Pan jej powiedział, że powinna się wstydzić, i nagle zmieniła się nie do poznania. Pan ma na nią wpływ - dodała z uśmiechem Waria.

Drzwi się otworzyły i całkiem niespodziewanie wszedł Gania.

Nawet się nie zawahał ujrawszy Warię; chwilę postął na progu, a potem szybko i zdecydowanie podszedł do księcia.

- Książę, postąpiłem podle, niech mi pan przebaczy, mój drogi - powiedział z uniesieniem. Rysy jego twarzy zdradzały silny ból. Książę patrzył zdumiony i nie od razu odpowiedział. - No, niech pan przebaczy, niechże pan przebaczy! - nalegał niecierpliwie Gania - jeśli pan chce, natychmiast ucałuję pańską rękę!

Książę był tym po prostu zaskoczony i milcząc, obydwoma rękami objął i uścisnął Ganię. Obaj serdecznie się pocałowali.

- Nigdy, nigdy bym nie przypuszczał, że pan jest taki - powiedział wreszcie książę, z trudem chwyając oddech - sądziłem, że pan... nie jest zdolny...

- Przyznać się do winy?... To pan chciał powiedzieć? Nie wiem doprawdy, skąd mi przyszło do głowy, że pan jest idiotą! Pan zawsze zdoła zauważyć to, czego inni nigdy nie zauważą. Z panem można by porozmawiać, ale... lepiej nie mówić!

- Powinien pan tu jeszcze kogoś przeprosić - rzekł książę wskazując na Warię.

- O nie, to moi wrogowie. Niech mi pan wierzy, wiele prób czyniłem; tu nikt szczerze nie przebacza! - odparł Gania porywczo i namiętnie.

I odwrócił się od Wari.

- Owszem, ja przebaczę! - powiedziała nagle Waria.

- I pojedziesz wieczorem do Nastasji Filipowny?

- Pojadę, jeśli każesz, sam jednak osądź; czy jest teraz chociażby najmniejsza możliwość, żebym pojechała?

- Ona przecież nie jest taka. Widziałas, jakie ona daje zagadki do rozwiązania! Jakie sztuki pokazuje! - Gania roześmiał się ze złością.

- Sama wiem, że jest inna i że pokazuje sztuki, ale jakie? I poza tym zwróć uwagę, jak ona się do ciebie odnosi. Cóż z tego, że mamę pocałowała w rękę. Niech to sobie będą jakieś sztuki, ale przecież ona drwiła z ciebie? To niewarte siedemdziesięciu pięciu tysięcy, doprawdy niewarte! Zdolny jeszcze jesteś do szlachetnych uczuć, dlatego ci o tym mówię. Tobie też nie radzę jechać! Ej, strzeż się! To niczym dobrym skończyć się nie może.

Powiedziawszy to Waria, ogromnie wzburzona, szybko wyszła z pokoju.

- Wszyscy jedno i to samo w kółko! - stwierdził Gania z uśmiechem. - Czy jednak rzeczywiście myślą, że ja o tym nie wiem? Przecież wiem o wiele więcej niż oni.

Po tych słowach Gania usiadł na kanapie, chcąc widocznie przedłużyć wizytę.

- Jeśli pan o tym wie - spytał dosyć nieśmiało książe - to po cóż pan się zdecydował na taką męczarnię, wiedząc, że to rzeczywiście nie jest warte siedemdziesięciu pięciu tysięcy?

- Nie o tym mówię - mruknął Gania - ale niech mi pan powie, co pan myśli; chcę właśnie usłyszeć pańskie zdanie: czy ta „męczarnia” warta jest siedemdziesięciu pięciu tysięcy, czy niewarta?

- Moim zdaniem, niewarta.

- No tak, wiadomo. I wstyd tak się żenić?

- Wielki wstyd.

- Więc niech pan wie, że się ożenię, i teraz to już na pewno. Jeszcze niedawno wahałem się, a teraz już nie! Proszę nic nie mówić! Wiem, co pan chce powiedzieć...

- Nie to, co pan myśli, po prostu dziwi mnie pańska nadzwyczajna pewność...

- Co do czego? Jaka pewność?

- Co do tego, że Nastasja Filipowna wyjdzie za pana i że wszystko to jest już przesądzone, a po drugie, jeśli by nawet wyszła, że siedemdziesiąt pięć tysięcy wpadnie panu prosto do kieszeni. Zresztą, ma się rozumieć, o wielu rzeczach nie wiem.

Gania zrobił gwałtowny ruch w stronę księcia.

- Oczywiście, wszystkiego pan nie wie - powiedział - bo po co miałbym na siebie brać cały ten ciężar?

- Mnie się wydaje, że tak nieraz bywa: ktoś się żeni z pieniędzmi, a pieniądze są w rękach żony.

- Nnie, tu tak nie będzie... Tu... to są pewne okoliczności... - wybąkał Gania w trwożnym zamyśleniu. - A co się tyczy jej odpowiedzi, to nie ma pod tym względem żadnych wątpliwości - dodał szybko. - Z czego pan wnioskuje, że ona mi odmówi?

- Nic nie wiem prócz tego, co widziałem; nawet Waria Ardalionowna mówiła przed chwilą...

- E! Sama nie zdaje sobie sprawy, co mówi. A z Rogożyna, jak spostrzegłem, Nastasja Filipowna po prostu kpiała, może pan być pewny. To było widoczne. Miałem trochę obawy, a teraz już wiem. A może chodzi o to, jak ona się obeszła z matką, z ojcem i z Warią?

- I z panem.

- Owszem; ale to tylko odwieczna babska mściwość, i nic więcej. To okropnie drażliwa, nieufna i próżna kobieta. Niczym pominięty w awansie urzędnik! Chciała pokazać siebie oraz całe swoje lekceważenie ich... no i mnie; to prawda, nie przeczę... A jednak za mnie wyjdzie. Pan nawet nie podejrzewa, do jakich sztuczek zdolna jest próżność ludzka: ona na przykład uważa mnie za łotra dlatego, że ją, cudzą kochankę, biorę tak otwarcie dla jej pieniędzy, a nie zdaje sobie sprawy, że inny oszukałby ją jeszcze podłej; przyczepiłby się do niej i zacząłby jej wyklądać różne liberalno - postępowe rzeczy, i poruszać różne kwestie kobiece, aż by ją przeciągnął jak nitkę przez igielne ucho. Zapewniłby ambitną gąskę (z jaką łatwością!), że ją bierze wyłącznie ze względu na „szlachetność serca i nieszczęście”, a w istocie ożeniłby się z pieniędzmi. Ja się nie podobam, gdyż nie chcę być obłudny; a trzeba by. A co ona robi? Czy nie to samo? Więc z jakiej racji potem mną pogardza i wyprawia różne brewerie? Dlatego że ja się nie poddaję i sam jestem dumny? Ano, zobaczmy jeszcze!

- Czyżby pan ją przedtem kochał?

- Kochałem z początku. Ale dość o tym... Są kobiety, które nadają się tylko na kochanki i na nic więcej. Nie mówię, że ona była moją kochanką. Jeśli zechce prowadzić życie spokojne i ciche, to i ja będę takie życie prowadził; jeśli natomiast zechce się buntować, od razu ją rzucę i pieniądze zabiorę. Nie chcę być śmieszny; przede wszystkim nie chcę być śmieszny.

- Mnie się wciąż zdaje - zauważył ostrożnie książę - że Nastasja Filipowna jest mądra. Po cóż by więc miała, przeczuwając taką męczarnię, pchać się w pułapkę! Przecież mogłaby wyjść za innego. To mię właśnie dziwi.

- Bo właśnie ona tutaj ma swoje wyrachowanie! Pan nie wie wszystkiego... w tej sprawie... Poza tym jest przekonana, że kocham ją do szaleństwa, przysięgam panu i wie pan, mocno podejrzewam, że i ona mię kocha po swojemu; zna pan przysłowie: kto się lubi, ten się czubi. Całe życie będzie mnie uważała za wydrwigrosza (może tego jej właśnie potrzeba), a mimo wszystko będzie mnie po swojemu kochała; ona się do tego przygotowuje, taki to już charakter. Powiem panu,

że to niesłychanie typowa Rosjanka; i ja jej ze swej strony gotuję niespodziankę. Ta ostatnia scena z Warią zdarzyła się przypadkowo, ale mnie bardzo na rękę: Nastasja Filipowna widziała teraz i przekonała się o moim przywiązaniu, wie, że gotów jestem dla niej zerwać z każdym. O, i ja nie jestem w ciemną bitą, może pan być spokojny. A propos, czy pan aby nie myśli, że ze mnie taka papla? Ja, drogi panie, może nawet źle robię, że się panu zwierzam. Ale właśnie dlatego, że pan jest pierwszym szlachetnym człowiekiem, którego spotkałem, rzuciłem się na pana... proszę, aby pan tego „rzuciłem się” nie wziął za kalambur. Przecie pan chyba nie gniewa się za to, co było, prawda? Pierwszy raz bodaj od dwóch z górą lat rozmawiam z kimś szczerze. Bardzo tu jest mało uczciwych ludzi; uczciwszych od Pticyna w ogóle nie ma. Co to, zdaje się, że pan się śmieje? Łotry lubią uczciwych ludzi - nie wiedział pan o tym? A ja przecież... Zresztą czym sobie zasłużyłem na miano łotra, niech pan mi szczerze powie? Czemuż oni wszyscy, idąc za jej opinią, nazywają mnie łajdakiem? I wie pan: ja sam nazywam siebie łajdakiem! I to jest coś najpodlejszego!

- Ja pana już teraz nigdy nie będę uważał za łotra - powiedział książę. - Nie tak dawno miałem pana za skończonego niegodziwca i nagle sprawił mi pan taką radość - stąd nauka: nie należy sądzić, nie mając doświadczenia. Teraz widzę, że pana nie tylko za niegodziwca, ale nawet za człowieka zbytnio zepsutego uważać nie można. Pan jest, moim zdaniem, naturą najzwyczajszą w świecie, trochę tylko słabą i wcale nie oryginalną.

Gania zjadliwie się uśmiechnął, ale nic nie powiedział... Książę spostrzegł, że jego oświadczenie nie przypadło do gustu rozmówcy, więc zmieszał się i też umilkł.

- Czy ojciec prosił pana o pieniądze? - spytał nagle Gania.

- Nie.

- Gdy poprosi, niech pan nie daje. A to był przecież całkiem przyzwoity człowiek, o ile pamiętam. Przyjmowano go w najlepszych domach. Jak prędko się kończą ci wszyscy starzy przyzwoici ludzie! Ledwo się trochę zmieniają okoliczności, a już nic dawnego nie zostaje, jakby się proch wypalił. Ojciec dawniej tak nie kłamał, zapewniam pana; dawniej był tylko zanadto egzaltowany, no i - widzi pan, co się z niego zrobiło! Oczywiście wódka winna. Czy pan wie, że on ma utrzymanie? To już coś więcej niż zwykłe niewinne blagierstwo. Nie mogę zrozumieć, dlaczego mama tak długo to znosi. Czy opowiadał panu o obłączeniu Karsu? Albo o tym, jak koń do niego przemówił? Tak dalece potrafi szarżować. I Gania nagle aż się zatoczył ze śmiechu.

- Czemu pan na mnie tak patrzy? - spytał księcia.

- Jestem zdziwiony, że pan tak szczerze się roześmiał. Pan ma doprawdy jeszcze dziecięcy śmiech. Przed chwilą wszedł pan, żeby się pogodzić, i powiedział: „Jeśli pan chce, mogę ucałować pańską rękę” - to zupełnie tak, jakby się dzieci godziły. Więc stać pana jeszcze na takie słowa i odruchy. I nagle zaczyna pan cały wykład o takich ponurych rzeczach i o tych siedemdziesięciu pięciu tysiącach. Doprawdy to wszystko jest jakieś bezsensowne, to tak być nie może.

- Cóż pan z tego chce wywnioskować?

- To, czy pan przypadkiem nie postępuje nazbyt lekkomyślnie, czy nie powinien się pan

przedtem rozejrzeć, zastanowić. Warwara Ardalionowna ma chyba trochę racji.

- O, moralizatorstwo! Że jestem jeszcze zbyt młodzińczy, to sam wiem - przerwał dość porywczo Gania - chociażby tylko dlatego, że rozpocząłem z panem podobną rozmowę. Ja, proszę pana, dążę do tego małżeństwa nie z wyrachowania - ciągnął dalej, zdradzając się mimo woli jak dotknięty w swojej ambicji młodzieniec - wyrachowanie na pewno by mię zawiodło, gdyż nie mam jeszcze na tyle głowy ani charakteru. Idę za głosem namiętności, coś mnie ciągnie, bo mam przed sobą kapitalny cel. Pan może myśli, że ja, gdy wezmę siedemdziesiąt pięć tysięcy, zaraz kupię karecę. Nie, proszę pana, ja wtedy będę donaszać zaprzeszłoroczny surdut i zerwę wszystkie moje klubowe znajomości. Mało jest u nas ludzi wytrwałych, chociaż wszyscy są lichwiarzami, a ja chcę wytrwać. Tu rzeczą najważniejszą jest doprowadzić sprawę do końca - to całe zadanie! Pticyn, mając lat siedemnaście, sypiał na ulicy, sprzedawał scyzoryki i zaczął interesy od kopiejki; teraz ma sześćdziesiąt tysięcy, ale po jakiej gimnastyce! I właśnie ja tę gimnastykę przeskoczę, i zacznę od razu od kapitału; po piętnastu latach ludzie będą mówili: „Oto Iwołgin, król żydowski.” Pan mi powiada, że nie jestem człowiekiem oryginalnym. Niech pan weźmie pod uwagę, że trudno o większą obrazę dla człowieka naszych czasów i naszego plemienia, jak powiedzieć mu, że nie jest oryginalny, że ma słaby charakter, że mu brak szczególnych zdolności i że jest naturą pospolitą. Pan nie był łaskaw uznać mię nawet za porządnego drania i muszę panu wyznać, że nie tak dawno chciałem pana za to rozszarpać i pożreć! Pan mnie obraził dotkliwiej niż Jepanczyn, który uważa (bez żadnych rozmów, bez kuszenia, w prostocie ducha, niech pan sobie zanotuje), że jestem zdolny do tego, aby mu prehandlować żonę! To mię już, drogi panie, od dawna przyprawia po prostu o chorobę i chcę dojść do pieniędzy. Mając pieniądze, niech pan wie o tym, stanę się człowiekiem w najwyższym stopniu oryginalnym. Pieniądze są dlatego czymś najbardziej wstrętnym i nienawistnym, że stwarzają w człowieku nawet talenty. I będą stwarzać aż do końca świata. Powie pan, że to wszystko dziecinada albo nawet poezja - no cóż, będę się tym bardziej cieszył, a interes mimo wszystko dojdzie do skutku. Poprowadzę i wytrwam do końca. *Rira hien gui rira le dernier**! Dlaczego Jepanczyn tak mię obraża? Ze złości? Ależ nie! Po prostu dlatego, że jestem nic nie znaczącą osobą. Ale w przyszłości... Jednak dosyć tych rozmówek, czas na mnie. Kola już dwa razy tu zaglądał: chce pana prosić na obiad. A ja się wyprowadzam. Zajrzę czasami do pana. Panu tu u nas źle nie będzie; zostanie pan od razu przyjęty do rodziny. Niechże pan pamięta: proszę mnie nie zdradzić. Zdaje mi się, że będziemy albo przyjaciółmi, albo wrogami. A jak pan myśli, gdybym pana wtedy pocałował w rękę (jak to szczerze chciałem uczynić), czybym się stał później pańskim wrogiem?

- Z pewnością tak, ale nie na zawsze; potem nie wytrzymałby pan i przebaczył - zdecydował ksiązę, zastanowiwszy się i uśmiechnąwszy.

- Ehe! Widzę, że z panem trzeba ostrożniej. A niech to diabli, i tu pan zdołał wstrzyknąć trucizny. Kto wie zresztą, może pan nawet jest moim wrogiem? Ale cha, cha, cha! Zapomniałem spytać: czy dobrze mi się wydało, że Nastasja Filipowna jakoś za bardzo się panu podoba, co?

- Tak, podoba mi się.

- Zakochał się pan?

- Nnie.

- A tymczasem zaczerwienił się pan i cierpi. No, nic nie szkodzi, nie będę się śmiał; do widzenia! A czy wie pan, że to jest kobieta o wysokich zaletach moralnych; czy może pan dać temu wiarę? Myśli pan, że ona żyje z tym... z Tockim? Nic podobnego. I to już od dawna. A czy zauważył pan, że ona jest okropnie nieśmiała i że w czasie tej wizyty była chwilami dobrze skonfundowana? Naprawdę. Takie kobiety właśnie lubią panować. No, do widzenia!

Gania wyszedł o wiele bardziej nonszalancko, niż wszedł, i w dosyć dobrym humorze. Książę przez jakieś dziesięć minut nie ruszał się z miejsca i myślał.

Kola znowu wsunął głowę przez drzwi.

- Nie chce mi się jeść obiadu; zjadłem dziś rano dobre śniadanie u Jepanczynów.

Kola wszedł do pokoju i podał księciu kartkę. Była to kartka od generała, złożona i zapieczętowana. Z wyrazu twarzy Koli widać było, z jaką przykrością spełniał zlecenie ojca. Książę przeczytał, wstał i wziął kapelusz.

- To dwa kroki stąd - powiedział zmieszany Kola. - Ojciec siedzi tam teraz przy butelce. Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób wyrobił sobie kredyt. Mój drogi, kochany książę, niech pan potem nic nie mówi u nas w domu, że doręczyłem panu kartkę. Tysiąc razy przysięgałem, że nie będę nosił tych kartek, ale zawsze się ulituję; tylko z nim niech pan nie robi żadnych ceregieli: niech pan mu da parę drobniaków, i skończona sprawa.

- Ja sam, moje dziecko, myślałem o tym; muszę się koniecznie widzieć z twoim ojczulkiem... jest taka sprawa... No, chodźmy...

XII

Kola zaprowadził księcia niedaleko, na Litiejną, do jakiejś kawiarenki z bilardem, na parterze, z wejściem od ulicy. Tam po prawej stronie w kącie, w osobnym pokoiku, jako stary i zwykły bywalec, ulokował się Ardalion Aleksandrowicz; przed nim stała na stoliku butelka, a w rękach trzymał istotnie „Independance Belge”. Czekał na księcia; ledwie go spostrzegł, natychmiast odłożył gazetę i zaczął jakieś gorące i wielosłowne wyjaśnienie, z którego zresztą ksiązę niemal nic nie zrozumiał, gdyż generał był już prawie gotów.

- Dziesięciu rubli nie mam - przerwał ksiązę - oto dwadzieścia pięć, niech pan zmieni i zwróci mi piętnaście, ponieważ zostaję bez grosza.

- O, niewątpliwie; może pan być pewny, że ja od razu...

- Prócz tego mam do pana pewną prośbę, generale. Czy pan nigdy nie bywał u Nastasji Filipowny?

- Ja? Ja nie bywałem? Pan mnie to mówi? Iks razy, drogi panie, iks razy! - zawołał generał w przystępie zadowolonej z siebie i triumfującej ironii. - W końcu jednak sam zaprzestałem tych wizyt, albowiem nie chcę przykładać ręki do kompromitującego związku. Pan sam widział, pan był świadkiem dziś rano: zrobiłem wszystko, co mógł zrobić ojciec, ale ojciec łagodny i wyrozumiały; teraz zaś wyjdzie na scenę ojciec innego rodzaju, a wtedy - zobaczymy, przekonamy się: czy zasłużony stary wojak przezwycięży intrygę, czy też bezwstydną damą kameliowa wejdzie do jednej z najszlachetniejszych rodzin.

- A ja pana chciałem właśnie prosić, czy nie mógłby pan, jako znajomy, wprowadzić mnie dziś wieczorem do Nastasji Filipowny? Zależy mi na tym, żeby właśnie dzisiaj; mam pewną sprawę, a zupełnie nie wiem, jak tam wejść. Zostałem niedawno przedstawiony, ale mnie nie zaproszono: dziś jest tam proszony wieczór. Gotów byłbym pominąć pewne względy towarzyskie, niech mnie nawet wyśmieją, bylebym mógł tam jakoś wejść.

- Ależ pan zupełnie, ale to najzupełniej trafił w moją myśl, drogi przyjacielu! - zawołał z entuzjazmem generał - przecież nie dla tych paru groszy pana tu wzywałem - ciągnął dalej, zgarniając zresztą pieniądze i pakując je do kieszeni - wzywałem pana mianowicie po to, żeby pana prosić na towarzysza wyprawy do Nastasji Filipowny albo raczej wyprawy na Nastasję Filipownę! Generał Iwołgin i ksiązę Myszkini! Jakie to na niej zrobi wrażenie! Ja zaś, pod pozorem zwykłej grzeczności w dniu urodzin, oznajmię na koniec swoją wolę - pośrednio, nie wprost, ale wyjdzie tak jakby wprost. Wtedy Gania sam się zorientuje, jak ma postąpić: czy wierzyć ojcu, zasłużonemu i... że tak powiem... i tak dalej, czy też... Ale co będzie, to będzie! Pański pomysł jest przewyborny. Pojedziemy tam o dziewiątej, mamy jeszcze dużo czasu.

- Gdzie ona mieszka?

- Daleko stąd: obok Teatru Wielkiego, w domu Mytowcowej, prawie na samym placu, na

pierwszym piętrze... Dużo ludzi tam nie będzie, chociaż to są jej urodziny, i wcześniej się rozejdą...

Dawno już zapadł wieczór; księżę wciąż jeszcze siedział, słuchał i czekał na generała, który rozpoczynał niezliczoną ilość anegdot i żadnej z nich nie kończył. Po przyjsciu księcia zażądał nowej butelki i dopiero po godzinie ją dokończył, następnie zażądał drugiej i tę też wypróżnił. Należy przypuszczać, iż generał zdążył opowiedzieć przy tym nieomal cały swój życiorys. Wreszcie księżę wstał i oświadczył, że dłużej czekać nie może. Generał wypił z butelki resztę jej zawartości, wstał i wyszedł z pokoju bardzo niepewnym krokiem. Księżę był w rozpacz. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w tak głupi sposób zaufał generałowi. W gruncie rzeczy nigdy mu nie ufał; liczył na to, że generał jakoś wprowadzi go do Nastasji Filipowny, chociażby nawet z pewnym skandalem, nie liczył się jednak z możliwością wielkiego skandalu: generał, jak się okazało, był kompletnie pijany, ogarnęła go niepoohamowana pasja krasomówcza i mówił bez przerwy, z uczuciem, ze łzami w oczach. Wciąż mu chodziło o to, że wskutek złego prowadzenia się wszystkich członków jego rodziny wszystko wzięło w łeb i że najwyższy czas położyć temu kres. Wyszli wreszcie na Litiejną. Ciągle jeszcze trwała odwilż; posępny, ciepły, wilgotny wiatr gwizdał po ulicach, powozy nurzały się w błocie, kłusaki i szkapy dorożkarskie głośno uderzały podkowami o bruk. Liczne gromadki przechodniów, ponurych i mokrych, wałęsały się po trotuarach. Trafiali się pijani.

- Widzi pan te oświetlone okna pierwszych pięter - mówił generał - tu wszędzie mieszkają moi koledzy, a ja, co z nich wszystkich najwięcej odsłużyłem i najwięcej ucierpiałem, wlokę się na piechotę w stronę Teatru Wielkiego do mieszkania podejrzanego kobiety! Ja, człowiek mający w piersi trzynaście kul... pan nie wierzy? A przecież to jedynie dla mnie Pirogow telegrafował do Paryża i na pewien czas opuścił oblężony Sewastopol, a Nelaton, paryski nadworny medyk, w imię nauki wyrobił sobie prawo wolnego przejazdu i zjawił się w Sewastopolu, aby mnie zbadać[34]. Wie o tym nawet najwyższa władza: „A, to ten Iwołgin, co ma trzynaście kul!...” Tak mówią, proszę łaskawego pana! Czy księżę widzi ten dom? Tu na pierwszym piętrze mieszka mój stary kolega, generał Sokołowicz, wraz ze swoją przezacną i liczną rodziną. Otóż ten dom i jeszcze trzy domy na Newskim Prospekcie i dwa przy Morskiej - to całe obecne grono moich znajomych, właściwie mówiąc: moich osobistych znajomych. Nina Aleksandrowna już dawno poddała się okolicznościom. Ja zaś nadal jeszcze żyję wspomnieniami... i, że tak powiem, znajduję wytchnienie w kółku ludzi wykształconych, w towarzystwie moich dawnych kolegów i podkomendnych, którzy dotychczas mnie uwielbiają. Ten generał Sokołowicz (mówiąc nawiasem, strasznie dawno u niego nie byłem i nie widziałem Anny Fiodorowny)... wie pan, drogi księżę, kiedy sam człowiek u siebie nie przyjmuje, to jakoś mimo woli przestaje też bywać u innych. Chociaż pan... hm... pan, zdaje się, nie wierzy... A właściwie biorąc niby dlaczego nie miałbym wprowadzić do tej przemiłej rodziny syna mojego najlepszego przyjaciela i towarzysza lat dziecięcych? Generał Iwołgin i księżę Myszkina! Pozna pan czarującą dziewczynę, ba! nawet nie jedną, ale dwie, trzy, ozdobę stołecznej socjety: uroda, wykształcenie, kierunek myśli... kwestia kobieca, wiersze, wszystko to tworzy szczęśliwą, różnorodną mieszaninę, nie licząc co najmniej osiemdziesięciu tysięcy rubli posagu w gotówce, za każdą, co nigdy nie przeszkadza przy żadnych kwestiach kobiecych i społecznych... słowem, czuję się w obowiązku, muszę, muszę pana wprowadzić. Generał Iwołgin i księżę Myszkina!

- Zaraz? W tej chwili? Ależ pan zapomniał - próbował oprzeć się księżę.

- Nie, wcale nie zapomniałem, chodźmy! Tutaj, na te wspaniałe schody. Dziwię się, że nie ma szwajcara, ale... dzisiaj jest święto, szwajcar mógł się zwolnić. Jeszcze nie przepędzili tego pijaka. Ten Sokołowicz całe swoje powodzenie w życiu i na służbie zawdzięcza mnie, wyłącznie mnie i nikomu innemu, ale... jesteśmy na miejscu.

Książę już nie protestował przeciwko wizycie i szedł posłusznie za generałem, żeby go nie rozdrażnić, pocieszając się nadzieją, iż generał Sokołowicz i cała jego rodzina znikną jak sen i okażą się nie istniejącymi, po czym oni najspokojniej zejdą z powrotem. Ale ku swojemu przerażeniu zaczął tracić tę nadzieję: generał prowadził go po schodach jak człowiek rzeczywiście mający tu znajomych i co chwila z matematyczną dokładnością przytaczał różne biograficzne i topograficzne szczegóły. Wreszcie, kiedy znaleźli się już na pierwszym piętrze i stanęli na prawo przed drzwiami bogatego mieszkania, książę nieodwołalnie postanowił uciec; jednak pewna szczególna okoliczność zatrzymała go na chwilę.

- Pan się omylił, generale - powiedział - na drzwiach napisane Kułakow, a pan dzwoni do Sokołowicza.

- Kułakow... Kułakow niczego nie dowodzi. Mieszkanie jest Sokołowicza i ja dzwonię do Sokołowicza; w nosie mam Kułakowa... O, właśnie otwierają...

Drzwi rzeczywiście się otworzyły. Wyjrzał lokaj i oświadczył, że „państwa nie ma w domu”.

- Jaka szkoda, jaka szkoda, fatalnie się złożyło - z głębokim żalem powtórzył kilka razy Ardalion Aleksandrowicz. - Zameldujże, mój drogi, że generał Iwołgin i książę Myszkina pragnęli osobiście złożyć swoje uszanowanie i bardzo, bardzo żalowali.

W tej chwili w kierunku drzwi wyjrzała z pokoiów jeszcze jedna postać, zapewne któraś z domowych gospodyń, może nawet guwernantka, czterdziestoletnia na oko, ubrana w ciemną suknię. Usłyszawszy nazwiska generała Iwołgina i księcia Myszkina podeszła z zaciekawieniem i nieufnością.

- Marii Aleksandrowny nie ma w domu - rzekła wpatrując się zwłaszcza w generała - wyjechała z panią, z Aleksandrą Michajłówną, do babci.

- I Aleksandra Michajłówną razem z nią, o Boże, co za nieszczęście! Niech pani sobie wyobrazi, zawsze mi się tak nieszczęśliwie składa! Proszę łaskawie przekazać moje najniższe ukłony, a Aleksandrze Michajłównie proszę przypomnieć... słowem, niech pani zechce złożyć ode mnie serdeczne życzenia, aby spełniło się to, o czym marzyła we czwartek wieczór przy dźwiękach ballady Chopina; z pewnością pamięta... Moje serdeczne życzenia! Generał Iwołgin i książę Myszkina!

- Nie zapomnę, proszę pana - ukłoniła się dama z większą już ufnością.

Schodząc na parter generał, w którym zapal jeszcze nie ostygł, nie przestawał ubolewać nad tym, że nie zastali nikogo w domu i że książę stracił okazję zawarcia tak sympatycznej znajomości.

- Chciałbym panu wyznać, mój drogi, że jestem w duszy trochę poetą; czy pan to zauważył? Ale nawiasem mówiąc... zdaje się, że naprawdę weszliśmy nie bardzo tam, gdzie trzeba - stwierdził całkiem niespodziewanie generał.

- Sokołowicze, jak sobie teraz przypomniałem, mieszkają w innym domu, a nawet obecnie, jak mi się zdaje, w Moskwie. Tak, trochę się pomyliłem, ale to... nic nie szkodzi.

- A ja chciałbym jedno tylko wiedzieć - odezwał się posepnie książę - czy już, w tej chwili, powinienem przestać liczyć na pana i udać się z wizytą sam?

- Przestać? Liczyć? Sam? Ależ z jakiej racji, kiedy dla mnie stanowi to najkapitałniejsze przedsięwzięcie, od którego tak bardzo zależy los nieomal całej mojej rodziny! Nie, mój młody przyjacielu, pan kiepsko zna Iwołgina. Kto mówi „Iwołgin”, ten powiada „mur”: „licz na Iwołgina jak na mur”, tak mówiono jeszcze w szwadronie, w którym zacząłem służbę. Muszę tylko po drodze wstąpić na chwilę do jednego domu, gdzie duch mój znajduje już od kilku lat wytchnienie po różnych niepokojach i przejściach...

- Chce pan wstąpić do domu ?

- Nie! Chcę iść... do kapitanowej Tierientiew, wdowy po kapitanie Tierientiewie, moim byłym podkomendnym... a nawet przyjacielu... Tam u kapitanowej odradzam się na duchu, tam przynoszę swoje życiowe i rodzinne troski... A ponieważ dziś właśnie dźwigam na duszy wielki ciężar moralnych wątpliwości, więc...

- Zdaje mi się, że już zrobiłem aż nadto duże głupstwo - wymamrotał książę - kiedy się do pana zwróciłem z prośbą. Przy tym jest pan teraz.... Do widzenia!

- Ale ja nie mogę, nie mogę puścić pana od siebie, mój młody przyjacielu! - zawołał tonem pretensji generał. - To jest wdowa, matka dzieci, a potrafi w sercu swoim poruszyć te struny, które dźwięczą potem w całej mojej istocie. Wizyta u niej - to pięć minut, nie robię tam żadnych ceremonii, jestem prawie że domownikiem; umyję się, zrobię najkonieczniejszą toaletę, i wtedy machniemy się dorożką do Teatru Wielkiego. Zapewniam pana, że pan mi jest bardzo potrzebny na ten wieczór... O, to w tej kamienicy, już przyszliśmy... A, Kola, i ty również tutaj? Czy Marfa Borysowna jest w domu, czy też ty sam dopiero co przyszedłeś?

- O nie - odpowiedział Kola, który zetknął się z nimi akurat w bramie - jestem tu już od dawna, u Hipolita, czuje się gorzej, dziś rano leżał. Teraz schodziłem do sklepiku po karty. Marfa Borysowna czeka na papę. Tylko papcio, och jej!... - zakończył Kola przypatrując się badawczo ruchom i postawie generała. - No już chodźmy!

Spotkanie z Kolą wpłynęło na decyzję księcia, aby towarzyszyć generałowi do Marfy Borysowny, ale tylko na chwilę. Księżciu potrzebny był Kola; generała zaś postanowił w każdym razie opuścić. Nie mógł sobie darować, że nie tak dawno gotów był pokładać w nim jakiegokolwiek nadzieje. Wchodzili długo, na trzecie piętro, po kuchennych schodach.

- Papa chce przedstawić księcia? - spytał po drodze Kola.

- Tak, mój drogi, przedstawić: generał Iwołgin i księżę Myszkina; ale cóż... jak tam... Marfa Borysowna...

- Wie papa, radzę tam nie chodzić! Będzie przeprawa! Trzy dni papcio się nie pokazuje, a ona czeka na pieniądze. Po co było obiecywać? Wiecznie to samo! Niech się papa sam teraz z tego wykręci.

Na trzecim piętrze stanęli przed niskimi drzwiami. Generał najwyraźniej tchórzył i wypychał naprzód księcia.

- Ja tu zostanę - bełkotał - chcę zrobić niespodziankę...

Kola wszedł pierwszy. Jakaś dama, mocno wypudrowana i wyróżzana, w pantoflach, serdaku, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, lat około czterdziestu, wyrzała przez drzwi i niespodzianka, którą generał przygotowywał, spaliła na panewce. Ledwie ujrzawszy go, dama od razu zaczęła krzyżeć:

- A tak, to on, ten nikczemny i przewrotny człowiek, przeczuwało to moje serce!

- Wejźmy, to nic takiego - bełkotał generał do księcia, uśmiechając się i robiąc wciąż niewinną minę.

Ale to nie było nic takiego. Załedwie weszli przez ciemny i niski przedpokój do wąziutkiego saloniku, zastawionego pół tuzinem plecionych krzeseł i dwoma stolikami do kart, gospodyni niezwłocznie podjęła i ciągnęła dalej poprzedni swój wątek, mówiąc jakimś wyuczonym, biadolącym, ale bynajmniej nie podniesionym głosem:

- I nie wstyd, nie wstyd ci, barbarzyńco i tyranie mojej rodziny, barbarzyńco i potworze! Ograbiłeś mię doszczętnie, wyssałeś ze mnie krew do ostatniej kropli i jeszcze ci mało. Jak długo mam cię znosić, ty bezwstydniku, ty człowieku bez czci i wiary!

- Marfo Borysowno, Marfo Borysowno! To jest... księżę Myszkina. Generał Iwołgin i księżę Myszkina - bełkotał drżący i zbity z tropu generał.

- Czy pan uwierzy - zwróciła się nagle kapitanowa do księcia - czy pan uwierzy, że ten bezwstydnny człowiek nie miał litości dla moich osieroconych dzieci! Ze wszystkiego mię ograbił, wszystko powynosił, wszystko sprzedał albo oddał do lombardu, nic nie zostawił. Co ja zrobię z twoimi rewersami, ty chytrusie, ty człowieku bez sumienia? Odpowiedz, krętaczu, odpowiedz mi, duszo nienasycona: czym ja nakarmię moje sieroty? Przychodzi pijany tak, że na nogach nie może się utrzymać... Czym ja Pana Boga obraziłam, nędzny, szkaradny oszuście, odpowiedz!

Ale generał czym innym był zaprzątnięty.

- Marfo Borysowno, dwadzieścia pięć rubli... wszystko, co mogę, dzięki pomocy najszlachetniejszego przyjaciela. Księżę! Pomyliłem się okrutnie! Takie jest życie... A teraz... przepraszam, jestem słaby - ciągnął dalej generał stojąc pośrodku pokoju i kłaniając się na wszystkie strony - jestem słaby, przepraszam! Lenoczka! Daj mi poduszkę... moja droga!

Lenoczka, ośmioletnia dziewczynka, od razu pobiegła po poduszkę, przyniosła i położyła na ceratowej, twardej i podartej kanapie. Generał usiadł, zamierzając najwidoczniej dużo jeszcze powiedzieć, zaledwie jednak dotknął kanapy, natychmiast przechylił się na bok, odwrócił do ściany i zasnął snem sprawiedliwego. Marfa Borysowna ceremonialnie i ze smutkiem wskazała księciu krzesło przy stoliku do kart, sama usiadła naprzeciwko, podparła ręką prawy policzek i zaczęła w milczeniu wzdychać patrząc na księcia. Troje małych dzieci, dwie dziewczynki i chłopczyk, z których Lenoczka była najstarsza, podeszło do stołu, wszyscy troje położyli ręce na stół i wszyscy troje zaczęli uważnie przyglądać się księciu. Z drugiego pokoju wyjrzał Kola.

- Bardzo się cieszę, że pana tu spotkałem - zwrócił się do niego książę - czy nie mógłby mi pan pomóc? Muszę koniecznie dzisiaj dostać się do Nastasji Filipowny. Prosiłem o to właśnie Ardaliona Aleksandrowicza; niestety, zasnął. Niech pan mię odprowadzi, bo nie znam ani ulic, ani drogi. Adres zresztą mam: obok Teatru Wielkiego, dom Mytowcowej.

- Do Nastasji Filipowny? Ależ ona nigdy nie mieszkała obok Teatru Wielkiego, a ojciec nigdy nie bywał u niej, jeśli pan chce wiedzieć; dziwno mi, że pan się po nim spodziewał takiej przysługi. Nastasja Filipowna mieszka w pobliżu Włodzimierskiej, obok Pięciu Narożników, to o wiele bliżej stąd. Chce pan iść zaraz? Jest teraz wpół do dziesiątej. Chętnie pana odprowadzę.

Książę i Kola niezwłocznie wyszli. Niestety! Książę nie miał nawet na dorożkę, więc musieli pójść piechotą.

- Chciałem pana poznać z Hipolitem - powiedział Kola - to najstarszy syn tej kapitanowej w serdaku, był w sąsiednim pokoju; niezdrów, leżał cały dzień. Ale to taki dziwak; strasznie obraźliwy; wydawało mi się, że będzie mu przykro, ponieważ pan przyszedł w takiej chwili... Mnie jednak nie jest tak przykro jak jemu, dlatego że mam ojca, a on matkę; to jednak różnica, bo dla mężczyzny to nie hańba. A zresztą może to tylko przesąd, że w tych sprawach istnieje jakieś uprzywilejowanie płci. Hipolit to wspaniały chłopak, ale niewolnik różnych przesądów.

- Mówi pan, że on ma suchoty?

- Tak, zdaje się; byłoby lepiej, żeby pręcej umarł. Ja na jego miejscu bezwzględnie chciałbym umrzeć. Żał mu tych maleńkich braci i sióstr. Gdyby to było możliwe, gdyby się znalazły pieniądze, wynajęlibyśmy we dwóch oddzielne mieszkanie i zerwalibyśmy z naszymi rodzinami. Marzymy o tym. A wie pan co, kiedy mu opowiedziałem o pańskim wypadku, to się nawet rozżłościł; powiada, że ten, kto daruje zniewagę i nie wyzwie na pojedynek, jest nikczemnikiem. Zresztą jest bardzo rozdrażniony, przestałem się z nim nawet sprzeczać. Więc to tak, więc Nastasja Filipowna zaprosiła pana od razu do siebie?

- W tym sęk, że nie.

- A pan idzie? - zawołał Kola i aż się zatrzymał na środku chodnika. - I... w takim ubraniu? Tam przecie proszony wieczór.

- Dalibóg, nie wiem, jak wejść. Jeśli mnie przyjmą - dobrze, a jeśli nie - sprawa przepadła. A

co się tyczy ubrania, jakaż tu rada?

- Czy pan ma interes? Czy też tylko tak, *pour passer le temps** w „eleganckim towarzystwie”?

- Nie, ja właściwie... tak, mam interes... trudno mi to wyrazić, ale...

- Jaki pan ma interes, to już pana rzecz; dla mnie grunt, że pan tam nie wprasza się po prostu na przyjęcie do miłego towarzystwa dam kameliowych, generałów i lichwiarzy. Gdyby tak było, niech pan wybaczy, wyśmiałbym pana i zaczął panem pogardzać. Tu jest okropnie mało uczciwych ludzi, nawet nie ma kogo naprawdę szanować. Mimo woli człowiek patrzy na nich z góry, a oni wszyscy żądają szacunku; Waria pierwsza. I czy pan zauważył, że w naszym stuleciu wszyscy są poszukiwaczami przygód? I właśnie u nas w Rosji, w naszej kochanej ojczyźnie. Jak się to tak wszystko złożyło - nie rozumiem. Zdawało się, że wszystko stoi na takim mocnym fundamencie, a co teraz? Wszyscy to mówią i wszędzie się o tym pisze. Oskarża się. U nas wszyscy oskarżają. Rodzice pierwsi zmieniają zdanie i sami wstydzą się swojej dotychczasowej moralności. W Moskwie na przykład ojciec namawiał syna, żeby się nie cofał przed niczym dla zdobycia pieniędzy; prasa o tym podawała wiadomość[36]. Niech pan popatrzy na mojego generała. Co się z niego zrobiło? Ale, mówiąc nawiasem, wie pan co: mnie się wydaje, że mój generał jest człowiekiem uczciwym, dalibóg, jest! A to wszystko tylko przez nieład w życiu i wódkę. Dalibóg! Aż mi go żal; boję się jednak mówić, bo wszyscy się śmieją; a doprawdy żal mi. Bo cóż niby ci mądrzy, co w nich jest dobrego? Sami lichwiarze, jak obszył! Hipolit usprawiedliwia lichwiarstwo, mówi, że tak trzeba, że wstrząsy ekonomiczne, jakieś przyływy i odpływy, niech to diabli wezmą. Sprawia mi tym dużą przykrość, ale jest okropnie zawzięty. Proszę sobie wyobrazić, że jego matka, ta kapitanowa, dostaje od generała pieniądze i te same pieniądze pożycza mu na procent, na krótki termin; okropny wstyd! A wie pan, że moja mama, to znaczy Nina Aleksandrowna, generałowa, pomaga Hipolitowi, daje mu pieniądze, ubranie, bieliznę, a nawet dzieciom po części pomaga przez Hipolita, bo są bardzo zaniedbane. A i Waria robi to samo.

- No proszę: mówił pan, że nie ma ludzi uczciwych i dzielnych, że wszyscy są lichwiarzami; tymczasem znaleźli się dzielni ludzie, pańska matka i Waria. Czyż okazywanie pomocy w takich okolicznościach nie jest oznaką siły moralnej?

- Waria robi to tylko z próżności, żeby mieć się czym chwalić, no i żeby nie być gorszą od matki; co zaś do matki, to rzeczywiście... szanuję. Tak, szanuję to i usprawiedliwiam. Nawet Hipolit to czuje, a przecież jest tak okropnie surowy. Z początku kpił i nazywał to nikczemnością ze strony matki; teraz jednak sam to czuje. Hm! Więc pan to nazywa siłą? Zapamiętam sobie. Gania o tym nie wie, bo nazwałaby to pobłażliwością dla występku.

- Gania nie wie? Gania, zdaje się, nie wie jeszcze wielu rzeczy - wyrwało się zamyślonemu księciu.

- A księżę, muszę powiedzieć, bardzo mi się podoba. Nie może mi wyjść z głowy to niedawne zajście.

- Pan mi się też bardzo podoba.

- Niech pan powie, jak pan ma zamiar urządzić się tutaj? Ja wkrótce znajdę sobie jakąś pracę, będę coś niecoś zarabiał; może byśmy wynajęli mieszkanie i mieszkali razem, ja, pan i Hipolit; a generała będziemy zapraszać do siebie.

- Z największą przyjemnością. No, ale zobaczymy. Jestem teraz bardzo... bardzo rozstrojony. Co? Już przyszliśmy? W tym domu... jakie wspaniałe wejście! I szwajcar. No, Kola, nie wiem, co z tego wyniknie.

Księżę stał, jakby był w rozterce.

- Jutro pan opowie! Uszy do góry! Życzę powodzenia, bo sam jestem tych samych co i pan przekonany we wszystkim! Do widzenia! Ja wracam i opowiem Hipolitowi. A że pana przyjmą, to pewne, niech się pan nie obawia! Ona jest strasznie oryginalna. W tej klatce schodowej, na pierwszym piętrze; szwajcar panu wskaże.

XIII

Książę bardzo się niepokoił wstępując na górę po schodach i starał się, jak tylko mógł, dodać sobie otuchy. „Co najwyżej - myślał - skończy się na tym, że mnie nie przyjmą i pomyślą o mnie coś brzydkiego albo przyjmą i zaczną się wyśmiewać prosto w oczy... E, to nic takiego!” I rzeczywiście, to wszystko jeszcze nie bardzo go przerażało, ale pytanie: „co on tam ma robić i po co idzie ?” - to pytanie musiał na razie zostawić bez uspokajającej odpowiedzi. Gdyby nawet można było w jakiś sposób, korzystając z odpowiedniej chwili, powiedzieć Nastasji Filipownie: „Niech pani nie wychodzi za tego człowieka i nie gubi siebie, on pani nie kocha, kocha tylko pani pieniądze, sam mi o tym mówił, mówiła mi też Agłaja Jepanczyn, a ja przyszedłem pani to powtórzyć” - jest rzeczą nader wątpliwą, czyby to dało należyty efekt. Nasuwał się jeszcze jeden trudny do rozstrzygnięcia problem, tak zasadniczy, że książę bał się nawet myśleć o nim, nie mógł i nawet nie śmiał go otwarcie postawić, nie umiał go w ogóle sformułować, czerwienił się i drżał na samo o nim wspomnienie. Koniec tych różnych obaw i wątpliwości był przecie taki, że książę mimo wszystko wszedł i zapytał o Nastasję Filipownę.

Nastasja Filipowna zajmowała niezbyt obszerne, ale naprawdę wykwintne mieszkanie. W ciągu tych pięciu lat jej pobytu w Petersburgu była chwila z samego początku, kiedy Afanasij Iwanowicz szczególnie nie żałował dla niej pieniędzy; liczył jeszcze wtedy na jej miłość i zamierzał zdobyć ją przede wszystkim zbytkiem i przepychem, wiedział bowiem, jak łatwo można się przyzwyczaić do wystawnego życia i jak trudno potem wyrzec się tego wszystkiego, kiedy zbytek powoli staje się pierwszą potrzebą. W danym wypadku Tocki pozostawał wierny starym dobrym tradycjom, nie zmieniając ich wcale, ceniąc ponad wszystko całą nieprzepartą siłę bodźców zmysłowych. Nastasja Filipowna przepychu się nie wyrzekła, nawet go lubiła, chociaż - i to się wydawało niezmiernie dziwne - nie poddawała mu się, jak gdyby zawsze mogła się bez niego obejść; starała się nawet nieraz dać to do zrozumienia Tockiemu, którego to nieprzyjemnie raziło. Zresztą w Nastasji Filipownie dość dużo było takich rzeczy, które niemile uderzały (a później nawet wzbudzały pogardę) Afanasija Iwanowicza. Nie mówiąc już o braku wytworności tych ludzi, którym niekiedy pozwalała zbliżyć się do siebie, a więc czyniła to z własnej chęci, przejawiała jeszcze pewne nader dziwne upodobania: uwydatniała się w niej jakaś barbarzyńska mieszanina dwóch smaków, zdolność zadowalania się takimi rzeczami i środkami, których istnienia człowiek przyzwoity i o wysokiej kulturze nie powinien był chyba nawet dopuścić. W istocie gdyby, mówiąc przykładowo, Nastasja Filipowna zdradziła kiedykolwiek miłą i wytworną nieświadomość, w rodzaju na przykład tego, że wieśniaczki nie mogą nosić batystowej bielizny, jaką nosi ona, to Afansij Iwanowicz byłby z tego zapewne bardzo zadowolony. Do takich właśnie wyników zmierzała początkowo cała edukacja Nastasji Filipowny według programu Tockiego, który się na tych sprawach doskonale znał; ale, niestety!, wyniki okazały się co najmniej dziwne. Pomimo to jednak w Nastasji Filipownie tkwiło coś takiego, co czasem zdumiewało nawet samego Afanasija Iwanowicza swoją niezwykłą i ujmującą oryginalnością, jakąś niby siłą, i zachwycało go niekiedy nawet jeszcze teraz, kiedy już runęły wszystkie jego poprzednie rachuby na Nastasję Filipownę.

Księżciu otworzyła dziewczyna (Nastasja Filipowna trzymała służbę wyłącznie kobiecą) i ku jego zdumieniu wysłuchała jego prośby o zaanonsowanie tak, jakby to była rzecz najnormalniejsza w

świecie. Ani jego zabłocone buty, ani kapelusz z szerokim rondem, ani peleryna, ani zmieszany wyraz twarzy nie wywołały w niej żadnego wahania. Zdjęta z niego pelerynę, poprosiła do poczekalni i natychmiast poszła go zaanonsować.

Zebrane u Nastasji Filipowny towarzystwo składało się z najzwyklejszych stałych jej znajomych. Grono to było nawet dość nieliczne w porównaniu z poprzednimi dorocznymi zebraniem w dniu urodzin. Obecni byli, po pierwsze i przede wszystkim, Afanasij Iwanowicz Tocki oraz Iwan Fiodorowicz Jepanczyn; obaj rozplýwali się w uprzejmościach, ale zdradzali pewien utajony niepokój, który wynikał z dość źle ukrywanego oczekiwania na obiecaną decyzję w sprawie Gani. Oprócz nich, ma się rozumieć, był i Gania - też bardzo ponury, bardzo zamyślony i nawet prawie całkiem „nieuprzejmy” - który przeważnie trzymał się z dala od towarzystwa i nic nie mówił. Nie odważył się przywieźć Wari, ale Nastasja Filipowna nie wspomniała nawet o niej; natomiast zaledwie przywitała się z Ganią, od razu przypomniała mu o jego niedawnym zajściu z księciem. Generał, który jeszcze o tym nie słyszał, okazał duże zainteresowanie. Wtedy Gania sucho, powściągliwie, ale całkiem otwarcie opowiedział wszystko, co zaszło między nim a księciem, i o tym, że był już u księcia z przeprosinami. Gorąco przy tym wypowiedział swoje przekonanie, że księcia w sposób nader dziwny i Bóg wie dlaczego nazwano „idiotą”, że on sądzi o nim wprost przeciwnie i że, poza wszelką wątpliwością, książę ma swój rozum. Nastasja Filipowna wysłuchiwała tej opinii, z dużą uwagą i z zaciekawieniem obserwowała Ganię; rozmowa jednak zaraz potem przeszła na Rogożyna, który brał tak zasadniczy udział w porannym zajściu i o którego również z wielkim zaciekawieniem zaczęli się dopytywać Afanasij Iwanowicz i Iwan Fiodorowicz. Okazało się, że ciekawych wiadomości o Rogożynie mógł dostarczyć Pticyn, który biegał razem z nim w jego sprawach nieomal do godziny dziewiątej wieczór. Rogożyn domagał się kategorycznie, żeby dziś jeszcze zdobyć dla niego sto tysięcy rubli. „Był co prawda pijany - zauważył przy tym Pticyn - ale sto tysięcy, mimo wszelkich trudności, zdobędą dla niego, nie wiem tylko, czy dziś i czy całą sumę od razu; stara się o to wielu: Kinder, Triepałow, Biskup; Rogożyn daje taki procent, jakiego kto zażąda; oczywiście wszystko to po pijanemu i za pierwszym popędem...” - zakończył Pticyn. Wszystkie te wiadomości zostały przyjęte z zainteresowaniem nieco ponurym; Nastasja Filipowna milczała, najwidoczniej nie chcąc wypowiadać swoich myśli; Gania też. Generał Jepanczyn przeżywał chyba największy niepokój; perła, którą przyniósł jeszcze z rana, została przyjęta z uprzejmością nazbyt chłodną, a nawet z jakimś szczególnym uśmieszkiem. Spośród wszystkich gości tylko jeden Ferdyszczenko był w niezwykle wesołym i odświeżonym nastroju i co pewien czas nie wiadomo czemu wybuchał głośnym śmiechem, i to jedynie dlatego, że sam sobie wyznaczył rolę błazna. Nawet Afanasij Iwanowicz, cieszący się sławą dowcipnego i wytwornego gawędziarza, a dawniej na tych wieczorach kierujący zazwyczaj rozmową, najwyraźniej nie miał humoru i okazywał jakieś niezwykle dla siebie zakłopotanie. Pozostali goście, zresztą nieliczni (jakiś nieszczęsny staruszek nauczyciel, Bóg wie po co zaproszony, jakiś nieznaną młodzieniec, okropnie nieśmiały i cały czas milczący, pewna żwawa czterdziestoletnia dama eks - aktorka, tudzież pewna wybitnie przystojna, niezwykle bogato, ładnie ubrana i niezwykle małomówna młoda dama), nie tylko nie mogli szczególnie ożywić rozmowy, ale czasami po prostu nie wiedzieli, o czym mówić. Toteż zjawienie się księcia było nawet bardzo w porę. Zaanonsowanie go sprawiło pewnego rodzaju niespodziankę; niektórzy goście znacząco się uśmiechnęli, kiedy ze zdziwionej miny Nastasji Filipowny wywnioskowali, że wcale nie miała zamiaru go zapraszać. Jednak po chwilce zdziwienia Nastasja Filipowna okazała raptem tyle radości, że obecni od razu przygotowali się na to, aby powitać nieoczekiwanego gościa wesołym śmiechem.

- Przypuszczam, że to się stało dzięki jego, że tak powiem, niewinności - odezwał się Iwan Fiodorowicz Jepanczyn - i w każdym razie byłoby rzeczą dość niebezpieczną zachęcać kogokolwiek do takiego postępowania, ale w danej chwili doprawdy nieźle się stało, że przyszło mu do głowy zawitać tutaj, chociażby nawet w taki oryginalny sposób: może nas nawet zabawić, tak mi się przynajmniej zdaje na podstawie krótkiej znajomości, jaka nas łączy.

- Tym bardziej, że sam się wprosił! - dodał od razu Ferdyszczenko.

- Więc cóż z tego? - zapytał sucho generał, który nie znosił Ferdyszczenki.

- Ano to, że będzie musiał zapłacić za wejście - wyjaśnił tamten.

- No, jednak księżę Myszkina to nie Ferdyszczenko - nie mógł wytrzymać generał, który dotychczas nie pogodził się z myślą, że przebywa w jednym towarzystwie i na równej stopie z Ferdyszczenką.

- Ej, panie generale, niech pan oszczędza Ferdyszczenkę - odpowiedział tamten uśmiechając się półgębkiem. - Przecież ja korzystam ze szczególnych praw.

- Cóż to za szczególne prawa ?

- Zeszłym razem miałem honor dokładnie to wyjaśnić całemu towarzystwu; waszej ekscelencji potworzę jeszcze raz. Raczy wasza ekscelencja zauważyć: wszyscy są dowcipni, a ja nie. W nagrodę za to wyprosiłem sobie pozwolenie mówienia prawdy, ponieważ jest rzeczą powszechnie wiadomą, że prawdę mówią tylko ci, co nie są dowcipni. Jestem przy tym człowiekiem bardzo mściwym, i to też dlatego, że pozbawionym dowcipu. Znoszę z pokorą każdą obelgę, ale tylko do pierwszego potknięcia się mojego krzywdziciela; przy pierwszej zaś takiej sposobności natychmiast przypominam swoją krzywdę i natychmiast w ten czy inny sposób mszczę się, wierzgą, jak mówi o mnie Iwan Pietrowicz Pticyń, który sam oczywiście nigdy nie wierzga. Czy wasza ekscelencja zna bajkę Kryłowa pod tytułem Lew i osioł? To właśnie jakby pan i ja, to o nas ta bajka napisana.

- Pan, zdaje się, znowu ma gorączkę, panie Ferdyszczenko - wybuchnął generał.

- Ależ o co chodzi waszej ekscelencji? - podchwycił Ferdyszczenko licząc na to, że będzie można dalej ciągnąć i jeszcze bardziej rozwałkować wątek dowcipu. - Proszę się nie obawiać, wasza ekscelencjo, umiem się trzymać w stosownych granicach: jeżeli powiedziałem, że ja i pan to lew i osioł z bajki Kryłowa, biorę oczywiście rolę osła na siebie, wasza ekscelencja jest lwem, jak powiedziano w bajce Kryłowa:

Lew przepotężny, postrach pól i lasów,

Ze starości utracił siły[37].

- Ja zaś, wasza ekscelencjo, jestem osłem.

- Z tym się zgadzam - palnął niezbyt ostrożnie generał.

Wszystko to było zrobione oczywiście w sposób ordynarny i z rozmysłem, ale już tak się przyjęło, że Ferdyszczenko pozwalano grać rolę błazna.

- Przecie mnie się tu wpuszcza i toleruje w towarzystwie tylko dlatego - zawołał raz Ferdyszczenko - żebym ja właśnie plótł w ten sposób. Bo czyż doprawdy można przyjmować takiego jak ja człowieka? Ja to dobrze rozumiem. Czyż można mnie, takiego Ferdyszczenkę, posadzić razem z takim wytwornym dżentelmenem jak Afanasij Iwanowicz? Czy się chce, czy się nie chce, musi się to tłumaczyć tylko w jeden sposób: dlatego sadzają, że trudno sobie coś podobnego wyobrazić.

Wszelako, chociaż ordynarnie, bywało jednak i zjadliwie, czasami nawet bardzo zjadliwie, i to się właśnie podobało Nastasji Filipownie. Tym, którzy koniecznie chcieli ją odwiedzać, nie pozostawało nic innego, jak tylko znosić Ferdyszczenkę. Może Ferdyszczenko odgadł rzeczywiście prawdę, przypuszczając, że zaczęto go przyjmować dlatego, iż Tocki od pierwszej chwili absolutnie nie mógł strawić jego obecności. Gania tak samo musiał stale cierpieć nieskończoną ilość przykrości i pod tym względem Ferdyszczenko potrafił bardzo się przydać Nastasji Filipownie.

- A księżę będzie musiał na początek zaśpiewać taki modny romans - rzucił Ferdyszczenko uważając, co na to powie Nastasja Filipowna.

- Nie sędzę, proszę pana, i radzę panu zbytnio się nie zapalać - odparła sucho pani domu.

- Aa!... Jeżeli księżę jest pod szczególną opieką, to i ja będę wyrozumialszy...

Ale Nastasja Filipowna wstała nie słuchając i poszła sama powitać księcia.

- Bardzo żałowałam - powiedziała zjawiając się nagle przed księciem - że dziś rano w pośpiechu zapomniałam pana zaprosić, i bardzo się cieszę, że pan sam daje mi teraz okazję, aby mu podziękować i pochwalić go za odwagę.

Mówiąc to wpatrywała się bardzo w księcia, usiłując chociaż po części odgadnąć motywy jego postępków.

Księżę może by coś nawet odpowiedział na jej uprzejme powitanie ale był tak oślepiiony i oszołomiony, że nie mógł wymówić ani słowa. Nastasja zauważyła to z przyjemnością. Tego wieczoru była ubrana bardzo strojnie i robiła niezwykle wrażenie. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do gości. Przed samym wejściem do salonu księżę nagle zatrzymał się i pośpiesznie, z widocznym wzruszeniem wyszeptał:

- W pani wszystko jest doskonale... nawet to, że pani jest szczupła i blada... trudno sobie panią inaczej wyobrazić... Tak zapragnąłem przyjść do pani... ja... proszę mi wybaczyć...

- Niech pan nie prosi o przebaczenie - roześmiała się Nastasja Filipowna - bo zniknie cała pańska dziwność i oryginalność. A widać mają rację ci, co o panu mówią, że pan jest człowiekiem dziwnym. Więc pan mnie uważa za doskonałość, tak?

- Tak.

- Wszystko pan umie świetnie zauważyć, ale tu się pan omylił. Przypomnę panu o tym jeszcze dzisiaj...

Przedstawiła księcia gościom, z których większa część już go znała. Tocki od razu powiedział coś uprzejmego. Wszyscy jakby się ożywili, wszyscy razem zaczęli śmiać się i mówić. Nastasja Filipowna posadziła księcia obok siebie.

- Cóż w tym jednak, dziwnego, że księżę przyszedł? - zawołał głośno Ferdyszczenko. - Sprawa jest jasna i mówi sama za siebie!

- Sprawa zanadto jasna i zanadto mówi za siebie - podchwycił nagle milczący dotąd Gania. - Obserwowałem dzisiaj księcia niemal bez przerwy, od chwili gdy po raz pierwszy spojrział na fotografię Nastasji Filipowny, kiedy był u Iwana Fiodorowicza. Doskonale pamiętam, że już wtedy pomyślałem o tym, czego teraz jestem zupełnie pewny i co, nawiasem mówiąc, księżę sam mi wyznał.

Gania wypowiedział to wszystko bardzo poważnie, bez najmniejszej żartobliwości, nawet ponuro, co wydało się trochę dziwne.

- Nie czyniłem wobec pana żadnych wyznań - odparł księżę, nagle zaczerwieniony - odpowiedziałem tylko na pańskie pytanie.

- Brawo, brawo! - zawołał Ferdyszczenko. - Przynajmniej szczerze; i sprytnie, i szczerze!

Wszyscy głośno się roześmieli.

- Niech pan tak nie krzyczy, panie Ferdyszczenko - powiedział po cichu Pticyn, krzywiąc się z niesmakiem.

- Takich pruesów* po księciu się nie spodziewałem - odezwał się Iwan Fiodorowicz - czy wie pan, komu to będzie na rękę? A ja pana uważałem za filozofa! Cicha woda - można powiedzieć.

- A sądząc z tego, że księżę czerwieni się przy byle żarciku jak niewinna dziewczica, wnioskuje, że jako szlachetny młodzian żywi w swoim sercu najchwalebniejsze zamiary - raptem i najzupełniej nieoczekiwanie powiedział, a raczej wyseplenił bezzębny, cały czas dotąd milczący siedemdziesięcioletni staruszek nauczyciel, po którym nikt się nie mógł spodziewać, że tego wieczora wymówi chociaż jedno słowo. Wszyscy jeszcze głośniejsze się roześmieli. Staruszek, przypuszczając widocznie, że śmieją się z jego dowcipu, popatrzył na wszystkich i również wybuchnął śmiechem, przy czym okropnie się rozkaszał, aż Nastasja Filipowna, która nie wiedzieć dlaczego nadzwyczaj lubiła wszystkich podobnych staruszków oryginałów, stare babcie i nawet „głupców bożych”, natychmiast się nim zaopiekowała, wyciągnęła go i kazała mu podać jeszcze herbaty. Służącej, która weszła, kazała przynieść mantylę, otuliła się tą mantylą i poleciała dołożyć drewna do kominka. Na pytanie, która godzina, służąca odpowiedziała, że już wpół do jedenastej.

- Czy państwo nie napiliby się szampana? - zaproponowała nagle Nastasja Filipowna. - Jest

przygotowany. Może się państwo rozweselać. Bardzo proszę bez ceremonii.

Propozycja wypicia, zwłaszcza w tak prymitywnej formie, wydała się bardzo dziwna w ustach Nastasji Filipowny. Wszyscy znali jej nienaganną etykietalność z poprzednich przyjęć. W ogóle wieczór stawał się coraz weselszy, ale inaczej niż zwykle. Od wina jednakże goście się nie wymówili; pierwszy wyraził swoją aprobatę sam generał, następnie wypowiedziała się za tym energiczna dama, potem staruszek, wreszcie Ferdyszczenko, a za nimi reszta towarzystwa. Tocki również wziął swój kieliszek w nadziei, że uda mu się tchnąć harmonię w ten nowo wytworzony ton, nadając mu w miarę możliwości charakter miłego żartu. Tylko Gania nic nie pił. Trudno było cośkolwiek zrozumieć z dziwnych, niekiedy bardzo ostrych i raptownych wyskoków Nastasji Filipowny, która też wzięła wino i oświadczyła, że dziś wieczorem wypije trzy kieliszki, z jej histerycznego i nieuzasadnionego śmiechu, przeplatającego się ni stąd, ni zowąd z głębokim i ponurym zamyśleniem. Niektórzy podejrzewali, że ma gorączkę; a wszyscy zaczęli w końcu dostrzegać, że i ona sama jakby czegoś się spodziewała, często spogląda na zegarek, staje się niecierpliwa, roztargniona.

- Pani ma chyba trochę gorączki - powiedziała energiczna dama.

- Mam nawet wysoką gorączkę, dlatego otuliłam się mantylą - odrzekła Nastasja Filipowna, która rzeczywiście zbladła i chwilami jakby powstrzymywała silne dreszcze.

Wszyscy zaniepokoiли się i poruszyli.

- Może byśmy poszli i pozwolili gospodyni wypocząć? - zaproponował Tocki spoglądając na Iwana Fiodorowicza.

- Ależ bynajmniej, proszę panów! Bardzo proszę, żeby panowie zostali. Obecność panów, zwłaszcza dzisiaj, jest dla mnie nieodzowna - oświadczyła nagle z naciskiem i znacząco Nastasja Filipowna. A ponieważ wszyscy goście już wiedzieli, że tego wieczora miała być ogłoszona ważna decyzja, więc słowa te nabrały w ich mniemaniu szczególnej wagi. Generał i Tocki jeszcze raz spojrzeli po sobie. Gania poruszył się niespokojnie.

- Dobrze by było urządzić jakieś *petits jeux** - powiedziała energiczna dama.

- Znam przewspaniałe i całkiem nowe *petits jeux* - podchwycił Ferdyszczenko - przynajmniej takie, które raz tylko odbyły się na świecie, i to właściwie się nie udały.

- Cóż to takiego? - spytała energiczna dama.

- Zebraliśmy się pewnego razu w dość licznym gronie przy kieliszku i popiliśmy sobie, to prawda; nagle ktoś wystąpił z wnioskiem, aby każdy z nas, nie wstając od stołu, głośno coś opowiedział o sobie, ale coś takiego, co sam w swoim sumieniu uważa za najpodlejszy ze swoich podłych postępów w ciągu całego swojego życia; oczywiście pod warunkiem, aby mówić szczerze, całkiem szczerze, nie kłamiąc ani na jotę!

- Osobliwy pomysł - rzekł generał.

- Im osobliwszy pomysł, wasza ekscelencjo, tym lepszy.

- Pomysł śmieszny - powiedział Tocki - zresztą dosyć zrozumiaily: pewnego rodzaju samochwalstwo.

- Może to właśnie było potrzebne, proszę łaskawego pana.

- Przy takiej zabawie łatwiej się rozpłakać niż pośmiać - zauważyła energiczna dama.

- Uważam to za zupełnie niemożliwe i niedorzeczne - odezwał się Pticyn.

- A czy się udało? - zapytała Nastasja Filipowna.

- Otóż to właśnie, że się nie udało; wyszło paskudnie; każdy rzeczywiście coś powiedział, wielu mówiło prawdę, i proszę sobie wyobrazić, niektórzy nawet opowiadali z przyjemnością, a potem każdy się wstydził, nie wytrzymali! W ogóle było nadzwyczaj wesoło; ma się rozumieć, wesoło w swoim rodzaju.

- Doprawdy to by było dobre! - zauważyła Nastasja Filipowna, bardzo się nagle ożywiając. - Może byśmy proszę państwa, spróbowali! Bo istotnie zapanował jakiś niewesoły nastrój. Gdyby każdy z nas się zgodził opowiedzieć coś... w tym guście... naturalnie z własnej chęci, z własnej woli, co? Może nam się uda? Przynajmniej byłoby to strasznie oryginalne.

- Genialna myśl! - podchwycił Ferdyszczenko. - Damy są oczywiście wyłączone, rozpoczną panowie; kolejność wypowiedzi ustalimy drogą losowania, tak jak wtedy! Koniecznie! Koniecznie! Kto bardzo nie chce, ten oczywiście nic nie opowie, ale byłaby to jakaś wyjątkowa nieuprzejmość! Dajcie, panowie, swoje kartki tu do mnie, do kapelusza, książkę będzie wyciągał losy. Zadanie bardzo proste: opowiedzieć najgorszy postępek z całego swojego życia - rzecz nader łatwa, proszę panów! Zaraz panowie zobaczą! Jeżeli ktoś zapomni, obowiązuję się mu przypomnieć!

Projekt ten nikomu się nie podobał. Jedni z niezadowoleniem marszczyli brwi, drudzy chytrze się uśmiechali. Niektórzy się sprzeciwiali, chociaż nie za bardzo, na przykład Iwan Fiodorowicz, który nie chciał robić przykrości Nastasji Filipownie, widząc, jak ją zajmuje i bawi ten dziwaczny pomysł. Nastasja Filipowna była zawsze niepohamowana i bezwzględna w swoich zachciankach, jeżeli tylko decydowała się je wyrazić, choćby to były najkapryśniejsze i nawet dla niej samej bezużyteczne pomysły. I teraz też znajdowała się jakby w stanie histerycznego podniecenia, kręciła się, wybuchała nerwowym spazmatycznym śmiechem, zwłaszcza kiedy zaniepokojony Tocki wypowiadał swoje obiekcje. Jej ciemne oczy rozszarżyły się, na białych policzkach wystąpiły dwie czerwone plamy. Posępny i odpychający wyraz twarzy niektórych gości jeszcze bardziej zapewne rozpalał w niej pragnienie szyderstwa; może spodobały się jej właśnie cynizm i okrucieństwo pomysłu. Niektórzy byli nawet przekonani, że robi to w jakimś specjalnym celu. Zresztą zaczęto się zgadzać: przecież to w każdym razie było ciekawe, dla wielu nawet pociągające. Ferdyszczenko uwijał się przy tym najwięcej.

- A jeżeli będzie coś takiego, o czym nie można mówić... w towarzystwie dam? - zauważył nieśmiało młodzieniec.

- No to niech pan nie opowiada; tak jakby i bez tego nie dość było plugawych postępów - odpowiedział Ferdyszczenko - ej, młodzieńcze, młodzieńcze!

- A ja na przykład nie wiem, który ze swoich postępów mam uważać za najgorszy - wtrąciła się do rozmowy energiczna dama.

- Panie nie są obowiązane opowiadać - powtórzył Ferdyszczenko - ale tylko nie są obowiązane; czyjaś własna niewymuszona chęć przyjęta będzie z uznaniem. Mężczyźni zaś, o ile w żaden sposób nie będą chcieli, zostaną zwolnieni.

- Ale jakże tu udowodnić, że się nie kłamie? - spytał Gania. - Jeżeli zaś się skłamię, to zabawa utraci cały sens. Każdy z pewnością będzie kłamał.

- Już choćby to właściwie jest ciekawe, jak i co człowiek skłamię. Ty zaś, Ganieczka, nie masz się czego obawiać, że skłamiesz, bo twój najhaniebniejszy uczynek i tak jest dobrze znany. Niech państwo tylko pomyślą - zawołał nagle Ferdyszczenko jakby w jakimś natchnieniu - niech państwo pomyślą, jakimi oczami będziemy potem patrzyli na siebie nawzajem, jutro na przykład, po tych opowiadaniach!

- Czy to jednak jest możliwe i dopuszczalne! Czy pani serio zgadza się na to, Nastasjo Filipowno? - zapytał z godnością Tocki.

- Kto się boi wilków, nie chodzi do lasu! - zauważyła drwiąco Nastasja Filipowna.

- Ale niechże pan posłucha, panie Ferdyszczenko, czy to się godzi urządzać tego rodzaju zabawę? - ciągnął dalej Tocki, coraz bardziej zaniepokojony. - Zapewniam pana, że takie rzeczy nigdy się nie udają; pan sam mówi, że to się już raz nie udało.

- Jak to nie udało się! Opowiedziałem przecie zeszłym razem, jak ukradłem trzy ruble; zdecydowałem się jednak i opowiedziałem!

- Dobrze. Ale nie mógł pan tak opowiedzieć, by wyglądało to na prawdę i by panu uwierzono. A Gawriła Ardalionowicz całkiem słusznie zauważył, że niech się tylko rozlegnie jedna fałszywa nuta, cała zabawa w ogóle przestanie mieć sens. Prawda byłaby możliwa tylko przy pewnym zbiegu okoliczności, jeśli ktoś specjalnie lubiłby przechwałki w złym tonie, który tu jest nie do pomyślenia i byłby wprost nieprzyzwoity.

- Jakiż z pana delikatny, przedelikatny człowiek, po prostu mię pan zadziwia! - zawołał Ferdyszczenko. - Niech sobie państwo wyobrażą: twierdząc, że nie mogłem opowiedzieć o swoim złodziejstwie tak, aby to wyglądało na prawdę, Afanasij Iwanowicz w sposób niezwykle subtelny daje do zrozumienia, że istotnie nawet nie byłbym zdolny ukraść (ponieważ przyzwoitość zabrania mówić o tym głośno), chociaż w duchu jest zapewne święcie przekonany, że Ferdyszczence nie brak złodziejskich zdolności! Ale do rzeczy, panowie, do rzeczy, kartki zebrane, pan też swoją oddał, Afanasiju Iwanowiczu, a więc nikt się nie wykręca od udziału w zabawie. Zechce książkę wyjmować kartkę jedną po drugiej!

Książę w milczeniu włożył do kapelusza rękę i wyjął kolejno losy: pierwszy - Ferdyszczenki, drugi - Pticyna, trzeci - generała, czwarty - Afanasija Iwanowicza, piąty - swój, szósty - Gani itd. Panie kartek nie składały.

- O Boże, co za nieszczęście! - zawołał Ferdyszczenko. - A ja myślałem, że kolej wypadnie najpierw na księcia, a następnie na generała. Ale dzięki Bogu przynajmniej zaraz po mnie jest Iwan Pietrowicz, więc to mi wszystko wynagrodzi. Rozumiem, proszę państwa, że wypada mi dać dobry przykład, najbardziej jednak żałuję obecnie, że jestem takim zerem i niczym się nie wyróżniam; nawet rangę mam najniższą z najniższych; cóż więc może być ciekawego w tym, że Ferdyszczenko popełnił rzecz haniebną? I jakież mój uczynek wygląda najhaniebniej? To dla mnie prawdziwy *embarras de richesse**. Czy znów mam opowiedzieć o tej kradzieży, aby przekonać Afanasija Iwanowicza, że można ukraść nie będąc złodziejem?

- Pan mię przekonał i o tym, panie Ferdyszczenko, że istotnie można odczuwać rozkosz nad rozkosze, gdy się opowiada o swoich niecnym postępkach, chociażby o nie nikt nie pytał... A zresztą... Przepraszam.

- Niech już pan zaczyna, panie Ferdyszczenko, pan strasznie dużo mówi niepotrzebnych rzeczy i nigdy pan nie skończy! - rozkazała zniecierpliwiona i poirytowana Nastasja Filipowna.

Wszyscy zauważyli, że po swoich niedawnych spazmatycznych wybuchach śmiechu stała się nagle ponura, wiecznie niezadowolona i kapryśna; niemniej jednak z całym uporem i nader despotycznie trwała przy swojej ekscentrycznej zachciance. Afanasij Iwanowicz cierpiał okropne katusze. Do wściekłości doprowadzał go widok Iwana Fiodorowicza, który najspokojniej siedział przy szampanie i kto wie nawet, czy nie obmyślał, co ma opowiedzieć, gdy przyjdzie na niego kolej.

XIV

Brak mi dowcipu, Nastasjo Filipowno, dlatego gadam głupstwa! - zawołał Ferdyszczenko, zaczynając swoje opowiadanie. - Gdybym miał tyle dowcipu co Afanasij Iwanowicz albo Iwan Pietrowicz, siedziałbym dzisiaj i nie odezwałbym się ani razu, podobnie jak Afanasij Iwanowicz i Iwan Pietrowicz. Książę, jak pan myśli: mnie się zdaje, że na świecie jest o wiele więcej złodziei niż nie - złodziei i że nie ma takiego uczciwego człowieka, który by chociaż raz w życiu czegoś nie ukradł. Tak sędzę, chociaż wcale nie uważam wszystkich bez wyjątku za złodziei i czasem jednak naprawdę strasznie chciałoby się dojść do takiego wniosku. Jak pan myśli, książę ?

- Fe, jak pan głupio opowiada - odezwała się Daria Aleksiejewna - co za bzdury! To niemożliwe, żeby każdy człowiek musiał coś ukraść; ja nigdy nic nie ukradłam.

- Pani nic nigdy nie ukradła, Dario Aleksiejewno; ale co powie książę, który nagle się tak zaczerwienił?

- Zdaje mi się, że pan ma słuszność, tylko bardzo pan przesadza - powiedział książę, istotnie dlaczegoś zarumieniony.

- A czy książę sam nic nie ukradł?

- Fe! To doprawdy śmieszne! Niech się pan opamięta, panie Ferdyszczenko - wmieszał się do rozmowy generał.

- Prosta sprawa: jak przyszło co do czego, wstyd się zrobiło opowiadać, no i chce pan księcia do siebie przyczepić, bo książę jest potulny i cierpliwy - wyrębała Daria Aleksiejewna.

- Panie Ferdyszczenko, albo pan opowiada, albo niech pan siedzi grzecznie i nic nie mówi. Pan nas wyprowadza z cierpliwości - ostro i z gniewem rzekła Nastasja Filipowna.

- W tej chwileczce, proszę łaskawej pani; skoro jednak książę się już przyznał, a ja twierdzę, że tak jakby się przyznał, to cóż by na przykład powiedział ktoś inny (nikogo nie wskazuję palcem), gdyby zechciał kiedyś powiedzieć prawdę? Co się tyczy mnie, proszę państwa, nie mam co dalej opowiadać: wszystko jest proste, głupie i wstrętne. Ale zapewniam państwa, że nie jestem złodziejem, a ukradłem, sam nie wiem jak. Było to przed trzema laty w willi Siemiona Iwanowicza Iszczenki w niedzielę. Przyszli do niego na obiad goście. Po obiedzie mężczyźni zostali przy winie. Wpadło mi do głowy poprosić Marię Siemionownę, jego córkę, pannę, żeby coś zagrała na fortepianie. Przechodzę przez narożny pokój, patrzę, na stoliku Marii Iwanowny* leżą trzy ruble, zielony banknot: zapewne wyjęła je chcąc załatwić jakiś drobny wydatek domowy. W pokoju nie ma nikogusieńko. Wziąłem banknot i schowałem do kieszeni: dlaczego - nie wiem. Co się ze mną stało - nie rozumiem. Tylko czym prędzej wróciłem i siadłem do stołu. Wciąż siedziałem i czekałem w dość dużym napięciu nerwów, paplałem bez przerwy, opowiadałem anegdoty, śmiałem się; następnie przysiadłem się do pań. Po upływie mniej więcej pół godziny spostrzegli się i zaczęli wypytywać służące. Posądzanie padło na pokojówkę Darię. Wykazałem wielkie zainteresowanie i wziąłem

udział w dochodzeniu; pamiętam nawet, że kiedy Daria zupełnie straciła głowę, zacząłem ją przekonywać, że powinna się przyznać, ręczyłem jej za dobroć Marii Iwanowny, i to na głos, przy wszystkich. Wszyscy patrzyli, a ja odczuwałem niezwykle zadowolenie właśnie dlatego, że prawilem kazanie, a banknot leżał sobie spokojnie w mojej kieszeni. Tego samego wieczora przepiłem te trzy ruble w restauracji. Wszedłem i poprosiłem o butelkę lafite; nigdy przedtem nie zamawiałem tak od razu całej butelki; chciałem czym prędzej pozbyć się tych pieniędzy. Szczególnych wyrzutów sumienia ani wówczas, ani potem nie czułem. Drugi raz na pewno bym tego nie powtórzył, mogą państwo wierzyć albo nie, jak się komu podoba, mnie to nie interesuje. No, i to wszystko.

- Tylko że oczywiście nie jest to najgorszy pański uczynek - powiedziała ze wstrętem Daria Aleksiejewna.

- To psychologiczny przypadek, a nie zły uczynek - zauważył Afanasij Iwanowicz.

- A służąca? - zapytała Nastasja Filipowna, nie usiłując nawet ukryć pogardy połączonej ze wstrętem.

- A służącą wypędzono, ma się rozumieć, zaraz nazajutrz. To surowy dom.

- I pan do tego dopuścił?

- Dobrze sobie! Więc miałem pójść i wyznać, że to ja zrobiłem? - zachichotał Ferdyszczenko, trochę zresztą zaskoczony ogólnym niezbyt przyjemnym wrażeniem, jakie sprawiła na obecnych jego opowieść.

- Cóż za obrzydliwość! - zawołała Nastasja Filipowna.

- Ba! Pani chce, żeby człowiek opowiedział o swoim najbrzydszym uczynku i żeby to wyglądało wspaniale i czysto! Najobrzydliwsze czyny są zawsze bardzo brudne, zaraz to usłyszymy od Iwana Pietrowicza; a z drugiej strony, czyż mało jest ludzi, którzy na zewnątrz błyszczą i uchodzą za cnotliwych tylko dlatego, że mają własną karetę? Różni ludzie mają własne karety... I w różny sposób nabyte...

Krótko mówiąc, Ferdyszczenko całkiem nie wytrzymał i nagle wpadł w okropną złość, nawet zapomniał się, przebrał wszelką miarę; aż mu się twarz wykrzywiła. Dziwne to, ale bardzo możliwe, iż oczekiwał zupełnie innego efektu po swoim opowiadaniu. Te „omyłki” w bardzo złym tonie i „nader specyficzna chępliwość”, jak to nazwał Tocki, zdarzały się Ferdyszczence dość często i leżały najzupełniej w jego charakterze.

Nastasja Filipowna aż drgnęła z oburzenia i wbiła uporczywy wzrok w Ferdyszczenkę; tamten od razu przeląkł się i umilkł, nieomal zdrętwiał z przerażenia: za dużo sobie pozwolił.

- A może by już skończyć tę zabawę? - spytał podstępnie Afanasij Iwanowicz.

- Teraz kolej na mnie, ja jednak skorzystam z przywileju i nie będę nic opowiadać - oświadczył stanowczo Pticyn.

- Nie chce pan?

- Nie mogę, Nastasjo Filipowno; i w ogóle uważam, że takie *petits jeux* są niedopuszczalne.

- Panie generale, zdaje się, że kolej przypada na pana - zwróciła się do niego Nastasja Filipowna. - Jeżeli i pan odmówi, to wszystko się popsuje i będzie mi żal, gdyż miałam zamiar na zakończenie opowiedzieć pewne zdarzenie „z mojego własnego życia”, chciałam to jednak uczynić po panu i po Afanasiju Iwanowiczu; panowie przecież powinni mię natchnąć odwagą - dodała ze śmiechem.

- O, jeśli i pani obiecuje coś opowiedzieć - wykrzyknął z zapalem generał - to gotów jestem zwierzyć się z całego swojego życia; przyznam się jednak, że czekając na swoją kolej, już przygotowałem pewną historyjkę...

- I wystarczy zobaczyć minę jego ekscelencji, aby się domyślić, z jakim szczególnym smakiem literackim opracował on tę swoją historyjkę - ośmielił się zauważyć wciąż jeszcze trochę zmieszany Ferdyszczenko, zjadliwie się uśmiechając.

Nastasja Filipowna przelotnie spojrzała na generała i też się uśmiechnęła w duchu. Widać jednak było, że smutny i nerwowy nastrój opanowywał ją coraz silniej. Afanasij Iwanowicz jeszcze bardziej się wystraszył usłyszawszy obietnicę opowiadania.

- Mnie, proszę państwa, tak jak każdemu innemu człowiekowi, zdarzyło się czynić rzeczy niezbyt ładne - zaczął generał - ale najdziwniejsze jest to, że ja sam uważam krótką historyjkę, którą zaraz opowiem, za najwstrętniejszą z całego mojego życia. Od owego czasu upłynęło prawie trzydzieści pięć lat; nigdy jednak nie mogłem, wspominając to wydarzenie, pozbyć się pewnego, że tak powiem, gniotącego serce uczucia. Sprawa zresztą nadzwyczaj głupia: byłem wtedy jeszcze zaledwie chorążym i klepałem w wojsku biedę. Wiadomo, co jest chorąży: krew jak lawa ognista, a gospodarstwo groszowe. Dostałem wtedy ordynansa, Nikifora, który się okropnie troszczył o mój dobytek, oszczędzał, reperował, skrobał, i czyścił, a nawet kradł, co tylko mógł, byle tylko powiększyć mój stan posiadania; był to człowiek niesłychanie wierny i uczciwy. Ja natomiast byłem, ma się rozumieć, surowy, ale sprawiedliwy. Przez pewien czas wypadło nam stacjonować w małym miasteczku. Wyznaczono mi kwatery na przedmieściu u żony dymisjonowanego podporucznika, i w dodatku wdowy. Staruszka miała chyba z osiemdziesiąt lat albo coś koło tego. Domek jej był stary, lichy, drewniany; służącej nawet nie trzymała, taka była biedna. Trzeba jednak zaznaczyć, że kiedyś miała bardzo liczną rodzinę i dużo kuzynów; ale jedni poumierali, drudzy się porozejeżdżali po świecie, inni znowu zapomnieli o staruszce, a męża swojego pochowała już przed czterdziestu pięciu laty. Jeszcze kilka lat przedtem mieszkała z nią jej kuzynka, garbata i zła podobno jak wiedźma, tak że nawet razu pewnego ugryzła staruszkę w palec, jednakże i ta umarła, i stara już ze trzy lata męczyła się sama samiuteńka. Nudziło mi się u niej, a przy tym taka była głupia, że nic z niej nie mogłem wyciągnąć. Wreszcie ukradła mi koguta. Sprawa jest właściwie dotąd nie wyjaśniona, ale oprócz niej nikt inny ukraść go nie mógł. Pokłóciliśmy się o tego koguta, i to mocno, a jednocześnie tak się jakoś złożyło, że na skutek pierwszej mojej prośby przeniesiono mię na inną kwaterę, na przeciwległym przedmieściu, do pewnego kupca z niezmiernie liczną rodziną i olbrzymią brodą, jak jeszcze teraz pamiętam. Przenosimy się z Nikiforem radośnie, a staruszkę opuszczamy klnąc w żywy kamień. Upłynęły trzy dni, przychodzę z musztry, a Nikifor melduje, że „niepotrzebnie wasza

wielmożność zostawił naszą miskę u poprzedniej gospodyni, nie ma w czym zupy podawać”. Byłem tym, ma się rozumieć, zaskoczony. „Jakże to, jakim cudem mogła zostać nasza miska u gospodyni?” Zdziwiony Nikifor w dalszym ciągu melduje, iż kiedyśmy się wyprowadzali, gospodyni nie oddała mu naszej miski z tego powodu, że ja stłukłem jej garnek, więc ona w zamian za to zatrzymuje naszą miskę, i że ja niby sam jej to zaproponowałem. Taka nikczemność z jej strony, ma się rozumieć, do reszty wytrąciła mnie z równowagi; krew we mnie zawrzała, zerwałem się, pobiegłem. Przychodzę do starej, że tak powiem, już nie posiadając się z gniewu; patrzę siedzi w sionce sama samiuteńka, w kąciku, jakby się chowała przed słońcem, ręką głowę sobie podparła. Ja od razu, proszę państwa, z góry na nią: „Ty taka owaka!” - i tak dalej, klnę bez pardonu, wiadomo, po rosyjsku. Tymczasem widzę, że dzieje się coś dziwnego: stara siedzi, patrzy na mnie, oczy wybałuszyła i nic nie mówi na moje słowa; patrzy dziwnie, przedziwnie i jakby się chwieje. Umilkłem w końcu, przypatruję się jej, pytam, a ona wciąż nic. Postąłem chwilę, nie mogąc zdecydować się, co robić; muchy brzęczą, słońce zachodzi, cisza; wreszcie zabieram się i odchodzę, zupełnie skonsternowany. Jeszcze nie doszedłem do domu, kiedy już wezwano mnie do majora, potem musiałem zajrzeć do kompanii, toteż do domu wróciłem dopiero wieczorem. Nikifor od razu do mnie: „Czy wasza wielmożność wie, że nasza gospodyni umarła?” „Kiedy?” „A dziś wieczorem, z półtorej godziny temu”. To znaczy, że była już umierająca wtedy, kiedy jej wymyślałem. Tak mię to, proszę państwa, zafrapowało, że, muszę powiedzieć, ledwo byłem żywy. Ciągle mi wracało do głowy i nawet w nocy mi się śniło. Oczywiście należę do ludzi bez przesądów, ale na trzeci dzień poszedłem do cerkwi na pogrzeb. A później, im większy odstęp czasu dzielił mię od tego wypadku, tym częściej i uporczywiej o tym myślałem. Nie tak znowu bez przerwy, ale co pewien czas odtwarzałem sobie w pamięci całe zajście i robiło mi się po prostu niedobrze. A właściwie biorąc, jak sobie wszystko rozważyłem, to o co mi szło? Przede wszystkim, że tak powiem, kobieta jest człowiekiem, istotą, jak to się mówi w naszych czasach, ludzką; żyła, bardzo długo żyła, aż skończyła życie. Kiedyś miała dzieci, męża, rodzinę, krewnych, wszystko to ją, że tak powiem, otaczało gwarnym rojem, ogrzewały ją, że tak powiem, uśmiechy tych wszystkich osób i nagle - kompletny impas, wszystko się ulotniło i została sama jedna jak... jakaś mucha, nosząca na sobie odwieczne przekleństwo. I wreszcie Bóg przywołał ją do siebie.

O zachodzie słońca, w cichy letni wieczór, opuszcza padół ziemski moja staruszka - ma się rozumieć, tkwi w tym pewna pouczająca myśl; no i właśnie w tej samej chwili zamiast, że tak powiem, jakichś łez pożegnania, młody, zuchwały chorąży, podparłszy się pod boki i z arogancką miną, częstuje ją na drogę w zaświaty porcją ordynarnych rosyjskich wymysłów z powodu utraconej miski! Niewątpliwie była w tym moja wina i chociaż dzisiaj po tylu latach, będąc już zmieniony wewnątrz, od dawna patrzę na ten swój postępek jak na cudzy, niemniej jednak wciąż go żałuję. Toteż nawet, powtarzam, sam się temu dziwię, tym bardziej że jeśli nawet zawiniłem, to przecież niezupełnie: dlaczegoż akurat wtedy musiała umrzeć? Oczywiście, mam jedno na swoje usprawiedliwienie: że był to wypadek do pewnego stopnia psychologiczny; jednak nie mogłem się po nim długo uspokoić, dopóki, lat temu piętnaście, nie wziąłem na utrzymanie w zakładzie dobroczynnym dwóch chorych staruszek, żeby im w ten sposób ulżyć w ostatnich dniach ich ziemskiego życia. Noszę się z zamiarem, żeby zamienić to w fundację, przeznaczając w testamencie odpowiednią kwotę. No i to wszystko, proszę państwa, i to wszystko. Powtarzam, że, być może, wiele w życiu popełniłem złego, ale ten wypadek uważam w swoim sumieniu za najwstrętniejszą historię z całego mojego życia.

- I zamiast najwstrętniejszej wasza ekscelencja opowiedział jedną z najładniejszych;

wystrychnął mnie pan na dudka! - westchnął Ferdyszczenko.

- W rzeczy samej, generale, nie wyobrażałam sobie, żeby pan miał aż tak dobre serce; doprawdy szkoda - powiedziała niedbale Nastasja Filipowna.

- Szkoda? Czego szkoda? - spytał generał z grzecznym uśmiechem i nie bez zadowolenia wypił łyk szampana.

Kolej teraz była na Afanasija Iwanowicza, który też się przygotował. Wszyscy przewidywali, że on się nie wymówi, tak jak się wymówił Iwan Pietrowicz, i wszyscy z pewnych względów czekali na jego opowiadanie ze szczególną ciekawością, a zarazem spoglądali na Nastasję Filipownę. Z niezwykłą powagą, całkiem odpowiadającą jego okazałej postaci, głosem cichym i uprzejmym zaczął Afanasij Iwanowicz jedną ze swoich „miłych opowieści”. (Nawiasem mówiąc, był to człowiek nader postawny, wysoki, trochę łysy, trochę szpakowaty i dosyć tęgi, ze sztucznymi zębami, o rumianych, nieco obwisłych policzkach. Nosił obszerne i wytworne ubrania tudzież wspaniałą bieliznę. Na jego pulchne białe ręce można się było zapatrzyć. Na wskazującym palcu prawej ręki miał drogocenny pierścień z brylantem.) Nastasja Filipowna przez cały czas jego opowiadania uporczywie oglądała koronkowy mankiet przy swoim rękawie i skubała go dwoma palcami lewej ręki, tak że ani razu nie zdążyła nawet spojrzeć na opowiadającego.

- Co mi najbardziej ułatwia moje zadanie - zaczął Afanasij Iwanowicz - to konieczny obowiązek opowiedzenia tylko i wyłącznie o najgorszym postępku mego życia. W takim wypadku oczywiście nie może być wahań: sumienie i pamięć serca natychmiast podpowiedzą, co mianowicie trzeba opowiadać. Wyznaję z goryczą, że pomiędzy wszystkimi niezliczonymi, może niezbyt rozważnymi i... lekkomyślnymi uczynkami w moim życiu jest jeden, który aż nazbyt ciężkie budzi we mnie dotąd wspomnienia. Zdarzyło się to mniej więcej dwadzieścia lat temu; pojechałem wtedy na wieś do Platona Ordyncewa. Został właśnie wybrany na marszałka szlachty i przyjechał z młodą żoną spędzić na wsi zimowe święta. Wypadły też w tym czasie urodziny Anfisy Aleksiejewny i były zapowiedziane dwa bale. Okropnie modna była wtedy i cieszyła się wielką poczytnością uroczą powieść Dumasa - syna *La dame aux camelias*^{*}, dzieło, które, moim zdaniem, nigdy się nie zestarzeje ani nie umrze. Na prowincji wszystkie panie były zachwycone do najwyższego stopnia; przynajmniej te, które czytały. Zajmująca narracja, oryginalna postać głównej bohaterki, ten powabny świat tak subtelnie zanalizowany, wreszcie te wszystkie urocze szczegóły rozsiane po całej książce (na przykład co do używania na przemian bukietów kamelii - białych i różowych), słowem, wszystkie te cudowne drobiazgi, wszystko to razem wzięte wywołało po prostu wstrząs. Kwiaty kamelii stały się niezwykle modne. Wszyscy żądali kamelii, wszyscy ich poszukiwali. Zapytam państwa: czy dużo można dostać kamelii w powiecie, kiedy wszyscy je kupują na bale, chociażby nawet tych balów było niewiele? Pietia Worchowskiej kochał się wtedy, biedaczek, w Anfisie Aleksiejewnie. Doprawdy nie wiem, czy było tam coś pomiędzy nimi, a raczej chciałem powiedzieć, czy Pietia mógł mieć jakąkolwiek nadzieję. Biedny chłopak wariował, żeby zdobyć bukiet kamelii na bal dla Anfisy Aleksiejewny. Hrabina Socka z Petersburga, przebywająca w gościnie u gubernatorowej, oraz Zofia Bezałowa miały się zjawić na balu, jak fama głosiła, z bukietami białych kamelii. Anfisa Aleksiejewna, żeby sprawić jeszcze większy efekt, zapragnęła czerwonych. Nieszczęsnego Platona o mało nie zamęczono; rzecz wiadoma - mąż; zaręczył, że zdobędzie kwiaty - i co się okazało? W przeddzień balu przejęła te kwiaty Katarzyna Aleksandrowna, która okropnie rywalizowała we

wszystkim z Anfisa Aleksiejewną; były z sobą na noże. Ma się rozumieć, atak hysterii, zemdlenie. Platon był zdruzgotany. Łatwo pojąć, że gdyby Pietia w tej krytycznej chwili zdołał gdzieś wytrzasnąć bukiet, jego szanse ogromnie by wzrosły; wdzięczność kobiety w takich wypadkach jest bezgraniczna. Kręci się Pietia jak w ukropie, ale sprawa trudna, nie ma co mówić. Nagle spotykam go już o jedenastej wieczór, w wilię urodzin i balu, u Marii Pietrowny Zbukow, sąsiadki Ordyncewa. Promienieje z radości. „Co się stało?” „Znalazłem! Eureka!” „No, bracie, zaimponowałeś mi! Gdzie? Jak?” „W Jekszajsku (jest tam takie miasteczko o jakieś dwadzieścia wiorst i wcale nie w naszym powiecie), u kupca Triepałowa; to taki miejscowy bogacz i brodacz, mieszka ze swoją starą żoną i zamiast dzieci chowa kanarki. Zapałali też oboje namiętnością do kwiatów, mają kamelie.” „Bój się Boga, przecież to nic pewnego; a jak nie dadzą?” „Padnę na kolana i będę leżał u ich nóg, aż się zlitują i dadzą, bez kwiatów nie odjadę!” „Kiedy tam wyruszysz?” „Jutro o świcie, najpóźniej o piątej.” „No, daj ci Boże!” Naprawdę, proszę państwa, cieszyłem się z nim razem. Wracam do Ordyncewa; jest już druga, a ja wciąż o tym myślę. Chciałem się wreszcie położyć spać, gdy mi nagle zaświtało coś nader oryginalnego! Idę natychmiast do kuchni, budzę stangreta Sawielija, daję mu w łapę piętnaście rubli: „Zajeżdżaj za pół godziny!” Za pół godziny oczywiście powóz jest przy wrotach. Anfisa Aleksiejewna, jak mi powiedziano, ma migrenę, gorączkę i malignę. Siadam i jadę. O piątej staję w Jekszajsku przed karczmą; przeczekałem tam do świtu, tylko do świtu: o siódmej zjawiam się u Triepałowa. „Tak i tak, czy są kamelie? Panie szanowny, ojciec kochany, pomóż mi, ratuj mnie, do nóg ci padnę!” Stary, widzę, wysoki, siwy, surowy – straszny starzec. „Za nic na świecie, nie zgadzam się!” Ja buch mu do nóg. Leżę jak długi. „Co pan robi?” - aż się przeląkł. „Przecież tu chodzi o życie ludzkie!” - wołam. „No to niech pan bierze, z Bogiem!” Naciąłem więc od razu tych czerwonych kamelii - cudnych, zachwycających! Stary miał całą oranżeryjkę. Wzdycha. Wyjmuję sto rubli. „Ale niechże mnie pan nie obraża.” „Jeśli tak, mówię, to może zechce pan szanowny przekazać te sto rubli miejscowemu szpitalowi na polepszenie wikt i opieki.” „A, powiada on, to inna sprawa, i dobra, i szlachetna, i Bogu miła; przekażę to w pana imieniu i za pańskie zdrowie.” Spodobał mi się, proszę państwa, ten rosyjski starzec, rdzenny, że tak powiem, *Rus de la vraie souche**. Uszczęśliwiony sukcesem, pędzę natychmiast do domu; wróciliśmy okólną drogą, żeby się nie spotkać z Pietią. Gdy tylko przyjechałem, natychmiast posyłam bukiet, żeby już miała w chwili przebudzenia się. Mogą sobie państwo wyobrazić zachwyt, uznanie, ły wdzięczności! Platon, wczoraj jeszcze przybity i zrezygnowany - szlocha na mojej piersi. Niestety! Wszyscy mężowie są tacy, odkąd istnieje... legalny związek małżeński! Nic nie śmiem dodać, chyba tylko to, że sytuacja Pieti po tym epizodzie stała się zupełnie beznadziejna. Myślałem początkowo, że mnie zamorduje, jak się dowie o wszystkim; nawet byłem przygotowany na spotkanie z nim, zdarzyło się jednak to, w co bym nawet nie uwierzył; biedny Pietią zemdlał jak kobieta; pod wieczór zaczął bredzić, a rano dostał silnej gorączki; szlochał jak dziecko, spazmował... Po miesiącu, jak tylko wyzdrowiał, zgłosił się do służby na Kaukazie; zupełnie jak w powieści! Koniec był taki, że zabito go na Krymie. Wtedy również odznaczył się męstwem brat jego, Stiepan Worchowskoj, który dowodził pułkiem. Przyznam się, że długo jeszcze po tym, wiele lat, dręczyły mnie wyrzuty sumienia: dlaczego, po co go tak skrzywdziłem? Gdybym to jeszcze sam był zakochany. A tu przecież chodziło o zwykłą psotę, pospolity flirt, nic więcej. I gdybym mu nie był sprzątnął sprzed nosa tego bukietu, kto wie, może by żył do dziś dnia, szczęśliwy z odnoszonych sukcesów, i do głowy by mu nie przyszło wojować z Turkami.

Afanasij Iwanowicz umilkł z tą samą majestatyczną powagą, z jaką rozpoczął opowiadanie. Wszyscy obecni zauważyli, że oczy Nastasji Filipowny jakoś dziwnie zabłyśły i nawet usta jej

zadrżały, kiedy Afanasij Iwanowicz skończył. Spoglądano z ciekawością na nich oboje.

- Ferdyszczenko po raz drugi jest nabrany! I to jak nabrany ! Teraz dopiero nabił go ktoś w butelkę! - zawołał płaczącym głosem Ferdyszczenko, widząc, że można i należy wtrącić parę słówek.

- A kto panu winien, że pan nie rozumie, o co chodzi? Niech się pan uczy od ludzi mądrych! - wyrębała mu niemal triumfującym tonem Daria Aleksiejewna (stara, wierna przyjaciółka i współpracowniczka Tockiego).

- Pan ma rację, Afanasiju Iwanowiczu, ta zabawa jest nudna i trzeba ją prędzej skończyć - powiedziała niedbale Nastasja Filipowna - opowiem sama, co obiecałam, potem będziemy wszyscy grać w karty.

- Ale najpierw obiecane opowiadanie! - zaaprobował gorąco generał.

- Księżę - zwróciła się do niego nagle ostro i niespodzianie Nastasja Filipowna - ci oto starzy moi przyjaciele, generał i Afanasij Iwanowicz, chcą mnie wydać za mąż. Niech mi pan powie, jak pan sądzi: czy mam wyjść za mąż, czy nie? Jak pan orzeknie, tak zrobię.

Afanasij Iwanowicz zbladł, generał osłupiał; wszyscy inni wybałuszyli oczy i podnieśli głowy. Gania znieruchomiał.

- Za... za kogo? - spytał księżę mdlejącym głosem.

- Za Gawriłę Ardalionowicza Iwołgina - ciągnęła dalej Nastasja Filipowna tak jak poprzednio, ostro, twardo i dobitnie.

Upłynęło kilka sekund w głębokim milczeniu; księżę jakby usiłował i nie mógł czegoś wymówić, jak gdyby straszny ciężar uciskał mu piersi.

- Nnie... niech pani nie wychodzi za mąż! - wyszeptał wreszcie i z trudem odetchnął.

- A więc tak też uczynię! Gawriło Ardalionowiczu! - zwróciła się do niego władczym i jakby triumfującym tonem - pan słyszał, jak zdecydował księżę? To jest również moja odpowiedź ; niechże więc ta sprawa skończy się raz na zawsze!

- Nastasjo Filipowno! - powiedział drżącym głosem Afanasij Iwanowicz.

- Nastasjo Filipowno! - odezwał się przekonywającym, ale wystraszonego głosem generał.

Wszyscy się poruszyli i zaniepokoiili.

- Cóż to? - ciągnęła dalej Nastasja Filipowna, jakby ze zdziwieniem wpatrując się w gości - cóż to państwo się tak przelękli! Jaki wszyscy mają dziwny wyraz twarzy!

- Ale... proszę sobie łaskawie przypomnieć, Nastasjo Filipowno - wymamrotał zacinając się

Tocki - że pani obiecała... całkiem dobrowolnie... i mogłaby pani choć trochę oszczędzić... Jestem zakłopotany... i... oczywiście... zmieszany, jednak... Słowem, teraz, w takiej chwili i przy... ludziach, i wszystko to tak... zakończyć przez *petit jeux* sprawę poważną, sprawę honoru i serca... od której zależy...

- Nie rozumiem pana; pan rzeczywiście całkiem traci głowę. Po pierwsze, co to znaczy „przy ludziach”? Czyż nie jesteśmy w serdecznym zażyłym gronie? I co tu mają do tego *petits jeux*”? W istocie chciałam opowiedzieć swoją historyjkę, no i opowiedziałam; czy nieładna? I dlaczego pan mówi, że „to niepoważne”? Czy to naprawdę niepoważne? Pan słyszał, co powiedziałam do księcia: „Jak pan orzeknie, tak zrobię”; gdyby powiedział „tak”, natychmiast wyraziłabym zgodę; ale powiedział „nie”, więc odmówiłam. Życie moje wisiało na włosku; cóż może być bardziej poważnego?

- Tak, książę, ale dlaczego książę? Czymże w końcu jest ten książę? - wymamrotał generał, który już prawie niezdolny był powstrzymać złości na takie wprost obrażające wyniesienie autorytetu księcia.

- Książę jest pierwszym człowiekiem w całym moim życiu, w którego prawdziwe dla mnie oddanie uwierzyłam bez wahania. On we mnie uwierzył od pierwszego spojrzenia i ja mu też wierzę.

- Pozostaje mi tylko podziękować Nastasji Filipownie za nadzwyczajną delikatność, z jaką... postąpiła ze mną - powiedział w końcu drżącym głosem i z wykrzywionymi ustami blady jak trup Gania - niewątpliwie tak być powinno... Ale... książę... Książę wmieszany do tej sprawy...

- Chce się dorwać do siedemdziesięciu pięciu tysięcy, prawda? - przerwała mu raptem Nastasja Filipowna. - To pan chciał powiedzieć? Niech się pan nie zapiera, na pewno to pan miał na myśli! Afanasiju Iwanowiczu, zapomniałam dodać: niech pan sobie zabierze te siedemdziesiąt pięć tysięcy i niech pan wie, że daję panu wolność za darmo. Dość już tego! Panu też się należy odpoczynek! Dziewięć lat i trzy miesiące! Jutro będziemy żyli nowym życiem, a dziś jestem solenizantką i sama o sobie decyduję, po raz pierwszy od urodzenia. Generale, niech i pan weźmie z powrotem swoją perłę, niech ją pan podaruje żonie, służę panu; a od jutra wyprowadzam się zupełnie z tego mieszkania. I już więcej przyjęć urodzinowych nie będzie, proszę państwa!

Powiedziawszy to, wstała nagle, jakby się zbierając do wyjścia.

- Nastasjo Filipowno! Nastasjo Filipowno! - rozległo się ze wszystkich stron. Wszyscy się poruszyli niespokojnie, powstawali z miejsc; wszyscy ją otoczyli kołem, wszyscy ze wzruszeniem słuchali tych porywczych, gorączkowych, szalonych słów; wszyscy wyczuwali jakiś bezład sytuacji, w której się znaleźli, nikt nie mógł pojąć, co się stało, nikt nie mógł nic zrozumieć. W tym momencie rozległ się nagle dźwięczny i silny odgłos dzwonka, zupełnie tak samo jak przedtem w mieszkaniu Gani.

- Aaa! Jest finał sztuki! Nareszcie! Wpół do dwunastej! - zawołała Nastasja Filipowna. - Proszę państwa o zajęcie miejsc, sztuka zaraz się skończy!

Po tych słowach usiadła sama. Dziwny uśmiezek drżał na jej ustach. Siedziała w milczeniu, w

gorączkowym wyczekiwaniu, i patrzyła w stronę drzwi.

- Rogożyn ze stoma tysiącami rubli, nie ulega wątpliwości - mruknął do siebie Pticyn.

XV

Weszła pokojówka Katia, mocno wystraszona.

- Tam się dzieje Bóg wie co, Nastasjo Filipowno, wpakowało się może z dziesięciu ludzi, wszyscy pijani, chcą tu wejść, mówią, że Rogożyn i że pani sama wie.

- To prawda, Katiu, wpuść ich wszystkich zaraz.

- Jak to... wszystkich, proszę pani? Przecie to hołota. Okropność!

- Wszystkich, wszystkich wpuść, Katiu, nie bój się, wszystkich co do jednego, bo i tak wejdą, bez twojego zezwolenia. Słyszysz, jak hałasują; jak przed południem. Państwo może czują się dotknięci - zwróciła się do gości - że w ich obecności przyjmuję takie towarzystwo? Bardzo żałuję i proszę o wybaczenie, ale tak trzeba; ja bym bardzo, bardzo chciała, żeby państwo wszyscy zgodzili się uczestniczyć w tym finale jako moi świadkowie, zresztą jak się państwu podoba...

Goście w dalszym ciągu byli zdziwieni, szeptali i spoglądali po sobie, ale wkrótce zrozumieli, że to wszystko było przewidziane i ułożone zawczasu i że Nastasji Filipowny, która niewątpliwie jest niespełna rozumu, nic teraz nie odwiedzie od raz powziętego zamiaru. Wszystkich męczyła straszna ciekawość. Przy tym bać się nie bardzo tu było komu. Panie były tylko dwie: Daria Aleksiejewna, niewiasta energiczna, która z niejednego pieca chleb jadła i którą trudno było skonfundować, oraz piękna, ale milcząca nieznajoma. Ale milcząca nieznajoma i tak nic nie mogła zrozumieć: była to przyjezdna Niemka i nie znała wcale rosyjskiego; ponadto była, zdaje się, równie głupia, jak piękna. Mieszkała tu niedawno, a już zapraszano ją na niektóre przyjęcia; we wspaniałym stroju, uczesaną jak na wystawę, sadzano jak przesłiczną lalkę po to, żeby urozmaicić wieczór, całkiem jak się to robi z obrazami, urnami lub posągami, które wypożycza się od znajomych, żeby przyozdobić salon. Co zaś się tyczy mężczyzn, to Pticyn na przykład był przyjacielem Rogożyna; Ferdyszczenko czuł się jak ryba w wodzie; Gania wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie, jednak odczuwał wprawdzie niewyraźną, ale nieprzepartą chęć, aby zostać aż do końca pod pręgierzem, który tu dla niego przygotowano; stary nauczyciel, słabo orientujący się w sytuacji, omal nie płakał i dosłownie drżał ze strachu, zauważywszy jakiś niezwykle niepokój nurtujący wszystkich i Nastasję Filipownę, którą uwielbiał niczym rodzoną wnuczkę; prędzej by jednak umarł niżby ją w takiej chwili opuścił. Co zaś się tyczy Afanasija Iwanowicza, to on oczywiście nie mógł się kompromitować w takich awanturach, był jednak zbyt zainteresowany w całej sprawie, chociażby nawet sprawa ta miała przybrać podobnie wariacki obrót; zresztą i Nastasja Filipowna rzuciła pod jego adresem parę takich słówek, że absolutnie nie mógł stąd wyjść, nie wyjaśniwszy wszystkiego ostatecznie. Postanowił dosiedzieć do końca i już się nie odzywać, być tylko obserwatorem, tak jak tego wymagała jego godność. Jeden tylko generał Jepanczyn, urażony przed chwilą tak obcesowym i śmiesznym zwróceniem mu prezentu, musiał się teraz, rzecz prosta, czuć jeszcze bardziej obrażony wszystkimi tymi niespodzianymi wybrykami lub choćby zjawieniem się Rogożyna; zresztą człowiek taki jak on już i tak raczył bardzo się zniżyć przebywając w towarzystwie Pticyna i Ferdyszczenki; lecz to, do czego zdolna była doprowadzić siła namiętności, mogło być na koniec przewyciężone poczuciem obowiązku, dyscypliną moralną, pamięcią o randze i zajmowanym stanowisku i w ogóle

szacunkiem dla siebie. Rogożyn więc ze swoimi kompanami był po prostu nie do pomyślenia w obecności jego ekscelencji.

- Ach, panie generale - przerwała mu od razu Nastasja Filipowna, ledwo się do niej zwrócił ze słowami protestu - całkiem zapomniałam! Zapewniam pana jednak, że pomyślałam o panu. Jeżeli pan tak źle się czuje w tej sytuacji, to nie nalegam i nie zatrzymuję pana, chociaż chciałabym, żeby pan właśnie był teraz przy mnie. W każdym razie bardzo panu dziękuję za łaskawość i przychyłność, która mi pochlebia, skoro się pan jednak boi...

- Przepraszam, Nastasjo Filipowno - zawołał generał w przystępie rycerskiej wielkoduszności - komu pani to mówi! Ależ pozostanę przy pani chociażby po to, żeby okazać, jak jestem jej oddany, i gdyby na przykład groziło jakieś niebezpieczeństwo... No i, przyznam się też, jestem bardzo ciekawy... Chciałem tylko zwrócić uwagę, że oni poniszczą dywany i mogą coś stłuc... A w ogóle, moim zdaniem, nie są tu potrzebni, Nastasjo Filipowno!

- Sam Rogożyn! - oznajmił Ferdyszczenko.

- Jak pan myśli - pośpiesznie zdążył szepnąć generał do Afanasija Iwanowicza - czy ona przypadkiem nie zwariowała? Bez żadnej alegorii, w znaczeniu czysto lekarskim, co?

- Mówiłem panu, że ona zawsze miała do tego skłonności - odszepnął chytrze Afanasij Iwanowicz.

- I jeszcze ta gorączka...

Banda Rogożyna była prawie w tym samym składzie, co i rano; przyłączyli się tylko dwaj nowi: pewien rozpustny staruszek, eks - redaktor jakiejś brukowej, sensacyjnej gazetki, o którym opowiadano anegdotę, że zastawił i przepił swoje sztuczne złote zęby, oraz pewien były podporucznik, zdecydowany współzawodnik i konkurent, pod względem fachu i użyteczności, owego porannego jegomościa z pięściami, nie znany nikomu z bandy Rogożyna, a zabrany po prostu z ulicy na słonecznej stronie Newskiego Prospektu, gdzie zatrzymywał przechodniów i prosił stylem Marlińskiego[44] o wsparcie, motywując to tym, że sam „w swoim czasie dawał petentom po piętnaście rubli”. Obaj konkurenci od razu ustosunkowali się do siebie wrogo. Jegomość z pięściami po przyjęciu do bandy „petenta” uczył się tym nawet obrażony i, będąc z natury małomówny, ryczał tylko od czasu do czasu jak niedźwiedź, spoglądając z głęboką pogardą na przymilanie się i zalecanki eks - podporucznika, który okazał się człowiekiem grzecznym i dobrze ułożonym. Sądząc z wyglądu, można było przypuszczać, że podporucznik będzie w czasie „akcji” górował raczej zręcznością i zwinnością niż siłą, gdyż był nawet niższego wzrostu od jegomościa z pięściami. Delikatnie, nie wszczynając wyraźnej kłótni, tylko straszliwie się przechwalając, kilkakrotnie napomknął o wyższości angielskiego boksu, słowem, okazał się prawdziwym „zachodowcem”[45]. Jegomość z pięściami przy słowie „boks” tylko się uśmiechał z obraźliwą pogardą i ze swej strony, nie zaszczycając rywala otwartą dyskusją, pokazywał niekiedy w milczeniu, jakby przypadkowo, albo ściślej mówiąc wysuwał na widok publiczny jedną wybitnie narodową rzecz - olbrzymią pięść, żylastą, modzelowatą, porośniętą jakimś rudym puchem, i dla wszystkich stawało się jasne, że jeżeli ta wybitnie narodowa rzecz nie chybiając spadnie na jakiś przedmiot, to z tego przedmiotu niewątpliwie zostanie tylko mokra plama.

Nikt z całej bandy nie był zupełnie „gotów”, tak jak i przedtem, dzięki staraniom Rogożyna, który przez cały dzień miał na względzie wizytę u Nastasji Filipowny. Sam zaś Rogożyn zdążył już prawie całkiem wytrzeźwieć, ale za to o mało nie oszalał z nadmiaru wrażeń, odniesionych tego dnia, który był dniem potwornym i zgoła wyjątkowym w jego życiu. Jedno tylko miał bezustannie na oku, w pamięci i w sercu, w każdej minucie, w każdej sekundzie. Dla tej jednej rzeczy spędził cały czas, od piątej po południu do jedenastej wieczór, w bezbrzeżnej tęsknocie i niepokoju, uganiając się za Kinderami i Biskupami, którzy również o mało nie poszaleli, latając jak opętani w jego sprawie. I jednak owe sto tysięcy w walucie obiegowej, o których Nastasja Filipowna napomknęła mimochodem, w żartach i nie dość wyraźnie, zdołali zebrać, na procent, o którym nawet sam Biskup, przez wstydlivość, rozmawiał z Kinderem nie na głos, lecz szeptem.

Rogożyn, podobnie jak przedtem, występował na czele bandy; inni szli za nim, choć całkiem świadomi swoich zalet, jednak trochę onieśmieleni. Głównie, i to Bóg raczy wiedzieć dlaczego, lękali się Nastasji Filipowny. Niektórzy nawet myśleli, że ich zaraz „spuszczą ze schodów”. Tak myślał między innymi fircyk i pogromca serc Zalożew. Pozostali wszakże, a przede wszystkim jegomość z pięściami, odnosili się do Nastasji Filipowny z głęboką pogardą, a nawet z nienawiścią, i szli do niej jak na wyprawę wojenną. Wspaniałe jednak umeblowanie pierwszych dwóch pokoi, rzeczy, których nie widzieli i o których nie słyszeli, rzadkiej piękności meble, obrazy, olbrzymi posąg bogini Wenus - wszystko to ich olśniło i wzbudziło w nich respekt, a nawet strach. Ten strach wszelako nie przeszkodził całej bandzie powolutku i z bezczelną ciekawością przepchać się za Rogożynem do salonu; ale kiedy jegomość z pięściami, „petent” i kilku innych zauważyło wśród gości generała Jepanczyna, tak się w pierwszym momencie stropili, że zaczęli nawet po trochu rejterować z powrotem do sąsiedniego pokoju. Jeden tylko Lebediew nie stracił bynajmniej animuszu i z całym tupetem stawał przy boku Rogożyna, rozumiejąc, co w istocie znaczy milion czterysta tysięcy w gotówce i sto tysięcy teraz, na miejscu, w rękach. Trzeba zresztą zauważyć, że wszyscy, nie wyłączając nawet znawcy Lebediewa gubili się niekiedy w rozpoznaniu granic i zakresu swojej potęgi, nie wiedzieli dokładnie, czy im doprawdy teraz wszystko wolno, czy nie. Lebediew chwilami gotów był przysięgać, że wszystko, niekiedy jednak odczuwał nerwową potrzebę przypomnienia sobie na wszelki wypadek niektórych, przeważnie uspokajających i dodających otuchy artykułów kodeksu karnego.

Na Rogożynie zaś salon Nastasji Filipowny wywarł wręcz przeciwne wrażenie niż na wszystkich jego współtowarzyszach. Zaledwie rozchyliła się kotara i ujrzał Nastasję Filipownę - wszystko inne przestało dla niego istnieć, tak jak i rano, a nawet jeszcze bardziej niż rano. Zbladł i na chwilę przystanął; można było odgadnąć, że serce biło mu jak młotem. Kilka sekund, nie odrywając oczu, nieśmiało i żałośnie patrzył na Nastasję Filipownę. Nagle, jakby tracąc resztę rozsądku i nieledwie zataczając się, podszedł do stołu; po drodze zawadził o krzesło Pticyna i nadepnął swoimi zabłoconymi buciorami na koronkową falbankę wspaniałej błękitnej sukni, w którą była wystrojona piękna milcząca Niemka; nic nie zauważył i nie przeprosił. Zbliżywszy się do stołu; położył na nim jakiś dziwny przedmiot, który, wchodząc do salonu trzymał przed sobą obiema rękami. Była to duża paczka, gruba na trzy cale i długa na cztery, mocno i szczelnie owinięta „Gazetą Giełdową” i przewiązana dwukrotnie na krzyż takim szpagatem, jakim zazwyczaj przewiązane są głowy cukru. Potem stanął nie mówiąc ani słowa, z opuszczonymi rękami, jakby w oczekiwaniu wyroku. Ubranie miał na sobie to samo co przedtem, z wyjątkiem zupełnie nowej jedwabnej chustki na szyi, o barwach jasnozielonej i czerwonej, z ogromną brylantową szpilką w kształcie chrabąszcza, i grubego

pierścienia z brylantem na brudnym palcu prawej ręki. Lebediew zatrzymał się o jakieś trzy kroki od stołu; inni, jak już o tym była mowa, wpychali się po trochu do salonu. Katia i Pasza, pokojówki Nastasji Filipowny, również przybiegły popatrzeć spoza uchylonych kotar; miały w oczach głębokie zdumienie i lęk.

- Co to jest? - spytała Nastasja Filipowna, przyjrząwszy się uważnie i ciekawie Rogożynowi i wskazując oczami na „przedmiot”.

- Sto tysięcy! - odpowiedział Rogożyn prawie szeptem.

- Więc dotrzymał pan słowa, zuch z pana! Proszę siadać, o tu, tu na tym krześle; potem panu coś powiem. Kto to jest z panem? Ci sami, co przedtem? No, niech wejdą i usiądą; można i na tej kanapie, i na tamtej. Tam są jeszcze dwa fotele... Cóż to... nie chcą siadać czy co?

Rzeczywiście niektórzy, całkiem skonsternowani, cofnęli się i usiedli, żeby poczekać, w sąsiednim pokoju; inni jednak zostali i rozsiedli się zgodnie z zaproszeniem, ale dość daleko od stołu, raczej po kątach, jedni wciąż jeszcze pragnąc pozostać w cieniu, drudzy natomiast dziwnie i jakoś nienaturalnie szybko nabierając śmiałości. Rogożyn również usiadł na wskazanym mu krześle, ale siedział niedługo; wkrótce wstał i już więcej nie siadał. Powoli zaczął rozpoznawać i oglądać gości. Ujrawszy Ganię, uśmiechnął się złośliwie i szepnął: „Popatrz!” Na generała i na Afanasija Iwanowicza spojrział bez żenady i nawet bez szczególnej ciekawości. Ale gdy zauważył obok Nastasji Filipowny księcia, długo nie mógł oderwać od niego wzroku, był niezmiernie zdumiony i jakby niezdolny zdać sobie sprawę z tego spotkania. Robił takie wrażenie, jakby chwilami naprawdę opuszczała go przytomność. Prócz wszystkich wstrząsających przeżyć tego dnia, całą ubiegłą noc spędził w wagonie i już prawie dwie doby nie spał.

- To jest, proszę państwa, sto tysięcy - powiedziała Nastasja Filipowna, zwracając się do wszystkich z jakimś gorączkowym, niecierpliwym wyzwaniem - w tej brudnej paczce. Dziś rano krzyknął jak szalony, że przywiezie mi wieczorem sto tysięcy, i wciąż na niego czekałam. On mię targował: zaczął od osiemnastu tysięcy, potem nagle skoczył do czterdziestu, a potem do stu. No i dotrzymał słowa! Fe, jaki on błady!... Było to dziś przed południem u Gani: przyjechałam z wizytą do jego matki, do mojej przyszłej rodziny, a tam jego siostra krzyknęła mi w oczy: „Niechże ktoś stąd wypędzi tę bezwstydnicę, czyż nie znajdzie się taki?” A bratu swojemu, Gani, plunęła w twarz. Panienska z charakterem!

- Nastasjo Filipowno! - powiedział tonem wyrzutu generał.

Zaczynał trochę rozumieć wypadki po swojemu.

- Cóż takiego, panie generale? Może to nieprzyzwoicie? Nie ma się o co stawiać! Że w Teatrze Francuskim, w loży, siedziałam jak nieprzystępna cnota z pierwszego piętra i uciekałam jak szalona od wszystkich, którzy się przez pięć lat za mną uganiali, że spoglądałam na wszystkich jak dumna niewinność - to tylko z głupoty, nic więcej! A oto tutaj, wobec was, moi państwo, zjawił się człowiek i wyłożył na stół sto tysięcy, po pięciu latach niewinności, i już na pewno stoją tam trójki koni i czekają na mnie. Na sto tysięcy mię oszacował! Gania, widzę, że się jeszcze gniewasz! Czyżbyś naprawdę chciał mnie wprowadzić do swojej rodziny? Mnie taką, którą chce kupić

Rogożyn? A cóż to księżę powiedział niedawno?

- Nie powiedziałem, że pani jest taka... dla Rogożyna, pani wcale nie jest dla niego! - powiedział drżącym głosem księżę.

- Nastasjo Filipowno, po co to wszystko, moja droga, po co to wszystko! - nie wytrzymała nagle Daria Aleksiejewna. - Jeżeli już tak bardzo ci dokuczili, to nie patrz na nich, i basta! I czy naprawdę chcesz pójść do tego tam, chociażby nawet za sto tysięcy? Prawda, że sto tysięcy to nie w kij dmuchał! Więc weź te pieniądze, a jego przepędź; tak z nimi trzeba robić; ech, ja bym na twoim miejscu ich wszystkich... bo niby co!

Daria Aleksiejewna aż się rozgniewała. Była to kobieta dobra i nader wrażliwa.

- Proszę się nie gniewać, Dario Aleksiejewno - rzekła do niej z uśmiechem Nastasja Filipowna - przecież mu to mówiłam bez złości. Czyż mu coś wymawiałam?. Sama wprost pojąć nie mogę, jak coś takiego na mnie naszło, że zechciałam wejść do ucziwej rodziny. Widziałam jego matkę, pocałowałam ją w rękę. A że ostatni raz u ciebie, Gania, stroiłam sobie żarty, to naumyślnie: chciałam zobaczyć, do czego ty sam możesz dojść. No i zadziwiłeś mię, doprawdy! Różnych rzeczy się spodziewałam, ale nie tego! Czyżbyś ty naprawdę mógł się ze mną ożenić wiedząc, że ktoś inny podarował mi taką perłę niemal w przeddzień ślubu, a ja ją przyjąłam? A Rogożyn? Przecież on w twoim domu, przy twojej matce i siostrze kupował mnie, a ty jednak po tym wszystkim przyjechałeś z oświadczeniami i o mało nie przywiozłeś z sobą siostry? Czyżby rację miał Rogożyn, kiedy mówił o tobie, że za trzy ruble gotów jesteś poleźć na czworakach aż na Wyspę Wasiliewską?

- Polezie - odezwał się nagle Rogożyn cicho, ale tonem najgłębszego przekonania.

- Rozumiałabym jeszcze, gdybyś przymierał z głodu, ale masz, jak słyszałam, porządną pensję! I w dodatku chciałeś prócz wstydu i hańby wprowadzić do swego domu nienawistną ci żonę (bo mię przecie nienawidzisz, wiem o tym dobrze!). Nie, teraz wierzę, że taki człowiek może zarznąć dla pieniędzy! Przecie teraz wszystkich ogarnęła taka żądza wzbogacenia się, tacy są chciwi na mamonę, że chyba powariowali. Sam dzieciuch jeszcze, a na gwałt chce być lichwiarzem. A jak co do czego, to okręci brzytwę jedwabiem i po cichutku, zaszedłszy z tyłu, zarźnie przyjaciela jak barana; czytałam niedawno o takim wypadku[46]. Ależ z ciebie bezwstydnik, no, no! Ja jestem bezwstydnica, ale tyś gorszy. A o tym panu, co bukiet ofiarował, to nawet mówić mi się nie chce...

- I pani, pani tak mówi, Nastasjo Filipowno! - generał aż załamał rękę z prawdziwym żalem. - Pani, taka delikatna, tak subtelnie myśląca, i masz! Co za język! Co za styl!

- Jestem teraz pijana, panie generale - roześmiała się nagle Nastasja Filipowna - chcę się bawić! Dziś jest mój dzień, mój dzień galowy, dzień rzadki, długo na niego czekałam. Dario Aleksiejewno, widzi pani tego bukietiarza, tego *monsieur aux camelias**? Siedzi sobie i śmieje się z nas...

- Nie śmieję się, Nastasjo Filipowno, tylko słucham z największą uwagą - odparł z godnością Tocki.

- No, proszę; czemu ja go męczyłam całe pięć lat i nie puszczałam od siebie? Czy wart był tego? Jest po prostu taki, jakim być musi... Jeszcze gotów uważać, że to ja zawiniłam wobec niego: dał mi przecież wychowanie, utrzymywał jak hrabiankę, pieniędzy, pieniędzy tyle na mnie wydał, męża uczciwego mi wyszukał jeszcze tam, a tutaj Ganię; i pomyśleć tylko, że z nim przez te pięć lat nie żyłam, a pieniądze od niego brałam i sądziłam, że dobrze robię! Straciłam wszelką orientację! Mówi pani: weź sto tysięcy, a jego przepędź, jeżeli cię to mierzi. Że mierzi, to prawda... Dawno mogłabym wyjść za mąż, nie tylko za Ganię, ale cóż, kiedy to dla mnie jest też ohyda. Nie wiem, po co zmarnowałam te pięć lat, po co je strawiłam na bezpłodnej złości? Rzecz prawie nie do wiary, ale cztery lata temu na serio myślałam czasami, czy nie wyjść za mąż po prostu za mojego Afanasija Iwanowicza. Chciałam to wtedy uczynić z nienawiści; różne myśli tłukły mi się wtedy po głowie; a mogłabym go zmusić do małżeństwa, mogłabym! Sam się napraszał, czy pani uwierzy? Co prawda, kłamał; przecie jest okropnie łasy, wytrzymać nie może. Ale potem, dzięki Bogu, rozmyśliłam się: czy on wart takiej nienawiści? Takie wówczas poczułam do niego obrzydzenie, że gdyby nawet sam się oświadczył, nie wyszłabym! I całe pięć lat tak się stawiałam! Nie, już lepiej iść na ulicę, gdzie jest moje właściwe miejsce! Albo zabawić się z Rogożynem, albo od jutra zostać praczką! Bo przecie nie mam na sobie nic własnego; jak odejdę - wszystko mu rzucę; ostatnią szmatę zostawię, a bez niczego kto mnie weźmie? Proszę zapytać Gani, czy weźmie. Nawet Ferdyszczenko wtedy mnie nie weźmie!...

- Ferdyszczenko rzeczywiście może nie wziąć, Nastasjo Filipowno, jestem człowiekiem szczerym - przerwał Ferdyszczenko - ale za to księżę weźmie! Pani tu siedzi i lamentuje, a niech no pani spojrzy na księcia! Ja go już dawno obserwuję...

Nastasja Filipowna z zaciekawieniem zwróciła się do księcia.

- Prawda? - spytała.

- Prawda - wyszeptał księżę.

- Weźmie pan tak, jak stoję, bez niczego?

- Wezmę, Nastasjo Filipowno...

- Nowa historia! - mruknął generał. - Można się było tego spodziewać!

Księżę patrzył smutnym, surowym i przenikliwym wzrokiem na przyglądającą mu się ciągle Nastasję Filipownę.

- Też się znalazł amator! - powiedziała nagle, zwracając się znowu do Darii Aleksiejewny. - Chce to po prostu zrobić z dobrego serca, znam go. Znalazłam dobroczyńcę! A może zresztą jest w tym trochę prawdy, co o nim mówią, że on... tego. Jak ty będziesz żył, jeżeli jesteś aż tak zakochany, że chcesz brać za żonę taką... od Rogożyna, ty, księżę?

- Ja panią biorę uczciwą, Nastasjo Filipowno, a nie taką... „od Rogożyna” - powiedział księżę.

- To niby ja jestem uczciwa?

- Pani.

- No, to jest coś takiego... z powieści! To są, mój drogi książę, stare bajeczki, a dzisiaj świat już zmądrzał. To są wszystko głupstwa! A przy tym, jakże ty się możesz ożenić, kiedy tobie samemu potrzebna jeszcze niańka!

Książę wstał i drżącym, nieśmiałym głosem, a jednocześnie tak, jak mówi człowiek głęboko o czymś przekonany, rzekł:

- Ja nic nie wiem, Nastasjo Filipowna, nic nie widziałem, pani ma słuszość, ale... będę uważał, że to nie ja pani, ale pani mnie robi zaszczyt. Ja nie cierpiałem, lecz pani cierpiała i wyszła z takiego piekła czysta; to bardzo wiele. Po cóż się pani wstydzi i chce jechać z Rogożynem? To wpływ gorączki... Pani oddała panu Tockiemu siedemdziesiąt tysięcy i mówi, że wszystko, co tu jest, wszystko rzuci; tego nikt tutaj nie robi. Ja panią... Nastasjo Filipowno... kocham. Umrę za panią, Nastasjo Filipowno. Nikomu nie pozwolę o pani powiedzieć złego słowa... Jeżeli będziemy biedni, zacznę pracować...

Przy ostatnich słowach rozległ się chichot Ferdyszczenki i Lebediewa, a nawet generał chrząknął jakoś z wielkim niezadowoleniem. Pticyn i Tocki nie mogli się nie uśmiechnąć, ale się powstrzymywali. Inni po prostu rozdziawili usta ze zdumienia.

- ... Ale może nie będziemy biedni, tylko bardzo bogaci - ciągnął dalej książę tym samym nieśmiałym głosem. - Zresztą nie wiem na pewno, i szkoda, że przez cały dzień dotychczas nie mogłem się nic dowiedzieć, otrzymałem jednak w Szwajcarii list z Moskwy od niejakiego pana Sałazkina, który mię zawiadamia, że jakoby mogę otrzymać bardzo duży spadek. To jest ten list...

Książę istotnie wyjął z kieszeni list.

- Czy on czasem nie bredzi? - mruknął generał. - Istny dom wariatów!

Na chwilę zapanowała cisza.

- Pan, zdaje się, powiedział, że ma list od Sałazkina? - spytał księcia Pticyn. - To dosyć znana w pewnych kołach osobistość, znany doradca prawny i mecenas, i jeżeli rzeczywiście on pana zawiadamia, to pan może całkowicie wierzyć. Na szczęście znam jego charakter pisma, gdyż niedawno załatwiałem z nim pewien interes... Jeżeliby pan dał mi list do obejrzenia, może coś niecoś powiedziałbym panu.

Książę bez słowa drżącą ręką podał mu list.

- Co to takiego, co to jest? - spostrzegł się generał patrząc na wszystkich bzikowatym wzrokiem. - Czyżby naprawdę spadek?

Wszyscy skierowali oczy na Pticyna, który czytał list. Ogólne zaciekawienie otrzymało nowy i nadzwyczajny bodziec. Ferdyszczenko nie mógł usiedzieć w miejscu; Rogożyn patrzył osłupiały i pełen strasznego niepokoju spoglądał to na księcia, to na Pticyna. Daria Aleksiejewna, oczekując rewelacji, siedziała jak na szpilkach. Nawet Lebediew nie wytrzymał, wyszedł ze swojego kąta i

zgiąwszy się w pałąk jał zaglądać do listu przez ramię Pticyna z miną człowieka, który się boi, że zaraz dadzą mu za to w skórę.

XVI

- Rzecz najpewniejsza w świecie - oświadczył nareszcie Pticyń, składając list i oddając go księciu. - Otrzymał pan bez wszelkich zabiegów, zgodnie z bezspornym testamentem pańskiej ciotki, olbrzymi majątek.

- To być nie może! - zawołał generał tak, jakby wystrzelił.

Wszyscy znów porozdziawiali usta.

Pticyń wyjaśnił zwracając się głównie do Iwana Fiodorowicza, że przed kilku miesiącami umarła ciotka księcia, której księżę osobiście nie znał, rodzona i starsza siostra jego matki, córka moskiewskiego kupca trzeciej gildii Papuszyna, bankruta zmarłego w nędzy. Ale starszy rodzony brat tego Papuszyna, też niedawno zmarły, był znanym, bogatym kupcem. Przed rokiem zmarli prawie w jednym i tym samym miesiącu dwaj jedyni jego synowie. To na niego tak podziałało, że starzec wkrótce potem sam zachorował i umarł. Był wdowcem, nie miał żadnych spadkobierców prócz ciotki księcia, rodzonej siostrzenicy Papuszyna, kobiety bardzo biednej i mieszkającej w cudzym domu. W chwili otrzymania spadku umierała już prawie na wodną puchlinę, od razu jednak zaczęła poszukiwać księcia, zleciwszy to Sałazkinowi, i zdążyła zrobić testament. Prawdopodobnie ani księżę, ani doktor, u którego mieszkał w Szwajcarii, nie chcieli czekać na oficjalne zawiadomienie albo zasięgać informacji, i księżę z listem Sałazkina w kieszeni postanowił udać się sam...

- Jedno tylko mogę panu powiedzieć - zakończył Pticyń zwracając się do księcia - że wszystko to jest bezsporne i oparte na należytej podstawie prawnej; wszystko, co panu pisze Sałazkin o niezaprzeczalności i legalności pańskiej sprawy, może pan uważać za czysty kapitał. Gratuluję panu! Dostanie pan zapewne również z półtora miliona, a może i więcej. Papuszyn był bardzo bogatym kupcem.

- Górą księżę Myszkina, ostatni z rodziny! - wrzasnął Ferdyszczenko.

- Hura! - chrapliwym głosem krzyknął pijany Lebiediew.

- A ja temu biedakowi pożyczyłem dziś rano dwadzieścia pięć rubli, cha, cha, cha! Fantasmagoria i nic więcej! - wyrzekł prawie nieprzytomny ze zdumienia generał - no, no, gratuluję, gratuluję! - Wstał z miejsca i podszedł do księcia, żeby go uścisnąć. Za nim zaczęli wstawać inni i też podchodzić. Nawet ci, którzy ukryli się za kotarą, zjawiali się kolejno w salonie. Rozległ się szmer głosów, zabrzmiały okrzyki, zaczęto się nawet domagać szampana; powstał ogólny ruch i rwetes. Na chwilę omal że nie zapomniano o Nastasji Filipownie i o tym, że ona jest przecie główną osobą wieczoru. Niebawem jednak prawie wszyscy jednocześnie uprzytomnili sobie, że księżę dopiero co się jej oświadczył. A więc sprawa przedstawiała się jeszcze stokroć bardziej po wariacku i niezwyklej niż przed tym. Pograżony w zdumieniu, Tocki bez przerwy wrzasał ramionami; prawie on jeden tylko siedział, reszta towarzystwa w nieładzie tłoczyła się dokoła stołu. Wszyscy twierdzili później, że właśnie w tym momencie Nastasja Filipowna dostała pomieszania zmysłów. Siedziała najspokojniej w świecie i przez pewien czas jakoś dziwnie przyglądała się

wszystkim, jakby była bezgranicznie zdumiona, jakby nic nie rozumiała i usiłowała coś pojąć. Potem nagle zwróciła się do księcia i groźnie nasepiwszy brwi zaczęła mu się uporczywie przyglądać; trwało to zaledwie chwilę; może się jej nagle wydało, że to wszystko żart i kpina; jednak wyraz twarzy księcia rozwiał jej wątpliwości. Zamyśliła się, potem znów się uśmiechnęła, jakby sama nie wiedząc dlaczego...

- A więc w samej rzeczy księżna! - szepnęła do siebie jakby z ironią i, spojrzawszy przypadkiem na Darię Aleksiejewną, wybuchła śmiechem. - Nieoczekiwany finał... a ja... nie tego się spodziewałam... Ale czemuż to państwo stoją, siadajcie, proszę, powinszujcie mnie i księciu! Ktoś, zdaje się prosił o szampana; Ferdyszczenko, niech pan pójdzie i każe przynieść. Katia, Pasza - zobaczyła nagle we drzwiach swoje służące - chodźcie tutaj, wychodzę za mąż, słyszałyście? Za księcia, który jest milionerem; nazywa się ksiązę Myszkim i chce się ożenić ze mną!

- Daj Boże, już najwyższy czas! Nie trzeba tracić takiej sposobności! - krzyknęła Daria Aleksiejewna, głęboko wstrząśnięta tym, co się zdarzyło.

- Niech ksiązę usiądzie obok mnie, bardzo proszę - mówiła dalej Nastasja Filipowna - o tak; a już i wino niosą, niechże mi państwo złożą gratulacje!

- Hura! - krzyknęło mnóstwo głosów. Wielu z obecnych zaczęło się przepychać do wina, wśród nich byli prawie wszyscy ludzie Rogożyna. Chociaż jednak krzyczeli i gotowi byli dalej krzyżeć, niektórzy z nich mimo takiego zbiegu okoliczności i takiej dziwnej sytuacji poczuli, że sceneria się zmienia. Inni byli zmieszani i zajmowali pozycję nieufnie wyczekującą. Jeszcze inni szeptali między sobą, że przecież sprawa jest zupełnie zwykła, że książęta z różnymi kobietami się żenią, nawet z Cygankami. Sam zaś Rogożyn stał i patrzył, skrzywiwszy usta w nieruchomym, sceptycznym uśmiechu.

- Drogi ksiązę, niech się pan opamięta! - szepnął ze zgrozą generał, podchodząc z boku i szarpiąc księcia za rękaw. Nastasja Filipowna zauważyła to i parsknęła śmiechem.

- Nie, panie generale! Teraz ja jestem księżną; słyszał pan, że ksiązę nie pozwoli mi uchybić! Afanasiju Iwanowiczu, niechże mi pan pogratuluje: będę teraz mogła wszędzie siadywać obok pańskiej żony; jak pan myśli, wygodnie mieć takiego męża? Półtora miliona, przy tym ksiązę, a w dodatku podobno idiota, czegoż żądać więcej? Dopiero teraz zacznę prawdziwe życie! Spóźniłeś się, Rogożyn! Zabieraj swoją paczkę, wychodzę za mąż za księcia i sama jestem bogatsza od ciebie!

Ale Rogożyn pojął w lot, o co chodzi. Niewysłowione cierpienie odbiło się na jego twarzy. Załamał ręce i jęk wyrwał się z jego piersi.

- Zrzeknij się! - krzyknął do księcia.

Wszyscy dokoła się roześmieli.

- Dla ciebie akurat ma się zrzec? - podchwyciła triumfująco Daria Aleksiejewna. - Patrzcie go, pieniądze na stół wywalił, prostak! Ksiązę ją bierze za żonę, a ty tu brewerie wyprawiasz.

- I ja biorę! Zaraz biorę, w tej chwili! Wszystko oddam...

- Ach, ty paskudny pijaku, powinno się ciebie przepędzić! - powtórzyła z oburzeniem Daria Aleksiejewna.

Rozległ się jeszcze głośniejszy śmiech.

- Słyszysz, książę - zwróciła się do niego Nastasja Filipowna - jak cham targuje twoją narzeczoną!

- On jest pijany - powiedział książę. - On panią bardzo kocha.

- A czy ci nie wstyd będzie później, że twoja narzeczona o mało nie pojechała z Rogożynem?

- Pani miała gorączkę; i teraz pani ma gorączkę, pani jest na pół przytomna.

- I nie będziesz się wstydził, kiedy ci potem powiedzą, że twoja żona była utrzymanką Tockiego?

- Nie, nie będę się wstydził... Pani była u Tockiego wbrew swojej woli.

- I nigdy mi tego nie będziesz wymawiał?

- Nie będę.

- Uważaj, nie ręcz za całe życie!

- Nastasjo Filipowno - powiedział książę cicho i jakby z bolesnym współczuciem - mówiłem pani już przedtem, że zgodę pani będę uważał za zaszczyt i że to pani mnie robi zaszczyt, a nie ja pani. Pani się na te słowa uśmiechnęła i dokoła nas wszyscy, jak słyszałem, też się śmieli. Może śmiesznie się wyraziłem i sam byłem śmieszny, ale wciąż mi się zdawało, że... pojmuję, na czym polega zaszczyt, i pewny jestem, że powiedziałem prawdę. Pani przed chwilą chciała siebie zgubić, bezpowrotnie, bo pani później nigdy by sobie tego nie wybaczyła, a pani tu nic nie zawiniła. To niemożliwe, żeby pani życie zupełnie się zmarnowało. Cóż z tego, że do pani przyszedł Rogożyn, a Gawriła Ardalionowicz chciał panią oszukać? Po co pani o tym wciąż wspomina? Rzadko kto byłby zdolny do tego, co pani zrobiła, powtarzam to jeszcze raz, a że pani chciała jechać z Rogożynem, winna temu była choroba pani. Pani i teraz również zmaga się z chorobą i powinna się położyć. Pani jutro poszłaby za praczkę, a nie zostałaby z Rogożynem. Pani jest dumna, Nastasjo Filipowno, ale może pani już tak jest nieszczęśliwa, że się pani naprawdę uważa za winną. Panią trzeba się bardzo opiekować, Nastasjo Filipowno. I ja będę się panią opiekował. Dziś rano zobaczyłem pani fotografię i zdawało mi się, że widzę znajomą twarz. Już wtedy miałem wrażenie, że pani jakby mnie wzywa na pomoc... Ja... będę panią całe życie szanował, Nastasjo Filipowno - zakończył raptem książę, jakby pod wpływem nagłej refleksji; zaczerwienił się, gdyż zrozumiał, wobec jakich ludzi przemawia.

Pticyń, jakby przejęty cnotliwym współczuciem, schylił głowę i patrzył w ziemię. Tocki pomyślał w duchu; „Idiota, a jednak wie, że pochlebstwem najprędzej ją zdobędzie; pozer!” Książę zauważył też w kącie płomienne oczy Gani, którymi tamten jak gdyby chciał go spiorunować.

- To dopiero dobry człowiek - powiedziała rozczulona Daria Aleksiejewna.

- Człowiek inteligentny, ale zgubiony! - wyszeptał półgłosem generał.

Tocki wziął kapelusz, zamierzając wstać i ulotnić się po cichu. On i generał zamienili spojrzenia, żeby wyjść razem.

- Dziękuję ci, książę, ze mną jeszcze nikt tak dotychczas nie rozmawiał - powiedziała Nastasja Filipowna. - Wszyscy mnie kupowali, jednak o moją rękę żaden porządny człowiek się nie starał. Słyszał pan, Afanasiju Iwanowiczu? Jak się panu podoba to, co mówił książę? To jest prawie nieprzyzwoite... Rogożyn! Poczekaj no jeszcze, nie odchodź! Zresztą widzę, że nie odchodzisz. Może ja ci będę towarzyszyć. Dokąd mnie chciałeś zawieźć?

- Do Jekatierinhofu - zameldował z kąta Lebediew, a Rogożyn tylko drgnął i wytrzeszczył oczy, jakby uszom swoim nie wierząc. Do reszty zbaraniał, jakby od silnego uderzenia w głowę.

- A ty co znowu, ty co znowu, moja złota! Choroba ci znowu dokucza, zwariowałaś czy co? - aż podskoczyła na krześle wystraszona Daria Aleksiejewna.

- A tyś naprawdę myślała? - ze śmiechem zerwała się z kanapy Nastasja Filipowna. - Takiego dzieciaka mam zmarnować? To by się dopiero ucieszył Afanasij Iwanowicz, on przecież lubi niemowlęta! Jedziemy, Rogożyn! Przygotuj swoją paczkę! To nic, że się chcesz żenić; tymczasem dawaj pieniądze. Może jeszcze nie wyjdę za ciebie. Myślałeś, że jak się chcesz żenić, to paczka zostanie w twoich rękach? Nic podobnego! Jestem bezwstydną! Byłam kochanką Tockiego... Książę! tobie jest teraz potrzebna Agłaja Jepanczyn, a nie Nastasja Filipowna, bo cię Ferdyszczenko będzie palcem pokazywał! Ty się nie boisz, ale ja bym się bała, że cię zgubiłam i że mi to wypomnisz! A jeżeli powiadasz, że to ja ci zrobię zaszczyt, to już Tocki wie o tym. Ty zaś, Gania, przegapiłeś Agłaję: nie wiedziałeś o tym? Gdybyś tak się z nią nie targował, z pewnością wyszłaby za ciebie! Wszyscy robicie to samo: czy macie do czynienia z uczciwymi kobietami, czy z nieuczciwymi - dla was bez różnicy! I w końcu wpadacie... proszę! jak to generał patrzy, aż usta otworzył...

- Sodoma i Gomora! Sodoma i Gomora! - powtarzał generał wruszając ramionami. I on też wstał z kanapy. Wszyscy znowu byli na nogach. Nastasja Filipowna wyglądała jak opętana.

- Czy to możliwe! - jęknął książę załamując ręce.

- A tyś myślał, że niemożliwe? Kto wie, czy ja nie jestem z was wszystkich najdumniejsza, chociaż taka bezwstydną! Nazwałeś mnie doskonałością; ładna doskonałość, co idzie do spelunki tylko dlatego, że podeptała milion i tytuł książęcy, i chce się tym pysznić! Jakąż ja byłabym dla ciebie żoną po tym wszystkim? Afanasiju Iwanowiczu, jednak milion istotnie wyrzuciłam za okno! Cóż pan myślał, że będę szczęśliwa wychodząc za Ganieczkę i za pańskie siedemdziesiąt pięć tysięcy? Zabierz sobie te swoje siedemdziesiąt pięć tysięcy (nawet nie doszedłeś do stu. Rogożyn cię przelicytował); a Ganieczkę sama pocieszę, przyszła mi pewna myśl do głowy. Teraz zaś chcę się bawić, przecież jestem dziewczką uliczną! Przesiedziałam dziesięć lat w więzieniu, teraz to sobie powetuję! No i co, Rogożyn! Zbieraj się, jedziemy!

- Jedziemy! - ryknął Rogożyn, prawie obłąkany z radości. - Hej, wy wszyscy... dokoła... pijcie! Uch!...

- Postaraj się o wino, będę piła! A muzyka będzie?

- Będzie, będzie! Nie podchodź! - wrzasnął Rogożyn w przystępie szalu, widząc, że Daria Aleksiejewna zbliża się do Nastasji Filipowny. - Moja! Wszystko moje! Królowa! Koniec!

Tracił dech z radości; chodził dokoła Nastasji Filipowny i krzyczał na każdego: „Nie podchodź!” Cała banda wepchała się już do salonu. Jedni pili, drudzy krzyczeli i śmiali się; wszyscy byli niezwykle podnieceni i zachowywali się aż nadto swobodnie. Ferdyszczenko usiłował przyłączyć się do nich. Generał i Tocki znowu zaczęli zmierzać do wyjścia. Gania też trzymał kapelusz w ręku, ale stał milcząc i jakby wciąż jeszcze nie mogąc oderwać oczu od rozgrywającej się przed nim sceny.

- Nie podchodź! - krzyczał Rogożyn.

- Czego tak się drzesz? - pytała ze śmiechem Nastasja Filipowna. - Jeszcze ja tu rządzę; jak mi się spodoba, każę cię wyrzucić za drzwi. Nie wzięłam jeszcze od ciebie pieniędzy, leżą tam; dawaj je tu, całą paczkę! Więc w tej paczce jest sto tysięcy! Fe, cóż za niegodziwość! O co ci chodzi, Dario Aleksiejewno? Czy naprawdę miałam mu zwichnąć życie? (Pokazała na księcia). Gdzie mu tam myśleć o małżeństwie, kiedy mu jeszcze nianka potrzebna; właśnie pan generał będzie jego nianką - patrzcie, jak się to koło niego zwija! Widzisz, księżę, twoja ukochana wzięła pieniądze, bo jest rozpustna, a tyś ją chciał wziąć za żonę! No i czemu płaczesz? Gorzko ci, co? A moim zdaniem powinieneś się śmiać - ciągnęła dalej Nastasja Filipowna, chociaż i jej błysnęły na policzkach dwie duże łzy. - Wierz mi, czas goi najcięższe rany; wszystko przejdzie, wierz mi! Lepiej się teraz namyślić niż później... Ale dlaczego wszyscy płaczą? I Katia płacze! A ty czego moja Katieńko? I tobie, i Paszy dużo zostawiam, wydałam już polecenia, a teraz - żegnajcie! Ciebie, uczciwą dziewczynę, zmuszałam, abyś usługiwała takiej jak ja nierządniczy... Tak będzie lepiej, księżę, doprawdy lepiej, zacząłbyś mną później pogardzać i nie byłibyśmy szczęśliwi! Nie przysięgaj, nie wierzę! O, jakież to byłoby głupie!... Nie, lepiej, żebyśmy się rozstali w przyjaźni, przecież i ze mnie marzycielka, nie wyszłoby nam to na dobre. A czyż ja o tobie nie marzyłam? To ty masz słusność, dawno marzyłam, jeszcze tam na wsi, u niego; pięć lat spędziłam sama samiuteńka; myślę, myślę, bywało, marzę, marzę - i wciąż sobie takiego jak ty wyobrażałam, dobrego, uczciwego, miłego, i tak samo głupiutkiego; wyobrażałam sobie, że nagle przyjdzie i powie: „Pani jest niewinna, Nastasjo Filipowno, a ja panią ubóstwiam!” Tak się czasem rozmarzyłam, że o mało zmysłów nie postradałam.. A tu nagle przyjeżdża, o, ten: bawił po jakieś dwa miesiące w roku; zhańbi, pokrzywdzi, roznamiętni, doprowadzi do rozpusty i wyjedzie - chyba tysiąc razy chciałam się utopić w stawie, ale podła byłam, brakło mi zawsze odwagi; no, a teraz... Rogożyn, gotowe?

- Gotowe! Nie podchodź!

- Gotowe! - krzyknęło kilkanaście głosów.

- Trójki czekają, z dzwonkami.

Nastasja Filipowna chwyciła paczkę z pieniędzmi.

- Ganka, przyszła mi do głowy myśl: chcę ci to jakoś wynagrodzić, z jakiej racji masz wszystko tracić? Rogożyn! Czy on doczłoga się na Wasiliewską za trzy ruble ?

- Doczłoga się!

- No to słuchaj że, Gania, chcę po raz ostatni zobaczyć, jaką masz duszę; tyś mnie męczył całe trzy miesiące; teraz na mnie kolej. Widzisz tę paczkę, jest w niej sto tysięcy! Zaraz ją wrzucę do kominka, w ogień, przy świadkach, wszystkich tu obecnych! Jak tylko ogień ogarnie ją całą - podejdź do kominka, zawiń rękawy i gołymi rękami, bez rękawiczek, wyciągnij paczkę z ognia! Jeśli wyciągniesz - twoje, całe sto tysięcy twoje! Trochę sobie tylko oparzysz paluszki - no, ale dla stu tysięcy, pomyśl! Czyż to długo trzeba wyciągać! A ja się na ciebie popatrzę z lubością, jak ty będziesz skakał w ogień po moje pieniądze. Biorę wszystkich na świadków, że paczkę dostaniesz na własność! A jak nie skoczysz w porę, paczka się spali; nikomu innemu wziąć jej nie pozwolę. Precz! Wszyscy z dala! Pieniądze są moje! Dostałam je za noc u Rogożyna. Czy moje są te pieniądze, Rogożyn?

- Twoje, mój skarbie! Twoje, królowo!

- No to wara wszystkim od kominka; co chcę, to robię! Proszę mi nie przeszkadzać! Ferdyszczenko, niech pan poprawi ogień!

- Nastasjo Filipowno, ręce odmawiają posłuszeństwa! - odrzekł oszołomiony Ferdyszczenko.

- Eech! - krzyknęła Nastasja Filipowna, złapała szczypcę, rozgarnęła dwa tłące się polana i ledwo tylko buchnął płomień, rzuciła weń paczkę.

Krzyk rozległ się dokoła; wielu obecnych nawet się przeżegnało.

- Oszalała, oszalała! - wołano dokoła.

- Może by ją... związać? - szepnął generał do Pticyna. - Albo też posłać... Przecież ona zwariowała; prawda, że zwariowała? Co?

- Nnie, to chyba nie jest zupełne wariactwo - wyszeptał blady jak płótno i głęboko przejęty Pticyn, niezdolny oderwać oczu od leżącej w płomieniach paczki.

- Przecież ona jest obłąkana? Prawda, że obłąkana? - nalegał generał na Tockiego.

- Mówiłem panu, że to kobieta z charakterem, i to nieprzeciętnym - wyszeptał, też trochę pobladły, Afanasij Iwanowicz.

- Ale to jednak sto tysięcy!...

- Boże, Boże! - słyhać było zewsząd. Wszyscy skupili się dokoła kominka, wszyscy się pchali, żeby popatrzeć, wszyscy krzyczeli... Niektórzy weszli nawet na krzesła, chcąc patrzeć ponad

głowami. Daria Aleksiejewna wybiegła do drugiego pokoju i w strachu mówiła o czymś szeptem z Katią i z Paszą. Piękna Niemka uciekła.

- Pani szanowna! Królowo! Wszchemogąca! - skamlał Lebediew, czołgając się na kolanach przed Nastasją Filipowną i wyciągając ręce do kominka. - Sto tysięcy! Sto tysięcy! Sam widziałem, przy mnie były pakowane! Pani szanowna! Zmiłuj się! Każ mi wejść do kominka: cały wleżę, całą moją siwą głowę włożę w ogień!... Chora żona, kaleka, bez nóg, trzynaścioro dzieci - same sieroty, ojca pochowałem w zeszłym tygodniu, głodny siedzę, Nastasjo Filipowno! - I wyjęczawszy to wszystko, poczołgał się w stronę kominka.

- Precz! - krzyknęła Nastasja Filipowna odpychając go. - Proszę, żeby wszyscy się rozstąpili! Gania, czemu tak stoisz? Nie wstydz się! Podchodź! Twoje szczęście!

Ale Gania zbyt dużo już wycierpiał tego dnia i tego wieczoru i na tę ostatnią nieoczekiwaną próbę nie był przygotowany. Tłum rozstąpił się przed nimi na dwie strony i Gania został sam z Nastasją Filipowną, o trzy kroki od niej. A ona stała tuż przy kominku i czekała, nie spuszczać z niego ognistych, patrzących uważnie oczu. Gania we fraku, z kapeluszem i rękawiczkami w ręku, stał przed nią milcząc, nie odpowiadał nawet ruchem głowy, splótł dłonie i patrzył w ogień. Szaleńczy uśmiech błąkał się po jego bladej jak chustka twarzy. Co prawda, nie mógł oderwać oczu od ognia, od tłęcej się paczki; ale wydawało się, że coś nowego urosło mu w duszy; jakby poprzysiągł sobie, że wytrzyma torturę; nie ruszał się z miejsca; po kilku chwilach stało się dla wszystkich jasne, że nie pójdzie po paczkę, nie chce po nią iść.

- Ej, spalą się pieniądze i będzie ci wstyd - krzyczała do niego Nastasja Filipowna - a potem się powieszysz, ja nie żartuję!

Ogień, który z początku buchnął pomiędzy dwoma tłącymi się polanami, potem, kiedy upadła na niego i przydusiła go paczka, nieco przygasł. Ale mały niebieski płomyk jeszcze się czepiał z dołu za jeden rożek dolnego polana. W końcu cienki, długi języczek ognia liznął i paczkę, przylgnał do niej, pobiegł w górę po rogach papieru i nagle cała paczka zajęła się ogniem, jaskrawy płomień skoczył do góry. Wszyscy razem krzyknęli: „Ach!”

- Pani szanowna! - wciąż jeszcze jęczał Lebediew, znów wrywając się naprzód; ale Rogożyn znów go powstrzymał i odepchnął.

Sam Rogożyn zamienił się w jedno nieruchome spojrzenie. Nie mógł oderwać wzroku od Nastasji Filipowny, upajał się, był w siódmym niebie.

- To dopiero królowa! - powtarzał co chwila zwracając się do tego lub owego z obecnych. - To dopiero po naszymu! - pokrzykiwał na pół przytomnie. - No i który z was, szubrawcy, zdobyłby się na coś podobnego, co?

Księżę obserwował to wszystko, smutny i milczący.

- Zębami wyciągnę za jeden jedyny tysiąc! - zaproponował Ferdyszczenko.

- Tak to i ja bym potrafił! - odezwał się skądś z tyłu jegomość z pięściami i aż zazgrzytał w przystępie prawdziwej rozpacz. - Do d - diabła! Pali się, wszystko się pali! - zawołał ujrząwszy płomień.

- Pali się, pali! - krzyczeli wszyscy jednocześnie i prawie wszyscy rzucili się w stronę kominka.

- Gania, nie rób komedii, mówię po raz ostatni!

- Właż! - ryknął Ferdyszczenko, rzuciwszy się na Ganię jak furia i szarpiąc go za rękaw. - Właż, fanfaronie! Spalą się! O przeklęty!

Gania z całej siły odepchnął Ferdyszczenkę, odwrócił się i poszedł w stronę drzwi; nie zdążył jednak zrobić nawet dwóch kroków, zatoczył się i runął na podłogę.

- Zemdlął! - krzyknęli wszyscy.

- Pani szanowna, spalą się! - wył Lebediew.

- Spalą się! - krzyczano dokoła.

- Katia, Pasza, dajcie mu wody, spirytusu! - krzyknęła Nastasja Filipowna, chwyciła szczypce i wyciągnęła paczkę.

Prawie cały zewnętrzny papier nadpalił się i tlił, ale od razu widać było, że wewnątrz paczki zostało nietknięte. Paczka była w potrójnie złożonej gazecie i pieniądze zostały nienaruszone. Wszyscy odetchnęli swobodniej.

- Najwyżej jaki tysiączek się popsuł, a reszta uratowana - powiedział z rozrzewnieniem Lebediew.

- Wszystko jest jego! Cała paczka jego! Słyszycie, panowie? - obwieściła Nastasja Filipowna kładąc paczkę obok Gani. - A jednak wytrzymał, nie poszedł! To znaczy, że ambicja góruje w nim nad chciwością. Nic mu nie będzie, przyjdzie do siebie! Bo gotów by mnie jeszcze zamordować... O! już wraca do przytomności. Panie generale, Iwanie Pietrowiczu, Dario Aleksiejewno, Katia, Pasza, Rogożyn, słyszeliście? Paczka jest własnością Gani. Daję mu tę paczkę jako nagrodę... no, wszystko jedno za co!... Powiedzcie mu. Niech te pieniądze tu przy nim leżą... Rogożyn, jazda! Bądź zdrow, książę, pierwszy raz w życiu widziałam człowieka! Do widzenia, Afanasiju Iwanowiczu, *merci*!

Cała banda Rogożynowska z hukiem, trzaskiem i krzykami przewaliła się przez pokoje do wyjścia, podążając za Rogożynem i Nastasją Filipowną. W salonie służące podały jej futro; z kuchni przybiegła kucharka Marfa. Nastasją Filipowną ze wszystkimi trzema się wycalowała.

- Czy to nasza kochana pani całkiem nas porzuca? A gdzież pani pójdzie? I jeszcze w dniu urodzin, w takim dniu! - pytały zapłakane dziewczęta, całując ją po rękach.

- Pójdę na ulicę, Katia, słyszałaś przecie, tam jest moje miejsce; albo będę praczką. Z Afanasijem Iwanowiczem - koniec! Kłaniajcie mu się w moim imieniu, a do mnie nie miejcie żalu...

Książę pobiegł co tchu przed bramę, gdzie wszyscy już siadali do czterech powozów zaprzężonych w trójki koni z dzwonkami. Generał zdążył go jeszcze dogonić na schodach.

- Na miłość boską, niechże się książę opamięta - mówił chwytając go za rękę. - Niech książę da spokój! Przecie widać, co to za jedna! Mówię jak ojciec...

Książę popatrzył na niego, ale nie rzekłszy ani słowa wyrwał się i pobiegł na dół.

Przed bramą, skąd dopiero co odjechały trójki, generał spostrzegł, że książę zawołał pierwszego z brzegu dorożkarza i kazał mu jechać do Jekatierinhofu, za trójkami. Następnie zajechał siwy kłusaczek i zawiózł do domu generała, który jechał z nowymi nadziejami i rachubami, i z ową perłą, której nie zapomniał zabrać. Wśród nowych projektów mignął mu też ze dwa razy ponętny obraz Nastasji Filipowny; generał westchnął:

- Szkoda, Wielka szkoda! Zgubiona kobieta! Kobieta, która postradała zmysły!... No, a księciu trzeba teraz kogo innego, nie Nastasji Filipowny...

Kilka podobnie pouczających i moralnych słów wypowiedzieli również dwaj inni uczestnicy przyjęcia u Nastasji Filipowny, którzy postanowili przejść się kawałek pieszo.

- Wie pan, Afanasiju Iwanowiczu, podobnie, jak słyszałem, dzieje się u Japończyków - mówił Iwan Pietrowicz Pticyn. - Pokrzywdzony na honorze idzie tam jakoby do krzywdziciela i powiada mu: „Tyś mnie obraził, więc przyszedłem rozpruć sobie w twoich oczach brzuch”, i przy tych słowach rzeczywiście rozpruwa sobie brzuch w oczach swojego krzywdziciela i zapewne czuje nadzwyczajne zadowolenie, jakby naprawdę zemścił się na nim. Dziwne bywają na świecie usposobienia, Afanasiju Iwanowiczu.

- Myśli pan, że i tu było coś w tym rodzaju? - odparł z uśmiechem Afanasij Iwanowicz. - Hm! Pan to ujął bardzo dowcipnie... zrobił pan ładne porównanie. Widział pan jednak sam, kochany Iwanie Pietrowiczu, że uczyniłem ze swojej strony wszystko, co mogłem; nie mogę przecież zrobić więcej, niż można, zgodzi się pan ze mną, prawda? Ale musi pan zgodzić się również z tym, że ta kobieta miała wiele kapitalnych zalet... wspaniałych zalet. Chciałem jej nawet krzyknąć, gdybym sobie mógł być na to pozwolić przy tej całej Sodomie, że ona sama stanowi najlepsze usprawiedliwienie wszystkich stawianych mi zarzutów. No niech pan powie: kogo ta kobieta nie oczarowałaby aż do utraty rozsądku i... wszystkiego? Niech pan popatrzy, ten prostak Rogożyn wytrzasnął dla niej sto tysięcy! Przypuśćmy, że to wszystko, co się zdarzyło, jest przemijające, romantyczne, nieprzyzwoite, ale jakie to barwne, jakie oryginalne - zgodzi się pan. Boże, co też by mogło być przy takim charakterze i przy takiej urodzie! Ale pomimo wszelkich starań, nawet pomimo wykształcenia - wszystko przepadło! Nie oszlifowany brylant - zawsze to mówiłem.

I Afanasij Iwanowicz głęboko westchnął.

CZEŚĆ DRUGA

I

W dwa dni po owym dziwnym zajściu na wieczorze u Nastasji Filipowny, którego opisem zakończyliśmy pierwszą część naszego opowiadania, ksiązę Myszkina wyjechał spieszenie do Moskwy w sprawie swojego nieoczekiwanego spadku. Mówiono wówczas, że mogły być również inne przyczyny tak pośpiesznego wyjazdu; ale o tym, jak również o przygodach księcia w Moskwie i w ogóle przez cały czas jego pobytu poza Petersburgiem możemy udzielić tylko bardzo skąpych informacji. Ksiązę był nieobecny całe sześć miesięcy i nawet ci, którzy mieli jakieś powody, aby się interesować jego losem, zbyt mało mogli się o nim dowiedzieć w ciągu całego tego czasu. Do niektórych wprawdzie dochodziły, chociaż bardzo rzadko, pewne słuchy, ale też przeważnie jakieś dziwne i prawie zawsze sprzeczne. Najbardziej, rzecz prosta, interesowano się księciem w domu Jepanczynów, z którymi, wyjeżdżając, nawet nie zdążył się pożegnać. Generał zresztą widział się z nim wtedy, nawet kilka razy; prowadzili jakieś poważne rozmowy. Jeśli jednak sam Jepanczyn widział się z nim, to rodziny swojej o tym nie powiadomił. No i w ogóle, to znaczy prawie cały miesiąc po odjeździe księcia, w domu Jepanczynów nie było przyjęte rozmawiać o nim. Jedną tylko generałowa Lizawietę Prokofiewną wypowiedziała na samym początku zdanie, że „straszenie się pomyliła co do księcia”. Potem po dwóch czy trzech dniach dodała, ale już nie wymieniając księcia z nazwiska, tylko w sposób ogólnikowy, że „główną jej cechą w życiu były nieustanne pomyłki co do ludzi”. I wreszcie, już po dziesięciu dniach, oświadczyła w formie sentencji, rozgniewawszy się o coś na córki, że: „Dosyć tych pomyłek! Już ich więcej nie będzie.” Należy przy tym zauważyć, że w ich domu dość długo panował jakiś nieprzyjemny nastrój. Atmosfera była dziwnie ciężka, napięta, pełna niedomówień i grożąca każdej chwili sprzeczką; wszyscy chodzili nachmurzeni. Generał dzień i noc pracował, załatwiał różne interesy; dawniej rzadko kiedy widywano go takim zajęтым i czynnym, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy służbowe. Domownicy widywali go tylko przelotnie. Co zaś się tyczy panien Jepanczyn, to na głos oczywiście żadnych myśli nie wypowiadały. Może nawet i pomiędzy sobą mało o tym mówiły. Panny to były dumne, pyszne i nawet względem siebie niekiedy wstydlive, a jednak rozumiały się nawzajem nie tylko od jednego słowa, ale nawet od jednego spojrzenia, toteż częstokroć nie musiały zamieniać paru słów.

Postronny obserwator, gdyby się taki znalazł na miejscu, mógłby jedno tylko wywnioskować; że sądząc z tego wszystkiego, co zresztą stanowiło w sumie bardzo niewiele, ksiązę zdołał jednak wyrzeć w domu Jepanczynów szczególne wrażenie, chociaż zjawił się u nich tylko jeden raz, i to na krótko. Możliwe, że była to po prostu zwykła ciekawość, dająca się wytłumaczyć pewnymi ekscentrycznymi przygodami księcia. Jakkolwiek tam było, wrażenie pozostało.

Z biegiem czasu i te pogłoski, które rozeszły się po mieście, zdążyły pójść w zupełne zapomnienie. Opowiadano wprawdzie o jakimś książątku i głuptym (nikt nie mógł dokładnie wymienić nazwiska), który nagle otrzymał olbrzymi spadek i ożenił się z pewną przejeźdną Francuzką, znaną kankanistką w „Chateau de Fleurs” w Paryżu. Inni znowu mówili, że spadek otrzymał jakiś generał, a z przejeźdną Francuzką i znaną tancerką ożenił się rosyjski kupczyk i wielki bogacz, który podczas ślubu, z prostej chełpliwości, po pijanemu, spalił na świeczce za siedemset tysięcy rubli biletów loteryjnych ostatniej emisji. Ale wszystkie te pogłoski wkrótce ucichły, do czego w dużym stopniu przyczyniły się okoliczności. Cała na przykład banda Rogożyna, z której

wielu mogłoby coś niecoś opowiedzieć, udała się w komplecie, ze swoim hersztem na czele, do Moskwy, w tydzień mniej więcej po straszliwej orgii na dworcu w Jekatierinhofie, gdzie obecna była również Nastasja Filipowna. Ktoś tam bodaj spośród tych nielicznych, co się interesowali, dowiedział się z dziesiątych ust, że Nastasja Filipowna nazajutrz po Jekatierinhofie uciekła, znikła i że jakoby wysledzono w końcu, iż wyjechała do Moskwy; więc i w wyjeździe Rogożyna do Moskwy zaczęto się dopatrywać pewnej łączności z tą pogłoską.

Chodziły też słuchy co do samego Gawriły Ardalionowicza Iwołgina, który był dosyć dobrze znany w swojej sferze. Ale i z nim wydarzyło się coś, co niebawem złagodziło, a następnie całkiem zlikwidowało wszelkie niedobre opowiastki na jego temat: zachorował tak ciężko, że nie mógł się pokazywać nigdzie, nie tylko w towarzystwie, ale nawet w służbie. Chorował z miesiąc, potem wyzdrowiał, jednak z posady w towarzystwie akcyjnym dla czegoś zupełnie zrezygnował i miejsce jego zajął inny urzędnik. W domu generała Jepanczyna również się nie zjawił ani razu, toteż i do generała zaczął przychodzić kto inny. Wrogowie Gawriły Ardalionowicza mogliby dojść do wniosku, że po tym wszystkim, co mu się przytrafiło, jest tak skonfundowany, iż wstydzi się nawet wyjść na ulicę; on jednak naprawdę niedomagał: wpadł nawet w hipochondrię, zamyślał się, bywał rozdrażniony. Warwara Ardalionowna tej samej zimy wyszła za mąż za Pticyna; wszyscy, co ich znali, zwyczajnie przypisywali ów związek tej okoliczności, że Gania nie chciał wrócić na swoją posadę i nie tylko przestał utrzymywać rodzinę, ale nawet sam teraz potrzebował pomocy i niemal opieki.

Zanotujmy w nawiasie, że i o Gawrile Ardalionowiczu w domu Jepanczynów nigdy nie wspomniano - jakby taki człowiek w ogóle nie istniał na świecie, nie tylko w ich domu. A tymczasem wszyscy się tam dowiedzieli w związku z nim (i to dosyć prędko) pewnej arcyciekawej okoliczności, a mianowicie: w ową fatalną dla niego noc po nieprzyjemnym zajściu u Nastasji Filipowny, Gania, wróciwszy do domu, nie położył się spać, ale z gorączkową niecierpliwością wyczekiwał powrotu księcia. Książę, który pojechał do Jekatierinhofu, wrócił stamtąd o szóstej rano. Wtedy Gania wszedł do jego pokoju i położył przed nim na stole nadpaloną paczkę pieniędzy, podarowanych mu przez Nastasję Filipownę, kiedy leżał zemdlony. Usilnie prosił księcia, aby ten przy pierwszej okazji zwrócił pieniądze Nastasji Filipownie. Kiedy Gania wchodził do księcia, był usposobiony wrogo i niemal zupełnie zdesperowany, książę miał mu jednak powiedzieć coś takiego, że Gania przesiedział u niego dwie godziny i cały czas szlochał rozpaczliwie. Rozstali się w przyjaźni.

Wiadomość ta, która doszła do wszystkich Jepanczynów, była, jak się następnie potwierdziło, całkiem prawdziwa. Dziwne to oczywiście bardzo, że tego rodzaju rzeczy mogły tak szybko ujawniać się i dochodzić do wielu osób; wszystko na przykład, co miało miejsce u Nastasji Filipowny, stało się wiadome u Jepanczynów bodaj że nazajutrz, i to nawet ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Co zaś się tyczy wiadomości o Gawrile Ardalionowiczu, można by mniemać, że zostały dostarczone Jepanczynom przez Warwarę Ardalionownę, która jakoś nagle zadomowiła się u panien Jepanczyn i nawet bardzo prędko zaczęła z nimi żyć na przyjacielskiej stopie, co ogromnie dziwiło Lizawietę Prokofiewnę. Jednak Warwara Ardalionowna, chociaż uznała czemuś za potrzebne tak bardzo zbliżyć się z Jepanczynami, o bracie swoim na pewno by z nimi nie rozmawiała. Była to również kobieta dumna, tylko w swoim rodzaju, mimo iż zaprzyjaźniła się z domem, z którego brat jej został prawie wyrzucony. Przedtem znała się wprawdzie z pannami Jepanczyn, ale widywała je nader rzadko. W salonie i teraz zresztą prawie się nie zjawiała i wchodziła, a raczej wpadała,

kuchennymi drzwiami. Lizawieta Prokofiewna nigdy jej nie okazywała życzliwości, ani dawniej, ani teraz, chociaż bardzo poważała Ninę Aleksandrownę, matkę Warwary Ardalionowny. Dziwiła się, gniewała, przypisywała znajomość z Warią kaprysom i władczym aspiracjom swoich córek („nie wiedzą już, co wymyślić, żeby matce zrobić na przekór”), a Warwara Ardalionowna jednak nadal do nich przychodziła, zarówno przed zamążpójściem, jak i po nim.

Upłynął może z miesiąc od wyjazdu księcia i generałowa Jepanczyn otrzymała list od starej księżnej Biełokońskiej, która dwa tygodnie przedtem wyjechała do Moskwy do swojej najstarszej zamężnej córki; list ten zrobił na generałowej widoczne wrażenie. Chociaż o jego treści nic nie wspomniała ani córkom, ani mężowi, jednak z wielu różnych objawów można było wywnioskować, że jest jakoś szczególnie podniecona, a nawet przejęta. Zaczęła jakoś niezwykle dziwnie zagadywać do córek i wciąż o jakichś niezwykle rzeczach; widać było, że chce coś powiedzieć, ale dla czegoś się wstrzymuje. W dniu, w którym otrzymała list, dla wszystkich była czulsza, nawet pocałowała Agłaję i Adelajdę, z czegoś tam tłumaczyła się przed nimi, ale z czego mianowicie - nie mogły pojąć. Nawet dla Iwana Fiodorowicza, z którym przez cały miesiąc żyła jak pies z kotem, stała się nagle łaskawa. Ma się rozumieć, zaraz nazajutrz okropnie się rozgniewała za swoją wczorajszą czułość i jeszcze przed obiadem zdążyła ze wszystkimi się pokłócić; przed wieczorem wszakże horyzont znów się przejaśnił. W ogóle przez cały tydzień potem była dosyć pogodnie usposobiona, co się już dawno nie zdarzało.

Ale jeszcze w tydzień później nadszedł od Biełokońskiej drugi list i tym razem generałowa postanowiła się wypowiedzieć. Uroczyście oznajmiła, że „stara Biełokońska” (nigdy inaczej nie nazywała księżnej, mówiąc o niej poza jej plecami) komunikuje jej dosyć pocieszające wiadomości o tym... „dziwaku, no, o tym waszym księciu”! Staruszka odszukała go w Moskwie, wypytywała o niego i dowiedziała się wiele dobrych rzeczy; książe w końcu sam złożył jej wizytę i wywarł na niej wrażenie wprost nadzwyczajne. „Widać to chociażby z tego, że zaprosiła księcia, aby codziennie rano bywał u niej, między pierwszą a drugą, i książe przyłazi dzień w dzień i dotychczas się jej nie sprzykrzył” - zakończyła generałowa dodając, że dzięki „starej” książe został przyjęty w kilku porządnym domach. „To dobrze, że nie wysiaduje w domu i nie wstydzi się jak głupiec.” Panny, którym to wszystko oznajmiono, zauważyły natychmiast, że mama jakoś wiele z tego listu przed nimi ukryła. Może dowiedziały się o tym przez Warwarę Ardalionownę, która mogła wiedzieć i oczywiście wiedziała wszystko, co wiedział Pticyn o księciu i o pobycie tegoż w Moskwie. A Pticyn mógł być lepiej poinformowany niż wszyscy inni. Ale był to człowiek nader skąpy w słowach, kiedy chodziło o interesy, chociaż przed Warią, ma się rozumieć, nie miał sekretów. Dlatego też generałowa zaczęła się odnosić do Wari z jeszcze większą niechęcią.

Tak czy owak lody zostały przełamane i o księciu odtąd można już było mówić głośno i otwarcie. Przy tym jeszcze raz się ujawniło to niezwykle wrażenie i owo niepomiernie duże zainteresowanie, jakie wzbudził i zostawił po sobie książe w domu Jepanczynów. Generałowa nawet zdziwiona była wrażeniem, które wywarł na jej córkach list otrzymany z Moskwy. A córki też ze zdziwieniem patrzyły na swoją mamę, która tak uroczyście oznajmiła im, że „główną cechą jej życia były nieustanne pomyłki co do ludzi”, a jednocześnie polecała księcia łaskawym względem „potężnej” starej Biełokońskiej w Moskwie, przy czym, ma się rozumieć, trzeba było wypraszać te względy zaklinaniem się na Boga, ponieważ „stara” w pewnych wypadkach niełatwo ulegała namowom.

Ale gdy tylko lody zostały skruszone i inne wiatry powiały, zabrał wreszcie głos i sam generał. Okazało się, że i jego ta sprawa mocno ciekawiła. Zakomunikował zresztą jedynie to, co dotyczyło „praktycznej strony przedmiotu”. Okazało się, że w interesie księcia polecił dwom jakimś bardzo prawomyślnym i w swoim rodzaju wpływowym panom w Moskwie, aby roztoczyli dyskretny nadzór nad nim, a zwłaszcza nad jego prawnym doradcą Sałazkinem. Wszystko, co mówiono o spadku („o samym, że tak powiem, fakcie otrzymania spadku”), okazało się zgodne z prawdą, ale masa spadkowa koniec końcem nie była taka wielka, jak rozpowiadano z początku. Sytuacja była po części mocno zagmatwana i ujawnione zostały długi, zjawili się jacyś inni pretendenci, a i księżę, pomimo wszelkich rozsądnych porad, zachowywał się w sposób nie praktykowany w sferze interesów pieniężnych. „Oczywiście, daj mu Boże”; teraz, kiedy pękły „lody milczenia”, generał cieszy się, że może o tym mówić „z duszy i serca szczerze”, bo chociaż chłopiec jest „trochę nie tego”, ale w każdym razie zasługuje na lepszą dolę. Tymczasem jednak zdążył narobić głupstw: zjawili się na przykład wierzyciele zmarłego kupca, przedstawiając dokumenty niepewne, wątpliwej wartości, a inni nawet, przewąchawszy coś niecoś o księciu, przyszli w ogóle bez dokumentów - i co? Księżę prawie wszystkich zaspokoił mimo perswazji przyjaciół, którzy mu klarowali, że wszyscy ci ludzie, wszyscy ci wierzyciele nie mają żadnych podstaw formalnych; on zaś dlatego tylko zaspokoił ich roszczenia, że, jak się okazało, niektórzy z nich istotnie ponieśli straty.

Generałowa odezwała się na to, że coś w tym rodzaju pisze jej Bielołokońska i że to jest „głupie, bardzo głupie”; „na głupotę nie ma lekarstwa”, dodała ostro, ale widać było po jej twarzy, jak bardzo się cieszyła z postępów tego „głupca”. Pod koniec całej rozmowy generał zauważył, że jego małżonka interesuje się księciem jak rodzonym synem i że zaczęła jakoś strasznie pieścić Agłaję; widząc to Iwan Fiodorowicz przybrał na pewien czas postawę pełną obojętnej rzeczowości.

Cały ten przyjemny nastrój jednak utrzymał się niedługo. Uplłynęły zaledwie dwa tygodnie i znów raptem coś się odmieniło; generałowa chodziła zasepiona, a generał, wzruszywszy kilka razy ramionami, poddał się znowu „lodom milczenia”. Rzecz polegała na tym, że jakieś dwa tygodnie temu Iwan Fiodorowicz otrzymał przypadkiem wiadomość, wprawdzie dosyć lakoniczną i z tego względu niezbyt jasną, ale za to pewną, iż Nastasja Filipowna, która najpierw przepadła w Moskwie, a potem została tamże odnaleziona przez Rogożyna, a następnie znów gdzieś zginęła i znów była przez niego odnaleziona, dała mu wreszcie niemal uroczyste słowo, że wyjdzie za niego za mąż. I oto ledwo minęły dwa tygodnie, jego ekscelencja nagle otrzymał wiadomość, że Nastasja Filipowna uciekła po raz trzeci, niemal sprzed ołtarza, i tym razem zniknęła gdzieś na terenie guberni, a tymczasem zniknął również z Moskwy księżę Myszkina, zostawiając wszystkie sprawy w rękach Sałazkina; „z nią czy też po prostu za nią - nie wiadomo, ale coś w tym jest” - zakończył generał. Lizawieta Prokofiewna też ze swej strony otrzymała jakieś nieprzyjemne wiadomości. Koniec końców w dwa miesiące po wyjeździe księcia prawie wszelki słuch o nim w Petersburgu ostatecznie zaginął, a w domu generała już nikt więcej nie przełamywał „lodów milczenia”. Warwara Ardalionowna odwiedzała zresztą panny Jepanczyn tak jak dotychczas.

Żeby zakończyć o tych wszystkich słuchach i wiadomościach, dodamy jeszcze, że u Jepanczynów przed wiosną zaszły wielkie zmiany, toteż trudno było pamiętać o księciu, który sam również nie dawał, a może nie chciał dać o sobie znaku życia. W ciągu zimy zdecydowano nareszcie wyjazd na lato za granicę, to znaczy wyjazd Lizawiety Prokofiewny z córkami; generał oczywiście nie mógł tracić czasu na „błahą rozrywkę”. Decyzja ta zapadła po niezwykle i uporczywym

naleganiu panien, które doszły do niezbitej konkluzji, że rodzice nie chcą ich zabrać za granicę dlatego, iż ciągle się troszczą o to, aby je wydać za mąż i znaleźć im odpowiednie partie. Bardzo możliwe, iż rodzice przekonali się na koniec, że konkurentów nie brak również za granicą i że wyjazd na jedno lato nie tylko niczego nie popsuje, ale bodaj nawet „może się przydać”. Wypada tu nadmienić, że projekt małżeństwa Afanasija Iwanowicza Tockiego z najstarszą z panien Jepanczyn zupełnie upadł i formalne oświadczenia się nie odbyły. Złożyło się to jakoś samo przez się, bez wielkich rozmów i bez żadnej walki wewnątrzrodzinnej. Od czasu wyjazdu księcia nagle wszystko z obydwóch stron ucichło. I ta właśnie okoliczność stała się jedną z przyczyn ówczesnej ciężkiej atmosfery w domu Jepanczynów, chociaż generałowa zaraz oświadczyła, że gotowa jest z radości „przeżegnać się obydwoma rękami”. Generał, chociaż był w niełasce u żony i czuł, że sam zawinił, jednak na dłuższy czas się pogniewał; żał mu było Afanasija Iwanowicza: „Taki majątek i taki obrotny człowiek!” Wkrótce potem generał dowiedział się, że Afanasij Iwanowicz zapałał afektem do pewnej przejezdnej Francuzki z wyższych sfer, markizy i legitymistki, że ślub ma się odbyć i Afanasija Iwanowicza wywiozą do Paryża, a potem gdzieś do Bretanii. „Przepadnie chłop z kretesem” - zdecydował generał.

A tymczasem panie Jepanczyn gotowały się do wyjazdu na lato. I nagle zaszła okoliczność, która znowu wszystko przeinaczyła i wyjazd ponownie został odłożony ku ogromnej radości generała i generałowej. Do Petersburga zawitał z Moskwy pewien książę, książę Sz., znany zresztą człowiek, i to znany w jak najlepszym tego słowa znaczeniu. Był to jeden z tych ludzi, albo nawet, rzec można, działaczy ostatnich czasów, działaczy uczciwych i skromnych, którzy szczerze i świadomie pragną rzeczy pożytecznych, zawsze pracują i odznaczają się tą rzadką i szczęśliwą właściwością, że zawsze znajdują pracę. Nie wysuwając się na pierwszy plan, unikając zaciekłości i gadaniny, nie uważając się za luminarza, zrozumiał ów książę nader gruntownie to, co się działo w ostatnich czasach. Był najpierw w służbie państwowej, potem zaczął brać również udział w działalności ziemskiej[49]. Ponadto był pożytecznym korespondentem kilku rosyjskich towarzystw naukowych. Współ z jednym znajomym technikiem dopomógł, zbierając odpowiednie dane i środki, do ustalenia bardziej właściwego kierunku budowy jednej z ważniejszych projektowanych podówczas linii kolejowych. Miał lat trzydzieści pięć. Był człowiekiem „najwyższych sfer”, a prócz tego posiadał majątek „solidny, poważny, niesporny”, jak się wyraził generał, który miał sposobność przy załatwianiu pewnej ważnej sprawy zetknąć się i poznać z księciem u hrabiego, swojego szefa. Książę, wiedziony pewną szczególną ciekawością, nigdy nie unikał znajomości z rosyjskimi „ludźmi interesu”. Traf zrządził, że książę poznał również rodzinę generała. Adelajda Iwanowna, średnia z trzech sióstr, wywarła na nim dosyć silne wrażenie. Przed wiosną książę się oświadczył. Adelajdzie bardzo się spodobał; spodobał się również Lizawiecie Prokofiewnie. Generał był bardzo kontent. Oczywiście wyjazd za granicę został odłożony. Ślub wyznaczono na wiosnę.

Podróż, co prawda, mogłaby się odbyć i w środku, i pod koniec lata, chociażby tylko w formie jedno - lub dwumiesięcznej przejażdżki Lizawiety Prokofiewny z dwiema pozostałymi przy niej córkami, żeby rozproszyć smutek po Adelajdzie, która opuściła dom rodzinny. Ale stało się znowu całkiem inaczej: już pod koniec wiosny (ślub Adelajdy trochę się odwłókł i był ponownie wyznaczony na środek lata) książę Sz. wprowadził do domu Jepanczynów jednego ze swoich dalszych krewnych, dość dobrze mu zresztą znanego. Był to niejaki Eugeniusz Pawłowicz R., człowiek jeszcze młody, lat jakieś dwadzieścia osiem, fligeladiutant, niezwykle przystojny, „znakomitego rodu”, dowcipny, świetnie się prezentujący, „nowy”, gruntownie wykształcony i

fantastycznie ponoć bogaty. Co do tego ostatniego punktu generał zachowywał zawsze jak najbardziej idącą ostrożność. Zasięgnął informacji: „rzeczywiście, coś takiego jest - ale trzeba jeszcze sprawdzić”. Ten młody, „z przyszłością” fligeladiutant zyskał uznanie starej Biełokońskiej z Moskwy. Jedna tylko drażliwa kwestia psuła nieco jego doskonałą opinię: kilka przelotnych romansów i, jak zapewniano, „zwycięstw” nad jakimiś nieszczęsnymi sercami. Poznawszy Agłaję, zaczął nader gorliwie przesiadywać w domu Jepanczynów. Wprawdzie nic nie było jeszcze powiedziane, nie uczyniono nawet najmniejszej aluzji, rodzice jednak doszli do przekonania, że tego lata nie ma co myśleć o wycieczce za granicę. Sama Agłaja, być może, miała inny na tę sprawę pogład.

Działo się to już prawie przed ponownym ukazaniem się naszego bohatera na scenie naszej opowieści. Do tego czasu, sądząc na pierwszy rzut oka, biednego księcia Myszkina zdążono już w Petersburgu zapomnieć z kretesem. Gdyby teraz nagle zjawił się wśród znajomych, to tak jakby spadł z nieba. Tymczasem jednak opowiemy o jeszcze jednym fakcie i w ten sposób zakończymy nasz wstęp.

Kola Iwołgin po wyjeździe księcia z początku pędził dalej swoje dotychczasowe życie, czyli chodził do gimnazjum, odwiedzał swojego przyjaciela Hipolita, doglądał generała i pomagał Wari w gospodarstwie, to znaczy był u niej na posyłki. Ale sublokatorzy szybko poznikali: Ferdyszczenko wyprowadził się dokądś w trzy dni po awanturze u Nastasji Filipowny i dość szybko przepadł, tak że nawet wszelki słuch o nim zaginął; mówiono, że gdzieś tam prowadzi pijacki żywot, ale to nie było pewne. Księżę wyjechał do Moskwy; więcej żadnych lokatorów nie przyjmowano. Później, kiedy Waria już wyszła za męża, Nina Aleksandrowna i Gania przenieśli się razem z nią do Pticyna, do Pułku Izmajłowskiego; co zaś się tyczy generała Iwołgina, to właśnie wtedy wydarzyło się z nim coś zupełnie nieprzewidzianego: wsadzono go do więzienia za długi. Wpakowała go tam jego przyjaciółka, kapitanowa, na podstawie rewersów opiewających w sumie na jakieś dwa tysiące rubli, które to rewersy generał wystawił w różnym czasie. Wszystko to zdarzyło się dla niego całkiem niespodzianie; biedny generał padł „stanowczo ofiarą swojej nieumiarkowanej wiary w szlachetność serca ludzkiego, mówiąc w ogóle”. Przyswoiwszy sobie zwyczaj beztroskiego podpisywania rewersów i weksli, nie przypuszczał nawet, by kiedykolwiek były możliwe takie skutki owego zwyczaju; wciąż myślał, że to tylko tak sobie. Okazało się, że nie tak. „Ufaj potem wszystkim ludziom, okazuj szlachetną ufność!” - wołał z goryczą, siedząc z nowymi przyjaciółmi w domu Tarasowa przy butelce wina i opowiadając im anegdoty o oblężeniu Karsu i o zmartwychwstałym żołnierzu. Żył sobie zresztą wyśmienicie. Pticyn i Waria mówili, że to jest jego właściwe miejsce; Gania całkowicie się z tym zgadzał. Jedna tylko nieszczęśliwa Nina Aleksandrowna lała gorzkie łzy w ukryciu (co nawet dziwiło domowników) i wiecznie kwękając, wlokła się, gdy tylko mogła, na spotkanie z mężem do Pułku Izmajłowskiego.

Ale od czasu „wypadku z generałem”, jak się wyrażał Kola, i w ogóle od zamążpójścia siostry Kola prawie zupełnie wypadł z orbity wpływów rodzinnych i doszedł do tego, że w ostatnich czasach rzadko nawet nocował w domu. Jak słuchy niesły, porobił mnóstwo nowych znajomości; ponadto stał się nazbyt znany i w więzieniu za długi. Nina Aleksandrowna nie mogła się tam bez niego obejść; w domu zaś nawet go teraz o nic nie pytano. Waria, która tak surowo obchodziła się z nim przedtem, nie poddawała go teraz nawet najmniejszym badaniom co do jego wędrówek; a Gania, ku wielkiemu zdziwieniu domowników, rozmawiał i nawet spotykał się z nim czasami na zupełnie

przyjacielskiej stopie mimo całej swojej hipochondrii, co przedtem nigdy nie miało miejsca, gdyż dwudziestosiedmioletni Gania ze zrozumiałych względów nie zwracał na swojego piętnastoletniego brata najmniejszej uwagi, odnosił się do niego brutalnie, żądał, aby wszyscy domownicy traktowali chłopca jak najsurowiej, i wciąż groził, że „dobierze się do jego uszu”, co Kolę wyprowadzało „z ostatnich granic ludzkiej cierpliwości”. Można było pomyśleć, że teraz Kola stawał się czasami niezbędny dla Gani. Bardzo go zaskoczyło, że Gania zwrócił wtedy pieniądze, za to był gotów wiele mu przebaczyć.

Upłynęły trzy miesiące od wyjazdu księcia i w rodzinie Iwołginów usłyszano, że Kola nagle poznał się z paniami Jepanczyn i został przez nie przyjęty bardzo życzliwie. Waria wkrótce dowiedziała się o tym; Kola zresztą zrobił tę znajomość nie za pośrednictwem Wari, tylko „samodzielnie”. Z czasem polubiono go u Jepanczynów. Generałowej z początku bardzo się nie podobał, ale niebawem zaczęła go darzyć sympatią „za szczerłość i za to, że nikomu nie schlebia”. Że Kola nie schlebiał nikomu, to był fakt; potrafił się postawić na równej z nimi stopie i utrzymać swoją niezależność, chociaż czasami czytał generałowej książki i gazety - jednak zawsze odznaczał się usługowością. Ze dwa razy zresztą okrutnie się posprzeczał z Lizawietą Prokofiewną, nazwał ją despotką i oświadczył, że noga jego nie postanie w jej domu. Po raz pierwszy kłótnia wynikła z powodu „kwestii kobiecej”, a po raz drugi z powodu kwestii, o jakiej porze roku najlepiej jest łapać czyżyki. Może się to komuś wydać niewiarygodne, a jednak generałowa trzeciego dnia po sprzeczce posłała mu przez lokaja kartkę, prosząc o przybycie; Kola nie stroi zbytnich fochów i natychmiast się zjawił. Tylko Agłaja była wciąż do niego usposobiona niechętnie i traktowała go wyniośle. Jej właśnie sądzone było zdziwić się z powodu Koli. Pewnego razu - w Wielkim Tygodniu - upatrzawszy chwilę, kiedy byli sami we dwoje, Kola podał Agłai list, zaznaczając tylko, że zlecono mu doręczyć go jej do rąk własnych. Agłaja groźnie spojrzała na „zarozumiałego chłopaka”, ale Kola nie czekał i wyszedł. Rozpieczętowała list i przeczytała:

„Kiedyś zaszczyliła mnie Pani swoim zaufaniem. Może teraz Pani całkiem o mnie zapomniała. Jak się to mogło stać, że piszę do Pani? Nie wiem: ale uczułem nieodparte pragnienie, żeby przypomnieć Pani o sobie, właśnie Pani. Tak często wszystkie trzy panie były mi potrzebne, ale ze wszystkich trzech widziałem tylko Panią. Pani mi jest potrzebna, bardzo potrzebna. Nie mam nic do napisania o sobie, nic do opowiedzenia. Zresztą nie o to mi chodzi; strasznie bym chciał, żeby Pani była szczęśliwa. Czy Pani jest szczęśliwa? Tylko to chciałem Pani powiedzieć.

Brat pani ks. L. Myszkina.”

Przeczytawszy ten króciutki i dosyć bezsensowny liścik, Agłaja nagle się zarumieniła i zamyśliła. Trudno by było odtworzyć bieg jej myśli. Miedzy innymi spytała siebie: „Czy pokazać komukolwiek?” Było jej jakoś wstyd. Na koniec zresztą z drwiącym i dziwnym uśmieszkiem wrzuciła liścik do swego stolika. Nazajutrz znowu go wyjęła i włożyła do grubej, oprawnej, z mocnym grzbietem książki (zawsze tak robiła ze swoimi papierami, żeby je w razie potrzeby móc szybko znaleźć). I dopiero po tygodniu przypadkiem spostrzegła, co to była za książka. Był to Don Kichot z La Manczy. Agłaja strasznie się uśmieła - nie wiedzieć czego.

Nie wiadomo także, czy pokazała ten list którejkolwiek z sióstr.

Ale kiedy już go czytała, przyszło jej nagle do głowy: czyżby ten „zarozumiały chłopak” i

fanfaron został wybrany przez księcia na korespondenta, i w dodatku był może jedynym jego tutejszym korespondentem? Przybierając wprawdzie minę niezwykle lekceważącą, wzięła jednak Kolę na spytki. Ale zazwyczaj bardzo obraźliwy „chłopak” nie zwrócił tym razem najmniejszej uwagi na lekceważenie; nader krótko i węzłowato, jak również sucho wyjaśnił Agłai, że chociaż przed samym wyjazdem księcia z Petersburga podał mu na wszelki wypadek swój stary adres i zarazem zaproponował swoje usługi, ale że to jest pierwsze zlecenie, które od niego otrzymał, i pierwszy list od niego, a na dowód prawdziwości swoich słów pokazał kartkę, którą właśnie dostał. Agłaja odsunęła na bok skrupuły i przeczytała. W liście do Koli było co następuje:

„Drogi Kola, niech Pan będzie tak łaskaw oddać załączony do niniejszego i zapieczętowany list Agłai Iwanownie. Życzę zdrowia i pomyślności.

Kochający Pana ks. L. Myszkina”

- Swoją drogą, śmieszna to rzecz obdarzać zaufaniem takiego brzdąca - powiedziała obraźliwie Agłaja, oddała Koli kartkę i pogardliwie przeszła obok niego.

Tego już Kola nie mógł znieść: przecież umyślnie na tę okazję wyprosił od Gani, nie tłumacząc mu po co, i zarzucił na szyję zupełnie jeszcze nowy zielony szalik. Teraz poczuł się straszliwie dotknięty.

II

Był początek czerwca i w Petersburgu utrzymywała się wyjątkowo piękna pogoda. Jepanczynowie mieli własną luksusową willę w Pawłowsku. Lizawieta Prokofiewna nagle zaczęła się denerwować i poruszyła cały dom: dwa dni raptem trwało pakowanie rzeczy i przeniesiono się na letnisko.

Na drugi czy na trzeci dzień po wyjeździe Jepanczynów przybył rannym pociągiem z Moskwy książę Lew Nikołajewicz Myszkina. Nikt go nie witał na stacji; ale gdy książę wychodził z wagonu nagle wydało mu się, że z tłumu oczekującego na przyjezdnych skierował ktoś na niego dwoje dziwnie rozgorączkowanych oczu. Książę przyjrzał się uważniej, ale nic już więcej nie dostrzegł. Oczywiście było to tylko przywidzenie: książę jednak wpadł w dosyć nieprzyjemny nastrój. Przy tym książę i tak już był smutny i zamyślony, i wydawał się czymś zatroskany.

Dorożkarz zawiózł go do jednego z hoteli w pobliżu Litiejnej. Hotel był bardzo lichy. Książę zajął dwa nieduże pokoje, ciemne i licho umeblowane, umył się, przebrał, nic nie zamówił i pośpiesznie wyszedł, jakby bojąc się tracić czas lub nie zastać kogoś w domu. Gdyby teraz spojrzął na niego ktoś, kto go znał i widział pół roku temu w Petersburgu podczas pierwszej tu jego bytności, doszedłby do wniosku, że wygląd księcia zmienił się na lepsze. Ale tak chyba nie było. Tylko w ubraniu zaszła zupełna przemiana, ubranie miał nowe, uszyte w Moskwie u dobrego krawca; ale i w tym ubraniu był feler, gdyż uszyte było zanadto modnie (tak jak zwykle szyją sumienni, ale niezbyt utalentowani krawcy), i to dla człowieka, który wcale się tym nie interesował, toteż po dokładnym zlustrowaniu powierzchowności księcia jakiś wielki amator zabawy cudzym kosztem znalazłby niejedno, z czego mógłby się pośmiać. No, ale z czego się też ludzie nie potrafią śmiać!

Książę wziął dorożkę i udał się na Piaski. W pobliżu ulicy Roźdiestwieńskiej odnalazł niebawem pewien mały drewniany domek. Ku jego zdziwieniu domek ten okazał się na wygląd ładny, czyściutki, porządnie utrzymany, z ogródkiem, w którym rosły kwiaty. Okna na ulicę były otwarte i słychać z nich było bezustannie mówiący, ostry głos, prawie krzyk, jakby ktoś czytał głośno albo nawet wygłaszał przemówienie; głos ów przerywały od czasu do czasu wybuchy śmiechu kilku innych donośnych głosów. Książę wszedł na podwórze, stamtąd na ganek i spytał o pana Lebiediewa.

- A tam jest - odpowiedziała kucharka z zakasnymi rękawami, która otworzyła drzwi, i pokazała palcem „bawialnię”.

W owej bawialni, obitej ciemnoniebieską tapetą i zastawionej schludnym, z pewną nawet pretensją do elegancji, umeblowaniem, składającym się z okrągłego stołu i kanapy, z brązowego zegara pod szklanym kloszem, z wąskiego lustra na ścianie pomiędzy dwoma oknami i staroświeckiego niedużego żyrandola, ozdobionego szklanymi wisiorami i zwisającego na brązowym łańcuchu z sufitu, stał pośrodku sam pan Lebiediew, plecami do wchodzącego księcia, w kamizelce, bez surduta, po letniemu, i bijąc się w piersi przemawiał na jakiś temat głosem pełnym goryczy. Słuchaczami jego byli: chłopiec może piętnastoletni, o dość wesołej i niegłupiej twarzy, z książką w ręku, młoda dziewczyna lat dwudziestu, w żałobie, z niemowlęciem na rękach, trzynastoletnia dziewczynka, też w żałobie, wciąż śmiejąca się i okropnie rozdziawiająca przy tym

usta, i wreszcie jakiś bardzo dziwny osobnik - leżący na kanapie chłopak lat dwudziestu, dosyć przystojny, czarniawy, o długich gęstych włosach, dużych czarnych oczach, małych bokobrodach i również malej bródce. Słuchacz ten, jak się zdawało, często przerywał i zaprzeczał rozgadanemu Lebediewowi; z tego prawdopodobnie śmiała się reszta zebranych.

- Łukianie Timofieiczu, Lukianie Timofieiczu! Niech no pan spojrzy! Tu niech pan patrzy!... A cóż to za człowiek!

I kucharka wyszła, machnąwszy ręką i rozgniewawszy się tak, aż jej poczerwieniały policzki.

Lebediew obejrzał się i zobaczywszy księcia stał pewien czas jak rażony piorunem, potem podbiegł ku niemu z przypochebnym uśmiechem, zaraz jednak znowu stanął jak wryty i wyjąkał:

- Ja - ja - jaśnie oświecony książę!

Ale raptem, jakby wciąż jeszcze nie mogąc odzyskać kontenansu, odwrócił się i ni z tego, ni z owego wpadł najpierw na dziewczynę w żałobie z dzieckiem na ręku, aż ta, niczego się nie spodziewając, nawet trochę się cofnęła, ale natychmiast, poniechawszy jej, rzucił się na trzynastoletnią dziewczynkę, sterczącą w drzwiach do sąsiedniego pokoju i wciąż uśmiechającą się resztkami jeszcze niedawnego śmiechu. Ta nie wytrzymała krzyku i natychmiast dała nurka do kuchni; Lebediew nawet tupął za nią nogami, chcąc ją jeszcze bardziej nastraszyć, ale napotkawszy wzrok księcia, który spoglądał zmieszany, rzekł tonem objaśnienia:

- Dla... okazania szacunku, hę, hę, hę!

- Niepotrzebnie pan to robi... - zaczął książę.

- Zaraz, zaraz, zaraz... jak wicher!

I Lebediew szybko zniknął z pokoju. Książę popatrzył zdziwiony na dziewczynę, na chłopca i na leżącego na kanapie osobnika; wszyscy oni się śmieli. Książę też się roześmiał.

- Poszedł włożyć frak - powiedział chłopiec.

- Jakie to wszystko przykre - zaczął mówić książę - a ja myślałem... proszę mi powiedzieć, czy pan Lebediew...

- Nie jest pijany, tak pan myśli? - krzyknął głos z kanapy. - Ani trochę! Wypił może trzy albo cztery kieliszki, najwyżej pięć, ale to jego normalna porcja!

Książę zwrócił się już był w kierunku kanapy, tymczasem jednak zaczęła mówić dziewczyna i z jak najbardziej szczerym wyrazem na miłej twarzyczce rzekła:

- Z rana nigdy dużo nie pije; jeśli pan ma do niego jakiś interes, niech pan załatwi teraz. Najlepsza pora. Chyba że wróci kiedy wieczorem, wówczas ma dobrze w czubie; ale na noc teraz przeważnie płacze i czyta nam różne kawałki z Pisma Świętego, bo pięć tygodni temu umarła nasza mama.

- Uciekł dlatego, że mu naprawdę było trudno odpowiadać panu - roześmiał się młodzieniec z kanapy. - Idę o zakład, że już pana chce oszukać i właśnie teraz obmyśla, jak to zrobić.

- Zaledwie pięć tygodni! Zaledwie pięć tygodni - podchwycił Lebediew wracając już we fraku, mrugając oczami i wyciągając z kieszeni chusteczkę, aby otrzeć łzy. - Sieroty!

- A czegoż to ojciec wyszedł w takim starym łachu? - odezwała się dziewczyna. - Przecie tuż za drzwiami leży nowiutki surdut, nie widział ojciec czy co?

- Cicho bądź, smarkata! - krzyknął na nią Lebediew. - Ach, ty! - zaczął na nią tupać nogami. Ale dziewczyna tylko się roześmiała.

- Czego ojciec straszy, ja nie jestem Tania, nie ucieknę. A ojciec może tylko zbudzić Lubę i jeszcze dziecko dostanie spazmów... niech ojciec tak nie krzyczy!

- Nie, nie, nie! Bodaj ci język spuchł... - wystraszył się okropnie Lebediew i rzuciwszy się do śpiącego na rękach córki niemowlęcia, kilka razy z zalęknioną miną przeżegnał je... - Boże uchwaj, Boże uchwaj! To moje własne dzieciątko, córka Luba - zwrócił się do księcia - z prawowitego małżeństwa, z nieboszczki żony mojej Heleny, która umarła przy porodzie... A to chuchro - to córka moja Wiera, w żałobie... A ten, ten, o ten...

- Co, zaciąłeś się? - krzyknął młodzieniec. - Mów dalej, nie krępuj się.

- Książę! - zawołał nagle w jakimś uniesieniu Lebediew. - Czy pan wie z gazet o zabójstwie rodziny Żemarinów[50]?

- No to właśnie tam na kanapie leży prawdziwy zabójca rodziny Żemarinów we własnej osobie!

- Co też pan mówi? - rzekł książę.

- To znaczy, mówiąc alegorycznie, jest to przyszły, drugi z kolei zabójca przyszłej, drugiej z kolei rodziny Żemarinów, jeżeli takowa będzie kiedyś istniała. Do tego się przygotowuje...

Wszyscy się roześmieli. Księżciu przyszło na myśl, że Lebediew może istotnie błaznuje i plecie głupstwa tylko po to, aby zyskać na czasie, gdyż przeczuwa jego pytania i nie wie, jak na nie odpowiedzieć.

- Buntuje! Organizuje spiski! - krzyczał Lebediew, jakby już nie mając siły pohamować się. - Więc czyż ja mogę, czyż mam prawo takiego zbója, takiego, można powiedzieć, wszetecznika i potwora uważać za mojego rodzzonego siostrzeńca, za jedynego syna nieboszczki siostry mojej Anisji?

- Przestań już wreszcie, pijaku! Czy książę da wiarę, że on teraz wpadł na pomysł, żeby zając się adwokaturą, i prowadzi różne sprawy sądowe? Ogarnął go szal krasomówstwa i z dziećmi w domu rozmawia górnolotnym językiem. Pięć dni temu przemawiał w sądzie pokoju. I ciekawe, kogo bronił: nie staruszki, która go błagała, prosiła i którą ograbił do cna podły lichwiarz zabierając jej ostatnie pięćset rubli, cały jej majątek - nie, bronił tego właśnie lichwiarza, jakiegoś Zajdlera,

parszywego Żyda, za to, że ten obiecał mu dać pięćdziesiąt rubli...

- Pięćdziesiąt rubli, jeśli wygram, a tylko pięć, jeśli przegram - objaśnił nagle Lebediew zupełnie innym głosem, niż mówił dotychczas, jakby nigdy nie krzyczał.

- No i, ma się rozumieć, naplótł głupstw, a ponieważ w sądach teraz już nie te porządki, co dawniej, więc się z niego wyśmieli. Ale był z siebie bardzo zadowolony. „Pamiętajcie, mówił, bezstronni sędziowie, że smutny starzec, kaleka bez nóg, utrzymujący się z uczciwej pracy, traci ostatni kawałek chleba; pamiętajcie o mądrych słowach prawodawcy. „Niech w sądach króluje miłosierdzie.” I niech pan sobie wyobrazi, że codziennie rano całą tę mowę powtarza nam tutaj od początku do końca, tak jak tam ją wygłaszał; dziś przed samym pana przyjściem mówił to samo już piąty raz, tak mu się spodobało. Mówi i sam się oblizuje na swoje słowa. I jeszcze kogoś zamierza bronić. Pan jest, zdaje się, ksiązę Myszkim? Kola mówił mi o panu, że mądrzejszego od pana człowieka na świecie dotychczas nie spotkał...

- Bo nie ma! Nie ma! Nie ma mądrzejszego! - podchwycił od razu Lebediew.

- No, pan Lebediew oczywiście zblagował. Tamten pana naprawdę lubi, a ten się panu podlizuje; ja zaś wcale nie mam zamiaru panu pochlebiać; żeby pan o tym wiedział. Pan ma jednak dużo rozsądku: niech pan będzie naszym sędzią. Chcesz, żeby ksiązę wydał wyrok na mnie i na ciebie? - zwrócił się do wuja. - Bardzo się nawet cieszę, ksiązę, że pan się nawinął.

- Chcę! - krzyknął stanowczym głosem Lebediew i mimo woli obejrzał się na zebranych, którzy zaczęli znowu się przysuwać.

- Cóż się tu dzieje? - powiedział ksiązę marszcząc brwi.

Głowa go rzeczywiście bolała, a przy tym nabierał coraz większej pewności, że Lebediew go zwodzi i rad jest z każdej chwili zwłoki.

- Oto jak przedstawia się sprawa. Jestem jego siostrzeńcem; tu prawdę powiedział, chociaż z reguły zawsze i wszędzie kłamie. Studiów nie ukończyłem, ale chcę ukończyć i postawię na swoim, dlatego że mam charakter. A na razie, żeby się utrzymać, biorę posadę na kolei za dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Przyznaję, że on mi dwa czy trzy razy już dopomógł. Miałem dwadzieścia pięć rubli i przegrałem je. Czy pan da wiarę: byłem na tyle podły, na tyle nikczemny, że przegrałem te pieniądze!

- Do łotra, do łotra, któremu wcale nie należało płacić! - krzyknął Lebediew.

- Tak, do łotra, któremu jednak należało zapłacić - ciągnął dalej młodzieniec. - A że to łotr, mogę przysiąc nie tylko na tej podstawie, że on cię pobił. To, proszę pana, pewien wybrakowany oficer, dymisjonowany porucznik z dawnej bandy Rogożyna, uczy boksu. Wszyscy oni teraz błakają się po świecie, odkąd Rogożyn ich rozpędził. Najgorsze z tego wszystkiego, że wiedziałem, iż to szubrawiec, nikczemnik i złodziejaszek, a jednak siadłem z nim do gry i przegrywając ostatniego rubla (graliśmy w sztos) myślałem sobie: jak przegram, pójdę do wuja Łukiana, pokłonię mu się - na pewno nie odmówi pożyczki. To już nikczemność, to największa nikczemność, jaka być może! To

Świadoma podłość!

- Tak, to świadoma podłość! - powtórzył Lebediew.

- No, no, nie triumfuj, poczekaj jeszcze! - krzyknął z urazą w głosie siostrzeniec. - Jak to się cieszy! Przyszedłem do niego tutaj i wyznałem wszystko: postąpiłem uczciwie, wcale siebie nie oszczędzałem, powiedziałem o sobie wszystko, co mogłem najgorszego; są tu świadkowie. Żeby objąć tę posadę na kolei, muszę się choć jako tako wyekwipować, ponieważ jestem zupełnie obdarty. Niech pan popatrzy na moje buty! Tak stawić się do pracy niepodobna, a jeżeli nie stawię się w oznaczonym terminie, posadę zajmie kto inny; wtedy znowu zostałbym na lodzie i nie wiadomo kiedy znalazłbym inną posadę. Teraz proszę go tylko o piętnaście rubli i przyrzekam, że nigdy już więcej nie będę prosił, a ponadto w ciągu najbliższych trzech miesięcy spłacę mu cały dług co do grosza. Słowa dotrzymam. Potrafię całymi miesiącami żyć tylko chlebem i kwasem, bo charakteru mi nie brak. Za trzy miesiące dostanę siedemdziesiąt pięć rubli. Razem z poprzednim długiem będę mu winien trzydzieści pięć rubli, a więc będę miał z czego zapłacić. Niech zedrze procent, jaki chce, pal diabli! Nie zna mnie czy co? Niech go pan zapyta: czy przedtem, kiedy mi pożyczał, spłacałem czy nie? Dlaczego teraz nie chce mi nic dać? Rozzłościł się o to, że zapłaciłem temu porucznikowi; innego powodu nie ma! Taki to już człowiek - ani sobie, ani innym!

- I nie odchodzi! - krzyknął Lebediew. - Położył się tutaj i nie odchodzi.

- Bo ci powiedziałem. Nie wyjdę, póki nie dasz. Czego się pan uśmiecha, książę? Czy nie sądzi pan przypadkiem, że nie mam racji?

- Nie uśmiecham się, ale, według mnie, pan rzeczywiście trochę nie ma racji - odezwał się niechętnie książę.

- Niech pan już powie wprost, że całkiem nie mam racji, niech pan nie owija w bawełnę, że „trochę”!

- Jeśli pan chce, to powiem: pan całkiem nie ma racji.

- Jeśli chcę! Śmieszna rzecz doprawdy! Czyż pan myśli, że ja sam nie wiem, że tak się nie postępuje, że pieniądze są jego, wola jego, a z mojej strony wygląda to na przymus? Ale pan... nie zna życia. Jak się ich nie nauczy, nic z tego nie wyjdzie. Ich trzeba uczyć. Przecie sumienie mam czyste; jestem pewny, że na straty go nie narażę, gdyż zwrócę dług z procentami. Moralną satysfakcję też otrzymał: widział moje poniżenie. Czegóż chce więcej? Do czego się nada, jeśli nie będzie przynosił pożytku? Na miłość boską, a cóż on sam robi? Niech pan spyta, co on wyprawia z innymi i jak ludzi oszukuje! Skąd wziął pieniądze na ten dom! Dałbym sobie głowę uciąć, że on już pana okpił i ułożył sobie dalszy plan, jak pana jeszcze bardziej okpić! Pan się uśmiecha, pan nie wierzy?

- Wydaje mi się, że to wszystko nie ma bezpośredniego związku z pana sprawą - zauważył książę.

- Leżę już tutaj trzeci dzień i napatrzyłem się na różne rzeczy! - wołał młody człowiek nie słuchając - niech pan sobie wyobrazi, że on tego anioła, tę dziewczynę, obecnie sierotę, moją

wujeczną siostrę, a swoją rodzoną córkę, podejrzewa o haniebne uczynki, co noc szuka u niej miłych przyjaciół! Przychodzi tu do mnie po cichutku i pod kanapą też dokonuje rewizji. Zwariował na tym punkcie; wszędzie widzi złodziei. Noc w noc zrywa się co chwila z łóżka i sprawdza okna, czy są dobrze pozamykane, to znów drzwi próbuje, do pieca zagląda po siedem razy w ciągu nocy. Szubrawców broni w sądzie, a sam w nocy wstaje modlić się po trzy razy i tu w salonie klęczy i czołem bije o podłogę, nieraz pół godziny; i o co się modli, nad czym lamentuje, oczywiście po pijanemu? Modlił się raz za spokój duszy hrabiny Dubarry, słyszałem na własne uszy. Kola też słyszał. Wariat, istny wariat!

- Słyszysz księżę, jak on mię oczernia! - zawołał Lebediew, zaczerwieniwszy się i rzeczywiście tracąc panowanie nad sobą. - A nie wie czy nie chce wiedzieć, że właśnie ja, pijak, rozpustnik, grabieżca i złoczyńca, o tym tylko myślę, że tego żartownisia, jeszcze jako niemowlę, zawijałem w pieluchy, w niecce kąpałem i u biednej owdowiałej siostry mojej Anisji, taki sam nędzarz jak ona, wysiadywałem po nocach, nie sypiałem tygodniami, pielęgnowałem ich oboje w chorobie, u stróża na dole kradłem drzewo, jemu śpiewałem piosenki i prztykałem palcami, o pustym żołądku, no i wyniańczyłem po to, żeby się teraz ze mnie wyśmiewał! A co cię to niby obchodzi, że kiedyś przeżegnałem się istotnie ze trzy razy za spokój duszy hrabiny Dubarry? Trzy dni temu, proszę pana, przeczytałem po raz pierwszy w encyklopedii jej życiorys. A czy ty w ogóle masz pojęcie, kto to była pani Dubarry? Gadaj, wiesz czy nie?

- Nie, nie wiem; tylko ty jeden wiesz! - powiedział drwiąco, ale niezbyt chętnie młody człowiek.

- Była to taka hrabina, która wyszedłszy z hańby, rządziła państwem zamiast królowej i którą jedna wielka imperatorowa we własnoręcznym swoim liście nazwała *ma cousine**. Kardynał, nuncjusz papieski, zaofiarował się, że jej podczas *lever du roi*** (wiesz, co to było *lever du roi*) na gołe nóżki włoży jedwabne pończochy, uważając to sobie za wielki zaszczyt - taka wysoko postawiona i świątobliwa osobistość! Wiesz o tym? Z twojej miny widzę, że nie wiesz! No, a jak ona umarła? Odpowiedz, jeśli wiesz!

- Daj mi spokój! Przyczepiłeś się do mnie.

- Umarła tak, że po tych wszystkich honorach taką była władczynię zaciągnął na gilotynę kat Samson[53], najniewinniej w świecie, ku uciesze paryskich puasardek***; a ona sama nie wiedziała ze strachu, co się z nią dzieje. Widzi, że on ją za szyję nachyla pod nóż i popycha kopniakami - publiczność się śmieje - a ona krzyczy: *Encore un moment, monsieur le bourreau, encore un moment!* Co oznacza: Jeszcze chwilkę, panie kacie, jeszcze chwilkę!" I za tę chwilkę może jej Bóg przebaczy wszystkie grzechy, bo już większej mizeroty dla duszy ludzkiej wyobrazić sobie niepodobna. Wiesz, co to znaczy słowo *misere*****? To jest właśnie to, co opowiadam. Jak przeczytałem o tym krzyku hrabiny, o tej jednej chwilce, zrobiło mi się tak, jakby mi kto ścisnął serce obcęgami. I co ty, robaku nędzny, możesz chcieć ode mnie z tego powodu, że w nocy zmówiłem pacierz za wielką grzesznicę? A chyba dlatego tylko zmówiłem, że za nią, jak świat światem, na pewno nikt się nawet nie przeżegnał, nawet nie pomyślał o tym. I chyba jej się przyjemnie robi na tamtym świecie, kiedy usłyszy, że znalazł się taki sam grzesznik jak ona, który za nią na ziemi chociaż raz się pomodlił. No i czego się śmiejesz? Nie wierzysz, ateisto. A skąd wiesz? I tak skłamałeś,

jeżeli już mnie podsłuchiwałeś, bo ja modliłem się nie za jedną hrabinę Dubarry; powiedziałem tak: „Świeć Panie, nad duszą wielkiej grzesznicy Dubarry i wszystkich jej podobnych”, a to jest całkiem co innego; dużo bowiem jest takich grzesznic i przykładów losu, i ofiar nieszczęsnych, które tam teraz męczą się i lamentują, i czekają; więc właśnie ja i za ciebie, i za takich jak ty, podobnych tobie, zuchwalców i ordynusów, modliłem się wtedy, jeżeli już chcesz wiedzieć i podsłuchujesz, jak się modłę...

- No już dobrze, dosyć, módl się, za kogo chcesz, pal cię diabli, aleś się rozgadał! - przerwał ze złością siostrzeniec. - Ten mój wujek jest okropnie odczytany, nie wiedział książkę? - dodał z jakimś niezręcznym uśmiechem. - Wciąż teraz czyta różne takie książki i pamiętniki.

- Pański wuj jednak... nie jest człowiekiem bez serca - zauważył mimo woli książkę. Ten młody człowiek stawał się dla niego coraz wstrętniejszy.

- Niech pan go tak nie wychwala! Widzi pan, już rękę sobie położył na sercu, wargi stulił, od razu nabrał apetytu na pochlebstwa. Owszem, serca kawałek ma, ale jest przy tym krętacz, i to dopiero nieszczęście; no i wciąż pije gorzałkę, cały się rozchichotał, tak jak każdy człowiek, który tyle lat jest bez przerwy pijany; dlatego skrzypi w nim każdy zawias. Dzieci bardzo kocha, nieboszczkę ciotkę poważał, to prawda... Mnie nawet lubi i w testamencie, dalibóg, coś niecoś mi zapisał...

- Nic nie zapiszę! - zawołał z wściekłością Lebediew.

- Niech pan posłucha, panie Lebediew - powiedział twardo książkę odwracając się od młodego człowieka - wiem przecie z doświadczenia, że pan jest człowiekiem interesu, kiedy pan chce nim być... Mam teraz bardzo mało czasu i jeżeli pan... Przepraszam, jak panu na imię, bo zapomniałem?

- Ti - ti - timofiej.

- I?

- Łukianowicz.

Wszyscy obecni w pokoju znowu się roześmieli.

- Skłamał! - zawołał siostrzeniec. - Nawet tu skłamał! On się nazywa Łukian Timofiejewicz, a nie Timofiej Łukianowicz! No i powiedz sam, po co skłamałeś? Czy ci nie wszystko jedno, Łukian czy Timofiej, i co to ma dla księcia za znaczenie? Kłamie tylko z nałogu, zapewniam pana!

- Czy to prawda? - spytał niecierpliwie książkę.

- Rzeczywiście nazywam się Łukian Timofiejewicz - wyznał z zażenowaniem Lebediew, pokornie spuszczać oczy i znowu kładąc rękę na sercu.

- Więc po cóż pan to wszystko robi, ach, mój Boże!

- Z chęci pomniejszenia siebie - wyszeptał Lebediew, coraz niżej i pokorniej schylając głowę.

- Ech, doprawdy, jakież tu pomniejszenie siebie. Gdybym tylko wiedział, gdzie teraz można znaleźć Kolę! - rzekł książę i odwrócił się, chcąc odejść.

- Powiem panu, gdzie jest Kola - zaproponował swoje usługi młody człowiek.

- Nie, nie, nie! - krzyknął Lebediew zrywając się z miejsca.

- Kola nocował tutaj, ale rano poszedł szukać swojego generała, którego książę Bóg wie po co wykupił z „jamy”. Generał jeszcze wczoraj obiecał przyjść tutaj na noc; i nie przyszedł. Prawdopodobnie zanocował w hotelu „Wagi”, niedaleko stąd. Kola więc siedzi tam albo w Pawłowsku u Jepanczynów. Miał pieniądze, chciał tam jechać już wczoraj. A więc: w „Wagach” albo w Pawłowsku!...

- W Pawłowsku, w Pawłowsku!... A my tu, tu do ogródka i... kawki...

Lebediew pociągnął księcia za rękę. Wyszli z pokoju, minęli podwórko i weszli przez furtkę do ogródka. Był tu istotnie bardzo malutki i bardzo miutki ogródek, w którym dzięki ładnej pogodzie już się zazieleniły wszystkie drzewa. Lebediew posadził księcia na zielonej drewnianej ławce, za zielonym, wkopanym w ziemię stołem, i sam usiadł naprzeciwko. Po chwili rzeczywiście zjawiała się i kawa. Książę przyjął poczęstunek. Lebediew przypochlebnie i chciwie zaglądał mu w oczy.

- Nie wiedziałem, że pan ma takie gospodarstwo - powiedział książę z miną człowieka, który myśli o czymś innym.

- Sie - sieroty - zaczął krzywić się Lebediew, ale urwał: książę patrzył przed siebie z roztargnieniem, zapomniawszy już oczywiście o swoim pytaniu. Upłynęła jeszcze minuta; Lebediew patrzył na księcia i czekał.

- No i co ? - spytał książę jakby się ocknąwszy - ach, tak! Przecież pan wie, panie Lebediew, o co mi chodzi: przyjechałem na pański list. Proszę mówić.

Lebediew zmieszał się, chciał coś powiedzieć, ale tylko się zająknął; nic nie mógł wyrzec. Książę czekał i uśmiechał się smutnie.

- Zdaje się, że pana dobrze rozumiem, Łukianie Timofiejewiczu: pan się mnie na pewno nie spodziewał. Pan sądził, że się nie wyrwę ze swojego odludzia zaraz po otrzymaniu pańskiego listu, który pan napisał tylko dla spokoju sumienia. A ja tymczasem przyjechałem. Rogożyn jest tu już trzy tygodnie, wszystko wiem. Zdążył pan mu ją sprzedać, tak jak wtedy, czy nie? Proszę powiedzieć prawdę.

- Potwór sam się dowiedział, sam.

- Niech go pan nie klnie; oczywiście postąpił z panem źle...

- Pobił, pobił! - podchwycił ze strasznym uniesieniem Lebediew - i psy na mnie szczuły tam w Moskwie, po całej ulicy, charcicę! Okropna suka!

- Pan mię uważa za dziecko, panie Lebediew. Niech pan powie serio: czy ona go rzuciła tam, w Moskwie?

- Serio, serio, uciekła znowu od samego ołtarza. Tamten już minuty liczył, a ona tu do Petersburga i prosto do mnie: „Ratuj, ocal, Łukianie, i nic nie mów księciu...” Ona pana jeszcze bardziej się boi niż jego, w tym cały sekret!

I Lebediew z chytrym uśmieszkiem przyłożył palec do czoła.

- A teraz pan ich znowu złączył?

- Jaśnie oświecony księżę, jak mogłem... jak mogłem nie dopuścić?

- No, dość; sam wszystko zbadam. Niech pan powie tylko, gdzie ona się znajduje. U niego?

- O nie! Nie, nie! Jeszcze mieszka osobno. „Ja, mówi, jestem wolna.” I wie pan, bardzo mocno to podkreśla, że jest jeszcze zupełnie wolna! Wciąż jeszcze na Petersburskiej, w domu mojej bratowej mieszka, tak jak panu pisałem.

- I teraz tam jest?

- Tak, o ile nie w Pawłowsku ze względu na ładną pogodę, u Darii Aleksiejewny, w jej willi. „Ja, powiada, jestem zupełnie wolna.” Jeszcze wczoraj mówiła o tej swojej wolności do Mikołaja Ardalionowicza. Niedobra to oznaka, proszę księcia!

I Lebediew wykrzywił usta w uśmiechu.

- Kola często u niej bywa?

- Kola jest lekkomyślny, nieobliczalny i nie umie trzymać języka za zębami.

- Dawno pan tam był?

- Codziennie bywam, codziennie.

- Więc wczoraj też?

- Nnie; ostatnio przed czterema dniami.

- Szkoda, że pan trochę wypił, panie Lebediew! Bobym pana o coś spytał.

- Nie, nie, nie piłem ani trochę!

Lebediew nadstawił uszu.

- Niech mi pan powie, w jakim stanie ją pan zostawił?

- Szu - szukającą czegoś.

- Szukającą czegoś?

- Wyglądała tak, jakby czegoś szukała, jakby coś zgubiła.

A o zamierzonym małżeństwie nawet sama myśl jej obrzydła i uważa to za obrazę. O nim zaś myśli tyle, co o zeszłorocznym śniegu, nie więcej, a właściwie więcej, bo ze strachem i zgrozą, nawet nie pozwala o nim mówić, widują się tylko tyle, ile koniecznie potrzeba... i on to dobrze czuje! Ale go to nie ominie, proszę księcia!... Niespokojna, urągliwa, nieszczerza i złośnica...

- Nieszczerza i złośnica?

- Złośnica: zeszłym razem o mało nie wczepiła mi się we włosy z powodu jednej rozmowy. Zacząłem ją poskramiać Apokalipsą.

- Jak to? - spytał księżę myśląc, że się przesłyszał.

- Czytaniem Apokalipsy. Dama z zakłóconą wyobraźnią, hę, hę! I przy tej okazji zaobserwowałem, że ma zbyt wielki pociąg do tematów poważnych, chociażby nawet ubocznych. Lubi takie tematy, lubi i nawet uważa, że poruszanie takich tematów świadczy o specjalnym dla niej szacunku. Tak, proszę księcia. Ja zaś jestem mocny w komentowaniu Apokalipsy i robię to już piętnaście lat. Zgodziła się ze mną, że jesteśmy przy trzecim koniu, wronym, i przy jeźdźcu trzymającym w ręce miarę, ponieważ w dzisiejszych czasach wszystko jest oparte na miarach - na umowach, i wszyscy ludzie dochodzą tylko swoich praw: „miaraka pszenicy za grosz, a trzy miarki jęczmienia za grosz”[56]... i jeszcze ducha wolnego, i serce czyste, i ciało zdrowe, i wszystkie dary Boże chcą przy tym zachować. Ale samym tylko prawem nie zachowują i potem nastąpi koń płowy i ten, któremu na imię Śmierć, a za nim już piekło... O tym rozprawiamy, jak się schodzimy, i - to mocno podziało.

- Pan sam tak wierzy? - spytał księżę obrzuciwszy Lebediewa dość dziwnym wzrokiem.

- Wierzę i głoszę. Albowiem nędzny jestem i nagi, i proch marny w kołowrocie ludzkim. I kto uszanuje Lebediewa? Każdy go wyszydza i każdy nieomal kopniakiem odsuwa od siebie. A w komentowaniu Apokalipsy jestem równy największym potentatom. Bo mam rozum! I wielki potentat zadrżał przede mną... siedząc w fotelu... gdy postrzegł to swoim umysłem. Jego ekscelencja Nil Aleksiejewicz przed dwoma laty, przed Wielkanocą, usłyszał o mnie - kiedy jeszcze służyłem u niego w departamencie - i specjalnie wezwał mnie do siebie z dyżurki przez Piotra Zacharycza i raczył zapytać na osobności: „Czy to prawda, że jesteś profesorem Antychrysta?” I nie zataiłem prawdy: „Jam jest” - mówię, i wyłożyłem, i przedstawiłem, i strachu nie umniejszyłem, ale jeszcze, snując myśli, rozwinąłem alegoryczny zwitek, spotęgowałem i podstawilem cyfry. I ekscelencja uśmiechał się, ale przy liczbach i wizerunkach zaczął drzeć, i prosił, żeby zamknąć książkę i odejść, i na święta raczył mi udzielić gratyfikacji, a w Niedzielę Przewodnią wyzionął ducha.

- Co też pan mówi?

- Mówię, jak było. Wpadł z powozu po obiedzie, uderzył skronią o kamienny słupek i jak dzieciątko, jak dzieciątko, od razu skonał. Według stanu służby liczył sobie siedemdziesiąt trzy lata;

różowiutki, siwiuteńki, cały oblany perfumami, wciąż się uśmiechał, wciąż się uśmiechał niczym dzieciątko. I Piotr Zacharycz przypomniał wtedy: „To ty mu wyprorokowałeś” - powiada.

Książę zaczął się zbierać do wyjścia. Lebediew zdziwił się i nawet był zaskoczony, że książę już chce odejść.

- Jakoś pan zobojętniał, hę, hę! - ośmielił się zauważyć przypoehlebnie.

- Doprawdy czuję się niezdrów, głowę mam ciężką, zapewne po podróży - odrzekł książę marszcząc brwi.

- Powinien książę wyjechać gdzieś na letnisko - podsunął nieśmiało Lebediew.

Książę stał zamyślony.

- Ja sam też za trzy dni razem ze wszystkimi domownikami jadę na letnisko, żeby nowo narodzone pisklą zachować i tu w domku przez ten czas wszystko ponaprawiać. I też się wybieram do Pawłowska.

- I pan też do Pawłowska? - spytał nagle książę. - Cóż to się dzieje, wszyscy do Pawłowska? I mówi pan, że ma pan tam własny dom?

- Do Pawłowska jadą nie wszyscy, proszę księcia. A mnie Iwan Pietrowicz Pticyn odstąpił jedną ze swoich willi, którą nabył za psie pieniądze. I ładnie tam, i dość wysoko, i zielono, i tanio, i w dobrym tonie, i muzykalnie - więc nic dziwnego, że wszyscy jadą do Pawłowska[57]. Ja zresztą mieszcę się w oficynie, a willę właściwie...

- Odnajął pan komuś?

- Nnnie. Nie... niezupełnie, proszę księcia.

- Niech mi pan ją wynajmie - zaproponował nagle książę.

Zdaje się, że do tego właśnie zmierzał Lebediew. Trzy minuty temu myśl ta przyszła mu do głowy. A tymczasem lokator nie był mu potrzebny; kandydat, który chciał nająć całą willę, zgłosił się już do niego i oświadczył, że może ją weźmie. Lebediew zaś wiedział na pewno, że nie „może”, tylko stanowczo ją weźmie. Teraz jednak zaświtała mu w głowie bardzo doniosła w jego mniemaniu myśl: żeby willę wynająć księciu korzystając z tego, że poprzedni amator nie zdecydował się ostatecznie. „Cała kolizja i cały nowy obrót sprawy” zarysował się nagle w jego wyobraźni. Propozycję księcia przyjął nieomal z zachwytem, a na zadane mu wprost przez tegoż pytanie o cenę tylko machnął ręką.

- No, jak pan chce; dowiem się; nie straci pan na tym.

Obaj już wychodzili z ogrodu.

- A ja bym panu... ja bym panu... gdyby pan zechciał, ja bym panu coś bardzo ciekawego,

czcigodny księżę, mógł zakomunikować w związku z tą właśnie sprawą - mamrotał Lebediew, kręcąc się uradowany dokoła księcia.

Księżę przystanął.

- Daria Aleksiejewna też ma w Pawłowsku willę, proszę księcia.

- No i co?

- A wiadoma osoba przyjaźni się z nią i prawdopodobnie będzie ją często odwiedzała w Pawłowsku. W określonym celu.

- No?

- Agłaja Iwanowna...

- Ach, dość już, panie Lebediew! - przerwał mu księżę, który doznał nieprzyjemnego uczucia, jakby go urażono w bolące miejsce. - To wszystko... jest nie tak. Niech pan powie lepiej, kiedy się pan przenosi. Dla mnie im prędzej, tym lepiej, ponieważ jestem w hotelu...

Rozmawiając wyszli z ogrodu i nie wstępując do mieszkania przeszli przez podwórze do furtki.

- Nad czym się tu zastanawiać - zakonkludował Lebediew - niech pan jeszcze dzisiaj przeprowadzi się z hotelu do mnie, a pojutrze wszyscy razem pojedziemy do Pawłowska.

- Zobaczę - powiedział księżę w zamyśleniu i wyszedł za bramę.

Lebediew popatrzył za nim. Uderzyło go nagle roztargnienie księcia. Wychodząc zapomniał nawet powiedzieć „do widzenia”, nawet głową nie kiwnął, co najzupełniej nie zgadzało się ze znaną Lebediewowi grzecznością i uprzejmością księcia.

III

Była już dwunasta. Książę wiedział, że u Jepanczynów w mieście może teraz zastać tylko generała w służbowym gabinecie, i to nie na pewno. Przyszło mu na myśl, że generał gotów jeszcze zabrać go i od razu zawieźć do Pawłowska, a tymczasem bardzo chciał złożyć przedtem jeszcze jedną wizytę. Ryzykując, że spóźni się do Jepanczynów i będzie musiał odłożyć wyjazd do Pawłowska do następnego dnia, książę postanowił udać się na poszukiwanie domu, do którego tak bardzo chciał wstąpić.

Wizyta owa była dla niego zresztą pod pewnym względem ryzykowna. Wahał się, czuł wielkie skrępowanie; nawet się nie spodziewał, że tak boleśnie będzie biło mu serce. Jeden z domów, zapewne dzięki swojemu osobliwemu wyglądowi, już z daleka zaczął przyciągać jego uwagę i książę pamiętał potem, że powiedział sobie: „To na pewno ten dom.” Z niezwykłym zaciekawieniem podchodził, żeby sprawdzić swój domysł; był pewny, że sprawi mu to jakąś dziwną przykrość, jeśli zgadł. Dom był duży, ponury, dwupiętrowy, bez żadnego stylu, koloru brudnozielonego. Trochę, bardzo niewiele zresztą, domów w tym rodzaju, zbudowanych w końcu ubiegłego wieku, ocalało właśnie przy tych ulicach Petersburga (w którym wszystko tak szybko się zmienia), nie ulegając żadnym transformacjom. Budowane mocno, mają grube ściany i nadzwyczaj mało okien; na parterze niektóre okna są okratowane. Mieszczą się tam przeważnie kantory wymiany. Skopiec[58], który siedzi w takim kantorze, wynajmuje górę. I na zewnątrz, i wewnątrz jest jakoś nieprzytulnie i surowo, wszystko jakby się kryje i tai, ale dlaczego takie wrażenie sprawia sam wygląd domu - trudno byłoby objaśnić. Zarysy linii architektonicznych mają oczywiście swój sekret. W domach tych mieszkają niemal wyłącznie „ludzie interesu”. Książę podszedł do bramy i spojrzawszy na napis przeczytał: „Dom dziedzicznego obywatela honorowego Rogożyna.”

Przystawszy się wahać, otworzył oszklone drzwi, które z hałasem zatrzasnęły się za nim, i jął wchodzić po frontowych schodach na piętro. Klatka schodowa była ciemna, ściany jej były malowane na czerwono, stopnie schodów - kamienne, nader prymitywnej roboty. Książę wiedział, że Rogożyn z matką i bratem zajmuje całe pierwsze piętro tego nudnego domu. Służący, który otworzył księciu, zaprowadził go bez anonsowania; szli razem dość długo; przechodzili przez jakąś salę do przyjęć, której ściany malowane były „na marmur”, posadzka była z dębowych klepek, a meble, według mody z trzeciego dziesięciolecia, ciężkie i niekształtne; przechodzili też przez jakieś małe klitki, robiąc zakręty i zygzaki, to wchodzili po dwóch lub trzech schodkach wyżej, to znów tak samo schodzili na dół, aż wreszcie zapukali do jakichś drzwi. Otworzył im sam Parfien Siemionycz; ujrawszy księcia, zbladł i tak osłupiał, że stanął jak wryty i przez chwilę podobny był do kamiennego bałwana, z wystraszoną i znieruchomiałą wrokiem, z ustami wykrzywionymi w uśmiechu zdradzającym najwyższe zaskoczenie - jak gdyby w wizycie księcia widział coś niemożliwego i niemal cudownego. Książę też się zdumiał, chociaż, co prawda, spodziewał się czegoś podobnego.

- Parfien, może przyszedłem nie w porę, to pójdę - powiedział w końcu, zupełnie zmieszany.
- W porę! W porę! - opamiętał się wreszcie Parfien. - Proszę cię bardzo, wejdź!

Mówili do siebie „ty”. W Moskwie mieli okazję odbywania spotkań częstych i długich, zdarzyło im się nawet kilka takich pamiętnych chwil, które aż nadto głęboko utkwiły w ich sercach. Ostatnio zaś nie widzieli się z górą trzy miesiące.

Bladość i jakby lekkie, szybkie skurcze mięśni wciąż jeszcze nie znikwały z twarzy Rogożyna. Wprawdzie zaprosił gościa, ale zmieszanie go nie opuszczało. Gdy wskazywał księciu fotel i sadzał go przy stole, książę odwrócił się nagle ku niemu i zatrzymał się, uderzony niezwykle dziwnym i ciężkim spojrzeniem przyjaciela. Coś mu się przypomniało - coś niedawnego, przygniatającego, ponurego. Nie siadając i stojąc nieruchomo, przez chwilę patrzył Rogożynowi prosto w oczy; oczy te nagle jakby jeszcze bardziej zabłysły. W końcu Rogożyn uśmiechnął się, ale był nadal zmieszany i jakby zakłopotany.

- Czego tak mi się przyglądasz? - mruknął. - Siadaj!

Książę usiadł.

- Parfien - powiedział - powiedz mi szczerze, czy wiedziałeś, że dziś przyjadę do Petersburga, czy nie?

- Że przyjedziesz, to sobie myślałem; no i, jak widzisz, nie omyliłem się - powiedział Rogożyn ze zjadliwym uśmiechem - ale skąd mogłem wiedzieć, że przyjedziesz dzisiaj?

Pewna szorstkość, porywczość i dziwnie rozdrażniony ton pytania, zawartego w odpowiedzi, jeszcze bardziej uderzyły księcia.

- A gdybyś nawet wiedział, że dzisiaj, to po co się tak rozdrażniać? - cichym głosem powiedział zmieszany książę.

- A w jakim celu o to pytasz?

- Niedawno, wychodząc z wagonu, zobaczyłem parę takich samych oczu, jakimi przed chwilą popatrzyłeś na mnie z tyłu.

- Oho! Czyjeż to były oczy? - mruknął podejrzliwie Rogożyn.

Księżciu wydało się, że zadrżał.

- Nie wiem; nawet odniosłem wrażenie, że to mi się tylko przywidziało w tłumie; wciąż mię przesładują jakieś majaki. Czuję się teraz prawie tak, jak przed pięciu laty, kiedy miewałem jeszcze paroksyzmy.

- Ano, może i się przywidziało; nie wiem... - bąkał Parfien.

Nie było mu wcale do twarzy z uprzejmym uśmiechem, z którym wymawiał te słowa, jakby w tym uśmiechu coś pękło i Parfien mimo wszelkich usiłowań w żaden sposób nie mógł tego skleić.

- No co, znowu za granicę? - spytał i nagle dodał: - A pamiętasz, jakeśmy to na jesieni razem

jechali pociągiem ze Pskowa, ja tutaj, a ty... w takim płaszczu, pamiętasz, w kamaszkach?

I Rogożyn nagle się roześmiał, tym razem z jakąś nieukrywaną złością i jakby ucieszony, że udało mu się ją czymś zaznaczyć.

- Osiedliłeś się tu na dobre? - spytał księżę oglądając gabinet.

- Tak, jestem u siebie. Gdzież mam być?

- Dawnośmy się nie widzieli. Słyszałem o tobie takie rzeczy, jakbyś to nie był ty, ale kto inny.

- Czego ludzie nie naopowiadają - zauważył sucho Rogożyn.

- Jednak rozpędziłeś całą swoją bandę; sam teraz siedzisz w rodzicielskim domu, nie swawolisz. To dobrze. Dom jest wyłącznie twój czy wspólny, wszystkich spadkobierców?

- Dom jest matki; idzie się do niej tędy, przez korytarz.

- A gdzie mieszka twój brat?

- Brat Siemion Siemionycz mieszka w oficynie.

- Żonaty?

- Wdowiec. Po co ci te wiadomości ?

Księżę popatrzył i nie odpowiedział; zamyślił się raptem, i bodaj że nie słyszał pytania. Rogożyn nie nalegał i czekał. Przez dobrą chwilę milczeli.

- Idąc tutaj do ciebie, poznałem twój dom już na odległość stu kroków - powiedział księżę.

- Dlaczego?

- Całkiem nie wiem. Twój dom ma coś z fizjonomii całej waszej rodziny i odbija w sobie całe wasze rogożyńskie życie, ale gdybyś spytał, skąd ja to wywnioskowałem, nie umiałbym ci tego wytłumaczyć. Urojenie, oczywiście. Nawet się obawiam, że mię to za bardzo porusza. Przedtem na myśl by mi nie przyszło, że ty mieszkasz w takim domu, a jak go tylko zobaczyłem, zaraz pomyślałem: „Przecież on właśnie powinien mieć taki dom!”

- Patrzcie! - uśmiechnął się nijako Rogożyn, niezupełnie rozumiejąc zawiłą myśl księcia. - Ten dom budował jeszcze dziadek - zauważył. - Mieszkali tu zawsze skopcy, rodzina Chłudiaków i teraz również u nas odnajmują.

- Jak tu ciemno. Siedzisz w ciemnościach - powiedział księżę rozglądając się dokoła.

Był to duży pokój, wysoki, ciemnawy, zastawiony różnymi meblami - przeważnie stołami, biurkami, szafami, w których przechowywano księgi handlowe i jakieś dokumenty. Czerwona,

szeroka safianowa kanapa służyła widocznie Rogożynowi za łóżko. Książę zauważył na stole, przy którym posadził go Rogożyn, dwie czy trzy książki; jedna z nich, *Historia Sołowjowa*[59], była otwarta i założona kartką papieru. Na ścianach wisiało w pociemniałych złożonych ramach kilka olejnych obrazów, aż czarnych od kurzu i kopcium, na których trudno było coś rozpoznać. Jeden portret, przedstawiający postać wielkości naturalnej, zwrócił na siebie uwagę księcia; był to wizerunek człowieka lat około pięćdziesięciu, w surducie kroju niemieckiego, ale o długich połach, z dwoma orderami na szyi, z bardzo rzadką i króciutką siwą bródką, z pomarszczoną i żółtą twarzą, ze wzrokiem podejrzliwym skrytym i żalonym.

- Czy to przypadkiem nie twój ojciec? - spytał książę.

- We własnej osobie - odpowiedział z nieprzyjemnym uśmiechem Rogożyn, jakby się przygotowując do jakiejś natychmiastowej bezceremonialnej kpiny ze swojego ojca nieboszczyka.

- Przecież on nie był staroobrzędowcem?

- Nie, chodził do cerkwi; twierdził jednak, że stary obrządek jest prawidłowszy. Skopców też bardzo poważał. To był jego gabinet. A dlaczego spytałeś, czy był staroobrzędowcem?

- Wesele wyprawisz tutaj?

- Tutaj - odpowiedział Rogożyn, o mało nie drgnąwszy wobec tak niespodziewanego pytania.

- Prędko się pobierzecie?

- Sam wiesz; czy to ode mnie zależy?

- Parfien, nie jestem twoim wrogiem i w niczym nie mam zamiaru ci przeszkadzać. Powtarzam to teraz tak samo, jak oświadczałem przedtem, prawie w takiej samej chwili. Kiedy w Moskwie miał się odbyć twój ślub, nie przeszkadzałem ci, wiesz o tym. Za pierwszym razem ona sama przybiegła do mnie, prawie sprzed ołtarza, prosząc, żebym ją „ocalił” od małżeństwa z tobą. Powtarzam ci jej własne słowa. Potem i ode mnie uciekła, a tyś ją odnalazł i poprowadził do ołtarza, teraz zaś, jak słyszę, znowu od ciebie uciekła. Czy to prawda? Dał mi o tym znać Lebediew, dlatego tu przyjechałem. A o tym, że pogodziliście się znowu, dowiedziałem się po raz pierwszy dopiero wczoraj w wagonie od jednego z twoich dawnych przyjaciół; od Zalozewa, jeśli chcesz wiedzieć. Jechałem zaś tutaj w określonym celu: chciałem ją wreszcie namówić na wyjazd za granicę dla poratowania zdrowia; jest bardzo słaba na ciele i na duszy, zwłaszcza głowę ma skołataną i, według mnie, potrzebuje dobrej opieki i kuracji. Sam nie zamierzałem jej towarzyszyć, chciałem wszystko urządzić bez siebie. Mówię ci szczerą prawdę. Jeśli to nie plotka, że doszliście z sobą do porozumienia, więcej nie pokażę się jej na oczy, a i do ciebie nigdy więcej nie przyjdę. Wiesz, że cię nie oszukuję, bo zawsze byłem z tobą szczerzy. Nigdy przed tobą nie kryłem, co o tym myślę, i zawsze mówiłem, że przy tobie czeka ją zguba. I ciebie też... może jeszcze gorsza niż ją. Gdybyście się znowu rozeszli, byłbym bardzo zadowolony; ale nie mam zamiaru różnić was i kłócić z sobą. Bądź więc spokojny i nie podejrzewaj mię o nic. Sam chyba wiesz, czy ja kiedykolwiek byłem twoim prawdziwym rywalem, nawet wówczas, kiedy do mnie uciekła. Roześmiałeś się teraz; wiem dlaczego się uśmiechnąłeś. Tak, mieszkaliśmy tam osobno i w innych byliśmy miastach, ty to

wszystko wiesz na pewno. Przedtem ci już przecie tłumaczyłem, że ja ją „nie miłością kocham, lecz żalostí”. Sądę, że dobrze to określam. Mówiłeś wtedy, że te moje słowa zrozumiałeś; czy rzeczywiście zrozumiałeś? Z jaką ty na mnie patrzysz nienawiścią! Przyszedłem cię uspokoić, ponieważ i ty jesteś mi drogi, Parfien, ja cię bardzo kocham. A teraz pójdę i nigdy już nie wrócę. Żegnaj.

Książę wstał.

- Posiedź ze mną - powiedział cicho Parfien, nie wstając z miejsca i podparłszy głowę prawą dłonią - dawno cię nie widziałem.

Książę usiadł. Znów obaj umilkli.

- Jak cię tu nie ma, zaraz do ciebie czuję złość, Lwie Nikołajewiczu. W ciągu tych trzech miesięcy, kiedy cię nie widziałem, nie było chwili, żebym się na ciebie nie złościł, dalibóg! Miałem chęć po prostu otruć cię! Tak, tak. Teraz nie siedzisz tu ze mną nawet piętnastu minut, a już mi cała złość przechodzi i lubię cię po dawnemu. Posiedź ze mną...

- Kiedy jestem z tobą, to mi wierzysz, a kiedy mię nie ma, zaraz przestajesz wierzyć i znów podejrzewasz... W ojczulka się wdałeś! - odpowiedział książę, uśmiechnąwszy się przyjaźnie i usiłując zamaskować swoje uczucia.

- Wierzę twojemu głosowi, kiedy z tobą siedzę. Rozumiem przecie, że nie można nas porównywać, mnie i ciebie....

- Dlaczegoś to dodał? I znów się zirytowałeś - powiedział książę patrząc z pewnym zdziwieniem na Rogożyna.

- Pod tym względem, bracie, nikt nas nie pyta o zdanie - odpowiedział tamten - bez nas zdecydowano. I ja, i ty nawet uczucia mamy całkiem odmienne - ciągnął dalej cicho po chwili milczenia. - Ty mówisz, że ją kochasz żalostí, a nie miłością. A we mnie żadnej żalostí dla niej nie ma. A przy tym ona mnie nienawidzi okropnie. Ca noc mi się teraz śni: że z kimś innym wyśmiewa się ze mnie. Tak to jest, bracie. Ze mną idzie do ołtarza, a o mnie nawet nie pomyśli; zmienia chłopów jak trzewiki. Czy dasz wiarę, że nie widziałem jej pięć dni, bo jednak iść do niej nie śmiem; a nuż zapyta: „Po coś przyjechał?” Nieraz mnie już hańbiła...

- Jak to - hańbiła? Co ty mówisz!

- Niby to nie wiesz! Przecie z tobą uciekła ode mnie „sprzed ołtarza”, jak się sam wyraziłeś.

- Ale chyba sam nie wierzysz, że...

- A czy z tym oficerem, z Ziemtjużnikowem, w Moskwie, nie zhańbiła mnie? Na pewno wiem, że zhańbiła, i to już po tym, jak wyznaczyła termin ślubu.

- To niemożliwe! - zawołał książę.

- Wiem z całą pewnością - powtórzył z przekonaniem Rogożyn. - A czyż ona nie jest taka? Nie ma co, bracie, mówić, jest taka. To wszystko zawracanie głowy. Z tobą nie będzie taka i sama się nawet przerazi swoich sprawek, a ze mną właśnie będzie taka. Tak to jest. Na mnie patrzy jak na ostatnie bydło. Z Kellerem, z tym oficerem, który się boksował, zrobiła tak tylko dlatego, żeby mnie wyśmiać, wiem to na pewno... Nie masz pojęcia, co ona ze mną wyprawiała w Moskwie! A ile ja tam pieniędzy wydałem, ile pieniędzy...

- Więc... jakże się ty teraz ożenisz!... Jak będziesz potem żyć z nią? - zapytał książe ze zgrozą.

Rogożyn rzucił na księcia ciężkie i straszne spojrzenie i nic nie powiedział.

- Już piąty dzień, jak u niej nie byłem - ciągnął dalej po chwili milczenia. - Wciąż się boję, że mnie wypędzi. „Ja, mówi, sama jestem jeszcze sobie panią; jeśli mi się spodoba, przepędzę cię na zawsze i wyjadę za granicę” (już mi o tym wspominała, że wyjedzie za granicę - zauważył jakby nawiasem i jakoś dziwnie spojrzał na księcia); czasem, co prawda, tylko mnie tak straszyla, ciągle ją coś we mnie bawiło. A czasem znowu naprawdę się nachmurzy, zmarszczy brwi, słowa jednego nie wyrzeknie; tego się zawsze najwięcej bałem i boję. Poszedłem po rozum do głowy: „Nie będę do niej, myślę sobie, przyjeżdżał z pustymi rękami.” No i tylko ją rozśmieszyłem, a potem nawet w złość wpadła. Pokojówce Kati podarowała taki jeden szal ode mnie, że chociaż przedtem żyła w bogactwie, na pewno takiego szala nie widziała na oczy. A o tym, kiedy ma być ślub, nie wolno się nawet zająknąć. Co to za narzeczony, który boi się nawet pojechać do narzeczonej? Siedzę w domu, siedzę, a kiedy już nie mogę wytrzymać, lecę ukradkiem pod jej dom i włączę się dokoła po ulicy albo chowam się gdzie za węglem. Kiedyś całą noc prawie, do świtu, przedyżurowałem pod jej bramą - coś mi się wydało podejrzanego. A ona dojrzała mnie przez okno i powiada: „No i cóż byś zrobił, gdybyś zobaczył, że cię zdradzam?” Nie wytrzymałem i mówię: „Sama wiesz.”

- Co ona wie?

- A skąd ja mogę wiedzieć! - roześmiał się złośliwie Rogożyn. - W Moskwie nie mogłem jej wtedy z nikim przyłapać, chociaż dość długo dokładałem wszelkich starań. Pewnego razu mówię do niej: „Zgodziłaś się wziąć ze mną ślub, wchodzisz do ucziwej rodziny, a czy ty wiesz, kto ty teraz jesteś? Taka a taka jesteś!”

- Powiedziałaś jej?

- Powiedziałem.

- A ona?

- A ona mi na to: „Ja cię teraz, mówi, może nawet za lokaja nie zechcę wziąć, nie tylko żoną twoją zostać.” „A ja, powiadam, tak stąd nie wyjdę, niech będzie, co ma być!” „A ja, mówi ona, zawołam zaraz Kellera i powiem mu, żeby cię wyrzucił za drzwi.” Wtedy porwałem się na nią z pięściami i zbiłem na kwaśne jabłko.

- Nie może być! - zawołał książe.

- Tak było, jak mówię - potwierdził Rogożyn cicho, ale z błyskiem w oczach. - Okrągłe półtorej doby nie spałem, nie jadłem, nie piłem, nie wychodziłem z pokoju, padałem przed nią na kolana: „Umrę, powiadam, nie wyjdę, dopóki mi nie przebaczysz, a jak każesz wyprowadzić, utopię się; bo jakże ja będę żył bez ciebie?” Przez cały dzień była jak obłąkana, to płakała, to chciała mnie nożem przebić, to mi wymyślała. Sprowadziła wszystkich - Zalozewa, Kellera i Ziemtuznikowa - pokazuje im na mnie, urąga. „Pojedziemy dziś, panowie, całą paczką, do teatru, niech on tu siedzi, jeśli nie chce wyjść, ja nie jestem z nim związana. A panu tu beze mnie podadzą herbaty, Parfienie Siemionyczu, zapewne się pan wygłodził.” Wróciła z teatru sama: „To podli tchórze, mówi, boją się ciebie i mnie straszą, że tak nie wyjdiesz, powiadają, i jeszcze mnie zarzniesz. A ja, mówi, pójdę do sypialni i wcale nie zamknę za sobą drzwi; tyle się ciebie boję! Żebyś o tym wiedział i widział to na własne oczy! Piłeś herbatę?” „Nie, powiadam, nie piłem i nie będę pił.” „No, ja swoje zrobiłam, a ty rób, jak chcesz.” I, tak jak powiedziała, pokoju nie zamknęła. Rano wyszła - śmieje się: „Cóżes ty zwariował czy co? Przecież umrzesz z głodu!” „Przebacz” - powiadam. „Nie chcę przebaczyć, nie wyjdę za ciebie, rzekłam i basta. Czy przesiedziałeś na tym fotelu całą noc, nie spałeś?” „Nie, powiadam, nie spałem” „Aleś ty mądry! I znów nie będziesz pił herbaty ani jadł obiadu?” „Powiedziałem, że nie będę, jeśli nie przebaczysz!” „Jak to do ciebie nie pasuje, żebyś ty wiedział, mówi, po prostu jak siodło do krowy. Może mnie chcesz nastraszyć? Wielkie to dla mnie zmartwienie, że sobie głodny posiedzisz; aleś mnie przeraził!” Rozgniewała się, ale nie na długo, znowu zaczęła mi docinać. I popatrzyłem na nią zdziwiony, że już w niej nie widzę złości. A przecież jest zawzięta i innym długo pamięta najmniejszą krzywdę! Więc przyszło mi wtedy do głowy, że ona mnie tak nisko ceni, że nawet gniewać się na mnie po prostu jej nie wypada. I to jest prawda. „Czy ty wiesz, mówi, co to jest papież?” „Słyszałem” - powiadam. „Ty się, mówi, wcale nie uczyłeś historii powszechnej?” „Ja, powiadam, nigdy się nie uczyłem.” „Więc dam ci, mówi, coś do przeczytania: był taki jeden papież, który rozgniewał się na pewnego cesarza, i ten cesarz musiał potem przez trzy dni klęczeć przed jego pałacem, boso, nie jedząc, nie pijąc, dopóki nie uzyskał przebaczenia. Jak myślisz, o czym ten cesarz przez trzy dni rozmyślał klęcząc, jakie sobie dawał przysięgi?... Ale poczekaj, mówi, ja ci to sama przeczytam!” Wybiegła, przyniosła książkę: „To wiersze”, mówi, i zaczęła mi wierszami czytać o tym, jak ten cesarz przez te trzy dni przysięgał sobie zemścić się na papieżu. „Czy ci się to nie podoba, Parfienie Siemionyczu?” „To wszystko prawda, powiadam, co przeczytałaś.” „Aha, sam mówisz, że prawda, więc i ty może poprzysięgasz sobie zemstę: niech tylko wyjdzie za mnie za mąż, to jej wszystko przypomnę, wtedy jej odpłacę sowicie!” „Nie wiem, powiadam, może i tak myślę.” „Jak to - nie wiesz?” „Ano tak, powiadam, nie wiem, bo o czym innym teraz myśli moja głowa.” „A o czym mianowicie?” „Kiedy wstaniesz z miejsca, przejdiesz koło mnie, patrzę na ciebie i przyglądam się tobie: kiedy cichnie szelest twojej sukni, we mnie serce zamiera; kiedy wyjdiesz z pokoju, przypominam sobie każde twoje słówko, jakim głosem i co powiedziałaś; a całą tę noc o niczym nie myślałem, tylko słuchałem, jak oddychałaś przez sen, i słyszałem, jak się dwa razy obróciłaś...” „A o tym - roześmiała się - że mnie zbiłeś, nie myślisz i może nawet nie pamiętasz?” „Może, powiadam, myślę; nie wiem.” „A jeśli ci nie przebaczę i nie wyjdę za ciebie?” „Powiedziałem, że się utopię.” „A może mnie jeszcze zabijesz przedtem?...” Powiedziała i zamyśliła się. Potem rozgniewała się i wyszła. W godzinę później wychodzi do mnie taka nachmurzona. „Wyjdę, mówi, za ciebie, Parfienie Siemionyczu, i nie dlatego, że się ciebie boję, ale wszystko mi jedno, bo i tak muszę zginąć. A gdzież mi będzie lepiej? Siadaj, mówi, zaraz a podadzą obiad. Jeśli wyjdę za ciebie, dodała, to ci będę wierną żoną, co do tego nie miej wątpliwości ani obaw”. Potem chwilę pomilczała i mówi: „Swoją drogą nie jesteś lokajem; myślałam przedtem, że z ciebie jest zupełny, ale to zupełny lokaj.” Wyzaczyła dzień ślubu, a w

tydzień później uciekła ode mnie do Lebediewa. Kiedy przyjechałem, powiedziała: „Ja się ciebie całkiem nie wyrzekam; chcę tylko jeszcze poczekać, ile będę uważała za stosowne, ponieważ nadal jestem panią swojej woli. Czekaj i ty, jeśli chcesz.” Tak się to wszystko teraz przedstawia... Co ty o tym myślisz, Lwie Nikołajewiczu?

- A ty co myślisz? - powtórzył książę pytanie, patrząc ze smutkiem na Rogożyna.

- A czyż ja w ogóle myślę! - wyrwało się Rogożynowi. Chciał jeszcze coś dodać, ale umilkł, ogarnięty rozpaczliwą melancholią.

Książę wstał i znów chciał odejść.

- Ja ci jednak na drodze stawać nie będę - rzekł cicho w zamyśleniu, jakby odpowiadając swojej własnej ukrytej myśli.

- Wiesz, co ci powiem? - ożywił się nagle Rogożyn i oczy mu błysnęły. - Nie rozumiem, dlaczego mi tak ciągle ustępujesz? Czy ją zupełnie przestałeś kochać? Przedtem jednak tęskniłeś do niej, widziałem to przecie. Więc niby po co przyleciałeś tutaj? Z żalości? (Twarz jego wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu.) He, he!

- Myślisz, że cię oszukuję? - spytał książę.

- Nie, wierzę ci, ale nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Najprawdopodobniej jednak twoja żalość jest jeszcze silniejsza niż moja miłość!

Coś niesłychanie złego i co koniecznie, i to w tej właśnie chwili, chciał wypowiedzieć, zapłonęło na jego twarzy.

- No, twoja miłość niewiele różni się od złości - powiedział z uśmiechem książę - a jak przejdzie, może być z tego jeszcze większa bieda. Mówię ci to, bracie...

- Zamorduję czy co?...

Książę drgnął.

- Bardzo będziesz jej nienawidzić za tę obecną miłość, za tę całą mękę, którą teraz cierpisz. Najbardziej dziwi mnie, jak ona może znowu iść za ciebie! Jak usłyszałem wczoraj - ledwo uwierzyłem i tak mi się ciężko zrobiło na duszy. Przecie już dwukrotnie się ciebie wyrzekła, sprzed ołtarza uciekała, więc widocznie ma jakieś przeczucie!... Cóż ona w tobie teraz widzi? Czyżby twoje pieniądze? Bzdura. A i kapitał twój zapewne mocno został nadszarpnięty. Czyżby tylko po to, żeby mieć męża? Przecie mogłaby znaleźć innego. Każdy inny byłby lepszy, bo ty ją naprawdę gotów jesteś zamordować i ona to już dzisiaj aż za dobrze rozumie. Że ją kochasz tak mocno? Prawda, może to jedno... Słyszałem, że są ludzie, którzy takiej miłości szukają, tylko...

Książę urwał i zamyślił się.

- Czego się tak znowu uśmiechnąłeś do ojcowskiego portretu? - spytał Rogożyn, nadzwyczaj

pilnie obserwując każdą zmianę, każde drgnienie mięśni na twarzy księcia.

- Czego się tak uśmiechnąłem? Przyszło mi na myśl, że gdyby nie to twoje utrapienie sercowe, nie ta twoja nieszczęsna miłość, byłbyś chyba kubek w kubek taki jak twój ojciec, i to w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Zamieszkałbyś w tym domu sam jeden z żoną, posłuszną i milczącą, odzywałbyś się rzadko, poważnie i surowo, nie wierzyłbyś nikomu i nie odczuwał nawet takiej potrzeby, i tylko byś gromadził pieniądze, milczący i pochmurny. Co najwyżej pochwaliłbyś czasem stare księgi, zainteresowałbyś się, dlaczego ludzie żegnają się dwoma palcami, ale i to dopiero w późnej starości...

- Drwij sobie. Ona mi mówiła niedawno dokładnie to samo, też kiedy oglądała portret! Aż dziw bierze, jak wy oboje we wszystkim się teraz zgadzacie...

- A czy ona była już u ciebie? - spytał z zaciekawieniem ksiązę.

- Była. Patrzała długo na portret, wypytywała o nieboszczyka. „Byłbyś zupełnie taki sam - uśmiechnęła się w końcu - ty, Parfienie Siemionowiczu, powiada, masz w sobie dużo silnych namiętności, takich namiętności, że jak nic poleciałbyś z nimi na Sybir, na katorgę, gdybyś też nie miał rozumu, ale ty rozum masz, i to duży” - powiada. (Tak się wyraziła, wierzysz czy nie? Po raz pierwszy usłyszałem od niej takie słowa!) „Prędko byś poniechał tej całej obecnej zabawy. A ponieważ jesteś człowiekiem bez żadnego wykształcenia, zacząłbyś gromadzić pieniądze i osiadłbyś, tak jak twój ojciec, w tym domu razem ze swoimi skopcami; może byś nawet sam przeszedł w końcu na ich wiarę i tak byś już pokochał te swoje pieniądze, że nawet nie dwa miliony, ale dziesięć milionów zebrałbyś i na workach ze złotem umarłbyś z głodu, bo ty do wszystkiego odnosisz się namiętnie, wszystko doprowadzasz do szaleństwa.” Tak mi mówiła, prawie jota w jotę tymi słowami. Nigdy jeszcze przedtem tak ze mną nie rozmawiała! Przecie ona ze mną mówi wciąż tylko o głupstwach albo szydzi ze mnie: i teraz też zaczęła mówić ze śmiechem, a potem zrobiła się taka ponura; cały ten dom obeszała, obejrzała i jakby czegoś była wylękniona. „Ja to wszystko zmienię, powiadam, a może nawet kupię inny dom przed ślubem.” „Nie, nie, mówi, nic tu nie trzeba zmieniać, tak będziemy mieszkali. Chcę przy twojej mateczce, mówi, mieszkać, kiedy zostanę twoją żoną.” Zaprowadziłem ją do mateczki; była dla niej z wielkim szacunkiem, jak rodzona córka. Mateczka od dawna, chyba już od dwóch lat, nie jest przy zdrowych zmysłach (wciąż chora), a od śmierci ojca zrobiła się całkiem jak dziecko, nie mówi nic, nie chodzi i tylko wszystkim, kogo zobaczy, z miejsca się kłania; zdaje się, że gdyby jej nie dać jeść, to przez jakieś trzy dni wcale by tego nie zauważyła. Wziąłem prawą rękę mateczki: „Pobłogosław, powiadam, mateczko, ma ze mną iść do ślubu”; wtedy ona serdecznie pocałowała mateczkę w rękę, „dużo, mówi, musiała cierpieć twoja mateczka”. Zobaczyła u mnie tę książkę: „Cóż to, zacząłeś czytać *Historię Rosji*” (A sama kiedyś w Moskwie mówiła: „Uczyłbyś się choć trochę, przeczytałbyś chociaż *Historię Rosji* Sołowjowa, przecie nic nie umiesz.”) To dobrze, mówi, czytaj, rób tak dalej, wciąż czytaj. Napiszę ci sama rejestrzyk, jakie książki trzeba przeczytać w pierwszej kolejności; chcesz czy nie?” Nigdy, nigdy przedtem nie rozmawiała tak ze mną, więc nawet się zdziwiłem; i po raz pierwszy odetchnąłem jak żywy człowiek.

- Bardzo się z tego cieszę, Parfien - powiedział ksiązę tonem szczerości - bardzo się cieszę. Kto wie, może Pan Bóg da, że się jakoś zgodzicie i zejdziecie.

- Nigdy się to nie stanie! - wykrzyknął zapalczywie Rogożyn.

- Słuchaj, Parfien, jeśli ją tak kochasz, czyż nie zechcesz zaskarbić sobie jej szacunku? A jeśli chcesz, to czyżbyś nie miał żadnej nadziei? Powiedziałem niedawno, że to po prostu zagadka dla mnie: dlaczego ona wychodzi za ciebie? Chociaż nie mogę rozwiązać tej zagadki, w każdym razie nie wątpię, że musi tu być jakiś powód, rozsądny, dostateczny. Co do twojej miłości - jest przekonana; ale na pewno widzi w tobie również niejedną zaletę. Inaczej być nie może! To, co mi przed chwilą powiedziałeś, świadczy o tym. Sam powiadasz, że znalazła sposób mówienia do ciebie całkiem innym językiem niż dotychczas. Jesteś podejrzliwy i zazdrosny, więc wyolbrzymiałeś to, co zauważyłeś złego. Ona z pewnością nie myśli o tobie tak źle, jak mówisz. W przeciwnym razie jej decyzja wyjścia za ciebie oznaczałaby, że ona świadomie rzuca się do wody albo kładzie głowę pod nóż. A czy to do pomyślenia? Kto świadomie zechce iść na niechybną śmierć?

Parfien wysłuchał gorących słów księcia z gorzkim uśmiechem. Widać było, że przekonanie, które powziął w tej sprawie, mocno się w nim ugruntowało.

- Jak posępnie patrzysz na mnie teraz, Parfien! - wyrwało się księciu. Widać było, że wymówił te słowa z ciężkim uczuciem.

- Do wody albo pod nóż! - powiedział w końcu Rogożyn. - Ha! Przecie dlatego wychodzi za mnie, że spodziewa się noża! Czyś ty, bracie, naprawdę nie połapał się dotąd, o co tu chodzi?

- Nie mogę cię zrozumieć.

- Ano, może naprawdę nie rozumiesz, he, he! Mówią przecie o tobie, że ty trochę... nie tego. Kto inny posiadał jej miłość, zrozum nareszcie. Tak samo jak ja ją teraz Kocham, ona Kocha się w innym. A wiesz w kim? W tobie! Nie wiedziałeś czy co?

- We mnie?

- W tobie. Wtedy zaraz cię pokochała, od pierwszej chwili, od urodzin. Tylko jej się zdaje, że nie może wyjść za ciebie, ponieważ w ten sposób rzekomo zhańbi cię i zaprzepaści twoją przyszłość. „Wiadomo przecie, mówi, kto ja jestem”. Ciągłe powtarza to samo o sobie. I to wszystko powiedziała mi prosto w oczy. Ciebie boi się zgubić i zhańbić, a za mnie, owszem, nic nie szkodzi, można wyjść - tak bardzo mnie szanuje, zauważ tylko!

- Więc jakże mogła uciec od ciebie do mnie, a... ode mnie...

- A od ciebie do mnie! Ha! Mało co może jej strzelić nagle do głowy! Jest teraz jakby w ciągłej gorączce. To krzyczy do mnie: „Idę za ciebie jak do wody. Niech prędzej będzie ten ślub!” Sama nagli, wyznacza dzień, a jak nadejdzie termin - przestraszy się czy może myśli jej pójdą w innym kierunku, Bóg raczy wiedzieć, widziałeś przecie sam: płacze, śmieje się, bredzi jak w gorączce. A niby cóż w tym dziwnego, że i od ciebie uciekła? Wtedy też od ciebie ucieka, kiedy się spostrzegła, jak mocno ciebie Kocha. Nie miała siły zostać. Powiedziałeś niedawno, że ją wtedy odszukałem w Moskwie; nieprawda, sama do mnie przybiegła: „Wyznacz dzień, mówi, jestem gotowa! Daj szampana! Jedziemy do Cyganek!” - krzyczy. Gdyby mnie nie było, dawno by się już utopiła; daję

słowo. Dlatego się nie utopi, że ja dla niej jestem może straszniejszy od wody. Wychodzi za mnie z rozpaczy... Jeśli wyjdzie, to powiadam ci, że tylko z rozpaczy.

- Więc jakże ty... jakże ty!... - zawołał ksiązę i nie dokończył. Ze zgrozą patrzył na Rogożyna.

- Czemu nie kończysz - dodał Rogożyn z niepewnym uśmiechem - jeśli chcesz, powiem ci, co ty w tej chwili myślisz: „Jak ona teraz może być jego żoną? Jak można do tego dopuścić?” Wiadomo, co myślisz...

- Nie po to przyjechałem tu, Parfien; mówię ci, że co innego miałem na myśli...

- Możliwe, że nie po to i że co innego miałeś na myśli, ale teraz na pewno tak się złożyło, że po to, he, he! No, dość tego! Cóżeś tak skapcaniał? Czyś ty rzeczywiście o tym nie wiedział? Zdumiewasz mnie!

- Zazdrość przemawia przez ciebie, chory jesteś, Parfien, wszystko niezmiernie wyolbrzymiłeś... - wybąkał ksiązę, niezwykle podenerwowany. - Co ty robisz!

- Daj spokój - powiedział Parfien i szybko wyrwał z rąk księcia nożyk, który ksiązę wziął ze stołu, i położył go znowu na poprzednie miejsce obok książki.

- Kiedy wjeżdżałem do Petersburga, to jakbym wiedział, jakbym przeczuwał - ciągnął dalej ksiązę - nie chciałem tutaj jechać! Chciałem o wszystkim, co się tu dzieje, zapomnieć, wyrzucić to wszystko z serca! No, bądź zdrow... Ale co ty robisz!...

Mówiąc, ksiązę w roztargnieniu wziął znowu do ręki ze stołu ów nożyk i znowu Parfien wyjął mu go z ręki i rzucił na poprzednie miejsce. Był to zwykły sobie nożyk, nie składany, z rękojeścią z jeleniego rogu, z ostrzem na trzy i pół werszka długim i odpowiednio szerokim.

Widząc, że ksiązę uczuł się nieco dotknięty, iż mu dwukrotnie wyrwano nożyk z ręki, Parfien ze złością chwycił nożyk i wsadził go do książki, po czym cisnął książkę na sąsiedni stół.

- Papier nim przecinasz czy co? - zapytał ksiązę, ale jakoś z roztargnieniem, wciąż jeszcze jakby tonąc w głębokiej zadumie.

- Tak, papier...

- Przecie to ogrodowy nóż.

- Tak, ogrodowy. A czy ogrodowym nie można przecinać papieru?

- Ależ on jest... nowiutki.

- No to co, że nowiutki? Nie mogę teraz kupić nowego noża?! - zawołał na koniec Rogożyn jakimś wściekłym tonem, wpadając przy każdym słowie w coraz większe rozdrażnienie.

Książę drgnął i badawczo popatrzył na Rogożyna.

- Tośmy się dogadali! - roześmiał się nagle, odzyskując przytomność umysłu. - Wybacz mi, bracie; kiedy mi głowa ciąży tak jak teraz i ta moja choroba... robię się całkiem, ale to całkiem roztargniony i śmieszny. Wcale nie o to chciałem zapytać, ale o co właściwie - już nie pamiętam. Bądź zdrow...

- Nie tędy - powiedział Rogożyn.

- Zapomniałem!

- Tędy, tędy, chodźmy, pokażę ci drogę.

IV

Szli przez te same pokoje, przez które książe już przechodził; Rogożyn szedł pierwszy, książe za nim. Weszli do dużej sali. Wisiało tu na ścianach kilka obrazów, same portrety archijerejów i pejzaże; trudno jednak było na tych obrazach coś rozpoznać. Nad drzwiami do sąsiedniego pokoju wisiał jeden obraz, dość dziwny ze względu na format, mający ze dwa i pół arszyna szerokości i nie więcej niż sześć cali długości. Obraz przedstawiał Zbawiciela, dopiero co zdjętego z krzyża. Książe mimochodem spojrział, jakby sobie coś przypominając, i chciał nie zatrzymując się iść dalej. Był przygnębiony i pragnął jak najprędzej opuścić ten dom. Ale Rogożyn nagle zatrzymał się przed obrazem.

- Wszystkie te obrazy tutaj - powiedział - zostały zakupione przez nieboszczyka ojca na licytacjach po rublu, po dwa ruble; ojciec to lubił. Oglądał je kiedyś pewien człowiek, co się zna na tym; wszystko nic niewarte, mówił, tylko ten obraz nad drzwiami jest coś wart, chociaż zapłacono za niego tak samo dwa ruble. Jakiś amator dawał ojcu za niego trzysta pięćdziesiąt rubli. A Iwan Dmitrycz Sawieliew, kupiec, wielki miłośnik obrazów, dochodził nawet do czterystu i w zeszłym tygodniu mojemu bratu Siemionowi zaproponował nawet pięćset. Ja jednak zatrzymałem obraz dla siebie.

- To jest... kopia obrazu Hansa Holbeina[60]. - powiedział książe, który zdążył obejrzeć obraz.
- Wprawdzie nie jestem nadzwyczajnym znawcą, wydaje mi się jednak, że to doskonała kopia. Widziałem ten obraz za granicą i nie mogę go zapomnieć. Ale... co ci się stało?...

Rogożyn nagle przestał zajmować się obrazem i ruszył dalej. Oczywiście roztargnienie i szczególnie, dziwnie nerwowy nastrój, który tak nagle wystąpił u Rogożyna, mógłby do pewnego stopnia wytłumaczyć tę porywczosć; księcia jednak zaskoczyło to, że tak nagle urwała się rozmowa, którą przecież nie on rozpoczął, i że Rogożyn nic mu nawet nie odpowiedział.

- Słuchaj no, Lwie Nikołajewiczu - zaczął znów nagle mówić Rogożyn, uszedłszy kilka kroków - chciałem się już dawno o to zapytać; czy ty wierzysz w Boga ?

- Dziwnie się jakoś pytasz i... patrzysz! - zauważył mimo woli książe.

- A na ten obraz lubię popatrzeć - mruknął po chwili milczenia Rogożyn, jakby znów zapominając o swoim pytaniu.

- Na ten obraz! - zawołał nagle książe pod wpływem nowej myśli - na ten obraz! Ależ od tego obrazu niejeden może utracić wiarę!

- Tak, może - potwierdził niespodziewanie Rogożyn.

Doszli już do wyjścia.

- Co? - zatrzymał się nagle książe. - Coś ty powiedział ?! Ja żartowałem, a ty zaraz bierzesz to

na serio! I po cóż mnie pytałeś, czy wierzę w Boga?

- A nic, tak sobie. Już dawniej chciałem spytać. Przecie teraz dużo jest niewierzących. A czy to prawda (mieszkałeś przecie za granicą) - mówił mi jeden człowiek po pijanemu - że u nas w Rosji więcej jest takich, co w Boga nie wierzą, więcej niż w innych krajach? „Nam, mówił, lżej to przychodzi niż im, bo myśmy dalej od nich zaszli”...

Rogożyn uśmiechnął się zjadliwie; wypowiedziawszy swoje pytanie, nagle otworzył drzwi i trzymając rękę na klamce czekał, aż ksiązę wyjdzie. Ksiązę zdziwił się, ale wyszedł. Rogożyn wyszedł za nim na schody i przymknął drzwi za sobą. Obaj stali naprzeciwko siebie z takim wyrazem twarzy, jakby zapomnieli, dokąd przyszli i co teraz należy robić.

- Więc bądź zdrow - rzekł ksiązę podając mu rękę.

- Bądź zdrow - odparł Rogożyn, mocno, ale całkiem odruchowo ściskając wyciągniętą do niego rękę.

Ksiązę zszedł jeden stopień i obejrzał się.

- A co się tyczy wiary - zaczął mówić z uśmiechem (najwidoczniej nie chcąc tak zostawić Rogożyna), ożywiając się nagle pod wpływem jakiegoś wspomnienia - co się tyczy wiary, to w ubiegłym tygodniu miałem w ciągu dwóch dni cztery różne spotkania. Rano jechałem nową koleją żelazną, przegadałem w wagonie chyba ze cztery godziny z jakimś panem S. i zawarłem z nim znajomość. Jeszcze przedtem dużo o nim słyszałem, między innymi jako o ateuszu. To człowiek rzeczywiście bardzo uczony, więc ucieszyłem się, że będę rozmawiał z prawdziwym uczonym. Przy tym jest bardzo dobrze wychowany, więc mówił ze mną zupełnie jak z równym sobie pod względem wiedzy i pojęć. W Boga nie wierzy. Jedno tylko mnie uderzyło: że jakby wcale nie o tym mówił cały czas, i dlatego mnie właśnie uderzyło to, co i dawniej, ilekroć rozmawiałem z niewierzącymi albo czytałem takie książki; wciąż mi się wydawało, że i oni mówią, i w książkach piszą zupełnie jakby nie o tym, chociaż z pozoru wygląda, że o tym. Powiedziałem mu to od razu wtedy, ale widać niezbyt jasno albo nie umiałem się wysłowić, ponieważ on nic nie zrozumiał... Wieczorem zatrzymałem się na noc w hotelu powiatowym, a tam poprzedniej nocy zdarzyło się morderstwo, toteż wszyscy o tym mówili, kiedy przyjechałem[61]. Dwaj chłopci, już niemłodzi i nie pijani, znający się z sobą od dawna, przyjaciele, napili się herbaty i chcieli pójść spać razem w jednym pokoiku. Ale na dwa dni przed owym morderstwem jeden z nich podpatrzył u drugiego srebrny zegarek na łańcuszku z żółtych paciorków; widocznie tego zegarka nie widział przedtem. Człowiek ten nie był złodziejem, był nawet uczciwy i jak na chłopca wcale nie biedny. Tak mu się jednak spodobał ten zegarek i tak go znęcił, że chłop w końcu nie wytrzymał: wziął nóż i kiedy przyjaciel się odwrócił, podszedł do niego ostrożnie z tyłu, zamierzył się, wznosił oczy do nieba, przeżegnał się i wymówiwszy w myśli błagalną prośbę: „Boże, odpuść, na rany Chrystusa!”, zamordował przyjaciela od jednego razu jak barana i zabrał mu zegarek.

Rogożyn aż się zatoczył ze śmiechu. Śmiał się, jakby dostał jakiegoś ataku. Dziwnie było patrzeć na ten śmiech po takim ponurym niedawnym nastroju.

- To mi się podoba! Nie, to najlepsze ze wszystkiego! - krzyczał konwulsyjnie, nieomal tracąc

oddech. - Jeden wcale w Boga nie wierzy, a drugi tak bardzo wierzy, że nawet ludzi morduje z modlitwą na ustach... Nie, bracie, tego się nie wymyśli! Cha, cha, cha! Nie, to wspaniałe!...

- Nazajutrz rano wyszedłem powalać się po mieście - ciągnął dalej książkę, gdy tylko Rogożyn przestał się śmiać, chociaż śmiech wciąż jeszcze wstrząsał konwulsyjnie jego twarzą - widzę, że na drewnianym trotuarze zatacza się pijany żołnierz, obszarpany do niemożliwości. Podchodzi do mnie: „Niech wielmożny pan kupi srebrny krzyżyk, oddam za dwadzieścia kopiejek, srebrny!” Patrzę, istotnie ma w ręku krzyżyk, który widocznie dopiero co zdjął z siebie, na bardzo znoszonej niebieskiej wstążeczce, ale prawdziwy cynowy, widać od razu, dużych rozmiarów, ośmioramienny, typowy bizantyjski krzyżyk. Wyjąłem dwudziestokopiejkową i dałem mu, a krzyżyk zaraz włożyłem na szyję - na twarzy żołnierza dostrzegłem wyraz zadowolenia: rad był, że mu się udało oszukać głupiego pana. Niewątpliwie natychmiast poszedł przepić swój krzyżyk. Byłem wtedy, bracie, pod bardzo silnym wrażeniem tego wszystkiego, co mnie zewsząd otaczało w Rosji; nic w niej przedtem nie rozumiałem, jakbym rósł głuchy i niemy, a w ciągu tych pięciu lat za granicą wspominałem o niej w jakiś fantastyczny sposób. Idę więc i myślę: „nie, nie potępię jeszcze tego zdrajcy Chrystusowego. Przecie Bóg raczy wiedzieć co tam tkwi w tych zapitych i słabych sercach.” Po godzinie wracam do hotelu i natykam się na kobietę z niemowlęciem na ręku. Baba jeszcze młoda, dziecko ma najwyżej ze sześć tygodni. I to dziecko uśmiechnęło się, jak ona sama zaobserwowała, po raz pierwszy od urodzenia. Patrzę, a baba się bardzo, bardzo przeżegnała. „Cóż ty, mówię, robisz, młoda kobieto?” (Wypytywałem wówczas o wszystko.) „Ano, powiada, tak jak matka się cieszy, kiedy zobaczy pierwszy uśmiech swojego dzieciątka, tak też samo Pan Bóg odczuwa radość, kiedy zauważy z nieba, że grzesznik przed nim pada na kolana i modli się całym sercem, całą duszą.” Powiedziała mi to baba, wyraziła w tych mniej więcej słowach taką głęboką, taką subtelną i prawdziwie religijną myśl, taką myśl, w której zawarła się cała istota chrześcijaństwa, czyli całe pojęcie o Bogu jako o naszym Ojcu i o radości, jaką Bogu sprawia człowiek, podobnie jak ojcu sprawia radość rodzone dziecko - najważniejsza myśl Chrystusa! Prosta baba! Co prawda, matka... i kto wie, może ta baba była żoną tamtego żołnierza. Słuchaj, Parfien, zadałeś mi niedawno pytanie, oto moja odpowiedź: istota uczuć religijnych nie ma nic wspólnego z żadnym rozumowaniem, z żadnymi przewinieniami czy przestępstwami, z żadnymi ateizmami; tu jest coś innego i wiecznie będzie coś innego; tu jest coś takiego, obok czego wiecznie będą się prześlizgiwać ateizmy i wiecznie będą mówić nie o tym. Ale najważniejsze, że najwyraźniej i najprędzej daje się to zauważyć w rosyjskim sercu - taka jest moja konkluzja! To jedno z pierwszych moich przekonań, jakiego nabrałem tu, w naszej Rosji. Jest huk roboty, Parfien! Wierz mi, jest co robić w naszym rosyjskim świecie! Przypomnij sobie, jak spotykaliśmy się w Moskwie i rozmawialiśmy przez pewien czas... I wcale nie chciałem wracać tutaj teraz! I całkiem, całkiem inaczej wyobrażałem sobie nasze spotkanie! No, ale cóż!... Bądź zdrów, do widzenia! Niech cię Bóg wspomaga!

Odwrócił się i zaczął schodzić w dół po schodach.

- Lwie Nikołajewiczu! - zawołał z góry Parfien, kiedy książkę doszedł do pierwszego podestu. - Czy masz na sobie ten krzyżyk, co go kupiłeś od żołnierza?

- Tak, mam.

I książkę znowu się zatrzymał.

- Pokaż no.

Nowe jakieś dziwactwo! Książę pomyślał, wszedł na górę i pokazał krzyżyk, nie zdejmując go z szyi.

- Daj mi - powiedział Rogożyn.

- Po co? Czy ty...

Książę nie chciał rozstawać się z krzyżykiem.

- Będę go nosił, a swój oddam tobie i ty go noś.

- Chcesz zrobić zamianę krzyżyków? Dobrze, Parfien; jeśli tak, to się cieszę; zbratamy się!

Książę zdjął swój cynowy krzyżyk. Parfien swój złoty i zrobili zamianę. Parfien milczał. Książę z przykrym zdziwieniem dostrzegł, że dawna nieufność, dawny gorzki i niemal drwiący uśmiech wciąż jeszcze jakby błąkał się po twarzy jego przybranego brata, a co najmniej chwilami wyraźnie się zaznaczał. W milczeniu ujął na koniec Rogożyn rękę księcia i stał tak pewien czas, jakby nie mogąc się na coś zdecydować; wreszcie nagle pociągnął go za sobą, wymówiwszy ledwo dosłyszalnym głosem: „Chodźmy”. Przeszli przez podest pierwszego piętra i zadzwonili do drzwi znajdujących się naprzeciwko tamtych, z których wyszli. Otworzono im niebawem. Bardzo stara kobiecina, zgarbiona, w czarnej sukni, w chustce na głowie, bez słowa nisko pokłoniła się Rogożynowi; ten szybko spytał ją o coś i nie czekając na odpowiedź poprowadził księcia dalej w głąb mieszkania. Znów przechodzili przez ciemne pokoje, czyste jakąś niezwykłą zimną czystością, umeblowane surowo i zimno staroświeckimi meblami w białych, czystych pokrowcach. Nie uprzedzając o wizycie księcia, Rogożyn wprowadził go od razu do niewielkiego pokoju, wyglądającego na bawialnię, przegrodzonego lśniącem mahoniowym przepierzeniem z dwójgciem drzwi po bokach, za którymi znajdowała się zapewne sypialnia. W kącie bawialni przy piecu siedziała w fotelu mała staruszka, z wyglądu nawet nie taka bardzo stara, o twarzy dosyć czerstwej, sympatycznej i okrągłej, ale już zupełnie siwa i (co można było zauważyć od pierwszego wejrzenia) całkiem zdzieciniała. Była ubrana w czarną wełnianą suknię, na szyi miała dużą czarną chustkę, a na głowie czysty biały czepek z czarnymi wstążkami. Nogi opierała na stołeczku. Obok niej znajdowała się druga czyściutka staruszka, trochę starsza, też w żałobie i w białym czepku, prawdopodobnie jakaś rezydentka, która w milczeniu robiła pończochę. Obie zapewne cały czas milczały. Pierwsza staruszka, ujrawszy Rogożyna i księcia, uśmiechnęła się do nich i kilka razy łaskawie nachyliła głowę na znak zadowolenia.

- Mateczko - powiedział Rogożyn i pocałował ją w rękę - to mój wielki przyjaciel, książę Lew Nikołajewicz Myszkina; zamieniliśmy się krzyżykami; w swoim czasie w Moskwie był mi bratem rodzonym, dużo dla mnie zrobił. Pobłogosław go, mateczko, tak jakbyś błogosławiła rodzony syna. Poczekaj, staruszko, o, tak, pozwól, że ci złożę palce...

Ale staruszka, zanim Parfien zdążył wziąć jej rękę, złożyła trzy palce i trzy razy pobożnie przeżegnała księcia. Potem jeszcze raz życzliwie i czule kiwnęła mu głową.

- No, chodźmy, Lwie Nikołajewiczu - powiedział Parfien - po to tylko przyprowadziłem cię tutaj...

Kiedy znów wyszli na schody, dodał:

- Przecie ona nic a nic nie rozumie, co się do niej mówi, i moich słów też nie zrozumiała, a ciebie pobłogosławiła; więc widocznie sama zapragnęła... No, bądź zdrow, czas na mnie i na ciebie.

I otworzył drzwi.

- Ależ dajże mi się chociaż uściskać na pożegnanie, ty dziwaku! - zawołał ksiązę, patrząc na niego z serdeczną wymówką, i chciał go objąć. Jednak Parfien, zaledwie podniósł ręce, natychmiast je opuścił. Nie mógł się zdecydować; odwracał się, żeby nie patrzeć na księcia. Nie chciał go uścisnąć.

- Nie bój się! Chociaż wziąłem twój krzyżyk, nie zamorduję cię za zegarek! - wybąkał niezbyt wyraźnie i dziwnie się jakoś roześmiał. Raptem jednak twarz jego się zmieniła: zbladł okropnie, wargi mu zadrżały, oczy rozbłysły. Podniósł ręce, mocno uścisnął księcia i niemal tracąc oddech powiedział:

- No to bierz ją, jeżeli los tak chce! Jest twoja! Ustępuję!... Znaj Rogożyna!

I zostawiwszy księcia, nie patrząc na niego, pospiesznie wszedł do siebie i zatrzasnął za sobą drzwi.

Było już późno, prawie wpół do trzeciej, i ksiązę nie zastał Jepanczyna w domu. Zostawiwszy bilet postanowił udać się do hotelu „Wagi” i zapytać tam o Kołę; jeżeli go tam nie ma - zostawić kartkę. W „Wagach” powiedziano mu, że Mikołaj Ardalionowicz „wyszedł jeszcze rano, ale wychodząc zawiadomił, że jeśliby ktoś o niego pytał, to żeby powiedzieć, że koło trzeciej może wróci do domu. A jeśliby go nie było do wpół do czwartej, to znaczy, że pojechał pociągiem od Pawłowska, do willi generałowej Jepanczyn, i już tam, ma się rozumieć, zostanie na kolacji.” Ksiązę usiadł, zamierzając czekać, a na razie kazał sobie podać obiad.

O wpół do czwartej, ani nawet o czwartej, Kola się nie zjawił. Ksiązę wyszedł i ruszył przed siebie bez określonego celu. Na początku lata w Petersburgu zdarzają się czasem prześliczne dni - jasne, gorące, ciche. Dzień ten był właśnie jednym z takich wyjątkowych dni. Przez pewien czas ksiązę błąkał się bez celu. Miasta prawie wcale nie znał. Zatrzymywał się niekiedy na skrzyżowaniach ulic, przed niektórymi domami, na placach, na mostach; raz wstąpił do cukierni, żeby odpocząć. Chwilami z dużym zaciekawieniem przypatrywał się przechodniom, przeważnie jednak nie zauważał ani przechodniów, ani nie orientował się, dokąd idzie. Był jakiś niespokojny, nerwy miał męcząco napięte, a jednocześnie odczuwał niezwykłą potrzebę samotności. Chciał być sam i poddać się temu bolesnemu stanowi nerwów z zupełną biernością, nie usiłując znaleźć wyjścia z niego. Ze wstrętem odpychał od siebie myśl, że mógłby i powinien rozwiązywać różne zagadnienia cisnące się do jego duszy i serca; nie chciał się nad nimi zastanawiać. „Cóż ja jestem winien temu wszystkiemu” - mruzczał sam do siebie, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

Około szóstej znalazł się na peronie dworca Carskosielskiej Kolei Żelaznej. Samotność szybko mu dokuczyła; nowe gorące uczucie zawładnęło jego sercem i na chwilę rozjaśniło jaskrawym światłem ciemności, w których tonęła jego stęskniona dusza. Kupił bilet do Pawłowska i niecierpliwie czekał na odjazd pociągu; coś jednak najwidoczniej go prześladowało, i była to rzeczywistość, a nie fantazja, jak może skłonny był mniemać. Prawie już wsiadając do wagonu, rzucił nagle kupiony bilet i wyszedł z dworca, zmieszany i zamyślony. Po pewnym czasie, już na ulicy, nagle jakby coś sobie przypomniał, jakby coś sobie raptownie uświadomił, coś bardzo dziwnego, coś, co już od dawna go niepokoiło. Nagle przyłapał się na pewnym zajęciu, które uprawiał od dłuższego czasu, ale którego nie zauważył do tej pory: oto już od kilku godzin, jeszcze chyba w hotelu, a nawet przed przyjściem do hotelu, co chwila ni stąd, ni zowąd zaczynał jakby szukać czegoś dokoła siebie. Zapominał o tym, nawet na długo, na pół godziny, i raptem znowu się rozglądał z niepokojem, znowu czegoś szukał dokoła.

Ledwo jednak spostrzegł w sobie ten chorobliwy i dotychczas najzupełniej nieświadomy odruch, któremu tak dawno już ulegał, nagle przyszło mu na myśl coś jeszcze, co go nadzwyczaj zainteresowało: przypomniało mu się w tej samej chwili, kiedy zauważył, iż ciągle szuka czegoś dokoła siebie, że stał na trotuarze przed oknem jakiegoś sklepu i z wielką ciekawością oglądał towary wystawione za szybą. Poczul, że musi to koniecznie sprawdzić: czy rzeczywiście stał niedawno, może z pięć minut temu, przed oknem tego sklepu, czy mu się to nie przywidziało, czy nie poplątał czegoś? Czy naprawdę istnieje ten sklep i te towary? Przecie istotnie czuje się dziś nieswojo, ma zgoła chorobliwy nastrój, prawie taki, w jakim bywał przedtem, kiedy zbliżały się ataki choroby. Wiedział, że w każdym takim przedatakowym okresie bywa niezwykle roztargniony i często nawet płacze przedmioty i osoby, jeśli na nie patrzy nie natężając specjalnie uwagi. Istniał zresztą jeszcze jeden powód, dla którego chciał się koniecznie przekonać, czy stał wtedy przed sklepem: wśród przedmiotów wystawionych w oknie sklepu był jeden, któremu długo się przyglądał i który nawet oszacował na sześćdziesiąt kopiejek, pamiętał to dobrze mimo swego roztargnienia i lęku. A więc jeżeli ten sklep istnieje i ten przedmiot jest rzeczywiście wystawiony pomiędzy innymi towarami, to zatrzymał się właśnie dla obejrzenia tego przedmiotu. A więc ten przedmiot musiał mieć w sobie coś tak interesującego, że przyciągnął jego uwagę nawet wówczas, kiedy znajdował się w stanie jakiegoś przykrego zmieszania, zaraz po wyjściu z dworca kolei żelaznej. Szedł, prawie z tęsknotą patrząc na prawo i na lewo, i serce mu biło z niepokojem i niecierpliwości. No i jest ten sklep, odnalazł go nareszcie! Już był o jakie pięćset kroków od sklepu, gdy nagle postanowił zawrócić. No i jest ten przedmiot za sześćdziesiąt kopiejek. „Ma się rozumieć, sześćdziesiąt kopiejek, więcej niewart!” - powiedział sobie w duchu i roześmiał się. Ale roześmiał się histerycznie; zrobiło mu się bardzo ciężko na duszy. Uprzytomnił sobie teraz najwyraźniej, że właśnie tutaj, stojąc przed tym oknem, obejrzał się nagle, tak samo jak przedtem, kiedy poczul na sobie wzrok Rogożyna. Sprawdziwszy, że się pomylił (o czym zresztą i przed sprawdzeniem był najzupełniej przekonany), czym prędzej oddalił się od sklepu. Wszystko to trzeba szybko przemyśleć, koniecznie; teraz było dla niego rzeczą całkiem jasną, że nic mu się nie przywidziało na dworcu, że niewątpliwie wydarzyło się z nim coś naprawdę, coś związanego z całym jego poprzednim zdenerwowaniem. Ale jakiś wewnętrzny, nieprzewyciężony wstręt znów wzięł w nim górę: nie chciał się nad niczym głowić, nie chciał nic rozważać; zamyślił się nad czymś zupełnie odrębnym. Zamyślił się między innymi nad tym, że w jego epileptycznych stanach była pewna krótka faza prawie tuż przed atakiem (jeśli tylko atak przychodził na jawie), kiedy nagle wśród smutku, ciemności duchowych i przygnębienia chwilami jakby rozplómiął się jego mózg i z niezwykłą mocą natężyły się

jednocześnie wszystkie jego siły witalne. Odczuwanie życia, uświadomienie sobie swojej jaźni wzrastały niemal dziesięciokrotnie w owych momentach, krótkich jak błyskawica. Umysł, serce, rozjarzały się niezwykłym światłem, wszystkie wzruszenia, wszystkie wątpliwości, wszystkie niepokoje od razu jakby się uciszały, przechodziły w jakiś idealny błogostan, pełen jasnej, harmonijnej radości i nadziei, łączyły się z Najwyższym Rozumem i Ostateczną Przyczyną. Ale te momenty, te przebliski były dopiero zapowiedzią owej decydującej sekundy (nigdy nie trwało to dłużej niż sekundę), w której zaczynał się atak. Ta sekunda była oczywiście trudna do zniesienia. Rozmyślając nad ową chwilą później, już będąc zdrowym, mówił sobie często, że przecież te wszystkie błyskawice myśli i przebliski wyższego odczuwania i wyższej świadomości, a więc i „doskonalszego bytu”, nie są niczym innym tylko chorobą, naruszeniem normalnego stanu, a jeśli tak, nie jest to wcale doskonalszy byt, przeciwnie, trzeba to uważać za byt podrzędny, niższy. Jednak doszedł mimo wszystko do paradoksalnego wniosku: „Cóż z tego, że to choroba? - rzekł w końcu. - Cóż z tego, że to jest nienormalne napięcie, jeżeli rezultat, chwila odczuwania, którą się potem przypomina i rozpatruje, będąc już zdrowym, okazuje się najwyższą harmonią, pięknem, daje niesłychane i niespodziewane dotychczas uczucie pełni, miary, pojednania i entuzjastycznego, modlitewnego zlania się z najwyższą syntezą życia?” Ta mglista frazeologia wydała mu się całkiem zrozumiała, chociaż jeszcze zbyt słaba. O tym zaś, że to jest rzeczywiście „piękno i modlitwa”, że to jest rzeczywiście „najwyższa synteza życia”, wątpić nie mógł, a nawet nie mógł dopuścić żadnych wątpliwości. Przecież nie miał w owym momencie jakichś fantasmagorii, jak po haszyszu, opium czy wódce; majaków urągających rozsądkowi i wykoślawiających duszę, niemoralnych i nierzeczywistych. O tym mógł trafnie sądzić, gdy mijał stan chorobowy. Momenty te były właśnie tylko niezwykłym natężeniem świadomości - gdy trzeba było wyrazić ten stan jednym słowem - świadomości i zarazem odczucia w najwyższym stopniu bezpośredniego. Jeżeli w danej sekundzie, czyli w ostatniej chwilce przytomności przed atakiem, zdążył sobie jasno i świadomie powiedzieć: „Tak, za tę jedną chwilę można by oddać życie!” - to na pewno chwila ta sama przez się warta była całego życia. Zresztą o dialektyczną stronę swego rozumowania nie dbał: ogłupienie, mrok duchowy, idiotyzm - to były niewątpliwe skutki owych „najwyższych chwil”. Na serio, rzecz prosta, nigdy by się nie spierał. W rozumowaniu, czyli w jego ocenie owej chwili, tkwił niewątpliwie błąd, ale realność wrażenia zawsze wprawiała go po trosze w zakłopotanie. Bo cóż doprawdy czynić z realnością? Przecie to wszystko rzeczywiście było, przecie sam zdążył zawsze powiedzieć sobie w takiej chwili, że z uwagi na nieskończone szczęście, które w pełni odczuwa, chwila ta mogłaby być warta całego życia. „W owym momencie - jak mówił pewnego razu do Rogożyna w Moskwie podczas ich ówczesnych spotkań - w owym momencie stają się dla mnie jakoś zrozumiałe słowa, że czasu więcej nie będzie.”[62] „Zapewne - dodał z uśmiechem - jest to ta sama chwila, w której nie zdążył się wylać dzban z wodą epileptyka Mahometa, a w której tenże Mahomet zdążył jednak obejrzeć wszystkie zakątki raj.”[63] Tak, w Moskwie często się widywał z Rogożynem; rozmawiali wtedy nie tylko o tym. „Rogożyn niedawno powiedział, że byłem wówczas dla niego bratem; powiedział to dzisiaj po raz pierwszy” - pomyślał książę. Pomyślał o tym, siedząc na ławce pod drzewem w Ogrodzie Letnim. Dochodziła siódma. Ogród był pusty; jakaś chmura na moment przesłoniła zachodzące słońce. Było parno; wszystko świadczyło, że gdzieś daleko zbiera się burza. Książę czuł, że w jego obecnym stanie kontemplacji kryje się jakaś przynęta. Przyklepiał się wspomnieniami i myślami do każdego zewnętrznego przedmiotu i znajdował w tym przyjemność: wciąż pragnął zapomnieć o czymś obecnym, powszednim, ale gdy tylko spojrzał dokoła, natychmiast poznawał znów swoją posępną myśl, od której tak się chciał oderwać. Przypomniawszy sobie, że rozmawiał dzisiaj przy obiedzie w restauracji z kelnerem o pewnym nadzwyczaj dziwnym

morderstwie, które niedawno narobiło dużo hałasu i wywołało wiele komentarzy. Zaledwie jednak pomyślał o tym, znów nagle wydarzyło się z nim coś osobliwego.

Niezwykłe, nieodparte pragnienie, prawie pokusa opanowała raptem jego wolę. Wstał z ławki i wyszedł z ogrodu, idąc prosto ku Stronie Petersburskiej. Nie tak dawno, będąc na nadbrzeżu Newy, poprosił jakiegoś przechodnia, żeby mu pokazał przez rzekę Stronę Petersburską. Przechodzień wskazał mu drogę; ale on nie poszedł tam wówczas. I w każdym razie dziś nie miał tam po co chodzić: zdawał sobie z tego sprawę. Adres znał od dawna; z łatwością mógł odnaleźć dom siostrzenicy Lebidiewa; wiedział jednak na pewno, że jej nie zastanie. „Musiała wyjechać do Pawłowska, w przeciwnym razie Kola zostawiłby coś w „Wagach”, stosownie do umowy. A więc jeżeli szedł teraz, to oczywiście nie po to, żeby ją zobaczyć. Owładnęła nim inna, ponura i bolesna ciekawość. Przyszła mu nagle do głowy pewna niespodziewana myśl...

Ale dla niego było i tak aż nadto dużo, że poszedł i wiedział, dokąd idzie: w chwilę później znów już szedł, prawie nie zważając na drogę. Dalsze rozmyślanie nad tą „niespodziewaną myślą” natychmiast mu strasznie obrzydło i stało się dla niego wprost niemożliwe. Z męcząco napiętą uwagą wpatrywał się we wszystko, co mu wpadało w oczy, patrzył na niebo, na Newę. Wszczął rozmowę z małym dzieckiem, które spotkał po drodze. Być może, iż jego epileptyczny stan coraz bardziej się wzmacniał. Burza istotnie nadciągała, chociaż powoli, Słychać już było dalekie grzmoty. Robiło się bardzo duszno...

Nie wiadomo dlaczego wciąż mu się teraz przypominał - tak jak się przypomina czasem natrętny i aż do oglupienia dokuczliwy motyw muzyczny - siostrzeniec Lebidiewa, którego dopiero co widział. Ale najdziwniejsze było to, że przypominał mu się w postaci owego mordercy, o którym wspominał sam Lebidiew, przedstawiając mu siostrzeńca. Tak, jeszcze bardzo niedawno czytał o tym mordercy. Dużo czytał i słyszał o takich rzeczach, odkąd przyjechał do Rosji; uparczywie śledził to wszystko. A podczas obiadu nawet aż nadto się zainteresował w rozmowie z kelnerem tą właśnie sprawą; zabójstwem Żemarinów. Kelner przyznał mu rację, pamiętał to dobrze. Przypominał też sobie kelnera; był to niegłupi chłopak, solidny i ostrożny, a „zresztą Bóg raczy wiedzieć, co to za jeden. Trudno na nowej ziemi rozpoznać nowych ludzi.” W duszę rosyjską zaczynał zresztą namiętnie wierzyć. „O, dużo, dużo zniósł rzeczy zupełnie nowych w ciągu tych sześciu miesięcy, i nieoczekiwanych, i niesłychanych, i zaskakujących! Ale cudza dusza to rzecz niezbadana, i dusza rosyjska też jest niezbadana; dla wielu niezbadana. Sam na przykład dość długo zbliżał się do Rogożyna, no i zbliżył się, bardzo się zbliżył, jak do brata - a czy go naprawdę zna? Zresztą, jaki czasami panuje w tym wszystkim chaos, jaki galimatias! I cóż to jednak za obrzydliwy i zadufany smarkacz, ten siostrzeniec Lebidiewa! Ale o czym to ja?... (snuł dalej książę swoje rojenia. Czy on rzeczywiście zabił te istoty, tych pięcioro ludzi? Coś jakbym płątał... jakie to dziwne! W głowie mi się kręci... A jaką sympatyczną, jaką miłą twarz ma starsza córka Lebidiewa, ta, która stała z dzieckiem na ręku; taki niewinny, taki prawie dziecięcy wyraz i taki prawie dziecięcy śmiech! To dziwne, że on prawie zapomniał o tej twarzy i dopiero teraz ją sobie odtworzył w pamięci. Lebidiew, tupiący nogami na swoje dzieci, na pewno uwielbia je wszystkie. Ale najpewniejsze, jak dwa razy dwa, jest to, że Lebidiew uwielbia również swojego siostrzeńca!

A zresztą czemuż on się tak zabrał do sądzenia ich wszystkich, i to tak bezapelacyjnie, on, który dopiero co się tutaj zjawiał, wydaje na nich takie surowe wyroki? A i sam Lebidiew dał mu dzisiaj

powód do zastanowienia: czyż on się spodziewał takiego Lebediewa? Czyż on znał przedtem takiego Lebediewa? Lebediew i Dubarry - o Boże! Zresztą jeśli Rogożyn zabije, to przynajmniej zrobi to nie tak beładnie. Chaosu żadnego nie będzie. Przyrząd wykonany podług rysunku i sześć osób zupełnie nieprzytomnych!...[64] Rogożyn na pewno ma przyrząd zrobiony podług rysunku... na pewno ma... ale... czy to postanowione, że Rogożyn zabije?" - Książę nagle drgnął.

- Czy to nie zbrodnia, czy to nie podłość z mojej strony z takim jawnym cynizmem robić takie przypuszczenia?! - zawołał książę i rumieniec wstydu gwałtownie oblał jego twarz. Był zaskoczony, stanął jak wryty i stał tak na drodze. W jednej chwili przypomniał sobie dworzec Pawłowski i dworzec Nikołajewski i pytanie zadane wprost Rogożynowi o oczach, i krzyżyk Rogożyna, który ma teraz na szyi, i błogosławieństwo jego matki, do której tamten sam go zaprowadził, i ostatni konwulsyjny uścisk, i rezygnację Rogożyna, wtedy, na schodach - i po tym wszystkim łapał siebie na bezustannym szukaniu czegoś dokoła; i ten sklep, i ten przedmiot... co za podłość! I po tym wszystkim idzie sobie teraz w „szczególnym celu”, z osobliwą „nieoczekiwaną myślą”! Ból i rozpacz owładnęły całą jego duszą. Książę chciał natychmiast iść do siebie do hotelu; zawrócił nawet i poszedł; ale po chwili zatrzymał się, pomyślał i wrócił na dawną drogę.

Tak, był już na Stronie Petersburskiej, był blisko domu; przecież nie idzie teraz w tym samym, co dawniej celu, nie idzie z „osobliwą myślą”! I jak się to mogło stać! Tak, choroba jego powraca, to niewątpliwe; może dziś jeszcze nastąpi atak. Skutkiem choroby jest cały ten mrok w jego duszy, skutkiem choroby jest i ta „myśl”! Obecnie mrok rozproszony, demon odpędzony, wątpliwości żadnych nie ma, w sercu króluje radość! I - tak dawno jej nie widział, a musi ją zobaczyć i... tak chciałby teraz spotkać Rogożyna, wzięłyby go za rękę i poszliby razem... Sumienie ma czyste, czyż jest rywalem Rogożyna? Jutro sam pójdzie i powie Rogożynowi, że ją widział; przecież leciał tutaj, jak się wyraził dopiero co Rogożyn, tylko aby ją zobaczyć! Może ją zastanie, przecie nie wiadomo, czy ona na pewno jest w Pawłowsku!

Tak, teraz trzeba, żeby to wszystko było jasno postanowione, żeby wszyscy czytali w sobie nawzajem, żeby nie było tych ponurych i namiętnych rezygnacji, jak niedawna rezygnacja Rogożyna, i niech się to wszystko dopełni swobodnie i... jasno. Czyż Rogożyn nie jest zdolny ujrzeć światło? Mówi, że ją nie tak kocha, że w nim nie ma współczucia, nie ma „jakiejś tam żalości”. Co prawda, dodał później, że „twoja żalość jest może jeszcze gorsza od mojej miłości” - ale to on sam siebie obmawia. Hm, Rogożyn przy książce - czy to już nie jest żalość, czy to nie początek żalości? Czyż sama obecność tej książki nie dowodzi, że on całkowicie zdaje sobie sprawę ze swojego stosunku do niej? A to jego dzisiejsze opowiadanie? Nie, to coś głębszego od zwykłej żądzy. A czy jej twarz potrafi budzić tylko żądzę? I czy teraz twarz ta może w ogóle budzić żądzę? Budzi wielką mękę, opanowuje całą duszę, jest... - I palące, bolesne wspomnienie przeszło nagle serce księcia.

Tak bolesne. Przypomniał sobie, jak się jeszcze niedawno męczył, kiedy po raz pierwszy dostrzegł w niej symptomy obłędu. Wpadł wtedy niemal w rozpacz. I jak mógł ją opuścić, kiedy uciekła wówczas od niego do Rogożyna? Powinien był sam ją gonić, a nie czekać na wiadomości. Ale... czyżby Rogożyn nie zauważył dotąd jej obłąkania?... Hm... Rogożyn widzi we wszystkim inne przyczyny, uczuciowe przyczyny! Cóż to za szalona zazdrość! Co on chciał powiedzieć przez to swoje niedawne przypuszczenie? (Książę zaczerwienił się nagle; coś jakby drgnęło w jego sercu.)

Po co zresztą wspominać to wszystko? Oboje są szaleni. A dla niego, dla księcia, kochać

zmysłowo tę kobietę - byłoby po prostu niemożliwe, byłoby prawie okrucieństwem, nieludzkim okrucieństwem. Tak, tak! Nie, Rogożyn sam się oczernia; Rogożyn ma wielkie serce, zdolne i cierpieć, i współczuć. Kiedy się dowie całej prawdy i kiedy się przekona, jaką pożałowania godną istotą jest owa obłąkana i chora kobieta - czy jej wtedy nie przebaczy wszystkiego, co było przedtem, wszystkich swoich męczarni? Czyż nie stanie się jej sługą, bratem, przyjacielem, opatrnością? Współczucie oświeci i nauczy samego Rogożyna. Współczucie jest najważniejszym, a może nawet jedynym prawem istnienia całej ludzkości. O, jakże on niewybaczalnie i haniebnie zawinił przeciwko Rogożynowi! Nie, to nie rosyjska dusza jest niezbadana”, to jego własna dusza jest niezbadana, jeżeli zdolny był wyobrazić sobie taką potworność. Za kilka ciepłych i serdecznych słów, wypowiedzianych w Moskwie, Rogożyn już go nazywa swoim bratem, a on... Ależ to choroba, to majaczenie! To wszystko musi się raz rozstrzygnąć!... Jak posępnie wyraził się dzisiaj Rogożyn, że „traci wiarę”! Ten człowiek musi nieludzko cierpieć. Powiada, że „lubi patrzeć na ten obraz; nie lubi, tylko raczej odczuwa potrzebę. Rogożyn to nie tylko namiętna dusza, to jednak również bojownik: chce siłą odzyskać swoją utraconą wiarę. Owa wiara potrzebna mu jest teraz ponad wszystko... Tak! wierzyć w cokolwiek! wierzyć w kogokolwiek! Jaki jednak dziwny jest ten obraz Holbeina!... O, to ta ulica! A to zapewne ten dom; tak jest, w istocie, numer 16, „dom Filisowej, żony sekretarza kolegijskiego”. Tutaj! Księżę zadzwonił i zapytał o Nastasję Filipownę.

Sama właścicielka domu odpowiedziała mu, że Nastasja Filipowna już rano wyjechała do Pawłowska, do Darii Aleksiejewny, i „może nawet tak wypaść, proszę łaskawego pana, że zostanie tam kilka dni”. Filisowa była malutką, bystrooką, szczupłą na twarzy kobiecinką lat około czterdziestu; jej oczy spoglądały figlarnie i badawczo. Na pytanie Filisowej, jak się nazywa - pytanie, które w ustach kobiecinki zabrzmiało dość tajemniczo - księżę z początku nie chciał odpowiedzieć; zaraz jednak wrócił i z naleganiem poprosił, by zakomunikować jego nazwisko Nastasji Filipownie, Filisowa przyjęła to naglenie ze wzmożoną atencją i z niezwykle poufną miną, przez co chciała najwidoczniej okazać swoje dobre chęci, że niby „niech pan będzie spokojny, zrozumiałam, proszę łaskawego pana”. Nazwisko księcia wywarło na niej silne wrażenie. Księżę popatrzył na nią z roztargnieniem, odwrócił się i poszedł z powrotem do swojego hotelu. Wyszedł jednak już nie z tym wyrazem twarzy, z jakim dzwonił do Filisowej. Zaszła w nim znowu, niemal błyskawicznie, gruntowna zmiana: znowu szedł blady, słaby, cierpiący, zdenerwowany, kolana mu drżały i smutny, niepewny uśmiech błąkał się na zsiniałych ustach: „niespodziewana myśl” jego nagle się potwierdziła, znalazła oparcie w faktach i - księżę znowu zaczął wierzyć w swojego demona.

Ale czy na pewno się potwierdziła? Czy znalazła oparcie w faktach! Dlaczego on znowu tak drży, skąd ten zimny pot, ten mrok i chłód duchowy? Czy dlatego, że znowu teraz zobaczył te oczy? Ale przecież wyszedł z Letniego Ogrodu wyłącznie po to, żeby je zobaczyć! Na tym przecież polegała jego „niespodziewana myśl”. Zapragnął koniecznie ujrzeć te „niedawne oczy”, żeby się ostatecznie przekonać, że je bezwarunkowo spotka tam, w tym domu. Było to pragnienie wprost konwulsyjne, więc dlaczego jest taki przygnębiony i zaskoczony tym, że je teraz naprawdę zobaczył? Jakby się tego nie spodziewał? Tak, to były te same oczy (a co do tego, że to te same, nie ma już teraz żadnej wątpliwości!), które błysnęły mu rano wśród tłumu ludzi, kiedy wychodził z wagonu Nikołajewskiej Kolei Żelaznej; te same (zupełnie te same!), których spojrzenie wyczuł niedawno za plecami, siadając na krześle u Rogożyna. Rogożyn wyparł się wtedy; spytał z nieszczerym, lodowatym uśmiechem: „Czyjeż to były oczy?” I księżę strasznie zapragnął jeszcze niedawno, na dworcu Kolei Carskosielskiej - kiedy wsiadał do wagonu, żeby jechać do Agłai, i nagle znowu

zobaczył te oczy, już po raz trzeci tego samego dnia - podejść do Rogożyna i powiedzieć jemu, właśnie jemu powiedzieć, „czyje to były oczy”! Ale wybiegł z dworca i oprzytomniał dopiero przed sklepem z nożami w chwili, kiedy stał i oceniał na sześćdziesiąt kopiejek pewien przedmiot z rękojeścią z jeleniego rogu. Dziwny i okropny demon przyczepił się do niego ostatecznie i już go nie chciał opuścić. Ten demon szepnął mu w Letnim Ogrodzie, kiedy siedział pod lipą w zamyśleniu, że jeśli Rogożyn tak go pilnował od samego rana i śledził każdy jego krok, to dowiedziawszy się, że on nie pojedzie do Pawłowska (co niewątpliwie stanowiło fatalną dla Rogożyna wiadomość), Rogożyn na pewno pójdzie tam, do tego domu na Stronie Petersburskiej, i na pewno będzie tam pilnował jego, księcia, który mu jeszcze rano dał słowo honoru, że „jej nie zobaczy” i że „nie po to przyjechał do Petersburga”. Tymczasem księżę gwałtownie zmierza do tego domu, ale cóż z tego, że istotnie spotyka tam Rogożyna? Zobaczył tylko nieszczęśliwego człowieka, który jest w ponurym nastroju, ze względów jednak zrozumiałych. Ten nieszczęśliwy człowiek nawet się teraz nie ukrywał. Tak, Rogożyn dzisiaj nie wiadomo dlaczego wyparł się i skłamał, ale na dworcu[65] stał prawie się nie ukrywając. To raczej nawet on, księżę, ukrywał się, a nie Rogożyn. Teraz zaś, przy tym domu, stał po drugiej stronie ulicy, o jakieś pięćdziesiąt kroków od niego, na przeciwległym trotuarze, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, i czekał. Był tutaj zupełnie widoczny i, zdaje się, chciał, żeby go widziano. Stał jak oskarżyciel i jak sędzia, a nie jak... A nie jak kto?

A dlaczegóż to on, księżę, sam nie podszedł teraz do niego, lecz odwrócił się, jakby go nie zauważył, chociaż oczy ich się spotkały? (Tak, spojrzenia ich się skrzyżowały i popatrzyli na siebie wzajemnie). Przecież sam chciał niedawno wziąć go za rękę i pójść tam razem z nim. Przecież sam chciał również iść do niego nazajutrz i powiedzieć, że był u niej. Przecież sam się wyrzekł swojego demona, idąc tutaj, w połowie drogi, kiedy radość napełniła raptem jego duszę. Czy też istotnie było coś takiego w Rogożynie, w całym dzisiejszym obrazie tego człowieka, w całości kształcie jego słów, ruchów, postępów, spojrzeń, co mogło usprawiedliwić straszne przeczucia księcia i niegodziwe podszepty jego demona? Coś takiego, co się rzuca w oczy, co jednak trudno jest analizować i opowiedzieć, niemożliwe uzasadnić logicznie, ale co wszakże wywiera, mimo tej trudności i niemożebności, całkiem jednolite i nieodparte wrażenie, przechodząc mimo woli w najzupełniejsze przekonanie?

Przekonanie - o czym? (O, jak męczyła księcia potworność, „nikczemność” tego przekonania, „tego podłego przeczucia”, i jak obwinał sam siebie!) „Powiedźże, jeśli masz odwagę, o czym? - mówił bez ustanku sam do siebie z wyrzutem i wyzywająco - formułuj, ośmiel się wyrazić całą swoją myśl jasno, dokładnie, bez wahania! O, ja niegodziwy! - powtarzał z oburzeniem i z rumieńcem na twarzy - jakimi oczami będę patrzył teraz całe życie na tego człowieka! Ach, cóż to za dzień! O Boże, co to za koszmar!”

Była chwila pod koniec tej długiej i męczącej drogi ze Strony Petersburskiej, kiedy nagle owładnęło księciem nieprzeparte pragnienie - pójść natychmiast do Rogożyna, zaczekać na jego powrót, uścisnąć go ze wstydem, ze łzami, wyznać mu wszystko i skończyć z tym od razu. Ale stał już przed swoim hotelem... Jakże mu się nie podobał przedtem ten hotel; te korytarze, cały ten dom, jego pokój - nie spodobały mu się od pierwszego wejrzenia; kilkakrotnie w ciągu tego dnia przypomniał sobie z jakimś szczególnym wstrętem, że będzie musiał tu wrócić... „Ale cóż to, doprawdy, wierzę dzisiaj w każde przeczucie niczym chora kobieta!” - pomyślał szydlerczo i z rozdrażnieniem, zatrzymując się w bramie. Nowy, nieznośny przyływ wstydu, niemal rozpacz, przykuł go do ziemi

tuż obok bramy. Stał na chwilę. Bywa tak czasem z ludźmi: nieznośne, nagłe przypomnienie sobie czegoś, zwłaszcza związane z uczuciem wstydu, zazwyczaj zmusza człowieka do zatrzymania się na chwilę. „Tak, jestem człowiekiem bez serca, jestem tchórzem!” - rzekł zasepiony i ruszył porywczo naprzód, ale... znów się zatrzymał.

W tej bramie, i tak ciemnej, było w owym momencie bardzo mrocznie: nadciągająca właśnie chmura burzowa pochłonęła skąpe światło wieczorne i w chwili kiedy książe podchodził do domu, rozwarła się nagle i lunął deszcz. A kiedy książe po krótkim zatrzymaniu się ruszył porywczo naprzód, znajdował się na samym początku wnęki wejściowej od strony ulicy. I nagle ujrzał w głębi bramy w półmroku, tuż przy wejściu na klatkę schodową, jakiegoś człowieka. Człowiek ten jakby na coś czy na kogoś wyczekiwał, ale mignął tylko i znikł. Książe nie zdołał przyjrzeć się dobrze temu człowiekowi i oczywiście nie mógłby w żaden sposób orzec, co to za jeden. A przy tym tak dużo ludzi mogło tędy przechodzić; był to wszakże hotel i bez ustanku ktoś wchodził czy wbiegał albo wybiegał stamtąd. Książe jednak nabrał nagle najsilniejszego i nieodpartego przekonania, że poznał tego człowieka i że tym człowiekiem musi być Rogożyn. W chwilę później książe pobiegł za nim na schody. Serce mu zamarło. „Zaraz się wszystko rozstrzygnie!” - powiedział do siebie z dziwnym przekonaniem.

Schody, na które książe wbiegł prosto z bramy, prowadziły do korytarzy parteru i pierwszego piętra, gdzie znajdowały się pokoje hotelowe. Schody te, jak we wszystkich dawno zbudowanych domach, były kamienne, ciemne, wąskie i wiły się dokoła grubego kamiennego słupa. Na pierwszej kondygnacji w słupie tym było zagłębienie, coś jakby nisza, na jeden krok szeroka i na pół kroku głęboka. Człowiek mógłby się tu jednak zmieścić. Choć było tu bardzo ciemno, książe, wbiegłszy na podest, od razu dostrzegł, że tu, w tej niszy, kryje się w jakimś celu człowiek. Książe zapragnął nagle przejść obok niego i nie patrzeć na prawo. Zrobił już jeden krok, ale nie wytrzymał i odwrócił się.

Dwoje oczu, tych samych co przedtem, spotkało się nagle z jego oczami. Człowiek kryjący się w niszy również zdążył postąpić jeden krok naprzód. Przez sekundę stali tak naprzeciwko siebie, niemal oko w oko. Nagle książe chwycił go za ramię i pociągnął w tył, do schodów, bliżej światła: chciał wyraźniej widzieć jego twarz.

Oczy Rogożyna błysnęły i szaleńczy uśmiech wykrzywił jego usta. Prawa ręka podniosła się i coś w niej zalsniło; książe nie myślał jej wstrzymywać. Pamiętał tylko, że krzyknął:

- Parfien, nie wierzę!...

Potem jakby się nagle coś otwarło przed nim: niezwykle wewnętrzne światło rozjaśniło jego duszę. Moment ten trwał może tylko pół sekundy; on jednak pamiętał jasno i wyraźnie początek, pierwszy swój straszny jęk, który wyrwał mu się gwałtownie z piersi i którego siłą nie mógłby powstrzymać. Potem przytomność jego momentalnie zgasła i zapanował całkowity mrok.

Zdarzył mu się atak epilepsji, która go już od dawna nie męczyła. Jest rzeczą wiadomą, iż ataki epilepsji, zwłaszcza sama płasawica, przychodzą momentalnie. W tym momencie nagle wykrzywia się okropnie cała twarz, a zwłaszcza oczy. Konwulsje i skurcze trzęsą całym ciałem, zmieniają rysy twarzy. Straszny, przechodzący wszelkie wyobrażenia i do niczego niepodobny jęk wyrывa się z piersi; w tym jęku nagle ginie jakby wszystko co ludzkie, i postronny obserwator nie może wcale

albo przynajmniej bardzo mu trudno wystawić sobie i przypuścić, że to krzyczy ten sam człowiek. Wydaje się nawet, że krzyczy ktoś całkiem inny, znajdujący się wewnątrz tego człowieka. Przynajmniej wielu ludzi w ten sposób określało swoje wrażenie, w wielu innych natomiast widok epileptyka podczas napadu choroby budzi zdecydowaną i trudną do zniesienia zgrozę, mającą w sobie nawet coś mistycznego. Prawdopodobnie takie uczucie nagłego strachu w połączeniu ze wszystkimi innymi straszliwymi wrażeniami tej chwili przykuło raptem Rogożyna do miejsca i przez to uratowało księcia od niechybnego uderzenia nożem, które miało już spaść na niego. Następnie, jeszcze nie zorientowawszy się, że to atak epilepsji, i ujrawszy, że księżę odskoczył od niego i nagle padł na wznak, zsuwając się w dół po schodach i tłukąc głową o kamienne stopnie. Rogożyn rzucił się co sił do ucieczki, wyminął leżącego i prawie nieprzytomny wybiegł z hotelu.

Wskutek konwulsji, drgawek i skurczów ciało chorego zsunęło się po stopniach, których było nie więcej niż piętnaście, aż na sam dół. Niebawem, już po jakichś pięciu minutach, zauważono leżącego i zebrał się tłum gapiów. Kałuża krwi dokoła głowy budziła podejrzenie: czy sam się tak potłukł, czy też „coś się stało”. Wkrótce jednak niektórzy z obecnych stwierdzili padaczkę; jeden z numerowych poznał w księciu mieszkańca hotelu. Zamieszanie zostało wreszcie zlikwidowane dzięki pewnej szczęśliwej okoliczności.

Kola Iwołgin, który obiecał być o czwartej w „Wagach” i tymczasem pojechał do Pawłowska, powziął nagle jakieś postanowienie, podziękował za kolację u generałowej Jepanczyn, wrócił do Petersburga i poszedł czym prędzej do hotelu, gdzie zjawił się około siódmej wieczorem. Dowiedziawszy się z pozostawionej mu kartki, że księżę jest w mieście, podążył zaraz, chcąc go odnaleźć pod wskazanym w kartce adresem. W hotelu powiedziano mu, że księżę wyszedł, udał się więc na parter do restauracji i tam czekał, pijąc herbatę i słuchając muzyki. Usłyszawszy przypadkowo o czymś ataku epileptycznym, pobiegł do bramy, wiedziony trafnym domysłem, i poznał księcia. Natychmiast zastosowano odpowiednie środki pomocy. Przeniesiono księcia do jego numeru; księżę odzyskał przytomność, ale całkowitego rozeznania jeszcze długo nie miał. Doktor, wezwany celem zbadania rozbitej głowy, kazał kłaść zimne okłady i orzekł, iż stłuczenia nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa. Kiedy zaś, w godzinę później, księżę dość dobrze zaczął się orientować w sytuacji, Kola przewiózł go karetką z hotelu do Lebediewa. Lebediew przyjął chorego z niezwykłym zapałem i z ukłonami. Dla niego też przyspieszył swój wyjazd na wieś: w trzy dni potem wszyscy już byli w Pawłowsku.

VI

Willa Lebediewa była niewielka, ale wygodna i nawet ładna. Część jej, przeznaczona do wynajęcia, wyróżniała się komfortem. Na dość obszernym tarasie przy wejściu z ulicy do pokoi ustawiono kilkanaście pomarańczowych i cytrynowych drzew oraz jaśminów w dużych, malowanych na zielono drewnianych wiadrach, co w mniemaniu Lebediewa stwarzało niezmiernie kuszący widok. Kilka z tych drzew nabył razem z willą i tak mu przypadły do gustu jako dekoracja tarasu, że postanowił skorzystać z okazji i dokupić do kompletu jeszcze trochę takich drzew na licytacji. Kiedy wszystkie drzewa były nareszcie zwiezione do willi i poustawiane, Lebediew tego samego dnia kilkakrotnie zbiegł po schodach tarasu na ulicę i z ulicy przyglądał się z lubością swojej posesji, za każdym razem podwyższając w myśli sumę, której miał zamiar żądać od swego przyszłego lokatora. Osłabionemu, przygnębionemu i cierpiącemu na całym ciele księciu willa bardzo się spodobała. Zresztą w dzień wyjazdu do Pawłowska, to znaczy w trzy dni po ataku, księżę miał już wygląd człowieka prawie zdrowego, chociaż wewnętrznie czuł się jeszcze chory. Rad był wszystkim, kogo widział dokoła siebie w ciągu tych trzech dni, rad Koli, który go prawie nie odstępował, rad całej rodzinie Lebediewa (bez siostrzeńca, który gdzieś zniknął), rad samemu Lebediewowi; z przyjemnością witał nawet generała Iwołgina, który odwiedził go jeszcze w mieście. W sam dzień przybycia do Pawłowska, co nastąpiło prawie pod wieczór, dokoła księcia na tarasie zebrało się sporo gości: najpierw przyszedł Gania, którego księżę z trudem poznał - tak się przez ten czas zmienił i zeszcupiał. Następnie zjawili się Waria i Pticyn, również przebywający na letnich wywczasach w Pawłowsku. Generał zaś Iwołgin mieszkał u Lebediewa stale; nawet, zdaje się, razem z nim przyjechał. Lebediew starał się nie dopuszczać go do księcia i trzymać przy sobie; odnosił się do niego po przyjacielsku; najwidoczniej znali się od dawna. Księżę zauważył, że obaj w ciągu tych trzech dni wszczynali nieraz długie rozmowy, często krzyczeli i kłócili się, dyskutowali nawet o różnych mądrych rzeczach, co widocznie sprawiało Lebediewowi dużą przyjemność. Można było pomyśleć, że Lebediew nawet potrzebował generała. Ale te same środki ostrożności, które przedsięwziął celem ochrony księcia, Lebediew rozciągnął również na całą swoją rodzinę od chwili przyjazdu na letnisko; pod pretekstem nieprzeszkadzania księciu nie puszczał tam nikogo, tupał nogami, rzucał się w pogoń za swoimi córkami, nie wyłączając Wiery z małym dzieckiem, jeżeli tylko podejrzewał, że idą na taras, do księcia, nie zważając na wszelkie perswazyje lokatora, aby nikomu nie bronić do niego wstępu.

- Po pierwsze, nie będzie żadnego uszanowania, jeżeli ich tak rozpuścić; po drugie, nawet nie wypada... - wyjaśnił wreszcie, kiedy księżę wprost go o to spytał.

- Ale dlaczego mianowicie? - upominał go księżę. - Doprawdy pan mię tylko zamęcza tym ciągłym pilnowaniem i zachowywaniem ostrożności. Nudzi mi się samemu, kilkakrotnie już panu o tym mówiłem, a pan mię wpędza w jeszcze większą melancholię tym swoim bezustannym machaniem rękami i chodzeniem na palcach.

Księżę czynił aluzję do tego, że Lebediew chociaż rozpędzał wszystkich domowników pod pozorem zapewnienia choremu koniecznego spokoju, sam wchodził do księcia w ciągu tych trzech dni prawie co minutę i za każdym razem najpierw otwierał drzwi, wsuwał głowę, rozglądał się, jakby chcąc się przekonać, czy on tu jest, czy gdzie nie uciekł, a potem dopiero na palcach, powoli,

ukradkiem zbliżał się do fotela, toteż czasami niechący nawet straszyl swojego lokatora. Bez ustanku dowiadywał się, czy książę czegoś nie potrzebuje, i kiedy ten zaczął mu wreszcie zwracać uwagę i prosić, żeby go zostawił w spokoju, posłusznie i w milczeniu odwracał się, cichutko na palcach szedł do drzwi, a idąc, przez cały czas machał rękami, jakby dając do zrozumienia, że on tylko tak sobie, że już nie powie ani słówka i że już właściwie wyszedł i nie przyjdzie, a jednak po jakichś dziesięciu, najwyżej piętnastu minutach zjawiał się znowu. Kola, który miał wtedy wstęp do księcia, wzbudzał przez to w Lebediewie głęboką gorycz i nawet oburzenie. Kola zauważył, że Lebediew potrafi czasem stać pół godziny pod drzwiami i podsłuchiwać ich rozmowę, o czym ma się rozumieć, zawiadomił księcia.

- Pan mię trzyma pod kluczem, jakbym był pańską własnością - protestował książę - chcę, by przynajmniej tu na lotnisku dał mi pan trochę swobody, i zapewniam pana, że będę przyjmować, kogo mi się podoba, i wychodzić, dokąd mi się podoba.

- Bez najmniejszej wątpliwości - zamachał rękami Lebediew.

Książę obejrzał go uważnie od stóp do głowy.

- No i co Łukianie Timofiejewiczu, przewiózł pan tutaj tę swoją szafkę, która wisiała nad pana łóżkiem koło wezglowia?

- Nie, nie przewiozłem.

- Czyżby ją pan tam zostawił?

- Nie można jej ruszyć, trzeba by wyrwać ze ściany... Bardzo mocno przybita.

- A może tu jest taka sama?

- Nawet lepsza, nawet lepsza; dlatego kupiłem tę wille.

- Aha. A kogóż to nie chciał pan niedawno wpuścić do mnie? Jakąś godzinę temu.

- To... to był generał, proszę księcia. Rzeczywiście nie chciałem go wpuścić, bo to nie dla pana towarzystwo. Ja, proszę księcia, bardzo tego człowieka poważam, to... to jest wielki człowiek; nie wierzy pan? No to się pan przekona, a jednak... lepiej, proszę jaśnie oświeconego księcia, żeby pan go u siebie nie przyjmował.

- A to dlaczego, jeśli wolno spytać? I dlaczego, panie Lebediew, stoi pan teraz na palcach, a podchodzi pan do mnie zawsze w ten sposób, jakby pan chciał mi szepnąć do ucha jakiś sekret?

- Podły jestem, podły, zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział niespodziewanie Lebediew, z przejęciem bijąc się w piersi - a czy generał nie będzie dla pana zbyt gościnnie ?

- Zbyt gościnnie?

- Zbyt gościnnie, proszę księcia. Po pierwsze, ma już zamiar mieszkać u mnie; niechby nawet, ale

jest bardzo natrętny, chciałby się zaraz uważać za krewnego. Już kilka razy doszukiwaliśmy się pokrewieństwa między sobą; okazało się, że istotnie jesteśmy szwagrami. Pan też jest podobno jego ciotecznym siostrzeńcem ze strony matki, już mi to wczoraj klarował. Jeśli pan jest jego siostrzeńcem, to w takim razie i my jesteśmy z sobą spowinowaceni, proszę księcia. To zresztą nic wielkiego, mała słabostka, ale dopiero co upewniał mnie, że przez całe życie, od czasu, kiedy był chorującym, aż do jedenastego czerwca ubiegłego roku dzień w dzień siadało u niego do stołu co najmniej dwieście osób. A w końcu zaczął twierdzić, że ci goście wcale nawet nie wstawali, tylko jedli obiad i kolację i pili herbatę po piętnaście godzin na dobę w ciągu trzydziestu lat bez najmniejszej przerwy; służba zaledwie miała czas zmienić nakrycie. Jeden wstaje, wychodzi, drugi przychodzi, a w dni galowe i dworskie zbierało się nawet do trzystu osób. W dzień zaś tysiąclecia Rosji[66] naliczył przeszło siedemset osób. Aż strach pomyśleć, proszę księcia; takie rozmówki to objaw bardzo niebezpieczny; takich gościnnych ludzi przyjmować u siebie to wielkie ryzyko; więc pomyślałem sobie, czy to nie zbyt duże poświęcenie z mojej i pana strony, żeby tu wpuszczać takiego amfitriona?

- Ale pan jest z nim, zdaje się, w bardzo dobrych stosunkach?

- W braterskich; i wszystko biorę za żart; przypuśćmy nawet, że jesteśmy szwagrami, no, to dla mnie tylko zaszczyt. Dostrzegam w nim wybitną jednostkę nawet poprzez dwieście osób i tysiąclecie Rosji. Mówię zupełnie szczerze. Książę przed chwilą mówił o sekretach, że niby ja podchodzę, jakbym chciał zakomunikować sekret, a sekret, jakby naumyślnie, jest: wiadoma osoba dała dopiero co znać, że chciałaby się z księciem zobaczyć, i to w sekrecie przed wszystkimi.

- Dlaczego w sekrecie? Bynajmniej. Będę u niej sam, chociażby dzisiaj.

- Ależ nie, ależ nie - zaczął machać rękami Lebediew - i nie tego się obawia, co pan przypuszcza. A właśnie: potwór codziennie przychodzi dowiadywać się o pańskie zdrowie, czy książę wie o tym?

- Jakoś zbyt często nazywa go pan potworem, wydaje mi się to bardzo podejrzanе.

- Nie może pan mieć żadnego podejrzenia, żadnego - zaprzeczył pośpiesznie Lebediew - chciałem tylko wyjaśnić, że wiadoma osoba nie jego się obawia, ale kogo innego, zupełnie kogo innego.

- Ale o co chodzi? niechże pan powie prędzej - indagował książę z niecierpliwością, patrząc na tajemnicze miny Lebediewa.

- W tym jest właśnie sekret.

I Lebediew uśmiechnął się.

- Czyj sekret?

- Pański sekret. Sam mi pan zabronił, jaśnie oświecony książę, mówić przy panu... - mamrotał Lebediew i delektując się tym, że doprowadził swojego słuchacza do chorobliwej niecierpliwości,

zakończył nagle: - Boi się Agłai Iwanowny.

Księżę zmarszczył brwi i przez chwilę milczał.

- Doprawdy, panie Lebediew, będę zmuszony opuścić pańską willę - powiedział nagle. - Gdzie jest Gawriła Ardalionowicz, gdzie są Pticynowie? U pana? Ich pan też przeciągnął do siebie.

- Idą, idą, proszę księcia. I nawet generał podąży za nimi. Wszystkie drzwi otworzę i wszystkie córki zawołam, wszystkie, w tej chwili, w tej chwili - szeptał ze strachem Lebediew, wymachując rękami i biegnąc od jednych drzwi do drugich.

Wtem zjawił się Kola, wszedłszy na taras od strony ulicy, i oznajmił, że zaraz za nim idą goście, Lizawieta Prokofiewna z trzema córkami.

- Wpuścić czy nie wpuścić Pticynów i Gawriłę Ardalionowicza? Wpuścić czy nie wpuścić generała? - podskoczył Lebediew, zaalarmowany wiadomością.

- Dlaczegoż by nie? Proszę wpuścić wszystkich, którzy zechcą wejść. Zapewniam pana, panie Lebediew, że pan od samego początku, źle coś zrozumiał w zakresie moich stosunków z ludźmi; pan ciągle popełnia błędy. Nie mam najmniejszego powodu, żeby kogokolwiek unikać czy przed kimkolwiek się ukrywać - roześmiał się książę.

Patrząc na księcia, uważał również za obowiązek roześmiać się i Lebediew, który mimo wielkiego podenerwowania był najwidoczniej bardzo zadowolony.

Wiadomość przyniesiona przez Kolę okazała się prawdziwa; wyprzedził on Jepanczynów zaledwie na kilkanaście kroków, ażeby powiadomić księcia, toteż goście zjawili się jednocześnie z obydwóch stron, z tarasu - Jepanczynowie, a z pokojów - Pticynowie, Gania i generał Iwołgin.

Jepanczynowie dowiedzieli się o chorobie księcia i o tym, że jest w Pawłowsku, dopiero teraz od Koli; generałowa aż do tej pory nie mogła wyjść ze zdumienia. Przed trzema dniami generał zakomunikował swojej rodzinie treść biletu księcia; bilet ten natchnął Lizawietę Prokofiewną bezwzględna pewnością, że i sam książę zaraz po swoim liście przyjedzie do Pawłowska, aby się z nimi zobaczyć. Na próżno przekonywały ją córki, że człowiek, który nie pisał pół roku, może i teraz nie będzie się tak bardzo śpieszył z wizytą i że bez nich ma dużo różnych spraw do załatwienia w Petersburgu - któż zna jego interesy? Generałową bardzo zirytowały te uwagi; gotowa była założyć się, że książę zjawi się przynajmniej nazajutrz, chociaż „i to należałoby traktować jako duże opóźnienie”. Nazajutrz przeczekala cały ranek; spodziewano się księcia na obiad, na wieczór, a kiedy już zupełnie się ściemniło, Lizawieta Prokofiewna rozgniewała się na wszystko i pokłóciła się ze wszystkimi, nie wspominając oczywiście ani jednym słowem o księciu jako o przyczynie gniewu. Ani słowem też o nim nie wspomniano i przez cały następny dzień. Kiedy Agłai wyrwało się niechcący podczas obiadu, że *maman* jest zła dlatego, iż książę nie przyjeżdża, na co generał od razu odpowiedział, że „przecież to nie jego wina” - Lizawieta Prokofiewna wstała od stołu i wyszła rozgniewana. Wreszcie przed wieczorem zjawił się Kola z najświeższymi wiadomościami i opisem wszystkich przygód księcia, jakie znał. W rezultacie Lizawieta Prokofiewna triumfowała, ale w każdym razie dostało się tego i Koli: „To po całych dniach się tutaj kręci, że się go trudno pozbyć, a

tymczasem teraz, żeby chociaż przesłał jaką informację, jeżeli już sam niełaskaw się pofatygować.” Kola już się chciał obrazić o te słowa: „że się go trudno pozbyć”, ale odłożył to do innej okazji i gdyby tylko samo zdanie nie było takie postponujące, kto wie, czy nie usprawiedliwiłby całkiem generałowej: tak mu się spodobało jej wzruszenie i niepokój na wiadomość o chorobie księcia. Lizawieta Prokofiewna dość długo nalegała na konieczność natychmiastowego wysłania umyślnego gońca do Petersburga, ażeby wezwać jakąś sławę lekarską pierwszej wielkości i sprowadzić ją czym prędzej, pierwszym pociągiem. Córki jednak wyperswadowały jej to; a przy tym nie chciały puścić matki samej, kiedy ta, ubrawszy się szybko, poszła odwiedzić księcia.

- Biedak, spoczywa na łożu śmierci - mówiła Lizawieta Prokofiewna, przejęta chorobą księcia - a my tu jeszcze będziemy się bawić w ceremonie! Czy on jest przyjacielem naszego domu, czy nie?

- Ale tak iść, nie wybadawszy najpierw sytuacji, to trochę dziko - zauważyła Agłaja.

- No to nie chodź, nawet dobrze zrobisz, bo przyjedzie Eugeniusz Pawłowicz i nie będzie miał go kto przyjąć.

Oczywiście po tych słowach Agłaja natychmiast wybrała się razem ze wszystkimi, co zresztą i tak zdecydowana była uczynić. Księżę Sz., który siedział z Adelajdą, na jej prośbę niezwłocznie zgodził się towarzyszyć paniom. Już przedtem, na początku swojej znajomości z Jepanczynami, nadzwyczaj się zainteresował, kiedy usłyszał od nich o księciu. Okazało się, że go znał; poznali się gdzieś niedawno i ze dwa tygodnie mieszkali razem w jakimś miasteczku. Było to przed trzema miesiącami. Księżę Sz. nawet dużo opowiadał o księciu i w ogóle wyrażał się o nim w sposób nader sympatyczny, toteż obecnie ze szczerą satysfakcją szedł odwiedzić starego znajomego. Generała Iwana Fiodorowicza tym razem nie było w domu. Eugeniusz Pawłowicz też jeszcze nie przyjechał.

Od Jepanczynów do willi Lebiediewa było nie więcej niż trzysta kroków. Pierwszym przykrym wrażeniem, jakiego doznała Lizawieta Prokofiewna wchodząc do księcia, było to, że zastała u niego dość liczne towarzystwo, nie mówiąc już o tym, iż wśród obecnych znajdowały się dwie czy trzy osoby, których stanowczo nie znosiła; drugim - zdziwienie na widok całkiem na pozór zdrowego młodzieńca, który wyszedł ją powitać, elegancko ubrany, śmiejący się, a którego spodziewała się zastać na łożu śmierci. Przystanąła nawet ze zdumienia ku niezwyklej uciesze Koli, który oczywiście mógłby doskonale wyjaśnić wówczas, kiedy generałowa jeszcze się nie ruszyła ze swojej willi, że nikt a nikt nie umiera i nie leży chory, ale nie wyjaśnił, chytrze przewidując przyszły komiczny gniew generałowej, kiedy, stosownie do jego rachuby, będzie się musiała zirytować o to, że zastanie księcia, swojego szczerego przyjaciela, całkiem zdrowego. Kola był nawet tak niedelikatny, że głośno wyraził swój domysł, żeby do reszty rozdrażnić Lizawietę Prokofiewną, z którą stale i czasem bardzo ostro się ścierał i której niekiedy złośliwie docinał mimo łączącej ich przyjaźni.

- Poczekaj no, kochasiu, nie śpiesz się, żebyś sobie nie popsuł triumfu! - odparła Lizawieta Prokofiewna siadając w przysuniętym jej przez księcia fotelu.

Lebiediew, Pticyn i generał Iwołgin podbiegli, żeby podać krzeselka pannom. Agłai podał krzeselko generał; Lebiediew przysunął również krzesło księciu Sz., przy czym nawet zgięciem krzyża zdołał zmanifestować niezwykle szacunek. Waria jak zwykle z entuzjazmem i po cichu witała się z pannami.

- Co prawda przypuszczałam, że cię, księżę, zastanę co najmniej w łóżku, no i ze strachu wszystko wyolbrzymałam; kłamać za nic nie będę, okropnie się rozzłościłam widząc twoją uszczęśliwioną fizjonomię, ale przysięgam ci, że to trwało tylko małą chwilę, dopóki się nie zreflektowałam. Jak sobie trochę pomyślę, to zawsze mądrzej gadam i postępuję; sądzę, że i ty też. A prawdę mówiąc, wyzdrowienie rodzzonego syna, gdybym go miała, mniejszą by mi sprawiło radość niż twoje; i jeżeli w to nie wierzysz, to ty się powinieneś wstydzić, a nie ja. A ten złośliwy chłopak pozwala sobie na jeszcze gorsze żarciki ze mnie. Ty go, zdaje się, protegujesz, więc cię uprzedzam, że pewnego pięknego poranka, wierząc mi, odmówię sobie dalszej przyjemności i honoru goszczenia go w swoim domu.

- A cóż ja jestem winien?! - krzyczał Kola. - Żeby nie wiem jak panią zapewniał, że księżę już prawie wyzdrowiał, nie chciałyby mi pani uwierzyć, gdyż wyobrazić go sobie na łożu śmierci było rzeczą bardziej dla pani interesującą.

- Czy księżę na długo tu przyjechałeś? - zwróciła się do księcia Lizawieta Prokofiewna.

- Na całe lato, a może nawet na dłużej.

- W dalszym ciągu jesteś samotny? Nie ożeniłeś się?

- Nie, nie ożeniłem się - uśmiechem pokwitował księżę to dość naiwne ukłucie.

- Nie ma się z czego śmiać; tak bywa. Chodzi mi o miejsce: dlaczego nie przyjechałeś do nas? Mamy całą oficynę wolną. Zresztą jak chcesz. Czy to wynająłeś od niego? Od tego? - dodała półgłosem, skinąwszy głową w stronę Lebidiewa. - Czemu on ciągle stroi takie głupie miny?

W tej chwili weszła na taras Wiera, jak zwykle, z dzieckiem na ręku. Lebidiew, który się kręcił dokoła krzesel i nie wiedział zupełnie, co z sobą zrobić, ale koniecznie chciał tu zostać, podbiegł nagle do Wiery, zaczął na nią machać rękami, wypędzać ją z tarasu, a nawet, zapomniawszy się, tupnął nogą.

- Czy to wariat? - spytała nagle generałowa.

- Nie, on jest...

- Może pijany? Niezbyt dobrane masz towarzystwo - dodała szorstko, ogarniając spojrzeniem i resztę gości. - Ale to bardzo miłe dziewczę! Co to za jedna?

- To Wiera Łukianowna, córka tego Lebidiewa.

- O!... Bardzo sympatyczna. Chciałabym ją poznać.

Tymczasem Lebidiew, który usłyszał pochwały Lizawiety Prokofiewny, sam już ciągnął córkę, żeby ją przedstawić.

- Sieroty, sieroty! - mówił z rozczuleniem, podchodząc. - I to dziecko na jej rękach też sierota, jej siostra, a moja córka, Lubow, urodzona w najzupełniej legalnym małżeństwie, z nieboszczki żony

mojej, Heleny, zmarłej przed sześciu tygodniami podczas połogu z woli Najświętszego... tak, proszę wielmożnej pani... chociaż jest tylko siostrą, jedynie siostrą, niczym więcej, niczym więcej... musi jej zastąpić matkę.

- A ty, mój drogi, jesteś nic więcej, tylko zwyczajny dureń, bardzo cię przepraszam. No, dość tego, sam to chyba rozumiesz, jak sędzę - ucięła nagle Lizawieta Prokofiewna, niezwykle poirytowana.

- Święta prawda! - skłonił się Lebediew niziutko i z największym uszanowaniem.

- Panie Lebediew, czy to prawda, co o panu mówią, że pan jest komentatorem Apokalipsy? - spytała Agłaja.

- Święta prawda... od piętnastu lat.

- Słyszałam. Zdaje się, że i w gazetach pisano o panu?

- Nie, to o innym komentatorze, o innym, proszę wielmożnej pani; tamten już umarł, a ja zostałem - powiedział Lebediew nie posiadając się z radości.

- Niech pan będzie łaskaw wytłumaczyć mi to kiedy w tych dniach, po sąsiedzku. Nie mam pojęcia o Apokalipsie.

- Muszę panią ostrzec, Agłajo Iwanowno, że wszystko to jest z jego strony czystym szarlataństwem, niech mi pani wierzy - wtrącił nagle z pośpiechem generał Iwołgin, który siedział jak na szpilkach i usilnie pragnął jakoś wszcząć rozmowę; w tym celu przysiadł się do Agłaji Iwanowny. - Oczywiście, lotnisko ma swoje prawa - ciągnął dalej - musi też mieć swoje przyjemności; wprowadzić do swojego domu takiego niezwyklego samozwańca do tłumaczenia Apokalipsy to też jest kaprys tak samo dobry jak każdy inny, to nawet pomysł bardzo mądry, ale ja... Zdaje mi się, że pani patrzy na mnie ze zdumieniem? Mam zaszczyt się przedstawić: generał Iwołgin. Nosił panią na rękach, Agłajo Iwanowno.

- Bardzo mi przyjemnie. Znam Warwarę Ardalionownę i Ninę Aleksandrownę - bąknęła Agłaja, usiłując powstrzymać się od głośnego śmiechu.

Lizawieta Prokofiewna zawrzała gniewem. Coś, co od dawna gromadziło się w jej duszy, szukało teraz ujścia. Znieść nie mogła generała Iwołgina, który ongiś był jej znajomym, ale bardzo dawno.

- Kłamiesz, mój drogi, swoim zwyczajem, bo nigdy jej na rękach nie nosiłeś - wygarnęła mu ostro, z oburzeniem.

- Zapomniała *maman*, doprawdy, pan nosił mię w Twerze - potwierdziła nagle Agłaja. - Mieszkaliśmy w Twerze. Miałam wtedy sześć lat, pamiętam. Zrobił mi strzałę i łuk i nauczył mię strzelać, i zabiłam gołębia. Pamięta pan, jak zabiliśmy razem gołębia?

- A mnie przyniósł tekturowy hełm i drewnianą szpadę, ja też pamiętam! - zawołała Adelajda.

- I ja to pamiętam - potwierdziła Aleksandra. - Jeszcze wtedy pokłóciłyście się o rannego gołębia i poszłyście za to do kąta. Adelajda stała tak przez cały czas w hełmie i ze szpadą.

Generał, oznajmiając Agłai, że nosił ją na rękach, powiedział to tylko tak sobie, żeby zacząć rozmowę, i tylko dlatego, że prawie zawsze zaczynał w ten sposób rozmowę ze wszystkimi młodymi ludźmi, jeśli uznał za właściwe, aby się z nimi zaznajomić. Tym razem jednak zdarzyło się jakby umyślnie, że powiedział prawdę, i jakby umyślnie sam o tej prawdzie zapomniał. Toteż kiedy Agłaja nagle potwierdziła teraz, że razem zabili gołębia, pamięć generała nagle się ożywiła i przypomniał sobie wszystko do najmniejszego szczegółu, jak to często w sędziwym wieku przypominają się sprawy dalekiej przeszłości. Trudno naprawdę orzec, co w tych wspomnieniach tak silnie mogło podziałać na nieszczęsnego i jak zwykle trochę podchmielonego generała; bardzo się jednak raptem poczuł wzruszony.

- Pamiętam, wszystko pamiętam! - zawołał. - Byłem wtedy sztabkapitanem. A pani - taka malutka, ładniutka. Nina Aleksandrowna... Gania... Zostałem w domu państwa... przyjęty. Iwan Fiodorowicz...

- No i widzisz, do czego teraz doszedłeś! - podchwyciła generałowa. - To znaczy, że jednak nie przepiłeś swoich szlacheckich uczuć, kiedy tak podziałało! A żonę zamęczyłeś. Zamiast kierować dziećmi, siedzisz w więzieniu za długi. Odejdź stąd, mój drogi, odejdź stąd, idź dokądkolwiek, stań sobie za drzwiami i popłacz trochę, wspomnij swoją dawną uczciwość, może ci Bóg przebaczy. Idź, idź, doprawdy, poważnie mówię, idź. Nie ma lepszej drogi do poprawy, jak wspominać przeszłość ze skrucą.

Ale powtarzać, że się mówi poważnie, nie było najmniejszej potrzeby: generał, jak wszyscy ludzie stale zapijaczeni, był bardzo wrażliwy i, jak wszyscy zbyt nisko upadli pijacy, niełatwo znosił wspomnienia szczęśliwej przeszłości. Wstał więc i pokornie skierował się ku drzwiom, aż Lizawicie Prokofiewnie od razu żał go się zrobiło.

- Słuchaj no, mój drogi! Ardalionie Aleksandrowiczu! - krzyknęła za nim. - Poczekaj chwilkę; wszyscy jesteście grzeszni; kiedy poczujesz, że wyrzuty sumienia już mniej cię gryzą, przyjdź do mnie, posiedzimy razem, pogadamy o dawnych sprawach. Ja przecie sama jestem może pięćdziesiąt razy grzeszniejsza od ciebie; no, a teraz bądź zdrow, idź, nie masz tu nic do roboty... - przełękła się nagle, że generał znów powróci.

- Lepiej, żeby pan na razie nie chodził za nim - powstrzymał ksiązę Kołę, który chciał biec za ojcem. - Bo za chwilę zacznie się gniewać i cały efekt będzie stracony.

- To racja, daj mu teraz spokój; idź do niego za pół godziny - zdecydowała Lizawieta Prokofiewna.

Wzajemne ustosunkowanie się wszystkich gości zebranych u księcia zostało powoli wyjaśnione. Ksiązę naturalnie umiał jak należy ocenić i ocenił wysoki stopień zainteresowania jego osobą ze strony generałowej wraz z córkami i oświadczył im solennie, iż sam dziś jeszcze, przed ich przyjściem, miał stanowczy zamiar je odwiedzić pomimo choroby i spóźnionej pory. Lizawieta Prokofiewna, spoglądając na jego gości, odrzekła, że można by to spełnić nawet teraz. Pticyń,

człowiek grzeczny i zgodliwy, czym prędzej wstał i poszedł do oficyny, do Lebediewa, starając się pociągnąć za sobą również Lebediewa. Lebediew obiecał, że niebawem przyjdzie; tymczasem Waria rozgadała się z pannami Jepanczyn i została. Zarówno ona, jak i Gania, radzi byli z odejścia generała; sam Gania też wkrótce udał się za Pticyńcem. W ciągu zaś tego krótkiego czasu, który spędził na tarasie przy paniach Jepanczyn, zachowywał się skromnie, z godnością i bynajmniej nie stracił kontenansu pomimo energicznych spojrzeń Lizawiey Prokofiewny, która dwukrotnie złustrowała go od stóp do głowy. Istotnie, ludzie znający go przedtem mogli dojść do wniosku, że bardzo się zmienił. Agłai bardzo się to spodobało.

- Czy ten, co teraz wyszedł, to był Gawriła Ardalionowicz? - spytała raptem, jak to lubiła czasami robić, głośno, ostro, przerywając swoim pytaniem rozmowę innych i do nikogo wprost się nie zwracając.

- Tak, to on - odpowiedział książę.

- Ledwo go poznałam. Bardzo się zmienił, i to... na lepsze.

- Ogromnie się z tego cieszę - powiedział książę.

- Ciężko chorował - dodała Waria z radosnym współczuciem.

- W czym mianowicie zmienił się na lepsze? - z gniewnym zdziwieniem i nieomal ze strachem zapytała Lizawiea Prokofiewna. - Skąd ci to przyszło go głowy? Nie widzę w nim żadnej korzystnej zmiany. A cóż tobie wydaje się lepsze?

- Od „rycerza biednego” nie ma nic lepszego! - obwieścił raptem Kola, który przez cały czas stał przy krześle Lizawiey Prokofiewny.

- Ja też tak sędzę - powiedział książę Sz. i roześmiał się.

- Najzupełniej podzielam to zdanie - oznajmiła uroczyście Adelajda.

- Cóż to za „biedny rycerz”? - pytała generałowa patrząc zdziwionym i z lekka zirytowanym wzrokiem na mówiących, zobaczywszy jednak podniecenie Agłai, dodała już z gniewem: - Cóż to za jakieś głupstwa! Cóż to ma znaczyć ten „biedny rycerz”?

- Chyba nie pierwszy raz to chłopaczysko, ten mamy ulubieniec, przeinacza cudze słowa! - odparła Agłaja z pogardą i oburzeniem.

W każdym gniewnym wystąpieniu Agłai (a unosiła się gniewem dość często), prawie za każdym razem mimo jej widoczną powagę i nieubłagalność przebijało jeszcze coś dziecinnego, coś po pensjonarsku niecierpliwego i źle maskowanego, toteż nieraz nie było sposobu, patrząc na nią, by nie roześmiać się ku wielkiej zresztą złości Agłai, która nie rozumiała, dlaczego się śmieją i „jak mogą, jak ośmielają się śmiać”. Roześmiali się i teraz wszyscy, roześmiały się siostry, książę Sz., i nawet uśmiechnął się sam książę Lew Nikołajewicz, który też nie wiadomo z jakiego powodu się zaczerwienił. Kola pękał ze śmiechu i triumfował. Agłaja rozgniewała się nie na żarty i stała się przez to jeszcze dwa razy ładniejsza. Było jej bardzo do twarzy ze zmieszaniem i zarazem ze złością

na siebie z powodu tego zmieszania.

- Przecież on nieraz przekręcał mamy powiedzenia - dodała.

- Opieram się na własnych pani słowach! - krzyknął Kola. Miesiąc temu przeglądała pani Don Kichota i wyraziła się, że nie ma nic lepszego od „biednego rycerza”. Nie wiem, o kim pani wtedy mówiła: o Don Kichocie czy o Eugeniuszu Pawłowiczu, czy też o pewnej innej osobie, o kimś jednak pani mówiła i rozmowa trwała dość długo...

- Widzę, mój drogi, że już sobie za dużo pozwalasz ze swoimi domysłami - przerwała mu zirytowana znowu Lizawieta Prokofiewna.

- Czy tylko ja? - nie dawał za wygraną Kola. - Wszyscy wtedy mówili i teraz mówią; przed chwilą na przykład księżę Sz. i Adelajda Iwanowna, i inni też powiedzieli, że są po stronie „biednego rycerza”, więc „biedny rycerz” istnieje, na pewno istnieje, i moim zdaniem, gdyby nie Adelajda Iwanowna, wszyscy dawno już wiedzielibyśmy, kto to jest ten „biedny rycerz”.

- A cóż ja tu jestem winna? - śmiała się Adelajda.

- Nie chciała pani narysować portretu i na tym polega pani wina! Agłaja Iwanowna prosiła wtedy, żeby pani narysowała portret „biednego rycerza”, i nawet podpowiedziała pani temat obrazu, który sama obmyśliła, pamięta pani? A pani nie chciała...

- Bo jakże miałam narysować, kogo? Z treści, którą mi podano, wynika, że ten „biedny rycerz” wyglądał tak, iż

przyłbica

Gęstą kratą nasunięta, Ośłaniała jego lica.

Jaka twarz mogła mi tu wyjść? Co miałam rysować? Przyłbicę? Anonima?

- Nic a nic nie rozumiem, jaka tam znowu przyłbica! - gniewała się generałowa, która już zaczynała się domyślać w duchu, kogo miano na myśli pod nazwą (prawdopodobnie już od dawna umówioną) „biednego rycerza”. Ale szczególnie ją wzburzyło to, że księżę Lew Nikołajewicz również się zmieszał i wreszcie zupełnie się skonfundował jak dziesięcioletni chłopczyk. - Czy skończą się te głupstwa, czy nie? Wytłumaczycie mi tego „biednego rycerza” czy nie? Czy to jakiś straszny sekret, że nawet zapytać nie wolno?

Wszyscy jednak wciąż tylko się śmieli.

- Jest po prostu jeden taki dziwny wiersz rosyjski - odezwał się na koniec księżę Sz., pragnąc widocznie czym prędzej zatrzeć niemiłe wrażenie i skierować rozmowę na inne tory - o „biednym rycerzu”, urywek bez początku i końca. Pewnego razu, może z miesiąc temu, śmieliśmy się wszyscy razem po obiedzie i szukaliśmy jak zwykle tematu do przyszłego dzieła Adelajdy Iwanowny. Pani

wie, że zadaniem całej rodziny już od dawna jest wyszukiwanie tematu do obrazów Adelajdy Iwanowny. Wtedy właśnie przyszedł nam na myśl „biedny rycerz”; kto pierwszy z tym wystąpił, nie pamiętam...

- Agłaja Iwanowna! - zawołał Kola.

- Być może, zgoda, chociaż nie pamiętam - ciągnął dalej książkę Sz. - Jedni z tego pomysłu żartowali, drudzy twierdzili, że nie może być nic wznioślejszego, żeby jednak „biedny rycerz” mógł powstać na obrazie, potrzebna była twarz; zaczęliśmy rozpatrywać twarze wszystkich znajomych, ale żadna się nie nadawała i na tym się wszystko skończyło; nie rozumiem, dlaczego Mikołaj Ardalionowicz umyślił sobie odgrzebać i przypomnieć tamtą historię. Co było śmieszne i stosowne wówczas, to jest zupełnie nieciekawe teraz.

- Dlatego, że się tworzy jakieś nowe głupstwo, przykre i obraźliwe - zauważyła szyderczo Lizawieta Prokofiewna.

- Nie ma tu żadnego głupstwa, jest tylko najgłębszy szacunek - odezwała się nagle, całkiem niespodziewanie, poważnym i namaszczonym głosem Agłaja, która zdążyła już ochłonąć i opanować poprzednie zmieszanie. Nie dość na tym, patrząc na nią można było z pewnych objawów wywnioskować, że sama się teraz cieszy, iż żart zatacza coraz szersze kręgi; i cały ten przełom dokonał się w niej właśnie w owej chwili, kiedy się stało aż nadto widoczne coraz bardziej rosnące i dochodzące do szczytu zakłopotanie księcia.

- To się śmieją jak opętani, to znowu wyrażają najgłębszy szacunek! Powariowali! Dlaczego szacunek! Mów zaraz, skąd się tak nagle wziął u ciebie ten szacunek ?

- Najgłębszy szacunek wziął się stąd - ciągnęła dalej tak samo poważnie i z namaszczeniem Agłaja, odpowiadając na gniewne niemal zapytanie matki - że w wierszu tym jest przedstawiony człowiek zdolny do posiadania ideału, a po drugie taki, co gdy raz już sobie wynajdzie jakiś ideał, wierzy w niego i gotów każdej chwili, bez najmniejszego wahania, poświęcić za niego swoje życie. W naszych czasach nieczęsto się to zdarza. Tam, w tym wierszu, nie jest wyraźnie powiedziane, jaki był ideał „biednego rycerza”, ale łatwo się domyślić, że był to jakiś promienny obraz, „kształt czystego piękna”, i zakochany rycerz zamiast szarfy nawet różaniec zawiesił sobie na szyi. Wprawdzie jest tam jeszcze jakaś niejasna, nie dopowiedziana dewiza, litery A.N.B., które wypisał na swojej tarczy...

- A. N. D. - poprawił Kola.

- A ja mówię A. N. B.[67] i tak chcę mówić - przerwała mu ze złością Agłaja - bądź co bądź, jest rzeczą jasną, że dla tego „biednego rycerza” stało się już dawno obojętne, kim była i co robiła jego dama. Dość że ją sobie wybrał i uwierzył w jej „czyste piękno”, a następnie poświęcił jej całego siebie na wieki; na tym polega jego wielkość, że chociaż ona zostałaby później złodziejką, on jednak powinien był w nią wierzyć i kruszyć kopie za jej „czyste piękno”. Poeta chciał, zdaje się, połączyć w jednym niezwykłym obrazie całe ogromne pojęcie średniowiecznej rycerskiej miłości platonicznej jakiegoś czystego i wzniosłego rycerza; oczywiście jest to tylko ideał. W „biednym rycerzu” natomiast uczucie to doszło do najwyższego stopnia, do ascetyzmu; trzeba przyznać, że

zdolność do takiego uczucia jest czymś naprawdę wielkim i że takie uczucia zostawiają po sobie ślad bardzo głęboki i skądinąd nader chwalebny, żeby już wymienił chociażby takiego Don Kichota. „Biedny rycerz” jest również Don Kichotem, tylko poważnym, nie komicznym. Z początku nie rozumiałam tego i śmiałam się, a teraz lubię „biednego rycerza”, a przede wszystkim cenię jego czyny.

Na tym Agłaja skończyła i patrząc na nią, nawet trudno się było zorientować, czy mówi poważnie, czy też żartuje.

- E, głupiec jakiś, nic więcej, z tymi swoimi czynami! - zdecydowała generałowa. - A ty też, moja droga, naplotłaś co niemiara, wygłosiłaś nam tu cały odczyt, podług mnie, to ci takie rzeczy nawet nie uchodzą. W każdym razie zasłużyłaś sobie na naganę. Co to za wiersz? Powiedz go, na pewno umiesz na pamięć! Chcę koniecznie poznać ten wiersz. Całe życie nie znosiłam wierszy, jakbym coś przeczuwała. Na miłość boską, niech książę będzie cierpliwy, tak nam widocznie sądzono, żebyśmy razem cierpieli - zwróciła się do księcia Lwa Nikołajewicza. Była mocno zirytowana.

Książę Lew Nikołajewicz chciał już coś na to odrzec, ale nic nie zdołał powiedzieć wskutek zakłopotania, które go nie opuszczało. Tylko jedna Agłaja, która na tyle sobie pozwoliła w swoim „odczyt”, bynajmniej się nie stropiła, a nawet była jakby uradowana. Od razu wstała, jak i przedtem poważna i namaszczona, z taką miną, jakby się już zawczasu do tego przygotowała i tylko czekała na zachętę, wyszła na środek tarasu i stanęła naprzeciw księcia, który wciąż siedział w swoim fotelu. Wszyscy patrzyli na nią z pewnym zdziwieniem i prawie wszyscy, książę Sz., siostry, matka, z przykrością czekali na tę nową przygotowującą się psotę, w każdym razie zbyt daleko posuniętą. Ale widać było, że Agłai właśnie bardzo się podobała ta ceremonialność, z jaką przystępowała do recytacji wiersza.

Lizawieta Prokofiewna o mało nie zapędziła jej z powrotem na miejsce, ale w tej właśnie chwili, kiedy Agłaja zaczęła deklamować znaną powszechnie balladę[68], dwaj nowi goście, głośno rozmawiając, weszli z ulicy na taras. Byli to generał Iwan Fiodorowicz Jepanczyn i jakiś miody człowiek. Wynikło z tego małe zamieszanie.

VII

Młody człowiek, towarzyszący generałowi, miał lat około dwudziestu ośmiu; był to wysoki, zgrabny mężczyzna, o twarzy pięknej i inteligentnej, z pełnym ognia, dowcipu i sarkazmu spojrzeniem dużych czarnych oczu. Agłaja nawet się nie obejrzała na niego i dalej recytowała wiersz, demonstracyjnie patrząc tylko na księcia i zwracając się tylko do niego jednego. Dla księcia stało się rzeczą jasną, iż Agłaja wszystko to czyni z jakimś osobliwym wyrachowaniem. Ale nowi goście przynajmniej ułatwili mu trochę jego kłopotliwą sytuację. Ujrawszy ich, wstał, uprzejmie skinął z daleka głową generałowi, dał znak, żeby nie przerywano deklamacji, a sam zdążył wycofać się za fotele i wsparty łokciem o poręcz, w dalszym ciągu słuchał ballady w bardziej już wygodnej i, rzecz można, nie takiej „śmiesznej” pozycji, jak siedząc w fotelu. Lizawietia Prokofiewna też ze swej strony dwukrotnie machnęła rozkazująco ręką na przybyłych, żeby się zatrzymali. Książę zresztą bardzo się zainteresował swoim nowym gościem, który towarzyszył generałowi; wyraźnie odgadywał w nim Eugeniusza Pawłowicza Radomskiego, o którym już dużo słyszał i nieraz myślał. Trochę go tylko dezorientowało jego cywilne ubranie; wiedział bowiem, że Eugeniusz Pawłowicz jest wojskowym. Szyderczy uśmiech błąkał się na ustach nowego gościa przez cały czas deklamacji, jakby i on już coś słyszał o „biednym rycerzu”.

„Może nawet sam to wymyślił” - rzekł sobie w duchu książę.

Zupełnie inaczej jednak rzecz miała się z Agłają. Całą początkową afekcję i pompatyczność, z jaką przystąpiła do deklamacji, pokryła taką swadą i takim wniknięciem w ducha i sens utworu poetyckiego, z takim zrozumieniem wypowiadała każde słowo wiersza, z taką doskonałą prostotą przekazywała słuchaczom jego treść, że pod koniec deklamacji nie tylko wzbudziła ogólne i głębokie zainteresowanie, ale właściwą interpretacją wzniosłego charakteru ballady jak gdyby po części usprawiedliwiła tę przesadną, nieco wymuszoną powagę, z jaką tak uroczyście wyszła na środek tarasu. W owej powadze można się było teraz dopatrzeć tylko bezgraniczności i, być może, nawet naiwności jej szacunku dla tego, co się podjęła wyrazić. Oczy jej błyszczały i lekki, ledwo dostrzegalny dreszcz natchnienia i entuzjazmu dwa razy przebiegł po jej pięknej twarzy. Mówiła:

Żył na świecie rycerz biedny,

Małomówny, prosty, twardy,

Z twarzy chmurny był i szpetny,

Duchem śmiały i otwarty.

Miał on kiedyś przywidzenie

Ponad rozum i pojęcie

I głębokie zachwycenie

Tkwiło w sercu i pamięci.

Od tej chwili duszą spłonął,

Na kobiety patrzeć przestał

I do żadnej, aż do zgonu,

Już się słowem nie odezwał.

Szyi szarfą nie okręcał,

Lecz różańcem, a przyłbica,

Gęstą kratą nasunięta,

Oslaniała jego lica.

Cudownemu wierny snowi,

Tchnąć miłością czystą, jasną,

A. M. D* . na tarczy swojej

Rycerz krwią nakreślił własną.

I w pustyniach Palestyny,

Gdy po piasku i kamieniach

W bój pędzili paladyni,

Sławiąc damy swe z imienia,

- *Lumen coeli**!* *Santa Rosa***!* –

Krzyczał, dziki, opętany,

Gromem wpadał w bój - i groza

Z nóg waliła mużmany.

Gdy w rodzinne wrócił strony,

Wiódł surowe dni, jak więzień,

Wciąż milczący, wciąż strapiony,

Aż samotnie zmarł w obłądnie.[72]

Przypominając sobie potem tę chwilę, książę długo w największej rozterce usiłował odpowiedzieć sobie na jedno nader skomplikowane pytanie: jak można było połączyć takie prawdziwe, piękne uczucie z takim wyraźnym i złym szyderstwem? Że było w tym szyderstwo, nie wątpił ani na chwilę; zrozumiał to aż nadto dobrze i miał ku temu podstawy: podczas deklamacji Agłaja pozwoliła sobie zmienić litery A. M. D. na N. F. B.[73] Że to nie była omyłka albo przesłyszenie się z jego strony, nie miał co do tego wątpliwości (później wyszło to na jaw). W każdym razie wystąpienie Agłai - oczywiście żartobliwe, chociaż zbyt ostre i lekkomyślne - było uplanowane. O „biednym rycerzu” wszyscy mówili (i „śmieli się”) jeszcze miesiąc temu. A tymczasem, jakkolwiek książę silił się potem, by odtworzyć w pamięci dokładny obraz tej sceny, dochodził do przekonania, że Agłaja wypowiedziała te litery nie tylko bez cienia kpiny czy zwykłej ironii, ale nawet bez specjalnego akcentu, który by zwrócił uwagę obecnych na ukryte znaczenie tych liter; przeciwnie, wymówiła je z taką niezmierną powagą, z taką niewinną i naiwną prostotą, że można było pomyśleć, iż właśnie te litery były w balladzie i w książce tak właśnie było wydrukowane. Na księciu wywarło to jakieś przygnębiające i nieprzyjemne wrażenie. Lizawieta Prokofiewna oczywiście nie rozumiała i nie zauważyła ani zmiany liter, ani aluzji. Generał Iwan Fiodorowicz rozumiał tylko, że deklamowano wiersze. Z pozostałych słuchaczy wielu zrozumiało i zdziwiło się śmiałości wystąpienia i intencji; nikt się jednak nie odezwał, każdy starał się, by nie dać nic po sobie poznać. Jeden Eugeniusz Pawłowicz (książę gotów był nawet się założyć) nie tylko rozumiał, ale nawet wyraźnie pragnął okazać, że rozumie: zanadto drwiąco się uśmiechał.

- To doprawdy śliczne! - zawołała generałowa w prawdziwym upojeniu, ledwo się skończyła deklamacja. - Czyj to wiersz?

- Puszkina, *maman*, proszę nam nie robić wstydu! - zawołała Adelajda.

- Przy was można do reszty zgłupieć! - odezwała się z goryczą Lizawieta Prokofiewna. - To haniebne! Zaraz, jak przyjdziemy do domu, dacie mi ten wiersz Puszkina.

- Ależ u nas, zdaje się, nie ma wcale Puszkina.

- Od niepamiętnych czasów - dodała Aleksandra - leżą w kącie jakieś dwa podarte tomy.

- Natychmiast pošlijcie do miasta pierwszym pociągiem Fiodora albo Aleksego - lepiej Aleksego - niech kupi, Agłaja, chodź tutaj! Pocałuj mię; ślicznie deklamowałaś, ale - jeśli to szczerze

wypowiedziałaś - dodała prawie szeptem - to mi cię żal; jeżeli zaś miałaś ochotę go wykpić, to twoich uczuć nie pochwalam, więc w każdym razie lepiej było wcale nie deklamować. Rozumiesz? Idź, moja, panno, jeszcze z tobą pogadam, zasiedzieliśmy się tutaj.

Tymczasem księżę witał się z generałem Iwanem Fiodorowiczem, a generał przedstawiał mu Eugeniusza Pawłowicza Radomskiego.

- Złapałem go na drodze, dopiero co przyjechał pociągiem; dowiedział się, że jestem tutaj i cała nasza rodzina wraz ze mną...

- Dowiedziałem się, że i pan jest tutaj - przerwał Eugeniusz Pawłowicz - a ponieważ dawno sobie postanowiłem szukać nie tylko znajomości z panem, ale i pańskiej przyjaźni, więc nie chciałem tracić czasu. Pan niezdrów? Dopiero co się dowiedziałem...

- Jestem zupełnie zdrów i bardzo się cieszę, że pana wreszcie poznałem, dużo słyszałem i nawet mówiłem o panu z księciem Sz. - odpowiedział Lew Nikołajewicz podając mu rękę.

Po tej wymianie grzeczności obaj panowie uścisnęli sobie wzajemnie ręce i uważnie spojrzeli jeden drugiemu w oczy. Rozmowa natychmiast stała się ogólna. Księżę spostrzegł (a spostrzegał teraz wszystko nader prędko i przenikliwie, nawet to, czego może wcale nie było), że cywilne ubranie Eugeniusza Pawłowicza wywoływało powszechne i jakieś niezwykle zdziwienie tak dalece, że nawet wszystkie inne wrażenia zostały chwilowo zapomniane i zatarte. Można było pomyśleć, że w tej zmianie ubrania kryło się coś szczególnie ważnego. Adelajda i Aleksandra ze zdumieniem wypytywały Eugeniusza Pawłowicza. Księżę Sz., jego kuzyn, zdradzał nawet duże zaniepokojenie; generał był prawie zdenerwowany. Tylko Agłaja popatrzyła na Eugeniusza Pawłowicza z ciekawością, ale całkiem spokojnie, jakby chciała jedynie porównać, czy mu bardziej do twarzy w ubraniu, czy w mundurze, po chwili jednak odwróciła się i już na niego więcej nie patrzyła. Lizawieta Prokofiewna też o nic nie chciała pytać, choć i ona pewno trochę się niepokoila. Księżciu wydało się, że Eugeniusz Pawłowicz nie jest u niej w łaskach.

- Zdziwił mnie, zdumiał! - odpowiedział Iwan Fiodorowicz na wszystkie pytania. - Nie chciałem oczom wierzyć, kiedy jeszcze przedtem spotkałem go w Petersburgu, i dlaczego tak nagle, to istna zagadka! Sam pierwszy krzyczy, że nie trzeba łamać krzesła![74]

Z rozmów, jakie na ten temat przeprowadzono, okazało się, że Eugeniusz Pawłowicz już dawno i nieraz zapowiadał swoją dymisję; ale za każdym razem mówił tak niepoważnie, że trudno było w to uwierzyć. Miał zresztą taki zwyczaj, że o najpoważniejszych rzeczach rozprawiał żartobliwie, i trudno się było na tym poznać, zwłaszcza wówczas, kiedy sam chciał umyślnie zdezorientować słuchaczy.

- Przecież ja tylko przez pewien czas, może kilka miesięcy, najwyżej rok pozostanę w dymisji - śmiał się Radomski.

- Ale nie musiał pan wcale tego robić, o ile się przynajmniej orientuję w pańskich sprawach - twierdził wciąż jeszcze podniecony generał.

- A posiadłości objechać? Sam pan radził; no i chciałbym skoczyć za granicę...

Rozmowa zresztą przeszła wkrótce na inny temat; jednakże jakiś szczególnie dziwny i trwający nadal niepokój wykraczał, zdaniem obserwującego księcia, poza zwykłą miarę i coś tu w ogóle było osobliwego.

- Więc „biedny rycerz” znów jest na scenie? - spytał Eugeniusz Pawłowicz podchodząc do Agłai.

Ku zdumieniu księcia Agłaja spojrzała na niego badawczym i pytającym wzrokiem, jakby mu chciała dać do zrozumienia, że między nimi mowy być nie powinno o „biednym rycerzu” i że nawet nie rozumie pytania.

- Ależ za późno, za późno już teraz posyłać po Puszkina, za późno! - spierał się Kola z Lizawietą Prokofiewną do upadłego - trzy tysiące razy mówię, że za późno.

- Tak, rzeczywiście, posyłać teraz do miasta za późno - wtrącił się Eugeniusz Pawłowicz, czym prędzej opuszczając Agłaję - myślę, że nawet sklepy w Petersburgu są już pozamykane, dziewiąta godzina - stwierdził wyjmując zegarek.

- Tyle *maman* czekała, nie było pilno, więc można poczekać do jutra - wtrąciła Adelajda.

- I nawet nie uchodzi - dodał Kola - żeby ludzie z wielkiego świata zanadto interesowali się literaturą. Proszę spytać Eugeniusza Pawłowicza. O wiele przyzwoiciej interesować się złotym tarantasem z czerwonymi kołami.

- Znowu coś z książki, panie Kola - zauważyła Adelajda.

- Przecież pan Kola inaczej nie mówił, tylko z książek - podchwycił Eugeniusz Pawłowicz. - Cytuje całe zdania z pism krytycznych. Od dawna już mam przyjemność znać sposób mówienia Mikołaja Ardalionowicza, tym razem jednak mówi nie z książki. Mikołaj Ardalionowicz robi wyraźną aluzję do mojego złotego tarantasu z czerwonymi kołami. Tylko że go już zmieniłem na inny, spóźnił się pan.

Książkę przysłuchiwał się temu, co mówił Radomski. Wydało mu się, że dymisjonowany wojak zachowuje się bez zarzutu, skromnie, wesoło; zwłaszcza podobało mu się to, że z zaczepiającym go Kolą rozmawiał tak po przyjacielsku i jak równy z równym.

- Cóż to jest? - zwróciła się Lizawietą Prokofiewną do Wiery, córki Lebediewa, która stała przed nią trzymając kilka książek dużego formatu, pięknie oprawionych i prawie nowych.

- Puszkina - powiedziała Wiera. - Nasz Puszkina. Papa kazał mi go pani ofiarować.

- Jak to? Czy tak można? - zdziwiła się Lizawietą Prokofiewną.

- Nie w prezencie, nie w prezencie! Nie ośmieliłbym się! - wyskoczył zza pleców córki Lebediew. - Za odpowiednią cenę! To nasz własny, wspólny, rodzinny Puszkina, wydanie

Amnienkowa[75], trudne nawet obecnie do znalezienia. Za zwrotem kosztów. Ofiaruję ze czcią, chcąc sprzedać i tym samym zaspokoić szlachetną niecierpliwość najszlachetniejszych literackich uczuć waszej ekscelencji.

- No, jeśli chcesz sprzedać, to dziękuję. Nic na tym nie stracisz, nie bój się; tylko, mój drogi, nie rób takich min. Słyszałam o tobie, że jesteś podobno bardzo czytany, kiedyś porozmawiamy o tym; czy te książki sam mi odniesiesz?

- Z czcią i... szacunkiem! - stroił w dalszym ciągu swoje miny Lebediew, wrywając książki córce.

- Tylko żebyś nie pogubił, odnieś, chociażby nawet bez szacunku, ale pod jednym warunkiem - dodała patrząc na niego badawczo - puszczyć cię tylko do progu, nie mam zamiaru dziś cię przyjmować. A córkę Wierę możesz przysłać bodaj zaraz, bardzo mi się podoba.

- Dlaczego ojciec nie mówi o tych tam? - niecierpliwie zwróciła się Wiera do Lebediewa. - Przecież i tak sami wejdą: zaczęli już hałasować. Lwie Nikołajewiczu! - zwróciła się do księcia, który już wziął swój kapelusz - do pana dawno przyszli jacyś czterej, czekają u nas, awanturują się, ale papa nie pozwala im wejść do pana.

- Cóż to za ludzie? - spytał książę.

- Mówią, że za interesem, ale to takie typy, że jeżeli się ich teraz nie wpuści, gotowi później zatrzymać pana na drodze. Lepiej wpuścić, Lwie Nikołajewiczu, i jakoś się ich pozbyć. Gawriła Ardalionowicz i Pticyn starają się ich tam uspokoić, ale oni nie słuchają.

- Syn Pawliszczewa! Syn Pawliszczewa! Nie warto, nie warto! - machał rękami Lebediew. - Nie warto ich nawet słuchać, proszę księcia; nie warto, żeby jaśnie oświecony książę zaprzętał sobie nimi głowę, to nawet nie wypada. Tak, proszę księcia. Nie zasługują na to...

- Syn Pawliszczewa! Mój Boże! - zawołał książę nadzwyczaj zmieszany. - Wiem... ale przecież... tę sprawę z mojego upoważnienia prowadzi Gawriła Ardalionowicz. Właśnie mówił mi...

Ale Gawriła Ardalionowicz wszedł już na taras; za nim podążał Pticyn. W sąsiednim pokoju rozległ się hałas i donośny głos generała Iwołgina, który jakby chciał przekrzyczeć kilka innych głosów. Kola natychmiast pobiegł w tym kierunku.

- To bardzo ciekawe! - zauważył głośno Eugeniusz Pawłowicz.

„A zatem wie, o co chodzi!” - pomyślał książę.

- Co za syn Pawliszczewa? I... jaki może być syn Pawliszczewa? - pytał ze zdziwieniem generał Iwan Fiodorowicz, ciekawie patrząc na twarze otaczających i widząc, że tylko on jeden sprawy tej nie zna.

W istocie wszyscy byli niezwykle podnieceni i czekali na dalszy bieg wypadków. Książę ogromnie się zdziwił, że taka całkiem osobista jego sprawa zdążyła już tak mocno wszystkich

zainteresować.

- Będzie bardzo dobrze, jeśli pan zaraz sam tę sprawę załatwi - powiedziała Agłaja, z jakąś niezwykłą powagą zbliżając się do księcia - a nam wszystkim pozwoli zostać w charakterze świadków. Pana chcą oczernić, pan musi jak najjawniej oczyścić się z zarzutów; już z góry okropnie cieszę się za pana.

- Ja też chcę, żeby się już raz skończyły te brudne pretensje - zawołała generałowa - rozpraw się z nimi, książę, bez litości! Tyle się nasłuchałam na ten temat, że mi już uszy spuchły, i dużo sobie krwi napsułam z tego powodu. Chciałabym to zresztą zobaczyć. Wezwij ich tutaj, a my siądziemy. Agłaja dobrze to obmyśliła. Czy pan coś o tym słyszał? - zwróciła się do księcia Sz.

- Oczywiście, słyszałem; u państwa w domu. Ale mam szczególną ochotę popatrzeć na tych młodzieńców - odpowiedział książę Sz.

- Czy to są właśnie ci nihiliści?

- Nie, proszę wielmożnej pani, to nie są nihiliści - wysunął się naprzód Lebediew, który też nieomal dygotał z przejęcia - to są zupełnie inni, osobliwi; mój siostrzeniec mówił, że oni poszli dalej niż nihiliści. Wasza ekscelencja myli się, jeśli sądzi, że ich zdoła zawstydzić swoją obecnością; oni się niczego nie wstydzą. Nihiliści są bądź co bądź czasem ludźmi dużej wiedzy, nawet uczonymi, a ci dalej poszli, ponieważ są przede wszystkim ludźmi czynu. Jest to właściwie biorąc niejaki następstwo nihilizmu, ale nie w prostej linii, tylko uboczne i pośrednie; oni dają znać o sobie nie jakimiś dziennikarskimi artykułkami, ale wprost działaniem, proszę wielmożnej pani; tu już chodzi na przykład nie o bezmyślność jakiegoś tam Puszkina i nie o konieczność na przykład rozczłonkowania Rosji, nie; teraz uważa się za prawo każdą zachciankę; że jeśli bardzo się czegoś chce, to wolno nie zważać na żadne przeszkody, chociażby nawet trzeba było przy tym wymordować z osiem osób, proszę wielmożnej pani. Księżu jednakowoż nie radziłbym...

Ale książę szedł już otwierać gościom drzwi.

- Pan tych ludzi spotwarza, panie Lebediew - powiedział z uśmiechem - pana bardzo rozgoryczył pański siostrzeniec. Niech pani mu nie wierzy, Lizawieto Prokofiewno. Zapewniam panią, że Górscy i Daniłowowie[76] są tylko wyjątkami, a ci... tylko się myślą... Nie chciałbym jednak mówić z nimi tu, przy wszystkich. Proszę darować, Lizawieto Prokofiewno: wejdą, pokażę ich pani, a potem wyprowadzę. Proszę, niech panowie wejdą!

Niepokoila go raczej inna, przykra dla niego myśl. Zaczynał podejrzewać, czy aby ta cała sprawa nie została właśnie teraz, o tej porze, o tej godzinie, przygotowana zawczasu i obliczona na tych właśnie świadków po to, by go pohańbić, a nie po to, żeby mu dać satysfakcję. Było mu jednak bardzo smutno, że jest tak „potwornie i złośliwie podejrzliwy”. Umarłby chyba, gdyby ktoś się dowiedział, że snuje mu się taka myśl po głowie, i w chwili, kiedy weszli jego nowi goście, szczerze był gotów uważać siebie za najostatniejszego z ostatnich, pod względem moralnym, ze wszystkich, którzy byli dokoła niego.

Weszło pięciu ludzi: czterech nowych gości i piąty, tuż za nimi, generał Iwołgin,

rozgorączkowany, wzburzony i w silnym napadzie krasomówstwa. „Ten jest na pewno po mojej stronie!” - pomyślał z uśmiechem książę. Kola prześliznął się razem ze wszystkimi: z ożywieniem tłumaczył coś Hipolitowi, który był jednym z gości. Hipolit słuchał uśmiechając się z lekka.

Książę porozsadał gości. Byli tacy młodzi, tacy nawet niepełnoletni, że coraz dziwniejsza wydawała się ta cała historia i związane z nią okoliczności. Iwan Fiodorowicz Jepanczyn na przykład, który nic nie wiedział i nic nie rozumiał z tej „nowej sprawy”, oburzony nawet, patrząc na taką młodzież, i na pewno by jakoś zaprotestował, gdyby go nie powstrzymywała dziwna gorliwość, z jaką jego małżonka zajmowała się prywatnymi interesami księcia. Został zresztą głównie z ciekawości, a poniekąd z dobroci serca, mając nadzieję, że jego pomoc, a w każdym razie jego autorytet na coś się przydadzą; gdy jednak ujrzał generała Iwoigina, który mu się uklonił z daleka, znów poczuł oburzenie; nachmurzył się i postanowił uporczywie milczeć.

W liczbie czterech młodzieńców gości był zresztą jeden trzydziestoletni, dymisjonowany „porucznik z przybocznej kompanii Rogożyna, bokser i ongiś wielki pan, który dawał żebrakom po piętnaście rubli”. Można się było domyślić, że towarzyszy pozostałym gościom dla dodania im odwagi, w charakterze szczerego przyjaciela, a w razie potrzeby jako pomoc. Między zaś pozostałymi gośćmi pierwsze miejsce zajmował i główną rolę grał ten, którego nazywano „synem Pawliszczewa”, chociaż przedstawił się jako Antyp Burdowski. Był to młody człowiek, dość ubogi i niedbale przyodziany, w surducie z zabrudzonymi i wyświeconymi rękawami, z zatłuszczoną, pozapinaną na wszystkie guziki kamizelką, z ukrytą nie wiadomo jak bielizną, z czarnym, jedwabnym, niemożliwie brudnym i skręconym na kształt sznura szalikiem, z nie mytymi od dawna rękami, o straszliwie wągrowatej twarzy, blond włosach i spojrzeniu, jeśli się tak można wyrazić, niewinnie aroganckim. Był niezbyt niski, szczupły, lat dwudziestu dwóch. Twarz jego nie wyrażała najmniejszej ironii, najmniejszej refleksji; przeciwnie, zupełne, tępe upojenie poczuciem, że ma za sobą wszelką słusność i prawo, a jednocześnie jakby dziwną i nieustanną potrzebę, by uważać się stale za pokrzywdzonego. Mówił podniesionym głosem, śpiesząc się i urywając, jakby nie do końca wymawiając słowa, niczym jąkała albo cudzoziemiec, choć był rdzennym Rosjaninem.

Towarzyszył mu znany czytelnikom siostrzeniec Lebediewa oraz Hipolit. Hipolit był to zupełnie młody chłopak lat siedemnastu albo osiemnastu, o rozumnym, ale wciąż rozdrażnionym wyrazie twarzy, na której choroba wyrzyła straszliwe ślady. Chudy był jak szkielet, bladożółty, oczy jego błyszczały i na policzkach płonęły dwie duże czerwone plamy. Bez przerwy kaszlał; każde jego słowo, każde prawie tchnienie brzmiało chrapliwie. Miał najwidoczniej suchoty w ostatnim stadium. Zdawało się, że nie będzie żył dłużej niż dwa, trzy tygodnie. Bardzo się zmęczył i pierwszy osunął się na krzesło. Inni, wchodząc, trochę się ceremoniowali, trochę byli zmieszani, jednak patrzyli z góry i najwyraźniej bali się narazić na szwank swoją godność, co dziwnie jakoś nie harmonizowało z ich reputacją ludzi odrzucających wszelkie bezużyteczne światowe głupstwa, przesady i niemal wszystko na świecie z wyjątkiem własnych interesów.

- Antyp Burdowski - pośpiesznie i jąkając się powiedział syn Pawliszczewa.

- Włodzimierz Doktorenko - przedstawił się siostrzeniec Lebediewa, mówiąc dobitnie, wyraźnie i nawet jakby się chwalać, że nosi takie nazwisko.

- Keller - mruknął dymisjonowany porucznik.

- Hipolit Tierientiew - zapiszczał znieczeka piskliwym głosem ostatni.

Wszyscy wreszcie posiadali rzędem na krzesłach naprzeciwko księcia, wszyscy, przedstawiając się natychmiast zmarszczyli brwi i dla dodania sobie odwagi przekładali z jednej ręki do drugiej swoje czapki, wszyscy przygotowali się do mówienia i wszyscy jednak milczeli, na coś czekając z miną zuchwałą, z której można było wyczytać: „Nie, bratku, to ci się nie uda, nas nie oszukasz!” Czuło się, że wystarczy, aby ktoś na początek wyrzekł tylko jedno słowo, a od razu wszyscy zaczną mówić jednocześnie, na wyścigi, nawzajem sobie przerywając.

VIII

- Proszę panów - odezwał się pierwszy książę - nikogo z was się nie spodziewałem, sam do dziś dnia byłem chory, a sprawę pańską (zwrócił się do Antypa Burdowskiego) jeszcze miesiąc temu powierzyłem panu Iwołginowi, o czym pana już wtedy powiadomiłem. Zresztą nie uchylam się od osobistej rozmowy, no, ale zgodzą się panowie, że o tej porze... proponuję, żebyśmy przeszli do innego pokoju, jeżeli nie na długo... Tutaj teraz są moi przyjaciele i zapewniam panów...

- Przyjaciele... proszę bardzo, jednak pozwoli książę - przerwał nagle bardzo pouczającym tonem, chociaż jeszcze nie podnosząc głosu, siostrzeniec Lebediewa - pozwoli pan, że zrobimy małą uwagę, a mianowicie: mógłby pan z nami postąpić grzeczniej i nie kazać nam czekać dwie godziny w pokoju dla służby...

- I, ma się rozumieć... i ja też... i to ma być niby po książęcemu! I to... pan, czyli właściwie generał! A ja nie jestem pańskim lokajem! I ja, ja... - zaczął nagle bełkotać w niezwykłym rozdrażnieniu Antyp Burdowski trzęsącymi się wargami, z drzeniem głosu świadczącym o głębokiej urazie, ze śliną przyskającą z ust, jakby cały pękł albo się przedziurawił, tak jednak usiłował pośpiesznie mówić, że po dziesięciu słowach nic już nie można było zrozumieć.

- To było po książęcemu! - krzyknął Hipolit piskliwym, rozdrażnionym głosem.

- Gdyby to mnie się przytrafiło - mruknął bokser - to znaczy, gdyby to się odnosiło bezpośrednio do mnie jako do człowieka szlachetnie urodzonego, to ja bym na miejscu Burdowskiego... ja bym...

- Ależ, panowie - powtórzył znowu książę - dowiedziałem się o waszym przyjściu dopiero przed chwilą.

- My, proszę pana, nie boimy się pańskich przyjaciół, ktokolwiek by to był, ponieważ mamy za sobą prawo - oświadczył znowu siostrzeniec Lebediewa.

- Jakie jednakże miał pan prawo, pozwolę sobie spytać - zapiszczał znowu Hipolit, bardzo już rozgorączkowany - jakie miał pan prawo oddawać sprawę Burdowskiego pod sąd swoich przyjaciół? My może nie życzymy sobie ich sądu; rzecz aż nadto zrozumiała; co taki sąd może mieć za znaczenie!...

- No, ale koniec końcem, jeżeli pan, panie Burdowski, nie chce tu mówić - udało się wreszcie zabrać głos księciu, niezwykle zaskoczonemu takim początkiem - to proponuję, żebyśmy przeszli do innego pokoju; a o panach wszystkich, powtarzam, dowiedziałem się dopiero w tej chwili...

- Ale prawa pan nie ma, prawa pan nie ma, prawa pan nie ma!... pańskich przyjaciół... O!... - nagle znów wybełkotał Burdowski, dziko i bojaźliwie oglądając się dokoła i tym bardziej się unosząc, im bardziej był zmieszany i nieufny. - Pan nie ma prawa! - krzyknął jeszcze raz i urwał, jakby nożem uciął; w milczeniu wybałuszył krótkowzroczne, niezwykle wylupiaste oczy, pocięte grubymi czerwonymi żyłkami, nachylił się całym ciałem ku księciu i wlepił w niego pytający wzrok.

Tym razem książę tak bardzo się zdziwił, że sam również umilkł i też wpatrywał się w swojego gościa, wytrzeszczywszy oczy i nie mówiąc ani słowa.

- Lwie Nikołajewiczu! - zawołała nagle Lizawieta Prokofiewna. - Przeczytaj to natychmiast, w tej chwili, to dotyczy bezpośrednio twojej sprawy.

Śpiesznie wyciągnęła do niego rękę z pewnym humorystycznym tygodnikiem[77] i wskazała palcem odpowiedni fragment; Lebediew, kiedy jeszcze goście wchodzili, podskoczył z boku do Lizawiey Prokofiewny, której łaski starał się pozyskać, i nic nie mówiąc wyjął z kieszeni tę gazetę, podsunął jej przed oczy i pokazał zakreśloną ołówkiem szpaltę. To, co Lizawieta Prokofiewna zdążyła przeczytać, okropnie ją uderzyło i zdenerwowało.

- Może jednak lepiej nie na głos - wybąkał książę, bardzo zmieszany - wolałbym później przeczytać... sam...

- W takim razie przeczytaj zaraz i to głośno, tak będzie lepiej! Głośno! - zwróciła się Lizawieta Prokofiewna do Koli, niecierpliwie wyrrywając z rąk księcia gazetę, której ten zaledwie zdążył dotknąć. - Głośno, żeby każdy słyszał.

Lizawieta Prokofiewna była kobietą zapalczywą i porywczą, toteż potrafiła czasem ni stąd, ni zowąd, wiele się nie namyślając, podnieść kotwicę i wypuścić się na otwarte morze bez względu na pogodę. Iwan Fiodorowicz poruszył się niespokojnie. Ale gdy wszyscy w pierwszej chwili mimowolnie zatrzymali się i czekali w niepewności, Kola rozłożył gazetę i zaczął głośno czytać w miejscu wskazanym mu przez usłużnego Lebediewa, który do niego przyskoczył:

- „Proletariusze i ich potomkowie, epizod z całodziennych i codziennych grabieży! Postęp! Reforma! Sprawiedliwość!

Przedziwne rzeczy dzieją się na naszej tak zwanej świętej Rusi, w naszym stuleciu reform i zbiorowej inicjatywy, stuleciu ruchów narodowościowych i setek milionów rubli wywożonych rokrocznie za granicę, stuleciu popierania przemysłu i sparaliżowania rąk do pracy itd., itd., wszystkiego się nie da wyliczyć, proszę państwa, więc przystępujemy wprost do rzeczy. Dziwna historia zdarzyła się jednemu z potomków naszego podupadłego wielkopańskiego ziemiaństwa (*de profundis!*), jednemu z tych zresztą, których dziadowie jeszcze zgrali się do szczętu w ruletkę, ojcowie zmuszeni byli służyć jako junkrzy i porucznicy i zazwyczaj umierali zasądzeni przez sąd wojskowy za jakąś niewinną omyłkę przy wyliczaniu się ze skarbowych pieniędzy rządowych, a których dzieci, podobnie jak bohater naszej opowieści, albo wyrastają na idiotów, albo wpadają w afery kryminalne, z czego zresztą w celach poprawczo - pedagogicznych zostają przez sędziów przysięgłych uniewinnieni; albo wreszcie kończą tym, że popełniają takie rzeczy, które wywołują osłupienie publiczności i hańbią nasze, i tak już dosyć sromotne czasy. Nasz potomek jakieś pół roku temu, w zimie, obuty w kamasze podług zagranicznej mody, trzęsąc się z zimna w letnim płaszczyku, wrócił do Rosji ze Szwajcarii, gdzie się leczył na idiotyzm (*sic!*). Trzeba przyznać, że tak mu szczęście sprzyjało, iż nie mówiąc o interesującej swojej chorobie, na którą się leczył w Szwajcarii (no i niechże państwo pomyślą, jak to się można leczyć na idiotyzm?!!!!), mógłby swoją osobą stwierdzić prawdziwość powiedzenia: niektórzy to mają szczęście! Bo proszę tylko zauważyć; zostawszy jako niemowlę po śmierci ojca, jak fama głosi - porucznika, który zmarł będąc oddany pod

sąd z powodu nagłego zniknięcia przy kartach całej kasy kompanijnej, a może też z powodu wysypania nadmiernej ilości różeg podkomendnemu (proszę pamiętać, że to dawne czasy!), nasz baron został z litości wzięty na wychowanie przez bardzo bogatego rosyjskiego ziemianina. Ów rosyjski ziemianin - nazwijmy go panem P. - posiadał w dawnych złotych czasach cztery tysiące pańszczyźnianych dusz, pańszczyźniane dusze! czy państwo rozumieją takie wyrażenie? Ja go nie rozumiem. Trzeba by zajrzeć do słownika semantycznego: „legenda nie tak dawna, a trudno w nią wierzyć”[78] był on, zdaje się, jednym z tych rosyjskich leniuchów i darmożjadów, którzy spędzali swój próżniaczy żywot za granicą, latem u wód, a zimą w paryskim „Chateau des Fleurs”, gdzie utopili olbrzymie jak na owe czasy sumy. Można stanowczo twierdzić, że co najmniej trzecią część dochodów całej własności pańszczyźnianej naszego obywatela inkasował właściciel paryskiego „Chateau des Fleurs” (co za szczęśliwy człowiek!). Jakkolwiek tam było, niefrasobliwy pan P. wychował panicza - sierotkę po ksiąźcemu: opłacał mu guwernerów i guwernantki (niewątpliwie przystojne), które nawet sam przywoził z Paryża. Ale ostatni potomek magnackiego rodu był idiotą. Paryskie guwernantki nie pomogły i do dwudziestego roku życia nasz wychowanek nie nauczył się nawet mówić po ludzku żadnym językiem, nie wyłączając rosyjskiego. To ostatnie zresztą jest do wybaczenia. Nareszcie w rosyjskiej obywatelsko - ziemiańskiej głowie pana P. zrodziła się fantazja, że idiotę można nauczyć rozumu w Szwajcarii - fantazja niby logiczna: darmożjad i bogacz mógł sobie naturalnie wyobrazić, że za pieniądze można kupić na rynku nawet rozum, zwłaszcza w Szwajcarii. Zeszło tedy pięć lat na tej kuracji u jakiegoś sławnego profesora i wydano na to grube pieniądze: idiota oczywiście rozumu nie nabrał, ale jednak stał się, zdaniem wielu, choć troszkę podobny do człowieka. Wtem umiera niespodziewanie pan P. Testamentu, ma się rozumieć, nie zostawia, za to wszystkie interesy, jak to zwykle bywa, w największym nieładzie; spadkobierców chciwych - cała chmara, nic ich jednak nie obchodzi ostatnia latorośl pańskiego rodu, leczona z litości za granicą na dziedziczny idiotyzm. Potomek ten jednak, chociaż idiota, potrafił naciągnąć profesora i, jak mówią, zdołał dwa lata jeszcze leczyć się u niego za darmo, ukrywając przed nim śmierć swojego dobroczyńcy. Ale profesor sam był nie lada szarlatanem; przestraszywszy się w końcu nadmiernych kosztów, zwłaszcza że dwudziestopięcioletni darmożjad miał niezgorszy apetyt, obuł go w stare kamasze, dał mu swój podarty płaszcz i wyprawił go z litości trzecią klasą *nach Russland**, żeby się go pozbyć ze Szwajcarii. Zdawałoby się, że szczęście opuściło naszego bohatera. Ale gdzie tam: fortuna, skazująca na śmierć głodową całe gubernie, wszystkie swoje łaski zlewa na paniczyka, jak ta Chmura Kryłowa, co przemknęła nad wyschłym polem i spadła ulewnym deszczem na ocean[80]. Prawie w tej samej chwili, kiedy zjawił się w Petersburgu, przyjeżdżając wprost ze Szwajcarii, umiera w Moskwie jeden z krewnych jego matki (oczywiście mieszczańki z pochodzenia), bezdzielny stary kawaler, kupiec, brodacz i raskolnik, i zostawia kilka milionów spadku, niespornego, nie obciążonego, w czystej gotówce (żeby to nam się tak przytrafiło, czytelniku!), i wszystko to dla naszego potomka, wszystko dla naszego barona, który się leczył w Szwajcarii na idiotyzm! No, ale tym razem zagrała jeszcze inna muzyka: cała orkiestra. Koło naszego barona w kamaszkach, który się zaczął umizgać do pewnej znanej i pięknej nierządniczy, zebrał się raptem cały tłum kolegów i przyjaciół, znaleźli się nawet krewni, a ponadto całe tłumy dobrze urodzonych panien, łaknących i pragnących wyjść legalnie za mąż; cóż bowiem może być lepszego: arystokrata milioner, idiota - wszystkie zalety jednocześnie; takiego męża ze świecą się nie znajdzie i na obstalunek się nie robi!...”

- Tego... tego już nie rozumiem! - zawołał Iwan Fiodorowicz, oburzony w najwyższym stopniu.

- Niech pan przestanie czytać, Kola! - zawołał książkę błagalnym głosem.

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki.

- Czytać! Czytać! żeby nie wiem co! - ucięła Lizawieta Prokofiewna, powstrzymując się z widocznym wysiłkiem od wybuchu. - Książkę! Pokłóć się z panem, jeżeli to nie będzie doczytane do końca.

Nie było rady. Kola, rozgorączkowany, czerwony z przejęcia, drżącym głosem czytał dalej:

- „Ale gdy nasz świeżo upieczony milioner znajdował się, rzecz można, w empirejach, zaszła pewna uboczna okoliczność. Któregoś pięknego poranka zjawia się u niego jakiś mężczyzna, o spokojnej i surowej twarzy, mówiący grzecznie, ale z godnością i sprawiedliwie, ubrany skromnie, ale ze smakiem, zdradzający w myśleniu widoczne tendencje postępowe, i w paru słowach wyjaśnia przyczyny swojej wizyty: jest znanym adwokatem; pewien młodzieniec powierzył mu sprawę; przychodzi właśnie w jego imieniu. Ów młodzieniec jest ni mniej, ni więcej, tylko synem nieboszczyka P., chociaż nazywa się inaczej. Rozpustny pan P., uwiódłszy w młodości pewną uczciwą biedną dziewczynę, pochodzącą z poddanych chłopów, ale wychowaną po europejsku (do czego oczywiście dopomogły baronowskie uprawnienia z okresu minionego poddaństwa), i zauważywszy nieunikniony a bliski rezultat swojego stosunku, wydał ją czym prędzej za męża za pewnego rzemieślnika, zajmującego nawet niezłą posadę, człowieka o szlachetnym charakterze, który już od dawna kochał tę dziewczynę. Z początku pan P. nawet wspierał materialnie nowożeńców; wkrótce jednak pod wpływem szlachetnego charakteru męża odmówiono przyjmowania tej pomocy. Upłynęło sporo czasu i pan P. po trochu zdążył zapomnieć i o dziewczynie, i o swoim synu, którego miał z nią, a potem, jak wiadomo, umarł, nie zostawiając rozporządzeń co do majątku. Tymczasem ów syn, urodzony już w legalnym małżeństwie, wychował się pod innym nazwiskiem, całkowicie usynowiony przez szlachetnego męża swojej matki, który też jednak w swoim czasie umarł; syn więc znalazł się nagle pozostawiony własnemu losowi wraz z chorą matką, cierpiącą, bez nóg, zamieszkałą w jednej z oddalonych guberni; on zaś sam utrzymywał się w stolicy z ciężkiej codziennej pracy, ucząc dzieci kupców, i z tego opłacał gimnazjum, a następnie pożyteczne wykłady uniwersyteckie, mając na widoku dalsze cele. Czy dużo się jednak zarobi od rosyjskiego kupca? Najwyżej po jakieś dziesięć kopiejek za lekcję, a tu tymczasem ma się obowiązki względem schorowanej, bez nóg, matki, której nawet śmierć w odległej guberni prawie wcale nie ulżyła doli młodzieńca! Teraz pytanie: jak, zgodnie ze sprawiedliwością, powinien był postąpić nasz potomek? Myślisz zapewne, czytelniku, że powiedział sobie tak: „Całe życie korzystałem z łaski pana P.; na moje wychowanie, na guwernantki i na leczenie z idiotyzmu poszły do Szwajcarii dziesiątki tysięcy; i oto teraz ja mam miliony, a szlachetny młodzieniec, syn pana P., nie odpowiadający za postęпки swojego lekkomyślnego ojca, który o nim zapomniał, ugina się pod ciężarem lekcji. Wszystko to, co poszło na mnie, powinno było, według zasad sprawiedliwości pójść na niego. Te olbrzymie sumy, wydatkowane na mnie, w istocie mi się nie należały. Była to tylko ślepa omyłka fortuny; wszystko to należało się synowi pana P. Na niego powinny być użyte, nie na mnie, tak jak chciał fantastyczny kaprys lekkomyślnego i beztroskiego pana P. Gdybym był całkiem szlachetny, subtelny, sprawiedliwy, powinien bym oddać jego synowi połowę całego spadku, który otrzymałem; ponieważ jednak jestem przede wszystkim człowiekiem wyrachowanym i zbyt dobrze rozumiem, że to nie jest sprawa mocna pod względem prawnym, więc połowy milionów nie dam. Ale co najmniej zbyt podłą

i bezwstydną rzeczą (potomek zapomniał, że i niepraktyczną) byłoby z mojej strony, jeśli bym teraz nie zwrócił tych dziesiątków tysięcy, które poszły na mój idiotyzm. O tym rozstrzygnąć może tylko sumienie i poczucie sprawiedliwości! Cóż by się bowiem stało ze mną, gdyby pan P. nie łożył na moje wychowanie, a zamiast mną opiekowałby się swoim rodzonym synem?”

Ale nie, proszę państwa! Nasi potomkowie nie tak rozumują. Jakkolwiek perswadował i dowodził mu adwokat owego młodzieńca, adwokat, który podjął się sprawy jedynie z uczucia przyjaźni i prawie wbrew woli skrzywdzonego, prawie przemocą; jakkolwiek wskazywał na obowiązki honoru, szlachetności, słuszności i nawet prostego wyrachowania, wychowanek szwajcarskiego lekarza pozostał niewzruszony. I cóż? To by jeszcze nie było nic, ale co innego jest absolutnie nie do wybaczenia i nie da się usprawiedliwić żadną interesującą chorobą: ów milioner, który dopiero co zdjął kamasze swojego profesora, nie mógł pojąć nawet, że nie o łaskę i nie o wsparcie prosi szlachetny młodzieniec, zabijający się korepetycjami, ale o swoje prawa, o swoją należność, chociażby nawet nie uzasadnioną prawnie, i nawet nie prosi, tylko za niego czynią starania jego przyjaciele. Z majestatyczną miną, upojony tym, że otrzymał możliwość bezkarnego gnębienia ludzi swoimi milionami, potomek nasz wyjmuje pięćdziesięciorublowy banknot i posyła szlachetnemu młodzieńcowi jako bezczelną jałmużnę. Nie wierzą państwo? To byłoby oburzające, nikczemne, prawda? Państwo chcieliby przeciwko temu z oburzeniem zaprotestować: a on jednak to zrobił! Ma się rozumieć, pieniądze natychmiast mu zwrócono; po prostu, można powiedzieć, rzucono mu w twarz. Jakże teraz rozstrzygnąć tę kwestię! Sprawa nie nadaje się do sądu; trzeba więc tylko nadać jej odpowiedni rozgłos! Podajemy tę historię do wiadomości publicznej, ręcząc, że jest prawdziwa. Podobno jeden z bardziej znanych naszych humorystów ułożył z tej okazji wspaniały epigramat, godny tego, aby figurować nie tylko w gubernialnych, ale i w stołecznych naszych szkicach obyczajowych.

Lewek Schneidra peleryną*

Przez pięć lat krył nędzne życie

I zwyczajną gadaninę

Czas wypełniał pracowicie.

Gdy w kamaszkach wąskich wrócił,

Milionowym spadkiem władał,

Po rosyjsku w cerkwi nucił,

A studentów pookradał.[82]

Kiedy Kola skończył czytać, czym prędzej podał gazetę księciu i nie mówiąc ani słowa pobiegł w kątek pokoju, przywarł do ściany i zakrył twarz rękami. Odczuwał nieznośny wstyd; jego dziecięca

wrażliwość, która nie zdążyła jeszcze przywyknąć do brudu, dotknięta była ponad wszelką miarę. Wydawało mu się, że zaszło tu coś niezwykłego, co zrujnowało cały jego świat, i że bodaj on sam to sprawił chociażby przez to tylko, że na głos odczytał artykuł.

Ale i wszyscy chyba odczuwali coś podobnego. Pantom było bardzo nieprzyjemnie i wstyd. Lizawietę Prokofiewną tłumila w sobie nadzwyczajny gniew i też, być może, wyrzucała sobie, że się wdała w tę sprawę; teraz milczała. Z księciem działo się to, co często zdarza się w podobnych wypadkach ludziom nieśmiałym: tak się zmieszał z powodu cudzego postępkę, tak mu się zrobiło przykro za swoich gości, że w pierwszej chwili bał się nawet spojrzeć na nich. Pticyn, Waria, Gania, nawet Lebediew - wszyscy mieli miny bardzo skonfundowane. Ale co najdziwniejsze, że Hipolit i „syn Pawliszczewa” byli również jakby czymś zaskoczeni: siostrzeniec Lebediewa zdradzał jawne niezadowolenie. Tylko bokser siedział całkiem spokojnie, podkreślając węża, z poważnym wyrazem twarzy i nieco spuszczonej oczami, co jednak wynikało nie ze zmieszania, ale przeciwnie, było raczej przejawem szlachetnej skromności i nazbyt oczywistego triumfu. Widać było ze wszystkiego, że artykuł bardzo mu się podobał.

- Cóż to ma, do diabła, znaczyć - mruknął półgłosem Iwan Fiodorowicz - wygląda tak, jakby pięćdziesięciu lokaj zebrało się razem, żeby to napisać, i napisało.

- Aa... za pozwoleniem szanownego pana, jak pan może takimi przypuszczeniami obrażać ? - oświadczył i cały aż zadrżał Hipolit.

- To... to... to... dla porządnego człowieka... przyzna pan sam, generale... dla porządnego człowieka to jest stanowczo obraźliwe! - wybełkotał bokser, który też nagle jakby się z czegoś otrząsnął, podkreślił węża i wzruszył energicznie ramionami i całym ciałem.

- Po pierwsze, nie jestem dla pana żadnym „szanownym panem”, a po drugie, żadnych wyjaśnień udzielać panu nie zamierzam - odpowiedział ostro, zirytowany w najwyższym stopniu Iwan Fiodorowicz; wstał, nie mówiąc ani słowa poszedł w stronę schodów wiodących z tarasu i stanął na stopniu, plecami do obecnych; strasznie był oburzony na Lizawietę Prokofiewną, która nawet teraz ani myślała ruszyć się z miejsca.

- Panowie, panowie, pozwólcie nareszcie mówić, panowie ! - wołał zakłopotany i podniecony książę - i bardzo was proszę, zechciejcie rozmawiać tak, żebyśmy się nawzajem zrozumieli. O artykule nic nie mówię, niech tam; ale to przecież wszystko nieprawda, proszę panów, co jest w tym artykule; mówię dlatego, że przecież sami o tym wiecie; więc to wstyd. Naprawdę dziwię się, jeżeli to któryś z was napisał.

- Ja osobiście nic do tej chwili nie wiedziałem o tym artykule - oświadczył Hipolit - i nie pochwalam tego artykułu.

- Chociaż wiedziałem, że jest napisany, ale... też bym nie radził drukować, gdyż jeszcze nie czas na to - dodał siostrzeniec Lebediewa.

- A ja wiedziałem, ale ja mam prawo... ja... - bąknął „syn Pawliszczewa”.

- Jak to! Pan sam to wszystko napisał? - zapytał ksiązę, z ciekawością patrząc na Burdowskiego.

- To niemożliwe!

- Można jednak zakwestionować pańskie prawo do zadawania podobnych pytań - wtrącił się siostrzeniec Lebediewa.

- Po prostu zdziwiłem się tylko, że panu Burdowskiemu udało się... ale... chcę zaznaczyć, że jeżeli panowie oddali już tę sprawę pod sąd opinii publicznej, to dlaczego panowie niedawno się tak obruszyli, kiedy w obecności moich przyjaciół zacząłem mówić o tej sprawie?

- Nareszcie! - mruknęła oburzona Lizawieta Prokofiewna.

- I nawet ksiązę raczył zapomnieć - prześliznął się nagle pomiędzy krzesłami Lebediew, który już nie mógł wytrzymać i dygotał z niecierpliwości - raczył zapomnieć, że tylko i wyłącznie pańska dobra wola i niezmierna dobroć pańskiego serca skłoniły księcia pana do przyjęcia i wysłuchania tych ludzi, którzy nie mają żadnego prawa czegokolwiek żądać, tym bardziej że pan tę sprawę oddał w ręce Gawriły Ardalionowicza, a i to pan też zrobił z niezmiernej swojej dobroci, teraz jednak, jaśnie oświecony ksiązę, znajdując się w gronie wybranych przyjaciół swoich, nie powinien pan poświęcać takiego towarzystwa dla tych osobników i mógłby pan całą tę czeredę natychmiast, że tak powiem, wyprosić za drzwi, co ja, w charakterze właściciela domu, z nadzwyczajną po prostu przyjemnością...

- Całkiem słusznie! - zagrział nagle z głębi pokoju generał Iwołgin.

- Dosyć, panie Lebediew, dosyć, dosyć... - zaczął ksiązę, ale wybuch oburzenia zagłuszył jego słowa.

- O nie, przepraszam, przepraszam, teraz już nie dosyć ! - prawie przekrzyczał wszystkich siostrzeniec Lebediewa. - Teraz trzeba sprawę postawić mocno i wyraźnie, gdyż najwidoczniej nikt nic nie rozumie. W grę weszły kruczki prawne i na podstawie tych kruczków grozi się nam wyrzuceniem za drzwi! Ale czyżby pan, ksiązę, miał nas za takich wierutnych głupców, którzy sami nie rozumieją, jak dalece ich sprawa nie jest kwestią prawną, i że jeśli rozpatrywać wszystko z punktu widzenia prawa, to nie mogą od pana żądać nawet jednego rubla? Ależ my właśnie zdajemy sobie sprawę, że jeśli tu nie ma prawa pisanego, jest za to prawo ludzkie, naturalne: prawo zdrowego rozsądku i sumienia, i chociaż to nasze prawo nie figuruje w żadnym zbutwiałym ludzkim kodeksie, jednak szlachetny i uczciwy człowiek, czyli po prostu człowiek zdrowo myślący, obowiązany jest być szlachetnym i uczciwym nawet w tych wypadkach, których kodeks nie określa. Dlatego właśnie przyszliśmy tutaj, nie obawiając się, że będziemy wyrzuceni za drzwi (jak pan przed chwilą groził) za to tylko, iż nie prosimy, ale żądamy, i za niestosowność wizyty o tak późnej porze (choć właściwie nie przyszliśmy późno, a pan sam nas przetrzymał w pokoju dla służby), dlatego, powtarzam, przyszliśmy bez żadnej obawy, gdyż uważaliśmy pana właśnie za człowieka o zdrowym rozsądku, czyli szlachetnego i uczciwego. Tak, to prawda, że nie weszliśmy pokornie jak pańscy przypochebnicy i sługusy, ale z podniesioną głową jak ludzie wolni, i bynajmniej nie z prośbą, ale ze swobodnym i dumnym żądaniem (słyszysz pan, nie z prośbą, ale z żądaniem, niech pan to sobie zapamięta!). Z godnością i otwarcie zadajemy panu pytanie: czy pan uważa, że w sprawie Burdowskiego jest pan w porządku, czy nie w porządku? Czy pan przyznaje, że Pawliszczew był

pana dobroczyńcą, a nawet może uratował pana od śmierci? Jeśli pan przyznaje (co jest oczywiste), to czy pan ma zamiar albo też czy pan w swoim sumieniu uważa za rzecz sprawiedliwą, z kolei otrzymawszy miliony, jakoś zaopatrzyć będącego w potrzebie syna Pawliszczewa, choć ów nosi nazwisko Burdowski? Tak czy nie? Jeśli tak, czyli innymi słowy, jeśli pan ma to, co pan w swoim języku nazywa honorem i sumieniem, a co my dokładniej określamy jako zdrowy rozsądek, to niech pan nas zaspokoi i sprawa będzie zakończona. Niech pan załatwi nasze pretensje bez próśb i podziękowań z naszej strony, niech pan tego od nas nie oczekuje, ponieważ robi pan to nie dla nas, ale dla sprawiedliwości. Jeżeli zaś pan nie zechce nas zaspokoić, czyli odpowie pan: nie, to natychmiast wyjdziemy i sprawa upada; powiemy panu tylko prosto w oczy, w obecności wszystkich pańskich świadków, że uważamy pana za człowieka o umyśle ordynarnym i słabo rozwiniętym; że nazywać się nadal człowiekiem posiadającym honor i sumienie panu nie wolno i nie ma pan do tego prawa; że prawo to chce pan kupić za tanio. Skończyłem. Postawiłem jasno całą sprawę. Niech pan nas teraz wyrzuci za drzwi, jeśli pan się odważy. Pan może to zrobić, pana stać na to. Ale niech pan pamięta, że my jednak żądamy, a nie prosimy. Żądamy, a nie prosimy!...

Siostrzeniec Lebediewa, mocno rozgorączkowany, urwał swoje przemówienie.

- Żądamy, żądamy, żądamy, a nie prosimy!... - wybełkotał Burdowski i zaczerwienił się jak rak.

Po słowach siostrzeńca Lebediewa nastąpiło ogólne poruszenie i rozległy się nawet głosy oburzenia, chociaż wszyscy zebrani najwidoczniej unikali mieszania się do sprawy, może tylko z wyjątkiem samego Lebediewa, który był jak w gorączce. (Dziwna rzecz: Lebediew, stojący niewątpliwie po stronie księcia, odczuwał teraz jak gdyby pewne zadowolenie, dumę rodzinną po mowie wygłoszonej przez swego siostrzeńca; przynajmniej z pewnym osobliwym wyrazem zadowolenia spoglądał na zebranych.)

- Moim zdaniem - zaczął ksiązę dość cicho - moim zdaniem, pan, panie Doktoreńko, we wszystkim, co pan przed chwilą powiedział, ma słuszość tylko do połowy, zgadzam się nawet, że więcej niż do połowy, i byłbym z panem w całkowitej zgodzie, gdyby pan czegoś nie pominął w swoim przemówieniu. Co mianowicie pan pominął, nie mogę, nie potrafię panu dokładnie wyrazić, ale do zupełnej słuszości pańskich wywodów na pewno czegoś brakuje. Przejdźmy jednak lepiej do rzeczy, proszę panów; powiedzcie mi, po co wydrukowaliście ten artykuł? Przecież tutaj co słowo to potwarz; więc, moim zdaniem, popełniliście panowie podłość.

- Przepraszam!...

- Szanowny panie!...

- To... to... to... - rozległo się jednocześnie ze strony ogarniętych podnieceniem gości.

- Co do artykułu - podchwycił piskliwie Hipolit - co do tego artykułu już panu powiedziałem, że ja i inni go nie pochwalamy! Napisał go ten pan - wskazał na siedzącego obok boksera - napisał nieprzyzwoicie, przyznaję, napisał niegramatycznie i takim stylem, jakim się posługują tacy jak on, dymisjonowani wojacy. Jest to człowiek głupi, a ponadto aferzysta, przyznaję; mówię mu o tym codziennie; poniekąd miał on jednak prawo tak postąpić; podawanie do publicznej wiadomości jest prawem każdego, a więc również Burdowskiego. Za swoje zaś brednie sam niech ponosi

odpowiedzialność. A co się tyczy tego, że przed chwilą w imieniu wszystkich protestowałem przeciwko obecności pańskich przyjaciół, uważam za konieczne wyjaśnić szanownym panom, że protestowałem wyłącznie dlatego, by zaznaczyć nasze prawa, ale że w gruncie rzeczy wszyscy nawet pragniemy mieć świadków, i przedtem, zanim tu weszliśmy, uzgodniliśmy to między sobą, we czterech. Kimkolwiek są pańscy świadkowie, choćby nawet byli pańskimi przyjaciółmi, skoro nie mogą odrzucić praw Burdowskiego (najoczywiściej, matematycznie dowiedzionych), to tym lepiej nawet, że ci świadkowie są pańskimi przyjaciółmi: prawda okaże się jeszcze bardziej oczywista.

- Racja, tak umówiliśmy się - potwierdził siostrzeniec Lebediewa.

- Czemuż więc panowie od razu na wstępie podnieśli taki gwałt i krzyk, jeżeli sami chcieliście tego! - wyraził zdziwienie książę.

- A co do artykułu - wtrącił bokser, który okropnie chciał dorzucić swoje słówko do rozmowy i nader mile się ożywił (można było podejrzewać, że na niego dość mocno działała obecność dam) - co do artykułu, to przyznam się, że istotnie jestem jego autorem, chociaż mój chorowity przyjaciel, któremu zwykłem wiele wybaczyć z powodu tej słabości, tak go przed chwilą skrytykował. Ale artykuł napisałem i wydrukowałem w piśmie mojego serdecznego przyjaciela, i to jako list do redakcji. Tylko wiersze rzeczywiście nie są moje i rzeczywiście wyszły spod pióra znanego humorysty[83]. Przeczytałem tylko Burdowskiemu, jednak nie wszystko, i natychmiast uzyskałem od niego zgodę na opublikowanie, ale przyzna pan, że mogłem wydrukować i bez tej zgody. Prawo publikacji jest prawem powszechnym, szlachetnym i dobroczynnym. Mam nadzieję, że pan jest na tyle postępowy, iż nie będzie temu zaprzeczać...

- Niczemu nie będę zaprzeczał, ale zgodzi się pan, że pański artykuł...

- Jest dość ostry, chce pan powiedzieć? Ale w tym jest zawarty, że tak powiem, pożytek społeczny, przyzna pan chyba; no i wreszcie czy można pominąć milczeniem taką brutalną historię? Tym gorzej dla winowajców, ale dobro ogółu jest na pierwszym planie. Co się zaś tyczy pewnych niedokładności, pewnej, że tak powiem, hiperbolizacji, to musi pan również się zgodzić, że przede wszystkim ważna jest inicjatywa, przede wszystkim - cel i zamiar; ważny jest dobroczynny przykład, a już potem dopiero można analizować poszczególne wypadki, i wreszcie: tu chodzi o styl, że tak powiem, o próbę humorystyki, no i ostatecznie - wszyscy tak piszą, przyzna pan sam! Cha, cha!

- Ależ to jest całkiem zła droga! Zapewniam was, panowie - zawołał książę - wydrukowaliście artykuł w przeświadczeniu, że za nic w świecie nie zgodzę się zaspokoić pretensji pana Burdowskiego, a więc, żeby mnie nastraszyć i zemścić się na mnie chociaż w ten sposób. Ale skąd panowie mogli wiedzieć, czy ja nie zechcę panu Burdowskiemu dać tego, czego on żąda? A więc otwarcie przy wszystkich oświadczam teraz, że zaspokoję jego pretensje...

- Oto nareszcie mądre i szlachetne słowo mądrego i szlachetnego człowieka! - wygłosił patetycznie bokser.

- O Boże! - wyrwało się Lizawiecie Prokofiewnie.

- To przechodzi ludzkie pojęcie! - wyszeptał generał.

- Pozwólcie mi, panowie, pozwólcie mi wyłożyć całą sprawę - błagał ksiązę - pięć tygodni temu zjawił się u mnie w Z. niejaki Czebarow, pański plenipotent i doradca prawny, panie Burdowski. Tego Czebarowa zbyt pochlebnie opisał pan w swoim artykule, panie Keller - zwrócił się nagle ze śmiechem ksiązę do boksera - na mnie zaś on wcale nie zrobił dobrego wrażenia. Od razu jednak zorientowałem się, że ten Czebarow jest główną sprężyną całej akcji i że to on właśnie namówił pana, panie Burdowski, korzystając z pańskiej ograniczoności, do wszczęcia tego wszystkiego, jeżeli już mówić otwarcie.

- Pan nie ma prawa... ja... nie jestem ograniczony... to... - bełkotał wzburzony Burdowski.

- Pan nie ma najmniejszego prawa do takich określeń - wtrącił pouczającym tonem siostrzeniec Lebediewa.

- To w najwyższym stopniu obraźliwe! - zapiszczał Hipolit. - To obraźliwe, niezgodne z prawdą i nie mające nic do rzeczy.

- Przepraszam panów, przepraszam - usprawiedliwiał się pośpiesznie ksiązę - wybaczcie mi, panowie; to dlatego, że pomyślałem sobie, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy byli z sobą zupełnie szczerzy; ale jak chcecie, wasza wola. Czebarowowi powiedziałem, że ponieważ nie przebywam stale w Petersburgu, więc udzielię pełnomocnictwa do prowadzenia sprawy swojemu przyjacielowi, a pana, panie Burdowski, zawiadomię o tym. Powiem panom otwarcie, że ta sprawa wydała mi się oszukaństwem właśnie dlatego, iż wziął w niej udział pan Czebarow... Och, nie obrażajcie się, panowie! Na miłość Boską, nie obrażajcie się! - zawołał z przestachem ksiązę, widząc znowu oznaki gniewnego podniecenia u Burdowskiego i pełen urazy protest jego przyjaciół - jeśli mówię o oszukaństwie, to nie mam na myśli panów osobiście! Przecież żadnego z panów nie znałem wtedy nawet z nazwiska; sądziłem jedynie podług Czebarowa; mówię w ogóle, ponieważ... ach, gdyby panowie wiedzieli, jak strasznie mię oszukiwano od czasu, kiedy otrzymałem spadek!

- Pan jest okropnie naiwny, ksiązę - zauważył szyderczo siostrzeniec Lebediewa.

- W dodatku ksiązę i milioner! Przy pańskim, być może, naprawdę dobrym i niepraktycznym sercu nie zdoła pan jednak oczywiście wyłamać się spod ogólnego prawa - obwieścił Hipolit.

- To możliwe, to bardzo możliwe, proszę panów - zapewniał z pośpiechem ksiązę - chociaż nie bardzo rozumiem, o jakim ogólnym prawie pan mówi; ciągnę jednak dalej, prosząc tylko, abyście, panowie, nie obrażali się na mnie bez powodu; przysięgam, że daleki jestem od chęci obrażenia was. Doprawdy, cóż to ma znaczyć: nie można słowa powiedzieć, żebyście się zaraz nie obrazili! Ale, po pierwsze, bardzo mię zdziwiło, że istnieje „syn Pawliszczewa” i że znajduje się w takim okropnym położeniu, jak mi wyjaśnił Czebarow. Pawliszczew był moim dobroczyńcą i przyjacielem mojego ojca. (Ach, co pan, panie Keller, napisał w swoim artykule taką nieprawdę o moim ojcu? Żadne sprzeniewierzenie skarbowych pieniędzy ani żadne znęcanie się nad podkomendnym nie miało miejsca - mam co do tego pewność niezbitą, więc jak pan mógł wysunąć podobnie oszczerczy zarzut?) A to, co pan napisał o Pawliszczewie, przekracza wszelkie granice: pan tego najszlachetniejszego człowieka nazywa lubieżnym i lekkomyślnym z taką odwagą, tak stanowczo, jakby pan rzeczywiście mówił prawdę, a tymczasem był to jeden z najczystszych na świecie ludzi! Był to również wybitny uczonek; korespondował z wieloma znacznymi i poważanymi ludźmi nauki i

dużo pieniędzy wydał na popieranie badań naukowych. Co zaś się tyczy jego serca, jego dobrych uczynków, to oczywiście tak, słusznie pan napisał, że byłem wtedy prawie idiotą i nic nie rozumiałem (choć po rosyjsku mogłem mówić i rozumieć), ale teraz przecież zdolny jestem ocenić to wszystko, co sobie przypominam...

- Przepraszam - piszczał Hipolit - czy to aby nie zanadto sentymentalne, co pan mówi? Nie jesteśmy dziećmi. Chciał pan przecież od razu przejść do naszej sprawy, jest już dziesiąta, niech pan łaskawie nie zapomina.

- I owszem, i owszem, proszę panów - natychmiast zgodził się książę - z początku nie dowierzałem, ale potem doszedłem do wniosku, że mogę się mylić i że Pawliszczew istotnie mógł mieć syna. Ale uderzyło mię, że ten syn z taką łatwością, a raczej, chciałem powiedzieć, tak publicznie zdradza tajemnicę swojego pochodzenia i, co najważniejsze, zniesławia swoją matkę; ponieważ Czebarow już wtedy groził mi opublikowaniem całej historii...

- Co za bzdura! - krzyknął siostrzeniec Lebediewa.

- Pan nie ma prawa... nie ma prawa! - wrzasnął Burdowski.

- Syn nie odpowiada za rozpustę ojca, a matka nie jest winna - zapiszczał z uniesieniem Hipolit.

- Więc tym bardziej, zdaje się, należałoby oszczędzać... - powiedział nieśmiało książę.

- Pan jest nie tylko naiwny, ale może coś więcej jeszcze - uśmiechnął się złośliwie siostrzeniec Lebediewa.

- I jakie pan miał prawo!... - pisnął znowu nienaturalnym głosem Hipolit.

- Żadnego, żadnego! - przerwał pośpiesznie książę. - W tym punkcie ma pan rację, przyznaję, ale zrobiłem to mimo woli i natychmiast powiedziałem sobie wówczas, że moje osobiste uczucia nie powinny mieć wpływu na sprawę, gdyż jeśli sam uważam za swój obowiązek zaspokojenie żądań pana Burdowskiego, powinienem je zaspokoić w każdym wypadku, niezależnie od tego, czy szanuję, czy też nie szanuję pana Burdowskiego. I dlatego tylko, proszę panów, zacząłem od tej kwestii, że jednak wydało mi się nienaturalne, iż syn tak jawnie ukazuje tajemnicę swojej matki... Krótko mówiąc, głównie na tym się oparłem, kiedy nabrałem przekonania, że Czebarow musi być kanalią i sam podstępnie namówił pana Burdowskiego do tej całej afery.

- To już naprawdę nie do zniesienia! - zaprotestowali gwałtownie goście, a niektórzy z nich nawet powstawali z krzesel.

- Proszę panów! Dlatego właśnie doszedłem do wniosku, że pan Burdowski musi być człowiekiem prostodusznym, bezbronnym, człowiekiem, który łatwo ulega różnym naciągaczom, a więc tym bardziej powinienem mu pomóc jako „synowi Pawliszczewa” - po pierwsze, działając przeciwko panu Czebarowowi, po drugie, swoją czynnością i przyjaźnią, żeby nim pokierować, a po trzecie, wypłacając mu dziesięć tysięcy rubli, czyli tyle, ile według moich obliczeń mógł pan Pawliszczew wydać na mnie gotówką...

- Co? Tylko dziesięć tysięcy! - zawołał Hipolit.

- No, książę nie jest zbyt mocny w arytmetyce albo też jest w niej mocny i tylko udaje prostaczka! - wykrzyknął jednym tchem siostrzeniec Lebediewa.

- Ja na dziesięć tysięcy się nie zgadzam - oświadczył Burdowski.

- Antyp, zgódź się! - pośpiesznym, ale wyraźnym szeptem podpowiedział bokser, przechylając się przez oparcie krzesła, na którym siedział Hipolit. - Zgódź się, a później zobaczymy!

- Niech pan posłucha, panie Myszkini - piszczał Hipolit - niech pan zrozumie, że nie jesteśmy durniami, zwykłymi durniami, jak zapewne myślą o nas wszyscy pańscy goście i te damy, które z takim oburzeniem patrzą na nas i uśmiechają się, a szczególnie ten wielki pan (wskazał Eugeniusza Pawłowicza), którego oczywiście nie mam honoru znać, o którym jednak coś niecoś, zdaje się, słyszałem...

- Przepraszam panów, bardzo przepraszam, ale panowie znów mię nie zrozumieli! - zwrócił się do nich wzburzony książę. - Po pierwsze, pan, panie Keller, w swoim artykule niedokładnie określił mój majątek: żadnych milionów nie otrzymałem, posiadam zaledwie ósmą albo dziesiątą część tego, co przypuszczacie; po drugie żadnych dziesiątków tysięcy na mnie w Szwajcarii nie wydano, Schneider dostawał sześćset rubli rocznie i to tylko przez trzy lata; Pawliszczew nigdy nie jeździł do Paryża po żadne przystojne guwernantki, to znowu potwarz. Według mego zdania, zostało wydane na mnie o wiele mniej niż dziesięć tysięcy, ale ustaliłem, że wypłacę właśnie tyle, i przyznajcie, panowie, sami, iż oddając dziesięć tysięcy tytułem długu, w żaden sposób nie mogłem panu Burdowskiemu proponować więcej, nawet gdybym go strasznie lubił; nie mogłem też z uwagi na prostą delikatność i właśnie dlatego, że spłacałem dług, posłać mu tej sumy jako jałmużny. Nie wiem, proszę panów, jak można tego nie rozumieć! Ale wszystko to chciałem później zrekompensować swoją przyjaźnią, swoim udziałem w losach nieszczęśliwego pana Burdowskiego, który niewątpliwie padł ofiarą czyichś machinacji, bo przecież sam, nie będąc przez nikogo wprowadzony w błąd, nie mógłby się zgodzić na taką podłość, jak na przykład dzisiejsza publikacja o jego matce w artykule pana Kellera... Czemuż jednak panowie znów się unoszą? W końcu przestaniemy się w ogóle rozumieć! A przecież wyszło na moje! Zobaczyłem teraz na własne oczy, że mój domysł był trafny - z przekonaniem mówił rozgorączkowany książę, pragnąc uciszyć wzburzenie i nie dostrzegając, że tylko je potęgował.

- Co? Co pan zobaczył? - nacierali na niego prawie z furją.

- Ależ zlitujcie się, panowie; po pierwsze, zdążyłem sam doskonale przyjrzeć się panu Burdowskiemu i widzę teraz, co to za człowiek... To człowiek niewinny, którego jednak wszyscy oszukują! Człowiek bezbronny... i dlatego muszę mu okazywać daleko idące względy! Po drugie, Gawriła Ardalionowicz - który wziął sprawę w swoje ręce i od którego dawno nie miałem wiadomości, był bowiem w drodze, a później trzy dni chorował w Petersburgu - nagle teraz, najwyżej godzinę temu, przy pierwszym naszym spotkaniu komunikuje mi, że rozgryzł wszystkie zamiary Czebarowa i posiada dowody, iż Czebarow jest właśnie taki, jak przypuszczałem. Wiem przecież, proszę panów, że wielu uważa mnie za idiotę, więc Czebarow, słysząc o tym, z jaką łatwością płacę różne długi, pomyślał, że nietrudno mię będzie oszukać ze względu na moje uczucia

do Pawliszczewa. Ale najważniejsze - słuchajcież, panowie, słuchajcie! - najważniejsze, że teraz nagle okazuje się, iż pan Burdowski wcale nie jest synem Pawliszczewa! Właśnie Gawriła Ardalionowicz poinformował mnie o tym i zapewnia, iż otrzymał niezbite dowody. No i cóż panowie na to, przecież po prostu nie można w to uwierzyć po tym wszystkim, co już zdążyliście nawyprawiać! I słuchajcie tylko: są niezbite dowody! Ja sam jeszcze nie wierzę, sam nie wierzę, zapewniam panów; jeszcze powątpiewam, gdyż Gawriła Ardalionowicz nie zdążył mi podać wszystkich szczegółów, ale że Czebarow jest kanalią, to już nie ulega żadnej wątpliwości! On was wszystkich, razem z nieszczęśliwym panem Burdowskim, wszystkich was oszukał, panowie, którzy przysłuchacie w szlachetnej intencji udzielenia wsparcia swojemu przyjacielowi (istotnie potrzebującemu wsparcia, ja to aż nadto dobrze rozumiem!), oszukał was i wplątał w szalbierczą aferę, bo to wszystko jest przecież jedno wielkie szachrajstwo i szalbierstwo!

- Jak to szalbierstwo!... Jak to nie „syn Pawliszczewa”?... Jak to tak można!... - rozległy się wołania. Cała paczka Burdowskiego była niesłuchanie podniecona.

- Tak, oczywiście szalbierstwo! Przecież jeżeli teraz okaże się, że pan Burdowski nie jest „synem Pawliszczewa”, to wszelkie pretensje pana Burdowskiego trzeba będzie zakwalifikować jako wyraźne i zdecydowane szalbierstwo (wówczas naturalnie, gdyby znał prawdę!); ale w tym rzecz właśnie, że go oszukano, więc nalegam na to, żeby go usprawiedliwić; więc mówię, że jest godzien współczucia ze względu na swoją nieświadomość i że trzeba mu pomóc; w przeciwnym bowiem razie i on wyszedłby z tej sprawy jako szalbierz. A jestem przekonany, że on nic nie rozumie! I ja też byłem w takim położeniu przed wyjazdem do Szwajcarii, też bełkotałem słowa bez sensu - nigdy nie mogłem wypowiedzieć tego, co chciałem... Rozumiem to dobrze; mogę istotnie współczuć, ponieważ sam jestem prawie taki sam; wolno mi to mówić! A jednak po tym wszystkim - mimo że nie ma już teraz „syna Pawliszczewa” i że wszystko to okazało się mistyfikacją - nie zmieniam swojego postanowienia i gotów jestem zwrócić dziesięć tysięcy ze względu na pamięć o moim dobroczyńcy. Przecież chciałem jeszcze przedtem, zanim zgłosił się pan Burdowski, ofiarować te dziesięć tysięcy na szkołę, żeby uczcić pamięć mojego dobroczyńcy, ale teraz to będzie wszystko jedno, czy na szkołę, czy panu Burdowskiemu, ponieważ pan Burdowski, jeśli nawet nie jest „synem Pawliszczewa”, to jednak prawie jakby nim był; przecież jego samego tak złośliwie oszukano, przecież on sam siebie szczerze uważał za syna Pawliszczewa! Niechże panowie zechcą wysłuchać Gawriłę Ardalionowicza; skończmy to; proszę się nie gniewać i nie denerwować, proszę siadać! Gawriła Ardalionowicz zaraz nam to wszystko objaśni, a muszę wyznać, że i sam bardzo pragnę dowiedzieć się wszystkich szczegółów. Mówi, że jeździł nawet do Pskowa do pańskiej matki, panie Burdowski, która wcale nie umarła, jak to panu kazano napisać w artykule... Siadajcie, panowie, siadajcie!

Księżę usiadł i znowu zdołał usadowić wszystkich przyjaciół pana Burdowskiego, którzy pozrywali się przedtem ze swoich miejsc. W ciągu ostatnich dziesięciu czy dwudziestu minut mówił w podnieceniu, głośno, niecierpliwie i pośpiesznie, z wielkim przejęciem, starając się wszystkich przekrzyczeć, przegadać, i oczywiście potem musiał gorzko żałować niektórych słów i domysłów, które mu się wyrwały. Gdyby go nie sprowokowano i nie wyprowadzono z cierpliwości - nie pozwoliłby sobie na tak otwarte i pochopne wypowiedzianie na głos pewnych swoich domysłów i nadmierne wynurzenia. Ledwo jednak usiadł, pałaca skrucha boleśnie przeszła jego serce. Nie mówiąc już o tym, że „obraził” Burdowskiego, podejrzewając go publicznie o tę samą chorobę, z

której się leczył w Szwajcarii - ofiarowanie mu dziesięciu tysięcy, zamiast na szkołę, uczynione było jego zdaniem ordynarnie i nieostrożnie, wyglądało właśnie na jałmużnę, zwłaszcza dlatego że zostało wypowiedziane głośno i przy ludziach. „Należało poczekać i zaproponować jutro w cztery oczy - pomyślał sobie od razu książę - a teraz trudno to już będzie naprawić! Tak, jestem idiotą, prawdziwym idiotą!” - zdecydował w duchu w przystępie wstydu i niezwykłego zmartwienia.

Tymczasem Gawriła Ardalionowicz, który dotychczas trzymał się z boku i uparczywie milczał, wystąpił na zaproszenie księcia naprzód, stanął przy nim i zaczął spokojnie i dobitnie zdawać sprawę z poruczonej mu przez księcia misji. Wszystkie rozmowy od razu umilkły. Wszyscy słuchali z nadzwyczajnym zaciekawieniem, zwłaszcza cała paczka Burdowskiego.

IX

- Nie będzie pan oczywiście przeczyć - zaczął Gawriła Ardalionowicz zwracając się wprost do słuchającego z zapartym tchem Burdowskiego, który ze zdziwienia wytrzeszczył na niego oczy i najwidoczniej czuł się bardzo nieswojo - nie będzie pan, i nawet z pewnością nie zechce, na serio przeczyć, że urodził się pan dokładnie w dwa lata po zawarciu legalnego związku małżeńskiego przez pańskich rodziców, czyli przez szanowną matkę pańską i sekretarza kolegiального pana Burdowskiego, ojca pańskiego. Datę urodzenia pana aż nadto łatwo można udowodnić na podstawie dokumentów, toteż zbyt obraźliwe dla pana i dla pańskiej matki przekręcenie tego faktu w artykule pana Kellera można wytłumaczyć tylko nadmiernie wybujałą fantazją autora, chcącego wzmocnić tym oczywistość pańskiego prawa i w ten sposób dopomóc pańskim interesom. Pan Keller mówi, że uprzednio czytał panu swój artykuł, chociaż niecały... i niewątpliwie nie doczytał panu do tego miejsca...

- Rzeczywiście nie doczytałem - przerwał bokser - ale wszystkie fakty zostały mi podane przez osobę kompetentną i ja...

- Wybacz pan, panie Keller - powstrzymał go Gawriła Ardalionowicz - niech mi pan pozwoli mówić. Zapewniam pana, że przyjdzie kolej i na pański artykuł, wtedy złożę pan swoje wyjaśnienia, a teraz trzymajmy się lepiej porządku rzeczy. Całkiem przypadkowo, przy pomocy siostry mojej, Warwary Ardalionowny Pticyn, dostałem od jej dobrej przyjaciółki, Wierzy Aleksiejewny Zubkow, wdowy i obywatelki ziemskiej, jeden list nieboszczyka Mikołaja Andriejewicza Pawliszczewa, pisany do niej dwadzieścia cztery lata temu z zagranicy. Zbliżywszy się z Wierą Aleksiejewną, uzyskałem od niej pewne wskazówki, zgodnie z którymi napisałem do dymisjonowanego pułkownika Timofieja Fiodorowicza Wiazowkina, dalekiego krewnego i wielkiego w swoim czasie przyjaciela pana Pawliszczewa. Od niego udało mi się uzyskać jeszcze dwa listy Mikołaja Andriejewicza, również pisane z zagranicy. Na podstawie tych trzech listów, dzięki zawartym w nich datom i faktom, można matematycznie dowieść bez możliwości jakiegokolwiek zaprzeczenia i bez najmniejszej wątpliwości, że Mikołaj Andriejewicz wyjechał wtedy za granicę (gdzie spędził bez przerwy trzy lata), dokładnie na półtora roku przed pańskim przyjściem na świat, panie Burdowski. Pańska matka, jak panu wiadomo, nigdy nie wyjeżdżała z Rosji... W obecnej chwili nie będę czytał tych listów. Teraz już za późno na to; w każdym razie podaję do wiadomości fakt ich istnienia. Jeśli jednak pan sobie życzy, panie Burdowski, spotkać się ze mną, choćby nawet jutro rano u mnie w mieszkaniu, i przyprowadzić swoich świadków (w jakiej pan chce liczbie) oraz biegłych do sprawdzenia charakteru pisma, to nie wątpię, iż nie będzie pan mógł nie przekonać się o prawdziwości przytoczonego tu przeze mnie faktu. Jeśli zaś tak, to oczywiście cała sprawa upada i sama przez się wygasa. Znowu nastąpił ogólny rwetes i rozległ się szmer oburzenia. Sam Burdowski nagle wstał z krzesła.

- Jeśli tak, to zostałem oszukany, oszukany, ale nie przez Czebarowa, tylko już dawno, bardzo dawno; nie chcę biegłych, nie chcę sprawdzania, wierzę, zrzekam się... nie przyjmę dziesięciu tysięcy... żegnam państwa...

Wziął czapkę i odsunął krzesło, żeby wyjść.

- Jeżeli pan może, panie Burdowski - spokojnie i łagodnie powstrzymał go Gawriła Ardalionowicz - to niech pan zostanie chociaż pięć minut. W związku z tą sprawą wyszło na jaw jeszcze kilka nadzwyczaj ważnych aktów, ważnych zwłaszcza dla pana, a co najmniej bardzo ciekawych. Moim zdaniem, powinien się pan zapoznać z tymi faktami; może panu będzie przyjemniej, kiedy sprawa wyjaśni się zupełnie...

Burdowski usiadł w milczeniu, spuścił głowę i jakby zamyślił się głęboko. Zaraz po nim usiadł siostrzeniec Lebediewa, który też wstał przedtem, żeby wyjść; nie stracił wprawdzie głowy ani śmiałości, ale był wyraźnie zaskoczony. Hipolit zaś nachmurzył się, zasmucił i jakby bardzo zdziwił. W tej chwili zresztą tak silnie zakaszał, że powalał sobie chustkę krwią. Bokser był nieomal w strachu.

- Ech, Antyp! - krzyknął z goryczą. - Przecież mówiłem ci wtedy... trzy dni temu, że może naprawdę nie jesteś synem Pawliszczewa!

Rozległ się tłumiony śmiech, dwie czy trzy osoby roześmiały się głośniejsz od innych.

- Fakt wspomniany dopiero co przez pana, panie Keller - podchwycił Gawriła Ardalionowicz - jest niezwykle cenny. Niemniej jednak mam zupełne prawo na zasadzie najdokładniejszych danych twierdzić, że chociaż pan Burdowski oczywiście bardzo dobrze znał datę swojego urodzenia, nie miał wszakże pojęcia o przebywaniu pana Pawliszczewa za granicą, gdzie pan Pawliszczew spędził większą część swojego życia, przyjeżdżając do Rosji zawsze na krótko. Ponadto sam fakt ówczesnego odjazdu jest sam przez się zbyt mało ważny, żeby o nim pamiętali po dwudziestu z górą latami nawet ci, co byli dobrymi znajomymi Pawliszczewa, nie mówiąc już o panu Burdowskim, który jeszcze się wtedy nie urodził. Oczywiście nie było rzeczą niemożliwą sprawdzić teraz te wszystkie okoliczności; ale muszę wyznać, że dane, które uzyskałem, wpadły mi w ręce zupełnie przypadkowo i bardzo łatwo mogłem ich nie dostać dla pana Burdowskiego więc, a nawet dla Czebarowa, zdobyć te informacje było prawie niepodobieństwem, choćby zechcieli się o nie starać. Ale przecież mogło im to nie przyjść do głowy...

- Za pozwoleniem, panie Iwołgin - przerwał mu nagle podrażnionym tonem Hipolit - po co ten cały galimatias? (Wybaczy pan?) Sprawa się teraz wyjaśniła, główny fakt zgadzamy się uznać za prawdziwy, po cóż więc ciągnąć dalej tę przykrą i obraźliwą gadaninę! Może się pan chce pochwalić zręcznością swoich dochodzeń, pokazać księciu i nam, jaki to z pana dobry sędzia śledczy, detektyw? A może ma pan zamiar przeprowadzić uniewinnienie i usprawiedliwienie pana Burdowskiego, udowadniając, że wplątał się w tę sprawę tylko przez nieświadomość? Ależ to zuchwalstwo, łaskawy panie! Burdowski nie potrzebuje pańskich uniewinnień i usprawiedliwień, chyba pan zdaje sobie z tego sprawę! I tak mu jest przykro, i tak mu jest ciężko, znajduje się w bardzo kłopotliwej sytuacji, pan powinien był o tym pomyśleć, zrozumieć to...

- Dostyc, panie Tierientiew, dostyc - udało się przerwać ten potok słów Gawriła Ardalionowiczowi - niech pan się uspokoi, niech pan się nie rozdrażnia, pan jest, zdaje się, niezdrów? Bardzo panu współczuję. W takim razie, jeśli pan chce, nie będę więcej mówił, a raczej będę musiał tylko pokrótce zakomunikować panom o tych faktach, które jednak, moim zdaniem, dobrze by było poznać w całej rozciągłości - dodał zauważywszy ogólne poruszenie, jakby niecierpliwość zebranych. - Chcę tylko stwierdzić, opierając się na odpowiednich dowodach, i

podać do wiadomości wszystkich zainteresowanych, że pańska matka, panie Burdowski, tylko dlatego korzystała z życzliwości i opieki Pawliszczewa, że była rodzoną siostrą owej dziewczyny dworskiej, którą Pawliszczew we wczesnej młodości tak bardzo kochał, że na pewno by się z nią ożenił, gdyby nagle nie umarła. Mam dowody, że ten fakt rodzinny, całkiem pewny i wiarogodny, jest mało znany, a nawet poszedł w zapomnienie. Mógłbym dalej wyjaśnić, jak pańska matka, będąc jeszcze dziesięcioletnim dzieckiem, została wzięta na wychowanie zamiast krewnej, że pan Pawliszczew przeznaczył jej dość duży posag i że wszystkie te starania wywołały ogromny popłoch w licznej rodzinie pana Pawliszczewa; przypuszczano nawet, że się ożeni ze swoją wychowanicą, ale skończyło się na tym, że wyszła ona za mąż z miłości (i to również mógłbym jak najściślej udowodnić) za pomocnika geometry, pana Burdowskiego, w dwudziestym roku swego życia. Zebrałem też garść dokładnych danych celem udowodnienia, jak ojciec pański, pan Burdowski, człowiek nie znający się zupełnie na interesach, otrzymawszy w posagu piętnaście tysięcy rubli, rzucił posadę, wdał się w operacje handlowe, został oszukany, stracił majątek, nie mógł znieść tej katastrofy, zaczął pić, wskutek tego zachorował i w końcu przedwcześnie umarł, w ósmym roku małżeństwa z pańską matką. Potem, zgodnie z osobistym zeznaniem pańskiej matki, znalazła się ona w nędzy i zginęłaby z kretesem, gdyby nie ciągnęła i wielkoduszna pomoc pana Pawliszczewa, który jej wypłacał rocznie sześćset rubli zapomogi. Jest poza tym całe mnóstwo dowodów, że pana, jako dziecko jeszcze, bardzo pokochał. Z dowodów tych, potwierdzonych również przez pańską matkę, wynika, że pokochał pana głównie dlatego, iż pan w dzieciństwie wyglądał na kalekę, na słabe, nieszczęśliwe dziecko, które nawet nie mówiło, tylko się jękało (a Pawliszczew, jak to wiem z najpewniejszych źródeł, miał przez całe życie jakąś szczególną serdeczną słabość do wszystkiego, co jest poniżone i skrzywdzone przez naturę, zwłaszcza do dzieci - fakt, w moim przekonaniu, niezwykle ważny dla całej naszej sprawy). Na koniec mogę się pochwalić wynikami szczegółowych dochodzeń co do głównego faktu, jak owo nadzwyczajne przywiązanie, którym pana darzył Pawliszczew (za jego staraniem wstąpił pan do gimnazjum i kształcił się pod specjalnym nadzorem), jak owo przywiązanie naprowadziło powoli domowników i krewnych Pawliszczewa na myśl, że pan jest jego synem i że pański ojciec był tylko zdradzonym mężem. Ale najważniejsze, że myśl ta zamieniła się w niezłomne i powszechne przekonanie dopiero w ostatnich latach życia Pawliszczewa, kiedy wszyscy bali się o testament i kiedy pierwotne fakty uległy zapomnieniu, a zebranie wiadomości było niemożliwe. Bez wątplenia myśl ta doszła i do pana, panie Burdowski, i zawładnęła pańską wyobraźnią. Matka pana, którą miałem zaszczyt poznać osobiście, aczkolwiek znała wszystkie te pogłoski, dotąd jednak nie wie (ja również ukryłem to przed nią), że i pan, jej syn, dał wiarę tym pogłoskom. Czcigodną matkę pańską, panie Burdowski, zastałem w Pskowie chorą, w skrajnym niedostatku, w którym się znalazła po śmierci Pawliszczewa. Ze łzami wdzięczności oświadczyła mi, że żyje tylko dzięki panu i pańskiej pomocy; wiele spodziewa się po panu w przyszłości i gorąco wierzy w przyszłe pańskie sukcesy...

- To doprawdy nie do zniesienia! - powiedział nagle głośno i niecierpliwie siostrzeniec Lebidiewa. - Po co ta cała opowieść?

- Obrzydliwe, nieprzyzwoite! - poruszył się gwałtownie Hipolit. Ale Burdowski nic nie zauważył i w dalszym ciągu siedział nieruchomo.

- Po co? Na co? - zdziwił się chytrze Gawriła Ardalionowicz, gotując się do zjadliwego finału swojego przemówienia. - Po pierwsze, pan Burdowski może się wreszcie przekona, że pan

Pawliszczew kochał go tylko z dobroci serca, a nie jak syna. Już choćby tylko ten jeden fakt należało wytłumaczyć panu Burdowskiemu, który nie tak dawno przeczytał i zaaprobował artykuł pana Kellera. Mówię to dlatego, że w moim przekonaniu jest pan człowiekiem szlachetnym, panie Burdowski. Po drugie, okazuje się, że nie było tu żadnego złodziejstwa czy oszustwa, nawet ze strony Czebarowa; jest to bardzo ważny szczegół nawet dla mnie, gdyż księżę poprzednio, uniósłszy się, wspominał, jakobym i ja się dopatrywał w tej nieszczęsnej sprawie złodziejstwa i oszustwa. Tymczasem było wprost przeciwnie: wszyscy mieli przekonanie, że działają w imię słuszności i sprawiedliwości, i chociaż Czebarow jest może naprawdę wielkim oszustem, jednak w danej sprawie występował jedynie jako matacz, pokątny doradca i kombinator; spodziewał się, że zarobi dużo pieniędzy jako adwokat, i obliczenia jego były nie tylko subtelne i mistrzowskie, ale także najzupełniej pewne: opierał je na tej łatwości, z jaką księżę daje pieniądze, i na uczuciu wdzięczności i szacunku, jakie żywi dla nieboszczyka pana Pawliszczewa; opierał je wreszcie (co jest najważniejsze) na znanych rycerskich poglądach księcia co do obowiązków honoru i sumienia. Co się zaś tyczy samego pana Burdowskiego, można nawet powiedzieć, że wskutek pewnych swoich poglądów tak dalece uległ wpływom Czebarowa i swoich najbliższych kolegów, że wszczął akcję bynajmniej nie z chęci zysku, ale nieomal jakby służąc prawdzie, postępowi i ludzkości. Teraz, po przytoczonych faktach, wszyscy zapewne widzą najwyraźniej, że pan Burdowski jest człowiekiem mimo wszelkich pozorów czystym, a księżę teraz pręcej i chętniej niż przedtem może mu zaofiarować i swoje przyjacielskie współdziałanie, i tę czynną pomoc, o której niedawno wspominał, mówiąc o szkołach i o Pawliszczewie.

- Dość, Gawriło Ardalionowiczu, dość! - krzyknął księżę prawdziwie przerażony, ale było już za późno.

- Powiedziałem, już trzy razy powiedziałem - zawołał rozdrażniony Burdowski - że nie chcę pieniędzy. Nie przyjmę... po co... nie chcę... odrzucam!...

I o mało nie wybiegł z tarasu. Ale siostrzeniec Lebediewa złapał go za rękę i coś mu szepnął do ucha. Więc wrócił szybko, wyjął z kieszeni nie zapieczętowaną kopertę dużego formatu i rzucił ją na stół stojący obok księcia.

- Proszę pieniądze!... Panu nie wolno było... nie wolno! Pieniądze!...

- Dwieście pięćdziesiąt rubli, które pan się ośmielił przysłać mu jako jałmużnę przez Czebarowa - wyjaśnił Doktorenko.

- W artykule jest mowa o pięćdziesięciu - zawołał Kola.

- Moja wina! - powiedział księżę podchodząc do Burdowskiego. - Moja wielka wina, panie Burdowski; niech mi pan jednak wierzy, że nie posłałem panu tych pieniędzy w formie jałmużny. I teraz znów zawiniłem wobec pana... przed chwilą zawiniłem.. (Księżę był mocno zdenerwowany, osłabiony, wyglądał na zmęczonego, mówił bardzo niewyraźnie.) Powiedziałem o szalbierstwie... ale to nie dotyczyło pana, po prostu omyliłem się. Powiedziałem, że pan jest... tak samo jak ja chory... Ale między panem a mną zachodzi duża różnica... pan daje korepetycje, pan pomaga matce. Powiedziałem, że pan zniesławił swoją matkę, ale pan ją kocha; matka pana sama to mówi... nie wiedziałem... Gawriła Ardalionowicz przedtem nie zdążył mi o tym poinformować... moja wina.

Ośmieliłem się zaproponować panu dziesięć tysięcy, ale... znów moja wina... powinienem był zrobić to nie tak, a teraz... nie mogę, gdyż pan mną pogardza...

- Ależ to dom wariatów! - zawołała Lizawieta Prokofiewna.

- Rzeczywiście dom wariatów! - nie wytrzymała i ostro powiedziała Agłaja.

Ale słowa jej zginęły w ogólnym hałasie; wszyscy już głośno mówili, głośno rozważali; jedni się kłócili, drudzy się śmiali. Iwan Fiodorowicz Jepanczyn był w najwyższym stopniu oburzony i z miną obrażonej godności czekał na Lizawietę Prokofiewnę. Siostrzeniec Lebediewa wtrącił ostatnie słówko:

- Tak, książę, trzeba panu oddać sprawiedliwość, że pan umie wykorzystać swoją... no, powiedzmy, chorobę (żeby się wyrazić przyzwoicie); pan tak zręcznie umiał zaofiarować swoją przyjaźń i pieniądze, że po tym wszystkim człowiek porządny nie może ich przyjąć pod żadnym pozorem. To jest albo zanadto niewinne, albo zanadto sprytne... Pan sam chyba wie najlepiej.

- Przepraszam panów! - krzyknął Gawriła Ardalionowicz, który tymczasem otworzył kopertę z pieniędzmi - tu jest tylko sto rubli, a nie dwieście pięćdziesiąt! Ujawniam to, żeby później nie było jakichś nieporozumień.

- Niech pan da spokój, niech pan da spokój - machnął książę ręką w odpowiedzi na wystąpienie Gawriły Ardalionowicza.

- Nie zgadzamy się na żaden „spokój”! - zaprotestował od razu siostrzeniec Lebediewa. - Obraża nas to pańskie „niech pan da spokój”. My się nie kryjemy, my otwarcie oświadczamy: tak, tu jest tylko sto rubli, a nie dwieście pięćdziesiąt, ale czyż to nie na jedno wychodzi...

- Nie, nie na jedno - zdążył wtrącić Gawriła Ardalionowicz z wyrazem naiwnego zdziwienia na twarzy.

- Proszę mi łaskawie nie przerywać; nie jesteśmy tacy głupi, jak pan sądzi, panie adwokacie - zawołał z gniewem i urazą siostrzeniec Lebediewa - ma pan rację, sto rubli to nie dwieście pięćdziesiąt i na jedno nie wychodzi, ale ważna jest zasada; tu decyduje inicjatywa, a że brak jest stu pięćdziesięciu rubli, to tylko szczegół. Ważne jest to, że Burdowski nie przyjmuje pańskiej jałmużny, proszę jaśnie oświeconego księcia, że on rzuca ją panu w twarz, a w tym wypadku na jedno wychodzi, czy w kopercie jest sto rubli, czy też dwieście pięćdziesiąt. Pan widział, że Burdowski nie przyjął dziesięciu tysięcy; więc nie przyniósłby i tych stu rubli, gdyby był szubrawcem! Te sto pięćdziesiąt rubli poszły na pokrycie kosztów podróży Czebarowa do księcia. Może się pan śmiać z naszej nieporadności, z naszej nieudolności w załatwianiu interesów, pan i tak zrobił wszystko, co pan mógł, żeby nas ośmieszyć; ale nie wolno panu mówić, że jesteśmy niegodziwi. Te sto pięćdziesiąt rubli, łaskawy panie, wszyscy pospołu oddamy księciu Myszkiniowi; będziemy zwracali bodaj po rublu i zwrócimy z procentami. Burdowski jest biedny. Burdowski nie ma milionów, a Czebarow po odbytej podróży wystawił rachunek. Mieliśmy nadzieję wygrać sprawę... Któż by na jego miejscu postąpił inaczej ?

- Jak to kto? - zawołał ksiązę Sz.

- Zwariuję! - krzyknęła Lizawieta Prokofiewna.

- Przypomina mi to - roześmiał się Eugeniusz Pawłowicz, który długo stał z boku i obserwował wszystko w milczeniu - mowę pewnego znakomitego adwokata, który broniąc niedawno pewnego swojego klienta, oskarżonego o zamordowanie sześciu osób naraz w celach rabunkowych, doszedł nagle do takiej konkluzji: „Jest to rzecz naturalna - mówił - że mojemu klientowi z biedy przyszło na myśl, by zamordować tych sześciu ludzi; ale komuż na jego miejscu nie przyszłoby to na myśl?” I tu słyszymy coś w tym rodzaju, tylko coś bardziej zabawnego.

- Dosyc! - odezwała się nagle Lizawieta Prokofiewna, niemal trzęsąc się z gniewu. - Czas przerwać te brednie!...

Była okropnie wzburzona; groźnie podniosła głowę i z dumnym, płomiennym i niecierpliwym wyzwaniem spojrzała po obecnych, nie rozróżniając zapewne w tej chwili wrogów od przyjaciół. Był to niejako punkt szczytowy gniewu, długo hamowanego i znajdującego sobie w końcu ujście, kiedy głównym celem staje się niezwłoczna walka, kiedy człowiek musi czym prędzej, natychmiast rzucić się na kogoś. Ci, co znali bliżej Lizawietę Prokofiewną, od razu wyczuli, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Iwan Fiodorowicz mówił nazajutrz do księcia Sz., że „zdarzają się jej takie rzeczy, ale w tym stopniu co wczoraj nawet jej się rzadko to przytrafia, raz na trzy lata najwyżej, w żadnym wypadku nie częściej! W żadnym wypadku!” - dodał tonem wyjaśnienia.

- Dosyc. Iwanie Fiodorowiczu! Daj mi spokój! - wołała Lizawieta Prokofiewna. - Na co mi teraz podajesz rękę? Nie umiałeś się zawczasu stąd wyprowadzić, jesteś mężem, głową rodziny; powinieneś być mnie, głupią, wyciągnąć za uszy, gdybym cię nie usłuchała i nie wyszła. Mógłbyś postarać się o to chociażby ze względu na córki! A teraz znajdziemy drogę bez ciebie, wystarczy nam wstydu na cały rok... Chwileczkę, chciałabym jeszcze podziękować księciu!... Dziękuję ci, ksiązę, za gościnność! A ja sobie zasiadłam posłuchać, co mówi młodzieź... To niegodziwość, niegodziwość! To chaos, to bezceństwo, to się nawet nie może nikomu przyśnić! Czy wielu jest takich?... Cicho bądź, Agłaja! Cicho, Aleksandra! To nie wasza rzecz!... Eugeniuszu Pawłowiczu, nie kręć się tak koło mnie, bo już mi to obrzydło!... Więc ty, mój drogi, ich jeszcze prosisz o przebaczenie - podchwyciła zwracając się znów do księcia - „moja wina, powiadasz, że ośmieliłem się zaproponować wam pieniądze”... a ty czego się śmiejesz, fanfaronie! - rzuciła się znienacka na siostrzeńca Lebediewa - „my, powiadasz, rezygnujemy z pieniędzy, my żądamy, a nie prosimy”! A niby to nie wie, że ten idiota zaraz jutro powlecze się do nich i będzie im znów proponował przyjaźń i pieniądze! Przecie pójdziesz! Pójdziesz czy nie?

- Pójdę - odrzekł ksiązę cichym i pokornym głosem.

- Słyszeliście! Więc ty właśnie na to liczysz - zwróciła się znów do Doktoreni - pieniądze teraz masz tak jak w kieszeni, więc fanfaronujesz, żeby nam w głowie zakręcić... Nie, braciszku, znajdź sobie innych głupców, ja was widzę na wylot... przenikam całą waszą grę!

- Lizawieto Prokofiewno! - zawołał ksiązę.

- Chodźmy stąd, Lizawieto Prokofiewno, jest bardzo późno, a i księcia zabierzemy z sobą - odezwał się książę Sz., z uśmiechem i jak można najspokojniej.

Panny stały z boku, bardzo wylęknione; generał był po prostu w strachu; wszyscy w ogóle byli zdziwieni. Niektórzy, stojący opodal, uśmiechali się ukradkiem i rozmawiali z sobą szeptem; twarz Lebidiewa wyrażała najwyższy stopień zachwyty.

- Bezceństwo i chaos trafiają się, proszę pani, wszędzie - powiedział znacząco siostrzeniec Lebidiewa, bardzo zresztą zakłopotany.

- Ale nie takie! Nie takie, proszę pana, jak to obecne wasze! - podchwyciła Lizawieta Prokofiewna ze złośliwą uciechą i jakby nieco histerycznie. - Dajcież wy mi spokój?! - krzyknęła do tych, którzy ją chcieli umitygować. - Nie, jeśli już sam Eugeniusz Pawłowicz powiada teraz, że nawet obrońca w sądzie tłumaczył, że jest rzeczą naturalną wymordować sześć osób z powodu nędzy, to już chyba koniec świata się zbliża, o czymś podobnym jeszcze nie słyszałam. Teraz już wszystko rozumiem! A czy ten jakalski nie zamorduje (wskazała Burdowskiego, który przyglądał się jej z niezwykłym zdumieniem)? Ależ gotowa jestem założyć się, że zamorduje! Twoich dziesięciu tysięcy może nie wziąć i nie weźmie dlatego nawet, że mu sumienie nie pozwoli, ale w nocy przyjdzie, zarżnie i wyjmie pieniądze ze szkatułki, też w zgodzie ze swoim sumieniem! To dla niego nie jest przestępstwo! To „poryw szlachetnej rozpaczy”, to „negacja” albo jeszcze lichy wie co... Tfu! wszystko na odwrót, wszystko do góry nogami! Dziewczyna chowa się w domu, nagle pośrodku ulicy hop do dorożki. „Mamo, wyszłam w tych dniach za mąż za takiego a takiego Karłowicza albo Iwanowicza, do widzenia!” To tak jest dobrze, to po waszemu tak trzeba postępować? Godne uznania, naturalne? Kwestia kobieca? Ten tu chłopaczek (wskazała na Kolę) spierał się niedawno na temat „kwestii kobiecej”. Jeżeli nawet matka była głupia, jednak ty do niej odnoś się jak człowiek!... Czemuście tu weszli z głowami zadartymi do góry? „Nie zbliżać się - to my idziemy.” „Dla nas wszystkie prawa, a ty się nie waż nawet zająknąć przy nas. Ty nam okazuj szacunek, o jakim nikomu nawet by się nie śniło, a my cię będziemy traktować jak ostatniego lokaja!” Prawdy szukają, na prawie się opierają, a sami spotwarzyli go w gazecie jak szubrawcy. „Żądamy, a nie prosimy, i żadnej wdzięczności od nas pan nie usłyszy, bo pan to robi dla spokoju własnego sumienia!” Ładna moralność: przecież jeżeli ty nie okażesz wdzięczności, to i książę może ci odpowiedzieć, że nie poczuwa się do żadnej wdzięczności względem Pawliszczewa, bo Pawliszczew czynił dobrze dla spokoju własnego sumienia. A przecież na tę jego wdzięczność dla Pawliszczewa musiałeś liczyć: przecież nie od ciebie pożyczał pieniądze, nie tobie jest winien, na cóż więc liczyłeś, jeżeli nie na wdzięczność? Dlaczego więc sam się od niej uchylasz? Wariaci! Uważają, że społeczeństwo jest dzikie i nieludzkie dlatego, że piętnuje uwiedzioną dziewczynę. Ale przecież jeżeli uznajesz społeczeństwo za nieludzkie, to tym samym uznajesz, że ono sprawia dziewczynie ból. A skoro tak, to po cóż sam ją opisujesz w gazetach, żeby społeczeństwo o tym czytało, i chcesz, żeby dziewczyna nie czuła z tego powodu bólu! Wariaci! Pyszałki! W Boga nie wierzą, w Chrystusa nie wierzą! Ale ta pycha i próżność doprowadzi was do tego, że się wzajemnie pozjadacie, przepowiadam wam to! I czy to nie jest rozgardiasz, chaos i bezceństwo? A po tym wszystkim ten bezwstydnik jeszcze ich błaga o przebaczenie! Czy wielu jest takich jak wy? Czego się uśmiechacie: że ja się kompromituję tu z wami? No trudno, już się skompromitowałam, już się tego nie odrobi!... A ty się tak drwiąco nie patrz na mnie, ty hultaju (zwróciła się nagle do Hipolita)! Sam ledwo zipie, a innych deprawuje. Tyś mi tego chłopca zdeprawował (wskazała na Kolę); wciąż tylko bredzi o tobie; uczysz go ateizmu, w

Boga nie wierzysz, a sam jeszcze mógłbyś w skórę brać, łaskawy panie, tfu, do licha z tobą!... Więc pójdziesz do nich jutro, Lwie Nikołajewiczu, pójdziesz? - spytała znowu księcia, prawie tracąc oddech.

- Pójdę.

- Wobec tego znać cię nie chcę! - Odwróciła się szybko, by wyjść z pokoju, ale raptem zatrzymała się i wskazując palcem Hipolita spytała: - Czy do tego ateusza też pójdziesz? Ale czego ty się tak uśmiechasz! - krzyknęła jakimś nienaturalnym głosem i podbiegła nagle w stronę Hipolita, nie mogąc znieść jego zjadliwego uśmiešku.

- Lizawieto Prokofiewno! Lizawieto Prokofiewno! Lizawieto Prokofiewno! - rozległo się jednocześnie ze wszystkich stron.

- *Maman*, to wstyd! - zawołała głośno Agłaja.

- Proszę się nie unosić, Agłajo Iwanowno - odezwał się spokojnie Hipolit, którego Lizawieta Prokofiewna chwyciła za rękę i nie wiadomo po co kurczowo trzymała; stała przed nim, wpijając w niego wściekłe spojrzenie. - Proszę się nie unosić, mama pani zaraz zobaczy, że nie należy rzucać się na człowieka umierającego... jestem gotów wyjaśnić, dlaczego się śmiałem... bardzo będę rad z pozwolenia... W tym momencie zaczął straszliwie kaszlać i dość długo nie mógł się opanować.

- Umiera, a bawi się w mówcę! - zawołała Lizawieta Prokofiewna, wypuściwszy jego rękę i nieomal ze zgrozą patrząc, jak wycierał krew ze swoich warg. - Jakże ty możesz mówić! Powinieneś wprost iść do łóżka...

- Tak też zrobię - odparł Hipolit cicho, prawie szeptem i ochryple - jak tylko wrócę dzisiaj, zaraz się położę... Wiem, że za dwa tygodnie umrę... W zeszłym tygodniu mówił mi to sam B - n[84]... Więc jeśli pani pozwoli, jeszcze dwa słowa na pożegnanie...

- Oszalałeś czy co? Bzdura! Leczyć się trzeba, a nie rozmawiać. Idź, idź, połóż się!... - krzyknęła ze strachem Lizawieta Prokofiewna.

- Jeśli się położę, to nie wstanę do samej śmierci - uśmiechnął się Hipolit - już wczoraj chciałem się tak położyć, żeby nie wstawać aż do śmierci, ale postanowiłem odłożyć to do pojutra, żeby... dopóki jeszcze nogi mnie noszą... przyjść z nimi tutaj... bardzo się jednak zmęczyłem...

- Więc siadaj, siadaj, czego stoisz! Jest krzesło! - zawołała Lizawieta Prokofiewna i sama podsunęła mu krzesło.

- Dziękuję pani - mówił dalej cichym głosem Hipolit - ale niech pani usiądzie naprzeciwko mnie, to porozmawiamy... koniecznie musimy porozmawiać, Lizawieto Prokofiewno, teraz już obstaję przy tym... - uśmiechnął się znów do niej. - Niech pani pomyśli, że jestem dzisiaj po raz ostatni na świeżym powietrzu i wśród ludzi, a za dwa tygodnie na pewno będę w ziemi. Będzie to zatem jak gdyby pożegnanie z ludźmi i z przyrodą. Nie należę do ludzi sentymentalnych, a jednak, proszę sobie wyobrazić, bardzo się cieszę, że to wszystko wydarzyło się w Pawłowsku: mogę

przynajmniej popatrzeć na drzewa z liśćmi.

- Ależ o czym tu teraz mówić - wpadała w coraz większą obawę Lizawieta Prokofiewna - masz gorączkę. Przedtem piszczaleś i piszczaleś, a teraz ledwo dech łapiesz, kompletnie się dusisz!

- Zaraz odpocznę. Dlaczego pani nie chce spełnić mojej ostatniej prośby?... A wie pani, że już dawno marzyłem o tym, żeby jakoś spotkać się z panią, Lizawieto Prokofiewno; dużo o pani słyszałem... od Koli; on jeden tylko mnie nie opuszcza... Pani jest kobietą oryginalną, ekscentryczną, sam to teraz widziałem... a wie pani, ja panią nawet trochę kochałem.

- O Boże, a ja go doprawdy o mało nie uderzyłam.

- Powstrzymała panią Agłaja Iwanowna, o ile się nie mylę. To chyba pani córka? Jest taka piękna, że ją dzisiaj poznałem od pierwszego wejrzenia, chociaż jej nigdy nie widziałem. Niechże mi wolno będzie po raz ostatni w życiu popatrzeć na tę piękność - uśmiechnął się Hipolit jakimś wymuszonym, niezręcznym uśmiechem. - A jest i książę, i małżonek pani, i całe towarzystwo. Dlaczego mi pani odmawia spełnienia mojej ostatniej prośby?

- Krzesło! - krzyknęła Lizawieta Prokofiewna, ale chwyciła je sama i usiadła naprzeciwko Hipolita. - Kola! - rzekła rozkazującym tonem. - Pójdiesz z nim zaraz, odprowadzisz go do domu, a jutro muszę sama...

- Jeśli pani pozwoli, to poproszę księcia o filiżankę herbaty... Bardzo jestem zmęczony. Wie pani co, Lizawieto Prokofiewno, pani, zdaje się chciała zabrać księcia do siebie na herbatę: niech pani tu zostanie, spędzimy razem trochę czasu, a księżę z pewnością da nam wszystkim herbaty. Przepraszam, że się tak rządzę... Ale ja panią znam, pani jest dobra, księżę również... wszyscy jesteśmy dobrzy aż do śmieszności...

Księżę poruszył się niespokojnie, Lebediew rzucił się na łeb na szyję do drzwi, za nim pobięła Wiera.

- To prawda - ucięła ostro generałowa - mów tylko ciszej i nie zapalaj się... Takeś mnie rozrzewnił... Księżę! Niewart jesteś, żebym u ciebie piła herbatę, ale już niech tam, zostanę, choć nikogo nie proszę o przebaczenie! Nikogo! Bzdura!... Zresztą jeśli cię zanadto zwymyślałam, księżę, to mi daruj - jeśli oczywiście chcesz. A poza tym nikogo nie zatrzymuję - zwróciła się nagle z nadzwyczaj gniewną miną do męża i córek, jakby to oni właśnie czymś bardzo wobec niej zawinili. - Trafię do domu sama...

Ale nie dano jej skończyć. Wszyscy podeszli i otoczyli ją, gotowi na jej usługi. Księżę natychmiast zaczął wszystkich prosić, żeby zostali na herbacie, i przeproszał, że dotychczas o tym nie pomyślał. Nawet generał był tak uprzejmy, że wybąkał coś, aby uspokoić żonę, i spytał grzecznie: „Czy ci jednak nie za chłodno na tarasie?” O mało też nie zwrócił się z pytaniem do Hipolita: „Czy dawno pan studiuje na uniwersytecie?” - ale poniechał tego. Eugeniusz Pawłowicz i księżę Sz. zrobili się nagle bardzo uprzejmi i weseli, na twarzach Adelajdy i Aleksandry zdziwienie, które ich nie opuściło, mieszało się z pewnym nawet zadowoleniem; słowem, wszyscy byli najwyraźniej radzi, że został zażegnany przykry incydent z Lizawietą Prokofiewną. Tylko Agłaja była nachmurzona i w

milczeniu usiadła z dala od wszystkich. Zostali również wszyscy inni goście; nikt nie chciał wyjść, nawet generał Iwołgin, któremu Lebediew zresztą coś mimochodem szepnął, zapewne coś niezbyt przyjemnego, gdyż generał od razu czmychnął gdzieś do kąta. Księżę zaprosił wszystkich, nawet całą paczkę Burdowskiego, nie chcąc nikogo pominąć. Młodzieńcy bąknęli pod nosem, że zaczekają na Hipolita, i natychmiast wycofali się do najdalszego zakątka tarasu, gdzie znów usiedli wszyscy w jednym rzędzie. Najwidoczniej Lebediew miał już dawno przygotowaną herbatę, gdyż zaraz się z nią zjawił. Wybiła jedenasta.

X

Hipolit umoczył usta w herbacie, którą mu podała Wiera Lebediew, postawił filiżankę na stole i nagle, jakby się ocknąwszy, prawie ze zmieszaniem rozejrzał się dokoła.

- Niech pani popatrzy, Lizawieto Prokofiewno, na te filiżanki - zaczął mówić z jakimś dziwnym pośpiechem - są z porcelany i, zdaje się, z doskonałej porcelany, stoją u pana Lebediewa zawsze pod szkłem, zamknięte w serwantce; nigdy nie są podawane... taki zwyczaj, bo to był posąg jego żony... trzymają się tego zwyczaju wszyscy w rodzinie... a nam podał, na pani cześć oczywiście, tak się ucieszył...

Chciał jeszcze coś dodać, ale się jakoś zaciął.

- Zmieszany jest jednak, spodziewałem się tego! - szepnął nagle Eugeniusz Pawłowicz księciu do ucha. - Trochę to niebezpieczne, co? Najpewniejszy znak, że teraz ze złości popełni coś tak ekscentrycznego, iż nawet Lizawieta Prokofiewną może nie usiedzi.

Księżę spojrzał na niego pytająco.

- Pan się nie boi ekscentryczności? - dodał Eugeniusz Pawłowicz. - Ja również; nawet życzę sobie tego; zależy mi właściwie na tym, żeby nasza kochana Lizawieta Prokofiewna została ukarana, i to koniecznie dzisiaj, zaraz; nie chcę się stąd ruszyć bez takiego finału. Pan, zdaje się, ma gorączkę?

- Później pomówimy, niech pan nie przeszkadza. Tak, czuję się niezdrów - z roztargnieniem i nawet z niecierpliwością odpowiedział księżę. Usłyszał swoje nazwisko; mówił o nim Hipolit.

- Pani nie wierzy? - śmiał się histerycznie Hipolit. - Tak powinno być. A księżę od razu uwierzy i wcale się nie zdziwi.

- Słyszysz, księżę? - zwróciła się do niego Lizawieta Prokofiewna. - Słyszysz?

Dokoła wszyscy się śmieli. Lebediew gorliwie występował naprzód i kręcił się tuż obok Lizawiety Prokofiewny.

- Powiada, że ten pozer, ten twój gospodarz... poprawiał temu panu artykuł, który niedawno o tobie odczytywano.

Księżę spojrzał ze zdziwieniem na Lebediewa.

- Dlaczego nic nie mówisz? - tupnęła nogą Lizawieta Prokofiewna.

- Ano - mruknął księżę, wciąż patrząc na Lebediewa - już widzę, że poprawiał.

- Czy to prawda? - zwróciła się szybko Lizawieta Prokofiewna do Lebediewa.

- Święta prawda, wasza ekscelencjo - odpowiedział Lebediew stanowczo i bez wahania, przykładając rękę do serca.

- Zupełnie jakby się chwalił! - omal nie podskoczyła na krześle.

- Podły jestem, podły! - bełkotał Lebediew bijąc się w piersi i coraz niżej schylając głowę.

- A cóż mię to obchodzi, że jesteś podły! Myśli, że powie „jestem podły”, i sprawa załatwiona. Nie wstyd ci to, książe, zadawać się z takimi ludźmi, raz ci jeszcze mówię? Nigdy ci tego nie przebaczę.

- Książę mi przebaczy! - powiedział Lebediew z przekonaniem i rozczeniem.

- Jedyne ze szlachetnych pobudek - odezwał się nagle głośno i dźwięcznie Keller, który nagle przyskoczył i zwrócił się wprost do Lizawie Prokofiewny - jedynie ze szlachetnych pobudek, proszę szanownej pani, i żeby nie wydać skompromitowanego przyjaciela, zataiłem przedtem te poprawki, mimo że on przecież proponował, by zrzucić nas ze schodów, jak to pani sama raczyła słyszeć. W celu odtworzenia prawdy wyznaję, że istotnie przyszedłem z tą sprawą do niego i dałem mu sześć rubli, bynajmniej jednak nie za pomoc w zakresie stylistyki, ale za dostarczenie faktów przeważnie mi nie znanych; przyszedłem jako do osoby kompetentnej. Co do kamaszy, co do apetytu u szwajcarskiego profesora, co do pięćdziesięciu rubli zamiast dwustu pięćdziesięciu, słowem, cała ta grupa faktów pochodzi z jego informacji, za które zapłaciłem sześć rubli, stylu jednak nie poprawiał.

- Muszę zauważyć - przerwał mu Lebediew z gorączkową niecierpliwością i jakimś płaszczącym się głosem wśród ogólnego i coraz bardziej wzmagającego się śmiechu - że poprawiałem tylko pierwszą część artykułu, ale ponieważ w środku artykułu powstały między nami duże nieporozumienia, a z powodu pewnej kwestii nawet pokłóciliśmy się, więc drugiej połowy już nie poprawiałem, proszę szanownej pani, toteż wszystko, co tam jest niegramatycznie napisane (a jest tego aż nadto!), proszę złożyć na karb autora artykułu, a nie posądzać o to mnie.

- Ach, więc to o to mu tak bardzo chodzi! - zawołała Lizawie Prokofiewna.

- Pozwoli pan, że spytam - zwrócił się Eugeniusz Pawłowicz do Kellera - kiedy pan poprawiał artykuł ?

- Wczoraj rano - zaraportował Keller - spotkaliśmy się i pod słowem honoru zobowiązaliśmy się utrzymać wszystko w tajemnicy.

- To znaczy wówczas, kiedy czołgał się przed tobą i zapewniał cię o swoim przywiązaniu! Ładny okaz! Nie chcę twojego Puszkina i nie chcę, żeby twoja córka przychodziła do mnie!

Lizawie Prokofiewna chciała wstać, ale raptem w rozdrażnieniu zwróciła się do roześmianego Hipolita:

- Cóż ty, mój drogi, umyśliłeś sobie, żeby mnie tu wystawić na pośmiewisko?

- Niech Bóg broni - uśmiechnął się nieszczercze Hipolit - ale mnie najwięcej ze wszystkiego

zdumiewa niezwykła ekscentryczność pani, Lizawieto Prokofiewno; przyznam się, że umyślnie naprowadziłem rozmowę na Lebediewa; wiedziałem, jak to podziała na panią, tylko na panią jedną, gdyż księżę istotnie przebaczy, i już na pewno przebaczył... może nawet wynalazł już w myśli formułę przebaczenia, wszak prawda, księżę?

Tracił oddech, jego dziwne podniecenie wzrastało z każdym słowem.

- No więc?... - odezwała się gniewnie Lizawieta Prokofiewna, zdziwiona jego tonem. - No więc?...

- O pani słyszałem już dużo rzeczy w tym samym rodzaju... z wielką radością... nauczyłem się panią niezwykle cenić - mówił dalej Hipolit.

Mówił o jednym, a tymczasem wydawało się, że tymi samymi słowami chce wyrazić coś zupełnie innego. Mówił z odcieniem szyderstwa, a zarazem niewspółmiernie się denerwował, oglądał się podejrzliwie, najwidoczniej gubił się i po każdym słowie tracił wątek, toteż wszystko razem z jego suchotniczym wyglądem i dziwnym, błyszczącym i jakby obłąkanym wzrokiem mimo woli przyciągało nadal powszechną uwagę.

- Zdziwiłbym się ogromnie, nie znając zresztą reguł światowych (przyznaję się do tego), zdziwiłbym się, że pani nie tylko sama została w towarzystwie dawnej naszej paczki, bardzo dla pani niestosownym, ale pozwoliła również... swoim córkom wysłuchać skandalicznych historii, chociaż one czytały o wszystkim w romansach. Ja może zresztą nie wiem... gdyż sam wszystko płaczę, ale w każdym razie któż oprócz pani mógł zostać... na prośbę chłopaczka (no tak, chłopaczka, znów się muszę przyznać), spędzić z nim wieczór i wziąć... we wszystkim udział... a potem... nazajutrz wstyd... (wiem dobrze zresztą, że źle się wyrażam), ja to wszystko bardzo pochwalam i głęboko szanuję, chociaż po twarzy jego ekscelencji, małżonka pani, widzę, że mu to nie w smak idzie... Hi! hi! - roześmiał się, zupełnie zbity z tropu, i nagle tak zakaszłał, że przez jakieś dwie minuty nie mógł zupełnie mówić.

- Aż się dusi! - powiedziała zimno i ostro Lizawieta Prokofiewna, przyglądając mu się z surową ciekawością. - No, drogi chłopcze, dość tego dobrego. Czas iść.

- Niechże pan i mnie pozwoli, łaskawy panie, zwrócić uwagę - odezwał się nagle z rozdrażnieniem Iwan Fiodorowicz, który stracił resztę cierpliwości - że moja żona jest tu z wizytą u księcia Lwa Nikołajewicza, naszego wspólnego przyjaciela i sąsiada, i że w żadnym wypadku nie pańską jest rzeczą, młodzieńcze, sądzić o postępkach Lizawiety Prokofiewny, jak również wyrażać się na głos i w oczy o tym, co się dzieje na mojej twarzy. Tak, mój panie. I jeżeli żona moja tu została - ciągnął dalej, rozdrażniając się coraz bardziej po każdym słowie - to raczej, proszę pana, ze zdumienia i ze zrozumiałej dziś powszechnie ciekawości, żeby popatrzeć na dziwnych młodzieńców. Sam też zostałem, tak jak się czasem zatrzymuję na ulicy, kiedy widzę coś takiego, na co można spojrzeć, jak... jak... jak...

- Jak na kuriozum - odpowiedział Eugeniusz Pawłowicz.

- Doskonale i trafnie - ucieszył się jego ekscelencja, który był w kłopotcie, nie mogąc znaleźć

odpowiedniego porównania - właśnie jak na kuriozum. W każdym jednak razie najdziwniejsze i najprzykrzejsze, jeśli się tak można wyrazić, jest dla mnie to, że pan, młodzieńcze, nie umiał nawet zrozumieć, iż Lizawieta Prokofiewna została z panem teraz jedynie dlatego, że pan jest chory - jeżeli tylko rzeczywiście jest pan umierający - została, że tak powiem, z współczucia, z powodu pańskich żalonych słów, mój panie, i że żaden brud w żadnym wypadku nie może przyłgnąć do jej imienia, jej charakteru i pozycji towarzyskiej... Lizawieto Prokofiewno! - zakończył rozgorączkowany generał - jeżeli chcesz iść, to pożegnamy się z naszym zacnym księciem i...

- Dziękuję panu za nauczkę, panie generale - przerwał zniechęca, ale poważnie Hipolit, patrząc w zamyśleniu na generała.

- Chodźmy, *maman*, jak długo będzie to jeszcze trwało!... - odezwała się niecierpliwie Agłaja i wstała.

- Jeszcze dwie minuty, mój drogi, jeśli pozwolisz - zwróciła się z godnością do swojego małżonka Lizawieta Prokofiewna - zdaje mi się, że on ma gorączkę i po prostu bredzi; widzę to po jego oczach; nie można go tak zostawić. Lwie Nikołajewiczu! Czy mógłbyś go przenocować u siebie, żeby nie musiał wlec się jeszcze dziś do Petersburga? *Cher prince**, nie nudzi się pan? - zwróciła się nagle ni stąd, ni zowąd do księcia Sz. - Chodź tutaj, Aleksandro, popraw sobie włosy, moje dziecko.

Poprawiła jej włosy, których nie trzeba było poprawiać, i pocałowała ją; o to jej tylko chodziło.

- Sądziłem, że pani zdolna jest wciąż się rozwijać... - zaczął znów Hipolit ocknąwszy się z zamyślenia. - Aha! to właśnie chciałem powiedzieć - ucieszył się, jakby sobie nagle przypomniał. - Burdowski szczerze chce obronić swoją matkę, prawda? A wychodzi na to, że ją zniesławia. Księżę chce pomóc Burdowskiemu, z całego serca proponuje mu swoją serdeczną przyjaźń i pieniądze, i może tylko on jeden z nas wszystkich nie czuje do niego odrazy, a oto stoją naprzeciwko siebie jak prawdziwi wrogowie. Cha, cha, cha! Państwo wszyscy nienawidzicie Burdowskiego za to, że on, według was, nieładnie i mało wytwornie odnosi się do swojej matki, prawda? Tak? Tak? Państwo przecież okropnie lubicie piękno i wytworne formy, o nie tylko dbacie, prawda? (Dawno już podejrzewałem, że tylko o to wam chodzi!) No to wiedzcie, że nikt z was nie kochał tak swojej matki, jak Burdowski! Księżę, jak mi wiadomo, posłał po kryjomu przez Ganię trochę pieniędzy matce Burdowskiego i gotów jestem założyć się, że Burdowski (Cha, cha, cha! - śmiał się histerycznie), że Burdowski oskarży teraz księcia o niedelikatne postępowanie i brak szacunku dla jego matki; słowo daję, że zrobi to, cha, cha, cha!

W tym miejscu znów się zaczął dusić i kaszleć.

- No i cóż, to wszystko? Wszystko już teraz powiedziałeś? No idź spać, bo masz gorączkę - przerwała mu niecierpliwie Lizawieta Prokofiewna, która nie spuszczała z niego pełnych niepokoju oczu. - Ach, Boże! On jeszcze mówi!

- Pan się, jak widzę śmieje? Dlaczego pan się ciągle ze mnie śmieje? Zauważyłem, że pan się ciągle ze mnie śmieje! - niespokojnym i rozdrażnionym tonem odezwał się nagle Hipolit do Eugeniusza Pawłowicza, który istotnie śmiał się.

- Chciałem pana tylko spytać, panie... Hipolicie... przepraszam, zapomniałem, pańskiego nazwiska.

- Pan Tierientiew - powiedział ksiązę.

- Tak, Tierientiew, dziękuję panu, ksiązę: niedawno mi mówiono, ale wyleciało z pamięci... Chciałem pana spytać, panie Tierientiew, czy to prawda, co słyszałem, że pan jest zdania, iż wystarczyłoby panu tylko przez kwadrans przemawiać przez okno do ludu, a lud natychmiast zgodzi się z panem i natychmiast za panem pójdzie?

- Bardzo możliwe, że tak mówiłem... - odparł Hipolit, jakby coś sobie przypominając. - Na pewno mówiłem! - dodał nagle, znowu się ożywiając i patrząc nieustępliwie na Eugeniusza Pawłowicza. - Więc cóż z tego ?

- Nic absolutnie; chciałem tylko uzupełnić swoje wiadomości.

Eugeniusz Pawłowicz umilkł, ale Hipolit wciąż jeszcze patrzył na niego w niecierpliwym oczekiwaniu.

- No cóż, skończył pan? - zwróciła się Lizawieta Prokofiewna do Eugeniusza Pawłowicza. - Proszę kończyć prędzej, bo już czas, żeby on szedł spać. A może to za trudne? (Okropnie była rozgniewana.)

- Nawet chętnie dorzucę jeszcze parę słów - ciągnął dalej z uśmiechem Eugeniusz Pawłowicz - a mianowicie, że wszystko, czego wysłuchałem od pańskich towarzyszy, panie Tierientiew, i wszystko, co pan sam tu dzisiaj wyłożył z takim niewątpliwym talentem, sprowadza się, moim zdaniem, do teorii triumfu prawa przede wszystkim i pomimo wszystko, a nawet z wyłączeniem wszystkich innych rzeczy i nawet przed zbadaniem, na czym to prawo właściwie polega. Nie wiem, może się mylę?

- Oczywiście myli się pan, nawet nie rozumiem, o co panu chodzi... I cóż dalej?

W kącie rozległ się szept. Siostrzeniec Lebediewa wymamrotał coś pod nosem.

- Właściwie już nic - ciągnął Eugeniusz Pawłowicz - chciałem tylko zaznaczyć, że z tego stanowiska łatwo jest przerzucić się na prawo siły, to znaczy na prawo pojedynczej pięści i prywatnych zachcianek, jak to zresztą nieraz bywało na świecie. Przecież i Proudhon zatrzymał się na prawie siły. Podczas wojny amerykańskiej wielu z najwybitniejszych liberałów opowiedziało się po stronie plantatorów, wychodząc z założenia, iż Murzyni są Murzynami, stoją niżej od rasy białej, a zatem prawo siły jest za białymi...

- No i co?

- Czyli że pan nie neguje prawa siły?

- Co dalej?

- Pan jest jednak konsekwentny; chciałem tylko zauważyć, że od prawa siły do prawa tygrysów i krokodyli, a nawet do Daniłowa i Górskiego droga niedaleka.

- Nie wiem; co dalej?

Hipolit ledwo słuchał Eugeniusza Pawłowicza i jeżeli mówił do niego „no i co” oraz „co dalej”, to, zdaje się, raczej ze swojego starego w rozmowach przyzwyczajenia niż z chęci uważania albo z ciekawości.

- Nic... to wszystko.

- Ja zresztą nie gniewam się na pana - dodał zniecierpliwiony, całkiem niespodziewanie, Hipolit, i bodaj że nie zdając sobie z tego sprawy, wyciągnął rękę, nawet z uśmiechem. Eugeniusz Pawłowicz z początku zdziwił się, ale z miną najzupełniej poważną dotknął wyciągniętej ręki, jakby przyjmując przebaczenie.

- Nie mogę nie wyrazić - rzekł tym samym, pełnym, niby respektu, a w istocie dwuznacznym tonem - swojej wdzięczności dla pana za uwagę, z jaką mnie pan wysłuchał, ponieważ z licznych swoich obserwacji wyciągnąłem wniosek, że nasi liberałowie nie są zdolni do tego, aby pozwolić komuś mieć własne odrębne zdanie i nie odpowiedzieć od razu swojemu oponentowi stekiem obelg, a nawet czymś jeszcze gorszym...

- Pan ma zupełną rację - zauważył generał Iwan Fiodorowicz i założywszy ręce do tyłu z miną najbardziej znudzoną wycofał się aż do wyjścia z tarasu, gdzie nawet ziewnął ze złości.

- No, dosyć już się nagadałeś, mój drogi - powiedziała raptem Lizawieta Prokofiewna do Eugeniusza Pawłowicza. - Mam już powyżej uszu twojej gadaniny...

- Już czas - powiedział niemal ze strachem i z zakłopotaniem Hipolit, podnosząc się i patrząc, zmieszany, dokoła - zatrzymałem państwa; chciałem państwu wyjaśnić wszystko... myślałem, że wszyscy... po raz ostatni... to była fantazja...

Widać było, że ożywał się niekiedy pod wpływem gwałtownych bodźców wewnętrznych, wychodził nagle na kilka chwil ze stanu faktycznego prawie maligny, z całą świadomością coś sobie raptem przypomniał i mówił przeważnie urywanymi zdaniami, dawno już może obmyślonymi i wyuczonymi w ciągu długich, wlokących się godzin choroby, w łóżku, w samotności, podczas bezsennych nocy.

- No, żegnam państwa! - odezwał się nagle ostro. - Czy myślicie, że łatwo mi powiedzieć „żegnam państwa”? Cha, cha! - uśmiechnął się, zły sam na siebie za swoje niezręczne pytanie, i raptem, jakby już na dobre rozgniewany, że wciąż mu się nie udaje wyrazić tego, co chce, głośno i z rozdrażnieniem zawołał: - Wasza ekscelencjo! Mam honor prosić pana na swój pogrzeb, o ile tylko zechce mi pan uczynić ten zaszczyt i... wszystkich tu obecnych również zapraszam, razem z generałem!...

Znowu się roześmiał; ale był to już śmiech szaleńca; Lizawieta Prokofiewna ze strachem

podeszła ku niemu i chwyciła go za rękę. Patrzył na nią badawczo, z tym samym śmiechem, który jednak już nie rozbrzmiewał, tylko jakby zatrzymał się i zastygł na jego twarzy.

- Państwo wiedzą, że przyjechałem tu po to, żeby widzieć drzewa? O, te... (wskazał na drzewa w parku), czy to nie śmieszne, co? Chyba jednak nie ma w tym nic śmiesznego? - zapytał z całą powagą Lizawie Prokofiewny i nagle wpadł w zamyślenie; potem, po krótkiej chwili, podniósł głowę i z ciekawością zaczął kogoś szukać w tłumie. Szukał Eugeniusza Pawłowicza, który stał dość blisko, z prawej strony, tam gdzie przedtem, ale on już o tym zapomniał i rozglądał się szukając dokoła. - O, nie poszedł pan! - znalazł go nareszcie - pan się niedawno śmiał, że ja chciałem w ciągu kwadransa mówić przez okno... A wie pan, że ja nie mam osiemnastu lat: tak długo leżałem w tym łóżku, tak długo patrzyłem przez to okno, tak dużo myślałem... o wszystkich... że... Nieboszczyk nie ma lat, pan wie. Jeszcze w zeszłym tygodniu pomyślałem sobie o tym, kiedy się obudziłem w nocy... A wie pan, czego się pan najwięcej boi? Najwięcej boi się pan naszej szczerości, chociaż pan nami pogardza! Ja o tym też sobie pomyślałem wówczas, w nocy, w łóżku... Pani sądzi, że ja z pani chciałem zadrwić, Lizawieto Prokofiewno? Nie, nie chciałem zadrwić, chciałem tylko panią pochwalić... Kola mówił, że księżę nazwał panią dzieckiem... to dobrze... ale cóż to ja jeszcze... cóż to ja chciałem powiedzieć... - Zakrył twarz rękami i zamyślił się głęboko. - Aha! Kiedy pani żegnała się niedawno, pomyślałem sobie nagle: są dokoła mnie ludzie i nigdy już ich więcej nie będzie, nigdy! I drzew tak samo - zostanie tylko ta ściana z czerwonych cegieł w domu Meyera... naprzeciwko mojego okna. Więc trzeba im o tym wszystkim powiedzieć... chociaż spróbować powiedzieć; patrz, jest tu piękna dziewczyna... a ty jesteś nieżywy, więc przedstaw się, jako nieboszczyk, powiedz, że „zmarli wszystko mogą mówić”... i że księżna Maria Aleksiejewna nie skrzyczy za to[86], cha, cha!... Czy nikt się nie śmieje? - obrzucił wszystkich dokoła nieufnym spojrzeniem. - A wiecie państwo, kiedy leżałem w łóżku, dużo różnych myśli przychodziło mi do głowy... wiecie, przekonałem się, że przyroda lubi sobie z człowieka zakpić... Ktoś niedawno wyraził się, że jestem ateuszem, a wiecie, że ta przyroda... I czemuż państwo znowu się śmieją? Jesteście straszliwie okrutni! - rzekł nagle z pełnym smutku oburzeniem, spoglądając na wszystkich po kolei. - Ja Koli nie deprawowałem - zakończył innym zupełnie tonem, poważnym i przekonywającym, jakby też sobie nagle o tym przypomniał.

- Nikt, nikt się tutaj z ciebie nie śmieje, bądź spokojny! - niemal męcząc się mówiła Lizawie Prokofiewna. - Jutro przyjedzie nowy doktor; tamten się omylił; ależ siadaj, bo na nogach nie możesz się utrzymać! Bredzisz... Ach, co z nim teraz zrobić! - biadała, troskliwie sadzając go w fotelu. Na jej policzku zabłysła łza.

Hipolit zatrzymał się, niemal porażony, podniósł rękę, wyciągnął ją lękliwie i dotknął małej łzy. Uśmiechnął się jakoś po dziecięcemu.

- Ja... panią... - powiedział radosnym głosem - pani nie wie, jak ja panią... Kola zawsze mi mówił o pani z takim zachwytem... lubię jego zachwyty. Ja go nie deprawowałem! Zostawiam tylko jego jednego... a chciałem zostawić wszystkich, wszystkich - nie było ich jednak, nie było nikogo... Chciałem być działaczem, miałem prawo... O, jak wiele chciałem! A teraz nic już nie chcę, nawet nic nie chcę chcieć, przysięgłem sobie, że już niczego nie będę pragnął; niech tam, niech beze mnie szukają prawdy! Tak, przyroda jest szydercza! Dlaczego - wykrzyknął nagle z uniesieniem - dlaczego przyroda stwarza najdoskonalsze istoty, żeby z nich później szydzić?! Przecież tak zrobiła, że jedyna

istota, którą na ziemi uznano za doskonałość... tak zrobiła, że pokazawszy ją ludziom, kazała jej powiedzieć to, z powodu czego przelało się aż tyle krwi, że gdyby ta krew przelała się za jednym razem, ludzie na pewno by się zachłysłi! O, to dobrze, że umieram! Ja bym też mógł powiedzieć jakieś okropne kłamstwo, przyroda znów by mnie okpiła!... Nikogo nie deprawowałem... Chciałem żyć dla dobra wszystkich ludzi, dla odnalezienia i ogłoszenia prawdy... Patrzyłem przez okno na ścianę domu Meyera i chciałem mówić tylko kwadrans, żeby wszystkich, wszystkich przekonać, a tylko raz w życiu zrozumiałem się... z panią, jeżeli już nie z ludźmi, i co z tego wynikło? Nic! To tylko, że pani mną pogardza! A więc nie jestem nikomu potrzebny, a więc jestem głupi, a więc czas na mnie! I nie umiałem zostawić po sobie żadnego wspomnienia! Ani dźwięku, ani śladu, ani żadnego czynu, nie rozpowszechniłem ani jednej idei!... Nie śmieście się z głupca! Zapomnijcie o nim! Zapomnijcie wszystko... zapomnijcie, bardzo was proszę, nie bądźcie tacy okrutni! Czy wiecie, że gdyby nie przytrafiły się te suchoty, popełniłbym samobójstwo...?

Chciał jeszcze chyba dużo powiedzieć, ale nie zdołał, osunął się na fotel, zakrył twarz rękami i zapłakał jak małe dziecko.

- No i co z nim teraz robić! - zawołała Lizawieta Prokofiewna, podbiegła do niego, chwyciła jego głowę i z całej siły przycisnęła ją do piersi. Hipolit spazmatycznie szlochał. - No, no, no! Nie płaczże, no dosyć, dobry z ciebie chłopiec. Bóg ci przebaczy ze względu na twoją nieświadomość; no dosyć już, bądź mężny... Bo ci później będzie wstyd...

- Mam w domu - mówił Hipolit starając się podnieść głowę - mam brata i siostry, dzieci, maleńkie, biedne, niewinne... Ona je zdeprawuje! Pani jest święta, pani sama jest... jak dziecko - niech je pani ocali! Niech je pani wyrwie z rąk tej... ona... wstyd i hańba... O, niech mi pani pomoże, niech pani pomoże, Bóg panią za to stokrotnie wynagrodzi, na miłość Boską, na rany Chrystusa!...

- Mówże wreszcie, co teraz robić! - krzyknęła do męża zdenerwowana Lizawieta Prokofiewna. - Bądź łaskaw przerwać to swoje majestatyczne milczenie! Jeżeli nic nie postanowisz, wiedz o tym, że sama tu zostanę na noc; dosyć już mnie tyranizowałaś swoją władzą!

Lizawieta Prokofiewna pytała z gniewem i z najwyższym uniesieniem, oczekując niezwłocznej odpowiedzi. Ale w podobnych wypadkach obecni, jeśli nawet jest ich dość dużo, odpowiadają zazwyczaj milczeniem i bierną ciekawością, nie chcąc nic brać na siebie, i wyrażają swoje myśli dopiero po pewnym czasie. Wśród obecnych znajdowali się i tacy, którzy gotowi byli przesiedzieć tu nawet do rana, nie wymówiwszy ani słowa, na przykład Warwara Ardalionowna, siedząca na uboczu przez cały wieczór, w milczeniu; przysłuchiwała się wszystkiemu z ogromnym napięciem i zapewne miała w tym jakieś swoje powody.

- Podług mnie, moja droga - oświadczył generał - potrzebna jest tu obecnie raczej, że tak powiem, pielęgniarka niż nasze zdenerwowanie i raczej jakiś zaufany, trzeźwy służący na noc. W każdym razie trzeba się poradzić księcia i... natychmiast zapewnić choremu spokój. A jutro można się tym znowu zająć.

- Teraz jest dwunasta; jedźmy. Czy on jedzie z nami, czy też zostaje u pana? - gniewnym i poirytowanym tonem zwrócił się do księcia Doktorenko.

- Jeśli pan chce - może pan przy nim zostać - odpowiedział książę - miejsce się znajdzie.

- Wasza ekscelencjo - zniechęca i gorliwie podskoczył do generała Keller - jeżeli potrzebny jest ktoś odpowiedni na noc, gotów jestem poświęcić się dla przyjaciela... to taka zacna dusza! Dawno już go uważam za wielkiego człowieka, wasza ekscelencjo! Ja oczywiście nie odebrałem wykształcenia, jak należy, ale kiedy on krytykuje, to istne perły, perły się sypią, wasza ekscelencjo!

Generał odwrócił się z rozpaczą.

- Bardzo się będę cieszył, jeśli on tu zostanie; naturalnie trudno byłoby mu jechać - odrzekł książę na niecierpliwie zapytania Lizawie Prokofiewny.

- A cóż to niby! Śpisz czy co! Jeśli nie chcesz, mój drogi, to ja go zabiorę do siebie! O Boże, on przecie sam ledwo na nogach się trzyma! Cóż to, chory jesteś?

Przedtem Lizawie Prokofiewna, nie znalazłszy księcia na łożu boleści, rzeczywiście mocno przesadziła w dodatniej ocenie stanu jego zdrowia, opierając się na wyglądzie zewnętrznym, ale niedawny atak choroby, ciężkie wspomnienia w związku z tym atakiem, zmęczenie wywołane burzliwym przebiegiem wieczoru, przypadek z „synem Pawliszczewa”, obecne zajście z Hipolitem - wszystko to istotnie spotęgowało chorobliwą drażliwość księcia i doprowadziło go niemal do stanu gorączkowego. Ale w oczach jego świeciła teraz inna jeszcze troska, nawet lęk; z obawą spoglądał na Hipolita, jakby spodziewając się jeszcze jakichś jego wystąpień.

Nagle Hipolit wstał, okropnie blady, z wyrazem straszliwego, graniczącego z rozpaczą wstydu na zmienionej twarzy. Objawiało się to głównie w jego wzroku, pełnym nienawiści i bojaźni, którym patrzył na zebranych, i w żalonym, wymuszonym i błakającym się jakby po rozedrganych wargach uśmiechu. Spuścił natychmiast oczy i chwiejnym krokiem, ciągle się uśmiechając, poszedł w stronę Burdowskiego i Doktoreni, którzy stali obok wejścia na taras; wyjeżdżał z nimi.

- Tego się właśnie obawiałem! - zawołał książę. - Tak się to musiało skończyć!

Hipolit szybko zwrócił się ku niemu z niesamowitą po prostu złością; każdy najmniejszy mięsień na jego twarzy zdawał się drgać i mówić.

- Aha! Tego się pan obawiał! „Tak się to musiało skończyć” według pana? Więc niech pan wie, że jeśli kogo tutaj nienawidzę - jęknął chrapliwie, niemal zawył, parszkając śliną dokoła - (wszystkich was nienawidzę, wszystkich!) - to pana, pana, jezuicka, słodkoczula duszyczko, idioto, milionerze - dobroczyńco, pana nienawidzę bardziej niż wszystkich innych razem, niż wszystko na świecie! Już dawno pana poznałem i zniechędziłem, gdy tylko o panu usłyszałem, zniechędziłem pana całą mocą swojej duszy... To pan urządził tę całą hecę! To pan mię doprowadził do wybuchu! Pan naraził człowieka umierającego na wstyd, pan, pan, pan jest winien mojej małoduszności! Zabiłbym pana, gdybym miał żyć dłużej! Niepotrzebne mi są pańskie dobrodziejstwa, od nikogo nic nie przyjmę, słyszy pan? Nic, od nikogo! Byłem nieprzytomny i nie wolno panu triumfować!... Przeklinam was wszystkich na wieki!

Zaczął się dusić.

- Zawstydział się swoich łez! - wyszeptał Lebediew do Lizawiey Prokofiewny. - „Tak się to musiało skończyć!” No, no, książę! Przejrzałeś go na wskroś...

Ale Lizawiea Prokofiewna nie raczyła nawet spojrzeć na niego. Stała, dumnie wyprostowana, z podniesioną głową, i z pogardliwym zaciekawieniem przyglądała się „tym kreaturom”. Kiedy Hipolit przestał mówić, generał wzruszył ramionami; Lizawiea Prokofiewna pełnym gniewu wzrokiem zmierzyła go od stóp do głowy, jakby żądała usprawiedliwienia z tego ruchu, i natychmiast odwróciła się do księcia.

- Dziękuję ci, książę, ekscentryczny przyjacielu naszego domu, za tak przyjemny wieczór, jaki nam wszystkim zgotowałeś. Raduje się zapewne twoje serce, że ci się udało i nas wciągnąć w swoje niemądre historie... Wystarczy nam tego, miły przyjacielu naszego domu; dziękujemy ci, że pozwoliłeś w końcu, abyśmy cię dobrze poznali!...

I z wyrazem oburzenia na twarzy zaczęła poprawiać swoją mantylę, czekając, aż „tamci” się wyniosą. W tej samej chwili po „tamtych” zajechała dorożka, po którą jeszcze przed kwadransem posłał Doktorenko syna Lebediewa, gimnazjalistę. Generał zaraz po małżonce dodał od siebie:

- Istotnie, książę, nawet się nie spodziewałem... po tym wszystkim... po naszych przyjaznych stosunkach... i wreszcie Lizawiea Prokofiewna...

- Ale jakżeż, jakżeż tak można! - zawołała Adelajda, podeszła szybko do księcia i podała mu rękę.

Książę z miną straceńca uśmiechnął się do niej. Nagle gorący i prędki szeptał jak gdyby opalił mu ucho.

- Jeżeli pan natychmiast nie porzuci tych nikczemnych ludzi, będę pana nienawidziła przez całe życie! - szepnęła Agłaja; mówiła jakby w przystępie szaleństwa, ale odwróciła się, zanim książę zdołał na nią spojrzeć. Zresztą nie miał już kogo porzucać: chorego Hipolita ułożono jakoś tymczasem w dorożce i dorożka odjechała.

- No cóż, długo to jeszcze będzie trwało, Iwanie Fiodorowiczu? Jak ci się zdaje? Długo jeszcze będę musiała cierpieć przez tych złośliwych chłopaków?

- Ależ ja, moja droga... ja oczywiście gotów jestem... i książę...

Iwan Fiodorowicz podał jednak księciu rękę, ale nie zdążył jej uścisnąć i pobiegł za Lizawieą Prokofiewną, która hałaśliwie i gniewnie schodziła z tarasu. Adelajda, jej narzeczoną i Aleksandra przyjaźnie i uprzejmie pożegnali się z księciem. Eugeniusz Pawłowicz przyłączył się do nich i on jeden tylko był w dobrym humorze.

- Stało się tak, jak przewidywałem! Szkoda tylko, że biedny książę został tak pokrzywdzony - szepnął z najprzyjemniejszym w świecie uśmiechem.

Agłaja wyszła bez pożegnania.

Ale zdarzenia tego wieczoru na tym się nie skończyły; Lizawieta Prokofiewna zmuszona była ścierpieć jeszcze jedno nieoczekiwane spotkanie.

Nie zdążyła jeszcze zejść ze schodów na drogę (okalającą park), gdy nagle wspaniały ekwipaż, powóz zaprzężony w dwa białe konie, przemknął obok willi księcia. W powozie siedziały dwie wytworne damy. Przejechawszy jednak nie więcej niż dziesięć kroków, powóz nagle zatrzymał się; jedna z dam szybko się odwróciła, jakby raptem spostrzegłszy jakiegoś znajomego, który był jej właśnie potrzebny.

- Eugeniuszu Pawłowiczu! To ty? - zabrzmiał zniecierpliwiony i piękny głos; drgnął na ten głos książę, a może jeszcze ktoś oprócz niego. - Strasznie się cieszę, że cię w końcu odnalazłam! Posłałam po ciebie do miasta umyślnego; dwóch umyślnych! Szukają cię od rana!

Eugeniusz Pawłowicz stał na stopniach schodów jakby rażony piorunem. Lizawieta Prokofiewna też stanęła w miejscu, ale nie ze zgrozą i w osłupieniu, jak Eugeniusz Pawłowicz; patrzyła na zuchwałą damę tak samo wyniośle i z taką samą zimną pogardą, z jaką przed pięcioma minutami przyglądała się „kreaturom”, po chwili zaś przeniosła swój badawczy wzrok na Eugeniusza Pawłowicza.

- Mam nowinę! - ciągnął dalej dźwięczny i sympatyczny głos. - Nic się nie bój o weksle Kupfera; namówiłam Rogożyna i wykupił je za trzydzieści. Możesz być spokojny jeszcze ze trzy miesiące. A z Biskupem i z tą całą zgrają na pewno się dogadamy po znajomości. A więc wszystko w porządku. Nie trać humoru. Do jutra!

Powóz ruszył i szybko zniknął.

- To jakaś obłąkana! - krzyknął w końcu Eugeniusz Pawłowicz, czerwony z oburzenia, rozglądając się niepewnie dokoła. - Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ona mówiła! Jakie weksle? Co to za jedna?

Lizawieta Prokofiewna patrzyła na niego jeszcze ze dwie sekundy; wreszcie szybko i zdecydowanie skierowała się ku swojej willi, a za nią podążyli wszyscy. Dokładnie w minutę później na tarasie u księcia zjawił się znów Eugeniusz Pawłowicz, niezwykle wzburzony.

- Czy książę doprawdy nie wie, co to wszystko znaczy?

- Nic nie wiem - odrzekł książę, który sam odczuwał nadzwyczajne i chorobliwe napięcie nerwów.

- Nie wie pan?

- Nie wiem.

- I ja nie wiem - roześmiał się nagle Eugeniusz Pawłowicz. - Daję słowo, nie miałem żadnych spraw wekslowych, niech mi pan wierzy!... Ale co panu jest, pan mdleje? - O nie, nie, zapewniam pana, że nie...

XI

Jepanczynowie udobruchali się dopiero po trzech dniach. Książę, chociaż o wiele rzeczy sam się oskarżał, jak to miał we zwyczaju, i szczerze oczekiwał kary, jednak z początku był głęboko przekonany, że Lizawieta Prokofiewna nie mogła poważnie rozgniewać się na niego, a raczej rozgniewała się sama na siebie. Nic też dziwnego, że ten długi okres nieporozumienia wpędził go już na trzeci dzień w ponury impas. Przyczyniły się do tego i inne okoliczności, ale jedna z nich szczególnie. Przez całe trzy dni rozrastała się ona stopniowo w podejrzliwym umyśle księcia (a książę od niedawna obwinał się sam o dwie krańcowo różne rzeczy: o niezwykłą, „bezmyślną i natrętną” łatwowierność, a zarazem o „ponurą i nikczemną” podejrzliwość). Słowem pod koniec trzeciego dnia przypadek z ekscentryczną damą, rozmawiającą ze swojego powozu z Eugeniuszem Pawłowiczem, przybrał w jego wyobraźni zastraszające i wprost zagadkowe rozmiary. Istota zagadki poza innymi stronami sprawy polegała dla księcia na bolesnym pytaniu: czy mianowicie tylko on sam jest winien wydarzeniu się tej nowej „potworności”, czy również... Nie odpowiadał jednak, kto również. Co zaś do liter N. F. B., to, w jego mniemaniu, był to tylko niewinny żart, po prostu nawet dziecinny żart, toteż zastanawiać się nad tym byłoby wstyd, a nawet pod pewnym względem byłaby to prawie nikczemność.

Zresztą nazajutrz po tym skandalicznym „wieczorze”, do którego przykrych perypetii tak wiele sam się przyczynił, książę miał przyjemność z samego rana gościć u siebie księcia Sz. z Adelajdą: „wstąpili głównie po to, żeby się dowiedzieć o jego zdrowie”, przyszli we dwoje, wracając ze spaceru. Adelajda od razu na wstępie spostrzegła w parku jedno drzewo, cudowne stare drzewo, rozłożyste, z długimi konarami, całe pokryte świeżą zielenią, o popękanej korze i z dziuplą; postanowiła „koniecznie, ale to koniecznie” je narysować! Toteż prawie przez całe pół godziny swojej wizyty mówiła tylko o tym. Książę Sz. był jak zwykle sympatyczny i uprzejmy, wypytywał księcia o różne dawne rzeczy, wspominał okoliczności ich pierwszego spotkania; o wczorajszym wieczorze prawie nic nie mówiono. Wreszcie Adelajda nie wytrzymała i z uśmiechem przyznała się, że wstąpili incognito; na tym jednak zwierzenia się skończyły, chociaż z tego „incognito” można było wywnioskować, iż rodzice, to znaczy głównie Lizawieta Prokofiewna, są jakoś wyjątkowo źle usposobieni. Jednakże ani o niej, ani o Agłai, ani nawet o Iwanie Fiodorowiczu Adelajda i książę Sz. nie powiedzieli podczas swoich odwiedzin ani jednego słowa. Idąc dalej na spacer, księcia do towarzystwa nie zaprosili. O tym zaś, aby go zaprosić do domu, nawet nie wspomnieli; w związku z tym Adelajdzie wymknęło się nawet charakterystyczne powiedzenie: mówiąc o jednej ze swoich akwarel, zapragnęła nagle pokazać ją księciu. „Jak by to zrobić jak najprędzej? Zaraz! Albo przyślę panu dziś przez Kołę, jeśli będzie u nas, albo jutro sama ją przyniosę, gdy pójdę znów z księciem na spacer” - wybrnęła wreszcie z kłopotu, ucieszona, że udało jej się tak zręcznie i wygodnie dla wszystkich załatwić sprawę. W końcu prawie się już pożegnawszy, książę Sz. jakby coś sobie nagle przypomniał:

- Ach prawda, drogi książę, chciałem pana zapytać, czy pan przypadkiem nie wie, co to była za osoba, która wołała wczoraj z powozu do Eugeniusza Pawłowicza?

- Była to Nastasja Filipowna - powiedział książę - czy pan jeszcze się nie dowiedział, że to była ona? A kto z nią był, nie wiem.

- Owszem, słyszałem! - podchwycił ksiązę Sz. - Ale co oznaczał ten krzyk? Przyznam się, że to dla mnie wielka zagadka... dla mnie i dla innych.

Ksiązę Sz. mówił to z niezwykłym i wyraźnym zdumieniem.

- Wspominała o jakichś wekslach Eugeniusza Pawłowicza - odpowiedział ksiązę z dużą prostotą - o jakichś wekslach, co dzięki jej staraniom przeszły od jakiegoś lichwiarza do rąk Rogożyna, który poczeka na Eugeniusza Pawłowicza.

- Słyszałem, słyszałem, drogi ksiązę, ale to przecież niemożliwe! Eugeniusz Pawłowicz żadnych takich weksli nie wystawiał! Mając takie posiadłości... Co prawda, jako człowiek nieco lekkomyślny, w swoim czasie trochę się na weksle zadłużył, nawet go później ratowałem z opresji... Przy takim jednak majątku dawać weksle lichwiarzowi i potem martwić się o nie, to rzecz niemożliwa. I przecież on nie może być na ty i w takich poufałych stosunkach z Nastasją Filipowną - w tym tkwi jakaś niezwykła zagadka. Eugeniusz Pawłowicz przysięga, że nic nie rozumie, i ja mu zupełnie wierzę. Ale chodzi o to, drogi ksiązę, iż chciałem pana spytać, czy pan czegoś nie wie? A raczej, czy jakimś cudem nie doszedł do pana słuch o tym wszystkim?

- Nie, nic nie wiem i upewniam pana, że nie brałem w tym żadnego udziału.

- Ach, jaki się pan zrobił podejrzliwy! Doprawdy, nie poznaję pana dzisiaj! Czyż mógłbym sobie wyobrazić pana jako współuczestnika takiej sprawy?... Ależ pan jest dzisiaj do reszty rozstrojony, drogi ksiązę.

Objął go i ucałował.

- Co to znaczy „jako współuczestnika takiej sprawy”? Nie widzę tutaj żadnej takiej sprawy.

- Niewątpliwie osoba ta chciała za wszelką cenę przeszkodzić w czymś Eugeniuszowi Pawłowiczowi, przydając mu w oczach świadków pewne cechy, których on nie ma i mieć nie może - odpowiedział dosyć sucho ksiązę Sz.

Ksiązę Lew Nikołajewicz zmieszał się, ale nie przestał badawczo i pytająco patrzeć na księcia, ten jednak milczał.

- A czy tu nie chodzi rzeczywiście i po prostu o weksle? Czy nie jest dosłownie tak, jak było mówione wczoraj? - mruknął w końcu ksiązę, jakby zniecierpliwiony.

- Właśnie mówię panu, niech pan sam osądzi, co może być tu wspólnego między Eugeniuszem Pawłowiczem i... nią, a w dodatku między nim i Rogożynem? Powtarzam panu, majątek jest olbrzymi, doskonale o tym wiem; drugiego majątku spodziewa się po wuju. Nastasją Filipowną po prostu...

Ksiązę Sz. znów nagle umilkł, prawdopodobnie dlatego, że nie chciał mówić z księciem o Nastasji Filipownie.

- Jednak w każdym razie musi ją znać? - spytał raptem ksiązę Lew Nikołajewicz po chwili milczenia.

- No, chyba tak; wiadomo, lekkoduch! Ale znajomość ta nie jest pewnie świeżej daty, znali się bodaj parę lat temu. On przecież znał jeszcze Tockiego. Teraz zaś o żadnej bliższej znajomości nie może być mowy: a na ty nigdy z sobą nie byli! Sam pan wie, że i jej tu nie było; nigdzie nie było. Wiele ludzi nie wie jeszcze, że ona tu się zjawiała. Powóz jej zauważyłem dopiero trzy dni temu, nie więcej.

- Wspaniały ekwipaż! - powiedziała Adelajda.

- Tak, przepiękny.

Odeszli oboje jak najprzyjaźniej zresztą, rzec można, po bratersku, usposobieni do księcia Lwa Nikołajewicza.

A dla naszego bohatera odwiedziny te miały w sobie coś nawet kapitalnego. Przypuśćmy, że on sam podejrzewał różne rzeczy, począwszy od wczorajszej nocy (a może i wcześniej), ale od czasu ich wizyty nie mógł się zdecydować na uzasadnienie swoich obaw. Teraz wszystko stawało się jasne: księżę Sz. oczywiście mylnie tłumaczył całą tę historię, był jednak dość bliski prawdy, zrozumiał tkwiącą w tym intrygę. („Zresztą może sam rozumie wszystko dobrze, tylko nie chce się z tym zdradzić i dlatego na głos wypowiada fałszywy pogląd na sprawę” - pomyślał księżę). Najbardziej jasne ze wszystkiego było to, że do niego teraz przychodzono (i to właśnie księżę Sz.) w nadziei uzyskania jakichś wyjaśnień; jeżeli tak, to uważa się go po prostu za uczestnika intrygi. No, a jeżeli to istotnie jest tak i posiada taką wagę, jakież ona ma w tym okropny cel, jaki cel? O zgrozo! „I jak tu ją powstrzymać? Kiedy jest przekonana o słuszności swoich poczynań, nic jej od tego nie powstrzyma!” Księżę wiedział to już z doświadczenia. „Szalona. Szalona.”

Zbyt wiele, naprawdę zbyt wiele zebrało się tego ranka i innych jeszcze trudnych do rozwiązania kwestii, i to wszystko jednocześnie, i wszystko wymagało natychmiastowego rozstrzygnięcia; toteż księżę bardzo był smutny. Trochę go rozerwała Wiera Lebediew, która przysłała do niego z Luboczką i, śmiejąc się, długo mu coś opowiadała. Zaraz po niej przysłała też jej siostra, z wiecznie otwartymi ustami, potem zaś syn Lebediewa, gimnazjalista, który zapewniał, że „gwiazda” w Apokalipsie, która spadła na ziemię, na źródła wód, w komentarzach jego ojca oznacza sieć kolei żelaznych rozrzuconą po Europie. Księżę nie uwierzył, że Lebediew tak komentuje tę rzecz, postanowiono więc przy pierwszej, jaka się nadarzy, sposobności sprawdzić to u niego samego. Od Wiery Lebediew księżę dowiedział się, że Keller już od wczoraj zadomowił się u nich na dobre i według wszelkiego prawdopodobieństwa rychło się od nich nie odczepi, gdyż znalazł sobie kompanię i bardzo się zbliżył z generałem Iwołginem; zresztą oświadczył, że zostaje u nich wyłącznie po to, aby uzupełnić swoje wykształcenie. W ogóle dzieci Lebediewa z każdym dniem coraz bardziej zaczynały się księciu podobać. Koli cały dzień nie było w domu: wyjechał z samego rana do Petersburga (Lebediew też skoro świt wyjechał w jakichś swoich sprawach). Ale księżę czekał niecierpliwie na wizytę Gawriły Ardalionowicza, który dziś miał z całą pewnością wstąpić do niego.

Zjawił się o godzinie siódmej wieczorem, zaraz po obiedzie. Księciu, gdy tylko spojrzął na gościa, przyszło od razu do głowy, że kto jak kto, ale on powinien znać dokładnie kulisy całej sprawy; bo jakże mógł nie znać, mając takich pomocników jak Warwara Ardalionowna i jej małżonek? Ale księżę z Ganią miał jakieś dziwne stosunki. Na przykład zlecił mu prowadzenie

sprawy Burdowskiego i bardzo go o to prosił; mimo jednak tego zaufania i wielu innych dawniejszych okoliczności stale istniały pomiędzy nimi pewne punkty, których jakby się umówili nigdy nie poruszać. Księżciu wydawało się niekiedy, że Gania ze swej strony może by nawet pragnął zupełnej przyjacielskiej szczerości; teraz na przykład, ledwo wszedł, wydało się księżciu, że Gania jest bezwzględnie przekonany, iż właśnie nadeszła chwila przełamania lodów pomiędzy nimi we wszystkich punktach. (Gawriła Ardalionowicz jednak bardzo się śpieszył; u Lebidiewa czekała na niego siostra; oboje mieli do załatwienia jakąś pilną sprawę).

Jeżeli jednak Gania w samej rzeczy spodziewał się wielu niecierpliwych pytań, mimowolnych oświadczeń, przyjacielskich wynurzeń, to naturalnie bardzo się mylił. Przez całe dwadzieścia minut jego odwiedzin książę był nawet mocno zamyślony, prawie roztargniony. Spodziewanych pytań, a raczej jednego głównego pytania, którego oczekiwał Gawrii Ardalionowicz, nie było i nie mogło być. Wtedy gość również postanowił mówić z większą oględnością. Bez przerwy, całe dwadzieścia minut, coś opowiadał, śmiał się, prowadził nader lekką, przyjemną i szybką rozmowę towarzyską, ale głównego tematu nie poruszył.

Gania opowiedział między innymi, że Nastasja Filipowna przebywa w Pawłowsku dopiero od czterech dni, a już zwróciła na siebie powszechną uwagę. Mieszka przy jakiejś ulicy Marynarskiej, w niedużym i niezgrabnym domku, u Darii Aleksiejewny, a powóz jej w Pawłowsku jest chyba najelegantszy. Dokoła niej zebrała się już cała gromada starych i młodych zalotników; jej powóz czasem eskortują jeźdźcy. Nastasja Filipowna jest jednak, tak jak i dawniej, bardzo wybredna i dopuszcza do siebie tylko wybranych. A mimo to sformował się przy niej cały oddział, w razie więc potrzeby miałby kto stanąć w jej obronie. Jeden zdecydowany konkurent spośród gości letniskowych poróżnił się nawet z powodu niej ze swoją narzeczoną; pewien staruszek, generał, nieomal wyklął swojego syna. Nastasja Filipowna często bierze z sobą na przejażdżki pewną uroczą dziewczynę w wieku zaledwie szesnastu lat, daleką krewną Darii Aleksiejewny; dziewczyna ta prześlicznie śpiewa, toteż wieczorami domek ich zwraca na siebie uwagę. Nastasja Filipowna zresztą zachowuje się bardzo przyzwoicie, ubiera się niezbyt bogato, ale z niezwykłym smakiem, i wszystkie panie zazdroszczą jej „gustu, urody i ekwipażu”.

- Wczorajszy ekscentryczny wyskok - mówił mimochodem Gania - był oczywiście uplanowany i oczywiście nie powinien być brany w rachubę. Chcąc się do niej pod jakimś względem przyczepić, trzeba by ją specjalnie śledzić albo świadomie oczernić, co ją niewątpliwie czeka prędzej czy później - zakończył Gania spodziewając się, że książę na pewno spyta: „Dlaczego pan wczorajsze zdarzenie nazywa uplanowanym wyskokiem? I dlaczego Nastasja Filipowna ma być prędzej czy później oczerniona?” Ale książę o nic nie zapytał.

Na temat Eugeniusza Pawłowicza Gania sam się jednak zaczął rozwodzić, bez specjalnych wypytywań ze strony księcia, co było nader dziwne, gdyż właściwie nie miał powodu o tym mówić. Zdaniem Gawriły Ardalionowicza było rzeczą całkiem niemożliwą, aby Eugeniusz Pawłowicz dobrze znał Nastasję Filipownę; teraz też zaledwie ją zna, i to tylko dlatego, że przed czterema dniami ktoś go jej przedstawił na przechadzce; u niej w domu był może jeden raz w liczniejszym towarzystwie. Z weksłami też mogło coś być (Gania wie o tym na pewno); Eugeniusz Pawłowicz ma oczywiście dużą fortunę, ale „pewne jego sprawy majątkowe są rzeczywiście okropnie zaniedbane”. Na tym ciekawym przedmiocie Gania nagle urwał. O wczorajszym wystąpieniu Nastasji Filipowny

nie napomknął ani słowem poza tym, co było powiedziane wyżej. Wreszcie po Ganię przysłała Warwara Ardalionowna, posiedziała chwilę, oświadczyła (również nie pytana), że Eugeniusz Pawłowicz dzisiejszy dzień, a może i jutrzejszy, spędzi w Petersburgu i że jej mąż (Iwan Pietrowicz Pticyń) też jest w Petersburgu, i kto wie, czy też nie w interesach Eugeniusza Pawłowicza, i że tam rzeczywiście coś zaszło. Wychodząc dodała, że Lizawieta Prokofiewna jest dzisiaj w piekielnym usposobieniu, a, co najdziwniejsze, Agłaja pokłóciła się z całą rodziną, nie tylko z rodzicami, ale nawet z obiema siostrami, i „to jest bardzo niedobrze”. Po tej jakby mimochodem rzuconej wiadomości (nader wieloznacznej dla księcia) brat i siostra wyszli. O sprawie z „synem Pawliszczewa” Gania też nie wspomniał ani słowa, może z fałszywej skromności, a może „przez wzgląd na uczucia księcia”, ale ksiązę i tak podziękował raz jeszcze za staranne załatwienie sprawy.

Ksiązę był bardzo zadowolony, że go wreszcie zostawiono w spokoju; zszedł z tarasu, minął drogę i wszedł do parku; chciał przemyśleć i zdecydować pewien krok. Ale ten „krok” nie należał do rzędu spraw, które się obmyśla, raczej do tych, na które trzeba się po prostu zdecydować: wtem poczuł ogromną ochotę, by zostawić to wszystko tutaj; odjechać tam, skąd przyjechał, znaleźć się jak najdalej, na jakimś odludziu, wyjechać zaraz i z nikim się nawet nie żegnać. Czuł, że jeśli tylko zostanie tutaj chociażby kilka dni, z pewnością wciągnie się w ten świat bezpowrotnie i życie w tym świecie stanie się jego udziałem. Nie rozmyślał jednak nawet dziesięciu minut i zaraz doszedł do wniosku, że uciekać stąd „nie wolno”, że byłoby to prawie tchórzostwem, że stoją przed nim takie zadania, których teraz nie ma nawet prawa nie rozwiązać albo przynajmniej nie użyć wszelkich sił celem ich rozwiązania. Z tymi myślami wrócił do domu, nie będąc chyba nawet piętnastu minut na przechadzce. Był w tej chwili zupełnie nieszczęśliwy.

Lebiediewa wciąż jeszcze nie było w domu, toteż pod wieczór zdołał się wepchnąć do księcia Keller, nie pijany, ale bardzo wylewny i skłonny do intymnych zwierzeń. Oznajmił wprost, że przyszedł opowiedzieć księciu całe swoje życie i że właśnie w tym celu został w Pawłowsku. Wyprosić go było absolutnym niepodobieństwem: nie wyszedłby za nic na świecie. Keller przygotował się do długiej i marudnej rozmowy, nagle jednak przeskoczył do samego zakończenia i oświadczył, że tak dalece utracił „wszelki pozór moralności” (jedynie wskutek niewiary w Boga), iż nawet popełniał kradzieże. - „Może pan to sobie wyobrazić!”

- Niech pan posłucha, panie Keller, ja bym na pana miejscu nawet się nie przyznawał do tego bez specjalnej potrzeby - zaczął mówić ksiązę - a zresztą może pan umyślnie to o sobie rozpowiada?

- Tylko panu, wyłącznie i jedynie panu, po to, żeby się trochę rozwinąć pod względem duchowym! Więcej nie powiem nikomu; umrę i do grobu zabiorę swoją tajemnicę! Ale gdyby ksiązę wiedział, jak trudno jest w naszych czasach o pieniądze! Niechże mi wolno będzie spytać po tym wszystkim: skąd je brać? Jest tylko jedna odpowiedź: „Dawaj złoto i brylanty, dostaniesz pod zastaw”; a więc trzeba dać to, czego się właśnie nie posiada; czy ksiązę może to sobie wyobrazić? Rozgniewałem się w końcu, postąłem trochę, postąłem. „A pod zastaw szmaragdów dacie?” - pytam. - „Owszem, pod zastaw szmaragdów damy.” „No to świetnie” - mówię; włożyłem kapelusz i wyszedłem; niech was diabli wezmą, łotry jedne! Daję słowo!

- A czy miał pan szmaragdy?

- Jakież mogłem mieć szmaragdy! O, jakże pan jeszcze jasno i niewinnie, nawet, można

powiedzieć, idyllicznie patrzy na życie!

Księżciu zrobiło się wreszcie nie tyle żal, ile raczej wstyd. Przemknęła mu nawet przez głowę myśl: „Czy nie można by czegoś uczynić z tego człowieka za pomocą odpowiednich wpływów?” Własny swój wpływ uważał z pewnych względów za nader nieodpowiedni - nie ze skromności, ale wskutek osobliwego poglądu na rzeczy. Po trochu tak się rozgadali, że nie chciało im się rozejść. Keller ze zdumiewającą pochoptością przyznawał się do takich spraw, że trudno było sobie wyobrazić, jak można w ogóle mówić o czymś podobnym. Przystępując do opowiadania każdej z osobna historii, zapewniał jak najsoleńniej, że kaja się i duszę ma „pełną łez”, a tymczasem opowiadał tak, jakby się szczyił swoim postępkami, i zarazem niekiedy tak śmiesznie, że i on, i książę śmieli się w końcu jak wariaci.

- Najważniejsza jest w panu jakaś doprawdy dziecięca ufność i niezwykła szczerść - powiedział wreszcie książę. - Czy wie pan, że już tym jednym dużo pan odkupuje?

- Jestem szlachetny, naprawdę szlachetny, po rycersku szlachetny! - potwierdził rozczulony Keller. - Ale wie pan, to wszystko jest tylko w moich marzeniach, przy odpowiednim, że tak powiem, kurażu; w rzeczywistości zaś nic z tego nie wychodzi! A dlaczego? Nie mogę zrozumieć.

- Niech pan nie traci nadziei. Teraz można stwierdzić z całą stanowczością, że pan mi odsłonił wszystkie tajniki swojego życia; przynajmniej wydaje mi się, że do tego, co pan opowiedział, nic już nie można dodać, prawda?

- Nie można?! - zawołał jakby z żalem Keller. - Ach, do jakiego stopnia książę nadal jeszcze, że tak powiem, po szwajcarsku pojmuje człowieka.

- Czyż naprawdę można jeszcze coś dodać? - powiedział książę z jakimś nieśmiałym zdziwieniem. - Czegóż więc spodziewał się pan ode mnie, panie Keller, niech pan mi powie z łaski swojej, i po co pan przyszedł się tu spowiadać?

- Od pana? Czego się spodziewam? Po pierwsze, na samą tylko pańską prostoduszność przyjemnie popatrzeć; przyjemnie z panem posiedzieć i porozmawiać; człowiek wie chociaż, że ma do czynienia z osobą wielce szlachetną; a po drugie... po drugie...

Zaciął się.

- Może pan chciał pożyczyć pieniędzy? - podpowiedział książę bardzo poważnie i po prostu, a nawet jakby z pewną nieśmiałością.

Kellera aż coś poderwało; szybko, z poprzednim zdumieniem, spojrzął księżciu w oczy i mocno walnął pięścią w stół.

- Otóż tym właśnie do reszty zbija pan człowieka z pantałyku! Ależ na miłość boską, książę: to jest już taka prostoduszność, taka niewinność, o jakiej nie słyszało się nawet w złotym wieku; i nagle jednocześnie przeszywa pan człowieka na wskroś, jak strzałą, tą swoją głęboką psychologią, swoją obserwacją. Ale niechże pan pozwoli... to wymaga pewnych wyjaśnień... dlatego że jestem po prostu

zmieszany! Oczywiście koniec końców chodziło mi o pożyczanie pieniędzy, ale książe tak mnie o te pieniądze zapytał, jak gdyby nie znajdował w tym nic zdrożnego, jak gdyby tak właśnie powinno być.

- Tak... z pana strony tak być powinno.

- I pan się nie oburza?

- Ależ... czym?

- Niech pan posłucha, zostałem tu od wczoraj, po pierwsze, ze względu na szczególny szacunek dla francuskiego arcybiskupa Bourdaloue[87] (odkorkowywaliśmy u Lebediewa do godziny trzeciej), a po drugie, no i głównie (przysięgam na wszystkie świętości, że mówię prawdę!), zostałem dlatego, że chciałem, że tak powiem, wypowiedawszy się przed panem z całego serca, wpłynąć tym korzystnie na własny rozwój duchowy; z tą myślą zasnąłem o czwartej rano, zalewając się rzewnymi łzami. Czy książe teraz wierzy najszlachetniejszej osobie: w tym samym momencie, kiedy już zasypiałem, szczerze wzruszony i pełen, że tak powiem, zewnętrznych i wewnętrznych łez (bo jednak szlochałem, dobrze to pamiętam!), przyszła mi do głowy jedna piekielna myśl: „A może by tak po spowiedzi ostatecznie pożyczyć od niego trochę pieniędzy?” Przygotowałem spowiedź, że tak powiem, ze łzami, aby w ten sposób zmiękczyć grunt i aby pan, rozczuliwszy się, odliczył mi sto pięćdziesiąt rubelków. Czy to nie jest podłość, według pana?

- Ależ to z pewnością nieprawda, tylko po prostu jedno z drugim się zbiegło. Zbiegły się dwie myśli, to się bardzo często zdarza. U mnie ciągle. Sam zresztą sędzę, że to nie jest dobrze, i wie pan, panie Keller, sam sobie czynię z tego powodu największe wyrzuty. Pan teraz opowiedział zupełnie jakby o mnie samym. Zdarzało mi się nawet czasem myśleć - mówił dalej książe bardzo poważnie, szczerze i głęboko przejęty - że wszyscy ludzie robią w ten sposób, zacząłem więc nawet usprawiedliwiać sam siebie, ponieważ z tymi podwójnymi myślami bardzo trudno dać sobie radę; znam to z doświadczenia. Bóg raczy wiedzieć, jak te myśli w człowieku się rodzą. A pan to nazywa po prostu podłością! Teraz i ja znowu zacznę się bać tych myśli. W każdym razie pana nie będę sądził. Jednak, według mnie, nie można tego nazwać po prostu podłością; jak pan się na to zapatruje? Użył pan podstęp, żeby za pomocą łez wyłudzić trochę pieniędzy, ale przecież sam pan przysięga, że spowiedź pańska miała też inny cel, szlachetny, nie wyłącznie pieniężny; co się zaś tyczy pieniędzy, to przecież potrzebne są panu na hulankę, prawda? A to już po takiej spowiedzi jest oczywistą małodusznością. Ale jakże tak w jednej chwili zrezygnować również z hulanki? Przecież to niemożliwe. Więc co robić? Pozostawić to już chyba pańskiemu sumieniu, jak pan myśli?

Książe patrzył na Kellera z nadzwyczajnym zaciekawieniem. Kwestia podwójnych myśli dawno go już widać zajmowała.

- Dobrze, ale dlaczego po tym wszystkim nazywają pana idiotą, nie rozumiem! - zawołał Keller.

Książe z lekka się zaczerwienił.

- Kaznodzieja Bourdaloue nie miałby dla człowieka żadnej litości, a pan się ulitował nad człowiekiem i osądził go pan po ludzku! Za karę i żeby udowodnić, że jestem wzruszony, nie chcę stu pięćdziesięciu rubli, proszę mi dać tylko dwadzieścia pięć rubli, i dosyć! Tyle mi potrzeba,

przynajmniej na dwa tygodnie. Wcześniej niż za dwa tygodnie po pieniądze nie przyjdę. Chciałem zrobić prezent Agaszcze, ale niewarta jest tego. O, drogi książę, niech pana Bóg błogosławi !

Wszedł nareszcie Lebediew, który dopiero co wrócił, i zauważywszy dwudziestopięciorublowy banknot w rękach Kellera, zmarszczył brwi. Jednakże Keller, czując pieniądze w garści, już pośpieszył ku wyjściu i natychmiast się ulotnił. Lebediew zaraz zaczął na niego wygadywać.

- Pan jest niesprawiedliwy, on rzeczywiście okazał szczerą skruchę - zauważył w końcu książę.

- Cóż znaczy skrucha! Tak samo jak i ja wczoraj: „Podły jestem, podły jestem”, a przecież to tylko słowa!

- Więc u pana były tylko słowa? A ja sądziłem..

- No, to ja tylko księciu jednemu wyjawię prawdę, bo książę widzi człowieka na wylot: i słowa, i czyny, i kłamstwo, i prawda - wszystko jest we mnie razem i wszystko najzupełniej szczerze. Prawda i czyn polegają u mnie na istotnej skrucie, niech książę wierzy albo nie wierzy, przysięgam, że tak jest; a słowa i kłamstwo polegają na piekielnej (i zawsze obecnej) myśli: jak by i tu kogoś ocyganić, jak by i na tych swoich łzach, i na tej swojej skrucie coś zyskać! Daję słowo, tak to jest! Komu innemu nie powiedziałbym tego - wyśmiałyby mnie albo by splunął; ale książę oceni sprawę po ludzku.

- Otóż przed chwilą i on mi mówił to samo, kubek w kubek ! - zawołał książę. - I obaj jak gdyby chwalicie się tym! Pan mię nawet zadziwia; on jest od pana szczerzy, a pan już zrobił z tego rzemiosło. No, dosyć już, niech się pan tak nie krzywi i nie przykładaj ręki do serca, panie Lebediew. Może pan ma mi coś do powiedzenia? Przecież bez celu nie przyszedłby pan tutaj...

Lebediew zaczął się krygować i stroić różne miny.

- Czekałem na pana cały dzień, żeby zadać panu pytanie; niech pan choć raz w życiu powie od razu prawdę: czy brał pan jakikolwiek udział w tej wczorajszej scenie z powozem, czy też nie?

Lebediew znów zaczął stroić miny, podśmiewać się, zacierał ręce, prychał, ale nie mógł się zdecydować na odpowiedź.

- Już widzę, że pan w tym maczał palce.

- Ale pośrednio, tylko pośrednio! Mówię szczerą prawdę! W ten tylko sposób brałem udział, że zawczasu dałem znać wiadomej osobie, że zebrało się u mnie takie a takie towarzystwo i że obecne są takie a takie osoby.

- Wiem, że pan tam posyłał swojego syna, bo sam mi to mówił, ale to przecież nie jest jeszcze żadna intryga! - zawołał niecierpliwie książę.

- Nie moja intryga, nie moja - bronił się, wymachując rękami, Lebediew - tu inni działali, inni, i to raczej jest fantazja niż intryga.

- Ale o co tu chodzi, niech mi pan wytłumaczy, na miłość boską! Czyż pan nie rozumie, że to wprost mnie dotyczy? Przecież tu się kompromituje Eugeniusza Pawłowicza.

- Książę! Jaśnie oświecony książę! - zaczął się znowu krygować Lebediew. - Pan mi nie daje powiedzieć całej prawdy; już przecie mówiłem prawdę, i to nieraz; a pan nie pozwalał mówić dalej...

Książę milczał przez chwilę, zamyślony.

- No dobrze; niech pan mówi prawdę - rzekł z trudem najwidoczniej po ciężkiej walce.

- Agłaja Iwanowna... - zaczął od razu Lebediew.

- Niech pan milczy, niech pan milczy! - zawołał z wściekłością książę, zaczerwieniwszy się z oburzenia, a może i ze wstydu. - To być nie może, to niedorzeczność! Wszystko to pan sam wymyślił albo tacy sami jak pan wariaci. Żebym tego nigdy więcej od pana nie słyszał!

Późnym wieczorem, już około jedenastej, zjawił się Kola z całym naręczem wiadomości. Wiadomości jego były dwojakie: z Petersburga i z Pawłowska. Streścił naprędce wiadomości petersburskie (głównie o Hipolicie i wczorajszym zajściu), z tym, że jeszcze do nich powróci, i czym prędzej przeszedł do tych z Pawłowska. Trzy godziny temu wrócił z Petersburga i nie wstępując do księcia udał się wprost do Jepanczynów. „Strach, co się tam dzieje!” Oczywiście na pierwszym planie powóz, ale na pewno coś tam jeszcze zaszło, o czym ani on, ani książę nie wiedzą. „Ja oczywiście nie szpiegowałem i nie chciałem nikogo wypytywać; przyjęli mnie zresztą dobrze, tak dobrze, jak się tego nawet nie spodziewałem; ale o księciu - ani słowa! Najważniejsze i najciekawsze jest to, że Agłaja pokłóciła się z całą rodziną z powodu Gani. O co tu mianowicie poszło - nie wiadomo, ale powodem była osoba Gani (niech pan sobie wyobrazi!); kłócą się okropnie, więc musi chodzić o coś ważnego.” Generał przyjechał późno, przyjechał nachmurzony, przyjechał z Eugeniuszem Pawłowiczem, którego doskonale przyjęto, a sam Eugeniusz Pawłowicz był nad podziw sympatyczny i wesoły. Ale najkapitałniejsza wiadomość polegała na tym, że Lizawiet Prokofiewna najspokojniej w świecie wezwała do siebie Warwarę Ardalionownę, która siedziała w panińskim pokoju, i raz na zawsze wyprosiła ją z domu w sposób zresztą jak najgrzeczniejszy - „to słyszałem z własnych ust Wari”. Kiedy jednak Waria wyszła od Lizawiety Prokofiewny i pożegnała się z pannami, one nie wiedziały, że Wari wymówiono dom raz na zawsze i że ona żegna się z nimi po raz ostatni.

- Ale Warwara Ardalionowna była u mnie o godzinie siódmej - rzekł zdziwiony książę.

- A wypędzono ją przed ósmą albo o ósmej. Bardzo mi żal Wari, żal Gani... ciągle się wplątują w jakieś intrygi, bez tego żyć nie mogą. Nigdy się nie mogłem zorientować, jakie są ich zamiary, i nie chcę nic o tym wiedzieć. Upewniam jednak pana, drogi, kochany książę, że Gania ma serce. Jest to niewątpliwie człowiek pod wieloma względami stracony, ale pod wieloma innymi względami godzien jest tego, aby go poznać i odnaleźć w nim liczne cechy dodatnie; nigdy sobie nie daruję, że go dawniej nie rozumiałem... Nie wiem, czy mam dalej bywać po tej historii z Warią. Wprawdzie od pierwszej chwili zająłem stanowisko odrębne i niezależne, ale swoją drogą trzeba się zastanowić.

- Niepotrzebnie pan tak żałuje brata - zauważył w odpowiedzi na to książę. - Jeżeli już sprawy zaszły tak daleko, to widocznie Gawriła Ardalionowicz jest niebezpieczny w oczach Lizawiey Prokofiewny, a zatem pewne jego nadzieje jak gdyby się potwierdzają.

- Co, jakie nadzieje?! - zawołał zdumiony Kola. - Czy przypadkiem książę nie ma na myśli tego, że Agłaja... Nie, to niemożliwe!

Książę się nie odezwał.

- Z pana jest okropny sceptyk - dodał po chwili Kola. - Stwierdzam, że od pewnego czasu robi się książę wielkim sceptykiem; zaczyna książę niczemu nie wierzyć i ciągle coś przypuszczać... Czy w tym wypadku trafnie użyłem wyrazu „sceptyk”?

- Sądzę, że trafnie, chociaż zresztą na pewno nie wiem.

- Ale ja sam wycofuję słowo „sceptyk”, bo znalazłem nowe określenie - zawołał nagle Kola - nie jest sceptykiem, ale zazdrośnik! Książę piekielnie zazdrości Gani pewnej dumnej panny!

Powiedziawszy to, Kola zerwał się z miejsca i tak się roześmiał, jak może nigdy mu się nie udało roześmiać. Widząc, że książę się zaczerwienił, Kola jeszcze bardziej zaczął się śmiać; strasznie mu się spodobała myśl, że książę jest zazdrosny o Agłaję, ale umilkł natychmiast, gdy tylko zauważył, iż książę jest zmartwiony. Następnie rozmawiali jeszcze z wielką troską i powagą godzinę albo półtorej.

Nazajutrz książę, załatwiając pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, spędził cały ranek w Petersburgu. W drodze powrotnej do Pawłowska, już o piątej po południu, spotkał się na dworcu z Iwanem Fiodorowiczem. Generał szybko chwycił go za rękę, rozejrzał się dokoła jakby w strachu i pociągnął księcia za sobą do wagonu pierwszej klasy, żeby jechać razem. Widać było, że palił się z niecierpliwością, chcąc jak najprędzej porozumieć się z księciem w jakiejś bardzo ważnej sprawie.

- Po pierwsze, drogi książę, nie gniewaj się na mnie i gdyby coś tam było z mojej strony - zapomnij. Sam bym do ciebie wstąpił jeszcze wczoraj, ale nie wiedziałem, jak się na to będzie zapatrywała Lizawiea Prokofiewna... U mnie w domu... istne piekło, zamieszkał jakiś zagadkowy sfinks, a ja chodzę i nic nie rozumiem. Jeśli chodzi o ciebie, to, według mnie, zawiniłeś najmniej z nas wszystkich, chociaż niewątpliwie sporo się stało przez ciebie. Widzisz, książę, przyjemnie jest być filantropem, ale nie za bardzo. Sam się już może przekonałeś. Ja oczywiście lubię dobroć i poważam Lizawieę Prokofiewną, ale...

Generał długo jeszcze przemawiał w ten sposób, słowa jego jednak dziwnie się z sobą nie łączyły. Widać było, że jest wstrząśnięty i zmieszany do ostateczności czymś dla niego niepojętym.

- Dla mnie jest rzeczą najzupełniej jasną, że ty nie masz z tym nic wspólnego - wypowiedział się wreszcie wyraźniej - ale nie odwiedzaj nas na razie, proszę cię po przyjacielsku, dopóki się atmosfera w domu nie zmieni. Co się zaś tyczy Eugeniusza Pawłowicza - zawołał z niezwykłym uniesieniem - to wszystko jest bezmyślną potwarzą, potwarzą nad potwarzami! To zmowa, to intryga, to chęć poróżnienia nas wszystkich i zniszczenia wszystkiego. Widzisz, książę, mówię ci na ucho:

między nami a Eugeniuszem Pawłowiczem nie padło jeszcze ani jedno słowo, rozumiesz? Nie jesteśmy niczym związani - ale to słowo może być każdej chwili powiedziane, nawet może bardzo prędko! Więc komuś zależy na tym, żeby przeszkodzić! A dlaczego i po co - nie rozumiem! Dziwna kobieta, ekscentryczna kobieta, tak się jej obawiam, że sypiać nie mogę. Co za ekwipaż, białe konie, co za szyk; to właśnie nazywa się francuski szyk! Skąd ona to ma? Dalibóg, zgrzeszyłem, przed trzema dniami pomyślałem, że od Eugeniusza Pawłowicza. Ale okazuje się, że to zgoła niemożliwe, a jeśli niemożliwe, to dlaczego ona chce tu przeszkadzać? To dopiero zagadka! Żeby utrzymać przy sobie Eugeniusza Pawłowicza? Ale powtarzam, że oni wcale się nie znają i że te weksle - to wymysł! I tak bezczelnie krzyczy do niego per „ty” na całą ulicę! Formalny spisek! Jest rzeczą jasną, że trzeba to odrzucić z pogardą, a jeszcze zwiększyć szacunek dla Eugeniusza Pawłowicza. Taki pogląd wyraziłem w rozmowie z Lizawietą Prokofiewną. Teraz wyjawię ci najpoufniejszą myśl: jestem głęboko przekonany, że ona to robi przez osobistą zemstę w stosunku do mnie, pamiętasz, za dawne czasy, chociaż doprawdy nigdy i w niczym wobec niej nie zawiniłem. Rumienię się na samo wspomnienie. Teraz znów się zjawiała, a ja myślałem, że znikła zupełnie. Gdzież się podziewa ten Rogożyn, niechże mi pan powie? Sądziłem, że ona jest już od dawna panią Rogożyn.

Słowem, generał był mocno stropiony. Prawie przez całą drogę mówił sam, zadawał pytania i sam na nie odpowiadał, ścisnął rękę księcia i przynajmniej o tym go przekonał, że nie myśli mu nic zarzucać. Było to bardzo ważne dla księcia. Zakończył opowiadaniem o rodzonym wuju Eugeniusza Pawłowicza, naczelniku jakiejś kancelarii w Petersburgu - „na poważnym stanowisku, siedemdziesiąt lat, *viveur**, gastronom i w ogóle wścibski starowina... Cha, cha! Wiem, że on słyszał o Nastasji Filipownie i nawet chciał się do niej dostać. Przejeżdżając wstąpiłem do niego niedawno; nie przyjmuje, niezdrów, ale bogaty, bogaty, ma fortunę i... daj mu Boże cieszyć się przez długie lata zdrowiem, no, ale znów się ta jego fortuna znajdzie kiedyś w posiadaniu Eugeniusza Pawłowicza... Tak, tak... a mimo to czegoś się boję!... Nie rozumiem czego, ale boję się... Coś jakby wisi w powietrzu, jakby nietoperz, nieszczęście się zbliża, boję się, boję się, i tyle!...”

I wreszcie dopiero na trzeci dzień, jak już napisaliśmy wyżej, nastąpiło formalne pogodzenie się Jepanczynów z księciem Lwem Nikołajewiczem.

XII

Była siódma wieczorem; ksiązę wybierał się do parku. Nagle weszła do niego na taras Lizawieta Prokofiewna.

- Po pierwsze, nawet nie waż się myśleć - powiedziała - że przyszedłam cię prosić o przebaczenie. Nonsens! Jesteś pod każdym względem winien.

Ksiązę milczał.

- Jesteś winien czy nie?

- Tyle co i pani. A właściwie oboje mamy prawo nie poczuwać się do jakiejś świadomej winy. Trzy dni temu uważałem się za winnego, ale teraz doszedłem do wniosku, że tak nie jest.

- Ach, więc to tak! No, dobrze; siadaj no i słuchaj; bo ja nie mam zamiaru stać.

Usiedli.

- Po drugie, ani słowa o złych chłopakach! Posiedzę i pogawędzę z tobą dziesięć minut; przyszedłam zasięgnąć u ciebie pewnych informacji (a ty już myślałeś sobie Bóg wie co?) i jeśli choćby jedno słówko piśniesz o tych zuchwałych młokosach, wstanę i wyjdę, i zerwę z tobą raz na zawsze.

- Zgoda - odparł ksiązę.

- Pozwól, że cię spytam: czy miesiąc albo dwa i pół miesiąca temu, przed Wielkanocą, byłeś łaskaw posłać list do Agłai?

- Pi... pisałem.

- W jakim celu? Co było w liście? Pokaż list!

Oczy Lizawiety Prokofiewny płonęły, trzęsła się nieomal z niecierpliwości.

- Nie mam listu - zdziwił się i zmieszał okropnie ksiązę - jeżeli jest i w całości, to tylko u Agłai Iwanowny.

- Nie kręć! O czym pisałeś?

- Nie kręcę i niczego się nie obawiam. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym nie pisać...

- Siedz cicho! Później będziesz mówił. Co było w liście? Dlaczego się zaczerwieniłeś?

Książę pomyślał.

- Nie znam pani myśli, Lizawieto Prokofiewno. Widzę tylko, że list ten bardzo się pani nie podoba. Przyzna pani, że mógłbym nie odpowiadać na takie pytanie; ale żeby pokazać pani, że się nie boję z powodu listu i nie żałuję, że napisałem, i że nie rumienię się za niego (książę zaczerwienił się jeszcze niemal dwa razy więcej), powiem pani, co pisałem, gdyż, jak mi się zdaje, umiem ten list na pamięć.

Rzekłszy to, książę wyrecytował treść listu niemal słowo w słowo, tak jak go przedtem napisał.

- Ładna historia! Cóż ten stek nedorzeczości może, twoim zdaniem, znaczyć? - spytała ostro Lizawieta Prokofiewna, wysłuchawszy listu z niezwykłą uwagą.

- Sam dobrze nie wiem; tyle wiem, że pisałem ten list szczerze. Miewałem tam chwile, kiedy odczuwałem pełnię życia i kiedy rosły we mnie niezwykle nadzieje.

- Jakie nadzieje?

- Trudno to objaśnić: w każdym razie nie te, o jakich teraz pani, być może, myśli... Nadzieje... no, krótko mówiąc, nadzieje przyszłości i radosnej wiary w to, że może tam nie jestem obcym, nie jestem cudzoziemcem. Bardzo mi się nagle spodobało w ojczyźnie. Pewnego słonecznego ranka wziąłem pióro i napisałem do niej list; dlaczego do niej - nie wiem. Czasami przecież pragnie się mieć obok siebie przyjaciela; i mnie widocznie zachciało się przyjaciela... - dodał po chwili milczenia książę.

- Zakochałeś się czy co?

- Nnie. Pisałem... jak do siostry; podpisałem się zresztą: brat.

- Hm; naumyślnie; rozumiem.

- Bardzo mi ciężko odpowiadać na te pytania, Lizawieto Prokofiewno.

- Wiem, że ciężko, ale mnie to nic a nic nie obchodzi, że ci jest ciężko. Słuchaj no, mów mi prawdę, jak przed Panem Bogiem: kłamiesz czy nie kłamiesz?

- Nie kłamię.

- To prawda, że nie jesteś zakochany?

- Zdaje się, że najzupełniejsza prawda.

- Widzicie go: „zdaje się”! Przez chłopaka posyłałeś?

- Prosiłem Mikołaja Ardalionowicza.

- Chłopak, chłopak! - przerwała gwałtownie Lizawieta Prokofiewna. - Nie chcę nawet wiedzieć

o żadnym Mikołaju Ardalionowiczu! Chłopak!

- Mikołaj Ardalionowicz...

- Mówię ci: chłopak!

- Nie, nie chłopak, ale Mikołaj Ardalionowicz - stanowczo, chociaż dosyć cicho odpowiedział wreszcie księżę.

- No dobrze, mój drogi, dobrze! Zapamiętam to sobie.

Przez chwilę starała się opanować swoje zdenerwowanie i milczała.

- A co to znaczy: „biedny rycerz”?

- Zupełnie nie wiem; to jakiś żart, wymyślony bez mojego udziału.

- Miło mi się o tym dowiedzieć! Tylko czyż ona mogła się tobą zainteresować? Sama cię przecież nazywała „potworkiem” i „idiotą”.

- Mogłaby mi pani tego nie powtarzać - z wyrzutem, po cichu zauważył księżę.

- Nie gniewaj się. Dziewczyna jest samowolna, zwariowana, zepsuta - jak kogo lubi, to mu na głos urąga i w oczy się z niego wyśmiewa; ja byłam taka sama. Tylko, mój drogi, nie triumfuj, nie jest twoja; wierzyć w to nie chcę; nigdy twoją nie będzie! Mówię to, żebyś wiedział, jak masz się zachowywać. Słuchaj, przysięgnij mi, że się z tą nie ożeniłeś.

- Lizawieto Prokofiewno, co też pani mówi, na miłość boską! - Księżę o mało nie podskoczył ze zdumienia.

- Przecież chyba miałeś się ożenić?

- Tak, miałem się ożenić - szepnął księżę i schylił głowę.

- Więc w niej jesteś zakochany czy co? Dla niej teraz przyjechałeś? Dla tej?

- Przyjechałem nie po to, żeby się żenić - odpowiedział księżę.

- Czy jest na świecie coś dla ciebie świętego ?

- Jest.

- Przysięgnij, że nie po to, żeby się z tą żenić.

- Przysięgam, na co pani chce.

- Wierzę; pocałuj mnie. Nareszcie odetchnęłam swobodnie; ale wiedz o tym, że Agłaja cię nie kocha i dopóki ja żyję, nie wyjdzie za ciebie! Zakarbuj to sobie! Słyszysz?

- Słyszę.

Książę tak się zarumienił, że nie mógł po prostu patrzeć na Lizawietę Prokofiewnę.

- Zapamiętaj więc sobie. Czekałam na ciebie jak na Opatrzność (niewart byłś tego!), poduszkę swoją w nocy oblewałam rzewnymi łzami - nie o ciebie mi chodziło, mój drogi, mam inne zmartwienie, wieczne i zawsze to samo. Ale powiem ci, dlaczego z taką niecierpliwością czekałam na ciebie: wciąż jeszcze wierzę, że sam Pan Bóg zesłał mi ciebie jako przyjaciela i jako rodzzonego brata. Nie mam przy sobie nikogo prócz starej Bielokońskiej, a i ta odleciała, a w dodatku ze starości głupia jest jak baran. Teraz odpowiedz mi wprost tak albo nie: czy wiesz, dlaczego ona przed trzema dniami krzyczała z powozu?

- Daję słowo honoru, że udziału w tym nie brałem i o niczym nie wiem!

- Dosyć, wierzę. Teraz i ja inaczej o tym sędzę, ale jeszcze wczoraj rano oskarżałam o wszystko Eugeniusza Pawłowicza. Całą przedwczorajszą dobę i wczorajszy ranek. Teraz oczywiście nie mogę się z nimi nie zgodzić; jest rzeczą pewną, że z niego zrobiono błazna, wykpieno go dla czegoś, po coś, na coś (już to samo jest podejrzane! i nieładne!) - ale Agłaja nie zostanie jego żoną, mówię ci to! Niech to sobie będzie dobry człowiek, ale z tego małżeństwa musi zrezygnować. Przedtem się jeszcze wahałam, ale teraz już ostatecznie postanowiłam: „Włóż mię najpierw do trumny, zakop w ziemi, a potem dopiero wydaj za niego córkę” - tak dzisiaj wyrębałam mojemu mężowi.

- Widzę i rozumiem.

Lizawieta Prokofiewna przenikliwym wzrokiem wpatrywała się w księcia: może bardzo pragnęła dowiedzieć się, jakie wrażenie zrobiła na nim wiadomość o Eugeniuszu Pawłowiczu.

- O Gawrile Iwołginie nic nie wiesz ?

- Owszem... nawet dużo.

- Wiedziałaś czy nie, że on się komunikuje z Agłają?

- Zupełnie nie wiedziałem - zdziwił się i nawet zadrżał książę. - Więc pani mówi, że Gawriła Ardalionowicz komunikuje się z Agłają Iwanowną? To niemożliwe!

- Od niedawna. Jego siostra przez całą zimę torowała mu drogę, pracowała jak szczur.

- Nie wierzę - powtórzył twardo książę po chwili namysłu i wzruszenia. - Gdyby tak było, wiedziałbym o tym na pewno.

- Myślisz, że przyszedłby sam do ciebie i na piersi twojej przyznałby się do tego z płaczem! Ach, ty głuptasie, głuptasie! Wszyscy cię oszukują jak... jak... I nie wstyd ci tak mu dowierzać? Nie widzisz, że on cię z kretesem okpił?

- Aż nadto dobrze wiem, że on mię czasem oszukuje - niechętnie powiedział książę półgłosem - i on też wie, że ja wiem o tym... - dodał nie kończąc, myśli.

- Wiedzieć i dowierzać! Tego tylko brakowało! Zresztą po tobie można się było tego spodziewać. Nie wiadomo dlaczego się dziwię. O Boże! Czy istniał kiedyś drugi taki człowiek! Tfu! A czy ty wiesz, że ten Ganka albo ta Warka zaznajomili ją z Nastasją Filipowną?

- Kogo? - zawołał ksiązę.

- Agłaję.

- Nie wierzę! To niemożliwe! W jakim celu?

Zerwał się z krzesła.

- I ja nie wierzę, ale są poszlaki. Dziewczyna samowolna, fantastka, zwariowana! Zła, zła, zła dziewczyna! Tysiąc lat będę twierdzić, że zła! Wszystkie one takie się teraz porobiły, nawet zmokła kura Aleksandra, ale ta to już po prostu się zbuntowała. Ale też nie wierzę! Może dlatego, że nie chcę wierzyć - dodała jakby do siebie samej. - Czemu nie przychodziłeś całe trzy dni? - krzyknęła mu niecierpliwie po raz drugi.

Ksiązę zaczął wyluszczać przyczyny, ale znów mu przerwała.

- Wszyscy cię uważają za głupka i oszukują! Jeździłeś wczoraj do miasta; mogłabym się założyć, że klęczałeś przed tym szubrawcem i prosiłeś go, żeby przyjął od ciebie dziesięć tysięcy!

- Bynajmniej, nawet na myśl mi to nie przyszło. Nie widziałem go zresztą na oczy, a poza tym to nie jest szubrawiec. Dostałem od niego list.

- Pokaż ten list!

Ksiązę wyjął z teki kartkę i podał ją Lizawiecie Prokofiewnie. Treść listu była następująca:

„Szanowny Panie, w oczach ludzkich nie mam naturalnie żadnego prawa do miłości własnej. W opinii ludzkiej jestem na to zbyt wyraźnym zerem. Ale to w oczach ludzkich, nie w oczach Pana. Aż nadto się przekonałem, że Pan, szanowny Panie, jest może lepszy od innych. Nie zgadzam się z Doktorenką i różnię się z nim co do tego. Nie wezmę od Pana nigdy nawet grosza, Pan jednak pomógł mojej matce i za to powinienem być Panu wdzięczny, chociażby przez słabość. W każdym razie patrzę na Pana inaczej i uważałem za stosowne powiadomić Pana o tym. Myślę więc, że nie może być pomiędzy nami żadnych dalszych stosunków.

Antyp Burdowski”

„PS. Brakująca do dwustu rubli suma zostanie Panu z biegiem czasu na pewno spłacona.”

- Co za bzdury! - stwierdziła Lizawieta Prokofiewna rzucając z powrotem kartkę. - Nie warto było czytać. Czego się tak półgębkiem uśmiechasz?

- Niech pani przyzna, że i pani było przyjemnie przeczytać.

- Co? Te bzdury nasiąknięte próżnością? Czy nie widzisz, że oni wszyscy bziaka dostali z dumy i pychy?

- Tak, ale on jednak uznał się za winnego, zerwał z Doktorenką, a im bardziej jest próżny, tym więcej kosztowało go to, żeby się ukorzyć. O, jakież z pani jest małe dziecko, Lizawieto Prokofiewno!

- Cóż to, chcesz w końcu, żebym ci wycięła policzek ?

- Nie, bynajmniej tego nie chcę. Mówię to dlatego, że pani cieszy się z listu, a chce to ukryć. Dlaczego wstydzi się pani swoich uczuć? I zawsze jest z panią to samo.

- No to żebyś teraz nie śmiał nawet na krok zbliżyć się do mnie - gwałtownie wstała z krzesła Lizawieta Prokofiewna, aż blada z gniewu - żebyś nawet swojego nosa nie ważył się u mnie pokazać!

- A po trzech dniach sama pani przyjdzie i poprosi do siebie... Jak pani nie wstyd? To są pani najszlachetniejsze uczucia, dlaczego pani się ich krępuje? Przecież sama pani się tym męczy.

- Umrę - a nigdy cię do siebie nie poproszę! Zapomnę, jak się nazywasz! Już zapomniałam!

Odskoczyła od niego.

- I tak mi już zabroniono pokazywać się u pani! - krzyknął książę za nią.

- Co? Kto ci zabronił?

Odwróciła się raptem, jakby ukłuta szpilką. Książę zwlekał z odpowiedzią; poczuł, że niechęć, ale jak najfatalniej się wygadał.

- Kto ci zabronił?! - krzyknęła szalonym głosem Lizawieta Prokofiewna.

- Agłaja Iwanowna mi zabroniła...

- Kiedy? No mówże!!!

- Dziś z samego rana przysłała, żebym nigdy u państwa się nie pokazywał.

Lizawieta Prokofiewna stała bez ruchu jak wryta, ale usilnie się zastanawiała.

- Co przysłała? Kogo przysłała? Chłopaka? Bez kartki? - zaczęła znów krzyczeć.

- Dostałem kartkę - powiedział książę.

- Gdzie ta kartka? Dawaj ją! Natychmiast!

Książę pomyślał chwilę, jednak wyjął z kieszeni kamizelki niedbale złożony skrawek papieru, na którym było napisane:

„Książę Lwie Nikołajewiczu! Jeżeli po tym wszystkim, co było, zamierza Pan wprowadzić mnie w zdumienie, odwiedzając naszą willę, to może Pan być pewny, że ja na pewno nie będę jedną z tych osób, które się ucieszą.

Agłaja Jepanczyn”

Lizawieta Prokofiewna rozmyślała dobrą minutę; potem nagle podbiegła do księcia, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Natychmiast! Idź! Właśnie teraz, w tej chwili! - zawołała w przystępie niezwykłego wzburzenia i zniecierpliwienia.

- Ależ pani mię naraża...

- Na co? Niewinny głuptas! Jakby nawet nie mężczyzna! No, teraz wszystko sama zobaczę na własne oczy...

- Niechże mi pani pozwoli chociaż wziąć kapelusz...

- Masz tu swoje ohydne kapeluszysko, chodźmy! Nie umiałeś nawet wybrać sobie jakiegoś gustownego fasonu!... To ona... to ona po tych ostatnich wydarzeniach... to wskutek gorączki - mamrotała Lizawieta Prokofiewna, ciągnąc za sobą księcia i nawet na chwilę nie wypuszczając jego ręki. - Niedawno dopiero stanęłam w twojej obronie, powiedziałam na głos, że jesteś głupi, nie przychodząc do nas... inaczej nie byłaby napisała takiej niedorzecznej kartki! Nieprzyzwoitej kartki! Że też taką nieprzyzwoitą kartkę mogła napisać szlachetna, dobrze wychowana i mądra dziewczyna!... Hm! - ciągnęła dalej. - Może jej nawet było przykro, że nie przychodzisz, ale nie wzięła pod uwagę tego, że do idioty pisać tak nie można, bo zrozumie wszystko dosłownie, no i tak się też stało. Czego podsluchujesz?! - krzyknęła widząc, że się wygadała. - Potrzeba jej takiego błazna jak ty, dawno cię nie widziała, więc cię w ten sposób zaprasza! A ja się cieszę, cieszę, że ona teraz weźmie cię na ząbek! Wart jesteś tego. A ona to potrafi, oj, potrafi!

CZEŚĆ TRZECIA

I

Słyszycie ciągle narzekania, że brak nam ludzi praktycznych; że polityków na przykład jest bardzo dużo; generałów też dużo; różnych zarządców można każdej chwili znaleźć tyle, ile się chce i jakich się chce - a ludzi praktycznych nie ma. Przynajmniej wszyscy się uskarżają na to, że ich brak. Mówią nawet, że na niektórych kolejach żelaznych nie ma przyzwoitej obsługi; że administracji jako tako znośnej w którymkolwiek towarzystwie żegluga parowej utworzyć nie sposób. Tu się słyszy, że na jakiejś nowo otwartej linii zderzyły się czy spadły z mostu wagony; tam się czyta, że pociąg o mało nie przezimował wśród śnieżnego pola: podróż miała trwać kilka godzin, a tymczasem pasażerowie spędzili pięć dni w śniegu. To znów opowiadają, że wiele tysięcy pudów towaru gnieje na jednym miejscu po dwa albo trzy miesiące w oczekiwaniu na ekspedycję, a gdzie indziej podobno (choć trudno w to uwierzyć) pewien administrator czy też jakiś nadzorca „wyadministrował” po twarzy swojego podwładnego, który domagał się wysłania towaru, i swój „administracyjny” postępek tłumaczył tym, że „trochę się uniósł”. Zdawałoby się, że tyle jest stanowisk w urzędach państwowych - aż strach pomyśleć; wszyscy albo służyli, albo służą, albo mają zamiar służyć - więc czy nie można by z takiego materiału ludzkiego zrobić przyzwoitej administracji żeglugowej?

Daje się czasem na to odpowiedź bardzo prostą - tak dalece prostą, że trudno niemal uwierzyć w takie wyjaśnienie. To prawda, mówią niektórzy, iż u nas wszyscy byli albo też są urzędnikami, stan taki trwa już od dwustu lat według najlepszych wzorów niemieckich, od pradziadów do prawników - ale właśnie urzędnicy są ludźmi najmniej praktycznymi i doszło do tego, że jeszcze nie tak dawno abstrakcyjność i brak umiejętności praktycznych uchodziły wśród samych urzędników nieomal za najwyższą cnotę i najlepszą rekomendację. Zresztą niepotrzebnie zeszliśmy na temat urzędników, chcieliśmy przecież mówić o ludziach praktycznych. Tu już nie ma wątpliwości, że nieśmiałość i najzupełniejszy brak inicjatywy własnej uważany był u nas za najważniejszą i najlepszą cechę człowieka praktycznego - i nawet teraz jeszcze tak się myśli. Po cóż jednak winić tylko siebie, jeżeli mamy traktować tę opinię jako oskarżenie? Brak oryginalności wszędzie na całym świecie i od wieków uważany był za główną zaletę i najlepszą rekomendację człowieka dzielnego, pracowitego i praktycznego; co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć setnych ludzi (o ile nie więcej jeszcze) miało to przekonanie, a tylko najwyżej jedna setna stale zapatrywała się i zapatruje inaczej.

Wynalazcy i geniusze prawie zawsze na początku swojej działalności (a bardzo często i przy końcu) uważani byli w społeczeństwie za głupców - jest to prawda aż nadto oklepana i powszechnie znana. Jeżeli na przykład w przeciągu dziesiątków lat wszyscy nosili swoje pieniądze do banku i znieśli tam miliardy na cztery procent, to oczywiście gdyby banku nagle zabrakło i każdy musiałby polegać na własnej inicjatywie, większa część tych milionów niechybnie utonąłaby w gorączce spekulacyjnej i znalazłaby się w rękach oszustów - wymagałaby tego prosta moralność i przyzwoitość. Właśnie moralność; jeżeli cnotliwa nieśmiałość i przyzwoity brak oryginalności stanowiły u nas dotąd, wedle powszechniej opinii, nieodłączną zaletę człowieka dzielnego i porządnego, byłoby rzeczą aż nadto nieporządną i nawet nieprzyzwoitą zmienić się tak raptownie. Która na przykład matka, czule kochająca swoje dziecko, nie przestraszy się i nie zachoruje ze strachu, jeżeli jej syn albo córka choć trochę zбочą ze zwykłej drogi: „Nie, już niech lepiej będzie szczęśliwe i żyje w dostatku, chociaż bez oryginalności” - myśli każda matka kołysząc swoją

pociechę. A nasze nianki, kołyszając dzieci, od dawien dawna zawodzą i przyspiewują: „Będiesz w szczerym złocie chodził, generalskie szlify[89] nosił!” Tak więc nawet w oczach naszych nianek stopień generała był szczytem rosyjskiego szczęścia, a co za tym idzie, był najpopularniejszym narodowym ideałem wspaniałego, spokojnego życia. I rzeczywiście: po miernym zdaniu egzaminów i przesłużeniu trzydziestu pięciu lat - któż u nas mógł się wreszcie nie dochrapać generalskich szlifów i nie uciulać sobie pewnej sumy w banku? W ten sposób Rosjanin prawie bez żadnych wysiłków zdobywał sobie miano człowieka dzielnego i praktycznego. W istocie nie zostać generałem mógł u nas tylko człowiek oryginalny albo, inaczej mówiąc, niespokojny. Może tu zachodzi pewne nieporozumienie, ale, przeciętnie biorąc, zdaje się, że tak jest, i społeczeństwo nasze było najzupełniej sprawiedliwe określając własny ideał człowieka praktycznego. Niemniej jednak wypowiedzieliśmy wiele rzeczy zbytecznych; a właściwie chcieliśmy powiedzieć kilka wyjaśniających słów o znanej nam rodzinie Jepanczynów. Ludzie ci, a przynajmniej rozsądniejsi członkowie tej rodziny, cierpieli na jedną, rzec by można, familijną chorobę, wprost przeciwstawną tym cnotom, o których dopiero co była wyżej mowa. Nie rozumiejąc faktu całkowicie (ponieważ trudno go zrozumieć), podejrzewali czasem, że w ich rodzinie wszystko się odbywa nie tak jak w innych rodzinach. W innych rodzinach gładko, u nich chropowato; inni kroczą równą drogą - oni co chwila zbaczą z drogi; inni raz po raz cnotliwie trzęsą się ze strachu - oni nie. Lizawieta Prokofiewna wprawdzie aż nadto się lękała, nie była to jednak owa przyzwoita światowa lękliwość, do której tęsknili. Ale chyba tylko Lizawieta Prokofiewna niepokoiła się dość często: panny były jeszcze młode - chociaż bardzo spostrzegawcze i ironiczne, a generał, aczkolwiek też spostrzegał wiele rzeczy (nie bez trudu zresztą), jednak w kłopotliwych sytuacjach mawiał tylko: „hm!” i ostatecznie pokładał wszelkie nadzieje w Lizawiecie Prokofiewnie. A więc na niej ciążyła odpowiedzialność. I nie można powiedzieć, żeby rodzina wyróżniała się na przykład jakąś własną inicjatywą albo schodziła z prostej drogi, świadomie dążąc do oryginalności, co byłoby już całkiem nieprzyzwoite. O nie! W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca, to znaczy nie było żadnego świadomie zakreślonego celu, a jednak koniec końcem wynik był taki, że rodzina Jepanczynów, chociaż ze wszech miar godna szacunku, była jakaś niezupełnie taka, jaką powinna być każda szanowana rodzina. Ostatnimi czasy Lizawieta Prokofiewna sama zaczęła o wszystko winić siebie i swój „nieszczęśliwy” charakter - wskutek tego spotęgowały się jej cierpienia. Sama co chwila nazywała siebie „głupią, nieprzyzwoitą dziwaczką” i dręczyła się różnymi wątpliwościami, ciągle wpadała w rozterkę, nie znajdując wyjścia z jakiegoś najzwyczajszego zbiegu okoliczności, i co chwila przesadnie kwalifikowała swoje zmartwienia.

Już na początku naszej opowieści wspomnieliśmy, że Jepanczynowie cieszyli się istotnie powszechnym szacunkiem. Nawet sam generał Iwan Fiodorowicz, człowiek niewyraźnego pochodzenia, był wszędzie przyjmowany bez żadnych kwestii i z respektem. Bo też na respekt zasługiwał, po pierwsze jako człowiek bogaty i z nie najgorszą pozycją społeczną, a po drugie, jako człowiek zupełnie przyzwoity, chociaż dość ograniczony. Ale pewna tępota umysłowa jest, jak się zdaje, konieczną cechą jeśli nie każdego działacza, to przynajmniej każdego człowieka poważnie ciułającego pieniądze. Wreszcie generał był dobrze ułożony, skromny, umiał milczeć, a zarazem nie dać sobie deptać po nogach, i to nie tylko ze względu na swoje generalstwo, ale po prostu jako człowiek uczciwy i szlachetny. Najważniejsze było to, że korzystał z mocnej protekcji. Co zaś się tyczy Lizawiety Prokofiewny, to, jak już wspomniano wyżej, pochodziła z dobrej rodziny, aczkolwiek do pochodzenia nie przywiązuje się u nas nadmiernej wagi, jeśli nie ma przy tym odpowiednich stosunków. Ale zdobyła wreszcie i stosunki; poważały ją i polubiły w końcu takie

osobistości, że w rezultacie, rzecz prosta, wszyscy musieli ją poważać i przyjmować. Niewątpliwie wszystkie jej rodzinne udręki pozbawione były podstaw, wynikały z przyczyn błahych i wyolbrzymione były aż do śmieszności; jeśli ktoś jednak ma brodawkę na nosie albo na czole, to wciąż mu się zdaje, że nikt nic innego nie ma do roboty, jak tylko patrzeć na tę brodawkę, śmiać się z niej i potępiać za nią człowieka, chociażby ten człowiek nawet odkrył Amerykę. Nie ma też wątpliwości, że w towarzystwie uważano Lizawietę Prokofiewną za „dziwaczkę”; szanowano ją jednak bezsprzecznie; a Lizawietę Prokofiewną przestała ostatecznie wierzyć i w to, że ją ludzie szanują - i na tym polegało jej całe nieszczęście. Patrząc na swoje córki męczyła się przypuszczeniem, że ciągle szkodzi czymś ich karierze, że charakter jej jest śmieszny, nieprzyzwoity i nieznośny - o co znów bezustannie obwiniła swoje własne córki oraz Iwana Fiodorowicza i kłóciła się z nimi po całych dniach, kochając je jednocześnie aż do zapamiętałości i nieomal z pasją.

Najwięcej męczyło ją podejrzenie, że i córki jej stają się takimi samymi „dziwaczkami” jak ona i że takich panien jak one nie ma, i nawet nie powinno być na świecie. „Nihilistki się z nich robią, i basta!” - powtarzała w myśli co chwila. W ciągu ubiegłego roku, a zwłaszcza ostatnio ta smutna myśl na dobre się w niej zakorzeniła. „Po pierwsze, dlaczego one nie wychodzą za mąż?” - zapytywała sama siebie raz po raz. „Żeby dręczyć matkę - w tym widzą cel swojego życia, a dzieje się to oczywiście dlatego, że takie są te nowe idee, ta przeklęta kwestia kobieca! Czyż Agłaja pół roku temu nie wpadła na pomysł, żeby sobie obciąć swoje wspaniałe włosy? (Boże, przecież ja nigdy nie miałam takich włosów, nawet w młodości!) Już trzymała w ręku nożyczki, na kolanach ją uprosiłam, żeby dała spokój!... No, ta robiła to może ze złości, żeby dokuczyć matce, bo jest zła, kapryśna, rozpieszczona, ale przede wszystkim zła, zła, zła! Ale czy ta gruba Aleksandra nie chciała również iść za jej przykładem i obciąć sobie swoich kudłów, i to już nie ze złości, nie dla kaprysu, tylko szczerze, jak głupia, bo ją Agłaja przekonała, że bez włosów będzie jej się lepiej spało i głowa ją nie będzie boleć! A iluż, iluż, iluż - w ciągu pięciu lat - miały narzeczonych? Byli pomiędzy nimi ludzie zacni, nawet wspaniali! Na co one czekają, dlaczego nie wychodzą za mąż? Tylko żeby matce dokuczyć - innego powodu nie ma! Żadnego! Żadnego!”

Na koniec weszło słońce dla jej macierzyńskiego serca; przynajmniej jedna córka, przynajmniej Adelajda będzie miała wreszcie zapewniony los. „Przynajmniej jednego kłopotu się pozbędę” - mówiła Lizawietę Prokofiewną, kiedy zdarzało się jej mówić na głos (w duchu wyrażała się bez porównania czulej.) I jak ładnie, jak przyzwoicie załatwiono całą sprawę, nawet w sferach towarzyskich oceniano to jak należy. Człowiek znany, książę, z majątkiem, człowiek dobry, i w dodatku przypadł jej do gustu - czyż mogło się złożyć lepiej? Ale o Adelajdę i dawniej nie tak się bała jak o inne córki, chociaż jej artystyczna żyłka bardzo niekiedy trapiła gubiące się ciągle w wątpliwościach serce Lizawietę Prokofiewny. „Za to usposobienie ma wesołe i dużo rozsądku - więc dziewczyna nie zginie” - pocieszała się w końcu sama. Najbardziej lękała się o Agłaję. Co zaś się tyczy najstarszej Aleksandry, to Lizawietę Prokofiewną po prostu nie wiedziała, jak się ma zachować: lękać się o nią czy nie? Raz jej się wydawało, że już dziewczyna „całkiem stracona”, skończyła dwadzieścia pięć lat, więc chyba zostanie starą panną. I to „z taką urodą!...” Lizawietę Prokofiewną myśląc o niej nawet płakała po nocach, podczas gdy Aleksandra Iwanowna spała najspokojniej w świecie. „Cóż ona sobie myśli! Nihilistka czy po prostu głupia?” Że nie była głupia, co do tego Lizawietę Prokofiewną nie miała żadnych wątpliwości: ta jedyna z córek bardzo się liczyła z każdym zdaniem Lizawietę Prokofiewny i lubiła zwracać się do niej o radę. Ale że „zmokła kura” - to ani chybi: „taka spokojna, że nie sposób jej rozruszać! Zresztą i „zmokłe kury nie są

spokojne - tfu! Straciłam przy niej głowę!” Lizawietę Prokofiewną miała jakąś niewytłumaczoną, pełną współczucia sympatię do Aleksandry Iwanowny, większą nawet niż do Agłai, która była jej bóstwem. Ale zgryźliwe uwagi (w których głównie przejawiała się jej matczyzna troskliwość i sympatia), zaczepki, takie epitety jak „zmokła kura” tylko rozśmieszały Aleksandrę. Dochodziło czasem do tego, że najbłahsze rzeczy okropnie irytowały Lizawietę Prokofiewną i wytrącały ją z równowagi. Aleksandra Iwanowna lubiła na przykład długo sypiać i zazwyczaj miewała mnóstwo najróżniejszych snów; ale sny jej odznaczały się jakąś niezwykłą pustotą i niewinnością - właściwą siedmioletniemu dziecku; otóż nie wiadomo dlaczego, ta niewinność snów zaczęła matkę denerwować. Razu pewnego Aleksandrze Iwanownie przyśniło się dziewięć kur i stąd wynikła formalna kłótnia pomiędzy nią a matką; dlaczego? - trudno to nawet wytłumaczyć. Raz tylko, jeden tylko raz udało się jej zobaczyć we śnie coś bardziej oryginalnego - zobaczyła mnicha, samotnego, w jakimś ciemnym pokoju, do którego wciąż się bała wejść. Sen powtórzył od razu Lizawiecie Prokofiewnie, z całą powagą, dwie roześmiane siostry; ale matka znów się rozgniewała i nazwała wszystkie trzy głupimi „Hm! spokojna jak każdy głupiec, prawdziwa „zmokła kura”, nie można jej rozruszać, a wciąż smutna, doprawdy, czasem tak smutno patrzy! Czym się tak martwi, czym?” Niekiedy zadawała to pytanie mężowi, i zazwyczaj histerycznie, groźnym tonem, oczekując niezwłocznej odpowiedzi. Iwan Fiodorowicz mruczał coś pod nosem, marszczył brwi, wzruszał ramionami i wreszcie, rozkładając ręce, konkludował:

- Męża jej potrzeba!

- Tylko nie daj jej Boże takiego jak ty - wybuchała na koniec jak bomba Lizawietę Prokofiewną - nie z takim umysłem i nie z taką wolą; nie takiego ordynarnego prostaka jak ty, Iwanie Fiodorowiczu...

Iwan Fiodorowicz ratował się niezwłoczną ucieczką, a Lizawietę Prokofiewną uspokajała się po swoim „wybuchu”. Oczywiście tego samego dnia pod wieczór stawała się z reguły nadzwyczaj cicha, cicha, życzliwa i pełna respektu dla Iwana Fiodorowicza, dla swojego „ordynarnego prostaka” Iwana Fiodorowicza, dla swojego miłego, dobrego i ubóstwianego Iwana Fiodorowicza, którego całe życie lubiła i w którym była nawet zakochana, o czym doskonale wiedział sam Iwan Fiodorowicz i nieskończenie za to szanował swoją Lizawietę Prokofiewną.

Ale główną i stałą przyczyną jej udręki była Agłaja.

„Zupełnie taka sama jak ja, mój wizerunek co do joty - mówiła do siebie Lizawietę Prokofiewną - rozpuszczone, niezdolne diablątko! Nihilistka, dziwaczka, szalona, zła, zła, zła! O Boże, jaka ona będzie nieszczęśliwa!”

Ale, jak już powiedzieliśmy, słońce, które wzeszło, załagodziło wszystko i na chwilę rozjaśniło firmament rodzinny. Był to miesiąc w życiu Lizawiety Prokofiewny, kiedy znalazła zupełne wytchnienie od wszystkich zmartwień. W związku ze zbliżającym się ślubem Adelajdy zaczęto w towarzystwie mówić i o Agłai, która zachowywała się wszędzie tak wzorowo, tak spokojnie, tak mądrze, tak zwycięsko, trochę wyniosłe, ale tak jej z tym było do twarzy! Taka miła, taka uprzedzająco grzeczna była dla matki przez cały miesiąc! („Tak, tego Eugeniusza Pawłowicza trzeba jeszcze dobrze spenetrować, trzeba go rozgryźć, bo zresztą i Agłaja nie większą zwraca na niego uwagę niż na innych!”) Zrobiła się z niej nagle taka urocza dziewczyna - jaka ładna, mój Boże, jaka

ładna, z dnia na dzień ładniejsza! I oto...

I oto zaledwie zjawił się ten wstrętny książę, ten nędzny idiota, wszystko się znów zagmatwało, wszystko się w domu wywróciło do góry nogami!

Cóż się jednak stało?

Dla innych nie byłoby to z pewnością nic nadzwyczajnego. Ale tym się właśnie odznaczała Lizawieta Prokofiewna, że w kombinacji i plątaninie najzwyczajszych rzeczy, poprzez towarzyszący jej stale niepokój zdołała zawsze dojrzeć coś takiego, co napępiało ją niekiedy strachem i niemal przyprawiało o chorobę, co przerażało ją w sposób trudny do wytłumaczenia, a więc najgorszy, jaki może być. Jakże się tedy miała czuć obecnie, kiedy ni stąd, ni zowąd, z całej masy śmiesznych i bezpodstawnych obaw zaczęło się wyłaniać coś naprawdę ważnego, coś jakby rzeczywiście zasługującego na niepokój, wątpliwości i podejrzenia.

„Jak śmiał, jak śmiał mi ktoś napisać ten przekłety anonimowy list o tej „kreaturze”, która niby jest w stosunkach z Agłają ? - myślała Lizawieta Prokofiewna przez całą drogę, ciągnąc za sobą księcia, i w domu, gdzie go posadziła przy okrągłym stole wśród zgromadzonej tam całej rodziny. - I jak śmiał ktoś nawet pomyśleć o tym? Chyba umarłabym ze wstydu, gdybym uwierzyła w to chociaż odrobinę albo pokazała ten list Agłai! Takie żarty robić z nas, z Jępanczyków! A to wszystko przez Iwana Fiodorowicza, wszystko przez ciebie, Iwanie Fiodorowiczu! Ach, dlaczego nie pojechaliśmy na Jełagin[90], mówiłam przecie, żeby tam jechać! Może Waria ten list napisała, domyślam się, albo może... wszystkiemu, wszystkiemu winien Iwan Fiodorowicz! To z niego sobie zakpiła ta „kreatura”, z powodu dawnych stosunków, żeby go wystrychnąć na dudka, tak samo jak wyśmiewała się z niego dawniej niby z ostatniego durnia, wodziła go za nos, kiedy jeszcze przynosił jej perły... A koniec końcem jesteśmy w to wmieszani, jednak twoje córeczki są w to wmieszane, Iwanie Fiodorowiczu; panny z dobrego domu, z najlepszego towarzystwa, panny na wydaniu; znajdowały się tutaj, stały tutaj, wszystko słyszały i wplątane są w historię z jakimiś ordynusami; ciesz się, że też byłeś tutaj i słyszałeś! Nie daruję, nie daruję temu książątku, nigdy nie daruję! I dlaczego Agłaja już od trzech dni histeryzuje, dlaczego się kłóci z siostrami, nawet z Aleksandrą, którą zawsze po rękach całowała jak matkę - tak ją szanowała? Dlaczego już od trzech dni każe wszystkim rozwiązywać zagadki? Co ma do tego Gawriła Iwołgin? Dlaczego wczoraj i dzisiaj zaczęła chwalić Gawriłę Iwołgina i rozplakała się? Dlaczego o tym przekłętym „biednym rycerzu” jest mowa w tym anonimowym liście, podczas gdy ona nie pokazała listu księcia nawet siostram? I po co... dlaczego, dlaczego ja sama teraz pobiegłam jak kot z pęcherzem i sprowadziłam go tutaj ? Boże, chyba zwariowałam, cóż ja teraz narobiłam! Z młodym człowiekiem rozmawiać o sekretach córki, i w dodatku... i w dodatku o takich sekretach, które dotyczą nieomal jego samego! O Boże, dobrze jeszcze, że on jest idiotą i... i... przyjacielem domu! Tylko czy to możliwe, żeby Agłai spodobał się taki potworek? O Boże, co ja plotę! Tfu! Ależ z nas oryginały... można by nas wszystkich pokazywać za szkłem, mnie pierwszą, i brać po dziesięć kopiejek za wstęp. Nie daruję ci tego, Iwanie Fiodorowiczu, nigdy ci nie daruję! I dlaczego ona mu teraz nie docina? Obiecała docinać i nie docina! O, o, wbiła w niego oczy, nic nie mówi, nie odchodzi, stoi, a sama przecież kazała mu nie przychodzić... On siedzi błądy. A ten przekłety gaduła Eugeniusz Pawłowicz zapanował nad całą rozmową! Patrzcie no, jak się to rozwodzi, nikomu nie da nawet słówka wtrącić. Zaraz bym się o wszystkim dowiedziała, żeby tylko rozmowę odpowiednio skierować...”

Książę istotnie siedział bardzo blady przy okrągłym stole i, jak się mogło zdawać, był jednocześnie w okropnym strachu, a chwilami w niezrozumiałym dla niego, wypełniającym całą jego duszę zachwycie. O, jakże bał się spojrzeć w tę stronę, w ten kąt, z którego badawczo patrzyło na niego dwoje znanych mu czarnych oczu, i jakże jednocześnie zamierał ze szczęścia, widząc, że znowu siedzi między nimi, że zaraz usłyszy znajomy głos - po tym, co mu napisała. „Boże, co ona teraz powie!” Sam nie wymówił jeszcze ani jednego słowa i z natężeniem słuchał krasomówczych popisów Eugeniusza Pawłowicza, który jak rzadko kiedy, był teraz bardzo z siebie zadowolony i pełen animuszu. Książę słuchał go i przez dłuższy czas nie rozumiał prawie ani słowa. Oprócz Iwana Fiodorowicza, który nie wrócił jeszcze z Petersburga, zebrali się wszyscy. Był również książę Sz. Całe towarzystwo miało, zdaje się, zamiar po pewnym czasie, jeszcze przed herbatą, iść posłuchać muzyki. Obecną rozmowę wszczęto najwidoczniej przed przyjściem księcia. Wkrótce nie wiadomo skąd zjawił się na tarasie Kola. „A więc przyjmują go tutaj po dawnemu” - pomyślał książę.

Willa Jepanczynów była wspaniała, w stylu szwajcarskiej chaty, wytwornie udekorowana drzewami i kwiatami. Ze wszystkich stron otaczał ją nieduży, ale prześliczny ogród kwiatowy. Siedziano na tarasie tak jak u księcia; tylko że taras był trochę obszerniejszy i urządzony z większą elegancją.

Temat rozpoczętej rozmowy, jak się zdawało, nie wszystkim dogadzał; rozmowa ta (czego łatwo się było domyślić) zaczęła się od niecierplivej dyskusji; wszyscy naturalnie woleli mówić o czym innym, ale Eugeniusz Pawłowicz jakby się uwziął i nie zwracał uwagi na ogólny nastrój; przyjście księcia jak gdyby jeszcze bardziej go podnieciło. Lizawieta Prokofiewna marszczyła brwi, chociaż nie wszystko rozumiała. Agłaja, która siedziała z boku, prawie w kącie, nie ruszała się z miejsca, słuchała i milczała uparcie.

- Przepraszam - oponował gorąco Eugeniusz Pawłowicz - nie mam nic przeciwko liberalizmowi. Liberalizm nie jest grzechem; jest to raczej niezbędna część składowa całości, która bez niego rozpadnie się albo zamrze; liberalizm ma taką samą rację bytu, co i najszlachetniejszy konserwatyzm; ale ja napadam na rosyjski liberalizm i czynię to właściwie dlatego, powtarzam, że rosyjski liberał nie jest „rosyjskim” liberałem, jest natomiast „nierosyjskim” liberałem. Pokażcie mi rosyjskiego liberała, a zaraz go tu w waszej obecności pocałuję.

- Czy tylko on zechce się panu odwzajemnić - powiedziała Aleksandra Iwanowna tonem zdradzającym niezwykle rozdrażnienie. Policzki nawet miała zarumienione bardziej niż zwykle.

„Patrzcie no - pomyślała sobie Lizawieta Prokofiewna - to śpi i je, że nie można jej rozruszać, to nagle wstanie raz na rok i powie coś takiego, że tylko można rozłożyć ręce i pokiwać głową.”

Książę zauważył, że Aleksandrze Iwanownie jakoś nie bardzo się podoba, iż Eugeniusz Pawłowicz mówi zbyt wesoło, mówi na poważny temat i nawet się przy tym zapala, a jednocześnie jakby trochę sobie podżartowuje.

- Dowodziłem właśnie tuż przed pańskim przyjściem, książę - ciągnął dalej Eugeniusz Pawłowicz - że nasi liberałowie dotychczas rekrutowali się tylko z dwóch warstw społecznych, ze stanu ziemiańskiego (zniesionego ukazem) i niższego duchowieństwa. A ponieważ oba stany zamieniły się ostatecznie w kompletne kasty, w coś najzupełniej odosobnionego od całości narodu, a

im dalej, tym coraz bardziej, z pokolenia na pokolenie, więc i wszystko to, co oni robili i robią, było najzupełniej nienarodowe...

- Jak to? Więc wszystko, co zostało zrobione, nie jest rosyjskie? - zapytał tonem protestu książę Sz.

- Nienarodowe; chociaż po rosyjsku, ale nienarodowe; i liberałowie nasi są nierosyjscy, i konserwatyści nierosyjscy, i tak dalej - wszyscy... I może pan być pewny, że naród nic nie uzna z tego, co zostało zrobione przez obywateli ziemskich i seminarzystów[91], ani teraz, ani później...

- A to dopiero! Jak pan może twierdzić coś tak paradoksalnego, jeśli tylko mówi pan poważnie. Nie mogę pozwolić na takie wypadki przeciwko ziemianom rosyjskim; pan sam jest obywatelem ziemskim – gorąco oponował książę Sz.

- Ale przecież ja nie mówię o ziemiaństwie rosyjskim w takim znaczeniu, jak pan to ujmuje. Jest to niewątpliwie stan godny poważania, chociażby z tego jednego względu, że ja do niego należę; zwłaszcza teraz, kiedy przestało być stanem...

- Czyżby i w literaturze nie było nic narodowego? - przerwała mu Aleksandra Iwanowna.

- Nie znam się na literaturze, ale i rosyjska literatura, według mnie, cała jest nierosyjska prócz Łomonosowa, Puszkina i Gogola.

- Po pierwsze, to nie tak mało, a po drugie, jeden jest z ludu, a pozostali dwaj to ziemianie - roześmiała się Adelajda.

- Tak jest w istocie, ale proszę nie triumfować. Ponieważ dotąd tylko tym trzem spośród wszystkich pisarzy rosyjskich udało się powiedzieć coś rzeczywiście swojego, swojego własnego, nie zapożyczonego od innych, więc dzięki temu ci trzej stali się od razu pisarzami narodowymi. Każdy Rosjanin, który powie, napisze albo zrobi coś swojego, coś oryginalnego, nie zapożyczonego, staje się bezwzględnie narodowy, chociażby nawet kiepsko mówił po rosyjsku. To jest dla mnie pewnik. Zaczęliśmy jednak mówić nie o literaturze, tylko o socjalistach, i o nich wywiązała się dyskusja; otóż ja twierdzę, że w Rosji nie ma ani jednego rosyjskiego socjalisty; nie ma i nie było, ponieważ wszyscy nasi socjaliści rekrutują się również spośród obywateli ziemskich albo seminarzystów. Wszyscy nasi zajadli, patentowani socjaliści, zarówno tutejsi, jak i zagraniczni, nie są niczym więcej, tylko liberalnymi obywatelami ziemskimi z czasów poddaństwa. Czego się państwo śmieją? Proszę mi dać ich książki, ich teorie, ich pamiętniki, a choć nie jestem krytykiem literackim, podejmuję się napisać zupełnie przekonywającą recenzję, w której pokażę jak na dłoni, że każda kartka ich książek, broszur czy pamiętników została napisana przede wszystkim przez dawnego ziemianina rosyjskiego. Ich złość, oburzenie, dowcip - są ziemiańskie (nawet z czasów dawniejszych niż czasy Famusowa[92]!); ich entuzjazm, ich łzy - są prawdziwe, są na pewno szczerze, ale ziemiańskie! Ziemiańskie albo seminarzystowskie... Znowu się państwo śmieją... i książę się śmieje? Też się pan nie zgadza?

Rzeczywiście, wszyscy się śmieli, uśmiechnął się też książę.

- Trudno mi tak od razu powiedzieć, czy się zgadzam, czy nie - powiedział książę, przestając się nagle uśmiechać i drgnąwszy, jak złapany na gorącym uczynku chłopaczek - ale upewniam pana, że słucham z ogromną przyjemnością.

Mówiąc to o mało nie stracił tchu i nawet zimny pot wystąpił mu na czole. Były to pierwsze słowa, jakie wymówił od czasu, gdy usiadł przy stole. Spróbował rozejrzeć się dokoła, ale nie starczyło mu odwagi i Eugeniusz Pawłowicz zauważył ten ruch i z lekka się uśmiechnął.

- Opowiem państwu taki fakt - ciągnął dalej tym samym co poprzednio tonem, to znaczy jakby z niezwykłym przejęciem i zapałem, a jednocześnie omal się nie śmiejąc, może nawet ze swoich własnych słów - fakt, spostrzeżenie a nawet odkrycie, które mam zaszczyt przypisać sobie, i nawet wyłącznie sobie; przynajmniej dotąd nikt jeszcze o tym nie pisał i nie mówił. W fakcie tym wyraża się cała istota rosyjskiego liberalizmu, takiego, o jakim mówię. Po pierwsze, cóż to w ogóle jest liberalizm, jeśli nie napaść (rozumna czy błędna, to inna sprawa) na istniejący porządek społeczny? Prawda? Otóż moje odkrycie polega na tym, że rosyjski liberalizm nie stanowi napaści na istniejący porządek rzeczy, jest zaś wystąpieniem przeciwko samej istocie naszych stosunków społecznych, przeciwko tym stosunkom, nie tylko przeciwko porządkowi, nie tylko przeciwko rosyjskim porządkom, ale przeciwko samej Rosji. Mój liberał doszedł do tego, że neguje samą Rosję, czyli że nienawidzi i bije swoją matkę. Każde nieszczęście, każde niepowodzenie Rosji wywołuje w nim śmiech i budzi nieomal zachwyty. Nienawidzi obyczajów ludowych, rosyjskiej historii, wszystkiego. Jeżeli jest dla niego jakieś usprawiedliwienie, to chyba takie, że nie rozumie, co czyni, i swoją nienawiść do Rosji uważa za najpłodniejszy liberalizm (o, państwo często mogą spotkać u nas liberała, któremu przyklaskują inni, a który w istocie jest może najgłupszym, najbardziej tępym i niebezpiecznym konserwatystą, chociaż sam o tym nie wie!). Tę nienawiść do Rosji jeszcze nie tak dawno niektórzy nasi liberałowie uważali nieomal za prawdziwą miłość ojczyzny i chwalili się tym, że lepiej od innych rozumieją, na czym powinna ona polegać; teraz jednak stali się szersi i unikają nawet tych słów: „miłość ojczyzny”; usunęli nawet samo pojęcie, jako szkodliwe i mało warte. To fakt niezbity, twierdzą to stanowczo i... przecież trzeba było raz powiedzieć całą prawdę, prosto i otwarcie; ale fakt ten jest zarazem taki, który się nigdzie i nigdy od wieków nie zdarzał w żadnym narodzie, a więc jest to fakt przypadkowy i może przeminąć, z tym się zgadzam. Nigdzie nie może istnieć taki liberał, który by nienawidził własnej ojczyzny. Czymże więc to wytłumaczyć u nas? Tym samym co i przedtem - a mianowicie, że liberał rosyjski nie jest jeszcze rosyjskim liberałem; sądzę, że inne tłumaczenie jest niemożliwe.

- Wszystko, co pan powiedział, biorę za żart - odparł poważnym tonem książę Sz.

- Wszystkich liberałów nie znam, więc nie podejmuję się ich sądzić - rzekła Aleksandra Iwanowna - ale wysłuchałam pańskich wywodów z oburzeniem: wziął pan jakiś odosobniony wypadek i uznał go pan za regułę, czyli rzucił pan potwarz.

- Odosobniony wypadek? Aa! Tak zostało powiedziane - podchwycił Eugeniusz Pawłowicz. - A jak pan myśli, książę, czy to odosobniony wypadek, czy nie?

- Ja również muszę stwierdzić, że mało znam liberałów i mało... stykałem się z liberałami - powiedział książę - ale wydaje mi się, że pan ma chyba trochę racji i że rosyjski liberalizm, o którym pan mówił, jest po części przepojony nienawiścią do samej Rosji, a nie tylko do obecnego porządku

rzeczy. Oczywiście tylko po części... oczywiście to nie byłoby w żadnym razie słuszne, jeśli chodzi o wszystkich...

Zaciął się i nie dokończył. Mimo całego swojego wzruszenia książę był nadzwyczaj zajęty rozmową. Miał pewną szczególną cechę, polegającą na niezwykle naiwnej uwadze, z jaką zawsze słuchał ciekawych dla niego rzeczy, i naiwności odpowiedzi, jakie dawał, kiedy się do niego zwracano z pytaniami. W wyrazie jego twarzy, a nawet w pozycji jego ciała zawsze się jakoś uwydatniała ta naiwność, ta ufność, nie podejrzewająca ani drwiny, ani dowcipu. Ale chociaż Eugeniusz Pawłowicz od dawna już nie zwracał się do niego inaczej, jak tylko z pewnym znaczącym uśmiechem, tym razem jednak spojrzał na niego jakoś poważnie, jakby się wcale nie spodziewał po nim takiej odpowiedzi.

- Więc pan w ten sposób... to jednak dziwne - powiedział - czy książę naprawdę, poważnie tak myśli ?

- A czyż pan nie pytał poważnie? - odparł ze zdziwieniem książę.

Wszyscy się roześmieli.

- Niech mu pan nie wierzy! - powiedziała Adelajda. - Eugeniusz Pawłowicz zawsze i w wszystkich zwodzi! Gdyby pan wiedział, o czym on czasami opowiada najpoważniej w świecie!

- Według mnie, ta rozmowa jest trochę za ciężka i nie należało jej w ogóle rozpoczynać - zauważyła szorstko Aleksandra - mieliśmy iść na spacer...

- I pójdziemy, wieczór jest przepiękny! - zawołał Eugeniusz Pawłowicz. - Ale żeby państwu dowieść, iż tym razem mówiłem całkiem poważnie, a przede wszystkim, żeby przekonać o tym księcia (pan mię bardzo zainteresował, książę, i przysięgam panu, że nie jestem jeszcze takim lekkoduchem, na jakiego bez wątpienia wyglądam - chociaż w gruncie rzeczy jestem człowiekiem dość pustym!), i... jeśli państwo pozwolą, zadam księciu jeszcze jedno, ostatnie pytanie dla własnej ciekawości; na tym też skończę. Pytanie to jakby umyślnie przyszło mi do głowy ze dwie godziny temu (widzi książę, ja też czasami obmyślam poważne rzeczy); znalazłem na nie odpowiedź, zobaczymy jednak, co powie książę. Dopiero co była mowa o „odosobnionym wypadku”. Wyrażenie to jest bardzo znamienne, często się je słyszy. Niedawno wszyscy mówili i pisali o tym okropnym morderstwie sześciu osób dokonany przez... młodego człowieka i o dziwnym przemówieniu obrońcy, który wyraził przekonanie, iż wobec trudnej sytuacji materialnej zbrodniarza w sposób zupełnie naturalny powstała w jego głowie myśl o tym, aby zamordować te sześć osób[93]. Przytaczam to nie dosłownie, ale taki był, zdaje się, sens przemówienia albo bardzo zbliżony. Według mojego osobistego zdania, obrońca, wypowiadając taką dziwną myśl, był najświęciej przekonany, że wypowiada pogląd najbardziej liberalny, najbardziej humanitarny i postępowy, jaki tylko można wygłosić w naszych czasach. No, a jakże pan się na to zapatruje: czy to zwyrodnienie pojęć i przekonań, ta możliwość podobnie wypaczonego i co najmniej dziwnego poglądu na sprawę, jest przypadkiem odosobnionym, czy też ma charakter ogólny?

Wszyscy się roześmieli.

- Odosobniony; ma się rozumieć, odosobniony przypadek! - zawołały ze śmiechem Aleksandra i Adelajda.

- Pozwól sobie znowu zwrócić uwagę, Eugeniuszu Pawłowiczu - dodał książę Sz. - że dowcip twój ma, jak się to mówi, strasznie długą brodę.

- Jak pan myśli, książę? - nie dosłuchał do końca Eugeniusz Pawłowicz, uchwyciwszy skierowane na siebie ciekawe i poważne spojrzenie księcia Lwa Nikołajewicza. - Jak się panu zdaje: czy to odosobniony przypadek, czy zjawisko ogólne? Przyznam się, że specjalnie dla pana wymyśliłem to pytanie.

- Nie, to nie jest wypadek odosobniony - cichym, ale stanowczym głosem powiedział książę.

- Ależ doprawdy, Lwie Nikołajewiczu - zawołał z pewną irytacją książę Sz. - czy pan nie widzi, że on chce pana złapać; wyraźnie szydzi z pana, właśnie pana upatrzył sobie na ofiarę.

- Sądziłem, że Eugeniusz Pawłowicz mówi poważnie - zaczerwienił się książę i spuścił oczy.

- Drogi książę - ciągnął dalej książę Sz. - niechże pan sobie przypomni, o czym rozmawialiśmy pewnego razu, jakieś trzy miesiące temu; mówiliśmy właśnie o tym, że w naszych nowych, świeżo zorganizowanych sądach można spotkać już tylu wybitnych i utalentowanych obrońców! A ile już było nadzwyczaj godnych uwagi postanowień sędziów przysięgłych! Jakże pan sam się cieszył i jak ja się cieszyłem, widząc pańską radość... Mówiliśmy o tym, że możemy być dumni... A ta niezręczna obrona, ten dziwny argument, jest niewątpliwie czymś zgoła przypadkowym, czymś, co się zdarza raz na tysiąc razy.

Książę Lew Nikołajewicz pomyślał, ale z wyrazem głębokiego przekonania, aczkolwiek cicho i jakby nieśmiało, odpowiedział :

- Chciałem tylko zaznaczyć, że wypaczenie idei i pojęć (jak to określił Eugeniusz Pawłowicz) zdarza się bardzo często, jest raczej ogólnym niżli szczególnym zjawiskiem, na nieszczęście. A przy tym, gdyby to wypaczenie nie miało nawet tak ogólnego charakteru, może nie byłoby takich wprost nieprawdopodobnych przestępstw jak te...

- Nieprawdopodobnych przestępstw? Ależ upewniam pana, że takie same zbrodnie, a może nawet jeszcze okropniejsze, zdarzały się i dawniej, zawsze się zdarzały, i nie tylko u nas, ale wszędzie, i według mnie, będą się jeszcze długo powtarzać. Różnica polega na tym, że dawniej społeczeństwo nie wiedziało o nich, a teraz mówi się o nich głośno, a nawet pisze, więc dlatego się wydaje, że tacy zbrodniarze zjawili się dopiero w obecnych czasach. Stąd właśnie płynie pańska omyłka, bardzo naiwna omyłka, upewniam pana, Lwie Nikołajewiczu - uśmiechnął się ironicznie książę Sz.

- Sam wiem, że przestępstw było i dawniej bardzo dużo, i tak samo okropnych; właśnie niedawno odwiedzałem więzienia i miałem możliwość zaznajomienia się z różnymi przestępcami i podsądnymi. Są zbrodniarze jeszcze straszniejsi niż ten; tacy, którzy zamordowali po dziesięć osób i nie okazują najmniejszej skruchy. Ale zauważyłem przy tym jedną rzecz: najbardziej nawet

zatwardziały i nieskłomny do skruchy morderca wie jednak, że jest przestępcą, to znaczy, że w swoim sumieniu uważa, iż postąpił źle, chociaż tego nie żałuje. I taki jest każdy z nich; a przecież ci, o których zaczął mówić Eugeniusz Pawłowicz, nie chcą się nawet uważać za przestępców i sądzą w duchu, że mieli prawo i... nawet dobrze zrobili; tak albo prawie tak wygląda ich sytuacja. Na tym, według mnie, polega owa straszliwa różnica. I proszę zauważyć, że wszystko to jest młodzież, że to jest ten wiek, w którym najłatwiej się ulega wpływowi spaczonych idei.

Książę Sz. już się nie śmiał i ze zdumieniem słuchał księcia. Aleksandra Iwanowna, która dawno już chciała coś wtrącić, zamilkła, jakby ją powstrzymało coś, co jej raptem przyszło do głowy. A Eugeniusz Pawłowicz patrzył na księcia z wyraźnym podziwem i już bez żadnego uśmiechu.

- Cóż pan mu się tak dziwi, mój panie - odezwała się niespodziewanie Lizawietą Prokofiewna - czy on jest głupszy od pana czy co, że nie mógł dojść do innego wniosku niż pan?

- Nie, proszę pani, nie o to mi chodzi - powiedział Eugeniusz Pawłowicz - ale jakże pan (przepraszam za pytanie), jeżeli pan tak to widzi i spostrzega, to jakże pan (znów przepraszam) w tej dziwnej sprawie... która miała miejsce parę dni temu... z Burdowskim, o ile się nie mylę... jakże pan nie zauważył takiego samego wypaczenia idei i przekonań moralnych? Kubek w kubek takiego samego! Mnie się wtedy wydawało, że pan nie zauważył.

- No to ci powiem, mój drogi - uniosła się znów Lizawietą Prokofiewna - myśmy wszyscy zauważyli, siedzimy tu i chwalamy się przed nim, a tymczasem on dostał dzisiaj list od jednego z tych młodzieńców, od najważniejszego, tego z wągrowatą twarzą, pamiętasz, Aleksandro? Prosi go w liście o przebaczenie, chociaż na swój sposób, i zawiadamia, że rozstał się z tym przyjacielem, który go wtedy podburzał - pamiętasz, Aleksandro? - i że księciu więcej teraz wierzy. No, a my takiego listu jeszcze nie otrzymaliśmy, więc nie mamy powodu zadzierać tu przed nim nosa.

- A Hipolit też się już przeprowadził do nas na letnisko! - krzyknął Kola.

- Jak to! Już jest tutaj? - zaniepokoił się książę.

- Zjawił się zaraz, jak tylko pan wyszedł z Lizawietą Prokofiewna; ja go przywiozłem!

- No, gotowa jestem się założyć - wybuchnęła nagle Lizawietą Prokofiewna, zapominając zupełnie, że dopiero co chwaliła księcia - zaraz mogę się założyć, że on wczoraj pojechał do niego na facjatkę i błagał na klęczkach, żeby ten obrzydliwy złośnik raczył tu przyjechać. Jeździłeś wczoraj? Przecie sam się przyznałeś niedawno. Tak czy nie? Klęczałeś przed nim czy nie?

- Wcale nie klęczał - krzyknął Kola - wprost przeciwnie: Hipolit wczoraj złapał księcia za rękę i dwa razy pocałował, sam widziałem, na tym się zakończyła cała rozmowa; książę tylko powiedział wprost, że mu lepiej będzie na letnisku, i tamten bez wahania zgodził się pojechać, gdy tylko zdrowie mu pozwoli.

- Po co, Kola... - wymamrotał książę, wstając i biorąc kapelusz - po co pan opowiada, ja...

- Dokąd to? - zatrzymała go Lizawietą Prokofiewna.

- Niech pan będzie zupełnie spokojny - ciągnął dalej rozplómienny Kola - niech pan nie chodzi i nie przeszkadza mu, zasnął po podróży; jest bardzo zadowolony i wie pan, według mnie będzie lepiej, jeżeli pan się z nim dzisiaj nie zobaczy; niech pan to nawet odłoży do jutra, bo znów się poczuje skrępowany. Dziś rano mówił, że już z górą pół roku nie czuł się tak dobrze i nie był taki silny; nawet kaszle trzy razy mniej.

Księżę zauważył, że Agłaja nagle wstała i podeszła do stołu. Nie śmiał na nią spojrzeć, ale całą swoją istotą czuł, że ona w tej chwili patrzy na niego i może nawet groźnie patrzy, że w jej czarnych oczach na pewno błyszczy oburzenie, a twarz płonie rumieńcem.

- A mnie się zdaje, Mikołaju Ardalionowiczu, że pan go tutaj przewiózł całkiem niepotrzebnie, jeżeli to ten sam chłopaczek chory na suchoty, który się wtedy rozplakał i zapraszał wszystkich na pogrzeb - zauważył Eugeniusz Pawłowicz - tak pięknie mówił nam wtedy o ścianie sąsiedniego domu, że z pewnością zatęskni za tą ścianą, może pan być pewny.

- To prawda: pokłóci się, pobije z tobą i wyjedzie; na tym się wszystko skończy!

I Lizawieta Prokofiewna ruchem pełnym godności przysunęła do siebie koszyczek z robótką, nie dostrzegając, że wszyscy już zaczęli wstawać, aby iść na spacer.

- Przypominam, że on tą ścianą bardzo się przechwalał - podchwycił znowu Eugeniusz Pawłowicz - bez tej ściany nie będzie mógł pięknie umrzeć, a tak bardzo pragnie pięknej śmierci.

- Więc cóż z tego? - mruknął księżę. - Jeżeli pan mu nie zechce przebaczyć, to umrze i bez pana... Teraz przyjechał dla drzew.

- O, jeśli o mnie chodzi, wszystko mu daruję; może mu pan to zakomunikować.

- To inaczej należy rozumieć - cicho i jakby od niechcienia powiedział księżę, patrząc w dalszym ciągu w jeden punkt podłogi i nie podnosząc oczu - a mianowicie tak, żeby i pan się zgodził przyjąć jego przebaczenie.

- A cóż to ma za związek z moją osobą? Czymże wobec niego zawiniłem?

- Jeżeli pan nie rozumie, to... ale pan chyba rozumie; on chciał wtedy wszystkich tu obecnych... pobłogosławić i od wszystkich otrzymać błogosławieństwo; to wszystko...

- Drogi księżę - z pewną jakby obawą podchwycił czym prędzej księżę Sz., spojrzawszy porozumiewawczo dokoła - raj na ziemi nie jest łatwy do zdobycia, a pan jednak trochę liczy na ten raj; chociaż to rzecz naprawdę trudna, o wiele trudniejsza, niż się to może zdawać pańskiemu szlachetnemu sercu. Przestańmy lepiej mówić na ten temat, bo się znowu wszyscy skonfundujemy, a wtedy...

- Chodźmy na muzykę - zaproponowała ostro Lizawieta Prokofiewna i gniewnie wstała z miejsca.

Za nią wstali wszyscy.

II

Książę nagle podszedł do Eugeniusza Pawłowicza.

- Proszę pana - powiedział z dziwnym uniesieniem, chwyciwszy go za rękę - niech pan wie, że uważam pana za najlepszego i najszlachetniejszego człowieka, pomimo wszystko; niech pan będzie przekonany...

Eugeniusz Pawłowicz aż się cofnął ze zdziwienia. Przez chwilę hamował się, by nie wybuchnąć śmiechem; ale przypatrzwszy się lepiej, zauważył, że książę był jakiś nieswój, a przynajmniej w jakimś szczególnym stanie.

- Gotów jestem założyć się - powiedział - że książę chciał wyrazić bynajmniej nie to, co wyraził, i wcale nie pod moim adresem... Ale co się z panem dzieje? Czy panu słabo?

- Możliwe, bardzo możliwe, i pan bardzo trafnie zauważył, że właściwie nie do pana chciałem podejść.

Rzekłszy to, dziwnie jakoś i nawet komicznie się uśmiechnął; nagle jednak, znowu się unosząc, zawołał:

- Niech mi pan nie przypomina mojego postępu sprzed trzech dni! Bardzo mi było wstyd przez te trzy dni... Wiem, że to moja wina...

- Ale... cóż pan takiego strasznego uczynił?

- Widzę, że pan się wstydzi za mnie może więcej niż inni; pan się rumieni, a to jest cecha dobrego serca. Proszę być pewnym, że zaraz stąd pójdę.

- Cóż znowu! Czy jego ataki w ten sposób się zaczynają? - ze strachem zwróciła się Lizawieta Prokofiewna do Koli.

- Niech pani nie zwraca na to uwagi, Lizawieto Prokofiewno, to nie atak; zaraz pójdę. Wiem, że... przyroda mię upośledziła. Dwadzieścia cztery lata byłem chory, od urodzenia do dwudziestego piątego roku. Niechże pani i teraz przyjmie moje słowa tak jak słowa chorego. Zaraz sobie pójdę, zaraz, może pani być pewna. Nie rumienię się - bo przecież byłoby dziwne rumienić się wskutek tego, prawda? - ale w towarzystwie jestem zbyteczny... To nie zarozumiałstwo... Przez te trzy dni przemyślałem wiele i postanowiłem, żeby przy pierwszej okazji szczerze i otwarcie powiadomić panią. Są takie idee, wzniosłe idee, o których nie powinienem nigdy mówić, bo gdy tylko zacznę, z pewnością wszystkich rozśmieszę; książę Sz. przed chwilą zwrócił mi na to uwagę... Nie mam przyzwoitego gestu, nie mam poczucia miary; moje słowa nie odpowiadają moim myślom, a to poniża owe myśli. I dlatego właśnie nie wolno mi... a ponadto jestem nieufny... chociaż jestem przekonany, że w tym domu nikt mię nie skrzywdzi i że wszyscy mnie tu lubią więcej, niż na to zasługuję, wiem jednak (wiem z całą pewnością), że po dwudziestu latach choroby z konieczności musiało coś

pozostać i że trudno się ze mnie nie śmiać... czasami... prawda?

Jakby oczekiwał odpowiedzi i wyroku, rozglądając się dokoła. Wszyscy byli zaskoczeni tym niespodziewanym, chorobliwym i, zdawałoby się, w każdym razie niczym nie umotywowanym wystąpieniem. Ale wystąpienie to spowodowało dziwny epizod.

- Po co pan to mówi tutaj ? - zawołała raptem Agłaja. - Po co pan to im mówi? Im! Im!

Wydawało się, że była w najwyższym stopniu oburzona: z jej oczu sypały się iskry. Książę stał przed nią i milczał; nagle zbladł.

- Nie ma tu nikogo, kto by wart był takich słów! - wybuchnęła Agłaja. - Wszyscy tu obecni, wszyscy bez wyjątku, nie są warci pańskiego małego palca ani umysłu, ani serca. Pan jest uczciwszy od nich wszystkich, szlachetniejszy, lepszy, zacniejszy i mądrzejszy! Są tu ludzie niegodni tego, by schylić się i podnieść chustkę, którą pan teraz upuścił... Więc po co się pan upokarza i stawia siebie niżej od wszystkich? Dlaczego pan wszystko w sobie wykoślawił, dlaczego w panu nie ma dumy?

- O Boże, kto by to pomyślał! - zawołała Lizawieta Prokofiewna.

- Niech żyje biedny rycerz! Hura! - krzyknął z entuzjazmem Kola.

- Proszę milczeć!... Jak śmiać mnie tu obrażać, w twoim domu! - rzuciła się Agłaja w stronę Lizawiey Prokofiewny w takim już histerycznym rozdrażnieniu, kiedy nie zwraca się na nic uwagi i przekracza się wszelkie granice. - Dlaczego mnie wszyscy, wszyscy bez wyjątku męczą? Dlaczego oni, książę, od trzech dni bez ustanku przyczepiają się do mnie z powodu pana? Nigdy w świecie nie wyjdę za pana! Niech pan wie, że nigdy, przenigdy nie wyjdę! Niech pan pamięta! Czyż można wyjść za takiego śmiesznego jak pan człowieka? Niech się pan teraz przejrzy w lustrze, jak pan wygląda!... Dlaczego, dlaczego oni mnie drażnią tym, że wyjdę za pana za męża? Pan powinien o tym wiedzieć! Pan jest też w zмовie z nimi!

- Nikt cię nigdy nie drażnił! - wybąkała przerażona Adelajda.

- Nikt nawet o tym nie pomyślał, nikt na ten temat nie rzekł ani słowa! - zawołała Aleksandra Iwanowna.

- Kto ją drażnił? Kiedy ją drażnił? Kto mógł jej to powiedzieć? Czy ona bredzi, czy co? - trzęsąc się z gniewu mówiła po kolei do wszystkich Lizawieta Prokofiewna.

- Wszyscy mówili, wszyscy bez wyjątku, całe trzy dni! A ja nigdy, nigdy nie wyjdę za niego za męża!

Wykrzyczawszy to, Agłaja zalała się gorzkimi łzami, zakryła twarz chusteczką i osunęła się na krzesło.

- Ależ on się wcale jeszcze o ciebie nie oświadczył...

- Nie oświadczałem się, Agłajo Iwanowno - wyrwało się nagle księciu.

- Coo? - ze zdziwieniem, oburzeniem i przestrawieniem powiedziała nagle Lizawieta Prokofiewna.
- Co takiego?

Nie chciała wierzyć własnym uszom.

- Chciałem... chciałem rzec - rzekł książę dygocąc - chciałem tylko wyjaśnić Agłai Iwanownie... mieć zaszczyt wyjaśnienia, że wcale nie zamierzałem.. mieć zaszczyt prosić o jej rękę... ani przez chwilę... Doprawdy nie zawiniłem tutaj nic a nic, Agłajo Iwanowno! Nigdy do tego nie dążyłem i nigdy mi nawet na myśl nie przyszło, nigdy nie zapragnę, sama pani zobaczy, upewniam panią! Jakiś zły człowiek musiał mię przed panią oczernić! Niech pani będzie spokojna! Mówiąc to zbliżył się do Agłai. Ona odjęła chustkę, którą zakrywała sobie twarz, szybko spojrzała na niego i na całą jego wystraszoną postać, pojęła sens jego słów i nagle wybuchnęła mu prosto w oczy śmiechem - takim wesołym i niepohamowanym, takim zabawnym i drwiącym śmiechem, że Adelajda pierwsza nie wytrzymała, zwłaszcza kiedy również spojrzała na księcia, podbiegła ku siostrze, objęła ją i parsknęła tak samo niepohamowanym, po sztubacku wesołym śmiechem, jak i ona. Patrząc na nie, książę również zaczął uśmiechać się i z radosnym, szczęśliwym wyrazem twarzy zaczął powtarzać:

- No, chwała Bogu, chwała Bogu!

Wtedy nie wytrzymała i Aleksandra i roześmiała się z całego serca. Zdawało się, że temu śmiechowi trzech sióstr nie będzie końca.

- A to wariatki! - mruknęła Lizawieta Prokofiewna. - Najpierw człowieka nastraszą, a później...

Ale śmiał się już i książę Sz.; śmiał się Eugeniusz Pawłowicz, rechotał bez ustanku Kola, śmiał się też, patrząc na wszystkich, książę.

- Chodźmy na spacer, chodźmy na spacer! - wołała Adelajda. - Chodźmy wszyscy razem! Książę też musi z nami iść; dlaczego miałby pan nas opuszczać, pan jest taki sympatyczny! Cóż to za przemiły człowiek, Agłajo! Prawda, *maman*? Po tym wszystkim muszę go koniecznie zaraz uściskać i pocałować za to... za to jego wytłumaczenie się przed Agłają. *Maman*, kochana, droga *maman*, czy pozwolisz mi go pocałować? Agłaja, pozwól mi pocałować twojego księcia! - wykrzyknęła trzpiotka i rzeczywiście podbiegła do księcia i pocałowała go w czoło. A książę chwycił jej rękę, mocno ucisnął, tak że Adelajda o mało nie krzyknęła, spojrzał na nią z bezgraniczną radością i nagle szybkim ruchem podniósł jej rękę do ust i pocałował trzy razy.

- Chodźmy! - wołała Agłaja. - Książę pójdzie ze mną. Pozwolisz, *maman*? Z młodzieńcem, który mi dał kosza? Przecież pan się mnie wyrzekł już na wieki? Ależ nie tak, nie tak się podaje rękę damie; czy pan nie wie, jak się bierze damę pod rękę? O tak; teraz możemy iść, pójdziemy pierwsi, przed wszystkimi; czy chce pan iść na czele całego orszaku, *tete - á - tete*?

Mówiła bez ustanku, coraz to wybuchając śmiechem.

- Chwała Bogu! Chwała Bogu! - powtarzała Lizawieta Prokofiewna, sama nie wiedząc, z czego się tak cieszy.

„Nadzwyczaj dziwni ludzie!” - pomyślał książę Sz., może już po raz setny od chwili, gdy ich poznał, ale... podobali mu się ci dziwni ludzie. Co zaś się tyczy księcia, to bodaj że nie bardzo mu przypadł do gustu; książę Sz. był nieco nachmurzony i jakby zatroskany, kiedy ruszono na spacer.

Eugeniusz Pawłowicz był, jak się mogło zdawać, w najlepszym humorze, przez całą drogę do stacji rozśmieszał Aleksandrę i Adelajdę, które z taką aż nadto widoczną gotowością śmiały się z jego żartów, że nawet zaczął trochę podejrzewać, iż go wcale nie słuchają. Na myśl o tym, nagle i nie tłumacząc dlaczego, wybuchnął na koniec najzupełniej szczerym śmiechem (takie już miał usposobienie!). Siostry, będące zresztą w najbardziej uroczystym nastroju, bez przerwy patrzyły na Agłaję i księcia, którzy szli na przedzie; widać było, że najmłodsza siostra dała im do rozwiązania trudną zagadkę. Książę Sz. wciąż starał się rozmawiać z Lizawietą Prokofiewną o rzeczach nie mających nic wspólnego z zajściem, może po to, by ją rozerwać, i okropnie jej dokuczył. Myśli jej były, jak się zdawało, zupełnie rozstrzelone; odpowiadała ni w pięć, ni w dziewięć albo nie odpowiadała wcale. Ale niespodzianki sprawiane przez Agłaję Iwanownę jeszcze się tego wieczoru nie skończyły. Ostatnie jej wystąpienie było skierowane wyłącznie pod adresem księcia. Kiedy oboje oddalili się o jakie sto kroków od willi, Agłaja półszepem rzekła prędko do swojego uparcie milczącego kawalera.

- Niech pan spojrzysz na prawo.

Książę spojrział.

- Niech pan patrzy uważnie. Czy widzi pan tę ławkę w parku, tam gdzie te trzy duże drzewa... zielona ławka?

Książę odpowiedział, że widzi.

- Podoba się panu ten zakątek? Czasem rano koło siódmej, kiedy wszyscy jeszcze śpią, przychodzi tu sama, żeby posiedzieć.

Książę mruknął, że zakątek jest przepiękny.

- A teraz niech pan odejdzie ode mnie, nie chcę dłużej iść z panem pod rękę. Albo lepiej idźmy razem, ale niech pan nie mówi do mnie ani słowa. Chcę sobie o czymś pomyśleć...

Zakaz był w każdym razie zbyt mocny: książę na pewno przez całą drogę nie wymówiłby ani jednego słowa, nawet gdyby go o to nie proszono. Serce mu zaczęło walić jak młotem, kiedy usłyszał o ławce. Po chwili opamiętał się i ze wstydem odpędził od siebie nedorzeczną myśl.

Na stacji w Pawłowsku w dni powszednie, jak wiadomo i jak przynajmniej wszyscy twierdzą, zbiera się publiczność bardziej „dystygowana” niż w niedzielę i święta, kiedy przyjeżdża z miasta dużo „różnych ludzi”. Toalety są wprawdzie nie świąteczne, ale wytworne. Utrzymuje się zwyczaj przychodzenia na muzykę. Orkiestra, może istotnie najlepsza ze wszystkich naszych ogrodowych orkiestr, wykonuje nowe utwory. Przyzwoitość i uprzejmość jest nadzwyczajna, mimo pewnego ogólnego tonu rodzinnej jakby zażyłości, a nawet intymności. Znajomi, wyłącznie letnicy, przychodzą,

aby obserwować się nawzajem. Wielu robi to z prawdziwą przyjemnością i zjawia się tutaj jedynie w tym celu; ale są i tacy, którzy przychodzą tylko dla muzyki. Awantury zdarzają się niesłychanie rzadko, chociaż mają niekiedy miejsce nawet w dni powszednie. Bez tego jednak obejść się nie można.

Tym razem wieczór był cudowny i publiczności dosyć dużo. Wszystkie miejsca koło grającej orkiestry były zajęte. Nasze towarzystwo rozsiadło się na krzesłach trochę z boku, w pobliżu najbardziej na lewo położonego wyjścia z dworca. Tłum, muzyka trochę ożywiły Lizawietę Prokofiewnę i sprawiły niejaka rozrywkę pannom: zdążyły one wyłowić wzrokiem paru znajomych i z daleka kiwnąć im uprzejmie głową; zdążyły przyjrzeć się toaletom, zauważyć pewne braki, porozmawiać o nich i drwiąco się uśmiechnąć. Eugeniusz Pawłowicz również często się kłaniał. Na Agłaję i księcia, którzy wciąż jeszcze spacerowali razem, zwrócono już uwagę. Wkrótce do mamy i jej córek podeszło paru znajomych młodych ludzi; dwaj czy trzej zostali, by pogawędzić; wszyscy byli przyjaciółmi Eugeniusza Pawłowicza. Wśród nich znajdował się pewien młody i bardzo przystojny oficer, bardzo wesoły, bardzo rozmowny; zaczął gawędzić z Agłają i wszelkimi sposobami starał się zwrócić jej uwagę na siebie. Agłają była dla niego bardzo łaskawa i śmiała się ochoczo z jego dowcipów. Eugeniusz Pawłowicz poprosił księcia o pozwolenie przedstawienia mu tego oficera; książę z ledwością zrozumiał, czego od niego chcą, ale prezentacja nastąpiła; panowie uklonili się i podali sobie ręce. Przyjaciół Eugeniusza Pawłowicza zadał jakieś pytanie, ale książę, zdaje się, nie odpowiedział na nie czy też tak niewyraźnie wymamrotał coś pod nosem, że oficer popatrzył na niego bardzo uważnie, potem spojrzął na Eugeniusza Pawłowicza i od razu domyślił się, po co tamten zainicjował zawarcie tej znajomości; z lekka się uśmiechnął i znów zaczął rozmawiać z Agłają. Jeden tylko Eugeniusz Pawłowicz zauważył, że Agiaja nagle się przy tym zarumieniła.

Książę nawet nie dostrzegął, że inni rozmawiają i nadskakują Agłai; chwilami nawet zapominał, że sam też siedzi obok niej. Niekiedy miał wielką ochotę pójść sobie dokądkolwiek, zniknąć stąd zupełnie; nawet podobałoby mu się jakieś ponure, odludne miejsce, żeby tylko był sam ze swoimi myślami i żeby nikt nie wiedział, gdzie on się znajduje. Albo żeby przynajmniej był u siebie w domu na tarasie, w zupełnej samotności, bez Lebediewa i jego dzieci; żeby mógł rzucić się na kanapę, wetknąć twarz w poduszkę i przeleżeć w ten sposób cały dzień, całą noc i jeszcze dzień. Chwilami znowu śniły mu się góry, a zwłaszcza jedno miejsce w górach, które zawsze lubił wspominać i gdzie lubił chodzić, kiedy jeszcze tam mieszkał, i patrzeć stamtąd w dół na wioskę, na ledwo migoczącą w dole nitkę wodospadu, na białe chmury, na stary, opuszczony zamek. O, jakżeby chciał się tam teraz znaleźć i myśleć tylko o jednym! - o, całe życie tylko o tym! - wystarczyłoby tego nawet na tysiąc lat! I niechby, niechby tutaj wszyscy o nim zapomnieli. O, tak nawet trzeba, tak nawet lepiej, gdyby go wcale nie znali i całe to spotkanie było tylko snem. Czyż zresztą nie wszystko jedno, we śnie czy na jawie! Chwilami zaczynał się przypatrywać Agłai i po pięć minut nie odrywał od niej wzroku; ale spojrzenie jego było nazbyt dziwne: zdawało się, że patrzył na nią jak na przedmiot znajdujący się od niego o dwie wiorsty albo jak na jej portret, a nie na nią.

- Co pan tak na mnie patrzy, książę? - spytała nagle, przerywając wesołą rozmowę przeplataną śmiechem. - Ja się pana boję; wciąż mi się zdaje, że pan chce wyciągnąć rękę i dotknąć mojej twarzy palcem. Prawda, Eugeniuszu Pawłowiczu, że książę tak patrzy?

Książę, jak się zdawało, wysłuchał ze zdziwieniem, że się do niego zwrócono; zorientował się,

choć może nie całkiem rozumiał, o co chodzi, nie odpowiedział, ale widząc, że i Agłaja, i wszyscy śmieją się, otworzył nagle usta i sam również zaczął się śmiać. Śmiech dokoła jeszcze się wzmógł; oficer, który widocznie łatwo wpadał w wesołość, po prostu parsknął ze śmiechu. Agłaja nagle szepnęła z gniewem:

- Idiota!

„O Boże! Czyż doprawdy ona takiego... czyż ona zupełnie zwariuje!” - powiedziała sobie w duchu, nieomal zgrzytając przy tym zębami, Lizawieta Prokofiewna.

- To żart. Taki sam żart, jak wtedy z „biednym rycerzem” - szepnęła jej do ucha Aleksandra. - Tylko to i nic więcej! Znowu sobie z niego po swojemu zakpiła. Ale tym razem żart został za daleko posunięty; trzeba położyć temu kres, *maman!* Niedawno wyprawiała różne szopki jak aktorka, napędziła nam strachu dla żartów...

- Dobrze jeszcze, że trafiła na takiego idiotę - odpowiedziała jej również szeptem Lizawieta Prokofiewna. Uwaga córki sprawiła jej jednak pewną ulgę.

Ale ksiązę usłyszał, że go nazywano idiotą; drgnął, chociaż bynajmniej nie dlatego, że go tak nazywano. O „idocię” zaraz zapomniał. Ale z tłumu, niedaleko od miejsca, gdzie siedział, skądś z boku - nie umiałby wskazać, w jakim to miejscu i w jakim punkcie - wyjrzała nagle jedna twarz, blada, obramowana ciemnymi kędzierzawymi włosami, z dobrze znanym uśmiechem i spojrzeniem - mignęła i znikła. Bardzo możliwe, że to mu się tylko przywidziało; z całej tej wizji zostały mu tylko w pamięci skrzywiony uśmiech, oczy i jasnozielony elegancki halsztuk na szyi tego osobnika. Czy ten osobnik zniknął w tłumie, czy też przemknął się na dworzec - ksiązę również nie mógłby stanowczo orzec.

Ale w minutę później szybko i niespokojnie jął się rozglądać dokoła; ta pierwsza wizja mogła być poprzedniczką i zwiastunką drugiej wizji. Z pewnością musiało tak być. Czyż idąc na stację zapomniał o możliwości takiego spotkania? Co prawda, kiedy szedł na stację, nie wiedział bodaj wcale, że tu idzie - w takim był stanie. Gdyby umiał albo mógł być uważniejszy, to już przed kwadransem zdołałby zauważyć, iż Agłaja od czasu do czasu również niespokojnie rozglądała się, jakby czegoś szukając dokoła. Teraz, kiedy niepokój jego stał się aż nadto widoczny, wzrosło również zaniepokojenie i zdenerwowanie Agłai, i gdy tylko on się odwracał, prawie natychmiast odwracała się i ona. Wyjaśnienie przyczyny tego niepokoju nastąpiło niebawem.

Z owego właśnie bocznego wejścia na dworzec, w pobliżu którego ulokował się ksiązę wraz z całym towarzystwem, wyłoniła się nagle spora gromadka ludzi, licząca przynajmniej z dziesięć osób. Na przedzie szły trzy kobiety; dwie z nich były uderzająco piękne, więc wydawało się rzeczą zupełnie naturalną, iż za nimi idzie tylu wielbicieli. Ale i wielbiciele, i kobiety - wszystko to razem wyglądało dość osobliwie, całkiem inaczej niż pozostała publiczność, która przyszła posłuchać muzyki. Wszyscy od razu zwrócili na nich uwagę, ale przeważnie starali się udąć, że wcale ich nie widzą; tylko niektórzy młodzi ludzie uśmiechnęli się na ich widok i coś sobie wzajemnie rzekli półgłosem. Trudno było ich nie dostrzec zupełnie: wyraźnie dawali znać o swojej obecności, śmieli się, rozmawiali głośno. Można było przypuścić, że niejeden z nich jest pijany, chociaż niektórzy prezentowali się dość elegancko i wytwornie; ale byli w tej gromadce również ludzie nader

szczególnego wyglądu, w dziwnych ubraniach, z dziwnie rozplómiętymi twarzami; było pomiędzy nimi i kilku wojskowych; było też kilku już niemłodych; niektórzy byli ubrani bogato i wykwintnie, mieli pierścienie na palcach, kosztowne spinki, wspaniałe smolistoczarne peruki, bokobrody i specyficznie dumny, choć nieco szydery wyraz twarzy - od takich elegantów w towarzystwie każdy ucieka jak od morowej zarazy. Wśród naszych rozrywkowych zebrań podmiejskich są oczywiście i takie, które mają dobrą reputację i odznaczają się niezwykłą solidnością obyczajów; ale najostrożniejszy człowiek może być każdej chwili narażony na to, że oberwie cegłą spadającą z sąsiedniego domu. Taka cegła gotowa była teraz spaść na solidną publiczność, zbraną przy muzyce.

Żeby dostać się z dworca na placyk, gdzie grała orkiestra, trzeba było zejść trzy stopnie. Przy tych właśnie stopniach zatrzymała się owa gromadka nowo przybyłych kobiet i mężczyzn; zejść nie mieli widocznie odwagi, ale jedna z kobiet wysunęła się naprzód; za nią ośmieliło się pójść tylko dwóch spośród jej świty. Jeden z nich był dość skromnie prezentującym się człowiekiem w średnim wieku, powierzchowności pod każdym względem przyzwoitej, ale wyglądał na zdecydowanego samotnika, takiego, co to nie ma żadnych znajomości i o którym nikt nic nie wie. Drugi, nie odchodzący na krok od swojej damy, był kompletnym oberwańcem o nader podejrzanym wyglądzie. Nikt więcej nie podążył za ekscentryczną damą; ale schodząc na dół dama ta nawet się nie obejrzała za siebie, jakby jej było zupełnie wszystko jedno, czy ktoś za nią idzie, czy nie. Śmiała się i w dalszym ciągu głośno mówiła; ubrana była bardzo gustownie i bogato, chociaż trochę przesadniej, niż należało. Przeszła obok orkiestry na drugą stronę placu, gdzie przy drodze oczekiwał na kogoś czyjś powóz.

Książę nie widział jej już z górą trzy miesiące. Przez cały ten czas, po przyjeździe do Petersburga, wybierał się do niej, ale powstrzymywało go może tajemne przecucie. W każdym razie nie mógł odgadnąć, jakie wrażenie wywrze na nim spotkanie z nią, a ze strachem usiłował to sobie wyobrazić. Jedno było jasne - że spotkanie będzie bardzo przykre. W ciągu tych sześciu miesięcy kilka razy przypominał sobie to pierwsze wrażenie, jakie sprawiła na nim twarz tej kobiety, kiedy jeszcze ujrzał ją tylko na fotografii; ale nawet owo wrażenie, jak pamiętał, było aż nadto bolesne. Ten miesiąc na prowincji, kiedy widywał się z nią prawie co dzień, wpłynął na niego okropnie, tak dalece, że książę odpędzał od siebie czasem nawet wspomnienie o tych tak jeszcze niedawnych czasach. W samej twarzy tej kobiety widział zawsze coś, co go męczyło; rozmawiając z Rogożynem, książę określił to jako uczucie bezgranicznej litości, i tak było istotnie: widok tej twarzy, nawet na fotografii, powodował, iż serce wzbierało mu dojmującą litością, to uczucie litości, to głębokie, niemal bolesne współczucie nie opuszczało nigdy jego serca, nie opuściło go i teraz. O nie, było nawet jeszcze silniejsze. Ale z tego, co powiedział Rogożynowi, książę był niezadowolony; i dopiero teraz, w chwili gdy się nagle ukazała, zrozumiał czy może wyczuł jakoś bezpośrednio, czego brakowało w słowach, które powiedział Rogożynowi. Brakowało słów, które mogłyby wyrazić grozę; tak, grozę! Teraz, w tej chwili, wyraźnie tę grozę odczuwał; był pewny, był najzupełniej przekonany, wnioskując z niektórych szczególnych okoliczności, że ta kobieta jest niespełna rozumu. Gdyby ktoś, kochając tę kobietę ponad wszystko na świecie albo wyobrażając sobie możliwość takiej miłości, nagle zobaczył ją w kajdanach, za żelazną kratą, pod kijem dozorczy - to takie wrażenie byłoby trochę podobne do tego, które teraz odczuwał książę.

- Co panu jest? - szepnęła prędko Agłaja, patrząc na niego i naiwnie szarpiąc go za rękę.

Książę odwrócił się, popatrzył na nią, spojrział w jej czarne, niezrozumiałe dla niego, błyszczące w tej chwili oczy, spróbował uśmiechnąć się, nagle jednak, niby od razu zapominając o niej, znowu skierował wzrok na prawo i znowu zaczął śledzić rozgrywającą się przed nim scenę. Nastasja Filipowna przechodziła w tym momencie tuż obok krzeseł panien Jepanczyn. Eugeniusz Pawłowicz w dalszym ciągu opowiadał coś najwidoczniej bardzo śmiesznego i ciekawego Aleksandrze Iwanownie, mówił szybko i z ożywieniem. Książę pamiętał, że Agłaja nagle odezwała się półgłosem: „Jaka”...

Słowo nieokreślone i nie domówione; natychmiast powstrzymała się i nie dodała nic więcej, ale i tego było dosyć. Nastasja Filipowna, przechodząca tak, jakby nikogo w szczególności nie dostrzegała, raptem obróciła się w ich stronę i jakby dopiero teraz zauważyła Eugeniusza Pawłowicza.

- Oo! Ależ to on! - zawołała zatrzymując się nagle. - Albo go żaden posłaniec nie może odszukać, albo naumyślnie tam siedzi, gdzie go się najmniej człowiek spodziewa... Myślałam, że jesteś przecie tam... u wuja!

Eugeniusz Pawłowicz zaczerwienił się z gniewu, wściekłym spojrzeniem obrzucił Nastasję Filipowna, ale natychmiast odwrócił się od niej.

- Co?! Jeszcze nie wiesz? Wyobraźcie sobie państwo, on jeszcze nie wie! Zastrzelił się! Dziś rano twój wujaszek popełnił samobójstwo! Mówiono mi o tym już o drugiej po południu; a teraz już pół miasta o tym wie; podobno brakowało mu w kasie trzysta pięćdziesiąt tysięcy skarbowych pieniędzy; inni mówią nawet, że pięćset. A ja zawsze liczyłam, że on ci jeszcze zostawi spadek; tymczasem wszystko puścił. Rozpustny staruszek... No, bądź zdrów, *bonne chance**. Więc naprawdę tam nie pojedziesz? Sprytnie zrobiłeś podając się zawczasu do dymisji! Ale to zawracanie głowy: musiałeś o wszystkim wiedzieć, może już wczoraj wiedziałeś...

Chociaż ta bezczelna zaczepka, afiszowanie się ze swoją znajomością i zażyłością, których nie było, bezwarunkowo miały jakiś cel, i teraz już nie pozostawało co do tego żadnych wątpliwości, jednak Eugeniusz Pawłowicz chciał początkowo zbyć wszystko jakoś tak, by się nie dać sprowokować przez awanturnicę. Ale słowa Nastasji Filipowny uderzyły w niego jak piorun; usłyszawszy o śmierci wuja zbladł jak chusta i obrócił się ku mówiącej. W tej samej chwili generałowa szybko podniosła się z miejsca, pociągnęła wszystkich za sobą i nieomal wybiegła stamtąd. Tylko książę Lew Nikołajewicz, jakby wahając się, pozostał może sekundę na miejscu, ale Eugeniusz Pawłowicz wciąż jeszcze trwał w oszołomieniu. Nie zdążyli wszakże Jepanczynowie ujść dwudziestu kroków, gdy stał się okropny skandal.

Rozmawiający z Agłają oficer, wielki przyjaciel Eugeniusza Pawłowicza, był w najwyższym stopniu oburzony.

- Tu po prostu trzeba szpicruty, inaczej nie poskromi się tego zwierzęcia! - powiedział prawie na głos. (Był, zdaje się, już poprzednio zaufanym Eugeniusza Pawłowicza.)

Nastasja Filipowna błyskawicznie zwróciła się ku niemu. Oczy jej błysnęły; podbiegła do stojącego o dwa kroki od niej, zupełnie obcego młodzieńca, który trzymał w ręku cienką, plecioną

szpicrutę, wyrwała mu ją z rak i z całej siły chlasnęła oficera w twarz. Wszystko to stało się w jednej chwili... Oficer jak nieprzytomny rzucił się na nią; koło Nastasji Filipowny nie było już jej świty; solidny pan w średnim wieku zdążył już zrejterować, a podchmielony osobnik stał z boku i śmiał się na całe gardło. Niebawem oczywiście zjawiałaby się policja, a w danym momencie Nastasja Filipowna mogłaby gorzko odpokutować za swój postępek, gdyby nie nieoczekiwana pomoc; ksiązę, który zatrzymał się również o dwa kroki, zdążył schwycić oficera z tyłu za rękę. Wyrywając się oficer silnie pchnął księcia w piersi; ksiązę odleciał na jakieś trzy kroki i upadł na krzesło. Ale zjawilo się jeszcze dwóch obrońców Nastasji Filipowny. Przed napadającym oficerem stał bokser, autor znanego czytelnikom artykułu i jeden z wybitniejszych członków dawnej bandy Rogożyna.

- Keller! Dymisjonowany porucznik - przedstawił się z przesadnym szykiem. - Jeżeli pan kapitan życzy sobie walkę wręcz, to w zastępstwie słabej płci jestem do usług; przeszedłem całą szkołę angielskiego boksu. Proszę się nie pchać, kapitanie; współczuję z powodu krwawej zniewagi, ale nie mogę dopuścić do stosowania prawa pięści wobec kobiety, i w dodatku na oczach ludzi. Jeżeli zaś, jak przystoi szlachetnie urodzonej osobie, chciałby pan w inny sposób załatwić sprawę, to - pan mię chyba powinien zrozumieć, panie kapitanie...

Ale kapitan już ochłonął z gniewu i nie słuchał go. W tej chwili wyszedł z tłumu Rogożyn, szybko wziął Nastasję Filipownę pod rękę i uprowadził z sobą. Rogożyn też się wydawał okropnie wstrząśnięty, był blady i drżał na całym ciele. Uprowadzając Nastasję Filipownę zdążył jednak roześmiać się w twarz oficerowi i z miną triumfującego właściciela straganu powiedzieć:

- Patrzcie! Ale oberwał! Cała morda zakrwawiona! Ho - ho!

Oprzytomniawszy i najzupełniej domyśliwszy się, z kim ma do czynienia, oficer grzecznie (zasłaniając sobie zresztą twarz chusteczką) zwrócił się do księcia, który już wstał z krzesła:

- Pan jest ksiązę Myszkim, z którym miałem przyjemność się poznać?

- To obłąkana! Niespełna rozumu! Naprawdę! - odparł ksiązę drżącym głosem, wyciągnawszy do niego, nie wiadomo po co, swoje trzęsące się ręce.

- Ja oczywiście nie mogę się pochwalić takimi informacjami; ale muszę znać pańskie nazwisko.

Kiwnął głową i odszedł. Policja przybyła dokładnie w pięć sekund po tym, jak zniknęli ostatni uczestnicy zajścia. Zresztą awantura trwała nie więcej niż dwie minuty. Niektórzy z publiczności wstali i odeszli, inni tylko przesiedli się z jednych miejsc na drugie; jeszcze inni byli bardzo radzi z awantury; wreszcie wielu z zainteresowaniem ją omawiało. Słowem, wszystko zakończyło się normalnie. Orkiestra znowu zaczęła grać. Ksiązę poszedł za Jepanczynami. Gdyby mu wpadło na myśl albo gdyby zdążył spojrzeć na lewo, kiedy siedział na krześle, po tym, jak go popchnięto, zobaczyłby Agłaję, która nie słuchając nawoływań matki i sióstr zatrzymała się w odległości dwudziestu kroków od niego i obserwowała skandaliczną scenę. Ksiązę Sz. podbiegł do niej i nakłonił ją wreszcie, by odeszła. Lizawieta Prokofiewna zauważyła, że Agłaja wróciła do nich tak wzburzona, iż zapewne nie słyszała ich wezwań. Jednak dokładnie po dwóch minutach, kiedy weszli do parku, Agłaja powiedziała swoim zwykłym, obojętnym i kapryśnym głosem:

- Miałam ochotę zobaczyć, czym się zakończy ta komedia.

III

Wypadek przy dworcu nappełnił matkę i córki niemal przerażeniem. Wystraszona i zdenerwowana Lizawieta Prokofiewna dosłownie biegła z córkami prawie przez całą drogę od dworca aż do domu. Według jej pojęć i poglądów zbyt dużo się wydarzyło i wyszło na jaw w tym wypadku, toteż głównie jej mimo całego zamętu i przestachu rodziły się już pewne zdecydowane myśli. Ale i wszyscy zdawali sobie sprawę, że stało się coś szczególnego i że kto wie nawet, czy nie na szczęście, zaczyna wychodzić na jaw jakaś niezwykła tajemnica. Mimo poprzednich zapewnień i wyjaśnień księcia Sz. wszystkie sprawy Eugeniusza Pawłowicza zostały teraz „wyciągnięte na światło dzienne”, sam on został zdemaskowany, wykryty i „formalnie ujawniony w swoich stosunkach z tą ladacznicą”. Tak myślała Lizawieta Prokofiewna i nawet jej obie starsze córki. Skutek tych wywodów był taki, że jeszcze więcej nagromadziło się zagadek. Panny, aczkolwiek w duchu były poniekąd oburzone zbytnim przestachem i taką jawną ucieczką matki, w pierwszej jednak chwili zamętu nie śmiały niepokoić jej pytaniami. Ponadto nie wiadomo dlaczego wydawało się im, że ich siostra, Agłaja Iwanowna, zapewne więcej wie o tej całej sprawie niż one obie z matką pospołu. Książę Sz. też był ponury jak noc i bardzo zamyślony. Lizawieta Prokofiewna nie zamieniła z nim przez całą drogę ani jednego słowa, a on, zdaje się, nawet tego nie zauważył. Adelajda próbowała go wypytać: „O jakim to wujaszku była mowa i co się tam takiego stało w Petersburgu?” Ale on wybąkał jej w odpowiedzi z całkiem kwaśną miną coś bardzo nieokreślonego o jakimś zbieraniu informacji i że to wszystko jest oczywistym nonsensem. „To niewątpliwe!” - odrzekła Adelajda i już więcej o nic nie pytała. Agłaja zaś zrobiła się jakoś niezwykle spokojna i zauważyła tylko po drodze, że wszyscy zanadto szybko biegną. Raz obejrzała się i zobaczyła księcia, który ich doganiał. Spostrzegłszy jego wysiłki, żeby ich dopędzić, uśmiechnęła się drwiąco i więcej już się za nim nie oglądała.

Nareszcie prawie przed samą willą spotkali idącego naprzeciwko nich Iwana Fiodorowicza, który dopiero co wrócił z Petersburga. Zaraz od pierwszego słowa zapytał o Eugeniusza Pawłowicza. Ale małżonka wyminęła go z groźną miną, nie odpowiadając i nawet nie patrząc na niego. Z oczu córek i księcia Sz. od razu się domyślił, że w domu jest burza. Jednak i na jego twarzy malował się jakiś niezwykły niepokój. Natychmiast ujął pod rękę księcia Sz., zatrzymał go przed wejściem do domu i prawie szeptem zamienił z nim kilka słów. Z niespokojnych twarzy obojgu panów, kiedy weszli potem na taras i udali się do Lizawiey Prokofiewny, można było wywnioskować, że usłyszeli jakąś nadzwyczajną wiadomość. Z wolna wszyscy zebrali się u Lizawiey Prokofiewny na górze i na tarasie został w końcu sam książę. Siedział w kącie, jakby na coś czekając, a zresztą sam nie wiedząc po co; nie przyszło mu do głowy, żeby zabrać się i iść, widząc taki rejewach w domu; zdawało się, że zapomniał o całym świecie i gotów był tak siedzieć choćby dwa lata, gdziekolwiek by go posadzono. Z góry dochodziły go chwilami odgłosy gorączkowych rozmów. Sam nie mógłby orzec, jak długo tu siedział. Robiło się późno i prawie zupełnie się ściemniło. Nagle na taras weszła Agłaja: na pozór była spokojna, chociaż nieco blada. Ujrzawszy księcia, którego, „oczywiście nie spodziewała się” zastać tutaj na krześle w kącie, uśmiechnęła się, jakby zdumiona.

- Co pan tu robi ? - zbliżyła się do niego.

Książę, zmieszany, coś tam mruknął i zerwał się z krzesła; ale Agłaja natychmiast usiadła obok niego, więc i on też usiadł. Agłaja szybko, ale uważnie przypatrzyła mu się, potem spojrzała w okno, jakby bez żadnej myśli, potem znów na niego. „Może ona ma ochotę się roześmiać - przemknęło księciu przez głowę - ale chyba nie, bo przecież od razu by się roześmiała.”

- Może pan chce herbaty, to każe podać - powiedziała po chwili milczenia.

- Nnie... Nie wiem.

- Jak można tego nie wiedzieć! Ach tak, niech pan posłucha: gdyby pana ktoś wyzwał na pojedynek, co by pan zrobił? Już przedtem chciałam pana o to spytać.

- Ale... któż by to mógł zrobić... mnie nikt nie wyzwie na pojedynek.

- No, a gdyby jednak wyzwał? Bardzo by się pan przestraszył ?

- Myślę, że bardzo bym się... bał.

- Naprawdę? Więc pan jest tchórzem?

- Nnie; może nawet nie. Tchórzem jest ten, co się boi i ucieka; a kto się boi i nie ucieka, ten jeszcze nie jest tchórzem - uśmiechnął się książę po chwili namysłu.

- A pan nie ucieknie?

- Może nie ucieknę - roześmiał się na koniec z zapytań Agłai.

- Ja chociaż jestem kobietą, za nic bym nie uciekła - zauważyła prawie że z urazą. - A zresztą pan sobie ze mnie kpi i swoim zwyczajem gra komedię, żeby się wydać bardziej interesującym; niech mi pan powie: strzela się zwykle na dwanaście kroków, ale czasem i na dziesięć, prawda? Więc jeden z przeciwników musi być zabity albo ranny?

- Zdaje się, że w pojedynkach rzadko to bywa.

- Jak to - rzadko? Przecież Puszkina został zabity.

- Może przypadkowo.

- Wcale nie przypadkowo; pojedynek był na śmierć, więc go zabito.

- Kula trafiła tak nisko, że Dantes z pewnością celował gdzieś wyżej, w piersi albo w głowę; a tak, jak trafiła, nikt nie celuje, czyli że kula musiała trafić w Puszkina przypadkowo, wskutek chybienia. Mówili mi to ludzie kompetentni.

- A mnie to mówił jeden żołnierz, z którym kiedyś rozmawiałam, że im specjalnie każą, zgodnie z regulaminem, kiedy są w tyralierce, mierzyć z karabinu „w pół człowieka”; tak dosłownie się u nich mówi: „w pół człowieka”. A więc nie w piersi i nie w głowę, tylko umyślnie każe się im

strzelać w pół człowieka. Pytałam potem jednego oficera; mówił, że tak jest w istocie.

- To prawda; ale w tym wypadku chodzi o strzelanie z dużej odległości.

- A pan umie strzelać?

- Nigdy nie strzelałem.

- Czyżby pan nawet nie umiał nabić pistoletu?

- Nie umiem. To znaczy wiem, jak się to robi, ale nigdy sam nie nabijałem.

- Więc pan nie umie, bo tu potrzeba wprawy! Niechże pan słucha i zapamięta sobie: po pierwsze, niech pan kupi dobrego prochu do pistoletów, nie mokrego (proch podobno musi być bardzo suchy, nawet nie wilgotny), jakiegoś drobniutkiego; niech pan takiego zażąda, a nie takiego, jakim się strzela z armat. Kule podobno trzeba samemu odlać. Ma pan pistolety?

- Nie; i całkiem mi są niepotrzebne - roześmiał się nagle książę.

- Ach, jakie to niemądre! Niech pan koniecznie kupi: dobre, francuskie; albo angielskie, są podobno najlepsze. Potem niech pan weźmie z naporstek prochu, mogą być dwa naporstki, i niech pan wsypie. Lepiej dać trochę większą porcję. Niech pan przybije pakułami (podobno pakuły są konieczne); można je wziąć skądkolwiek, bodaj ze starego materaca albo drzwi czasami obija się wołokiem. Potem, kiedy wsadzi pan pakuły, włoży pan kulę - słyszy pan? Kulę potem, a proch nasamprzód, bo inaczej nie wystrzeli. Czego się pan śmieje? Chcę, żeby pan codziennie strzelał po kilka razy i żeby się pan nauczył trafiać do celu. Zrobi pan to?

Książę śmiał się; Agłaja rozgniewana tupnęła nogą. Poważny wyraz jej twarzy przy takiej rozmowie trochę zdziwił księcia. Czuł poniekąd, że powinien być o czymś się dowiedzieć, o coś zapytać - w każdym razie o coś poważniejszego niż to, jak się nabija pistolet. Ale wszystko wyleciało mu z głowy prócz tej jednej rzeczy: iż ona siedzi przed nim, a on na nią patrzy, i o czymkolwiek by mówiła, byłoby mu w tej chwili prawie wszystko jedno.

Z góry szedł wreszcie na taras sam Iwan Fiodorowicz; wybierał się dokądś z miną pochmurną, zatroskaną i stanowczą.

- O, Lew Nikołajewicz... Dokądże się teraz wybierasz? - zapytał, mimo iż książę ani myślał ruszać się z miejsca. - Chodźmy razem, chcę ci coś powiedzieć.

- Do widzenia - rzekła Agłaja i podała księciu rękę.

Na tarasie było już dosyć ciemno, książę nie mógł w tym momencie dojrzeć zupełnie wyraźnie jej twarzy. Po chwili, kiedy już wychodził z willi w towarzystwie generała, okropnie się raptem zarumienił i mocno ścisnął swoją prawą dłoń.

Okazało się, że Iwan Fiodorowicz szedł w tę samą stronę; mimo spóźnionej pory śpieszył, by z kimś tam o czymś pomówić. Ale tymczasem zaczął rozmawiać z księciem, szybko, niespokojnie i

dość bezładnie, często wspominając w rozmowie Lizawietę Prokofiewnę. Gdyby książę mógł być w tej chwili uważniejszy, to kto wie, czy nie domyśliłby się, że generał ma ochotę między innymi wyciągnąć coś od niego albo raczej po prostu i otwarcie spytać go o coś, ale wciąż jakoś nie może dotrzeć do sedna rzeczy. Ku swojemu wstydnemu książę był tak roztargniony, że z początku nawet nic nie słyszał, i kiedy Iwan Fiodorowicz zatrzymał się przed nim, żeby mu wyłuszczyć jakąś pilną kwestię, zmuszony był wyznać szczerze, iż nic nie rozumie.

Generał wzruszył ramionami.

- Wszyscy się jacyś dziwni porobili, gdzie tylko spojrzeć - zaczął znowu mówić. - Powiadam ci, że najzupełniej nie pojmuję myśli i obaw Lizawiety Prokofiewny. Dostała ataku hysterii i płacze, i twierdzi, że zostaliśmy zhańbieni i skompromitowani. Kto to uczynił? Jak? Z kim? Kiedy i dlaczego? Muszę się przyznać, że zawiniłem (zdaję sobie z tego sprawę), bardzo zawiniłem, ale pretensje tej... niespokojnej kobiety (w dodatku źle się prowadzącej) mogą być ostatecznie ukrócone przez policję, mam nawet zamiar zobaczyć się dziś z kim należy i uprzedzić. Wszystko można załatwić, po cichu, łagodnie, nawet miękko, po znajomości i bez żadnego skandalu. Zgadzam się również, że przyszłość brzemienna jest w wypadki i że wiele jest rzeczy niewyjaśnionych; mamy tu nawet intrygę; ale jeżeli tu nic nie wiesz, to tam znowu nic nie umiesz objaśnić; jeżeli ja nie słyszałem, ty nie słyszałeś, tamten nie słyszał, piąty też nic nie słyszał, to któż na koniec słyszał, pytam ciebie? Czymże to według ciebie można wytłumaczyć, jeżeli nie tym, że ta sprawa jest w połowie złudą; nie istnieje; tak samo jak na przykład światło księżyca... albo inne przywidzenia.

- Ona jest niespełna rozumu - wybąkał książę, nagle przypomniałszy sobie z bólem wszystko, co się niedawno zdarzyło.

- To racja, jeśli mówisz o tej. Mnie też taka myśl poniekąd nawiedzała i zasypiałem spokojnie. Ale teraz widzę, że tu ktoś myśli o wiele normalniej, więc nie wierzę w obłąkanie. Kobieta niedorzeczna, dajmy na to, ale z tym wszystkim nawet subtelna, nie tylko nie obłąkana. Dzisiejsze jej wystąpienie na temat Kapitona Aleksiejewicza jest tego najlepszym dowodem. Z jej strony nikczemny to postępek, a co najmniej jezuicki, dokonany w szczególnych celach.

- Jakiego Kapitona Aleksiejewicza?

- Ach, mój Boże, nic nie słuchasz. Od tego przecie zacząłem, że ci powiedziałem o Kapitonie Aleksiejewiczu; jestem tak wstrząśnięty, że mi jeszcze teraz drżą ręce i nogi. Z tego też powodu przedłużyłem dziś swój pobyt w mieście. Kapiton Aleksiejewicz Radomski, wuj Eugeniusza Pawłowicza...

- Nie do wiary! - zawołał książę.

- Zastrzelił się dziś rano o świcie, o siódmej. Czcigodny starowina, siedemdziesięcioletni, epikurejczyk - słowo w słowo tak, jak ona mówiła - skarbowe pieniądze, poważna suma!

- Skądże ona...

- Dowiedziała się? Cha, cha! Przecież dokoła niej utworzył się cały sztab, gdy tylko się zjawiła.

Wiesz, jakie osoby ją teraz odwiedzają i starają się o „zaszczyt” znajomości z nią. Oczywiście mogła przedtem coś niecoś usłyszeć od tych, co do niej przychodzili, ponieważ teraz już wie o tym cały Petersburg i tutaj pół Pawłowska albo nawet cały Pawłowsk. Ale jakąż ona zrobiła subtelną uwagę na temat munduru, tak mi opowiadano; to znaczy na temat tego, że Eugeniusz Pawłowicz zdążył zawczasu wystąpić z wojska! Co za szatańska aluzja! Nie, to nie świadczy o pomieszaniu zmysłów. Oczywiście nie chcę wierzyć, że Eugeniusz Pawłowicz mógł wiedzieć wcześniej o katastrofie, to znaczy, że takiego to dnia, o siódmej godzinie itd. Ale mógł to wszystko przeczuwać. A tymczasem ja, my wszyscy, nawet ksiązę Sz., liczyliśmy, że tamten zostawi mu jeszcze spadek! Okropność! Okropność! Zrozum zresztą, że ja w niczym nie winię Eugeniusza Pawłowicza i śpieszę ci to wyjaśnić, a jednak to wszystko wygląda dosyć podejrzanie. Ksiązę Sz. nie może się po prostu nadziwić. Wszystko się jakoś dziwnie stało.

- Cóż jednak jest podejrzanego w zachowaniu się Eugeniusza Pawłowicza?

- Nic a nic! Zachowywał się w sposób jak najbardziej godny. Ja też nie robiłem żadnych aluzji. Osobisty jego majątek jest, jak sądzę, nietknięty. Lizawiet Prokofiewna oczywiście nie chce nawet słyszeć... Ale najgorsze są te wszystkie rodzinne katastrofy albo, ściślej mówiąc, niesnaski; sam człowiek nie wie, jak to nazwać... Jako prawdziwy przyjaciel domu, bądź łaskaw sobie wyobrazić, co się w tej chwili okazuje, chociaż zresztą nawet niedokładnie: otóż Eugeniusz Pawłowicz jakoby już przeszło miesiąc temu oświadczył się o rękę Agłai, a ona rzekomo formalnie mu odmówiła.

- To być nie może! - zawołał żywo ksiązę.

- A czy ty wiesz cokolwiek? Widzisz, mój drogi - przestraszył się i zdziwił generał, stając w miejscu jak wryty - może ja się przed tobą niepotrzebnie i nieprzyzwoicie wygadałem, ale to tylko dlatego, że ty... że ty... można powiedzieć, jesteś takim człowiekiem. Może wiesz coś szczególnego?

- Nic nie wiem... o Eugeniuszu Pawłowiczu - wybąkał ksiązę.

- I ja nie wiem! Mnie... mnie, bracie, stanowczo chcą zakopać w ziemi, pochować, i nie chcą przy tym wziąć pod uwagę, że to jest przykre dla człowieka i że ja tego nie zniosę. Dopiero co była taka scena, że aż strach! Mówię ci to jak rodzonemu synowi. Co najważniejsze, Agłaja po prostu jakby się śmiała z matki. O tym, że przed jakimś miesiącem nie przyjęła oświadczyn Eugeniusza Pawłowicza i że wszystko to odbyło się dość formalnie, opowiadały siostry w formie domysłu... zresztą domysłu mającego pewne podstawy. Ale przecież to jest takie samowolne i fantazjujące stworzenie, że trudno nawet opowiedzieć! Posiada wszystkie zalety, wszystkie wspaniałe cechy serca i umysłu - wszystko to ma na pewno, ale przy tym kaprysy, drwiny, słowem, charakter diabelski i w dodatku pełen fantazji. Przed chwilą kpiła w żywe oczy z matki, z sióstr, z księcia Sz., o sobie już nawet nie mówię, że mnie rzadko kiedy się nie wyśmiewa, no, ale co tam ja; ja, uważasz, kocham ją, kocham nawet wtedy, kiedy drwi - i zdaje mi się, że ten diabełek też mnie za to szczególnie kocha, to znaczy więcej niż innych. Gotów jestem się założyć, że ona i z ciebie nieraz drwiła, mając jaką taką okazję. Przed chwilą zastałem was tu oboje rozmawiających po niedawnej burzy na piętrze; siedziała z tobą jakby nigdy nic.

Ksiązę zaczerwienił się okropnie i zacisnął prawą dłoń, ale nic nie powiedział.

- Mój drogi, zacny książę! - serdecznie i z zapalem odezwał się nagle generał. - Ja... i nawet sama Lizawieta Prokofiewna (która zresztą znowu zaczęła na ciebie pomstować, a wraz z tobą i na mnie, tylko nie rozumiem, za co) my cię jednak lubimy, lubimy szczerze i poważamy pomimo wszystko, pomimo wszelkie pozory. Ale przyznasz, drogi przyjacielu, przyznasz chyba sam, że to jest nieoczekiwana zagadka i duża przykrość słyszeć, jak ten diabełek nagle z najzimniejszą krwią (bo właśnie stała przed matką z wyrazem najgłębszej pogardy z powodu wszystkich naszych pytań, zwłaszcza moich, ponieważ zrobiłem głupstwo, niech to diabli, chciałem się okazać surowy, jak przystało głowie rodziny - no i zbłądziłem się doszczętnie), ten zimny diabełek raptem oznajmia z uśmiechem, że ta „obłąkana” (tak się wyraziła i dziwi mię to jak gdyby powtarzanie twoich słów: „czyż nie mogliście się dotychczas, powiada, domyślić”), że ta wariatka „nabiła sobie głowę tym, aby mnie za wszelką cenę wydać za mąż za księcia Lwa Nikołajewicza, i dlatego stara się wygryźć z naszego domu Eugeniusza Pawłowicza” - tylko tyle powiedziała; nie dała żadnych wyjaśnień, śmieje się, a myśmy porozdziawiali usta; trzasnęła drzwiami i wyszła. Potem opowiadano mi o niedawnym twoim przejściu z nią... i... i... posłuchaj, drogi książę, nie jesteś człowiekiem obraźliwym i masz dużo zdrowego rozsądku, zdążyłem to zauważyć, ale... nie bierz mi za złe: daję słowo, ona się z ciebie śmieje. Śmieje się jak dziecko, więc się na nią nie gniewaj, ale tak to właśnie jest. Nie przypisuj temu zbyt dużego znaczenia - ona po prostu zwodzi ciebie i nas wszystkich; z próżniactwa. No, bądź zdrów! Znasz nasze uczucia? Nasze szczerze względem ciebie uczucia! Nigdy i w niczym się nie zmienią... bądź pewny, ale... ja teraz muszę iść tędy; do widzenia! Dawno już nie czułem się tak pod psem (jak się to mówi?) jak dzisiaj... Oj, mam ja letnie mieszkanie!

Zostawszy sam na skrzyżowaniu, książę rozejrzał się dokoła, szybko przeszedł przez ulicę, podszedł do oświetlonego okna jednej willi, rozwinął małą kartkę papieru, którą mocno ścisnął w prawej dłoni w ciągu całej rozmowy z Iwanem Fiodorowiczem, i przeczytał, z trudem łowiąc słabą smugę światła:

„Jutro o siódmej rano będę na zielonej ławce w parku i będę na Pana czekała. Postanowiłam rozmówić się z Panem w pewnej niezwykle ważnej sprawie, która bezpośrednio dotyczy Pana.

PS. Mam nadzieję, że Pan nikomu nie pokaże tej kartki. Chociaż mi wstyd dawać Panu takie pouczenia, doszłam jednak do wniosku, że Pan wart jest tego, i napisałam - rumieniąc się ze wstydu za Pana i za Pański śmieszny charakter.

PSS. To ta sama zielona ławka, którą Panu niedawno pokazywałam. Wstydzilby się Pan! Musiałam i to dopisać.”

Kartka napisana była w pośpiechu i złożona byle jak, najprawdopodobniej przed samym wyjściem Agłai na taras. Z nieopisanym wzruszeniem, podobnym do strachu, książę znów mocno ścisnął w dłoni kartkę i czym prędzej odskoczył od okna, od światła, jak spłoszony złodziej; ale przy tym ruchu nagle i mocno zderzył się z jakimś jegomościem, który znalazł się tuż za jego plecami.

- Śledzę księcia - powiedział jegomość.

- To pan, panie Keller? - zawołał zdziwiony książę.

- Szukam księcia. Czekałem na pana przed willą Jepanczynów; oczywiście nie mogłem wejść.

Szedłem za panem, dopóki pan szedł z generałem. Jestem do pańskich usług, książę; niech pan dysponuje Kellerem. Gotów jestem ponieść ofiarę i nawet umrzeć, jeśli zajdzie potrzeba.

- Ale... po co?

- Ano, z pewnością nastąpi wyzwanie. Ten porucznik Mołowcow... już ja go znam, to znaczy nie osobiście... on nie ścierpi obrazy. Nas dwóch, to znaczy mnie i Rogożyna, skłonny będzie naturalnie uważać za hołotę, może nawet zasłużenie, więc tylko pan jeden może mu udzielić satysfakcji. Wypadnie księciu za wszystko zapłacić. On się o pana dopytywał, słyszałem; i jutro na pewno jakiś jego przyjaciel zgłosi się do pana, a kto wie, czy już teraz nie czeka. Jeżeli mi pan zrobi ten zaszczyt i wybierze mnie na sekundanta, to za pana gotów jestem nawet zaryzykować głową; po to właśnie księcia szukałem.

- Więc i pan też o pojedynku! - roześmiał się nagle książę ku nadzwyczajnemu zdziwieniu Kellera. Śmiał się do rozpuku. Keller, który dotychczas był prawie jak na szpilkach, dopóki nie dopiął swego ofiarując się na sekundanta, uczuł się niemal obrażony, widząc księcia tak rozweselonego.

- Pan jednak chwycił go za rękę. A osobie szlachetnie urodzonej, i przy ludziach, trudno jest ścierpieć coś podobnego.

- A on mnie pchnął w piersi! - zawołał ze śmiechem książę. - Nie mamy się o co bić! Przepraszę go i basta. Ale jak się bić, to się bić! Niech strzela; chcę nawet, żeby strzelał. Cha, cha! Umiem już teraz nabić pistolet! A pan umie, panie Keller? Trzeba najpierw kupić prochu, do pistoletów, nie mokrego i nie takiego grubego jak ten, co służy do strzelania z armat; potem trzeba nasamprzód włożyć prochu, pakuł skądś tam albo z drzwi obitych wołokiem i dopiero potem wsadzić kulę, nie zaś kulę przed prochem, bo pistolet nie wystrzeli. Słyszysz pan, panie Keller: bo nie wystrzeli. Cha, cha! Czy to nie wspaniały przepis, przyjacielu? Ach, panie Keller, wie pan, zaraz pana uściskam i ucałuję. Cha, cha, cha! Jak to pan wtedy znalazł się tak nagle przy nim? Niechże pan mnie odwiedzi, i to czym prędzej; napijemy się szampana. Strąbimy się na amen! Czy wie pan, że mam w piwnicy u Lebediewa dwanaście butelek szampana? Lebediew sprzedał mi je „okazyjnie” przed trzema dniami, zaraz nazajutrz, jak się do niego sprowadziłem; kupiłem wszystko, co miał! Zaproszę całą paczkę! Ma pan zamiar spać dzisiejszej nocy?

- Jak zwykle, książę.

- No, to przyjemnych marzeń. Cha, cha!

Książę przeszedł przez drogę i zniknął w parku, zostawiwszy zamyślonego i trochę tym wszystkim zaskoczonego Kellera. Dymisjonowany porucznik nie widywał jeszcze księcia w takim dziwnym nastroju, a nawet nie mógł sobie tego w ogóle wyobrazić.

„Pewnie ma gorączkę, bo to nerwowy człowiek i to wszystko na niego podziałało, ale chyba nie stchórzy. Tacy nigdy nie tchórzą, dalibóg! - rozmyślał Keller. - Hm, szampan! To jednak ciekawa wiadomość. Dwanaście buteleczek, proszę łaskawego pana, czyli cały tuzinek; niezła, można powiedzieć, bateria. A gotów jestem się założyć, że Lebediew przyjął od kogoś ten szampan w

zastaw. Hm... ten książę jest jednak dość miły; doprawdy, lubię takich; ale szkoda czasu i... jeżeli już mamy szampana, pora obecna jest najstosowniejsza...”

Że książę był jak w gorączce, to niewątpliwie była prawda.

Długo włóczył się po ciemnym parku, aż wreszcie spostrzegł, że chodzi wciąż po tej samej alei. W pamięci jego zostało wspomnienie, że tą aleją przeszedł już, licząc od ławki do jednego starego drzewa, wysokiego i okazałego, jakieś sto kroków, pewnie ze trzydzieści albo czterdzieści razy tam i z powrotem. Przypomnieć sobie to, o czym myślał w ciągu tej chyba całej godziny w parku, nie mógłby w żaden sposób, gdyby nawet chciał. Przyłapał się zresztą na pewnej myśli, od której zatoczył się nagle ze śmiechu; chociaż do śmiechu nie było powodu, miał jednak ciągle ochotę śmiać się. Wyobraził sobie, że przypuszczenie o pojedynku mogło powstać nie tylko w głowie Kellera i że wobec tego cała ta historia o nabijaniu pistoletu mogła być nieprzypadkowa... „Ba! - zatrzymał się nagle, olśniony inną znowu myślą: - zeszła na taras wtedy, gdy siedziałem w kącie, i okropnie była zdziwiona, że mię tam znalazła, i - tak się śmiała... zaczęła mówić o herbacie; a przecież wtedy miała już w ręku kartkę, musiała zatem wiedzieć, że siedzę na tarasie, dlaczego się więc dziwiła? Cha, cha, cha!”

Szybkim ruchem wyciągnął kartkę z kieszeni i pocałował ją, ale natychmiast zatrzymał się i zamyślił.

„Jakie to dziwne! Jakie to dziwne!” - rzekł po chwili z pewnym nawet smutkiem: kiedy doznawał wielkiej radości, zawsze robiło mu się przy tym smutno; sam nie wiedział dlaczego. Uważnie rozejrzał się dokoła i zdziwił się, że zaszedł tutaj. Był bardzo zmęczony, podszedł do ławki i usiadł. Dokoła było nadzwyczaj cicho. Muzyka przy dworcu już się skończyła. W parku nie było zapewne nikogo; oczywiście musiało to być co najmniej pół do dwunastej. Noc była spokojna, ciepła, jasna - petersburska noc z początków czerwca, ale w gęstym, cienistym parku, w alei, gdzie się znajdował, panowała już prawie zupełna ciemność.

Gdyby mu ktoś w tej chwili powiedział, że jest zakochany, że się namiętnie kocha, odrzuciłby tę myśl ze zdziwieniem. A gdyby ktoś do tego dodał, że kartka Agłai jest liścikiem miłosnym, jest wyznaczeniem miłosnej schadzki, spaliłby się ze wstydu za tego człowieka i, być może, wyzwiałby go na pojedynek. Wszystko to było zupełnie szczerze i książę ani na moment nie zawahał się i nie dopuścił do siebie żadnej „podwójnej” myśli o tym, że ta dziewczyna może go kochać albo też, że on może kochać tę dziewczynę. Możliwość zakochania się w nim, „w takim jak on człowieku”, uważałby za rzecz potworną. Chwilami wydawało mu się, że to po prostu zabawa z jej strony, jeżeli rzeczywiście coś w tym jest; ale nazbyt jakoś obojętna była mu ta zabawa i traktował ją jako coś całkiem naturalnego; sam natomiast był zajęty i zatroskany czymś zupełnie innym. Słowom, które niedawno wymknęły się wzburzonemu generałowi, że ona drwi sobie z wszystkich, a zwłaszcza z niego, księcia, dał całkowitą wiarę. Nie poczuł przy tym najmniejszej obrazy; jego zdaniem, tak właśnie powinno być. Najważniejsze dla niego było tylko to, że jutro wczesnym rankiem znów ją zobaczy, że będzie obok niej siedział na zielonej ławce, słuchał wykładu o nabijaniu pistoletów i patrzył na nią. Więcej mu nie było trzeba. Pytanie - co ona zamierza mu powiedzieć i jaką to ma ważną sprawę, bezpośrednio go dotyczącą? - raz czy dwa razy też mu przemknęło przez głowę. Poza tym o rzeczywistym istnieniu tej „ważnej sprawy”, z powodu której został wezwany, nie zwątpił ani na chwilę, ale prawie wcale o niej teraz nie myślał, tak dalece, że nawet nie odczuwał jakiegokolwiek

potrzeby, żeby się nad nią zastanawiać.

Skrzypienie cichych kroków po piasku alei zmusiło go do podniesienia głowy. Człowiek, którego twarzy nie można było rozróżnić w ciemności, podszedł do ławki i usiadł przy nim.

Księżę szybko przysunął się do niego i poznał bladą twarz Rogożyna.

- Od razu wiedziałem, że gdzieś tutaj się włóczysz, niedługo cię szukałem - wycedził przez zęby Rogożyn.

Pierwszy raz zeszli się od czasu spotkania w korytarzu restauracji. Zaskoczony niespodziewanym zjawieniem się Rogożyna, księżę przez pewien czas nie mógł zebrać myśli i męczące uczucie odżyło w jego sercu. Rogożyn najwidoczniej zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywierał; chociaż z początku trochę był zmieszany, mówił jakby z jakąś sztuczną nonszalancją, księciu wkrótce wydało się, że Rogożyn nie ma w sobie żadnej sztuczności i nie jest nawet jakoś szczególnie zmieszany; pewna niezręczność w mowie i ruchach miała charakter wyłącznie zewnętrzny; w duszy ten człowiek nie mógł się zmienić.

- Jak... odnalazłeś mnie tutaj? - spytał księżę, byle coś powiedzieć.

- Słyszałem od Kellera (byłem u ciebie w domu), że poszedłeś do parku; no i pomyślałem sobie, że tak to musi być.

- Co „musi być”? - z niepokojem podchwycił księżę słowo, które się tamtemu wyrwało. Rogożyn uśmiechnął się, ale żadnego wyjaśnienia nie dał.

- Dostałem list od ciebie; po co ty to wszystko... że też ci się chce!... A teraz przychodzę do ciebie od niej; kazała cię bezwarunkowo odnaleźć; koniecznie musi z tobą mówić. Prosiła, żeby jeszcze dzisiaj.

- Przyjdę jutro. Teraz idę do domu; a ty... pójdiesz ze mną?

- Po co? Wszystko ci już powiedziałem: bądź zdrow!

- Więc nie wstąpisz? - spytał cicho księżę.

- Dziwny z ciebie człowiek, Lwie Nikołajewiczu, trzeba się tobie dziwować.

Rogożyn uśmiechnął się zjadliwie.

- Dlaczego? Skąd ty masz teraz tyle złości do mnie? - podchwycił księżę gorąco i ze smutkiem. - Przecie sam wiesz teraz, że wszystko, co myślałeś - to nieprawda. Chociaż i ja też tak sądziłem, że złość do mnie dotychczas ci nie przeszła, a wiesz dlaczego? Dlatego że podniosłeś na mnie rękę, dlatego złość twoja nie przechodzi. Mówię ci, że pamiętam tylko jednego Parfiena Rogożyna, z którym się tego dnia zbratałem zamieniając krzyżyki; pisałem ci to we wczorajszym liście, żebyś przestał myśleć o całym tym szaleństwie i nawet nie próbował mi o nim mówić. Czemu mnie unikasz? Czemu chowasz przede mną rękę? Mówię ci, że to wszystko, co było wtedy, uważam tylko za

chorobliwe przywidzenie: całego ciebie, jakim byłeś owego dnia, znam tak dokładnie jak sam siebie. To, co sobie wyobrażałeś, nie istniało i nie mogło istnieć. Po cóż więc ma istnieć złość pomiędzy nami?

- Jaka w tobie może być złość! - roześmiał się znowu Rogożyn w odpowiedzi na żarliwe, nieoczekiwane słowa księcia. Rzeczywiście stał tak, jakby stronił od księcia, o jakie dwa kroki od niego i chował ręce.

- Nie godzi mi się teraz w ogóle chodzić do ciebie, Lwie Nikołajewiczu - wolno i uroczyście dodał na zakończenie.

- Tak mnie już nienawidzisz czy co?

- Nie lubię ciebie, Lwie Nikołajewiczu, więc po cóż mam chodzić do twojego domu? Ech, książę, jesteś zupełnie jak dziecko, zachce ci się zabawki, to ci ją zaraz dawaj - a na rzeczy się nie znasz. Wszystko to tak samo napisałeś w liście, co teraz mówisz, a czy ja ci nie wierzę! W każde twoje słowo wierzę i wiem, żeś mnie nigdy nie oszukiwał i w przyszłości nie oszukasz; a jednak cię nie lubię. Piszesz, że o wszystkim zapomniałeś i że pamiętasz tylko jednego brata Rogożyna, z którym zamieniłeś krzyżyki, a nie tego Rogożyna, który wtedy podniósł na ciebie nóż. A skąd ty wiesz, co ja naprawdę czuję? (Rogożyn znowu się uśmiechnął). Może ja dotychczas ani razu tego nie pożałowałem, a ty mi nadesłałeś swoje braterskie przebaczenie. Może ja tego samego wieczoru myślałem już zupełnie o czym innym, a o tym..

- Nawet nie pomyślałeś! - podchwycił książę. - A jakże! Założę się, że wtedy poleciałeś prosto na kolej i przybyłeś tutaj do Pawłowska na muzykę, żeby ją w tłumie, całkiem tak jak dzisiaj, śledzić i wypatrywać. Miałeś mnie czym zadziwić! Ależ gdybyś wtedy nie był w takim położeniu, że zdolny byłeś myśleć tylko o jednym, to z pewnością nie podniósłbyś na mnie ręki... Miałem wtedy przecucie od samego rana, kiedy patrzyłem na ciebie; czy wiesz, jaki wtedy byłeś? Kiedy zamieniliśmy krzyżyki, zapewne zbudziła się we mnie ta myśl. Dlaczego zaprowadziłeś mię wtedy do staruszki? Chciałeś w ten sposób swoją rękę powstrzymać? Ale to niemożliwe, żebyś tak pomyślał, co najwyżej poczułeś, tak jak i ja... Obaj poczuliśmy wówczas jedno i to samo. Gdybyś wtedy nie podniósł na mnie ręki (którą Bóg powstrzymał), czym teraz byłbym wobec ciebie? Przecież ja cię i tak o to podejrzewałem, jeden mamy grzech, dosłownie jeden i ten sam! (Nie krzyw się! No i czego się śmiejesz?) „Nie żałowałeś”! Ależ gdybyś nawet chciał, to może nie potrafiłbyś żałować, bo mnie w dodatku nie lubisz. I żebym był nawet jak anioł niewinny wobec ciebie, to i tak nie będziesz mnie mógł znosić, dopóki będziesz myślał, że ona nie ciebie, ale mnie kocha. To jest właśnie zazdrość, nic innego, i powiem ci teraz, Parfienie, co sobie myślałem przez ten tydzień: czy wiesz, że ona ciebie teraz może najwięcej kocha, tak nawet, że im bardziej dręczy, tym bardziej kocha. Ona ci tego nie powie, ale trzeba umieć to dostrzec. Dlaczego ona koniec końców idzie jednak za ciebie za męża? Kiedyś powie ci o tym sama. Niektóre kobiety nawet chcą, żeby je tak kochać, a ona ma właśnie taki charakter! Czy ty wiesz, że kobieta zdolna jest zamęczyć człowieka swym okrucieństwem i drwinami i ani razu przy tym nie poczuje wyrzutów sumienia, gdyż za każdym razem będzie myślała patrząc na ciebie: „Teraz mu zadam śmiertelne męki, ale za to później wynagrodzę miłością...”

Rogożyn, wysłuchawszy księcia, zaczął się śmiać.

- Czyś ty, książę, przypadkiem sam na taką nie natrafił? Coś niecoś o tobie słyszałem; nie wiem tylko, ile w tym jest prawdy.

- Co, co mogłeś słyszeć? - drgnął nagle książę i zatrzymał się, ogromnie zmieszany.

Rogożyn w dalszym ciągu śmiał się. Nie bez ciekawości i może nie bez przyjemności wysłuchał księcia; radosny i żywiołowy entuzjazm księcia bardzo go uderzył i dodał mu otuchy.

- O, nie tylko słyszałem, ale i sam teraz widzę, że to prawda - dodał. - Kiedy tak mówiłeś jak teraz? Wierzyć się nie chce, że to ty wypowiadasz takie słowa. Gdybym o tobie czegoś takiego nie słyszał, tobym nie przyszedł tutaj; w dodatku do parku, o północy.

- Zupełnie cię nie rozumiem, Parfienie Siemionowiczu.

- Ona mi to już dawno o tobie tłumaczyła, a dzisiaj sam się przypatrzyłem, jakieś ty z tamtą drugą siedział na muzyce. Przysięgała się na Boga, wczoraj i dzisiaj przysięgała się, że jesteś jak kot zakochany w Agłai Jepanczyn. Mnie to wszystko jedno i nie moja to rzecz: jeżeliś ty ją przestał kochać, to ona ciebie jeszcze nie przestała. Wiesz przecie, że ona koniecznie cię chce z tamtą ożenić, dała sobie takie słowo, che, che! Mówi do mnie: „Bez tego nie wyjdę za ciebie za mąż, oni do cerkwi i my do cerkwi.” Co to może znaczyć, nie mogę zrozumieć i nigdy nie rozumiałem; albo cię kocha bezgranicznie, albo... jeżeli kocha... to jak może chcieć z inną ożenić? Mówi: „Chcę go widzieć szczęśliwym”, to znaczy, że cię kocha.

- Mówiłem ci i pisałem, że ona... jest niespełna rozumu - powiedział książę, z uczuciem bólu wysłuchawszy Rogożyna.

- Bóg raczy wiedzieć! To ty się może omyliłeś... ona mi zresztą wyznaczyła dzisiaj termin, kiedy ją przyprowadziłem z muzyki: za trzy tygodnie, powiada, a może i wcześniej, na pewno pójdziemy do ołtarza; przysięgła, zdjęła obraz, pocałowała. Czyli że teraz ty, książę, musisz zrobić swoje, che, che!

- Wszystko to urojenie! Tego, co ty mówisz o mnie, nigdy, nigdy nie będzie! Jutro przyjdę do was...

- Jakaż to wariatka? - zauważył Rogożyn. - Dla wszystkich ma zdrowy rozum, a tylko dla ciebie jednego jest obłąkana? Jakże więc ona pisze tam te listy? Jeżeli wariatka, toby tam przecież poznali po listach.

- Po jakich listach? - zapytał książę z przestrawieniem.

- Pisze tam, do tamtej, a tamta czyta. Nie wiesz? No to się dowiesz, na pewno sama ci pokaże.

- Nie wolno wierzyć w takie rzeczy! - zawołał książę.

- Ech! Widać, żeś ty, Lwie Nikołajewiczu, niedaleko zaszedł tą ścieżką, jesteś dopiero na początku drogi. Ale poczekaj trochę: będziesz utrzymywał swoją własną policję, sam będziesz dyżurował dzień i noc, i każdy krok znał, jeśli tylko...

- Przestań i nie mów o tym nigdy! - zawołał książę - Słuchaj, Parfienie, chodziłem tutaj, zanim mię znalazłeś, i nagle zacząłem się śmiać, nie wiem z czego; przypomniałem sobie, że jutro wypada, jakby naumyślnie, dzień moich urodzin. Teraz jest prawie dwunasta. Chodźmy powitać ten dzień! Mam wino, napijemy się wina; będziesz mi życzył tego, czego sam sobie teraz nie umiem życzyć, ale właśnie ty mi o tym powiesz, a ja ci w zamian złożę życzenia zupełnego szczęścia. A jeśli nie chcesz - to oddaj krzyżyk! Przecież nie odesłałeś mi krzyżyka zaraz nazajutrz! Masz go na sobie? Masz go teraz?

- Mam - rzekł Rogożyn.

- No to chodźmy. Nie chcę bez ciebie witać nowego życia, bo moje nowe życie właśnie się zaczęło! Nie wiesz, Parfienie, że moje nowe życie zaczęło się dzisiaj?

- Teraz sam widzę i sam wiem, że się zaczęło; tak też i jej powiem. Okropnie jesteś rozgorączkowany, Lwie Nikołajewiczu!

IV

Z ogromnym zdziwieniem zauważył księżę, podchodząc do swojej willi z Rogożynem, że na jej tarasie, jasno oświetlonym, zebrało się liczne i dość hałaśliwe towarzystwo. Wesoła kompania śmiała się i głośno rozmawiała; bodaj że nawet krzykliwie dyskutowała; od pierwszego rzutu oka można było przypuścić, że spędzano tam czas nadzwyczaj niefrasobliwie. Rzeczywiście, wszedłszy na taras, zobaczył, że wszyscy popijali, i to szampana, i zdaje się, od dość dawna, toteż wielu uczujących zdążyło już wpaść w przyjemne ożywienie. Goście byli wszyscy znajomymi księcia, ale dziwne było to, że zebrali się od razu wszyscy jakby na zawołanie, chociaż księżę nikogo nie zapraszał, a o dniu urodzin sam dopiero sobie niedawno przypomniawszy najzupełniejszym przypadkiem.

- Widocznie powiedziałeś komu, że dasz szampana, więc się zlecieli - mrucał pod nosem Rogożyn wchodząc za księciem na taras - znamy ten zwyczaj: wystarczy gwizdnąć na nich... - dodał prawie ze złością, przypominając sobie oczywiście swoją niedawną przeszłość.

Wszyscy powitali księcia okrzykami i życzeniami i otoczyli go kołem. Niektórzy zachowywali się bardzo hałaśliwie, inni o wiele spokojniej, ale wszyscy śpieszyli wieszczować, dowiedziawszy się o urodzinach, i każdy czekał na swoją kolej. Obecność niektórych osób, na przykład Burdowskiego, zainteresowała księcia; ale w największe zdziwienie wprawiało go to, że wśród tej kompanii znalazł się raptem i Eugeniusz Pawłowicz; księżę nie chciał wprost wierzyć własnym oczom i niemal się przestraszył na jego widok.

Tymczasem Lebediew, zarumieniony i niemal entuzjastycznie nastrojony, podbiegł z wyjaśnieniami; był już prawie gotów. Z jego paplaniny okazało się, że wszyscy przyszli tutaj całkiem naturalnie, a nawet przypadkowo. Pierwszy, jeszcze przed wieczorem, przyjechał Hipolit i czując się o wiele lepiej, wyraził chęć poczekania na tarasie. Ulokował się na kanapie; potem przyszedł do niego z góry Lebediew, następnie zaś cała jego rodzina, czyli generał Iwołgin i córki. Burdowski, towarzysząc Hipolitowi, przyjechał z nim razem. Gania i Pticyń wstąpili, zdaje się, niedawno, przechodząc obok (ich przybycie wiązało się z wydarzeniem na dworcu); później zjawił się Keller, oznajmił o urodzinach i zażądał szampana. Eugeniusz Pawłowicz przyszedł najwyżej pół godziny temu. Na szampana i na urządzenie uroczystości nalegał ze wszystkich sił również i Kola. Lebediew usłużnie podał wino.

- Ale moje własne, moje własne! - mamrotał do księcia. - Kupione za własne pieniądze, żeby uczcić i powieszczować; jedzenie też będzie, przekąski, córka się już koło tego krząta; no, ale żeby księżę wiedział, jaki temat jest obrabiany. Pamięta pan Hamleta: „Być albo nie być”? Współczesny temat, proszę księcia, współczesny! Pytania i odpowiedzi... I pan Tierientiew w najwyższym stopniu... nie chce spać! A szampana tylko troszkę łyknął; to mu nie zaszkodzi... Niech księżę będzie łaskaw zbliżyć się i rozstrzygnąć! Wszyscy czekali na księcia, wszyscy tylko czekali na jego trafny sąd...

Księżę dostrzegł łagodne i życzliwe spojrzenie Wiery Lebediew, która też się starała precyzyjnie do niego przez tłum. Omijając wszystkich, do niej pierwszej wyciągnął rękę; zapłonęła się z radości i złożyła mu życzenia „szczęśliwego życia poczynając od dzisiejszego dnia”. Po czym

pobiegła pędem do kuchni; przygotowywała tam przekąski; ale i przed nadejściem księcia, gdy tylko mogła na chwilę oderwać się od roboty, zjawiała się na tarasie i z wytężoną uwagą słuchała gorących dyskusji na najbardziej oderwane i dziwne dla niej tematy, dyskusji, które nie milkły pomiędzy gośćmi podochoconymi już dobrze winem. Młodsza jej siostra, rozdziawiwszy usta, zasnęła w następnym pokoju na kufrze, ale chłopiec, syn Lebediewa, stał obok Koli i Hipolita i sam już wyraz jego ożywionej twarzy wskazywał na to, że gotów stać tutaj na jednym miejscu i rozkoszować się słuchaniem bodaj jeszcze dziesięć godzin z rzędu.

- Specjalnie na pana czekałem i strasznie się cieszę, że pan przyszedł taki szczęśliwy - powiedział Hipolit, kiedy ksiązę zaraz po przywitaniu się z Wierą podszedł uściskać mu rękę.

- A skąd pan wie, że jestem „taki szczęśliwy” ?

- Widać to z pana twarzy. Niech pan się przywita z gośćmi i przysiądzie do nas jak najprędzej. Specjalnie czekałem na pana - dodał kładąc szczególny nacisk na to, że czekał. Na uwagę księcia: czy mu „nie zaszkodzi przesiadywanie o tak późnej porze?” - odrzekł, iż sam się sobie dziwi, że przed trzema dniami chciał umierać, a dzisiaj czuje się tak dobrze jak nigdy dotąd.

Burdowski zerwał się i wybąkał, że on „tylko tak...”, że przyszedł razem z Hipolitem, że „odprowadza!” i że również się cieszy; że w liście „napisał głupstwa”, a teraz „po prostu się cieszy”... Nie odpowiadając, uściskał mocno rękę księcia i usiadł.

Przywitawszy się ze wszystkimi ksiązę podszedł do Eugeniusza Pawłowicza. Ten od razu wziął go pod rękę.

- Mam panu powiedzieć tylko dwa słowa - rzekł półgłosem - i to w bardzo ważnej sprawie: wyjdźmy na chwilę.

- Dwa słowa - wyszeptał inny głos do drugiego ucha i inna ręka wzięła go z drugiej strony pod ramię. Ksiązę ze zdziwieniem spostrzegł okropnie rozczochraną, zaczerwienioną, mrugającą na niego porozumiewawczo i śmiejącą się postać i natychmiast poznał Ferdyszczenkę, który Bóg wie skąd się tutaj wziął.

- Pamięta pan Ferdyszczenkę? - spytał tamten.

- Skąd pan się tu wziął?! - zawołał ksiązę.

- On żałuje tego, co zrobił! - wykrzyknął podbiegając Keller. - Schował się, nie chciał wyjść do księcia, schował się tam w kącie, on żałuje, przyznaje się do winy.

- Ale do jakiej winy, do jakiej?

- To ja go spotkałem, proszę księcia, ja go dopiero co spotkałem i przyprowadziłem; to mój najlepszy przyjaciel; ale on żałuje tego, co zrobił.

- Bardzo mi miło, panowie; idźcie, siadajcie tam razem ze wszystkimi - pozbył się ich nareszcie ksiązę, śpiesząc do Eugeniusza Pawłowicza.

- Ciekawie tu u pana - zauważył tamten - z przyjemnością przesiedziałem pół godziny, czekając na pana. Chciałem panu zakomunikować, drogi książę, i uspokoić pana, że wszystko załatwiłem z Kurmyszowem; niech pan się nie przejmuje, on bardzo rozsądnie potraktował całą sprawę, zwłaszcza że, według mnie, raczej sam jest winien.

- Z jakim Kurmyszowem?

- Ano z tym, którego pan wtedy chwycił za rękę... Był taki rozwścieczony, że chciał już jutro posłać panu sekundantów.

- Ależ to niedorzeczne!

- Oczywiście niedorzeczne, no i skończyłoby się na jeszcze większej niedorzeczności; w naszych warunkach jednak ci ludzie...

- Czy pan może jeszcze w jakiejś sprawie przyszedł, Eugeniuszu Pawłowiczu?

- O naturalnie, jeszcze po coś - roześmiał się tamten. - Drogi książę, jutro o świcie jadę w tej nieszczęsnej sprawie (wie pan, mojego wuja) do Petersburga; niech pan sobie wyobrazi, że to wszystko prawda i wszyscy już o tym wiedzą oprócz mnie. Wszystko to tak nagle na mnie spadło, że nie zdążyłem wstąpić tam (do Jepanczynów); jutro też nie wstąpię, bo będę w Petersburgu, rozumie pan? Może ze trzy dni mnie nie będzie - słowem, sprawy moje kiepsko idą. Aczkolwiek chodzi tu o rzecz niezmiernie ważną, doszedłem jednak do wniosku, że muszę z panem o tym pomówić najzupełniej szczerze, i to nie tracąc czasu, jeszcze przed wyjazdem. Posiedzę teraz i poczekam, jeśli pan pozwoli, dopóki towarzystwo się nie rozejdzie; przy tym nie mam się gdzie podziać; jestem tak wzburzony, że nie będę spał. Wreszcie, chociaż to bezczelne i nieuczciwe tak po prostu narzucać się człowiekowi, ale powiem panu otwarcie: przyszedłem szukać pańskiej przyjaźni, drogi książę; pan jest człowiekiem nieporównanym, to znaczy nie kłamiącym na każdym kroku, a może nawet wcale; mnie zaś w pewnej sprawie potrzebny jest przyjaciel i doradca, ponieważ stanowczo zaliczam się teraz do ludzi nieszczęśliwych... Znowu się roześmiał.

- Jest jeden szkopał - zamyślił się na chwilę książę - pan chce poczekać, dopóki oni się nie rozejdą, a przecie Bóg raczy wiedzieć, kiedy to nastąpi. Czy nie lepiej będzie, jeżeli teraz przejdziemy się do parku? Oni z pewnością poczekają; ja ich przeproszę.

- Ależ nie, nie! Z pewnych względów nie chciałbym, aby padło na nas podejrzenie, że odbyliśmy z sobą nadzwyczajną rozmowę w jakimś celu; są tu ludzie, którzy bardzo się interesują naszymi stosunkami - czy pan o tym nie wie? I daleko lepiej będzie, jeżeli zobaczą, że i tak jesteśmy w jak najbardziej przyjacielskich, a nie tylko jakichś wyjątkowych stosunkach - rozumie pan? Oni się porozchodzą za jakieś dwie godziny; zajmę panu dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny...

- Ależ bardzo pana proszę, pan będzie łaskaw; jestem niezmiernie rad i bez wyjaśnień; a za pańskie dobre słowo o przyjacielskich stosunkach bardzo panu dziękuję. Niech pan mi wybaczy moje dzisiejsze roztargnienie; wie pan, nie mogę jakoś w tej chwili zdobyć się na zupełną uwagę.

- Widzę to, widzę - rzekł Eugeniusz Pawłowicz z lekkim uśmiechem. Bardzo był jakoś skłonny

do śmiechu tego wieczoru.

- Co pan widzi ? - wystraszył się ksiązę.

- A czy panu nie przyszło na myśl, drogi ksiązę - ciągnął dalej z uśmiechem Eugeniusz Pawłowicz, nie odpowiadając wprost na pytanie - czy pan mię nie podejrzewa, że zjawiłem się tutaj, aby pana oszukać i mimochodem czegoś się od pana dowiedzieć, co?

- Że pan się przyszedł czegoś dowiedzieć, to nie ulega wątpliwości - roześmiał się wreszcie i ksiązę - nie jest też wykluczone, że postanowił mię pan cokolwiek nabrać. No, ale ja się pana nie boję; a przy tym jest mi teraz jakoś wszystko jedno, czy pan da wiarę? I... i... i ponieważ mam głębokie przekonanie, że pan jest jednak wspaniałym człowiekiem, to chyba rzeczywiście skończymy na tym, że zostaniemy przyjaciółmi. Pan mi bardzo przypadł do serca, Eugeniuszu Pawłowiczu, pan... według mnie, jest bardzo porządnym człowiekiem!

- No, ale z panem mieć do czynienia jest w każdym razie ogromnie miło, czy z takiej, czy z innej okazji - stwierdził Eugeniusz Pawłowicz. - Chodźmy, wypiję za pańskie zdrowie kieliszek wina; strasznie jestem zadowolony, że się panu narzuciłem. O! - zatrzymał się nagle. - Czy ten pan Hipolit zamieszkał u pana?

- Tak.

- Myślę, że chyba nie umrze zaraz?

- A bo co?

- Tak sobie; nic; spędziłem tu w jego towarzystwie pół godziny...

Hipolit przez ten cały czas czekał na księcia i bez ustanku spoglądał na niego i na Eugeniusza Pawłowicza, kiedy rozmawiali na uboczu. Gorączkowo ożywił się, gdy podeszli do stołu. Był niespokojny i podniecony; pot wystąpił mu na czoło. W jego błyszczących oczach prócz jakiegoś błędnego, bezustannego niepokoju widniała jakaś nieokreślona niecierpliwość; spojrzenie jego prześlizgiwało się bez celu z przedmiotu na przedmiot, z jednej osoby na drugą. Chociaż w ogólnej hałaśliwej rozmowie brał dotychczas dość znaczny udział, ożywienie jego było tylko gorączkowe; właściwie nie interesował się rozmową; dyskutował bezładnie, szyderczo i w sposób lekceważąco paradoksalny; nie kończył myśli, urywał zdania, a po chwili zaczynał mówić o tym samym z chorobliwą pasją. Ksiązę ze zdziwieniem i przykrością dowiedział się, że pozwolono mu tego wieczoru wypić swobodnie dwa pełne kielichy szampana i że zaczęty, a stojący przed nim kieliszek był już trzeci. Ale dowiedział się o tym dopiero później; w obecnej zaś chwili dużo rzeczy uchodziło jego uwagi.

- A czy wie pan, że ja się strasznie cieszę, że to właśnie dzisiaj są pana urodziny! - zawołał Hipolit.

- Dlaczego?

- Zobacz pan; niech pan prędzej siada; po pierwsze, dlatego że już się zebrał cały pański... lud.

Tak przypuszczałem, że będzie lud; po raz pierwszy w życiu moje rachuby są trafne! A szkoda, że nie wiedziałem o pańskich urodzinach, byłbym przyjechał z prezentem... Cha, cha! Kto wie, czy właśnie nie przyjechałem z prezentem! Czy daleko jeszcze do świtu?

- Do świtu pozostały niecałe dwie godziny - powiedział Pticyn spoglądając na zegarek.

- Na co teraz potrzebny świt, kiedy na dworze i bez tego można by czytać? - zauważył ktoś z obecnych.

- Na to, żebym mógł zobaczyć kawałek słońca. Czy można pić za zdrowie słońca, księżę, jak pan myśli?

Hipolit pytał ostro, zwracając się do wszystkich bez ceremonii, jakby rzucał słowa komendy, ale sam, zdaje się, tego nie dostrzegał.

- Wypijemy, owszem; tylko pan musi trochę się uspokoić, panie Hipolicie, dobrze?

- Pan wciąż o spaniu; pan jest moją niańką, księżę! Jak tylko słońce się pokaże i „zadźwięczy” na niebie (kto się tak wyraził w wierszu: „na niebie słońce zadźwięczało”[95]? Bez sensu, ale ładnie!) - zaraz pójdziemy spać. Panie Lebediew! Wszak słońce jest „źródłem życia”! Co oznaczają „źródła życia” w Apokalipsie? Czy księżę słyszał o „gwiazdzie, co spadła z nieba na ziemię”?

- Słyszałem, że Lebediew „gwiazdę” z Apokalipsy tłumaczy jako sieć kolei żelaznych w Europie.[96]

- Nie, proszę szanownych panów, tak nie wolno! - zawołał Lebediew, zrywając się i wymachując rękami, jakby chciał powstrzymać rozpoczynający się ogólny śmiech - za pozwoleniem łaskawych panów! Z tymi panami... ci wszyscy panowie - zwrócił się nagle do księcia - przecież to w pewnych punktach ot co - i bez ceremonii uderzył dwa razy w stół, wskutek czego śmiech stał się jeszcze głośniejszy.

Lebediew był wprawdzie w swoim zwykłym „wieczorowym” stanie, ale tym razem był w dodatku podniecony i rozdrażniony poprzednią dość długą „uczoną” dyskusją, a w takich wypadkach do swoich oponentów odnosił się z bezgraniczną i najzupełniej jawną pogardą.

- Tak nie można, proszę łaskawych panów! Myśmy się, proszę księcia, pół godziny temu umówili, żeby sobie nawzajem nie przerywać; żeby się nie śmiać, póki jeden mówi; żeby mu pozwolić swobodnie wszystko wypowiedzieć, a potem dopiero niech sobie ateści oponują, jeśli chcą; zrobiliśmy generała przewodniczącym, tak, proszę panów! A tak, to niby co? Tak, to każdego można zbić z pantałyku, choćby wyrażał najwyższą, najgłębszą ideę...

- Ależ niech pan mówi, niech pan mówi; nikt panu nie przerywa! - rozległy się głosy. Niech pan mówi, ale nie za długo.

- Cóż to jest za „gwiazda, co spada z nieba na ziemię”? - informował się ktoś.

- Pojęcia nie mam! - odrzekł generał Iwołgin zajmując znów z poważną miną swoje niedawne

miejsce przewodniczącego.

- Nadzwyczaj lubię, proszę księcia, wszystkie te spory i zadrażnienia; naukowe oczywiście - wymamrotał tymczasem Keller, wyraźnie upojony, niecierpliwie kręcąc się na krześle - naukowe i polityczne - zwrócił się nagle i niespodziewanie do Eugeniusza Pawłowicza, który siedział tuż obok niego. - Wie pan, okropnie lubię czytać w gazetach o angielskim parlamencie, nie o tym, o czym oni tam debatuja (nie jestem, wie pan, politykiem), tylko jak oni z sobą mówią, jak się zachowują, że tak powiem, jako politycy: „szlachetny wicehrabia siedzący naprzeciwko mnie”, „szlachetny hrabia, który podziela moje zdanie”, „szlachetny mój oponent, który swoim projektem wprowadził w zdumienie całą Europę”, wszystkie te wyrażenka, cały ten parlamentaryzm wolnego narodu - oto co nas tu musi nęcić. Jestem oczarowany, proszę księcia. Zawsze byłem artystą w głębi duszy, przysięgam panu, Eugeniuszu Pawłowiczu.

- W takim razie cóż ostatecznie - oburzał się w drugim końcu Gania - według pana wychodzi na to, że koleje żelazne są przekleństwem ludzkości, są jej zgubą, są jakąś plagą, która spadła na ziemię, żeby zamącić „źródła życia”?

Gawriła Ardalionowicz był tego wieczoru wyjątkowo podniecony, ale podniecony na wesoło, niemal triumfujący, jak się wydawało księciu. Z Lebediewa oczywiście żartował sobie, podzegał go do kłótni, ale w końcu sam się rozochocił.

- Nie koleje żelazne, nie, proszę panów! - protestował Lebediew, który strasznie się denerwował, ale zarazem odczuwał niezmierną rozkosz. - Właściwie same koleje żelazne nie zamącają źródeł życia, ale wszystko to w sumie jest przeklęte, cały ten kierunek naszych ostatnich wieków, ogólny ich charakter, naukowy i praktyczny, jest może istotnie przeklęty, proszę łaskawych panów.

- Na pewno przeklęty czy tylko może? W danym wypadku to przecież bardzo ważne - odezwał się Eugeniusz Pawłowicz.

- Przeklęty, przeklęty, na pewno przeklęty! - zajadle potwierdził Lebediew.

- Niech się pan tak nie unosi, panie Lebediew, rankami pan bywa o wiele poczciwszy - zauważył z uśmiechem Pticyn.

- A wieczorami za to bardziej szczerzy! Wieczorami bardziej wylewny i szczerzy! - z zapalem zwrócił się do niego Lebediew. - Bardziej prostoduszny i określony, bardziej uczciwy i bardziej godny szacunku, a chociaż się w ten sposób niejako rozbrajam przed wami, kpię sobie z tego; wyzywam teraz wszystkich was, ateistów: czym zbawicie świat i jaką mu wskażecie normalną drogę - wy, ludzie nauki, przemysłu, zrzeszeń społecznych, pracy zarobkowej i wielu innych instytucji. Czym? Kredytem? Cóż to jest kredyt? Dokąd was zaprowadzi kredyt?

- Ależ pan jest ciekawy, drogi panie! - zauważył Eugeniusz Pawłowicz.

- A moim zdaniem, kto się takimi rzeczami nie interesuje, ten jest salonowy *chenapan* *!

- Ale przynajmniej doprowadzi do powszechnej solidarności i równowagi interesów - zauważył

Płtacy.

- I nic więcej, nic więcej! Nie opierając się na żadnej podstawie moralnej, kierując się tylko egoizmem osobistym i potrzebami materialnymi? Powszechny ład, powszechne szczęście - na materialnym gruncie? Czy dobrze, jeśli wolno spytać, zrozumiałem szanownego pana?

- Ależ powszechne potrzeby materialne, konieczność picia i jedzenia, a przy tym najzupełniejsze, oparte na podstawach naukowych przekonanie, że nie można tych potrzeb zaspokoić bez powszechnego zrzeszenia się ludzi i solidarności interesów, stanowią, zdaje się, dość mocną myśl, mogącą służyć za punkt oparcia i „źródło życia” dla przyszłych pokoleń - zauważył, już na dobre rozgorączkowany Gania.

- Konieczność jedzenia i picia to tylko instynkt samozachowawczy...

- A czyż sam choćby instynkt samozachowawczy to mało? Przecież instynkt samozachowawczy jest moralnym prawem ludzkości...

- Kto to panu powiedział? - krzyknął nagle Eugeniusz Pawłowicz. - Owszem, jest prawem, ale równie normalnym jest prawo niszczenia, a bodaj nawet samozniszczenia. Czyż tylko na samozachowaniu polega normalne prawo ludzkości?

- Ehe! - wykrzyknął Hipolit, szybko zwracając się do Eugeniusza Pawłowicza i oglądając go z niezwykłą ciekawością; zobaczywszy jednak, że ten się śmieje, sam się również roześmiał, trącił stojącego obok Kolę i znowu spytał go, która godzina, nawet wziął srebrny zegarek Koli i chciwie spojrział na wskazówki. Potem, jakby zapominając o wszystkim, wyciągnął się na kanapie, podłożył ręce pod głowę i zaczął patrzeć w sufit; po upływie pół minuty znowu już siedział przy stole, wyprostowany, przysłuchując się paplaninie podnieconego do ostatnich granic Lebediewa.

- Jest to myśl podstępna i urągliwa, myśl prowokująca! - chciwie podchwycił Lebediew paradoks Eugeniusza Pawłowicza - myśl wypowiedziana w tym celu, aby podbechtać przeciwników do bitki - ale myśl słuszna! Bo pan, dowcipniś salonowy i kawalerzysta (choć nie pozbawiony zdolności!), sam nawet nie wie, jak bardzo głęboka i prawdziwa jest pańska myśl! Tak, proszę pana. Prawo samoniszczenia i prawo samozachowania są jednako silne w człowieku! Diabeł wciąż tak samo włada ludzkością aż do czasu, którego nie znamy jeszcze. Pan się śmieje? Pan nie wierzy w diabła? Niewiara w diabła to francuska myśl, to myśl nader lekka. Czy wie pan, co to diabeł? Wie pan, jak mu na imię? I nie znając nawet jego imienia pan się śmieje z jego kształtu za przykładem Woltera, śmieje się pan z jego kopyt, ogona i rogów, które pan sam wymyślił; albowiem zły duch jest duchem wielkim i groźnym, a nie takim z rogami i kopytami, które pan sam wymyślił. Ale nie o niego teraz chodzi!...

- Skąd pan wie, że teraz chodzi nie o niego?! - krzyknął nagle Hipolit i zaczął się śmiać jak szalony.

- Myśl trafna i wnikliwa! - podchwycił Lebediew. - Ale znowu nie o to chodzi, tylko o to, czy „źródła życia” nie osłabły wraz ze wzmożeniem...

- Kolei żelaznych, tak ?! - krzyknął Kola.

- Nie linii kolejowych, młody i zapalczywy chłopcze, ale całego tego kierunku, którego drogi żelazne są, że tak powiem, obrazem, wyrazem artystycznym. Śpieszą, grzmią, dudnią i pędzą podobno dla szczęścia ludzkości! „Życie ludzkie staje się zanadto hałaśliwe i przemysłowe, za mało w nim spokoju dla ducha”[98] - skarży się pewien samotny myśliciel. „Niech tam, ale turkot wozów wiozących zboże dla głodnej ludzkości jest może lepszy od spokoju ducha” - triumfująco odpowiada tamtemu inny, wszędobylski myśliciel i odchodzi od niego pełen dumy. Nie wierzę ja, nikczemny Lebediew, w te wozy, które wiozą zboże dla ludzkości! Ponieważ wozy, które wiozą zboże dla całej ludzkości, bez moralnej podstawy takiego działania mogą z najzimniejszą krwią odsunąć znaczną część ludzkości od napawania się ich ładunkiem, co już się zdarzało...

- To niby te wozy mogą z najzimniejszą krwią odsunąć? - podchwycił ktoś z obecnych.

- Co już się zdarzyło - potwierdził Lebediew nie racząc zwrócić uwagi na pytanie - już był Malthus, przyjaciel ludzkości. Ale przyjaciel ludzkości, który nie ma stałych podstaw moralnych, jest ludożercą ludzkości, nie mówiąc już o jego próżności; albowiem spróbujcie tylko obrazić pychę któregoś z tych niezliczonych przyjaciół ludzkości, a natychmiast gotów będzie podpalić świat z czterech końców dla nasycenia swojej przyziemnej zemsty - zresztą postąpi dokładnie tak samo jak i ja, największy ze wszystkich nikczemnik, albowiem ja właśnie pierwszy może przyniosę drewno, a sam ucieknę. Ale znowu nie o to chodzi!

- A o cóż wreszcie?

- Co za nudziarz!

- Chodzi o następującą anegdotę z minionych wieków, albowiem koniecznie muszę opowiedzieć anegdotę z minionych wieków. W naszych czasach, w naszej ojczyźnie, którą, mam nadzieję, panowie kochają tak samo jak ja, ponieważ ja ze swej strony gotów jestem przelać nawet wszystką swoją krew...

- Dalej! Dalej!

- W naszej ojczyźnie, zarówno jak w Europie, ogólny, powszechny i okropny głód nawiedza ludzkość, według prawdopodobnego obliczenia i o ile mogę spamiętać, nie częściej obecnie niż raz na ćwierć wieku, czyli raz na dwadzieścia pięć lat. Nie twierdzę, że ta liczba jest ścisła, ale dzieje się to bardzo rzadko w porównaniu...

- W porównaniu z czym?

- Z wiekiem dwunastym i z wiekami sąsiadującymi z nim z jednej i drugiej strony. Albowiem w owych czasach, jak piszą i utrzymują pisarze, powszechny głód nawiedzał ludzkość raz na dwa lata albo przynajmniej na trzy lata, toteż wobec takiego stanu rzeczy człowiek uciekał się nawet do antropofagii, aczkolwiek zachowywał to w tajemnicy. Jeden z takich darmożjadów, wobec zbliżającej się starości, oznajmił sam z siebie, bez żadnego przymusu, że w przeciągu swej długiej i marnej egzystencji zamordował i zjadł osobiście w największym sekrecie sześćdziesięciu mnichów i

kilka świeckich niemowląt - ze sześć sztuk, nie więcej, czyli niezwykle mało w porównaniu z ilością zjedzonego przez niego duchowieństwa. Dorosłych zaś ludzi świeckich nigdy w tym celu nie używał.

- To niemożliwe! - krzyknął sam przewodniczący, generał, głosem niemal obrażonym. - Często z nim, proszę panów, dyskutuję i spieram się i zawsze na temat podobnych rzeczy; ale on najczęściej głosi takie bzdury, że uszy człowiekowi wędną, nie ma w tym odrobiny prawdopodobieństwa!

- Generale! przypomnij sobie oblężenie Karsu, a wy, panowie, wiedźcie, że opowieść moja jest czystą prawdą. Dodam od siebie, że prawie każda rzeczywistość, aczkolwiek ma swoje niezmierne prawa, zawsze niemal jest jednak niewiarygodna i nieprawdopodobna. I nawet im bardziej jest rzeczywista, tym niekiedy bardziej nieprawdopodobna.

- Czy można zjeść sześćdziesięciu mnichów? - śmieli się wszyscy dokoła.

- Nie zjadł ich przecie od razu, co jest oczywiste, tylko może w ciągu piętnastu albo dwudziestu lat, co jest już najzupełniej zrozumiałe i naturalne...

- I naturalne?

- I naturalne! - odcinał się z pedantycznym uporem Lebediew. - A przy tym wszystkim katolicki mnich jest z istoty swojej pazerny i ciekawy, i aż nadto łatwo zwabić go do lasu albo do jakiegoś ustronia i tam postąpić z nim w sposób wyżej opisany; jednak mimo wszystko nie zaprzeczam, że ilość zjedzonych osób okazała się nadzwyczajna, świadcząca nawet o nieumiarkowaniu.

- Może to i prawda, proszę panów - zauważył nagle książe.

Dotychczas w milczeniu słuchał dyskusji i nie wtrącał się do rozmowy; często śmiał się serdecznie po każdym ogólnym wybuchu śmiechu. Widać było, iż okropnie rad jest z tego, że goście się tak wesoło bawią; nawet z tego, że tak hałasują i dużo piją. Może nie wyrzekłby przez cały wieczór ani jednego słowa, ale nagle jakoś zdecydował się przemówić. Zaczął zaś mówić z niezwykłą powagą, toteż wszyscy od razu zwrócili się ku niemu z zaciekawieniem.

- Chciałem, proszę panów, powiedzieć właśnie, że wówczas bywał często taki głód. Słyszałem o tym, chociaż niezbyt dobrze znam historię. Zdaje się jednak, że tak musiało być. Kiedy się znalazłem w górach szwajcarskich, strasznie mię dziwiły ruiny starych zamków rycerskich zbudowanych na stokach gór, na stromych skałach, i przynajmniej na wysokości pół wiorsty, licząc pionowo (to znaczy kilka wiorst ścieżką). Wiadomo, co to jest zamek: cała góra kamieni. Robota okropna, nieprawdopodobnie ciężka! I każdy taki zamek budować musieli oczywiście wszyscy ci biedni ludzie, wasale. Prócz tego musieli płacić wszelkie podatki i utrzymywać duchowieństwo. Jakże w tych warunkach można było utrzymać siebie i uprawiać ziemię? Było ich przecie mało, z pewnością marli z głodu, a jeść dosłownie może nie było co. Myślałem nawet czasem: jak się to stało, że wtedy nie wymarł wszystek lud; jak on mógł to wytrzymać i przetrwać? Że istnieli ludożercy, i to nader liczni, co do tego Lebediew ma niewątpliwie rację; nie wiem tylko, dlaczego wmieszał tu mnichów i co chciał przez to powiedzieć.

- Na pewno to, że w dwunastym wieku można było jeść tylko mnichów, ponieważ tylko mnisi

byli wypasieni - zauważył Gawriła Ardalionowicz.

- Wspaniała i niebywale trafna myśl! - zawołał Lebediew. - Albowiem ludzi świeckich on nawet nie tknął. Ani jednego świeckiego na sześćdziesiąt osób duchownych, to jest myśl straszna, myśl historyczna, myśl statystyczna; z takich właśnie faktów człowiek uczony odtwarza historię; albowiem z matematyczną ścisłością można wywnioskować, że duchowieństwo żyło przynajmniej sześćdziesiąt razy szczęśliwiej i swobodniej niż całe ówczesne społeczeństwo. I może było ze sześćdziesiąt razy tłustiejsze niż cała reszta ludzkości...

- Przesada, przesada, panie Lebediew! - śmiano się dokoła.

- Zgadzam się, że to jest myśl historyczna, ale do czego pan zmierza? - pytał w dalszym ciągu książę. (Mówił z taką powagą i tak nie zdradzał najmniejszej skłonności do żartów albo drwiny z Lebediewa, z którego wszyscy się śmieli, że ton jego, wśród ogólnego tonu całego towarzystwa, mimo woli stawał się komiczny; niewiele brakowało, aby zaczęto kpić sobie i z niego, ale on tego nie dostrzegał).

- Czyż książę nie widzi, że to wariat? - pochylił się do niego Eugeniusz Pawłowicz. - Mówiono mi tu niedawno, że zwariował na punkcie adwokatury i mów adwokackich i że chce zdawać egzamin. Spodziewam się wybornej parodii.

- Prowadzę do wielkiej konkluzji - grzmiał tymczasem Lebediew. - Zbadajmy jednak przedtem psychologiczny i prawny stan przestępcy. Widzimy, że przestępca, czyli, że się tak wyrażę, mój klient, mimo całej niemożności znalezienia innych artykułów żywnościowych, kilkakrotnie w ciągu swojej zajmującej kariery zdradza chęć pokuty i żalu i odpycha od siebie duchowieństwo. Widzimy to wyraźnie z faktów: wspomina się o tym, że zjadł jednak pięć czy sześć niemowląt, liczba stosunkowo znikoma, ale za to wiele znacząca pod innym względem. Widać, że mojego klienta męczyły straszne wyrzuty sumienia (a jest człowiekiem religijnym i skrupulatnym, czego dowiodę) i żeby zmniejszyć w miarę możliwości swój grzech, tytułem próby sześć razy zmieniał pokarm mniszy na pokarm świecki. Że to była próba, to znowu nie ulega żadnej wątpliwości; albowiem gdyby mu chodziło tylko o gastronomiczne urozmaicenie, to liczba sześć byłaby zanadto znikoma: dlaczego tylko sześć, a nie trzynaście? (Biorę pół na pół.) Ale jeżeli to była próba uczyniona jedynie z rozpaczliwego strachu przed świętokradztwem i obrazą Kościoła, wtedy liczba sześć staje się całkiem zrozumiała; albowiem sześć prób, podjętych w celu uspokojenia skrupułów moralnych, aż nadto wystarczy; przecie próby nie mogły być zadowalające. I, po pierwsze, według mnie, niemowlę jest za małe, czyli nie dość duże, więc po pewnym czasie świeckich niemowląt trzeba by było trzy albo pięć razy więcej niż osób duchownych, grzech więc, nawet gdy z jednej strony się zmniejszał, z drugiej za to zwiększał się, jeżeli nie pod względem jakości, to ilości. Rozumując w ten sposób, proszę panów, wnikam oczywiście w uczucia przestępcy z dwunastego wieku. Co zaś się tyczy mnie, człowieka dziewiętnastego wieku, to może osądziłbym wszystko inaczej, o czym informuję panów, toteż nie macie co, panowie, podśmiewać się ze mnie, a panu, panie generale, całkiem to nie wypada. Po drugie, niemowlę, według mojej osobistej opinii, nie jest dość pożywne, może nawet zanadto słodkie i mdłe, nie zaspokajając więc głodu, zostawia tylko wyrzuty sumienia. Teraz zakończenie, finał, proszę panów, finał, w którym zawarte jest rozwiązanie jednego z największych problemów ówczesnej i naszej epoki! Przestępca kończy na tym, że idzie i oskarża sam siebie przed duchowieństwem i oddaje się w ręce władz. Należy zapytać, jakie tortury czekały go w owych

czasach, jakie koła, stopy i płomienie? Któż mu kazał iść i oskarżać siebie? Dlaczego nie mógł się po prostu zatrzymać na liczbie sześćdziesiąt, zachowując tajemnicę aż do ostatniego tchnienia? Dlaczego nie mógł po prostu przestać jeść mnichów i pędzić reszty życia na pokucie jako pustelnik? Dlaczego wreszcie nie mógł sam zostać mnichem? Tu jest właśnie rozwiązanie! Więc jednak było coś silniejszego od stosów płomieni, a nawet od dwudziestoletniego przyzwyczajenia! Więc jednak była myśl silniejsza od wszystkich nieszczęść, nieurodzajów, męczarni, dzumy, trądu i całego tego piekła, którego nie wytrzymałaby chyba ludzkość, gdyby nie miała tej myśli wiążącej, kierującej sercami i zapładniającej źródła życia! Pokażcie mi coś podobnego do takiej siły w naszym stuleciu występków i kolei żelaznych... właściwie to należałoby powiedzieć: w naszym wieku parostatków i kolei żelaznych, ale ja mówię: w naszym stuleciu występków i kolei żelaznych, ponieważ jestem pijany, ale sprawiedliwy! Pokażcie mi myśl, która by spajała współczesną ludzkość i która miałaby chociaż połowę tej siły, co w owych wiekach. I ośmielacie się na koniec powiedzieć, że nie osłabły, nie zmąciły się źródła życia pod tą „gwiazdą”, pod tą siecią, która oplatała ludzi. Nie straszcie mnie waszym dobrobytem, waszymi bogactwami, rzadkością głodu i szybkością komunikacji! Bogactwa więcej, ale siły mniej; zabrakło myśli, która by spajała; wszystko rozmiękło, wszystko zgniło i wszyscy zgnili! Wszyscy, wszyscy, wszyscyśmy zgnili!... Ale dość o tym, nie o to teraz chodzi, tylko o to, czy nie należałoby zarządzić, wielce szanowny księżę, aby nam podano zakąseczki przygotowane dla gości?

Lebiediew, który o mało co nie doprowadził niektórych słuchaczy do prawdziwego oburzenia (trzeba zaznaczyć, iż butelki przez ten czas odkorkowywano bez ustanku), nieoczekiwanym zakończeniem swojej mowy, dotyczącym zakąsek, udobruchał natychmiast wszystkich przeciwników. Sam nazwał swoje zakończenie „zręcznym chwytem adwokackim”. Znowu się rozległ wesoły śmiech, goście się ożywili; wszyscy wstali od stołu, żeby wyprostować nogi i przejść się po tarasie. Tylko Keller był niezadowolony z mowy Lebiediewa i nadzwyczaj zdenerwowany.

- Napada na oświatę, propaguje fanatyzm dwunastego wieku, błaznuje, a czyni to nie z żadnej prostoty ducha; trzeba by go spytać, w jaki sposób dorobił się domu - mówił głośno, zatrzymując każdego z osobna.

- Widziałem prawdziwego komentatora Apokalipsy - mówił generał w innym kącie do innych słuchaczy, a między innymi do Pticyna, którego chwycił za guzik - świętej pamięci Grzegorza Siemionowicza Burmistrza: ten, że się tak wyrażę, przenikał do głębi serca. Po pierwsze, wkładał okulary, otwierał wielką starodawną księgę w czarnej skórzanej oprawie, no i przy tym siwa broda, dwa medale za filantropię. Zaczynał mówić surowo i groźnie, chylili się przed nim generałowie, damy mdlały - no, a ten tutaj kończy zakąskami! Do czego to podobne!

Pticyn, słuchając generała, uśmiechał się, jakby miał zamiar wziąć kapelusz i wyjść, ale nie mógł się zdecydować, czy też nieustannie zapominał o swoim zamiarze. Gania jeszcze przedtem, zanim wszyscy wstali od stołu, nagle przestał pić i odsunął od siebie kieliszek; jakiś cień przemknął po jego twarzy. Kiedy wszyscy wstali od stołu, podszedł do Rogożyna i usiadł obok niego. Można było pomyśleć, że są w najbardziej przyjacielskich stosunkach. Rogożyn, który z początku także kilka razy zamierzał wyjść ukradkiem, siedział teraz nieruchomo, zwiesiwszy głowę, jakby również zapomniał o tym, że chciał wyjść. Przez cały wieczór nie wypił ani kropli wina i był bardzo zamyślony; z rzadka tylko podnosił oczy i przyglądał się wszystkim po kolei. Teraz znów można było

pomyśleć, że czeka tutaj na coś bardzo ważnego i na razie postanowił nie odchodzić.

Księżę wypił wszystkiego dwa czy trzy kieliszki i był tylko wesoły. Kiedy wstał od stołu, uchwycił spojrzenie Eugeniusza Pawłowicza, przypomniał sobie rozmowę, którą mieli odbyć, i uśmiechnął się przyjaźnie. Eugeniusz Pawłowicz kiwnął głową i nagle wskazał na Hipolita, którego równocześnie z uwagą obserwował. Hipolit spał wyciągnąwszy się na kanapie.

- Niech mi pan powie, po co się tutaj do pana przyplątał ten smarkacz? - powiedział nagle do księcia z taką wyraźną urazą, a nawet złością, że księżę się zdziwił. - Założyłbym się, że on knuje coś złego.

- Zauważyłem - odparł księżę - a przynajmniej tak mi się wydało, że on pana dzisiaj bardzo interesuje; czy tak jest w istocie?

- Niech pan doda: przy moich własnych sprawach, o których ciągle muszę myśleć; sam sobie się dziwię, że przez cały wieczór nie mogę oczu oderwać od tej obrzydliwej fizjonomii!

- On ma twarz dość ładną...

- O, o, niech pan patrzy! - krzyknął Eugeniusz Pawłowicz pociągnąwszy księcia za rękę. - A to dopiero!...

Księżę jeszcze raz ze zdziwieniem spojrzał na Eugeniusza Pawłowicza.

Hipolit, który pod koniec dysertacji Lebediewa nagle zasnął na kanapie, teraz nagle obudził się, jakby go kto szturchnął w bok, drgnął, podniósł się nieco, rozejrzał dokoła i zbladł; nawet z jakimś przestachem spozierał wkoło; ale prawie zgroza odmalowała się na jego twarzy, gdy wszystko sobie przypomniał i zrozumiał.

- Co, rozchodzą się? Skończone? Wszystko skończone? Słońce wzeszło? - pytał z trwogą, chwytając księcia za rękę - która godzina? Na miłość boską: która godzina? Zaspałem. Długo spałem? - dodał niemal z rozpaczą, jak gdyby przespał coś takiego, od czego co najmniej zależał jego los.

- Pan spał siedem albo osiem minut - odrzekł Eugeniusz Pawłowicz.

Hipolit wpatrywał się w niego i przez kilka chwil snuł jakieś rozważania.

- A... tylko tyle! Więc ja...

I odetchnął głęboko, z ulgą, jakby zrzuciwszy z siebie jakiś ogromny ciężar. Zorientował się wreszcie, że nic nie jest „skończone”, że jeszcze nie rozedniało, że goście wstali od stołu tylko po to, żeby coś zjeść, i że skończyła się tylko paplanina Lebediewa. Uśmiechnął się i suchotniczy rumieniec w postaci dwóch jaskrawych plam zabarwił jego policzki.

- A pan już nawet liczył minuty, podczas gdy ja spałem - podchwycił drwiąco słowa Eugeniusza Pawłowicza. - Pan przez cały wieczór nie odrywał ode mnie wzroku, widziałem to... O! Rogożyn!

Snił mi się przed chwilą - szepnął do księcia, zachmurzywszy się i wskazując głową siedzącego przy stole Rogożyna. - Ach, prawda - przeskoczył znowu na inny temat - gdzież jest mówca, gdzież jest pan Lebediew? Więc już skończył? O czym on mówił? Prawda, książę, że świat będzie zbawiony przez piękno? To są pańskie słowa. Panowie - zwrócił się głośno do wszystkich - książę twierdzi, że świat będzie zbawiony przez piękno! A ja twierdzę, że książę dlatego ma takie figlarne myśli, iż jest teraz zakochany. Proszę panów, książę jest zakochany; kiedy niedawno tutaj wszedł, od razu się o tym przekonałem. Niech się książę nie rumieni, bo zacznę księciu współczuć. Jakież to piękno ma zbawić świat? Powiedział mi to Kola... Książę jest gorliwym chrześcijaninem? Kola mówi, że książę sam siebie nazywa chrześcijaninem.

Książę przyglądał mu się uważnie, ale nic nie odrzekł.

- Pan mi nie odpowiada? Pan może sądzi, że ja pana bardzo kocham? - dodał nagle Hipolit jakby z rozpędu.

- Nie, nie sędzę. Wiem, że pan mnie nie lubi.

- Co? Nawet po tym, co zaszło wczoraj? Wczoraj byłem chyba szczery w rozmowie z panem?

- Wczoraj też wiedziałem, że mnie pan nie lubi.

- Dlatego że księciu zazdroszczę, zazdroszczę? Pan zawsze tak myślał i teraz tak myśli, ale... ale po co ja panu o tym mówię? Chcę jeszcze szampana, niech mi pan naleje, panie Keller.

- Pan nie powinien już więcej pić, ja panu nie pozwolę... - I książę odsunął od niego kieliszek.

- Rzeczywiście... - zgodził się Hipolit od razu jakby w zamyśleniu - gotowi jeszcze powiedzieć... a diabli mi do tego, co oni tam jeszcze powiedzą! Prawda, prawda? Niech sobie potem mówią, no nie, proszę księcia? Nic nas to wszystkich nie obchodzi, co będzie potem!... Zresztą, jeszcze nie całkiem się przebudziłem. Jaki okropny miałem sen, teraz mi się dopiero przypomniało... Nie życzę panu takich snów, książę, chociaż może istotnie pana nie lubię. Zresztą, można człowieka nie lubić, ale po co mu zaraz źle życzyć, prawda? Dlaczego ja się tak ciągle pytam, dlaczego?! Niech pan mi poda rękę; mocno ją uściskę, o tak... Podał mi pan jednak rękę! Więc pan chyba wie, że ją ściskam szczerze?... Chyba już nie będę więcej pił. Która to godzina? Zresztą nie trzeba, wiem, która godzina. Nadeszła godzina! Teraz jest właśnie pora. Co to tam, w kącie stawia się zakąski? W takim razie ten stół jest wolny? Pięknie! Proszę panów... jednak wszyscy ci panowie nawet nie słuchają... zamierzam przeczytać jedną rzecz, książę; zakąski są naturalnie ciekawsze, ale...

I raptem, całkiem niespodziewanie wyciągnął z górnej bocznej kieszeni dużą kopertę formatu kancelaryjnego, zapieczętowaną dużą czerwoną pieczęcią. Położył ją na stole przed...

Niespodzianka ta wzbudziła efekt wśród nieprzygotowanych na to, a raczej gotowych, ale do czegoś innego, gości. Eugeniusz Pawłowicz aż podskoczył na krześle; Gania szybko przysunął się do stołu; Rogożyn też, ale z jakąś demonstracyjną niechęcią, jakby rozumiejąc, o co tu chodzi. Lebediew, który znalazł się w pobliżu, podszedł i ciekawymi oczkami patrzył na kopertę, starając się odgadnąć, co w niej jest.

- Co to takiego? - spytał z niepokojem książe.

- Gdy tylko się pokaże rąbek słońca, ucichnę, tak jak powiedziałem ; daję panu słowo, zobaczy pan! - zawołał Hipolit do księcia. - Ale... ale... czy panowie myślą, że nie zdołam otworzyć tej koperty? - dodał, jakoś wyzywająco wodząc po wszystkich spojrzeniem i jak gdyby zwracając się do wszystkich bez różnicy.

Książe spostrzegł, że Hipolit drżał na całym ciele.

- Nikt z nas tego nie myśli - odpowiedział książe za wszystkich - i dlaczego pan przypuszcza, że ktoś tutaj ma takie myśli, i co... co za dziwny przyszedł panu do głowy pomysł z tym czytaniem? Co pan tu ma, panie Hipolicie?

- Co to takiego? Co mu się znowu stało? - pytano dokoła.

Wszyscy podchodzili, niektórzy nawet jeszcze jedząc; koperta z czerwoną pieczęcią przyciągała wszystkich jak magnes.

- Sam to wczoraj napisałem, zaraz po tym, jak dałem panu słowo, że zamieszkam u pana. Pisałem to wczoraj cały dzień, potem noc i skończyłem dzisiaj rano; w nocy, nad ranem, śniło mi się...

- Czy nie lepiej odłożyć to do jutra? - przerwał mu nieśmiało książe.

- Jutro „już nie będzie czasu”! - uśmiechnął się histerycznie Hipolit. - Zresztą niech się pan nie niepokoi, przeczytam wszystko w ciągu czterdziestu minut, najwyżej godziny... Widzi książe, jak się wszyscy interesują; wszyscy podeszli, wszyscy patrzą na moją pieczęć; a gdybym tak nie wsadził rękopisu do koperty i nie zapieczętował, nie byłoby żadnego efektu! Cha, cha! Co to znaczy tajemniczość! Otworzyć, proszę panów, czy nie? - krzyknął śmiejąc się swoim dziwnym śmiechem i błyskając oczami. - Tajemnica! Tajemnica ! A czy książe pamięta, kto zapowiedział, że „już nie będzie czasu”? Zapowiada to olbrzymi i potężny anioł w Apokalipsie.

- Lepiej nie czytać! - krzyknął nagle Eugeniusz Pawłowicz, ale z takim niezwykłym u niego wyrazem niepokojem, że niektórym wydało się to dziwne.

- Niech pan nie czyta! - zawołał również książe kładąc rękę na kopercie.

- Jakie tam czytanie! Teraz są przekąski - zauważył któryś z gości.

- Czy to artykuł? Do gazety! - informował się inny.

- Może nudne? - dodał trzeci.

- Ależ o co tu chodzi? - pytali inni. Jednak lękliwy ruch księcia przestraszył też i Hipolita.

- Więc... nie czytać? - wyszeptał do niego jakby z obawą, krzywiąc zsiniałe usta w niepewnym uśmiechu. - Nie czytać? - wymamrotał wodząc wzrokiem po całej gromadzie gości, po wszystkich

oczach i twarzach i jakby znowu czepiając się wszystkich z poprzednią, niejako narzucającą się wszystkim gwałtownością. - Pan... boi się? - zwrócił się znów do księcia.

- Czego? - spytał księżę, coraz bardziej mieniając się na twarzy.

- Czy ma ktoś dwadzieścia kopiejek - odezwał się nagle z krzesła Hipolit, jakby go kto szarpnął.
- Jakąkolwiek monetę?

- Proszę! - podał natychmiast Lebediew; przemknęła mu przez głowę myśl, że chory Hipolit zwariował.

- Wiero Łukianowno! - wezwał ją czym prędzej Hipolit. - Niech pani weźmie, niech pani rzuci na stół: orzeł czy reszka? Jeżeli orzeł - to czytać!

Wiera popatrzyła ze strachem na pieniążek, na Hipolita, potem na ojca i jakoś niezręcznie, podniósłszy głowę do góry, jakby w przekonaniu, że nie wolno jej patrzeć na ową monetę, rzuciła ją na stół. Wypadł orzeł.

- Czytać! - szepnął Hipolit jakby przygnieciony zrzędzeniem losu; nie zbladłby chyba bardziej, gdyby mu odczytano wyrok śmierci. - A zresztą - drgnął nagle po chwili milczenia - co to jest? Czyżbym próbował grać na loterii? - wciąż z ową narzucającą się otwartością spojrzął po wszystkich dokoła. - Ależ to przecie niezwykle rys psychologiczny! - zawołał nagle, zwracając się do księcia w szczerym zdumieniu. - To... to niepojęty rys, proszę pana! - potwierdził, ożywiając się i jakby przychodząc do siebie. - Niech pan to zapisze, zapamięta, pan przecież zbiera podobno materiały w sprawie kary śmierci... Mówiono mi, cha, cha! O Boże, cóż to za nedorzeczna płatanina! - Usiadł na kanapie, oparł się obydwoma łokciami o stół i chwycił się za głowę. - Przecież to nawet wstyd!... A diabli mi do tego, że wstyd - podniósł prawie natychmiast głowę. - Proszę panów! Proszę panów, otwieram kopertę - oznajmił z jakąś raptowną determinacją - a zresztą... nie zmuszam nikogo do słuchania!...

Drżącymi ze wzruszenia rękami odpieczętował kopertę, wyjął z niej kilka arkusików drobno zapisanego listowego papieru, położył je przed sobą i zaczął wyglądać.

- Cóż to takiego? Cóż to znowu takiego? Co się będzie czytać? - sarkali niektórzy posepnie; inni milczeli. Wszyscy jednak usiedli i patrzyli z ciekawością. Może istotnie spodziewali się czegoś nadzwyczajnego. Wiera uchwyciła się za ojcowskie krzesło i ze strachu o mało nie płakała; prawie w takim samym strachu był Kola. Lebediew, który już usiadł, nagle podniósł się, wziął świecę i przysunął je bliżej do Hipolita, żeby mu było widniej przy czytaniu.

- Panowie... panowie zaraz zobaczą, co to takiego - dodał nie wiadomo po co Hipolit i od razu zaczął czytać: - „Niezbędne wyjaśnienie”! „*Après moi, le déluge...*” Tfu, do diabła! - krzyknął, jakby się oparzywszy - czyż mogłem poważnie wypisać takie głupie motto?... Posłuchajcie panowie!... zapewniam was, że wszystko to są koniec końcem najokropniejsze głupstwa! Tu są tylko pewne moje myśli... Jeżeli panowie sądzą, że tu jest... coś tajemniczego albo... zakazanego... słowem...

- Czytałby pan bez wstępów - przerwał mu Gania.

- Kręci i kręci! - dodał ktoś z obecnych.

- Za dużo się mówi - wtrącił milczący dotychczas Rogożyn.

Hipolit szybko spojrział na niego i kiedy oczy ich się spotkały, Rogożyn gorzko i zgryźliwie uśmiechnął się i powoli rzekł dość dziwne słowa:

- Nie tak się trzeba brać do tej sprawy, nie tak, chłopcze...

Co Rogożyn chciał powiedzieć, tego oczywiście nikt nie zrozumiał, ale słowa jego wywarły na wszystkich dosyć osobliwe wrażenie; każdego jakby trąciła swym rąbkiem jakaś jedna wspólna myśl. Na Hipolicie zaś słowa te sprawiły wrażenie okropne: zadrżał tak, że książkę już wyciągnął rękę, aby go podtrzymać, i na pewno by krzyknął, gdyby głos najwidoczniej nie zamarł mu w gardle. Przez całą minutę nie mógł wymówić ani słowa i dysząc ciężko, wciąż patrzył na Rogożyna. Nareszcie, z trudem łapiąc oddech, powiedział z największym wysiłkiem:

- Więc to pan... pan był... pan?

- Co był? Co ja? - odpowiedział zdumiony Rogożyn.

- Pan był u mnie w zeszłym tygodniu w nocy, o drugiej, tego dnia, kiedy ja do pana przyszedłem rano, pan! Proszę się przyznać, pan?

- W zeszłym tygodniu, w nocy? Czyś ty, chłopcze, aby nie zwariował?

„Chłopiec” znów zamilkł na chwilę, przytknąwszy wskazujący palec do czoła i widocznie coś usiłując zrozumieć; ale w jego bladym, wciąż tak samo wykrzywionym obawą uśmiechu mignęła nagle jakby chytrość, a nawet triumf.

- To był pan! - powtórzył wreszcie, niemal szeptem, ale z zupełnym przekonaniem - pan przyszedł do mnie i siedział w milczeniu u mnie na krześle, pod oknem, całą godzinę, więcej; o pierwszej i o drugiej w nocy; potem pan wstał i wyszedł, już po drugiej... To był pan, pan! Po co mnie pan straszył, po co pan przyszedł mnie dręczyć - nie rozumiem; to był jednak pan!

I we wzroku jego odbiła się nagle bezgraniczna nienawiść, mimo wstrząsających nim nadal dreszczów przerażenia.

- Panowie zaraz... dowiedzą się o tym... ja... ja... proszę posłuchać...

Znów z wielkim pośpiechem chwycił swoje arkusiki, które rozlażyły mu się, rozsypały, a on usilnie starał się je uporządkować; drżały w jego rozdygotanych rękach; długo nie mógł sobie z nimi poradzić.

Czytanie wreszcie się zaczęło. W ciągu jakichś pierwszych pięciu minut autor niespodziewanego „artykułu” wciąż jeszcze tracił oddech i czytał nieskładnie i nierówno; ale potem

głos jego nabrał mocy i zaczął odpowiednio wyrażać treść czytanej pracy. Czasem tylko przeszkadzał mu dość silny kaszel; od połowy artykułu mocno zachryplł; niezwykle ożywienie, które go opanowywało coraz bardziej w miarę czytania, pod koniec doszło niejako do punktu kulminacyjnego, tak samo zresztą jak i niezdrowe wrażenie, któremu ulegali słuchacze. Oto cały ten „artykuł”.

MOJE NIEZBĘDNE WYJAŚNIENIE

Après moi, le déluge!

„Wczoraj rano był u mnie książkę; między innymi nakłonił mię, abym zamieszkał w jego letnim mieszkaniu. Wiedziałem z góry, że będzie na to nalegał, i byłem pewny, że mi tak prosto w oczy wygarnie, że na wsi będzie mi „lżej umierać wśród ludzi i drzew”, jak on się wyraża. Ale dzisiaj nie powiedział umrzeć, tylko powiedział „łatwiej będzie przeżyć”, co przecież na jedno wychodzi, zwłaszcza w moim położeniu. Spytałem go, co rozumie przez te swoje „drzewa”, o których tak ciągle wspomina, i dlaczego tak mi te „drzewa” narzuca - i ze zdziwieniem dowiedziałem się od niego, że sam jakoby tego wieczoru powiedziałem, że przyjechałem do Pawłowska po raz ostatni spojrzeć na drzewa. Kiedy mu odrzekłem, że przecież to wszystko jedno, gdzie się umiera, czy pod drzewami, czy patrząc przez okno na moje cegły, i że dla dwóch tygodni nie warto robić takich zachodów, od razu się ze mną zgodził; jednak zieleń i świeże powietrze, według niego, muszą spowodować we mnie jakąś fizyczną przemianę, a moje odczucia i moje sny bardzo się zmienią i staną się może nawet mniej przykre. Znowu mu odrzekłem śmiejąc się, że mówi jak materialista. A on mi na to ze swoim uśmiechem, że zawsze był materialistą. Ponieważ on nigdy nie kłamie, więc te słowa muszą mieć jakąś wagę. Jego uśmiech jest ładny; przypatrzyłem mu się teraz uważniej. Nie wiem, czy go teraz lubię, czy nie lubię; nie mam teraz czasu, aby się nad tym zastanawiać. Moja pięciomiesięczna nienawiść do niego, trzeba zaznaczyć, w ostatnim miesiącu osłabła prawie do reszty. Kto wie, może do Pawłowska przyjechałem głównie po to, żeby go zobaczyć. Ale... w takim razie dlaczego opuściłem swój pokój? Skazany na śmierć nie powinien opuszczać swojego kąta; i gdybym teraz nie powziął ostatecznej decyzji, ale przeciwnie, postanowił czekać do ostatniej godziny, to oczywiście nie porzuciłbym swojego pokoju za nic na świecie i nie przyjął zaproszenia, aby zamieszkać i „umierać” w Pawłowsku.

Muszę się pośpieszyć i skończyć całe to „wyjaśnienie” do jutra. A zatem nie będę miał czasu przeczytać go i poprawić; przeczytam jutro, kiedy będę czytał księciu i dwom albo trzem świadkom, których spodziewam się zastać u niego. Ponieważ nie będzie tutaj ani jednego nieprawdziwego słowa, tylko sama prawda, najwyższa i najuroczystsza, więc jestem z góry ciekaw, jakie to robi na mnie wrażenie wówczas, w owej chwili, kiedy będę odczytywał. Zresztą niepotrzebnie napisałem słowa „prawda najwyższa i najuroczystsza”; dla jakichś dwóch tygodni i tak nie warto kłamać, bo nie warto żyć dwa tygodnie; to najlepszy dowód, że napiszę tylko prawdę. (Np. Nie zapomnieć myśli: czy aby nie jestem obłąkany w tej chwili, to znaczy chwilami? Słyszałem z całą pewnością, że suchotnicy w ostatnim stadium dostają czasem pomieszania zmysłów. Sprawdzić to jutro przy czytaniu na podstawie wrażenia odniesionego przez słuchaczy. Problem ten bezwarunkowo rozwiążę najdokładniej; w przeciwnym razie nie można się brać do niczego.)

Zdaje mi się, że napisałem teraz okropne głupstwo; ale nie mam czasu poprawiać, jak już powiedziałem; poza tym umyślnie przyrzekam sobie nie poprawiać w tym rękopisie ani jednego wiersza, nawet gdybym sam zauważył, że przeczę sam sobie co pięć wierszy. Chcę właśnie

przekonać się jutro przy czytaniu, czy moje myśli mają prawidłowy, logiczny tok; czy dostrzegam swoje omyłki i czy zatem prawdą jest to wszystko, co tu w tym pokoju przez sześć miesięcy przemyślałem, czy też to tylko bredzenie w gorączce.

Gdyby mi jeszcze dwa miesiące temu wypadło, tak jak teraz, porzucić swój pokój i pożegnać się ze ścianą Meyera, z pewnością uczułbym smutek. Teraz zaś nic nie czuję, a tymczasem jutro opuszczam i pokój, i ścianę - na wieki! A więc moje przekonanie, że dla dwóch tygodni nie warto już niczego żałować albo poddawać się jakimkolwiek wrażeniom, zawładnęło moim jestestwem i może teraz rozkazywać wszystkim moim uczuciom. Ale czy to prawda? Czy to prawda, że moja natura została całkiem zwyciężona? Gdyby mnie teraz wzięto na tortury, tobym na pewno krzyczał i nie powiedziałbym, że nie warto krzyzczeć i odczuwać bólu, gdy do końca życia zostały tylko dwa tygodnie.

Czy to jednak prawda, że mam żyć jeszcze tylko dwa tygodnie, a nie więcej? Wtedy w Pawłowsku skłamałem: B - n nic mi nie mówił i nigdy mnie nie widział; ale jakiś tydzień temu przyprowadzono do mnie studenta Kisłorodowa[100]; z przekonań jest materialistą, ateistą i nihilistą, dlatego właśnie go wezwałem; potrzebny mi był człowiek, który powiedziałby na koniec szczerą prawdę, nie cackając się, bez ceremonii. A on tak właśnie zrobił; i nie tylko z całą gotowością, bez ceremonii, ale nawet z widocznym zadowoleniem (co już, moim zdaniem, było zbyteczne). Wyrąbał mi wprost, że został mi najwyżej jeszcze miesiąc życia; może trochę więcej, jeżeli okoliczności będą sprzyjające; możliwe też jednak, że umrę o wiele wcześniej. Jego zdaniem mogę też umrzeć nagle, nawet, dajmy na to, jutro: takie fakty już bywały; nie dalej jak onegdaj pewna młoda osoba, suchotnica, w stanie podobnym do mojego, zamieszkująca w Kołomnie, wybierała się na targ po produkty, aż nagle zrobiło się jej niedobrze, położyła się na kanapie, westchnęła i umarła. Wszystko to Kisłorodow zakomunikował mi z jakąś chętną bezwzględnością i nieostrożnością i jakby robiąc mi tym zaszczyt, to znaczy okazując w ten sposób, że uważa i mnie za taką samą negującą wszystko, wyższą istotę jak i on; istotę, dla której śmierć jest oczywiście bagatelką. Koniec końców jednakże fakt jest niewątpliwy : miesiąc, i basta! Że on się co do tego nie omylił, jestem zupełnie pewny.

Zdziwiło mnie bardzo, dlaczego książkę tak odgadł wtedy, że ja miewam „złe sny”; powiedział dosłownie, że w Pawłowsku „mój niepokój i moje sny” ulegną przemianie. Dlaczego sny? Albo jest lekarzem, albo rzeczywiście posiada niezwykły rozum i może wiele rzeczy odgadywać. (Ale że jest koniec końców „idiotą”, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości). Jakby umyślnie, przed jego przyjściem miałem uroczy sen (zresztą, jeden z tych, które śnią mi się teraz setkami.) Zasnąłem - sądzę, że na jakąś godzinę przed jego przyjściem - i ujrzałem się w jakimś pokoju (ale nie w moim). Pokój większy i wyższy od mojego, lepiej umeblowany, widny; szafa, komoda, kanapa i moje łóżko, duże i szerokie, pokryte zieloną jedwabną kołdrą. Ale w tym pokoju spostrzegłem okropne zwierzę, jakiegoś potwora. Był to niby skorpion, ale nie skorpion, tylko coś obrzydliwszego i o wiele straszniejszego, może właśnie dlatego, że takich zwierząt w przyrodzie nie ma i że ono umyślnie zjawiało się u mnie, i że w tym mianowicie kryje się jakaś tajemnica. Przyjrzałem mu się bardzo dobrze: był to brunatny skorupiak, gad pełzający, długości ze cztery werszki, u głowy gruby na dwa palce, w kierunku ogona coraz cieńszy, tak że sam koniuszek ogona miał grubości nie więcej niż jedna dziesiąta werszka. W odległości jakiegoś werszka od głowy wychodziły z tułowia, pod kątem czterdziestu pięciu stopni, dwie łapy, po jednej z każdej strony,

długości po jakieś dwa werszki, tak że całe zwierzę, jeżeli patrzeć z góry, miało kształt trójzęba. Głowie się nie przyjrzałem, ale zauważyłem dwa wąsiki, niedługie, w postaci dwóch mopnych igieł, też brunatnych. Takie same dwa wąsiki na końcu ogona i na końcu każdej z łap, a zatem wszystkiego osiem wąsików. Zwierzę biegło po pokoju bardzo szybko, opierając się na łapach i na ogonie, a kiedy biegło, to tułów i łapy wiły się jak żmije, niezwykle prędko, pomimo skorupy, i patrzeć na to było obrzydliwie. Okropnie się bałem, że mnie ukuje; powiedziano mi, że jest jadowite, ale mnie najwięcej męczyło pytanie, kto je przysłał do mojego pokoju, co mi chcą zrobić i jaka w tym tajemnica. Zwierzę chowało się pod komodę, pod szafę, kryło się po kątach. Wszedłem na krzesło i usiadłem podwinąwszy nogi pod siebie. Zwierzę szybko przebiegło pokój na ukos i znikło gdzieś koło mojego krzesła. Oglądałem się w strachu, ale ponieważ siedziałem z podwiniętymi nogami, więc miałem nadzieję, że ono nie dostanie się na krzesło. Nagle usłyszałem z tyłu za sobą, prawie tuż obok głowy, jakieś ni to trzaski, ni to szmery; obejrzałem się i zobaczyłem, że gad pełźnie po ścianie i już jest na wysokości mojej głowy, dotyka nawet moich włosów ogonem, który się wiercił i wił z nadzwyczajną szybkością. Zerwałem się i zwierzę znikło. Na łóżku bałem się położyć, żeby nie wpęzło pod poduszkę. Do pokoju przyszła moja matka i jakiś jej znajomy. Zaczęli łapać gada, ale byli spokojniejsi niż ja i nawet się nie bali. Nic jednak nie rozumieli. Nagle gad znów się ukazał; pełznął tym razem bardzo cicho i jakby w jakimś szczególnym zamiarze, wijąc się wolno, co było jeszcze obrzydliwsze, znów przez cały pokój, na ukos, do drzwi. Wtedy moja matka otworzyła drzwi i zawołała Normę, naszą sukę - olbrzymiego owczarka, czarnego i kudłatego; zdechła przed pięciu laty. Suka wpadła do pokoju i stanęła przed gadziną jak wryta. Gad również się zatrzymał, ale wciąż jeszcze wił się i stukał po podłodze końcami łap i ogona. Zwierzęta, jeśli się nie mylę, nie są zdolne do odczuwania mistycznego strachu; ale w tej chwili wydało mi się, że w przestrachu Normy było coś jakby mistycznego, coś w każdym razie arcyniezwykłego, i że ona zatem wyczuwa jak i ja, że w zwierzęciu jest coś fatalnego i jakaś tajemnica. Wolno cofała się przed gadem, który cicho i ostrożnie pełził ku niej; miał, zdaje się, zamiar nagle rzucić się na nią i ukąsić. Jednakże mimo całego przerażenia Norma patrzyła z okropną złością, aczkolwiek drżała na całym ciele. Wtem powoli wyszczerzyła swoje straszne zęby, rozwarła ogromną czerwoną paszczę, przywarowała, przyczaiła się, a potem z determinacją chwyciła gada zębami. Gad prawdopodobnie mocno się szarpnął, żeby się wyrwać, tak że Norma jeszcze raz go chwyciła, już w locie, i dwa razy całą paszczą wciągnęła go w siebie, też w locie, jakby go łykając. Skorupa zatrzeszczała w jej zębach; ogonek zwierzęcia i łapy, sterczące z paszczy, poruszały się ze straszną szybkością. Nagle Norma żałośnie zaskowyczała: gad zdążył jednak ukąsić ją w język. Piszcząc i wyjąc suka otworzyła paszczę i ujrzałem, że rozgryziony gad jeszcze poruszał się, leżąc w poprzek paszczy, wypuszczając ze swojego zgnieczonego tułowia na język suki mnóstwo białego soku, który wyglądał jak sok zdeptanego czarnego karalucha... W tym momencie obudziłem się i wszedł książe.

- Proszę panów - powiedział Hipolit, odrywając się raptem od czytania i nawet prawie zawstydzony - nie czytałem tego po raz drugi, ale zdaje się, że istotnie napisałem wiele rzeczy niepotrzebnych. Ten sen...

- Jednak sen - zdążył wtrącić Gania.

- Tutaj jest za wiele rzeczy osobistych, przyznaję, to znaczy właściwie o mnie samym...

Mówiąc to Hipolit chustką ocierał pot z czoła; wyglądał na zmęczonego i osłabionego.

- Tak, zanadto się pan sobą interesuje - wysyczał Lebediew.

- Ja, proszę panów, nikogo przecież nie zmuszam; kto nie chce słuchać, może odejść.

- Wypędza... z cudzego domu - odezwał się ledwo dosłyszalnym głosem Rogożyn.

- A jeżeli wszyscy wstaniemy i wyjdziemy? - powiedział nagle Ferdyszczenko, który dotychczas zresztą nie ośmielał się mówić głośno.

Hipolit raptem spuścił oczy i chwycił rękopis; w tej samej jednak chwili znów podniósł głowę i z błyszczącymi oczyma, świecąc dwoma czerwonymi plamami na policzkach rzekł, zwrócony wprost do Ferdyszczenki:

- Pan mnie wcale nie lubi!

Rozległ się śmiech; zresztą, większość się nie śmiała. Hipolit okropnie się zaczerwienił.

- Panie Hipolicie - powiedział książę - niech pan złoży swój rękopis i odda go mnie, a sam położy się spać tutaj, w moim pokoju. Porozmawiamy jutro; ale pod warunkiem, żeby już nigdy nie rozkładać tych arkuszy. Chce pan?

- Czy to możliwe? - Hipolit popatrzył na księcia ogromnie zdziwiony. - Proszę panów! - krzyknął, znowu gorączkowo się ożywiając. - To głupi epizod, podczas którego nie umiałem się zachować. Więcej już nie będę przerywał czytania. Kto chce słuchać - niech słucha...

Szybko łyknął wody ze szklanki, czym prędzej oparł łokcie na stole, żeby się zasłonić od spojrzeń, i z uporem zaczął czytać dalej. Jego zawstydzenie wkrótce minęło.

- *Myśl o tym (czytał dalej), że nie warto żyć kilka tygodni, zaczęła mię na dobre opanowywać, jak mi się zdaje może przed miesiącem, kiedy mi zostały jeszcze cztery tygodnie życia, ale całkowicie opanowała mię dopiero trzy dni temu, kiedy wróciłem z tego wieczornego zebrania w Pawłowsku. Pierwszy moment zupełnego, bezpośredniego przejścia się tą myślą nastąpił na tym tarasie, tutaj, właśnie w tej samej chwili, kiedy zapragnąłem uczynić ostatnią próbę życia, kiedy chciałem widzieć ludzi i drzewa (niech będzie, że to ja sam powiedziałem), zapalałem się, nalegałem na prawo Burdowskiego, „mojego bliźniego”, i marzyłem, że oni wszyscy otworzą ramiona i zaczną mnie ścisnąć, że będą mnie prosili, aby im coś tam przebaczyć, a ja ich poproszę o to samo; słowem, skończyłem jak głupiec i niedołęga. I właśnie w owych godzinach powstało we mnie nagle „ostatnie przekonanie”. Dziwię się teraz, jak mogłem żyć przez całe sześć miesięcy bez tego „przekonania”! Wiedziałem dokładnie, że mam suchoty, w dodatku nieuleczalne; nie oszukiwałem siebie i dobrze wszystko rozumiałem; ale im lepiej rozumiałem, tym namiętniej pragnąłem żyć; czepiałem się życia i chciałem żyć za wszelką cenę. Przyznaję, że mogłem wtedy sarkać na ponury i ślepy los, który postanowił zgnieść mnie jak muchę i oczywiście nie wiadomo po co; ale dlaczego nie poprzestałem na sarkaniu? Dlaczego rzeczywiście zaczynałem żyć, chociaż wiedziałem, że już nie mogę zaczynać; próbowałem wiedząc, że nie mam po co próbować? A*

tymczasem nie mogłem nawet przeczytać książki i przestałem w ogóle czytać: po co czytać, po co zdobywać wiedzę na sześć miesięcy? Ta myśl nieraz kazała mi rzucać książkę.

Tak, ta ściana z cegieł naprzeciwko mojego okna dużo by mogła opowiedzieć! Dużo na niej zapisałem. Nie było plamy na tej brudnej ścianie, której bym nie umiał na pamięć. Przekłeta ściana! A jednak jest mi ona droższa od wszystkich drzew w Pawłowsku, to znaczy powinna by być droższa, gdyby mi teraz nie było wszystko jedno.

Przypominam sobie, z jaką namiętą ciekawością zacząłem wtedy obserwować ich życie; dawniej nie byłem taki ciekaw. Z niecierpliwością i wymyślaniem czekałem na Kołę wówczas, kiedy już byłem taki chory, że nie mogłem wychodzić z pokoju. Tak dalece wnikalem we wszystkie drobiazgi, interesowałem się każdą pogłoską, że po prostu zrobiłem się plotkarzem. Nie rozumiałem na przykład, jak ci ludzie, mając tyle życia, nie umieją stać się bogaczami (zresztą, nie rozumieli tego również teraz.) Znałem pewnego biedaka, o którym mi potem opowiadano, że umarł z głodu, i pamiętam, że to mnie całkiem wytrąciło z równowagi: gdyby można było wrócić życie temu biedakowi, chyba bym go skazał na śmierć. Niekiedy samopoczucie moje poprawiało się na całe tygodnie; mogłem wychodzić na ulicę; ulica jednak zaczęła w końcu działać na mnie tak denerwująco, tak mnie złościła, że całymi dniami umyślnie przesiadywałem zamknięty w mieszkaniu, chociaż mogłem wychodzić tak jak wszyscy. Nie mogłem znieść widoku ludzi wiecznie kręcących się, zaafierowanych, zatroskanych, ponurych i zaniepokojonych, którzy snuli się obok mnie po chodnikach. Po co ten ich wieczny smutek, wieczny niepokój i krzątanina; ich wieczna, ponura złość (bo oni są źli, źli, źli!)? Kto im winien, że są nieszczęśliwi i nie umieją żyć, mając przed sobą sześćdziesiąt lat życia? Dlaczego Zarnicyń dopuścił do swojej głodowej śmierci, mając również przed sobą sześćdziesiąt lat życia? A każdy pokazuje swoją prostą odzież, swoje spracowane dłonie, gniewa się i krzyczy: „My harujemy jak woły, my się mozolimy, my jesteśmy głodni jak psy i biedni! Inni nie pracują i w ogóle nic nie robią, a są bogaci!” (Wieczny refren!) Obok nich biega i krząta się od rana do nocy jakiś tam nieszczęsny pokraka „szlachetnie urodzony”, Iwan Fomicz Surikow - mieszka w naszym domu, nad nami - z wiecznie dziurawymi łokciami, oberwanymi guzikami, spełniając funkcje posłańca różnych ludzi, załatwiając jakieś ich polecenia, i to od rana do nocy. Pomówcie z nim: „biedny, nędzny, ubogi, żona umarła, nie było za co kupić lekarstwa, a w zimie dziecko im zamarzło na śmierć; starsza córka poszła na utrzymanie...” - tak ciągle płacze, ciągle biadoli! O, nie miałem żadnej a żadnej litości dla tych durniów, ani teraz, ani przedtem - mówię to z dumą! Dlaczegoż on nie jest Rotszyldem? Kto winien, że on nie ma milionów jak Rotszyld, że nie posiada góry złotych imperialów i napoleondorów, takiej góry, takiej wysokiej góry jak ta, co wznosi się w zapusty przy budach jarmarcznych, gdzie pokazują sztuki! Jeżeli żyje, to znaczy, że wszystko jest w jego mocy! Kto winien, że on tego nie rozumie?

O, teraz mi już wszystko jedno, teraz już nie mam czasu się złościć, ale wtedy, wtedy, powtarzam, dosłownie gryzłem poduszkę po nocach i darłem kołdrę z wściekłości. O, jak marzyłem wtedy, jak pragnąłem, jak umyślnie chciałem, żeby mnie, osiemnastoletniego chłopca, ledwie ubranego, ledwie okrytego, wygnano raptem na ulicę i rzucono na pastwę losu, bez mieszkania, bez roboty, bez kawałka chleba, bez krewnych, bez jednego znajomego człowieka w olbrzymim mieście, głodnego, zbitego (tym lepiej!), ale za to zdrowego, wtedy bym dopiero pokazał...

- Co bym pokazał?

O, czy myślicie, że nie zdaję sobie sprawy z tego, jak się upokarzam tym swoim „wyjaśnieniem”! No bo któż mię nie weźmie za wyrostka, który nie zna życia, zapominając, że już nie mam osiemnastu lat; zapominając, że tak żyć, jak ja żyłem przez te sześć miesięcy, to znaczy dożyć już siwych włosów! Ale niech się śmieją i mówią, że to wszystko bajki. Ja sobie naprawdę opowiadałem bajki. Wypełniałem tym całe noce; wszystkie sobie teraz przypominam.

Ale czyż mam je teraz ponownie opowiadać - teraz, kiedy już i dla mnie minęła pora bajek? I komu opowiadać? Przecie zabawiałem się nimi wtedy, kiedy widziałem jasno, że mi nie wolno studiować nawet greckiej gramatyki, na co raz miałem ochotę: „Nie zdążę dojść do składni i umrę” - pomyślałem przy pierwszej stronie i rzuciłem książkę pod stół. Leży tam dotychczas; zabroniłem Matrionie, żeby ją podnosiła.

Niechaj ten, komu wpadnie w ręce moje „wyjaśnienie” i komu starczy cierpliwości, aby je przeczytać, uzna mnie za wariata albo nawet za sztubaka, a najpewniej za skazanego na śmierć, któremu najnaturalniej w świecie zaczęło się zdawać, że wszyscy ludzie oprócz niego za mało cenią życie, zbyt marnie je trwonią, za leniwie, zbyt niesumiennie korzystają z niego, a zatem wszyscy, co do jednego, niewarci są życia. No i cóż? Twierdzę, że czytelnik mój się omyli i że moje przekonanie jest najzupełniej niezależne od wiszącego nade mną wyroku śmierci. Spytajcie, spytajcie ich tylko, w czym oni wszyscy, wszyscy co do jednego, widzą szczęście? O, bądźcie pewni, że Kolumb był szczęśliwy nie wtedy, kiedy odkrył Amerykę, ale wtedy, kiedy ją odkrywał; bądźcie pewni, że momentem najwyższego szczęścia była dla niego może jakaś chwila dokładnie na trzy dni przed odkryciem Nowego Świata, kiedy buntująca się załoga w rozpacz o mało nie zawróciła okrętu z powrotem do Europy! Nie o Nowy Świat tutaj chodzi, pal go licho! Kolumb umarł, nie ujrawszy go prawie i właściwie nie wiedząc, co odkrył. Chodzi o życie, o samo życie - o odkrywanie go, bezustanne i wieczne, a nie o fakt odkrycia! Ale co tu mówić! Podejrzewam, że wszystko, co wypowiadam teraz, wygląda na takie wyświechtane ogólniki, że mogę być łatwo wzięty za ucznia z niższej klasy składającego wypracowanie na temat „wschodu słońca” albo oceniony tak, że chciałem niby coś powiedzieć, ale pomimo najlepszych chęci nie potrafiłem... rozwinąć tematu. Dodam jednak, że w każdej genialnej albo nowej myśli ludzkiej, albo po prostu nawet w każdej poważnej myśli, która się rodzi w czyjejs głowie, zawsze zostaje coś takiego, czego w żaden sposób nie można przekazać innym ludziom, chociażby się zapisało całe tomy i wykladało swoją myśl przez trzydzieści pięć lat; zawsze zostanie coś, co za nic nie będzie chciało wyjść człowiekowi spod czaszki i zostanie przy nim na wieki; i z tym człowiek umrze nie przekazawszy, być może, nikomu najważniejszej części swojej idei. Ale jeżeli i ja teraz też nie zdołałem wyłożyć wszystkiego, co mnie dręczyło w ciągu tych sześciu miesięcy, to przynajmniej wszyscy zrozumieją, że doszedłszy do swojego „ostatniego przekonania”, zbyt drogo może zapłaciłem za nie; to właśnie uważałem za konieczne dla wiadomych mi celów podkreślić w swoim „wyjaśnieniu”. Jednak ciągnę dalej.”

VI

„Nie chcę skłamać: rzeczywistość w ciągu tych sześciu miesięcy również i mnie chwytala na haczyk i tak dalece nieraz pociągała, że całkiem zapomniałem o swoim wyroku albo raczej nie chciałem o nim myśleć i nawet zajmowałem się różnymi sprawami. Przy sposobności kilka słów o moim otoczeniu. Kiedy przed jakimiś ośmiu miesiącami zacząłem poważnie chorować, pozrywałem wszystkie stosunki z ludźmi i porzuciłem wszystkich moich dawnych kolegów. Ponieważ i tak byłem człowiekiem dosyć ponurym, więc koledzy rychło o mnie zapomnieli; rzecz prosta, zapomnieliby o mnie i bez tej okoliczności. Sytuacja moja w domu, czyli „w rodzinie”, też polegała na odosobnieniu. Jakies pięć miesięcy temu raz na zawsze zamknąłem się od wewnątrz i oddzieliłem zupełnie od pokojów zajmowanych przez rodzinę. Słuchano mię stale we wszystkim i nikt nie ważył się wejść do mnie, chyba tylko żeby posprzątać pokój o określonej godzinie albo przynieść obiad. Matka drżała przede mną i nawet nie miała odwagi rozczulać się w mojej obecności, kiedy czasem pozwoliłem jej wejść do mnie. Dzieci wciąż tłukła z mojego powodu, żeby nie hałasowały i nie zakłócały mi spokoju; często rzeczywiście skarżyłem się na ich krzyki; muszą mnie teraz lubić! „Wiernego Kołę”, jak go sam przezwąłem, też pewnie męczyłem niezgorzej. W ostatnich czasach, co prawda, i on mnie męczył: wszystko to było naturalne, ludzie są na to stworzeni, by się nawzajem męczyć. Zauważyłem jednak, że on w taki sposób znosi moje rozdrażnienie, jak gdyby dał sobie słowo, żeby oszczędzać chorego. Oczywiście drażniło mię to; ale on, zdaje się, postanowił naśladować księcia w „chrześcijańskiej pokorze”, co było już trochę śmieszne. To chłopiec młody i zapalny, więc naturalnie wszystko naśladuje; mnie się jednak czasem wydawało, że powinien już zacząć żyć podług własnego rozumu. Ja go bardzo lubię. Męczyłem również Surikowa, który nad nami mieszkał i od rana do nocy biegał z czyimiś poleceniami; stale mu dowodziłem, że sam jest sprawcą swojej biedy, toteż w końcu zląkł się i przestał do mnie chodzić. To bardzo pokorny człowieczek, najpokorniejsza na świecie istota (NB. Powiadają, że pokora stanowi ogromną potęgę; trzeba o to zapytać księcia, bo to jego własne zdanie.); kiedy jednak w marcu poszedłem do niego na górę, żeby zobaczyć, jak oni tam „zamrozili”, wedle jego słów, dziecko, i niechcący uśmiechnąłem się nad trupem, gdyż zacząłem znów tłumaczyć Surikowowi, że „sam jest winien”, to temu fajtłapie nagle zadrżały usta, chwycił mnie jedną ręką za ramię, a drugą pokazał mi drzwi i cicho, prawie szeptem, powiedział: „Proszę wyjść!” Wyszedłem i bardzo mi się to spodobało, spodobało od razu wtedy, nawet w tym samym momencie, kiedy mnie wypraszał; ale słowa jego długo wywierały na mnie potem, gdy je sobie przypomniałem, przykre wrażenie jakiejś dziwnej względem niego litości, której wcale bym nie chciał odczuwać. Nawet w chwili takiej zniewagi (przecież zdają sobie sprawę, że go obraziłem, chociaż nie miałem zamiaru), nawet w takiej chwili człowiek ten nie mógł się rozgniewać! Usta zadrżały mu wtedy wcale nie ze złości, gotów jestem przysiąc: chwycił mnie za rękę i powiedział swoje wspaniałe „proszę wyjść” zupełnie bez gniewu. Poczucie godności miał, nawet wielkie i nawet wcale mu z nią nie było do twarzy (prawdę mówiąc, było to dość komiczne), ale złości nie miał w sobie wcale. Może po prostu nagle zaczął mną pogardzać. Od tego czasu, kiedy go raz i drugi spotkałem na schodach, zaczął ni stąd, ni zowąd zdejmować przede mną kapelusz, czego dawniej nigdy nie robił, ale się już nie zatrzymywał jak przedtem, tylko przebiegał, skonfundowany, obok mnie. Jeżeli nawet mną gardził, to również po swojemu: „gardził pokornie”. A może zdejmował kapelusz po prostu ze strachu, jako przed synem swojej wierzytelki, bo mojej matce był zawsze coś winien i w żaden sposób nie mógł

się wygrzebać z długów. I to jest chyba najbardziej prawdopodobne. Chciałem się przed nim wytłumaczyć i wiem na pewno, że po dziesięciu minutach zacząłby mnie prosić o przebaczenie; doszedłem jednak do wniosku, że lepiej go nie ruszać. W tym samym czasie, to znaczy mniej więcej wtedy, kiedy Surikow „zamroził” dziecko, około połowy marca, zrobiło mi się jakoś znacznie lepiej i tak trwało ze dwa tygodnie. Zacząłem wychodzić, przeważnie o zmierzchu. Lubilem marcowe zimy, kiedy brał mróz i kiedy zapalano latarnie gazowe; chodziłem czasami dosyć daleko. Razu pewnego, na Szestilawocznej, minął mię w ciemności ktoś ze „szlachetnie urodzonych”; nie przyjrzałem mu się dobrze; niósł coś zawiniętego w papier i ubrany był w jakiś kusy i szkaradny paltocik - zbyt lekko na tę porę roku. Kiedy zrównał się z latarnią, na jakieś dziesięć kroków przede mną, zauważyłem, że wypadło mu coś z kieszeni. Czym prędzej to podniosłem. Był najwyższy po temu czas, gdyż zaraz podskoczył jakiś osobnik w długim kaftanie, ale zobaczywszy przedmiot w moich rękach, dał za wygraną, przelotnie zajrzał mi w ręce i podążył dalej. Przedmiotem owym był wielki, safianowy, staroświeckiego kształtu, mocno wypchany pugilares; nie wiem jednak, dlaczego od pierwszego rzutu oka domyśliłem się, że w nim mogły być najróżniejsze rzeczy, tylko nie pieniądze. Przechodzień, który zgubił pugilares, był już o czterdzieści kroków przede mną i niebawem zniknął mi z oczu wśród tłumu innych przechodniów. Pobiegnąłem za nim i zacząłem wołać; ale ponieważ nie mogłem nic innego krzyknąć prócz „hej”, więc się nawet nie obejrzał. Wtem przemknął na lewo, do bramy jednego z domów. Kiedy wpadłem do tej bramy, gdzie było bardzo ciemno, nie znalazłem już tam nikogo. Dom był olbrzymi, jeden z tych kolosów, jakie budują spekulanci chcąc wynajmować małe mieszkania; w takim gmachu bywa czasami ze sto mieszkań. Kiedy przebiegłem przez bramę, wydało mi się, że w prawym kącie w głębi wielkiego podwórza jak gdyby idzie człowiek, chociaż po ciemku trudno go było rozpoznać. Dobiegłszy do tego miejsca zauważyłem wejście na schody; schody były wąskie, nadzwyczaj brudne i zupełnie nie oświetlone; ale słysząc, że na górze wchodził jeszcze ktoś po stopniach; wbiegłem więc na schody licząc na to, że zanim mu gdziekolwiek otworzą, zdołam go dopędzić. Tak się też stało. Stopnie były wąziutkie, było ich bez liku, więc się strasznie zasapałem; drzwi otworzono i znowu zamknięto na piątym piętrze, zorientowałem się będąc jeszcze o trzy piętra niżej. Zanim się tam wdrapałem, zanim odsapnąłem na podeście, zanim znalazłem dzwonek, upłynęło kilka minut. Nareszcie otworzyła mi jakaś baba, która w malutkiej kuchence rozdmuchiwała ogień w samowarze; wysłuchiwała w milczeniu moich pytań, oczywiście nic nie zrozumiała, i w milczeniu otworzyła mi drzwi do następnego pokoju, równie malutkiego, okropnie niskiego, z lichym, najniezbędniejszym umeblowaniem i ogromnym, szerokim łóżem z firankami, na którym leżał „Tierienticz” (tak zawołała baba), jak mi się wydało, pijany. Na stole dogasał ogarek w blaszanym lichtarzu i stała butelka wódki, prawie opróżniona. Tierienticz wymamrotał coś do mnie leżąc i machnął ręką w stronę następnych drzwi, a baba zabrała się i poszła, toteż nic innego mi nie pozostało, jak otworzyć te drzwi. Tak też zrobiłem i wszedłem do następnego pokoju.

Pokój ten był jeszcze węższy i ciasniejszy od poprzedniego, tak że nie wiedziałem nawet, gdzie się obrócić; wąskie pojedyncze łóżko w kącie zajmowało strasznie dużo miejsca; reszta mebli składała się tylko z trzech prostych krzesel, zarzuconych różnymi gałganami, i z najzwyczajniejszego drewnianego stołu kuchennego przed starą ceratową kanapą, wskutek czego między stołem a łóżkiem prawie nie można już było przejść. Na stole paliła się łojówka w takim samym blaszanym lichtarzu jak w tamtym pokoju, a na łóżku pisała małe dziecko, sądząc po krzyku, najwyżej trzytygodniowe; „zmieniała” je, to znaczy przewijała, blada i chora kobieta,

zdaje się młoda, w grubym negliżu, prawdopodobnie dopiero zaczynająca wstawać po połogu; ale dziecko nie uspokajało się i krzychało czekając na wyschlą pierś. Na kanapie spało drugie dziecko, trzyletnia dziewczynka, okryta bodajże frakiem. Przy stole stał jegomość w bardzo zniszczonym surducie (palto już zdjął, leżało na łóżku) i rozwijał niebieski papier, w który były zawinięte ze dwa funty pszennego chleba i dwie małe kielbaski. Na stole stał imbryk z herbatą i leżały rozrzucone kawałki razowego chleba. Spod łóżka wystawała nie zamknięta waliza i sterczały dwa tłumoczki z jakimiś lachmanami.

Słowem, panował tu straszny nieład. Od pierwszego spojrzenia wydało mi się, że oboje, i ów jegomość, i ta pani, są ludźmi z towarzystwa, ale doprowadzonymi ubóstwem do tego poniżającego stanu, w którym nieład zwycięża w końcu wszelkie próby walki z nim, a nawet doprowadza ludzi do gorzkiej potrzeby trwania w owym nieładzie, z dnia na dzień coraz bardziej się zwiększającym, wywołując w nich jakieś gorzkie i jakby mściwe zadowolenie.

Kiedy wszedłem, ów jegomość, który na chwilę przede mną przyszedł i rozpakowywał swoje zakupy, rozmawiał o czymś szybko i gorączkowo z żoną; ona zaś chociaż nie skończyła jeszcze przewijania, już zdążyła uderzyć w płacz; wiadomości były widocznie jak zwykle niepomysłne. Twarz owego jegomościa, wyglądającego na jakie lat dwadzieścia osiem, smągła i chuda, okolona czarnymi bokobrodami z wygolonym gładko podbródkiem, wydała mi się dość szlachetna i nawet sympatyczna; twarz ta była ponura, o ponurym wejrzeniu, ale miała w sobie jakiś chorobliwy odcień dumy, zbyt łatwo ulegającej rozdrażnieniu. Kiedy wszedłem, rozegrała się niezwykła scena.

Są ludzie, którzy znajdują nadzwyczajną rozkosz w swojej drażliwej obraźliwości, zwłaszcza kiedy dochodzi ona w nich (a to się staje zawsze bardzo prędko) do ostatnich granic; w owej chwili przyjemniej im nawet, jak się zdaje, czuć się obrażonymi aniżeli nie obrażonymi. Tych ludzi, tak łatwo wpadających w rozdrażnienie, zawsze potem męczą wyrzuty sumienia, jeśli są oczywiście rozsądni i zdolni do stwierdzenia, że wzburzenie ich było dziesięć razy większe, niż być powinno. Ów jegomość przez pewien czas przyglądał mi się ze zdumieniem, a żona z lękiem, jakby było coś okropnie dziwnego w tym, że i do nich mógł ktoś wejść; nagle jednak rzucił się na mnie omal że z wściekłością; nie zdążyłem jeszcze wybąkać dwóch słów, a on, zwłaszcza kiedy spostrzegł, że jestem przyzwoicie ubrany, uczuł się widać strasznie dotknięty tym, że ośmieliłem się tak bez ceremonii zajrzeć do jego nory i zobaczyć całe to ohydne otoczenie, którego sam tak się wstydził. Oczywiście rad był, że nadarza mu się okazja, by wyładować na kimkolwiek swoją złość za wszystkie niepowodzenia, które go spotkały. Przez chwilę myślałem nawet, że porwie się do bójki; zbladł jak kobieta w ataku hysterii i okropnie nastraszył żonę.

- Jak pan śmiał tu wejść?! Precz! - krzychał drżąc i z trudem wymawiając wyrazy. Ale raptem spostrzegł w moich rękach swój pugilares.

- Zdaje się, że pan zgubił - powiedziałem jak mogłem najspokojniej i najoschlej. (Tak zresztą należało powiedzieć.)

Tamten stał przede mną w zupełnym przerażeniu i przez pewien czas jak gdyby nic nie mógł zrozumieć; potem szybko schwycił się za boczną kieszeń, otworzył usta ze zgrozy i uderzył się ręką w czoło.

- Boże! Gdzie pan znalazł? Jakim sposobem?

Objaśniłem mu pokrótce i, o ile mogłem, jeszcze oschlej, jak podniosłem pugilares, jak biegłem i wołałem go i jak wreszcie, wiedziony domysłem, prawie po omacku, wdrapałem się za nim po schodach.

- O Boże! - zawołał zwracając się do żony. - Tu są wszystkie nasze dokumenty, tu są ostatnie moje narzędzia, tu jest wszystko... O, drogi panie, czy pan wie, co pan dla mnie uczynił? Zginąłbym z kretesem!

Ja tymczasem chwyciłem za klamkę, by wyjść bez odpowiedzi; ale brakło mi tchu ze zmęczenia i nagle porwał mię taki straszliwy kaszel, że ledwo zdołałem ustać. Widziałem, jak ów jegomość miotał się na wszystkie strony, żeby znaleźć dla mnie wolne krzesło, jak chwycił w końcu z jednego jakiegoś gałgany, cisnął je na podłogę i podsunął mi spiesźnie krzesło, sadowiąc mię na nim ostrożnie. Ale kaszel mój trwał dalej i nie ustawał jeszcze ze trzy minuty. Kiedy przyszedłem do siebie, tamten już siedział przy mnie na drugim krześle, z którego też zapewne zrzucił gałgany na podłogę, i przyglądał mi się badawczo.

- Pan, zdaje się... jest cierpiący? - odezwał się takim tonem, jakim zwykle przemawiają doktorzy do chorych. - Sam jestem... medykiem - (nie powiedział: doktorem) i wyrzekłszy to, dla czegoś wskazał mi ręką na pokój, jakby protestując przeciwko swojemu obecnemu położeniu - widzę, że pan...

- Mam suchoty - rzekłem najzwyczajniej i wstałem.

I on się zerwał z miejsca od razu.

- Może pan wyolbrzymia swoją chorobę, a... po zastosowaniu odpowiednich środków...

Był zupełnie zbity z tropu i jakby wciąż jeszcze nie mógł odzyskać równowagi; pugilares sterczał w jego lewej ręce.

- O, niech się pan nie trudzi - przerwałem mu znowu, chwytając za klamkę - w zeszłym tygodniu badał mię B - n (znowu wkręciłem tu B - na) i orzekł, że los mój jest przypieczętowany. Przepraszam...

Chciałem powtórnie otworzyć drzwi i opuścić mojego skonfundowanego, wdzięcznego i okropnie zawstydzonego doktora, ale przeklęty kaszel jak na złość znowu mię napadł. Wtedy mój doktor zmusił mię, abym znowu usiadł i odpoczął; zwrócił się do żony, która nie wstając z miejsca powiedziała mi kilka uprzejmych słów wdzięczności. Bardzo się przy tym zmieszała, aż nawet jej bladożółte, chude policzki okryły się lekkim rumieńcem. Zostałem, ale z taką miną, która bezustannie wyrażała wielką obawę, żeby im nie zrobić subiekcji (tak należało się zachować). Skrucha nareszcie zgnębiła do reszty mojego doktora; widziałem to dobrze.

- Jeżeli ja... - zaczął, co chwila przerywając i przeskakując z tematu na temat - tak jestem panu wdzięczny i tak wobec pana zawiniłem... ja... pan widzi... - znowu pokazał na pokój - w

obecnej chwili znajduję się w takiej sytuacji...

- O - powiedziałem - nie ma co patrzeć; wiadoma rzecz; pan pewnie stracił posiadłość i przyjechał wyjaśnić sprawę, żeby znowu znaleźć sobie miejsce?

- Skąd... pan to wie? - spytał ze zdziwieniem.

- Widać to od pierwszego spojrzenia - odpowiedziałem mimo woli z pewną ironią. - Tu wiele osób przyjeżdża z prowincji, mając jakąś nadzieję; biegają po mieście i tak właśnie mieszkają.

Medyk zaczął nagle mówić z zapalem, drżącymi ustami; począł się skarżyć, jął opowiadać i, muszę wyznać, porwał mnie; przesiadziałem u niego prawie godzinę. Opowiedział mi całą swoją historię, zresztą dość pospolitą. Był lekarzem w mieście gubernialnym, miał rządową posiadłość, ale raptem zaczęły się jakieś intrygi, do których wmieszano nawet jego żonę. Duma go uniosła, zachował się zbyt porywczo; w zarządzie gubernialnym nastąpiły zmiany na korzyść jego przeciwników; zaczęto pod nim kopać dołki, składać na niego skargi; stracił posiadłość i za ostatnie pieniądze wyjechał do Petersburga, żeby wyjaśnić swoją sprawę; w Petersburgu, jak to zwykle bywa, długi czas nie chciano go wysłuchać, potem wysłuchano, potem dano odpowiedź odmowną, potem zaczęto łudzić obietnicami, potem okazano surowość, potem kazano mu napisać jakieś nowe wyjaśnienie, potem nie przyjęto tego, co napisał, kazano złożyć podanie - słowem, biedak latał już za swoją sprawą piąty miesiąc, wszystko przejadł; ostatnie łaszki żonine były zastawione, a tymczasem urodziło się dziecko i... i... „dzisiaj nadeszła ostateczna odpowiedź odmowna na złożone podanie, chleba już prawie nie mamy, nic nie mamy, żona po połogu. Ja... ja...”

Zerwał się z krzesła i odwrócił się do mnie plecami. Żona jego płakała w kącie, dziecko znów zaczęło kwilić. Wyjąłem notes i zacząłem w nim pisać. Kiedy skończyłem, wstałem, a on stał przede mną i patrzył z bojaźliwą ciekawością.

- Zapisalem sobie pańskie nazwisko - powiedziałem mu - no i wszystkie inne dane: miejsce służby, nazwisko pańskiego gubernatora, daty, miesiące. Mam pewnego kolegę, jeszcze ze szkoły, nazywa się Bachmutow; a stryj jego, Piotr Matwiejewicz Bachmutow, rzeczywisty radca stanu, jest dyrektorem...

- Piotr Matwiejewicz Bachmutow! - zawołał medyk, niemal drgnąwszy. - Ależ właśnie od niego prawie wszystko zależy!

Rzeczywiście w historii mojego medyka i w jej zakończeniu, do którego mimo woli się przyczyniłem, wszystko się tak złożyło i udało załatwić, jakby umyślnie było do tego przygotowane, zupełnie jak w powieści. Powiedziałem tym biednym ludziom, żeby nie pokładali we mnie żadnych nadziei, że sam jestem biednym gimnazjalistą (umyślnie przesadziłem w poniżeniu siebie, gdyż dawno ukończyłem szkołę i nie jestem uczniem) i że mojego nazwiska nie mają się co dowiadywać, ale że pójdę zaraz na Wyspę Wasiliewską do mojego kolegi Bachmutowa, a ponieważ wiem na pewno, że jego stryj, rzeczywisty radca stanu, kawaler, bezdzietny, po prostu uwielbia swojego bratanka i kocha go bezgranicznie, widząc w nim ostatnią latorośl swojego rodu, więc „nie jest wykluczone, że mój kolega będzie mógł coś niecoś zrobić dla pana, i dla mnie oczywiście, u swojego stryja...”

- Gdyby mi tylko pozwolono złożyć wyjaśnienia jego ekscelencji! Gdybym tylko dostąpił zaszczytu wytłumaczenia mu sprawy osobiście! - zawołał drżąc jak w gorączce, z błyszczącymi oczami. Tak właśnie powiedział: gdybym dostąpił. Powtórzywszy jeszcze raz, że z tych zabiegów na pewno nic nie wyjdzie i wszystko okaże się bzdurą, dodałem, że jeżeli jutro rano nie przyjdę do nich, to znaczy, że sprawa skończona i nie mają już na co czekać. Odprowadzili mnie do drzwi z ukłonami; prawie odchodzili od zmysłów z radości. Nigdy nie zapomnę wyrazu ich twarzy. Wziąłem dorożkę i natychmiast pojechałem na Wyspę Wasiliewską.

Z tym Bachmutowem w gimnazjum w ciągu długich lat byłem bez ustanku na stopie wojennej. Uchodził on u nas za arystokratę, a przynajmniej ja go tak nazywałem: pięknie się ubierał, przyjeżdżał do szkoły własnymi końmi, wcale nie zadzierał nosa, zawsze był niezwykle koleżeński, nadzwyczaj wesoły i nawet czasem bardzo dowcipny, chociaż nie odznaczał się jakimiś wybitnymi zdolnościami, mimo że był zawsze pierwszym uczniem w klasie; ja natomiast nigdy w niczym nie celowałem. Wszyscy koledzy go lubili prócz mnie jednego. Kilka razy w ciągu szkolnych lat zbliżał się do mnie; ale ja za każdym razem z ponurą irytacją odwracałem się od niego. Teraz nie widziałem go już chyba z rok; chodził na uniwersytet. Kiedy około dziewiątej wieczorem wszedłem do niego (z wielkimi ceremoniami: zaanonsował mię lokaj), przyjął mnie najpierw ze zdziwieniem, wcale nie uprzejmie, ale zaraz poweselał i, patrząc na mnie, nagle wybuchnął śmiechem.

- Skądże to panu przyszło do głowy, żeby przyjść do mnie, panie Tierientiew? - zawołał ze swoją zwykłą sympatyczną nonszalancją, niekiedy zbyt zuchwałą, ale nigdy nie obraźliwą, którą tak w nim lubiłem i za którą tak go nienawidziłem. - Ale cóż to - krzyknął raptem, przestraszony - pan jest chory!

Kaszel znowu mnie zaczął męczyć, upadłem na krzesło i z trudem złapałem oddech.

- Nic wielkiego, mam suchoty - powiedziałem - a przyszedłem do pana z prośbą.

Usiadł zdziwiony, a ja od razu przedstawiłem mu całą historię doktora i wyjaśniłem, że przy swoim nadzwyczajnym wpływie na stryja mógłby może coś w tej sprawie zrobić.

- Zrobię, na pewno zrobię, zaraz jutro przypuszczę atak do stryja; nawet rad jestem, że pan mi to wszystko tak ładnie opowiedział... Ale skąd panu jednak przyszło na myśl zwrócić się do mnie?

- Od pańskiego stryja tak wiele tu zależy, a przy tym i ja, i pan, panie Bachmutow, zawsze byliśmy wrogami, ponieważ zaś jest pan człowiekiem szlachetnym, więc pomyślałem sobie, że wrogowi pan nie odmówi - dodałem z ironią.

- To tak jakby Napoleon zwrócił się do Anglii! - zawołał ze śmiechem. - Zrobię, zrobię! Nawet zaraz pójdę, jeżeli można! - dodał pośpiesznie, widząc, że z poważnym i surowym wyrazem twarzy wstaje z krzesła.

I rzeczywiście, sprawa ta całkiem nieoczekiwanie została załatwiona jak nie można lepiej. Po upływie półtora miesiąca nasz medyk otrzymał znów posadę, w innej guberni, dostał pieniądze na podróż, nawet gratyfikację. Podejrzewam, że Bachmutow, który ogromnie szybko przyzwyczaił się

do nich chodzić (podczas gdy ja od tego czasu umyślnie przestałem ich odwiedzać i przyjmowałem doktora u siebie prawie oschle) - że Bachmutow, jak podejrzewam, skłonił nawet doktora do przyjęcia od niego pożyczki. Z Bachmutowem w ciągu tych sześciu tygodni widziałem się dwa razy, a trzeci raz spotkaliśmy się, kiedy żegnaliśmy doktora. Ucztę pożegnalną Bachmutow urządził u siebie w domu w formie obiadu z szampanem; na obiedzie była też obecna żona doktora, ale wkrótce odjechała do dziecka. Było to na początku maja, wieczór był jasny, olbrzymia kula słońca pogrążała się w zatokę. Bachmutow odprowadził mię do domu; poszliśmy przez most Mikołajewski; obaj mieliśmy trochę w czubie. Bachmutow mówił, że cieszy się, iż sprawa ta została tak pomyślnie załatwiona, dziękował mi za coś, tłumaczył, jak mu jest przyjemnie teraz po spełnieniu dobrego uczynku, zapewniał, że cała zasługa jest po mojej stronie i że daremnie głoszą teraz niektórzy, iż poszczególne dobre uczynki nic nie znaczą. Mnie też okropnie zachciało się porozmawiać.

- Kto zaprzecza znaczeniu „jałmużny” ofiarowanej przez jednostkę - zacząłem - ten czyni zamach na naturę człowieka i pogardza jego osobistą godnością. Ale organizacja „zbiorowej jałmużny” i zagadnienie wolności osobistej to dwa różne, aczkolwiek nie wykluczające się nawzajem problemy. Dobro czynione przez jednostkę pozostanie zawsze, gdyż stanowi ono potrzebę ludzkiej osobowości, żywą potrzebę wpływania jednej osobowości na drugą. W Moskwie mieszkał pewien starzec, pewien „generał”, to znaczy rzeczywisty radca stanu o niemieckim nazwisku[101]; całe życie włóczył się po więzieniach i rozmawiał z przestępcami; każda partia zesłańców idących etapem na Sybir wiedziała już, że na Wzgórzach Worobiowych odwiedzi ją „staruszek generał”. Spełniał swoje czynności nadzwyczaj poważnie i nabożnie; zjawiał się, chodził pomiędzy szeregami zesłańców, którzy go otaczali, zatrzymywał się przed każdym, każdego wypytywał o jego potrzeby, nauk moralnych nie udzielał prawie nigdy nikomu, nazywał ich wszystkich pieśczośliwie „kochanymi chłopaczkami”. Dawał im pieniądze, przysyłał niezbędne rzeczy - onuce, owijacze, płótno, przynosił czasem nabożne książeczki i rozdawał wszystkim umiejącym czytać, w zupełnym przekonaniu, że oni będą je czytali w drodze i ten, co umie czytać, przeczyta temu, co nie umie. O przestępstwa rzadko pytał, co najwyżej słuchał, gdy przestępca sam zaczynał mówić. Wszystkich przestępców traktował jednakowo, różnicy między nimi nie robił. Rozmawiał z nimi jak z braćmi, a i oni zaczęli go wreszcie uważać za ojca. Jeśli spostrzegł jakąś zesłaną kobietę z dzieckiem na ręku, podchodził, pieścił dziecko i prztykał palcami, żeby dziecko się śmiało. Tak czynił przez wiele lat, do samej śmierci; doszło do tego, że znali go ludzie w całej Rosji i na całej Syberii, to znaczy wszyscy przestępcy. Opowiadał mi pewien były zesłaniec syberyjski, że sam kiedyś był świadkiem, jak najzatatwardzialszy zbrodniarz wspominali generała, a tymczasem generał, odwiedzając partię, rzadko kiedy mógł rozdać więcej niż po dwadzieścia kopiejek na osobę. Co prawda, wspominali go nie z jakimś tam wielkim zapalem albo nazbyt serio. Ten lub ów „nieszczęśliwiec”[102], który zamordował ze dwanaście osób, zarżnął ze sześcioro dzieci, ot tak sobie, dla rozrywki (bo i tacy podobno bywali), raptem ni stąd, ni zowąd w pewnej chwili, i to może tylko raz na dwadzieścia lat, westchnie i powie: „A co tam porabia nasz staruszek generał, czy jeszcze żyje?” Przy tym może nawet się uśmiechnie - i na tym koniec. A skąd pan wie, jakie ziarno zostało posiane w jego duszy na wieczne czasy przez tego „staruszka generała”, którego zbrodniarz nie zapomniał przez dwadzieścia lat? Skąd pan może wiedzieć, panie Bachmutow, jaką doniosłą rolę odegra to pozyskanie jednej jednostki przez drugą w losach tej pozyskanej jednostki?... W tym jest przecież całe życie i niezliczone mnóstwo ukrytych przed naszym wzrokiem rozgałęzień. Najlepszy szachista, najtrafniej przewidujący, może obliczyć

zaledwie kilka przypuszczalnych posunięć; o pewnym szachiście francuskim, który potrafił przewidzieć dziesięć następnych posunięć, pisano jak o jakimś fenomenie. Ale ileż tu jest posunięć, ile nie znanych nam kombinacji? Rzucając swoje ziarno, rzucając swoją „jałmużnę”, swój dobry uczynek w jakiegokolwiek formie człowiek daje z siebie cząstkę swojej osobowości i wchłania w siebie cząstkę innej; i obie jak gdyby się łączą; jeszcze trochę uwagi i człowiek zostaje już wynagrodzony wiedzą, najbardziej niespodzianymi odkryciami. Zaczyna w końcu oczywiście patrzeć na swoje dzieło jak na naukę; wchłonie ona w siebie całe jego życie i może mu to życie bez reszty wypełnić. Z drugiej strony, wszystkie myśli człowieka, wszystkie rzucone przez niego, a może już nawet zapomniane ziarna, staną się ciałem i wzrosną; ten, co od niego otrzymał, przekaże innemu. I skąd pan wie, jaki udział, jako darczyńca, będzie pan miał w przyszłym rozwiązaniu losów ludzkości? Jeżeli zaś wiedza i całe życie, wypełnione tą pracą, wyniosą pana wreszcie na taką wyżynę, że będzie pan mógł rzucić olbrzymi posiew, zostawić światu w spuściźnie olbrzymią myśl, to... I tak dalej, dużo wtedy mówiłem.

- I pomyśleć przy tym, że panu właśnie odmówiono życia ! - jakby zwracając się do kogoś z gwałtownym wyrzutem, zawołał Bachmutow.

W tej chwili staliśmy na moście, oparliśmy się o balustradę, i patrzyliśmy na Nową.

- A czy wie pan, co mi przyszło do głowy ? - powiedziałem, jeszcze bardziej nachyliwszy się nad balustradą.

- Czyżby pan chciał się rzucić do wody?! - zawołał Bachmutow, niemal przerażony. Może z twarzy mojej wyczytał tę myśl.

- Nie, na razie tylko pewne rozumowanie, a mianowicie: oto zostały mi teraz jakieś dwa, trzy miesiące życia, może cztery; ale kiedy na przykład zostaną tylko dwa miesiące i gdybym wówczas bardzo zapragnął spełnić jaki dobry uczynek, który by wymagał pracy, biegania i zachodów podobnie jak sprawa naszego doktora, to wówczas musiałbym chyba zaniechać tego uczynku z powodu krótkiego czasu, który mi do końca życia pozostał, i wynaleźć sobie inny „dobry uczynek”, drobniejszy, w granicach moich możliwości. (Jeżeli już tak mię będzie ciągnęło do spełniania dobrych uczynków.) Przyzna pan, że to zabawna myśl!

Biedny Bachmutow bardzo się o mnie niepokoił; odprowadził mię do samego domu i był tak delikatny, że nawet nie próbował mię pocieszać i prawie cały czas milczał. Żegnając się ze mną, gorąco uścisnął mi rękę i prosił, abym mu pozwolił, by mnie odwiedzał. Odrzekłem mu, że jeżeli będzie przychodził do mnie jako „pocieszyciel” (bo nawet gdyby milczał, zawsze jednak występowałby w roli pocieszyciela, jak mu to wytłumaczyłem), to przecież będzie mi siłą rzeczy za każdym razem przypominał o śmierci. Wzruszył ramionami, ale przyznał mi słuszność; rozstaliśmy się dosyć grzecznie, czego się nawet nie spodziewałem.

Jednak tego wieczoru i tej nocy rzucone zostało ziarno mojego „ostatniego przekonania”. Chciwie uczepliłem się tej nowej myśli, chciwie analizowałem ją we wszystkich jej załamaniach, we wszystkich jej odmianach (całą noc nie spałem), a im bardziej w niej się zagłębiałem, im bardziej wchłaniałem ją w siebie, tym większego doznawałem lęku. Wreszcie ogarnął mnie okropny strach i nie opuszczał mię w ciągu następnych dni. Niekiedy, myśląc o tym bezustannym moim strachu,

drętwiałem z powodu nowej grozy: przecież po tym strachu mogłem sądzić, że „ostatnie przekonanie” zbyt się we mnie rozparło i nieuchronnie doprowadzi do jakiegoś rozstrzygnięcia. Ale do tego rozstrzygnięcia brakło mi stanowczości. W trzy tygodnie potem wszystko było skończone, zjawiała się stanowczość, ale wskutek nader dziwnej okoliczności.

*Tu w wyjaśnieniu swoim odnotowuję wszystkie te cyfry i daty. Oczywiście będzie mi wszystko jedno, ale teraz (a może nawet tylko w tej chwili) pragnę, aby ci, którzy będą wydawali sąd o moim postępkach, mogli widzieć jasno, z jakiego łańcucha logicznych wniosków wynikło moje „ostatnie przekonanie”. Napisałem nieco wyżej, iż ostateczna decyzja, której mi brakowało do zrealizowania mojego „ostatniego poglądu”, powstała we mnie, zdaje się, całkiem nie z logicznego rozumowania, ale wskutek jakiegoś dziwnego impulsu, wskutek pewnej dziwnej okoliczności, wcale może nie mającej związku z biegiem sprawy. Jakies dziesięć dni temu wstąpił do mnie Rogożyn w pewnej sprawie, o której tutaj nie ma się co rozwódzić. Nigdy nie widziałem przedtem Rogożyna, ale słyszałem o nim bardzo dużo. Udzieliłem mu wszelkich potrzebnych informacji, a ponieważ przyszedł tylko po te informacje, więc na tym by się między nami skończyło. Ale że zbyt mię zainteresował i przez cały ten dzień znajdowałem się pod wpływem dziwnych myśli, więc postanowiłem iść do niego nazajutrz z rewizytą. Rogożyn był mi najwidoczniej nierad i nawet dość „delikatnie” dał mi do zrozumienia, że nie mamy po co podtrzymywać naszej znajomości; mimo to jednak spędziłem z nim bardzo zajmującą godzinę, tak samo zapewne jak i on. Między nami był taki kontrast, że nie mogliśmy go obaj nie spostrzec, zwłaszcza ja: byłem człowiekiem, którego dni były już policzone, on zaś - żył pełnią życia, bezpośrednio je chłonąc, żył chwilą bieżącą, nie kłopotząc się o żadne „ostatnie wnioski”, cyfry albo jakiegokolwiek inne rzeczy, nie wiążące się z tym, na punkcie czego... no, że tak powiem, na punkcie czego miał po prostu bzika; niech mi pan Rogożyn wybaczy to wyrażenie jako marnemu literatowi, który nie umie wyrazić swojej myśli. Pomimo całej jego nieuprzejmości wydało mi się, że jest człowiekiem rozumnym i pojętym, chociaż mało rzeczy postronnych go interesuje. Nie wspominałem mu o swoim „ostatnim przekonaniu”, ale dlaczegosi odniosłem wrażenie, że je odgadł, słuchając mnie. Przemilczał to; jest okropnie małowówny. Napomknąłem mu wychodząc, że pomimo wszelkich różnic między nami, pomimo wszelkich przeciwieństw - *les extremes se touchent** (przetłumaczyłem mu to po rosyjsku), więc i on może nie jest taki daleki od mojego „ostatniego poglądu”, jak się wydaje. Odpowiedział mi na to posępny i kwaśny grymasem, wstał, sam odnalazł moją czapkę, robiąc przy tym taką minę, jakbym to ja chciał wyjść, i najprościej w świecie wyprowadził mię ze swojego ponurego domu pod pretekstem, że niby spełnia obowiązki grzeczności. Uderzył mię wygląd jego domostwa; dom podobny jest do cmentarza, ale jemu najwidoczniej się podoba, co zresztą łatwo zrozumieć: takie pełne, intensywne życie, jakim on żyje, zanadto go pochłania, aby mu potrzebne było jeszcze specjalne otoczenie.*

Ta wizyta u Rogożyna bardzo mię zmęczyła. A przy tym już od samego rana czułem się niezbyt dobrze; pod wieczór okropnie osłabłem i położyłem się na łóżku, a chwilami odczuwałem silną gorączkę i nawet bredziłem. Kola siedział przy mnie do jedenastej. Pamiętam jednak wszystko, o czym on mówił i o czym myśmy mówili. Ale kiedy czasem oczy mi się przymykały, ukazywał mi się Iwan Fomicz, który niby to otrzymywał miliony. Wciąż nie wiedział, gdzie je podziąć, łamał sobie nad tym głowę, drżał ze strachu, żeby mu ich nie ukradziono, aż wreszcie postanowił zakopać je w ziemi. Poradziłem mu na koniec, żeby zamiast bezużytecznie zakopywać w ziemi taką masę złota, ulął z tej całej masy złotą trumienkę dla „zamrożonego” dziecka i aby w tym celu dziecko

ekshumował. Tę moją drwinę Surikow przyjął niby to ze łzami wdzięczności i od razu przystąpił do wykonania planu. Ja niby plunąłem i odszedłem od niego. Kola upewniał mię, kiedy się zupełnie ocknąłem, że wcale nie spałem i że przez cały ten czas rozmawiałem z nim o Surikowie. Chwilami czułem się nadzwyczaj przygnębiony i niespokojny, toteż Kola odszedł pełen niepokoju. Kiedy wstałem, żeby zamknąć za nim drzwi na klucz, przypomniał mi się nagle obraz, który widziałem u Rogożyna w jednej z najmroczniejszych sal jego domu, nad drzwiami. Sam mi go pokazał mimochodem; zdaje się, że stałem przed tym obrazem z pięć minut. Nie było w nim nic ładnego pod względem artystycznym, ale wzbudził we mnie jakiś dziwny niepokój.

Obraz przedstawiał Chrystusa, który dopiero co został zdjęty z krzyża. Wydaje mi się, że malarze przyzwyczaili się malować Chrystusa i na krzyżu, i zdjętego z krzyża, lecz zawsze z odcieniem niezwyklej piękności w obliczu; piękność tę starają się zachować nawet w najstraszniejszych męczarniach. Na tym zaś obrazie u Rogożyna nie ma nawet śladu piękności, jest to najzwyczajniejszy trup człowieka, który jeszcze przed przybiciem go do krzyża zniósł nieskończone męki, rany, tortury, bicie przez strażników, bicie przez tłum, kiedy dźwigał na sobie krzyż i upadał pod jego brzemieniem, wreszcie mękę ukrzyżowania trwającą sześć godzin (przynajmniej według moich obliczeń). Prawda, że jest to twarz człowieka dopiero co zdjętego z krzyża, to znaczy twarz, która zachowała w sobie bardzo dużo życia, ciepła; nic jeszcze nie zdążyło zeszywnieć, więc w obliczu zmarłego przebija nawet cierpienie, jak gdyby jeszcze teraz przez Niego odczuwane (artysta bardzo dobrze to uchwycił); ale za to sama twarz nie została bynajmniej oszczędzona; jest tu tylko natura i naprawdę taki powinien być trup człowieka po tylu mękach, kimkolwiek byłby ten człowiek. Wiem, że kościół chrześcijański ustalił jeszcze w pierwszych wiekach, że Chrystus cierpiał nie w przenośni, ale w rzeczywistości, i że jak z tego wynika, ciało Jego podlegało na krzyżu prawom przyrody zupełnie i bez reszty. Na obrazie twarz ta jest okropnie pobita, spuchnięta, pokryta straszliwymi, nabrzmiałymi, skrwawionymi sińcami, oczy otwarte, źrenice skrzywione; wielkie, odsłonięte białka oczu świecą jakimś martwym, szklanym odblaskiem. Dziwna rzecz - kiedy się patrzy na tego trupa, na tego zamęconego na śmierć człowieka, przychodzi na myśl pewne osobliwe i ciekawe pytanie: jeżeli takiego właśnie trupa (a na pewno musiał być właśnie taki) widzieli wszyscy Jego uczniowie, Jego główni przyszli apostołowie, widziały kobiety chodzące za Nim i stojące pod krzyżem, wszyscy, co wierzyli w Niego i ubóstwiali Go, to jakim sposobem mogli uwierzyć, patrząc na takiego trupa, że ten męczennik zmartwychwstanie? Tu mimo woli nasuwa się pojęcie, że jeżeli śmierć jest tak okropna i prawa natury tak silne, to jak je można przewyciężyć? Jak je przemóc, jeżeli ich nie przewyciężył teraz nawet Ten, który za życia Swego zwyciężał przyrodę, któremu ona ulegała, który zawołał: „Thalita kum*!” - i dziewczeczka wstała, „Łazarzu, wstań!” - i zmarły wyszedł z grobu? Patrzącemu na ten obraz przyroda wydaje się jakąś olbrzymią nieubłaganą i niemą bestią albo, właściwiej mówiąc, o wiele właściwiej, chociaż bardzo dziwnie - jakąś ogromną maszyną najnowszej konstrukcji, która bezmyślnie schwytała w swoje tryby, zmiążdżyła i wchłonęła w siebie, niema i obojętna, wielką i nieocenioną Istotę - taką Istotę, która sama jedna warta była całej przyrody i wszystkich jej praw, warta była całej ziemi, stworzonej, być może, jedynie po to, aby się na niej zjawiała taka Istota! Obraz ten właśnie jak gdyby wyraża owo pojęcie o mrocznej, zuchwałej i bezmyślnie wiekuistej sile, której wszystko podlega; i to pojęcie mimo woli udziela się każdemu, kto patrzy na obraz. Ci ludzie, którzy otaczali zmarłego, a których wcale nie ma tutaj na obrazie, musieli odczuć straszliwy niepokój i zwątpienie tego wieczoru, kiedy runęły naraz wszystkie ich nadzieje i niemal wygasła ich wiara. Musieli rozejść się w okropnym strachu, choć każdy z nich unosił z sobą ogromną myśl, która już

nigdy nie mogła być im wydarta. I gdyby sam nauczyciel mógł być ujrzyć ten swój obraz w przeddzień stracenia, to czy tak samo wstąpiłby na krzyż i tak samo umarłby jak teraz? Pytanie to również mimo woli nasuwa się każdemu, kto patrzy na obraz.

Wszystko to majaczyło się i mnie, urywkami, może istotnie podczas maligny, chwilami nawet w obrazach, w ciągu całej godziny po odejściu Koli. Czy może się przywidzieć jako postać to, co nie ma postaci? Ale mnie się jakby wydawało chwilami, że widzę w jakiejś dziwnej i nieprawdopodobnej formie tę nieskończoną siłę, tę głuchą, ciemną i niemą istotę. Pamiętam, że ktoś jak gdyby poprowadził mnie z sobą, ze świecą w rękach, pokazał mi jakąś olbrzymią i obrzydliwą tarantulę i jął zapewniać, że to jest właśnie ta ciemna, głucha i wszechwładna istota, i śmiał się z mojego oburzenia. W moim pokoju przed obrazem zapala się zawsze na noc lampkę - światło jest blade i nikłe, wszystko jednak można przy nim rozpoznać, a pod samą lampką można nawet czytać. Sądzę, że już było po dwunastej; nie spałem wcale i leżałem z otwartymi oczami; wtem otworzyły się drzwi mojego pokoju i wszedł Rogożyn.

Wszedł, zamknął drzwi, w milczeniu popatrzył na mnie i cicho przeszedł przez pokój do krzesła w rogu, które stoi prawie pod samą lampką. Bardzo się zdziwiłem i patrzyłem wyczekująco; Rogożyn oparł się łokciami o stolik i zaczął przyglądać mi się w milczeniu. Tak upłynęły dwie czy trzy minuty, i pamiętam, że milczenie jego bardzo mię rozzłościło i dotknęło. Dlaczegoż on nie chce mówić? To, że przyszedł tak późno, wydało mi się oczywiście dziwne, ale pamiętam, że ta okoliczność nie wprawiłaby mnie bynajmniej w Bóg wie jakie zdumienie. Nawet przeciwnie: chociaż z rana nie wyraziłem mu jasno swojej myśli, wiem jednak, że ją zrozumiał; a myśl ta była tego rodzaju, że z powodu niej można było oczywiście przyjść, by porozmawiać jeszcze raz, chociażby nawet bardzo późno. Przypuszczałem więc, że po to właśnie przyszedł. Rano rozstaliśmy się w nastroju dosyć nieprzyjaznym i pamiętam nawet, że ze dwa razy popatrzył na mnie bardzo drwiąco. Tę samą drwinę wyczytałem teraz w jego wzroku i ona to mię dotknęła. Co do tego zaś, że to jest rzeczywiście Rogożyn we własnej osobie, a nie widmo, nie halucynacje, nie miałem początkowo żadnych wątpliwości. Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

On tymczasem siedział wciąż i patrzył na mnie z tym samym uśmiechem. Ze złością obróciłem się na łóżku, oparłem się również łokciami o poduszkę i postanowiłem tak samo milczeć, chociażbyśmy mieli przesiedzieć tak cały czas. Koniecznie dla czegoś chciałem, żeby on zaczął pierwszy. Upłynęło chyba ze dwadzieścia minut. I nagle przyszło mi na myśl: a jeżeli to nie jest Rogożyn, tylko przywidzenie?

Ani podczas swojej choroby, ani nigdy przedtem nie widziałem jeszcze ani razu żadnego ducha; zawsze mi się jednak zdawało, jeszcze kiedy byłem chłopcem, a nawet teraz, to znaczy niedawno, że jeżeli chociaż raz zobaczę ducha, natychmiast umrę na miejscu, mimo iż w żadne duchy nie wierzę. Kiedy mi jednak przyszło na myśl, że to nie Rogożyn, tylko przywidzenie, wcale, jak pamiętam, nie poczułem strachu. Nie dość na tym, byłem nawet zły. Dziwne i to jeszcze, że rozstrzygnięcie kwestii: czy to jest widmo, czy też sam Rogożyn, wcale mię jakoś nie tak zajmowało i niepokoiło, jakby się należało spodziewać; myślałem wtedy bodaj o czymś całkiem innym. O wiele bardziej na przykład zajmowało mię to, dlaczego Rogożyn, który niedawno był w szlafroku i pantoflach, teraz jest we fraku, białej kamizelce i białym krawacie? Świtła mi też taka myśl: jeżeli to duch i ja się go nie boję, dlaczegoż nie mam wstać, podejść do niego i sam się przekonać?

Może zresztą bałem się i nie miałem odwagi podejść. Zaledwie jednak zdążyłem pomyśleć, że się boję, nagle jakby przeciągnięto lodem po całym moim ciele; poczułem zimno w plecach i zadrżały mi kolana. W tej samej chwili Rogożyn, jakby odgadując, że się boję, odjął rękę, o którą wspierał łokieć, wyprostował się i zaczął otwierać usta, jakby do śmiechu; patrzył przy tym prosto w moje oczy. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że chciałem się na niego rzucić, ale ponieważ przysięgłem sobie, że nie zacznę mówić pierwszy, pozostałem więc na łóżku, tym bardziej iż nadal nie byłem pewny, czy to Rogożyn.

Nie pamiętam dokładnie, jak długo to trwało; nie pamiętam też dokładnie, czy traciłem chwilami przytomność. Aż wreszcie Rogożyn wstał, tak samo powoli i uważnie obejrzał mnie jak przedtem, kiedy wszedł, ale przestał się uśmiechać i cicho, prawie na palcach podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł zamykając drzwi za sobą. Nie wstałem z łóżka; nie pamiętam, jak długo leżałem jeszcze z otwartymi oczami i wciąż myślałem; Bóg wie o czym myślałem; nie pamiętam również, jak się zdrzemnąłem. Nazajutrz obudziłem się, gdy zapukano do moich drzwi, o dziesiątej. Miałem tak umówione, że jeżeli sam nie otworzę drzwi przed dziesiątą i nie zawołam, żeby mi podano herbatę, to Matriona powinna sama do mnie zapukać. Kiedy otworzyłem jej drzwi, od razu przyszło mi na myśl: jak on mógł wejść, skoro drzwi były zamknięte? Sprawdziłem to i przekonałem się, że prawdziwy Rogożyn nie mógłby wejść, gdyż u nas wszystkie drzwi są zamknięte w nocy na klucz.

Ten właśnie dziwny przypadek, który tak szczegółowo opisałem, spowodował, że „zdecydowałem się” już zupełnie. Do powzięcia ostatecznej decyzji przyczyniła się zatem nie logika, nie logiczne rozumowanie, tylko wstręt. Nie można pozostawać przy życiu, które przybiera takie potworne, obrażające mnie kształty. To przywidzenie głęboko mię upokorzyło. Nie czuję się na siłach, żeby ulegać mrocznej potędze, przybierającej postać tarantuli. I dopiero wówczas, już o zmierzchu, kiedy nastąpił we mnie moment ostatecznego zdecydowania się, poczułem ulgę. Był to dopiero wstępny niejako moment; po drugi taki moment jeździłem do Pawłowska, ale to już jest dostatecznie wyjaśnione.

VII

„Miałem mały kieszonkowy pistolet; sprawilem go sobie wówczas, kiedy byłem jeszcze dzieckiem w tym pociesznym wieku, kiedy to nagle zaczyna się nabierać upodobania do różnych historyjek o pojedynkach, o napadach zbójców, o tym, jak to i ja zostanę wyzwany na pojedynek i jak to mężnie będę stał przed lufą pistoletu. Miesiąc temu obejrzałem tę swoją broń i przygotowałem. W szufladce, w której leżał pistolet, znalazłem też dwie kule, a w rożku pewną ilość prochu, wystarczającą na trzy ładunki. Pistolet ten jest lichy, bije w bok i niesie najwyżej na piętnaście kroków; ale oczywiście może rozłupać czaszkę, jeżeli się go przyłoży do skroni.

Postanowiłem umrzeć w Pawłowsku o wschodzie słońca w parku, żeby nie zakłócić spokoju nikomu w willi. Moje „wyjaśnienie” w dostateczny sposób wytłumaczy policji całą sprawę. Amatorzy psychologii i ci, komu to będzie potrzebne, mogą z niego wywnioskować wszystko, co zechcą. Nie chciałbym jednak, aby ten rękopis został opublikowany. Proszę, niech książkę jeden egzemplarz zachowa dla siebie, a drugi przekaże Agłai Iwanownie Jepanczyn. Taka jest moja wola. Szkielet swój zapisuję Akademii Medycznej dla celów naukowych.

Nie uznaję żadnych sędziów nad sobą i wiem, że jestem teraz poza zasięgiem jakiegokolwiek sądu. Jeszcze nie tak dawno rozśmieszyło mię pewne przypuszczenie: że gdyby mnie teraz wzięła nagle ochota kogoś zamordować, bodaj dziesięć osób na raz, albo popełnić coś najbardziej okropnego, coś najokropniejszego w pojęciu ludzkim na świecie, to w jakim głupim położeniu znalazłby się sąd wobec moich dwóch albo trzech tygodni życia i po zniesieniu katuszy i tortur? Umarłbym wygodnie w szpitalu, w cieple i pod troskliwą opieką doktora, kto wie nawet, czy nie o wiele wygodniej niż we własnym domu. Nie rozumiem, dlaczego ludziom w takiej, jak moja, sytuacji nie przychodzi podobna myśl do głowy, choćby na żarty? Może zresztą przychodzi; bo wesolków chyba i u nas nie brak.

Ale mimo że nie uznaję nad sobą żadnego sądu, wiem jednak, że będę sądzony, kiedy się już stanę podsądnym głuchym i niemym. Nie chcę odchodzić nie zostawiwszy ani słowa odpowiedzi - swobodnego, a nie wymuszonego - nie po to, by się usprawiedliwić, o nie! - nie mam ani kogo, ani za co prosić o przebaczenie - ale tak, po prostu dlatego że sam tak chcę.

Tu, po pierwsze, nasuwa się dziwna myśl: komu, w imię jakiego prawa, w imię jakich pobudek przysłoby do głowy kwestionować teraz moje prawo do tych dwóch albo trzech tygodni, które mi pozostały? Jakich sędziów może to obchodzić? Komu mianowicie jest to potrzebne, żebym był nie tylko skazany, ale i wytrwał lojalnie do chwili spełnienia wyroku? Czyżby rzeczywiście komuś na tym zależało? Ze względów moralnych? Rozumiem jeszcze, że gdybym w kwiecie sił i zdrowia targnął się na życie, które „mogłoby być pożyteczne dla bliźnich” itd., to moralność mogłaby mi zarzucić, zgodnie ze starą rutyną, że się rozporządziłem swoim życiem bez pytania albo jeszcze coś, co sama uznałaby za właściwe. Ale teraz, teraz kiedy mi już ogłoszono termin wyroku? Jakiejż to moralności potrzebne jest jeszcze, prócz twojego życia, twoje ostatnie rżenie, z którym oddajesz, człowieku, ostatnią część sił żywotnych, wysłuchując pocieszeń księcia, który w swojej chrześcijańskiej argumentacji z pewnością dojdzie do szczęśliwego wniosku, iż w gruncie rzeczy to nawet lepiej, że umierasz. (Tacy jak on chrześcijanie zawsze dochodzą do tej idei; to ich ulubiony

konik.) I czego oni chcą z ich śmiesznymi „drzewami w Pawłowsku”? Osłodzić ostatnie godziny mojego życia? Czyżby nie rozumieli, że im bardziej pogrążę się w rozkoszy zapomnienia, im bardziej dam się ponieść tej ostatniej uludzie życia i miłości, która zgodnie z ich życzeniem miałyby zasłonić przede mną moją ścianę z cegieł i wszystko, co na niej tak otwarcie i szczerze jest wyryte - tym bardziej uczynią mnie nieszczęśliwym? Na co mi wasza przyroda, wasz park w Pawłowsku, wasze wschody i zachody słońca, wasze błękitne niebo i wasze arcyzadowolone twarze, kiedy cała ta uczta, której nie ma końca, zaczęła się od tego, iż mnie tylko uznano za osobę zbędną? Co mi po tej całej piękności, kiedy w każdej minucie, w każdej sekundzie powinienem i muszę wiedzieć, że nawet ta maleńka muszka, która brzęczy teraz koło mnie w promieniach słońca, ona nawet jest uczestniczką całej tej uczyty, całego chóru, ma swoje miejsce, lubi je i czuje się szczęśliwa, a ja tylko jestem wyrzutkiem i jedynie wskutek swojej małoduszności nie chciałem tego dotychczas zrozumieć! O, przecież wiem, jak bardzo książę i wszyscy chcieliby mnie doprowadzić do takiego stanu, abym zamiast tych wszystkich „podstępnych i nienawistnych” słów zaśpiewał im z dobroci serca i dla triumfu moralności znakomitą klasyczną strofę z Millevoye'em:

O, puissent vmr votre beaute sacree

Tant cfamis, sourds d mes adieux!

Qu'ih meurent pleins de jours, que leur mort soit pleuree,

*Qu'un ami leur fermę les yeux! [105]**

Ale wierzcie mi, wierzcie, łatwowierni ludzie, że i w tej wysoce moralnej strofie, w owym akademickim błogosławieństwie świata przez francuskiego poetę tkwi tyle utajonej żółci, tyle nieprzejednanej, pocukrzanej rymami złości, że nawet sam poeta uległ sugestii własnego dzieła i wziął tę złość za łzawe rozrzewnienie, w takim też przekonaniu umarł; pokój jego prochom! Wiedźcie, że w poczuciu własnej nędzy i słabości jest taka granica hańby, poza którą człowiek nie może się już dalej posunąć i od której zaczyna odczuwać w swojej hańbie ogromną rozkosz... Ano, rzecz prosta, w tym sensie pokora jest olbrzymią siłą, uznaję to - chociaż nie w tym sensie, w jakim religia uważa pokorę za siłę.

Religia! Uznaję możliwość wiecznego życia i chyba zawsze ją uznawałem. Niech będzie, że świadomość powstaje z woli nadprzyrodzonej siły, że ta świadomość rozejrzawszy się po świecie wyrzekła: „Jam jest!”, i że nagle ta sama nadprzyrodzona siła każe jej się unicestwić, ponieważ tak potrzeba dla jakichś tam - nawet bez - bliższego wyjaśnienia, dla jakich mianowicie - przyczyn, niech tak będzie, wszystko to uważam za możliwe, ale znów sobie muszę zadać wieczne pytanie: na co przy tym potrzebna była moja pokora? Czy nie można mię po prostu zjeść, nie żądając ode mnie pochwał dla tego, co mię zjadło? Czy rzeczywiście może się ktoś obrazić o to, że ja nie chcę poczekać jeszcze dwa tygodnie? Nie wierzę, aby tak było; o wiele bardziej prawdopodobne jest przypuszczenie, że moje nędzne życie, życie atomu, potrzebne było po prostu dla dopełnienia jakiejś powszechnej harmonii całego wszechświata, dla jakiegoś plusu i minusu, dla jakiegoś kontrastu i tak dalej, zupełnie tak samo, jak co dzień potrzebne są ofiary z życia mnóstwa istot, bez których śmierci reszta świata nie może istnieć (choć wypada zaznaczyć, że jest to myśl sama

przez się niezbyt szlachetna.) Ale niech tam! Zgadzam się, że w inny sposób, to znaczy bez ciągłego wzajemnego pożerania się, nie można było urządzić świata; gotów jestem nawet przyznać, że wcale nie rozumiem tego mechanizmu; ale za to wiem z pewnością jedno: skoro już raz dano mi świadomość tego, że „jestem”, to cóż mię obchodzi, iż świat jest urządzony wadliwie i że inaczej nie może istnieć? Kto i za co będzie mnie po tym wszystkim sądził? Jak sobie chcecie, ale to wszystko jest nie w porządku, jest niesprawiedliwe.

A tymczasem pomimo najlepszych chęci nigdy nie mogłem sobie wyobrazić, że przyszłego życia i Opatrzności nie ma. Najprawdopodobniej wszystko to istnieje, tylko że my nie rozumiemy, jakie jest to przyszłe życie i jakie są jego prawa. Ale jeżeli to jest takie trudne i nawet całkiem niemożliwe do pojęcia, czyż mogę odpowiadać za to, że nie zdołałem zrozumieć tego, co przekracza granice rozumu? Wprawdzie oni mówią, a książkę oczywiście razem z nimi, że tu właśnie trzeba być posłusznym, że słuchać trzeba ślepo, kierując się tylko nakazem cnoty, i że za swoją uległość będę na pewno nagrodzony na tamtym świecie. Zbyt poniżamy Opatrzność przypisując jej nasze pojęcia, a czynimy to ze złości, że nie możemy jej zrozumieć. A skoro tak, to jakże mnie będą sądzili za to, że nie mogłem uświadomić sobie prawdziwej woli i praw Opatrzności? Nie, dajmy lepiej spokój religii.

I w ogóle dość już tego. Kiedy doczytam do tych linijek, na pewno już słońce wzejdzie i „zadzwieczy na niebie”, i olbrzymia, nieogarniona siła rozleje się po całym wszechświecie. Niech będzie, co ma być! Umrę patrząc prosto w źródło energii i życia i nie zechcę tego życia! Gdyby w mojej władzy było nie rodzić się, na pewno nie przyjąłbym istnienia na takich obraźliwych warunkach. Ale w mojej władzy jest jeszcze umrzeć, chociaż właściwie zwracam to, co już zostało policzone. Niewielka to władza i niewielki bunt.

Ostatnie wyjaśnienie: umieram wcale nie dlatego, że nie mam siły znieść tych trzech tygodni; o, wystarczyłoby mi sił i gdybym zechciał, byłbym dostatecznie pocieszony samą świadomością wyrządzonej mi krzywdy; ale nie jestem francuskim poetą i nie chcę takiego pocieszenia. Wreszcie pokusa: przyroda tak dalece ograniczyła moją działalność swoimi trzema tygodniami wyroku, że samobójstwo jest bodaj jedyną czynnością, którą jeszcze mogę zdążyć zacząć i skończyć podług własnej woli. Ano, może zechcę skorzystać z tej ostatniej możliwości czynu? Protest czasem nie jest rzeczą błahą...

„Wyjaśnienie” było skończone; Hipolit przerwał wreszcie czytanie...

Jest w pewnych krańcowych przypadkach ów stopień najwyższej cynicznej szczerości, kiedy człowiek nerwowy, rozdrażniony i wytracony z równowagi nie boi się już niczego i ryzykuje wszelki skandal, nawet cieszy się z niego; rzuca się na ludzi, mając przy tym niezbyt wyraźnie określony, ale stanowczy zamiar skoczenia w minutę później z dzwonnicy i rozstrzygnięcia w ten sposób za jednym zamachem wszystkich wątpliwości, które mogłyby z tej okazji powstać. Cechą takiego stanu bywa zazwyczaj również zbliżające się wyczerpanie sił fizycznych. Nadzwyczajne, prawie nienaturalne napięcie, które dotychczas podtrzymywało Hipolita, osiągnęło ów ostatni stopień. Ten osiemnastoletni, wycieńczony przez chorobę chłopak wydawał się słaby jak zerwany z drzewa, drżący listek; z chwilą jednak, gdy tylko zdążył obrzucić wzrokiem swoich słuchaczy - po raz pierwszy w ciągu całej ostatniej godziny - natychmiast w jego uśmiechu i wzroku odbił się

najbardziej wyniosły, najbardziej pogardliwy i obelżywy wstręt. Chciał jak najszybciej sprowokować reakcję słuchaczy. Ale i słuchacze byli pełni oburzenia. Wszyscy z hałasem i gniewem wstawali od stołu. Zmęczenie, wino, napięcie nerwów - wszystko to zwiększało chaos i jakby niechlujność wrażeń, jeśli się tak można wyrazić.

Nagle Hipolit szybko zerwał się z miejsca, jakby go kto zdmuchnął z krzesła.

- Wzeszło słońce! - zawołał, zobaczywszy błyszczące wierzchołki drzew i pokazał je księciu jak jaki cud. - Wzeszło.

- A pan myślał, że nie wszędzie, co? - zauważył Ferdyszczenko.

- Znowu będzie nas prażyło przez cały dzień - niedbale i ze złością mamrotał Gania, trzymając w rękach kapelusz, przeciągając się i ziewając - zanosি się co najmniej na miesiąc takiej posuchy!... Idziemy, Pticyn?

Hipolit słuchał ze zdziwieniem dochodzącym do osłupienia; raptem straszliwie zbladł i zatrząsł się cały.

- Pan bardzo nieudolnie udaje obojętnego, aby mnie obrazić - zwrócił się do Gani patrząc mu prosto w oczy - pan jest niegodziwy!

- No, to już niesłychane, żeby się tak obnażać! ryknął Ferdyszczenko. - Co za fenomenalna bezsilność!

- Po prostu głupiec - powiedział Gania.

Hipolit trochę się opanował.

- Rozumiem, proszę panów - zaczął, wciąż drżąc i zacinając się na każdym słowie - że mogłem sobie zasłużyć na waszą osobistą zemstę i... żałuję, że was umęczyłem tymi bredniami (wskazał na rękopis), a zresztą żałuję, że was na dobre nie zamęczyłem... (uśmiechnął się dosyć głupkowato) - umęczyłem, Eugeniuszu Pawłowiczu? - przyskoczył nagle do niego z pytaniem. - Umęczyłem czy nie? Niech pan powie!

- Trochę to było rozwlekłe, a zresztą...

- Niech pan mówi wszystko! Niech pan chociaż raz w swoim życiu nie kłamie! - trząsł się i rozkazywał Hipolit.

- O, mnie jest najzupełniej wszystko jedno! Niech pan będzie łaskaw, proszę pana, zostawić mnie w spokoju - odwrócił się od niego ze wstrętem Eugeniusz Pawłowicz.

- Dobranoc panu - podszedł do księcia Pticyn.

- Ależ on się zaraz zastrzeli, co wy robicie! Spójrzcie na niego! - wykrzyknęła Wiera i w okropnym przerażeniu rzuciła się do Hipolita, a nawet chwyciła go za ręce. - Przecież powiedział, że

zastrzeli się o wschodzie słońca, no i co wy robicie!

- Nie zastrzeli się - złośliwie wymamrotało kilka głosów, wśród nich Gania.

- Panowie, strzeżcie się! - krzyknął Kola, również chwyciwszy Hipolita za rękę. - Spójrzcie tylko na niego! Książę! Książę, i pan nic na to?

Około Hipolita skupili się: Wiera, Kola, Keller i Burdowski; wszyscy czworo uczepili się go rękami.

- On ma prawo, ma prawo... - mamrotał Burdowski, zresztą też jak nieprzytomny.

- Za pozwoleniem, co książę rozkaże? - podszedł do księcia Lebediew, pijany i rozjuszony aż do bezczelności.

- Cóż mam rozkazać?

- Nie, proszę księcia; za pozwoleniem; jestem tu gospodarzem, chociaż nie chcę uchybiać księciu w szacunku... Przypuśćmy, że i książę jest gospodarzem, ale nie życzę sobie, żeby tak w moim własnym domu... Tak, proszę księcia.

- Nie zastrzeli się; żarty sobie stroi, smarkacz! - z oburzeniem i pewnością siebie krzyknął nagle generał Iwołgin.

- Tak, tak, panie generale! - podchwycił Ferdyszczenko.

- Wiem, że się nie zastrzeli, wielce szanowny panie generale, jednak bądź co bądź... ponieważ jestem gospodarzem...

- Niech pan posłucha, panie Tierientiew - powiedział ni stąd, ni zowąd Pticyn, pożegnawszy się z księciem i wyciągając rękę do Hipolita - pan zdaje się w tym zeszyciku wspomina o swoim szkielecie i zapisuje go Akademii? Czy to chodzi o pański szkielec, pański własny szkielec, czy pan zapisuje własne kości?

- Tak, swoje własne kości...

- Otóż to! Bo przecież można się omylić; podobno był już taki wypadek.

- Czemu pan go drażni?! - zawołał nagle książę.

- Doprowadził go pan do płaczu - dodał Ferdyszczenko.

Ale Hipolit bynajmniej nie płakał. Usiłował ruszyć się z miejsca, ale ci czworo, co go otaczali, nagle jednocześnie chwycili go za ręce. Rozległ się śmiech.

- Do tego właśnie prowadził, żeby go trzymać za ręce; po to przeczytał swój zeszyt - zauważył Rogożyn. - Do widzenia, książę! Zasiedzieliśmy się tutaj, aż kości bolą.

- Jeżeli rzeczywiście chciał się pan zastrzelić, panie Tierientiew - rzekł ze śmiechem Eugeniusz Pawłowicz - to po takich komplementach, ja bym na pańskim miejscu umyślnie się nie zastrzelił, żeby ich zirytować.

- Oni okropnie by chcieli zobaczyć, jak ja się zastrzelę! - wykrzyknął do niego Hipolit.

Jego słowa brzmiały bardzo napastliwie.

- Żli są, że nie zobaczą.

- Więc i pan myśli, że nie zobaczą?

- Ja pana nie podjudzam; przeciwnie, sędzę, że to bardzo możliwe, że pan się zastrzeli. Chodzi głównie o to, żeby się pan nie gniewał... - wycedził Eugeniusz Pawłowicz, protekcjonalnie rozciągając słowa.

- Teraz dopiero widzę, że popełniłem straszny błąd, przeczytawszy im ten zeszyt - powiedział Hipolit patrząc na Eugeniusza Pawłowicza z takim niespodziewanie ufnym wyrazem twarzy, jakby zwracał się do przyjaciela z prośbą o przyjacielską radę.

- Sytuacja dosyć śmieszna, ale... doprawdy nie wiem, co panu poradzić - odrzekł z uśmiechem Eugeniusz Pawłowicz.

Hipolit patrzył mu w oczy surowo, nie odrywając wzroku, i milczał. Można było pomyśleć, że chwilami tracił zupełnie świadomość.

- Nie, proszę szanownych panów, za pozwoleniem, cóż to za taka maniera, proszę panów - odezwał się Lebediew - „zastrzelę się, powiada, w parku, żeby nikogo nie niepokoić”! Myśli sobie, że nikogo nie zaniepokoi, jeżeli zejdzie po schodach trzy kroki do parku.

- Proszę panów... - zaczął mówić książę.

- Nie, proszę szanownego księcia, za pozwoleniem - z wściekłością uczepił się Lebediew - ponieważ sam pan raczy widzieć, że to nie żarty, i ponieważ co najmniej połowa naszych gości jest tego samego zdania i ma pewność, że teraz po słowach, które tu padły, on się już bezwzględnie powinien zastrzelić z samego poczucia honoru, więc ja, jako gospodarz, oznajmiam przy świadkach, że zapraszam pana do wspólnego działania.

- Cóż mamy robić, panie Lebediew? Gotów jestem panu dopomóc.

- Oto co: po pierwsze, niech on natychmiast odda pistolet, którym się przed nami chwalił, ze wszystkimi przyborami. Jeżeli odda, zgadzam się, żeby mu pozwolić na spędzenie dzisiejszej nocy w tym domu ze względu na chorobliwy stan, w jakim się znajduje; oczywiście musi pozostawać pod moim nadzorem. Ale jutro stanowczo niech sobie idzie, gdzie mu się podoba, proszę wybaczyć, książę! Jeżeli zaś nie odda broni, to go natychmiast biorę za rękę, ja za jedną, generał za drugą, i od razu poślę po policję, która już wtedy zajmie się tą sprawą według kompetencji. Pan Ferdyszczenko uda się tam, proszę księcia, po znajomości.

Wszczął się zgiełk; Lebediew coraz bardziej się gorączkował i przekraczał już wszelkie granice; Ferdyszczenko wybierał się na policję; Gania z niesamowitym uporem twierdził wciąż w kółko, że nikt się nie zastrzeli, Eugeniusz Pawłowicz milczał.

- Książę, czy spadał pan kiedy z dzwonnicy? - szepnął nagle do niego Hipolit.

- Nnie... - odparł naiwnie książę.

- Czy pan doprawdy sądził, że ja nie przewidziałem tej całej nienawiści?! - szeptał znowu Hipolit z błyskiem w oczach; patrzył na księcia tak, jakby rzeczywiście czekał na jego odpowiedź. - Dość! - krzyknął nagle na całe zgromadzenie. - Ja jestem winien... ze wszystkich najwięcej! Panie Lebediew, ma pan klucz (wyjął portmonetkę, a z niej kółko stalowe z kilkoma małymi kluczami), ten przedostatni... Kola panu wskaże... Kola! Gdzie jest Kola? - krzyknął, patrząc na Kolę i nie widząc go. - Tak... on panu wskaże; on razem ze mną niedawno pakował torbę podróżną. Niech go pan tam zaprowadzi, Kola; u księcia w gabinecie pod stołem... moja torba... tym kluczkiem, na dole, w szkatułce... mój pistolet i rożek z prochem. On sam niedawno pakował, panie Lebediew, on panu wskaże; ale pod tym warunkiem, że jutro rano, kiedy będę jechał do Petersburga, pan mi odda pistolet, słyszy pan? Robię to dla księcia; nie dla pana.

- Tak będzie najlepiej! - krzyknął Lebediew, złapał klucz i, zjadliwie się uśmiechając, pobiegł do sąsiedniego pokoju.

Kola zatrzymał się, chciał coś powiedzieć, ale Lebediew pociągnął go za sobą.

Hipolit patrzył na śmiejących się gości. Książę zauważył, że zęby mu szczękają jak w najsilniejszej febrze.

- Jacy oni wszyscy niegodziwi! - wyszeptał znowu z niezwykłym uniesieniem Hipolit do księcia. Kiedy rozmawiał z księciem, nachylał się i szeptał.

- Niech pan się nimi nie zajmuje; pan jest bardzo słaby...

- Zaraz, zaraz... zaraz odejdę.

Ni z tego, ni z owego uścisnął księcia.

- Pan może myśli, że jestem niespełna rozumu? - popatrzył na niego, śmiejąc się dziwnie.

- Nie, ale pan...

- Zaraz, zaraz, cicho; niech pan nic nie mówi; niech pan czeka... chcę popatrzeć w pana oczy... Niech pan tak stoi, będę patrzył. Pożegnaj się z Człowiekiem.

Stał i przez jakieś dziesięć sekund w milczeniu i nieruchomo patrzył na księcia, okropnie blady, z mokrymi od potu skroniami i jakoś dziwnie trzymając księcia ręką, jakby się bał go wypuścić.

- Hipolicie, Hipolicie, co panu jest?! - zawołał książę.

- Zaraz... dość... chcę się położyć. Za zdrowie słońca wypiję jeden łyk... Chcę, chcę, dajcie mi spokój!

Szybkim ruchem chwycił ze stołu kielich, zerwał się z miejsca i w mgnieniu oka podbiegł do schodów wiodących z tarasu. Księżę pobiegł za nim, ale zdarzyło się tak, że, jakby naumyślnie, w tej samej chwili Eugeniusz Pawłowicz wyciągnął do niego rękę na pożegnanie. Upłynęła zaledwie sekunda i raptem na tarasie rozległ się ogólny krzyk. Potem nastąpiła chwila okropnego zamieszania.

Oto co się stało:

Zbliżywszy się do schodów, Hipolit zatrzymał się z kielichem w lewej ręce, a prawą ręką sięgnął do prawej bocznej kieszeni palta. Keller zapewniał później, że Hipolit już przedtem wciąż trzymał tę rękę w prawej kieszeni, kiedy rozmawiał z księciem i chwycił go lewą ręką za ramię i za kołnierz, i że ta prawa ręka w kieszeni, jak zapewniał Keller, wzbudziła w nim jakoby pierwsze podejrzenie. Tak czy owak pewien niepokój skłonił go, by pójść za Hipolitem. Ale i on nie zdążył. Widział tylko, jak nagle w prawej ręce Hipolita coś zabłysło i jak w tym samym momencie mały kieszonkowy pistolet znalazł się tuż przy jego skroni. Keller podskoczył ku niemu, chcąc go schwycić za rękę, ale w tej samej chwili Hipolit pociągnął za cyngiel. Rozległ się ostry suchy szczęk kurka, jednak strzał nie nastąpił. Kiedy Keller objął Hipolita, ten padł mu na ręce, jakby bez przytomności, może naprawdę wyobrażając sobie, że jest zabity. Pistolet był już w rękach Kellera. Hipolita pochwycono, podsunęto mu krzesło, usadowiono i wszyscy skupili się dokoła, wszyscy krzyczeli, wszyscy zadawali pytania. Wszyscy słyszeli szczęk kurka i widzieli człowieka żywego, nawet nie draśniętego. Sam Hipolit siedział, nie rozumiejąc, co się dzieje, i wodził po wszystkich bezmyślnym wzrokiem. Lebediew i Kola wbiegli w tym momencie.

- Nie wystrzelił ? - pytano dokoła.
- Może wcale nie nabity? - domyślali się inni.
- Nabity! - obwieścił Keller oglądając pistolet - ale...
- Czyżby mimo to nie wystrzelił?
- Nie było wcale kapiszona - wyjaśnił Keller.

Trudno nawet opowiedzieć żalosalną scenę, która nastąpiła potem. Początkowy i ogólny strach jał się szybko zamieniać w śmiech; niektórzy nawet śmieli się na całe gardło i znajdowali w tym złośliwą przyjemność. Hipolit szlochał jakby w napadzie hysterii, załamywał ręce, rzucał się ku wszystkim po kolei, nawet ku Ferdyszczence, chwycił go oburącz i zaklinał się na wszystko, że zapomniał, „zapomniał zupełnie niechcący, a nie naumyślnie” założyć kapiszon, że „te kapiszony są tutaj wszystkie w kieszonce od kamizelki, dziesięć sztuk” (pokazywał wszystkim dokoła), że przedtem nie założył, ponieważ bał się przypadkowego wystrzału w kieszeni, że liczył na to, iż zawsze zdąży założyć, kiedy będzie trzeba, i w końcu zapomniał. Rzucał się w stronę księcia i Eugeniusza Pawłowicza; błagał Kellera, żeby mu oddał pistolet, że zaraz dowiedzie wszystkim, że „jego honor, honor”... że jest teraz „zhańbiony na wieki!...”

Upadł w końcu, straciwszy istotnie przytomność. Zaniesiono go do gabinetu księcia i Lebediew, który już całkiem wytrzeźwiał, posłał niezwłocznie po doktora, a sam razem z córką, synem, Burdowskim i generałem pozostał przy łóżku chorego. Kiedy wyniesiono omdlałego Hipolita, Keller stanął pośrodku pokoju i oznajmił wszystkim, dobitnie wymawiając każde słowo, w prawdziwym natchnieniu:

- Panowie, jeżeli który z was jeszcze raz na głos w mojej obecności wyrazi powątpiewanie co do tego, że kapiszon był umyślnie zapomniany, i zacznie twierdzić, że nieszczęśliwy młodzieniec tylko grał komedię - będzie miał ze mną do czynienia.

Ale nikt mu nie odpowiedział. Goście rozeszli się w końcu tłumnie i z pośpiechem. Pticyn, Gania i Rogożyn poszli razem.

Księżę był bardzo zdziwiony, że Eugeniusz Pawłowicz zmienił swój zamiar i odchodzi bez wyjaśnień.

- Przecież chciał pan ze mną mówić, kiedy wszyscy się rozejdą? - spytał go.

- Owszem - powiedział Eugeniusz Pawłowicz siadając nagle na krześle i sadowiąc przy sobie księcia - ale teraz chwilowo zmieniłem zamiar. Przyznam się panu, że jestem nieco skonsternowany, a pan chyba tak samo. Myśli mi się poplątały; poza tym to, o czym chciałem z panem porozmawiać, jest zbyt ważne i dla mnie, i dla pana. Widzi pan, chciałbym chociaż raz w życiu dokonać rzeczy całkiem uczciwej, to znaczy bez żadnej ukrytej myśli, sądzę jednak, że teraz, w tej chwili, niezupełnie jestem zdolny uczynić coś bezwzględnie uczciwego, a i pan chyba też... więc... zresztą porozmawiamy później. Może sprawa zyska na jasności zarówno dla mnie, jak i dla pana, jeżeli poczekamy trzy dni, które mam spędzić w Petersburgu.

Tu znowu wstał, tak że nawet dziwnym się wydało, po co siadał. Księżę odniósł też wrażenie, że Eugeniusz Pawłowicz jest niezadowolony i rozdrażniony, patrzy na niego nieprzyjaźnie i wzrok jego wyraża coś zupełnie innego niż przedtem.

- Czy pan teraz pójdzie do chorego?

- Tak... jestem niespokojny - powiedział księżę.

- Niech pan się nie obawia; pożyje jeszcze na pewno ze sześć tygodni, a może jeszcze tu mu się zdrowie poprawi. A najlepiej będzie, jeżeli pan go jutro stąd wyrzuci.

- Może ja naprawdę popchnąłem jego rękę tym, że... nic nie mówiłem; może sobie pomyślał, że mam wątpliwości, czy on się zastrzeli? Jak pan myśli, Eugeniuszu Pawłowiczu?

- Mowy nie ma. Pan jest zbyt dobry, że się pan jeszcze martwi o niego. Zdarzyło mi się słyszeć o czymś podobnym, ale w rzeczywistości nigdy nie widziałem, żeby się człowiek umyślnie zastrzelił po to, by go pochwalono, albo ze złości, że go nie chwala. Przede wszystkim nie uwierzyłbym w tę szczerą słabość! A pan niech go swoją drogą jutro wypędzi.

- Czy pan myśli, że spróbuje się zastrzelić jeszcze raz?

- Nie, już teraz się nie zastrzeli. Ale niech pan się strzeże tych naszych domorosłych Lacenaire'ów[107]! Powtarzam panu, przestępstwo należy do zwykłych metod działania takiej niewydarzonej, niecierplivej i pożądlivej nicości.

- Czyżby to był Lacenaire?

- Istota rzeczy jest ta sama, chociaż może różnią się *emplois**. Przekona się książę, że ten pan zdolny jest zamordować dziesięć osób chociażby po to, żeby pokazać, co to on potrafi, kubek w kubek tak samo jak nam niedawno sam przeczytał w swoim wyjaśnieniu. Teraz te jego słowa spać mi nie dadzą.

- Pan się może zbytnio niepokoi.

- Książę jest doprawdy zadziwiający; pan nie wierzy, że on zdolny jest zabić teraz dziesięć osób?

- Boję się panu odpowiedzieć; wszystko to bardzo dziwne; ale...

- Ano, jak pan chce, jak pan chce! - zakończył z rozdrażnieniem Eugeniusz Pawłowicz. - Pan jest takim odważnym człowiekiem; oby się pan nie znalazł w liczbie tych dziesięciu.

- Najprawdopodobniej nikogo nie zabije - powiedział książę patrząc w zamyśleniu na Eugeniusza Pawłowicza. Ten roześmiał się zjadliwie.

- Do widzenia, już czas na mnie! A czy pan zauważył, że on kopię tej swojej spowiedzi zapisał Agłai Iwanownie?

- Tak, zauważyłem i... myślę o tym.

- Otóż to, na wypadek gdyby się zdarzyło te dziesięć osób - zaśmiał się znowu Eugeniusz Pawłowicz i wyszedł.

W godzinę później, już po czwartej, książę zszedł do parku. Usiłował przespać się w domu, ale nie mógł wskutek silnego bicia serca. W domu zresztą wszystko już było doprowadzone do porządku i możliwego spokoju; chory zasnął, a doktor, który właśnie przybył, oświadczył, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Lebediew, Kola i Burdowski położyli się spać przy chorym, żeby kolejno dyżurować; więc obawiać się nie było czego.

Ale niepokój księcia wzrastał z minuty na minutę. Błądził po parku z roztargnieniem patrząc dokoła siebie i zatrzymał się zdziwiony, kiedy doszedł do placyku przed dworcem i zobaczył rząd pustych ławek i pulpitów dla orkiestry. Uderzyło go czymś to miejsce i wydało mu się okropnie brzydkie. Zawrócił i drogą, którą wczoraj razem z Jepanczynami szedł na stację, dotarł do zielonej ławki, gdzie miało się odbyć spotkanie, usiadł na niej i nagle roześmiał się na cały głos, a wskutek tego natychmiast wpadł w niezwykle oburzenie. Rozterka duchowa nadal go nie opuszczała; chciał

stąd iść dokądś... Nie wiedział dokąd. Nad nim na drzewie śpiewał ptaszek; książkę zaczął go szukać oczami wśród liści; nagle ptak sfrunął z drzewa i w tej samej chwili książkę nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie tę „muszkę” w „palącym promieniu słońca”, o której Hipolit napisał, że i ona „ma swoje miejsce i bierze udział w powszechnym chórze, a on sam tylko jest wyrzutkiem”. To zdanie uderzyło go jeszcze przedtem, a teraz mu się przypomniało. Odżyło w nim jedno zamarłe od dawna wspomnienie i nagle stało się zrozumiałe.

Było to w Szwajcarii w pierwszym roku jego kuracji, nawet w pierwszych jej miesiącach. Był wtedy jeszcze całkiem jak idiota, nie umiał nawet dobrze mówić, czasem nie mógł zrozumieć, czego ktoś chce od niego. Raz poszedł w góry w jasny, słoneczny dzień i długo chodził, męcząc się pewną myślą, której nie mógł wyraźnie określić. Przed nim było błyszczące niebo, w dole jeziora, dokoła widnokraj, rozświetlony, bezmierny, nie mający granic. Długo patrzył i duszę miał pełną udręki. Przypomniał sobie teraz, jak wyciągał ręce do tego promiennego, nieskończonego błękitu i płakał. Dręczyło go, że jest dla tego wszystkiego zupełnie obcy. Cóż to za uczta, coż to za nieustanne uroczyste święto, które nie ma końca i do którego ciągnie go coś zawsze, od dawna, od samego dzieciństwa, i do którego w żaden sposób nie może się przyłączyć? Co rano wschodzi takie samo promienne słońce; co rano zawisa nad wodospadem tęcza; co wieczór śnieżysta, najwyższa góra tam w oddali, na skraju nieba, pali się purpurowym ogniem; każda „maleńka muszka, co brzęczy koło niego w palącym promieniu słońca, jest uczestniczką powszechnego chóru, ma swoje miejsce, lubi je i jest szczęśliwa”; każda trawka też rośnie i jest szczęśliwa! I wszystko ma swoją drogę, i wszystko zna swoją drogę, z pieśnią przychodzi i z pieśnią odchodzi; on jeden tylko nic nie wie, nic nie rozumie, ani ludzi, ani dźwięków, dla wszystkiego jest obcym, jest wyrzutkiem. O, on, rzecz prosta, nie mógł wtedy mówić tymi słowami i wypowiedzieć swych wątpliwości; jego męka była głucha i niema; ale teraz wydawało mu się, że wszystko to wypowiadał i wtedy, wszystkie te same słowa, i że to o tej „muszce” Hipolit wziął od niego, z jego własnych ówczesnych słów i łez. Był tego pewny i pod wpływem tej myśli serce biło mu jak młotem...

Zdrzemnął się na ławce, ale niepokój jego trwał i we śnie. Tuż przed zaśnięciem przypomniał sobie, że Hipolit ma zabić dziesięć osób, i uśmiechnął się z niedorzeczności tego przypuszczenia. Dokoła niego panowała głęboka cisza, tylko liście wydawały leciutki szelest, od którego stawało się wokół jakby jeszcze zaciszniej i ustronniej. Przyśniło mu się wiele różnych snów, a wszystkie były trwożne i wszystkie co chwila wprawiały go w drżenie. Wreszcie przyszła do niego kobieta; znał ją, znał niemal boleśnie; zawsze mógł ją nazwać i wskazać, ale rzecz dziwna - miała teraz jakby całkiem inną twarz aniżeli ta, którą tak dobrze znał, więc czuł mękę w duszy, bo nie chciał uznać, że to tamta kobieta. W jej twarzy było tyle skruchy i przerażenia, że zdawać się mogło, iż to była jakaś straszna przestępczyni, która dopiero co popełniła okropną zbrodnię. Łzy spływały po jej bladym policzku; skinęła na niego ręką i przyłożyła palec do ust, jakby prosząc, żeby szedł za nią możliwie najciszej. Serce w nim zamarło; za nic na świecie nie chciał jej uznać za zbrodniarkę; ale czuł, że lada chwila stanie się coś strasznego, coś, co zaważy na całym jego życiu. A ona, zdaje się, chciała mu coś pokazać, gdzieś tutaj niedaleko w parku. Wstał, by za nią iść, i nagle zabrzmiał tuż obok niego czyjś jasny, świeży śmiech; czyjaś ręka znalazła się nagle w jego dłoni; chwycił tę dłoń, ścisnął mocno i obudził się. Przed nim stała i głośno się śmiała Agłaja.

VIII

Śmiała się, ale zarazem była oburzona.

- Śpi! Pan spał! - zawołała z pogardliwym zdziwieniem.

- To pani - wybąkał książę, jeszcze niezupełnie przytomny, ze zdziwieniem poznając Agłaję. - Ach, tak! To umówione spotkanie... ja tu spałem.

- Widziałam.

- Czy mię nikt nie budził oprócz pani? Czy nikogo tu oprócz pani nie było? Zdawało mi się, że tu była... inna kobieta...

- Tu była inna kobieta?!

Wreszcie zupełnie oprzytomniał.

- To był tylko sen - powiedział w zamyśleniu. - Dziwnie się złożyło, że w takiej chwili taki sen... Niech pani siada.

Wziął ją za rękę i posadził na ławce; sam usiadł przy niej i pogрузzył się w myślach. Agłaja nie zaczynała rozmowy, tylko badawczo przyglądała się swojemu rozmówcy. Książę również spoglądał na nią, ale chwilami tak, jakby jej wcale nie widział przed sobą. Agłaja zaczęła się czerwienić.

- Ach, tak! - Książę drgnął. - Hipolit się zastrzelił!

- Kiedy? U pana? - zapytała, ale bez większego zdziwienia. - Przecież wczoraj wieczorem, zdaje się, żył jeszcze? Jakże pan mógł zasnąć tutaj po tym wszystkim? - zawołała z raptownym ożywieniem.

- Ale przecież on nie umarł, bo pistolet nie wypalił.

Na żądanie Agłai książę musiał natychmiast i nawet bardzo szczegółowo opowiedzieć całą historię ubiegłej nocy. Agłaja podczas opowiadania przynaglała go co chwila, ale sama przerywała mu ciągle pytaniami, i to prawie nie mającymi związku z tym, co mówił książę. Między innymi z dużą ciekawością wysłuchiwała, co mówił Eugeniusz Pawłowicz, i kilkakrotnie kazała sobie powtarzać pewne szczegóły.

- No, dość już tego, trzeba się śpieszyć - oświadczyła po wysłuchaniu wszystkiego - mamy tylko godzinę, do ósmej, ponieważ o ósmej muszę koniecznie być w domu, żeby się nie dowiedziano, że tu siedziałam, a przyszłam w pewnej sprawie; muszę panu wiele rzeczy zakomunikować. Tylko że teraz pan mię zupełnie zbił z tropu. Co do Hipolita, sądzę, że pistolet jego właśnie powinien był nie wypalić, to do niego bardziej pasuje. Czy pan jednak jest pewny, że on naprawdę chciał się zastrzelić i że w tym nie było oszukaństwa?

- Żadnego oszukaństwa.

- To jest chyba bliższe prawdy. I tak napisał, żeby pan mi przyniósł jego spowiedź? Dlaczego pan nie przyniósł?

- Przecież on nie umarł. Ale spytam go.

- Niech pan koniecznie przyniesie, nie ma po co pytać. Sprawii mu to na pewno wielką przyjemność, bo on może w tym celu do siebie strzelał, żebym ja potem przeczytała spowiedź. Bardzo pana proszę, niech pan się z moich słów nie śmieje, bo to jest bardzo możliwe.

- Nie śmieję się, gdyż sam jestem przekonany, że poniekąd tak być mogło.

- Pan jest przekonany? Naprawdę pan też tak myśli? - raptem strasznie się zdziwiła Agłaja.

Pytała szybko, mówiła prędko, ale czasem jakby plątała się i często nie kończyła zdania; co chwila pośpiesznie o czymś uprzedzała; w ogóle była nadzwyczaj zdenerwowana i chociaż patrzyła bardzo odważnie i nawet jakoś wyzywająco, czuła chyba nieco strachu. Miała na sobie najzwyklejszą prostą sukienkę, w której było jej bardzo do twarzy. Często drżała, czerwieniła się; siedziała na brzegu ławki. Potwierdzające słowa księcia, że Hipolit chciał zastrzelić się po to, żeby ona przeczytała jego spowiedź, bardzo ją zdziwiły.

- Oczywiście - wyjaśnił książę - zależało mu na tym, abyśmy wszyscy go pochwalili, nie tylko pani...

- Jak to - pochwalili?

- To znaczy... jak by tu pani powiedzieć? To ogromnie trudno wyrazić. Ale on na pewno bardzo pragnął, żeby wszyscy go otoczyli i powiedzieli mu, że go kochają i szanują, i żeby zaczęli go błagać, by się nie zabijał. Bardzo możliwe, że on głównie panią miał na myśli, gdyż w takiej chwili wspominał o pani... chociaż równie możliwe, że sam nie zdawał sobie sprawy, iż panią ma na myśli.

- Tego już wcale nie rozumiem; miał na myśli i nie zdawał sobie sprawy, że ma na myśli. A zresztą, zdaje się, rozumiem: czy pan wie, że ja ze trzydzieści razy, kiedy jeszcze byłam trzynastoletnią dziewczynką, miałam zamiar otruć się i wszystko to napisać w liście do rodziców, i też myślałam, jak to ja będę leżała w trumnie, jak wszyscy będą płakali po mnie, a siebie oskarżali, że byli tacy okrutni... Czego pan się znów uśmiecha - dodała szybko, marszcząc brwi - a pan o czym myśli, kiedy marzy w samotności? Może pan sobie wyobraża, że jest pan marszałkiem polnym, który pokonał Napoleona?

- Właśnie tak, daję słowo; właśnie o tym myślę, zwłaszcza kiedy zasypiam - roześmiał się książę. - Ale nie Napoleona, tylko Austriaków rozbijam.

- Wcale nie czuję ochoty do żartów, proszę pana. Z Hipolitem sama się zobaczę; niech pan go łaskawie uprzedzi. A muszę też zauważyć, że z pańskiej strony to bardzo źle i w ogóle brzydko patrzeć tak i sądzić duszę ludzką, jak pan sądzi Hipolita. Pan nie ma w sobie krzty delikatności, pana obchodzi tylko prawda, takie stanowisko jest niesprawiedliwe.

Książę się zamyślił.

- Mnie się zdaje, że pani względem mnie jest niesprawiedliwa - rzekł - ja przecież nie widzę w tym nic złego, że on tak myślał, gdyż wszyscy skłonni są tak myśleć; a przy tym może on wcale nie myślał, tylko tego chciał... Pragnął po raz ostatni spotkać się z ludźmi, zdobyć ich szacunek i miłość; to przecież bardzo ładne uczucie, ale wszystko mu jakoś inaczej wyszło; grała tu rolę choroba i coś jeszcze. Jednym się zawsze wszystko udaje, a innym się nie wiedzie.

- To pan pewno o sobie dodał ? - zauważyła Agłaja.

- Tak, o sobie - odrzekł książę nie dostrzegając żadnej złośliwości w pytaniu.

- Mimo to jednak ja bym nie zasnęła na pańskim miejscu; a pan, gdziekolwiek się położy, zaraz zasypia; to bardzo nieładnie z pańskiej strony.

- Ależ ja całą noc nie spałem, a potem chodziłem, chodziłem, byłem na muzyce.

- Na jakiej muzyce?

- Tam gdzie wczoraj grała orkiestra; a potem przyszedłem tutaj, siadłem, myślałem, myślałem i zasnąłem.

- Ach więc to tak? To zmienia sytuację na pańską korzyść... A po co pan chodził aż na plac przed dworcem?

- Nie wiem, tak sobie...

- Dobrze, dobrze, to później; pan mi wciąż przerywa; cóż mię to w końcu obchodzi, że pan był na placu? Jakaż to kobieta przyśniła się panu?

- To... o... pani ją widziała...

- Rozumiem, doskonale rozumiem. Pan bardzo ją... Jak ona się panu przyśniła, w jakiej postaci? A zresztą nie chcę nic wiedzieć - ucięła nagle tonem urazy. - Niech pan mi nie przerywa.

Poczekala trochę, jakby nabierając odwagi czy też starając się stłumić urazę.

- Niech pan posłucha, o co mi chodzi, po co pana wezwałam: chcę panu zaproponować, żeby pan był moim przyjacielem. Cóż pan tak nagle wytrzeszczył na mnie oczy? - dodała niemal z gniewem.

Książę w tym momencie istotnie bardzo jej się przypatrywał, zauważył bowiem, że znów się zaczęła strasznie czerwienić. W takich razach im bardziej się czerwieniła, tym bardziej była zła na siebie, co się w sposób widoczny ujawniało w jej błyszczących oczach; zazwyczaj w chwilę potem przenosiła swój gniew na tego, z kim rozmawiała, bez względu na to, czy ten ktoś był winien, czy też nie, i zaczynała się z nim kłócić. Znając i czując swoją dzikość i nieśmiałość, rzadko kiedy wdawała

się w rozmowy i była o wiele bardziej małomówna niż jej siostry, czasem nawet zbyt małomówna. Kiedy zaś, zwłaszcza w takich drażliwych sytuacjach, trzeba było koniecznie przemówić, zaczynała rozmowę w sposób niezwykle dumny i nawet jakby wyzywający. Zawsze też naprzód wyczuwała, kiedy rumieniec miał wystąpić na jej twarzy.

- Może pan nie chce przyjąć mojej propozycji? - spojrzała wyniośle na księcia.

- O nie, chcę, tylko że to zupełnie zbyteczne... to znaczy, wcale nie myślałem, że trzeba robić taką propozycję - zmieszał się książę.

- A cóż pan myślał? Po cóż bym pana tutaj wzywała? Co się panu zdaje? Pan może zresztą uważa mnie za małego głuptaska, za jakiego wszyscy mnie w domu uważają?

- Nie wiedziałem, że panią ktoś uważa za głuptaska, bo ja... ja nie uważam.

- Nie uważa pan? Bardzo mądrze z pana strony. Nadzwyczaj mądrze powiedziane.

- Według mnie czasami pani jest może nawet bardzo rozumna - ciągnął dalej książę - pani mi niedawno powiedziała jedno słowo bardzo rozsądne. Powiedziała pani o moich wątpliwościach co do Hipolita: „W tym jest tylko prawda, a więc to niesprawiedliwe.” Zapamiętam to sobie i przemyśle.

Agłaja nagle aż pokraśniała z zadowolenia. Wszystkie te zmiany zachodziły w niej zupełnie jawnie i niezwykle szybko. Książę też się ucieszył i nawet, patrząc na nią, roześmiał się z radości.

- Niechże pan słucha - zaczęła znowu - długo na pana czekałam, żeby panu to wszystko opowiedzieć; czekałam od tego czasu, kiedy pan do mnie stamtąd napisał ten list, a nawet wcześniej... Połowę usłyszał pan ode mnie już wczoraj: uważam pana za najuczciwszego i najbardziej prawdomównego człowieka ze wszystkich ludzi uczciwych i prawdomównych i jeżeli ktoś mówi o panu, że pański umysł... to znaczy, że pan jest czasem umysłowo chory, to jest to niesłuszne; do takiego wniosku doszłam i sprzeczałam się o pana, bo chociaż pan jest rzeczywiście chory na umyśle (pan się oczywiście nie rozgniewa, bo ja to mówię z wyższego punktu widzenia), ale główny rozum ma pan lepszy niż oni wszyscy, taki nawet, jaki im się nie śnił, ponieważ są dwa rozумы: główny i nie - główny. Tak? Prawda, że tak?

- Może i tak - ledwo wymówił książę; serce mu strasznie drżało i waliło.

- Wiedziałam, że pan to zrozumie - ciągnęła dalej z powagą. - A książę Sz. i Eugeniusz Pawłowicz nic się nie orientują co do tych dwóch rozumów; Aleksandra także; *maman* natomiast, niech pan sobie wyobrazi, od razu się zorientowała.

- Pani jest bardzo podobna do Lizawiey Prokofiewny.

- Jak to? Czyżby? - zdziwiła się Agłaja.

- Ależ daję słowo!

- Dziękuję panu - rzekła po chwili namysłu - bardzo się cieszę, że jestem podobna do *maman*. Więc pan ją bardzo ceni? - dodała, całkiem nie widząc naiwności swojego pytania.

- Bardzo, bardzo i rad jestem, że pani to tak po prostu pojęła.

- I ja jestem rada, ponieważ zauważyłam, jak się czasem z niej... wyśmiewają. Ale niech pan wysłucha najważniejszej rzeczy: długo myślałam i nareszcie wybrałam pana. Nie chcę, żeby się ze mnie wyśmiewano w domu; nie chcę, żeby mnie uważano za małego głuptaska; nie chcę, żeby się ze mną drażniono... Wszystko to zrozumiałam od razu i stanowczo odmówiłam, kiedy Eugeniusz Pawłowicz poprosił o moją rękę, bo nie chcę, żeby mnie bez przerwy wydawano za męża! Chcę... chcę... no, chcę uciec z domu, a pana wybrałam, żeby mi pan w tym dopomógł.

- Uciec z domu! - zawołał ksiązę.

- Tak, tak, tak, uciec z domu! - krzyknęła nagle, wybuchając niezwykłym gniewem. - Nie chcę, nie chcę, żeby mnie tam co chwila zmuszano stawać w pąsach. Nie chcę rumienić się przed nikim, ani przed księciem Sz., ani przed Eugeniuszem Pawłowiczem, ani przed nikim innym, i dlatego wybrałam pana. Z panem chcę mówić o wszystkim, o wszystkim, nawet o najpoważniejszych rzeczach, kiedy tylko zechcę; pan ze swojej strony też nie powinien nic przede mną ukrywać. Chcę chociaż z jednym człowiekiem mówić o wszystkim tak jak z sobą. Oni zaczęli nagle mówić, że ja na pana czekam i że pana kocham. Było to jeszcze przed pańskim przyjazdem, ale ja im nie pokazywałam listu; a teraz wszyscy już mówią. Chcę być odważna i niczego się nie bać. Nie chcę jeździć po ich balach, chcę ludziom przynosić pożytek. Już dawno chciałam uciec. Dwadzieścia lat już jestem u nich zakorkowana i wciąż mnie wydają za męża. Chciałam już uciec, jak miałam czternaście lat, chociaż byłam głupia. A teraz sobie wszystko rozważyłam i czekałam na pana, żeby wypytać o zagranicę. Nie widziałam ani jednej katedry gotyckiej, chcę być w Rzymie, chcę obejrzeć wszystkie muzea, chcę się uczyć w Paryżu; przez cały ostatni rok przygotowywałam się i uczyłam, przeczytałam mnóstwo książek, przeczytałam wszystkie książki zakazane. Aleksandra i Adelajda wszystko czytają; im wolno, a mnie nie; ja jestem pod nadzorem. Nie chcę się kłócić z siostrami, ale ojcu i matce dawno już oznajmiłam, że chcę zupełnie zmienić swoją pozycję społeczną. Umyśliłam sobie, żeby się zająć pracą wychowawczą, i liczyłam na pana, ponieważ pan mówił, że lubi dzieci. Czy możemy do spółki zająć się wychowaniem, jeżeli nie teraz, to w przyszłości? Razem będziemy przynosić pożytek; nie chcę być panną generałówną... Niech pan mi powie, czy pan jest bardzo uczony?

- O, bynajmniej.

- To szkoda, bo ja myślałam... jakże to ja myślałam? Pan jednak będzie mną kierował, dlatego że pana wybrałam.

- Ależ to nie ma sensu, Agłajo Iwanowno.

- Ja chcę, ja chcę uciec z domu! - zawołała Agłaja i oczy jej znowu zabłyśły. - Jeżeli pan się nie zgodzi, to wyjdę za męża za Gawrilę Ardalionowicza. Nie chcę, żeby mnie w domu uważano za upadłą kobietę i oskarżano Bóg wie o co.

- Czy pani jest przy zdrowych zmysłach! - nieomal zerwał się z miejsca ksiązę. - O co panią

oskarżają, kto oskarża?

- W domu, wszyscy, matka, siostry, ojciec, księżę Sz., nawet pański obrzydliwy Kola! Jeżeli otwarcie tego nie mówią, to tak myślą. Ja im to wszystkim powiedziałam w oczy, i matce, i ojcu. *Maman* była potem chora cały dzień; a następnego dnia Aleksandra i papa powiedzieli mi, że sama nie rozumiem tego, co plotę i jakich używam wyrazów. A ja im wprost odpaliłam, że już wszystko rozumiem, wszystkie słowa, że nie jestem już małym dzieckiem, że jeszcze dwa lata temu naumyślnie przeczytałam dwa romanse Paul de Kocka, żeby o wszystkim się dowiedzieć. *Maman*, jak to usłyszała, o mało nie zemdląła[109].

Księżciu nagle przemknęła przez głowę dziwna myśl. Popatrzył badawczo na Agłaję i uśmiechnął się.

Nie mógł wprost uwierzyć, że przy nim siedzi ta wyniosła dziewczyna, która z taką dumą i zapalczywością przeczytała mu kiedyś list Gawriły Ardalionowicza. Nie mógł zrozumieć, jak w tej zarozumiałej, surowej piękności mogło się objawić takie dziecko, które nawet teraz nie pojmuje sensu wszystkich słów.

- Czy pani ciągle mieszkała z rodzicami w domu, Agłajo Iwanowno? - zapytał. - Chcę powiedzieć, czy pani nie chodziła do jakiejś szkoły, nie uczyła się na pensji?

- Nigdy i nigdzie nie chodziłam; wciąż siedziałam w domu, jakby zakorkowana w butelce, a z butelki wyjdę prosto za mąż; czemu pan się znów uśmiecha? Widzę, że pan też się ze mnie wyśmiewa i trzyma ich stronę, jak mi się zdaje - dodała marszcząc groźnie brwi - niech pan mnie nie wyprowadza z równowagi, bo i tak nie wiem, co się ze mną dzieje... jestem przekonana, że pan przyszedł tutaj, będąc zupełnie pewny, że się w panu kocham i zaprosiłam pana na rendez - vous - ucięła z rozdrażnieniem.

- Rzeczywiście wczoraj obawiałem się tego - wygadał się księżę z całą właściwą mu dobroduszością (był bardzo zmieszany) - ale dziś jestem pewny, że pani...

- Jak to! - krzyknęła Agłaja i dolna warga nagle jej zadrżała. - Pan się obawiał, że ja... pan śmiał myśleć, że ja... Boże! Brakuje tylko tego, aby pan mnie posądził, że ściągnęłam pana tutaj w pułapkę: żeby nas tu zastano i zmuszono pana do ożenienia się ze mną...

- Agłajo Iwanowno! Jak pani nie wstyd! Jak mogła taka wstrętne myśl zrodzić się w pani czystym, niewinnym sercu? Założę się, że pani sama nie wierzy własnym słowom i... sama pani nie wie, co mówi!

Agłaja siedziała ze spuszczoną głową, jakby się sama wystraszyła tego, co powiedziała.

- Wcale się nie wstydzę - wybąkała - skąd pan wie, że mam niewinne serce? Jak pan śmiał wtedy przysłać mi list miłosny?

- List miłosny? Mój list - miłosny! To list pełen szacunku, ten list wypłynął mi z serca w najcięższych chwilach mojego życia! Przypomniałem sobie wtedy o pani jak o jakiejś jasności... Ja...

- No dobrze, dobrze - przerwała mu nagle, jednak już zupełnie innym tonem, w największej skrusze i omal że nie w strachu; nawet pochyliła się ku niemu, starając się jeszcze nie patrzeć na niego wprost; chciała nawet dotknąć jego ramienia, żeby jeszcze z większym naleganiem prosić go, by się nie gniewał. - Dobrze - dodała, okropnie zawstydzona - czuję, że się strasznie głupio wyraziłam. Ja to tak... żeby pana wypróbować. Niech pan to potraktuje tak, jakby w ogóle nie było powiedziane. A jeżeli pana obraziłam, to proszę mi wybaczyć. Niech pan nie patrzy na mnie wprost, niech pan będzie łaskaw się odwrócić. Pan powiedział że to wstrętna myśl: ja tak umyślnie powiedziałam, żeby pana ukłuć. Czasem tak bywa, że sama boję się tego, co mam ochotę powiedzieć, no i właśnie to raptem palnę. Pan powiedział teraz, że napisał pan ten list w najcięższej chwili swojego życia. Wiem, jaka to była chwila - rzekła cicho, znowu patrząc w ziemię.

- O gdyby pani mogła wszystko wiedzieć!

- Wiem wszystko! - zawołała z nowym wzruszeniem - pan mieszkał wtedy w jednym mieszkaniu z tą wstrętną kobietą, z którą pan uciekł...

Wymawiając to, już się nie zaczerwieniła, tylko zbladła; raptownie wstała, jakby oszołomiona, ale natychmiast, opamiętawszy się, znów usiadła; jej usteczka długo jeszcze nie przestawały drżeć. Milczenie trwało dobrą minutę. Książę był strasznie zaskoczony tym niespodziewanym wystąpieniem i nie wiedział, czemu je przypisać.

- Ja pana wcale nie kocham - rzekła nagle, jakby tnąc nożem.

Książę nic nie odpowiedział; znowu milczeli przez chwilę.

- Kocham Gawriłę Ardalionowicza... - dodała bardzo prędko, ale zaledwie dosłyszalnie i jeszcze bardziej pochyliła głowę.

- To nieprawda - rzekł książę, też prawie szeptem.

- Więc ja kłamię? A jednak prawda; dałam mu słowo, onegdaj, na tej samej ławce.

Książę przestraszył się i zamyślił na chwilę.

- To nieprawda - powtórzył stanowczym tonem - pani to wszystko zmyśliła.

- Pan jest zadziwiająco grzeczny. Musi pan wiedzieć, że on się poprawił; kocha mnie nad życie. W mojej obecności spalił sobie rękę, żeby tylko dowieść, że kocha mnie nad życie.

- Spalił sobie rękę?

- Tak, rękę. Może pan wierzyć albo nie wierzyć, wszystko mi jedno.

Książę znów zamilkł. W słowach Agłai nie było żartu; wyraźnie była rozzłoszczona.

- Więc chyba przyniósł tutaj z sobą świeczkę, jeżeli to się tutaj działo? Inaczej sobie nie wyobrażam...

- Tak... świeczkę. Cóż w tym niemożliwego?

- W lichtarzu?

- No tak... nie... pół świecy... ogarek... całą świecę... wszystko jedno, niech pan mi da spokój!... I zapalki, jeśli panu o to chodzi, też przyniosł. Zapalił świecę i przeszło pół godziny trzymał palec nad płomieniem; czy to niemożliwe?

- Widziałem go wczoraj; palce ma zdrowe.

Agląja nagle parsknęła śmiechem zupełnie jak dziecko.

- Wie pan, dlaczego teraz skłamałam? - zwróciła się nagle do księcia z najbardziej dziecinną ufnością i jeszcze ze śmiechem drżącym na jej wargach. - Dlatego że kiedy się kłamie, to jeżeli wstawi się coś nie całkiem zwykłego, coś ekscentrycznego, no, wie pan, coś takiego, co bardzo rzadko albo nigdy się nie zdarza, kłamstwo staje się o wiele prawdopodobniejsze. Zauważyłam to. Tylko że mnie się nie udało, bo nie umiałam...

Wtem znów się zachmurzyła, jakby się reflektując.

- Jeżeli wtedy - zwróciła się do księcia, patrząc na niego z powagą, a nawet ze smutkiem - jeżeli wtedy zadeklamowałam panu wiersz o „biednym rycerzu”, to chociaż chciałam w ten sposób... pochwalić pana za jedną rzecz, zarazem jednak chciałam napiętnować pana za pańskie zachowanie się i pokazać, że wszystko wiem...

- Pani jest bardzo niesprawiedliwa względem mnie... względem tej nieszczęsnej, o której pani teraz tak okropnie się wyraziła, Agłajo.

- Dlatego, że wiem wszystko, wszystko, dlatego się tak wyraziłam! Wiem, jak pan pół roku temu przy wszystkich ofiarował jej swoją rękę. Proszę mi nie przerywać; pan widzi, że mówię bez komentarzy. Potem uciekła z Rogożynem; potem pan mieszkał z nią w jakiejś wsi czy mieście i ona uciekła od pana do kogoś. (Agląja bardzo się zaczerwieniła.) Potem znów wróciła do Rogożyna, który ją kocha jak... jak szalony. Potem pan, też bardzo mądry człowiek, przygalopował za nią tutaj, jak tylko się pan dowiedział, że wróciła do Petersburga. Wczoraj wieczorem pobiegł pan, żeby jej bronić, a dzisiaj przyśniła się panu... Widzi pan, że wszystko wiem; przecież pan dla niej, dla niej tu przyjechał?

- Tak, dla niej - odrzekł cicho książę, schyliwszy głowę w smutnym zamyśleniu i nie podejrzewając nawet, jakim roziskrzonym wzrokiem spojrzała na niego Agłaja - dla niej, żeby się tylko dowiedzieć... Nie wierzę w jej szczęście z Rogożynem, chociaż... krótko mówiąc, nie wiem, co mógłbym tu dla niej zrobić i czym dopomóc; jednak przyjechałem.

Drgnął i spojrzał na Agłaję; słuchała go z nienawiścią w oczach.

- Jeżeli pan przyjechał nie wiedząc po co, to musi ją pan bardzo kochać - rzekła wreszcie.

- Nie - odpowiedział książę - nie, nie Kocham. O, gdyby pani wiedziała, z jaką grozą

wspominam te chwile, które z nią spędziłem!

Wzdrygnął się nawet przy tych słowach.

- Niech pan mówi wszystko - rzekła Agłaja.

- Nie ma tu nic takiego, czego pani nie mogłaby wysłuchać. Dlaczego właśnie pani chciałem to wszystko opowiedzieć, i tylko pani jednej - nie wiem; może dlatego, że panią rzeczywiście bardzo polubiłem. Ta nieszczęśliwa kobieta wyobraża sobie, że jest najbardziej upadłą, najbardziej grzeszną istotą na całym świecie. O, niech jej pani nie potępia, nie rzuca na nią kamieniem. Ona aż nadto sama siebie umęczała świadomością swojej niezasłużonej hańby! I cóż jest winna, mój Boże! O, ona bez ustanku krzyczy jak szalona, że nie uznaje żadnej swojej winy, że jest ofiarą ludzi, ofiarą rozpustnika i niegodziwca; ale cokolwiek by mówiła, niech pani wie, że ona pierwsza nie wierzy sobie i że przeciwnie, w swoim sumieniu jest najzupełniej przekonana, iż wina... leży wyłącznie po jej stronie. Kiedy próbowałem rozproszyc te ciemności, dochodziła do takich cierpień, że nigdy nie zagoją się rany w moim sercu, dopóki będę pamiętał o tych okropnych czasach. Serce mam jakby przebite raz na zawsze. Wie pani, dlaczego ona uciekła ode mnie? Właśnie tylko dlatego, aby mi dowieść, że jest nikczemna. Ale najokropniejsze w tym wszystkim jest to, że sama może nie zdawała sobie sprawy, iż chodzi jej wyłącznie o to, aby dowieść mi swojej nikczemności, a uciekła dlatego, że w głębi duszy pragnęła koniecznie popełnić jakiś hańbiący uczynek, by móc potem powiedzieć sobie: „Popełniłaś nową podłość, więc jesteś nędznym stworzeniem!” O, może pani tego nie zrozumie, Agłajo Iwanowno! Czy pani wie, że w tym ciągłym uświadamianiu sobie hańby ona może znajdowała właśnie jakąś okropną, nienaturalną rozkosz, rozkosz dokonywanej na kimś zemsty. Czasem udawało mi się osiągnąć to, że znowu jakby widziała dokoła siebie światło; natychmiast jednak zaczynała się oburzać i dochodziła do tego, że nawet z goryczą oskarżała mnie o to, iż się nad nią wywyższam (kiedy mi to nawet na myśl nie przychodziło), i wreszcie na propozycję małżeństwa oświadczyła wprost, że od nikogo nie potrzebuje ani wyniosłego współczucia, ani pomocy, ani „podniesienia do swojego poziomu”. Pani widziała ją wczoraj; czy pani sądzi, że ona czuje się szczęśliwa w tym towarzystwie, że to jest jej towarzystwo? Pani nie wie, jaki ona ma umysł i wiedzę i jak wiele rzeczy może zrozumieć! Nieraz nawet wprawiała mnie w podziw!

- Czy pan i tam również prawil jej takie same... kazania?

- O nie - w zamyśleniu ciągnął dalej książkę, nie zauważywszy tonu pytania - prawie wciąż milczałem. Często chciałem mówić, ale naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć. Wie pani, w niektórych wypadkach lepiej nic nie mówić. O, ja ją kochałem; o, bardzo ją kochałem... ale potem... potem... potem ona domyśliła się wszystkiego.

- Czego się domyśliła?

- Że mnie jej tylko żal, ale że... już jej nie kocham.

- Skąd pan wie, może ona rzeczywiście zakochała się w tym... ziemianinie, z którym uciekła?

- Nie, ja wiem wszystko; tylko zakpiła sobie z niego.

- A czy z pana nigdy się nie wyśmiewała?

- Nnie. Wyśmiewała się, gdy była na mnie zła; o, wtedy robiła mi straszne wymówki w uniesieniu - i sama przy tym cierpiała! Ale... potem... o, niech mi pani tego nie przypomina, nie przypomina!

Zakrył twarz rękami.

- A czy pan wie, że ona prawie codziennie pisuje do mnie?

- Więc to prawda! - zawołał z trwogą książę. - Słyszałem o tym, ale wciąż jeszcze nie chciałem uwierzyć.

- Od kogo pan słyszał? - poruszyła się niespokojnie Agłaja.

- Rogożyn powiedział mi wczoraj, tylko dość mętnie.

- Wczoraj? Wczoraj rano? Kiedy wczoraj? Przed muzyką czy później?

- Później; wieczorem, o dwunastej.

- Aa, no, jeżeli Rogożyn... A wie pan, o czym ona pisze mi w tych listach?

- Niczemu bym się nie dziwił, ona jest szalona.

- Proszę, to są te listy (Agłaja wyjęła z kieszeni trzy listy w trzech kopertach i rzuciła je przed księciem). Już cały tydzień błaga mię, nakłania, kusi, żebym wyszła za pana. Ona... no tak, ona jest rozumna, chociaż szalona, i pan ma rację, że ona jest o wiele mądrzejsza ode mnie... ona mi pisze, że jest we mnie zakochana, że co dzień szuka okazji, żeby mnie widzieć chociażby z daleka. Pisze, że pan mnie kocha, że ona o tym wie, że dawno to zauważyła i że pan tam rozmawiał z nią o mnie. Chce pana widzieć szczęśliwym; jest przekonana, że tylko ja jedna mogę panu dać szczęście... Tak dziko pisze... tak dziwnie... Nikomu nie pokazywałam tych listów, czekałam na pana; czy pan wie, co to znaczy? Niczego pan się nie domyśla?

- To obłąd; dowód jej niepoczytalności - powiedział książę i wargi mu zadrzały.

- Czy pan czasem nie płacze?

- Nie, Agłajo, nie płaczę - spojrzał na nią książę.

- Cóż więc mam robić? Co mi pan poradzi? Przecież nie mogę odbierać takich listów!

- O, niech ją pani zostawi w spokoju, błagam panią! - zawołał książę. - Cóż pani ma robić w tych ciemnościach; dołożę wszelkich starań, żeby ona nie pisała do pani więcej.

- Jeżeli tak, to pan jest człowiekiem bez serca! - zawołała Agłaja. - Czyż pan nie widzi, że ona nie we mnie jest zakochana, ale w panu, tylko pana kocha! Czyż pan wszystko w niej zdołał

zauważyć, a tego nie zauważył? Czy pan wie, co to takiego, co znaczą te listy? To zazdrość; to więcej niż zazdrość! Czy ona... czy pan myśli, że ona naprawdę wyjdzie za Rogożyna, jak pisze w swoich listach? Ona popełni samobójstwo nazajutrz po naszym ślubie!

Książę drgnął; serce w nim zamarło. Ale ze zdumieniem patrzył na Agłaję: wydawało mu się rzeczą nad wyraz dziwną, że to dziecko od dawna jest już kobietą.

- Bóg świadkiem, Agłajo Iwanowno, że oddałbym życie, żeby przywrócić jej spokój ducha i uczynić ją szczęśliwą, ale... już nie mogę jej kochać, i ona wie o tym!

- Więc niech się pan poświęci, to tak pasuje do pana! Pan przecież jest takim wielkim dobroczyńcą. I niech pan nie mówi do mnie „Agłajo Iwanowno”... Pan niedawno powiedział do mnie po prostu: „Agłajo”... Pan musi, pan powinien wskrzesić ją, pan powinien wyjechać z nią znowu, żeby koić i łagodzić jej serce. Przecież pan ją właściwie kocha!

- Nie mogłem się tak poświęcić, chociaż raz chciałem i... może teraz chcę. Ale wiem na pewno, że ona ze mną zginie, i dlatego ją porzucam. Miałem się widzieć z nią dziś o siódmej; ale teraz może nawet nie pójdę. W swojej dumie ona nigdy nie wybaczy mi mojej miłości - i oboje zginiemy! To nienaturalne, ale tu wszystko jest nienaturalne. Pani mówi, że ona mnie kocha, czy to jednak jest miłość? Czyż może być taka miłość po tym wszystkim, co ja już przeszedłem?! Nie, tu już jest coś innego, a nie miłość!

- Jak pan zbladł! - przestraszyła się raptem Agłaja.

- To nic; mało spałem; jestem osłabiony... myśmy rzeczywiście mówili wtedy o pani, Agłajo...

- Więc to prawda? Pan rzeczywiście mógł z nią o mnie mówić i... i jak pan mógł mnie polubić, kiedy zaledwie raz mnie widział?

- Nie wiem jak. W moich ówczesnych ciemnościach marzyła mi się... śniła mi się może nowa jutrzienka. Nie wiem, jak to się stało, że pomyślałem najpierw o pani. Prawdę wtedy pani napisałem, że nie wiem. Wszystko to było tylko marzeniem, ucieczką od ówczesnej grozy... Potem zacząłem pracować; chyba i za trzy lata bym tutaj nie przyjechał...

- Więc przyjechał pan tu dla niej?

I coś zadrżało w głosie Agłaji.

- Tak, dla niej.

Ze dwie minuty upłynęły w ponurym milczeniu obojga. Agłaja wstała.

- Jeżeli pan mówi - zaczęła niepewnym głosem - jeżeli pan sam wierzy, że ta... pańska kobieta... jest szalona, to mnie jej szalone fantazje nic nie obchodzą... Bardzo pana proszę, Lwie Nikołajewiczu, żeby pan wziął te trzy listy i oddał jej. I jeżeli ona - krzyknęła nagle Agłaja - jeżeli ona ośmieli się jeszcze raz przysłać mi choćby jedno słowo, to niech pan jej powie, że się poskarżę ojcu i że ją oddadzą do domu wariatów...

Książę zerwał się z ławki i patrzył ze strachem na niespodzianą wściekłość Agłai; i nagle jakby bielmo spadło mu z oczu...

- Pani nie może mieć takich uczuć... to nieprawda - mamrotał.

- To prawda! Prawda! - krzyknęła Agłaja, prawie tracąc przytomność.

- Co prawda? Jaka prawda? - rozległ się obok nich wylękniony głos.

Przed nimi stała Lizawieta Prokofiewna.

- To prawda, że wychodzę za mąż za Gawriłę Ardalionowicza! Że kocham Gawriłę Ardalionowicza i jutro z nim ucieknę z domu! - niemal rzuciła się na nią Agłaja. - Słyszała *maman*? Zaspokoila swoją ciekawość? Zadowolona z tego?

I pobiegła do domu.

- Nie, niechże pan już teraz nie odchodzi - zatrzymała księcia Lizawieta Prokofiewna - niechże pan będzie łaskaw pofatygować się do mnie na rozmowę wyjaśniającą... Cóż to doprawdy za męczarnia; i tak nie spałam calusieńką noc...

Książę poszedł za nią.

IX

Wszedłszy do domu, Lizawieta Prokofiewna zatrzymała się zaraz w pierwszym pokoju; iść dalej nie mogła i osunęła się na szeslong, zupełnie wyczerpana, zapomniawszy nawet poprosić księcia, żeby usiadł. Był to dość duży pokój z okrągłym stołem pośrodku, z kominkiem, z mnóstwem kwiatów na półkach pod oknami i z drugą parą oszklonych drzwi do ogrodu, w tylnej ścianie. W tej samej prawie chwili weszły Adelajda i Aleksandra, pytająco i ze zdziwieniem patrząc na księcia i na matkę.

Na letnisku panny wstawały zazwyczaj około dziewiątej; tylko Agłaja w ciągu ostatnich kilku dni zaczęła jakoś wstawać cokolwiek wcześniej i chodzić na spacer do ogrodu, ale w każdym razie nie o siódmej, tylko o ósmej, a nawet później. Lizawieta Prokofiewna, która wskutek różnych zmartwień i kłopotów rzeczywiście nie zmrużyła oka przez całą noc, wstała o ósmej umyślnie, żeby iść do ogrodu i spotkać się tam z Agłają, przypuszczając, że Agłaja już tam jest; ale ani w ogrodzie, ani w sypialni jej nie znalazła. Wtedy na dobre się wystraszyła i obudziła córki. Od służącej dowiedziała się, że Agłaja Iwanowna już o siódmej poszła do parku. Panny trochę się pośmiały z tej nowej fantazji ich kapryśnej siostry i powiedziały matce, że Agłaja może się rozgniewać, jeżeli się jej będzie szukać w parku, i że na pewno teraz siedzi z książką na zielonej ławce, o której wspominała jeszcze trzy dni temu i z powodu której o mało się nie pokłóciła z księciem Sz., gdyż ten nie znalazł w położeniu owej ławki nic nadzwyczajnego. Zastawszy schadzkę i słysząc dziwne słowa córki, Lizawieta Prokofiewna z wielu przyczyn okropnie się wystraszyła; ale przyproceedziwszy z sobą teraz księcia, złąkała się znowu, że niepotrzebnie wszczęła tę sprawę: „Dlaczego Agłaja nie mogłaby się spotkać i rozmówić z księciem w parku, nawet gdyby to było z góry ułożone przez nich spotkanie?”

- Niechże pan czasem nie sądzi, drogi książę - zdobyła się wreszcie na odwagę - że ściągnęłam pana tutaj na jakieś śledztwo... Ja, mój drogi, po wczorajszym wieczorze chętnie bym się nawet nie spotykała z tobą przez dłuższy czas...

W tym miejscu trochę się zacięła.

- Jednak pani bardzo by chciała wiedzieć, jak doszło do skutku moje dzisiejsze spotkanie z Agłają Iwanowną - całkiem spokojnie dokończył książę.

- Ano owszem, bardzo bym chciała! - wybuchnęła natychmiast Lizawieta Prokofiewna. - Nie boję się nawet tak otwartego postawienia sprawy. Dlatego że nikogo nie obrażam i nikogo nie chciałam obrazić...

- Ależ, proszę pani, nawet bez żadnej obrazy rzecz jest całkiem naturalna; pani jest matką. Spotkałem się dzisiaj punktualnie o siódmej rano z Agłają Iwanowną na skutek jej wczorajszego wezwania. Dała znać wczoraj wieczorem, przysyłając kartkę, że musi się ze mną zobaczyć i porozmawiać o ważnej sprawie. Spotkaliśmy się i całą godzinę mówiliśmy o kwestiach dotyczących właściwie tylko Agłai Iwanowny; to wszystko.

- Oczywiście wszystko, mój kochany, bez wątpienia wszystko - odparła z godnością Lizawieta Prokofiewna.

- Doskonale, księżę! - powiedziała Agłaja wchodząc nagle do pokoju. - Dziękuję panu z całego serca, że pan i mnie uznał za niezdolną do tego, abym się musiała poniżyć i skłamać. Czy to wystarczy mamon, czy też księżę będzie jeszcze badany?

- Wiesz, że przed tobą jeszcze ani razu nie wypadło mi się rumienić, chociaż ty może byś się z tego nawet cieszyła - odrzekła tonem pouczenia Lizawieta Prokofiewna. - Do widzenia, księżę; proszę mi wybaczyć, że pana trudziłam. Mam nadzieję, że pan i nadal nigdy nie będzie wątpił o moim niezmiennym dla pana szacunku.

Księżę natychmiast ukłonił się na obie strony i w milczeniu wyszedł. Aleksandra i Adelajda uśmiechnęły się i poszeptały o czymś pomiędzy sobą. Lizawieta Prokofiewna obrzuciła je surowym wzrokiem.

- A my się tylko z tego śmiejemy, *maman* - powiedziała wesoło Adelajda - że księżę tak wspaniale się ukłonił; czasem jest z niego taki niezgrabiasz, a tu nagle niczym... niczym Eugeniusz Pawłowicz.

- Dobrych manier i godności uczy człowieka serce, a nie nauczyciel tańców - wyrzekła sentencjonalnie Lizawieta Prokofiewna i poszła do siebie na górę, nawet nie spojrzawszy na Agłaję.

Kiedy księżę wrócił do domu, już około dziewiątej, zastał na tarasie Wierę Łukianownę i służącą, które sprzątały razem i zamiatały po wczorajszym nieładzie.

- Chwała Bogu, zdążyliśmy przed pana przyjściem - rzekła radośnie Wiera.

- Dzień dobry! Trochę mi się w głowie kręci; źle spałem; przespałbym się teraz.

- Tu na tarasie, tak jak wczoraj? Dobrze. Powiem wszystkim, żeby pana nie obudzono. Ojciec wyszedł dokądś.

Służąca odeszła; Wiera z początku chciała pójść za nią, ale wróciła i z zakłopotaniem podeszła do księcia.

- Niech pan ulituje się nad tym... nieszczęśliwym; niech pan go dziś jeszcze nie wypędza.

- Za nic w świecie go nie wypędzę; niech zrobi tak, jak sam zechce.

- On nic teraz nie robi... niech pan nie będzie dla niego za surowy.

- O nie, z jakiej racji?

- I... niech pan się z niego nie śmieje; to najważniejsze...

- O, bynajmniej!

- Głupia jestem, że takiemu jak pan człowiekowi mówię o tym - zaczerwieniła się Wiera. - Ale chociaż pan się zmęczył - roześmiała się, na pół odwrócona do odejścia - oczy pan ma w tej chwili takie błyszczące, takie... szczęśliwe.

- Naprawdę szczęśliwe? - spytał żywo ksiązę i radośnie się roześmiał.

Ale Wiera, dobroduszna i bezceremonialna jak chłopiec, nagle się czegoś zmieszała, jeszcze bardziej pokraśniała i wciąż się śmiejąc wyszła z pokoju.

„Jaka... sympatyczna...” - pomyślał ksiązę i natychmiast zapomniał o niej. Poszedł w kąk tarasu, gdzie stał szezlong, a przed nim stolik, siadł, zakrył twarz rękami i przesiedział tak z dziesięć minut; nagle z pośpiechem i lękiem wsunął rękę do bocznej kieszeni i wyjął trzy listy.

Ale znowu otworzyły się drzwi i wszedł Kola. Ksiązę jakby się ucieszył, że musiał włożyć listy do kieszeni i odsunąć chwilę ich czytania.

- A to heca! - powiedział Kola siadając na szezlongu i, jak wszyscy jemu podobni, przechodząc bezpośrednio do tematu. - Jak pan teraz patrzy na Hipolita? Bez szacunku?

- Nie, z jakiej racji... ale... jestem zmęczony, Kola, a przy tym zbyt przykro znów zaczynać o tym... Jakże on się czuje?

- Śpi, i jeszcze będzie spał ze dwie godziny. Rozumiem; pan nie spał w domu, chodził pan po parku... oczywiście wzruszenie... a jakże!

- Skąd pan wie, że chodziłem po parku i nie spałem w domu?

- Wiera mówiła mi przed chwilą. Prosiła, żebym do pana nie wchodził; nie wytrzymałem i wpadłem na chwilkę. Przez te dwie godziny dyżurowałem przy chorym; teraz posadziłem na zmianę Kostie Lebediewa. Burdowski odszedł. Więc niech ksiązę się kładzie: dobrej... no, dobrego dnia! Tylko że, wie pan, jestem okropnie wstrząśnięty!

- Oczywiście... to wszystko...

- Nie, ksiązę, nie; jestem wstrząśnięty „spowiedzią”. Zwłaszcza tym miejscem, gdzie on mówi o Opatrzności i o życiu przyszłym. Tam jest jedna gi - gan - tyczna myśl!

Ksiązę życzliwie popatrzył na Kolę, który, rzecz prosta, po to właśnie przyszedł, żeby jak najprędzej porozmawiać o gigantycznej myśli.

- Ale najważniejsza, najważniejsza jest nie sama myśl, tylko cały splot towarzyszących jej okoliczności! Gdyby to napisał Wolter, Rousseau, Proudhon, przeczytałbym, docenił, ale nie byłbym tak wstrząśnięty. Jeżeli jednak mówi to człowiek, który wie na pewno, że mu zostało dziesięć minut życia - to chyba daje dowód wielkiej dumy? Przecież to najwyższa miara niezależnej godności osobistej, przecież to po prostu brawura... Nie, to gigantyczna siła ducha! I któż po tym wszystkim ośmieli się twierdzić, że on umyślnie nie założył kapiszona - takie podejrzenie byłoby nikczemne, fałszywe! A wie pan, że on nas wczoraj nabrał, użył podstępny: wcale z nim nigdy nie pakowałem

torby podróźnej i żadnego pistoletu nie widziałem na oczy; on sam wszystko pakował, tak że mnie nagle zbił z pantaląku. Wiera mówi, że pan mu pozwoli tutaj zostać; przysięgam, że nic groźnego się nie stanie, tym bardziej że my wszyscy czuwamy przy nim bez przerwy.

- A który z was był tam w nocy?

- Ja, Kostia Lebiediew, Burdowski; Keller posiedział trochę, a potem poszedł spać do Lebiediewa, ponieważ u nas nie było na czym. Ferdyszczenko też spał u Lebiediewa; poszedł o siódmej. Generał zawsze u Lebiediewa; teraz też poszedł... Lebiediew może tu zaraz przyjdzie do pana; nie wiem, po co szukał pana, dwa razy o pana pytał. Wpuścić go czy nie wpuścić, kiedy pan się położy spać? Ja też się położę. Ach, prawda, miałem panu powiedzieć jedną rzecz; zadziwił mnie niedawno generał: Burdowski obudził mnie o siódmej na dyżur, nawet prawie o szóstej; wyszedłem na chwilę, spotkałem nagle generała, tak przy tym pijanego, że mnie nie poznał; stoi przede mną jak słup; a kiedy się ocknął, skoczył wprost na mnie: „Jak tam chory? Szedłem dowiedzieć się o jego zdrowie.” Złożyłem raport - ano tak i tak. „To dobrze - powiada - ale ja głównie po to szedłem, po to wstałem, żeby cię o czymś uprzedzić; mam podstawy do przypuszczenia, że przy panu Ferdyszczence nie można wszystkiego mówić i... trzeba być ostrożnym.” Rozumie księżę?

- Czyżby? Zresztą... dla nas to wszystko jedno.

- Tak, niewątpliwie wszystko jedno, nie jesteśmy masonami! Toteż nawet byłem zdziwiony, że generał umyślnie przyszedł budzić mnie w nocy z tego powodu.

- Mówi pan, że Ferdyszczenko poszedł?

- O siódmej; przechodząc wstąpił do mnie; siedziałem na dyżurze. Powiedział, że idzie dokończyć spania do Wilkina... jest taki jeden pijanica Wilkin. No, idę! O, jest i Łukian Timofiejewicz... Księżę chce się przespać, Łukianie Timofiejewiczu, jazda z powrotem!

- Tylko na chwilę, wielce szanowny księżę, w pewnym ważnym, według mojego pojęcia, interesie - jakoś sztucznie brzmiącym, a zarazem jakby rzewnym głosem, dosyć cicho rzekł Lebiediew, wchodząc do pokoju i poważnie się kłaniając. Dopiero co wrócił i nawet nie zdążył jeszcze wstąpić do siebie, toteż trzymał kapelusz w rękach. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie i jakiś specjalny, niezwyklej odcień własnej godności. Księżę poprosił go, żeby usiadł.

- Pan o mnie dwa razy pytał? Czy pan wciąż jeszcze niepokoi się z powodu wczorajszego...

- Z powodu tego wczorajszego niedorostka, myśli księżę? O, nie, proszę księcia; wczoraj myśli moje były w stanie zupełnego chaosu... ale dziś już nie mam zamiaru kontrekarować jakichkolwiek pańskich wniosków.

- Kontreka... jak pan powiedział?

- Powiedziałem: kontrekarować; to słowo francuskie, które weszło tak jak wiele innych słów do języka rosyjskiego; ale specjalnie przy tym słowie nie obstaję.

- Cóż to pan, panie Lebiediew, jest dzisiaj taki poważny i namaszczony i tak jakoś cedzi pan

słowa ? - uśmiechnął się książę.

- Mikołaju Ardalionowiczu! - niemal z rozczuleniem zwrócił się Lebediew do Koli. - Ponieważ mam zakomunikować księciu o sprawie, która ściśle biorąc dotyczy...

- No oczywiście, oczywiście, nie mnie dotyczy! Żegnam księcia - powiedział Kola i natychmiast wyszedł.

- Lubię tego malca za szybkość orientacji - rzekł Lebediew patrząc za nim - chłopaczek zwinny, chociaż zbyt natrętny. Spotkało mię wczoraj wielkie nieszczęście, proszę księcia, wczoraj wieczorem albo dziś o świcie... jeszcze się waham co do dokładnego określenia czasu.

- Cóż takiego?

- Zniknęło mi czterysta rubli z bocznej kieszeni, proszę księcia; to mnie dopiero urządzili! - dodał Lebediew z kwaśnym uśmiechem.

- Zgubił pan czterysta rubli? To wielka szkoda.

- Zwłaszcza dla ubogiego, z własnej pracy uczciwie żyjącego człowieka.

- Naturalnie, naturalnie; jakże to się stało?

- Wskutek nadużycia alkoholu. Ja tu do księcia przychodzę jak do Opatrzności. Kwotę czterystu rubli otrzymałem wczoraj wieczorem o godzinie piątej po południu od pewnego dłużnika i wróciłem tutaj pociągiem. Pugilares miałem w kieszeni. Zmieniwszy mundur na surdut, przełożyłem pieniądze do surduta, żeby je mieć przy sobie, licząc na to, że wieczorem wydam je na skutek pewnej prośby... oczekując adwokata.

- Właśnie chciałem pana zapytać, Łukianie Timofiejewiczu, czy to prawda, że pan ogłaszał w gazetach, iż daje pan pieniądze pod zastaw złotych i srebrnych przedmiotów?

- Za pośrednictwem adwokata; moje nazwisko ani adres w tych ogłoszeniach nie były podane. Posiadając skromny kapitał i w związku z przyrostem rodziny, przyzna pan, że uczciwy procent...

- No tak, no tak; ja tylko się chciałem dowiedzieć; przepraszam, że panu przerwałem.

- Adwokat nie przybył. Tymczasem przywieziono tego nieszczęsnego; ja już byłem dość zaawansowany, zjadłszy obiad; przyszli ci goście, wypiliśmy... herbaty, no i... wpadłem w dobry humor na swoje nieszczęście. Kiedy zaś dosyć późno wszedł ten Keller i oznajmił o pańskich urodzinach i o dyspozycji co do szampana, to ja, drogi i wielce szanowny książę, mając serce (co pan już zapewne zauważył, albowiem zasługuję na to), mając serce, nie powiem czułe, ale wdzięczne, czym się szczycę - dla nadania większego splendoru urządzonej uroczystości i spodziewając się, że złożę panu życzenia osobiście, umyśliłem sobie zmienić swoje stare łachy na mundur, który zdjąłem po powrocie; tak też uczyniłem, a książę zapewne to zauważył, widząc mnie w mundurze przez cały wieczór. Zmieniając ubranie, zapomniałem wyjąć z surduta pugilares... prawda, że jak Pan Bóg chce kogo ukarać, to mu najpierw rozum odbiera. I dopiero dzisiaj, już o wpół do ósmej, kiedy się

obudziłem, zerwałem się jak wariat, chwyciłem przede wszystkim za surdut - kieszeń pusta! Pugilares zniknął bez śladu.

- Ach, to nieprzyjemna sprawa!

- Właśnie, nieprzyjemna; i pan z prawdziwym taktem znalazł od razu należyte określenie - dodał z pewną przewrotnością Lebediew.

- Jak to się jednak stało?... - zaniepokoił się książę po chwili namysłu - to przecież poważna rzecz.

- Właśnie, poważna - jeszcze drugi wyraz, który książę trafnie wybrał, aby określić...

- Ach, co też pan mówi, Łukianie Timofiejewiczu, tu nie ma co wybierać. Nie chodzi o słowa... Czy pan przypuszcza, że pan mógł po pijanemu zgubić z kieszeni?

- Mogłem. Po pijanemu wszystko jest możliwe, jak się pan szczerze wyraził, wielce szanowny książę! Ale proszę wziąć pod uwagę, co następuje; jeżeli wytrząsnąłem pugilares z kieszeni, kiedy się przebierałem, to wytrząśnięty przedmiot powinien leżeć w tym samym miejscu na podłodze. No, a gdzie jest ten przedmiot, proszę księcia?

- Czy nie włożył pan gdzie do szuflady, do biurka?

- Wszystkie miejsca przeszukałem, wszystko przerzuciłem, tym bardziej że nigdzie nie chowałem i żadnej szuflady nie otwierałem, co dobrze pamiętam.

- W szafce pan sprawdzał?

- Przede wszystkim zajrzałem do szafki, a nawet dzisiaj jeszcze kilka razy... Jakże mógłbym zresztą włożyć do szafki, proszę szanownego księcia?

- Przyznam się, panie Lebediew, że mnie to niepokoi. Więc ktoś widocznie znalazł na podłodze?

- Albo wyciągnął z kieszeni! Takie są dwie możliwości.

- Mnie to bardzo niepokoi, bo któż to mógł być... Trudna sprawa!

- Nie ulega wątpliwości, że to najważniejsze zagadnienie; pan z zadziwiającą precyzją dobiera słowa i myśli oraz określa sytuację, wielce szanowny książę.

- Ach, Łukianie Timofiejewiczu, niech pan da spokój żartom, tu...

- Żartom!... - zawołał Lebediew składając dłonie.

- No, no, no, dobrze, ja przecież się nie gniewam, tu jest inna kwestia... Obawiam się o ludzi. Kogo pan podejrzewa?

- To najtrudniejsze i... bardzo skomplikowane! Służącej nie mogę podejrzewać, bo siedziała u siebie w kuchni. Własnych dzieci też nie...

- Ale cóż znowu!

- A zatem musiał to zrobić któryś z gości.

- Ale czyż to możliwe?

- Najzupełniej i w najwyższym stopniu niemożliwe, ale bezwarunkowo tak musi być. Skłonny jestem jednak przypuszczać, a nawet jestem głęboko przekonany, że jeżeli miała miejsce kradzież, to została popełniona nie wieczorem, kiedy wszyscy byli w komplecie, tylko już w nocy albo nad ranem przez któregoś z nocujących.

- Ach, mój Boże!

- Burdowskiego i Mikołaja Ardalionowicza, rzecz prosta, wyłączam; wcale do mnie nie wchodzili.

- Oczywiście; nawet gdyby wchodzili! Kto u pana nocował?

- Licząc ze mną, nocowało nas czterech, w dwóch sąsiadujących z sobą pokojach: ja, generał, Keller i pan Ferdyszczenko. A zatem któryś z nas czterech!

- Właściwie trzech! Ale któż?

- Włączyłem i siebie dla sprawiedliwości i dla porządku; ale zgodzi się książę, iż sam siebie okraść nie mogłem, chociaż podobne wypadki zdarzały się na świecie...

- Ach panie Lebediew, jakie to nudne! - zawołał niecierpliwie książę. - Do rzeczy, niech pan tak nie marudzi!...

- Pozostaje więc trzech, proszę szanownego księcia, a przede wszystkim pan Keller, człowiek lekkomyślny, człowiek trunkowy i w pewnych przypadkach liberał, to znaczy w sprawach kieszeniowych; pod każdym innym względem jest, że tak powiem, raczej zwolennikiem dawnych tradycji rycerskich aniżeli wolnomyślnych. Położył się spać nasamprzód tutaj, w pokoju chorego, i dopiero w nocy przeniósł się do nas pod takim pretekstem, że na gołej podłodze jest twardo spać.

- Pan go podejrzewa?

- Podejrzewam, proszę księcia. Kiedy o ósmej rano zerwałem się jak wariat i trzepnąłem się ręką w czoło, natychmiast obudziłem generała, który spał snem niewinnego dziecka. Wziąwszy pod uwagę dziwne zniknięcie Ferdyszczenki, co już samo przez się wzbudziło w nas podejrzenie, obaj niezwłocznie postanowiliśmy zrewidować Kellera, leżącego jak... jak... jak kłoda. Zrewidowaliśmy go gruntownie: w kieszeniach nie znaleźliśmy nawet pół centa, a nawet ani jednej niedziurawej kieszeni. Chustka do nosa, niebieska w kratkę, perkalowa, w stanie po prostu nieprzyzwoitym. Dalej jeden liścik miłosny od jakiejś pokojówki z żądaniem pieniędzy i pogroźki oraz strzępy znanego panu

felietonu. Generał uznał, że Keller jest poza wszelkimi podejrzeniami. Celem uzyskania bardziej szczegółowych informacji obudziliśmy go z trudem za pomocą szturchańców; ledwo zrozumiał, o co chodzi; rozdziawił usta, zrobił minę bezmyślną i niewinną, nawet głupią - nie, to nie on!

- Jakże się cieszę! - westchnął z radością książę. - Trochę jednak bałem się o niego!

- Bał się pan? A więc miał pan do tego jakieś podstawy? - zmrużył oczy Lebediew.

- O nie, ja tak tylko - zaciął się książę - strasznie głupio się wyraziłem: że się bałem. Niechże pan będzie łaskaw, panie Lebediew, nie powtarzać tego nikomu...

- Książę! Książę! Słowa pańskie są w moim sercu... w głębi mojego serca! Tam jest grób!... - rzekł z uniesieniem Lebediew, przyciskając kapelusz do piersi.

- Dobrze, dobrze!... Więc w takim razie Ferdyszczenko? To jest, chciałem powiedzieć, pan podejrzewa Ferdyszczenkę?

- A kogóż więcej? - powiedział cichym głosem Lebediew patrząc badawczo na księcia.

- No tak, oczywiście... kogóż więcej... to znaczy właściwie jakie są poszlaki?

- Poszlaki są, proszę księcia. Po pierwsze, zniknięcie o siódmej albo nawet przed siódmą rano.

- Wiem, Kola mi mówił, że on wstąpił do niego i powiedział, że idzie dokończyć spania do... zapomniałem do kogo, do jednego ze swoich przyjaciół.

- Do Wilkina. Więc Mikołaj Ardalionowicz mówił już panu?

- O kradzieży nic mi nie mówił.

- Bo nic nie wie; na razie trzymam sprawę w tajemnicy. Więc idzie do Wilkina; wydawałoby się, że nie ma w tym nic dziwnego, że pijak idzie do takiego samego jak on pijaka, chociażby nawet o świcie i bez żadnego wyraźnego pretekstu. Ale tu właśnie znajdujemy poszlakę: wychodząc, Ferdyszczenko zostawia adres... Teraz niech książę łaskawie śledzi całą kwestię: po co zostawił adres?... Po co przyszedł umyślnie do Mikołaja Ardalionowicza, nakładając drogi i oznajmił mu: „Idę spać do Wilkina.” Kto się tym zechce interesować, że on wychodzi, i w dodatku właśnie do Wilkina? Po co to ogłaszać? Tak, to dowcipny złodziejski pomysł! To oznacza: „Proszę bardzo, wcale nie zacieram za sobą śladów, jakież wobec tego może być ze mnie złodziej? Czyż złodziej rozgłaszałby, dokąd idzie?” Nadmierna troska o to, aby, że tak powiem, zostawić fałszywe ślady na piasku... Czy książę mnie zrozumiał?

- Zrozumiałem, bardzo dobrze zrozumiałem, ale to jeszcze mało.

- Druga poszlaka: ślad okazuje się fałszywy, a podany adres niedokładny. Po upływie godziny, czyli o godzinie ósmej, pukałem już do Wilkina; mieszka tu niedaleko, przy ulicy Piątej, i znam go nawet. Żadnego Ferdyszczenki tam nie było. Chociaż wydusiłem ze służącej, głuchej jak pień, że przed jakąś godziną ktoś dobijał się rzeczywiście, nawet dosyć mocno, aż urwał dzwonek. Ale

służąca nie otworzyła, nie chcąc budzić pana Wilkina, a może sama nie chcąc się zrywać z łóżka. To się zdarza, proszę księcia.

- I to już wszystkie pańskie poszlaki? To mało.

- Więc kogóż, zdaniem księcia, należałoby podejrzewać? - zapytał słodziutko Lebediew i coś chytrego przemknęło w jego uśmiechu.

- Powinien pan jeszcze raz przeszukać pokoje i szuflady! - odezwał się książę z troską po chwili zastanowienia.

- Przeszukiwałem, proszę księcia! - jeszcze słodziej westchnął Lebediew.

- Hm!... I po cóż, po cóż zmieniał pan ten surdut! - zawołał książę i ze złością uderzył w stół.

- Pytanie z jednej starej komedii, proszę księcia. Ale szanowny książę nazbyt chyba bierze do serca moje nieszczęście! Niewart jestem tego. A raczej ja nie jestem tego wart; ale pan cierpi również za przestępcę... za nikczemnego pana Ferdyszczenkę!

- No tak, tak, pan rzeczywiście mię zmartwił - przerwał mu książę z roztargnieniem i niezadowolaniem. - Cóż więc zamierza pan przedsięwziąć... jeżeli pan jest taki pewny, że to Ferdyszczenko?

- O książę, wielce szanowny książę, któż by inny? - z coraz większą słodyczą tłumaczył się Lebediew. - Przecież brak kogokolwiek innego, o kim można by pomyśleć jako o sprawcy, i ponieważ, że tak powiem, zachodzi absolutna niemożność podejrzewania kogo innego prócz Ferdyszczenki, to przecież jest, że tak powiem, jeszcze jedna poszlaka przeciwko Ferdyszczence; trzecia z kolei poszlaka! Albowiem znowu trzeba spytać: któż by inny? Wszakże nie mogę podejrzewać pana Burdowskiego, he, he, he!

- Ca za niedorzeczność!

- I chyba nie generała koniec końców, he, he, he!

- Co za bzdura! - rzekł prawie z gniewem książę, niecierpliwie kręcąc się na miejscu.

- I to jeszcze jaka bzdura! He, he, he! Ale mnie ten człowiek rozśmieszył, właśnie generał! Idziemy razem, ja i on po świeżych śladach do Wilkina... a muszę zaznaczyć, że generał był jeszcze bardziej niż ja przejęty, kiedy go pierwszego obudziłem spostrzegłszy kradzież, tak dalece nawet, że zmienił się na twarzy, poczerwieniał, zbladł i wreszcie nagle wpadł w takie naprawdę zajadłe i szlachetne oburzenie, że nawet się tego po nim nie spodziewałem. Wielce szlachetny człowiek! Kłamie bez ustanku, taki już ma słaby charakter, ale to człowiek najwyższych uczuć, człowiek przy tym nie bardzo sprytny, wzbudzający swoją naiwnością zupełne zaufanie. Mówiłem już panu, wielce szanowny książę, że czuję do niego nie tylko słabość, ale nawet serdeczne przywiązanie. No i mój generał zatrzymuje się raptem na środku ulicy, rozpina surdut, odsłania piersi i mówi: „Rewiduj mnie; rewidowałeś Kellera, dlaczego mnie nie rewidujesz? Tego wymaga sprawiedliwość!” Ręce i nogi mu się trzęsą, blady jak chusta, patrzy groźnym okiem. Roześmiałem się i mówię: „Słuchaj -

powiadam - generale, gdyby ktoś inny mi to powiedział o tobie, zaraz bym własnymi rękami zdjął swoją głowę, położyłbym ją na dużym półmisku i sam podawałbym ją tym wszystkim wątpiącym: „Patrzcie; widzicie tę głowę; więc ja własną głowę ręczę za niego, i nie tylko głowę, bo gotów jestem w ogień skoczyć.” W taki oto sposób, powiadam, mogę za ciebie ręczyć!” Tu generał rzucił się w moje objęcia, wciąż pośrodku ulicy, rozplakał się, drży i tak mocno przycisnął mnie do piersi, że tchu nie mogłem złapać: „Jesteś, powiada, jedynym przyjacielem, jaki mi pozostał w moim nieszczęściu!” Okropnie uczuciowy człowiek! No i, ma się rozumieć, zaraz po drodze opowiedział mi okolicznościową anegdotę, jak to jego też jakoby posądzono raz, jeszcze w młodości, o kradzież pięciuset tysięcy rubli, ale on zaraz następnego dnia rzucił się w ogień płonącego domu i wyciągnął hrabiego, który go posądział, i Ninę Aleksandrownę, wówczas jeszcze pannę. Hrabia go uściskał i w ten sposób doszło do skutku jego małżeństwo z Niną Aleksandrowną, a nazajutrz w gruzach po pożarze znaleziono szkatułkę z zaginionymi pieniędzmi; była to żelazna kasetka, angielskiego wyrobu, z sekretnym zamkiem; wpadła jakoś pod podłogę, tak że nikt nawet nie zauważył, i dopiero odnalazła się, kiedy się dom spalił. Wierutne kłamstwo, proszę księcia. Ale kiedy wspomniał Ninę Aleksandrownę, to nawet zaczął chlipać. Nina Aleksandrowna jest wielce szlachetną osobą, chociaż się na mnie gniewa.

- Państwo się nie znają?

- Prawie że nie, ale pragnąłbym z całego serca, chociażby tylko po to, żeby się przed nią usprawiedliwić. Nina Aleksandrowna ma do mnie pretensję, że niby rozpijam jej męża. A ja go nie tylko nie rozpijam, ale nawet hamuję; może to ja właśnie odciągam go od najzgubniejszego towarzystwa. Przy tym jest przecież moim przyjacielem i wyznam panu, że go już teraz nie opuszczę, a nawet: gdzie on, tam i ja, ponieważ z nim można sobie poradzić tylko serdecznością. Teraz on już wcale nie odwiedza swojej kapitanowej, chociaż ma jeszcze do niej ukrytą skłonność i nawet czasem wzdycha za nią, zwłaszcza rankami, kiedy wstaje i kładzie buty; nie wiem, dlaczego właśnie w tym czasie. Na nieszczęście stale jest bez grosza, a do niej bez pieniędzy ani rusz. Czy nie zwracał się do pana z prośbą o pożyczkę, wielce szanowny książę?

- Nie, nie zwracał się.

- Wstyd mu. Miał taki zamiar, nawet mnie się przyznawał, że chce pana niepokoić, ale nie śmie, ponieważ pan niedawno już mu pożyczył pieniędzy, a poza tym przypuszcza, że pan tym razem odmówi. Wyznał mi to w przystępie szczerości, jako przyjacielowi.

- A pan mu nie daje pieniędzy?

- O książę! Wielce szanowny książę! Ja dla tego człowieka nie tylko pieniądze, ale nawet, że tak powiem, życie... nie, zresztą nie chcę przesadzać - nie życie, ale dajmy na to jakąś febrę, jakiś czyrak albo nawet kaszel - daję słowo, mogę dla niego przecierpieć, gdyby zaszła ważna potrzeba; albowiem uważam go za wielkiego, tylko wykolejonego człowieka! Tak, proszę księcia, nie tylko pieniądze!

- Więc daje pan pieniądze?

- Nnie; pieniędzy nie dawałem i on sam wie, że nie dam, proszę szanownego księcia, ale

wyłącznie w celu pohamowania go i poprawienia jego obyczajów. Przyczepił się teraz, żeby jechać ze mną do Petersburga; ja przecież jadę tam po świeżym tropie, żeby złapać pana Ferdyszczenkę, bo z całą pewnością wiem, że on tam już jest, proszę księcia. Mój generał aż kipi z niecierpliwości; podejrzewam jednak, że w Petersburgu umknie mi, żeby odwiedzić kapitanową. Przyznam się, że mam zamiar umyślnie puścić go od siebie; zresztą nawet tak umówiliśmy się, że po przyjeździe każdy pójdzie w inną stronę, żeby tym łatwiej schwycić pana Ferdyszczenkę. Więc puszczę generała od siebie, a potem nagle, jak piorun z jasnego nieba, dopadnę go u kapitanowej - właśnie po to, żeby go zawstydzić jako głowę rodziny i jako człowieka w ogóle.

- Tylko niech pan nie robi awantur, panie Lebediew, na miłość boską, niech pan nie robi awantur - rzekł książę półgłosem i mocno zaniepokojony.

- O, nie, proszę księcia, właściwie tylko po to, żeby go zawstydzić i popatrzeć, jaką zrobi minę - albowiem z wyrazu twarzy wiele można wywnioskować, wielce szanowny książę, a zwłaszcza takiego człowieka! Ach, książę! Jakkolwiek wielkie jest moje nieszczęście, ale nie mogę nawet teraz nie pomyśleć o nim i o poprawieniu jego obyczajów. Mam nadzwyczajną prośbę do wielce szanownego księcia, a nawet muszę wyznać, że po to głównie przyszedłem: ich dom pan zna, bo nawet mieszkał pan u nich; więc gdyby pan, najzacniejszy mój książę, zdecydował się pomóc mi w tym, właściwie tylko przez wzgląd na samego generała i jego szczęście...

Lebediew aż ręce złożył jak do modlitwy.

- Co mam zrobić? Jak dopomóc? Zapewniam pana, że bardzo pragnę zrozumieć pańskie myśli, panie Lebediew.

- Jedyne mając tę pewność przyszedłem do księcia! Można by wpłynąć za pośrednictwem Niny Aleksandrowny; obserwując i, że tak powiem, śledząc bezustannie jego ekscelencję na łonie własnej jego rodziny. Ja niestety nie znam osobiście... a przy tym i Mikołaj Ardalionowicz, ubóstwiający pana, że tak powiem, całą głębią swojej młodzieńczej duszy, też bodaj mógłby tu pomóc...

- Nnie... proszę do tego nie mieszać Niny Aleksandrowny... broń Boże! I Koli tak samo... Zresztą może pana jeszcze nie rozumiałem, panie Lebediew.

- Ależ tu nie ma nic do rozumienia! - Lebediew aż podskoczył na krześle. - Jedyne, jedyne czułość i tkliwość mogą być skutecznym lekarstwem dla naszego chorego. Książę pozwala mi sądzić, że generał jest chory?

- To nawet dowodzi pańskiej delikatności i rozumu.

- Objaśnię to panu na przykładzie, dla uwypuklenia, wziętym z praktyki. Widzi pan, co to za człowiek: on ma teraz tę jedną słabość do kapitanowej, u której pokazać się bez pieniędzy nie może i u której zamierzam go dzisiaj przyłapać dla jego dobra; tylko dla jego dobra; ale gdyby, dajmy na to, miał nie tylko sprawę z kapitanową, gdyby nawet popełnił prawdziwe przestępstwo, jakiś, powiedzmy, najbardziej nieczyny uczynek (choć do tego zupełnie nie jest zdolny), nawet wówczas, twierdząc, za pomocą tylko, że tak powiem, szlachetnej czułości można z niego wszystko wydobyć, jest to bowiem człowiek nad wyraz uczuciowy! Niech mi pan wierzy, że nie wytrzyma nawet pięciu

dni, sam się wygada, rozplacze i przyzna do wszystkiego, zwłaszcza gdy się będzie działało zęcnie i szlachetnie poprzez rodzinny i pański osobisty nadzór nad każdym, że tak powiem, jego krokiem i przejawem usposobienia... O wielkoduszny książę! - zerwał się Lebediew nieomal w jakimś natchnieniu. - Ja przecież nie twierdzę, że on na pewno... Ja, że tak powiem, wszystką krew swoją gotów jestem za niego przelać chociażby w tej chwili, aczkolwiek zgodzi się pan, że niewstrzeźliwość i pijaństwo, i kapitanowa - wszystko to razem wzięte może doprowadzić do wszystkiego.

- Do osiągnięcia takiego celu zawsze chętnie dopomogę - rzekł książę wstając - ale przyznam się panu, panie Lebediew, że jestem ogromnie zaniepokojony; niech pan powie, przecież pan ciągle jeszcze... - słowem, sam pan przecież mówi, że podejrzewa pana Ferdyszczenkę.

- A kogóż więcej? Kogóż więcej mam podejrzewać, przezacny książę? - Lebediew znowu słodko się uśmiechnął i z rozczuleniem złożył ręce.

Książę zachmurzył się i wstał.

- Widzi pan, Łukianie Timofiejewiczu, tu się można strasznie omylić. Ten Ferdyszczenko... nie chciałbym o nim powiedzieć nic złego... ale ten Ferdyszczenko... no cóż, kto wie, może to i on!... Chcę powiedzieć, że może on istotnie jest bardziej zdolny do tego niż... niż kto inny.

Lebediew wytężył wzrok i słuch.

- Widzi pan - plątał się i coraz bardziej pochmurniał książę, chodząc tam i z powrotem po pokoju i starając się nie patrzeć na Lebediewa - dano mi znać... powiedziano mi o panu Ferdyszczence, że on jakoby, poza wszystkim innym, jest tego rodzaju człowiekiem, przy którym trzeba zachowywać ostrożność i nie mówić nic... niepotrzebnego - rozumie pan?

- A któż to panu powiedział o panu Ferdyszczence ? - zaperzył się Lebediew.

- Tak mi ktoś szepnął; zresztą sam w to nie wierzę... bardzo mi przykro, że zmuszony byłem to powtórzyć; zapewniam pana, że sam w to nie wierzę... to jakaś niedorzeczność... Fe, jakże głupio zrobiłem!

- Widzi książę - zatrząsł się po prostu Lebediew - to jest ważne, to jest teraz szczególnie ważne, nie ze względu na pana Ferdyszczenkę, ale ze względu na to, jak do pana doszła ta wiadomość. (Mówiąc to Lebediew biegał za księciem tam i z powrotem, starając się dotrzymać mu kroku). A teraz muszę księciu powiedzieć, co następuje: ostatnio generał, kiedyśmy razem szli do tego Wilkina, po tym, jak mi już opowiedział o pożarze i naturalnie trzęsąc się z gniewu, zaczął mi nagle też podsuwać to samo o panu Ferdyszczence, ale tak bez ładu i składu, że z konieczności zadałem mu kilka pytań, i dzięki temu całkowicie się przekonałem, że cała ta informacja jest wyłącznie płodem natchnienia jego ekscelencji... Właściwie mówiąc: jego dobroduszości. Ponieważ on nawet kłamał wyłącznie dlatego, że nie może pohamować rozczulenia. Teraz niech pan pomyśli: jeżeli on skłamał, a jestem tego pewny, to w jaki sposób i pan mógł o tym usłyszeć? Niech pan zrozumie, książę, że przecież to było u niego natchnienie jednej chwili - któż więc księciu mógł o tym zakomunikować? To ważne i... że tak powiem...

- Powiedział mi to przed chwilą Kola, a jemu powiedział nieco wcześniej ojciec, którego spotkał o szóstej czy siódmej w sieni, gdy wyszedł tam po coś.

I książę opowiedział wszystko ze szczegółami.

- No tak, to się dopiero nazywa ślad, proszę księcia! - zacierając ręce, bezgłośnie śmiał się Lebediew. - Tak przypuszczałem! To znaczy, że jego ekscelencja umyślnie przerwał o godzinie szóstej swój niewinny sen, ażeby iść obudzić ukochanego syna i ostrzec go o nadzwyczajnym niebezpieczeństwie mogącym wyniknąć z sąsiedztwa z panem Ferdyszczenką! Jakież to zatem niebezpieczny człowiek ten pan Ferdyszczenko i jakież to ojcowski niepokój u jego ekscelencji, hę, hę, hę!...

- Niech pan posłucha, panie Lebediew - zmieszał się do reszty książę - niech pan posłucha, niech pan działa jak najdyskretniej! Niech pan nie robi hałasu! Bardzo pana proszę, panie Lebediew, błagam pana... W takich tylko warunkach będę z panem współdziałał, przysięgam; żeby nikt nie wiedział, żeby nikt nie wiedział!

- Niech książę będzie pewny, wielkoduszny, najszczerzy i najszlachetniejszy książę - zawołał Lebediew z niezwykłym zapałem - niech książę będzie pewny, że wszystko to zostanie pogrzebane w moim wdzięcznym sercu! Pójdziemy krok w krok, po cichu, razem! Krok w krok, po cichu, razem! Ja przecież nawet krew swoją... Jaśnie oświecony książę, maluczki jestem duszą i umysłem, ale niech książę kogo chce zapyta, nawet szubrawca, nie tylko człowieka maluczkiego: z kim woli mieć do czynienia - z takim jak on szubrawcem czy też z najszlachetniejszym człowiekiem, to znaczy z przezacnym księciem? Odpowie, że z najszlachetniejszym człowiekiem - i w tym jest triumf cnoty! Do widzenia, wielce szanowny książę! Po cichu, krok w krok... po cichu, krok w krok i... razem, proszę księcia.

X

Książę zrozumiał nareszcie, dlaczego zimno mu się robiło, ilekroć dotykał tych trzech listów, i dlaczego oddalał chwilę ich przeczytania aż do samego wieczora. Kiedy jeszcze dziś rano pogrążył się w głębokim śnie na szezlongu, wciąż jeszcze nie mogąc się zdecydować na otwarcie którejś z tych trzech kopert, znowu mu się przyśnił ciężki sen i znowu przyszła do niego ta „przestępczyni”. Znowu patrzyła na niego ze łzami błyszczącymi na długich rzęsach, znów go przywoływała, żeby szedł za nią, i znów się obudził jak wówczas, z bólem przypominając sobie jej twarz. Chciał nawet od razu iść do niej, ale nie mógł; na koniec, będąc już prawie w rozpacz, otworzył listy i zaczął czytać.

Te listy również podobne były do snu. Czasami śnią się człowiekowi dziwne sny, niemożliwe i nienaturalne; po przebudzeniu się człowiek przypomina je sobie wyraźnie i zdziwiony jest niezwykłym faktem. Pamięta przede wszystkim, że rozsądek nie opuszczał go przez cały ten długi, bardzo długi czas, kiedy go otaczali zbójcy, kiedy uciekali się do podstępów, ukrywali swoje zamiary, obchodzili się z nim po przyjacielsku, podczas gdy mieli już przygotowaną broń i tylko czekali na jakiś znak; przypomina sobie, jak sprytnie ich wreszcie oszukał, schował się przed nimi; potem domyślił się, że oni doskonale widzą jego fortel i tylko udają, że nie zauważyli jego kryjówki; ale on znów użył wybiegu i wyprowadził ich w pole; i wszystko to przypomina sobie jak najdokładniej. Ale dlaczegoż rozsądek jego mógł się jednocześnie pogodzić z takimi oczywistymi bzdurami i niemożliwościami, których między innymi pełno było w jego śnie? Jeden ze zbójców w jego oczach zamienił się w kobietę, a z kobiety w małego, chytrego, obrzydliwego karzełka - i człowiek wszystko to uważał za możliwe, za fakt oczywisty, prawie nie będąc tym zdziwiony, i to właśnie w tym czasie, kiedy z drugiej strony jego władze umysłowe znajdowały się w stanie ogromnego napięcia, wykazywały nadzwyczajną moc, spryt, orientację, logikę? Dlaczego więc człowiek po przebudzeniu się i po pełnym powrocie do rzeczywistości czuje za każdym prawie razem, i częstokroć z niezwykłą siłą, że jednocześnie ze snem opuszcza go coś, co jest dla niego niepojęte. Bawi go absurdalność snu, ale zarazem czuje, że w splocie tych niedorzeczności zawiera się jakaś myśl, i to myśl już realna, coś, co przynależy do jego obecnej egzystencji, coś, co istnieje i zawsze istniało w jego sercu; jakby ten sen obwieścił człowiekowi coś nowego, proroczego, na co człowiek z utęsknieniem czekał; wrażenie jest silne, radosne albo męczące, ale na czym ono polega i co obwieszcza - tego człowiek nie może ani zrozumieć, ani sobie przypomnieć.

Prawie to samo było i po tych listach. Ale już przed ich otwarciem książę poczuł, że sam fakt ich istnienia i możliwości powstania wygląda na koszmar. „Jak zdecydowała się ona pisać do niej?” - pytał sam siebie przechadzając się bez celu wieczorem (czasem nawet nie orientując się, gdzie chodzi). Jak mogła pisać o tym i jak mogło takie szalone marzenie powstać w jej głowie? Ale marzenie to było już urzeczywistnione i, co najdziwniejsze: dopóki czytał te listy, sam wierzył prawie w możliwość i nawet usprawiedliwienie tego marzenia. Tak, oczywiście, to był sen, koszmar i szaleństwo; ale zawierało się w tym również coś takiego, co było męcząco rzeczywiste i dojmująco sprawiedliwe, co uzasadniało i sen, i koszmar, i szaleństwo. Przez kilka godzin z rzędu jak gdyby majaczyło mu się to, co przeczytał, co chwila przypominał sobie poszczególne fragmenty, zatrzymywał się na nich, wszechstronnie je rozważał. Czasem nawet miał ochotę powiedzieć sobie,

że wszystko to przeczuwał i zgadywał z góry; nawet wydawało mu się, że jak gdyby czytał już to wszystko kiedyś, dawno, bardzo dawno, i że wszystko, za czym tęsknił od tego czasu, wszystko, czym się dręczył i czego się lękał - wszystko to było zawarte w tych dawno już przeczytanych przez niego listach.

„Kiedy Pani otworzy ten list (tak się zaczynało pierwsze pismo), przede wszystkim spojrzycie Pani na podpis. Podpis wszystko Pani powie i wyjaśni, nie widzę więc potrzeby usprawiedliwiać się przed Panią i cokolwiek Pani tłumaczyć. Gdybym pod jakimkolwiek względem dorównywała Pani, mogłaby Pani obrazić się za taką zuchwałość; ale czymże ja jestem wobec Pani? Jesteśmy dwiema takimi przeciwnościami i ja tak dalece nawet nie umyłam się do Pani, że w żaden sposób nie mogę Pani obrazić, choćbym chciała.”

Dalej w innym miejscu, pisała:

„Niech Pani nie bierze moich słów za chorobliwy zachwyt chorego umysłu, ale jest Pani dla mnie - doskonałością! Widziałam Panią, widuję Panią codziennie. A przecież nie wydaję o Pani sądu; nie na drodze rozumowej doszłam do wniosku, że Pani jest doskonałością; po prostu uwierzyłam. Ale poczuwam się wobec Pani do jednego grzechu: kocham Panią. Doskonałości nie można przecież kochać; na doskonałość można tylko patrzeć jak na doskonałość, prawda? A tymczasem jestem w Pani zakochana. Chociaż miłość czyni ludzi równymi, jednak proszę się nie obawiać, nigdy nie przyrównywałam siebie do Pani nawet w najtajniejszych swoich myślach. Napisałam: „Proszę się nie obawiać); ale czyż Pani może czuć obawę?... Gdyby było można, całowałabym ślady stóp Pani. O, nie równam się z Panią... Proszę spojrzeć na podpis, proszę prędko spojrzeć na podpis!”

„Zauważyłam jednak (pisała w innym liście), że wciąż Panią z nim łączę i ani razu jeszcze nie spytałam, czy Pani go kocha. On Panią pokochał, widząc Panią tylko raz. Wspominał o Pani jak o „świecie”; to są jego własne słowa, słyszałam je od niego. Ale i bez słów rozumiałam, że Pani jest dla niego światłem. Spędziłam obok niego cały miesiąc i wtedy rozumiałam, że i Pani go kocha; Pani i on - to dla mnie jedno”.

„Cóż to (pisała jeszcze), wczoraj przeszłam obok Pani i Pani jakby poczerwieniła? To niemożliwe, chyba mi się zdawało. Jeżeliby Panią zaprowadzono nawet do najwstrętniejszej spelunki i pokazano występek w całej jego nagości, to Pani nie powinna się czerwienić; Pani nie może się oburzać z tego powodu, że ktoś Panią chciał obrazić. Pani może nienawidzić wszystkich ludzi podłych i nikczemnych, ale nie za siebie, tylko za innych, za tych, kogo oni obrażają. Pani zaś nikt nie jest zdolny obrazić. Wie Pani, mnie się zdaje, że Pani nawet powinna mię kochać. Dla mnie jest Pani tym, czym i dla niego; duchem jasności; anioł nie może nienawidzić, nie może też nie kochać. Czy można kochać wszystkich, wszystkich ludzi, wszystkich swoich bliźnich? Często zadawałam sobie to pytanie. Oczywiście, że nie; byłoby to nawet nienaturalne. Kto twierdzi, że kocha w ogóle całą ludzkość, kocha prawie zawsze tylko siebie. Ale to tylko dla nas jest niepodobieństwem, Pani zaś - to co innego: jakże Pani mogłaby nie kochać kogokolwiek, kiedy Pani z nikim nie może się porównać i kiedy Pani jest wyższa nad wszelką obrazę, nad wszelkie osobiste oburzenie? Tylko Panią jedną stać na to, aby kochać bez egoizmu, Pani jedna może kochać nie dla siebie, ale dla tego, kogo Pani kocha. O, jakże byłoby mi gorzko, gdybym się dowiedziała, że Pani czuje z powodu mojej osoby wstyd albo gniew! W tym Pani zguba: od razu

zrównałaby się Pani ze mną...

Wczoraj, spotkawszy Panią, przyszedłam do domu i wymyśliłam pewien obraz. Malarze zawsze przedstawiają Chrystusa według motywów zaczerpniętych z Ewangelii; ja bym namalowała inaczej: przedstawiłabym Go Samego - przecież uczniowie zostawiali Go czasem w samotności. Zostawiłabym przy Nim tylko jedno małe dziecko. Dziecko bawiłoby się obok Niego; może by Mu coś opowiadało w swoim dzieciennym języku. Chrystus najpierw słuchał, ale teraz się zamyślił; ręka Jego mimo woli, przez zapomnienie pozostała na jasnej główce dziecka. Patrzy w dal, na widnokrąg; w Jego spojrzeniu tai się myśl wielka jak świat; twarz ma smutną. Dziecko zamilkło, oparło się o Jego kolana i podparłszy twarz ręką, podniosło główkę i w zamyśleniu, jak to dzieci czasem się zamyślają, badawczo patrzy na Niego. Słońce zachodzi... Oto mój obraz! Pani jest niewinna i w Pani niewinności jest Pani cała doskonałość. O, niech Pani o tym pamięta! Cóż Panią obchodzi moje dla Pani uwielbienie! Pani jest już teraz moja, przez całe życie będę przy Pani... Wkrótce umrę.”

Wreszcie w ostatnim liście było:

„Na miłość boską, niech Pani o mnie nic nie myśli; niech Pani nie myśli również, że się poniżam pisząc tak do Pani albo że należę do takich istot, którym sprawia rozkosz poniżanie siebie, chociażby nawet przez dumę. Nie, ja mam inne przyjemności; ale mi trudno Pani to objaśnić. Trudno byłoby mi nawet sobie samej powiedzieć to jasno, chociaż męczę się tym niewymownie. Wiem jednak, że nie mogłabym się poniżyć nawet w przystępie dumy. A do samoponiżenia się z prostoty ducha jestem niezdolna. A zatem zupełnie się nie poniżam.

Dlaczego chcę was oboje połączyć: dla was czy dla siebie? Oczywiście, że dla siebie, tutaj wszystkie decyzje są moje, tak sobie już dawno powiedziałam... Słyszałam, że Pani siostra, Adelajda, wyraziła się wtedy o mojej fotografii, że z taką urodą można cały świat wywrócić. A ja wyrzekłam się świata; Pani wydaje się to może śmieszne, że tak mówię, a tymczasem widuje mię Pani wystrojoną w koronki i brylanty, w towarzystwie pijaków i niegodziwców? Niech Pani na to nie zwraca uwagi, ja prawie już nie istnieję; i wiem o tym. Bóg raczy wiedzieć, co we mnie żyje zamiast mnie. Czytam to codziennie w dwojgu strasznych oczach, które stale na mnie patrzą, nawet wtedy, gdy ich przede mną nie ma. Te oczy teraz milczą (one ciągle milczą), ale ja znam ich tajemnicę. On ma dom ponury, smutny, i w nim jest tajemnica. Jestem pewna, że w szufladzie trzyma brzytwę owiniętą jedwabiem, jak ten moskiewski morderca; tamten tak samo mieszkał razem z matką i tak samo owinął brzytwę jedwabiem, żeby komuś poderżnąć gardło. Kiedy byłam u nich w domu, cały czas mi się zdawało, że gdzieś pod podłogą schowany jest, może jeszcze przez jego ojca, nieboszczyk i przykryty ceratą, tak jak tamten moskiewski i też jest obstawiony dokoła słojami z płynem Żdanowa[110]; mogłabym nawet wskazać to miejsce. On ciągle milczy; wiem jednak, że mnie tak bardzo kocha, że już mógł mię znienawidzić. Ślub Państwa i mój ślub - mają się odbyć jednocześnie: tak postanowiliśmy oboje. Ja przed nim nie mam żadnych tajemnic. Zabiłabym go ze strachu... Ale on mnie wcześniej zabije... roześmiał się teraz i mówi, że bredzę; wie, że do Pani piszę.”

I dużo, dużo było podobnych majaczeń w tych listach. Jeden z nich, drugi z kolei, był na dwóch arkusikach dużego formatu, zapisanych drobnymi literkami.

Księżę wyszedł na koniec z ciemnego parku, po którym długo się błąkał tak jak i wczoraj. Jasna, przejrzysta noc wydała mu się jeszcze jaśniejsza niż zwykle. „Czyżby jeszcze było tak wcześnie?” - pomyślał. (Zapomniał wziąć z sobą zegarka.) Do jego uszu doleciały jakby dźwięki dalekiej muzyki. „To pewnie na stacji - pomyślał znowu - oczywiście nie poszli tam dzisiaj.” Stwierdziwszy to w duchu, zobaczył, że stoi przed ich willą; i tak zresztą wiedział, że musi w końcu dojść do tego miejsca; z zamierającym sercem wszedł na taras. Nikt nie wyszedł na jego spotkanie, taras był pusty. Począł trochę i otworzył drzwi do dużego pokoju. „Te drzwi nigdy nie były zamknięte” - przemknęło mu przez myśl, ale i pokój był pusty; było w nim prawie całkiem ciemno. Stał pośrodku pokoju w niepewności. Nagle otworzyły się drzwi i weszła Aleksandra Iwanowna ze świecą w rękę. Ujrzawszy księcia zdziwiła się i zatrzymała przed nim, jakby o coś chciała go spytać. Najwidoczniej przechodziła tylko przez pokój, od jednych drzwi do drugich, nie przypuszczając, że kogoś tu zastanie.

- Skąd się pan tutaj wziął - rzekła wreszcie.

- Tak... wstąpiłem.

- *Maman* czuje się niezbyt dobrze, Agłaja też. Adelajda kładzie się spać, ja również. Przesiedziałyśmy dzisiaj same cały wieczór. Papa i księżę są w Petersburgu.

- Przyszedłem... przyszedłem do państwa... teraz...

- Wie pan, która godzina?

- Nnie...

- Wpół do pierwszej. Zawsze kładziemy się spać o pierwszej.

- Ach, myślałem, że jest... wpół do dziesiątej.

- Mała pomyłka! - roześmiała się Aleksandra. - A dlaczegoż pan nie przyszedł wcześniej? Może tu nawet ktoś czekał na pana.

- Myślałem... - bąknął wychodząc.

- Do widzenia! Jutro wszystkich ubawię.

Drogą okalającą park poszedł do swojej willi. Serce mu biło jak młot, myśli się plątały i wszystko dokoła niego wyglądało niby ze snu. I nagle podobnie jak przedtem, kiedy dwa razy ocknął się ze snu, w którym zobaczył jedno i to samo widmo, to widmo ukazało się mu po raz trzeci. Ta sama kobieta wyszła z parku i stanęła przed nim, jakby tutaj na niego czekała. Drgnął i zatrzymał się; chwyciła jego rękę i mocno ją uściśniła. „Nie, to nie jest widmo!”

I wreszcie stała przed nim twarzą w twarz po raz pierwszy od ich rozłąki; mówiła coś do niego, ale on patrzył na nią milcząc; serce mu wezbrało żalem i omal nie pękło z bólu. O, nigdy później nie mógł zapomnieć tego spotkania i zawsze je wspominał z jednakową męką. Uklękła przed nim na ulicy jak obłąkana; cofnął się w strachu, a ona chwyciła jego rękę, żeby ją całować, i zupełnie tak samo,

jak wtedy we śnie, na jej długich rękach błyszczały łzy.

- Wstań, wstań! - mówił przerażonym szeptem, podnosząc ją. - Wstań prędeż!

- Jesteś szczęśliwy? Szczęśliwy? - pytała. - Powiedz mi jedno tylko słowo, czy jesteś teraz szczęśliwy? Dzisiaj, w tej chwili? U niej? Co powiedziała?

Nie podnosiła się z klęczek, nie słuchała go; pytała z pośpiechem i mówiła prędko, jakby ją ściagała pogoń.

- Jadę jutro, tak jak kazałeś. Nie będę... Ostatni przecież raz cię widzę, ostatni! Teraz to już naprawdę ostatni raz!

- Uspokój się, wstań! - powiedział z rozpaczą.

Chciwie wpatrywała się w niego, uczepiwszy się jego rąk.

- Żegnaj! - rzekła wreszcie, wstała i szybko odeszła, prawie pobiegła.

Książę widział, że obok niej zjawił się nagle Rogożyn, wziął ją pod rękę i poprowadził.

- Poczekaj na mnie, książę! - krzyknął Rogożyn - za pięć minut wrócę na chwilę.

Przyszedł istotnie po pięciu minutach; książę czekał na niego na tym samym miejscu.

- Wsadziłem ją do powozu - powiedział. - Tam na rogu od godziny dziesiątej czekał powóz. Wiedziała, że spędzisz cały wieczór u tamtej. To, coś mi napisał, dokładnie powtórzyłem. Listów do tamtej wysyłać już nie będzie; przyrzekła; i stąd wyjedzie jutro, tak jak sobie życzysz. Chciała cię zobaczyć na ostatek, chociaż tyś odmówił; w tym miejscu czekaliśmy na ciebie, jak będziesz wracał; o tam, na tej ławce.

- Sama cię z sobą wzięła?

- A niby co? - uśmiechnął się szyderczo Rogożyn. - Zobaczyłem to, o czym wiedziałem. Listy chyba przeczytałeś ?

- A ty je też czytałeś ? - spytał książę, uderzony tą myślą.

- Jakżeby miał nie czytać, kiedy mi sama wszystkie pokazywała. O tej brzytwie pamiętasz, hę, hę?

- Szalona! - krzyknął książę załamując ręce.

- Kto tam co może wiedzieć, tak czy nie tak - rzekł Rogożyn po cichu, jakby do siebie.

Książę się nie odezwał.

- No, bądź zdrow - powiedział Rogożyn - przecie i ja też jutro pojedę; nie wspominaj mnie źle!
A cóż, bracie - dodał, szybko się odwróciwszy - dlaczegoś jej nie dał odpowiedzi? „Szczęśliwy
jesteś czy nie?”

- Nie, nie, nie! - zawołał książę z bezgranicznym smutkiem.

- Miałbyś może jeszcze powiedzieć: „Tak!” - roześmiał się zjadliwie Rogożyn i poszedł nie
oglądając się za siebie.

CZEŚĆ CZWARTA

I

Minął tydzień od czasu spotkania się dwóch osób z naszej opowieści w parku na zielonej ławce. Pewnego słonecznego ranka około wpół do jedenastej Warwara Ardalionowna Pticyń, która poszła z wizytą do kogoś ze swoich znajomych, wróciła do domu bardzo strapiona i zamyślona.

Są ludzie, o których trudno jest powiedzieć coś takiego, co by od razu i całkowicie wyraziło ich najbardziej typowe i charakterystyczne cechy; to są ci ludzie, których zazwyczaj nazywa się ludźmi „zwykłymi”, „większością” i którzy rzeczywiście stanowią większość każdego społeczeństwa. Pisarze w swoich powieściach i romansach starają się przeważnie brać pewne typy społeczne i przedstawiać je obrazowo i artystycznie - typy nader rzadko spotykane w życiu jako pewne całości, a które jednak są niemal bardziej rzeczywiste niż sama rzeczywistość. Podkolesin[111], jako pewien typ, jest może odmalowany z dużą przesadą, nie jest jednak nieprawdopodobny. Jakież mnóstwo całkiem mądrych ludzi, poznawszy Podkolesina w utworze Gogola, natychmiast zaczęło stwierdzać, że dziesiątki i setki ich dobrych znajomych są zgoła podobne do bohatera Gogolowskiej komedii. Wiedzieli i przed Gogolem, że ich przyjaciele są tacy jak Podkolesin, tylko nie wiedzieli, że tak się właśnie nazywają. W rzeczywistości kawalerowie rzadko kiedy wyskakują przez okno przed swoim ślubem, gdyż, nie mówiąc już o innych względach, jest to dosyć kłopotliwe; niemniej jednak bardzo liczni kandydaci do ożenku, ludzie nawet zacni i rozumni, przed ślubem sami gotowi byliby się uznać w swoim sumieniu za Podkolesinów. Nie wszyscy też mężowie krzyczą na każdym kroku: „*Tu l'as voulu, Georges Dandin!*”[112]* Ale, mój Boże, ileż to milionów i bilionów razy powtarzali ten płynący z głębi serca okrzyk mężowie całego świata po swoich miodowych miesiącach, a kto wie, może nawet nazajutrz po ślubie.

A zatem nie wdając się w bardziej wyczerpujące objaśnienia powiemy tylko, że w rzeczywistości wszystkie typowe cechy poszczególnych osób są jakby rozcieńczone wodą i wszyscy ci Grzegorz Dyndały i Podkolesinowie istnieją naprawdę, snują się i biegają pomiędzy nami codziennie, ale w stanie jakby rozrzedzonym. Uczyniwszy na koniec gwoli zupełności i prawdziwości obrazu wzmiankę o tym, że i Grzegorz Dyndała w całej swojej postaci, tak jak go stworzył Molier, też się może trafić w życiu rzeczywistym, aczkolwiek rzadko, na tym zakończymy nasze rozważania, które zaczynają się upodabniać do krytyki prasowej. Niemniej jednak staje przed nami pytanie: co ma powieściopisarz robić z ludźmi pospolitymi, całkiem sobie „zwykłymi” i jak ich przedstawić czytelnikowi, żeby ten nabrał do nich jakiego takiego zainteresowania? Zupełnie pominąć ich w narracji nie można w żaden sposób, ponieważ ludzie pospolici stanowią bardzo często konieczne ogniwo w łańcuchu wydarzeń życiowych; a więc pominięcie ich byłoby naruszeniem prawdopodobieństwa. Wypełniać powieści jednymi tylko typami albo nawet wprost, dla wzbudzenia czytelnicznych zainteresowań, postaciami dziwnymi i niewiarygodnymi pozbawiałoby utwór prawdopodobieństwa, a przy tym nie byłoby zajmujące. Według nas, autor powinien starać się wynajdować rzeczy ciekawe i pouczające nawet wśród pospolitości. Kiedy zaś na przykład sama istota niektórych osób nader pospolitych wyraża się właśnie w ich niezmiennym, stale pospolitym charakterze albo, co jeszcze lepiej wyjaśnia sprawę, kiedy osoby te mimo nadzwyczajnych usiłowań wydostania się z karbów zwykłości i szablonu zawsze kończą na tym, że pozostają wiecznie i niezmiennie szablony, wówczas nawet zyskują one pewnego rodzaju

typowość - jako pospolitość, która za nic nie chce pozostać tym, czym jest, i za wszelką cenę chce być oryginalna i samoistna, nie mając żadnych po temu danych.

Do tej kategorii ludzi „zwykłych” albo „pospolitych” należą również niektórzy bohaterowie naszej opowieści, dotąd (muszę to przyznać) za mało objaśnieni czytelnikom. Są to mianowicie: Warwara Ardalionowna Pticyn, jej mąż - pan Pticyn, i Gawriła Ardalionowicz - jej brat.

W samej rzeczy, nie ma nic przykrzejszego, jak być na przykład bogatym, z porządnej rodziny, przyjemnej powierzchowności, dosyć wykształconym, niegłupim, nawet dobrym, i jednocześnie nie posiadać żadnego talentu, żadnej cennej właściwości, żadnego nawet dziwactwa, ani jednej własnej myśli, być zdecydowanie „takim jak wszyscy”. Majątek, owszem, jest, ale nie rotszyldowski; rodzina zacna, ale niczym się nie odznaczająca; powierzchowność dosyć przyzwoita, ale nic nie mówiąca; wykształcenie solidne, ale nie wiadomo, jak je wykorzystać; rozum nieostatni, ale bez własnych idei; serce niezłe, ale bez odrobiny szlachetności itd., itd. pod każdym względem. Takich ludzi jest na świecie całe mnóstwo, i nawet o wiele więcej, niż się wydaje; dzielą się oni, jak i wszyscy inni ludzie, na dwie główne kategorie: ograniczonych i „znacznie mądrzejszych”. Pierwsi są szczęśliwsi. Zwykły człowiek „ograniczony” z łatwością może sobie wyobrazić, że jest niezwykły i oryginalny, i cieszyć się z tego bez najmniejszych wahań. Niektórym z naszych panien wystarczyło ostrzyć sobie włosy, nałożyć niebieskie okulary i przybrać miano „nihilistek”, żeby natychmiast zdobyć pewność, iż nałożywszy okulary niezwłocznie uzyskały własne „przekonania”. Wystarczyło temu lub owemu rozniecić w swoim sercu trochę jakichś lepszych, jakichś ludzkich uczuć, żeby natychmiast dojść do przekonania, że nikt tak żywo nie czuje jak on, że nikt go nie zdoła wyprzedzić w ogólnym rozwoju. I wystarczyło któremuś z tych ludzi przyjąć na wiarę jakąkolwiek myśl albo przeczytać stroniczkę czegoś bez początku i końca, żeby od razu uwierzyć, iż to są „jego własne myśli”, zrodzone we własnym mózgu. Zuchwalstwo naiwności, jeżeli się tak można wyrazić, dochodzi w takich wypadkach do rzeczy zgoła zadziwiających; wszystko to jest aż niewiarygodne, zdarza się jednak co chwila. Owo zuchwalstwo naiwności, owa niezwykła pewność siebie głupca, jego przekonanie o własnym talencie, doskonale jest uchwycone przez Gogola w znakomitym typie porucznika Pirogowa[114]. Pirogow nie ma nawet cienia wątpliwości, że jest geniuszem, a nawet więcej niż geniuszem; tak dalece w to nie wątpi, że nawet ani razu nie zadaje sobie na ten temat pytania; zresztą żadne pytania dla niego nie istnieją. Wielki pisarz czuł się wreszcie zmuszony poddać go chłóście, aby zadośćuczynić obrażonym uczuciom moralnym swoich czytelników, ujrzawszy jednak, że wielki człowiek tylko się otrząsnął i w celu pokrzepienia sił po egzekucji zjadł kawałek przekładańca - rozłożył ze zdumieniem ręce i tak już pozostawił swoich czytelników. Zawsze ubolewałem nad tym, że Gogol tego wielkiego człowieka, Pirogowa, przedstawił w tak niskiej randze, ponieważ Pirogow tak jest z siebie zadowolony, iż z największą łatwością mógłby sobie wyobrazić, w miarę jak z upływem lat i zgodnie „z linią awansu” powiększają się i grubiejają epolety, że jest na przykład genialnym wodzem; nawet nie wyobrazić sobie, tylko po prostu nie mieć co do tego żadnych wątpliwości: otrzymał stopień generała, czyż więc nie jest wodzem? Iluż takich „wodzów” dostało później straszliwe ciągi na polach bitew[115]? A ilu było Pirogowów między naszymi literatami, uczonymi, propagatorami. Mówię „było”, chociaż, ma się rozumieć, są i teraz...

Jeden z bohaterów naszej opowieści, Gawriła Ardalionowicz Iwołgin, należał do drugiej kategorii; należał do kategorii ludzi „znacznie mądrzejszych”, aczkolwiek cały od stóp do głowy przesycony był pragnieniem oryginalności. Ale ta kategoria, jak już zaznaczyliśmy wyżej, jest o wiele

nieszczęśliwsza od pierwszej. O to właśnie chodzi, że mądry „zwykły” człowiek, nawet bodaj przez małą chwilę (a nawet przez całe życie) uważał się za człowieka genialnego i oryginalnego, niemniej jednak, zachowuje w swoim sercu, choćby w najmniejszej ilości, truciznę zwątpienia, która działa w ten sposób, że mądry człowiek ulega częstokroć zupełnej rozpacz; jeżeli zaś nawet się podda, to zostaje od wewnątrz zatruty tłumioną długo próżnością. Zresztą wypada zaznaczyć, że ujęliśmy tu sprawę krańcowo: w olbrzymiej części wypadków ludzie z tej „mądrej” kategorii kończą bynajmniej nie tak tragicznie; najwyżej pod koniec życia psuje im się mniej lub więcej wątroba, i to wszystko. Zawsze jednak zanim się poddadzą i ukorzą, ludzie ci nieraz nadzwyczaj długo popełniają różne ekstrawagancje, poczynając od młodości, kończąc na wieku rezygnacji, a wszystko dlatego, że koniecznie pragną być oryginalni. Zdarzają się także dziwne wypadki: pragnąc być oryginalnym, niejedni uczciwy człowiek gotów jest popełnić nawet czyn niegodziwy; a bywa i tak, że ten i ów spośród tych nieszczęśliwców nie tylko jest uczciwy, ale nawet dobry, jest opiekunem rodziny, utrzymuje i żywi swoją pracą nawet obcych, nie tylko swoich bliskich, i cóż? - przez całe życie nie może się uspokoić! Bynajmniej nie uspokaja i nie cieszy go myśl, że jako człowiek tak dobrze spełnił swoje obowiązki, przeciwnie nawet, to go właśnie irytuje: „Więc na to zmarnowałem całe życie, więc to mi krępowało ręce i nogi, więc to mi przeszkodziło wynaleźć proch. Gdyby nie to, byłbym na pewno odkrył Amerykę albo wynalazł proch; nie wiem dokładnie co, ale na pewno coś bym odkrył albo wynalazł!” Najbardziej charakterystyczne w tych panach jest to, że przez całe życie w żaden sposób nie mogą stwierdzić na pewno, co właściwie mają odkryć i co przez całe życie gotowi są wynaleźć: proch czy Amerykę? Ale ich cierpienie i tęsknoty do odkryć i wynalazków doprawdy wystarczyłoby dla niejednego Kolumba albo Galileusza.

Gawriła Ardalionowicz zaczynał właśnie w podobny sposób; ale dopiero zaczynał. Długo jeszcze miał wyprawiać różne ekstrawagancje. Głębokie i trwałe poczucie tego, że jest człowiekiem bez talentu, a jednocześnie przemożna chęć upewnienia się, że jest człowiekiem najbardziej samoistnym, silnie zraniły mu serce, i to jeszcze w chłopięcych prawie latach. Był to młody człowiek pełen zawistnych i gwałtownych pragnień, a przy tym jak gdyby urodzony już z roztrzęsionymi nerwami. Gwałtowność swoich pragnień brał za ich siłę. Przy swojej namiętnej chęci odznaczenia się gotów był nieraz do iście szaleńczego skoku; gdy jednak sprawa dochodziła już do tego skoku, bohater nasz okazywał się zawsze zbyt mądry, żeby się na to zdecydować. To go zabijało. Może nawet przy sposobności zdecydowałby się na jakiś wybitnie podły uczynek, byle urzeczywistnić chociaż część swoich marzeń; ale jakby umyślnie, gdy przyszło co do czego, okazywał się zbyt uczciwy, aby popełnić jakiś wybitnie podły uczynek. (Na jakiś nie zanadto podły uczynek zawsze był zresztą gotów się zgodzić.) Z obrzydzeniem i nienawiścią patrzył na ubóstwo i na upadek swojej rodziny. Nawet do matki odnosił się wyniośle i z pogardą, mimo iż sam doskonale rozumiał, że reputacja i charakter jego matki stanowiły na razie główny punkt oparcia w jego karierze. Obejmując posadę u Jepanczyna powiedział sobie od razu: „Jak być podłym, to być podłym aż do końca, byle tylko wygrać” - i prawie nigdy nie był podłym aż do końca. Bo i dlaczego sobie wyobraził, że koniecznie musi postępować podle? Agłai po prostu zląkł się wówczas, ale sprawy z nią nie porzucił, przeciągał ją na wszelki wypadek, chociaż nigdy serio w to nie wierzył, by Agajaja mogła zniżyć się do niego. Później, podczas swoich perypetii z Nastasją Filipowną, wyobraził sobie raptem, że wszystko zależy od pieniędzy. „Jak być podłym, to być podłym” - powtarzał sobie wtedy codziennie z pewnym zadowoleniem, ale i z pewnym strachem. „Jak się już zdecydować na święstwa, to dojsz w nich do szczytu, człowiek przeciętny w takich wypadkach straci śmiałość, a ja nie stracę” - dodawał sobie co chwila otuchy. Przegrawszy Aglaję, przybity niepowodzeniami, całkiem upadł na

duchu i rzeczywiście przyniósł księciu pieniądze, które mu wtedy cisnęła niepoczytalna kobieta, a jej przyniósł je również niepoczytalny mężczyzna. Tego zwrotu pieniędzy żałował potem tysiąc razy, chociaż i nieustannie się tym chwalił. Rzeczywiście płakał przez te trzy dni, kiedy księżę przebywał w Petersburgu, ale go przez ten czas zniechęcił, bo księżę patrzył na niego z nazbyt wyraźnym współczuciem, a przecież na taki gest, jak zwrócenie tyłu pieniędzy, „nie każdy by się zdobył”. Szlachetne jednak przyznanie się sobie, że cała jego zgryzota wynika tylko z nieustannie tłumionej próżności, okropnie go dręczyło. Dopiero po długim czasie dostrzegł i przekonał się, jaki doniosły obrót mogłaby przybrać jego sprawa z tak niewinną i dziwną istotą jak Agłaja. Gryzł się i martwił; rzucił pracę i pograżył się w smutku i beznadziejności. Mieszkał u Pticyna i był na jego utrzymaniu razem z ojcem i matką; jawnie pogardzał Pticynem, chociaż jednocześnie słuchał jego rad i był na tyle rozsądny, że się o nie zwracał do szwagra. Gawriła Ardalionowicz gniewał się na przykład, że Pticyn nie ma zamiaru zostać Rotszyldem i nie wytyka sobie takiego celu. „Skoro już jesteś lichwiarzem, to idź do końca, duś ludzi, wyciskaj z nich pieniądze, stań się czymś więcej, stań się królem żydowskim!” Pticyn był skromny i cichy; uśmiechał się tylko, ale raz wreszcie uznał, że musi rozmówić się z Ganią poważnie, i uczynił to nawet z pewną godnością. Dowiódł Gani, że nie popełnia nic nieuczciwego i że niesłusznie Gania nazywa go Żydem; że jeśli pieniądz ma taką wartość, to on temu nie jest winien; że interesy prowadzi solidnie, bez kręactw i jest właściwie tylko agentem w „tych” sprawach; że na koniec dzięki własnej staranności w załatwianiu wszelkich transakcji wyrobił sobie odpowiednią markę u najwybitniejszych osobistości, dzięki czemu stale rosą jego wpływy i zyski. „Rotszyldem nie będę, a i nie mam po co - dodał z uśmiechem - ale dom na Litiejnej kupię, a może nawet dwa, i na tym skończę.” „A kto wie, może i trzy!” - mówił do siebie w duchu, ale na głos nie wypowiadał tego i krył się ze swoim marzeniem. Natura lubi i faworyzuje takich osobników: wynagrodzi też Pticyna nie trzema, ale na pewno czterema domami, i właśnie za to, że on od dziecka już wiedział, iż Rotszyldem nigdy nie będzie. Jednak poza te cztery domy natura się nie posunie i na tym skończy się kariera Pticyna. Zupełnie inną osobą była siostra Gawriły Ardalionowicza. Ona też była owładnięta mocnymi pragnieniami, jednak bardziej uporzuciwymi, a mniej gwałtownymi. Miała dużo rozsądku, kiedy sprawa dochodziła do ostatecznej granicy, ale i przed tą granicą rozsądek nigdy jej nie opuszczał. Wprawdzie i ona należała do kategorii ludzi „zwykłych”, marzących o oryginalności, ale za to bardzo prędko zdołała sobie uświadomić, że nie posiada ani krzty jakiegokolwiek oryginalności, niezbyt długo się tym trapiła - kto wie, może z jakiegokolwiek osobliwej dumy. Pierwszy swój krok praktyczny w życiu postawiła z niezwykłą stanowczością, wychodząc za mąż za pana Pticyna; ale bynajmniej nie powiedziała sobie przy tym: „Jak być podłą, to być podłą, byle dopiąć celu”, jak nie omieszkałaby przy takiej sposobności powiedzieć Gawriła Ardalionowicz (a niewiele brakowało, żeby się tak wyraził, i to w jej obecności, kiedy jako starszy brat zaaprobował jej postanowienie). Nawet, wprost przeciwnie: Warwara Ardalionowna wyszła za mąż wtedy, gdy się przekonała, że jej przyszły małżonek jest człowiekiem skromnym, sympatycznym, dość wykształconym i niezdolnym do popełnienia większej podłości. Mniejszych Warwara Ardalionowna się nie interesowała, bo to były drobnostki; a gdzież nie ma takich drobnostek? Ideału się nie znajdzie! Wiedziała przy tym, że wychodząc za mąż daje tym samym przytułek ojcu, matce i braciom. Widząc nieszczęście brata, zapragnęła mu pomóc, mimo wszelkie poprzednie swary rodzinne. Pticyn czasami napędzał Ganię do jakiegokolwiek pracy; oczywiście po przyjacielsku. „Gardzisz generałami i generalstwem - mówił niekiedy żartobliwie - ale tylko popatrz: „oni” wszyscy zostają w końcu generałami; jak pożyczysz, przekonasz się o tym”. „Skąd im to przyszło do głowy, że ja gardzę generałami i generalstwem?” - sarkastycznie myślał o sobie Gania. Żeby wesprzeć brata, Warwara Ardalionowna postanowiła rozszerzyć zakres swoich poczynań: wcisnęła

się do Jepanczynów, do czego dopomogły jej wspomnienia z lat dziecińczych - i ona, i brat bawili się wtedy z córkami generałostwa. Wypada tu zauważyć, że gdyby Warwara Ardalionowna, utrzymując stosunki z Jepanczynami, miała na względzie urzeczywistnienie jakiegoś swojego marzenia, może od razu przez to samo wyszłaby z tej kategorii ludzi, do której sama się zaliczyła; ale ona nie marzyła o niczym, było tu z jej strony tylko pewne, dosyć uzasadnione wyrachowanie, oparte na charakterze tej rodziny. A charakter Agłai badała bezustannie. Powzięła myśl, żeby Agłaję i brata znowu wzajemnie zbliżyć i pogodzić. Może nawet udało jej się coś niecoś osiągnąć, może nawet popełniała błędy, zbyt licząc na brata i spodziewając się po nim tego, czego on w żadnym wypadku nie mógł z siebie dać. W każdym razie poczynała sobie w domu Jepanczynów dość zręcznie: całymi tygodniami nie wspominała o bracie, była zawsze nadzwyczaj prawdomówna i szczerą, zachowywała się skromnie i z godnością. Co zaś się tyczy głębi własnego sumienia, to bynajmniej nie obawiała się w nią zajrzeć i nie robiła sobie żadnych wyrzutów. To jej dodawało siły. Jedno tylko dostrzegała w sobie niekiedy: że i ona nieraz się irytuje, że i ona ma w sobie wiele ambicji, a bodaj nawet stłumionej pychy; dostrzegała to zwłaszcza wtedy, za każdym prawie razem, kiedy wychodziła od Jepanczynów.

I oto teraz wracała znowu od nich i, jak już powiedzieliśmy, wracała bardzo strapiona i zamyślona. W strapieniu tym przebijała również jakaś szydercza gorycz. Płocyn zajmował w Pawłowsku dość niepozorny, ale obszerny drewniany dom przy pełnej kurzu ulicy, mający wkrótce stać się jego własnością, tak że już nawet zamierzał go komuś odprzedać. Wchodząc na ganek Warwara Ardalionowna usłyszała niezwykle hałas na górze i rozpoznała bardzo podniesione głosy swojego brata i papy. Wszedłszy do pokoju i ujrawszy Ganię biegnącego tam i z powrotem po pokoju bladego z wściekłości i o mało nie wrywającego sobie włosów z głowy, zmarszczyła brwi i w milczeniu siadła na kanapie, nie zdejmując kapelusza. Dobrze zdawała sobie sprawę, że jeżeli jeszcze przez minutę będzie milczeć i nie zapyta brata, dlaczego tak biegnie, to brat z pewnością się rozgniewa. Odezwała się w końcu pytając:

- Wciąż to samo?

- Jakie tam to samo! - krzyknął Gania. - To samo! Nie, teraz diabli wiedzą, co się tu dzieje, a nie to samo! Stary zaczął już dochodzić do szaleństwa... matka płacze w głos. Słowo daję, Waria, albo go wypędzę z domu, albo... albo sam od was ucieknę - dodał, zapewne uprzytomniwszy sobie, że nie można wypędzać ludzi z cudzego domu.

- Trzeba mieć pewne względy - powiedziała Waria.

- Jakie względy! Dla kogo?! - wybuchnął Gania. - Dla jego łajdackich postępów? Nie, jak sobie chcesz, ale tak być nie może! Nie może, nie może, nie może! I cóż to za sposób zachowania się: sam winien, a jeszcze się ciska i rzuca. „Nie chcę mi się wejść przez wrota, musisz rozebrać parkan!...” Ale co ty tak siedzisz? Z taką straszną miną?

- Mina jak mina - odrzekła z niezadowoleniem Waria.

Gania przyjrzał się jej uważnie.

- Byłaś tam? - spytał nagle.

- Byłam.

- Czekaj no, znowu się drą! Taka kompromitacja, i to właśnie teraz!

- Teraz? A cóż takiego jest teraz?

Gania jeszcze uważniej spojrzał na siostrę.

- Dowiedziałaś się czegoś ? - spytał.

- W każdym razie nic niespodziewanego. Dowiedziałam się, że to wszystko prawda. Mój mąż miał rację, jak przepowiedział od początku, tak się też stało. Gdzie on jest?

- Nie ma go w domu. A bo co?

- Księżę formalnie zaręczony; rzecz postanowiona. Starsi mi powiedzieli: Agłaja wyraziła zgodę; przestali to nawet trzymać w tajemnicy. (Przecież tam dotychczas wszystko było otoczone taką tajemnicą!) Ślub Adelajdy znów zostanie odłożony, żeby obydwaj śluby urządzić jednocześnie, tego samego dnia - co za poezja! Istne wiersze. Napisalbyś lepiej wierszyki o małżeństwie zamiast tak biegać na próżno po pokoju. Dziś wieczorem będzie u nich Bielokońska; przyjechała umyślnie; będą goście. Przedstawią go Bielokońskiej, chociaż ona go już zna; zdaje się, że ogłoszą o zaręczynach. Boją się tylko, żeby on czegoś nie upuścił i nie rozbił, kiedy przy gościach wejdzie do pokoju.

Gania z wielką uwagą wysłuchał siostry, ale ku jej zdziwieniu ta katastrofalna dla niego wiadomość nie wywarła na nim, jak się zdawało, takiego oszałamiającego wrażenia.

- No cóż, to było do przewidzenia - rzekł po chwili namysłu. - A zatem koniec! - dodał z jakimś dziwnym uśmiechem, chytrze spoglądając na siostrę i wciąż jeszcze chodząc tam i z powrotem po pokoju, ale już spokojniej.

- Dobrze, że przyjmujesz to tak filozoficznie; naprawdę, jestem rada - powiedziała Waria.

- Ubywa kłopot z głowy; przynajmniej z twojej.

- Zdaje się, że szczerze chciałam ci oddać przysługę, nie mędrkując i nie nudząc; nie pytałam ciebie, jakiego to szczęścia chciałeś szukać u Agłai.

- A czyż ja... szukałem u Agłai szczęścia?

- Bardzo cię proszę, nie filozofuj! Oczywiście, że tak. Sprawa skończona, a myśmy wyszli na głupców. Przyznam ci się, że ja na to nigdy nie mogłam patrzeć serio; wzięłam się do tego tylko „na wszelki wypadek”, licząc na jej zabawny charakter, a przede wszystkim po to, żeby tobie zrobić przyjemność; wszystkie niemal szanse były na to, że sprawa robi klapę. Sama dotąd nie wiem, co ty właściwie chciałeś osiągnąć.

- Teraz ty i twój mąż zaczniecie mnie napędzać do pracy; będziecie mnie pouczać, co to jest upór i siła woli, jak to nie trzeba gardzić nawet drobiazgami, i tak dalej; umiem to już na pamięć -

roześmiał się Gania.

„Pewnie knuje coś nowego” - pomyślała Waria.

- Jakże tam - rodzice zadowoleni ? - spytał nagle Gania.

- Zdaje się, że nie. Zresztą sam się możesz zorientować; Iwan Fiodorowicz zadowolony; matka się boi; przedtem też z obrzydzeniem patrzyła na niego jako na konkurenta; wszyscy to wiedzą.

- Ale ja nie to mam na myśli; narzeczony jest nie do pojęcia i nie do przyjęcia, to jasne. Pytam o sytuację obecną, co się tam u nich dzieje. Czy dała formalną zgodę?

- Dotychczas nie powiedziała: „nie” - to wszystko; ale czego innego nie można się było po niej spodziewać. Wiesz, jak jest absurdalnie wstydliva i nieśmiała: będąc dzieckiem zamykała się w szafie i przesiadywała w niej po dwie i trzy godziny, żeby tylko nie wyjść do gości; wyrosła na wielką pannicę, a zachowuje się tak samo. Wiesz, nie wiem czemu, ale sędzę, że tam rzeczywiście jest coś poważnego, nawet z jej strony. Ona z księcia podobno śmieje się do rozpuku po całych dniach, żeby się nie zdradzić, z pewnością jednak codziennie coś mu tam szepcze, bo wygląda, jakby był w siódmym niebie, cały aż promienieje... Mówią, że jest okropnie zabawny. Słyszałam od nich samych. Wydało mi się też, że te starsze wprost się ze mnie wyśmiewały.

Gania wreszcie zaczął się chmurzyć; może Waria rozmyślnie zagłębiała się w ten temat, żeby przeniknąć jego prawdziwe myśli. Ale na górze rozległ się znowu krzyk.

- Wypędzę go! - wrzasnął Gania, jakby ucieszony, że wyrze na kimś gniew.

- I będzie nas na każdym kroku znów kompromitował tak jak wczoraj.

- Jak to: jak wczoraj? Co się stało wczoraj? Czyżby... - przestraszył się nagle Gania.

- Ach mój Boże! To nic nie wiesz? - spostrzegła się Waria.

- Co... więc to prawda, że on tam był? - zawołał Gania, wściekły ze wstydu. - Boże, przecie wracasz stamtąd! Dowiedziałaś się czegoś! Był tam stary? Był czy nie?

I Gania rzucił się ku drzwiom; Waria pobiegła za nim i chwyciła go obiema rękami.

- Co ty wyprawiasz? Dokąd lecisz? - mówiła. - Wypuścisz go teraz, to jeszcze gorszych rzeczy nawyrabia, będzie chodził po wszystkich!...

- Co on tam narobił? Co mówił?

- Sami nie umieli mi powtórzyć, bo nie zrozumieli; jednak wszystkich porządnie nastraszył. Przyszedł do Iwana Fiodorowicza, ale go nie zastał; więc zameldował się do Lizawiey Prokofiewny. Z początku prosił ją o posadę, że chciałby pracować, a potem zaczął się uskarżać na nas, na mnie, na męża, zwłaszcza na ciebie... nagadał mnóstwo różności.

- Nie mogłaś się wywiedzieć? - dygotał Gania jakby w napadzie hysterii.

- Skądże! Sam pewno nie rozumiał, co mówił; a może nie powtórzono mi wszystkiego.

Gania złapał się za głowę i pobiegł do okna; Waria usiadła przy drugim oknie.

- Śmieszna jest ta Agłaja - zauważyła nagle - zatrzymuje mnie i powiada: „Niech pani złoży ode mnie wyrazy mojego szczególnego uszanowania swoim rodzicom; z pewnością znajdę w tych dniach okazję, żeby się zobaczyć z pani ojczulkiem.” I mówi to tak poważnie. Niezwykle dziwna historia...

- Czy to nie były żarty? Nie były kpiny?

- Właśnie że nie; dlatego to jest takie dziwne.

- Czy ona wie, czy nie wie o starym, jak myślisz?

- Że u nich w domu nie wiedzą, to dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości; ale podsunąłeś mi myśl: Agłaja może i wie. Ona jedna może wiedzieć, bo siostry były też zdziwione, kiedy tak poważnie przysyłała ojcu ukłony. I z jakiej racji właśnie jemu? Jeżeli wie, to tylko od księcia!

- Nie sztuka stwierdzić, od kogo! Złodziej! Tego jeszcze brakowało. Złodziej w naszej rodzinie, i to „głowa rodziny”!

- Głupstwo, i tyle! - krzyknęła Waria, całkiem rozgniewana. - Pijacki wybryk, nic więcej. I któż to wymyślił? Lebediew, ksiązę... obaj dobrzy sobie; okropnie mądrzy. Potrafię ich ocenić.

- Stary jest złodziejem i pijakiem - zgryźliwie ciągnął dalej Gania - ja jestem goły jak święty turecki, mąż siostry uprawia lichwę - miała się na co znieść Agłaja! To się nazywa ładna rodzinka!

- Ten mąż siostry, ten lichwiarz, ciebie...

- Utrzymuje, tak? Nie krępuj się, bardzo proszę...

- Czego się złościysz? - powiedziała Waria. - Nic nie rozumiesz, jakbyś dopiero chodził do szkoły. Myślisz, że to wszystko mogło ci zaszkodzić w oczach Agłai? Nie znasz jej charakteru; odwróci się od najlepszego konkurenta, a z rozkoszą poleci za jakimś studentem, żeby klepać biedę m poddaszu - to jej marzenie! Nigdy nie mogłeś pojąć, jak wiele zyskałbyś w jej oczach, gdybyś wytrwale, z godnością umiał znosić naszą sytuację. Ksiązę złapał ją na wędkę, po pierwsze tym, że wcale jej nie łowił, a po drugie, że wszyscy go uważają za idiotę. Już to, że zmaści wodę, że poróżni całą rodzinę, sprawia jej teraz wielką satysfakcję. Ee, wszyscy nic nie rozumiecie!

- No, to się jeszcze okaże: rozumiemy czy nie rozumiemy - mrucał zagadkowo Gania - jednak bardzo bym nie chciał, żeby ona się dowiedziała o starym. Sądziłem, że ksiązę powstrzyma się i nie opowie. Przecie powstrzymał Lebediewa; przecie i mnie nawet nie chciał o wszystkim powiedzieć, kiedy nalegałem...

- Sam więc widzisz, że i bez niego wszystko jest wiadome. I o cóż ci teraz chodzi? Czego się

jeszcze spodziewasz? A gdybyś nawet miał jaką nadzieję, śmiało mógłbyś w jej oczach uchodzić za męczennika.

- No, skandalu to i ona by się złękła, mimo całego swego romantyzmu. Wszystko do pewnych granic i wszystkie do pewnych granic, wszystkie jesteście takie.

- Agłaja by się złękła? - uniosła się Waria, pogardliwie spojrzawszy na brata. - Ale ty masz jednak podławą duszyczkę! Wszyscy jesteście nic niewarci. Niech ona sobie będzie śmieszna i dziwaczna, jednak tysiąc razy jest szlachetniejsza od nas wszystkich.

- No, nic takiego nie powiedziałem, nie żołądkuj się - mruknął znowu Gania dosyć protekcjonalnym tonem.

- Żal mi tylko matki - ciągnęła dalej Waria - obawiam się, żeby do niej nie doszła ta historia z ojcem; ach, jak ja się tego boję!

- Na pewno już doszła - zauważył Gania.

Waria wstała, żeby pójść na górę do Niny Aleksandrowny, ale zatrzymała się i uważnie popatrzyła na brata.

- Któż jej mógł powiedzieć?

- Prawdopodobnie Hipolit. Sądzę, że z wielką przyjemnością zaraportował to matce, jak tylko przeniósł się do nas.

- Ale skąd on o tym wie, wytłumacz z łaski swojej? Księżę i Lebediew postanowili nikomu nie mówić; Kola nawet nic nie wie.

- Hipolit, pytasz? Sam się dowiedział. Nie możesz sobie wyobrazić, co to za sprytna bestia; co to za plotkarz; jaki ma nos; potrafi nim przewąchać każde świństwo, każdy skandal. Wierz albo nie wierz, ale ja jestem przekonany, że on uzyskał nieograniczony wpływ na Agłaję! A jeśli jeszcze nie uzyskał, to uzyska. Rogożyn również wszedł z nim w komitywę. Że też księżę tego nie widzi! A jak mu się chce teraz mnie podejść! Uważa mnie na osobistego wroga, dawno już spostrzegłem; ale dlaczego, o co mu chodzi - nie mogę pojąć! Przecież i tak niedługo umrze. Lecz ja go wystrychnę na dudka; zobaczysz, że nie on mnie, tylko ja jego podejdem.

- Dlaczego więc starałeś się go przeciągnąć na swoją stronę, jeżeli go tak nienawidzisz? I czy on wart jest tego, żeby go podchodzić?

- Ty poradziłaś, żeby go skaptować.

- Myślałam, że będzie nam przydatny; a czy wiesz, że on teraz zakochał się w Agłai i pisał do niej? Wypytywano mię... O mało nie napisał do Lizawiey Prokofiewny.

- Pod tym względem nie jest niebezpieczny! - zawołał Gania, roześmiewszy się złowieszczo. - Zresztą może to i prawda, ale niezupełnie. Zakochać się mógł, bo to smarkacz! Ale... pisać anonimów

do starej nie będzie. To taka zjadliwa, nikczemna, zadowolona z siebie miernota!... Jestem przekonany, wiem na pewno, że on jej odmalował mnie jako intryganta; od tego zaczął. Wyznam, że z początku zwierzyłem mu się jak głupiec; przypuszczałem, że sama chęć zemsty na księciu zbliży go do mnie; a to taka chytra bestia! O, rozgryzłem go teraz całkowicie. O tej zaś kradzieży musiał słyszeć od swojej matki, kapitanowej. Stary, jeżeli się na coś podobnego zdecydował, to tylko dla kapitanowej. Nagle ni z tego, ni z owego zawiadamia mnie, że „generał” obiecał jego matce czterysta rubli, i to najzupełniej tak, ni z tego ni z owego, bez żadnych ceremonii. Wtedy wszystko zrozumiałem. I tak mi słodko patrzy w oczy, z jakąś dziwną rozkoszą; mamie także z pewnością powiedział wyłącznie po to, aby sobie sprawić przyjemność, a jej zranić serce. I dlaczego on jeszcze nie umarł, powiedz mi z łaski swojej! Przecież zobowiązał się umrzeć w ciągu trzech tygodni, a tymczasem jeszcze przytył! Przestaje kasłać; sam mi wczoraj wieczorem mówił, że już nie pluje krwią.

- Wypędź go.

- Ja go nie nienawidzę, tylko nim pogardzam - rzekł z dumą Gania. - No tak, tak, niech będzie, że go nienawidzę, niech będzie! - zawołał nagle z szaloną wściekłością. - I powiem mu to w oczy, kiedy już będzie konał w swoim łóżku! Żebyś ty przeczytała jego spowiedź - o Boże, cóż to za naiwne zuchwalstwo! To porucznik Pirogow, to tragiczna odmiana Nozdriewa[116], a przede wszystkim - smarkacz! O, z jaką rozkoszą wychłostałbym go wtedy; właśnie, żeby go zadziwić. Teraz mści się na wszystkich za to, że wtedy mu się nie udało... Ale co to takiego? Tam znowu hałas! Cóż to ma znaczyć! Tego już dłużej nie będę tolerował. Pticyn! - krzyknął na wchodzącego do pokoju Pticyna. - Co to jest, do czego u nas w końcu dojdzie? To... to...

Ale hałas szybko się zbliżał, drzwi raptem się otworzyły i stary Iwołgin, rozzłoszczony, purpurowy, wstrząśnięty, nie panując nad sobą, też podbiegł do Pticyna. Za generałem podążali: Nina Aleksandrowna, Kola i, w tyle za wszystkimi, Hipolit.

II

Hipolit już przed pięcioma dniami przeniósł się do domu Pticyna. Stało się to jakoś naturalnie, bez rozmowy na ten temat i bez żadnego dysonansu między nim a księciem; nie tylko nie poróżnili się z sobą, ale na pozór nawet rozstali się jakby w przyjaźni. Gawriła Ardalionowicz, tak wrogo usposobiony do Hipolita owego wieczoru, sam przyszedł go odwiedzić już nazajutrz zresztą po znanych wydarzeniach, kierowany zapewne jakąś nową myślą. Nie wiadomo dlaczego i Rogożyn zaczął też przychodzić do chorego. Księżciu zdawało się z początku, że dla „biednego chłopca” nawet lepiej będzie, jeżeli się wyprowadzi z jego domu. Ale i podczas swoich przenosin Hipolit już się wyrażał, że przeprowadza się do Pticyna, „który był taki dobry i dał mu u siebie kącik”, ani razu natomiast, jakby naumyślnie, nie powiedział, że ma zamieszkać u Gani, chociaż to Gania nalegał, żeby go przyjęto do ich domu. Gania już wtedy to spostrzegł i zachował w sercu urazę. Miał rację mówiąc siostrze, iż chory lepiej się czuje i wygląda. Hipolit był istotnie zdrowszy niż przedtem, co było widoczne na pierwszy rzut oka. Wszedł do pokoju nie śpiesząc się, za wszystkimi, z drwiącym i złośliwym uśmiechem na ustach. Nina Aleksandrowna weszła bardzo wystraszona. (Przez ostatnie pół roku ogromnie się zmieniła, schudła; wydawszy córkę za męża i przeniósłszy się do niej, prawie się już nie mieszała do spraw swoich dzieci.) Kola był zatroskany i jakby zaskoczony; nie rozumiał różnych „wariackich postępów generała”, jak się wyrażał, nie znając oczywiście zasadniczej przyczyny tego nowego zamieszania w domu. Ale było dla niego rzeczą zupełnie jasną, że ojciec takie już robi zawsze i wszędzie głupstwa, tak bardzo i nagle się zmienił, że stał się jakby innym człowiekiem. Niepokoiło go również to, że stary od trzech dni zupełnie przestał pić. Wiedział, że ojciec rozszedł się i nawet pokłócił z księciem i Lebediewem. Kola dopiero co wrócił do domu z półsztofową[117] butelką wódki, którą nabył za własne pieniądze.

- Doprawdy, mam - przekonywał jeszcze na gorze Ninę Aleksandrownę - doprawdy, już lepiej niech się napije. Trzy dni nie pił; musi być zdenerwowany. Doprawdy, tak będzie lepiej; nosiłem mu przecież i do aresztu...

Generał otworzył drzwi na oścież i stanął na progu, trzęsąc się wprost z oburzenia.

- Łaskawy panie - krzyknął grzmiącym głosem do Pticyna. - Jeżeli Pan istotnie postanowił poświęcić poważnego starca, ojca pańskiego, a przynajmniej ojca pańskiej żony, zasłużonego swojemu monarsze, na rzecz młokosa i ateisty, to noga moja nie postanie więcej w tym domu. Niech pan wybiera, i to niezwłocznie: albo ja, albo ten... świder! Tak, świder! Powiedziało mi się tak niechący, ale to jest świder! Ponieważ prześwidrował moją duszę na wylot i bez żadnego respektu!...

- Czy nie korkociąg? - wtrącił Hipolit.

- Nie, nie korkociąg, bo stoi przed tobą generał, a nie butelka. Ja mam order, mam odznaczenia... a ty masz figę. Albo on, albo ja! Niech pan zaraz zdecyduje, zaraz! - krzyknął znowu w napadzie wściekłości do Pticyna.

Tu Kola podsunął krzesło, na które generał osunął się prawie bez sił.

- Doprawdy, lepiej by pan... poszedł spać - wymamrotał oszołomiony Pticyn.

- I on jeszcze śmie grozić! - rzekł po cichu do siostry Gania.

- Spać! - krzyknął generał. - Nie jestem pijany, łaskawy panie; pan mnie obraża. Widzę - ciągnął dalej, znów wstając - widzę, że tu wszystko przeciwko mnie, wszystko i wszyscy. Dość tego! Odchodzę... Ale niech pan pamięta, łaskawy panie, niech pan pamięta...

Nie dano mu dokończyć i posadzono z powrotem; proszono, by się uspokoił. Gania, wściekły, usunął się do kąta. Nina Aleksandrowna trzęsła się i płakała.

- A cóż ja mu zrobiłem? Na co on się skarży? - zawołał Hipolit, szczerząc zęby.

- Nic pan nie zrobił? - zauważyła nagle Nina Aleksandrowna. - Zwłaszcza panu powinno być wstyd i... to jest nieludzkie, żeby tak męczyć starca... i w dodatku na pańskim miejscu.

- Po pierwsze, nie wiem, co to za jakieś moje miejsce, proszę szanownej pani! Ja panią bardzo poważam, właśnie panią, panią osobiście, ale...

- To świder! - krzyknął generał. - On chce mi prześwidrować duszę i serce! Chce, żebym uwierzył w ateizm! Wiedz, młokosie, że jeszcze się nie urodziłeś, kiedy ja już byłem obsypany honorami; a ty jesteś tylko zawistny robak, przepołowiony, kaszlący... i zdychający ze złości i niedowiarstwa... I po co cię tu Gawriła sprowadził? Wszyscy przeciwko mnie, i obcy, i swoi; nawet rodzony syn!

- Niech ojciec nie robi tragedii! - zawołał Gania. - Lepiej było nie hańbić nas po całym mieście!

- Ja zhańbiłem ciebie, młokosie? Ciebie? Mogę ci tylko honoru przydać, a nie zhańbić!

Zerwał się i już go nie można było powstrzymać, ale i Gawriłę Ardalionowicza porwała ostatnia pasja.

- Ładny mi honor! - zawołał ze złością.

- Coś ty powiedział? - huknął generał, blednąc i idąc ku niemu.

- A to, że wystarczy mi usta otworzyć, aby... - zaczął donośnym głosem Gania, ale nie skończył. Obaj stali naprzeciwko siebie, w najwyższym stopniu podnieceni, zwłaszcza Gania.

- Gania, co robisz! - krzyknęła Nina Aleksandrowna podbiegając, by powstrzymać syna.

- Powariowali wszyscy - odezwała się z oburzeniem Waria. - Niechże mama do spokój - chwyciła ją za rękę.

- Oszczędzam go tylko ze względu na mamę - rzekł tragicznym głosem Gania.

- Mów! - ryczał w szalonym zapamiętaniu generał. - Mów, bo rzucę na ciebie ojcowskie

przekleństwo... Mów!

- Strasznie się boję tego przekleństwa! A kto temu winien, że ojciec chodzi od ośmiu dni jak obłąkany? Ósmy dzień, wiem, jakbym czytał z kalendarza... Niech ojciec nie doprowadza mnie do ostateczności, bo wszystko powiem... A po co ojciec łąził wczoraj do Jepanczynów? Stary człowiek, siwe włosy, głowa rodziny! Dobry sobie!

- Milcz, Ganka! - krzyknął Kola. - Milcz, głupi!

- Ale czymże ja mianowicie, czymże ja go obraziłem? - nalegająco pytał Hipolit, wciąż jednak tym samym, jakby szyderczym tonem. - Dlaczego on mnie nazywa świdrem, słyszeli państwo? Sam się do mnie przyczepił i zaczął opowiadać o jakimś kapitanie Jeropiegowie. Wcale nie łąknę pańskiego towarzystwa, panie generale; unikałem go i przedtem, sam pan dobrze wie. I co mnie może obchodzić jakiś kapitan Jeropiegow, zgodzi się pan chyba? Nie przyjechałem tutaj dla kapitana Jeropiegowa. Wyraziłem tylko na głos swoje przypuszczenie, że taki kapitan nigdy może nie istniał. A pan generał robi z igły widły.

- Na pewno nie istniał! - rzekł ostro Gania.

Ale generał stał jak oszołomiony i tylko bezmyślnie rozglądał się dokoła. Słowa syna uderzyły go nadzwyczajną szczerością, z jaką zostały wypowiedziane. W pierwszej chwili nie wiedział nawet, co ma odrzec. Aż wreszcie, dopiero kiedy Hipolit po słowach Gani wybuchnął śmiechem i zawołał: „No słyszał pan, rodzony pański syn potwierdza, że nigdy nie było żadnego kapitana Jeropiegowa”, starzec wymamrotał, zupełnie zbity z pantałyku:

- Kapitona Jeropiegowa, a nie kapitana... Kapitona... dymisjonowany podpułkownik Jeropiegow... Kapiton.

- Ależ nie było i Kapitona! - rozzłościł się do reszty Gania.

- Dla... dlaczego nie było? - wyjąkał generał i oblał się gwałtownym rumieńcem.

- Dajcie już spokój! - mitygowali ich Pticyn i Waria.

- Milcz, Ganka - krzyknął znowu Kola.

Ale ta interwencja jakby otrzeźwiła również generała.

- Jak to nie było? Dlaczego nie było? - zapytał groźnym głosem syna.

- Dlatego, że nie było. Nie było, i basta; i wcale być nie może. Tyle ojcu powiem. Niech się ojciec odczepi, bardzo ojca proszę.

- I to syn... to mój syn rodzony, którego ja... O Boże! Jeropiegowa, Jeroszki Jeropiegowa nie było!

- No właśnie, to Jeroszki, to Kapitoszki! - wtrącił Hipolit.

- Kapitoszki, łaskawy panie, Kapitoszki, a nie Jeroszki! Kapiton, Kapitan Aleksiejewicz, to jest, przepraszam, Kapiton... podpułkownik... dymisjonowany... ożenił się z Marią... z Marią Pietrowną Su... Su... przyjaciel i kolega... Sutugow, z czasów jeszcze junkierskich. Ja za niego przelałem... ja go zasłoniłem... zabity. I Kapitoszki Jeropiegowa nie było! Nie istniał!!

Generał wrzeszczał jak opętany, ale tak, że można było pomyśleć, iż słowa dotyczyły jednej rzeczy, a krzyk drugiej. Wprawdzie kiedy indziej zniósłby nawet coś bardziej obraźliwego niż twierdzenie o zupełnym nieistnieniu Kapitona Jeropiegowa, pokrzyczałby trochę, wymyślił jakąś nową historyjkę, uniósł się, ale koniec końcem poszedłby do siebie na górę spać. Teraz atoli wskutek niezwykle dziwnych właściwości ludzkiego serca zdarzyło się tak, że właśnie podobna obraza, jak powątpiewanie co do Jeropiegowa, musiała przepełnić czarę. Starzec zaczerwienił się, wznosił ręce i zawołał:

- Dość tego! Rzucam klątwę... wynoszę się stąd! Mikołaj! Przynies mój sakwojaż, zabieram się... idę!

Wyszedł z pośpiechem, niezwykle rozgniewany. Podążyli za nim: Nina Aleksandrowna, Kola i Pticyn.

- Coś ty narobił - powiedziała Waria do brata. - Gotów jeszcze znowu tam poleżeć. Co za wstyd, co za wstyd!

- A niech nie kradnie! - krzyknął Gania, o mało się nie zachłystując złością; nagle spojrzenie jego padło na Hipolita; Gania o mało się nie zatrząsał. - A pan, mój panie, powinien pamiętać, że bądź co bądź znajduje się pan w cudzym domu i... korzysta z gościnności, więc nie wolno panu rozdrażniać starca, który najwidoczniej postradał rozum...

Hipolit też jakby wstrząsnął się cały, ale momentalnie zapanował nad sobą.

- Niezupełnie zgadzam się z panem, że pański ojczulek postradał rozum - odrzekł spokojnie - wydaje mi się, że wprost przeciwnie, w ostatnich czasach nawet mu przybyło rozumu; daję słowo; nie wierzy pan? Taki się zrobił ostrożny, tyle ma zawsze wątpliwości, tak zawsze waży każde słowo... O tym Kapitoszce przecież rozmyślnie zaczął ze mną mówić; niech pan sobie wyobrazi, chciał mnie naprowadzić na...

- E, diabli mi do tego, na co pana chciał naprowadzić! Ze mną proszę nie kręcić i nie chytryć, mój panie! - wrzasnął piskliwie Gania. - Jeżeli pan też zna prawdziwą przyczynę tego, że starzec jest w takim stanie (a pan tak wszystko szpiegował w ciągu tych pięciu dni, że na pewno ją zna), to całkiem nie wypadało panu rozdrażniać... nieszczęśliwego człowieka i dręczyć moją matkę wyolbrzymianiem sprawy, będącej wierutnym głupstwem, tylko pijackim wybrykiem, nic poza tym, i nikt jej nawet nie potwierdził, a ja nie przywiązuję do niej żadnego znaczenia... Ale pan musi jątrzyć i szpiegować, bo pan jest... pan jest...

- Świder - uśmiechnął się Hipolit.

- Bo pan jest łajdak; pół godziny męczył pan ludzi chcąc ich nastraszyć, że się pan zastrzeli

swoim nie nabitym pistoletem, i tak pan haniebnie sfuszerował: chybiony samobójca, woreczek żółciowy... na dwóch nogach. Udzieliłem panu gościny, utył pan, przestał kasłać i odpłaca mi pan...

- Tylko dwa słowa, niech pan pozwoli; jestem, proszę szanownego pana, u Warwary Ardalionowny, a nie u pana; pan mi nie dawał żadnej gościny i sądzę nawet, że pan sam korzysta z gościnności pana Pticyna. Przed czterema dniami prosiłem matkę, żeby mi znalazła w Pawłowsku mieszkanie i sama się tam przeniósła, ponieważ rzeczywiście czuję się tu lepiej, chociaż bynajmniej nie utyłem i w dalszym ciągu kaszlę. Matka powiadomiła mnie wczoraj wieczorem, że mieszkanie jest, więc spieszę pana ze swej strony powiadomić, iż podziękowawszy pańskiej matce i siostrze dziś jeszcze przeprowadzam się do siebie, jak to już wczoraj wieczór postanowiłem. Przepraszam, że panu przerwałem; pan, zdaje się, chciał jeszcze coś powiedzieć.

- O, jeżeli tak... - zadrżał Gania.

- A jeżeli tak, to proszę mi pozwolić usiąść - dodał Hipolit, najspokojniej sadowiac się na krześle, na którym siedział generał - jestem jednak chory; no, teraz gotów jestem pana słuchać, tym bardziej że to nasza ostatnia rozmowa i nawet może ostatni kontakt osobisty.

Gania zrobiło się nagle wstyd.

- Niech mi pan wierzy - powiedział - że się nie zniżę do porachunków z panem, i jeśli pan...

- Niepotrzebnie pan to mówi z taką pogardą - przerwał Hipolit - ja ze swej strony od razu, gdy się tu przeniósłem, dałem sobie słowo, że się zabawię i wyrąbię panu wszystko, najzupełniej szczerze, przy pożegnaniu. Zamierzam to spełnić właśnie teraz; po panu oczywiście.

- A ja proszę, żeby pan opuścił ten pokój.

- Lepiej niech pan mówi, bo będzie pan żałował, że się pan nie wygadał.

- Niech pan da spokój, panie Hipolicie, to wstyd doprawdy; niech pan przestanie z łaski swojej!
- powiedziała Waria.

- Dla damy gotów jestem - roześmiał się Hipolit wstając z miejsca. - Dla pani, Warwaro Ardalionowno, gotów jestem skrócić rozmowę, ale tylko skrócić, gdyż pewne wyjaśnienia między mną a pani bratem stały się absolutnie konieczne, i za nic stąd nie odejdę tak, aby pozostawić jakieś wątpliwości.

- Jest pan zwyczajnym plotkarzem - zawołał Gania - i nie chce pan odejść bez plotek!

- No proszę - zauważył z zimną krwią Hipolit - już pan nie wytrzymał. Naprawdę będzie pan żałował, że się pan nie wypowiedział. Jeszcze raz udzielam panu głosu. Ja poczekam.

Gawriła Ardalionowicz milczał i patrzył z pogardą.

- Nie chce pan. Postanowił pan okazać charakter - pańska wola. Ja ze swej strony będę się streszczał, jak tylko będę mógł. Dwa czy trzy razy usłyszałem dzisiaj zarzut, że nadużywam

gościnności; to jest niesłuszne. Zapraszając mnie do siebie, pan sam zarzucał na mnie sieci; liczył pan na to, że pragnę zemsty na księciu. W dodatku usłyszał pan, że Agłaja Iwanowna okazała mi współczucie i przeczytała moją spowiedź. Licząc nie wiadomo dlaczego na to, że się całkowicie oddam na pańskie usługi, miał pan nadzieję odpowiedniego wykorzystania mojej osoby. Nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły! Z pańskiej strony też nie potrzebuję ani przyznania się, ani potwierdzenia; wystarczy mi, że pozostawiam to pańskiemu sumieniu i że teraz świetnie rozumiemy się nawzajem.

- Ależ pan z najzwyczajszej sprawy robi Bóg wie co! - zawołała Waria.

- Mówiłem ci, że to jest plotkarz i smarkacz - powiedział Gania.

- Proszę mi pozwolić, Warwaro Ardalionowno, że będę ciągnął dalej. Księcia oczywiście nie mogę ani lubić, ani szanować; ale to jest człowiek niewątpliwie dobry, aczkolwiek... dosyć śmieszny. Nienawidzić jednak nie miałbym go za co; nie dałem nic po sobie poznać wobec pani braciszka, kiedy mnie podzegał przeciwko księciu; chciałem się właśnie uśmieć przy zakończeniu sprawy. Wiedziałem, że pani brat wygada się przede mną i fatalnie spudłuje. Tak się też stało... gotów jestem teraz okazać mu daleko idące względy, lecz tylko z szacunku dla pani, Warwaro Ardalionowno. Ale wyjaśniwszy pani, że mnie nie tak łatwo wziąć na wędkę, wyjaśnię również, dlaczego zapragnąłem wystrychnąć na dudka pani braciszka. Niech pani wie, że uczyniłem to z nienawiści, otwarcie się przyznaję. Poczuję, że umierając (bo jednak umrę niedługo, chociaż utylę, jak państwo twierdzą), że umierając pójdę do raju o wiele spokojniej, jeżeli zdołam okpić przynajmniej jednego przedstawiciela tej niezliczonej kategorii ludzi, którzy prześladowali mnie przez całe życie, których całe życie nienawidziłem i których znakomitym reprezentantem jest pani brat. Nienawidzę pana, Gawriło Ardalionowiczu, wyłącznie za to - pan się może zdziwi - wyłącznie za to, że pan jest typem i uosobieniem, szczytowym niejako przejawem najbardziej zuchwałej, najbardziej zadowolonej z siebie, najwulgarniejszej i najobrzydliwszej pospolitości! Pan jest wcieloną pospolitością, pyszałkowatą, nigdy nie wątpiącą i olimpijsko spokojną, pan jest szablonem szablonów! Żadna, choćby najdrobniejsza idea własna nie zrodzi się nigdy w pańskim umyśle czy sercu. Ale pan jest nieskończenie zawistny; pan jest święcie przekonany o swojej nadzwyczajnej genialności, ale przychodzą takie czarne chwile, kiedy ogarnia pana zwątpienie, i wówczas trzęsie panem gniew i zazdrość. O, są jeszcze ciemne punkty na pańskim widnokrzę; znikną, kiedy pan do reszty zgłupieje, co już jest kwestią niedługiego czasu; jednakże czeka pana długa i urozmaicona droga, wcale niewesoła; i z tego się cieszę. Po pierwsze, przepowiadam panu, że pan nie zdobędzie wiadomej osoby...

- To rzecz nie do zniesienia! - krzyknęła Waria. - Czy pan już skończy wreszcie, ohydny złośniku?

Gania pobladł, drżał i milczał. Hipolit przestał mówić, uważnie i z widoczną satysfakcją popatrzył na niego, przeniósł wzrok na Warię, uśmiechnął się, skłonił i wyszedł, nie dodawszy więcej ani słowa.

Gawriła Ardalionowicz słusznie mógłby uzalać się na los i niepowodzenie. Waria przez pewien czas nie odważała się przemówić do niego, nawet na niego nie spojrzała, podczas gdy on chodził koło niej dużymi krokami; wreszcie podszedł do okna i stanął odwróciwszy się do niej plecami.

Waria przypomniała sobie przysłowie, że '„kij ma dwa końce”'. Na górze znowu rozległ się hałas.

- Idziesz? - raptem zwrócił się do niej, usłyszawszy, że Waria wstaje. - Poczekaj: popatrz na to.

Podszedł i rzucił przed nią na stół małeńki arkusik papieru złożony tak jak list.

- Boże! - krzyknęła Waria składając ręce.

Na kartce było dokładnie siedem linijek:

„Gawriło Ardalionowiczu! Przekonawszy się o Pańskim życzliwym do mnie usposobieniu, postanowiłam prosić Pana o radę w pewnej ważnej dla mnie sprawie. Chciałabym się spotkać z Panem jutro punktualnie o siódmej rano przy zielonej ławce. To niedaleko od naszej willi. Warwara Ardalionowna, która koniecznie musi Panu towarzyszyć, bardzo dobrze zna to miejsce. A.J.”

- No i co po tym wszystkim można o niej sądzić! - rozłożyła ręce Warwara Ardalionowna.

Jakkolwiek Gania miał w tej chwili wielką ochotę udać, że go to nic a nic nie obchodzi, nie mógł jednak nie okazać swojego triumfu, w dodatku jeszcze po tak poniżających przepowiedniach Hipolita. Pełen zadowolenia uśmiech bezceremonialnie wystąpił mu na twarz, a i Waria też się rozpromieniła.

- I to tego samego dnia, kiedy ogłaszają zaręczyny! Co można po tym o niej powiedzieć?!

- Jak myślisz, o czym ona chce jutro mówić? - spytał Gania.

- Wszystko jedno o czym; najważniejsze, że po sześciu miesiącach po raz pierwszy zapragnęła cię widzieć. Słuchajże mnie, Gania: cokolwiek by tam było, jakkolwiek sprawy by się obróciły, pamiętaj, że to jest ważne! Aż nadto ważne! Nie udawaj znowu, nie spudłuj, ale i nie stchórz! Pamiętaj! Czy mogła się nie domyślić, po co ja tam łąziłam całe pół roku? I wyobraź sobie: nie powiedziała mi dziś słowa, nic nie dała po sobie poznać. Ja przecież weszłam do nich drogą kontrabandy; stara nie wiedziała, że ja tam siedzę, bo byłaby mię może przepędziła. Ryzykowałam dla ciebie, chciałam się za wszelką cenę dowiedzieć...

Na górze znów rozległ się krzyk i hałas; kilka osób schodziło ze schodów.

- Za nic nie wolno teraz do tego dopuścić! - krzyknęła Waria z lękiem i w pośpiechu. - Nie może być nawet cienia skandalu! Idź i proś o przebaczenie!

Ale ojciec rodziny był już na ulicy. Kola niósł za nim sakwojaż. Nina Aleksandrowna stała na ganku i płakała; chciała biec za nim, ale Pticyn ją powstrzymywał.

- Pani go tym jeszcze bardziej podjudza - mówił do niej. - Nie ma dokąd pójść, za pół godziny znowu go tu przyprowadzą; porozumiałem się z Kolą; niech sobie trochę pobryka.

- Czego się ojciec tak stawia, dokąd ojciec pójdzie! - zawołał Gania z okna. - Ojciec nie ma

gdzie iść!

- Papo, wróć! - krzyknęła Waria. - Sąsiedzi słyszą.

Generał stanął, odwrócił się, podniósł rękę i rzekł donośnym głosem:

- Przeklinam ten dom!

- Nie może się obejść bez tych teatralnych gestów - mruknął Gania, z trzaskiem zamykając okno.

Sąsiedzi rzeczywiście słuchali. Waria wybiegła z pokoju.

Kiedy już Wari nie było, Gania wziął ze stołu kartkę, przycisnął ją do ust, klasnął językiem i podskoczył z uciechy.

III

Awantura z generałem kiedy indziej skończyłaby się na niczym. I przedtem zdarzały mu się wypadki nagłego szaleństwa w tym samym rodzaju, chociaż dosyć rzadko, gdyż na ogół biorąc był człowiekiem nader potulnym, o niemal dobrych skłonnościach. Ze sto razy bodaj rozpoczynał walkę z nieładem, który zapanował ostatnimi czasy w jego życiu. Przypomniawszy sobie nagle, że jest „ojcem rodziny”, godził się z żoną, szczerze płakał. Aż do ubóstwienia považał Ninę Aleksandrownę za to, że tak wiele i bez słowa przebaczała mu i kochała go nawet w tym jego błazeńskim i poniżającym stanie. Ale szlachetna walka z nieładem trwała zazwyczaj niedługo; generał był też człowiekiem nazbyt „porywistym”, chociaż w swoim rodzaju; w zasadzie nie znosił pokutniczego i próżniaczego życia na łonie rodziny i często się buntował; wpadał w irytację, której sam może w następnej chwili żałował, ale nie mógł się pohamować: kłócił się, zaczynał mówić pompatycznie i kwieciste, wymagał dla siebie niezmiernego i niemożliwego szacunku i koniec końcem ulatniał się z domu, niekiedy nawet na czas dłuższy. W ciągu ostatnich dwóch lat o sprawach swojej rodziny wiedział tylko coś niecoś z grubsza, ze słyszenia; bardziej szczegółowo przestał się nimi zajmować, gdyż nie czuł do tego najmniejszej inklinacji.

Tym razem jednak w „awanturze z generałem” ujawniło się coś niezwykłego; wszyscy jakby o czymś wiedzieli i wszyscy jakby się bali o tym mówić. Generał „formalnie” pokazał się w domu, to znaczy u Niny Aleksandrowny, zaledwie przed trzema dniami, ale jakoś niezbyt pokornie i nie ze skruchą, jak to się zdarzało zawsze przy poprzednich „zgłaszaniach się”; wprost przeciwnie - był jakoś niezwykle rozdrażniony. Strasznie dużo mówił, zdradzał dziwny niepokój, każdego, kogo spotkał, zagadywał z emfazą, jak gdyby rzucając się na człowieka, ale poruszał tematy tak różnorodne i nieoczekiwane, że trudno było dociec, co go właściwie teraz niepokoi. Chwilami bywał wesoły, ale częściej zamyślał się, sam zresztą nie wiedząc, o czym mianowicie; ni stąd, ni zowąd zaczynał o czymś opowiadać - o Jepanczynach, o księciu i Lebediewie - i nagle urywał, przestając w ogóle mówić, a na dalsze pytania odpowiadał tylko tępym uśmiechem, zresztą nie dostrzegając nawet, że ktoś go o coś pyta, a on się uśmiecha. Ostatnią noc spędził na jękach i westchnieniach i umęczył Ninę Aleksandrownę, która przez całą noc grzała mu kompresy; nad ranem nagle zasnął, spał ze cztery godziny i obudził się w niezwykle silnym napadzie hipochondrii, niemal w rozstroju nerwowym; napad ten zakończył się kłótnią z Hipolitem i rzuceniem klątwy na „ten dom”. Dało się również zauważyć, że w ciągu tych trzech dni okazywał wprost chorobliwą ambicję, a wskutek tego był nadzwyczaj obraźliwy. Kola zaś w rozmowie z matką utrzymywał, że to tylko zwykła tęsknota do wódki, a może i do Lebediewa, z którym generał w ostatnich czasach ogromnie się zaprzyjaźnił. Ale przed trzema dniami nagle pokłócił się z Lebediewem i rozszedł się z nim w okropnej złości; a nawet z księciem miał jakąś scenę. Kola prosił księcia o wyjaśnienie i zaczął w końcu podejrzewać, że i on jakby nie chce mu czegoś powiedzieć. Jeżeli nawet zaszła, jak przypuszczał z wszelkim prawdopodobieństwem Gania, jakaś szczególna rozmowa między Hipolitem i Niną Aleksandrowną, to było rzeczą dziwną, że ten złośliwy młodzieniec, którego Gania otwarcie nazwał plotkarzem, nie znalazł przyjemności w uświadomieniu również i w ten sam sposób Koli. Bardzo możliwe, że to był nie taki już niegodziwy „smarkacz”, jak go określał Gania w rozmowie z siostrą: jego niegodziwość była może innego rodzaju; a wątpić też należało, czy powtórzył Ninie Aleksandrownie jakąś swoją obserwację wyłącznie po to, żeby „zranić jej serce”. Nie zapominajmy, że motywy postępów

ludzkich są zazwyczaj o wiele bardziej złożone i różnorodne, niż my je zawsze potem tłumaczymy, i rzadko kiedy dadzą się ściśle określić. Toteż opowiadający lepiej czasami robi, jeżeli się ograniczy do zwykłego wyniszczenia zdarzeń. My również tak postąpimy wyjaśniając obecną katastrofę z generałem; albowiem mimo wszelkich starań, aby uniknąć tej ewentualności, byliśmy bezwzględnie zmuszeni poświęcić i tej drugoplanowej postaci naszego opowiadania trochę więcej uwagi i miejsca, niż dotąd projektowaliśmy.

Wypadki te następowały jedne po drugich w takim porządku :

Kiedy Lebediew po swojej wyprawie do Petersburga w celu odszukania Ferdyszczenki wróci tego samego dnia z generałem, nic szczególnego księciu nie zakomunikował. Gdyby książę nie był wówczas zbyt oderwany od rzeczywistości i pochłonięty innymi doniosłymi dla niego przeżyciami, to mógłby łatwo zauważyć, że i w ciągu następnych dwóch dni Lebediew nie tylko nie udzielił mu żadnych wyjaśnień, ale nawet przeciwnie, sam jakby dłaczegoś unikał z nim spotkania. Zwróciwszy wreszcie na to uwagę, książę aż się zdziwił, że przez te dwa dni podczas przypadkowych spotkań z Lebediewem widział go zawsze dziwnie rozpromienionego i prawie zawsze w towarzystwie generała. Obaj przyjaciele nie rozstawali się już ani na chwilę. Książę od czasu do czasu słyszał dochodzące do niego z góry głośne i ożywione rozmowy, wesole kłótnie przeplatane śmiechem; raz nawet, bardzo późno wieczorem, doleciały jego uszu dźwięki nagle i niespodziewanie zaintonowanej piosenki wojskowo - bachicznej i od razu poznał ochryply bas generała. Pieśń jednak nie została odśpiewana i nagle umilkła. Potem z godzinę jeszcze trwała nadzwyczaj ożywiona i, wedle wszelkich oznak, prowadzona przy kieliszku rozmowa. Można się było domyślić, że uczujący przyjaciele ściskali się i któryś z nich w końcu zaczął płakać. Potem nagle wybuchła gwałtowna kłótnia, która tak samo raptownie się urwała. Kola przez cały ten czas był w jakimś dziwnie frasobliwym usposobieniu. Książę przeważnie w domu nie przesiadywał i wracał do siebie czasem bardzo późno; mówiono mu zawsze, że Kola przez cały dzień go szukał i pytał o niego. Przy spotkaniach jednakże Kola nie miał do powiedzenia nic szczególnego, chyba najwyżej to, że stanowczo jest „niezadowolony” z generała i obecnej jego konduity: „Włóczą się razem, piją tu niedaleko w szynku, ściskają się i wymyślają sobie na ulicy, podburzają się wzajemnie i nie mogą się rozstać.” Kiedy książę zwrócił mu uwagę, że i przedtem było to samo, niemal dzień w dzień, Kola zupełnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć i jak wytłumaczyć, skąd się bierze jego obecny niepokój.

Rano, po bachicznej pieśni i sprzeczce, kiedy książę około jedenastej wychodził z domu, zjawił, się nagle przed nim generał, niezwykle czymś wzburzony, niemal wstrząśnięty.

- Dawno szukałem okazji, żeby mieć honor porozmawiać z panem, drogi książę; dawno, bardzo dawno - mruczał ściskając rękę księcia prawie aż do bólu - bardzo, bardzo dawno.

Książę poprosił go, żeby usiadł.

- Nie, nie usiądę, bo chyba zatrzymuję pana; więc może innym razem. Zdaje się, że mogę przy tym powinszować panu... spełnienia... pragnień serca.

- Jakich pragnień serca?

Książę był zmieszany. Wydawało mu się, tak jak wielu innym w jego sytuacji, że absolutnie nikt nic nie widzi, niczego się nie domyśla i nie rozumie.

- Niech się pan nie boi, niech się pan nie boi! Nie urażę pańskich subtelnych uczuć. Sam doświadczałem i sam wiem, co to znaczy, kiedy ktoś obcy... że tak powiem, wtyka przysłowiowy nos tam, gdzie nie trzeba. Doświadczam tego codziennie rano. Ale przyszedłem w innej, bardzo ważnej sprawie. Bardzo a bardzo ważnej, drogi książę.

Książę jeszcze raz poprosił go, żeby usiadł, i sam usiadł.

- Chyba że na sekundę... Przyszedłem po radę. Ja oczywiście żyję bez praktycznych celów, ale szanując sam siebie i ceniąc... obrotność, której na ogół biorąc tak brakuje Rosjanom... pragnę zachować sobie i żonie mojej, i dzieciom moim pewną pozycję... słowem, drogi książę, potrzebna mi jest rada.

Książę gorąco pochwalił jego zamierzenia.

- No, ale to są wszystko głupstwa - przerwał szybko generał - mnie głównie chodzi nie o to, ale o coś innego, o coś ważnego. I właśnie postanowiłem wyjaśnić panu, drogi książę, jako człowiekowi, w którego szczerłość i szlachetność uczuć wierzę jak... jak... Książę nie dziwi się temu, co mówię?

Książę śledził swojego gościa jeżeli nie ze szczególnym zdziwieniem, to w każdym razie z uwagą i ciekawością. Starzec był nieco blady, usta jego chwilami z lekka drżały, ręce jak gdyby nie mogły sobie znaleźć miejsca. Siedział dopiero kilka minut, a już dwa razy zdążył się podnieść z krzesła i nagle znowu usiąść, najwidoczniej nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co robi. Na stole leżały książki; wziął jedną mówiąc w dalszym ciągu, zajrzał do niej, znów natychmiast zamknął i położył na stole, chwycił drugą książkę, której nie otwierał, tylko już do końca trzymał w prawej ręce, bez przerwy machając nią w powietrzu.

- Dość! - zawołał nagle. - Widzę, że księcia mocno zaniepokoiłem.

- Ależ bynajmniej, co znowu, niech pan będzie łaskaw, słucham z całą uwagą i chciałbym się domyślić...

- Książę! Chcę się postawić w pozycji człowieka godnego szacunku... chcę szanować sam siebie i... swoje prawa.

- Człowiek, który chce takich rzeczy, już tym samym godzien jest szacunku.

Książę wypowiedział to zdanie, jakby je wyczytał z wzorów do kaligrafii, będąc zupełnie pewny, że to wywrze jak najlepsze wrażenie. Jakoś instynktownie wyczuł, że tego rodzaju pustym, ale przyjemnie brzmiącym frazesem, wypowiedzianym w odpowiedniej chwili, można bardzo szybko pozyskać i ułagodzić duszę takiego człowieka, zwłaszcza w sytuacji, w której znajdował się generał. W każdym razie trzeba było takiego gościa udobruchać przed wypuszczeniem z domu, i to właśnie książę postawił sobie za zadanie.

Frazes pochlebił, wzruszył i bardzo się spodobał; generał nagle się rozczulił, od razu zmienił ton i wdał się w entuzjastycznie długie wyjaśnienia. Jakkolwiek jednak księżę natężył umysł, jakkolwiek się wsłuchiwał, nie mógł nic dosłownie zrozumieć. Generał mówił z dziesięć minut, z zapalem, szybko, jakby nie nadążając z wypowiedzaniem tłoczących mu się do głowy myśli; w końcu nawet łzy zabłyśły w jego oczach, ale to wszystko były tylko zdania bez początku i końca, niespodziewane myśli i niespodziewane słowa, nagle i niespodziewanie wyskakujące i prześcigające się nawzajem.

- Dość! Pan mię zrozumiał, więc jestem spokojny - zakończył raptem i wstał - serce takie jak pańskie nie może nie zrozumieć człowieka, który cierpi. Księżę, pan jest ideałem szlachetności! Co znaczą inni wobec pana? Ale pan jest młody i ja pana błogosławię. Koniec końcem przyszedłem pana prosić o wyznaczenie mi godziny, kiedy mógłbym z panem odbyć ważną rozmowę; w tym pokładam swoją największą nadzieję. Szukam tylko przyjaźni i serca, drogi księżę; nigdy nie mogłem dojść do ładu z potrzebami mojego serca.

- Ale dlaczegoż nie teraz? Gotów jestem wysłuchać...

- Nie, księżę, nie! - przerwał z emfazą generał. - Nie teraz! Teraz jest marzenie! To jest zbyt ważne, zbyt ważne! Ta godzina rozmowy będzie godziną, w której zdecydują się moje losy. To będzie moja godzina i nie chciałbym, żeby nam mógł przerwać pierwszy lepszy gość, pierwszy lepszy natręt, może nawet taki - pochylił się nagle ku księciu i dodał dziwnym, tajemniczym, niemal wystraszoną szeptem: - taki natręt, który niewart jest obcasa... z pańskiej nogi, kochany księżę! O, ja nie mówię; z mojej nogi! Proszę na to zwrócić szczególną uwagę, że nie mówiłem o swojej nodze; zanadto się bowiem szanuję, by to wypowiedzieć bez ogródek; ale tylko pan jeden zdolny jest zrozumieć, że odrzucając w danym wypadku swój obcas, składam chyba dowód niezwykle dumnej godności. Oprócz pana nikt inny nie zrozumie, a on przede wszystkim. On nic nie rozumie, proszę pana; zupełnie nie jest zdolny zrozumieć, zupełnie! Żeby zrozumieć, trzeba mieć serce!

Pod koniec rozmowy księżę prawie się przestraszył i wyznaczył generałowi spotkanie na dzień następny o tej samej porze. Generał wyszedł od księcia pełen animuszu, bardzo uradowany i prawie uspokojony. Wieczorem o siódmej księżę wezwał do siebie na chwilę Lebediewa.

Lebediew zjawił się z wielkim pośpiechem „poczytując to sobie za zaszczyt”, jak oświadczył zaraz przy wejściu; zupełnie jakby przez trzy dni wcale się nie ukrywał i nie unikał spotkania z księciem. Usiadł na brzeżku krzesła, strojąc zabawne grymasy, uśmiechając się, ciekawie zerkając dokoła, zacierając ręce i z tak naiwnym wyrazem twarzy, jakby się spodziewał usłyszeć kapitalne oświadczenie, dawno oczekiwane i wszystkim z góry wiadome. Księcia znowu to ubodło; stawało się dla niego jasne, że wszyscy nagle zaczęli spodziewać się od niego jakiegoś zasadniczego oświadczenia, że wszyscy spoglądają na niego, jakby mu chcieli czegoś powinszować, że robią jakieś aluzje, mrugają porozumiewawczo i uśmiechają się znacząco. Keller już ze trzy razy wpadał na chwilę i też z widoczną chęcią złożenia mu życzeń, za każdym razem zaczynał coś mówić bardzo entuzjastycznie i bardzo mętnie, ale nic nie kończył i prędko zniknął. (W ostatnich zwłaszcza dniach bardzo gdzieś popijał i awanturował się w jakiejś sali bilardowej). Nawet Kola, mimo swojego smutnego nastroju, ze dwa razy wszczynał z księciem jakąś niewyraźną rozmowę. Księżę zapytał Lebediewa wprost i z pewnym rozdrażnieniem, co on myśli o obecnym stanie generała: dlaczego generał jest taki niespokojny. W krótkich słowach opowiedział mu niedawną scenę.

- Każdy, proszę księcia, ma swoje kłopoty... a zwłaszcza w naszym dziwnym i niespokojnym wieku; tak, proszę szanownego księcia - odpowiedział dosyć sucho Lebediew i umilkł, obrażony, z miną człowieka ogromnie zawiedzionego w swoich oczekiwaniach.

- Co za filozofia! - uśmiechnął się książę.

- Filozofia jest potrzebna, proszę księcia, i bardzo by się przydała w naszej epoce, w praktycznym zastosowaniu, ale się ją lekceważy, proszę szanownego księcia, tak, tak. Ja ze swej strony, chociaż bywałem zaszczytany zaufaniem księcia w niektórych sprawach, ale tylko do pewnych granic i nigdy poza okoliczności będące w związku z tymi właśnie sprawami. Rozumiem to i wcale się nie skarżę.

- Panie Lebediew, pan jakby gniewa się o coś na mnie!

- Bynajmniej, wcale a wcale, szanowny i najjaśniejszy książę, wcale a wcale się nie gniewam! - zawołał z uniesieniem Lebediew przykładając rękę do serca. - Wprost przeciwnie, od razu pojąłem, że ani pozycją w świecie, ani rozwojem umysłu i serca, ani stanem zamożności, ani poprzednim moim zachowaniem czy też wiedzą - niczym po prostu nie zasłużyłem na pańskie zaszczytne, a wysoce schlebające moim nadziejom zaufanie; a jeżeli mogę panu służyć, to tylko jako niewolnik i najemnik, nie inaczej... ja się nie gniewam, ja się smucę, proszę księcia.

- Łukianie Timofiejewiczu, na miłość boską!

- Nie inaczej! Podobnie i teraz, podobnie i w danym wypadku! Spotykając pana i śledząc go sercem i myślą, mówiłem sobie: przyjacielskich stosunków nie jestem godzien, ale jako gospodarz domu mógłbym może otrzymać w odpowiednim czasie przed wyznaczonym terminem jakieś, że tak powiem, polecenie albo co najwyżej instrukcję w przewidywaniu mających nastąpić i oczekiwanych zmian...

Mówiąc to Lebediew aż się wpił swoimi bystrymi oczkami w przyglądającego mu się ze zdumieniem księcia; wciąż jeszcze miał nadzieję, że zaspokoi swoją ciekawość.

- Stanowczo nic nie rozumiem - zawołał książę nieomal z gniewem - i... pan jest okropnym intrygantem! - roześmiał się nagle jak najszczerzej.

Lebediew też się natychmiast roześmiał, a promieniejące jego oczy wyrażały radość z powodu wyjaśnienia i umocnienia się jego nadziei.

- I wie pan, co panu powiem, Łukianie Timofiejewiczu? Niech pan się tylko nie gniewa na mnie, ale dziwię się pańskiej naiwności, i nie tylko pańskiej! Pan z taką naiwnością oczekuje czegoś ode mnie właśnie teraz, w tej chwili, że mi nawet przykro i wstyd wobec pana, iż nie mam pana czym zadowolić; przysięgam panu jednak, że naprawdę nie mam nic takiego, niech pan sobie wyobrazi!

Książę znowu się roześmiał.

Lebediew przybrał pozę pełną godności. Prawda, że bywał czasami nawet za bardzo naiwny i natrętny w swojej ciekawości; zarazem jednak był człowiekiem dość chytrym i lubiącym kręcić, a w

niektórych wypadkach umiał aż nadto podstępnie milczeć, ciągłym odpychaniem księżę zrobił sobie z niego prawie wroga. Ale księżę odpychał go nie dlatego, że nim pogardzał, tylko dlatego, że przedmiot jego ciekawości był natury niezmiernie delikatnej. Na niektóre swoje marzenia księżę patrzył jeszcze kilka dni temu jak na zbrodnię, a Łukian Timofiejewicz uchylanie się księcia od wynurzeń brał za osobistą nieufność i wstręt do siebie, odchodził z sercem zranionym i zazdrosny był o stosunek księcia nie tylko do Koli i Kellera, ale nawet do własnej swojej córki, Wiery Łukianowny. I teraz, w tej właśnie chwili, może nawet mógłby i pragnął szczerze zakomunikować księciu pewną ważną dla niego wiadomość, ale ponuro zamilkł i nic nie powiedział.

- Czymże właściwie mogę księciu służyć, ponieważ pan mnie teraz... wezwał? - rzekł wreszcie po chwili milczenia.

- Ano, właściwie chodziło mi o generała - to mówiąc księżę drgnął i również na chwilę się zamyślił - i... o tę pańską zgubę czy kradzież, o której mi pan doniósł...

- O co?

- Masz tobie, tak pan teraz mówi, jakby mię zupełnie nie rozumiał! Ach, mój Boże, pan doprawdy wciąż coś udaje!

- Pieniądze, pieniądze, czterysta rubli, które pan wtedy zgubił razem z portfelem i o których przyszedł mi pan opowiedzieć rano, przed wyjazdem do Petersburga - zrozumiał pan nareszcie?

- Aa, księżę o tych czterystu rublach! - powiedział Lebiediew przeciągle, jakby dopiero teraz się domyślił. - Dziękuję księciu za to serdeczne współczucie; bardzo mi ono pochlebia, ale... pieniądze znalazłem, proszę księcia, i to już dość dawno.

- Znalazł pan! To chwała Bogu!

- Okrzyk ten świadczy o wielkiej szlachetności księcia, albowiem czterysta rubli to niemała rzecz dla biednego, żyjącego z ciężkiej pracy człowieka, obciążonego liczną rodziną sierot...

- Ależ mnie nie o to chodzi!... Oczywiście, i z tego się cieszę, że pan je znalazł - poprawił się czym prędzej księżę - ale... jak pan je znalazł?

- W sposób nadzwyczaj prosty: znalazłem pod krzesłem, na którym wisiał surdut, więc najwidoczniej pugilares wysliznął się z kieszeni na podłogę.

- Jak to - pod krzesłem? To niemożliwe; przecież pan mi mówił, że przeszukał wszystkie kąty; jakże więc pan przeoczył w tym najważniejszym miejscu?

- Otóż to właśnie, że i tam patrzyłem! Aż nadto dobrze pamiętam, że i tam patrzyłem, proszę księcia. Łaziłem na czworakach, obmacywałem to miejsce rękami, odstawiwszy krzesło, nie wierząc własnym oczom; no i widzę, że nic nie ma, że miejsce jest puste i gładkie, o, jak moja dłoń, a jednak w dalszym ciągu macam. Podobna niekonsekwencja zawsze się przytrafia człowiekowi, któremu w sposób pożałowania godny zginęło coś bardzo cennego i który chce to koniecznie znaleźć: widzi, że

nie ma nic, miejsce puste, a jednak z piętnaście razy tam zagląda...

- Owszem, zgoda; ale jakże się to jednak stało?... Wciąż jeszcze nie rozumiem - mruzczał księżę, całkiem zbity z tropu - przedtem pan mówił, że tam nie było i że pan na tym miejscu szukał, a tu się nagle znalazło?

- Tak, proszę księcia, a tu się nagle znalazło.

Księżę spojrzał dziwnym wzrokiem na Lebediewa.

- A generał? - zapytał nagle.

- Jak to, proszę księcia, co generał? - znów nie mógł zrozumieć Lebediew.

- Ach, mój Boże! Pytam, co na to powiedział generał, kiedy pan znalazł pod stołem swój pugilares? Przecież panowie przedtem wspólnie szukali.

- Tak, przedtem szukaliśmy wspólnie, proszę księcia. Tym razem jednak przyznam się, że przemilczałem i nie uznałem za stosowne zawiadomić go, że pugilares odnalazłem sam.

- Dla... dlaczegoż tak? A pieniądze są wszystkie?

- Sprawdzalem, proszę księcia, są wszyscyutkie, co do jednego rubla.

- Trzeba było chociaż mnie powiedzieć - zauważył księżę w zamyśleniu.

- Bałem się niepokoić wielce szanownego księcia w związku z jego ściśle osobistymi i, że tak powiem, nadzwyczajnymi przeżyciami; a ponadto sam udawałem, że nic nie znalazłem. Pugilares otworzyłem, obejrzałem, potem zamknąłem z powrotem i znowu położyłem tam, gdzie był pod krzesłem.

- W jakim celu?

- Tak sobie, proszę księcia; byłem ciekaw, co z tego dalej wyjdzie - zachichotał Lebediew i zatarł ręce.

- Więc pugilares leży tam i teraz, już od trzech dni?

- O nie, proszę księcia; poleżał tylko dobę. Widzi księżę, chciałem poniekąd, żeby i generał natrafił na zgubę. Bo jeśli ja wreszcie znalazłem, to dlaczegoż by i generał nie mógł zauważyć przedmiotu, który, że tak powiem, rzucał się w oczy, wyraźnie sterczał spod krzesła. Kilka razy podnosiłem to krzesło i przestawiałem, tak że pugilares leżał zupełnie na widoku, ale generał go nie dostrzegał i tak się to ciągnęło przez całą dobę. Musi być teraz ogromnie roztargniony, trudno się w tym połapać; mówi, opowiada, śmieje się, chichocze, a potem nagle, ni z tego, ni z owego, obraża się na mnie z niewiadomego powodu, proszę księcia. Zaczęliśmy w końcu wychodzić z pokoju, a drzwi umyślnie zostawiłem otwarte; generał zawahał się jakoś, chciał coś powiedzieć, prawdopodobnie zląkł się o pugilares z takimi pieniędzmi, ale raptem okropnie się rozgniewał i nie powiedział nic,

proszę księcia; nie uszliśmy nawet dwóch kroków ulicą, kiedy mię opuścił i przeszedł na drugą stronę. Dopiero wieczorem spotkaliśmy się w szynku.

- Ale w końcu wziął pan spod krzesła ten pugilares?

- Nie, proszę księcia, bo tej samej nocy pugilares zniknął.

- I gdzież jest teraz?

- A tutaj - roześmiał się nagle Lebediew wstając z krzesła, prostując się i przyjaźnie patrząc na księcia. - Znalazł się raptem tutaj, w kieszeni mojego własnego surduta. O, niech książę będzie łaskaw sam zobaczyć, pomacać.

Rzeczywiście w lewej części surduta na samym przedzie, w miejscu dobrze widocznym, utworzył się jakby cały worek i za dotknięciem można było od razu poznać, że tu się znajduje skórzany pugilares, który wpadł za podszewkę z podartej kieszeni.

- Wyjąłem i sprawdziłem, wszystko jest, jak było. Wsunąłem z powrotem i tak chodzę od wczoraj, noszę go w pole surduta, nawet mię tłucze po nogach.

- A pan tego nie spostrzega?

- A ja nie spostrzegam, proszę księcia, hę, hę! I niech sobie szanowny książę wyobrazi - chociaż sprawa nie zasługuje na taką szczególną uwagę księcia - kieszenie mam zawsze calusieńkie, a tu nagle w przeciągu jednej nocy taka dziura! Zacząłem to oglądać z wielką ciekawością: zupełnie jakby ktoś przeciął scyzorykiem; rzecz zgoła nie do wiary, prawda, proszę księcia?

- A... generał?

- Cały dzień się gniewał, i wczoraj, i dzisiaj; strasznie zły; to nastrojony radośnie i bachicznie, a nawet przypochlebnie, to roztkliwiony aż do łez, a potem nagle znów się złości, że nawet strach mię niekiedy oblatuje; przecież ja bądź co bądź nie jestem wojskowym. Wczoraj siedzimy w szynku, a tu poła mojego surduta jakby niechcący wysunęła się naprzód, sterczy jak jaka góra, a on patrzy na to zezem i złości się. Od dawna już, proszę księcia, nie patrzy mi prosto w oczy; chyba że ma dobrze w czubie albo się roztkliwi; ale wczoraj dwa razy tak na mnie spojrzął, że po prostu ciarki mię przeszły. Zresztą jutro mam zamiar znaleźć pugilares, a do jutra jeszcze z nim przez wieczór pochodzę.

- Dlaczego pan go tak męczy? - zawołał książę.

- Nie męczę, proszę księcia, nie męczę - podchwycił z zapałem Lebediew - szczerze go lubię i... poważam; a teraz, czy pan da wiarę, stał mi się jeszcze droższy; zacząłem go jeszcze bardziej cenić!

Lebediew powiedział to wszystko z taką powagą i szczerością, że książę aż się oburzył.

- Lubi go pan, a tak męczy! Na miłość boską, już przez to samo, że położył pańską zgubę na tak

widocznym miejscu, pod krzesłem, i wsadził ją później do surduta, już przez to samo chce panu wprost pokazać, że obce mu są wszelkie wybiegi i że z całą otwartością prosi pana o przebaczenie. Słyszysz pan? Prosi o przebaczenie! Widocznie pokłada pewne nadzieje w delikatności pańskich uczuć; widocznie wierzy w pańską przyjaźń dla niego. A pan tak stara się poniżyć i upokorzyć takiego... niezwykle uczciwego człowieka!

- Niezwykle uczciwego, proszę księcia, niezwykle uczciwego! - podchwycił z zapalem Lebediew. - I właśnie tylko pan jeden, wielce szlachetny książę, zdolny był wypowiedzieć takie sprawiedliwe, słowo! Jestem panu za to oddany aż do ubóstwienia, chociaż przeżyły mnie różne występki! Decyzja zapadła! Znajduję pugilares niezwłocznie, natychmiast, a nie jutro; o, proszę, wyjmuję go na pańskich oczach; oto jest; oto są pieniądze, w całości, nic nie brakuje; niech pan je weźmie, wielce szlachetny książę, niech pan weźmie i przechowa do jutra. Jutro albo pojutrze odbiorę je od pana; a wie książę, najwidoczniej pugilares przez pierwszą noc przeleżał gdzieś w moim ogródku pod kamyczkiem; jak pan myśli?

- Ale niechże pan pamięta, żeby mu nie mówić tak prosto w oczy o znalezieniu zguby. Niech zwyczajnie zobaczy, że w pole już nic nie ma, i zrozumie.

- Tak zrobić? A czy nie lepiej powiedzieć, że znalazłem, i udać, że dotychczas się nie domyślałem?

- Nnie - rzekł książę w zamyśleniu - nnie, teraz już za późno; to niebezpieczne; naprawdę, lepiej niech pan nie mówi! A z nim niech pan będzie grzeczny, tylko niech pan... zanadto nie daje poznać po sobie i... i... wie pan...

- Wiem, proszę księcia, wiem; to znaczy, wiem, że chyba tego nie zrobię; bo tu trzeba mieć serce takie, jak ma książę. A on znowu łatwo wpada w rozdrażnienie, a przy tym nabiera różnych narowów, zanadto z góry zaczął mnie traktować; to chlipie i pcha się z uściskami, to znowu raptem zaczyna mną poniewierać i szydzić ze mnie; wtedy naumyślnie wezmę i wystawię połę surduta, hę, hę! Do widzenia księciu, bo najwidoczniej zatrzymuję i przeszkadzam w ciekawych, że tak powiem, sprawach uczuciowych...

- Ale na miłość boską, niech pan to, jak dotychczas, trzyma w tajemnicy!

- Po cichu krok w krok, po cichu krok w krok, szanowny książę!

Ale chociaż sprawa była załatwiona, książę w dalszym ciągu był zatroskany, może nawet jeszcze bardziej niż przedtem. Z niecierpliwością czekał na jutrzejsze spotkanie z generałem.

IV

Umówili się na dwunastą, ale ksiązę całkiem niespodziewanie się spóźnił. Powróciwszy do domu zastał już u siebie generała. Od razu spostrzegł, że generał jest niezadowolony, może właśnie z tego, że musiał czekać. Przeprosiwszy go, ksiązę czym prędzej usiadł, ale z taką dziwną ostrożnością jak gdyby jego gość był z porcelany i co chwila trzeba się było obawiać, że się rozbije. Przedtem ksiązę nigdy nie był taki onieśmielony w rozmowie z generałem, nie przychodziło mu to nawet na myśl. Wkrótce zorientował się, że przed nim siedzi zupełnie inny człowiek niż wczoraj: zamiast zmieszania i roztargnienia przejawiał niezwykłą powściągliwość; można było dojść do wniosku, że jest to człowiek, który powziął jakąś ostateczną decyzję. Spokój jego był zresztą raczej pozorny niż istotny. Bądź co bądź jednak gość był wytwornie nonszalancki, chociaż zachowywał się z pewną umiarkowaną godnością; a z początku nawet odnosił się do księcia jakby pobłaźliwie - tak właśnie, jak to niekiedy czynią ludzie dumni, ale niesłusznie pokrzywdzeni. Mówił łagodnie, chociaż nie bez pewnego żalu w głosie.

- Oto pańska książka, którą kilka dni temu od pana wziąłem. - Skinął głową, wskazując przyniesioną przez siebie i leżącą na stole książkę. - Dziękuję.

- Ach, tak; przeczytał pan ten artykuł, generale? Jak się panu podoba? Ciekawy, prawda? - Książę ucieszył się, że może rozpocząć rozmowę na temat bardziej obojętny.

- Owszem, ciekawy, ale przy tym ordynarny i oczywiście głupi. Jest tam pewnie i dużo łgarstwa.

Generał mówił z dużą pewnością siebie i nawet trochę rozciągał wyrazy.

- Ach, to takie naiwne opowiadanie; opowiadanie starego żołnierza, naocznego świadka pobytu Francuzów w Moskwie[118]; niektóre epizody - wspaniałe. No i przecież zapiski naocznych świadków, wszelkich w ogóle świadków, są nadzwyczaj cenne. Prawda?

- Na miejscu redaktora ja bym tego nie drukował; co się zaś tyczy w ogóle pamiętników, to ludzie prędzej dadzą wiarę ordynarnemu kłamcy, ale umiającemu zabawnie opowiadać, niż człowiekowi godnemu szacunku i zasłużonemu. Znam pewne pamiętniki z roku osiemset dwunastego, które... Postanowiłem, proszę księcia, opuścić ten dom - dom pana Lebediewa.

Generał spojrzał znacząco na księcia.

- Pan ma mieszkanie w Pawłowsku u... u swojej córki... - wybąkał ksiązę nie wiedząc, co powiedzieć. Przypomniał sobie, że przecież generał przyszedł po radę w bardzo ważnej sprawie, od której zależą jego losy.

- U mojej żony; innymi słowy, u siebie i w domu mojej córki.

- Przepraszam, ja...

- Wyprowadzam się od Lebediewa dlatego, drogi ksiązę, dlatego, że z tym człowiekiem

zerwałem; zerwałem wczoraj wieczór i żałuję, że tego nie uczyniłem wcześniej. Żądam dla siebie szacunku, proszę księcia, i chcę być szanowany również przez te osoby, które, że tak powiem, darzę swoim sercem. Drogi książę, ja dosyć hojnie szafuję swoim sercem i prawie zawsze zostaję oszukany. Ten człowiek był niegodny mojego daru.

- Ma w sobie dużo nieładu - zauważył powściągliwie książę - i pewne rysy... ale w tym wszystkim jest też wiele serca i widać w tym przebiegły, a czasem nawet zabawny umysł.

Subtelność wyrażenia, ton pełen szacunku, najwidoczniej pochlebny generałowi, aczkolwiek wciąż jeszcze rzucał zniechęcające dość podejrzliwe spojrzenia. Ale sposób mówienia księcia był tak naturalny i szczery, że trudno było mieć co do tego jakieś wątpliwości.

- Że posiada również dodatnie cechy - podchwycił generał - pierwszy to stwierdziłem i o mało temu indywiduum nie zaoferowałem swojej przyjaźni. Nie potrzebuję jego domu i jego gościnności, mając własną rodzinę. Ja swoich wad nie usprawiedliwiam; jestem niepowściągliwy; piłem z nim wódkę i teraz może oplakuję te chwile. Ale przecież nie dla samego picia (wybaczy mi książę tę brutalną szczerłość człowieka rozdrażnionego), nie dla samego picia związałem się z nim. Pociągnęły mnie właśnie te, jak książę mówi, dodatnie rysy. Wszystko jednak ma swoje granice, nawet i zalety; i jeżeli on nagle, w żywe oczy, ma czoło zapewniać, że w osiemset dwunastym roku, będąc jeszcze dzieckiem, stracił lewą nogę i pochował ją na cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie, to to już przekracza wszelkie granice, dowodzi braku szacunku, wskazuje na zuchwalstwo...

- Może to był tylko wesoły i śmieszny żart?

- Rozumiem, proszę księcia. Niewinne kłamstwo gwoli rozśmieszenia, chociażby ordynarne, nie krzywdzi ludzkiego serca. Niejeden, jeśli chce, kłamie jedynie z przyjaźni, żeby sprawić tym przyjemność swojemu rozmówcy; jeśli jednak przebija w tym brak szacunku, jeśli ktoś przez to właśnie chce okazać, że mu ciąży pewne związki, to człowiek posiadający godność własną musi z konieczności odwrócić się i zerwać związki, aby w ten sposób osadzić na właściwym miejscu tego, co się dopuszcza obrazy.

Generał, mówiąc to, aż się zaczerwienił.

- Tak, Lebediew nie mógł być w Moskwie w osiemset dwunastym roku; jest na to za młody; śmieszne rzeczy.

- To po pierwsze; przypuśćmy jednak, że mógł się wtedy urodzić; ale jak można w kogoś wmawiać, że francuski szaser narychtował na niego armatę i odstrzelił mu nogę tak, dla zabawy, że on tę nogę wziął i zaniósł do domu, a następnie pochował ją na cmentarzu Wagańkowskim; i jeszcze twierdzi, że postawił nad nią pomnik z napisem z jednej strony: „Tu spoczywa noga sekretarza kolegiального Lebediewa”, a z drugiej: „Spoczywaj, drogi prochu, do radosnego świtu”[119]; i w końcu, że rokrocznie odprawia za nią żałobne nabożeństwo (co już jest świętokradztwem) i w tym celu jeździ co rok do Moskwy. Na dowód tego wszystkiego zaprasza do Moskwy, żeby pokazać grób i nawet tę francuską armatę na Kremlu, przechowywaną tam jako trofeum; zapewnia, że to jest właśnie jedenaste działo od bramy, francuski falkonet dawnego systemu.

- A przy tym on ma przecież, jak widać, obie nogi całe - roześmiał się książę. - Zapewniam pana, że to niewinny żart; niech się pan nie gniewa.

- Pozwoli mi książę stwierdzić, że i ja to rozumiem; co się tyczy nóg, można przypuścić, że nie jest to całkiem nieprawdopodobne; zapewnia, że to jest sztuczna noga roboty Czernoswitowa...

- Ach tak, podobno Czernoswitow robi takie nogi, na których można tańczyć.

- Wiem doskonale, proszę księcia; Czernoswitow, kiedy wynalazł swoją nogę, przede wszystkim przybiegł mnie ją pokazać. Ale ten wynalazek został zrobiony o wiele później... A on z tym wszystkim zapewnia, że jego żona nieboszczka przez cały czas ich pożycia nie wiedziała o drewnianej nodze męża. „Jeśli ty - powiada do mnie, kiedy mu wytknąłem wszystkie niedorzeczności - jeśli ty w osiemset dwunastym roku byłeś u Napoleona kamerpaziem, to pozwól i mnie pochować moją nogę na cmentarzu Wagańkowskim.”

- A czy pan... - zaczął książę i urwał, zmieszany.

Generał popatrzył na księcia z wyraźną wyższością i omal nie z ironią.

- Niech książę dokończy - powiedział szczególnie przeciągłym tonem - niech książę dokończy. Jestem wyrozumiały, niech pan mówi wszystko: niech pan się przyzna, że to dla pana bardzo śmieszne widzieć przed sobą człowieka w obecnym jego poniżeniu i... bezużyteczności, a zarazem słyszeć, że ten człowiek był naocznym świadkiem... wielkich wydarzeń. Czy on nic jeszcze nie zdążył księciu naplotkować?

- Nie; nic nie słyszałem od pana Lebediewa - jeśli pan mówi o panu Lebediewie...

- Hm, przypuszczałem coś wręcz przeciwnego. Właściwie to i cała wczorajsza nasza rozmowa wynikła z powodu tego... dziwnego artykułu w archiwum[120]. Zauważyłem jego niedorzeczność i ponieważ sam byłem naocznym świadkiem... pan się uśmiecha, książę, pan patrzy na moją twarz?

- Nnie, ja...

- Wyglądam dosyć młodo - ciągnął dalej generał - ale w rzeczywistości jestem o wiele starszy. W osiemset dwunastym roku miałem jakieś dziewięć czy jedenaście lat. Sam nawet dobrze nie wiem. W liście stanu służby ujęto mi ich; a ja też w swoim życiu lubiłem zawsze podawać się za młodszego.

- Zapewniam pana, generale, że nie znajduję w tym nic dziwnego, iż pan w osiemset dwunastym roku był w Moskwie i... oczywiście może pan o tych sprawach mówić tak samo jak wszyscy inni, którzy tam byli. Jeden z naszych autobiografów zaczyna swoją książkę właśnie od tego, że w roku osiemset dwunastym jego, jako niemowlę przy piersi, w Moskwie karmili chlebem francuscy żołnierze.[121]

- No widzi pan - potwierdził łaskawie generał - mój przypadek wykracza poza zwykłe granice, nie zawiera jednak w sobie nic nadzwyczajnego. Bardzo często prawda wydaje się niemożliwą. Kamerpaż! To jest dziwne, oczywiście. Ale przypadek z dziesięcioletnim dzieckiem tłumaczy się może jego wiekiem. Z piętnastoletnim już by się to nie zdarzyło, bezwarunkowo, gdyż mając

piętnaście lat nie uciekłbym z naszego drewnianego domu na Starej Basmannej, w dniu wkroczenia Napoleona do Moskwy, od mojej matki, która nie zdążyła wyjechać z miasta i drżała ze strachu. Mając piętnaście lat i ja bym stchórzył, ale w dziesiątym roku życia niczego się nie zląkłem i przedarłem się przez dum aż do samej bramy pałacu, kiedy Napoleon zsiadał z konia.

- Bez wątpienia doskonale pan zauważył, że właśnie mając dziesięć lat można się było nie bać...
- przytaknął ksiązę, coraz bardziej zmieszany i udręczony myślą o tym, że zaraz się zaczerwieni.

- Bez wątpienia; i wszystko się odbyło w sposób tak prosty i naturalny, jak tylko to jest możliwe; gdyby się do tego wziął powieściopisarz, napłótlby różnych niestworzonych rzeczy.

- O tak! - zawołał ksiązę. - Ta myśl i mnie też uderzyła całkiem niedawno. Wiem o pewnym morderstwie dokonanym z powodu zegarka[122]; pisały już o tym gazety. Niechby to wymyślił jaki autor - znawcy życia ludu i krytycy zaraz by krzyknęli, że to nieprawdopodobne; a kiedy się przeczyta o tym w gazetach jako o fakcie, czuje się, że z takich właśnie faktów złożony jest obraz rosyjskiej rzeczywistości. Pan to doskonale zauważył, generale - zakończył z zapalem ksiązę, niezmiernie uradowany, że zdołał uniknąć jawnego rumieńca na twarzy.

- Prawda? Prawda? - zawołał generał i aż mu oczy rozbłyły zadowoleniem. - Chłopiec, dziecko, które nie rozumie niebezpieczeństwa, przedziera się przez tłum, żeby zobaczyć złotem kapiące mundury, świtę i wreszcie wielkiego człowieka, o którym mu tak wiele naopowiadano. Bo wtedy wszyscy przez kilka lat z rzędu ciągle o nim krzyczeli. Świat był pełen tego imienia, a ja je, że się tak wyrażę, wyssałem z mlekiem matki. Napoleon, przechodząc w odległości dwóch kroków, przypadkiem zwraca na mnie uwagę: byłem przecież ubrany jak paniczek, dbano o mój wygląd. Jeden tylko taki chłopiec w tym tłumie, zgodzi się pan...

- Bez wątpienia musiało go to uderzyć i dowiodło mu, że nie wszyscy wyjechali, że zostało choć trochę szlachty z dziećmi.

- Właśnie, właśnie! On chciał sobie pozyskać bojarów! Kiedy obrzucił mię swoim orlim wzrokiem, moje oczy zapewne błysnęły mu w odpowiedzi. *Voila un garcon bien eveille! Qui est ton pere?**” Ja mu natychmiast odrzekłem tracąc niemal oddech ze wzruszenia: „Generałem, który padł na polach swojej ojczyzny. *„Le fils d'un boyard et d'un brave par - dessus le marche! J'aime les boyards. M'aimes - tu, petit?**** Na to szybkie pytanie odpowiedziałem równie szybko: „Serce Rosjanina zdolne jest nawet we wrogu swojej ojczyzny uznać wielkiego człowieka!” Właściwie to nie pamiętam, czy tak się dosłownie wyraziłem... przecież byłem dzieckiem... ale sens był na pewno taki! Napoleona ogromnie to uderzyło, pomyślał i powiedział do swojej świty: „Podoba mi się duma tego dziecka! Ale jeżeli wszyscy Rosjanie tak myślą jak to dziecko, to...” Nie dokończył zdania i wszedł do pałacu. Ja wtedy przyłączyłem się do świty i pobiegłem za nim. W świecie rozstępowano się już przede mną i patrzano na mnie jak na faworyta. Ale wszystko to tylko mignęło... Pamiętam jedynie, że wchodząc do pierwszej sali cesarz zatrzymał się nagle przed portretem cesarzowej Katarzyny, długo nań patrzył w zamyśleniu, wreszcie rzekł: „To była wielka kobieta!”, i poszedł dalej. Po upływie dwóch dni wszyscy w pałacu i na Kremlu znali mnie i nazywali „*le petit boyard*”. Chodziłem do domu tylko na noc. W domu wszyscy o mało nie powariowali. Minęły jeszcze dwa dni i umarł kamerpaż Napoleona, baron de Bazancourt[125], nie mogąc znieść trudów wojennych.

Napoleon przypomniał sobie o mnie; wzięto mnie i przyprowadzono nie wyjaśniając, o co chodzi; przymierzono na mnie mundur nieboszczyka, dwunastoletniego chłopca, i gdy już byłem umundurowany, zaprowadzono do cesarza, a on łaskawie skinął mi głową: po czym oznajmiono mi, że dostąpiłem łaski i zostałem mianowany kamerpaziem jego cesarskiej mości. Ucieszyłem się, gdyż istotnie czułem do niego, i to od dawna, gorącą sympatię... no a poza tym, przyzna pan, że dla dziecka błyszczący mundur znaczy bardzo dużo... Chodziłem w ciemnozielonym fraczku, z długimi i wąskimi połami; złote guziki, czerwone wypustki na rękawach ze złotym haftem, wysoki, stojący, otwarty kołnierz, haftowany złotem, hafty na połach; białe obcisłe spodnie łosiowe, biała jedwabna kamizelka, jedwabne pończochy, pantofle ze sprzączkami... a podczas konnych przejażdżek cesarza, jeżeli znajdowałem się w świcie, wysokie botforty. Chociaż sytuacja ogólna nie była dobra i wyczuwało się już katastrofę, w miarę możliwości jednak przestrzegano etykiety, i to nawet tym ściślej, im bardziej katastrofa stawała się widoczna.

- Tak, oczywiście... - wybąkał książę, do reszty zmieszany - pański pamiętnik byłby... bardzo ciekawy.

Generał naturalnie opowiadał to samo, co już dnia poprzedniego opowiadał Lebidiewowi, mówił więc dosyć płynnie; znów jednak podejrzliwie i trochę z ukosa popatrzył na księcia.

- Pamiętnik? - rzekł z większą jeszcze dumą. - Mam pisać pamiętnik? Nie pociąga mnie to, proszę księcia! Jeśli chodzi o ścisłość, mój pamiętnik jest już napisany; ale... spoczywa w biurku. Niechaj, kiedy mi oczy przysypią ziemią, niechaj wtedy zostanie ogłoszony i niewątpliwie przetłumaczony na inne języki, nie ze względu na jego wartość literacką, nie, ale z uwagi na doniosłość olbrzymich wydarzeń, których byłem naocznym świadkiem, aczkolwiek jako dziecko; tym bardziej że jako dziecko dostałem się do najintymniejszej, że tak powiem, sypialni „wielkiego człowieka”! Słyszałem po nocach jęki tego „olbrzyma w nieszczęściu”; mógł się nie krępować jęków i płaczu w obecności dziecka, chociaż ja już rozumiałem, że przyczyną jego cierpienia jest milczenie cesarza Aleksandra.

- Przecież on pisał listy... z propozycją zawarcia pokoju... - nieśmiało potwierdził książę.

- Właściwie nie wiemy dokładnie, co w swoich listach proponował, ale pisał co dzień, co godzinę, list po liście! Denerwował się okropnie. Pewnego razu w nocy, gdy byliśmy sami, podbiegłem ku niemu z płaczem (o, bo ja go kochałem!): „Niech pan prosi, niech pan prosi cesarza Aleksandra o przebaczenie!” - zawołałem. Właściwie powinienem był powiedzieć: „Niech pan się pogodzi z cesarzem Aleksandrem”, ale, jako dziecko, naiwnie wyraziłem swoją myśl. „O dziecię moje! - odpowiedział chodząc tam i z powrotem po pokoju. - O dziecię moje! - Zupełnie jakby nie dostrzegał wtedy, że ja mam zaledwie dziesięć lat, i nawet lubił ze mną rozmawiać. - O dziecię moje, cesarza Aleksandra gotów jestem całować po nogach, ale za to do króla pruskiego, do cesarza austriackiego czuję i wiecznie będę czuł nienawiść, a... w końcu... ty się tam wcale nie znasz na polityce!” Nagle jak gdyby przypomniał sobie, z kim mówi, i zamilkł, ale oczy jego długo jeszcze sypały iskrami. No i niechże ja teraz opiszę te wszystkie fakty - a bywałem też świadkiem większych wydarzeń - niechże ja wydam swój pamiętnik, a zaraz wszyscy ci krytycy, wszyscy ci zarozumiali pisarze, wszystkie te zawiści, te partie i... nie, proszę łaskawego pana, dziękuję uniżenie!

- Co do partii zrobił pan słuszną uwagę, zupełnie się z panem zgadzam - cicho odpowiedział

książę po chwili milczenia. - Niedawno przeczytałem książkę Charrasa o bitwie pod Waterloo[126]. Książka niewątpliwie poważna i fachowcy twierdzą, że jest napisana z niezwykłą znajomością rzeczy. Ale na każdej stronie przebija radość z poniżenia Napoleona i gdyby można było odmówić Napoleonowi wszelkiego w ogóle talentu nawet w innych kampaniach, to Charras, jak się zdaje, byłby z tego nadzwyczaj zadowolony; ale to nie na miejscu w takim poważnym wydawnictwie, oznacza bowiem stroniczość. Czy pan był wtedy bardzo zajęty służbą u... cesarza?

Generał był zachwycony. Pytanie księcia swoją prostotą i poważnym tonem rozproszyło resztki jego wątpliwości.

- Charras! O, sam byłem oburzony! Napisałem do niego od razu, ale... właściwie nie pamiętam teraz... Pan pyta, czy byłem zajęty służbą? O, nie! Nazywano mnie kamerpaziem, ale nawet wtedy nie brałem tego poważnie. Przy tym Napoleon bardzo prędko stracił wszelką nadzieję pozyskania sobie Rosjan i niewątpliwie zapominałby też o mnie, którego przyjął ze względów politycznych, gdyby... gdyby mnie osobiście nie polubił, śmiało to dzisiaj mogę powiedzieć. Mnie zaś pociągało ku niemu serce. Jeżeli chodzi o służbę, wielkich wymagań nie stawiano: trzeba było czasem przyjść do pałacu i... towarzyszyć cesarzowi na konnych przejażdżkach, to wszystko. Wierzch jeździłem nieźle. Cesarz wyjeżdżał przed obiadem, w świetle zazwyczaj bywał Davou[127], bywałem ja, mameluk Rustan[128]...

- Constant - wyrwało się jakoś nagle księciu.

- Nnie, Constant był nieobecny[129]; jeździł wtedy z listem do... cesarzowej Józefiny; zamiast niego było dwóch ordynansów, kilku polskich ułanów... i to cała nasza świta, prócz generałów, ma się rozumieć, i marszałków, których Napoleon brał z sobą, żeby wraz z nimi badać okolicę, rozmieszczenie wojska, naradzać się... Najczęściej znajdował się przy jego boku Davout, jak to sobie przypominam: olbrzymi, tęgi, opanowany, w okularach, o dziwnym spojrzeniu. Z nim cesarz naradzał się najczęściej. Cenił jego zdanie. Pamiętam, razu pewnego omawiali coś przez kilka dni; Davout przychodził i rano, i wieczorem; często nawet kłócili się z sobą; wreszcie Napoleon jak gdyby zaczął się zgadzać. Byli w gabinecie we dwóch, ja trzeci, prawie przez nich nie zauważony. Nagle spojrzenie Napoleona przypadkiem pada na mnie; dziwna myśl zabłysła w jego oczach. „Dziecko! - mówi do mnie raptem. - Jak sądzisz: gdybym przyjął prawosławie i oswobodził waszych niewolników, czy Rosjanie poszliby za mną, czy nie?” „Nigdy!” - krzyknąłem oburzony. Napoleon był wstrząśnięty. „W błyszczących patriotyzmem oczach tego dziecka - powiedział - przeczytałem opinię całego ludu rosyjskiego. Dostyc, Davout! Wszystko to fantazja. Niech mi pan przedstawi swój wstępny projekt”.

- Tak, ale i ten projekt zawierał silną myśl! - powiedział książę z widocznym zainteresowaniem. - Więc pan autorstwo projektu przypisuje marszałkowi Davout?

- Przynajmniej razem to omawiali. Oczywiście myśl była Napoleońska, orla myśl, ale i drugi projekt też był ciekawy... była to owa słynna „rada lwa” - „*conseil du lion*”, jak ową radę nazwał sam Napoleon. Polegała ona na tym, żeby się zamknąć na Kremlu z całym wojskiem, nabudować baraków, otoczyć się pasem fortyfikacji, porozstawiać armaty, zarznąć jak największą ilość koni i posolić ich mięso; kupić albo zarekwirować jak najwięcej mąki i przezimować do wiosny, a na wiosnę przebić się przez Rosjan. Projekt ten bardzo zainteresował Napoleona. Jeździliśmy

codziennie dokoła murów kremlowskich, cesarz wskazywał, gdzie burzyć, gdzie budować lunetę, gdzie rawelin, gdzie szereg blokhauzów - rzut oka, szybki wniosek, rozkaz. Wszystko było nareszcie złożone; Davout nastawał o ostateczną decyzję. Znowu byli we dwóch, a ja trzeci. Znowu Napoleon chodził po pokoju ze skrzyżowanymi rękami. Nie mogłem oczu oderwać od jego twarzy, serce waliło mi jak młotem. „Idę” - powiedział Davout. „Dokąd?” - spytał Napoleon. „Solić konie” - odrzekł Davout. Napoleon drgnął; los się miał przeważyć. „A ty, dziecię - zwrócił się nagle do mnie - co myślisz o naszym projekcie?” Oczywiście zapytał mnie tak, jak niekiedy człowiek o wielkim umyśle w ostatniej chwili rozstrzyga rzecz, losując: orzeł czy reszka. Zamiast do Napoleona mówię do marszałka Davout, i to jakby w natchnieniu: „Wynoś się pan, panie generale, do domu!” Projekt upadł. Davout wzruszył ramionami i powiedział szeptem: „Bah! Il devient superstitieux!”* I nazajutrz zarządzono wymarsz.

- Wszystko to jest niezwykle ciekawe - odezwał się książę okropnie cicho - jeżeli to wszystko tak było... to znaczy, chciałem powiedzieć... - poprawił się czym prędzej.

- O książę! - zawołał generał, tak upojony swoim opowiadaniem, że chyba nie mógłby się już zatrzymać przed największą nawet nieostrożnością. - Pan mówi: „Jeżeli to wszystko było”! Ale było więcej, upewniam pana, o wiele więcej! To są tylko fakty mizerne, polityczne. Powtarzam panu jednak, że byłem świadkiem nocnego płaczu i lamentów tego wielkiego człowieka; a tego już nikt nie widział oprócz mnie! Pod koniec wprawdzie już nie płakał, już brakło mu łez, tylko jęczał od czasu do czasu; ale twarz jego coraz bardziej zaciągała się mrokiem. Jakby wieczność oceniała go już swoim skrzydłem. Niekiedy w nocy spędzaliśmy całe godziny sami, w milczeniu - mameluk Rustan chrapał w sąsiednim pokoju; straszliwie mocno sypiał ten człowiek. „Jest za to wierny mnie i dynastii” - mawiał o nim Napoleon. Pewnego razu szarpnął mną okropny ból; cesarz zauważył nagle łzy w moich oczach; popatrzył na mnie z tkliwością: „Współczujesz mi, moje dziecię! - wykrzyknął. - I może jeszcze będzie mi współczuło drugie dziecko, mój syn, *le roi de Rome**, wszyscy inni mnie nienawidzą, a bracia pierwsi zdradzą mnie w nieszczęściu!” Rozpłakałem się i pobiegłem ku niemu; wtedy i on nie wytrzymał; objęliśmy się i łzy nasze się zmieszały. „Niech pan napisze, niech pan napisze list do cesarzowej Józefiny!” - powiedziałem z płaczem. Napoleon drgnął, zastanowił się i odrzekł: - „Przypomniałeś mi o trzecim sercu, które mnie kocha; dziękuję ci, mój przyjacielu!” Natychmiast usiadł i napisał do Józefiny list, z którym nazajutrz pojechał Constant.

- Pięknie pan postąpił - powiedział książę. - Wśród złych myśli nakierował go pan na dobre uczucia.

- Otóż właśnie, książę; jak pan to wspaniale objaśnił, zgodnie z własnym swoim sercem! - zawołał generał z zachwytem i, rzecz dziwna, łzy, najprawdziwsze łzy zabłysły w jego oczach. - Tak, książę, tak, to był imponujący widok! I wie pan, o mało nie pojechałem za nim do Paryża; oczywiście podzieliłbym z nim pobyt na „skwarnej wyspie niewoli”, ale niestety! drogi nasze się rozeszły! Rozstaliśmy się: on powędrował na skwarą wyspę, gdzie chociaż raz może w chwili strasznego smutku przypominał sobie łzy biednego chłopca, który go ścisnął i zegnał w Moskwie; mnie zaś wysłano do korpusu kadetów, gdzie zetknąłem się tylko z musztrą, brutalnym zachowaniem się kolegów i... Niestety! Wszystko się rozleciało! „Nie chcę cię odbierać twojej matce i dlatego nie biorę z sobą! - powiedział do mnie w dniu rejterady. - Ale chciałbym coś dla ciebie zrobić.” Już siadał na konia. „Niech pan mi napisze cokolwiek na pamiątkę w albumie mojej siostry” - rzekłem

nieśmiało, gdyż był bardzo zdenerwowany i ponury. Wrócił, kazał sobie dać pióro, wziął album. „Ile lat ma twoja siostra?” - spytał już trzymając pióro w rękę. „Trzy lata” - odpowiedziałem. - „*Petite filie alors.*”^{***} I machnął w albumie:

„*Ne mentez jamais.*

Napoleon, votre ami sincere.”^{****}

Taka rada i w takiej chwili udzielona, przyzna książę!

- Tak, to charakterystyczne.

- Kartka ta, w złotej ramce, za szkłem, przez całe życie mojej siostry wisiała u niej w salonie na widocznym miejscu, aż do jej śmierci - umarła przy porodzie; gdzie teraz jest - nie wiem... ale... ach, mój Boże! Już druga godzina! Jak ja księcia długo zatrzymałem! To niewybaczalne.

Generał wstał z krzesła.

- O przeciwnie! - bąknął książę. - Pan mię tak zajął... bo to... przecież... bardzo ciekawe; ogromnie panu dziękuję!

- Książę! - powiedział generał, znów aż do bólu ściskając jego rękę i błyszczącymi oczyma badawczo patrząc na niego, jakby się nagle sam opamiętał i jakby go olśniła jakaś nagła myśl. - Książę! Pan jest tak dobry, tak szczery, aż mi czasem pana żal. Patrzę na pana z rozczuleniem; niech pana Bóg błogosławi! Niech życie pana zacznie się i rozkwitnie... w miłości. Moje już się kończy! O, proszę mi wybaczyć, proszę mi wybaczyć!

Wyszedł szybko, zasłaniając twarz rękami. Książę nie mógł wątpić o szczerości jego wzruszenia. Uprzytamniał sobie również, że starzec wyszedł upojony swoim sukcesem; ale zarazem wyczuwał, że to był jeden z tych blagierów, którzy choć kłamią z przedziwną rozkoszą i niemal do zapamiętania, jednak u szczytu swego upojenia mimo wszystko podejrzewają skrycie, że się im nie wierzy i że nie można im wierzyć. W obecnym swoim położeniu starzec mógł się zreflektować, szczególnie mocno się zawstydzić, posądzić księcia o bezgraniczne dla niego współczucie i poczuć się obrażonym. „Czy nie gorzej postąpiłem, doprowadzając go do takiego stanu?” - niepokoił się książę i nagle nie wytrzymał, wybuchnął śmiechem i śmiał się dobre dziesięć minut. I zaraz zaczął sobie wyrzucać ten śmiech; natychmiast jednak zrozumiał, że nie ma sobie czego wyrzucać, ponieważ było mu nieskończenie żal generała.

Przeczcucia jego okazały się trafne. Wieczorem otrzymał dziwną kartkę, krótką, ale stanowczą. Generał zawiadamiał, że i z nim rozstaje się na wieki, że go szanuje i jest mu wdzięczny, ale nawet od niego nie przyjmie „znak współczucia, poniżających godność osobistą i tak już bardzo nieszczęśliwego człowieka”. Kiedy książę usłyszał, że staruszek przebywa u Niny Aleksandrowny, prawie się uspokoił. Widzieliśmy jednak, że generał nawyprawiał też jakichś brewerii u Lizawiey Prokofiewny. Nie możemy tu podać szczegółów, ale wspomnimy pokrótce, że przebieg rozmowy był taki, iż generał napędził strachu Lizawiecy Prokofiewnie, a przykrymi aluzjami do Gani ogromnie ją wzburzył. Wyrzucono go za drzwi. Dlatego właśnie spędził taką męczącą noc i nie mniej męczący

ranek, do reszty sfiksował i wybiegł na ulicę prawie jak wariat.

Kola wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze stanu jego nerwów i nawet liczył na to, że zapanuje nad nim surowością.

- No i dokąd się teraz powlecziemy, jak pan myśli, panie generale? - powiedział. - Do księcia pan nie chce, z Lebidiewem się pan pogniewał, pieniędzy pan nie ma, a ja ich również nigdy nie miewam: siedliśmy więc na lodzie, a właściwie na środku ulicy.

- Lepiej iść na lodzie niż siaść na lodzie - mruzczał generał. - Tym kalamburem... wzbudziłem zachwyty... w kasynie oficerskim... w czterdziestym czwartym... Tak, w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku!... Nie pamiętam... O, nie przypominaj mi, nie przypominaj! „Gdzie moja młodość, gdzie moja rzeźkość!” Jak zawołał... kto tak zawołał, Kola?

- Gogol w Martwych duszach, papo - odrzekł Kola i bojaźliwie, z ukosa spojrzawszy na ojca.

- Martwe dusze! O tak, martwe! Kiedy mnie pochowasz, napisz na grobie: „Tu leży martwa dusza!”

- Ściga mnie hańba! Kto to powiedział, Kola?

- Nie wiem, papo.

- Jeropiegowa nie było? Jeroszki Jeropiegowa!... - krzyknął raptem jakby w przystępie szaleństwa, zatrzymując się na ulicy. - I to syn, rodzony syn! Jeropiegow, który przez jedenaście miesięcy zastępował mi brata, za którego ja na pojedynek... Do niego nasz kapitan, książę Wygorecki, mówi przy butelce: „Powiedz no, Grisza, gdzieś ty otrzymał swoją Annę[134], powiedz?” „Na polu chwały, walcząc za ojczyznę, tam ją otrzymałem!” Krzyczę: „Brawo, Grisza!” No i wynikł z tego pojedynek, a potem on się ożenił... z Marią Pietrowną Su... Sutugin i poległ w bitwie... Kula odbiła się od mojego krzyża, który nosiłem na piersi, i trafiła go prosto w czoło: „Do śmierci nie zapomnę!” - krzyknął i padł nieżywy. Ja... ja uczciwie służyłem, Kola; służyłem wiernie, ale - „ściga mnie hańba”! Ty i Nina przyjdziecie na mój grób... Biedna Nina!”[135] Tak ją przedtem nazywałem, mój kochany, dawno, z początku jeszcze, i ona tak to lubiła... Nina, Nina! Jaką ja ci zgotowałem dole! Za co ty mnie możesz kochać, cierpliwa duszo! Twoja matka ma anielską duszę; słyszysz, Kola? - anielską!

- Wiem o tym, papo. Mój drogi, wróćmy do domu, do mamy! Mama za nami biegła! No i czegoż papa stanął? Jakby nie rozumiał... I czemu papa płacze?

Kola sam płakał i całował ojca po rękach.

- Mnie całujesz po rękach, mnie!

- No, tak, tak, papę. Cóż w tym dziwnego? No i czemu papa płacze na środku ulicy? I to ma być generał, wojskowy! No, chodźmy.

- Niech cię Bóg błogosławi, mój chłopcze, za to, że okazałeś szacunek zhańbionemu - tak!

zhańbionemu starcowi, ojcu swemu... Obyś miał takiego samego chłopca... *le roi de Rome*... O, „przeklinam, przeklinam ten dom”!

- Ale cóż się tu doprawdy dzieje! - wybuchnął nagle Kola. - Co się stało? Dlaczego ojciec nie chce teraz wrócić do domu? Czy ojciec rozum stracił?

- Wyjaśnię ci, wyjaśnię... wszystko ci powiem; nie krzycz, bo usłyszą... *le roi de Rome*... O, tęskno mi, smutno mi! Nianiu, gdzie twa mogiła! Kto to tak wołał, Kola?

- Nie wiem, nie wiem, kto tak wołał! Chodźmy do domu, zaraz chodźmy, zaraz! Wytlukę Gańkę, jeśli będzie trzeba... ale dokąd to ojciec znowu?

Generał ciągnął go na ganek pobliskiego domku.

- Dokąd? Przecie to cudzy ganek!

Generał usiadł na ganku i wciąż ciągnął Kolę za rękę.

- Nachyl się, nachyl się - mamrotał. - Wszystko ci powiem... hańba... nachyl się... powiem do ucha; do ucha ci powiem...

- Co takiego! - przeraził się okropnie Kola, jednak nadstawił ucha.

- *Le roi de Rome*... - wyszeptał generał, też jakby drżąc na całym ciele.

- Co takiego?... Skąd się ojcu przyplątał *le roi de Rome*?... Co?

- Ja... ja... - zaczął znowu szeptem generał, wciąż mocniej ściskając rękę „swojego chłopca” - ja... chcę... ja ci... wszystko... Maria, Maria... Pietrowna Su... Su... Su...

Kola wyrwał się z uścisku ojca, sam z kolei chwycił go za ramiona i jak oszalały patrzył na niego. Stary spąsował, usta mu zsiniały; drobne skurcze przebiegały po jego twarzy. Nagle pochylił się i zaczął z wolna opadać na rękę Koli.

- Apopleksja! - krzyknął Kola na całą ulicę, zrozumiałwszy wreszcie, o co chodzi.

Prawdę mówiąc, Warwara Ardalionowna w rozmowie z bratem trochę przesadziła ze ścisłością swoich informacji co do starań księcia o rękę Agłai Jepanczyn. Jako kobieta przenikliwa, odgadła może to, co miało stać się w najbliższej przyszłości; może zmartwiona z powodu rozwianego jak dym marzenia (w które zresztą sama nie wierzyła), nie mogła, jako człowiek, odmówić sobie tej przyjemności, aby wyolbrzymiając niepowodzenie wlać jeszcze więcej goryczy w serce brata, któremu współczuła i którego szczerze kochała. W każdym jednak razie nie mogła otrzymać od swoich przyjaciółek panien Jepanczyn takich ścisłych informacji; były tam tylko jakieś aluzje, półsłówka, przemilczenia, zagadki. A może siostry Agłai umyślnie się z czymś wygadały, żeby z kolei dowiedzieć się czegoś od Warwary Ardalionowny; mogło być wreszcie tak, że i one nie chciałyby sobie odmówić kobiecej przyjemności pewnego poirytowania przyjaciółki, chociażby

nawet z lat dziecińczych: przecież nie mogły w ciągu tak długiego czasu nie dojrzeć bodaj rąbka jej zamiarów.

Z drugiej strony i książę, aczkolwiek miał najzupełniejszą rację zapewniając Lebediewa, że nic mu nie może zakomunikować i że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, też mógł się mylić. Istotnie, ze wszystkimi stało się jakby coś bardzo dziwnego: niby nic nie zaszło, ale w gruncie rzeczy jak gdyby bardzo dużo. To właśnie Warwara Ardalionowna zdołała odgadnąć swoim niezawodnym kobiecym instynktem.

Skąd się to jednak wzięło, że w domu Jepanczynów wszyscy raptem zaczęli jednakowo i zgodnie myśleć, iż w życiu Agłai wydarzyło się coś bardzo ważnego i że decydują się jej losy - trudno o tym opowiedzieć w kolejności rzeczy. Ledwo jednak zaświtała ta myśl, i to od razu wszystkim, natychmiast wszyscy oświadczyli, że dawno im to wiadomo i że to było do przewidzenia; że wszystko zaczęło się od „biednego rycerza”, a nawet jeszcze wcześniej, tylko wtedy nikt jeszcze nie chciał wierzyć w taki absurd. Tak twierdziły siostry; oczywiście Lizawieta Prokofiewna też to wszystko zauważyła i przewidziała prędzej niż inni i dawno już ją „bolało serce”, ale - dawno czy niedawno - teraz myśl o księciu nagle przestała być dla niej przyjemna; dlatego właśnie, że ją zbiła z tropu. Nasuwało się tutaj pytanie, na które trzeba było niezwłocznie odpowiedzieć; ale nie tylko odpowiedź była trudna, gdyż nawet samego pytania biedna Lizawieta Prokofiewna nie mogła sobie wyraźnie uprzytomnić i sformułować, mimo wszelkich starań. Sprawa była skomplikowana: „Czy książę jest człowiekiem dobrym czy złym? Czy to wszystko jest dobre czy złe? Jeżeli złe (co nie ulega wątpliwości), to dlaczego mianowicie złe? A jeżeli (co też być może) dobre, to dlaczego dobre?” Sam ojciec rodziny, Iwan Fiodorowicz, był przede wszystkim, ma się rozumieć, zdziwiony, ale potem nagle wyznał, że „dalibóg, coś mu się w tym rodzaju przez cały czas wydawało, niby nic wyraźnego, ale właściwie plątała mu się taka myśl po głowie”. Natychmiast umilkł, poskromiony surowym wzrokiem małżonki, ale umilkł rano, wieczorem zaś, sam na sam z żoną, która go zmusiła, aby dalej mówić, nagle i jakby ze szczególnym animuszem wypowiedział kilka nieoczekiwanych myśli: „Bo niby cóż to takiego, w gruncie rzeczy?...” (Milczenie.) „Oczywiście, wszystko to jest bardzo dziwne, jeżeli to prawda, i w ogóle nie ma kwestii, ale...” (Znów milczenie.) „A z drugiej strony, jeżeli ująć sprawę po prostu, to książę jest doprawdy wspaniałym chłopcem i... i... i... - no, koniec końcem nasze nazwisko, nasze rodowe nazwisko, które podupało trochę w oczach świata, może być w ten sposób niejako podtrzymane, to znaczy, patrząc z tego punktu widzenia, czyli właściwie dlatego, to jest... naturalnie, świat; świat jest światem; a książę jednak nie jest bez majątku, chociażby nawet niezbyt dużego. On przecież ma... i... i... i...” (Długie milczenie i zdecydowane zacięcie się języka.) Wysłuchawszy męża, Lizawieta Prokofiewna uniosła się jak nigdy dotąd.

Zdaniem jej, wszystko to, co zaszło, było „niewybaczalnym, a nawet karygodnym głupstwem, wytworem fantazji, głupim i bez sensu”! Przede wszystkim chociażby to, że „ten cały książę jest chorym idiotą, po drugie - głupi, ani świata nie zna, ani żadnej pozycji w świecie nie ma; jakże go komuś pokazać, co z nim zrobić? Człowiek, który wyznaje jakiś niedopuszczalny demokratyzm, nie posiada nawet najmizerniejszej rangi i... i... co powie Biełokońska? Czy takiego, właśnie takiego męża wyobrażaliśmy sobie i życzyliśmy dla Agłai?” Ostatni argument był oczywiście najważniejszy. Serce matki drżało na samą myśl o tym, krwią się zalewało i łzami, chociaż jednocześnie coś się tam poruszało w głębi tego serca i nagle mówiło jej: „A dlaczegoż książę nie miałby właśnie być tym,

którego pragniecie?” Te i tym podobne sprzeczności we własnym sercu sprawiały najwięcej kłopotu Lizawiecie Prokofiewnie.

Siostram Agłai dlaczegoś spodobała się myśl o księciu; nawet wydała się nie bardzo dziwna; słowem, mogły się one raptem znaleźć po jego stronie. Ale obie postanowiły milczeć. W rodzinie od dawna już zauważono, że im uporczywiej i silniej wzrastały czasem w jakiejś ogólnej i spornej rodzinnej sprawie sprzeczności i opory Lizawie Prokofiewny, tym bardziej mogło to stanowić dla wszystkich oznakę, że może matka już się zgadza ze zdaniem pozostałych członków rodziny. Aleksandra Iwanowna jednak nie mogła zupełnie się nie wypowiadać. Od dawna uważając ją za swoją doradczynię, matka teraz ciągle przywoływała ją do siebie i pytała o zdanie, a przede wszystkim prosiła, aby jej uprzytomnić: „Jak się to wszystko stało? Dlaczego nikt tego nie spostrzegł? Dlaczego nikt nic nie mówił? Co oznaczał wtedy ten obmierzły „biedny rycerz”? Dlaczego tylko ona, Lizawie Prokofiewna, skazana jest na to, żeby opiekować się wszystkimi, zwracać na wszystko uwagę, wszystko przewidywać, a inni - mogą liczyć wrony?” i tak dalej i tak dalej. Aleksandra Iwanowna z początku zachowała dużą ostrożność i zauważyła tylko, że wydaje się jej dość słuszny pogląd ojca, iż w oczach świata wybór księcia Myszkina na męża jednej z panien Jępanczyń może okazać się nader stosowny. Powoli, zapaliwszy się, dodała nawet, że księżę wcale nie jest takim „głuptasem” i nigdy nim nie był, a co się tyczy znaczenia, to przecież Bóg jeden wie, na czym się będzie opierało za kilka lat znaczenie porządnego człowieka w Rosji: czy na koniecznych, jak dotąd, sukcesach i awansach w służbie, czy na czymś innym? Na to wszystko mama od razu wyrębała, że Aleksandra jest „wolnomyślicielką” i że „to wszystko przez tę haniebną kwestię kobiecą”. W pół godziny później pojechała do miasta, a z miasta na Wyspę Kamienną, żeby zastać Bielokońską, która właśnie bawiła w Petersburgu, ale wkrótce miała opuścić stolicę. Bielokońską była chrzestną matką Agłai.

„Stara Bielokońska” wysłuchiwała wszystkich gorączkowych i rozpaczliwych wyznań Lizawie Prokofiewny i wcale się nie przejęła łzami strapionej matki, a nawet popatrzyła na nią ironicznie. Była to straszna despotka; w przyjaźni, nawet datującej się od tak dawna, nie mogła ścierpieć równości, a na Lizawie Prokofiewnę patrzyła zdecydowanie jak na swoją *protegee*^{*}, jak trzydzieści pięć lat temu, i w żaden sposób nie mogła się pogodzić z jej gwałtownością i samodzielnością. Zauważyła między innymi, że „wszyscy tam, zdaje się, zgodnie ze swoim zwyczajem, zanadto wyprzedzili wypadki i z muchy zrobili słonia; że jakkolwiek się wsłuchiwała, nie mogła stwierdzić, aby u nich istotnie zaszło coś poważnego; że czy nie lepiej poczekać, aż się coś okaże; że księżę według niej jest bardzo porządnym młodym człowiekiem, chociaż chorowitym, dziwnym i zbyt mało znaczącym. Najgorsze to, że zupełnie otwarcie utrzymuje kochankę.” Lizawie Prokofiewna bardzo dobrze rozumiała, że Bielokońska trochę się gniewa za niepowodzenie Eugeniusza Pawłowicza, którego protegowała. Wróciła do siebie do Pawłowska jeszcze bardziej rozdrażniona niż przed wyjazdem; od razu wszystkim się od niej dostało, głównie za to, że „powariowali”, że absolutnie nikt nie załatwia w ten sposób sprawy, tylko oni jedni; „czemu się tak śpieszyli? Co z tego wyszło? Wpatruję się, jak mogę, i nie widzę, żeby coś wyszło! Poczekajcie jeszcze, zanim wyjdzie! Iwan Fiodorowicz to sobie uroił, zanim jeszcze coś z tego wyszło! Iwan Fiodorowicz mógł sobie coś uroić, ale nie można przecież z muchy robić słonia” - i tak dalej, i tak dalej.

Wypadało zatem uspokoić się, patrzeć z zimną krwią i czekać. Ale niestety spokój nie trwał

nawet dziesięciu minut. Pierwszy cios zadały zimnej krwi wiadomości o tym, co się zdarzyło w tym czasie, kiedy mama pojechała na Wyspę Kamienną. (Lizawieta Prokofiewna udała się tam na drugi dzień po tym, kiedy książe przyszedł o pierwszej zamiast o dziesiątej.) Siostry na niecierpliwe pytania matki odpowiadały bardzo szczegółowo, że po pierwsze, „nic, zdaje się, nie zaszło w czasie jej nieobecności”, że przyszedł książe, Agłaja zaś długo do niego nie wychodziła, chyba z pół godziny; potem wyszła i zaraz zaproponowała księciu grę w szachy; że książe nie zna nawet ruchów szachowych i Agłaja od razu go zwyciężyła; dzięki temu wpadła w dobry humor i okropnie wyśmiewała się z księcia i jego nieumiejętności, po prostu kpiała z niego w żywe oczy, aż przykro było na niego patrzeć. Potem zaproponowała grę w karty, w durnia. Ale tu się sytuacja odwróciła; książe, jak się okazało, grał w durnia co najmniej jak... jak profesor; grał po mistrzowsku; Agłaja zaczęła już nawet oszukiwać, zmieniała karty i na oczach księcia wprost kradła lewy, a jednak ciągle zostawała durniem, pięć razy z rzędu. Okropnie się rozgniewała, aż straciła panowanie nad sobą; nagadała księciu takich złośliwości i impertynencji, że przestał się śmiać i całkiem zbladł, kiedy mu oświadczyła na ostatku, że „jej noga nie postanie w tym pokoju, dopóki on tu będzie siedział, i że to nawet nieładnie z jego strony przychodzić do nich, i w dodatku jeszcze w nocy, o pierwszej, po tym wszystkim, co się stało”. Następnie trzasnęła drzwiami i wyszła. Książe odszedł jak struty, mimo iż starano się go pocieszyć. Nagle w kwadrans po odejściu księcia Agłaja zbiegła z góry na taras, i to z takim pośpiechem, że nawet oczu nie otarła, a miała oczy zapłakane; zbiegła zaś dlatego, że przyszedł Kola i przyniósł jeża. Wszystkie panny zaczęły się przyglądać jeżowi; na ich pytania Kola objaśnił, że to nie jego jeż i że jest właśnie teraz z kolegą, gimnazjalistą, Kostią Lebediewem, który został na ulicy i wstydzi się wejść, bo niesie siekierę, że jeża i siekierę kupili dopiero co od spotkanego chłopca. Jeża chłop sam chciał sprzedać i wziął za niego pięćdziesiąt kopiejek, a siekierkę odstąpił im przy okazji za ich namowę, bo uznali, że siekiera się przyda i że jest wyjątkowo dobra. W tym momencie Agłaja zaczęła strasznie namawiać Kolę, żeby jej zaraz odprzedał jeża; niemal ze skóry wyłaziła, nawet nazwała Kolę „miłym”. Kola długo się nie zgadzał, ale wreszcie nie wytrzymał i zawołał Kostię Lebediewa, który rzeczywiście wszedł z siekierą i bardzo się zawstydził. Nagle jednak okazało się, że jeż wcale nie jest ich, tylko jakiegoś trzeciego chłopca, Pietrowa, który dał im obydwóm pieniędzy, żeby mu kupili od jakiegoś czwartego chłopca *Historię Schlossera*, [137] którą tamten potrzebując pieniędzy, chciał sprzedać na dogodnych warunkach; że poszli kupować *Historię Schlossera*, ale nie wytrzymali i kupili jeża, wobec czego zarówno jeż, jak i siekiera stanowią własność tego trzeciego chłopca, któremu teraz to niosą zamiast *Historii Schlossera*. Ale Agłaja tak nalegała, że w końcu ustąpili i sprzedali jeża. Gdy tylko Agłaja otrzymała jeża, natychmiast ułożyła go, przy pomocy Koli, w plecionym koszyku, przykryła serwetką i zaczęła prosić Kolę, żeby od razu, nigdzie nie wstępując po drodze, odniósł jeża księciu i ofiarował w jej imieniu „w dowód najgłębszego szacunku”. Kola z radością przystał na to i dał słowo, że odniesie, ale niezwłocznie jął wypytywać: „Co oznacza jeż i podobny prezent?” Agłaja odpowiedziała mu, że to nie jego rzecz. On znów na to, że w tym jest na pewno jakaś ukryta alegoria, Agłaja rozgniewała się i odpaliła, że uważa go za smarkacza, i nic więcej. Kola natychmiast odparł, że gdyby nie szanował w niej kobiety, a ponadto nie cenił własnych przekonań, dowiódłby że umie odpowiedzieć na podobną obelgę. Skończyło się jednak na tym, że Kola z wielką uciechą poszedł zanieść jeża, a za nim pobiegl Kostia Lebediew; Agłaja nie wytrzymała widząc, że Kola za bardzo wymachuje koszykiem, i krzyknęła za nim z tarasu: „Kola, mój złociutki, tylko nie zgub jeża!”; tak jakby się z nim wcale nie kłóciła. Kola stanął i tak samo, jakby się nigdy nie kłócił, zawołał z największą usłużnością: „Nie, nie zgubię, Agłajo Iwanowno. Niech pani będzie zupełnie spokojna!”, i puścił się w te pędy na łeb, na szyję. Agłaja po tym wszystkim zaczęła się śmiać do rozpuku i pobiegnęła do siebie nadzwyczaj zadowolona

i później przez cały dzień też była bardzo wesoła.

Tego rodzaju wiadomości zupełnie oszołomiły Lizawietę Prokofiewnę. Zdawałoby się, że niby cóż w tym wszystkim złego? Ale już taki widać przyszedł nastrój. Zatrwożona była w najwyższym stopniu i głównie intrygował ją ten jeż; co oznacza jeż? Co należy przez to rozumieć? Co to za znak? Co za telegram? Na dobitkę nieszczęsny Iwan Fiodorowicz, który się przypadkiem napatoczył podczas badania sprawy, z kretesem popsuł wszystko swoją odpowiedzią. Oświadczył ni mniej, ni więcej, że nie widzi tu żadnego telegramu, a jeż - no to po prostu jeż, i nic więcej; może poza tym oznaczać chyba tylko przyjaźń, zapomnienie uraz i zachętę do wzajemnej zgody; słowem, jest to w każdym razie żart, niewinny i całkiem wybaczalny.

Zauważmy nawiasem, że ocenił sytuację najzupełniej trafnie. Księżę, wróciwszy do domu, wyśmiany i wypędzony przez Agłaję, siedział już pół godziny z najczarniejszą rozpaczą w duszy, kiedy nagle zjawił się Kola przynosząc jeża. I od razu przejaśniło się niebo; księżę jak gdyby zmartwychwstał; wypytywał Kolę, z natężeniem wsłuchiwał się w każde jego słowo, kazał sobie powtarzać niektóre rzeczy po dziesięć razy, śmiał się jak dziecko i co chwila ścisnął ręce obydwóm rozweselonym i radośnie patrzącym na niego chłopcom. Wynikało z tego wszystkiego, że Agłaja nie jest już obrażona i księżę będzie mógł dziś wieczorem znowu iść do niej, a dla niego było to nie tylko najważniejsze, ale było wszystkim.

- Jakie z nas jeszcze dzieci, Kola! I... i... jak to dobrze, że jesteśmy dziećmi! - zawołał na koniec z zachwytem.

- Najzwyczajniej w świecie ona pana kocha, i basta! - odpowiedział Kola pewnym siebie i nader przekonującym tonem.

Księżę już się chciał obruszyć, ale tym razem nie rzekł ani słowa, a Kola śmiał się i klaskał w dłonie I w chwilę później roześmiał się i księżę, a potem co pięć minut patrzył na zegarek, czy dużo już czasu przeszło i czy dużo zostaje do wieczora.

Nastrój jednak wziął górę: Lizawieta Prokofiewna w końcu nie wytrzymała i poddała się chwilowej hysterii. Nie zważając na perswazje męża i córek, natychmiast posłała po Agłaję, żeby jej zadać ostateczne pytanie i otrzymać od niej wyraźną i ostateczną odpowiedź. „Żeby to już raz skończyć, załatwić tak, żeby już więcej o tym nie wspominać!” „W przeciwnym razie - dodała - nie dożyję nawet do wieczora!” I teraz dopiero wszyscy się zorientowali, do jakiego absurdu doszło w tej całej sprawie. Poza sztucznym zdziwieniem, oburzeniem, śmiechem i drwinami z księcia i tych, co ją badali, niczego się od Agłai nie dowiedziano, Lizawieta Prokofiewna położyła się i wstała dopiero do herbaty, o tej porze, kiedy spodziewano się księcia. Księżcia oczekiwała z drżeniem, a kiedy się zjawił, o mało nie dostała ataku hysterii.

Księżę sam wszedł nieśmiało, niemal po omacku, dziwnie się uśmiechając, zaglądając wszystkim w oczy i wszystkim jakby zadając pytanie, gdyż Agłai znowu nie było w pokoju, czego się natychmiast przeląkł. Tego wieczoru nie było nikogo z obcych, tylko sami członkowie rodziny. Księżę Sz. był jeszcze w Petersburgu w związku ze sprawą wuja Eugeniusza Pawłowicza. - „Żeby on chociaż był i coś powiedział” - ubolewała myśląc o nim Lizawieta Prokofiewna. Iwan Fiodorowicz siedział z nadzwyczaj zakłopotaną miną; siostry były poważne i jakby rozmyślnie milczały. Lizawieta

Prokofiewna nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę. Wreszcie energicznie skrytykowała kolej żelazną i popatrzyła na księcia niemal prowokująco.

Niestety! Agiaja się nie pokazywała i książe prawie odchodził od zmysłów. Jąkając się i bełkocząc, doszczętnie zmieszany, wypowiedział zdanie, że byłoby rzeczą bardzo pożyteczną ulepszyć koleje żelazne, Adelajda jednak raptem roześmiała się i książe znowu jakby stracił grunt pod nogami. W tej samej chwili weszła Agłaja, spokojna i poważna, ceremonialnie ukloniła się księciu i uroczyście zajęła najbardziej widoczne miejsce przy okrągłym stole. Pytająco spojrzała na księcia. Wszyscy zrozumieli, że położony będzie kres wszelkim wątpliwościom.

- Czy pan dostał mojego jeża ? - zapytała ostro i niemal z gniewem.

- Dostałem - odpowiedział książe, czerwieniąc się i drętwiejąc z przejęcia.

- Proszę natychmiast powiedzieć, co pan o tym myśli? To jest konieczne dla spokoju matki i całej naszej rodziny.

- Słuchaj, Agłaja... - zaniepokoił się nagle generał.

- To... to przechodzi wszelkie granice! - przestraszyła się nagle czegoś Lizawieta Prokofiewna.

- Żadnych wszelkich granic tu nie ma, proszę *maman* - surowo i niezwłocznie odparła córka. - Dzisiaj posłałam księciu jeża i chcę wiedzieć, co o tym sądzi. No więc, książe?

- To znaczy o czym, Agłajo Iwanowno?

- O jeżu.

- No cóż... sądzę, Agłajo Iwanowno, że pani chce się dowiedzieć, jak przyjąłem... jeża... albo, ściślej mówiąc, jak się zapatruję... na tę przesyłkę... czyli na jeża, to jest... w takim razie uważam, że... słowem...

Zaciął się i umilkł.

- No, niedużo pan powiedział - poczekała jakieś pięć sekund Agłaja. - Dobrze, zgadzam się zostawić jeża; ale cieszę się, że mogę wreszcie wyjaśnić wszystkie nagromadzone wątpliwości. Pozwoli pan, że zwrócę się wprost do pana z zapytaniem: czy pan się stara o mnie, czy nie?

- O Boże! - wyrwało się z piersi Lizawiety Prokofiewny.

Książe drgnął i odsunął się; Iwan Fiodorowicz osłupiał; siostry się zachmurzyły.

- Niech pan nie zmyśla, niech pan mówi prawdę. Z powodu pana prześladują mnie tu dziwnymi indagacjami; czy te indagacje mają jakąś podstawę? No, proszę!

- Nie starałem się o panią, Agłajo Iwanowno - powiedział książe, nagle się ozywając - ale... sama pani wie, jak panią kocham i wierzę w panią... nawet teraz...

- Pytałam pana: proszę pana o moją rękę czy nie?

- Proszę - odrzekł z zamierającym sercem książę.

- To wszystko jakoś nie tak, drogi przyjacielu - odezwał się Iwan Fiodorowicz, bardzo wzburzony - to... to jest prawie niemożliwe, jeżeli to tak, Głásza... Wybacz mi drogi książę!... Lizawieto Prokofiewno! - zwrócił się o pomoc do żony. - Trzeba by... rozważyć...

- Odmawiam, odmawiam! - machała rękami Lizawieta Prokofiewna.

- Niechże *maman* i mnie pozwoli coś powiedzieć; przecież i ja w takiej sprawie coś znaczę: decyduje się w tej chwili mój los (Agłaja tak się właśnie wyraziła), więc chciałabym się sama dowiedzieć, a poza tym cieszę się, że to przy wszystkich... Niechże książę pozwoli zapytać, jeżeli pan „żywi takie zamiary”, to jak pan myśli zapewnić mi szczęście?

- Doprawdy nie wiem, Agłajo Iwanowno, jak pani odpowiedzieć; cóż tu... cóż tu można rzec? No i... czy potrzeba?

- Pan, zdaje się, jest bardzo zmieszany, pan z trudem oddycha; niech pan sobie trochę odsapnie i nabierze nowych sił; niech pan wypije szklankę wody, zaraz pan dostanie herbaty.

- Kocham panią, Agłajo Iwanowno, bardzo panią kocham; tylko panią jedną; więc... niech pani nie żartuje, bo panią naprawdę kocham.

- Jednak sprawa jest aż nadto ważna; nie jesteśmy dziećmi i musimy trzeźwo patrzeć na rzeczy... Niechże pan z łaski swojej wyjaśni, jak się przedstawia pański majątek.

- Ależ, Agłajo! Ależ co ty mówisz! To nie tak, nie tak... - bąkał przerażony Iwan Fiodorowicz.

- Wstyd! - szepnęła dość głośno Lizawieta Prokofiewna.

- Zwariowała! - również głośno szepnęła Aleksandra.

- Majątek... to znaczy pieniądze? - zdziwił się książę.

- Właśnie.

- Mam teraz... mam teraz sto trzydzieści pięć tysięcy - wyjąkał książę czerwieniąc się gwałtownie.

- Tylko tyle? - zdziwiła się Agłaja, głośno i szczerze, wcale się nie rumieniąc. - To nic zresztą; zwłaszcza jeśli żyć z ołówkiem w ręku... Ma pan zamiar pracować?

- Chciałem zdać egzamin na nauczyciela domowego...

- Niezła myśl; to oczywiście zwiększy nasze dochody. Czy pan przypuszcza, że pan zostanie kamerjunkerem?

- Kamerjunkerem? Jakoś sobie tego nie wyobrażam, ale...

Ale tutaj już nie wytrzymały obie siostry i parsknęły śmiechem. Adelajda dawno już dostrzegła w drzeniu rysów twarzy Agłaji oznaki rychłego i gwałtownego śmiechu, który powstrzymywała na razie ze wszystkich sił. Agłaja spojrzała groźnie na śmiejące się siostry, ale sama nie wytrzymała nawet sekundy i wybuchnęła szalonym, niemal histerycznym śmiechem; wreszcie zerwała się i wybiegła z pokoju.

- Wiedziałam, że to tylko żarty, i nic więcej! - krzyknęła Adelajda. - Wiedziałam od samego początku, od tej historii z jeżem.

- Nie, na to już nie pozwolę! - uniosła się nagle gniewem Lizawieta Prokofiewna i szybko podążyła za Agłają. Za nią natychmiast pobiegły siostry. W pokoju został książę w towarzystwie ojca rodziny.

- To doprawdy... czy mogłeś sobie wyobrazić coś podobnego, Lwie Nikołajewiczu? - zawołał ostro generał, najwidoczniej nie rozumiejąc, co chce powiedzieć. - Ale poważnie, poważnie mi wytłumacz.

- Widzę, że Agłaja Iwanowna żartowała sobie ze mnie - odpowiedział ze smutkiem książę.

- Poczekaj no, mój drogi; pójdę, a ty tu zostań i czekaj... bo... wyjaśnijże mi chociaż ty, chociaż ty: jak się to wszystko zdarzyło i co to wszystko znaczy, w ogóle, że tak powiem, w całości? Przyznasz chyba sam, mój drogi - jestem ojcem; jednak przecie jestem ojcem, a nic nie rozumiem; więc chociaż ty mi to wyjaśnij!

- Kocham Agłaję Iwanownę; ona wie o tym... i, zdaje się, od dawna wie.

Generał wzruszył ramionami.

- Dziwne, dziwne rzeczy... i bardzo ją kochasz?

- Bardzo kocham.

- Dziwne, strasznie dziwne to wszystko. To taka niespodzianka i cios, że... Widzisz, mój kochany, nie mam tu na myśli majątku (choć spodziewałem się, że masz więcej), ale... dla mnie szczęście córki... wreszcie... czy zdołasz, że tak powiem, zapewnić jej... to szczęście? I... co to jest: żarty czy prawda z jej strony? To znaczy nie z twojej, ale z jej strony?

Za drzwiami rozległ się głos Aleksandry Iwanowny: wołała ojca.

- Poczekaj, mój drogi, poczekaj! Poczekaj i pomyśl, a ja zaraz... - rzekł pośpiesznie generał i prawie ze strachem podążył na wołanie Aleksandry.

Zastał żonę i córkę obejmujące się nawzajem i zalewające się łzami. Były to łzy szczęścia, rozczulenia i zgody. Agłaja całowała ręce matki, policzki, usta; obydwie gorąco się ściskając.

- No, popatrz na nią; masz ją teraz całą jak na dłoni! - zwróciła się Lizawieta Prokofiewna do męża.

Aglaja odwróciła od matczynej piersi swoją szczęśliwą i zapłakaną twarzyczkę, popatrzyła na ojca, głośno się roześmiała, skoczyła do niego, mocno go objęła i kilka razy ucałowała. Potem znów podbiegła do matki, ukryła twarz na jej piersiach, żeby już nikt nie widział, i natychmiast zaczęła płakać. Lizawieta Prokofiewna okryła ją końcem swojego szala.

- No i co też ty z nami wyprawiasz; jesteś, jak z tego widać, okrutną dziewczyną, tyle ci powiem! - rzekła, ale już radośnie, jakby jej było lżej oddychać.

- Okrutną, tak, okrutną! - podchwyciła raptem Aglaja. - Niegodziwą! Rozpieszczoną! Proszę to powiedzieć papie. Ach, przecież jest tutaj. Jesteś tu, papo? Słyszysz! - roześmiała się przez łzy.

- Moja najdroższa, moje ty bóstwo! - całował jej rękę rozpromieniony szczęściem generał. (Aglaja nie cofała ręki.) - Więc ty kochasz tego... młodzieńca?...

- Nie, nie, nie! Ścierpieć nie mogę... tego waszego księcia, znieść nie mogę! - wybuchnęła raptem Aglaja i podniosła głowę. - I jeżeli papa jeszcze raz się ośmieli... mówię poważnie; słyszy papa: poważnie mówię!

I rzeczywiście mówiła poważnie z rumieńcami na twarzy i błyszczącymi oczyma. Ojciec urwał nagle, przestraszony, jednak Lizawieta Prokofiewna dała mu znak za plecami Aglai; zrozumiał: „nie wypytuj”.

- Jeżeli tak, mój aniele, no to jak chcesz, twoja wola; on tam czeka sam jeden; może by mu delikatnie dać do zrozumienia, żeby sobie poszedł?

Generał z kolei mrugnął na Lizawietę Prokofiewnę.

- Nie, nie, to niepotrzebne; zwłaszcza jeśli „delikatnie”: niech papa wyjdzie do niego sam; ja wyjdę potem, za chwilę. Chcę... przeprosić księcia, ponieważ go obraziłam.

- I bardzo obraziłaś - potwierdził z powagą Iwan Fiodorowicz.

- No to... niech wszyscy zostaną tutaj, a ja pójdę najpierw sama; proszę przyjść zaraz za mną, za sekundę; tak będzie lepiej.

Doszła do drzwi, ale raptem wróciła.

- Roześmieję się! Umrę ze śmiechu! - oznajmiła ze smutkiem.

I w tej samej chwili odwróciła się i pobiegła do księcia.

- No i cóż to wszystko znaczy? Jak myślisz? - rzekł pośpiesznie Iwan Fiodorowicz.

- Boję się powiedzieć - z równym pośpiechem odpowiedziała Lizawieta Prokofiewna - ale,

według mnie, sprawa jest jasna.

- Według mnie też. Jasna jak słońce. Kocha go.

- Nie tylko kocha, nawet jest zakochana! - odezwała się Aleksandra Iwanowna. - Tylko w kim?

- Niech jej Bóg błogosławi, jeżeli już taki los! - przeżegnała się pobożnie Lizawieta Prokofiewna.

- Los to los - potwierdził generał - losu się nie uniknie!

I wszyscy weszli do salonu, a tam ich znów czekała niespodzianka.

Agłaja nie tylko się nie roześmiała, podszedłszy do księcia, jak się tego obawiano, ale nawet prawie z nieśmiałością powiedziała do niego:

- Niech pan daruje głupiej, złej, rozpieszczonej dziewczynie (wzięła go za rękę) i niech pan będzie przekonany, że my wszyscy tutaj bezgranicznie pana szanujemy. A jeśli ja się ośmieliłam obrócić w żart pańską piękną... zacząć dobroduszość, to proszę mi wybaczyć tak, jak się dziecku wybacza psotę; niech pan wybaczy, że nalegałam na głupstwa, które, rzecz prosta, nie mogą mieć najmniejszych następstw...

Ostatnie słowa Agłaji wymówiła ze szczególnym naciskiem.

Ojciec, matka i siostry, wszyscy zdążyli wejść do salonu, ujrzeć i usłyszeć to wszystko; każdego z nich bez wyjątku uderzyły te „głupstwa, które nie mogą mieć najmniejszych następstw”, a jeszcze bardziej poważny ton Agłaji, jakim wypowiedziała te słowa. Wszyscy spojrzeli po sobie pytająco; ale książę, zdaje się, nie zrozumiał tych słów i był jak najszcześliwszy.

- Dlaczego pani tak mówi - bąknął - dlaczego pani... prosi... o przebaczenie...

Chciał nawet powiedzieć, że nie jest godzien, aby go proszono o przebaczenie. Kto wie, może uchwycił znaczenie słów o „głupstwach, które nie mogą mieć najmniejszych następstw”, ale jako człowiek o dziwnym charakterze, może się nawet z nich cieszył. Niewątpliwie dla niego szczytem szczęścia było choćby już to, że znowu będzie mógł bez przeszkód odwiedzać Agłaję, że pozwoli mu z nią rozmawiać, siedzieć z nią, spacerować; i kto wie, może tym jednym zadowoliłby się na całe życie! (Takiego właśnie zadowolenia obawiała się w głębi duszy Lizawieta Prokofiewna; przeczuwała je; wielu rzeczy lękała się i nawet sama nie umiała ich określić.)

Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo książę ożywił się i nabrał fantazji tego wieczoru. Był tak wesoły, że kto tylko patrzył na niego, też się stawał wesoły - tak mówiły później siostry Agłaji. Rozgadał się, a to mu się nie zdarzyło od owego ranka sprzed pół roku, kiedy poznał Jepanczynów; po powrocie zaś do Petersburga był widocznie i umyślnie małomówny i bardzo niedawno, przy wszystkich, szczerze przyznał się księciu Sz., że musi powstrzymywać swój język i milczeć, gdyż nie ma prawa poniżać myśli przez ich wypowiedzianie. Tego wieczoru mówił prawie sam; dużo opowiadał; jasno, szczegółowo i z radością odpowiadał na pytania. Jednak z tego, co mówił, nie przebijało nic, co byłoby podobne do słów człowieka zakochanego. Wszystko to były poważne,

często nawet zawile myśli. Książę wyłożył nawet kilka swoich poglądów, swoich własnych spostrzeżeń, którymi się dotychczas z nikim nie dzielił, wszystko więc byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było tak „dobrze wyłożone”, jak zgodnie stwierdzili potem wszyscy słuchacze. Generał wprawdzie lubił poważne tematy rozmów, ale zarówno on, jak i Lizawieta Prokofiewna orzekli w duchu, że za bardzo to uczone, i pod koniec wieczoru nawet posmutniali. Zresztą książę doszedł w końcu do tego, że opowiedział kilka niezwykle śmiesznych anegdotek, z których sam się pierwszy śmiał, toteż obecni śmieli się bardziej z jego radosnego śmiechu niż z anegdotek. Agłaja prawie nie odzywała się przez cały wieczór; bez przerwy za to słuchała Lwa Nikołajewicza, a nawet nie tyle słuchała, co patrzyła na niego.

- Patrzy i patrzy, oczu od niego nie odrywa; każde jego słowo po prostu chwyta, po prostu chwyta! - mówiła później Lizawieta Prokofiewna do męża. - A powiedz jej, że jest zakochana, to ci naurąga, że bardziej nie można!

- Cóż robić, taki los! - wzruszył ramionami generał i długo jeszcze powtarzał to słówko, które mu bardzo przypadło do gustu. Dodajmy, że jako człowiekowi praktycznemu wiele mu się też bardzo nie spodobało w obecnej sytuacji, a przede wszystkim - niejasność sprawy; ale również postanowił do czasu milczeć i patrzeć... w oczy Lizawiecie Prokofiewny.

Radosny nastrój rodziny trwał niedługo. Już nazajutrz Agłaja znów posprzeczała się z księciem i tak się to odbywało bez przerwy w ciągu następnych kilku dni. Całymi godzinami wystawiała księcia na śmieszność i nieomal robiła z niego błazna. Co prawda siadywali czasem oboje godzinę lub dwie w ogródku, w altance; zauważono jednak, że książę prawie zawsze czyta wtedy Agłai gazety albo jakąś książkę.

- Wie pan - powiedziała mu raz Agłaja, przerywając czytanie - zauważyłam, że pan jest bardzo niewykształcony; pan nic dobrze nie wie, jeżeli pana o co spytać: ani kto mianowicie, ani w którym roku, ani na podstawie jakiego traktatu? Pan jest godzien pożałowania.

- Mówiłem pani, że nie posiadam rozległej wiedzy - odpowiedział książę.

- Cóż pan jest wart wobec tego? Jakże ja mogę pana szanować? Niech pan czyta dalej; a zresztą nie trzeba, niech pan przestanie czytać.

I znów tego wieczoru ujawniło się przelotnie coś bardzo dla wszystkich zagadkowego z jej strony. Powrócił książę Sz. Agłaja była dla niego bardzo miła, zadawała dużo pytań dotyczących Eugeniusza Pawłowicza. (Książę Lew Nikołajewicz jeszcze nie przyszedł.) Nagle książę Sz. pozwolił sobie napomknąć o „bliskim i nowym wydarzeniu w rodzinie”, po kilku słowach, które jakoś wyrwały się Lizawiecie Prokofiewnie, że trzeba będzie może znów odwlec termin ślubu Adelajdy, żeby obydwa śluby wypadły razem. Trudno sobie wyobrazić, jakim gniewem uniosła się Agłaja z powodu „tych wszystkich głupich przypuszczeń”, a między innymi wyrwały jej się słowa, że „jeszcze nie ma zamiaru zajmować miejsca niczyich kochanek.”

Słowa te uderzyły wszystkich, ale głównie rodziców. Lizawieta Prokofiewna na poufnej naradzie z mężem nalegała, żeby stanowczo rozmówić się z księciem co do Nastasji Filipowny.

Iwan Fiodorowicz przysięgał, że to tylko „wybryk”, spowodowany „wstydlivością” Agłai; że gdyby ksiązę Sz. nie wspomniał o ślubie, nie byłoby tego wybryku, gdyż Agłaja sama wie, dokładnie wie, że to wszystko jest oszczerstwem złych ludzi i że Nastasja Filipowna wychodzi za mąż za Rogożyna; że ksiązę nie ma z tym nic wspólnego, że nic go nie łączy z Nastasją Filipowną i nigdy nic nie łączyło, jeśli już mówić całą prawdę bez osłonek.

A ksiązę mimo wszystko nie tracił kontenansu i w dalszym ciągu był nad wyraz szczęśliwy. O, naturalnie i on dostrzegał czasem coś jakby ponurego i niecierpliwego w spojrzeniach Agłai; ale bardziej wierzył czemuś innemu i ponurość sama przez się znikła. Gdy raz uwierzył, nic już nie mogło zachwiać jego wiary. Może nawet zanadto był spokojny; tak przynajmniej wydawało się Hipolitowi, który pewnego razu przypadkiem spotkał się z nim w parku.

- No, czy nie powiedziałem panu wówczas prawdy, że pan jest zakochany - zaczął mówić podchodząc do księcia i zatrzymując go. Ksiązę podał mu rękę i powińszował „dobrego wyglądu”. Chory zdawał się również być w dobrym nastroju, co tak jest charakterystyczne dla suchotników.

Po to właśnie podszedł do księcia, żeby mu powiedzieć coś zjadliwego na temat jego uszczęśliwionej miny, ale natychmiast zmieszał się i zaczął mówić o sobie. Skarżył się, skarżył wiele i długo, a przy tym dość nieskładnie.

- Nie uwierzy pan - zakończył - jak oni wszyscy tam są przewrażliwieni, drobiazgowi, egoistyczni, pyszałkowaci, wulgarni; czy pan da wiarę, że wzięli mnie pod tym warunkiem, abym jak najprędzej umarł, i teraz wszyscy są wściekli, że nie umieram i że przeciwnie, jest mi lepiej. Komedia! Założę się, że pan mi nie wierzy!

Ksiązę nie miał ochoty przeczyć.

- Myślę nawet czasem, żeby się znowu przenieść do pana - dodał niedbale Hipolit. - Więc pan jednak nie uważa ich za zdolnych do tego, by przyjęli człowieka, licząc na jego nieuniknioną i rychłą śmierć?

- Sądziłem, że zaproszono pana w jakimś innym celu.

- Ehe! Nie jest pan taki naiwny, jak pana przedstawiają! Nie czas na to, ale ja bym panu opowiedział coś niecoś o Gani i o jego aspiracjach. Pod panem dołki kopią, ksiązę, kopią bez litości... i... nawet szkoda, że pan jest taki spokojny. Ale niestety - pan nie może być inny!

- Tego panu szkoda! - roześmiał się ksiązę. - Więc, według pana, byłbym szczęśliwy, gdybym nie był spokojny?

- Lepiej być nieszczęśliwym, ale wiedzieć, niż być szczęśliwym i... wystrychniętym na dudka. Pan, zdaje się, wcale nie widzi, że z panem rywalizują również... z tamtej strony?

- Pańskie słowa o rywalizacji są trochę cyniczne, panie Hipolicie; żałuję, że nie mam prawa panu odpowiedzieć. Co zaś się tyczy Gawriły Ardalionowicza, sam pan przyzna, że nie może on być spokojny po tym wszystkim, co utracił, jeśli tylko zna pan, chociażby po części, jego sprawy. Zdaje

mi się, że lepiej spojrzeć z tego punktu widzenia. On jeszcze zdąży się zmienić, ma przed sobą długie życie, a życie jest bogate... a zresztą... zresztą - zmieszał się nagle książkę - co się tyczy kopania dołków... nawet nie rozumiem, co pan ma na myśli; porzućmy lepiej ten temat, panie Hipolicie.

- Porzućmy na razie; w dodatku nie może się obyć bez szlachetności z pana strony. Tak, książkę, pan musi sam palcem dotknąć, żeby znów nie uwierzyć, cha, cha! Czy bardzo pan mną teraz gardzi, jak pan myśli?

- Za co? Za to, że pan więcej od nas cierpiał i cierpi?

- Nie, ale za to, że nie jestem godny swojego cierpienia.

- Kto mógł więcej cierpieć, ten jest na pewno godny cierpieć więcej. Agłaja Iwanowna po przeczytaniu pańskiej spowiedzi chciała się z panem widzieć, ale...

- Odkłada... bo jej nie wolno, rozumiem, rozumiem... - przerwał Hipolit, jakby starając się czym prędzej zmienić temat rozmowy. - Podobno pan sam jej czytał na głos tę brednię; rzeczywiście, wszystko to w gorączce napisane i... zrobione. Nie rozumiem, do jakiego stopnia trzeba być, nie powiem: okrutnym (to dla mnie poniżające), ale po dziecinnemu próżnym i mściwym, żeby kłuć mnie tą spowiedzią, używać jej jako broni przeciwko mnie! Proszę się nie obawiać, nie mówię tego pod pańskim adresem...

- Przykro mi, że pan się wypiera tego zeszytu, panie Hipolicie; jest szczery i, wie pan, że nawet najśmieszniejsze jego strony, a jest ich dużo (Hipolit mocno się skrzywił), okupione są cierpieniem, gdyż przyznawać się do nich było rzeczą bolesną, a może nawet rzeczą... wielkiego męstwa. Myśl kierująca panem niewątpliwie miała szlachetną podstawę, cokolwiek by się o tym sądziło. Im dalej, tym jaśniej to widzę, przysięgam panu. Nie feruję na pana wyroku; mówię, żeby się wypowiedzieć, i żałuję, że wtedy milczałem...

Hipolit zaczerwienił się. Przemknęła mu przez głowę myśl, że książkę udaje i chce go na czymś przyłapać; ale spojrzawszy mu w oczy, nie mógł nie uwierzyć w jego szczerość; twarz mu się rozjaśniła.

- A jednak śmierć niedługo przyjdzie! - powiedział, o mało co nie dodawszy: „Do takiego człowieka jak ja!” - I niech pan sobie wyobrazi, jak mi dokucza pański Gania; wymyślił jako kontrargument, że kto wie, czy z tych, co wtedy słuchali mojej spowiedzi, trzech albo czterech nie umrze jeszcze przede mną! Też pomysł! Sądzi, że mnie w ten sposób pocieszy, cha, cha! Po pierwsze, jeszcze nikt nie umarł; a gdyby nawet ci ludzie poumierali, to jakaż byłaby dla mnie pociecha, niech pan sam powie! Gania najwidoczniej sądzi po sobie; zresztą posunął się jeszcze dalej i teraz po prostu mi wymyśla, mówi, że porządny człowiek umiera w takiej sytuacji milcząc i że w tym wszystkim był z mojej strony tylko egoizm! Co za pomysł! Nie, co za egoizm z jego strony! Jakie wyrafinowanie albo raczej wołowa ordynarność ich egoizmu, którego oni sami jednak w żaden sposób nie mogą u siebie zauważyć!... Czy pan czytał o śmierci niejakiego Stiepana Glebowa, w osiemnastym wieku?[138] Przypadkowo przeczytałem wczoraj...

- Jakiego Stiepana Glebowa?

- Był wbity na pal za czasów Piotra Wielkiego.

- Ach, mój Boże, wiem! Przesiedział piętnaście godzin na palu, podczas mrozu, w futrze, i umarł z nadzwyczajnym męstwem; naturalnie, czytałem... a co?

- Zsyła Pan Bóg takie zgony ludziom, a nam nie daje! Może pan sądzi, że nie jestem zdolny umrzeć tak jak Glebow?

- O, bynajmniej tak nie sędzę - zmieszał się książę - chciałem tylko powiedzieć, że pan... to znaczy nie, że pan byłby podobny do Glebowa, ale... że pan... że pan byłby wtedy raczej...

- Domyślani się: Ostermanem, a nie Glebowem - to pan chciał powiedzieć?

- Jakim Ostermanem? - zdziwił się książę.

- Ostermanem, dyplomata Ostermanem, współpracownikiem Piotra[139] - wybąkał Hipolit, nagle trochę się zmieszawszy. Wynikło małe nieporozumienie.

- O, mnie! Nie to chciałem powiedzieć - rzekł książę przeciągłym tonem po chwili milczenia - pan, jak mi się zdaje... nigdy by nie był Ostermanem...

Hipolit się zachmurzył.

- Zresztą dlatego tak twierdzę - podchwycił nagle książę, widocznie chcąc się poprawić - że ówczesni ludzie (zawsze mnie to dziwiło, przysięgam panu) nie byli dokładnie takimi samymi ludźmi jak my teraz, inne to było plemię niż obecne w naszym stuleciu, doprawdy, jakby jakaś inna rasa... Wtedy ludzie posiadali tylko jakby jedną ideę, a dziś są bardziej nerwowi, rozwinięci umysłowo, wrażliwsi, mają jakby dwie albo trzy idee naraz... terażniejszy człowiek ogarnia szersze horyzonty - i mógłbym przysiąc, że to właśnie przeszkadza mu być takim jednolitym człowiekiem jak ludzie tamtych czasów... Ja... ja wyłącznie to miałem na myśli, a nie...

- Rozumiem; naiwność, z którą pan oświadczył, że nie podziela mojego zdania, chce pan teraz zrekompensować pocieszeniem mnie, cha, cha! Pan jest zupełnym dzieckiem, książę. Widzę jednak, że wy wszyscy traktujecie mnie jak... filiżankę z porcelany... Ale to nic, to nic, ja się nie gniewam. W każdym razie nasza rozmowa wypadła bardzo śmiesznie; pan jest czasami całkiem dziecinny, książę. Niech pan wie zresztą, że ja może chciałem być czymś lepszym nawet niż Osterman; po to tylko, żeby zostać Ostermanem, nie warto byłoby zmartwychwstać... A zresztą widzę, że powinienem jak najprędzej umrzeć, bo inaczej sam... Niech pan mnie zostawi. Do widzenia! No, dobrze, no niechże mi pan sam powie, jak według pana: jak mi będzie najlepiej umrzeć?... Żeby wypadło w miarę możliwości... najuczciwiej, najmoralniej? No, niech pan powie!

- Niech pan przejdzie obok nas i wybaczy nam nasze szczęście! - rzekł książę cichym głosem.

- Cha, cha, cha! I ja tak myślałem! Oczywiście spodziewałem się czegoś w tym rodzaju! Jednakże pan... jednakże pan... No, no! Elokwentni ludzie! Do widzenia, do widzenia!

VI

O wieczornym zebraniu w willi Jepanczynów, na którym spodziewano się Biełokońskiej, Warwara Ardalionowna też całkiem dokładnie poinformowała brata; gości oczekiwano właśnie tego dnia wieczorem; ale o tym znowu się wyraziła trochę ostrzej, niż należało. Co prawda, sprawa była załatwiona zbyt pośpiesznie i nawet z pewnym wcale niepotrzebnym zdenerwowaniem, dlatego właśnie, że w tej rodzinie „wszystko się odbywało nie tak jak u innych”. Wszystko się tłumaczyło niecierpliwością Lizawiey Prokofiewny, która chciała „uzyskać absolutną pewność”, oraz żywym niepokojem obu rodzicielskich serc pragnących szczęścia ukochanej córki. Przy tym Biełokońska rzeczywiście miała wkrótce wyjechać; a ponieważ jej protekcja niewątpliwie dużo znaczyła w tak zwanym „świecie” i ponieważ ogólnie sądzono, że staruszka będzie przychylna księciu, więc rodzice liczyli, że „świat” przyjmie narzeczonego Agłai wprost z rąk wpływowej staruszki, a jeżeliby nawet było w tym coś dziwnego, to przy takiej protekcji wyda się mniej dziwne. Cała trudność polegała na tym, że rodzice w żaden sposób nie mogli sami zdecydować: „Czy jest w tym wszystkim coś dziwnego i w jakim stopniu? A może nie ma nic dziwnego?” Przyjazna i szczerza opinia ludzi poważnych i kompetentnych właśnie przydałaby się w tej chwili, kiedy dzięki Agłai nic jeszcze nie było postanowione ostatecznie. W każdym razie wcześniej czy później księcia trzeba było wprowadzić w świat, o którym nie miał najmniejszego pojęcia. Krócej mówiąc, zamierzano go „pokazać”. Projektowano jednak zupełnie skromny wieczór; zaproszeni zostali tylko „przyjaciele domu” w bardzo małej liczbie. Oprócz Biełokońskiej spodziewano się pewnej damy, żony bardzo wielkiego pana i dygnitarza. Z młodych ludzi miał przyjść bodaj jeden tylko Eugeniusz Pawłowicz; powinien był towarzyszyć Biełokońskiej.

O tym, że będzie Biełokońska, książę usłyszał chyba jeszcze na trzy dni przed tym wieczorem; a o proszonym wieczorze dowiedział się dopiero w przeddzień. Zauważył oczywiście zakłopotanie członków rodziny, a nawet z pewnych napomknien i odezwań, zdradzających niepokój, odgadł, że lękają się o wrażenie, jakie może sprawić swoją osobą. Ale Jepanczynowie, wszyscy jakoś bez wyjątku, wyrobili sobie pogląd, że on dzięki swojej naiwności nie jest zdolny sam się domyślić, jak bardzo inni martwią się o niego. Toteż wszyscy patrząc na niego bardzo się smucili. On sam zresztą rzeczywiście nie przypisywał żadnego znaczenia mającej się odbyć uroczystości; zajęty był zupełnie czym innym: Agłaja z każdą godziną stawała się bardziej ponura i kapryśna - to go dobijało. Kiedy się dowiedział, że oczekuje się również Eugeniusza Pawłowicza, bardzo się ucieszył i powiedział, że dawno już chciał go widzieć. Słowa te dla czegoś nikomu się nie spodobały; Agłaja urażona wyszła z pokoju i dopiero późnym wieczorem, około dwunastej, kiedy książę już wychodził, znalazła okazję, żeby mu powiedzieć parę słów na osobności.

- Chciałabym, żeby pan jutro przez cały dzień nie przychodził do nas; niech pan przyjdzie wieczorem, kiedy już zbiorą się ci... goście. Pan wie, że będą goście?

Zacząła mówić niecierpliwie i specjalnie jakby ostro; po raz pierwszy zaczęła mówić o tym „wieczorze”. Dla niej też myśl o gościach była prawie nie do zniesienia; wszyscy to zauważyli. Może miała wielką ochotę pokłócić się o to z rodzicami, ale duma i wstydlivość nie pozwalały jej wszcząć rozmowy na ten temat. Książę od razu się domyślił, że i ona czuje lęk o niego (a nie chce się przyznać do tego lęku), i nagle sam się przestraszył.

- Tak, jestem zaproszony - odrzekł.

Aglaja najwidoczniej krępowała się mówić dalej.

- Czy z panem można o czymś mówić poważnie? Chociaż raz w życiu? - rozgniewała się raptem w niezwykle sposób, bez wyraźnego powodu, nie mogąc zapanować nad sobą.

- Można; słucham panią; bardzo się cieszę - bąkał książe.

Aglaja milczała znowu chwilę i zaczęła z widocznym wstrętem.

- Nie chciałam się z nimi o to kłócić; w pewnych okolicznościach nie można im nic wytłumaczyć. Zawsze mi były wstrętne zasady, jakimi się czasem kieruje *maman*. O papie nie mówię, od niego trudno czegoś wymagać. *Maman* jest oczywiście kobietą jak najzacniejszą; niech się pan odważy zaproponować jej coś niegodziwego, a zobaczy pan. No, a przed tą... hołotą - czuje respekt! Nie mówię o samej tylko Biełokońskiej: zła to staruszcza, o złym charakterze, ale mądra i umie wszystkich trzymać w garści - tę przynajmniej ma zaletę. Co za nikczemność! I jakie to śmieszne: zawsze byliśmy ludźmi średniej sfery, najbardziej średniej, jaka tylko może być; po cóż więc pchać się na gwałt do tego wielkiego świata? Siostry też się tam pchają; to książe Sz. tak wszystkich zbałamucił. Dlaczego pan się cieszy, że przyjdzie Eugeniusz Pawłowicz?

- Proszę pani - powiedział książe - mnie się wydaje, że pani bardzo się o mnie boi, żebym się jutro nie obciął... w tym towarzystwie.

- O pana? Boję się? - aż się zaczerwieniła Agłaja. - Dlaczegoż mam się bać o pana, chociażby... chociażby nawet pan się zupełnie skompromitował? Cóż mnie to obchodzi? I jak pan może używać takich słów? Co to znaczy „obciął się”? To brzydkie słowo, ordynarne.

- To... sztubackie słowo.

- No tak, sztubackie słowo! Brzydkie słowo! Pan, zdaje się, ma zamiar jutro posługiwać się wyłącznie takimi słowami. Niech pan sobie w domu przypomni jeszcze więcej takich słów: dopiero pan wywoła wrażenie! Szkoda, że pan, zdaje się, umie ładnie wejść; gdzie pan się tego nauczył? Czy pan potrafi wziąć i wypić przyzwoicie filiżankę herbaty, kiedy wszyscy będą na pana umyślnie patrzyli?

- Sądzę, że potrafię.

- To szkoda; bo uśmiełabym się. Niech pan przynajmniej stłucze chińską wazę w salonie! Drogo kosztuje, więc niech pan ją stłucze, błagam pana; to prezent; mama oszaleje i przy wszystkich się rozplacze - tak jest jej miły ten wazon. Niech pan zrobi jakiś energiczny gest, jak to pan ma w zwyczaju, niech pan potrafi wazę i stłucze. Niech pan umyślnie siądzie obok niej.

- Przeciwnie, postaram się usiąść możliwie najdalej: dziękuję za uprzedzenie.

- A więc pan z góry się obawia, że pan będzie robił zamaszyste ruchy. Założę się, że pan zacznie mówić na jakiś „temat”, o czymś poważnym, uczonym, wzniosłym? Jakie to będzie... na miejscu!

- Sądzę, że byłoby to głupie... gdyby się nie wiązało z ogólną rozmową.

- Niech pan zapamięta sobie raz na zawsze - nie wytrzymała w końcu Agłaja - jeżeli pan zacznie mówić o czymś w rodzaju kary śmierci albo o ekonomicznym położeniu Rosji czy też o tym, że „świat zbawi piękno”, to... oczywiście bardzo mię ubawi, ale... uprzedzam pana zawczasu: niech pan mi się potem nie pokazuje na oczy! Słyszysz pan? Mówię jak najpoważniej. Tym razem mówię naprawdę poważnie!

Rzeczywiście poważnie wypowiedziała swoją groźbę, tak że nawet coś niezwykłego dało się słyszeć w jej słowach i przebiło w jej wzroku, czego książę przedtem nigdy nie dostrzegął i co już, ma się rozumieć, nie wyglądało na żart.

- No, zrobiła pani tak, że teraz na pewno „zaczę mówić” i nawet... może... rozbiję wazon. Przed chwilą jeszcze nie bałem się niczego, ale teraz boję się wszystkiego. Na pewno się obetnę.

- Więc niech pan milczy. Niech pan siedzi i milczy.

- To będzie trudne; jestem przekonany, że ze strachu zaczę mówić i ze strachu stłukę wazon. Może upadnę na równej podłodze albo popełnię coś w tym rodzaju, bo już mi się to zdarzyło; będzie mi się to śniło dzisiaj przez całą noc; po co pani zaczęła tę rozmowę!

Agłaja spojrzała na niego ponuro.

- Wie pani co? Najlepiej będzie, jak jutro wcale się nie zjawię! Wymigam się chorobą i sprawa załatwiona! - zdecydował w końcu.

Agłaja tupnęła nogą i aż pobladła z gniewu.

- O Boże? Czy kto słyszał kiedyś coś podobnego! Nie zjawi się! kiedy to umyślnie dla niego i... o Boże! To dopiero satysfakcja mieć do czynienia z takim... nierozgarniętym człowiekiem jak pan!

- Ależ przyjdę, przyjdę! - przerwał czym prędzej książę. - Daję pani słowo honoru, że przesiedzę cały wieczór i wcale się nawet nie odezwę. Już ja to zrobię.

- Bardzo ładnie pan robi. Dopiero co pan powiedział: „Wymigam się chorobą”; skąd pan doprawdy bierze takie wyrażenia? Co pan ma w tym za przyjemność, żeby mówić ze mną takimi słowami? Pan się ze mną drażni czy co?

- Przepraszam; to też takie sztubackie wyrażenie; już nie będę. Bardzo dobrze rozumiem, że pani... boi się o mnie... (niechże się pani nie gniewa!), i bardzo się z tego cieszę. Nie uwierzy pani, jak się teraz boję i... jak jestem ucieszony pani słowami. Ale cały ten strach, przysięgam pani, to drobnostka, to głupstwo. Naprawdę, Agłajo! Zostanie” tylko radość. Strasznie mi się to podoba, że pani jest takim dzieckiem, takim dobrym i miłym dzieckiem! Ach, jaka pani potrafi być piękna, Agłajo!

Agłaja oczywiście gotowa byłaby się rozgniewać i już chciała wybuchnąć, ale jakieś niespodziewane dla niej samej uczucie zawładnęło w jednej chwili jej duszą.

- A czy pan kiedyś... później... nie będzie mi robił wyrzutów, że teraz tak szorstko z panem mówię? - zapytała nagle.

- Co znowu, co znowu! No i czemu się pani znów zarumieniła? I znów pani patrzy ponuro! Pani zanadto ponuro czasem patrzy, Agłajo; nigdy przedtem pani tak nie patrzyła. Wiem, skąd się to bierze...

- Proszę nic nie mówić, proszę nic nie mówić!

- Nie, lepiej powiedzieć. Dawno już chciałem powiedzieć; już powiedziałem, ale... za mało, ponieważ pani mi nie uwierzyła. Między nami wciąż jednak stoi pewna istota!...

- Niech pan milczy, milczy, milczy, milczy! - przerwała nagle Agłaja, chwyciwszy go mocno za rękę i niemal ze zgrozą patrząc na niego. W tej chwili ktoś ją zawołał; jakby ucieszona z tego, porzuciła go i uciekła.

Książę przez całą noc miał gorączkę. Dziwna rzecz: już kilka nocy z rzędu gorączkował. Tym razem, na pół w malignie, przyszła mu do głowy myśl: co będzie, jeżeli jutro przy wszystkich dostanie ataku? Miewał przecież ataki na jawie. Lodowaty chłód przenikał go na tę myśl; przez całą noc wyobrażał sobie, że przebywa w jakimś dziwnym i nieznanym towarzystwie, między jakimiś dziwnymi ludźmi. Najważniejsze było to, że „zaczął mówić”, wiedział, że nie trzeba mówić, ale cały czas mówił, do czegoś ich nakłaniał. Eugeniusz Pawłowicz i Hipolit byli również w liczbie gości i zdawało się, że są w niezwyklej przyjaźni.

Obudził się o dziewiątej z bólem głowy, z chaosem myśli, z dziwnym uczuciem. Nie wiadomo dlaczego okropnie mu się zachciało zobaczyć Rogożyna; zobaczyć go i dużo z nim rozmawiać - o czym mianowicie, sam nie wiedział; potem już się był całkiem zdecydował iść po coś do Hipolita. Coś niejasnego działo się w jego sercu tak dalece, że wszystko, co mu się wydarzyło tego rana, wywarło na nim wprawdzie bardzo silne, ale mimo wszystko jakieś niejasne wrażenie. Jednym z tych wydarzeń była wizyta Lebidiewa.

Lebidiew zjawił się dość wcześnie, parę minut po dziewiątej, prawie zupełnie pijany. Chociaż książę w ostatnich czasach nie był zbyt spostrzegawczy, jakoś mu się rzuciło w oczy, że od czasu kiedy wyprowadził się od nich generał Iwołgin, to znaczy od trzech dni, Lebidiew zaczął się bardzo źle prowadzić. Zrobił się raptem jakiś brudny i powalany, krawat miał przekręcony, a kołnierz surduta naderwany. W domu u siebie nawet wyprawiał awantury, co było słychać na całym podwórzu; Wiera przyszła raz cała zapłakana i coś opowiadała. Zjawiwszy się teraz u księcia Lebidiew zaczął jakoś dziwnie mówić; bił się w piersi i o coś sam siebie obwiniął.

- Zostałem... zostałem ukarany za zdradę i nikczemność swoją... Dano mi w twarz! - zakończył wreszcie tragicznym tonem.

- W twarz! Kto dał?... I tak wcześnie rano?

- Wcześnie rano? - uśmiechnął się sarkastycznie Lebidiew. - Czas tu nie ma żadnego znaczenia... nawet dla kary fizycznej... ale mnie wycięto policzek moralny... moralny policzek, nie

fizyczny!

Raptem usiadł bez ceremonii i zaczął opowiadać. Opowiadanie jego było ogromnie chaotyczne; książę zmarszczył brwi i już chciał wyjść, gdy naraz uderzyło go kilka słów. Osłupiał ze zdziwienia... Dziwne rzeczy mówił pan Lebediew.

Z początku chodziło najwidoczniej o jakiś list; wypowiedziane zostało imię Agłai Iwanowny. Potem Lebediew zaczął ni stąd, ni zowąd obwiniać samego księcia; czuło się gorycz w jego słowach; wynikało z nich, że jest skrzywdzony przez księcia. Najpierw, jak twierdził, książę obdarzył go zaufaniem w stosunkach z wiadomą „osobistością” (Nastasją Filipowną); ale później całkiem z nim zerwał i odpędził od siebie sromotnie, a nawet w tak obraźliwy sposób, że ostatnim razem jakoby dość niegrzecznie uchylił się od odpowiedzi na „niewinne pytanie o bliskich zmianach w jego domu”. Z pijackimi Izami w oczach przyznał się Lebediew, że „potem w żaden sposób nie mógł się z tym pogodzić, tym bardziej że dużo wiedział... bardzo dużo... i od Rogożyna, i od Nastasji Filipowny, i od Warwary Ardalionowny... od niej samej, proszę łaskawego pana... i od... i nawet od Agłai Iwanowny, może pan to sobie wyobrazić, za pośrednictwem Wiery, proszę księcia, za pośrednictwem mojej ukochanej Wiery, jedynaczki mojej... tak, proszę pana... zresztą nie jedynaczki, bo mam trzy córki. A kto powiadał listami Lizawietę Prokofiewnę, i to w najgłębszej tajemnicy, hę, hę! Kto jej pisywał o wszystkich stosunkach i... ruchach tej osobistości, czyli Nastasji Filipowny, hę, hę, hę! Kto, kto jest tym anonimem, pozwolę sobie zapytać?”

- Czyżby pan ? - zawołał książę.

- Właśnie ja - odpowiedział z godnością pijak - i dzisiaj również o wpół do dziewiątej, za ledwie pół godziny... nie, trzy kwadransy temu zawiadomiłem przezacną matkę, że muszę jej opowiedzieć o pewnej przygodzie... dość ważnej. Posłałem kartkę przez dziewczynę, od strony kuchni, proszę księcia. Przyjęła.

- Pan teraz widział Lizawietę Prokofiewnę ? - spytał książę, ledwo dowierzając własnym uszom.

- Widziałem dopiero co i dostałem policzek... moralny. Zwróciła list, nawet mi go rzuciła nie rozpieczętowany... a mnie wypędziła na zbity łeb... zresztą tylko moralnie zbity, nie fizycznie... chociaż niewiele brakowało, żeby i fizycznie!

- Jaki list rzuciła panu nie rozpieczętowany?

- A czy... hę, hę, hę! Przecież ja panu jeszcze nie powiedziałem! A zdawało mi się, że powiedziałem... Otrzymałem jeden taki list, aby go doręczyć...

- Od kogo? Komu?

Kiedy jednak Lebediew zaczął to „wyjaśniać”, trudno było dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu. Książę, acz z trudnością, domyślił się, że list był oddany rano przez służącą Wierze Lebediew celem doręczenia według adresu... „tak samo jak przedtem... tak samo jak przedtem, wiadomej osobistości i od tej samej osoby, proszę księcia... (ponieważ jedną z nich oznaczam słowem „osoba”, a drugą tylko

słowem „osobistość”, celem poniżenia i rozróżnienia; albowiem wielka jest różnica pomiędzy niewinną i wysoce szlachetną córką generała a... damą z kameliami) a więc list był od „osoby”, której imię zaczyna się na literę A”...

- Czy to możliwe? Do Nastasji Filipowny? Nonsens! - zawołał książę.

- Był, był, proszę księcia, a jeśli nie do niej, to do Rogożyna, wszystko jedno, niech będzie do Rogożyna... i nawet do pana Tierientiewa był, celem doręczenia, pewnego razu, od osoby na literę A - mrugnął chytrze i uśmiechnął się Lebiediew.

Ponieważ często przeskakiwał z jednego tematu na drugi i zapomniał, o czym przed chwilą mówił, więc książę zamilkł, żeby mu dać możliwość wypowiedzenia się. Mimo wszystko jednak sprawa przedstawiała się niewyraźnie: czy listy właśnie szły przez niego, czy przez Wierę? Skoro sam zapewniał, że „do Rogożyna to tak jak do Nastasji Filipowny”, to znaczy, że listy najprawdopodobniej szły nie przez jego ręce, jeżeli w ogóle były listy. W jaki jednak sposób wpadł mu teraz w ręce list, trudno było dociec; najtrafniejsze chyba byłoby przypuszczenie, że w jakiś sposób wykradł go Wierze... zabrał po cichu i zaniósł w jakimś celu Lizawiecie Prokofiewnie. Do takiego wniosku doszedł w końcu książę.

- Pan jest niespełna rozumu! - krzyknął, niezwykle wzburzony.

- Niezupełnie, proszę księcia - odpowiedział nie bez urazy Lebiediew - co prawda, chciałem panu wręczyć, panu osobiście, żeby oddać przysługę... ale rozmyśliłem się i postanowiłem usłużyć i na wszystko oczy otworzyć przezacnej matce... ponieważ dawniej tak samo już raz powiadomiłem listem, anonimowym; i kiedy napisałem na kartce, zawczasu prosząc o przyjęcie mnie o godzinie ósmej minut dwadzieścia, też się podpisałem: „pani tajny korespondent”; i natychmiast zostałem dopuszczony, bezzwłocznie, nawet z wielkim pośpiechem, kuchennym wejściem... do przezacnej matki.

- No?...

- A tam, jak już wiadomo, o mało nie dostałem od niej po karku; to znaczy ledwo - ledwo, tak że nawet można uważać, że mnie prawie pobiła, proszę księcia. A list mi cisnęła. Co prawda, miała chęć 'go sobie zatrzymać - widziałem to, zauważyłem - ale rozmyśliła się i rzuciła: „Kiedy takiemu jak ty powierzono doręczyć, to doręcz...” Nawet się obraziła. Jeżeli już mną się nie krępowała i tak rzekła, to znaczy, że była obrażona. Łatwo zapalny charakter!

- Gdzież jest teraz ten list?

- Mam go wciąż przy sobie; proszę.

I oddał księciu kartkę Agłai do Gawriły Ardalionowicza, którą ten z triumfem tego samego rana w dwie godziny później pokazał siostrze.

- Ten list nie może zostać w pańskich rękach.

- Panu, panu! Panu go przynoszę - podchwycił gorąco Lebiediew. - Teraz znów jestem sługą

księcia, sługą od głowy do serca, sługą wiernym po przelotnej zdradzie! Niech pan ukarze serce, a oszczędzi brodę, jak powiedział Tomasz Morus[140]... w Anglii i Wielkiej Brytanii. Mea culpa, mea culpa, jak mówi ojciec rzymski... to znaczy papież w Rzymie, ale ja go nazywam „ojcem rzymskim”.

- Ten list powinien być zaraz odesłany - zaniepokoił się książę - ja go doręczę.

- A czy nie lepiej, a czy nie lepiej, najuprzejmiejszy książę, a czy nie lepiej... ten list... tego!

Lebiediew zrobił dziwny, słodziutki grymas; zaczął się nagle okropnie wiercić na krześle, jakby go ktoś ukłuł szpilką, i chytrze mrugał oczami, robiąc jednocześnie jakieś znaki ręką.

- Co to znowu ? - spytał groźnie książę.

- Może by tak uprzednio otworzyć! - wyszeptał Lebiediew przymilnie i jakby konfidencjonalnie.

Książę zerwał się taki wściekły, że Lebiediew zaczął uciekać; ale dobiegłszy do drzwi zatrzymał się wyczekując, czy książę się nie udobrucha.

- Oj, panie Lebiediew! Czy godzi się, czy godzi się upaść tak nisko, jak pan upadł! - zawołał książę ze smutkiem. Twarz Lebiediewa od razu się rozjaśniła.

- Podły jestem, podły jestem! - zbliżył się natychmiast, ze łzami w oczach, bijąc się w piersi.

- Przecież to nikiemność!

- Właśnie, nikiemność, proszę księcia!... Całkiem odpowiedni wyraz, proszę księcia!

- I skąd się w panu bierze ta skłonność do... takich dziwnych postępów? Przecież pan jest... po prostu szpiegiem! Po co pan pisał anonim i niepokoił... taką szlachetną i złą kobietę? Dlaczego wreszcie Agłaja Iwanowna nie ma prawa pisać, do kogo jej się podoba? Pan dzisiaj chodził na skargę czy co? Co pan chciał przez to uzyskać? Co pana popchnęło do denuncjacji?

- Jedyne miła ciekawość i... chęć usłużenia szlachetnej osobie, tak, proszę księcia! - mamrotał Lebiediew. - Teraz jestem znów pańskim sługą, oddanym sługą! Może mnie pan nawet powiesić!

- Czy pan w takim stanie, jak teraz, przyszedł do Lizawie Prokofiewny? - spytał ze wstrętem książę.

- Nie, proszę księcia... byłem trzeźwiejszy... i nawet przyzwoitszy; to już po tym poniżeniu doszedłem... do tego, co książę widzi.

- No dobrze, niech pan mnie zostawi samego.

Tę prośbę trzeba było zresztą powtórzyć kilka razy, zanim gość zdecydował się w końcu wyjść. Już zupełnie otworzywszy drzwi, znowu zawrócił, doszedł do środka pokoju na palcach i znowu zaczął dawać rękami znaki, pokazując, jak się otwiera list; wypowiedzieć jednak swojej rady słowami nie miał śmiałości; potem wyszedł, uśmiechając się łagodnie i życzliwie.

Nadzwyczaj ciężko było słuchać tego wszystkiego. Na czoło wszystkich faktów wysuwał się jeden najważniejszy i niezwykły fakt: a mianowicie, że Agłaja była w wielkim strachu, w wielkiej rozterce, męczyła się ogromnie z jakiegoś powodu (z „zazdrości”, szepnął do siebie książę). Widać było również, że ją źli ludzie wprawiali w kłopotliwe sytuacje, i aż dziw brał, że im tak bardzo ufała. Niewątpliwie w tej mało doświadczonej, ale gorącej i dumnej główce dojrzewały jakieś szczególne plany, może nawet zgubne... i do niczego niepodobne. Książę był bardzo zaniepokojony i w swoim ambarasie nie wiedział, na co się zdecydować. Trzeba było koniecznie czemuś zapobiec, czuł to doskonale. Jeszcze raz spojrzął na adres zapieczętowanego listu: o, tu nie miał żadnych wątpliwości i niepokojów, gdyż ufał; co innego wydawało mu się niepokojące w tym liście: nie wierzył Gawrile Ardalionowiczowi. A jednak postanowił sam mu doręczyć ten list i wyszedł już w tym celu z domu, ale po drodze się rozmyślił. Prawie przed samym domem Pticyna jakby umyślnie nawinał mu się Kola i książę zlecił mu oddać list do rąk brata jakby wprost od Agłai Iwanowny. Kola o nic nie pytał i zaniósł, toteż Gania nawet się nie domyślał, przez ile stacji przeszedł ten list. Po powrocie do domu książę poprosił do siebie Wierę Łukianownę, opowiedział jej, co należało, i uspokoił ją, ponieważ dotąd szukała listu i płakała. Kiedy się dowiedziała, że list zabrał ojciec, okropnie się przeraziła. (Książę dowiedział się od niej już potem, że nieraz oddawała potajemne usługi Rogożynowi i Agłai Iwanownie; nawet jej przy tym nie przychodziło do głowy, że mogło być w tym coś szkodliwego dla księcia...) A książę doszedł w końcu do takiego nerwowego stanu, że kiedy w dwie godziny później przybiegł do niego posłaniec od Koli z wiadomością o chorobie ojca, w pierwszej chwili prawie nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Ale ten wypadek przywrócił mu równowagę ducha, gdyż mocno go zaabsorbował. Przesiedział u Niny Aleksandrowny (dokąd oczywiście przyniesiono chorego) prawie do samego wieczora. W niczym nie pomógł, ale są ludzie, których nie wiadomo dlaczego przyjemnie jest widzieć przy sobie w ciężkiej chwili. Kola był strasznie przygnębiony, wciąż prawie szlochał, ale przez cały czas był niestrudzony: biegał po doktora i przyprowadził trzech, biegał do apteki, do felczera. Generała na pół ocucono, ale nie przyprowadzono do zupełnej przytomności; lekarze powiedzieli, że „w każdym razie pacjentowi grozi niebezpieczeństwo”. Waria i Nina Aleksandrowna nie odchodziły od chorego; Gania był wylęczniony i przybity, ale nie chciał wejść na górę i nawet bał się zobaczyć chorego; załamywał ręce i w beładnej rozmowie, jaką prowadził z księciem, jakoś mimo woli wyraził się, że niby „takie nieszczęście i jakby naumyślnie w takim czasie”! Księciu wydało się, że rozumie, o jakim mianowicie czasie mówi Gania. Hipolita książę już nie zastał w domu Pticyna. Przed wieczorem przybiegł Lebediew, który po porannych „wyjaśnieniach” spał bez przerwy aż do tej pory. Teraz był prawie trzeźwy i płakał nad chorym prawdziwymi łzami jak nad rodzonym bratem. Głośno oskarżał sam siebie, nie tłumacząc jednak, o co chodzi i wciąż nagabywał Ninę Aleksandrowną, zapewniając ją co chwila, że to „on, on tylko jest przyczyną, nikt inny, tylko on... powodowany wyłącznie miłą ciekawością, i że „nieboszczyk” (tak z niewiadomych względów nazywał żyjącego jeszcze generała) był nawet genialnym człowiekiem”! Ze szczególną powagą kładł nacisk na tę genialność, jakby z tego mógł natychmiast wyniknąć jakiś niezwykły pożytek. Nina Aleksandrowna, widząc jego szczerę łzy, powiedziała mu wreszcie bez najmniejszego wyrzutu i niemal pieszczotliwym tonem: „No, Bóg z panem, no, niech pan nie lamentuje, Bóg panu przebaczy!” Lebediew był tak uderzony tymi słowami i ich tonem, że przez cały wieczór nie chciał nawet na krok odejść od Niny Aleksandrowny (i przez wszystkie następne dni, aż do śmierci generała, prawie od rana do nocy przesiadywał w ich domu). W ciągu dnia dwa razy przychodził do Niny Aleksandrowny posłaniec od Lizawiey Prokofiewny dowiedzieć się o zdrowie chorego. Kiedy zaś wieczorem o dziewiątej w salonie Jepanczynów, jużapełnionym gośćmi, zjawił się książę, Lizawietą Prokofiewną od razu zaczęła go wypytywać o

chorego; pytała ze współczuciem i bardzo szczegółowo, a Bielokońskiej z powagą odpowiedziała na pytanie: „Co to za chory i kto to jest Nina Aleksandrowna?” Księżciu bardzo się to spodobało. On sam, rozmawiając z Lizawietą Prokofiewną, mówił „bardzo ładnie”, jak się wyrażały potem siostry Agłai; „skromnie, cicho, bez niepotrzebnych słów i gestów, z godnością; wszedł bardzo dobrze; ubrany był doskonale” i nie tylko nie „upadł na równej podłodze”, jak się obawiał dzień przed tym, ale najwidoczniej wywarł na wszystkich nawet przyjemne wrażenie.

Ze swej strony, gdy już usiadł i rozejrzał się, od razu zauważył, że całe to zebranie bynajmniej nie było podobne do wczorajszych widziadeł, którymi go nastraszyła Agłaja, albo do koszmarów, które śniły mu się w nocy. Po raz pierwszy w życiu widział fragment tego, co nosi straszną nazwę: „świat”. Dawno już skutkiem pewnych szczególnych dążeń, poglądów i zamierzeń pragnął się dostać do tego zaczarowanego kręgu ludzi i dlatego bardzo był ciekaw, jak wypadnie pierwsze wrażenie. A to pierwsze wrażenie okazało się wprost czarujące. Jakoś od razu i nagle wydało mu się, że ci wszyscy ludzie urodzili się jakby tylko po to, żeby być razem; że u Jepanczynów nie ma dziś wieczór żadnego „wieczoru” i żadnych proszonych gości, że to wszystko są wyłącznie „swoi ludzie” i że on sam jak gdyby już od dawna był ich wiernym przyjacielem, myślał tak samo jak oni i wrócił do nich teraz po chwilowej rozłące. Urok wykwintnych manier, prostoty i pozornej szczerości był naprawdę nieodparty. Nie mogło mu nawet przyjść do głowy, że cała ta szczerść i szlachetność, dowcip i wysoka godność osobista polega tylko na wspaniałym kunszcie. Większość gości składała się nawet, mimo imponującego wyglądu, z ludzi dość płytkich, którzy zresztą sami w swojej zarozumiałości nawet nie podejrzewali, że wiele dobrego w nich jest tylko wypracowane, często nawet bez ich winy, gdyż dostało im się w spadku, nieświadomie. Tego księżę nie chciał nawet w myśli przypuszczać, będąc pod urokiem swojego pierwszego wrażenia. Widział na przykład, że ten wielki dygnitarz, ten starzec, który mógłby być jego dziadkiem, aż przerywa swoją rozmowę, żeby wysłuchać tego, co mówi on, taki młody, niedoświadczony człowiek, i nie tylko słucha, ale najwidoczniej ceni jego zdanie, tak jest z nim uprzejmy, tak szczerze dobroduszny, a przecież są dla siebie obcy i widzą się po raz pierwszy. Na zapalną wrażliwość księcia podziałało może najwięcej wyrafinowanie tych form grzeczności. Może już zawczasu był zbyt dodatnio usposobiony i nawet przekonany co do korzystnego wrażenia.

A tymczasem wszyscy ci ludzie - chociaż oczywiście mienili się „przyjaciółmi domu” i wzajemnie przyjaźnili się z sobą - nie byli w gruncie rzeczy ani tak wielkimi przyjaciółmi domu, ani też między sobą, jak to mniemał księżę, kiedy go przedstawiono i poznano z nimi. Byli tu ludzie, którzy nigdy i za nic w świecie nie uznaliby Jepanczynów za równych sobie. Byli tu ludzie nawet zupełnie się nienawidzący; stara Bielokońska całe życie „pogardzała” żoną „starego dygnitarza”, a tamta z kolei bynajmniej nie sympatyzowała z Lizawietą Prokofiewną. Ów „dygnitarz”, jej mąż, nie wiadomo z jakiego powodu protektor Jepanczynów od najdawniejszych lat, patronujący również temu zgromadzeniu, był tak potężną osobistością w oczach Iwana Fiodorowicza, że oprócz uwielbienia i strachu nic nie mógł odczuwać w jego obecności, a nawet szczerze by sobą pogardzał, gdyby choć przez chwilę uważał się za równego mu i nie patrzył na niego jak na władcę Olimpu, Jowisza. Byli tu ludzie, którzy się nie spotykali po kilka lat i nie odczuwali względem siebie nic prócz obojętności, jeżeli już nie wstrętu, którzy jednak przywitali się teraz tak, jak gdyby widzieli się nie dawniej niż wczoraj w najbardziej przyjacielskim i sympatycznym gronie. Zresztą zebranie było niezbyt liczne. Oprócz Bielokońskiej i „starego dygnitarza”, osobistości istotnie poważnej, oprócz jego żony był tam, po pierwsze, jeden bardzo solidny wojskowy, generał, baron czy hrabia, o

niemieckim nazwisku - człowiek nadzwyczaj małomówny, mający opinię znakomitego znawcy spraw państwowych i nieomal uczonego - jeden z tych bogów rządzących Olimpem państwowym, którzy znają wszystko „prócz chyba samej Rosji”, człowiek wypowiadający raz na pięć lat jakąś „podziwu godną, głęboką sentencję”, taką, która bezwzględnie staje się przysłowiem i o której mówi się nawet w najwyższych sferach; jeden z tych przedstawicieli rządzącej administracji, którzy zazwyczaj po bardzo długiej (aż dziwnie długiej) służbie umierają na wysokich szczeblach hierarchii urzędniczej, na wspaniałych stanowiskach i z dużymi pieniędzmi, chociaż nigdy w swoim życiu nie dokonali żadnego wielkiego czynu i nawet wrogo się do takich czynów odnosili. Generał ten był bezpośrednim przełożonym Iwana Fiodorowicza, który mając łatwo zapalne i wdzięczne serce, a także wskutek pewnej zarozumiałości, uważał go nie tylko za zwierzchnika, ale i za dobroczyńcę, chociaż on bynajmniej się za dobroczyńcę Iwana Fiodorowicza nie uważał i odnosił się do niego całkiem obojętnie, aczkolwiek chętnie korzystał z różnorodnych i licznych jego usług; gdyby jednak wymagały tego jakieś inne względy, nawet bynajmniej nie wyższe, natychmiast zastąpiłby go przez innego urzędnika. Był tu jeszcze jeden starszy, poważny pan, uchodzący za krewnego Lizawie Prokofiewny, chociaż bezpodstawnie: człowiek z dobrą rangą i na dobrym stanowisku, bogaty, z dobrej rodziny, tęgi bardzo, zdrowy, wielki gaduła i nawet mający opinię malkontenta (co prawda w najzupełniej dopuszczalnym znaczeniu tego słowa), nawet żółciowca (ale i to było w nim przyjemne), z manierami angielskiego arystokraty i z angielskimi gustami (na przykład względem krwawego rostbefu, upręży, lokai itp.). Był wielkim przyjacielem „dygnitarza”, zabawiał go; a Lizawie Prokofiewna poza tym nie wiadomo dlaczego żywiła dziwną nadzieję, że ten starszy pan (nieco lekkomyślny i poniekąd amator płci pięknej) nagle ni z tego, ni z owego zapragnie uszczęśliwić Aleksandrę swoimi oświadczeniami. Za tą najwyższą i najpoważniejszą częścią towarzystwa szli młodszy goście, pełni jednak również bardzo wykwinnych przymiotów. Oprócz księcia Sz. i Eugeniusza Pawłowicza należał do tej części powszechnie znany, czarujący książę N., eks - uwodziciel i pogromca kobiecych serc na całym kontynencie europejskim, człowiek mający już teraz lat około czterdziestu pięciu, wciąż jeszcze przystojny, świetny gawędziarz, właściciel majątku, trochę już zresztą nadszarpniętego, z przyzwyczajenia bawiący prawie stale za granicą. Byli tu wreszcie ludzie, którzy tworzyli jak gdyby trzecią, osobną grupę i którzy sami przez się nie należeli do „intymnego kółka” towarzystwa, umieli się jednak często podobnie jak Jepanczynowie jakoś tam wkłęcać do tego kółka. Powodując się pewnego rodzaju taktem, który uważali za regułę, Jepanczynowie lubili podczas rzadko odbywających się proszonych zebrań mieszać wyższe towarzystwo z ludźmi niższej warstwy, z wybranymi przedstawicielami „średniej kategorii ludzi”. Jepanczynów nawet chwalono za to i mówiono o nich, że rozumieją swoje położenie i są ludźmi taktownymi, a Jepanczynowie szcycili się taką o sobie opinią. Jednym z przedstawicieli owej średniej kategorii ludzi był tego wieczora pewien technik, pułkownik, bardzo poważny człowiek, serdeczny przyjaciel księcia Sz. i wprowadzony przez niego do Jepanczynów, człowiek zresztą małomówny w towarzystwie i noszący na wskazującym palcu prawej ręki duży, okazały pierścień, prawdopodobnie otrzymany w nagrodę za coś. Był tu w końcu nawet pewien literat, poeta. Niemiec z pochodzenia, ale piszący po rosyjsku i w dodatku zupełnie przyzwoity, tak że można go było bez obawy wprowadzić do dobrego towarzystwa. Miał dosyć korzystną powierzchowność, chociaż nie wiadomo dlaczego trochę odrażającą, lat trzydzieści osiem, ubierał się bez zarzutu, należał do rodziny niemieckiej, wybitnie mieszczańskiej, ale też ze wszech miar godnej szacunku; umiał zręcznie wyzyskiwać różne przypadki, starać się o protekcję wysoko postawionych osób i zaskarbić sobie ich niezmienną życzliwość. Kiedyś przetłumaczył z niemieckiego jakiś poważny utwór jakiegoś poważnego niemieckiego poety, umiał zadedykować wierszem swój przekład, umiał się pochwalić

przyjaźnią z jednym znakomitym, ale zmarłym poetą rosyjskim (jest cały legion pisarzy nadzwyczaj lubiących opisywać swoje przyjacielskie stosunki z wielkimi, ale zmarłymi pisarzami) i wprowadzony został niedawno do domu Jepanczynów przez żonę „staruszka dygnitarza”. Dama owa słynęła jako opiekunka literatów i uczonych i rzeczywiście jednemu czy dwóm pisarzom wystarała się o emeryturę za pośrednictwem wysoko postawionych osób, u których miała wpływy, a pewne wpływy istotnie miała. Była to kobieta czterdziestopięcioletnia (a więc bardzo młoda żona w stosunku do takiego starca, jakim był jej mąż), niegdyś piękność, lubiąca i teraz wskutek manii właściwej wielu podstarzałym damom ubierać się zbyt wystawnie; umysłem wielkim nie grzeszyła, a jej znajomość literatury przedstawiała się co najmniej wątpliwie. Ale opiekowanie się literatami stanowiło taką samą jej słabość jak strojenie się ponad miarę. Poświęcano jej wiele utworów oryginalnych i tłumaczeń; kilku pisarzy za jej zgodą wydrukowało swoje listy pisane do niej o rzeczach nader ważnych... I otóż całe to towarzystwo książę wziął za najlepszą monetę, za najczystsze złoto bez domieszek. Zresztą wszyscy ci ludzie byli tego dnia jakby umyślnie w doskonałych humorach i bardzo zadowoleni z siebie. „Wszyscy co do jednego wiedzieli, że swoją obecnością robią wielki zaszczyt Jepanczynom. Ale książę niestety nawet nie domyślił się tych niuansów. Nie podejrzewał na przykład, że Jepanczynowie, mając w projekcie taki ważny krok, jak zdecydowanie o losie ich córki, nie ośmieliliby się nie pokazać jego, księcia Lwa Nikołajewicza, staruszkowi dygnitarzowi, uznanemu za opiekuna ich rodziny. Staruszek zaś ten, chociaż ze swej strony całkiem spokojnie zniósłby wiadomość nawet o największym nieszczęściu Jepanczynów - na pewno obraziłby się, gdyby Jepanczynowie zaręczyli swoją córkę bez jego rady i, że tak powiem, bez jego pozwolenia. Książę N., ów miły, ów bez wątpienia dowcipny i tak naprawdę szczerzy człowiek, był najświęciej przekonany, że jest czymś w rodzaju słońca, które tej nocy weszło nad salonem Jepanczynów. Uważał ich za ludzi nieskończenie niżej stojących od niego i ta właśnie prostoduszna i szlachetna myśl wytwarzała w nim jakąś przedziwnie sympatyczną swobodę i przyjacielskie uczucia względem tychże Jepanczynów. Wiedział bardzo dobrze, że tego wieczoru musi koniecznie coś opowiedzieć dla oczarowania towarzystwa, i przygotowywał się do tego nawet z pewnym natchnieniem. Książę Lew Nikołajewicz, wysłuchawszy potem tego opowiadania, przyznał, że nie słyszał nigdy nic równego temu olśniewającemu humorowi i tej zadziwiającej wesołości i naiwności niemal wruszającej w ustach takiego donżuana jak książę N. A tymczasem gdybyż tylko zdawał sobie sprawę, jak to opowiadanie jest banalne i oklepane, jak wyuczone na pamięć i jak się już zbanalizowało i znudziło we wszystkich salonach i tylko u naiwnych Jepanczynów mogło uchodzić za nowość, za nieoczekiwane i szczerze wspomnienie świetnego, wspaniałego człowieka! Wreszcie nawet Niemiaszek literacki, chociaż zachowywał się niezwykle skromnie i grzecznie, i on przecie mniemał, iż robi zaszczyt temu domowi swoją obecnością. Książę jednak nie zauważył odwrotnej strony medalu, nie dostrzegł tego, co było pod spodem. Takiej komplikacji Agłaja nie przewidziała. Tego wieczoru była nad podziw piękna. Wszystkie trzy panny były wystrojone, chociaż nie zanadto wystawnie, a nawet jakoś osobliwie uczesane. Agłaja siedziała z Eugeniuszem Pawłowiczem i niezwykle po przyjacielsku z nim rozmawiała i żartowała. Eugeniusz Pawłowicz zachowywał się jakby trochę poważniej niż zazwyczaj; też zapewne z szacunku dla dygnitarzy. Znano go już zresztą w kołach towarzyskich, i to od dawna; uważano za swojego człowieka, chociaż był jeszcze młody. Dziś przyszedł do Jepanczynów z krepą na kapeluszu i Bielokońska pochwaliła go za tę krepę: inny siostrzeniec na jego miejscu, będąc światowcem, nie nosiłby po takim wuju żałoby. Lizawieta Prokofiewna również była z tego zadowolona, w ogóle jednak wydawała się jakoś nazbyt zatroskana. Książę zauważył, że Agłaja ze dwa razy uważnie mu się przyglądała i, zdaje się, była z niego zadowolona. Powoli zaczynał być strasznie szczęśliwy. Niedawne „fantastyczne” myśli i obawy (po

rozmowie z Lebediewem), kiedy je sobie nagle i często przypominał, wydawały mu się teraz niemożliwym i nawet śmiesznym snem! (I bez tego pierwszym, chociaż nieświadomym jego pragnieniem i dążeniem przez cały dzień było - zrobić jakoś tak, żeby nie uwierzyć w ten sen!) Mówił mało, odpowiadając tylko na pytania, wreszcie zupełnie umilkł; siedział i wciąż słuchał, najwidoczniej jednak tonąc w rozkoszy. Powoli wezbrało w nim coś w rodzaju natchnienia, gotowego wybuchnąć przy sposobności... Zaczął zaś mówić przypadkowo, też odpowiadając na pytanie, i jak się zdawało, bez szczególnych celów...

VII

Podczas gdy z rozkoszą wpatrywał się w Agłaję, wesoło rozmawiającą z księciem N. i Eugeniuszem Pawłowiczem, nagle pewien starszy jegomość, angłoman, zabawiający „dygnitarza” w drugim kącie i opowiadający mu o czymś z zapalem, wymówił nazwisko Mikołaja Andriejewicza Pawliszczewa. Książę szybko odwrócił się w ich stronę i zaczął słuchać.

Chodziło o obecne stosunki i o jakieś zaburzenia w majątkach ziemskich w ...skiej guberni. Opowieści angłomana miały w sobie zapewne coś wesołego, gdyż staruszek w końcu zaczął się śmiać z jego żółciowej afektacji. Angłoman mówił płynnie, jakoś dziwnie rozciągał wyrazy, delikatnie akcentował samogłoski ; tłumaczył, dlaczego był zmuszony właśnie teraz, wskutek obecnych stosunków sprzedać jedną swoją piękną posiadłość, nawet nie potrzebując zbytnio pieniędzy, za pół darmo, a jednocześnie zachować dla siebie majątek zniszczony, deficytowy, zagrożony procesem sądowym, i jeszcze do niego dopłacić. „Żeby uniknąć procesu o teren stanowiący własność Pawliszczewa, uciekłem od nich. Jeszcze jeden albo dwa takie spadki, a jestem zrujnowany. Miałem tam zresztą dostać trzy tysiące dziesięcin doskonałej ziemi!”

- Toż przecie... Iwan Pietrowicz jest krewnym nieboszczyka Mikołaja Andriejewicza Pawliszczewa... a tyś, zdaje się, poszukiwał krewnych - rzekł półgłosem do księcia Iwan Fiodorowicz, który nagle znalazł się obok niego i zauważył, że książę niezwykle zainteresował się rozmową. Dotychczas bawił swojego zwierzchnika generała, ale dawno już dostrzegł wyjątkowe osamotnienie Lwa Nikołajewicza i zaczął się niepokoić; zapragnął wciągnąć go jakoś w rozmowę i w ten sposób po raz drugi pokazać i zaprezentować „wysoko postawionym osobom”.

- Lew Nikołajewicz był po śmierci swoich rodziców wychowankiem Mikołaja Andriejewicza Pawliszczewa - wtrącił napotkawszy wzrok Iwana Pietrowicza.

- Bar - dzo mi przy - jemnie - odrzekł tamten - nawet dobrze pamiętam. Już przed tym, kiedy nas zapoznał Iwan Fiodorowicz, od razu pana poznałem z twarzy. Pan doprawdy mało się zmienił, chociaż widziałem pana jako dziecko, miał pan wtedy dziesięć albo jedenaście lat. Jest coś takiego w rysach, co przypomina...

- Pan mię widział jako dziecko? - zapytał książę z jakimś niezwykłym zdziwieniem.

- O, już bardzo dawno - ciągnął dalej Iwan Pietrowicz - w Złatowierchowie, gdzie pan mieszkał wtedy u moich kuzynek. Dawniej dosyć często przyjeżdżałem do Złatowierchowa; czy pan mnie sobie nie przypomina? Bardzo możliwe, że pan nie pamięta... Pan był wtedy... chory na coś; raz nawet mocno się zdziwiłem, patrząc na pana...

- Nic nie pamiętam! - powtórzył z zapalem książę.

Jeszcze kilka wzajemnych wyjaśnień, bardzo spokojnych ze strony Iwana Pietrowicza i dziwnie wzburzonych ze strony księcia, i okazało się, że dwie stare panny, krewne nieboszczyka Pawliszczewa, zamieszkujące w jego majątku, Złatowierchowie, którym poruczono wychowanie

księcia, były z kolei kuzynkami Iwana Pietrowicza. Iwan Pietrowicz, tak samo jak i wszyscy, prawie nie mógł powiedzieć o przyczynach, które skłoniły Pawliszczewa do tak troskliwego zaopiekowania się małym księciem, swoim przybranym dzieckiem. „Zapomniałem wtedy spytać o to”, jednak okazało się, że miał doskonałą pamięć, gdyż przypomniał sobie nawet, jak surowa była dla małego chłopca starsza kuzynka, Marfa Nikitiszna, „tak że nawet raz pokłóciłem się z nią z powodu jej metod wychowawczych, bo tylko wciąż biła różgą chore dziecko - przecie to... sam pan przyzna”... i jak, przeciwnie, czułą dla biednego chłopca była młodsza kuzynka, Natalia Nikitiszna... „Obie teraz - wyjaśnił dalej - mieszkają w ...skiej guberni (nie wiem tylko, czy jeszcze żyją), gdzie dostał im się w spadku po Pawliszczewie bardzo a bardzo ładny mająteczek. Marfa Nikitiszna chciała, zdaje się, wstąpić do klasztoru; zresztą nie twierdzą tego na pewno; może to o kim innym słyszałem... tak, to onegdaj mówiono mi o doktorowej...”

Książę wysłuchał tego z oczami błyszczącymi z zachwytu i rozrzewnienia. Z niezwykłym zapalem oświadczył, że nigdy sobie nie daruje, iż w ciągu swojej sześciomiesięcznej podróży do środkowych guberni nie znalazł okazji, aby odszukać i odwiedzić swoje byłe wychowawczynie. „Codziennie chciał jechać i wciąż go odrywały różne okoliczności... ale że teraz daje sobie słowo... bezwzględnie... chociażby do ...skiej guberni... Więc pan zna Natalię Nikitisznę? Jaka wzniosła, jaka święta dusza! Ale i Marfa Nikitiszna... proszę mi wybaczyć, jednak pan się chyba myli co do Marfy Nikitiszny! Była surową, ale... nie można przecie nie stracić cierpliwości... z takim idiotą, jakim wtedy byłem (hi, hi!). A wszakże byłem zupełnym idiotą, pan by nie uwierzył (cha, cha!). Zresztą... zresztą, pan mnie wtedy widział i... Jakże to ja mogę pana nie pamiętać, niech mi pan powie z łaski swojej? Więc pan... ach, mój Boże, więc pan jest w samej rzeczy krewnym Mikołaja Andriejewicza Pawliszczewa?”

- U - pe - wniam pana - uśmiechnął się Iwan Pietrowicz przyglądając się księciu.

- O, przecie nie dlatego powiedziałem, żebym... miał jakieś wątpliwości... i wreszcie, czy można o tym wątpić (hi, hi!)... choć trochę?... Nawet odrobinę!! (Cha, cha!) Ale ja zmierzam do tego, że nieboszczyk Mikołaj Andriejewicz Pawliszczew był takim wspaniałym człowiekiem! Najszlachetniejszym z ludzi, naprawdę, niech mi pan wierzy!

Książę nie tyle tracił oddech, ile - rzec by można - „zachłystywał się serdecznym uniesieniem”, jak powiedziała o tym nazajutrz rano Adelajda w rozmowie ze swoim narzeczonym księciem Sz.

- Ach, mój Boże - zawołał książę, zmieszany, śpiesząc się i zapalając coraz bardziej. - Ja... znów palnałem głupstwo, ale... tak powinno być, ponieważ ja... ja... ja... zresztą nie o to chodzi! Cóż ja teraz znaczę, niech pan mi z łaski swojej powie, wobec takich spraw... wobec takich olbrzymich, doniosłych spraw! I w porównaniu z takim szlachetnym człowiekiem - bo to naprawdę był szlachetny człowiek, prawda? Prawda ?

Książę aż drżał cały. Dlaczego tak nagle się rozgorączkował, dlaczego wpadł w taki rzewny zachwyty, całkiem ni z tego, ni z owego, i, zdawało się, zupełnie niewspółmiernie do tematu rozmowy - trudno było orzec. W takim już był nastroju i nieomal odczuwał w tej chwili do kogoś i za coś najgorętszą i najżywszą wdzięczność - może nawet do Iwana Pietrowicza, a bodaj nawet do wszystkich w ogóle gości. Nazbyt się już „rozszcęśliwił”. Iwan Pietrowicz w końcu zaczął mu się uważniej przyglądać; również uważnie przypatrywał mu się „dygnitarz”. Bielokońska skierowała na

księcia gniewny wzrok i zacisnęła usta. Książę N., Eugeniusz Pawłowicz, książę Sz., panny - wszyscy przerwali rozmowę i słuchali. Agłaja była, zdaje się, przestraszona, a Lizawieta Prokofiewna po prostu miała duszę na ramieniu. Dziwne były te córeczki i ich mama; one to przecież postanowiły, że lepiej by było, gdyby książę przesiedział cały wieczór w milczeniu; ledwo go jednak ujrzały w kącie, zupełnie samotnego i zadowolonego ze swojej sytuacji, natychmiast się zaniepokoiły. Aleksandra już chciała podejść do niego i ostrożnie, przechodząc przez cały pokój, przyłączyć się do ich towarzystwa, czyli do towarzystwa księcia N., obok Biełokońskiej. A kiedy książę sam zaczął mówić, wpadły w jeszcze większą trwogę.

- Że to był wspaniały człowiek, to pan ma rację - powiedział z przekonaniem i już bez uśmiechu Iwan Pietrowicz - tak, tak, to był przezacny człowiek! Przezacny i godny - dodał po chwili milczenia. - Godny nawet, można powiedzieć, zupełnego szacunku - dodał z jeszcze większym przekonaniem po trzeciej przerwie - i... i bardzo to miło z pańskiej strony...

- Czy to nie ten Pawliszczew, który miał jakąś dziwną... przygodę z księdzem... z księdzem... zapomniałem, z jakim księdzem, ale wszyscy wtedy coś opowiadali - rzekł, jakby coś sobie przypominając „dygnitarz”.

- Z ojcem Gouraud, jezuitą - przypomniał Iwan Pietrowicz. - Tak, tak, to najwspanialszy i najgodniejszy nasi ludzie! Bo to był jednak człowiek ze starego rodu, majątny, szambelan, i gdyby... dłużej pozostał na służbie... Ale on nagle rzuca posadę i wszystko, żeby przejść na katolicyzm i wstąpić do zakonu jezuitów, a w dodatku niemal otwarcie, z jakimś entuzjazmem. Doprawdy, w porę umarł... tak; wszyscy wtedy mówili...

Książę był w najwyższym stopniu oburzony.

- Pawliszczew... Pawliszczew przeszedł na katolicyzm? To być nie może! - zawołał z przerażeniem.

- No, „być nie może” to przesada! - wyburczał z powagą Iwan Pietrowicz. - Sam pan chyba przyzna, drogi książę... Zresztą pan tak wysoko szacuje nieboszczyka... rzeczywiście, był to bardzo pocziwy człowiek, czemu też w głównych zarysach przypisuję sukces tego szalbierza Gouraud. Ale niech pan mnie spyta, mnie, ile miałem później kłopotu i biegania w tej sprawie... i to z tym właśnie Gouraud! Proszę sobie wyobrazić - zwrócił się nagle do staruszka - że oni nawet kwestionowali ważność testamentu i musiałem zastosować najbardziej, rzecz można, energiczne środki... żeby ich powściągnąć... bo to majstrowie nie lada, zwłaszcza w takich sprawach! Nad - zwy - czajni! Ale, chwała Bogu, działało się to w Moskwie; skoczyłem zaraz do hrabiego i... daliśmy im nauczkę...

- Pan nie uwierzy, jak mnie pan zmartwił i zdumiał! - zawołał znowu książę.

- Żałuję bardzo; ale w istocie wszystko to, właściwie mówiąc, głupstwo i na głupstwie by się skończyło jak zwykle; jestem tego pewien. Zeszłego lata - zwrócił się znów do staruszka - hrabina K. też podobno wstąpiła do jakiegoś katolickiego klasztoru za granicą; nasi jakoś nie wytrzymują, jeśli się raz poddadzą tym... krętaczom... zwłaszcza za granicą.

- Wszystko to, jak sędzę, wypływa z naszej... apatii - wyseplenił z powagą staruszek. - Ale też

mają sposób nawracania... wytworny, swoisty... no i umieją nastraszyć. Mnie też w trzydziestym drugim roku, w Wiedniu, nastraszyli, proszę mi wierzyć; nie poddałem się jednak i uciekłem od nich, cha, cha!

- Słyszałam, kochasiu, żeś ty wtedy z piękną hrabiną Lewicką uciekł z Wiednia do Paryża, opuszczając swój posterunek, a nie od jezuitę - wtrąciła nagle Biełokońska.

- Ależ właśnie od jezuitę; jednak wychodzi na to, że od jezuitę! - podchwycił staruszek, roześmiewszy się na wspomnienie miłych chwil. - Pan jest, zdaje się, bardzo religijny, co tak rzadko dziś można spotkać wśród młodzieży - zwrócił się życzliwie do księcia Lwa Nikołajewicza, który słuchał z otwartymi ustami i jeszcze nie ochłonął z wrażenia; staruszek miał widocznie ochotę poznać księcia bliżej; z pewnych względów zaczął on go mocno interesować.

- Pawliszczew był człowiekiem światłym i chrześcijaninem, prawdziwym chrześcijaninem - rzekł nagle książę - więc jak mógł się poddać wierze... niechrześcijańskiej? Katolicyzm znaczy to samo co wiara niechrześcijańska! - dodał nagle z błyskiem w oczach, patrząc przed siebie i jakoś w ogóle obejmując wzrokiem wszystkich naraz.

- No, tego już za wiele - mruknął staruszek i ze zdziwieniem spojrzął na Iwana Fiodorowicza.

- Jakże to katolicyzm jest wiarą niechrześcijańską? - obrócił się na krześle Iwan Pietrowicz. - Więc jaką?

- Jest to niechrześcijańska wiara, po pierwsze! - zaczął znów mówić książę w niezwykłym wzburzeniu i nad miarę ostro. - To po pierwsze, a po drugie, katolicyzm rzymski jest nawet gorszy od samego ateizmu, takie jest moje zdanie! Tak, moje zdanie jest takie! Ateizm głosi tylko nicość, a katolicyzm idzie dalej: głosi Chrystusa sfalszowanego, zakłamanego i zbezczeszczonego, Chrystusa biegunowo przeciwnego! Głosi Antychrysta, przysięgam na to, wierzcie mi państwo! To jest moje osobiste, dawno powzięte przekonanie i ono mnie długo dręczyło... Katolicyzm oparty jest na poglądzie, iż bez wszechświatowej państwowej władzy Kościół nie utrzyma się na ziemi, katolicyzm krzyczy: *Non possumus!** Według mnie, katolicyzm nie jest nawet wiarą, tylko po prostu kontynuacją Zachodniego Imperium Rzymskiego; wszystko w nim podporządkowane jest tej idei, począwszy od wiary. Papież zagarnął ziemię, tron ziemski i ujął miecz w rękę; od tego czasu wszystko też tak idzie, tylko do miecza dodano kłamstwo, matactwo, oszustwo, fanatyzm, przesady, łotrystwo, grano na najświętszych, najszczerzych, najbardziej ufnych i płomiennych uczuciach ludu; wszystko, wszystko sprzedano za pieniądze, za podłą władzę świecką. Czyż to nie jest nauka Antychrysta?! Jakże miał od nich nie wyjść ateizm? Ateizm przede wszystkim zaczął się od nich samych; bo czyż mogli wierzyć sobie samym? Wzmógł się ze wstrętu do nich; jest tworem ich kłamstwa i prostracji duchowej! Ateizm! U nas do niewierzących należą tylko ludzie niektórych stanów, jak się doskonale wyraził niedawno Eugeniusz Pawłowicz; tych stanów, które utraciły korzenie; a tam w Europie już straszne masy samego ludu zaczynają nie wierzyć - przedtem z ciemnoty i zakłamania, a teraz już z fanatyzmu, z nienawiści do Kościoła i do chrześcijaństwa.

Książę urwał, by zaczerpnąć powietrza. Mówił niezwykle prędko. Był blady i chwilami tracił oddech. Wszyscy obecni spoglądali po sobie; ale wreszcie staruszek otwarcie się roześmiał. Książę N. wyjął lornetkę i nie odejmując jej od oczu przyglądał się księciu. Niemiaszek poeta wylaźł z kąta i

przysunął się bliżej do stołu, uśmiechając się złowróbnym uśmiechem.

- Pan bardzo prze - sa - dza - powiedział przeciągle Iwan Pietrowicz z pewnym znudzeniem i jakby wstydząc się czegoś - tamten Kościół też ma przedstawicieli ze wszech miar godnych szacunku i cno - tli - wych...

- Nie mówiłem bynajmniej o poszczególnych przedstawicielach Kościoła. Mówiłem o istocie katolicyzmu, mówię o Rzymie. Czyż Kościół może zniknąć zupełnie? Nigdy tego nie twierdziłem!

- Zgoda; ale to wszystko jest wiadome i nawet... zbyteczne; no i - należy do teologii...

- O nie, o nie! Nie tylko do teologii, zapewniam pana, że nie! To znacznie bliżej nas dotyczy, niż pan myśli. Na tym polega cały nasz błąd, że nie możemy jeszcze sobie uświadomić, iż to jest problem nie tylko teologiczny! Przecież i socjalizm wyrósł z katolicyzmu i jest w istocie swojej katolicki! On również, jak i brat jego, ateizm, wypłynął z rozpacz, jako przeciwstawienie katolicyzmu w znaczeniu moralnym, aby zastąpić sobą utracony moralny autorytet religii, aby zaspokoić pragnienie duchowe łaknącej ludzkości i zbawić ją nie przez Chrystusa, lecz tak samo - przemocą! To jest także wolność oparta na gwałcie, to jest także zjednoczenie przez miecz i krew! „Nie waź się wierzyć w Boga, nie waź się mieć własnych rzeczy, nie waź się mieć osobowości, *fraternite ou la mort**, dwa miliony głów!” Po czynach ich poznać je - tak jest powiedziane! I nie myślcie, żeby to wszystko było takie niewinne i niestraszne dla nas; o, musimy temu przeciwdziałać, i to jak najprędzej, jak najprędzej! Trzeba, by na odparcie Zachodu zajaśniał nasz Chrystus, którego myśmy zachowali, a którego oni nie znali nigdy! Nie łapiąc się niewolniczo na haczyk jezuitów, a niosąc im naszą rosyjską cywilizację, powinniśmy stanąć teraz przed nimi i niech się u nas nie mówi, jak dopiero co ktoś powiedział, że ich propaganda jest wytworna...

- Ale przepraszam, przepraszam - zaniepokoił się okropnie Iwan Pietrowicz oglądając się dokoła z widocznym lękiem - wszystkie pańskie myśli są oczywiście godne uznania i bardzo patriotyczne, wszystko to jest jednak ogromnie przesadzone i... nawet lepiej nie rozwodzić się na ten temat...

- Nie, nie przesadzone, raczej pomniejszone; właśnie pomniejszone, gdyż nie czuję się zdolny, żeby to wyrazić, ale...

- Niechże pan po - zwo - li!

Książę umilkł. Siedział wyprostowany na krześle, nieruchomy i płomiennym wzrokiem patrzył na Iwana Pietrowicza.

- Wydaje mi się, że pana zbyt uderzył przypadek z pańskim dobroczyńcą - łagodnie i nie tracąc spokoju zauważył staruszek - pan jest podniecony... może to skutek pańskiego osamotnienia. Gdyby pan częściej przebywał z ludźmi, a w towarzystwie, myślę, będzie pan mile widziany jako interesujący młodzieniec, to wtedy pański zapał, rzecz prosta, zmniejszyłby się i pan by się przekonał, że wszystko jest o wiele prostsze... że takie rzadkie przypadki... zdarzają się, według mnie, po części wskutek naszego przesytu, po części zaś... z nudów...

- Właśnie, tak, właśnie - zawołał książę - wspaniała myśl! Właśnie „z nudów, z naszych nudów”, nie z przesytu, ale przeciwnie, z pragnienia... nie z przesytu, pan się co do tego pomylił! I nie tylko z pragnienia, ale nawet z zapalnej namiętności, z piekielnej żądz! I... niech pan nie myśli, że to się dzieje w tak nieznacznym stopniu, iż tylko śmiać się z tego można; wybaczy pan, trzeba umieć przeczuwać! Nasi, jak tylko dobrną do brzegu, jak uwierzą, że to brzeg, to już tak się tym ucieszą, iż natychmiast dochodzą do ostateczności; dlaczegoż tak? Pan na przykład dziwi się Pawliszczewowi, pan wszystko przypisuje jego obłąkaniu czy też dobroci, ale to tak nie jest! I nie tylko nas, ale całą Europę dziwi ta nasza rosyjska krańcowość w tych przypadkach: Rosjanin, jeśli przejdzie na katolicyzm, to zaraz musi stać się jezuitą, i to najzjadlejszym; a gdy się stanie ateuszem, to zaraz zacznie się domagać wytępienia wiary w Boga przemocą, czyli znowu mieczem! Skąd się to bierze, skąd taka szalona zaciekłość? Czyż pan nie wie? Dlatego że ten Rosjanin w jednym lub drugim wypadku znajduje ojczyznę, którą tu przeoczył, i cieszy się z tego; znajduje brzeg, ląd stały i rzuca się całować ziemię! Bo nie tylko z samej próżności, nie tylko z samych marnych ambicyjek powstają rosyjscy ateści i rosyjscy jezuiti, ale też z bólu duszy, z pragnień duchownych, z tęsknoty za wielką sprawą, za trwałym gruntem, za ojczyzną, w którą przestali wierzyć, bo nigdy jej nie znali! Ateistą zaś tak łatwo zostać Rosjaninowi, łatwiej niż wszystkim innym na świecie! I Rosjanie nie stają się zwyczajnie ateuszami, ale muszą koniecznie uwierzyć w ateizm, stwarzając sobie jakby nową wiarę i nie widząc wcale, że uwierzyli w nicość. Taka jest nasza namiętność! „Kto gruntu pod sobą nie ma, ten i Boga nie ma”. To nie jest moje zdanie. To zdanie jednego kupca, wyznawcy starych obrządków, którego spotkałem w czasie podróży. Co prawda, nie tak się wyraził; powiedział: „Kto ziemi ojczystej się wyrzekł, ten i Boga swojego się wyrzekł”. I pomyśleć tylko, że u nas najświatlejsi ludzie dawali się porwać nawet chłystowszczyźnie...[143] A zresztą czym chłystowszczyzna jest gorsza od nihilizmu, jezuityzmu i ateizmu? Może nawet jest głębsza? Oto do czego dochodziła męka duchowa!... Wskażcie łaknącym i rozgorączkowanym towarzyszom Kolumba brzeg Nowego Świata, wskażcie Rosjaninowi rosyjski Świat, dajcie mu odnaleźć to złoto, ten skarb, ukryty przed nim w ziemi! Pokażcie mu przyszłe odrodzenie całej ludzkości i jej zmartwychwstanie, co może sprawić tylko myśl rosyjska, rosyjski Bóg i Chrystus, a zobaczycie, jaki olbrzym potężny i szczerzy, mądry i łagodny powstanie przed zdumionym światem, zdumionym i strwożonym, gdyż oni spodziewają się od nas tylko miecza, miecza i gwałtu, gdyż oni, sądząc po sobie, mają nas za barbarzyńców. I to aż do obecnej chwili; i to im dalej, tym bardziej! I...

Ale tu nagle zdarzyło się coś, co najniespodziewaniej w świecie przerwało wywody mówcy.

Cała ta gorączkowa tyrada, cały ten potok namiętnych i burzliwych słów i pełnych egzaltacji myśli, jakby popychających się wzajemnie w jakimś rejwachu i przeskakujących jedna przez drugą - wszystko to zapowiadało zbliżanie się jakiegoś niebezpieczeństwa, czegoś niezwykłego w usposobieniu młodzieńca, który tak nagle uniósł się bez żadnej widocznej przyczyny. Z obecnych w salonie wszyscy, ci, co znali księcia, z pewnym lękiem (a niektórzy ze wstydem) przyjęli jego wystąpienie, tak niezgodne z jego zwykłą powściągliwością, nawet nieśmiałością, z rzadko spotykanym i wyjątkowym jego taktem w pewnych wypadkach i z instynktownym poczuciem najwyższego rodzaju przyzwoitości. Nie mogli zrozumieć, skąd się to wzięło; nie spowodowała tego przecież wiadomość o Pawliszczewie. Panie patrzyły na niego jak na półgłówka, Bielokońska zaś przyznała się potem, że „jeszcze chwila, a byłaby uciekła”. „Staruszkowie” prawie potracili głowy ze zdumienia; generał zwierzchnik surowo i z niezadowoleniem patrzył ze swego krzesła. Pułkownik technik siedział najzupełniej nieruchomo. Niemiaszek aż zbladł, ale wciąż się uśmiechał swoim

nieszczerym uśmiechem, spoglądając na innych: jak tamci zareagują? Zresztą to wszystko i ta „cała awantura” mogłaby się skończyć w najzwyczajniejszy i najnaturalniejszy sposób może nawet w ciągu minuty; Iwan Fiodorowicz, który nadzwyczaj zdziwił się, ale i najszybciej połapał w sytuacji, już kilka razy próbował powściągnąć księcia; nic nie wskórawszy, przeciskał się teraz ku niemu z zamiarem stanowczym i nieodwołalnym. Jeszcze chwila, a gotów był pod naciskiem konieczności wyprowadzić księcia po przyjacielsku, pod pozorem choroby, co nawet może odpowiadało prawdzie i czemu Iwan Fiodorowicz dawał mocną wiarę w głębi duszy... Ale sprawa przyjęła całkiem inny obrót.

Księżę już na samym początku, gdy tylko wszedł do salonu, usiadł o ile można najdalej od owej chińskiej wazy, którą go tak nastraszyła Agłaja. Rzecz nie do wiary, ale istotnie po wczorajszych słowach Agłai zagnieździło się w nim jakieś nieodparte przeświadczenie, jakieś dziwne i niemożliwe przecucie, że on niechybnie i właśnie jutro tę wazę rozbije, jakkolwiek starałby się tego uniknąć, jakkolwiek wystrzegałby się nieszczęścia! Ale tak właśnie było. W czasie rozmowy inne silne, ale jasne wrażenia zaczęły napływać mu do duszy; mówiliśmy już o tym. Księżę zapomniał o swoim przecuciu. Kiedy usłyszał o Pawliszczewie, a Iwan Fiodorowicz przyprowadził go do Iwana Pietrowicza i znów przedstawił mu go, przesiadł się bliżej stołu i trafił wprost na krzesło obok olbrzymiej pięknej wazy chińskiej, stojącej na postumencie tuż prawie przy jego łokciu, nieco w tyle.

Przy ostatnich swoich słowach księżę nagle wstał z miejsca, nieostrożnie machnął ręką, ruszył jakoś ramieniem i... rozległ się ogólny krzyk! Waza z początku zachwiała się, jakby w niepewności, czy ma upaść na głowę któremuś ze staruszków; raptem jednak pochyliła się w przeciwną stronę, w kierunku przerażonego Niemiaszka, który ledwo zdążył uskoczyć w bok, i runęła na podłogę. Grzmot, krzyk, drogocenne skorupy rozsypane po dywanie, strach, zdumienie - o, trudno sobie wyobrazić i nie należy chyba nawet opisywać, co się działo z księciem! Niepodobna jednak nie wspomnieć o pewnym dziwnym uczuciu, które właśnie ogarnęło go w tej chwili, które nagle uwypukliło mu się w natłoku innych niejasnych i dziwnych uczuć: nie wstyd, nie skandal, nie strach, nie nagłość wypadku najwięcej go uderzyła, ale to, że przecucie się sprawdziło! Co mianowicie było w tej myśli takiego porywającego - nie umiałby sobie wytłumaczyć; czuł tylko, że jest wstrząśnięty do głębi serca, i stał tak w przerażeniu niemal mistycznym. Chwila jeszcze i naraz jakby wszystko się przed nim otwarło; zamiast grozy - światło i radość, zachwyt; tchu mu zabrakło i... lecz boska chwila minęła. Chwała Bogu, to nie było to! Odetchnął i rozejrzał się dokoła.

Długo jakby nie mógł pojąć zamieszania, które wrzało dokoła niego; właściwie rozumiał całkiem dokładnie i wszystko widział, ale stał się jakby jakimś osobliwym człowiekiem, który w niczym nie bierze udziału i który, jakby w czapce - niewidce na głowie, przedostał się do pokoju i obserwuje obcych, ale interesujących go ludzi. Widział, jak sprzątano skorupy, słyszał szybko prowadzone rozmowy, widział Agłaję, bladą i dziwnie spoglądającą na niego, bardzo dziwnie: w oczach jej nie było wcale nienawiści, bynajmniej nie było gniewu; patrzyła na niego wystraszoną, ale takim sympatycznym wzrokiem, a na innych tak surowo... Serce mu nagle słodko omdlało. Ujrzał na koniec z dziwnym zdumieniem, że wszyscy usiedli i nawet się śmieją, jakby się nic nie stało! Jeszcze chwila i śmiech się spotęgował: śmiano się już wprost patrząc na niego, na jego osłupienie, ale śmiano się przyjaźnie, wesoło; wielu zaczynało do niego przemawiać bardzo życzliwie, a przede wszystkim Lizawietta Prokofiewna: mówiła ze śmiechem i coś bardzo, bardzo dobrego. Nagle poczuł, że Iwan Fiodorowicz przyjaźnie klepie go po ramieniu; Iwan Pietrowicz również się śmiał; ale

jeszcze ładniej, jeszcze milej i sympatyczniej zachowywał się staruszek; wziął księcia za rękę i z lekka ją ściskając, z lekka uderzając po niej dłonią drugiej ręki, radził mu się uspokoić, zwracał się do niego jak do małego, przełęcznionego chłopczyka, co księciu bardzo się podobało, wreszcie posadził go tuż obok siebie. Księżę z przyjemnością wpatrywał się w jego twarz i wciąż jeszcze nie mógł dla czegoś przemówić; dech mu zapierało; twarz starca robiła na nim tak miłe wrażenie.

- Jak to? - wybąkał w końcu. - Państwo mi naprawdę wybaczą? I... pani, Lizawieto Prokofiewno?

Śmiech się wzmógł jeszcze bardziej; księciu łzy stanęły w oczach; po prostu nie wierzył i był oczarowany.

- Istotnie, waza była piękna. Pamiętam ją tutaj chyba od lat piętnastu, tak... piętnastu... - odezwał się Iwan Pietrowicz.

- Cóż to znowu za nieszczęście! I na człowieka przychodzi kreska, a tu jakiś tam gliniany garnek! - powiedziała głośno Lizawieta Prokofiewna. - Czyżbyś się tak przeląkł, drogi księżę? - dodała z niepokojem. - Nie ma czego, nie ma czego, mój kochany; doprawdy straszysz mnie tylko.

- I państwo mi wszystko wybaczą? Wszystko prócz wazy? - księżę wstał nagle z miejsca, staruszek jednak zaraz przyciągnął go znów za rękę. Nie chciał go puszczać od siebie.

- *C'est tres curieux et c'est tres serieux!** - szepnął przez stół do Iwana Pietrowicza, zresztą dosyć głośno; księżę mógł to usłyszeć.

- Więc nikogo z państwa nie obraziłem? Nie uwierzą państwo, jak mnie ta myśl uszczęśliwia. Ale tak powinno być! Czyż byłbym zdolny obrazić tutaj kogokolwiek? Znowu obrażę państwa, jeśli tak pomyślę.

- Niech pan się uspokoi, drogi panie, to przesada. I nie ma pan znowu za co tak dziękować; jest to uczucie piękne, ale w danym wypadku przesadzone.

- Ja nie dziękuję państwu, ja się tylko... z lubością państwu przypatruję; jestem szczęśliwy patrząc na państwa; może mówię głupstwa, ale - muszę mówić, muszę wyjaśnić... choćby nawet przez szacunek dla siebie.

Wszystko w nim było nieskoordynowane, niejasne i gorączkowe; bardzo możliwe, iż słowa, które wymawiał, często były nie tymi, które chciał powiedzieć. Wzrokiem jakby zapytywał:

- To bardzo ciekawe i bardzo poważne czy mu wolno mówić?

Wzrok jego zatrzymał się na Bielokońskiej.

- Nic, kochasiu, mów dalej, mów dalej, tylko się tak nie śpiesz i nie męcz - zauważyła - bo i przedtem zacząłeś mówić na krótkim oddechu i do czego doszedłeś; a mówić się nie bój; ci państwo widywali nieraz większych niż ty dziwaków, nikogo tu nie wprawisz w zdumienie, a przecie nie jesteś znowu Bóg wie jak mądry, tylko że wazę rozbiłeś i nastraszyłeś wszystkich.

Książę wysłuchał jej z uśmiechem.

- Przecież to pan - zwrócił się nagle do staruszka - przecież to pan przed trzema miesiącami uratował od zesłania studenta Podkumowa i urzędnika Szwabrina?

Staruszek aż się trochę zaczerwienił i mruknął, że trzeba by się uspokoić.

- A o panu słyszałem - zwrócił się natychmiast do Iwana Pietrowicza - w ...skiej guberni, że pan swoim chłopom pogorzelncom, już wolnym i nieprzyjaźnie odnoszącym się do pana, udzielił darmo drzewa na odbudowę?

- No, to prze - sa - da - wybełkotał Iwan Pietrowicz, przybierając zresztą pozę pełną godności; tym razem jednak miał zupełną rację, że to „przesada”: była to tylko fałszywa pogłoska, która doszła do księcia.

- A pani, księżno - zwrócił się nagle z promiennym uśmiechem do Biełokońskiej - czyż to nie pani pół roku temu na skutek pisma Lizawiey Prokofiewny przyjęła mnie w Moskwie jak rodzonego syna i rzeczywiście jak rodzonemu synowi udzieliła mi pewnej rady, której nigdy nie zapomnę. Pamięta pani?

- Cóż ty wyprawiasz za brewerie? - odezwała się ze złością Biełokońska. - Dobry z ciebie człowiek, ale śmieszny: dostaniesz dwa grosze, a tak dziękujesz jak za uratowanie życia. Myślisz, że to jest chwalebne, a to jest obrzydliwe.

Była już całkiem zła, ale raptem roześmiała się, i tym razem nawet dość pocziwie. Rozjaśniło się też oblicze Lizawiey Prokofiewny; rozpromienił się Iwan Fiodorowicz.

- Mówiłem, że Lew Nikołajewicz jest człowiekiem... człowiekiem... no, słowem, żeby się nie śpieszył i nie męczył, jak słusznie zauważyła księżna... - wymamrotał generał w radosnym upojeniu, powtarzając słowa Biełokońskiej, które go uderzyły.

Tylko Aglaja była jakaś smutna; ale twarz jej wciąż jeszcze płonęła, może z oburzenia.

- On jest naprawdę bardzo miły - wybąkał znów staruszek do Iwana Pietrowicza.

- Wszedłem tutaj z męką w sercu - ciągnął dalej książę z jakimś ciągle wzrastającym wzburzeniem, coraz szybciej, szybciej, coraz dziwniej i zapalniej - ja... ja się was bałem, i siebie samego również się bałem. Najwięcej siebie. Wracając tu do Petersburga dałem sobie słowo bezwzględnie zobaczyć naszych najwybitniejszych ludzi, najstarszych, najrdzenniejszych Rosjan, do których sam się zaliczam, wśród których sam jestem jednym z pierwszych po rodzie. Wszak teraz siedzę wśród takich samych jak ja książąt? Chciałem was poznać, to było konieczne, konieczne!... Zawsze słyszałem o was aż nadto dużo złego, więcej niż dobrego, o waszych drobnych i ekskluzywnych zainteresowaniach, o zacofaniu, o słabym wykształceniu, o śmiesznych nawykach - o, tak przecież wiele o was mówi się i pisze! Z ciekawością szedłem tu dzisiaj i z niepokojem: musiałem sam zobaczyć i przekonać się, czy rzeczywiście ta cała wyższa warstwa Rosjan już na nic

się nie zda, zupełnie się przeżyła, czy zamarł w niej prastary duch jej przodków, czy zdolna jest tylko zginąć, ale w nieustannej, drobnej, zawistnej walce z ludźmi... przyszłości, którym przeszkadza, nie dostrzegając, że sama ginie? I przedtem niezupełnie podzielałem te opinie, bo przecież u nas właściwie wyższej warstwy nie było nigdy, z wyjątkiem dworzan po mieczu albo... po łaskawym zrządzeniu fortuny, a teraz nie ma już wcale, prawda, prawda?

- No wcale to tak nie jest - roześmiał się zjadliwie Iwan Piętro wieź.

- Znowu się rozterkotał! - nie wytrzymała i wyrąbała Bielokońska.

- *Loissez le dire**, cały aż się trzęsie - uprzedził znowu półgłosem staruszek.

Książę najwidoczniej nie mógł zapanować nad sobą.

- I cóż? Zobaczyłem ludzi wytwornych, dobrodusznych, mądrych; zobaczyłem starca, który przygarnia i wysłuchuje takiego żółtodzioba jak ja; widzę ludzi zdolnych do rozumienia i przebaczenia, prawdziwych Rosjan, ludzi dobrych, prawie tak samo dobrych i serdecznych jak ci, których spotykałem tam, prawie nie gorszych od nich. Proszę więc osądzić, jak byłem mile zdziwiony! O niechże mi wolno będzie to powiedzieć! Słyszałem wiele i sam w to wierzyłem, że w sferach wyższych wszystko jest wymuszone, wszystko jest oparte na skamieniałych formach, a źródło życia wyschło; ale sam teraz widzę, że nie ma u nas nic podobnego, że to wszędzie jest możliwe, tylko nie u nas. Czyżbyście wszyscy teraz byli jezuitami i oszustami? Słyszałem, jak niedawno opowiadał książę N.: czyż to nie jest najszczerzy, najbardziej natchniony humor, czyż to nie jest prawdziwa dobroduszność? Czyż takie słowa mogą wychodzić z ust człowieka... strupieszalego, o wyschniętym sercu i talencie? Czyż ludzie martwi mogliby się obejść ze mną tak, jak wyście się obesli? Czyż to nie jest materiał... dla przyszłości, dla nadziei? Czyż tacy ludzie mogą nie zrozumieć, mogą być zacofani?

- Jeszcze raz pana proszę, mój drogi panie, niech się pan uspokoi, porozmawiamy o tym kiedy indziej, i ja z przyjemnością... - uśmiechnął się „dygnitarz”.

Iwan Pietrowicz chrząknął i poprawił się na swoim fotelu; Iwan Fiodorowicz z lekka się poruszył; generał zwierzchnik rozmawiał z żoną dygnitarza, nie zwracając już nawet najmniejszej uwagi na księcia; ale małżonka dygnitarza często nadstawiała ucha i spoglądała.

- Nie, wie pan, już lepiej, żebym mówił! - z nowym gorączkowym uniesieniem ciągnął dalej książę, jakoś szczególnie ufnie i nawet poufale zwracając się do staruszka. - Agłaja Iwanowna zabroniła mi wczoraj mówić i nawet wymieniła tematy, których nie wolno poruszać; wie dobrze, iż wtedy robię się śmieszny! Mam dwadzieścia siedem lat, ale zdaję sobie sprawę z tego, że jestem jak dziecko. Nie mam prawa wyrażać swoich myśli, dawno to już mówiłem; tylko w Moskwie z Rogożynem mówiłem otwarcie... Czytaliśmy razem Puszkina, przeczytaliśmy całego; Rogożyn nie miał o niczym pojęcia, nie znał nawet nazwiska Puszkina... Ja się zawsze lękam, żeby swoim śmiesznym wyglądem nie skompromitować myśli i zasadniczej idei. Ja nie mam gestu. Ja mam gest zawsze wprost przeciwny, a to wywołuje śmiech i poniża ideę. Poczucia miary także nie mam, a to przecież grunt; to nawet najważniejsze... Wiem, że lepiej siedzieć i nic nie mówić. Gdy się uprę i zamilknę, to się nawet wydaję bardzo rozsądny, a przy tym mogę się zastanawiać. Teraz jednak

lepiej, żebym mówił. Więc zacząłem mówić, że pan tak pięknie na mnie patrzy; pan ma piękną twarz! A wczoraj dałem słowo Aglai Iwanownie, że nie odezwę się przez cały wieczór.

- *Vraiment?** - uśmiechnął się staruszek.

- Chwilami jednak myślę, że nie mam racji myśląc w ten sposób: szczerłość przecież warta jest gestu, prawda? Prawda?

- Czasami.

- Chcę wszystko wyjaśnić, wszystko, wszystko, wszystko! O tak! Pan sądzi, że jestem utopistą? Ideologiem? O nie, wszystkie moje myśli są takie proste... Nie wierzy pan? Uśmiecha się pan? A czy pan wie, że potrafię być podły, gdyż tracę wiarę; niedawno szedłem tutaj i myślałem: „Jakże ja z nimi będę rozmawiać, od czego mam zacząć, żeby mnie choć trochę zrozumieli?” Jakże się bałem, ale o was bałem się więcej, strasznie, strasznie! A tymczasem czyż mogłem się obawiać, czy nie wstyd było się obawiać? Cóż z tego, że jeden postępowiec wypada na całą masę ludzi zacofanych i złych? Stąd właśnie wynika moja radość, że jestem teraz przekonany, iż ta cała masa to żywy materiał! Nie ma co się przejmować tym, że jesteśmy śmieszni, prawda? Przecież tak jest w rzeczywistości: jesteśmy śmieszni, lekkomyślni, mamy złe narowy, nudzimy się, nie umiemy patrzeć, nie umiemy pojmować, wszyscyśmy tacy, i pan, i ja, i oni! Pan się chyba nie obraża o to, że mówię panu w oczy, iż pan jest śmieszny? A jeżeli tak, to czy pan również nie jest materiałem? Według mnie, wie pan, czasami dobrze jest nawet być śmiesznym: prędzej można przebaczyć sobie nawzajem i ukorzyć się; nie wszystko przecież trzeba od razu pojąć, niepodobna zaczynać wprost od doskonałości! Żeby osiągnąć doskonałość, trzeba przedtem wielu rzeczy nie rozumieć! A jeżeli szybko się zrozumie, to raczej niezbyt dobrze się zrozumie. Mówię to panu, który już tak wiele umiał zrozumieć i... nie rozumieć. Teraz nie boję się o pana; pan przecież się nie gniewa, że takie słowa mówi panu taki młodziak? Pan się Doprawdy śmieje? Pan myśli, że ja się bałem o tamtych, że jestem ich obrońcą, że jestem demokratą, głosicielem równości? - zaśmiał się histerycznie (co chwila śmiał się urywanym, pełnym zachwyty śmiechem). - Boję się o was, o was wszystkich, i o nas wszystkich razem. Ja sam przecież jestem rodowitym księciem i siedzę w gronie książąt. Mówię, żeby ratować nas wszystkich, żeby nasz stan nie zniknął nadaremnie, w mroku, niczego się nie domyśliwszy, na wszystko zlorzecząc i wszystko przegrawszy. Po co ginąć i ustępować miejsca innym, kiedy można zostać na czele i utrzymać godność starszeństwa? Gdy zostaniemy na czele, utrzymamy również władzę w swoim ręku. Będziemy służącymi, aby przewodzić.

Zaczął się zrywać z krzesła, ale staruszek wciąż go przytrzymał, patrząc na niego z rosnącym niepokojem.

- Słuchajcie! Wiem, że mówić nie jest dobrze: lepiej dać po prostu przykład, lepiej po prostu zacząć... ja już zacząłem... i - i czyż naprawdę można być nieszczęśliwym? O, cóż znaczy mój smutek i moje nieszczęście, gdy w mojej mocy jest uczynić siebie szczęśliwym? Nie rozumiem, wie pan, jak można przechodzić koło drzewa i nie być szczęśliwym, że się je widzi? Rozmawiać z człowiekiem i nie być szczęśliwym, że się go kocha! O, ja tylko nie umiem wypowiedzieć... a ileż jest na każdym kroku takich pięknych rzeczy, które nawet najbardziej zatracony człowiek znajduje pięknymi? Spójrzcie na dziecko, spójrzcie na jutrenkę Bożą, spójrzcie na trawkę, jak rośnie, spójrzcie w oczy, które patrzą na was i kochają was...

Dawno już stał przemawiając. Staruszek patrzył teraz na niego ze strachem. Lizawieta Prokofiewna krzyknęła: „Ach, mój Boże!”, domyśliwszy się wcześniej niż inni, i załamała rękę. Agłaja szybko podbiegła do niego, zdążyła go pochwycić i z przerażeniem, z twarzą wykrzywioną bólem usłyszała dziki krzyk „ducha, co wstrząsnął i zwałił” nieszczęsnego. Chory leżał na dywanie. Ktoś zdążył czym prędzej podłożyć mu pod głowę poduszkę.

Tego nikt się nie spodziewał. Po jakichś piętnastu minutach księżę N., Eugeniusz Pawłowicz i staruszek dygnitarz usiłowali ożywić znów zebranie, ale już po upływie pół godziny wszyscy się rozjechali. Wypowiedziano wiele współczujących wyrazów, wiele narzekań, wiele przypuszczeń. Iwan Pietrowicz wyraził się między innymi, że „młodzieniec jest niewątpliwie słowianofilem albo czymś takim, ale że to zresztą nie jest niebezpieczne”. Staruszek nic się na to nie odezwał. Co prawda, już potem, na drugi i na trzeci dzień, wszyscy się trochę rozgniewali; Iwan Pietrowicz nawet się obraził, ale nie bardzo. Generał zwierzchnik przez pewien czas był nieco chłodniejszy w stosunku do Iwana Fiodorowicza. „Protektor” rodziny, dygnitarz, także ze swej strony wymamrotał do ojca rodziny coś umoralniającego, przy czym wyraził się pochlebnie, że bardzo a bardzo interesuje się losem Agłai. Był to człowiek istotnie dość dobry; ale jedną z przyczyn, dla których zaciekawiał się księciem podczas wieczoru, stanowiła dawna historia księcia z Nastasją Filipowną; o tej historii coś niecoś słyszał i nawet bardzo się interesował, miał nawet ochotę wywiedzieć się czegoś o niej.

Biełokońska odjeżdżając do domu powiedziała Lizawiecie Prokofiewnie:

- Ano i dobry, i głupi; jeżeli chodzi o moje osobiste mniemanie, to uważam, że raczej głupi. Sama widzisz, co to za człowiek, chory człowiek!

Lizawieta Prokofiewna zdecydowała w duchu ostatecznie, że konkurent jest „nie do przyjęcia”, i podczas rozmyślań nocnych dała sobie słowo, że „póki ona żyje, księżę nie zostanie mężem jej Agłai”. Z tym też wstała rano. Ale tego samego rana o pierwszej, przy śniadaniu, wpadła w dziwną sprzeczność z własnymi sądami.

Na jedno, nadzwyczaj zresztą ostrożne, pytanie sióstr Agłaja odrzekła nagle zimno, ale wyniośle, jakby nożem ucięła:

- Nigdy żadnego słowa mu nie dawałam, nigdy w życiu nie uważałam go za swojego narzeczonego. Jest dla mnie takim samym obcym człowiekiem jak każdy inny.

Lizawieta Prokofiewna wybuchnęła nagle.

- Tego się nie spodziewałam po tobie - rzekła ze smutkiem. - Jako konkurent jest niemożliwy, wiem to dobrze i chwala Bogu, że się tak złożyło; ale takich słów po tobie się nie spodziewałam! Sądziłam, że zajmiesz inne stanowisko. Ja bym tych wszystkich, co byli u nas wczoraj, wypędziła, a jęgo bym zostawiła; to taki człowiek!...

Tu nagle urwała, sama przestraszona tym, co powiedziała. Gdyby jednak mogła się domyślić, jak bardzo w tej chwili była niesprawiedliwa względem córki! W głowie Agłai wszystko już było postanowione; ona również czekała na swoją godzinę, która powinna przynieść ostateczne rozwiązanie sprawy, i wszelka aluzja, wszelkie nieostrożne dotknięcie głęboko raniły jej serce.

VIII

Dla księcia również poranek ten zaczął się pod wrażeniem ponurych przeczuć; można je było wytłumaczyć jego chorobliwym stanem, ale smutek drażący mu duszę miał jakiś nazbyt nieokreślony charakter, i to go najbardziej męczyło. Co prawda, stały przed nim fakty jaskrawe, ciężkie, przygniatające, ale smutek jego sięgał znacznie dalej niż to wszystko, co sobie przypominał i uświadamiał; zdawał sobie sprawę, że sam się nie potrafi uspokoić. Powoli ugruntowało się w nim przekonanie, że dziś jeszcze wydarzy mu się coś niezwykłego i nieodwołalnego. Atak, któremu wczoraj uległ, należał do lekkich; oprócz hipochondrii, pewnej ociężałości w głowie i bólu w członkach nie odczuwał żadnych innych skutków. Mózg jego pracował dość dokładnie, chociaż dusza była chora. Wstał dość późno i od razu przypomniał sobie wczorajszy wieczór; przypomniał sobie również, acz niezbyt wyraźnie, i to, jak w pół godziny po ataku przyprowadzono go do domu. Dowiedział się, że był już u niego posłaniec od Jepanczynów i pytał o jego zdrowie. O wpół do dwunastej zjawiał się drugi; to mu sprawiło przyjemność. Wiera Lebediew jedna z pierwszych przysłała go odwiedzić i usłużyć mu. W pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, rozplakała się nagle, ale gdy książe od razu ją uspokoił - roześmiała się. Jakoś nagle zastanowiło go głębokie współczucie okazywane mu przez tę dziewczynę; chwycił jej rękę i pocałował. Wiera gwałtownie się zarumieniła.

- Ach, co pan robi, co pan robi! - zawołała przerażona i szybko cofnęła rękę.

Odeszła wkrótce w jakimś dziwnym zmieszaniu. Między innymi zdążyła mu opowiedzieć, że jej ojciec dziś skoro świt pobiegł do „nieboszczyka”, jak nazywał generała, żeby się dowiedzieć, czy czasem przez noc nie umarł, no i dowiedział się, że śmierć stoi tam już koło progu. O dwunastej wrócił do domu i zjawiał się u księcia sam Lebediew, ale właściwie „tylko na minutkę”, żeby spytać, jak „drogocenne zdrowie” i tak dalej, a przy okazji zajrzeć do „szafki”. Wciąż tylko jęczał i biadał, więc książe prędko go pożegnał; stary lis usiłował jednak wypytać księcia o wczorajszy atak, chociaż widać było, że jest o tym najdokładniej poinformowany. Po nim przyleciał Kola, również na chwilę; ten rzeczywiście się śpieszył i był nadzwyczaj posępny i zaniepokojony. Zaczął od tego, że wprost i usilnie poprosił księcia o wyjaśnienie tych wszystkich rzeczy, które przed nim ukrywano, dodając, że już o wszystkim prawie dowiedział się wczoraj. Był tym głęboko i silnie wstrząśnięty. Z całym możliwym współczuciem, do jakiego tylko był zdolny, książe opowiedział mu całą sprawę, jak najdokładniej przytaczając fakty, i niby piorunem raził biednego chłopca. Kola nie mógł wymówić ani słowa i rozplakał się. Książe poczuł, że to było jedno z tych wrażeń, które zostają na zawsze i czynią stanowczy przełom w życiu młodzieńca. Pośpieszył więc wyrazić mu swój własny pogląd na sprawę, zaznaczając, że według niego śmierć starca jest może bezpośrednim skutkiem tej zgrozy, którą w jego sercu wzbudził występki, i że na to nie każdy by się zdobył. Oczy Koli błysnęły, gdy wysłuchał księcia.

- Niegodziwi są Ganka i Waria, i Pticyn! Ja się z nimi kłócić nie będę, ale od tej chwili drogi nasze się rozejdą! Ach, książe, od wczorajszego dnia doznałem wielu nowych uczuć; to nauka dla mnie! Matką muszę się teraz sam zaopiekować; wprowadzie ma ką u Wari, ale to jednak nie to...

Zerwał się, przypomniawszy sobie, że na niego czekają, naprędce spytał księcia o zdrowie i wysłuchawszy odpowiedzi, nagle i z pośpiechem dodał:

- Czy nie ma czegoś jeszcze poza tym? Słyszałem, że wczoraj... (zresztą nie mam prawa), ale jeżeli kiedykolwiek potrzebny panu będzie wierny sługa, to ma go pan przed sobą. Zdaje się, że my obaj nie jesteśmy całkiem szczęśliwi, prawda? Ale... ja się nie dopytuję, nie dopytuję...

Wyszedł, a księżę jeszcze bardziej się zamyślił: wszyscy przepowiadają nieszczęścia, wszyscy już wyciągnęli wnioski, wszyscy patrzą, jakby coś wiedzieli; coś takiego, o czym on nie wie; Lebediew usiłuje go wybadać. Kola robi przejryste aluzje, a Wiera płacze. Wreszcie machnął ręką z gniewem: „Przeklęta chorobliwa podejrzliwość” - pomyślał. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy o drugiej ujrzał Jepanczynów wchodzących, żeby go odwiedzić „na chwilę”. Ci istotnie wstąpili na chwilę. Lizawieta Prokofiewna, wstawszy od śniadania, oświadczyła, że na spacer pójda wszyscy teraz i wszyscy razem. Oświadczenie miało charakter rozkazu, uczynione było zwięźle, sucho, bez wyjaśnień. Wyszli wszyscy, to znaczy mama, córki i księżę Sz. Lizawieta Prokofiewna skierowała się od razu w stronę przeciwną tej, w którą udawano się zazwyczaj. Wszyscy rozumieli, o co chodzi, i wszyscy milczeli, bojąc się rozdrażnić mamę, a ona jakby unikając wyrzutów i protestów, szła pierwsza naprzód, nie oglądając się. Wreszcie Adelajda zwróciła głośno uwagę, że na spacerze nie ma co tak pędzić i że za mamą trudno nadążyć.

- Posłuchajcie - odwróciła się nagle Lizawieta Prokofiewna - przechodzimy teraz koło niego. Cokolwiek tam sobie myśli Agłaja i cokolwiek ma się stać potem, nie jest on dla nas obcy, a teraz jeszcze w dodatku chory i nieszczęśliwy; ja przynajmniej wstąpię go odwiedzić. Kto chce, niech idzie ze mną, a kto nie chce... niech idzie dalej; droga wolna.

Wszyscy oczywiście weszli. Księżę, jak mu to wypadało, nie omieszkał jeszcze raz prosić o przebaczenie za wczorajszą wazę i... skandal.

- Ależ to drobiazg - odparła Lizawieta Prokofiewna - wazy nie szkoda, tylko ciebie szkoda. Więc sam teraz uważasz, że był skandal: oto co znaczy „nazajutrz rano”; ale i to nic, bo każdy teraz widzi, że ciebie nie można winić. No, jednak do widzenia; jeśli masz siły, przejdź się i znów zaśnij - to ci radzę. A jeśli zechcesz, przychodź do nas jak dawniej, wiedz raz na zawsze, że cokolwiek by się zdarzyło, cokolwiek by zaszło, będziesz przyjacielem naszego domu: przynajmniej moim. Za siebie przynajmniej mogę ręczyć...

Na to wyzwanie wszyscy odpowiedzieli, że dzielają uczucia mamy. Wyszli, ale w tej zacnej skwapliwości do powiedzenia czegoś miłego i dodającego otuchy kryło się dużo okrucieństwa, na co Lizawieta Prokofiewna nie zwróciła uwagi. W zaproszeniu księcia, żeby przychodził „jak dawniej” i w słowach: „przynajmniej moim” - znów zabrzmiało coś jakby przepowiednia. Księżę zaczął sobie przypominać Agłaję. To prawda, że nadzwyczaj mile uśmiechnęła się do niego przy wejściu i przy pożegnaniu, ale nie rzekła ani słowa, nawet wówczas, kiedy wszyscy zapewniali o swojej przyjaźni, chociaż dwa razy uważnie na niego spojrzała. Twarz miała bledszą niż zazwyczaj, jakby źle spała w nocy. Księżę postanowił bezwzględnie iść do nich wieczorem „jak dawniej” i gorączkowo spojrzeć na zegarek. Weszła Wiera, dokładnie w trzy minuty po wyjściu Jepanczynów.

- Mnie, proszę pana, Agłaja Iwanowna przed chwilą kazała panu kilka słów... Księżę drgnął.

- Kartka?

- Nie, tak powtórzyć, i to ledwo zdążyła. Prosi pana, żeby pan dzisiaj przez cały dzień ani na chwilę nie wychodził z domu, aż do siódmej wieczór albo nawet dziewiątej, nie dosłyszałam dobrze.

- Ależ... w jakim celu? Co to znaczy?

- Tego nie wiem; ale kazała powtórzyć za wszelką cenę.

- Tak powiedziała: „za wszelką cenę”?

- Nie, proszę pana, tak dosłownie się nie wyraziła: ledwo zdążyła odwrócić się i powiedzieć tylko dzięki temu, że w porę podbiegłam. Ale już z twarzy widać było, jak kazała powtórzyć: koniecznie czy niekoniecznie. Tak na mnie popatrzyła, że serce we mnie zamarło...

Kilka jeszcze pytań i książe chociaż nic więcej się nie dowiedział, jeszcze bardziej się jednak zaniepokoił. Zostawszy sam, położył się na kanapie i znów zaczął rozmyślać. „Może tam u nich ktoś będzie siedział do dziewiątej i ona znowu boi się o mnie, żebym czego nie nawyrabiał” - zakonkludował wreszcie i znów zaczął niecierpliwie czekać, aż nadejdzie wieczór, i co chwila spoglądał na zegarek. Ale rozwiązanie nastąpiło znacznie wcześniej niż wieczorem i również w formie nowej wizyty, rozwiązanie w formie nowej, męczącej zagadki: dokładnie w pół godziny po odejściu Jepanczynów przyszedł do niego Hipolit, tak znużony i wycieńczony, że zaraz po wejściu, nie mówiąc ani słowa, jakby bez przytomności, literalnie padł na fotel i w tej samej chwili zaniósł się okropnym kaszlem. Dokaszłał się aż do krwi. Oczy mu błyszczały i czerwone plamy wystąpiły na policzkach. Książe coś tam wybąkał, ale gość nie odpowiedział i jeszcze długo, nic nie mówiąc, machał tylko ręką, żeby mu na razie dano spokój. Wreszcie oprzytomniał.

- Odchodzę! - powiedział ochryple, z trudem.

- Może pana odprowadzić... - rzekł książe uniósłszy się nieco z krzesła i urwał, przypomniawszy sobie otrzymany niedawno zakaz wychodzenia z domu.

Hipolit roześmiał się.

- Ja nie stąd odchodzę - ciągnął dalej, nieustannie sapiąc i chrząkając - przeciwnie, uznałem za konieczne przyjść tu do pana, i to w pewnym interesie... inaczej nie ośmieliłbym się pana niepokoić. Odchodzę tam; i teraz już, zdaje się, nieodwołalnie. Kaput! Mówię o tym nie po to, żeby wzbudzić współczucie, niech mi pan wierzy... ja już się dzisiaj nawet położyłem o dziesiątej, żeby już całkiem nie wstawać aż do tej chwili, rozmyśliłem się jednak i wstałem jeszcze raz, żeby iść do pana... widocznie tak trzeba było.

- Przykro na pana patrzeć; lepiej było wezwać mnie niż samemu się trudzić.

- No już dosyć. Wyraził pan współczucie i stało się zadość salonowej uprzejmości... Ale prawda, zapominałem: jak pańskie zdrowie?

- Jestem zdrowy. A wczoraj byłem... nie bardzo...

- Słyszałem, słyszałem. Straciła na tym chińska waza; żałuję, że mnie tam nie było! Mam do

pana interes. Po pierwsze, poszczyściło mi się dzisiaj i ujrzałem Gawriłę Ardalionowicza na rendez - vous z Agłają Iwanowną przy zielonej ławce. Zdumiało mię, jak bardzo człowiek może mieć głupią minę. Podzieliłem się tym wrażeniem z Agłają Iwanowną po odejściu Gawriły Ardalionowicza... Pan, zdaje się, niczemu się nie dziwi - dodał, nieufnie patrząc na spokojne oblicze księcia. - Podobno takie niedziwienie się niczemu jest cechą wielkiej mądrości; według mnie jednak mogłoby to być w równej mierze dowodem wielkiej głupoty... Nie robię tu zresztą aluzji do pana, przepraszam... Wyrażam się dzisiaj bardzo niefortunnie...

- Wiedziałem już wczoraj, że Gawriła Ardalionowicz... - zaciął się książę, najwidoczniej zmieszany, chociaż Hipolit był zły, że książę się nie dziwi.

- Wiedział pan! To dopiero nowina! Zresztą niech mi pan lepiej nie opowiada... A czy nie był pan przypadkiem obecny przy dzisiejszym spotkaniu?

- Pan widział, że mnie tam nie było, jeżeli pan sam był.

- No, może pan gdzie za krzakiem siedział. W każdym razie cieszę się, za pana oczywiście, bo już myślałem, że Gawriła Ardalionowicz na dobre pana zdystansował!

- Bardzo proszę, panie Hipolicie, żeby pan ze mną o tym i w ten sposób nie mówił.

- Tym bardziej że pan już wszystko wie.

- Myli się pan. Prawie nic nie wiem i Agłaja Iwanowna na pewno wie, że ja nic nie wiem. Nawet i o tym spotkaniu nic nie wiedziałem, zupełnie... Mówi pan, że się odbyło spotkanie? No więc dobrze i dajmy temu pokój...

- Jakże to zatem... wiedział pan i nie wiedział? Mówi pan: „dobrze i dajmy pokój”? No nie, niech pan nie będzie taki łatwowierny! Zwłaszcza kiedy pan nic nie wie. Pan jest dlatego właśnie taki ufny, że pan nic nie wie. A czy pan się orientuje, jakie rachuby mają te dwie osoby, braciszek i siostrzyczka? Tego się pan chyba domyśla?... Dobrze, dobrze, dam pokój... - dodał zauważywszy niecierpliwy gest księcia - ale przyszedłem we własnym interesie i o tym... chcę parę słów powiedzieć. Niechże to diabli wezmą, nie można w żaden sposób umrzeć bez wyjaśnień; coś okropnego, ile ja wciąż wyjaśniam. Chce pan mnie wysłuchać?

- Proszę mówić, słucham.

- Jednak znowu muszę zmienić zdanie: mimo wszystko zacznę od Gani. Niech pan sobie wyobrazi, że i ja dzisiaj miałem wyznaczone spotkanie przy zielonej ławce. Zresztą nie chcę kłamać: sam się domagałem spotkania, napraszałem się, obiecywałem wyjawić pewną tajemnicę. Nie wiem, czy przyszedłem za wcześnie (zdaje się, że istotnie zbyt się pośpieszyłem), zaledwie jednak usiadłem obok Agłai Iwanowny, patrząc, zjawiają się Gawriła Ardalionowicz i Warwara Ardalionowna, pod rękę niby spacerkiem. Oboje, jak się zdaje, byli bardzo zaskoczeni moim widokiem; spodziewali się zapewne czego innego, nawet się zmieszali. Agłaja Iwanowna zaczerwieniła się gwałtownie i, niech pan wierzy albo nie wierzy, trochę jakby straciła głowę, czy dlatego że ja tam byłem, czy po prostu na widok Gawriły Ardalionowicza, bo to przecież ładny chłopak, dosyć że spłoszyła i załatwiła

sprawę błyskawicznie, bardzo zabawnie: podniosła się nieco, odpowiedziała na ukłon Gawriły Ardalionowicza, na przymilny uśmiech Warwary Ardalionowny i nagle jak nie rąbnie prostu z mostu: „Przyszłam tylko po to, żeby wyrazić państwu moje osobiste zadowolenie ze szczerych i przyjaznych uczuć państwa, i jeśli będę ich potrzebowała, to proszę mi wierzyć...” Tu się ukloniła, a oni oboje odeszli - nie wiem, czy jak głupcy, czy z triumfem; Gania oczywiście jak głupiec; widać było, że nic a nic nie rozumie, zrobił się czerwony jak rak (miewa czasami taki dziwny wyraz twarzy), ale Warwara Ardalionowna zdaje się rozumiała, że trzeba czym prędzej umykać i że już dosyć usłyszeli od Agłai Iwanowny, więc pociągnęła brata za sobą. Ona jest mądrzejsza od niego i mógłbym przysiąc, że teraz triumfuje. A ja przyszedłem porozmawiać z Agłają Iwanowną, żeby się ułożyć co do spotkania z Nastasją Filipowną.

- Z Nastasją Filipowną! - zawołał ksiązę.

- A tak! Pan, zdaje się, traci zimną krew i zaczyna się dziwić? Bardzo się cieszę, że pan chce być podobny do człowieka. Za to postaram się pana rozerwać. Oto co znaczy oddawać usługi młodym i wzniosie nastrojonym pannom: dzisiaj dostałem od niej po twarzy!

- Moralnie? - mimo woli jakoś zapytał ksiązę.

- Tak, nie fizycznie. Zdaje mi się, że nikt ręki by nie podniósł na takiego jak ja; mnie nawet kobieta teraz nie uderzy; nawet Gania nie uderzy! Chociaż wczoraj przez chwilę myślałem, że się na mnie rzuci... Założyłbym się, że wiem, o czym pan teraz myśli! Pan myśli: „Bić go, dajmy na to, nie można, ale go można udusić poduszką albo mokrą ścierką we śnie - nawet powinno się...” Pan ma wypisane na twarzy, że pan to myśli w tej właśnie chwili.

- Nigdy tego nie myślałem! - rzekł z obrzydzeniem ksiązę.

- Nie wiem, śniło mi się dziś w nocy, że mnie zadusił mokrą ścierką... jeden człowiek... no, powiem panu kto: niech pan sobie wyobrazi - Rogożyn! Jak pan myśli, czy można człowieka udusić mokrą ścierką?

- Nie wiem.

- Słyszałem, że można. Dobrze, dajmy temu pokój. Ale z jakiej racji mam być plotkarzem? Za co mi ona dzisiaj na - wymyślała od plotkarzy? I niech pan zwróci uwagę, że to nastąpiło wówczas, kiedy już wysłuchiwała wszystkiego co do słowa, i nawet zadała kilka pytań... Takie są jednak kobiety! A ja przecież tylko dla niej zapoznałem się bliżej z Rogożynem, bardzo ciekawym człowiekiem; w jej własnym interesie urządziłem jej spotkanie z Nastasją Filipowną. Czy przypadkiem nie za to, że zadrasnąłem jej miłość własną, napomknąwszy, iż ona ucieszyła się z „ogryzków” Nastasji Filipowny? Przecież ja jej to aż do znudzenia klarowałem dla jej własnego dobra, tego się nie wypieram, napisałem do niej na ten temat dwa listy, a dziś umówiłem się z nią na spotkanie... I kiedyśmy się spotkali, zacząłem również od tego, że to jest dla niej poniżające... A przy tym i słowo „ogryzki” właściwie nie ode mnie wyszło, to cudze słowo; przynajmniej u Gani wszyscy je wymawiali; zresztą i ona sama to potwierdziła. No więc jakież ze mnie plotkarz? Widzę, widzę, że mój obecny widok działa na pana rozśmieszająco; gotów jestem założyć się, że pan dopasowuje do mnie te głupie wiersze:

I może w chwili smutnego rozstania

Miłość uśmiechem błysnie pożegnania[147].

Cha, cha, cha! - zaniósł się nagle histerycznym śmiechem i zaczął straszliwie kaszlać. - Niech pan popatrzy - wykrztusił wśród napadów kaszlu - jaki jest ten Gania: mówi o „ogryzkach”, a sam niby na co się teraz łakomi! Książę długo milczał; był przerażony.

- Pan mówił o spotkaniu z Nastasją Filipowną? - wy - bąkał wreszcie.

- E, czyż pan naprawdę nie wie, że dziś ma odbyć się spotkanie Agłai Iwanowny z Nastasją Filipowną i że w tym celu Nastasją Filipowną, dzięki moim staraniom zaproszona przez Agłaję Iwanownę, przyjechała pod opieką Rogożyna z Petersburga i znajduje się teraz, w jego towarzystwie, całkiem niedaleko od pana, w dawnym mieszkaniu u tej pani, u Darii Aleksiejewny, jej przyjaciółki, osoby bardzo dwuznacznej; i dzisiaj tam, do tego dwuznacznego domu, ma się udać Agłaja Iwanowna, by w sposób przyjacielski pokonferować z Nastasją Filipowną i rozstrzygnąć różne kwestie. Chcą się poduczyć arytmetyki. Nie wiedział pan? Słowo honoru!

- To niewiarygodne!

- No dobrze, niech będzie niewiarygodne; zresztą skąd pan miałby o tym wiedzieć? Chociaż tu w tej mieścinie, jak tylko mucha przeleci - już wszyscy wiedzą: taka dziura! Ja pana jednak uprzedziłem i pan może mi być wdzięczny. No, do widzenia - zapewne już na tamtym świecie. Ale jeszcze jedno: chociaż postępowałem w stosunku do pana niegodziwie, bo... po cóż miałbym być stratny, niech pan sam powie? Na pańską korzyść czy co? Przecież jej poświęciłem swoją „spowiedź” (pan o tym nie wiedział?). I jak jeszcze ją przyjęła! He, he! Jej jednak żadnych świństw nie robiłem, nie zawiniłem względem niej; a ona mię ośmieszyła i oszukała... Zresztą względem pana też nie jestem winny; a że tam wspominałem o tych „ogryzkach” i innych podobnych rzeczach, za to komunikuję panu teraz dzień, godzinę i adres spotkania i ujawniam panu całą tę grę... ze złości, ma się rozumieć, nie z wielkoduszności. Żegnam pana, jestem gadatliwy jak jąkała albo jak suchotnik; no więc niech pan pamięta, że musi pan przedsięwziąć odpowiednie środki, i to jak najprędzej, jeśli tylko chce pan być godny miana człowieka. Spotkanie odbędzie się dziś wieczorem, to pewne.

Hipolit skierował się ku drzwiom, ale książę zawołał na niego. Hipolit zatrzymał się w drzwiach.

- Więc, według pana, Agłaja Iwanowna sama dzisiaj przyjdzie do Nastasji Filipowny? - spytał książę. Wypieki wystąpiły mu na policzki i na czoło.

- Dokładnie nie wiem, ale prawdopodobnie tak - odpowiedział Hipolit, na pół odwrócony - inaczej zresztą być nie może. Przecież Nastasja Filipowna do niej nie pójdzie! Do Gani też nie; on ma u siebie w domu prawie nieboszczyka. Jak tam generał?

- Już choćby z tego tylko względu to niemożliwe! - podchwycił książę. - Jakże ona wyjdzie, jeśliby nawet chciała? Pan nie zna... zwyczajów tego domu: nie może sama iść do Nastasji Filipowny; to nonsens!

- Widzi księżę, nikt z okna nie wyskakuje, ale niech się zdarzy pożar, to największy dżentelmen i największa dama wyskoczą przez okno. Jak zajdzie taka potrzeba, to nie ma co, to nasza panna pójdzie nawet do Nastasji Filipowny. A czy tych pańskich generałównien nigdzie nie wypuszczają?

- Nie, ja nie o tym mówię...

- Jeśli nie o tym, to wystarczy, że zejdziesz z ganku i pójdziesz prosto, a później może nawet nie wracać do domu. Są takie wypadki, że i okręty można czasem spalić, żeby sobie odciąć drogę powrotu: życie składa się nie tylko z samych śniadań, obiadów i książąt Sz. Zdaje mi się, że pan traktuje Agłaję Iwanowną jako zwykłą sobie panienkę z dobrego domu czy też pensjonarkę; już jej o tym mówiłem; ona, zdaje się, przyznała mi rację. Niech pan czeka o siódmej albo o ósmej... Ja bym na pańskim miejscu posłał kogoś do pilnowania, żeby trafić na tę chwilę, kiedy ona będzie schodziła z ganku. Niech pan pošle chociażby Kolę; on pospieszy z przyjemnością, może pan być pewny, to znaczy chętnie to zrobi dla pana... bo przecież wszystko jest względne... Cha, cha!

Hipolit wyszedł. Księżę nie miał po co prosić kogoś o szpiegowanie, gdyby nawet był do tego zdolny. Nakaz Agłai, żeby nie opuszczał domu, można było teraz prawie całkiem wytłumaczyć: chciała prawdopodobnie wstąpić po niego. A może właśnie nie chciała, żeby on się tam znalazł, i dlatego kazała mu siedzieć w domu... Tak też być mogło. Czuł zamęt w głowie; cały pokój wirował przed nim. Położył się na kanapie i zamknął oczy.

Tak czy owak, sprawa musiała być rozstrzygnięta, i to stanowczo. Nie, księżę nie uważał Agłai za jakąś przeciętną panienkę z dobrego domu albo pensjonarkę; uświadomił sobie teraz, że dawno już obawiał się czegoś właśnie w tym rodzaju; ale dlaczego ona chce się z nią widzieć? Dreszcze przebiegały po całym jego ciele; znów miał gorączkę.

Nie, nie uważał jej za dziecko! Przerazały go niektóre jej poglądy w ostatnich czasach, niektóre słowa. Niekiedy wydawało mu się, że jakby z wysiłkiem panowała nad sobą, zanadto się hamowała, i przypominał sobie, że to go napawało lękiem. - Co prawda, w ciągu ostatnich dni starał się o tym nie myśleć, odpędzał przykre myśli, ale co się kryło w tej duszy? To pytanie dawno go męczyło, chociaż wierzył w tę duszę. I wszystko to dziś jeszcze powinno się być ujawnić i rozstrzygnąć. Okropna myśl! I znów - „ta kobieta”! Dlaczego zawsze mu się zdawało, że ta kobieta zjawi się właśnie w ostatnim momencie i rozerwie jego los jak zbutwiałą nitkę? Że zawsze miał takie wrażenie, na to gotów był teraz przysiąc, chociaż znajdował się prawie w malignie. Jeżeli starał się zapomnieć o niej w ostatnich czasach, to jedynie dlatego, że się jej lękał. Cóż tedy: kochał tę kobietę czy jej nienawidził? Tego pytania dzisiaj nie zadał sobie ani razu; tu serce miał czyste: wiedział, kogo kocha... Nie tyle bał się ich spotkania, niezwykłości, tajemniczej przyczyny tego spotkania, rezultatu, który mógł być taki albo inny - bał się samej Nastasji Filipowny. Już potem, po upływie kilku dni, przypominał sobie, że podczas tych gorączkowych godzin wciąż majaczyły mu się jej oczy, jej wzrok, słyszał jej słowa - dziwne jakieś słowa; chociaż niewiele potem zostało mu w pamięci z tych gorączkowych i przykrych godzin. Ledwo zapamiętał na przykład, jak Wiera przyniosła mu obiad, jak spożył ten obiad; nie pamiętał, czy zasnął po obiedzie, czy nie. Wiedział tylko, że całkiem jasno zaczął tego wieczora dostrzegać wszystko dopiero od tej chwili, kiedy Agłaja nagle weszła do niego na taras, a on zerwał się z kanapy i wyszedł na środek pokoju, żeby ją powitać: było piętnaście po siódmej. Agłaja była samiuteńka, ubrana skromnie i jakby naprędce, w leciutkiej rotundzie z kapturkiem. Twarz miała bladą, jak i przedtem, a oczy świeciły jasnym, suchym blaskiem; takiego

wyrazu jej oczu nigdy dotąd nie widział. Przyjrzała mu się uważnie.

- Pan jest zupełnie gotów - zauważyła cicho i niby spokojnie. - Jest pan ubrany i kapelusz ma w rękę, więc pana uprzedzono; wiem nawet kto: Hipolit?

- Tak, on mi mówił... - wybąkał ksiązę, na pół żywy.

- To chodźmy: pan wie, że musi mi pan towarzyszyć! Sądzę, że pan się czuje na siłach, aby wyjść?

- Czuję się na siłach, ale... czy to możliwe?

Urwał momentalnie i już nic więcej nie mógł wymówić. Była to z jego strony jedyna próba zatrzymania szalonej; następnie poszedł za nią jak niewolnik. Jakkolwiek mgliste były jego myśli, rozumiał jednak, że ona i bez niego pójdzie tam, a więc powinien w każdym razie iść z nią. Domyślał się, jak mocne było jej postanowienie; nie czuł się zdolny, aby powstrzymać taki dziki poryw. Szli w milczeniu, przez 'całą drogę nie wyrzekli prawie ani słowa. Zauważył tylko, że ona dobrze zna drogę, a kiedy chciał obejść o jedną uliczkę dalej, ponieważ droga tamtędy była odludniejsza, i zaproponował jej to, wysłuchiwała go, jakby wysilając uwagę, i odrzekła krótko: „Wszystko jedno!” Kiedy już byli prawie przy domu Darii Aleksiejewny (był to wielki i stary drewniany dom), z ganku wyszła jakaś okazała dama, a z nią młoda panna; śmiejąc się i głośno rozmawiając siadły razem do wspaniałego powozu i ani razu nawet nie spojrzwały na przechodzących, jakby ich nie zauważyły. Zaledwie powóz odjechał, drzwi natychmiast otwarły się ponownie i Rogożyn, który za nimi czekał, wpuścił księcia i Agłaję, po czym znów zamknął drzwi.

- W całym domu nie ma teraz nikogo oprócz nas czworga - zauważył głośno i dziwnie popatrzył na księcia.

Zaraz w pierwszym pokoju czekała Nastasja Filipowna, też ubrana niezwykle skromnie, całkiem czarno; wstała na przywitanie, ale się nie uśmiechnęła i nawet księciu nie podała ręki.

Badawczy i niespokojny wzrok jej niecierpliwie skierował się na Agłaję. Obie usiadły z dala jedna od drugiej, Agłaja na kanapie w rogu pokoju, a Nastasja Filipowna przy oknie. Ksiązę i Rogożyn nie siadali; zresztą nie proszono ich, aby siedli. Ksiązę ze zdziwieniem i jakby z bólem spojrzął znów na Rogożyna, ale ten uśmiechał się wciąż tak jak poprzednio. Milczenie trwało jeszcze parę chwil.

Jakiś cień złowieszczy przemknął na koniec przez twarz Nastasji Filipowny; wzrok jej stawał się uporczywy, nieugięty i prawie nienawistny; ani na jedną chwilę nie odrywała go od przybyłej. Agłaja była wyraźnie zmieszana, ale nie traciła kontenansu. Wszedłszy, ledwie spojrziała na swoją rywalkę i na razie siedziała wciąż ze spuszczonej oczami, jakby zamyślona. Ze dwa razy, jakby niechcący, obrzuciła wzrokiem pokój; na jej twarzy odmalował się widoczny wstręt, jakby się bała tu zabrudzić. Machinalnie poprawiała sobie suknię i raz nawet z niepokoju zmieniła miejsce, przesuwając się w róg kanapy. Sama chyba nie zdawała sobie sprawy ze swoich ruchów; ale ta bezwiedność potęgowała jeszcze ich obelżywy sens. Wreszcie stanowczo i z mocą spojrziała prosto w oczy Nastasji Filipowny i od razu najdokładniej wyczytała to wszystko, co błyskało w

rozszereżonym wzroku jej rywalki. Kobieta zrozumiała kobietę; Agłaja drgnęła.

- Pani oczywiście domyśla się, po co panią prosiłam - powiedziała w końcu, ale bardzo cicho i nawet uczyniwszy dwie małe przerwy w tym krótkim zdaniu.

- Nie, nic nie wiem - odparła Nastasja Filipowna oschle i porywczo.

Agłaja zaczerwieniła się. Może nagle wydało się jej dziwne i nieprawdopodobne, że siedzi teraz z tą kobietą, w mieszkaniu „tej kobiety” i potrzebuje jej odpowiedzi. Na pierwszy dźwięk głosu Nastasji Filipowny jakby dreszcz przebiegł jej ciało. Wszystko to oczywiście bardzo dobrze zauważyła „ta kobieta”.

- Pani rozumie wszystko... ale pani umyślnie udaje, że nie rozumie - niemal wyszeptała Agłaja, ponuro patrząc w ziemię.

- A niby po co? - uśmiechnęła się z lekka Nastasja Filipowna.

- Pani chce skorzystać z mojej sytuacji... że jestem u pani w domu - ciągnęła Agłaja, śmiesznie i niezręcznie.

- Tę sytuację nie ja spowodowałam, ale właśnie pani! - uniosła się nagle Nastasja Filipowna. - I nie ja panią zaprosiłam, ale pani mnie, i dotychczas nie wiem po co.

Agłaja dumnie podniosła głowę.

- Niech pani powściągnie swój język; nie tą bronią przyszłam tu walczyć...

- O! Więc pani jednak przyszła „walczyć”? No, no, myślałam jednak, że pani jest... dowcipniejsza.

Obydwie kobiety patrzyły jedna na drugą, nie ukrywając już złości. Jedną z tych kobiet była ta sama, która jeszcze tak niedawno pisywała do drugiej takie listy. I oto wszystko się rozwiało przy pierwszym spotkaniu i po pierwszych słowach. Ale cóż? W tej chwili, jak się wydawało, nikt z tych czworga obecnych nie uważał tego za dziwne. Książę, który wczoraj jeszcze nie dałby wiary, że coś takiego możliwe jest nawet we śnie, stał teraz, patrzył i słuchał, jakby to wszystko dawno już przeczuł. Najbardziej fantastyczny sen zamienił się nagle w najjaskrawszą, najostrzej zarysowaną rzeczywistość. Jedna z tych kobiet tak bardzo pogardzała już w tej chwili drugą i tak pragnęła jej to powiedzieć (może nawet po to tylko przyszła, jak się nazajutrz wyraził Rogożyn), że jakkolwiek nieobliczalna była ta druga ze swoim zwichniętym umysłem i chorą duszą, zdawało się jednak, iż żaden z góry powzięty zamiar nie ostałby się wobec zjadliwej, iście kobiecej pogardy jej rywalki. Książę był przekonany, że Nastasja Filipowna sama nie zacznie mówić o listach; z jej błyskających spojrzeń domyślał się, ile ją teraz kosztują te listy; ale oddałby pół życia za to, żeby i Agłaja teraz o nich nie wspominała.

Agłaja jednakże raptem jakby odzyskała siły i od razu zapanowała nad sobą.

- Pani źle mnie zrozumiała - rzekła - ja nie przyszłam do pani, żeby się... kłócić, chociaż nie

lubię pani. Przyszłam... przyszłam do pani... na zwykłą ludzką rozmowę. Wzywając panią, byłam już z góry zdecydowana, co mam powiedzieć, i od postanowienia tego nie odstąpię, chociażby pani całkiem mnie nie rozumiała. Tym gorzej będzie dla pani, a nie dla mnie. Chciałam pani odpowiedzieć na to, co mi pani pisała, i odpowiedzieć osobiście, bo to mi się wydawało stosowniejsze. Więc niech pani wysłucha mojej odpowiedzi na wszystkie pani listy: zrobiło mi się żal księcia Lwa Nikołajewicza po raz pierwszy tego samego dnia, kiedy poznałam i kiedy potem dowiedziałam się o wszystkim, co zaszło na wieczorze u pani. A zrobiło mi się go żal dla tej przyczyny, że to taki prostoduszny człowiek i w prostocie swego ducha uwierzył, iż może być szczęśliwy... z kobietą... takiego pokroju. Stało się to, czego się obawiałam, myśląc o nim: pani nie mogła go pokochać, bo pani jest zbyt dumna... nie, nie dumna, omyliłam się: dlatego że pani jest próżna... nie, nawet nie to: pani jest samolubna do... szaleństwa, tego dowodzą listy pisane do mnie. Jego, co jest taki prosty, pani nie była zdolna pokochać, a w duchu może pani nawet nim pogardzała i śmiała się z niego; pani zdolna była kochać tylko swoją hańbę i bezustanną myśl o tym, że pani jest zhańbiona i że panią skrzywdzono. Gdyby na pani nie ciążyła tak wielka hańba albo gdyby jej wcale nie było, czułaby się pani o wiele nieszczęśliwsza... (Aglaja z dziwną rozkoszą wymawiała te nazbyt pośpiesznie wylatujące, ale dawno już przygotowane i obmyślane wyrazy; już wtedy obmyślane, kiedy jej się jeszcze nie śniło o dzisiejszym spotkaniu; zjadliwym wzrokiem śledziła ich efekt na wykrzywionej ze wzburzenia twarzy Nastasji Filipowny.) Pamięta pani - ciągnęła dalej - on wtedy napisał do mnie list; twierdzi, że pani ten list zna i nawet go czytała. Z tego listu odgadłam wszystko, rozumiałam wszystko jak najdokładniej; a on niedawno sam mi to potwierdził, to wszystko właśnie, co ja tu pani mówię; nawet słowo w słowo. Po tym liście zaczęłam wyczekiwać. Domyśliłam się, że pani musi tu przyjechać, bo przecież bez Petersburga pani żyć nie może: na prowincję pani jest jeszcze za młoda i za ładna... Zresztą to również nie jest moje zdanie - dodała, strasznie się czerwieniąc, i od tej chwili rumieniec nie schodził już z jej twarzy aż do samego końca przemówienia. - Kiedy znów zobaczyłam księcia, uczułam za niego ogromny ból i urazę. Proszę się nie śmiać, jeśli pani będzie się śmiała, to pani nie jest godna to zrozumieć...

- Pani widzi, że się nie śmieję - surowo i ze smutkiem powiedziała Nastasja Filipowna.

- Zresztą wszystko mi jedno, niech się pani śmieje, jeśli się pani tak podoba. Kiedy zaczęłam go wypytywać sama, powiedział mi, że dawno już pani nie kocha, że nawet wspomnienie o pani go męczy, ale że czuje litość dla pani, i kiedy panią wspomina, serce jego jest jakby „przebite na wieki”. Muszę dodać, że nie spotkałam w życiu człowieka, który byłby do niego podobny ze szlachetnej prostoty ducha i bezgranicznej ufności do ludzi. Ze słów jego domyśliłam się, że każdy, kto chce, może go oszukać, a każdemu, kto go oszuka, on później przebaczy; i za to go właśnie pokochałam...

Aglaja zatrzymała się na chwilę, jakby czymś uderzona, jakby sama sobie nie wierząc, że mogła wymówić taki wyraz; ale w tej samej chwili prawie bezgraniczna duma zabłysła w jej wzroku; zdawało się, że teraz już jej wszystko jedno, chociażby nawet „ta kobieta” zaczęła śmiać się z mimowolnego jej wyznania.

- Powiedziałam pani wszystko i teraz chyba pani rozumiała, czego od pani chcę.

- Może rozumiała; ale niech pani sama to powie - odrzekła cicho Nastasja Filipowna. Twarz Agłai zapłonęła gniewem.

- Chciałam się od pani dowiedzieć - powiedziała z mocą, dobitnie akcentując słowa - jakim prawem pani się wtrąca do jego uczuć względem mnie? Jakim prawem ośmieliła się pani do mnie pisać listy? Jakim prawem oświadcza pani co chwila i jemu, i mnie, że go pani kocha, skoro go pani sama porzuciła i uciekła od niego tak sromotnie i haniebnie?

- Nie oświadczałam ani jemu, ani pani, że go Kocham - powiedziała z wysiłkiem Nastasja Filipowna - i... pani ma słuszość, uciekłam od niego... - dodała ledwo dosłyszalnie.

- Jak to - nie oświadczała pani „ani jemu, ani mnie”! - zawołała Agłaja. - A listy pani? Kto panią prosił o swatanie nas i namawianie mię, bym za niego wyszła? Czyż to nie jest oświadczenie? Po co pani się nam narzuca? Myślałam z początku, że pani, przeciwnie, chce we mnie wzbudzić wstręt ku niemu przez to, że się pani wtrąciła w nasze sprawy, i żebym ja go porzuciła; potem dopiero domyśliłam się, o co chodzi: pani po prostu wyobraziła sobie, że popełnia bohaterski czyn, przybierając te swoje pozy... Doprawdy, czyż mogła go pani kochać, jeśli pani tak kocha swoją próżność? Dlaczego pani najzwyczajniej w świecie nie wyjechała stąd zamiast pisać do mnie te śmieszne listy? Dlaczego pani nie wyjdzie teraz za tego szlachetnego człowieka, który panią tak kocha i który zrobił pani zaszczyt ofiarowując swoją rękę? Sprawa aż nazbyt jasna dlaczego: jeśli pani wyjdzie za Rogożyna, jakaż wtedy pozostanie krzywda? To nawet zbyt wielki honor dla pani! Eugeniusz Pawłowicz powiedział, że pani przeczytała za dużo poematów i „zanadto jest wykształcona jak na swoją... sytuację” ; że pani jest wyegzaltowana książkami, że pani nie lubi pracy; niech pani doda do tego swoją próżność, a będzie pani miała wszystkie przyczyny...

- A pani lubi pracę?

Zbyt prędko, zbyt jawnie sprawa przyjęła tak nieoczekiwany obrót; nieoczekiwany, gdyż Nastasja Filipowna, udając się do Pawłowska, jeszcze miała pewne złudzenia, chociaż oczywiście prędzej się spodziewała czegoś złego niż dobrego; Agłaję zaś porwało chwilowe uniesienie, jak gdyby spadła z góry i nie mogła się powstrzymać od okropnej, ale rozkosznej zemsty. Nastasja Filipowna była nawet zdziwiona, widząc Agłaję taką; patrzyła na nią i jakby oczom swoim nie wierzyła; po prostu nie wiedziała w pierwszej chwili, jak się ma zachować. Czy istotnie była kobietą, która nałykała się poezji, jak przypuszczał Eugeniusz Pawłowicz, albo zwyczajną wariatką, jak mniemał książę; w każdym razie ta kobieta - która czasem tak zuchwale i cynicznie sobie poczyniała - była w gruncie rzeczy znacznie wstydliwsza, delikatniejsza i bardziej ufna, niż się sądziło. Wprawdzie naładowana była lekturą i marzeniami, zamknięta w sobie i skłonna do fantazjowania, ale uczucia jej były silne i głębokie... Książę to rozumiał; cierpienie odbiło się na jego twarzy. Agłaja zauważyła to i zadrżała z nienawiści.

- Jak pani śmie w ten sposób zwracać się do mnie? - rzekła z niewymowną pogardą, odpowiadając na uwagę Nastasji Filipowny.

- Pani się zapewne przestyszała - odparła ze zdziwieniem Nastasja Filipowna. - Jakże ja się do pani zwróciłam?

- Jeżeli pani chciała być uczciwą kobietą, to dlaczego pani nie rzuciła wtedy swego uwodziciela, Tockiego, po prostu... bez widowisk teatralnych? - powiedziała raptem Agłaja ni z tego, ni z owego.

- Cóż pani wie o moim położeniu, żeby ośmielać się mnie sądzić? - drgnęła Nastasja Filipowna i okropnie zbladła.

- Wiem tyle, że pani nie poszła pracować, tylko uciekła z bogaczem Rogożynem, żeby grać rolę upadłego anioła. Nie dziwię się, że Tocki przez tego upadłego anioła chciał się zastrzelić!

- Niechże pani da spokój! - ze wstrętem i jakby z bolesnym wysiłkiem rzekła Nastasja Filipowna. - Pani tak samo mnie zrozumiała jak... służąca Darii Aleksiejewny, która niedawno prawowała się w sądzie ze swoim narzeczonym. Ta lepiej by od pani zrozumiała...

- Pewnie jest to uczciwa dziewczyna, która utrzymuje się własną pracą. Dlaczegoż to pani tak pogardliwie odnosi się do służącej?

- Nie do pracy odnoszę się pogardliwie, tylko do pani, kiedy pani mówi o pracy.

- Zachciało się uczciwości, to można było zostać praczką. Wstały obydwie i blade patrzyły na siebie.

- Agłajo, proszę się opamiętać! To niesprawiedliwe! - zawołał nagle ksiązę, jakby tracąc głowę. Rogożyn już się nie uśmiechał, tylko słuchał zacisnąwszy usta i skrzyżowawszy ręce.

- Patrzcie na nią - mówiła Nastasja Filipowna drżąc z wściekłości - na tę wytworną panienkę! A ja ją miałam za anioła! Przyszła pani do mnie bez guwernantki, Agłajo Iwanowno?... A chce pani... chce pani, to pani powiem od razu prosto w oczy, bez osłonek, po co się pani do mnie fatygowała. Złękła się pani i dlatego przyszła.

- Pani się złęklam? - spytała Agłaja, aż nieprzytomna z naiwnego i hardego zdumienia, że tamta śmiała się do niej tak odezwać.

- Oczywiście, że mnie! Mnie się pani boi, jeżeli zdecydowała się pani do mnie przyjść. Przed kim się czuje strach, tym się nie pogardza. I pomyśleć tylko, że ja panią szanowałam, nawet do ostatniej chwili! A wie pani dlaczego pani teraz się mnie boi i jaki jest obecny główny pani cel? Pani chciała osobiście się przekonać: czy on więcej mnie kocha, czy panią, bo pani jest okropnie zazdrosna...

- On mi już powiedział, że nienawidzi pani... - wybełkotała z trudem Agłaja.

- Bardzo możliwe; bardzo możliwe, ja go przecie nie jestem warta, ale... ale zdaje mi się, że pani skłamała! On mnie nie może nienawidzić i - nie mógł tak powiedzieć. Zresztą gotowa jestem pani przebaczyć... przez wzgląd na pani położenie... lepiej jednak o pani myślałam; myślałam, że pani jest i mądrzejsza, i lepszy ma charakter, daję słowo!... No, niechże pani sobie weźmie swój skarb... bo ksiązę patrzy na panią i nie może przyjść do siebie... niech go pani zabiera, ale pod jednym warunkiem: wynoście się w tej chwili! Natychmiast!...

Padła na fotel i zalała się łzami. Nagle jednak coś nowego zabłysło w jej oczach; uporczywie i badawczo popatrzyła na Agłaję i wstała z miejsca.

- Chcesz, to ja zaraz... ka - żę mu, słyszysz? ka - żę mu tylko i on zaraz cię rzuci, i zostanie ze mną na zawsze i ożeni się ze mną, a ty pobiegiesz do domu sama? Chcesz, chcesz?! - krzyknęła jak szalona, sama bodaj nie wierząc, że z ust jej mogły wyjść takie słowa.

Agląja, przerażona, rzuciła się do drzwi, ale stanęła w drzwiach jak przykuta i słuchała.

- Chcesz, to przepędzę Rogożyna? A może myślałaś, że ja się dla twojej przyjemności wydałam za niego? Chcesz, to zaraz przy tobie krzyknę: „Wynoś się, Rogożyn!”, a do księcia powiem: „Pamiętasz, co mi obiecałeś?” O Boże! Po co ja się tak poniżyłam przed nim? Czy to nie ty, książę, sam mnie zapewniałeś, że pójdziesz za mną, cokolwiek stałoby się, i nigdy mnie nie porzucisz; że mnie kochasz i wszystko mi przebaczysz, i mnie sza... nu... Tak, i to też mówił! I ja, żeby ci rozwiązać ręce, uciekłam od ciebie, a teraz nie chcę! Dlaczego ona mnie potraktowała jak ladacznicę? Czy jestem ladacznicą, spytaj Rogożyna, on ci powie! Teraz, gdy ona mię zelżyła, i to w twoich oczach, ty się ode mnie odwrócisz, a ją poprowadzisz pod rączkę? A bądźże przekłęty za to, że w ciebie jednego wierzyłam. Idź precz, Rogożyn, jesteś niepotrzebny! - krzyczała prawie nieprzytomna, z trudem wyrzucając słowa z piersi, z wykrzywioną twarzą i spiekłymi ustami, najwidoczniej sama ani trochę nie wierząc swojej fanfaronadzie, zarazem jednak pragnąc chociaż o sekundę przedłużyć ten moment i oszukać siebie. Wybuch był tak silny, że może by nawet umarła; tak się przynajmniej wydawało księciu. - To on, patrz! - zawołała wreszcie do Agłai, wskazując ręką księcia. - Jeżeli on zaraz nie podejdzie do mnie, nie weźmie mnie, a ciebie nie rzuci, to bierz go sobie, ustępuję ci go, mnie jest niepotrzebny!... I ona, i Agłaja zatrzymały się jakby w oczekiwaniu i obie jak obłąkane patrzyły na księcia. Ale on chyba nie rozumiał nawet całej siły tego wyzwania, można by to twierdzić z całą pewnością. Widział tylko szaloną, pełną rozpaczony twarz, z powodu której, jak się kiedyś wyraził w rozmowie z Agłają, serce miał „przebite na zawsze”. Nie mógł dłużej znieść tego i błagalnie, z wyrzutem zwrócił się - do Agłai, wskazując Nastasję Filipownę:

- Czyż tak można! Przecież ona jest... taka nieszczęśliwa!

Ledwo jednak zdążył to wymówić, a już oniemiał pod okropnym wzrokiem Agłai. We wzroku tym odmalowało się tyle cierpienia i zarazem tyle bezgranicznej nienawiści, że załamał ręce, krzyknął i podbiegł ku niej, ale już było za późno. Nie zniosła nawet momentu jego wahania, zasłoniła twarz rękami, krzyknęła: „Ach, mój Boże!”, i wybiegła z pokoju, a za nią Rogożyn, by jej otworzyć drzwi na ulicę.

Pobiegł i książę, ale na progu chwyciły go czyjeś ręce. Tragiczna, wykrzywiona bólem twarz Nastasji Filipowny patrzyła na niego z wytężeniem, a zsiniałe usta poruszały się, pytając:

- Za nią? Za nią?...

Bez czucia padła mu na ręce. Dźwignął ją, zaniósł do pokoju, ułożył w fotelu i stanął nad nią w tępym oczekiwaniu. Na stoliku stała szklanka z wodą; Rogożyn, który już powrócił, złapał szklankę i prysnął jej wodą w twarz; otworzyła oczy i przez chwilę nie mogła nic zrozumieć; nagle jednak rozejrzała się, drgnęła i z krzykiem rzuciła się do księcia:

- Mój! Mój! - zawołała. - Dumna panna uciekła! Cha, cha, cha! - śmiała się w napadzie hysterii. - Cha, cha, cha! Ja go tej pannie oddawałam! I po co? Na co? Wariatka ze mnie! Wariatka!... Wynoś

się stąd, Rogożyn, cha, cha, cha!

Rogożyn przyjrzał im się badawczo, nie wyrzekł ani słowa, wziął kapelusz i wyszedł. Po upływie dziesięciu minut książę siedział obok Nastasji Filipowny, nie spuszczał z niej oka i gładził ją po główce i po twarzy oburącz, jak małe dziecko. Śmiał się, kiedy ona się śmiała, i gotów był płakać na widok jej łez. Nic nie mówił, ale uważnie wsłuchiwał się w jej urywany, pełen egzaltacji, chaotyczny bełkot; wątpliwe, czy coś rozumiał z tego, uśmiechał się jednak w milczeniu i gdy tylko wydało mu się, że ona znów rozpacza albo szlocha, czyni mu wyrzuty albo się skarży, natychmiast znów ją zaczynał głaskać po główce i delikatnie wodzić rękami po jej policzkach, pocieszając ją i perswadując jak dziecku.

IX

Minęły dwa tygodnie od wydarzenia opisanego w poprzednim rozdziale i sytuacja bohaterów naszej opowieści tak dalece się zmieniła, że bardzo trudno byłoby przystąpić do dalszego ciągu bez bliższych wyjaśnień. A jednak czujemy, że powinniśmy się ograniczyć do zwykłego podania faktów, bez specjalnych komentarzy, z bardzo prostej przyczyny: ponieważ sami w wielu wypadkach nie moglibyśmy objaśnić tego, co zaszło. Takie uprzedzenie z naszej strony musi wydać się czytelnikowi nader dziwne i niejasne: jak można opowiadać o tym, o czym się nie ma dokładnego pojęcia ani wyrobionego zdania? Żeby się nie stawiać w jeszcze fałszywszym położeniu, spróbujemy lepiej wyjaśnić rzecz za pomocą przykładu, a może łaskawy czytelnik zrozumie, na czym polegają nasze trudności, tym bardziej iż przykład ten nie będzie dygresją, ale przeciwnie, prostą i bezpośrednią kontynuacją opowieści.

W dwa tygodnie później, to znaczy już na początku lipca i w ciągu tych dwóch tygodni, dzieje naszego bohatera, a zwłaszcza ostatnie wydarzenie, zamieniają się w jakąś dziwną, niezwykle wesołą, prawie niewiarygodną i zarazem niemal oczywistą anegdotę, która powoli stawała się głośna na wszystkich ulicach znajdujących się w pobliżu willi zamieszkałych przez Lebediewa, Pticyna, Darię Aleksiejewnę, Jepanczynów, krócej mówiąc, prawie w całym mieście i nawet w osiedlach podmiejskich. Całe prawie towarzystwo - miejscowi obywatele, przyjeżdżający na muzykę letnicy - wszyscy zajęci byli opowiadaniem jednej i tej samej historii, w tysiącnych, najprzeróżniejszych odmianach, o tym, jak pewien książę, urządziwszy skandal w znanym i szanowanym domu i wyrzekłszy się panny z tegoż domu, będącej już jego narzeczoną, zajął się znaną loretką, zerwał wszystkie dawne stosunki i nie zważając na nic, nie zważając na groźby, nie zważając na powszechne oburzenie, zamierza w tych dniach poślubić ową upadłą kobietę, tu, na miejscu, w Pawłowsku, jawnie, publicznie, z podniesioną głową, patrząc wszystkim w oczy. Anegdotę ową zaczęto tak bardzo upiększać różnymi skandalami, tyle wplątano do niej znanych i wybitnych osób, przydano jej takie mnóstwo różnych fantastycznych i zagadkowych odcieni, a z drugiej strony oparto ją na takich niezbitych i oczywistych faktach, że ogólna ciekawość i plotki były niewątpliwie usprawiedliwione. Najbardziej wyrafinowane jednak, najprzemysłniejsze, a zarazem najbardziej prawdopodobne tłumaczenie było dziełem kilku solidnych plotkarzy, pochodzących z tej warstwy ludzi rozumnych, którzy zawsze w każdym społeczeństwie uważają za swój obowiązek jak najspieszniej objaśnić wszystkim innym ludziom każde wydarzenie czują się jakby powołani do tego i znajdują w tym pewnego rodzaju pociechę. Według ich komentarza, młody człowiek z dobrej rodziny, książę, prawie bogacz, głuptas, ale demokrat, zwariowany na punkcie współczesnego nihilizmu, odkrytego przez pana Turgieniewa[148], nie umiejący prawie mówić po rosyjsku, zakochał się w córce generała Jepanczyna i dopiął tego, że oficjalnie został jej narzeczoną. Ale podobnie jak ów seminarzysta Francuz, o którym niedawno była wydrukowana anegdota i który umyślnie dopuścił, aby go wyświęcono na kapłana, umyślnie sam o to wyświęcenie prosił, wypełnił wszelkie obrządków, bił pokłony, całował, przysięgał itd., aby zaraz nazajutrz oświadczyć w liście do swojego biskupa, że on, nie wierząc w Boga, uważa za nieuczciwe oszukiwać ludzi i utrzymywać się ich kosztem nic w zamian nie dając z siebie, a zatem składa otrzymaną w dniu wczorajszym godność, swój zaś list otwarty drukuje w gazetach postępowych - podobnie jak ten ateusz miał jakoby i książę popełnić swojego rodzaju fałszerstwo. Opowiadano, że naumyślnie doczekał do uroczystych zaręczyn

na przyjęciu u rodziców swojej narzeczonej, na którym został przedstawiony bardzo wielu wpływowym osobistościom, aby na głos i przy wszystkich wystąpić ze swoimi przekonaniem, wymyślać czcigodnych dostojników, publicznie i w sposób obelżywy odrzucić rękę narzeczonej i, opierając się wyprowadzającym go lokajom, rozbić przepiękną wazę chińską. Do tego, jako rzecz charakterystyczną dla współczesnych obyczajów, dodawano, że nierozsądny młodzieniec w istocie kochał swoją narzeczoną, córkę generała, ale wyrzekł się jej jedynie z nihilizmu i dla wywołania skandalu, żeby nie odmówić sobie przyjemności ożenienia się na oczach całego świata z kobietą lekkich obyczajów i udowodnienia w ten sposób, że według jego zapatrywań nie istnieją ani upadłe, ani cnotliwe kobiety, a jest tylko po prostu wolna kobieta; że on nie wierzy w przyjęty w towarzystwie utarty podział, wierzy zaś tylko w „kwestię kobiecą”. Że wreszcie w jego oczach kobieta upadła stoi nawet jeszcze nieco wyżej niż kobieta nie - upadła. Ta wersja wydawała się wielce prawdopodobna i przez większość letników została przyjęta, tym bardziej iż ją potwierdzały codzienne fakty. Co prawda, wiele szczegółów pozostało niewyjaśnionych: opowiadano na przykład, że biedna dziewczyna tak bardzo była zakochana w swoim narzeczonym, a jak go niektórzy nazywali: „uwodzicielu”, że przybiegła do niego zaraz na drugi dzień po tym, jak on ją porzucił i kiedy siedział u swojej kochanki; inni zapewniali, że on ją umyślnie zaciągnął do swojej kochanki z pobudek nihilistycznych, to znaczy w celu poniżenia i pohańbienia. Czy tak, czy owak zaciekawienie z powodu tej całej historii wzrastało z dnia na dzień, tym bardziej że nie było już najmniejszej wątpliwości, iż skandaliczny ślub istotnie się odbędzie.

I oto gdyby nas proszono o wyjaśnienie - nie w kwestii nihilistycznych pierwiastków wydarzenia, o nie - po prostu tego, w jakim stopniu projektowany ślub odpowiada rzeczywistym pragnieniom księcia, na czym mianowicie polegają w obecnej chwili te pragnienia, w jaki sposób można scharakteryzować stan duszy naszego bohatera w danym momencie i tak dalej w tym samym rodzaju, to bylibyśmy, trzeba przyznać, w wielkim kłopotcie, jak odpowiedzieć. Wiemy tylko jedno, że termin ślubu został rzeczywiście wyznaczony i że sam książę upoważnił Lebediewa, Kellera i jakiegoś jeszcze znajomego Lebediewa, którego ten zarekomendował księciu - do wszelkich w tej sprawie czynności, zarówno cerkiewnych, jak i gospodarczych, i że pieniędzy kazał nie żałować; że nagliła i upierała się przy ślubie Nastasja Filipowna; że na drużbę księcia wyznaczony został Keller, na jego własną gorącą prośbę, a na drużbę Nastasji Filipowny - Burdowski, który tę nominację przyjął z zachwytem, i że dzień ślubu był wyznaczony na początek lipca. Ale prócz owych bardzo dokładnych szczegółów znane nam są jeszcze inne fakty, które stanowczo zbijają nas z tropu właśnie dlatego, że przeczą poprzednim. Mocno podejrzewamy na przykład, że upoważniwszy Lebediewa i innych do zajęcia się wszystkimi przygotowaniem, książę tego samego dnia o mało nie zapomniał, że ma i mistrza ceremonii, i drużbę, i ślub, i że jeśli tak się pośpieszył z rozporządzeniami, zwałając kłopoty na innych, to jedynie dlatego, żeby już samemu o tym nie myśleć i nawet, być może, jak najprędzej o tym zapomnieć. O czymże sam jednak w takim razie myślał, o czym chciał pamiętać i do czego dążył? Niewątpliwie i tutaj nikt nie wywierał na niego nacisku (choćby na przykład Nastasja Filipowna); niewątpliwie Nastasja Filipowna sama uparła się, by ślub wyznaczyć jak najprędzej, i ona ślub ten wymyśliła, a nie książę; książę jednak dobrowolnie wyraził swoją zgodę; nawet jakby z roztargnieniem i w taki sposób, jak gdyby poproszono go o jakąś dosyć zwykłą rzecz. Takich dziwnych faktów można by przytoczyć bardzo dużo, ale fakty owe, naszym zdaniem, nie tylko nie wyjaśniają sprawy, ale nawet ją zaciemniają, mimo że jest ich tak wiele; wskaźmy jednak jeszcze jeden przykład.

A więc dokładnie nam wiadomo, że w ciągu tych dwóch tygodni książę całe dnie i wieczory spędzał razem z Nastasją Filipowną; że ona brała go z sobą na spacer, na koncerty; że codziennie jeździł z nią powozem; że zaczynał niepokoić się o nią, gdy chociażby godzinę jej nie widział (czyli że, według wszelkich oznak, szczerze ją kochał); że słuchał jej z łagodnym i czułym uśmiechem, cokolwiek by mówiła, całymi godzinami, a sam nic prawie nie mówił. Ale wiemy również, że w ciągu tych dni kilkakrotnie, a nawet wielokrotnie wybierał się do Jępanczyńców, nie ukrywając tego przed Nastasją Filipowną, która z tego powodu dochodziła niemal do rozpacz. Wiemy, że u Jępanczyńców, dopóki byli w Pawłowsku, nie przyjmowano księcia i stale odmawiano mu zgody na zobaczenie się z Agłają Iwanowną; że wychodził nie mówiąc ani słowa, a nazajutrz szedł do nich znowu, jakby zupełnie zapomniawszy o wczorajszej odmowie, i oczywiście znów otrzymywał odmowę. Wiadomo nam też, że w godzinę potem, jak Agłaja Iwanowną wybiegła od Nastasji Filipowny, a może nawet przed upływem godziny, książę już był u Jępanczyńców, mając niewątpliwie nadzieję, że zastanie tam Agłaję, i że jego widok wywołał wówczas nadzwyczajne zamieszanie i przerażenie w całym domu, gdyż Agłaja jeszcze nie wróciła i właśnie dopiero od księcia dowiedziano się, że była z nim razem u Nastasji Filipowny. Opowiadano, że Lizawietę Prokofiewną, jej córkę, a nawet książę Sz. obeszlę się wtedy z księciem dosyć szorstko, nieprzyjaźnie i że wtedy już wymówiono mu w ostrych słowach i przyjaźń, i znajomość, zwłaszcza kiedy do Lizawiety Prokofiewny przysła nagle Warwara Ardalionowna i oświadczyła, że Agłaja Iwanowna już prawie od godziny jest u niej i do domu iść, zdaje się, nie chce. Ta właśnie wiadomość najmocniej poruszyła Lizawietę Prokofiewną, a była najzupełniej zgodna z prawdą: wyszedłszy od Nastasji Filipowny, Agłaja rzeczywiście prędzej by się zgodziła umrzeć niż pokazać się teraz na oczy domownikom, i dlatego pobiegła do Niny Aleksandrowny. A Warwara Ardalionowna ze swej strony zaraz uznała za konieczne, nie zwlekając ani chwili, zawiadomić o tym Lizawietę Prokofiewną. I matka, i córki natychmiast pobiegły do Niny Aleksandrowny, a za nimi sam ojciec rodziny, Iwan Fiodorowicz, który dopiero co zjawił się w domu; powłókł się też za nimi książę Lew Nikołajewicz, mimo iż został wygnany i usłyszał tyle przykrych słów; jednak z polecenia Warwary Ardalionowny i tam go do Agłai nie dopuszczono. Sprawa zresztą skończyła się na tym, że kiedy Agłaja zobaczyła matkę i siostry płaczące, ale nie czyniące jej żadnych wyrzutów, padła im w objęcia i natychmiast wróciła z nimi do domu. Opowiadano, chociaż te pogłoski nie były zbyt dokładne, że Gawriłę Ardalionowicza i tu spotkała gruba nieprzyjemność; że skorzystawszy z chwili, kiedy Warwara Ardalionowna podbiegła do Lizawiety Prokofiewny, będąc sam tylko z Agłają, próbował wszcząć rozmowę o swojej miłości, że Agłaja słuchając go, mimo całego swojego smutku i łez, nagle roześmiała się i ni stąd, ni zowąd zadała mu dziwne pytanie: czy gotów jest na dowód swojej miłości oparzyć sobie zaraz palec nad świecą? Gawriła Ardalionowicz był ponoć oszołomiony tą propozycją i tak dalece nie umiał się znaleźć, zrobił takie wielkie oczy, że Agłaja patrząc na niego wybuchnęła niemal histerycznym śmiechem i uciekła na górę do Niny Aleksandrowny, gdzie też znaleźli ją rodzice. Historyjka ta doszła nazajutrz do księcia za pośrednictwem Hipolita. Hipolit, który już wstawał z łóżka, umyślnie posłał po księcia, żeby mu zakomunikować tę wiadomość. Jak Hipolit się o tym dowiedział, nie wiemy, ale gdy książę usłyszał o świeczce i o palcu, tak się roześmiał, że nawet zadziwił Hipolita; potem nagle zadrzał i zalał się łzami... W ogóle w ciągu tych dni był bardzo rozstrojony i zdradzał wielki niepokój, męczący i nieokreślony. Hipolit po prostu twierdził, że widzi w nim chorobę umysłową; na razie jednak nie można było mówić, że tak jest na pewno.

Podając te wszystkie fakty i uchylając się od ich wyjaśnienia, nie chcemy bynajmniej usprawiedliwić naszego bohatera w oczach naszych czytelników. Nie dość na tym, gotowi jesteśmy

najzupełniej podzielić oburzenie, które księżę względem siebie wywołał nawet u swoich przyjaciół. Nawet Wiera Lebediew była przez pewien czas na mego oburzona; nawet Kola się oburzał; oburzał się nawet Keller, dopóki nie został wybrany na družbę, nie mówiąc już o samym Lebediewie, który aż zaczął intrygować przeciwko księciu, również z oburzenia, zresztą dosyć szczerego. Ale o tym powiemy później. W ogólności zaś całkowicie i najzupełniej aprobujemy pewne nader mocne i nawet głębokie pod względem psychologicznym słowa, które Eugeniusz Pawłowicz tak wprost i bez ceremonii wypowiedział w przyjacielskiej rozmowie z księciem na szósty czy też na siódmy dzień po zajściu u Nastasji Filipowny. Wypada dodać tutaj, że nie tylko Jepanczynowie, ale i wszyscy ci, którzy bezpośrednio czy pośrednio należeli do domu Jepanczynów, uznali za właściwe zerwać z księciem wszelkie stosunki. Księżę Sz. na przykład po prostu się odwrócił spotkawszy księcia i nie odpowiedział na jego ukłon. Ale Eugeniusz Pawłowicz nie bał się możliwej kompromitacji i odwiedził księcia, mimo iż znowu zaczął bywać u Jepanczynów dzień w dzień i został przez nich przyjęty nawet z pewną wyraźnie akcentowaną życzliwością. Przyszedł do księcia dokładnie nazajutrz po wyjeździe wszystkich Jepanczynów z Pawłowska. Wchodząc, już wiedział o wszystkich kursujących pogłoskach, do których, być może, sam się nieco przyczynił. Księżę na jego widok ogromnie się ucieszył i zaraz zaczął mówić o Jepanczynach; taki otwarty i prostoduszny początek rozmowy jak najlepiej usposobił też Eugeniusza Pawłowicza, więc i on bez osłonek przystąpił wprost do rzeczy.

Księżę nawet jeszcze nie wiedział, że Jepanczynowie wyjechali; był tym zaskoczony, zbladł; ale po chwili zaczął kiwać głową, zmieszany i zamyślony, i przyznał, że „tak się powinno było stać”; następnie zapytał prędko: „A dokąd wyjechali?”

Eugeniusz Pawłowicz tymczasem przyglądał mu się badawczo; i wszystko to: szybkość zapytań, ich naiwność, zmieszanie księcia, a zarazem jakaś dziwna jego wylewność, niepokój i podniecenie - wszystko to bardzo go zdziwiło. Zresztą uprzejmie i dokładnie poinformował księcia o wszystkim: księżę wielu rzeczy nie wiedział i Eugeniusz Pawłowicz przynosił mu pierwsze wiadomości z domu Jepanczynów. Potwierdził, że Agiaja rzeczywiście była chora i trzy noce z rzędu prawie nie spała wskutek gorączki; że teraz czuje się lepiej i żadne niebezpieczeństwo jej zdrowiu nie grozi, ale znajduje się w stanie silnego zdenerwowania, hysterii... „Dobrze jeszcze, że w domu jest najzupełniejszy spokój! O tym, co było, wszyscy domownicy starają się nie napomykać nawet w rozmowach pomiędzy sobą, nie tylko przy Agłai. Rodzice już się porozumieli co do wyjazdu za granicę w jesieni, zaraz po ślubie Adelajdy; Agłaja w milczeniu wysłuchiwała pierwszych o tym wzmianek.” Jeśli chodzi o niego samego, to też może pojedzie za granicę. Kto wie, czy nawet księżę Sz. się nie wybierze na jakie dwa miesiące z Adelajdą, o ile mu interesy pozwolą. Generał ma zostać sam. Wszyscy się teraz przenieśli do Kołmina, do ich majątku, o dwadzieścia wiorst od Petersburga, gdzie mają dość obszerną rezydencję. Bielokońska jeszcze nie wyjechała do Moskwy i nawet, zdaje się, umyślnie odroczyła wyjazd. Lizawieta Prokofiewna bardzo obstawała, że po tym, co zaszło, dalszy pobyt w Pawłowsku stał się niemożliwy; Eugeniusz Pawłowicz komunikował jej codziennie wszystkie krążące po mieście pogłoski. W willi na Wyspie Jelagina też nie uznali za możliwe mieszkać.

- Bo i w rzeczy samej - dodał Eugeniusz Pawłowicz - zgodzi się pan, że niepodobna wytrzymać... zwłaszcza gdy się wie wszystko, co się u pana w każdej chwili dzieje, w pańskim domu, księżę, i po codziennych pańskich wizytach tam, pomimo że odmówiono panu wstępu...

- Tak, tak, tak, pan ma rację, chciałem się zobaczyć z Agłają Iwanowną... - pokiwał znów książę głową.

- Ach drogi książę - zawołał nagle Eugeniusz Pawłowicz z ożywieniem i ze smutkiem - jak pan mógł dopuścić... do tego wszystkiego, co zaszło? Oczywiście, oczywiście, wszystko to było dla pana taką niespodzianką... Przyznaję, że pan musiał stracić głowę i... nie mógł pan przecież pohamować tej szalonej dziewczyny, to nie było w pana mocy! Ale powinien był pan przecież zrozumieć, jak poważnie i głęboko ta dziewczyna... odnosiła się do pana. Nie chciała dzielić się z inną, i pan... i pan mógł porzucić i zmarnować taki skarb!

- Tak, tak, pan ma rację; tak, jestem winien - zaczął znów mówić książę w okropnym przygnębieniu - i wie pan: przecież tylko ona, tyłka Agłają, patrzyła tak na Nastasję Filipowną... Nikt inny tak nie patrzył.

- Ależ właśnie dlatego to wszystko jest oburzające, że tu nawet nie było nic poważnego! - zawołał Eugeniusz Pawłowicz z głębokim przejęciem. - Proszę mi wybaczyć, książę, ale... ja... ja myślałem o tym; dużo myślałem; wiem o wszystkim, co się tu działo dotychczas, wiem wszystko, co było pół roku temu, wszystko, i - wszystko to nie było poważne! Wszystko to było tylko wyrozumowaną pasją, obrazem, fantasmagorią, dymem i tylko wystraszona zazdrość całkiem niedoświadczonej dziewczyny mogła wziąć to za coś poważnego!...

Tu już Eugeniusz Pawłowicz bez najmniejszej ceremonii dał folgę całemu swemu oburzeniu. Logicznie i przejrzyście, a przy tym z nadzwyczajnym nawet znanstwem psychologii rozwinął przed księciem obraz całego poprzedniego stosunku księcia do Nastasji Filipowny. Eugeniusz Pawłowicz posiadał zawsze dar słowa; teraz zaś doszedł nawet do krasomówstwa.

- Od pierwszej chwili - oznajmił - zapanowało między wami kłamstwo; a co się od kłamstwa zaczyna, musi też skończyć się na kłamstwie; takie jest prawo natury. Nie zgadzam się, a nawet się oburzam, gdy ktoś nazywa pana idiotą; pan jest za mądry, by tak pana określić; ale jest pan zarazem tak dziwaczny, że różni się pan od innych ludzi; to pan chyba przyzna. Doszedłem do wniosku, iż podstawą wszystkiego, co zaszło, był, po pierwsze, pański, że tak powiem, przyrodzony brak doświadczenia (niech książę zwróci uwagę na to słowo: „przyrodzony”), następnie pańska nadzwyczajna naiwność; dalej fenomenalny brak poczucia miary (do czego pan sam się już nieraz przyznawał) i wreszcie ogromna ilość zapożyczonych, czysto rozumowych przekonań, które pan przy całej swojej niezwykłej uczciwości bierze dotychczas za prawdziwe, naturalne, z głębi duszy płynące przekonania! Zgodzi się pan, książę, iż pański stosunek do Nastasji Filipowny od samego początku zasadzał się na jakimś umownym demokracji z mię (wyrażam się tak dla zwięzłości), tkwiło w tym stosunku coś jakby rozegzaltowanie się tak zwaną „kwestią kobiecą” (by rzecz jeszcze zwięzlej). Znam przecież dokładnie całą tę dziwną skandaliczną scenę, która miała miejsce u Nastasji Filipowny, kiedy Rogożyn przyniósł swoje pieniądze. Jeśli pan chce, zanalizuję panu jego własną osobę w każdym szczególe, pokażę ją panu jakby odbitą w lustrze, tak doskonale jestem zorientowany, jak się rzecz miała i dlaczego wzięła taki obrót! Pan, będąc młodzieńcem, łaknął w Szwajcarii ojczyzny, a do Rosji dążył pan jak do ziemi nieznanej, ale obiecanej; przeczytał pan dużo książek o Rosji, książek znakomitych może, ale dla pana szkodliwych; zjawił się pan tutaj ze świeżym zapalem do działania, chciał się pan, że tak powiem, rzucić w wir działalności! I oto tego samego dnia opowiadają panu smutną i wzruszającą historię skrzywdzonej kobiety, opowiadają takiemu jak

pan cnotliwemu rycerzowi - o kobiecie! Tego samego dnia spotyka pan tę kobietę; jest pan olśniony jej urodą, fantastyczną, demoniczną urodą (przyznaję, że ta piękna kobieta). Niech pan doda do tego nerwy, niech pan doda swoją epilepsję, niech pan doda naszą denerwującą petersburską odwilż; niech pan doda cały ten dzień w nieznanym i prawie fantastycznym dla pana mieście, dzień spotkań i scen, dzień nieoczekiwanych znajomości, dzień najbardziej nieoczekiwanych faktów, dzień trzech przystojnych panien Jepanczyn, w ich liczbie Agłai; niech pan doda zmęczenie, zawroty głowy; niech pan doda salon Nastasji Filipowny i atmosferę tego salonu i... czegoż pan mógł spodziewać się wtedy po sobie, jak pan myśli?

- Tak, tak; tak, tak - kiwał głową książę, poczynając się rumienić - tak, to prawie tak było; i wie pan, ja rzeczywiście całą prawie poprzednią noc nie spałem w wagonie i jeszcze całą noc przed tym, czyli dwie noce z rzędu, i bardzo byłem rozstrojony...

- No tak, oczywiście, do tego właśnie zmierzam - ciągnął dalej, gorączkując się, Eugeniusz Pawłowicz. - Rzecz jasna, że pan, jeśli tak rzec można, upojony egzaltacją, skwapliwie skorzystał z okazji do publicznego wyrażenia swojej wielkodusznej idei, że pan, rodowity książę i człowiek nieskazitelny, nie uważa za nieuczciwą kobiety, która w sposób niezawiniony uległa żądzy wstrętnego światowca rozpustnika. O Boże, przecież to rozumiało! Ale nie w tym leży sedno sprawy, drogi książę, tylko w tym, czy była tutaj prawda, czy uczucie pańskie naprawdę istniało, czy to była natura, czy też jedynie zachwyty zrodzony w głowie? Jak pan myśli: w świątyni przebaczone kobiecie, takiej samej kobiecie, ale nie powiedziano jej, że postępuje dobrze i godna jest wszelkich honorów i szacunku[149]. Czyż w ciągu tych trzech miesięcy zdrowy rozsądek nie podpowiedział panu, jak się rzecz ma? Dajmy na to, że ona teraz prowadzi się nienagannie - obstawać przy tym nie będę, bo nie chcę - czyż jednak wszystkie jej przygody mogą usprawiedliwić taką nieznośną, szatańską pychę, taki zuchwały, taki zaborczy jej egoizm? Wybaczy książę, ponosi mnie to, chociaż...

- Tak, wszystko to jest możliwe; pan może ma rację... - wybąkał książę. - Rzeczywiście, jest bardzo rozdrażniona i... pan ma zupełną rację, ale...

- Jest również godna współczucia? To pan chce powiedzieć, mój zacny książę? Ale czy można było gwoli okazania jej współczucia, gwoli zrobienia jej przyjemności, pohańbić inną, szlachetną i czystą dziewczynę i tak ją poniżyć w tamtych zarozumiałych, tamtych nienawistnych oczach? Do czegoż w takim razie dochodziło współczucie? Przecież to jest niedopuszczalna przesada! Czy podobna, kochając dziewczynę, tak ją poniżyć przed własną jej rywalką, porzucić ją dla innej w oczach tej właśnie innej, i to już wtedy, gdy się samemu zrobiło jej uczciwą propozycję... a pan przecież zrobił jej propozycję, pan się jej oświadczył przy rodzicach i przy siostrach! Wiec niechże pan pozwoli spytać, drogi książę, czy po tym wszystkim można pana uważać za człowieka uczciwego? I... czy pan nie oszukał tej boskiej dziewczyny zapewniwszy ją o swojej miłości?

- Tak, tak, pan ma rację, ach, czuję, że jestem winny! - rzekł książę z niewysłowionym smutkiem.

- Ale czyż to wystarczy?! - zawołał z oburzeniem Eugeniusz Pawłowicz. - Czyż wystarczy tylko wykrzyknąć: „Ach, jestem winien!” Jest pan winien, a trwa pan w uporze! I gdzież pan miał wtedy serce, swoje „chrześcijańskie” serce! Przecież pan wtedy widział jej twarz: czy ona mniej cierpiała niż tamta, niż inna pańska piękność, co rozłączyła pana z narzeczoną? Jak pan mógł patrzeć na to i dopuścić do tego? Jak?

- Ależ... ja przecież nie chciałem dopuścić... - bąkał nieszczęsny książe.

- Jak pan nie dopuszczał?

- Daję słowo, sam nic nie zrobiłem. I nie rozumiem dotąd, jak się to wszystko stało... Pobiegłem wtedy... za Agłają Iwanowną, a Nastasja Filipowna zemdląca; i od tej chwili nie miałem możliwości zobaczyć się z Agłają, bo mię do niej nie puszczono.

- Wszystko jedno! Powinien pan był biec za Agłają, chociażby tamta leżała zemdlona!

- Tak... tak, powinienem był... Ona by przecież umarła! Zabiłaby się, pan jej nie zna... czy tak, czy owak opowiedziałbym potem o wszystkim Agłai Iwanownie i... widzi pan... pan, zdaje się, wszystkiego nie wie. Niech mi pan powie, dlaczego nie wolno mi zobaczyć się i porozmawiać z Agłają Iwanowną? Wszystko bym jej wytłumaczył. Widzi pan: obydwie mówiły wtedy nie o tym, o czym trzeba było mówić, i dlatego tak to wyszło... W żaden sposób nie mogę panu tego wytłumaczyć; ale Agłai może bym wytłumaczył... Ach, mój Boże, mój Boże! Pan mówi o jej twarzy wtedy, gdy pobiegła do wyjścia... O, mój Boże, pamiętam! Chodźmy, chodźmy! - pociągnął nagle za rękaw Eugeniusza Pawłowicza, pośpiesznie zrywając się z miejsca.

- Dokąd?

- Chodźmy do Agłai Iwanowny, chodźmy natychmiast!...

- Przecież jej nie ma w Pawłowsku, mówiłem panu; a zresztą po co iść?

- Ona zrozumie, ona zrozumie! - mamrotał książe składając błagalnie ręce. - Ona zrozumie, że wszystko to jest nie to, ale zupełnie, zupełnie co innego!

- Jak to - co innego? Przecież pan jednak się żeni? Więc pan trwa w uporze... Żeni się pan czy nie?

- No tak... żenię się; tak, biorę ślub!

- Więc jakże to nie jest to?

- O nie, nie to, nie to! To nic, że się żenię, to wszystko jedno!

- Jak to - nic i wszystko jedno? Przecież to nie byle drobiazg! Pan się żeni z ukochaną kobietą, żeby jej dać szczęście, a Agłaja Iwanowna widzi to i wie o tym, więc jakże może być wszystko jedno?

- Szczęście? O nie! Ja się tylko tak po prostu żenię; ona tego chce; a i cóż to znaczy, że się żenię: ja... Przecież to wszystko jedno! Tylko że ona z pewnością by umarła. Widzę teraz, to małżeństwo z Rogożynem było szaleńczą ideą! Zrozumiałem teraz wszystko, czego przedtem nie rozumiałem, i widzi pan: kiedy wówczas obydwie stały naprzeciwko siebie, nie mogłem znieść wyrazu twarzy Nastasji Filipowny... Pan nie wie, Eugeniuszu Pawłowiczu (w tym miejscu zniżył tajemniczo głos), nie mówiłem tego nigdy nikomu, nawet Agłai, ale ja naprawdę nie mogę znieść widoku twarzy

Nastasji Filipowny... To prawda, co pan przed chwilą mówił o tym wieczorze u Nastasji Filipowny; ale było tu jeszcze coś, co pan opuścił, ponieważ pan o tym nie wie: ja patrzyłem na jej twarz! Ja już rano, na fotografii, nie mogłem znieść tej twarzy... Wiera Lebediew na przykład ma całkiem inne oczy; a jej twarzy ja... ja się boję! - dodał z nadzwyczajnym strachem.

- Boi się pan?

- Tak; ona jest - obłąkana! - wyszeptał ksiązę blednąc.

- Pan to wie na pewno? - spytał Eugeniusz Pawłowicz, niezwykle zaciekawiony.

- Tak, na pewno i teraz już na pewno; teraz, w ciągu ostatnich dni, niezbitcie się c tym przekonałem!

- Cóż pan robi?! - zawołał z przerażeniem Eugeniusz Pawłowicz. - Więc żeni się pan z jakiegoś strachu? Nic tu nie można zrozumieć... Więc może nawet bez miłości?

- O nie, ja ją kocham całą duszą! Przecież to... dziecko; ona jest teraz jak dziecko, zupełnie dziecko! O, pan nic nie wie!

- I pan jednocześnie zapewniał o swojej miłości Agłaję Iwanownę?

- O tak, tak!

- Jak to? Więc pan chce obie kochać.

- O tak, tak!

- Na miłość boską, ksiązę, co też pan mówi, niech się pan opamięta!

- Ja bez Agłai... ja koniecznie muszę się z nią zobaczyć! Ja... ja wkrótce umrę podczas snu; myślałem, że już tej nocy umrę podczas snu. O, gdyby Agłaja wiedziała, gdyby wiedziała wszystko... koniecznie wszystko. Bo tu trzeba wszystko wiedzieć, to rzecz najważniejsza! Dlaczego nigdy nie możemy dowiedzieć się wszystkiego o kimś innym, gdy to jest potrzebne, gdy ten ktoś jest winien?... Nie wiem zresztą, co mówię, wszystko mi się poplątało; pan mię okropnie poruszył... I czyżby ona i teraz miała taką twarz jak wówczas, gdy wybiegła? O tak, jestem winien! Ja najpewniej wszystkiemu jestem winien. Nie wiem jeszcze mianowicie, czym zawiniłem, ale zawiniłem... Tu jest coś takiego, czego nie potrafię panu wytłumaczyć, Eugeniuszu Pawłowiczu, i stów mi brak, ale... Agłaja Iwanowna zrozumie! O, ja zawsze wierzyłem, że ona zrozumie.

- Nie, ksiązę, nie zrozumie! Agłaja Iwanowna kochała jak kobieta, jak człowiek, a nie jak... abstrakcyjny duch. Wie pan co, mój biedny ksiązę: z tego wszystkiego widać, że pan nie kochał nigdy ani jednej, ani drugiej!

- Nie wiem... być może, być może; pan w wielu rzeczach ma słuszość, Eugeniuszu Pawłowiczu. Pan jest nadzwyczaj mądry; ach, znów mnie głowa zaczyna boleć, chodźmy do niej! Na miłość boską, na miłość boską!

- Przecież mówię panu, że jej w Pawłowsku nie ma; jest w Kołminie.
- Jedźmy do Kołmina, jedźmy zaraz!
- To nie - mo - żli - we! - powiedział przeciągle Eugeniusz Pawłowicz i wstał.
- Niech pan posłucha: napiszę list, a pan go zawiezie!
- Nie, drogi księżę, nie! Niech pan mię uwolni od takich zleceń, nie mogę!

Rozstali się. Eugeniusz Pawłowicz odszedł w dziwnym przekonaniu, że księżę jest trochę pomyłony. Cóż ma znaczyć ta twarz, której się tak boi i którą tak kocha! A tymczasem naprawdę gotów jest umrzeć bez Agłai, a ona nigdy się nawet nie dowie, jak strasznie ją kochał! Cha, cha! Jak można kochać dwie kobiety naraz? Jakimiś odmienionymi dwiema miłościami? To ciekawe... biedny idiota! Co z nim teraz będzie?

Księżę jednak nie umarł przed swoim ślubem, ani na jawie, ani „podczas snu”, jak przepowiadał w rozmowie z Eugeniuszem Pawłowiczem. Może naprawdę źle sypiał i miał przykre sny; ale we dnie, wśród ludzi, wydawał się spokojny i nawet zadowolony, czasem tylko za bardzo się zamyślał, ale to wtedy, gdy był sam. Śpieszono się ze ślubem; wypadł mniej więcej w tydzień po odwiedzinach Eugeniusza Pawłowicza. Przy takim pośpiechu nawet najlepsi przyjaciele księcia, gdyby istotnie ich miał, musieliby dać za wygraną, jeśli chodzi o jakieś „ratowanie” biednego szaleńca. Chodziły słuchy, że i wizytę Eugeniusza Pawłowicza spowodował po części Iwan Fiodorowicz i jego małżonka, Lizawietta Prokofiewna. Ale gdyby nawet oni oboje, wskutek niezmiernej dobroci serca, mogli powziąć zamiar powstrzymania nieszczęsnego obłąkańca od skoku w przepaść, musieliby, rzecz prosta, ograniczyć się jedynie do tej słabej próby; ani ich sytuacja, ani nawet serdeczna życzliwość (bardzo zrozumiała) nie mogły wpłynąć na jakieś poważniejsze starania. Wspomnieliśmy, że nawet ludzie najbliżej otaczający księcia poniekąd wystąpili przeciwko niemu. Wiera Lebediew zresztą ograniczyła się do łez wylewanych w samotności, no i do tego, że więcej przebywała u siebie w domu, a rzadziej niż przedtem odwiedzała księcia. Kola był przez ten czas zajęty pogrzebem ojca; starzec umarł na skutek powtórnego ataku, który nastąpił w osiem dni po pierwszym. Księżę z wielkim współczuciem odniósł się do rodziny zmarłego i podczas pierwszych dni spędzał po kilka godzin u Niny Aleksandrowny; był i na pogrzebie, i w cerkwi. Wielu zauważyło, iż obecni w cerkwi witali i odprowadzali księcia mimowolnym szeptem; to samo zdarzało się również na ulicach i w parku: kiedy księżę przechodził albo przejeżdżał, zaczynało dokoła rozmawiać o nim, wymieniano jego nazwisko, pokazywano go palcami; dawało się też słyszeć imię Nastasji Filipowny. Szukano jej na pogrzebie, ale na pogrzeb nie przyszła. Nie przyszła również kapitanowa, którą zdołał jednak w porę zatrzymać i okiełznać Lebediew. Nabożeństwo żałobne wywarło na księciu wrażenie silne i bolesne; szepnął do Lebediewa jeszcze w cerkwi, w odpowiedzi na jakieś jego pytanie, że po raz pierwszy jest obecny przy prawosławnych egzekwiach i tylko z czasów dzieciństwa pamięta inne egzekwie w jakiejś wiejskiej cerkwi.

- Tak, proszę księcia, przecie to całkiem nie ten sam człowiek leży w trumnie; pamięta pan, jak to jeszcze niedawno wybraliśmy go sobie na przewodniczącego, pamięta księżę? - szepnął

Lebiediew do ucha księciu. - Kogo pan szuka?

- Nic, tak, zdawało mi się...

- Nie Rogożyna?

- A czy on tu jest?

- Owszem, jest w cerkwi.

- Właśnie wydało mi się, że dostrzegłem jego oczy - wybąkał zmieszany książę. - A... po cóż on tutaj? Czy go zaproszono ?

- Nikomu to nawet na myśl nie przyszło. Przecie to nawet nie jest żaden znajomy. Ale tu jest dużo różnych ludzi, publiczność. Czemu książę tak się zdziwił? Ja go teraz spotykam dość często; w ostatnim tygodniu spotkałem go tu w Pawłowsku chyba ze cztery razy.

- Ja go nie widziałem jeszcze ani razu... od tego czasu - wybąkał książę.

Ponieważ Nastasja Filipowna też ani razu jeszcze nie wspomniała mu o tym, że spotkała Rogożyna, książę wywnioskował teraz, że Rogożyn umyślnie ich unika. Przez cały ten dzień książę był bardzo zamyślony; Nastasja Filipowna była natomiast i tego dnia, i tego wieczoru nadzwyczaj wesoła.

Kola, który jeszcze przed śmiercią ojca pogodził się z księciem, zaproponował mu, aby na družbów poprosić (bo to była sprawa pilna, nie cierpiąca zwłoki) Kellera i Burdowskiego. Ręczył za Kellera, że będzie się sprawował przyzwoicie, a może nawet „przyda się”; o Burdowskim zaś nie było co mówić, to człowiek cichy i skromny. Nina Aleksandrowna i Lebiediew zwracali księciu uwagę, że skoro ślub już został wyznaczony, to po co koniecznie w Pawłowsku, w dodatku podczas sezonu; po co tak publicznie? Czy nie lepiej w Petersburgu albo nawet w domu? Książę aż nazbyt dobrze rozumiał, do czego zmierzały te wszystkie obawy; odpowiedział jednak krótko i prosto, że tak sobie koniecznie życzy Nastasja Filipowna.

Nazajutrz zjawił się u księcia Keller, powiadomiony już, że ma pełnić obowiązki drużby. Zanim wszedł, zatrzymał się w drzwiach i jak tylko spostrzegł księcia, podniósł do góry prawą rękę z wyciągniętym palcem wskazującym i zawołał, niby składając przysięgę:

- Nie piję!

Następnie podszedł do księcia, mocno uściśnął go, potrząsnął mu obie ręce i oświadczył, iż naturalnie z początku, gdy się dowiedział, był wrogo usposobiony, co też oznajmił przy bilardzie, i nie z jakiejś innej racji, tylko dlatego, że chciał wyswatać księcia z panną de Rohan, księżniczką krwi, no i dzień w dzień z niecierpliwością oczekiwał tej chwili, kiedy ujrzy młodą parę w cerkwi; teraz jednak sam widzi, że myśli księcia są co najmniej dwanaście razy szlachetniejsze niż myśli wszystkich innych ludzi „razem wziętych”! Bo potrzebne mu są nie wspaniałości, nie bogactwa i nawet nie zaszczyty, ale - prawda! Sympatie osób wysoko postawionych zbyt są wszystkim znane, książę zaś stoi sam wysoko dzięki swojemu wykształceniu, a zatem, mówiąc w ogólności, też jest

osobą wysoko postawioną! „Ale różne szuje i wszelka hołota sądzi inaczej; w mieście, po domach, w klubach, willach, na koncertach, w knajpach, przy bilardach o niczym innym się nie gada, nie krzyczy, tylko o mającym nastąpić wydarzeniu. Podobno znaleźli się nawet dowcipnisie, co chcą urządzić kocią muzykę pod oknami, i to, jeśli się tak można wyrazić, zaraz pierwszej nocy! Gdyby księciu potrzebny był pistolet uczciwego człowieka, to gotów jestem wymienić z pół tuzina honorowych strażów zanim księżę wstanie nazajutrz z miodowego łoża.” Radził także, w obawie przed nadmiernym ścisaniem ciekawych, po wyjściu z cerkwi ustawić na podwórzu sikawkę strażacką; Lebediew jednak sprzeciwił się temu: „Jak ludzie zobaczą sikawkę, to dom, powiada, rozniosą na drobne szczapki”.

- Ten Lebediew intryguje przeciwko księciu, jak Boga Kocham! Oni chcą pana oddać pod kuratelę, może pan to sobie wyobrazić, ze wszystkim, z wolnością i pieniędzmi, to znaczy z dwiema rzeczami, które każdego z nas odróżniają od czworonogów! Słyszałem na własne uszy! To szczerza prawda!

Księżę przypomniał sobie, że już niby sam coś w tym rodzaju słyszał, ale, ma się rozumieć, nie zwrócił na to uwagi. I teraz też się tylko roześmiał i od razu o tym zapomniał. Lebediew rzeczywiście przez pewien czas zabiegał o to; rachuby tego człowieka zawsze powstawały jakby z natchnienia i wskutek zbytnej afektacji stawały się coraz bardziej złożone, rozgałęziały się i oddalały się na wszystkie strony od punktu wyjścia; toteż rzadko co mu się w życiu udawało. Kiedy później, już prawie w dzień ślubu, przyszedł do księcia, by mu wyrazić skruchę (miał już ten zwyczaj, że zawsze chodził kajać się przed tymi, przeciwko którym intrygował, zwłaszcza gdy mu się intryga nie udała), oznajmił mu, że urodził się na Talleyranda, ale nie wiadomo dlaczego pozostał tylko Lebediewem. Następnie odkrył przed księciem całą swoją grę, czym niezmiernie go zaciekał. Według własnych słów, zaczął od tego, że starał się znaleźć protekcję wpływowych osobistości, na których w razie potrzeby mógłby się oprzeć, i w tym celu udał się do generała Iwana Fiodorowicza. Generał Iwan Fiodorowicz był zaskoczony, szczerze pragnął dobra dla „młodego człowieka”, oświadczył jednak, że „przy całej chęci ratowania go działać mu tutaj nie wypada”. Lizawietta Prokofiewna nie zechciała z nim rozmawiać ani go nawet widzieć; Eugeniusz Pawłowicz i księżę Sz. tylko się opędzali od niego, machając rękami. Ale on, Lebediew, nie upadł na duchu i odbył naradę z pewnym biegłym jurystą, czcigodnym staruszkiem, który darzy go wielką przyjaźnią i jest niemal jego dobrodziejem; ten zawyrokował, iż sprawa jest do przeprowadzenia, byle się tylko znaleźli kompetentni świadkowie rozstroju umysłowego i zupełnej niepoczytalności księcia, no i najważniejsza, by jakieś wysoko postawione osoby udzieliły tej sprawie poparcia. Lebediew i teraz nie dał za wygraną i pewnego razu przyprowadził nawet do księcia również czcigodnego letnika z Orderem Św. Anny na szyi wyłącznie po to, żeby ów specjalista niejako zbadał teren, poznał się z księciem i na razie nieoficjalnie, ale raczej po przyjacielsku wypowiedział swoją opinię. Księżę pamiętał tę wizytę lekarza; pamiętał, że Lebediew jeszcze w przeddzień natrętnie wmawiał w niego chorobę, i kiedy księżę stanowczo podziękował za pomoc lekarską, przyprowadził nagle doktora pod tym pretekstem, że obaj wracają właśnie od pana Tierientiewa, który bardzo źle się czuje, i że doktor chce księciu coś zakomunikować o chorym. Księżę pochwalił Lebediewa i przyjął doktora nadzwyczaj życzliwie. Od razu się zgodali na temat chorego Hipolita; doktor poprosił, żeby mu opowiedzieć ze szczegółami ową scenę samobójstwa, i księżę olśnił go zupełnie swoim opowiadaniem i analizą tego wypadku. Potem zaczęli mówić o klimacie petersburskim, o chorobie księcia, o Szwajcarii, o Schneiderze. Wykładem systemu leczniczego Schneidera i różnymi

opowiadaniem księżę tak zainteresował doktora, że ten przesiedział u niego dwie godziny; palił przy tym doskonale cygara księcia. Lebediew zaś ze swej strony podał wyborną nalewkę, którą przyniosła Wiera, co tak rozochociło doktora, człowieka żonatego i familijnego, że pozwolił sobie na dosyć osobliwe komplementy, czym wywołał jej głębokie oburzenie. Rozstali się, doktor i księżę, jak przyjaciele. Po wyjściu od księcia doktor oznajmił Lebediewowi, że gdyby się takich ludzi brało pod kuratelę, to któż by pełnił funkcje opiekunów? W odpowiedzi zaś na tragiczne przedstawienie przez Lebediewa mającego się wkrótce dokonać faktu doktor chytrze i figlarnie kiwał głową; wreszcie zauważył iż „różnie ludzie łączą się w małżeńskie pary”, a poza tym „owa czarująca - jak słyszał - osoba prócz niezwyklej urody, która już sama przez się mogłaby olśnić człowieka majątnego, posiada jeszcze kapitały od Tockiego i Rogożyna, perły i brylanty, szale i meble, toteż tego rodzaju wybór nie tylko nie dowodzi jakiejś wyjątkowej, rzecz można, bijącej w oczy głupoty ze strony drogiego księcia, ale świadczy nawet o sprycie subtelnego światowego umysłu, a zatem przyczynia się do wniosków zgoła odmiennych i dla księcia najzupełniej korzystnych...” Myśl ta uderzyła również Lebediewa; na, tym więc poprzestał, i teraz, zwracając się do księcia, dodał: „Na przyszłość proszę się po mnie spodziewać tylko oddania i gotowości do ofiary krwi; z tym właśnie przychodzę.”

W ciągu tych ostatnich dni Hipolit również absorbował księcia; aż nadto często przysyłał po niego. Mieszkał niedaleko, w malutkim domku; małe dzieci, brat i siostra Hipolita, były dlatego przynajmniej zadowolone z letniego mieszkania, że mogły uciekać od chorego do ogrodu; biedna zaś kapitanowa zostawała na jego łasce i niełasce jako bezwolna ofiara; księżę musiał ich codziennie rozbrajać i godzić; chory w dalszym ciągu nazywał go swoją „niańką”, a jednocześnie jak gdyby nie śmiał odczuwać względem niego pogardy z powodu jego roli arbitra. Miał niezwykłą pretensję do Koli o to, że ten prawie wcale go nie odwiedzał siedząc stale najpierw przy łożu umierającego ojca, a potem z owdowiałą matką. Wreszcie wziął za cel swoich drwinek rychły ślub księcia z Nastasją Filipowną i doprowadził do tego, że księżę stracił cierpliwość i poczuł się dotknięty, a w rezultacie przestał go odwiedzać. Po dwóch dniach przywlokła się do niego rano kapitanowa i ze łzami prosiła księcia, żeby zechciał przyjść do nich, gdyż w przeciwnym razie tamten ją do reszty zmaltretuje. Dodała, że Hipolit chce mu wyjawić wielką tajemnicę. Księżę poszedł. Hipolit pragnął się pogodzić, zaczął płakać, a po płaczu naturalnie jeszcze bardziej się rozżłościł, tylko nie miał odwagi tego okazać. Bardzo źle się czuł; widać było, że niedługo umrze. Tajemnicy żadnej nie wyjawiał, gdyż jej nie miał; prosił tylko księcia w sposób nadzwyczaj egzaltowany, tracąc oddech ze wzruszenia (a może udając wzruszenie), żeby księżę „wystrzegał się Rogożyna”. „To taki człowiek, który od swego nie odstąpi; tacy jak ja i księżę nie mogą się z nim mierzyć; ten, jak czego zechce, to już na amen...” i t. d., itd. Księżę zaczął wypytywać o szczegóły, chciał się dowiedzieć o jakichś faktach; ale faktów nie było żadnych oprócz osobistych spostrzeżeń i wrażeń Hipolita. Ku swemu nadzwyczajnemu zadowoleniu Hipolit osiągnął tyle, że w końcu okropnie księcia nastraszył. Z początku księżę nie chciał odpowiadać na niektóre specjalne jego pytania i tylko się uśmiechał na takie jego rady: „Uciekać chociażby nawet za granicę; rosyjscy duchowni są wszędzie, można i tam wziąć ślub.” Wreszcie jednak Hipolit zakończył rozmowę następującą myślą: „Przecież ja się lękam tylko o Agłaję Iwanownę: Rogożyn wie, jak pan ją kocha; miłość za miłość; pan mu odebrał Nastasję Filipownę, on zabije Agłaję Iwanownę; chociaż teraz ona nie należy do pana, ale w każdym razie będzie panu ciężko, prawda?” Osiągnął swój cel; księżę wyszedł od niego jak struty.

To ostrzeżenie przed Rogożynem wypadło już w przeddzień ślubu. Tego samego wieczoru, po

raz ostatni przed ślubem, widział się księżę z Nastasją Filipowną; ale Nastasją Filipowna nie była zdolna go uspokoić, nawet przeciwnie, ostatnio coraz bardziej powiększała jego rozterkę. Przedtem, to znaczy przed kilku dniami, przy spotkaniach z nim dokładała wszelkich starań, aby go rozweselić: okropnie się bała jego strapionej miny; próbowała mu nawet śpiewać; najczęściej zaś opowiadała mu wszystko, co tylko pamiętała śmiesznego. Księżę prawie zawsze udawał, że się bardzo śmieje, a czasem rzeczywiście śmiał się i cieszył z jej błyskotliwego umysłu i promiennego uczucia, z jakim potrafiła nieraz opowiadać, gdy się zapalała, a zapalała się często. I widząc śmiech księcia, widząc sprawione na nim wrażenie, wpadała w zachwyt i zaczynała być z siebie dumna. Ale teraz jej smutek i zamyślenie wzrastały prawie z każdą godziną. Księżę miał ustalony już sąd o Nastasji Filipownie i gdyby nie to, wszystko w niej wydałoby mu się teraz zagadkowe i niepojęte. Ale istotnie wierzył, że ona może się jeszcze odrodzić. Rozmawiając z Eugeniuszem Pawłowiczem powiedział najzupełniejszą prawdę, że ją głęboko i szczerze kocha; i w jego miłości do niej kryło się rzeczywiście jakby rozczulenie nad jakimś biednym i chorym dzieckiem, które trudno, a nawet niepodobna zostawić bez opieki. Nikomu nie tłumaczył swoich uczuć do niej i nawet nie lubił o tym mówić, gdy już rozmowy nie dało się uniknąć; a i z Nastasją Filipowną nigdy, będąc sam na sam, nie rozmawiali „o uczuciu”, jakby oboje dali sobie na to słowo. W ich zwykłej, wesołej i ożywionej gawędzie mógł brać udział każdy. Daria Aleksiejewna opowiadała potem, że przez cały ten czas, patrząc na nich, tylko się cieszyła i zachwycała się nimi. Ale ten jego pogląd na stan duszy i umysłu Nastasji Filipowny wybawiał go poniekąd i od wielu innych wątpliwości. Teraz była to zupełnie inna kobieta niż ta, którą znał przed trzema miesiącami. Nie zastanawiała się już teraz na przykład nad tym, dlaczego wtedy od ślubu z nim uciekła ze łzami, przekleństwami i wyrzutami, a obecnie sama nalegała na szybkie załatwienie tej sprawy. „Widocznie już się nie boi jak wtedy, że wyszedłszy za mnie przyniesie mi nieszczęście” - myślał księżę. Tak prędko wytworzona pewność siebie nie mogła być, jego zdaniem, naturalna. No i chyba nie z samej nienawiści do Agłai zrodziła się ta pewność: Nastasją Filipowną umiała czuć nieco głębiej. I nie ze strachu przed losem, jaki ją czekał po wyjściu za Rogożyna. Słowem, mogły tu oddziaływać wszystkie te przyczyny razem z innymi czynnikami; ale najbardziej jasne było dla niego, że tu jest właśnie to, co już od dawna podejrzewał i czego nieszczęsna chora dusza nie zniosła. Wszystko to, choć go poniekąd wybawiało od wątpliwości, nie mogło mu zapewnić przez ten cały czas ani spokoju, ani odpoczynku. Czasem starał się jakby o niczym nie myśleć; na małżeństwo zapatrywał się bodaj tak, jak na jakąś nieistotną formalność; swój własny los cenił bardzo mało. Ca zaś się tyczy perswazji czy rozmów, w rodzaju rozmowy z Eugeniuszem Pawłowiczem, to tu stanowczo nic by nie mógł odpowiedzieć i czuł się najzupełniej niekompetentny, unikał więc wszelkich takich rozmów.

Zauważył zresztą, że Nastasja Filipowna aż nadto dobrze wiedziała i rozumiała, czym dla niego była Agłaja. Nie wyrażała tylko swoich myśli na głos, ale on widział jej „twarz” w tych momentach, kiedy zastawała go czasem, jeszcze z początku, gdy się wybierał do Jepanczynów. Po wyjeździe Jepanczynów jakby się rozpromieniła. Księżę, jakkolwiek był mało spostrzegawczy i niedomyślny, zaczął się jednak niepokoić, podejrzewając, że Nastasja Filipowna gotowa jest urządzić jakiś skandal, aby usunąć Agłaję z Pawłowska. Nieustanna hałaśliwa gadanina po wszystkich willach o mającym nastąpić ślubie była oczywiście w znacznej mierze podsycana przez Nastasję Filipownę po to, żeby rozdrażnić rywalkę. Ponieważ Jepanczynów trudno było spotkać, Nastasja Filipowna pewnego razu posadziła w swoim powozie księcia, siadła obok niego i kazała stangretowi przejechać pod samymi oknamiich willi. Było to dla księcia okropną niespodzianką; spostrzegł się, swoim zwyczajem, kiedy już sytuacji nie można było uratować i kiedy powóz przejeżdżał tuż koło

okien. Nie powiedział nic, ale przez dwa dni z rządu potem chorował; Nastasja Filipowna nie powtórzyła już tej próby. W ciągu ostatnich dni przed ślubem często wpadała w głębokie zamyślenie; kończyło się jednak na tym, że przewyciężała swój smutek i stawała się znów wesoła, ale jakoś spokojniej, nie tak głośno, nie tak szczęśliwie wesoła jak przedtem, jak niedawno jeszcze. Książę podwoił swoją uwagę. Zaciekawiało go, że ona nigdy nie wszczyna z nim rozmowy o Rogożynie. Tylko raz jeden, na pięć dni przed ślubem, przysłała po niego nagle Daria Aleksiejewna, żeby zaraz przyszedł, gdyż z Nastasja Filipowna jest bardzo źle. Znalazł ją w stanie bardzo zbliżonym do zupełnego obłąkania: wydawała okrzyki, drżała, wołała, że Rogożyn schował się w ogrodzie, obok ich domu, że go dopiero co widziała, że on ją zabije w nocy... zarżnie! Przez cały dzień nie mogła się uspokoić. Ale tego samego wieczoru, kiedy książę na chwilę wstąpił do Hipolita, kapitanowa, która dopiero co wróciła z miasta, gdzie załatwiała jakieś swoje interesiki, opowiedziała, że do jej mieszkania w Petersburgu przyszedł dzisiaj Rogożyn i wypytywał o Pawłowsk. Na pytanie księcia, o której godzinie był Rogożyn, kapitanowa wskazała prawie tę samą godzinę, kiedy widziała go jakoby w ogrodzie Nastasja Filipowna. W ten sposób rzecz się wyjaśniła jako zwykła halucynacja: Nastasja Filipowna sama poszła do kapitanowej, żeby się przekonać, i była z tego nadzwyczaj rada.

W przeddzień ślubu książę opuścił Nastasję Filipownę niezmiernie ożywioną: z Petersburga nadeszły od krawcowej obstalowane na jutrzejszy dzień stroje - suknia ślubna, przybranie na głowę itp., itp. Książę nawet się nie spodziewał, że stroje tak ją podniecą; sam wszystko chwalił i jego pochwały czyniły ją jeszcze szczęśliwszą. Ale wygadała się niechcący: już słyszała, że w mieście panuje oburzenie, że jakieś szumowiny chcą urządzić kocią muzykę i bodaj deklamację okolicznościowych wierszy, umyślnie skomponowanych, i że to wszystko zyskało nieomal aprobatę ze strony reszty towarzystwa. I oto owładnęła nią teraz jeszcze większa chęć, żeby podnieść wobec nich głowę, zaćmić wszystkich smakiem i bogactwem swojego stroju - „niech krzyczą, niech gwizdzą, jeśli będą mieli odwagę”! Na samą myśl o tym błyszcząły jej oczy. Snuła jeszcze jedno tajemne marzenie, którego nie wypowiadała na głos: roiła sobie, że Agłaja, albo przynajmniej ktoś wysłany przez nią, będzie również wśród tłumu, incognito, w cerkwi, będzie patrzył i widział; więc w duchu przygotowywała się do tego. Rozstała się z księciem, cała pochłonięta tymi myślami, o jedenastej wieczorem; ale jeszcze nie wybiła północ, kiedy przybiegli do księcia od Darii Aleksiejewny, żeby „szedł czym prędzej, bo jest bardzo kiepsko.” Książę zastał narzeczoną zamkniętą w sypialni, we łzach, w rozpacz, w ataku hysterii; przez długi czas nic nie słyszała, co do niej mówiono przez zamknięte drzwi, wreszcie je otworzyła, wpuściła tylko księcia, zamknęła za nim drzwi i padła przed nim na kolana. (Tak przynajmniej opowiadała potem Daria Aleksiejewna, która zdołała coś niecoś podpatrzeć.)

- Co ja robię! Co ja robię! Co ja z tobą robię! - wykrzykiwała konwulsyjnie obejmując jego nogi.

Książę przesiedział przy niej całą godzinę; nie wiemy, o czym rozmawiali. Daria Aleksiejewna opowiadała, że rozstali się po upływie godziny, w zgodzie i szczęściu. Książę tej samej nocy przysłał jeszcze raz po wiadomości, ale Nastasja Filipowna już zasnęła. Rano, zanim się jeszcze przebudziła, zjawili się u Darii Aleksiejewny jeszcze dwaj posłańcy od księcia; dopiero trzeciemu posłańcowi kazano donieść, że „przy Nastasji Filipownie kręci się teraz cały rój szwaczek i fryzjerów z Petersburga, że po tym, co było wczoraj, nie ma nawet śladu, że jest tak zajęta, jak tylko może być zajęta swoim ślubnym strojem taka piękna kobieta, i że teraz właśnie, w tej chwili, odbywa się

nadzwyczajna narada co do tego, które włożyć brylanty i jak włożyć”. Książę zupełnie się uspokoił.

Całą poniżej przytoczoną historię tego ślubu opowiadali potem naoczni świadkowie w sposób następujący i, jak się zdaje, prawdziwy.

Ślub wyznaczony był na godzinę ósmą wieczorem; Nastasja Filipowna gotowa była już o siódmej. Od szóstej zaczęły się powoli zbierać tłumy gapiów dokoła willi Lebediewa, głównie jednak przed domem Darii Aleksiejewny; od siódmej zaczęła się zapełniać cerkiew. Wiera Lebediew i Kola okropnie się bali o księcia; mieli jednak dużo zajęć w domu: dyrygowali w pokojach księcia przygotowaniami do uczyty weselnej. Nie było zresztą w projekcie żadnego większego zebrania: oprócz osób, których obecność była konieczna przy zawieraniu małżeństwa, Lebediew zaprosił Pticynów, Ganię, doktora z orderem Anny na szyi, Darię Aleksiejewnę. Kiedy książę poinformował się u Lebediewa, skąd mu do głowy przyszło zaprosić doktora, „prawie całkiem obcego”, Lebediew z widocznym zadowoleniem z siebie powiedział: „Czcigodny człowiek z orderem na szyi to dobre dla oka” - i rozśmieszył księcia. Keller i Burdowski, we frakach i rękawiczkach, wyglądali bardzo przyzwoicie; tylko Keller wciąż jeszcze trochę niepokoił księcia i swoich mocodawców wyraźną skłonnością do bójki i patrzył na gapiów, zebranych koło domu, zdecydowanie wrogo. Wreszcie o wpół do ósmej książę pojechał do cerkwi kareta. Wypada tutaj zaznaczyć, że sam umyślnie nie chciał pominąć żadnego z przyjętych obyczajów i zwyczajów; wszystko się odbywało publicznie, jawnie, otwarcie i „jak należy”. W cerkwi, precyzyjnie się jakoś przez tłum, przy bezustannym szepcie i okrzykach publiczności, pod kierunkiem Kellera rzucającego na prawo i na lewo groźne spojrzenia książę ukrył się na jakiś czas w zakrystii, a Keller udał się po pannę młodą do domu Darii Aleksiejewny, gdzie zastał tłum nie tylko dwa albo trzy razy większy niż u księcia, ale może nawet ze trzy razy zuchwalszy. Wchodząc na ganek usłyszał takie okrzyki, że nie mógł wytrzymać, i już nawet całkiem zwrócił się do publiczności w zamiarze wygłoszenia odpowiedniej mowy, ale na szczęście powstrzymał go Burdowski i sama Daria Aleksiejewna, która wybiegła na ganek; chwycili go i siłą zaprowadzili do pokojów. Keller był rozdrażniony i nawoływał do pośpiechu. Nastasja Filipowna podniosła się, spojrzała jeszcze raz w lustro, zauważyła z „fałszywym” uśmiechem, jak opowiadał potem Keller, że „jest blada jak trup”, nabożnie pokłoniła się przed obrazem i wyszła na ganek. Powitała ją wrzawa ludzkich głosów. Wprawdzie w pierwszej chwili rozległy się śmiechy, oklaski, omal że nie gwizdanie; ale już w sekundę później słychać było i inne głosy:

- Patrzcie, jaka piękna! - krzyczano w tłumie.

- Nie ona pierwsza i nie ona ostatnia!

- Ślub wszystko pokrywa, durnie!

- Spróbujcie znaleźć drugą taką, hura! - krzyczeli najbliżsi.

- Księżna! Duszę bym diabłu sprzedał za taką księżnę! - zawołał jakiś kancelista. - ”Za cenę życia jedną noc!...”

Nastasja Filipowna rzeczywiście wyszła blada jak chusta; ale jej duże czarne oczy, zwrócone na tłum, jarzyły się jak rozpalone węgle; tego właśnie wzroku tłum nie wytrzymał; oburzenie zamieniło

się w okrzyki zachwytu. Już otworzyły się drzwiczki karety, już Keller podał pannie młodej rękę, kiedy ona raptem krzyknęła i rzuciła się z ganku prosto w tłum. Wszyscy, co ją odprowadzali, osłupieli ze zdumienia, tłum rozstał się przed nią i o pięć czy sześć kroków od ganku ukazał się nagle Rogożyn. Jego to spojrzenie pochwyciła w tłumie Nastasja Filipowna. Podbiegła ku niemu jak szalona i schwyciła go za obie ręce.

- Ratuj mnie! Zabierz mnie stąd! Dokąd chcesz, natychmiast !

Rogożyn porwał ją prawie na ręce i niemal zaniósł do karety. Następnie w mgnieniu oka wyjął z portmonetki sturublowy banknot i podał go stangretowi.

- Na kolej, a jak zdążysz na pociąg, to dam jeszcze stówkę!

Sam wskoczył do karety za Nastasją Filipowną i zatrzasnął drzwiczki. Stangret nie wahał się ani chwili - zaciął konie. Keller tłumaczył potem wszystko zaskoczeniem: „Jeszcze sekunda, a już bym się zorientował i nie dopuściłbym!” - upewniał opowiadając o tym, co zaszło. Razem z Burdowskim złapał jakiś powóz i rzucił się w pogoń, ale po drodze rozmyślił się, bo „po pierwsze, było za późno, a po drugie, siłą nikogo się nie zawróci”!

- I księżę z pewnością nie zechce! - zdecydował wstrząśnięty do głębi Burdowski.

A Rogożyn i Nastasją Filipowną dojechali do stacji w sam czas. Wyszędłszy z karety Rogożyn już prawie przed odjazdem pociągu zdążył jeszcze zatrzymać jakąś przechodzącą dziewczynę w znoszonej, ale dość jeszcze porządnej mantyli i w fularowej chustce na głowie.

- Czy weźmie pani pięćdziesiąt rubli za swoją mantylę? - podał jej nagle pieniądze. Zanim dziewczyna zdążyła się zdziwić, zanim zdołała coś zrozumieć, już jej wsunął w rękę pięć - dziesięciorublowy papierek, zdjął z niej mantylę wraz z chustką i narzucił to wszystko na ramiona i na głowę Nastasji Filipowny. Jej nazbyt wspaniałe strój rzucał się każdemu w oczy, zwróciłby uwagę wszystkich podróżnych w wagonie, i dziewczyna potem dopiero rozumiała, po co od niej kupiono, z takim dla niej zyskiem, ten stary bezwartościowy łachman.

Wiadomość o tym, co się stało, dotarła do cerkwi z niezwykłą szybkością. Kiedy Keller przeciskał się do księcia, mnóstwo ludzi, zupełnie mu nie znanych, podbiegało do niego z pytaniami. Prowadzono głośne rozmowy, kiwano głowami, śmiano się nawet; nikt nie wychodził z cerkwi, wszyscy czekali, jak przyjmie wiadomość pan młody. Księżę zbladł, ale przyjął wiadomość spokojnie, wyrzekłszy kilka ledwo dosłyszalnych słów: „Obawiałem się tego; nie myślałem jednak, że to się stanie...”, a po chwili milczenia dodał: „Zresztą... w jej sytuacji... jest to zupełnie zrozumiałe”. Taki stosunek do tego zajścia sam Keller nazwał później „bezprzykładną filozofią”. Księżę wyszedł z cerkwi spokojny i rześki na pozór; tak przynajmniej wielu zauważyło i opowiadało potem. Zdawało się, że pragnął jak najszybciej dostać się do domu i uciec od ludzi; ale mu na to nie pozwolono. Zaraz za nim weszło do pokoju kilku tych, co byli zaproszeni, między innymi Pticyń, Gawriła Ardalionowicz i doktor, również nie mający zamiaru wyjść. Ponadto cały dom był dosłownie obleżony przez tłum gapiów. Już na tarasie usłyszał księżę, jak Keller i Lebediew wszczęli okropną kłótnię z jakimiś nieznanymi, chociaż wyglądającymi na urzędowe, osobami, które za wszelką cenę chciały się dostać na taras. Księżę podszedł do kłócących się, zapytał, o co chodzi, i

grzecznie odsunawszy Kellera i Lebediewa, zwrócił się bardzo uprzejmie do siwego i dość korpulentnego jegomościa, który stał na stopniach ganku na czele kilku innych amatorów sensacji, i poprosił go, aby był łaskaw wejść do środka. Jegomość trochę się skonfundował, ale wszedł; za nim weszło jeszcze kilku. W całym tłumie znalazło się siedmiu czy ośmiu chętnych do złożenia wizyty księciu; wszyscy oni, wchodząc, starali się to robić możliwie swobodnie; więcej takich amatorów jednak nie było i wkrótce w tłumie rozległy się głosy potępiające tych intruzów. Przybyłych posadzono, zaczęła się rozmowa, podano herbatę - wszystko to nadzwyczaj przyzwoicie, skromnie, ku wielkiemu zdziwieniu gości. Niektórzy z nich oczywiście próbowali skierować rozmowę na „właściwy” temat, żeby uczynić ją bardziej wesołą; ten i ów zadał niedelikatne pytanie; zrobiono kilka „dziarskich” uwag. Księżę odpowiadał wszystkim z taką prostotą i życzliwością, a zarazem z taką godnością, z takim zaufaniem do rozsądku i taktu swoich gości, że niedyskretne pytania same przez się ucichły. Rozmowa zaczęła się po trochu stawać poważna. Jeden z obecnych, uczepliwszy się jakiegoś wyrazu, poprzysiągł nagle, w okropnym oburzeniu, że nie sprzeda majątku, cokolwiek by się zdarzyło: że, przeciwnie, będzie czekał i doczeka się, i że „przedsiębiorstwa są lepsze niż pieniądze”; „na tym, proszę szanownego pana, polega mój system ekonomiczny, jeśli pan chce wiedzieć”. Ponieważ zwracał się do księcia, księżę zaczął go chwalić z zapalem, mimo iż Lebediew szeptał mu do ucha, że ten „dziedzic” jest goły jak święty turecki i nigdy żadnego majątku nie posiadał. Minęła prawie godzina, wypito herbatę i po herbacie gościom zrobiło się nareszcie wstyd, że tak długo siedzą u księcia. Doktor i siwy jegomość serdecznie pożegnali się z księciem; wszyscy inni też się żegnali gorąco i hałaśliwie. Wypowiadano życzenia i uwagi, takie na przykład, że „przejmować się nie ma czym, a może nawet to wszystko obróci się na lepsze” itd. Próbowano wprawdzie zażądać szampana, ale starsi goście powstrzymali młodszych. Kiedy wszyscy się rozeszli, Keller nachylił się do Lebediewa i powiedział: „My to od razu krzyk, bójka; potem - policja, kompromitacja; a on pozyskał sobie nowych przyjaciół, i to jakich jeszcze; ja ich znam!” Lebediew, który był prawie „gotowy”, westchnął i rzekł: „Utaił przed mędrcami, a wyjawiał niemowlętom, mówiłem to o nim już dawniej, ale teraz dodam, że i dziecię samo Pan Bóg zachował, wybawił od czeluści piekielnych. On i wszyscy święci Jego!”

Wreszcie, około wpół do jedenastej, pozostawiono księcia samego; bolała go głowa; najpóźniej ze wszystkich wyszedł Kola, który pomógł księciu zmienić strój ślubny na codzienne ubranie. Rozstali się z wielką serdecznością. Kola nie mówił zbyt wiele o tym, co zaszło, ale obiecał przyjść nazajutrz możliwie najwcześniej. On też zaświadczył później, że księżę przy tym ostatnim pożegnaniu nie uprzedził go o niczym, czyli że nawet przed nim ukrył swoje zamiary. Niebawem w całym domu nie został prawie nikt: Burdowski poszedł do Hipolita, Keller i Lebediew udali się dokądś. Tylko Wiera Lebediew pozostawała jeszcze przez pewien czas w mieszkaniu, doprowadzając je naprędce do normalnego codziennego wyglądu. Wychodząc zajrzała do księcia. Siedział przy stole, oparty na nim obydwoma łokciami, z głową ukrytą w dłoniach. Cichutko podeszła do niego i dotknęła jego ramienia; księżę spojrzał na nią ze zdziwieniem i jakby usiłował sobie przypomnieć; ale przypomniawszy sobie wszystko i zorientowawszy się, popadł nagle w głębokie wzruszenie. Wszystko zresztą skończyło się na usilnej i gorącej prośbie do Wieri, żeby nazajutrz rano, przed pierwszym pociągami, o siódmej, zapukano do jego pokoju. Wiera przyrzekła; księżę zaczął ją gorąco prosić, aby nikomu o tym nie mówiła; przyrzekła i to również; wreszcie, kiedy już całkiem otworzyła drzwi, żeby wyjść, księżę zatrzymał ją po raz trzeci, ujął za rękę, ucałował je, potem pocałował ją w czoło i z jakimś „nadzwyczajnym” wyrazem twarzy powiedział: „Do jutra!” Tak przynajmniej opowiadała potem Wiera. Odeszła w wielkim o niego strachu. Rano nabrała nieco

otuchy, gdy o siódmej, zgodnie z umową, zapukała do jego drzwi i oznajmiła, że pociąg do Petersburga odejdzie za kwadrans; wydało się jej, że otwierając drzwi miał rześką, a nawet uśmiechniętą minę. W nocy prawie się nie rozbierał, jednak spał. Oświadczył, że prawdopodobnie wróci tego samego dnia. Wynikało z tego, że uznał za możliwe i niezbędne tylko jej jednej zakomunikować w owej chwili, że udaje się do miasta.

XI

Po upływie godziny był już w Petersburgu, a o dziesiątej dzwonił do Rogożyna. Wszedł wejściem frontowym; długo mu nie otwierano. Na koniec otworzyły się drzwi od mieszkania matki i ukazała się stara, schludna służąca.

- Parfiena Siemionowicza nie ma w domu - oznajmiła z progu. - Pan do kogo?

- Do Parfiena Siemionowicza.

- Nie ma go.

Służąca spoglądała na księcia z niezwykłą ciekawością.

- Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy nocował w domu? I... czy sam wczoraj wrócił?

Służąca wciąż mu się przypatrywała, ale nie odpowiadała.

- Czy nie była tu z nim... wczoraj... wieczorem... Nastasja Filipowna?

- A pozwoli pan, że zapytam, jak pana godność?

- Książę Lew Nikołajewicz Myszkina, znamy się bardzo dobrze.

- Pana nie ma w domu. Służąca spuściła oczy.

- A Nastasji Filipowny?

- Nic o tym nie wiem, proszę wielmożnego pana.

- Zaraz, zaraz! A kiedy pan wróci?

- Tego też nie wiem. Drzwi się zamknęły.

Książę postanowił przyjść za godzinę. Zajrzawszy na podwórze, spotkał dozorcę.

- Czy Parfien Siemionowicz jest w domu?

- Jest.

- Dlaczegoż mi przed chwilą powiedziano, że go nie ma?

- W mieszkaniu panu powiedzieli?

- Nie, służąca jego matki; a do Parfiena Siemionowicza dzwoniłem i nikt mi nie otworzył.

- Może i wyszedł - rzekł po namyśle stróż - nie opowiada się przecie, jak wychodzi. A czasem to i klucz z sobą zabierze, i pokoje po trzy dni bywają zamknięte.

- A wczoraj... wiesz na pewno, że był w domu?

- Był. Nieraz wejdzie frontowymi drzwiami, to się go nie zobaczy.

- A Nastasja Filipowna nie była z nim wczoraj ?

- Tego nie wiem, proszę wielmożnego pana. Rzadko kiedy raczy do nas zajrzeć; przecie by się wiedziało, jakby się pokazała.

Książę wyszedł i przez pewien czas chodził zamyślony po trotuarze. Okna pokojów, gdzie mieszkał Rogożyn, były wszystkie pozamykane; okna zaś w mieszkaniu jego matki prawie wszystkie otwarte; dzień był słoneczny, gorący; książę przeszedł przez ulicę na przeciwległy chodnik i przystanął, aby raz jeszcze spojrzeć na okna: nie tylko były pozamykane, ale nawet wszędzie zasłonięte roletami.

Stał chwilę i - rzecz dziwna - wydało mu się nagle, że brzeg jednej rolety uniósł się nieco, mignęła twarz Rogożyna, mignęła i znikła w tym samym momencie. Poczekał jeszcze chwilę i już chciał iść i dzwonić znowu, ale się rozmyślił i odłożył to na później: „Kto wie, może mi się tak tylko przywidziało...”

Przede wszystkim śpieszył się teraz do Pułku Izmajłowskiego, do dawnego mieszkania Nastasji Filipowny. Wiedział bowiem, że przeprowadziwszy się przed trzema tygodniami na jego prośbę z Pawłowska, zamieszkała w Pułku Izmajłowskim u swojej dawnej dobrej znajomej, wdowy po nauczycielu, czcigodnej osoby z liczną rodziną, wynajmującej część swego mieszkania, kilka ładnie umeblowanych pokojów, i prawie z tego tylko się utrzymującej. Było wielce prawdopodobne, że Nastasja Filipowna, przenosząc się znowu do Pawłowska, zatrzymała sobie to mieszkanie; według wszelkiego prawdopodobieństwa musiała tu przynajmniej zanocować, gdyż tu ją niewątpliwie przywiózł wczoraj Rogożyn. Książę wsiadł do dorożki. Po drodze przyszło mu do głowy, że stąd właściwie należałoby zacząć, gdyż trudno było przypuścić, żeby Nastasja Filipowna w nocy pojechała wprost do Rogożyna. Przypomniały mu się też słowa dozorczy, że rzadko kiedy tam zaglądała. Jeżeli i tak nieczęsto tam bywała, to z jakiej racji miałyby się teraz tam zatrzymać? Pociuszając się tymi rozważaniami książę przyjechał wreszcie do Pułku Izmajłowskiego, na pół żywy.

Ku wielkiemu jego przerażeniu u wdowy po nauczycielu nie tylko nie słyszano ani wczoraj, ani dzisiaj o Nastasji Filipownie, ale wszyscy wybiegli patrzeć na niego jak na jakieś dziwne zjawisko. Cała nader liczna rodzina wdowy - same dziewczynki i podlotki w wieku od siedmiu do piętnastu lat - wysypała się za matką, żeby otoczyć księcia i wpatrywać się w niego z otwartymi ustami. Za nimi wyszła ich ciotka, chuda, żółta, w czarnej chuście, a w końcu ukazała się babka, zgrzybiała staruszka w okularach. Nauczycielka bardzo prosiła księcia, żeby wszedł i spoczął, co też książę uczynił. Od razu się domyślił, że wszyscy tutaj doskonale wiedzą, kim on jest, że wiedzą dobrze, iż wczoraj miał się odbyć jego ślub, i umierają z chęci wybadania go i co do ślubu, i co do tej okoliczności, iż oto on ich wypytuje o tę, która teraz powinna być z nim razem w Pawłowsku, ale że się krępują. Pokrótce

zaspokoił ich ciekawość co do wesela. Nastąpiły okrzyki pełne zdziwienia, musiał więc opowiedzieć im resztę, w ogólnych zarysach, rzecz prosta. Wreszcie konsylium nader mądrych i podnieconych pań orzekło, że trzeba koniecznie i przede wszystkim dopukać się do Rogożyna i od niego zaczerpnąć dokładnych informacji. Jeżeli zaś nie ma go w domu (o czym należy się przekonać) albo gdyby nie zechciał nic powiedzieć, należy udać się do Pułku Siemionowskiego, do pewnej pani, Niemki, znajomej Nastasji Filipowny, mieszkającej tam ze swoją matką: może Nastasja Filipowna, będąc zdenerwowana i pragnąc ukryć się, przenocowała u nich. Książę wstał i pożegnał się w ogromnym przygnębieniu; panie opowiadały potem, że „coś okropnego, jaki był blady”; rzeczywiście, nogi prawie uginały się pod nim. Wreszcie wśród niesamowitego trajkotania zorientował się, że panie postanowiły wspólnie z nim działać i zapytują o jego adres w mieście. Adresu nie miał; poradzono mu, żeby stanął w którymś z hoteli. Książę pomyślał i podał adres swojego dawnego hotelu, tego, w którym przydarzył mu się atak epilepsji. Następnie udał się znów do Rogożyna. Tym razem nie tylko nie otworzono mu u Rogożyna, ale nie otworzyły się też drzwi od mieszkania jego matki. Książę zszedł do stróża i z trudem odszukał go na podwórzu; stróż był czymś zajęty i ledwie mu odpowiadał, ledwie na niego spojrzał, jednak oświadczył stanowczo, że Parfien Sieminowicz „wyszedł raniusieńko, pojechał do Pawłowska i do domu dzisiaj nie wróci”.

- Poczekam; może przyjedzie pod wieczór.

- A może go i cały tydzień nie będzie, kto go tam wie.

- Więc jednak dzisiaj nocował?

- Nocować nocował...

Wszystko to wyglądało jakoś podejrzanie i oszukańczo. Bardzo możliwe, że dozorca przez ten czas otrzymał nowe instrukcje: przedtem był nawet dosyć gadatliwy, a teraz po prostu odwraca się tyłem. Ale książę postanowił raz jeszcze wstąpić, mniej więcej za dwie godziny, i nawet podyżuować koło domu, jeśli zajdzie potrzeba; obecnie pozostawała jeszcze nadzieja, że dowie się czegoś u Niemki, więc czym prędzej pojechał do Pułku Siemionowskiego.

U Niemki jednakże nawet go nie zrozumiano. Z niektórych słówek, które się wymknęły pięknej Niemce, mógł się nawet domyślić, że pani ta przed dwoma tygodniami pokłóciła się z Nastasją Filipowną, toteż przez cały czas nic o niej nie słyszała i wszelkimi siłami dawała teraz do zrozumienia, że nawet nie chce słyszeć, „choćby ta pani wyszła sobie za wszystkich książąt świata”. Książę czym prędzej zabrał się i poszedł. Między innymi przyszło mu na myśl, że Nastasja Filipowną pojechała tak jak wówczas do Moskwy, a Rogożyn oczywiście za nią lub nawet z nią. „Żeby znaleźć bodaj jakikolwiek ślad!” Przypomniał sobie jednak, że musi stanąć w zajeździe, i pośpieszył na Litiejną; tam od razu dostał pokój. Służący zapytał go, czy zechce coś przekąsić; odpowiedział w roztargnieniu, że i owszem, a połapawszy się, zły był okropnie na siebie, że przekąska zajęła mu nadprogramowe pół godziny; dopiero potem doszedł do wniosku, że nikt mu nie bronił zostawić i nie jeść podanej przekąski. Dziwne uczucie obleciało go w tym dusznym i mrocznym korytarzu, uczucie, które w sposób męczący dążyło do przeobrażenia się w jakąś myśl; ale książę ani rusz nie mógł odgadnąć, na czym miała polegać ta nowa, narzucająca się myśl. Wyszedł wreszcie z hotelu w stanie zupełnie) prostracji duchowej; w głowie miał zamęt, więc - dokądże jednak powinien jechać? Czym prędzej udał się znów do Rogożyna.

Rogożyn nie wracał, na dzwonek nikt nie otwierał; książe zadzwonił do mieszkania staruszki, matki Rogożyna; otworzono mu i oświadczone to samo: że Parfiena Siemionowicza nie ma i nie będzie pewno ze trzy dni. Księcia przyprawiała o zmieszanie ta niezwykła ciekawość, z jaką znowu mu się tutaj przyglądano. Stróża tym razem nie znalazł wcale. Poszedł więc tak jak poprzednio na przeciwległy trotuar, patrzył na okna i chodził tak z pół godziny, a może i więcej, po strasznej spiekocie; ale teraz nic się nie poruszyło; okna się nie otworzyły, białe rolety były nieruchome. Ostatecznie więc doszedł do wniosku, że z pewnością i przedtem uległ tylko halucynacji; że nawet okna te według wszelkiego prawdopodobieństwa były tak zamglone i tak dawno nie myte, że byłoby trudno cokolwiek przez nie rozpoznać, gdyby ktoś naprawdę wyjrzał przez szybę. Ucieszony tą myślą, książe pojechał znów do wdowy zamieszkującej w Pułku Izmajłowskim.

Tam już na niego czekano. Wdowa była już tu i ówdzie, zaglądała nawet do Rogożyna: ani słychu, ani widu. Książe w milczeniu wysłuchał jej relacji, wszedł do pokoju, usiadł na kanapie i zaczął patrzeć na wszystkich, jakby nie rozumiejąc, o czym do niego mówią. Dziwna rzecz: to był nadzwyczaj spostrzegawczy, to znów stawał się nagle roztargniony do niemożliwości. Cała rodzina twierdziła potem, że był tego dnia „nad podziwienie” jakiś osobliwy, tak iż „zapewne już wtedy wszystko się zaczęło”. Wreszcie wstał i poprosił, żeby mu pokazano pokoje Nastasji Filipowny. Były to dwa duże, jasne, wysokie pokoje, bardzo przyzwoicie umeblowane i bynajmniej nie tanie. Wszystkie trzy panie opowiadały później, że książe oglądał w pokojach każdy przedmiot; ujrawszy na stoliku otwartą książkę z czytelni, romans francuski pod tytułem Madame Bovary, zagiął róg stronicy, na której książka była otwarta, poprosił, aby mu pozwolono wziąć ją z sobą, i nie wysłuchawszy objaśnienia, że to książka z czytelni, wsadził ją do kieszeni. Siadł przy otwartym oknie i zobaczywszy stolik do kart, zapisany kredą, spytał, kto grał. Panie powiedziały mu, że to Nastasja Filipowna grała co wieczór z Rogożynem w durnia, preferansa, młynarza, wista - w różne gry, i że karty zjawily się dopiero pod sam koniec, po przeprowadzce z Pawłowska do Petersburga, gdyż Nastasja Filipowna ciągle narzekała, że się nudzi i że Rogożyn przesiaduje po całych wieczorach, milczy i o niczym nie potrafi mówić, i często płakała; i raptem następnego wieczoru Rogożyn wyjmując z kieszeni karty; Nastasja Filipowna roześmiała się i zaczęli grać. Książe spytał, gdzie są karty, którymi grali. Ale okazało się, że kart nie ma: przywoził je zawsze Rogożyn w kieszeni, codziennie nową talię, a potem zabierał z sobą.

Panie te poradziły księciu, żeby pojechał jeszcze raz do Rogożyna i jeszcze raz zapukał jak najmocniej do drzwi, ale nie zaraz, tylko już pod wieczór: „może coś z tego wyjdzie”. Sama zaś wdowa zaofiarowała się pojechać tymczasem do Pawłowska, do Darii Aleksiejewny: „może tam coś wiedzą?”. Księcia proszono, żeby pofatygował się o dziesiątej wieczorem, celem ewentualnego umówienia się na dzień następny. Mimo wszelkich pocieszeń i perswazji, księcia ogarnęła zupełna rozpacz. Pogrążony w niewymownym smutku, doszedł piechotą do swojego zajazdu. Upalny, zakurzony, duszny Petersburg dławił go jak w kleszczach; książe przeciskał się pomiędzy prostakami i pijakami, bez celu wpatrywał się w twarze przechodniów; zaszedł o wiele dalej, niż należało; było już prawie ciemno, kiedy znalazł się w swoim pokoju w zajęździe. Postanowił trochę odpocząć i potem iść znowu do Rogożyna; usiadł na kanapie, wsparł się obydwoma łokciami na stole i zamyślił się głęboko.

Myślał Bóg wie jak długo i Bóg wie o czym. Bał się wielu rzeczy i czuł, boleśnie i męcząco, że boi się okropnie. Przypomniała mu się Wiera Lebiediew; potem przyszło mu do głowy, że może

Lebiediew wie coś w tej sprawie, a jeżeli nie wie, to może się dowiedzieć prędzej i łatwiej niż on. Następnie przypomniał sobie Hipolita i to, że Rogożyn jeździł do Hipolita. Potem jak żywy stanął mu w pamięci sam Rogożyn: niedawno na pogrzebie, potem w parku, potem - nagle w tym korytarzu, kiedy się schował wtedy w kącie i z nożem czatował na niego. Przypomniały mu się teraz jego oczy, które patrzyły wtedy z ciemności. Drgnął: dawna, narzucająca mu się myśl na nowo go opanowała.

Polegała ona po części na tym, że jeżeli Rogożyn jest w Petersburgu, to chociażby się nawet przez pewien czas ukrywał, musi wreszcie przyjść do niego, do księcia, w złym czy dobrym zamiarze, bodaj nawet tak jak wtedy. Gdyby zaś Rogożyn musiał tu po co przyjść, nie miałby nawet innej drogi jak tylko ta - przez ten korytarz. Adresu nie zna; może więc pomyśleć, że ksiązę zatrzymał się w tym samym zajeździe; w każdym razie spróbuje go tu znaleźć... jeżeli już tak bardzo będzie mu na tym zależało? A kto wie, może właśnie będzie mu zależało?

Tak myślał i myśl ta wydawała mu się nie wiadomo dlaczego całkiem prawdopodobna. Za nic nie uświadomiłby sobie, gdyby zaczął zgłębiać swoją myśl: „Dlaczego na przykład Rogożynowi ma tak koniecznie zależeć na spotkaniu z nim i dlaczego nawet mowy nie może być o tym, żeby się obaj wreszcie nie zetknęli z sobą?” Ale myśl była ciężka: „Jeżeli mu jest dobrze, to nie przyjdzie - snuł dalej swoje rozważania ksiązę - przyszedłby raczej wtedy, gdyby mu było źle, a przecież na pewno jest mu źle...”

Oczywiście opierając się na takim przeświadczeniu, należało siedzieć w pokoju i czekać na przyjście Rogożyna; ksiązę jednak nie mógł znieść tej swojej nowej myśli, zerwał się, chwycił kapelusz i wybiegł. Na korytarzu było już prawie ciemno: „Co będzie, jeżeli on teraz wyjdzie z tamtego kąta i zatrzyma mnie przy schodach?” - przemknęło mu przez głowę, kiedy się zbliżał do znanego miejsca. Ale nikt się nie pokazał. Ksiązę zszedł do bramy, wyszedł na trotuar, popatrzył ze zdziwieniem na gęstą ciżbę ludzi, którzy o zachodzie słońca wylegli na ulicę (jak zwykle w Petersburgu podczas lata), i udał się w kierunku ulicy Grochowej. O jakieś pięćdziesiąt kroków od zajazdu, na pierwszym skrzyżowaniu ulic, w tłumie, ktoś nagle ujął go za łokieć i półgłosem odezwał się nad samym uchem:

- Chodź, bracie, ze mną; jesteś potrzebny.

Był to Rogożyn.

Rzecz dziwna: ksiązę z radości zaczął mu nagle opowiadać, bełkocząc i prawie nie wymawiając do końca słów, o tym, jak to on teraz czekał na niego w zajeździe, na korytarzu.

- Byłem tam - odrzekł niespodziewanie Rogożyn - chodźmy.

Ksiązę zdziwił się tą odpowiedzią, ale zdziwił się dopiero po upływie jakichś dwóch minut, kiedy ją zrozumiał. Zrozumiawszy odpowiedź, przestraszył się i zaczął się przypatrywać Rogożynowi. Ten szedł już prawie o pół kroku naprzód, patrząc wprost przed siebie i nie zwracając uwagi na przechodniów, tylko z machinalną ostrożnością ustępując im z drogi.

- Dlaczego nie zajrzałeś do mnie do pokoju... jeżeli byłeś w zajeździe? - spytał nagle ksiązę.

Rogożyn zatrzymał się, popatrzył na niego, pomyślał i jakby wcale nie rozumiawszy pytania, powiedział:

- Wiesz co, Lwie Nikołajewiczu, idź prosto aż do samego domu, rozumiesz? A ja pójdę po tamtej stronie. Tylko spoglądaj od czasu do czasu, żebyśmy razem...

Wyrzekłszy to, przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął na przeciwległym trotuarze, popatrzył, czy książę idzie, i widząc, że stoi i patrzy na niego uporczywie, pokazał ręką w stronę ulicy Grochowej i poszedł, oglądając się co chwila na księcia i dając mu znaki, by dążył za nim. Był najwidoczniej zadowolony, stwierdziwszy, iż książę zrozumiał go i nie przechodzi do niego przez ulicę. Księżu przyszło do głowy, że Rogożyn chce kogoś wypatrzeć i nie przepuścić go po drodze i że dlatego przeszedł na drugi trotuar. „Ale dlaczego w takim razie nie powiedział, kogo trzeba wypatrywać?” W ten sposób uszli może z pięćset kroków i książę zaczął nagle nie wiadomo dlaczego drżeć; Rogożyn, wprawdzie rzadziej, nie przestawał się jednak oglądać; książę nie wytrzymał i skinął na niego ręką. Rogożyn natychmiast przeszedł przez ulicę do księcia.

- Czy Nastasja Filipowna jest u ciebie?

- Tak.

- A czy to ty niedawno patrzyłeś na mnie przez szybę zza rolety?

- Ja...

- No więc jakże...

Ale książę nie wiedział, co mówić dalej i jak zakończyć pytanie; przy tym serce biło mu tak mocno, że z trudnością mówił. Rogożyn też milczał i patrzył na niego po dawnemu, to znaczy jakby w zamyśleniu.

- No, pójdę - powiedział nagle, zbierając się znów do przejścia na drugą stronę ulicy - a ty sobie idź. Bądźmy na ulicy osobno... tak będzie lepiej... po dwóch stronach... zobaczysz.

Kiedy wreszcie skręcili z dwóch różnych chodników na ulicę Grochową i zaczęli zbliżać się do domu Rogożyna, książę poczuł, że nogi zaczynają mu znów odmawiać posłuszeństwa, i prawie już nie mógł iść. Była dziesiąta wieczór. Okna w mieszkaniu staruszki były, jak i poprzednio, pootwierane, a u Rogożyna zamknięte, i o zmierzchu jakby jeszcze widoczniejsze zrobiły się opuszczone białe rolety. Książę podszedł do domu z przeciwległego trotuaru; Rogożyn zaś ze swojego trotuaru wszedł na ganek i machał na niego ręką. Książę również wszedł na ganek.

- Nawet stróż teraz nie wie, że wróciłem do domu. Powiedziałem jeszcze przed tym, że jadę do Pawłowska, i matce powiedziałem to samo - wyszeptał z chytrym i prawie zadowolonym uśmiechem. - Wejdziemy tak, że nikt nie usłyszy.

W rękach już miał klucz. Wchodząc na schody odwrócił się i pogroził księżu, każąc mu stąpać jak najciszej; cichutko otworzył drzwi od swoich pokojów, wpuścił księcia, ostrożnie wszedł za nim, zamknął za sobą drzwi i włożył klucz do kieszeni.

- Chodźmy - powiedział szeptem.

Już na trotuarze na Litiejnej zaczął mówić półgłosem. Mimo swego pozornego spokoju odczuwał jakąś głęboką wewnętrzną trwogę. Kiedy weszli do dużego salonu, przed samym gabinetem, zbliżył się do okna i kiwnął tajemniczo na księcia:

- Jakiś niedawno zadzwonił do mnie, od razu się połapałem, że to właśnie ty; podszedłem do drzwi na palcach i słyszę, że rozmawiasz z Pafnutiewną, a ja jej już o świcie zapowiedziałem: jeżeli ty zaczniesz do mnie stukać albo ktoś od ciebie, albo ktokolwiek w ogóle - niech się pod żadnym pozorem nie wygada, że ja jestem; szczególnie jeżeli ty sam przyjdiesz się dowiadywać... wymieniłem jej twoje nazwisko. A potem, jak wyszedłeś, zaświtało mi w głowie: a może on teraz stoi i wypatruje albo pilnuje z ulicy? Podszedłem do tego okna, odsunąłem roletę, patrzę, a ty tam stoisz i oczy masz utkwione we mnie... Tak się ta sprawa przedstawiała.

- Gdzież jest... Nastasja Filipowna? - spytał księżę zdławionym głosem.

- Tutaj - rzekł Rogożyn, jakby zwlekając z odpowiedzią.

- Gdzie mianowicie?

Rogożyn podniósł oczy na księcia i badawczo mu się przyjrzał.

- Chodźmy...

Wciąż mówił szeptem, nie śpiesząc się, powoli i, tak jak przedtem, w dziwnym zamyśleniu. Nawet gdy opowiadał o rolocie, to tak jak gdyby opowiadaniem swoim chciał wyrazić coś innego, mimo iż mówił bardzo wylewnie.

Weszli do gabinetu. W pokoju tym od czasu bytności księcia zaszły pewne zmiany: przez całą długość pokoju przeciągnięta była kotara z zielonej, jedwabnej, sztofowej tkaniny, z dwoma wejściami po obu końcach, oddzielająca od właściwego gabinetu alkowę, w której Rogożyn sypiał. Ciężka kotara była spuszczone i wejścia zamknięte. Ale w pokoju było bardzo mroczno; letnie „białe” petersburskie noce zaczynały już ciemnieć i gdyby nie pełnia księżyca, to w niezbyt zazwyczaj widnych pokojach Rogożyna przy opuszczonych roletach trudno byłoby cokolwiek dojrzeć. Co prawda, można było jeszcze rozróżnić twarze, chociaż niezbyt wyraźnie. Rogożyn miał twarz jak zwykle bladą; oczy jego patrzyły na księcia badawczo, błyszczały mocno, ale zarazem były dziwnie nieruchome.

- Może zapaliłbyś świecę? - rzekł księżę.

- Nie, nie trzeba - odpowiedział Rogożyn i wzięwszy księcia za rękę przygiął go do krzesła; sam usiadł naprzeciwko, przysunąwszy krzesło tak, że kolanami prawie dotykał księcia. Pomiędzy nimi nieco z boku stał mały okrągły stolik. - Siadaj, posiedzimy tymczasem! - powiedział Rogożyn jakby tonem namowy. Minutę może milczeli. - Wiedziałem, że się zatrzymasz w tym samym zajeździe - zaczął mówić tak, jak to się czasem zaczyna: od ubocznych szczegółów, nie mających bezpośredniego

związku z głównym tematem rozmowy. - Kiedy wszedłem na korytarz, to sobie pomyślałem, że może właśnie siedzisz i czekasz na mnie, tak jak ja w tej chwili czekam na ciebie. A u wdowy byłeś?

- Byłem - ledwo zdołał wypowiedzieć książę wskutek silnego bicia serca.

- To też mi przyszło do głowy. Myślę sobie... może tam będzie dłuższa rozmowa; a potem znowu myślę: przyprowadzę go tutaj na noc, żeby razem nocować...

- Rogożyn! Gdzie jest Nastasja Filipowna? - wyszeptał nagle książę i wstał drżąc na całym ciele. Wstał i Rogożyn.

- Tam - szepnął skinąwszy głową w stronę kotary.

- Śpi? - szepnął książę.

Rogożyn znów, jak przedtem, obrzucił go badawczym wzrokiem.

- No to chodźmy!... Tylko ty... no, więc chodźmy! Uniósł portiery, przystanął i zwrócił się znów do księcia:

- Wejdz! - 4 - powiedział, zapraszając księcia ruchem ręki. Książę wszedł.

- Ciemno tu - zauważył.

- Widać! - mruknął Rogożyn.

- Ledwo widzę... łóżko.

- Podejdz bliżej - zaproponował cicho Rogożyn.

Książę postąpił kilka kroków i stanął. Przez chwilę stał i patrzył; obydwaj, stojąc przy łóżku, nie odezwali się przez cały czas ani słowem; księciu tak biło serce, że chyba słysząc je było w pokoju wśród śmiertelnej ciszy. Ale wzrok jego już się oswoił z mrokiem tak, że mógł rozróżnić całe łóżko; ktoś spał na nim, leżąc zupełnie nieruchomo; nie słysząc było najmniejszego szmeru, najlżejszego oddechu. Osoba śpiąca przykryta była z głową białym prześcieradłem, kształt całej postaci zarysowywał się jakoś niewyraźnie; ze wzniesienia tylko można było wywnioskować, że to leży wyciągnięty człowiek. Dokoła, na posłaniu, w nogach, na fotelu tuż koło łóżka, nawet na podłodze rozrzucone były w nieładzie części wspaniałej toalety, kosztowna suknia z białego jedwabiu, kwiaty, wstążki. Na małym stoliku obok wezgłowia połyskiwały zdjęte i rozsypane brylanty. W nogach leżały pogniecione jakieś koronki i na tych bielejących słabo koronkach, wystając spod prześcieradła, zarysowywał się koniuszek obnażonej nogi; wydawał się jakby toczony z marmuru i był przerażająco nieruchomy. Książę patrzył i czuł, że im dłużej patrzy, tym ciszej i martwiej robi się w pokoju. Nagle zaczęła brzęczeć obudzona mucha, przeleciała nad łóżkiem i ucichła przy wezgłowiu. Książę drgnął.

- Wyjdzmy - dotknął jego ręki Rogożyn.

Wyszli i znów usiedli na tych samych krzesłach, znów naprzeciwko siebie. Książę drżał coraz silniej i nie spuszczał swojego pytającego wzroku z twarzy Rogożyna.

- Widzę, że się trzęsiesz, Lwie Nikołajewiczu - powiedział nareszcie Rogożyn - prawie tak jak podczas tych twoich przypadłości, pamiętasz w Moskwie? Albo jak raz się zdarzyło przed atakiem. I nawet nie wiem, co ja teraz będę z tobą robił...

Książę słuchał, natężając wszystkie siły, żeby zrozumieć, i wciąż pytał wzrokiem.

- Czy to ty? - wykrztusił w końcu, skinąwszy głową w stronę portierny.

- Tak... to ja... - szepnął Rogożyn i spuścił głowę. Milczeli obaj może z pięć minut.

- Bo jeśli - zaczął nagle mówić dalej Rogożyn, jakby wcale nie przerywał - bo jeśli teraz ma być ta twoja choroba i atak, i będziesz krzyczał, to może jeszcze kto usłyszeć z ulicy albo z podwórza i zmiarkować, że w mieszkaniu nocują ludzie; może kto zapuka, wejdzie... bo tak - to wszyscy myślą, że mnie nie ma w domu. Nawet świecy nie zapalałem, żeby kto z ulicy albo z podwórza nie zobaczył. Jak wyjeżdżam, to zawsze zabieram z sobą klucze i nikt beze mnie po trzy i cztery dni nie wchodzi tutaj sprzątać, tak nakazałem. Więc, żeby się nie dowiedzieli o naszej obecności...

- Poczekaj - powiedział książę - niedawno pytałem i stróża, i tej staruszki, czy nie nocowała tutaj Nastasja Filipowna. Więc ci już wiedzą.

- Wiem, że pytałeś. Powiedziałem Pafnutiewnie, że Nastasja Filipowna przyjechała wczoraj i tego samego dnia odjechała do Pawłowska, a u mnie była tylko dziesięć minut. I nikt nie wie, że tu nocowała - nikt. Wczoraj weszliśmy tak samo cicho, jak dzisiaj z tobą. Jeszcze po drodze myślałem, że z pewnością nie zechce wejść po cichutku - ale gdzie tam! Rozmawiała szeptem, szła na palcach, suknię ogarnęła, żeby nie robić szumu, w rękach ją niosła, a mnie groziła na schodach palcem - tak się ciągle ciebie lękała. W pociągu była całkiem zwariowana, z tego właśnie strachu, i sama chciała tu u mnie zanocować; bo ja najpierw chciałem ją zawieźć do tej wdowy - ale gdzie tam! „U wdowy - powiada - on znajdzie mnie zaraz o świcie, a ty mnie schowasz i o świcie będę mogła pojechać do Moskwy”, a potem chciała gdzieś tam do Orła. I jak się kładła spać, mówiła ciągle, że pojedziemy do Orła...

- Czekaj; co chcesz teraz, jak?...

- Ano medytuję nad tobą, że się tak wciąż trzęsiesz. Tę noc przenocujemy razem. Łóżko tu jest tylko jedno, tamto; więc tak wykombinowałem, że z obydwóch kanap zdejmie się siedzenia i tu, przy kotarze, zrobi się dwa posłania, żeby spać razem. Ponieważ jak wejda, zaczną oglądać mieszkanie, szukać, to zaraz ją zobaczą i wyniosą. A jak mnie zaczną wypytywać, powiem, że to ja, i zaraz mnie zabiorą. Więc niechże ona teraz leży tutaj, przy nas, przy mnie i przy tobie...

- Tak, tak! - potwierdził z przekonaniem książę.

- Czyli że nie przyznawać się i nie dać wynieść.

- Nie, nie! - zdecydował książę. - Za nic w świecie!

- Tak też postanowiłem, bracie, żeby za nic i nikomu jej nie oddawać! Przenocujemy cichutko. Ja dziś wyszedłem z domu tylko na godzinę, z samego rana, a tak - to ciągle byłem przy niej. No i później wieczorem poszedłem po ciebie. Boję się tylko jeszcze, że gorąc wielki i może być czuć. Jest jaki zapach czy nie?

- Może i jest, nie wiem. Do rana z pewnością będzie.

- Przykryłem ją ceratą, dobrą amerykańską ceratą, a na ceracie dopiero położyłem prześcieradło, i postawiłem cztery flaszki odkorkowane, z płynem Zdanowa; stoją tam teraz.

- Tak jak tam... w Moskwie?[150]

- Bo chodzi, bracie, o ten fetor. A ona, jak leży... Zobaczysz rano, przy dziennym świetle. Co ty, nawet wstać nie możesz? - spytał z bojaźliwym zdziwieniem Rogożyn, widząc, iż księżę tak się trzęsie, że niezdolny jest ruszyć się z miejsca.

- Nogi mi odmawiają posłuszeństwa - wymamrotał księżę - to ze strachu, wiem, ze strachu... Wstanę, jak mi strach przejdzie...

- Czekajże, zaraz pościelę, żebyś się mógł położyć... i ja z tobą... i będziemy słuchali... bo ja, bracie, nie wiem jeszcze... ja, bracie, jeszcze wszystkiego nie wiem teraz, więc i tobie mówię zawczasu, żebyś o tym wszystkim zawczasu wiedział...

Bełkocząc te niezrozumiałe słowa, Rogożyn, zaczął przygotowywać posłania. Widać było, że te posłania obmyślił bodaj jeszcze z rana. Ubiegłej nocy położył się sam na kanapie. Ale we dwóch na kanapie położyć się nie mogli, a on koniecznie chciał, żeby spali obok siebie, więc też dlatego z wielkim trudem przeciągnął przez cały pokój, do samego wejścia za kotarę, dwa różnej wielkości siedzenia z obydwóch kanap. Legowiska jakoś zostały urządzone; Rogożyn podszedł do księcia, czule i radośnie ujął go za rękę, pomógł mu wstać i zaprowadził do posłania; okazało się jednak, że księżę mógł chodzić o własnych siłach; to znaczy, że „strach przeszedł”; ale księżę wciąż jeszcze dygotał.

- 7 - Bo widzisz, bracie - zaczął nagle mówić Rogożyn, ułożywszy księcia na lewej, lepszej poduszce i wyciągnąwszy się z prawej strony, w ubraniu, z rękami pod głową - dziś jest okropny gorąc, no i z tego, ma się rozumieć, fetor... A okna boję się otworzyć; w mieszkaniu matki są kwiaty w doniczkach, dużo kwiatów z pięknym zapachem; myślałem, żeby je tu poprzynosić, ale Pafnutiewna zaraz by się połapała, bo ciekawa.

- Bardzo ciekawa - przytaknął księżę.

- Chyba że kupić parę bukietów i obłożyć całą kwiatami? Zdaje mi się, bracie, że smutno będzie w kwiatkach!

- Słuchaj... - spytał księżę, jakby się płacząc, jakby z trudem odnajdując właściwe słowa i natychmiast je zapominając - słuchaj, powiedz mi: czymżeś ty ją? Nożem? Tym samym?

- Tym samym...

- Czekaj no jeszcze! Chcę cię jeszcze spytać... dużo będę pytał, o wszystko... ale powiedz mi najpierw, na samym początku, żebym wiedział: czy chciałeś ją zabić przed moim ślubem, przed wejściem do cerkwi, nożem? Chciałeś czy nie?

- Nie wiem, czy chciałem... - odpowiedział sucho Rogożyn, jakby nawet zdziwiony trochę tym pytaniem i nie rozumiejąc go dobrze.

- A czy nigdy nie przywoziłeś z sobą noża do Pawłowska?

- Nigdy nie przywoziłem... O tym nożu mogę ci tylko tyle powiedzieć. Lwie Nikołajewiczu - dodał po chwili milczenia - że wyjąłem go dzisiaj rano z zamkniętej szuflady, ponieważ wszystko się stało rano, o czwartej. Ten nóż zawsze leżał w książce.... I właśnie, co mnie jeszcze dziwi: tak, można powiedzieć, jakby na półtora... albo nawet na dwa werszki wszedł ten nóż... w samiotką lewą pierś... a krwi, można powiedzieć, najwyżej z pół stołowej łyżki wyciekło na koszulę; więcej nie było...

- To, to to - podniósł się nagle na posłaniu książę, okropnie wzburzony - to, to ja wiem, czytałem... to się nazywa wylew wewnętrzny... Czasami zdarza się, że nie ma ani jednej kropli. Wtedy, jeżeli trafić prosto w serce...

- Czekaj, słyszysz? - przerwał mu szybko i nagle Rogożyn i ze strachu aż usiadł na posłaniu. - Słyszysz?

- Nie! - tak samo szybko i ze strachem powiedział książę, patrząc na Rogożyna.

- Ktoś chodzi! Słyszysz? W dużej sali... Obydwaj zaczęli nasłuchiwać.

- Słyszę - wyszeptał z mocą książę.

- Chodzi?

- Chodzi.

- Zamknąć może drzwi?

- Zamknąć...

Zamknęli drzwi i znów się położyli. Długo milczeli.

- Ach, tak! - szepnął nagle książę tym samym co poprzednio wzburzonym i pośpiesznym szeptem, jak gdyby znów uchwycił jakąś myśl i okropnie się bał, że ją zgubi, i nawet zerwał się z posłania. - Przecież... chciałem te karty!... karty!... Podobno grywałeś z nią w karty?

- Grywałem - rzekł Rogożyn po chwili milczenia.

- Gdzie są... te karty?

- Tu są... - powiedział Rogożyn po jeszcze dłuższym milczeniu. - Masz.

Wyjął używaną, zawiniętą w papier talię i podał ją księciu. Ten wziął, ale jakby ze zdziwieniem. Nowe, smutne i beznadziejne uczucie ścisnęło mu serce; zrozumiał nagle, że i w tej chwili, i od dawna już mówi wciąż nie to, co powinien mówić, i czyni wciąż co innego, niżby należało czynić; i że te karty, które trzyma w rękach i z których tak się ucieszył, nic a nic już teraz nie pomogą. Wstał i załamał ręce. Rogożyn spoczywał nieruchomo, jakby nie słyszał i nie widział jego ruchów; ale oczy jego błyszczały w ciemnościach i były całkiem otwarte i nieruchome. Księżę usiadł na krześle i zaczął ze strachem patrzeć na niego. Minęło może pół godziny; nagle Rogożyn krzyknął na cały głos i wybuchnął śmiechem, jakby zapominając, że trzeba zachowywać ciszę:

- A tego oficera, tego oficera... pamiętasz, jak ona tego oficera przy muzyce rąbnęła, pamiętasz? Cha, cha, cha! Jeszcze ten kadet... kadet... kadet podskoczył...

Księżę zerwał się z krzesła, ogarnięty nowym przerażeniem. Kiedy Rogożyn umilkł (a umilkł nagle), księżę ostrożnie pochylił się nad nim, usiadł obok niego i z wielkim biciem serca, ciężko, zaczął się przyglądać. Rogożyn nie zwracał ku niemu głowy i nawet jakby zapomniał o nim. Księżę patrzył i czekał; czas płynął, zaczynało świtać. Rogożyn wykrzykiwał coś chwilami, głośno, ostro i bezsensownie; z rzadka mamrotał coś i śmiał się; księżę wtedy wyciągał do niego swoją drżącą rękę i łagodnie dotykał jego głowy, jego włosów, głaskał je i głaskał jego policzki... nic więcej nie mógł zrobić! Sam znowu zaczął trząść się i znowu jakby zdrętwiały mu nogi. Jakieś całkiem nowe uczucie smutku boleśnie gniotło mu serce. Tymczasem dzień się już zrobił; księżę przyłożył się na koniec do poduszki, jakby zupełnie wyczerpany i zrozpaczony, i przytulił twarz do bladej, nieruchomej twarzy Rogożyna, ale już pewnie nie czuł swoich łez i nic już o nich nie wiedział...

Kiedy po wielu godzinach drzwi się otworzyły i weszli ludzie, zastali mordercę zupełnie nieprzytomnego i w gorączce. Księżę siedział przy nim bez ruchu na posłaniu i za każdym razem, kiedy chory wybuchał krzykiem albo bredził, spiesznie przesuwając ręką po jego włosach i policzkach, jakby go pieścąc i uciszając. Nic jednak nie rozumiał, o co go pytano, i nie poznawał ludzi, którzy przyszli i otaczali go ze wszystkich stron. I gdyby nawet sam Schneider zjawił się teraz ze Szwajcarii, by spojrzeć na swego dawnego ucznia i pacjenta, to i on, przypomniawszy sobie ten stan, w którym księżę znajdował się niekiedy w pierwszym roku swojej szwajcarskiej kuracji, machnąłby teraz ręką i rzekł tak jak wówczas: „Idiota!”

XII

EPILOG

Wdowa po nauczycielu, przyjechawszy do Pawłowska, udała się wprost do rozstrojonej od wczorajszego dnia Darii Aleksiejewny i opowiedziała jej wszystko, co wiedziała, czym ją do reszty nastraszyła. Obie panie postanowiły skomunikować się natychmiast z Lebidiewem, który był okropnie wzburzony i jako przyjaciel swego lokatora, i jako gospodarz domu. Wiera Lebidiew wyjawiała wszystko, co wiedziała. Idąc za radą Lebidiewa postanowiono udać się w trójkę do Petersburga, żeby jak najprędzej zapobiec temu, „co nawet z wielkim prawdopodobieństwem mogło się zdarzyć”. Wskutek tego nazajutrz przed południem, mniej więcej o jedenastej, pokoje Rogożyna zostały otwarte w obecności policji, Lebidiewa, obydwóch pań i brata Rogożyna, Siemiona Siemionowicza, mieszkającego w oficynie. Do szybkiego sukcesu tej całej operacji walnie przyczyniły się zeznania dozorca, który stwierdził, że wczoraj wieczór widział Parfiena Siemionowicza wchodzącego w towarzystwie gościa przez ganek i jakby ukradkiem. Po tym zeznaniu nie wahano się już ani chwili i wyważono drzwi, które nie otwały się na dzwonek.

Rogożyn dwa miesiące chorował na zapalenie mózgu, a gdy wyzdrowiał - poszedł na śledztwo i pod sąd. Zeznania jego były proste, dokładne i całkiem zadowolające, toteż dzięki nim książe został od razu wyłączony ze sprawy. Rogożyn podczas rozprawy sądowej był bardzo małomówny. Nie zaprzeczał wywodom swojego zręcznego i krasomówczego obrońcy, który w sposób jasny i logiczny dowodził, iż dokonane przestępstwo było wynikiem zapalenia mózgu, a choroba ta zaczęła się jeszcze o wiele dawniej i spowodowała ją liczne i ciężkie zmartwienia podsądnego. Ale podsądny nic od siebie nie dodał na potwierdzenie tej tezy i tak jak przedtem, jasno i ściśle potwierdził i przypomniał wszystkie najdrobniejsze okoliczności tego, co się stało. Skazano go, przy uwzględnieniu okoliczności łagodzących, na Sybir, na piętnaście lat katorgi. Wysłuchał wyroku poważnie, bez jednego słowa i „w zamyśleniu”. Cały ogromny jego majątek oprócz pewnej, stosunkowo niewielkiej części, którą roztrwonił z początku na hulanki, przeszedł na własność jego brata, Siemiona Siemionowicza, ku wielkiemu zadowoleniu tegoż. Staruszka matka żyje nadal i czasem nawet wspomina o ukochanym synku Parfienie, ale niezbyt jasno: Pan Bóg uchronił jej rozum i serce od świadomości straszliwego przestępstwa, dokonanego w jej smutnym domu.

Lebidiew, Keller, Gania, Pticyn i wiele innych osób naszej opowieści żyją jak dawniej, mało się zmienili i prawie nic ciekawego nie mamy o nich do powiedzenia. Hipolit umarł w okropnej męce duchowej i nieco wcześniej, niż się spodziewał : w dwa tygodnie po śmierci Nastasji Filipowny. Kola był głęboko wstrząśnięty wszystkim, co zaszło; ostatecznie zbliżył się z matką. Nina Aleksandrowna martwi się o niego, że jest nad wiek poważny; może wyrośnie z niego porządny człowiek. Po części dzięki jego zabiegom ułożyły się dalsze losy księcia; Kola już dawno wyróżnił spośród tych wszystkich, których - ostatnio poznał, Eugeniusza Pawłowicza Radomskiego; pierwszy poszedł do niego i opowiedział mu wszystkie, jakie znał, szczegóły tragicznego zdarzenia i o obecnej sytuacji księcia. Nie omylił się: Eugeniusz Pawłowicz jak najserdeczniej zajął się losem biednego „idioty” i postarał się wysłać znowu księcia do szwajcarskiego sanatorium Schneidera. Sam Eugeniusz Pawłowicz, który wyjechał za granicę, mając zamiar czas dłuższy spędzić w Europie i otwarcie nazywając siebie „człowiekiem najzupełniej zbytecznym w Rosji” - dosyć często,

przynajmniej kilka razy na rok, odwiedza swojego chorego przyjaciela w Szwajcarii; ale Schneider coraz bardziej chmurzy się i kiwa głową; napomyka o zupełnym rozprzężeniu władz umysłowych; nie mówi jeszcze w sposób zdecydowany o nieuleczalności; ale pozwala sobie na najsmutniejsze aluzje. Eugeniusz Pawłowicz ogromnie się tym przejmując, dowiódł, że ma serce naprawdę czułe, bo odbierając listy od Koli, czasem nawet odpowiada na nie. Poza tym wyszła na jaw jeszcze jedna dosyć oryginalna cecha jego charakteru, a ponieważ jest to cecha niewątpliwie dodatnia, czym prędzej powiemy o niej słów kilka: po każdej bytności w zakładzie Schneidera Eugeniusz Pawłowicz wysyła list nie tylko do Koli, ale jeszcze do pewnej osoby w Petersburgu, drobiazgowo i sympatycznie opisując stan zdrowia księcia w danej chwili. Prócz najbardziej pełnego szacunku oddania w listach tych zaczynają od pewnego czasu (i to coraz częściej) pojawiać się pewne szczere wynurzenia, dotyczące poglądów, pojęć i uczuć - słowem, zaczyna przebijać coś podobnego do przyjaźni, i to do serdecznej przyjaźni. Osobą tą, będącą w korespondencji (niezbyt co prawda ożywionej) z Eugeniuszem Pawłowiczem, osobą, która przyciągnęła do siebie tak zaszczytną jego uwagę i zyskała sobie jego szacunek, jest Wiera Lebediew. Mimo najszczerzych chęci nie udało nam się dokładnie ustalić, w jaki sposób mógł się zawiązać podobny stosunek; początek dała mu niewątpliwie ta cała historia z księciem, z powodu której Wiera Lebediew była tak strasznie przybita, że nawet zachorowała; w jakich jednak okolicznościach powstała ich znajomość i przyjaźń - tego nie wiemy. Wspomnieliśmy zaś o tych listach głównie z tej racji, że niektóre z nich zawierały wiadomości o rodzinie Jepanczynów, a przede wszystkim o Agłai Iwanownie Jepanczyn. W jednym dosyć chaotycznym liście z Paryża pisał o niej Eugeniusz Pawłowicz, że po krótkim i niezwykłym zainteresowaniu się osobą pewnego polskiego emigranta, hrabiego, wzięła z nim nagle ślub wbrew woli rodziców, którzy jeśli w końcu wyrazili zgodę, to tylko dlatego, żeby uniknąć jakiegoś nadzwyczajnego skandalu. Następnie prawie po półrocznym milczeniu Eugeniusz Pawłowicz zawiadomił swoją korespondentkę, znowu pisząc długi i szczegółowy list, że podczas ostatniej swojej bytności u profesora Schneidera w Szwajcarii spotkał się u niego z całą rodziną Jepanczynów (prócz oczywiście Iwana Fiodorowicza, który ze względu na różne interesy pozostał w Petersburgu) i księciem Sz. Spotkanie było dosyć dziwne; wszyscy powitali Eugeniusza Pawłowicza niemal z entuzjazmem; Adelajda i Aleksandra uważały nawet nie wiadomo dlaczego za obowiązek podziękować mu za „tak anielską opiekę nad tym biednym księciem”. Lizawiet Prokofiewna, ujrawszy księcia chorego, w stanie godnym pożałowania, rozplakała się na głos. Najwidoczniej wszystko mu już wybaczone. Księżę Sz. wypowiedział przy tym kilka trafnych i mądrych uwag. Eugeniusz Pawłowicz odniósł wrażenie, iż on i Adelajda niezupełnie się jeszcze zharmonizowali; można było jednak przewidzieć, że w przyszłości Adelajda, tak skłonna zawsze do uniesień, najzupełniej dobrowolnie i z głębi serca podda się rozumowi i doświadczeniu księcia Sz. Poza tym nauka, którą życie dało jej rodzinie, a zwłaszcza ostatnia historia z Agiają i hrabią emigrantem, nadzwyczaj silnie na nią oddziaływała. Wszystko, czego się rodzina obawiała, powierzając Agłaję hrabiemu, sprawdziło się już w ciągu kilku miesięcy, z dodatkiem takich niespodzianek, o których nikt by nawet nie pomyślał. Okalało się, że ten hrabia wcale nie jest hrabią, a jeżeli nawet jest emigrantem, to z jakąś ciemną i dwuznaczną przeszłością. Ujął Agłaję niesłychaną niby szlachetnością swoje) duszy, udręczonej cierpieniami po utracie ojczyzny, i tak oczarował Agłaję, że jeszcze przed zamążpójściem zapisała się do jakiegoś zagranicznego komitetu mającego na celu odbudowę niepodległej Polski, a ponadto dostała się pod wpływ jakiegoś znakomitego księdza katolickiego, który zawładnął jej umysłem i uczynił z niej szaloną fanatyczkę. Olbrzymi majątek hrabiego, o którym on sam opowiadał Lizawiecie Prokofiewnie i księciu Sz. w sposób najbardziej wiarygodny, okazał się fikcją.

Nie dość na tym, w jakieś pół roku po ślubie hrabia i jego przyjaciel, ów znakomity kaznodzieja, zdołali całkiem poróżnić Agłaję z rodziną, tak że Agłaja od kilku miesięcy nie dawała o sobie nawet znaku życia... Słowem, dużo by można było opowiedzieć, jednak Lizawieta Prokofiewna, jej córki, a nawet książę Sz. tak byli już przybici tym całym „terrorem”, że nawet lękali się wspominać o innych rzeczach w rozmowie z Eugeniuszem Pawłowiczem, aczkolwiek uświadamiali sobie, że on i tak zna dobrze dzieje ostatnich uniesień Agłai Iwanowny. Biedna Lizawieta Prokofiewna miała już wielką ochotę wrócić do Rosji i, wedle słów Eugeniusza Pawłowicza, nader zgryźliwie i stronniczo krytykowała przy nim wszystko, co zagraniczne : „Chleba nigdzie jak należy upiec nie potrafią, w zimie marzną jak myszy w piwnicy - mówiła - przynajmniej tu, nad tym biedakiem, wyplakałam się po rosyjsku” - dodała, ze wzruszeniem wskazując księcia, który wcale jej nie poznał. „Dosyć już tej ciągłej uczuciowości, trzeba wreszcie zacząć kierować się rozsądkiem. Wszystko to razem wzięte, ta cała zagranica, ta cała wasza Europa, to tylko fantazja, nic więcej; i my wszyscy za granicą - to tylko fantazja... niech pan zapamięta moje słowa, sam się pan przekona!” - zakończyła niemal gniewnie, żegnając się z Eugeniuszem Pawłowiczem.

OD REDAKCJI

Czas pisania *Idioty* przypada na okres między 14 września 1867 r. i 17 stycznia 1869 r. Pierwsza redakcja utworu powstała między 14 września i 4 grudnia 1867 r. Druga redakcja - po 18 grudnia 1867 r. Była to w istocie nowa powieść z innymi postaciami i inną fabułą. Pierwsze trzy części powieści oraz rozdziały I - VII części czwartej ukazały się w czasopiśmie „Russkij Wiestnik”, 1868, t. 73 - 78. Rozdziały VIII - XII części czwartej ukazały się oddzielnie jako dodatek do tegoż czasopisma w lutym 1869 r.

Pierwsze i jedyne za życia autora wydanie książkowe ukazało się w r. 1874.

Tłumaczenie polskie:

Teodor Dostojewski, *Idiota*, przełożyła z oryginału Helena Grotowska, 1928, Towarzystwo Wydawnicze „Rój” (Teodor Dostojewski, *Dzieła*, seria 2, tom I i II pod redakcją Melchiora Wańkowicza, poprzedzone studium Andrzeja Struga).

Premiera przeróbki scenicznej utworu *Idiota*, w 5 aktach, 6 odsłonach, Hjalmara Meidell wg Dostojewskiego, odbyła się 15 listopada 1924 r. w Krakowie w reżyserii Stanisławy Wysockiej.

PRZYPISY

CZEŚĆ PIERWSZA

[1] Stacja kolejowa na dawnej granicy Prus i Rosji.

[2] W przypisach do wydania rosyjskiego (F. M. Dostojewskij, Sobranije socziniemj, M. 1957, t. 6, s. 721) podano, że w dziele Karamzina Istorija gosudarstwa rossijskiego spotyka się nazwisko Myszkin.

[3] Jednodworcami nazywano w okresie poddaństwa w Rosji chłopów należących do państwa, którzy mieli prawo posiadać niewielkie gospodarstwa (dwór) oraz poddanych.

[4] Tytuł dziedzicznego obywatela honorowego (potomstwiennyj poczotnyj grażdaniin) był nadawany za określone zasługi osobom nie należącym do szlachty, m.in. bogatym kupcom.

[5] Czeti-Miniei - zbiór rosyjskiej literatury cerkiewnej i duchowne). Po raz pierwszy ułożone przez metropolitę moskiewskiego Makarija w XVI w. Drukiem zaczęto ogłaszać je w w. XIX. Były tam pomieszczone według miesięcy i dni żywoty świętych, przypowieści, teksty dotyczące świąt etc.

[6] Mowa o szczególnej kategorii pielgrzymujących nieustannie po Rosji ascetów, przydających sobie pozór naiwności (jurodiwyje). Owi „głupcy boży” byli powszechnie uważani za obdarzonych darem proroczym.

[7] Według przypisów do cytowanego wydania rosyjskiego (t. 6, s. 721) aluzja do dewizy w herbie hrabiego Aleksego Arakczewaja (1769--1834), zaufanego i faworyta Aleksandra I.

[8] W r. 1864 została przeprowadzona w Rosji reforma sądownictwa. Instytucje sądowe były powszechne, rozprawy toczyły się jawnie z udziałem obrony i przysięgłych.

[9] Kara śmierci, jakkolwiek zniesiona formalnie w r. 1753-54, była jednak wprowadzona ponownie za przestępstwa przeciw państwu, armii itd. W latach, w których toczy się akcja powieści, kara śmierci była często stosowana wobec przestępców politycznych. Sam Dostojewski był skazany na karę śmierci w r. 1849 za udział w sprawie organizacji Pietraszewskiego. Jak podaje przypis do cytowanego wydania rosyjskiego (t. 6, s. 721), „Dostojewski mówiąc, że w Rosji nie ma kary śmierci, i twierdząc, że książę widział karę śmierci tylko za granicą... chciał zapewne uchronić przed ingerencją cenzury te stronicie powieści, gdzie książę wypowiada się na temat kary śmierci”.

[10] Dostojewski, skazany na karę śmierci, został ułaskawiony 22 grudnia 1849 na chwilę przed wykonaniem wyroku.

[11] Igumen Pafnutij - w w. XIV, założyciel Wierchniej Pustelni nad Wigą w powiecie czuchłowskim, guberni kostromskiej.

[12] Mowa tu o wydanych przez M. Pogodina czterdziestu czterech przykładach pisma staroruskiego w litografowanych reprodukcjach fragmentów starych rękopisów (Obrazcy sławiano-russkogo drie-wniepisanija, Moskwa 1840-41).

* moje panie

[14] W przypisach cytowanego wyd. rosyjskiego (t. 6, s. 722) zwraca się uwagę, że to zdanie jest jak gdyby parodią słów bohatera opowieści Dostojewskiego Sen wujaszka, Mozglakowa: „Dowiodę panu, że i osioł może być pożytecznym człowiekiem.”

[15] Niedokładny cytat z wiersza Lermontowa Dziennikarz, czytelnik i pisarz.

[16] Mowa zapewne o obrazie Hansa Yredemana de Yries (1527-1604) Ucięcie głowy Jana Chrzciciela, w muzeum bazylejskim. Dostojewski był w Bazylei w sierpniu 1867 r.

* Kocham cię, Mario!

* Dzień dobry, nasza dobra Mario.

** Kochamy cię, Mario.

* Leon odjeżdża na zawsze!

[21] Mowa o obrazie Hansa Holbeina młodszego Madonna z rodziną burmistrza Jakuba Mayera, którego kopia znajduje się w Dreźnie, gdzie Dostojewski mógł ją być widzieć w czasie swojego pobytu w r. 1867. Kopia ta w owym czasie uchodziła za oryginał.

* Umeblowany pokój do wynajęcia.

* Droga Babette (Babette - zdrobnienie francuskiego odpowiednika imienia Warwara)

* Uprzedzam!

[25] W przypisach cyt. wydania rosyjskiego (t. 6, s. 723) zwraca się uwagę, że nazwa pułku zapożyczona została z komedii Gribojedowa Mądremu biada (Gorie ot „ma), akt III, sc. 12, gdzie mowa o zmyślnym „nowoziemlanskim, muszkieterskim (pułku) jego wysokości”. To zapożyczenie ma na celu podkreślenie fantastyczności opowiadania generała Iwołgina. Is Generał Iwołgin ma tu na myśli zapewne szturm na twierdzę Kars w dniu 17 września 1855 r. podczas wojny z Turcją. Również w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w 1828 r. Kars był wzięty szturmem przez wojska Paskiewicza w dniu 23 czerwca.

* Mój mąż się myli.

** że się pomyłono

* Początek słynnego zdania Giordano Bruno (1548-1600) *Se non e vero, e ben trovato* (Jeżeli to

nawet nie jest prawdziwe, to jednak dobrze wymyślone).

[29] Generał Iwołgin ma tu na myśli zapewne szturm na twierdzę Kars w dniu 17 września 1855 r. podczas wojny z Turcją. Również w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w 1828 r. Kars był wzięty szturmem przez wojska Paskiewicza w dniu 23 czerwca.

* mieszczuch

** To coś nowego.

[32] Gazeta ta ukazywała się w Brukseli od r. 1830. Dostojewski, według świadectwa swojej żony, czytywał ów dziennik w r. 1867-68.

* Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!

[34] Mikołaj Pirogow (1810-1881), chirurg, brał udział w wojnie krymskiej w obronie Sewastopola, gdzie kierował pomocą lekarską. August Nelaton (1807-1873), chirurg francuski.

* dla rozrywki, dla zabicia czasu

[36] W przypisach cyt. wydania rosyjskiego (t. 6, s. 724) to zdanie odnosi się do głośnej w r. 1866-68 sprawy Daniłowa. Daniłow, dziewiętnastoletni student, zamordował w styczniu 1866 r. w Moskwie lichwiarza Popowa oraz jego służącą. Jeden ze współtowarzyszy aresztowanego Daniłowa zeznał, że ów, jak sam mu opowiadał, dokonał zabójstwa za wiedzą i przy współudziale swojego ojca, który doradzał synowi, „by nie zaniedbał niczego i dla własnego szczęścia koniecznie zdobył pieniądze, choćby i z pomocą zbrodni”.

[37] Niedokładny cytat z bajki Kryłowa Postarzały lew.

* od franc. *prouesse* – waleczność; przen. iron.: wyczyn, czyn bohaterski

* gry towarzyskie (zabawa w fanty)

* kłopot z powodu obfitości (nadmiaru)

* Tak w oryginale.

* Dama Kameliowa

* prawdziwy protoplasta

[44] Tj. stylem wzniosłym, wymyślnym. A. Bestużew-Marliński (1797--1837) - autor romantycznych opowieści.

[45] Termin ów (zapadnik) użyty tu ironicznie. Okcydentaliści (zapadniki) w odróżnieniu od słowianofilów byli zwolennikami wprowadzenia Rosji na drogę rozwoju według norm

zachodnioeuropejskich. Dostojewski krytycznie odnosił się do koncepcji zapadników.

[46] Dostojewski ma tu na myśli sprawę kupca moskiewskiego Mazurina, który w 1866 r. zabił jubilera Kałmykowa. Sprawa o zabójstwo toczyła się przed sądem w listopadzie 1867 r. Mazurin, podobnie jak bohater powieści Rogożyn, syn dziedzicznego honorowego obywatela, otrzymał w spadku po ojcu około dwóch milionów rubli, które roztrwonił. Jubiler został zamordowany w domu Mazurina brzytwą.

* pan; tu odpowiednik damy kameliowej - kawaler kameliowy

* dziękuję!

CZĘŚĆ DRUGA

[49] W wyniku reformy wprowadzonej za panowania Aleksandra II, w r. 1864 wydano ustawę o gubernialnych i powiatowych instytucjach ziemskich, które były rodzajem samorządu terytorialnego. Członkowie zarządów powiatowych i gubernialnych ziemstwa byli obieralni, jedynie przewodniczący byli zatwierdzani przez władze administracji państwowej.

[50] W przypisach cyt. wyd. rosyjskiego (t. 6, s. 726) czytamy, że zabójstwo rodziny kupca Żemarina nastąpiło w Tambowie 1 marca 1868 r. Zabójcą był niejaki Witold Górski, osiemnastoletni uczeń gimnazjum.

* moją kuzynką

** ceremonia porannej królewskiej toalety

[53] Lebediew nazywa Samsonem Karola Sansona (1740-1793), kata Paryża, który ściął Ludwika XVI.

*** od franc. *poissarde* - handlarka; przekupka (o kobiecie wulgarnej)

**** nędza, bieda; ale także: cierpienie, udręka

[56] Apokalipsa (Objawienie św. Jana Apostoła) 6, 6.

[57] Pawłowsk pod Petersburgiem, należący do wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza, był ulubionym letniskiem mieszkańców stolicy położonej o 25 wiorst od Pawłowska. „I muzykalnie” - aluzja do koncertów w parku pawłowskim.

[58] Członek sekty skopców, powstałej w drugiej połowie XVIII w., prześladowanej przez władze, zwłaszcza za panowania Mikołaja I.

[59] Mowa o Historii Rosji (Istorija Rossii) Sergiusza Sołowjowa (1820-1879), której edycja, rozpoczęta w r. 1851, w okresie pisania *Idioty*, doszła do t. XVII. Dostojewski znał to dzieło.

[60] Mowa o obrazie Hansa Holbeina młodszego *Chrystus w grobie* (1521), który Dostojewski

widział w czasie swojego pobytu w 1867 r. w Bazylei w tamtejszym muzeum.

[61] Według przypisu w cyt. wydaniu rosyjskim (t. 6, s. 728) mowa tu o znanej Dostojewskiemu zbrodni, która wydarzyła się w Petersburgu. Chłop z guberni jarosławskiej, Bałabanow, zabił mieszczanina Susłowa, po czym go obrabował z zegarka. Wiadomość o tym podała gazeta petersburska „Gołos” z 30 października 1867 r.

[62] Z Apokalipsy.

[63] Według przypisu w cyt. wydaniu rosyjskim Dostojewski posiadał w swojej bibliotece egzemplarz Koranu w przekładzie francuskim. Mahomet miał cierpieć na epilepsję.

[64] Odnosi się to do wspomnianej w przyp. 2 sprawy o zabójstwo rodziny kupca Żemarina. Górski polecił kowalowi, by według jego własnego rysunku wykonał specjalny przyrząd, który następnie został przez niego użyty przy dokonywaniu zabójstwa.

[65] W tekście oryginału omyłkowo: „w Pawłowsku”. W przypisach wydania rosyjskiego (t. 6, s. 729) błąd ten został sprostowany.

[66] Oficjalną datą utworzenia państwa rosyjskiego był r. 862, kiedy to ileńscy Słowianie, Krywicze i in. wezwali książąt wareskich, by sprawowali nad nimi rządy. Mowa więc tu najpewniej o r. 862.

[67] W oryginale Kola istotnie poprawia Agłaję Iwanownę i mówi: „A. N. B.”, co nie ma sensu, w utworze bowiem (por. przyp. 16) mowa o inicjałach A. M. D., które są skrótem łacińskich słów: Aue Mater Dei. Agłaja Iwanowna z uporem powtarza: A. N. B., są to bowiem inicjały imienia i nazwiska Nastasji Filipowny (Anastazja Baraszkow).

[68] Wiersz Puszkina bez tytułu (Żył na swiecie rycar' biedny}...), włączony następnie przez poetę do Scen z czasów rycerskich.

* *Ave Mater Dei* (łac.) – Witaj, Matko Boża

** światłości nieba!

*** Święta Rózo!

[72] Tłumaczenie Juliana Tuwima.

[73] Początkowe litery: Nastasja Filipowna Baraszkow.

[74] Aluzja do słynnego powiedzenia Horodniczego z I aktu I sceny Rewizora. Horodniczy opowiada o nauczycielu, że „objaśnia z takim zapałem, iż traci przytomność. Raz słuchałem jego wykładu: no cóż, póki mówił o Asyryjczykach i Babilończykach, jakoś to szło, ale jak się dorwał do Aleksandra Macedońskiego, trudno wprost powiedzieć, co mu się stało. Myślałem, że pożar wybuchł, jak Boga kocham! Zbiegł z katedry i z całych sił ryms krzesłem o podłogę. Oczywiście,

oczywiście, Aleksander Macedoński to bohater, ale po cóż krzesło łamać?” Zdanie końcowe stało się w Rosji powiedzeniem oznaczającym, iż nigdy nie należy przebierać miary.

[75] Mowa o siedmiotomowej edycji Annienkowa, ogłoszonej w 1855-57 r. i po raz pierwszy opartej o rękopisy Puszkina.

[76] Górski - por. przyp. 2. Danilow - por. przyp. 21 do części pierwszej.

[77] Według przypisów wydania rosyjskiego (t. 6, s. 729) Dostojewski ma tu na myśli czasopismo satyryczne „Iskra”, wydawane w Petersburgu od 1859 do 1873. Czasopismo to, redagowane m.in. przez Wasilija Kuroczkina, było zbliżone do ośrodków rewolucyjno-demokratycznych.

[78] Cytat z komedii Gribojedowa Mądremu bieda, akt. II, sc. 2.

* do Rosji

[80] Aluzja do znanej bajki Iwana Kryłowa.

* Zdrobnienie od Lew: tu imię oczernianego potomka

[82] W przypisach do wyd. rosyjskiego (t. 6, s. 730) podano, że Dostojewski ma tu na myśli Saltykowa-Szczedriny i jego utwór satyryczny Zarozumiały Fiedia (Samonadiejannyj Fiedia), ogłoszony w czasopiśmie „Swistok” w r. 1863, a wymierzony przeciw Dostojewskiemu. Dostojewski parodiuje ów utwór Szczedriny w wierszyku na s. 295 (249 ebooka) niniejszego wydania.

[83] Aluzja do fragmentu powieści Czernyszewskiego Co robić? (Czto dziełat'?), gdzie bohaterka utworu, Wiera Pawłowna, w ten sposób mniej więcej żegna się z matką. Powieść Czernyszewskiego była niezwykle popularna w kołach ówczesnej radykalnej młodzieży rosyjskiej.

[84] Według przypisów cyt. wydania rosyjskiego (t. 6, s. 730) Dostojewski miał tu na myśli Sergiusza Botkina (1832-1889), wybitnego lekarza.

* Drogi książę

[86] Dostojewski robi tu aluzję do końcowych słów monologu Famusowa w IV akcie, 15 scenie komedii Gribojedowa (Mądremu bieda). Słowa te brzmią:

Ach, Boże mój, cóż na to powie Księżna Maria Aleksiejewna!

[87] Gra słów, polegająca na kiepskiej francuszczyźnie Kellera, wyzyskano tu fonetyczne podobieństwo nazwiska słynnego kaznodziei francuskiego Ludwika Bourdaloue (1632-1704), który jednak arcybiskupem nie był, do rosyjskiego wyrazu burda, oznaczającego kiepski napitek lub jadło (tu odpowiednik polski na określenie kiepskiego wina: cienkusz), oraz do nazwy gatunku wina francuskiego bordeaux.

* światowiec, birbant, hulaka

CZEŚĆ TRZECIA

[89] Zgodnie z tabelą rang, wprowadzoną przez Piotra Wielkiego, stopnie niektórych wyższych urzędników służby państwowej cywilnej były przyrównywane do stopni generalskich (sztatskij gienierał).

[90] Wyspa na północny-wschód od centrum Petersburga, ówczesnie miejscowość letniskowa.

[91] Eugeniusz Pawłowicz myli tu jak gdyby liberałów i socjalistów czy rewolucyjnych demokratów. Liberałowie istotnie rekrutowali się przeważnie z ziemian. Natomiast „seminarzyści”, czyli młodzież studiująca w seminariach duchownych, byli zdecydowanie radykalni i pochodzili przeważnie z tzw. raznoczyńców, tj. warstw nieszlacheckich.

[92] Bohater komedii Gribojedowa Mądremu biada.

[93] Mowa o przemówieniu obrońcy we wspomnianej już (por. przyp. 2 do cz. II) sprawie Górskiego.

* powodzenia!

[95] 6 Goethe: Faust. Tragedii część pierwsza. Prolog w niebie. W oryginale :

Die Sonne toni nach alter Weise In Bruderspharen Wettgesang.

[96] Apokalipsa, 9, I, , „I zatrąbił piąty Anioł, i widziałem, że gwiazda spadła z nieba na ziemię, a dano jej klucz studni przepaści. I otworzyła się studnia przepaści; i wystąpił dym z onej studni, jakoby dym pieca wielkiego, i zaćmiło się słońce i powietrze od dymu onej studni.”

* gałgan

[98] Mowa tu o polemice między Aleksandrem Hercenem i W. S. Pieczorinem, ogłoszonej na łamach czasopisma „Polarnaja Zwiezda”, ks. 6, 1861 r. Londyn (por. Aleksander Hercen, Byloje i dumy, cz. VII, rozdz. LXX Pater V. Petcherine). Pierwszy cytat z wypowiedzi Pieczorina, drugi - z repliki Hercena.

* Po mnie choćby potop...

[100] W oryginale nazwisko to ma znaczenie ironiczne. Kislod - tlen. Aluzja do materialistycznych poglądów przeważnej liczby ówczesnych studentów rosyjskich.

[101] Mowa tu o Fiodorze Pietrowiczu Haassie (1780-1853), starszym lekarzu moskiewskich szpitali więziennych, znanym z dobroci dla więźniów i bardzo popularnym wśród ludności.

[102] W oryg. nieszczęśliwy. Lud rosyjski tak nazywał więźniów i skazańców. Powszechnie okazywano im życzliwość i współczucie.

* krańcowości graniczą ze sobą

* dziewczynko, mówię ci, wstań! (Mk4,41)

[105] Strofa, którą cytuje Dostojewski jako przynależną Millevoje'owi, jest w istocie fragmentem ody innego poety francuskiego, Mikołaja Gilberta (1751-1780).

*

O, niech zobaczy wasze święte piękno

Przyjaciół tłum, obojętnych na moje odejście

Niech umrą na schyłku życia, niech śmierć ich będzie oplakana

I niech przyjaciel zamknie im oczy!

[107] Piotr Franciszek Lacenaire (1800-1836) dokonał kilku zabójstw.

Ujęty przez policję, kilkakrotnie uciekał; wreszcie w r. 1835 odbył się proces, w którym skazano go na śmierć. Stracony w Paryżu w r. 1836. W czasie pobytu w więzieniu pisał wspomnienia i wiersze, które ukazały się drukiem w r. 1836. Tu - synonim cynicznego, a zarazem inteligentnego przestępcy.

* rodzajami ról

[109] Romanse Paul de Kocka, których akcja toczyła się przeważnie wśród tzw. ówczesnie „nizin społecznych”, uważane były za szczególnie niemoralne i niestosowne dla młodych panien.

[110] Aluzja do wspomnianej już wyżej (por. przyp. 25 do cz. I) sprawy Mazurina o zabójstwo jubilera Kałmykowa. Mazurin ukrył trupa w swoim domu i postawił wokół niego cztery wiadra z tzw. płynem Żdanowa, używanym wówczas do odkażania i usuwania przykrych zapachów.

CZĘŚĆ CZWARTA

[111] Bohater dwuaktowej komedii Gogola Ożenek (Żemt'ba).

[112] Słynne powiedzenie tytułowego bohatera komedii Moliera Georges Dandin ou le mañ confondu, akt. I, sc. 9. W tekście oryginalnym: Vous l'avez voulu etc. Boy-Żeleński w swoim tłumaczeniu dokonał spolszczenia zarówno imienia, jak i nazwiska Georges Dandin na Grzegorz Dyndała.

* Sam tego chciałeś Grzegorzu Dyndało!

[114] Bohater opowieści Gogola Prospekt Newski (Niewsktj prospiect).

[115] Zapewne pisane z myślą o niepowodzeniach wojny krymskiej (1854-1856).

[116] Jedna z postaci występujących w Martwych duszach (Miortwyje duszy) Gogola.

[117] Sztof, dawna rosyjska miara wina lub wódki; odpowiadał 1/10 wiadra.

[118] Według przypisu w wydaniu rosyjskim mowa, tu o artykule ogłoszonym w czasopiśmie

[119] Według przypisu w wydaniu rosyjskim (t. 6, s. 733) epitafium pióra Karamzina; w r. 1837 Dostojewski i brat jego Michał kazali wyryć to epitafium na płycie grobowej ich matki.

[120] Tak w oryginale (archiw). Por. przyp. 7.

[121] Aluzja do Aleksandra Hercena, którego -autobiograficzne dzieło (Byloje i dumy) rozpoczyna się od wspomnień roku 1812 w Moskwie. (Część pierwsza, rozdz. I. Moja niania i La Grandę Armee. Pożar Moskwy (...) Podróż z jeńcami francuskimi...')

[122] Por. przyp. 9 do cz. II.

* Oto zuch! Kim jest twój ojciec?

** Syn bojara, i to dzielnego! Lubię bojarów. Czy ty mnie lubisz, chłopcze?

[125] Mowa o Janie Baptyście bar. Bazancourt (1767-1830), generale napoleońskim.

[126] Jan Baptysta Adolf Charras (1810-1865) ogłosił m.in. Histoire de la campagne de 1815. Waterloo o tendencji antynapoleońskiej.

[127] Ludwik Mikołaj Davout (1770-1823) - marszałek Francji, jeden z najwybitniejszych generałów napoleońskich.

[128] Rustan a. Rustam (1780-1845) był jeńcem szejka Kairu, który podarował go Napoleonowi podczas kampanii egipskiej. Był służącym Napoleona aż do wygnania cesarza na Elbę.

[129] Natychmiastowa odpowiedź generała Iwołgina świadczyć tu ma o jego rzeczywistej znajomości rzeczy, co nadaje pozór prawdziwości jego zmyśleniom. W istocie Constant (Constant Wairy, zw. Constant, 1778-1845) był służącym Napoleona od r. 1800 do r. 1814.

* Oho! Stał się przesądny!

* król rzymski

** Jeszcze mała dziewczynka.

*** Nigdy nie kłam. Twój szczyry przyjaciel Napoleon.

[134] Mowa o Orderze Św. Anny, ustanowionym przez księcia holsztyńskiego Karola Fryderyka, a włączonym do rzędu orderów rosyjskich przez cara Piotra III.

[135] Aluzja do opowieści Mikołaja Karamzina Biedna Liza. Utwór miał wielki rozgłos w Rosji w pierwszej połowie XIX w.

* protegowaną

[137] Mowa o popularnej w drugiej połowie XIX w. Historii powszechnej Fryderyka Schlossera, historyka niemieckiego (1776-1861). Przekład rosyjski ukazał się w r. 1868.

[138] Stiepan Glebow (ok. 1672-1718) był kochankiem pierwszej żony Piotra Wielkiego, Eudoksji Łopuchin. Wbity na pal 15 marca 1718 r. na placu Czerwonym w Moskwie.

[139] Andrzej Osterman (1686-1747), Niemiec w służbie rosyjskiej, w r. 1707 na polecenie Piotra Wielkiego rozpoczął pracę w jego kancelarii przybocznej. Następnie zajmował się dyplomacją. Za panowania cesarzowej Anny był wielkim kanclerzem. Po śmierci Anny, za panowania Elżbiety, zesłany dożywotnio do Berezowa.

[140] Tomasz Morus (1478-1535), humanista angielski, jeden z teoretyków utopijnego socjalizmu. W r. 1529 mianowany wielkim kanclerzem. Był przeciwnikiem zerwania z Rzymem i w r. 1532 ustąpił i urzędu. Gdy odmówił wzięcia udziału w koronacji Anny Boleyn, został na rozkaz Henryka VIII uwięziony. Oskarżony o zdradę stanu, został skazany na śmierć w r. 1535. Przed śmiercią prosił kata, by oszczędził jego brodę, która, według jego słów, nic nie zawiniła.

* Słowa wyrażające zwyczajowo dezaprobatę Kościoła katolickiego wobec poczynań władzy świeckiej.

* braterstwo albo śmierć

[143] Sekta religijno-mistyczna, powstała w Rosji w połowie w. XVII.

* To bardzo ciekawe i bardzo poważne!

* pozwólcie mu powiedzieć

* Doprawdy?

[147] Z wiersza Puszkina Elegia (1830; Biezumnych lei ugasszeje wiesielje...).

[148] Terminu „nihilizm” użył po raz pierwszy Turgieniew w powieści Ojcowie i dzieci (Otcy i dieti, 1862).

[149] Ewangelia według św. Jana, 8,3-11.

[150] Por. przyp. 15 do cz. III.